

JACEK

DUKAJ

KRÓL BÓLU

WYDAWNICTWO LITERACKIE



SPIS TREŚCI

SPIS TREŚCI.....	2
Linia oporu.....	4
Część pierwsza: Niewola.....	7
Część druga: Teatr.....	82
Część trzecia: Grind.....	178
Oko potwora.....	200
Szkoła.....	306
Król Bólu i pasikonik.....	361
I.....	362
II.....	431
Crux.....	462
Serce Mroku.....	506
I.....	508
II.....	523
III.....	534
Aguerre w świetle.....	545
Piołunnik.....	643
POSTSCRIPTUM.....	695

Doświadczenie osobiste jest niewątpliwie pożyteczne. Ale gdyby się ściśle przestrzegało granic takiego doświadczenia, okropnie zacieśniłoby się twórczość poetycką, a nawet twórczość filozoficzną. Gdyby trzeba było czekać starości, aby się ośmielić o niej mówić, albo ciężkiej choroby, aby móc o niej wspomnieć, gdyby trzeba było samemu doznać wszelkiej udręki albo zamętu umysłu, aby je ująć w słowa, przekonalibyśmy się, że do napisania pozostaje zaiste niewiele. I jasne jest, że o wielu sprawach w ogóle by nie napisano, gdyż ten, co by ich doświadczył, mógłby nie być osobą obdarzoną talentem, zdolną do analizowania ich i wyrażania.

Konstandinos Kawafis, *Ars Poetica*
tłum. Zygmunt Kubiak

LINIA OPORU

Czy wartość wszystkich rzeczy nie na tym polega, że są one fałszywe?
Czy właśnie SKŁAMYWANIE i CZYNIENIE FAŁSZEM, wkładanie
sensu nie jest wartością, sensem, celem?
Czy nie powinno się wierzyć w Boga nie dlatego, że jest prawdziwy,
LECZ DLATEGO, ŻE JEST FAŁSZEM?

Friedrich Nietzsche

Kreatywność nie jest żadną zewnętrzną siłą o ukrytych celach. Wszystkie ziszczone
byty dzielą z Bogiem ową właściwość: ich przyczyna leży w nich samych. Wszechświat jest
twórczym postępem ku temu, co nowe.

Alfred North Whitehead

Początek układu współrzędnych

Spójrz na dziecko - jak się bawi. Kilkuletni brzdąc wybiegł na łąkę, już rozradowany, już buźka-słoneczko, oczka-skowronki, nie zatrzyma się, smyrgnął tu, smyrgnął tam, kwiatki, motylki, psie kupy, stare puszki i żwir kolorowy - wszystko go ciekawi, wszystko go cieszy, ze wszystkiego rosną cuda, baśnie, krainy przygód i skarbów. Skacze po kamieniach, chmurach na niebie. Huśta się na gałęzi, ponad pokładem okrętu w sztormie. Śledzi mrówki, armie chitynowych robotów atakujące fortece szkła i plastiku. Spójrz. Jeśli jest sam, nie zobaczysz, ale jeśli jest z innymi dziećmi, zobaczysz i usłyszysz: ich gry, ich teatry, języki zabawy, mapy pantomimy, drugie, trzecie światy. Nie ma tu strachu i nie ma chęci zysku. Niczego nie muszą. Nakarmieni, zaspokojeni, nieśmiertelni, bezpieczni. Energia przepływa przez wiecznie podekscytowane ciała. Budzą się i zasypiają ku nieskończoności nieodparty cudów. Spójrz!

CZĘŚĆ PIERWSZA: NIEWOLA

Zimny restart

Wtorek. Ale jakby sobota.

Po co tu przyszedł? Miał coś kupić. Zapomniał co.

Królestwa, potęgi otwierają się przed nim i zamykają i otwierają.

Siedzi pod fontanną pośrodku galerii handlowej, patrzy na pięknych mężczyzn, piękne kobiety. Obok wejście do salonu ciała.

Jak to jest, że do lekarzy chodzą chorzy, ale do pięknorobów - właśnie ci piękni?

To przyśpiesza, myśli sobie. I nawet tempo przyśpieszenia rośnie.

Co mianowicie przyśpiesza?

Nie potrafi wysłować.

Zanurzony w wylew magmy ludzkiej, czuje na skórze tarcie, czuje przeskoki i zazębienia konstelacji. Iskrzą wokoło krystalicznie, elektrycznie.

Nazywa się Paweł Kostrzewa, ma dwadzieścia siedem lat, studiuje już na czwartym kierunku, i jego też nie ukończy; jest zmęczony. Miał coś osiągnąć, ale zapomniał co.

Siedzi pod fontanną, szum wody przynosi ukojenie, +20% Comfort Buff.

Głowa nisko między ramionami, ręce na kolanach, stopy do wewnątrz. Zaciska powieki.

Wtedy jednak nieustanny stukot obcasów na lustrzanych płytach staje się nie do zniesienia.

Potrząsa lepetyną. Jak to wyłączyć? Wszystko go męczy. Takie życie, taki soundtrack.

Rano: wizyta u prochowca. Które dragi brać, żeby nie musieć brać żadnych dragów?

Prochowiec zawsze nalega, by spotykać się osobiście, chociaż oczywiście przychodnia jest pokryta. Ale po najcięższy gejdż personalizowany trzeba wędrować w gnoju.

Jak się dziś czujemy? I pomimo tej szpitalnej liczby mnogiej Paweł czyni wysiłek, by odpowiedzieć maksymalnie szczerze. (Co pewien czas zadaje sobie ćwiczenie: odpowiadaj ludziom, jakby naprawdę myśleli to, co mówią).

Jak się dziś czuje? Jak się dziś czuje? Jak się czuje?

Zwija się tam na krześle u prochowca niczym w ataku nerwobóli żołądkowych. Próbuje, próbuje - ale nie umie nazwać.

Nie wie, jak się czuje.

Chciałby się czuć w jakiś nadający się do nazwania sposób. Tak albo tak.

Zaczął brać prochy na depresję, by móc sobie powiedzieć, że jest w depresji. Depresja - i wszystko jasne. Gejdz najprostszy z możliwych.

Nie jest w depresji. Jest zmęczony. Ale to nie kogito emo - to stan energetyczny.

Prochowiec i tak nie słucha jego milczenia. Wyniki badań ma w duchu i na papierze, wygłasza formułki, podpisuje.

On nie jest od psychoterapii, on tylko porównuje przypadek z wytycznymi.

Paweł notuje, by dokopać się do tych wytycznych. Tam stoi, jak się czują ci, którym zadaje się taki gejdz.

Kupił nową porcję jeszcze w osiedlowej aptece, kwadrans na spersonalizowanie dragów, sekunda na zakluczenie ich w duszy publicznej; zatem nie po to przyjechał do galerii.

Nie pamięta drogi do centrum.

Czynności często powtarzane wymazują mu się z rejestrów mózgowych. Musi sprawdzać szczoteczkę, czy mokra. Umył już zęby? Czy też to wspomnienie z wczoraj, z przedwczoraj, z miesiąca wstecz? Kolację - zjadł czy nie zjadł?

Jak odróżnić jeden posiłek od drugiego? To niemożliwe.

Mózg nie pomieści tylu powtórzeń.

Ta sama ścieżka, to samo miejsce na ROM-ie - plik nadpisuje się na plik.

Wtorek czy sobota - Paweł musi zerknąć w ducha. Rok i rok, lato i lato, Boże Narodzenie i Boże Narodzenie. „Pamiętasz, jak w lipcu siedemnastego...” Paweł kiwa głową, ale oczywiście nie pamięta. (Może sam wygejdżował).

Nawet nie rozumie, jak można tak indeksować wspomnienia: datami, godzinami. Jego pamięć nie dysponuje tą funkcją.

Kropla do kropli do kropli, strumienie nieodróżnialnych koralii wodnych przelatują mu przez głowę. Woda jest tak czysta, nie pozostawia najmniejszego śladu.

Widzi siebie w witrynach i lustrach: postać poza grą. Nic się nie dzieje. Lagi i jeszcze większe lagi.

Dwaj bysie w ciężkich szarawarach usiedli obok.

Nowa ścieżka dialogowa. (Public chat).

Ściurbał, zajebuta. Yo, podziwioj. A mikrucha? Siedem cyców. Widziałeś krajca? Krajec jajec. To może by tę lizuchnę? Eee. To może tego? (I grzebią w kieszeniach

przepastnych). W chuja dzidzius. Ale szlaka! No tak, szlaka pokraka - He he. Dawaj tego tam. Budiet. No to? Tyyy, zobacz lichu. Dwójka wyszła! Myślałem, że tylko demo. A! Już jest, noże, flaki, cipy, wsio.

Wstali, poszli.

Szum wody i obcasy kobiet.

One wszystkie chodzą na bardzo wysokich obcasach.

Flash, reklamy pięknorobów: stopy na nowym kośćcu, skóra jak po retuszu, ażurowe rzęsy, mangowe paznokcie, piersi na mięśniach kosmetycznych.

Kogo stać? Już prawie wszystkich, proteo ulicy. A reszta i tak naśladuje.

Paweł zadaje sobie inne ćwiczenie: niech mi się któraś spodoba. Od razu, na sucho. Gapi się.

Co z tego, że piękne. Fraktale i równania też bywają piękne.

Żeby chociaż pół erekcji.

Nic.

Ziewa.

Może to przez te dragi.

I wziął je już dzisiaj, czy nie wziął?

Nie pamięta.

To znaczy pamięta, ale niezindeksowane. Dzisiaj? Wczoraj? Przedwczoraj? Te dragi czy inne?

Wymuje buteleczkę, czyta ulotkę, liczy pastylki.

(Ale, panie doktorze, czemu nie spod skóry? Bo zaraz zapomni pan, że w ogóle jest na terapii, panie Kostrzewa. Ale, panie doktorze, wszyscy są na terapiach. Pigułka, panie Kostrzewa, pigułka podnosi samoświadomość pacjenta).

Liczy.

Nie wziął.

Łyka dwie według przepisu, popija wodą z fontanny, 24h Blessing.

Zjawia się straż i wyprowadza go na ulicę, poza ducha galerii.

Pada deszcz. Dzieci wracające ze szkoły gonią się z krzykiem po niewidzialnych lasach. Walkirie spadają z nieba. Aureole Bandy Trojga przepalają mury i szkielety. Na niebie - hieroglify astronomii politycznych sąsiednich królestw.

Dzieci. Przypomina sobie: dzieciak siostry ma urodziny.

Miał mu kupić prezent, to dlatego.

Kupi jutro. Albo z domu.

Zapisuje w duchu.

W metrze rozczuła go widok dwóch podpierających się łaskami staruszek. Omal wybucha płaczem. Co to za gejdź porąbany?

Skręca zaraz halsem na szerokie wody, pod nieba błękitne.

Giełda go nudzi, partii nie rozróżnia, wojen nie rozumie. Wiatr wewnętrzny królestwa spycha go ku kradzieżom, gwałtom, morderstwom.

I dopiero pojmuje, na co się umawiało tych dwóch w galerii. To taka moda: przygodny przechodzień, ten lub tamten, bez powodu, bez celu, bez sensu - wpadnie w oko i nóż mu w plecy.

Ale chłopaczków odciągnęła reklama jakiejś nowej rąbaniny w duchu.

Zabójstwo prawdziwe nie jest dość prawdziwe. Nasze stare zmysły biolo - to realizm na ćwierć gwizdka.

Metro się zatrzymuje i Paweł spostrzega, że przegapił swoją stację. Staruszki wysiadły.

Która godzina? Trzecia szesnaście.

Czy w ogóle ma dzisiaj jutro pojutrze coś do zrobienia?

Stoi na pustym peronie i próbuje, próbuje wymyślić cokolwiek.

Życie. Ale jakby nie.

Buchalteria nowa

Paweł popija na dachu kamienicy. Niebo gwiazdziste nade mną, żywiec we mnie.

Budynek po lewej: szkło. (Nie szkło, ale wygląda jak szkło).

Budynek po prawej: cegła. (Nie cegła, ale).

Budynek naprzeciw: drewno. (Drewno! Nowiutkie).

Na dachu Pawła srają gołębie i zielsko kwitnie między dachówkami.

Z kominów wiatr prószy sadzą. Deszczówka śmierdzi w rynnach.

Kamienica od pół wieku należy do trzech skłóconych braci i nie należy do nikogo. Nic z nią nie można zrobić. Ot, kloszard wywleczony z głębi PRL-u i usadzony pośrodku miasta.

Miasto zmienia się co sezon; kamienica wcale.

Dzieci malują na popękanej elewacji tagi i wulgarności.

Dom numer cztery, „Starucha”. Dwadzieścia sześć mieszkań, luksus nad luksusy, niech się drewno schowa. Tu ponadstuletnie ceglówki kruszeją w dłoniach.

Paweł podnajmuje kawalerkę od ciotki dawnego kumpla z marketingu i soctainmentu. (Dawno już wypłukanego z konstelacji). Na czynsz wydaje większość tego, co wydaje.

Bo wszystko tanieje.

Nie wszystko, ale wszystko, co można wziąć do ręki.

Doctor Who pokazuje Pawłowi przyszłość rentiera. Miesiąc temu były to 1542 dni, dzisiaj - 1873.

Prosta ekstrapolacja: za rok starczy mu już na 16 lat bez pracy. Założywszy obecny poziom życia.

Oczywiście nie wolno zakładać obecnego poziomu. Cały wic na tym, żeby chcieć więcej więcej więcej.

On nie chce. Bo po co?

Siedzi na dachu i pije do muzyki nocnego miasta, All Resists - 15%. Wolna ręka splata z chwastów koszyczki, wianki, warkocze. Soundtrack off.

Czasami wychodzi na dach Francuz spod piętnastki, inżynier snów. Gadają o cenach nieruchomości w Minas Tirith i recesji w Wonderlandzie.

Dzisiaj tylko miasto szumi w uszach.

Fluorescencyjne rekiny szybują w świetlistych kanionach między budynkami.

Paweł wyrzuca butelkę (rozbutelczy się, zanim dotknie bruku) i otwiera następną.

Był to kwadrans ciężkiej pracy.

Nie chce, nie planuje, nie pożąda - ale mózg się obraca.

Praca to jest to, co się rodzi z jego myśli, kiedy on nie myśli o pracy.

Teraz po kolei odpajkowuje rozwiązane problemy.

Udało mu się nawet wyprodukować nowy rodzaj tęsknoty: trochę cynamonu, biały włos na wietrze, powtórzona basowa nuta i oddech niewinnego chłopca.

W duchu oblicza całościowe zyski na sto-dwieście milionów. Nowe niszowe konsumenckie, nowe trendy. Gejzer powinien sprzedać tę tęsknotę za dziesięć do piętnastu procent.

I dalej kalkuluje się samo. Prowizja. Smycz.

Odległy huk miasta jak kac po orgii w głowie.

Klklklkl, wiatr przesuwają dachówki.

To przyspiesza.

Paweł siedzi w bezruchu, żywiec w garści, gapi się w niebo. Zdaje mu się, że widzi lagi szarpiące chmurami, gwiazdami, światłami ulic.

Oddycha przez nos.

Dobrze. Przecież to tylko życie. Dobrze. Zaczę raz jeszcze. Zaczyna: Mógłbym -
Mmmmmmmmm. Nie ma dalszego ciągu.

Po pracy - jest zmęczony. Był zmęczony przed.

Jest zmęczony.

Pije.

Po prawej ruch lustrzany. Balkon na trzecim piętrze ceglanej. Mężczyzna unosi do ust
filiżankę. Paweł opuszcza butelkę. Mężczyzna opuszcza filiżankę. Paweł się gapi.

Mężczyzna się gapi.

Paweł kiwa głową.

Mężczyzna kiwa głową, podnosi dłoń.

W duchu się witają, wymieniają uśmiechy, przedstawiają. 10min Social Buff.

Adrian Utrałt.

Paweł.

Pan Utrałt.

Pan Kostrzewa.

On nie przejdzie na „ty”. Paweł odstawia żywca. Adrian Utrałt, 48, królestwo Nokia-
Penderecki, Kraków, Glasgow, Kraków, Sydney, Burewala, przedwczoraj przeprowadzka z
hotelu, ubezpieczenia duszy, AKG Ltd., płciowiec petra, proteoseksualista homo, a to siostra,
a to matka, a to towarzystwo, a to konstelacje, a to powiedział, a to zrobił, a to o nim
powiedziano, a w tych ludziach żyje, a ci ludzie żyją w nim, a tak się bawił na weselu siostry,
a tak chorował, a tak myślał, i prawdopodobieństwo, że go polubisz - nie polubisz - polubisz -
polubiłeś.

Seks.

Książki.

Muzyka.

Gry.

Jedzenie.

Już się poznali, już znajomi.

Utrałt zaprasza do serca.

Paweł myśli: Czy tak mam zacząć? Od nowego sąsiada?

Chowa Adriana Utrałta do kieszeni, zabiera żywca i schodzi z dachu.

W mieszkaniu waha się między gejdżem a gejdżem.

Wahanie to miły stan. Poleguje na łóżku. Wahający się.

Oddycha.

Oddycha.

Oddycha.

Czeka na zapomnienie. Moment oderwania pamięci długoterminowej od pamięci krótkoterminowej, konsolidację przeszłości. (Zawsze na podorędziu: inhalator z zapominajką, inhibitorem PKM-Zet).

Szum nocy w głowie. Blank.

Wyobraża sobie życie ludzkie jako przestrzeń fazową wszystkich możliwości duszy i ciała. Człowiek absolutnie wolny jest w niej nieodróżnialny od człowieka absolutnie pustego: bez właściwości, bez charakteru. Każdy czyn i każda myśl jednakowo prawdopodobne.

Równy rozsmarowany. Ot co.

Leży w bezruchu godzinę.

Drugą.

W trzeciej wstaje, idzie do łazienki, sika.

Potem kładzie się z powrotem.

Zasypia w ubraniu.

Budzi się.

Wstaje, idzie do łazienki, sika.

Kładzie się z powrotem.

Budzi się.

Sucho w gardle.

Idzie napić się wody.

Poranne słońce szeleści na firankach. Odkryto Atlantyde. Zielone pastwiska rozwijają się dywanowo.

Paweł pije wodę mineralną długimi, powolnymi łykami. Bardzo mu woda smakuje.

Zastanawia się, czy połknął wieczorem pastylki, czy nie.

Wczoraj? Przedwczoraj? Jeszcze innego dnia?

Wczoraj - czyli kiedy?

Duch sięga do kieszeni.

Dzień, w którym poznał Adriana Utrałta.

Aha.

Etyka pracy

Za dużo gier, za mało książek. Słowo pisane, myśli, idee - najlepszy nawóz.

Z drugiej strony: za dużo w fotelu.

Wyjść, upić się, zgejdżować, wypląszczyć, wyplajać, wyszłajać jak pies.

Sporty ekstremalne - o, zalecane, zalecane!

Naprawdę, Paweł, opuszczasz się w robocie. Kiedy ostatnio dałeś po pysku? Kiedy kotkę wyjebałeś na forgecie?

Albo chociaż występki jakieś uliczne. (Po co płacimy wam miesięczne papugowe?)

Z życiem, maładiec, z życiem! Tak Szefu się rozpędza.

Tylko pierwsza młodość za friko! Za następne trzeba płacić.

Żreć i srać, żreć i srać!

A wszystko to na tle raportu kwartalnego.

Paweł bawi się cieniami 4D i potakuje grzecznie.

To też błąd. Potakiwacze są źle widziani, potakiwacze są wczorajsi. Dzisiejsi są ekscentrycy.

Ale my siedzimy w biznesie jutra, dla nas dzisiaj to wczoraj.

Czego my chcemy? Szefu się rozpędził. My chcemy, żebyście wy nam mówili, czego chcemy!

Nie rób, co ci mówię - mów, żebym ja robił!

Zaraż mnie!

Uwiedz!

Porwij!

Zgwałć! Zgwałć!

Paweł uprzejmie nalewa Szefowi perriera.

CCO: maoryskie tatuaże, bodmody do kości, pogańskie awatary i czarne bębny na soundtracku.

(Ale - pani pierwsza, pani Krysiu. Całuję rączki. I podsuwa krzesło siwowłosej asystentce petra).

Zeszłej wiosny, pitchując projekt, tak się naczardzował, że wyskoczył przez okno, połamał ręce i nogi.

Przed laty chadzał na długie pielgrzymki do Częstochowy. Ale mu się odwiedziało.

Teraz organizuje orgie przy ogniskach w noc kupały i sprowadza certyfikowane dziewice z muslimlandów. Ma to w duszy publicznej. Żyją poprzez niego nastoletni Gordonowie Gekko i proteo sadyści królestw Reagana.

Tadeusz Prażny.

Zwyczajowy uśmiezek na korytarzu firmy: Przyprażyło cię?

Otóż Paweł jest właśnie prażony.

Siedzi i myśli: A gdybym rzucił pracę. A gdybym wstał i wyszedł. A gdybym lunął mu tym perrierem w mordę.

(Pewnie by się Prażny zachwyił).

W duchu disneyowe ptaszęta rozwieszają kolorowe girlandy na ścianach gabinetu.

Wzdech.

A Szefu jedzie dalej. Kla-kla-kla, kla-kla-kla, kla! Tagi: Businessstalk, SincerelyYours.

Paweł przygląda mu się z tradycyjnie tępym wyrazem twarzy. (Nie zmyli nikogo).

Prażny zstąpił do Gejzeru Cudów po wejściu zulusów. Spółki afrykańskie to teraz największy rejdż. Gdzie kto widział w eurolandach plus naście procent PKB gnoju, sen Balcerowicza. A zulusi żrą.

Biznes jedzie na modach jak wszystko inne.

Więc holding kreatywów, który łyknął Gejzer jeszcze w powijakach, wymyślił wpiąć się w zulusów. Przyjechał petra Masaj. Połąził, polukał, poruchał sekretarki, pożonglował kadrami, dorzucił portfolio klientów, i pojechał. Zagląda co kwartał.

A w ramach żonglerki wyrwał z innego szczepu holdingu - kogo? Prażnego.

(Który właśnie przeskoczył biurko i szczypie Pawła w policzki, mój ty ślimaczku lukrowany, ti-ti-ti).

Paweł rozpoznaje dwa gatunki biznesmenów: Rewolwerowców i Farmerów.

Inaczej niż w westernach, Rewolwerowcy przychodzą najpierw. Z nich była Pierwsza Brygada kapitalistów od warzywniaka i kantora, przemysłników wódki i lewusów budowlanych.

Farmerzy przychodzą wtedy, gdy widać już, że ziemia żyzna i plon ładny. Nie ryzykują.

Pierwsi muszą być po trosze wariatami. Rzadko bywają inteligentni. Inteligencja tam przeszkadza.

Drudzy - o, to full menadżerka i Mensa, MBA i dopalacze hormonalne.

Ale Rewolwerowcy pierwszego siewu to banda oryginałów. Paweł poznał ich kilkunastu, teraz już dziadków wypruwających się na medmody. Niektórzy to ewidentni kretyni, inni - buce i chuje o social skills poniżej zera.

Prażny to Rewolwerowiec w ciuchach Farmera.

Za późno się urodził. Ale korporacja potrafi zarządzać także zbyt późno urodzonymi. Są dla nich tytuły, funkcje i podręczniki menadżerki ekstremalnej.

Szefu wraca za biurko i wypija wodę jednym haustem. Słonie wachlują się uszami, aligatory zamykają paszcze, Afryka bierze oddech.

Tymczasem ja z ciebie pożytek będę miał! (Powiada. Kla-kla-kla). Jesteś w niżu, Paweł, ja to rozumiem. Jakieś smęty nostalgiczne, zeitgeisty lepione na nudzie i sens życia w jelicie cienkim. A mnie teraz potrzeba hamulcowego.

Gestem Zeusa Gromowładnego Szefu rzuca w duchu Polecenie Służbowe.

Paweł się nie uchylił.

Pójdiesz do Bartka. On daje zaraz spicz. Zespół jest pełny, dobrali już kretyńców. Staniesz obok.

Mam mu zaglądać przez ramię? Będzie kwas.

A kto lepszy? Robiliście tu chwilami za układ podwójny, krążył wokół ciebie jak ślepy satelita, ty go chrzciliśmy pod Gejzerem.

Ale. Nie moja rola. Z batem tak nad głową.

Prażny zeusuje ponownie, grzmot w gębie, niebo w pięściach.

Słuchasz ty mnie! Ogień w człowieku gaśnie i zapala się - ale doświadczenia przecież nie straciłeś. Masz referencje dłuższe niż DNA Pana Boga. Zobaczysz ścianę, zanim w nią walną.

I po raz drugi ciska zygzak ognisty.

Paweł gejdżuje się wazopresyną i chwytą już w lot - piorun, myśl i Polecenie, +1 Action Speed.

A! Prawnicy wykręcili ci ręce. Mam dobrze wyglądać w papierach. Że był nadzór.

Masz dobrze wyglądać w papierach. (Z twoją REPUTACJĄ!) Ale to nie pic. Mamy wieloryba na wędce.

Soundtrack: narastający łomot tam-tamów. (Nadchodzi potwór).

Wot, siurpryza. Zdegradowany przez awans. Awansowany degradacją.

W progu jeszcze dopada go ostatnia mądrość szefa: To, czego ci trzeba, Kostrzewa, to porządny nałóg. Paweł wzrusza ramionami. Porządny, czyli jaki?

Z wódki czy z innych naturalnych dragów wykręcisz się bez śladu po genkuracji i płukaniu neuro. Tytoń w ogóle nam nie szkodzi. Seksoholikami powinniśmy być od kołyski. Gejdz przychodzi i odchodzi. A za pracoholizm tylko pochwałą.

Nie ma lekko. Ciało, fizjologia - już nie rządzi. Trzeba samemu.

Pod rękę z tą myślą wędruje ku atraktorowi socjalnemu. (Ciasteczka i kawa, kokosy prosto z palmy, słonecznik prosto z ogródka).

Tubylcy poznają po minie.

Przyprażony?

Przyprażony.

Nasz pan

Wszedłszy.

Łapiesz się, Paweł? Łapię się.

Usiadł, wcisnął się w ducha, ziewnął. Agro - 100.

Główny playground Gejzeru przypomina magazyn rozrastu zaadaptowany na przedszkole. Gdzieś chcesz - usiądź, gdzie chcesz - legnij, gdzie chcesz - baw się.

Formalny nieformalizm wykalkulowanego relaksu. W duchu i w gnoju. Pstrokaczna ścian i trendów.

Jak nie zamkniesz głowy, wwieje ci do snów śmietnik wszechświata.

Grupka w kącie montuje robota Lego. Będzie rozpruwał piłą mechaniczną pluszowe misie.

Krzysiu czyta paperbook, po uszy w gejdżu nerdycznym; otagowała się.

Krwawy Hegemon, nadal jednogłowy, pochrapuje w cieniu piramidy Cheopsa. (W Egipcie pada).

Parka przy plastole obściskuje się w chichotach. Ale wywiesili flagi BDSM.

Paweł marzy o garniturowych nasiadówkach przy konferencyjnym mahoniu, o twardym szyku petra. Ach, te czasy cudowne, gdy korporacje były korporacjami i alienacja płynęła hektolitrami w szklanych korytarzach!

W duchu rozdziera sweter i detonuje kamizelkę bomb rurowych. (Agro +5000).

Nikt nie zwraca uwagi.

Będzie siedział w kącie i moczył nogi w gorącej wodzie Gejzeru. Igrając z bąblami diabełkami powidokami duchami.

Kretyni w zespole Bartka to Idzia, Buzaty i dwóch Tomków (Tomek Mniejszy i Tomek Najmniejszy).

Mądrość grupy: im szerszy rozrzut, tym trafniejsze decyzje. Konstelacja trzech ekspertów przegrywa z konstelacją trzech ekspertów i siedmiu laików. Dlaczego na wolnym rynku akcji, zakładów i derywatów milion kretynów plus tysiąc zawodowców zawsze pobije samych zawodowców? Ano dlatego właśnie.

(Napis nad windą na piątym piętrze Gejzeru: GRUPA JEST MĄDRZEJSZA OD

NAJMĄDRZEJSZEGO CZŁONKA GRUPY).

Na dodatek w kotłach kreatywów nie chodzi przecież o wiedzę ani inteligencję - lecz inwencję. A gdzie bije źródło idei w wyobraźni kolektywnej - tego żaden Jung nie odkryje.

Kretyni są najmowani na sezon, potem się zanadto wycwanniają. Spadają im z główek aureole ignorancji. Ci tutaj siedzą już w Gejzerze piąty miesiąc, robili w dwóch-trzech projektach Pawła.

Idzia puszcza do niego oko. Tomki wymieniają się snami porno.

Tymczasem

- Panie! Panowie! I wy, pojebce kochane! Bartek zasiadł na koniku bujanym.

Się zaczęło.

Ziew.

Soundtrack: dźwięki pociągów towarowych w nocy na odległym torowisku. Syrena. Echo. Miasto jak sen Blade Runnera.

Bartek mruga w duchu prywatnym do Pawła, po czym startuje prezentację od historii makroekonomii. Nikt nie udaje zainteresowania. Musi ich zassać.

Skok do spekulacji nieruchomościami.

Skok do anarchosyndykalizmu.

Skok do sprawy Ławrińskiej.

Słuchają, patrzą, ale po nich nigdy nie widać.

Bartek nabiera powietrza. Będziemy się posługiwać terminem „cake-state”. I rysuje w powietrzu.

Teraz główna idea. Zapnijcie pasy.

Ławrińska, *casus* posthumów. Petraskopcy zakotwiczeni w ekstrapistycznych klinikach Kalifornii wystąpili o uznanie swojej reprezentacji międzynarodowej. Ich Republika Ławrińska nie posiada ani metra kwadratowego ziemi, posiada natomiast kontynenty i oceany ducha. Operuje stamtąd kilkadziesiąt korporacji (królestwa radosne) szacowanych na siedemdziesiąt-osiemdziesiąt miliardów euro rocznego przychodu.

Casus: pływające minipaństwa randystów. Koniec dwudziestego wieku, początek dwudziestego pierwszego. Stawiali je na starych platformach wiertniczych, na wysepkach usypywanych na rafach, na wykupionych tankowcach. Prawo łądu sięga dwieście mil od brzegu. Dwieście jeden - i zyskałeś niepodległość.

Własne kodeksy karne i cywilne. Własne systemy rządów. Własne idee.

Cokolwiek. Kanibalizm. Niewolnictwo. Wolny rynek. Demokracja. Tyrania. Teokracja. Anarchia.

Ale w materii trudniej. Materia ogranicza.

Państwo musi istnieć na określonym terytorium, musi posiadać przestrzeń suwerenności.

Spójrzmy teraz na plażę.

Ziemi więcej Pan Bóg nie stworzy.

Oceany też skończone.

Kosmos - zbyt duże koszty, a niższe orbity już zmilitaryzowano.

Lecz jaka była przyczyna ostatniego krachu na rynku nieruchomości?

Przebieg do życia i gry rozciągnęła się w nieskończoność, ceny dążą do zera. (Nie dokładnie do zera, ale rozumiemy).

Otóż nie żadne cyber-ideały, nie Technologiczne Osobliwości i szatańskie AI, lecz prosty rachunek ekonomiczny wypycha nas z gnoju w ducha.

Czego trzeba, żeby postawić w duchu własne państwo?

Trzeba zabezpieczenia, jego podstawy fizycznej. Państwo ducha musi posiadać przynajmniej swoje serwery fundacyjne.

A serwery podlegają prawu państwa materii.

Hence the cake-state.

I Bartek rysuje przed dzieciarnią Gejzeru:

tort

warstwy rzeczywistości i warstwy prawa, warstwy ekonomii

Państwo 01

na nim Państwo 02

na nim Państwo 03

na nim Państwo 04

Wysokość tego tortu potencjalnie jest nieskończona.

Krzysiu podnosi łąpkę. Jak się zabezpieczą przed draką z poziomu niżej?

Bartek z powrotem do *casusu* Ławrińskiej.

Robi się to tak: Stawiasz Państwo 02 na prawie dowolnego Państwa 01. To Państwo 02 wciąż jeszcze będzie pacynką Państwa 01, nie ma prawdziwej autonomii. W wyborze startowego Państwa 01 kierujesz się stopniem gwarantowanej wolności gospodarczej. Spokojnie budujesz gospodarkę swojego Państwa 02. Kiedy będziesz miał wystarczająco dużą rezerwę budżetową, dodatni bilans wymiany handlowej z Państwem 01 i zabezpieczone kontrakty wewnętrzne, znajdujesz inne Państwo 01: takie o PKB o rząd wielkości mniejszym od PKB twojego Państwa 02. Stopniowo transferujesz swoje Państwo 02 na serwery Państwa

01 Bis. Uzależniasz jego gospodarkę od swojej i przejmujesz nad nim kontrolę. Państwo 01 Bis pod twoim naciskiem wprowadza prawo przesuwające władzę wykonawczą, sądowniczą i ustawodawczą na poziom 02. Równocześnie wycofujesz się do reszty z Państwa 01. Państwo 02 w całości zintegrowało się z Państwem 01 Bis. Na wyrysowanym torcie najgrubsza jest warstwa druga od spodu.

Ten sam algorytm zastosować można do Państwa 03, Państwa 04 i tak dalej.

Na czym zarabia nasz klient? Nasz klient wykupił patenty ducha (kilkaset mega dla Skeuta Red), i będzie sprzedawał startupy Państw 03.

Spośród wszelkich możliwych Państw 02 nas zajmie to, którego główną ideologią będzie absolutna wolność tworzenia Państw wyższych.

A dla nas tutaj różnica między drugą a trzecią, czwartą czy siódmą warstwą tortu jest czysto umowna.

Chcesz dom - idziesz do pośrednika nieruchomości.

Chcesz kotkę na noc - wchodzisz do socjale.

Chcesz dziecko - pukasz do pośrednika biolo.

Chcesz państwo - a, ten produkt my dostarczymy. (Za odpowiednią opłatą).

Rzecz jasna dziewięćdziesiąt dziewięć procent tych garażowych państw padnie w pierwszym roku budżetowym. Albo będzie się obracać w nieskończoność na pustej zawartości, jedynie dla hobbystycznej frajdy założycieli.

Nie przejmujemy się. Nie nasze zmartwienie.

Krwawy Hegemon dłubie palcem w uchu, aż mu dzwonią wiszące ogrody.

No dobrze, panie bracie, ale co właściwie mamy wykonać dla klienta? Ideolo? Ładną bużkę dla duszy publicznej? Religię państwowości? Plugin do królestw?

„Kup synowi państwo na urodziny!”

Bartek wypluwa mgławice danych.

Klient macał już targety. Patrzajcie, riebiata.

Patrzmy. Się okazuje.

Otóż nie musimy niczego pompować, to już w ludkach siedzi. Od pół wieku trenują się pokolenia, od *FarmVilles*, od *Cywilizacji* i *Simsów*, i jeszcze wcześniej, od pierwszych Hirosów, pierwszych długofalowych gier strategicznych.

Teraz nawet nie zauważą przejścia.

Bartek rozkłada ramiona.

Zrobią sobie państwo, bo już wcześniej robili sobie tysiące państw, też w duchu.

To ostatni krok domykający continuum od gospodarki materii do gospodarki ducha.

Budzi się Wietnamczyk od mordercy misiów.

Smaczne. Wiadomo, gdzie się skończy? I czy dąży do równowagi? Jakiej?

Cóż, jest to sztuka unoszenia samego siebie za włosy.

Anuszka, rusalka Bartka, przeprowadza dowód w publicznym. Przestrzeń dla rozwoju Państw 01 jest ograniczona, podczas gdy przestrzeń dla rozwoju Państw 02 i wyższych jest nieskończona. Toteż nieuchronnie nadejdzie w przyszłości ludzkości moment, gdy wszystkie Państwa 01 i w ogóle cała Ziemia, cały gnój i biolo - przejdzie w ekonomiczne władanie takich rajów ducha postawionych na startupach naszego klienta.

Wykupią nas spadkobiercy gildii erpegowych i cwanych enpeców.

Pewne to jak epoka lodowcowa i czerwony olbrzym. Tylko o datę się założyć.

Zresztą nic nowego. Paweł zna to z SF, widział sam w szlajach. W swojej gildii i swoich kabałach, i w cudzych.

Tylko że dotąd brakowało oprogramowania prawnego dla podobnej integracji. Przez lata stanowiło ono święty Graal gildii totalitarnych i pionowych aliansów.

Paweł z ciekawości zerka w głębsze pliki. Kodu źródłowego klient oczywiście nie ujawni, ale nawet w materiałach poglądowych matematyka tego wehikułu prawnego przyprawia o zawrót głowy. Musiały ją spłodzić sekretne genetyki semiotyczne, dedykowane ewolucje AI.

A Krwawy Hegemon powtarza na głos. Bartuś, cukiereczku, co tu dla nas?

(Bartek płonie acetylenowo, pionier niezłomny, zelota przed poganami, pierwszy jego taki projekt samodzielny).

Nie rozumiecie? Ten content wymaga opakowania we wszystkich modach.

Które państwa są bardziej seksowne? Jakie konstytucje lepiej się nosi? Który system podatkowy romansuje z którym kodeksem karnym?

Mojo:

Hitler tygodnia

Dżyngis-chan miesiąca

a ile państw TY dzisiaj podbiłeś?!

Paweł pojmuje teraz ostrożność Prażnego. Trudno przypuszczać, żeby stare mocarstwa - spód tortu, zero jeden, zero dwa - nie zareagowały w odruchu obronnym.

Państwa petra - Rzeczpospolite Polskie, Waszyngtony, Bruksele, Gazpromy - można zawsze ograć w konstelacjach. Polityka jest dziedziną astrologii, rodzi się z ruchu gwiazd na niebie. Wystarczy się skrzyknąć ze znajomymi. Rząd wybieramy, żeby administrował - nasz albo ich, lepszy albo gorszy BOFH.

Ale królestwa?

Będą się bronić. Nie tajnymi agentami, nie nalotami i pozwami miliardowymi.

Nie. One wynajmą swoich kreatywów. Czeka nas ostatnia ofensywa biolo, RvR.

(Fanfary).

Paweł łapie potem Bartka w prywatnym.

Jak to w ogóle spadło do nas? Masaj przyniósł w zębach? Przecie to globalny push, robota dla Londynu albo Nowego Jorku.

Zdziwko. Nie zajrzał pod spód? Niech zajrzy, niech zajrzy. Kto jest klientem.

Paweł grzebie w plikach. (Ruchy naćpanego misia koala).

Się okazuje. Nasz pan: FATAGA.

Masowy szantażysta

Paweł wyszedł do parku na lancz.

Zielono. Słońce. Ptaszki. Kanapki cebulowe. Zapach trawy. Małe dzieci. Petra eko.

Soundtrack: *Astronomy Domine* Pink Floyd.

A teraz, proszę państwa, przez piętnaście minut wykonywać będziemy miarowe ruchy szczęk i konwulsje mięśni przełyku.

Stan duszy: myślisz o fizjologii picia i skoro myślisz - krztusisz się najmniejszym łykiem herbaty.

Paweł zakłada się sam z sobą, które dziecko pierwsze się rozpłacze. (W gnoju zawsze płaczą).

W takich to okolicznościach przyrody - Przysiada się kotka.

Nóżki, cycki, buzia, mniem.

Jemy. Udając, że nie patrzymy.

A tu Słońce, a tu dzieci... Ćwir, ćwir.

Kotka: Paweł Kostrzewa, szesnastego marca zeszłego roku pod hablówką w Zakopanem uczestniczył w bójce, ofiara nie złożyła doniesienia, złamana ręka i odbite nerki, do pięciu lat bez zawieszenia.

Paweł się krztusi, 5s Stun Effect.

Kotka jedzie dalej: Paweł Kostrzewa, drugiego sierpnia trzy lata temu, plaża w La Cala de Mijas, zakupił nielegalną inżynierię kogito za sumę tysiąca siedmiuset euro.

Paweł przełyka.

Dobra, gugnęła mnie po pysku. Ale te dragi i chuj Krabiński na nartach wtedy? Skąd?
Czy takie rzeczy pływają w duszy publicznej? Niemożliwe. Nikt nie wiedział. La Cala de Mijas nawet opylona nie była. Nikt nie wiedział.

(Dialogi). Czego chcesz? Jak to „czego”? To jest szantaż. Pójdiesz ze mną do czarzątki pod platanami i przeładujesz mi do wozu za wszystko, co masz na koncie pod dziennym. Szantaż? Szantaż? Dlaczego ja? Skąd mnie w ogóle wytrasnęłaś? Nie ty. To masówka. Załatwiam kilku dziennie. Chodźmy. (Paweł nadal żuje chleb). I co, wszyscy płacą? Nie. I nie ma drugich podejść - bo to na drugich podejściach się durnie wywalają: ponawianych kontaktach, zbieraniu wykupu, handlu dowodami, a tam już policja zza krzaka. Musi być jednorazówka, z zaskoczenia, piętnaście-trzydzieści minut i żadnego powtórnego spotkania. Niskie sumy, hurt. Sprawdzamy każdego. Wystarczy zarzucić sieć. Wylosuj stu ludzi, prześwietl do kości, bonanza. Bo odwróć sobie w głowie: to o grzechy najłatwiej, trałujemy je z ducha masowo, plastikowa tandeta po trzy grosze. Mało kto nie ma się czego wstydzić. Zapłaci - okay. Nie zapłaci - wypuszczamy anonimowy donos. Jego wybór. To jak wybrał? Ale skąd wiesz o mnie takie rzeczy? No chyba nie myśli, że mu powiem!

Paweł jest zafascynowany.

Znajdę cię przecież. Widzę cię. Pływasz gdzieś w publicznej. A park jest pokryty.

I co? (Kotka emotuje IDontGiveAFuck). Będzie się opłacało?

Paweł jest zafascynowany. Ów sposób zarobkowania wydaje mu się tak staroświecko ryzykancki... Więcej mówi o pułapce życiowej szantażysty niż wszystkie grzechy ofiary o ofierze.

Przygląda się dziewczynie. Jaka siła ciemna pcha ją do tej rosyjskiej ruletki.

Nieodległe królestwo, oczy Corriny, włosy Anny Teneiry, usta Miko-Ino, piersi z „Nocy Azteckiej”, nogi standard Barbie, dłonie Saint-Laurenta. Bluzka bordo Night in Rome i szorty Ali Agca. A ten uśmiech statecznej ironii - Rolls-Royce.

Jaka siła ciemna. Pieniądze. Nie. Niemożliwe.

Naprawdę potrzebujesz pieniędzy? Ile?

Ona pokazuje mu w duchu wielki zegar na wieży ratuszowej i ustawia żelazną wskazówkę na za dwadzieścia dwunasta. Będziesz przeciągał?

Paweł idzie z nią do pompy elektrycznej pod platanami i ładuje jej BMW za 20K. Szantażystka odjeżdża.

Potem wrzuca jej nagranie do płatnego researchera. Ilona Rosa, 35, wzornictwo przemysłowe, rozwiedziona, rozwiedziona, bezdzietna, proteo & proteo, a to ojciec, a to były, a to była, a to konstelacje, a to powiedziała, a to zrobiła, a tak uprawiała seks, a tak się

szlajała - Dramatyczna przeciętność.

Co takiego Ilona Rosa kryje w duszy prywatnej?

Dopiero wróciwszy do domu i zaległszy nieruchomo pod ślepym sufitem, domyśla się Paweł źródła sukcesu masowych szantażystów. Ich Pierwszej Rachuby.

Skoro odgrzebali moje grzechy. Tym bardziej wiedzą, że zapłacę i nie zaryzykuję policji.

Nie ze strachu.

Nie z kalkulacji.

Nie dla świętego spokoju.

Widzieli mnie. Jak tu leżę z podciętą wolą. Dzień w dzień, noc w noc.

Mój Boże.

Ilu nas jest.

Że powstał przemysł.

Drzewa kaleczone dla świeżej żywicy. Stoją nieruchome, żywica ścieka złotymi kroplami. Wystarczy sięgnąć. Kto ma siłę i wolę. Chodzą i zbierają.

Czemu się mają kryć? Przyzwyczaili się. Złoto spływa gęstą strugą do otwartych ust. Więc wiem. I co teraz zrobię? Nic.

Aktualny stopień natężenia woli w Europie (miasta i przedmieścia)

Na przykład.

Obudziłem się. Chcę wstać.

Chcę wstać. Co to znaczy. Jest taki czas, że chcę wstać, a nie wstaję. Bo skoro wstaję, to nie „chcę”; ot, wstaję. Wstałem.

A tu nie.

Chcę.

Co to za granica? Co takiego oddziela „chcę” od „robię”?

Co za dziwny bufor intencji? Nie ciało.

Nie niemoc fizyczna.

Nie niedowład woli. (Bo CHCĘ!)

Dlaczego zatem chcę, a nie wstaję?

(Chcę, a nie pracuję. Chcę, a nie idę. Chcę, a nie jem. Chcę, a nie mówię. Na przykład).

Nawet jeśli tylko przez chwilę, przez sekundę, ułamek.

Jak nazwać ów ośrodek, który stawia mi opór?

Dla pływaka jest to woda. Dla dżdżownicy - ziemia. Dla jonu - pole elektromagnetyczne.

A dla woli - co?

Coś. Przeciwhcienie.

Nolensum.

Jak pomierzyć gęstość, natężenie nolensum?

Czy zmienia się ono w czasie? W przestrzeni?

Czy istnieją ludzie o przyrodzonym im mniejszym i większym współczynniku tarcia nolensowego?

I jak go kształtować? Jak zmniejszyć?

Chcę wstać.

Nie wstaję.

Nie wstaję.

Nie wstaję.

Wstaję.

Właśnie TEN moment! TEN interwał! To *coś* pomiędzy!

Miliony ludzi. W domach. Na ulicach. W pracy. W każdej czynności drobnej. Zanim cokolwiek zrobią - napięcie, nacisk, parcie. Jak przekłucie przez niewidzialną błonę. Żeby czyn się ziścił. Podniosła się ręka.

Z roku na rok - trzeba na to więcej i więcej siły woli.

Nolensum gęstnieje.

Grzęźniemy. Jak w miodzie. W płynnej gumie.

Chcemy chcemy chcemy, ale nas nie puszcza.

Leżymy, patrząc w sufit. Wola wykrwawia się na podłogę po liniach najmniejszego oporu.

Thus came the days of boredom murders.

Dożywocie

Codziennie:

Śpi do południa. Albo do drugiej. (Różnice w cyklu zima-lato).

Zanim wstanie, pływa w duchu po świecie.

Albo: siedzi na sedesie i wtedy pływa, wydalając.

Zamiast zjeść śniadanie, pije herbatę ziołową, wodę mineralną, sok owocowy. Jeśli się nie zgejdzuje, nie czuje głodu aż do wieczora.

Czy ma coś zrobić. Czy ma się z kimś spotkać w gnoju. Czy ma porozmawiać.

Wówczas wychodzi.

Także po to, by pocierać się o ludzi. Mogliby przecież również nie wychodzić. A jednak. Taka moda, wciąż.

Czasami do Gejzeru. Czasami na uniwersytet. Czasami na basen.

Jeśli otwiera socjale i kleją się na mieście konstelacje geotagowane, to po gradientach plał i szłai: książek, filmów, muzyki, gier, cudzych żyć; rzadko - seksu czy modów psychicznych; nigdy - polityki, sportu, interesów.

Jeśli nie otwiera i nie wychodzi, to potrafi cały dzień pływać w duchu i potem nie pamiętać, gdzie pływał, w czyich duszach. Albo szlając się solo i też zapomnieć.

A nawet jak pamięta - wdycha zapominajkę i pamięć się nie kondensuje.

Czasami przez nieuwagę zdarza mu się pracować.

Je na balkonie albo na dachu.

Śpi do południa. Albo do drugiej.

Co tydzień:

We wtorek drepcze do prochowca.

W środę i sobotę ma ustawki Bandy Trojga, zazwyczaj gdzieś w osiemnastym, dziewiętnastym wieku.

W czwartek - czasami - zagląda do biblioteki. Paperbooki to hantle umysłu. (Taki gejdź).

W soboty i niedziele zdarza mu się wchodzić w szlaje lokalne. Ma tam dzieci, wnuki, prawnuki, rody ogromne, ziemskie i nadziemskie, historie, legendy, klątwy; kandydował do Sejmu, budował komunizm i kapitalizm, leczył trędowatych. Polityka samorządowa dawno już sprzęgła się z geotagowanymi szlajami, gminami i dzielnicami rządzą kabały urodzone na Atlantydzie, Dzikim Zachodzie czy w baśniach arabskich. Świecą na gwiazdoskłonie od ulicy do ulicy.

A jeśli haj za wysoki - sięga po inhalator.

We wtorek drepcze do prochowca.

Co roku:

Zimę odchorowuje na blanku. To niebo wisielcze, ten śnieg błotny. Najcięższy gejdź

nie pomaga, musiałyby litrami chlać endorfiny.

Na wiosnę wstępuje do nowej triady albo przynajmniej socjale monogamicznego. Pchając się przemocą w cudze orbity.

W okolicy maja-czerwca wybywa z miasta.

Na jesieni zapisuje się na nowy kierunek.

Na święta i inne okazje rodzinne jeździ do domu, na wieś. Kalendarz kończy się zapachem smażonego karpia i gotowanych grzybów.

Zimę odchorowuje.

Co życie:

Cóż, żyje.

Synku

Czemu nie jesz? I świeże mleko prosto od krowy! Najzdrowsze. Was tam w miastach...!

Paweł nie kryje uśmiechu. Nas tam w miastach.

Grzebie widelcem w nałożonej na talerz górze parującej jajecznicy, megatona cholesterolu i tłuszczów wrednych. Buduje w tej jajecznicy mury, fosy, wyspy, rzeki, autostrady.

Jedz, jedz!

Powrót do dawnych plał: wieś i miasto, zła cywilizacja, dobra natura.

Na górze pokrzykiwania dzieciarni. A po obiedzie - co nas czeka, bezbronnych! - tort i prezenty, hece i wiwaty.

Genetyczna konstelacja szwagra upierała się zawsze przy przebierankach jak na filmach: kapelusiki, peleryny, czerwone nosy klaunów, korona dla malca - a my przejęliśmy to bez mrugnięcia, Paweł zapisuje w duchu przyczynek do teorii marketingu, crosskulturowość jako wehikuł mód, przejęliśmy i wierzymy szczerze. A to retro na epokę, której nigdy nie było, nie w tym kraju. (Wspominamy cudze historie).

Siostrzeniec ma na imię Michał i kończy sześć lat. Paweł kupił mu Grunwald 1410 w plaście.

Ale prezenty na razie pochowane.

Siostra z maluchami przyjechała wczoraj przed Pawłem. Nico (szwagier) został w Marsylii. Tłumaczyła dlaczego; Paweł nie zrozumiał.

Z kolei Staszek i Kacper są, ale - nieobecni duchem. Siedzą w jadalnym i odganiają przysiadające na nich muchy. Żwirek i Muchomorek wycierają im nosy.

Paweł walczy z jajecznicą w kuchni na dole, w kuchni, w sercu domu, Friendly Spells +7.

Matka zerka na niego co chwilę. Sprawdzając.

Ta nieufność, ta podejrzliwość - kiedy się rodzi? z czego?

Nie to, że dorośliśmy. Nie to, że wyjechaliśmy. Nawet nie to, że mamy pieniądze.

Co zatem?

(Was tam w miastach).

Napruć się oksytocyną, wazopresyną, arbaclofenydami - może coś przecieknie po uczuciach, intuicjach.

Jak się odrywa pamięć długoterminowa od krótkoterminowej - tak się oderwały pokolenia od pokoleń.

Po wnętrzu domu różnicy nie widać. (Wszystko, co materialne, można kupić).

Ale wystarczy wyjść na zewnątrz. Zza obejścia obornikiem jedzie.

Wczoraj przed snem Paweł przeszedł się starą ścieżką szkolną, do szosy i z powrotem, przez pola.

Buty grzęznące w ziemi.

Owady, obrzydliwe owady.

W oddali pies, łańcuch, klakson.

Ciemne chmury na horyzoncie.

W bajorze truchło wróbla. Duch zwinął skrzydła i wlaź pod czapkę.

Woń zwierząt i benzyny.

Brudne dzieci w czystych, kolorowych T-shirtach.

Spotkał dziadka Borkowika z taczkami. Na taczkach stara plazma, wielka i ciężka.

Dziadek wyjął kapciuch, wyjął papier, zwinął szluga. Kawaler zakurzy?

Coś Pawła szarpnęło - pierwszy od dawna taki instynkt. Podziękował z serca.

Stali i palili tytoń. Pokręcony starzec we włóczkowej kamizelce i studencina miastowy. Studencina kopie kamyki do rowu, rysuje czubkiem buta w glinie.

W tle zimne odgłosy wsi.

(Dialogi). Idzie na gorsze, synek, idzie na bidę. A co tam gadacie! A bo to wam źle z darmością? Kiedy nie da rady niczego sprzedać, synek. Ani co posiejesz, ani co używiesz. Nawet ziemia tanieje. Kto to widział? A tam! Zieleńce kupią choćby chwasty. Dziadek splanuwa tylko. Na zieleńcach wsi nie pociągniesz. Może i nie pociągniesz, ale czy musisz

ciągnąć? Byle doczekali spokojnie końca ci, co tu ugrzęźli. A potem się wyrówna. Miasto się samo żywi. (Ale tego już Paweł staremu nie powiedział).

Zaczęli o babach, o politykach, o piłce. Paweł polityków nie odróżnia, jeśli nie musi, na piłce się nie zna, mówi z ducha. Palili, gadali, palili.

Mrówka weszła pod nogawkę, gryzła Pawła w łydkę. Takie biolo.

Włączył soundtrack Vangelisa.

Dziadek pluł przez spróchniałe zęby.

Czemu oni nie pójda do lekarzy? Paweł wciąż zachodzi w głowę. Żadne pucowanie genów, ale do przyzwoitości doprowadzi się przecież każdego. To jest w podatkach. W końcu żyjemy w Europie.

Pora na dyplomację. Jak zapytać? Wymyślił sobie dalekiego krewnego, który ma sztuczną szczękę.

Dziadek ujawnił wtedy odwieczną chłopską nieufność do panów doktorów, inteligentów dobrodziejów, do filantropów miastowych.

Poszła do szpitala i umarła! Poszła pod skaner i zachorowała! Poszli na uniwersytety i w grzechu żyją!

Paweł z szeroko otwartymi oczyma kontemlował ciemnogród. Cudo. Miód na wszystkie gejzery czarów. Postawić dziadka w recepcji kotła kreatywów, będą się z nim filmować i wpuszczać w ducha.

Jak mógł zapomnieć, minęło zaledwie kilka lat.

A dziadek nawijał. Poszli we łbach grzebać i we łbach mają nasrane! Naród przeklęty! Boga się nie boją!

Chariots of Fire.

Taki los, dziadku. Wy umrzecie, oni - niekoniecznie.

Ale tego już staremu nie powiedział.

Myśli teraz:

Eugenika, ofkors. Tyle że wywrócona na nice.

Kto się rozmnaża? Ci, co nie powinni: doły, biedota, cielaki przyssane do naszych wymion.

Kto się nie rozmnaża? Ci, co powinni. My.

Najwyżej adoptujemy.

Dziedziczy się tu nie geny, lecz kulturę.

Dziadek ma rację. Porywamy im dzieci. I potem już nie wracają takie same.

W ogóle nie wracają.

Cycuś-turyści gnojówek i chlewów. Ot.

Michałek z Esterą, Kają i Iwanikiem wpadają do kuchni, skaczą po krzesłach, Iwanek tłucze drzwiczkami kredensu. Matka ich przegania.

Paweł przygląda się dzieciom z dziwną mieszaniną nostalgii i irytacji. Zna to: syndrom fauna, mem wydziedziczenia. Ale nie poradzi.

Myśl z tyłu głowy: gdybym urodził się dwadzieścia lat później. (Wy umrzecie, oni - niekoniecznie).

Inny rodzaj podejrzliwości.

Wszyscy się bali, jak to rozerwie społeczeństwa. Jak się rozjadą windami o odmiennych prędkościach. Zamrożą podzieleni na warstwy. W biologii.

A nikt nie pomyślał, co to zrobi z rodzinami.

W którymś momencie ostrze musiało spaść. I odcięło: dzieci od rodziców, wnuki od dziadków, młodszych braci od starszych braci.

Ile razy miał tę rozmowę z matką?

(Jedź, jedź! Bo wystygnie!)

Ile razy namawiał ją - że zapłaci, że potem ryzyko będzie coraz większe, że w Ameryce nie takie rzeczy.

Ale nie. Nie trafia.

Nie ma takich słów.

Równie dobrze mógłby namawiać dziadka Borkowika na *Timeless Beauty* albo *HardPlaya*.

Pojawia się siostra z kotem pod pachą. (Calineczka lub Gapa).

Twarożek, broń Boże jajecznicą. I tak smakuje go niezwykle ostrożnie, na czubek języka, jedzenie to nieprzyzwoity nawyk.

W połowie nieobecna, pod flagami Lizbony; wasalka królestwa Otaka-Mozart, nie sypia, chodzi w batystach i koronkach, tnie się do krwi.

Gadają przez chwilę o niczym. Tagi: SocialOpen, Casual.

Matka podsłuchuje otwarcie.

Paweł ma to za dobry znak. Że wciąż się krzyżują ich języki.

Schodzi na bóle porodowe nowego królestwa. Siostra wypytuje o przecieki z Gejzeru. (Dialogi). Robiliście kolory i patriotyzm oesów plastu. My schodzimy aż do kawy i pierniczka. Są kupione kontrofensywy? Sorry, sis, to ponad moją głowę, ja jestem dojna krowa na pastwisku. Ale musiałeś słyszeć, czy przesuwają ludzi. (Paweł kojarzy niemrawo z FATAGĄ). Trudno powiedzieć, może to konkurencja, może nie. Wasze królestwo jest z tego

świata? Siostra kiwa głową. Stoimy na Benfice Lizbona, *frutti di mare*, wyprawach krzyżowych, muzyce poważnej, Herre Torfe, *art deco*, islamskiej kredytowości zeroprocentowej, fair-trade, szachach i łagodnym proteoseksualizmie. Także trochę byczej krwi i nerwicy natręctw, plus słońce Gibraltaru.

Paweł zna to z branżówki. O tym się gada, w duchu i przy stole. Nowe królestwo to zawsze ruch w interesie. (Siostra od lat robi konwersje kulturowe dla południowców).

Kontynent wynurzający się z głębin oceanu.

Paweł jest wasalem MorganChase/Haalsa-DoctorWho. Ceni sobie ubezpieczenia wszechszlajowe, ostre filtry reklamowe i brytyjskie maniery ducha.

Plotkuje z siostrą o przepływach fobii i perwersji. Jakie rzeczy nie wyciekają do duszy publicznej? Nie te najtajniejsze, ale te najtrudniejsze do spisania, sfilmowania, nagrania. (Jajecznicza stygnie).

Wtem matka: Ale poszlibyście na grób ojca, co?

Konsterna. Do czego to było? Paweł i siostra patrzą po sobie.

Pójdziemy, mamó, pójdziemy.

Wyrwała Pawłowi kubek, myje go energicznie. Rodzina! Rodzina jest najważniejsza!

Siostra ściera Pawłowi z podbródka tłuszcz.

Rodzina. Plemię. Krew. Paweł chce się odezwać w duchu, ale po co. Siostra też to wie.

Nie ma rodziny, mamó. (Powiedziałyby). Jesteśmy w teatrze. Siedzimy na scenie. Patrzą na nas, ściśniętych w chacie kurnej, wyjadających drewnianymi łychami tłuste kluski ze wspólnej michy.

Widzisz to, mamó?

Gdybyś weszła na nasze orbity...

Gdzie żyje się w ponadgeograficznej konstelacji bliższych i dalszych znajomych. Że znajdziesz w niej także kogoś z tej samej linii genetycznej, spod tego samego dachu dzieciństwa - to możliwe, to prawdopodobne. Ale nic nie znaczy. Nie nazywasz „rodziną”.

Rodzina to przypadek genetyczny. Co z tego, że dzielicie krew i wspomnienia, skoro nie masz z nimi o czym rozmawiać, rozeszliście się w inne dusze, inne astronomie i królestwa.

Nie potrzebujesz rodziny nawet jako ubezpieczenia od choroby i starości. Nie potrzebujesz rodziny, by posiadać dziecko.

Nawet jak masz dziecko, to nijak cię ono nie definiuje. Masz, nie masz, masz, potem znowu przez dziesiątki lat żyć będziesz bezdzietnie - nie jesteś ojcem, nie jesteś matką, to sezonowe konstelacje.

Nie potrzebujesz rodziny.

Umarła. Hetero czy homo, mono czy poli, pionowa czy pozioma, bez znaczenia. Supermarket religii zabił Boga, a supermarket konstelacji zabił rodzinę.

Paweł tego nie mówi i nie powie, bo wie, co mama by usłyszała. Co innego zupełnie.

(Nie ma takich słów).

Siostra. Zjadłszy twarożek. Anyway. Dostaliśmy wytyczne z Lizbony, tam będzie bonus na proteo biolo. I spogląda pytająco na Pawła.

Paweł wzrusza ramionami. Rozkłada i pożera jajeczny Malbork.

Zdarza się. Minas Tirith sponsorowała hobbictwo, są na to geny w pakiecie.

Ale! Już nie po fizycznych tylko. Ta nerwica natręctw i proteoseks - w tę stronę by poszli.

No i? Czemu mnie tak radarujesz?

Wyście go pchali, nie? Ekstra gejdż. Upadł u prawników. Teraz przeszedł w Lizbonie.

Paweł sobie przypomina. Dwa albo trzy lata temu. (Mętne indeksy przeszłości). Gejzer sprzedał linię emocjonalną - kupił ją duży producent sportware'u. Robota Krwawego Hegemona: taki skręt satysfakcji w głowie, gdy pokonujesz przeciwnika nieuczciwym chwytem, ale zasłużenie; szlachetne świństwo na arenie. Poszło na tym uczuciu kilkaset mega. Któryś właściciel sublicencji wprowadził następnie pakiet warunkujący: przestawkę kogito na tę modłę, gejdż genowy. Oparło się o Strasburg. Czy można pozwolić konsumentowi, żeby z własnej woli uwarunkował się do chęci konkretnej konsumpcji. Z jednej strony - stare nałogi fizjologiczne (tytoń, alkohol, opiaty), z drugiej - seks czy wirusy religijne. Wyszło, że nie można.

Ale trzy lata to epoka. Temida z zawiązanymi oczami ssie kutasa Proteusza.

(To przyśpiesza).

Popytam, rozejrzę się, dam znać. Mimo wszystko - nie widzi mi się.

Robak jednak wgryzł się w mózg i Paweł już na inną modłę się zamyśla, 1min Mental Shield. Szpadlując widelcem w tej jajecznicy, mordercy diet, koszarze kardiologów, potworze jaja i smalcu.

Wychodzą z siostrą pokazać dzieciom żywe zwierzęta, maluchy zawsze się dopominają. U Wilczków jest krowa i cielaki. Śmierdzą okrutnie, to też atrakcja, takie biolo.

Dzieciaki oczywiście tyłają się w gnoju i błocie, od nowa trzeba je myć i przebierać. I tak jeszcze wiele razy, tu, na wsi.

Paweł wykonuje potem polecenia siostry, z radością wchodząc w tryb automatu rodzinnego.

(A więc po to nam rodzina! Taki ratunek!)

Jeszcze później Kacper zstępuje z nieba i idzie z Esterą popakować prezenty dla Michałka. Kacper pływa w modach RS1, nosi się murzyńsko, pohukuje basem hebanowym, Święty Mikołaj z Zambii.

Michałek już prawie podskakuje w miejscu.

Paweł stoi tam przez chwilę jak zatrzymany w pół funkcji, po czym zawraca do kuchni. Zimna herbata, pastylki, połknąć, zapamiętać, że połknięte.

Przyklejony czołem do oglazowanej ściany: Miną dwadzieścia cztery godziny i ta sama scena - Michałek nabuzowany dziecięcą ekscytacją - wbije mnie w glebę, zaleje nolensum, zabetonuje i przywali gruzami.

Ma pewność absolutną. Ile razy już tak.

Rozpoznaje po kolorach emocji, po smaku powietrza, po pierwszych drgnięciach powiek.

Ręka sama sięga do kieszeni, zaciska się na inhalatorze. Wyplukać PKM-Zety, zanim się utrwali. Zip, i wsio. Już. Teraz.

Wołają go.

Wychodzi pokopać piłkę, ze Staszkiem i Kacprem i maluchami, ledwo przebranymi. Na polu zachwaszczonym, pod brudnymi chmurami, opatuleni od wiatru. Rwany film, czarno-białe ujęcia, dźwięk zatarty pod świstami halnego, postaci otwierają szeroko usta i machają rękami, domyśl się dlaczego. Dzieci się wywracają i śmieją, dorośli się wywracają i klną. Piłka tu, piłka tam. Błoto, krzywe płyty, trup maszyny rolniczej, szare smugi i samotny ptak na niebie, krajobraz od hebla. Paweł słyszy wewnątrz czaszki terkot stareńkiego aparatu filmowego. Wszyscy poruszają się w dziwacznych zrywach jak na poklatkowym przyśpieszeniu.

Zdaje mu się, że rozumie tamtych braciaszków od noża. To przecież oczywiste. Prawdziwe życie nie jest dosyć prawdziwe.

Na ostrzu ducha ma potężny nastrój - ta chwila, gdy podnosi się z ziemi, mokry od potu i zadyszany, a uradowane dzieci biegną ku niemu, zapatrzona w ubłoconą piłkę, z wywieszonymi językami i przekrzywionymi czapkami - nastrój na miliard, dwa miliardy euro.

Podrywa się w gniewie, ucieka do domu.

Cisza. Ciepło. Staje za progiem i zaczyna mówić do siebie. Zdejmuje kurtkę. Ręka. Kieszeń. Inhalator. Wdech.

Byłoniebyło.

W salonie makatkowym przystaje, stary telewizor 2D gdać cicho plaję tasiemcowa dla emerytów, mama śpi na wersalce, zmęczona. Paweł spogląda na matkę, na ubłocone buty w swojej dłoni, na matkę, na buty. Ona chrapie, z butów cieknie, w skarpetach dziura, na dłoni plama od trawy, w nosie zator.

Takie biolo.

W poszukiwaniu utraconego

Spóźnił się na uroczystość, dziecko mu choruje, zostawił w domu ze ślubną. Andrzejek, kuzyn, żywy powidok dzieciństwa.

Paweł pamięta. Andrzej pamięta. Uśmiechają się przez próg, full access hearts.

Graba.

Graba.

Kopę lat.

Ano.

W rzeczywistości (w gnoju) widzieli się parę miesięcy temu, w Boże Narodzenie.

Kuzyn, ale jak brat. Jeszcze gdy seplenili: kusyn, kusyn, kusynek. Pozostał na życie - ten jeden kuzyn między kuzynami - brat, który nie ma brata. Ongi logował się jako Qqsyn.

Gdzie pan Michał, gdzie pan Michał! Dobroci dla niego mam! Andrzej dopada chłopca zajętego prezentem od Pawła, wojska polskie i litewskie rozwinęły linie od kuchni do tylnych drzwi, rycerstwo Zachodu stoi pod schodami, powiewają sztandarzątka, na schodach wyrósł nawet miniaturowy las, piechota roi się z drewna jak korniki. Dzieciak pokazuje wujkowi dzikich Tatarów wielkości paznokcia, weszli do schowka na buty, zdobywają gumiaki i filc. Andrzej przyklęka obok, opowiada Michałkowi bajkową sienkiewiczowszczyznę.

Nostalgia na moment przytłoczyła Pawła, inny kafar przeszłości. Ach, były takie czasy.

(Dzieciarnia szaleje po domu, siostra roznosi pokrojony tort, kot wlaź na firanę).

Były takie czasy...

W słonecznych lasach dzieciństwa zapuszczali się na długie wycieczki, w których to było najbardziej fascynujące, że nie wyznaczali sobie żadnego celu i żadnego terminu, wycieczka przestawała być wycieczką w momencie, gdy tracili z oczu ostatnie obrazy cywilizacji, drogi, domy, słupy, reklamy, one znikwały i nagle byli na Wyprawie w Nieznane, mieli kompas, nie mieli GPS-u, mieli mapę, nie mieli telefonów (działo się to jeszcze w epoce

telefonów), bo oczywiście skłámali rodzicom, i między innymi na tym polegała Wyprawa, że pozostawali odtąd zdani na siebie, Paweł i Andrzej, tylko na siebie, więc dzieci, ale nie dzieci, tylko że to było oślepiająco dziecinne, bo kim są ci Rycerze i Zbójcerze, w których bawią się maluchy, nie dziećmi Rycerzy i Zbójcerzy, ale niby dorosłymi Rycerzami i Zbójcerzami, no i taka to była gra, takie udawanie, kiedy szli z pękatymi plecakami i ostruganymi kijkami, od razu skręciwszy poza szlaki i ścieżki, w gęstwinę, w wykroty, przeskakując zawały pni i strumyki niemrawe, nurkując w cień ciemnozielony, taki cień jak kurtynę wodną, las wykwitał im pod koszulkami, pod czapkami z daszkiem, wyrastał spod rękawów i nogawek, ze skarpet, ów cień sążnisty zasadził im pod ubraniami zarodnie grzybów, kiełki roślin, larwy owadów, jeszcze trochę półmroku i wilgoci i czuli, jak to wszystko z nich wybucha, wypiętrza się spod cienkiej okrywy cywilizacji, tych paru tkanin, plastików i sprzączek, wychodzili na słońce cali zieloni, umazani w zieleni, utyłani w paprociach i mchach, poobcierani o korę i ciernie, z nosami zatkanymi gęstą mieszaniną zapachów lasu, byli na Wyprawie w Nieznane, przemierzali knieje i ostępy, wszystko mogło się zdarzyć, spotykali zwierzęta, małe i duże, ptaki, wiewiórki, sarny, jelenie, bobry, borsuki, raz widzieli wilka, raz - ścierwo łosia, palili ogniska na szczytach wzgórz, dym z ich ogni był jedynym znakiem techniki od horyzontu po horyzont, skakali z głazów wysokich w ciepłe stawy śródleśne, kąpali się nago (jeszcze przed wiekiem nagości) jak ludzie prawdziwie dzicy, na te kilka chwil z pełnym przekonaniem wchodząc w stan sprzed wynalazku ubrania, ognia i języka, warczący na siebie i plujący, prychający jak koty, tak było, tak było, uciekli, a zagubienie stanowiło część ucieczki, czy ktoś ich szukał, czy ktoś ich ścigał, ścigała ich cała cywilizacja, ścigała ich przyszłość, lata, wieki przyszłe napiętrzone za nimi (przed nimi) niczym fronty apokaliptycznego sztormu, sine, bałwaniaste, nieprzejdane, a przecież nie myśleli tak wtedy, a nawet czy czuli, nie czuli, nie śnili, czegoś jednak się bali, przed czymś uchodzili, chłopiec i chłopiec, w dzicz, w gęstwinę, w cień ciemnozielony.

Wspomnienie z dzieciństwa Pawła, wspomnienie z dzieciństwa *Homo sapiens*.

Andrzej pozostał tutaj, a Paweł poszedł z duchem. Andrzej się ożenił, spłodził dzieci, artysta biolo; Paweł - nic z tego nie rozumie. (Rozumiał, ale zapomniał).

Usiedli na drewnianej werandzie, żarówka kołysze się pod blaszanym kloszem, wczesnowiosenna ciemność przyplywa i odpływa, grają owady, dzwoni łańcuch psa. Po drugiej stronie szosy ktoś próbuje zapalić rzeżący grat.

Chłodno, więc gorące kakao. Popijając, skubią z porcelanowych talerzyków ostatnie kawałki Michałowego tortu. Paweł rozmazaną oblewą czekoladową maluje na swoim talerzyku bajkowe pokraki.

(Dialogi). Jak w domu? W domu jak w domu. Wszyscy włożą sobie na głowy. A ty - w czym się pławisz? E tam. Mam już potąd. Ale czego, pieniędzy, ruchu, życia miastowego, gejdzu szalonego? Jakie przygody, opowiadaj !

Żadne przygody. Nie ma co opowiadać. Nic się nie dzieje. Zero fabuły. Ot, przypadki życiowe, obroty kalendarza. Dzień, dzień, dzień, dzień, dzień, dzień, dzień.

Czemu taki przyplaszczony? Stało się coś? Nie wiem, Andrzej, to banał, są takie terminarze życia, dla kobiet i dla mężczyzn: tyle a tyle lat i musisz przestawić zwrotnice, bo inaczej wylądujesz gdzieś na egzystencjalnym ugorze. Kotki wygejdżowują sobie hormony macierzyństwa, faceci - mid-life crisis. Mam to rozpisane, krok po kroku, disco proteo.

Chłopie, co ty gadasz, ile ty, ile my mamy lat, szczeniaki jesteśmy.

I co z tego. Czuję tę smycz, obrozę na karku.

Smycz?

Liczę bezustannie. Już długa na prawie dwa lata.

Wisi nad tobą kredyt?

Paweł patrzy na Qqsyna jak na wariata.

Rzuca mu w duchu wizuale, co za *faux pas*, Qqsyn jest bezduchny jak reszta wieśniaków.

Ech. Wszystko na odwrót, Kuku. Jeszcze parę latek i ta smycz będzie dłuższa niż przewidywany czas mojego życia. Zostanę wyzwolony przez wolny kapitał. Potem już tylko luksus rentiera.

Teraz to Qqsyn ujrzał idiotę.

Alleluja i chwalmy Pana! Każdy by tak chciał.

Wisi tu między nimi szara zasłona, folia nieprzepuszczalna. Przelatują ćmy i komary, ale nie przelecają myśli.

Paweł napiera mimo wszystko.

Kuku, to nie tak, nie tak.

Wałęsa mode: Nie o takie luksusy walczyliśmy.

Wolałbyś na odwrót?

Praca to luksus.

Zdefiniuj pracę.

Praca, czyli to, co robisz, żeby mieć pieniądze na życie.

Nie. Na życie masz pieniądze zawsze.

(Wiem, że nie rozumiesz. Przyjmij na wiarę).

No więc poprawka. Praca, czyli to, co robisz, żeby mieć pieniądze na luksusy.

Ale praca to luksus.

Kogo „stać” na pracę?

Zobacz, jak się teraz zapętla w głowie:

Etyka pracy - nie ma czegoś takiego. Metafizyka pracy - nie ma czegoś takiego.

Uczciwa zapłata za pracę - zasługuje robotnik na swoją zapłatę! - nie ma czegoś takiego.

W ostatecznym rozrachunku praca jest zapłatą za pracę.

Dla tych, co nie pracują, musimy - my, którzy pracujemy - dostarczać nieustannie contentu ich życia.

Content: gameplay.

„Co mam ze sobą zrobić?” Otóż właśnie to lub to lub to lub to lub -

„Pracowaliśmy nad ofertą dla pana miesiącami”.

Na początku nazywało się „spędzaniem wolnego czasu”. Ale w miarę wzrostu wydajności pracy ów czas wolny rósł w proporcji do czasu pracy. Rosły działy gospodarki zajmujące się dostarczaniem contentu dla życia w „wolnym czasie”.

Tak zwana rozrywka

Tak zwany lifestyle

Tak zwane celebryctwo (life by proxy)

Tak zwane samokształcenie

Tak zwany sportowy tryb życia

Tak zwana działalność charytatywna

Tak zwana działalność publiczna

Tak zwana polityka

Tak zwana religia

Tak zwane narkotyki

Content. Wypełniacz. (Content to be content).

Bo przecież - coś musisz robić, kiedy nie musisz robić niczego.

(Mam rodzinę, Paweł. Spróbuj wtedy nic nie robić!)

Nie patrz w tył, patrz do przodu. NIE MUSISZ ROBIĆ NICZEGO.

To ciężka praca - najcięższa! - wymyślać i nieustannie aktualizować repertuar sensów życia.

Może być kolor bluzki. Może - miecz z bonusem do atrybutów. A może - system metafizyczny.

Są rozmaite konsekwencje. Bies z nimi. Ja o ekonomii.

Wyrastają i odrywają się jak bańki mydlane. Całe radosne gospodarki niekonieczne.

Smarkacze pod blokiem prztykają kapslami. Ten kapsel lepszy, ten gorszy. Jasiak ma cztery, Kuba ma siedem. Przyszedł Grzesiek i ukradł. Przyszła Asia i rozdała darmo nowe. A co zrobisz, jak dam ci takie? A za ile mniejszych oddasz jeden większy? A za ile, za ile, za ile?

To już jest ekonomia.

Już masz popyt, podaż, fluktuacje cen, trendy rynkowe, a nawet marketing, mody i indykatory mód, królestwa wielkości napaństwa.

Jak przekłada się ona na ekonomię gnoju, na ekonomię oficjalnej waluty i roboczogodziny?

Nijak.

To zabawa, gra, teatr dzieci.

Dzieci nie pracują. Coś w tej swojej zabawie zrobią lub nie zrobią - taka sama strata/zysk dla gospodarki mainstreamowej.

Ale jeśli tych dzieci jest nie troje, lecz trzy tysiące?

Trzy miliony?

Trzy miliardy?

I mają po dziesięć, dwadzieścia, pięćdziesiąt, osiemdziesiąt lat?

I spędzają w grze cztery, sześć, dziesięć godzin dziennie?

Pomyśl. Coraz mniej robisz, bo musisz (dla zysku lub ze strachu). Coraz więcej - bo chcesz; a COŚ robić trzeba.

Więc od zamków budowanych z piasku przez wikipedię gargantuiczne do organizacji pozarządowych większych od rządów i stacji orbitalnych konstruowanych przez herbaciane konstelacje emerytów - tak rosną gospodarki fantomowe, GOSPODARKI RADOSNE.

Playbor, graca, gra jak praca, praca jak gra pompuje mimowolnie PGB ducha i gnoju.

Czy bańka mydlana może zmiażdżyć planetę?

Trochę przecieka między ekonomiami, prawda.

Content jest do kupienia.

Lepszy content

wyżej: content luksusowy

wyżej: content elitarny

a na samym szczycie: ten, którego „nie można kupić”

(On jest najdroższy, oczywiście)

Qqsyn zjadł tort, oblizuje łyżeczkę. Naprawdę usiłuje pojąć.

Trawił, trawił, trawił, aż przetrawił i:

Chodzi ci o to, że wieczorami nie masz do kogo gęby otworzyć.

Nie, Kukuś, nie. Otwierasz gębę - i o czym mówisz? Przypomnij sobie. Ale szczerze.

Czy starczy do pierwszego

Kto miał zrobić zakupy

Jak sobie radzi twoja gildia

Co dzieciak zbroił

W pracy chorują

Klub kupił mocnego bramkarza

Sąsiad rozpruł chodnik

Nowy smak cukru

Mróz w konstelacji

Jutro wychodzi nowa szlaja

Złapali posła-pedofila

A może wybierzemy się na wakacje do Nowej Zelandii

W tej plai - rozstanie, w innej - miłość na zawsze

Jak ładnie wyglądałaś w zielonej sukience, co to za styl

Ugryzł mnie w nocy pajak

Kto będzie nowym Bondem

To jest właśnie twój content!

To jest twój sens życia.

A teraz odejmij strachy finansowe (one znikną). I odejmij rodzinę (ona zniknie).

Z reszty - ile procent nie zostało wyprodukowane przez nas, przeze mnie?

Ale szczerze.

Qqsyn patrzy w noc, słucha odgłosów zasypiającej wsi, przechylił głowę.

Po co żyć. Czytałem. Znam. Jedyne problemy wagi ciężkiej: samobójstwo. Skoro i tak wszyscy umieramy. Skoro przemija uśmiech dziecka, pamięć uśmiechu i ten torcik pyszny. A nawet jak nie przemina - są tylko uśmiechem, pamięcią, tortem, nic nie znaczą same przez się. Więc po co kolejny dzień, tydzień.

Paweł zabija komara.

Powiem ci, po co. Bo w weekend wypuszczamy wam nową plaję i już cię na nią nakręciliśmy, ty już na nią czekasz. Gdybyśmy nie potrafili nakręcić, to by nas nie najmowali. (Najęliby kogo innego). Więc nakręcamy, a jak się uodpornicie, to nakręcimy inaczej, lepiej; my albo inni my.

Po to. Po to właśnie.

Nie. Nie kupuję tego, Paweł.

Ale to prawda. TAKI JEST SENS ŻYCIA. To właśnie przeczołguje ludzi od wieczora do wieczora, od weekendu do weekendu.

Content z naszych mózgów.

Krew kreatywów.

Teraz coś chyba jednak przebiło się przez zasłonę. Qqsyn unosi wzrok, opuszcza, unosi, opuszcza.

Paweł czyta to spojrzenie starego kumpla: Biedaku. Co oni tam z tobą. Masz pieniądze, nie masz życia. Sympathy Link +5.

Paweł wie, że Qqsyn więcej nie jest w stanie zrozumieć. (Po drugiej stronie Lagrange'a). Choćby się napruł wazopresynoidami po uszy. Nie ma takich doświadczeń w swoim życiu, do których mógłby przypiąć słowa Pawła, nawet najbardziej precyzyjnie dobrane.

Więc Paweł zatrzymuje je dla siebie. Patrząc w noc. (Szczeka pies, klekoczą drzwi stodoły).

Taka jest prawda, *mon ami*. Przyszłość nie do ominięcia. Też tam trafisz. A jeśli nie ty, to twoje dzieci.

To jedyny biznes, który zachowa rację bytu, gdy już wszystko będzie tanie, luksusowe i bezpieczne. Tego, co naprawdę oryginalne, nie wymłóci ze starych danych żadna moc obliczeniowa.

Jedyny biznes w nieskończoności: produkcja sensów życia.

My je produkujemy. My dla was. Żebyście do reszty nie zatonęli w nolensum.

My my my. Dzień po dniu. Wyżymając do cna neurony. Spuszczając spermę z duszy. Rwąc sobie zęby z dupy.

Masz.

Ale Paweł nic już nie mówi. Idzie po wódkę.

Siedzą i piją.

Bładolice demony o skrzydłach z celulozoidu pochylają się nad nimi, smutno uśmiechnięte. Duch zardzewiałego Ursusa płynie wskroś stodoły i obejścia. Duże wicher bimbrowy.

Soundtrack: *Grande Valse Brillante a-moll* Chopina.

Przymknąwszy oczy, Paweł widzi wyraźnie:

Andrzej jest nauczycielem polskiego w powiatowym gimnazjum. Zada to dzieciakom na esej. I za sezon cały kompleks wróci do Pawła, do Gejzeru, będą budować żądze i popyty

na dramie kreatywów i demaskacji plastowego ideolo. Widzi fabuły, mody, pakiety emocjonalne, dizajny, kontesty i rekontesty i bunty kolorowe.

Praca to jest to, co robi, gdy się zapomni.

Niegdysiejsze śniegi

W drodze powrotnej:

Musiał odszypuntować nerki, stanął przy czardzówce.

23.34. Światło bucha na asfalt z przeszklonego tabernakulum PRC-Sorbosy.

Paweł wychodzi z toalety i widzi procesję retro. Jechali benzynową ciężarówką z plandeką. Też musieli stanąć. Pięć osób: trzech mężczyzn, kobieta, dziecko, wszyscy petra biolo.

Rzucają się w oczy jak awatary przekopiwane z innej szlai. Ubrania, włosy, nawet krok i spojrzenie - wszystko out of synch.

Paweł odruchowo ominąłby ich wzrokiem, jak się omija przebitki z niekompatybilnych królestw, ale jeden z mężczyzn świeci mu na peryferiach, blada mgławica.

Zerknijmy: Juliusz Bieda. (Searching). Prowadził zajęcia z Junga, trzy-cztery lata temu.

Czas wypchnął go z centrum Pawłowych konstelacji. Sam Paweł go nie rozpoznał, wierzy duchowi.

Już wyciąga prawicę i szykuje słowa - ale doktor Bieda mija go jak statystę, słup, powietrze.

Nie wyświetliło mu Pawła.

Kolejne *faux pas*, 10min Social Penalty. Oni przecież uciekli w retro właśnie w tym celu.

Piątka znika w blasku, a Paweł zapala papierosa i przypomina sobie doktora Biedę żegnającego się ze studentami. (Archeologia neuro).

Ale żenada! Toż już w dwudziestym wieku tak uciekali. Co pięć-sześć lat nowa fala na święty prymityw, eko-ascezę i powrót do źródeł. Co pana ugryzło, panie doktorze?

Moi drodzy, moi drodzy. Przemyślałem i wy przemyślicie także i wtedy nic mądrzejszego nie znajdziecie, bo nie ufundujecie we dwójkę, w setkę, a choćby całym kampusem - nie ufundujecie innej ludzkości. Więc trzeba uciec, trzeba się odciąć. Moi

drodzy, moi kochani, Paweł, Miruś, Lucy, pomyślcie. Kiedy ostatnio udało ci się przeczytać w skupieniu od początku do końca dłuższy tekst klasyka? Kiedy samodzielnie przeprowadziłeś bardziej skomplikowane wnioskowanie? Wypowiedziałeś sąd w zdaniach pełnych i płynnych? Kiedy? Czytacie z doskoku. Wnioskujecie przez sąsiedztwo obrazów, sąsiedztwo emocji. Decydujecie, wróżąc z gestu. Wasze myśli są jak serie z kałasznikowa, mowa jak wodospad tagów, życie jak slideshow. Budzisz się - i w tym momencie świat rozszarpuje cię na strzępy. Nie musisz z nich korzystać - ale same możliwości gratisowe, otwarte na milion stron ducha, wysysają z ciebie rozum i wolę. Pół akapitu i skaczesz na plażę Australii, jeden sylogizm i spędzasz popołudnie w Shangri-La, legiony aniołów i diabłów siedzą ci na ramionach. Przepędź je. Odetnij się od tego wszystkiego. Musisz się SKUPIĆ. Moi drodzy! ODZYSKAJCIE SWOJE ŻYCIA!

Wyjechał do komuny pod rezerwat, hoduje króliki i wypłata wiklinowe kosze, przy czterdziestu watach czyta wieczorami papierowego Glossa i Ortegę y Gasseta.

Anyway, takie echa w duchu.

A teraz wychodzi ze światła i drepcze powoli do cuchnącego zabytku benzyny i rdzy i Paweł widzi, że doktor Bieda postarzał się przez te dwa lata o lat dwadzieścia.

Wrak człowieka.

Taka prawda. Życie w gnoju i znoju, życie wygnanych z Edenu - ono męczy jeszcze bardziej, męczy niszczy zabija.

Masz pan jednego?

Paweł ukrywa zaskoczenie. Częstuje doktora Biedę.

Ale to rakowiec, pan wie.

Bieda wzrusza ramionami. No to co?

Paweł chce zapytać o ich szelki genowe; gryzie się w język.

Pałą.

Paweł rzeźbi swój dym w kwiaty Mandelbrota.

Samochody mkną obok przez rzadką noc.

Szumi las.

Kiedy zakręca wiatr, Paweł z niesmakiem konstatuje lekki smród bijący od swojego byłego wykładowcy.

Bo to wszystko jest do wzięcia wyłącznie w pakiecie. Nie ma ułamkowych cywilizacji. Co z tego, że będę się potrafił skupić na godziny nad łaciną i matematyką - skoro z grzybem na stopach, z wypadającymi zębami i glistą we flakach.

Na miesiąc-dwa to można do kurortu się wypisać, w luksusy na koszt zewnętrzny albo

na kredyt.

A tu cała rzecz polega na odebraniu sobie możliwości wyboru, możliwości powrotu, tego miliona Proteuszowych potencjalności, do których budzisz się co rano w cywilizacji. A które zamulają ci świadomość.

Więc nie ma odwrotu. Nie ma remedium. Retro to szlaja biolo na modzie petra hardcore.

Tymczasem słodka trucizna owoców Edenu weszła ci do krwi. Nie poradzisz: jedna filiżanka espresso przebija pięć tomów Kanta.

Czy doktor Bieda pojmuje już, że popełnił straszliwy błąd? Błąd-monument, błąd-trąd, petrabłąd.

Paweł sięga do kieszeni i podaje mu całą paczkę. Trupia czaszka reklamy szczerzy krzywe zęby.

Bieda patrzy na papierosy z melancholijną rozpaczą. Weźmie, nie weźmie, w duszy już wziął.

Gdyby Pawła tu poznał... Gdyby mogli naprawdę porozmawiać...

Dlaczego nie zawróci? (Zapytałby Paweł). Może się przecież ewakuować z tego ideolo, z tych tęsknot i mąk egzystencjalnych. Wystarczy, że pokłoni się Proteuszowi.

(Karmazynowe klauny stoją już za plecami Biedy i grają na wielkich nosach).

Widzi chyba, że to sprawa pokolenia. Stan przejściowy trafił na waszą generację. Oni tak samo narzekano, że nikt już nie potrafi utrzymać w pamięci tysięcy słów, wszyscy zamiast tego CZYTAJĄ, co za upadek.

(Zawieszony w powietrzu dialog pęcznieje i broczy głuchymi emotami).

Was to rozjechało, bo zdarzyło się w ciągu jednego życia. Urodziliście się piętnaście lat za wcześnie. Ot i cała różnica.

Ale co za kłopot - odmłodzić się?

Co za kłopot - zrzucić skorupę starej duszy?

Zrzucamy je co sezon.

(To przyśpiesza).

Wychodzi ze światła kobieta z dzieckiem. Julek, ale pamiętasz! Co!

Dymki niewypowiedzianych kwestii rozwiewają się razem z dymem nikotynowym.

Bieda oddreptuje do ciężarówki. Dopalając peta.

Paweł tymczasem wrzucił biedaka do starej konstelacji. Przypatrują mu się teraz wszyscy ponad parkingiem. Lucy zagląda doktorowi Bieda w oczy i załamuje ręce. Oj, Bieda, Bieda, Bieda.

Na nic lament duchów.

Przysypiając potem w rozpedzonym bentleyu tygodnia, Paweł przyznaje przed samym sobą: jednak o tym myślał. Jednak dopuszczał możliwość ucieczki w retro. Zwłaszcza po wizytach w domu rodzinnym, gdzie inne żółkną kalendarze.

Wracało do niego wciąż i wciąż - tamto dawne Pawłowanie, które zostawił za sobą.

A ile razy prowadził tę dyskusję! Dyskusję-matkę, dialog-analog, rozmowę-głowę, rozpisaną w tysiąc filmów, setki szlai, miliony narracji - wariant dla każdego domu, wersja na każdą okazję, pijane ewangelie gnoju.

Z Andrzejem, ze starszymi.

Nie rozumieli, dlaczego nie rozumie. Powtarzali:

Że to nie jest prawdziwe życie. Że tech nas odczłowiecza. Że liczy się biolo i bliskość fizyczna, a nie duch i bliskość myśli. (Nawet jeśli nie tymi słowami).

Matka powiedziałaaby to samo, po swojemu. (Rodzina! Rodzina ponad wszystkim!)

Paweł i jego konstelacje znajdowali się już po drugiej stronie Lagrange'a. Patrzyli na tamtych i nie rozumieli, dlaczego nie rozumieją:

Że to tęsknoty zwierzęce. Że tech nas doczłowiecza. Że prawdziwe życie człowieka jest życiem ducha, a nie psów krów małą myśliwych rolników.

Minąwszy granicę miasta, Paweł zasypia do reszty. Rozkwitają łuny reklam i marzeń sennych.

Ile razy... Ile razy...

Tylko że biolo miało swoje niebo. A tu - tu nie ma nic. Jedynie więcej więcej więcej tego samego.

Między wieżowcami, pałacami, szklanymi górami, na alejach kryształu.

Swąd

Zajrzał do pracy. Niechęący.

Słuchaj no, Bartuś, ale czy to cię nie gryzie w tyłek? Wczoraj przyśniła mi się FATAGA. Są przecież polityki od lat sprzedające idee emigracji w ducha. Drugi raz Matrixa nie wymyślisz. To ta sama wojna od nowa. Nikt nie chce obsadzać nisz niezyskowych. Dlaczego królestwa nie przejmują funkcji państw gnoju? Bo zarobią na abonamentach, ubezpieczeniach, plajach, gadżetach, dizajnach i modach; a na gwarancjach socjalnych i polityce zagranicznej tylko stracą.

Bartuś wydyma wargi. Otagował się zaraz na jeża, nie podchodź bez prezerwatywy.

Ale nareszcie to nie tylko znacznik mód, lecz zmiana cywilizacyjna! Jak po eksplozji Internetu albo otwarciu ducha. Wyrosną nowe nisze, kultury, zawody, style życia. Nowe światy.

Paweł wierzga.

A widział linie frontu? Kto stoi za ławrińszczyzną? Jakie są siły? I rzyga z ducha.

Wypływają na stepy akermańskie.

FATAGA: jedno z ramion inwestycyjnych królestwa Sony-Corleone, tradycje lokalne, późny Karl-Ludwig, dywersyfikacja po zapaści węglowej, dwadzieścia procent w duchu, w całości poza obrotem publicznym.

FATAGA od dawna jedzie na modach łagodnego nacjonalizmu. Lepsze, bo polskie, i tak dalej. Banał, ale zawsze pasuje do części królestw.

Dać zarobić swojakowi albo obcemu - wybierze swojaka.

Podciąć interes obcemu albo swojakowi - podetnie obcego.

Nie ma wyjścia. Te barwy godowe królestw to nie pusta reklama. Dawno wyrośliśmy z ery reklam. Teraz wszystkie kłamstwa PRZEŻYWAMY. Jeśli stawiasz królestwo na Conanie, to lepiej niech twoi CEOs mają biolo Schwarzeneggera, gejdź testosteronowy i szlajają się dniami i nocami po Hyperborei. Pałac, gwałcąc, dekapitując.

Paweł rozpościera skrzydła i maluje Picassy po niebie.

Dlaczego akurat FATAGA wykupiła patenty generatorów prawnych?

Jak w praktyce na nich zarobi?

W jakim horyzoncie?

Czy Sony-Corleone włączy się w promocję poza Euro?

Czy Sony-Corleone w ogóle wie, co tu FATAGA wyczynia?

Bartek w odpowiedzi pierdzi fanfarowo.

Paweł się zirytował. (Stawia się n00b!) I wbija mu gwoździe w czaszkę.

Patrz patrz patrz!

Back to basics. Mapy królestw.

Dla dowolnej idei, estetyki, mody i gejdzu da się przeprowadzić cięcie przez mapę królestw, że zobaczysz w danej chwili proporcję sił: ci za, a ci przeciw.

Królestwo obejmuje bowiem wszystko.

O każdej rzeczy możesz powiedzieć, że pasuje do niego lub nie pasuje; że pasują rzeczy wzajem do siebie.

Te sieci z założenia muszą wychwytywać dowolny aspekt twego życia. Jeśli nie

wychwytują - to błąd splatających je kreatywów. Stracili część konsumentów, odtrącili wasali.

Bo zawsze pojawi się jakaś nisza, w której kwestią organizującą człowiekowi całą rzeczywistość jest dieta wegetariańska, marka bielizny albo wysokość stałej kosmologicznej.

Łatwo wyciągnąć przekroje historyczne. (Paweł wyciągnął). I puścić je teraz w przyśpieszeniu (puszcza), i obserwować, jak się przesuwa linia frontu: wte, wewte, i zakręca, i wije, i wypuszcza przyczółki, i klęśnie w zakola, i znowu przeskakuje biliony dolarów i setki milionów poddanych.

No i co?

Paweł wierci gwoździem w Bartkowej mózgowicy:

Widzisz: Sony-Corleone znajduje się od początku, od dekad po antyduchowej stronie frontu. Jechali na modach gnoju. Zanim jeszcze był duch i gnój.

Aż tu nagle FATAGA wykupuje producenta start-upów Państw 02+, tego Skeuta Red, pakiet kontrolny razem z butami.

Co to jest? Schizofrenia? Sabotaż? Zasłona dymna?

Co oni robią? Rozbijają duszę publiczną własnego królestwa. Wbijają sztylet w serce.

Bartek się zirytował. Stracił gwiazdy z nieba, naciągnął noc na głowę.

A co ciebie to wszystko?! Idź skarż się szefom!

Zapomniał? Po to mnie tu postawili. Żeby szukał dziury w całym.

Lecz Bartek, kula w ciemności, jest już za Andromedą i oddala się z przesunięciem Hubble'owskim.

Zraniony w świeżo rozkwitłą ambicję.

Całuj mnie w podczerwień.

Paweł wiosłuje do Szefa.

Wiosłując, rozbija amforę i wypuszcza dzinna empatii (oksytocyna, wazopresyna, arbaclofen).

Cholernik zaraz pakuje Pawłowi w paszczę dwie tony nieprzetrawionej papki z duszy Gejzeru.

Trzeba było łyknąć tagi Bartka! Oni tu właśnie odpoczywają po spazmach porannych. Wywiesili przecież linię kampanii. To robota Krzysia i kretynów, na kościach Skeuta. (Było w plikach, w plikach, których nikt nie czyta). Krzyś opakował koncepcję, ale kto pierwszy rzecz pomyślał - nigdy nie odkryjesz.

Otóż taka jest idea: postawić Państwa Ducha bezpośrednio na konstelacjach.

Wyprowadzić konstelacje na niepodległość. Niech posiadają osobowość prawną na poziomie 02+.

Co z tego, że zmienne, chwilowe, płynne? Trwałość państwa to przesąd materii.

Państwa Ducha mogą być motylowe, migotliwe, międzyistniejące, ulotne jak neutrino i prześniony pocałunek. Będą.

Co z tego, że przynależność do konstelacji to nie zerojeden? Że wibrujemy tu od minus do plus nieskończoności?

I co z tego, że to cecha niewyłączna? Że możesz być równocześnie członkiem dowolnej liczby konstelacji.

Co z tego? co z tego? co z tego? Zbudujemy jurysdykcję ducha na fizyce kwantowej!

Krzysiu i Anuszką mają już hasła, mają herby i kanały emocji.

Welcome to quant-lite life!

Rodziny odeszły do lamusa, obok klanów, wiosek, narodów i parafii. A co nadeszło po rodzinie? To właśnie: Konstelacyjne Państwa Ducha, Constellation Inward States.

(Soundtrack: *Marsz Imperialny*).

Aż tu wpada Paweł i depcze im po torcie.

Nieładnie.

Ale skoro już się rozpędził -

(Matka pochrapująca na wersalce. W rękę - buty).

Skoro się rozpędził -

Czekając przed perłowymi wrotami Prażnego, dłubie w zaropiałym działą, w boku Tomaszowym.

I kiedy wrota się otwierają, ma w rękę następną pochodnię. Na wszelki wypadek wywiesił flagi.

Szefu też nie goły.

Paweł poczuł falę, zanim jeszcze liznął ducha na privie.

Prażny jest w predator mode.

Paweł podchodzi powoli, puszczając przodem pluszowe pieski i kolorowe baloniki.
Agro - 200.

Mody biznesowe boostują wydajność decyzyjną. Największa przewaga, gdy zwolnisz sobie upływ czasu. Da się to zrobić, jest na to gejdź.

Obserwuj: obiekt oddalający się - obiekt zbliżający się.

Obserwuj: figury neutralne - figury zagrożenia.

Na dystansach podminutowych czas potrafi zwolnić nawet o dwadzieścia procent. Płat czołowy staje na baczność.

Ten gejdź skręca percepcję tak, że cały świat zbliża się do ciebie z groźną miną.

Skutek uboczny: wysunięte kły, rozszerzone źrenice, jesteśmy na polowaniu.

Pożyj w tym rok, dwa - choćbyś stosował trick tylko co parę dni - nabędziesz cech drapieżcy. Mentalnego metabolizmu geparda.

Nic dziwnego, że Prażny wyskakuje przez okna i przegryza gardła konsultantom.

Paweł się napina.

Pax, pax, pax między gejzeriany!

A podejdź-no, robaczku świąteczny, niechże wejrzę w płucko i wątróbkę Kostrzewy ciepłego!

Szefu się nie da spacyfikować. Lepiej strzelić salwą, szybciej opadną dymy.

Paweł wymachuje pochodnią przed ślepiami zwierza. Tu, tu patrz!

FATAGA: Iwo Fabiński, Kazimierz Jan Tatar, Rajmund Gawriło. Zachowali znaczne pakiety i miejsca w radzie nadzorczej.

Ich ludzie nadal trzymają ster. To firma na oldskulowych modach - a zatem tak się tam pracuje, tak myśli, tak przeżywa. Dzieci słuchają ojców.

I kto z triumwiratu FTG maczał w tym palce? Ene, due.

Wycisnąłem ich dusze publiczne. Pilnują się, otorbiają, ale coś zawsze przecieka.

I wtedy wystarczy Mały Psychoanalityk, pięć euro za minutę.

Cztery lata temu, skandal w konstelacjach Lwa i Barana: śmierć Mateo Gawriły.

Wypłynęło, bo się dzieciak wywieszał. (Patrz tutaj!)

Intymność 3.0: chcę zjeść twoją duszę prywatną.

Ludzie od lat się tak publikują, od pierwszych blogów. Wejdz we mnie! poczuj moją skórę od wewnątrz! poczuj moje życie!

Fale intymności przepływają przez glob w cyklu dobowym, rozświetlają się ogniska, epicentra cichych żądź, w dowolnej chwili Paweł ma przed oczyma model Ziemi jak starodawną mapę Księżyca pociętą srebrzystymi południkami i białymi kraterami.

Każdy żyje swoim życiem i żyje życiem kogoś innego. Choćby postaci z plai - ale to McDonald's duszy. Wyższe rozkosze: życia wiwisekjonowane.

Każdy może wejść w duszę publiczną każdego. (Ilu ludzi żyje we mnie?)

A kto tam dziś na topie? Zerknijmy w indeksy. Jakaś czternastolatka z Wisconsin, półtora miliona osób wlaźło w jej prywatną (kotka się wywiesza, jak one wszystkie) i razem z nią myje zęby, bierze prysznic, przegląda się w lustrze, naciąga majteczki.

Ale to także jest intymność pop, mielonka z odzysku. Ta nastka już jest przecież celebrytką, wie o tym, wszyscy wiedzą, żyje w bąblu celebry, zatopiona w plastiku. Kurwa wyruchana na wylot przez pół ludzkości.

Intymności bardziej ekskluzywne: te kupowane na zamkniętych targach, dusze o pojemności limitowanej. Nie więcej niż pięcioro, dziesięcioro podjadaczy na raz. (Kameralny gang-bang).

Ale nadal: to intymność skażona, ekshibicjonistyczna. Ekshibicjonista o wszystkim wie - kiedy zatem żyje, a kiedy gra życie? Otrzymujemy towar uszkodzony, zdehermetyzowany.

Na samym szczycie (content luksusowy): dusze tych, którzy nie wiedzą.

Zgwałceni we śnie. Zdradzeni. Sprzedani na wynos. W sekrecie. Za dziesiątki tysięcy. Niekiedy setki.

Można z pozorami legalności: podpisujesz, a potem czyścisz to z pamięci długoterminowej.

I taki był *casus* Mateo Gawriły.

Aż pękła konstelacja i wylały się nagrania. A Gawriło na wierzchu, bo to delicje najrzadsze: samobójstwo do przeżycia w skali jeden do jeden. Jeszcze ciepła skóra z trupa.

Zalóż i zadrzyj. Już się nie da bliżej-głębiej-prawdziwiej.

A wcześniej: jak żył - jak się gejdzował w kółko - jak zasypiał pod gwiazdami - jak wypłakiwał oczy do szlajowych lalek. A także: dwie rozmowy Mateo z jego dziadkiem - Rajmundem Gawriło.

Szefu zdążył tymczasem wleźć na sufit i odgryźć żyrandol.

I co z tego, że wnuczek się sprzedał w trumience? Grrr. FATAGA płaci! FATAGA żywi!

Paweł napiera. Ale widzisz tę prywatę starego Rajmunda? Bije we własne królestwo!

Miała być ogólnoświatowa ofensywa kreatywów, a będzie ekspedycja karna z naczałstwa.

Szefu szarpie się z tym. Grrr. Grrr. Uderzyć do Sony-Corleone i zapunktować za honor kondotierski? Czy realizować strategię Bankowe i grzać się w szybkiej forsie FATAGI?

Grrr.

Spada na cztery łapy. Wężowy krawat przylizuje mu grzywkę.

Ale powiedz mi, lustreczko-pawłoweczko, jakże to z egzystencjalnego seppuku wnuczka ma wynikać zdradziecka kruczata starego Gawriły przeciwko państwom materii?

Bo ja też mam patologów duszy na podorędziu. Dostaję na tacy te flaki parujące razem z każdym kontraktem. I niczego zgniłego nie wywąchałem w FATADZE.

Soundtrack: Ennio Morricone *The Good, the Bad and the Ugly*.

Oto i moment, żeby przełknąć ślinę. (Paweł nie przełyka, ale czuje się jakby). Heroic

Stance, +120 Charisma.

(Przemowa). Myślę, że on to wziął sobie za misję. Że niby dlatego Mateo wykrwawił się z życia, utonął w nolensum. A stary Gawriło chce ich wszystkich przeprowadzić na drugą stronę. (Plaja: Mojżesz rozdziela Morze Czerwone). Do Ziemi Obiecanej, z tego wygnania na pustynię szczęśliwości.

Bo biolo miało swoje niebo. A tu - tu nie ma nic. Jedynie więcej więcej więcej tego samego.

Prażny cofa się, szczerząc kły. Nie podchodź! Ugryzie.

Nie rozumiem, co do mnie mówisz. Nie rozumiem, co do mnie mówisz. Nie rozumiem.

I naraz szczerzy je w uśmiechu:

Tegom chciał!

Daj, daj, daj!

Nie pytaj o zgodę, nie czekaj na znak - wbij mi w gardło! wal po mordzie! faszeryj duszę!

Sekret patriarchy, czerw w dupie królestwa i tajemna emocja pokolenia!

Zrobimy interes, Paolo! Zrobimy majątek! Wrrr!

Pawłowi opadają wszystkie skrzydła i macki.

Jakoś tak

Na wizycie u klienta, Gildii Patentowanych Szaleńców, spotyka dawną znajomą. Gwiazdę jego konstelacji sprzed czasów konstelacji.

Patentowani Szaleńcy od sześciu lat jadą na krwawicy Gejzeru, przejęli w tym czasie piętnaście procent bazy w lokalnych szlajach euro i dalej pionizują się ostro, skupując gnój. (Ziemie, zabytki, biologie).

Paweł poszedł jako emisariusz Szefa - albowiem Bartek chce podpiąć Szaleńców pod trendy ciągnięte teraz dla FATAGI.

Zdarzają się takie rzeczy: wykorzystanie jednego klienta dla innego. Kreatyw nie może równocześnie produkować i sprzedawać kasujących się wzajem idei. Anyway, nie bardzo skutecznie.

Kolejna mantra Prażnego: To my robimy naszych klientów. To my dajemy im content. My nakręcamy maszynki.

Rewind. U Szaleńców. Błysk na peryferiach fraktala, promieniowanie reliktowe dzieciństwa.

Paweł nie zwrócił uwagi, ale podpisało mu od razu: Krystyna Tusz - i krosreferencja do klasy w podstawówce.

Siedziała dwie ławki za nim. Warkocze, a jakże. I że chichrajka, zawsze w śmiechu z koleżankami. Tyle pamięta.

A teraz: Paweł? Paweł! Nie poznałabym cię! Cmok-cmok.

Krysia robi w Szaleńcach obsługę kultu bankowego, zamawiali w Gejzerze trzy religie finansowe.

Kostrzewa mija się z nią w drzwiach, spoglądają równocześnie. Więc kawa, więc lancz, więc koniecznie-koniecznie.

Na lanczu. Bistro retro, cienko pokryte.

Co u ciebie. A u ciebie.

Gdzie teraz. No popatrz.

I wspólni znajomi. (Cała Polska wisi na Rozgwieżdzie - sześć uścisków dłoni minus dłonie).

Pora na plotki.

Paweł włącza autopilota duszy. O Boże, znowu w tym filmie.

Bawi się serwetką origami.

Krysia zwierza się z Wrednego Szefa, a Paweł myśli o Ilonie Rosie. Czy można zaszantażować w ramach small-talk. To byłby opener prawdziwych konwersacji.

Sięga, zamyka pięść i wyciska duszę publiczną Krystyny Tusz.

Co pozostało na dłoni: kilka ziaren kolczastych.

Nowa ścieżka dialogowa:

Hold that thought. Dlaczego nienawidzisz dzieci?

Trafiona. Łamie oddech, daje salwę emotów cielesnych i duchowych.

Jest taki produkt: fem numer sześć albo siedem, zależy, pod którym ideolo liczyć. Emancypacja możliwa jedynie poprzez zaprzeczenie biologii.

A co stanowi ukoronowanie i rację kobiecości? Macierzyństwo.

Nie wystarczy jednak odmówić hormonom; to był przecież fem „starej panny”, dawne dzieje.

Trzeba się obrócić przeciwko dzieciom w ogóle. Bo nawet gdy z próbki, ze sztucznej macicy - samo istnienie dziecka jako dziecka wbija petrakobietę w kontekst macierzyński. Tego nie da się obejść żadnym gejdzem.

Stąd produkty pochodne: rozmaite przyszłości bezdzielne, rozmnażanie pozabiologiczne, mejozy kogito (mózgi w słojach albo mózgi w cyfrach).

Krystyna się anonimizuje, ale wystarczyło dobrze ścisnąć. Oj, Patentowani Szaleńcy krzywo by na to patrzyli. Na innych, zupełnie innych trendach jada, inne królestwa ślą im dary. (Krysia jest z królestwa Paribas-Chanel-π, poznał po sukience i długości palców, oczywisty urok dla nuworyszki z prowincji UE).

Dzieci, dzieci, dzieci. Fetysz! I na trzecim oddechu kotka zapala się.

Klątwa ludzkości! Szantaż najgłębiej wpisany w geny i neuro!

Są treningi w duchu. Zwalcz to w sobie! Uderz dziecko. Stłucz niemowlę. Zrzuć szczeniaka ze schodów. Złam rękę lalecze.

Nie chodzi o to, żeby wyrządzać ludziom krzywdę w realu. Ale nie staniesz w żadnej tu rozmowie na równych prawach z adwersarzami, dopóki nie zniszczysz w sobie tych blokad zwierzęcych.

Paweł przymyka oko, spogląda z satysfakcją złośliwego gnoma.

No proszę. It's alive.

I jakie rumieńce! (Z publicznej wyciągnął całą resztę Krysi, ogląda teraz jej twarze ekstazy, rodzinne porno i melancholie podpatrzonych samotności).

Nachyla się nad stołem, wyświetlając Konspiracje i Konfidencje, pod flagami Przekory. Charm/ Mesmer +100%.

Ale ty wiesz, że to ideolo też myśmy wycisnęli.

Następuje superpozycja towarzyska: Krystyna wzrusza ramionami i wychładza się / Krystyna sięga ponad blatem i ścisną dłoń mężczyzny.

Wiem. Wszyscy wiedzą, że to pic. I co z tego.

Wszyscy wiedzą, że plaje i szlaje to pic. A zaraz masz klany fanatyków z połowy globu

zabijających się o wyższość jednej fantazji nad drugą

żyjących w tych fantazjach

myślących według tych fantazji

wierzących w te fantazje

Pic. Ale wierzą.

To samo tu.

Za co wam płacą?

Wymyślasz religię dla gildii, dla kabały finansowej - chwyci albo nie chwyci. Chwyci. Będą tak się ubierać, tak mówić, tak myśleć, w takim duchu żyć.

No to czy wierzą?

Co za różnica. Na jedno wychodzi.

W końcu zobaczysz swoją bajkę oscylującą na wykresach giełdowych.

Teraz następuje kollaps sytuacji towarzyskiej:

Oczko, uśmiech, rączka, kolanko, oczko. Świergu-świergu.

Oho! Chuj tężęje, dusza śpiewa.

Coś drgnęło, grzech nie skorzystać.

Paweł kiwa głową, nachyla się bardziej, domyka przestrzeń, wchodzi w kontakt.

Dopinają deal, kosztując wzajem swoje sałatki.

Banalność tego staromodnego romcomu biolo jest prawie rozczulająca. Oboje się przecież flagują jako proteoseksualiści. A tu takie konwenanse.

I co się potem Pawłowi przeświała pomiędzy lanczem a wieczorem u Krystyny: Mitologie seksualne schyłkowego humanizmu.

Nieznajoma w samolocie. Sąsiednie miejsca. Dotyk, uśmiech, aluzja. Ręka na udzie, ręka na spodniach. Do toalety. I mile high club.

Albo. Etykieta randkowa. Wykres: wiek, środowisko (stopa dochodów), wykształcenie, numer randki. Na wyjściu: język - palcowa - jebanko na wizycie - noc do rana.

Albo. Trójkąt z bliźniaczkami.

Albo. Zakochana call-girl.

Albo. Budzisz się rano u jej boku. Nieznane łóżko, nieznana dziewczyna. Seks na blanku.

Albo. Soulmates jako fuck buddies, fuck buddies jako soulmates.

Albo. Przyjaciel poza petraduszą. Naraz gejdżujecie się wzajem na siebie - druga młodość proteopedałów.

Albo. Miałeś ją od dziecka przed oczyma, a nie widziałeś. Rówieśniczka z podwórka, ze szkoły. Spotykacie się po latach i siup - żyli długo i szczęśliwie.

Ano właśnie.

Znudzona widownia ziewa na tysiąc dwieście szesnastym przedstawieniu tej samej sztuki:

Dobry wieczór. Cmok-cmok. Wszedł. Zaświergotała. Wręczył. Oprowadziła. Pochwalił. Usiedli.

Najpierw gadki spod skóry. Jak tu sprzedać prywatność.

Są pakiety. Dla mężczyzny: impotencja mentalna, chłopaczkowatość, redukcja biolo, ambicje zawodowe, wspomnienie sceny poniżenia, kompleks petramęskości. Dla kobiety:

zdrada ostatniego femu, dziecko, które ma, dziecko, którego nie ma (to nie dla Krysi), ambicje zawodowe, brak poczucia bezpieczeństwa.

Potem nastrój. (Soundtrack: późny Cohen albo Lipadusza).

Potem chemia spersonalizowana, miękka lub twarda, lub krótki gejdz (jeśli nie nagejdzowali się wzajem na siebie wcześniej).

Potem pada bariera ciała. Od niby-przypadkowego dotyku.

A potem już leci.

Jeśli dobrze wyretuszowana, nie gasi światła. Jeśli słabo - prosi o komunię w duchu.

I nawet jeśli sami się tam w duchu nie wywieszają - przez cały czas widzą dokoła pełne widownie, kamery reflektory mikrofony oczy ekrany lustra plaje raje.

Należą do drugiego pokolenia wychowanego na porno. (Porno robionym przez kreatywow, którzy sami wyrosli na porno).

Ono jest częścią twojej duszy publicznej - jak ulubione dragi albo marka preferowanej polityki. Podałeś znajomemu rękę, lecz wcześniej wszedłeś mu w duchu do łóżka. Do kogo nie czujesz pociągu, do tego pociąg możesz sobie zaordynować, równie szczerzy.

No to jedziemy: oral, vaginal, anal, istny Kubuś Puchatek.

Czy można być bardziej żalonym? Zatoczyli pełne koło, wszystkie możliwe romcomy (stop-klatka z chujem na wierzchu)

przewinęły się im w głowach w pierwszej sekundzie.

Bo to już było było było. Kwiatki, pocałunki, wyznania słowne, gry erotyczne, dotknięcia i muśnięcia, femy pierwszej, drugiej, czwartej, siódmej fali, wszystko było. Oglądali od małego, on i ona, wyśmiane, wyrócone na nice, spornolone i sprowadzone do kreskówki.

Żebyż chociaż postmodernizm! Mogliby razem pożartować z tych skojarzeń.

Ale skojarzenia do skojarzeń też dyskwalifikują na starcie. Po-mo to swojska, bezpieczna piaskownica blogów i jutubów. Tylko pozazdrościć dzieciom tamtej epoki.

Tymczasem sytuacja jest beznadziejna.

Przecież Paweł sam nie chciałby mieć do czynienia z kobietą, która nie przepędzi z miejsca mężczyzny zachowującego się wobec niej jak uciekinier z wariatkowa. Albo z dwudziestego wieku.

Można oczywiście udawać kogoś innego. Wśród konsumend to uchodzi. Nawet pierścionki zaręczynowe i randki plenerowe.

Konsumendy potrafią to wykonać - nie jakby pierwszy raz wykonywali, bo też widzieli, słyszeli, grali już tysiące razy - tylko że dla nich sztuczność jest zaletą. Kopiają i

radują się, że tak fajnie skopiowali.

Paweł i Krysia musieliby się najpierw potężnie zgejdzować. Albo cofnąć w czasie o pół wieku.

Co więc pozostaje?

Kotka staromodna - ciało i ciało - komandos biolo.

Paweł sympatyzuje.

Sympatyzując

(akcja!)

wykonuje ruchy.

Zanurza się pod powierzchnię nolensum, to znów wydobywa się ponad.

Up & down, in & out, up & down, in & out, up & down, in & out, up & down, in & out, up & down, in & out, all fuck long.

Zasnął gdzieś między V i A.

Bóg i inne banały

Wyjałowiony, poleguje.

U siebie, entą godzinę. Pod sufitem jak pod białą dziurą. Przepływają chmury, mastodonty depczą zwoje mózgowie. Łubudum.

Gejdz na smutek postcoitalny - wziął.

Gejdz na wieczór weekendowy - wziął.

Gejdz na wiosnę w mieście - wziął.

A i tak dupa.

Z dziury wyłażą obleśne cherubinki z wielkimi kutasami i gremlinują mieszkanie.

Które dragi brać, żeby chcieć brać więcej więcej więcej dragów?

Paweł łapie za żywca i wychodzi na dach.

Siedzi tu walidator spod dwójki. Zarzucił wędkę, pokazuje Pawłowi ławice ryb szybujące w kanionach ulic.

Paweł pije.

Ping!

Pulsar w konstelacji.

Kto.

Pan Utrał.

Pan Kostrzewa.

Przeskakuje do salonu Utrałta.

Kędy duch wieje!

Tędy, panie Kostrzewa, tędy.

Paweł dotyka ikonki w klapie marynarki Utrałta.

Miecz albo krzyż. Krzyż i miecz.

Zakon? Rycerstwo 72. Ładny dizajn. Kto was projektował? A-a, bo pan w tym robi, panie Kostrzewa. Nikt nie projektował. Ale tak, zakon. Księżulek prywatny? Nie. (Siadają w fotelach). Widzi pan, panie Kostrzewa, pyta pan, a przecież mógłby już wiedzieć. Dlaczego pyta? Żeby rozmawiać. Więc dlaczego zakon? Ano, żeby w ogóle cokolwiek.

Były takie ruchy petra. Yuppies zamykający się w celach klasztorów, bardzo droga przyjemność ascezy. Jeszcze wcześniejsza popularność BDSM. Masy garnące się do sekt, do guru, do psychoanalityków. Zabawy dorosłych ludzi z koleczugami, mieczami, koźmi.

Wrzuc kamień do wody, kręgi rozejdą się na wszystkie strony. Tak samo tu. Uderza - a fale idą w przyszłość i w przeszłość. Im dalej, tym słabsze, więc najpierw pojawiły się takie igraszki. Ale już wszyscy przecież czujemy. Co takiego czujemy, panie Adrianie? Czujemy koniec czasów człowieka. Czujemy, że usuwa się nam ziemia spod nóg; na czymś stać trzeba, więc budujemy rusztowania; ale im my wyżej, tym one chybotliwsze; im my potężniejsi, tym one węższe. Wszystko się wali. Zawaliło się.

Prawda, panie Kostrzewa? Zawaliło się.

Paweł-burczybrzuch: będzie mi tu Boga na trupie Nietzschego serwował, a idźże totemy w socjalu sprzedawać!

A jednocześnie: to dlatego sąsiadów świeżych do serca przygarnia! Żeby nawracać. (Soundtrack: *Smoke on the Water*). Żeby zarażać.

To nie był żaden przypadek. On wszystkich tak. Łowi.

Lekki posmak ekscytacji jak ze szlai heroic fantasy.

Nie inaczej niż z seksem. Bo przecież nie obejmuje Paweł pożądaniem osobnika każdej płci, wieku, wyglądu, charakteru. Ale na tym polega proteoseksualizm, że może sobie łatwo przegejdzować chuć z dowolnego Iksa na dowolnego Igreka.

Tymczasem - pije.

Nie ma remedium. (Burczy). Nie ma ucieczki. Tam się tylko zęby prędzej psują i wszy na głowie roją. Ale w głowie - to samo panopticum.

To właśnie pan robi, panie Pawle? Siedzi na dachu i chła do Księżycyca?

Ano, tylko gejdź nam pozostał.

Utrał mruga, ześlizguje spojrzenie w bok... Paweł chwyta go prędko za rękę - byle zdążyć przed duchem.

Allow me. Spod obcego nieba pan wraca. A to branżówka anglo.

(Królestwa mają swoje języki. Dawniejsze corpspeaks, brandspeaks, cultspeaks. Nie musisz należeć do innego pokolenia, żeby nie rozumieć.

Królestwa też nie są tam królestwami. Konstelacje nie są konstelacjami. Gejdz nie jest gejdzem).

Paweł rozpościera plaję.

Obraz w ogniskowej:

Mężczyzna o ciemnej twarzy, w dziewiętnastowiecznym surducie i kamizeli, z wysokim białym kołnierzykiem. Patrzy wprost w obiektyw. Nie ma jednego oka - powieka zalepia mu oczodół niczym masa plastelinowa. W dłoniach trzyma gruby pręt metalowy, wskos torsu. Pręt jest tak długi, że nie widać jego końców. W rysach mężczyzny zapisała się jakaś małpia ociężałość, cień tępej brutalności zwierzęcia.

Nazywał się Phineas Gage. Urodził się w roku 1823 w New Hampshire. Niczym się nie wyróżniał. Jako dwudziestopięciolatek pracował przy budowie linii kolejowej w Vermont. Wiercili głęboko w skale dziury, pakowali w nie dynamit lub po prostu proch, ubijali i odpalali. Do tego właśnie mieli te pręty. Zdarzyło się jednak, że od uderzenia pręta o skałę powstała iskra i przedwcześnie detonowała cały ładunek. Pręt wystrzelił jak z armaty. Przebił głowę Gage'a: wszedł pod lewym policzkiem, wyszedł przez szczyt czaszki. A przeleciał z taką mocą, że znaleziono go dopiero trzydzieści metrów dalej (umazany we krwi i materii mózgowej).

Gage przeżył. Zaraz po wypadku rozmawiał przytomnie. Przewieźli go do lekarza. Ten nie mógł zrobić nic poza zabandażowaniem ran. Zniszczony został co najmniej jeden płat czołowy mózgu. Jeśli wierzyć lekarskim zapiskom, otwarty mózg uległ zakażeniu i zarósł jakimś grzybem. Lekarz upuścił Gage'owi z głowy osiem uncji ropy. Gage zapadł w śpiączkę; sporządzono już dla niego trumnę.

A jednak wyzdrowiał. Był ślepy na jedno oko i stracił kontrolę nad częścią twarzy, niemniej po kilku tygodniach mógł prowadzić normalne życie. Tylko że nie był już Phineasem Gage'em.

Utracił pojęcie wartości pieniędzy. Nie odróżniał papierowych banknotów od kamyków. Stał się człowiekiem wulgarnym i brutalnym. Nie zważał na uczucia i potrzeby innych - byle zaspokoić własne. Nie miał cierpliwości do niczego i nikogo. Nie potrafił trzymać się żadnego planu, zrealizować zamierzenia. Zwierzę-dziecko zamieszkało w

organizmie dorosłego mężczyzny. Żona i znajomi twierdzili, że to nie jest Phineas Gage, Phineas Gage zginął w wypadku.

Ów nowy człowiek w jego ciele zmarł trzynaście lat później w ataku epileptycznych konwulsji. Do końca nie rozstawał się z metalowym prętem, który powołał go do istnienia. Pogrzebano go ściskającego ten pręt.

W okolicach ostatniego Halloween kult kreatywów proteo z Helsinek pozegłował na fali memów wiktoriańskiej grozy neuro i Phineas Gage, ten Abraham inżynierii kogito, pojawił się w całym świecie na aptekach i skarpetkach i drinkach. W branżach źródłowych zupełnie wyparł starsze memy. Język też płynie.

Ach. Zatem gejdź -

Tak. Przecież nie wyłącznie proteusze. Wszyscy z niego korzystamy, w mniejszym lub większym stopniu.

Ale wam, mówi pan, tylko gejdź pozostał.

Tak. Gejdź to jedyne wyjście dla tych, dla których nikt nie wyprodukuje sensu życia.

(O, więc wy produkujecie sens życia!

My. Produkujemy).

Tak było zawsze. Kreatywi wszystkich czasów gejdźowali się jak mogli, choćby na krótko: winem, wódką, absyntem, laudanum, heroiną, kokainą, marihuaną.

A teraz mamy gejdże z premedytacją nakręcone przez kogitów.

Bezbolesne.

Niezależniające.

Nieszkodliwe.

Tanie, tak tanie.

Naraz Paweł wskazuje na krzyżmiec Utrałta: To też jest gejdź. Tylko że zamiast włożyć go sobie wprost w kogito, wtrenowujecie go w siebie powoli poprzez ruchy w materii. A istnieje doskonały ekwiwalent w pigułce - lat wyrzeczeń, modłów, rytuałów, przyzwyczajzeń, odruchów. Neuroteologowie rozparcelowali ośrodek uczuć religijnych w płacie skroniowym.

O, proszę, ciastko designerskiej chemii. Mózg i mózg, nie odróżnisz potem.

Utrałt chwycił wiatr w żagle.

Wy po prostu nie mieliście okazji porządnie wyrosnąć z religii.

Paweł się śmieje. Wszyscy wyrosliśmy! W konstelacjach Proteusza to już nawet nie jest temat do kawy. Czasem ktoś się wygłupi w towarzystwie - to uprzejmie przemilczamy.

Nie, nie. Ja nie mówię o konwenansach. Mówię o tym, co poza konwenansami.

Nasze nieszczęście: nie było w Polsce większości innowierczej.

Wszyscy byli katolikami - nikt nie był katolikiem.

Dlatego tak szybko poszło. Żyliśmy w zawieszaniu, bez tarcia. Musiało się wywrócić.

Te iluzje! Od dzieciństwa.

A dzieci są naturalnymi ateistami, panie Kostrzewa.

To nieprawda, że wierzą we wszystko, co im dorośli powiedzą.

Wierzą i nie wierzą. Włożą palec w ogień, polizają sopel, zjedzą pieprz.

(Zgasił śmiech, laseruje Pawła wzrokiem).

Naturalna kolej rzeczy:

wierzysz - udajesz - wierzysz - udajesz

z rozpędu tradycji i obyczaju

potem dorastasz i buntujesz się przeciwko tradycjom i obyczajom

potem wyrastasz z buntu i układasz sobie własny obraz świata

i wtedy dopiero jest czas na prawdziwą wiarę

z twojego przekonania

a nie świata wokół

i nie ludzi wokół

tylko ty

i Bóg

Paweł ciągnie z tej butelki już trzeci litr. Język mu baletuje, gęba powiewa.

(Bełkot). Nie ma Boga, a nawet jeśli jest, to też zrobiony przez kreatywów.

Utrał kiwa głową z litościwym zrozumieniem, odpływając w dal razem z fotelem.

Kutaśne cherubinki zaciągają Pawła do jego łóżka.

Gdzie poleguje. Na granicy snu, na plaży Mare Nolensum.

Oddychając.

Oddychając.

Oddychając.

Zawsze na podorędziu: inhalator z zapominajką. Nie sięga. Niech pozostanie na wieki wieków: ten wieczór, ta noc i poprzednia, Krysia, Utrał.

Fala go nakrywa.

Zasypia w ubraniu.

Budzi się.

Zasypia.

Budzi.

Chce wstać.

Chce.

Kawaler będzie tak uprzejmym

O świcie szarym, dżdżystym wyjechaliśmy owego dnia z miasta L., w dwie landary, osiem koni, kierując się za wskazaniem liejtnanta G. ku przejściu na przełęczy południowej, gdzie miał nas oczekiwać emisariusz JKMości z papierami i glejtami uprzednią jeszcze zimą obiecany. Milę lub dwie za rogatkami ścisnęły doktora Wencła bóle żołądkowe, a w tak okrutne precle i pytony go supłając, że biedny konował wywinął się nam w powozie w jednoosobowego laokooną, jeszcze w pędzie na wykrotach i wybojach podrzucanego co chwila na tę i ową stronę pełnego kantów wnętrza, Wencłowa głowa siwa pod obcasami, Wencłowe obcasy pod sufitem, noga w okno, ręka w kieszeń radcy Bubera, cóż było począć - stanęliśmy przy starym zajeździe królewskim i wydaliśmy doktora w mocarne ręce pacholców arendarskich, a ci przetransportowali go, jęczącego i podrygującego febrycznie, do wnętrza zajazdu; gospodarz niósł nad Wencłem parasol. Ktoś wszakże musiał zostać z nieszczęsnym łapiduchem, mogła go zaraz przytomność opuścić, mogły mu zmysły czkawką z ciała wyjść, ktoś musiał. Stanęliśmy w sześciu pod bukiem krzywym, a major wyjął nastrugane wykałaczkę. Tknęło mnie przecucie podłe, obejrzałem się w szarość mglistą za nami, w szarość mglistą przed nami. Kruki polatywały nad ugiem. Tam na wzgórzu stała była szubienica; zrąbali ją na opał zeszłej zimy. Major złamał wykałaczkę, pastor zmówił modlitwę, ciągnęliśmy po kolei, ja wyciągnąłem oną złamaną. Zakrakała mgła na miejscu straceń. Uścisnęliśmy sobie dłonie. Nasze papiery miał major. Nie pozostało nic do dodania. Odjechali, zanim skryłem się pod dachem zajazdu.

Doktor siniał i czerwieniał, słowa nie mogąc wykrztusić.

- Trzeba lekarza! - zawołałem, schwyciwszy gospodarza za poję. - Po lekarza chłopaka pošlijcie, a już!

Gospodarz przejął się także, zwłaszcza że dwa złociszce nierżnięte w piączę przy tym mu wcisnąłem, błyskając też i dzwoniąc monetą z kiesy głębszej.

- Najprędzszego konika, najprędzszego dam! - przyrzekł. A i tak poszedłem dopilnować. Nakrzyczawszy na wyrostka przeraźliwie chudego, pobiegł do stajni samemu wierzchowca wyprowadzić. Chudzielec wskoczył na kobyłkę ledwo osiodlaną, powtórzył dyszkantem niedługą instrukcję i puścił się ku miastu cwałem. Patrzyłem, jak rozmywa się w mgielnej

szarości. Za wzgórzem wisielczym wyminął się z oddziałem dziesięciu jeźdźców w pelerynach, z pistoletami i szpadami. Przemknęli z deszczu w deszcz, prawie bezgłośni. Pojąłem okrzyk kruka.

Wróciłem do doktora. Przenieśli go do izby na zapleczu, przy kuchni i piecu, coby trzymać cierpiącego w ciepłe i blisko, a nie męczyć targaniem po schodach. Kobięcina, którą wpierw wziąłem za małżonkę gospodarza, a która okazała się wdową i prawowitą właścicielką przybytku całego, matrona ta przy kości i latach, nagotowała doktorowi Wencłowi wody ciepłej z miodem (której wszelako nie był zdolny przełknąć), a mnie, usłyszawszy, że nawet bez śniadania w ten świat chłodny i mokry ruszył, sklepiła prędko pół tuzina pajd z serem białym, wędzonką jakąś rozkoszną tudzież pastą grzybową z ich piwnicznej kamionki. Jednak stawało mi to wszystko w gardle gliniastą bryłą. Doktor jęczał i wierzał i wił się rozpaczliwie, kruki krakały, drewno fatalne kłuło mnie przez kieszeń, deszcz przytykał po dachówkach. Wyskubywałem w chlebie figurki koślawe.

Zapaliłem fajkę. Przeliczyłem w myślach, co mam przy sobie. A co kompromitującego mieć może doktor. Pod pozorem badań i pocieszeń obmacałem go dobrze, przepatrzyłem kieszenie surduta, kamizeli i portek, i nawet do jego torby udało mi się zerknąć pod nieuważność gospodyni. Miał pistolecik dwulufowy i kaszkę naboju doń. Zabrałem je i schowałem w swoim płaszczu.

- Gościliśmy ongi biskupa - zauważył gospodarz, przystanawszy dla dłuższej kontemplacji boleści doktorowych - który śliwkami tak się był obzarł, ale to dzień wcześniej, nie u nas, tak się był obzarł, że żołądek w kawałkach wyprowadził z siebie wymiotnie, tak, tak, ze śliwkami wnętrzości własne, o, do misy tam, świeć Panie nad jego duszą.

- Pozwólcie no.

Pociągnąłem go na osobność. Łypnął łakomie. Posypałem złociszem. Ani mrugnął.

- Gdyby kto pytał - sami tu zajechaliśmy.

- Sami. - Ani mrugnął. - Ale gdzie konie wasze, wasz powóz?

- Prawda. Gdzie. Ano, musiał być je kto zabrać. Kto?

- Posłaliście wpierw po ratunek waszego woźnicę, ale przepadł bez wieści.

- Taki to bies pijaczyna!

Co się okazało iście proroczą fabulacją, bo minęła godzina i pół następnej, a chudzielca z powrotem ani ujrzeliśmy. Także gospodarz z gospodynią poczęli się niepokoić. Wychodziliśmy przed zajazd, pod zadaszenie szerokie, i wypatrywaliśmy sylwety na linii ziemi i nieba. Upřednio zamazana szaro od mgły i deszczu, stopniowo zniknęła ta linia do reszty pod falą mroku burzowego, jaki nasunął się na równinę w lawinie chmur nabitych

wodą i piorunami niczym flak kaszanką ciemnokrwistą. Inny gość szykujący się do drogi, niejaki Udełko, stał z nami w progu i klął za wszystkich; miał interes w mieście umówiony, a tu było już prawie gradem. Wydzwoniła godzina ósma rano i zapalono w gospodzie lampy naftowe.

Schowaliśmy się do środka. Z piętra zeszła także rodzina w podróży: starzec, kobieta i troje drobiazgu. Dzieci bawiły się z kotami. Stary zajrzał do wyjącego doktora; pokręcił mi potem głową ponuro. Gospodyni przypomniała o śniadaniu. Rąbnął piorun, a tak blisko, że coś przewróciło się i pękło na piętrze. Najmniejsze z dzieciąt rozplakało się z przerażenia. Kobiety się przeżegnały. Za oknami ciemność już stała jak kamień. Doktor Wencel wył psim głosem.

Załomotano w drzwi.

Stary, nie wiedząc czemu, wpierw popatrzył na mnie. Gryzłem fajkę, nic nie rzekłem. Gospodarz zawołał na pacholków; pojawił się jeden, z fuzją masywną w łapie. Łomotano nadal. Gospodarz wymienił z wdową długie spojrzenie bezradne, po czym otworzył.

Wpadli jak chmura nietoperzy, oplątani czarnymi skrzydłami peleryn, wepchnięci burzowym podmuchem, w deszczu. Zaraz wypełnili całą jadalnię, z rozpędu też tłukąc się na zaplecze, na schody, do kuchni. Rozkazy szczerkali w jednym języku, klęli w drugim, a między sobą mówili w trzecim, też nie naszym. Nie mieli mundurów, ale jakąż różnicę to czyniło, żadnej.

Złożyli rannych na stole pod lampą. Swojego mieli jednego, nie swoich - dwóch.

- Lekarza! - ryczał brzuchaty przywódca owej kompanii nietoperzowej.

- A już wezwany, już w drodze - zapewniał go gospodarz - już dwa razy ludzi słailiśmy, a o, do tego tam nieszczęśnika.

Staralem się trzymać poza ich wzrokiem, nie kryjąc się wszakże na sposób, który zdradziłby innym, że się kryję. Więc zostałem przy Wenclu. I teraz tam mnie zaszedł ów ryczący.

- Co jemu? - Zdjął i strzepnął pelerynę, deszcz prysnął po deskach jak odłamki kryształu.

- Zatrucie chyba - odparłem, nie unosząc wzroku - albo skręt kiszek albo gazy albo wrzód rozdarty albo napad wyrostka albo inna rewolucja ustroju.

Wencel wył i kopał.

Komendant ryczący dostał czubkiem jego buta pod żebro i ryknął głośniejsze jeszcze. Machnąwszy na mnie rozkazująco, wrócił do sali.

Rzucić się do drzwi tylnych, ująć w burzę? Dopadną mnie zaraz.

To przynajmniej tego psa ich głównego ubiję wcześniej, policzone mi zostanie, tego buldoga nadętego. Odłożywszy fajkę i chwyciwszy z kieszeni płaszcz dwulufkę-szulerkę, wszedłem do sali głównej.

Z dwóch rannych więźniów jeden już nie żył, był to młody zegarmistrz od Millera. Obok niego, rozciągnięty na stole jak do skórowania, krwawił wciąż nasz major. Trzech w pętach posadzili zaś nietoperzowi agenci na ławie za kominkiem, siedzieli przemoczeni, obici, pochyleni w przód, z rękoma wywichniętymi za plecy, z zaciśniętymi ustami i oczyma otwartymi jak u dzieci, lejtnant, radca i pastor. A dzieci patrzyły na nich w milczeniu, dzieci i koty, znieruchomiałe w teatralnej symetrii.

- Kiedy wyszedł?

- Proszę?

- Kiedy po doktora wyszedł wasz człowiek?!

- Ach, dwie godziny temu, więcej nawet. - Przesunąłem dłoń z pistolecikiem pod połę marynarki. - A potem jeszcze gospodarz słał swojego, przepadli w tej nawałnicy.

Buldog zrobił złą minę i zaklął po ichniemu. Rzucił ludziom jakieś rozkazy, po których jeden nietoperz wyszedł z gospody, inny począł rewidować majora i zegarmistrza Millerowego. Czy już znaleźli u majora papiery? Kwestia czasu, znajdą. Odwróciłem wzrok.

I wpadłem oczami na rykmistrza, który, widzę, przypatrywał mi się tam tak z bliska, jakby lufę do skroni przystawił.

- To kiedy tu stanęliście w takim razie?

- Ale to wy mnie przesłuchujecie teraz? - Pokazałem zęby spod warg. - Z jakiego autorytetu? Co to w ogóle jest! Może wy bractwo zbójckie, może szajki cudzoziemskie jakieś!

- Bo jak dwie godziny wstecz, to bym was chyba mijał. Skąd w podróży?

Udełko chciał wyjść; mniejszy nietoperz złapał go i kolbą pistoletu zdzielił raz-dwa-trzy, do nieprzytomności. Położyli pana Udełko obok majora.

- Tak w ogóle - z Wiednia.

- O! A gdzie bywaliście? Może ja was znam, młodszy człowieku.

- Śmiem wątpić.

- Jakże godność?

- Kostrzewski, Piotr Paweł. - Ukłoniłem się sztywno. - Kancelista w domu inwestycyjnym Arkauera i Fielfa, Wipplingerstraße dwadzieścia pięć.

Pomasował sobie podgardle w zamyśleniu.

- Ale ja was znam, tak! Wy poeta jesteście, Kostrzewski, bajki rymowane piszecie!

Odwiódłem kurki.

- Zaiste, dziwne spotkanie, gdy mnie wcześniej po tej sławie kieszonkowej nikt nie rozpoznał, nikt nigdy, wy pierwsi.

Patrzył, ale jakby nie patrzył, bo mówił zupełnie obok mnie, zimnego, wyprostowanego, napiętego i gotowego do strzału, mówił do serdecznego znajomego, jeszcze go przygarnawszy w odruchu szerokim, ramieniem na barku, dłonią na karku, dłoń wpierv uściskawszy. Nie rozmiękne się tu przecież. Ale tak mówił.

- Czytałem, no jakże, znam opowieści magiczne wasze, i dzieci się nimi bawią, i my też.

Dzieci się nie bawiły - matka je zagoniła na górę, łapiąc po jednym i ciągnąc za kołnierze i uszy. Pozostawiły śniadania niedojedzone i kotki miauczące.

- Nie sądziłem, że tak niepoważnymi historiami -

- Ba! Ale tylko niepoważne, tylko dla tych niepoważnych otwieramy z własnej woli serce i tylko one mogą w nas tak głęboko wejść i odmienić, zaczarować, bezbronnych, po dziecinnemu ufnych. Nie wykłady profesorskie i nie kazania z ambony. Lecz właśnie magia cudownej imaginacji, urok opowieści niemożliwej. Rozbłysk wyobraźni dumnej na wspomnienie Jerzego ponad truchłem piekielnej poczwary - dlatego stają samotni przeciwko armiom i imperiom. Stąd wszystko największe w ludziach się budzi. Nie mam racji, młodszy człowieku?

- Przeceniacie bajkokletów.

- Fałszywa skromność, fałszywa i brzydka. A wy znacie tego tam osobnika?

Starzec zatrzymał się na schodach. Czy chciał mi coś powiedzieć, dać znać, ostrzec może - czy ja go znałem? Nie znałem, lecz może powinienem był znać. Nie miał znaku kabały, ale to o niczym nie przesądzało.

- Zostawcie go, nocował tu z rodziną, byli przed nami.

Nabuldożył się mój buldog okrutnie.

- Co znaczy: zostawcie? Kim on jest? Może z tą rodziną nie ma wcale nic wspólnego, może -

Nietoperz we krwi majora umazany zawołał od stołu, wymachując płóciennym pakietem. Znalazł.

Stary staranował byczo peleryniarza grodzącego mu schody, skoczył przez poręcz, nagle ptak-młodzieniaszek, porwał fuzję pomagiera arendarskiego i zniknął w kuchni. Trzasnęły drzwi.

Brzuchacz zaryczał mi nad uchem. Załopotały czarne skrzydła. Puścili się w pościg za

starym i wionęło w nas deszczowym powietrzem.

Burza przegryzła piorun, zamruczała grzmiąco.

- A więc jednak - mlasnął buldog, ująwszy w dłoń pakiet majorowy - więc zostawili tu człowieka za sobą.

I puścił do mnie oko w nagłym uśmiechu.

- Wy też za bajką gonicie - powiedziałem.

- Widzicie, co one z ludźmi robią. Kto handluje owym orężem? A to potęgi na Götterdämmerung.

Zawołał o nóż, papier, atrament, pióro.

Musiał być wiedzieć od początku, musiał mieć jasność zupełną - ach, obrócić się teraz ku kominowi, zajrzeć w twarze lejtnanta, radcy, pastora, wydali mnie i Wencla na pierwszej torturze, to dlatego nietoperze tu stały, nie dla schronienia przed burzą, nie z powodu rannych, zacisnęły się kabały - musiał znać twarz i imię, i tylko czekał, jak się tu ze mną zabawić w całym swym okrucieństwie kocim, z rozkoszą kata.

- Zaraz wam tutaj, zaraz, zaraz... - Bureząc basowo, nachylił się nad stołem i skreślił na swojej karcie wizytowej słów parę, trzępiąc wpierw gniewnie w powietrzu stalowym piórem. - Kawaler będzie tak uprzejmym i odwiedzi nas przy najbliższej okazji, albo przynajmniej zaszczyci salon przyjaciół, o, tu zapisałem -

Huknął strzał za zajazdem. I drugi. Stary się bronił. Z jakiej on kabały, z jakiej gildii, konspiracji, tu, na naszej drodze, w przypadkowym przystanku od misji wieloletniej.

- Jezu Chryste! - Doktor Wencel na huk trzeci siadł na piecu prosto jak kijem dźgnięty.
- Paweł! Ja tu umieram! Tnij to wszystko!

- Armie poetów, arsenały epiki, zaciężne sny -

Prawą rękę z pistoletem wysuwając spod marynarki, w lewą przyjąłem kartę buldoga i jeszcze zanim podniosłem wzrok, by wymierzyć strzał podwójny w środek szerokiej piersi nieprzyjaciela, zdążyłem odczytać z biletu miano jego dwuświatowe:

KG. WILLO

IN DEN DIENST DES REICHES DER EWIGKEIT

W murach Ateny

Tymczasem - gnój.

Bieda, bo nie w rękach doktora Biedy spoczywa indeks Pawła.

I co my mamy z wami począć. (Taki zaśpiew, że w duchu wyrasta doktorom czapka czerwonego komisarza i skórzany płaszcz). Co z wami począć, Kostrzewa.

Paweł gapi się tępo. (Może tym zmyli).

Doktor Żeliwo, Arto, de biolo Artur. Ale się wyzerował. Więc Arto.

Rośnie moda po uniwersytetach. Postseksualiści, płęć zero. Wykluli się na socjologiach, literaturach, genderach - potem zarazili psychonomię i politainment - teraz ekspandują na miękką filozofię i kierunki kogito. Also, istnieje szczep nerdyczny: w matematyce, informatyce, teoriach Q.

Na początku żyli w niszy wielkomięskiej bohemy, dziewczyny szpecące się metalem w buźce, zielonymi włosami krzywo ciętymi, więziennymi drelichami, faceci niedomyci, zaspani, niedojadający, z głową zawsze w chemii, w ubraniach po własnych bratankach.

A potem już nie dziewczyny i nie faceci. Potem piercing i tatuaż zeszły na poziom genów.

Mają teraz swoje zony ducha, miasta na miastach, światy na światach odkluczane ich reputacją i kogito. Social szlaje, gdzie rozplywa się nawet pamięć i słowo i „ja”. Proteuszowe morza.

Twarz Arto ma szuflady i portmonetki, włosy Arto rosną w rafie koralowej, na kontynentach jego torsu płoną dżungle, czarna dziura genitaliów akreuje różowe tagi.

W liczbie pojedynczej polszczyzna nie ominie rodzaju -skiego, więc mówi się w mnogiej.

(Dialogi). Co wam pasuje, zer doktor, co wam pasuje. Ale, jak widzę, Kostrzewa, większość zaliczeń macie przepisanych z poprzednich kierunków. Wystarczyłoby wam się przyłożyć. A nawet nie przychodzicie na kolokwia. O czym mieliście pisać u Jerucka? O marszach Niebieskiej Księgi, zer doktor. No to pokażcie chociaż.

Westchnąwszy. Paweł wypruwa z siebie flaki i kładzie grzecznie na biurku przed Arto Żeliwo.

Takie sploty i zwoje:

Raz. Wszyscy żyjemy w cieniu potwora. W cieniu potwora, który jeszcze się do końca nie wyklął, ale już ugina żywoty wokół.

Widać jego wielki jak Jowisz łeb ponad horyzontem: inteligencja poosobliwościowa, AI po Technological Singularity.

Nie ma znaczenia, czy faktycznie nadejdzie. Nie ma znaczenia, czy prawda, czy fałsz.

Żyjemy w cieniu potencjalności, w dolinie fantomowej masy.

I każdy już ma zdanie, każdy się gdzieś odnalazł w tak odkształconej przestrzeni.

Ci, co zaprzeczają i zasłaniają oczy
Ci, co pogodzili się fatalistycznie
Ci, co uciekają i budują bunkry, w duchu i w gnoju
Ci, co wierzą w dobroć nowonarodzonych bóstw
Ci, co widzą w nich zagładę człowieka i walczą przeciw

Istnieje też stanowisko bardziej subtelne. (Dwa). Okay, Osobliwość nadejdzie, nie ma wykrętu, to przyszłość nieunikniona. Czego jednak w niej nie przesądono:

Kiedy nadejdzie
Jakiego sznytu AI osadzi na tronie

Pytanie: Czy mamy wpływ na te zmienne?

Jeśli mamy, najrozsądniejszą strategią człowieka nie będzie opóźnianie i walka z Osobliwością, lecz świadome jej przyśpieszenie. Tak, aby ścieżka ewolucyjna AI, która zacznie się realizować w momencie przełomu, nie była ścieżką przypadkową (w chwili minięcia mety na czele peletonu maszynowej autoewolucji może się znajdować AI dowolnego rodzaju), ale z góry przez nas wybraną ścieżką możliwie najkorzystniejszą dla człowieka: AI homofilnej.

Dialektyka posthumanizmu: najbardziej przerażeni Osobliwością najmocniej do niej prą. (Trzy).

A co stanowi kluczowy wyróżnik AI homofilnej? Kompatybilność językowa. Że da się z tą AI porozumieć obustronnie. Że znaczenia płyną w obu kierunkach.

Bo oczywiście każda samoświadoma inteligencja poosobliwościowa łatwo nas oszuka w teście Turinga.

Ale

(czwarty splot flaków)

zaczynając hodowlę AI w kierunku TS, nigdy nie wiemy, co dostaniemy na wyjściu. Nie sposób z góry zaprojektować takiej inteligencji post-TS. Wijąc się w pyle u jej stóp.

Chyba że.

Rodzi się i istnieje w języku. Nie istnieje poza grammi językowymi człowieka i maszyny.

Hence Wittgenstein. (Piątka).

No i co dalej, Kostrzewa? (Żeliwo przesuwają palcem worek jelita). Zdobyliście ich materiały? Kopie zarodni? Tego nie ma w duchu, nie publikują.

Bo to wyścig, zer doktor. Konstelacje i kabały technofilów grają przeciw sobie o reputację.

Kluby Startrekowe. Cykliści MIT. Psy Baskerville'a. Tongi Cesarza. Anonimizowane partie słoneczne. Każdy rzuca kośćmi, pisze własne skrypty.

Nie wypuszczą Książ Czarów z rąk.

Ale chciało wam się w ogóle spróbować? Coście w sumie zrobili?

Paweł wzrusza ramionami. Mana Drain, 0/100.

Nie ma napędu. Wyciekł wodór. Opony łyse, korba odpadła. Wiewiórki kicają po karoserii.

Po co, po co, po co ma zaliczać zdawać przedstawiać odpowiadać pisać uczęszczać zdobywać tytuły potwierdzenia punkty CV.

Czuje to w powietrzu krążącym w murach Ateny. Słyszy w echu kroków w wysokich korytarzach. Widzi w ruchach studentów. Już im się nie śpieszy.

Nolensum zalało fundamenty uniwersytetu.

Taki punkt - granica - pęknięcie gałęzi (trzask). Że od pewnego roku jest oczywistym dla wszystkich:

Studia to lifestyle

Nauka to lifestyle

Biznes to lifestyle

Uczelnia to zapychacz życia (kolejny)

Ujrzeli scenę, na której grają.

Nolensum chlupocze w budce suflera. C

o mi możecie polecić, zer doktor? Za dużo sypiam.

Komisarz wyjąłby teraz rewolwer i odstrzelił profana.

Nie macie nic lepszego do roboty, tylko ducha nam zawracać?!

Nie mam.

Akurat tak mnie konstelacje wymieliły. To zaszedłem. Z nadzieją, że coś zaiskrzy. Bo nigdy nie wiadomo. Nieprawdaż, zer doktor?

(Spostrzegł u Żeliwo monografię wentrylokwizmu zero i wciąga ją lewym nozdrzem).

Arto się odklejają. Inne telewizje nas rodziły.

Paweł sympatyzuje.

Jeśli rzeczywiście test odróżniający człowieka i maszynę stanowi rozmowa, w której człowiek rozpoznaje zza czarnej kurtyny na podstawie samych słów, czy niewidoczny interlokutor jest wystarczająco ludzki - to dziewięćdziesiąt procent tych konsumend, dla których produkujemy w Gejzerze codzienny sens życia, nie przeszłoby mojego testu Turinga. (To są maszyny).

A z kolei ich testy pasowałyby na człowieka algorytmy konwersacyjne psychoterapii albo byle bota zakupowego.

Człowieczeństwo to nie jakość zerojedynkowa. Nie istnieją uniwersalne testy Turinga.

Człowieczeństwo to szeroka fala Gaussowska. I jeden jej kraniec nie przyznaje się do drugiego.

A z czasem odpływają jeszcze dalej.

Zerowcy od płciowców. Żeliwy od Kostrzew. Petraseksualiści od proteoseksualistów. Gejdzowcy od statyków. Miasto globalne od lokalnej prowincji. Konstelacje od konstelacji. Dzieci od rodziców.

(To przyśpiesza).

Dawniej potrzeba było wieków. Teraz jedno pokolenie nie zobaczy przez lunetę następnego pokolenia.

Sąsiad sąsiada.

Bo co takiego z niego pojmują doktor Żeliwo, gdy patrzą na Pawła. Gdy wsysają przez słomkę jego duszę publiczną. A nawet gdy żyją Pawła życiem. Co pojmują.

Przyszedł, a mógł nie przyjść. Chce studiować, a nie chce. Czasami się uczy, czasami nie. Potrzebuje kwalifikacji - nie potrzebuje - równie dobrze mógłby uczęszczać w duchu otwartym.

Więc o co im chodzi, po co się zapisują, po co płacą czesne, czego szukają w murach Ateny, skoro nie wiedzy, nie legitu do pracy, nawet nie darmowego socjału.

Komisarz siedzi za biurkiem i czyści nagana. Strzępy mózgowy z przestrzelonych czaszek studentów zwisają ze ścian i sufitu.

IQ⁻¹

A więc dwadzieścia siedem lat i nadal nic.

Jest inteligencja, nie ma życia.

To my wam teraz powiemy, Kostrzewa. INTELIGENCJA JEST PRZECENIANA.

Ludzie wybitnie inteligentni bardzo często niczego w życiu nie osiagają.

Dlaczego? Właśnie dlatego, że są tak inteligentni.

Popatrz na swoją historię i powiedz, czy mamy rację. Czy nie.

Kiedy kształtuje się charakter, nawyki, kiedy wypalają się w mózgu ścieżki przyjemności, satysfakcji i szacunku - geniusz zazwyczaj nie musi się w ogóle wysilać.

Wszystko przychodzi mu bez pracy i bez napięcia. Bez ryzyka porażki.

Także podziw i respekt zdobywa nie dzięki temu, co robi. Nie dzięki pracy.

Zdobywa je dzięki temu, że jest, jaki jest.

Ma to darmo.

Aż dociera do punktu, gdy sama inteligencja nie wystarcza.

I co? I już nie potrafi się zdobyć na pracę nad sobą. Musi. A nie może. Nie nauczył się.

Widzi, że prześcigają go ludzie daleko mniej uzdolnieni. (Bo przysiedli fałdów).

Zaczyna gorzknieć. Nakręca w sobie sprężyny zawiści, snobizmów. Różnych dziwactw i paranoi. Wszystko to z pretensji i urazy do świata i ludzi.

Lecz zmienić całej swej osobowości - już nie potrafi.

Taki los superinteligentnych, Kostrzewa.

Często natomiast sukces osiągają ci, którzy startowali z handicapem.

Sama przeszkoda z czasem traci na znaczeniu. Jednak wypracowane na niej: upór, pracowitość, pokora, wiara we własne siły, zdrowe ambicje - pozostają na całe życie.

Mnogo a mnogo przykładów „geniuszy niedocenianych”. Albo pochodzących z niskich środowisk, z pokreconych rodzin, wychowanych w trudnych miejscach, trudnych czasach.

Poczytaj biografie wielkich, Kostrzewa. Nie mieli lekko.

Spółeczeństwo jednak samo wbudowuje w system katalizatory charakteru.

Kto jest królem szkoły? Cham mięśniak. Intelktualistów napierdala dla rozrywki.

Kotki też lgną do ciemnych typów.

Rozum leży na samym dole.

Nerdów depczą i opluwają.

Trzeba przez to przejść, trzeba.

Bo inaczej - co po rozumie?

Mózg możesz sobie wytrenować. Wyćwiczyć elastyczność umysłu, chłonność, ciekawość świata. Zdolności kojarzenia. Zwłaszcza pamięć.

Nad inteligencją da się pracować.

Ale za cholerę nie wyrozumujesz sobie charakteru.

Taki jest kres wszelkiego gejdzu: wola gejdżowania.

Czat mat: Konserwatysta

Gadu gadu gadu gadu. Gadu gadu. I jeszcze gadu. Paweł spotkał konserwatystę.
Wieczorek na zaproszenie przekopiwane ze szlai. Obce konstelacje. Zabrał Krysię.
(Romcom double feature).

Gawrzyły nie ma, sprawdził od razu.

Nic to. Będzie grał jak zwykle. Wciąż zdarzało się, że obroty sfer gwiazdnych
wypluwały Pawła na takie mody, na takie wody.

Czemu w ogóle go zapraszają?

Ba, na antypatię trzeba jednak solidnie zapracować. Tymczasem wystarczy się nie
odzywać i trzymać uśmiech.

Nie ma leniwych gburów. Odmowa zawsze wymaga pewnego wysiłku. Człowiek
lubiany przez wszystkich i człowiek nijaki to zazwyczaj te same osoby.

A tu -

Na takim wieczorku -

Ktoś kogoś oblał winem.

W duchu flirty i morfingi.

Na kanale smakowym cudze kubki. Kotka obok poraża solą na języku.

Paweł obserwuje dynamikę erotyczną przy stole. Częstotliwość spojrzeń, wybuchów
śmiechu, dotknięć ręki, kąty nachylenia głowy.

Istnieją nakładki.

Gdyby tylko chciał. W tę grę. (Krysię się włączy, włączy).

Bo tutaj prawie same proteoseksy. Każdy pożąda każdego. Anyway, mógłby pożądać.

Układ rozbija ów Gucio, który przemawia w publicznym.

Kotki się ekscytują: ach, ach, więc pan abstynent i w ciele, i w duchu! jaki prawdziel!
kamień na kamieniu!

Z seksu oczywiście na Kościół. Tutaj pokolenie hormonalnych apostatów: wyrosli z
religii, wyrastając z innych przyzwyczajęń i obyczajów domu rodzinnego czy innej startowej
konstelacji, ukożane dzieci Proteusza. Utrałł uśmiecchnąłby się z ojcowskim pobrażaniem.

Gospodarz podlizuje się Guciovi: petrakatolicy sól ziemi, fashion statement i full
service, królestwo na wynos. (Gadu gadu gadu).

A Gucio z flanki: Nie chodzę, bo mi się niedobrze robi. Jeszcze bym zwrócił kolację
pod krzyżem pośrodku nawy. Może gdyby u nas, jak na świecie, chadzało do kościoła kilka-
kilkanaście osób. Siadłbym sobie gdzieś w pustej ławie. Ale tu wałę stadami te stare dziady i
babki pomarszczone, i oni śmierzdzą. Jeszcze na jesieni albo wczesną wiosną da się
wytrzymać. Ale w upały czy w zimie - w tych płaszczach, futrach, szmatach! Nie wiem, w

ogóle się nie myją czy co. Na jedno wychodzi. Kościół - i cuchnie tym starym brudem. Stuletnim potem. No co ja poradzę, to fizjologia, nie wytrzymuję. W gnoju.

Szach i mat.

Gdyby się tam filtrował po zmysłach albo polatywał duchem, nie byłby już taki petra. Więc wszystko albo nic. Beton biolo.

Konserwatysta salonowy spojrział w otchłań i otchłań mrugnęła porozumiewawczo.

Paweł myśli sobie: Żebyż tak się dało! Wrócić do wiary dziecka. Nie z kalkulacji, ale szczerze. Do kości. Jak ci niewolnicy rybosomów, babki i dziadki woniejące.

No ale człowiek urodził się dziesięć lat za późno - i co teraz? Na głowy się nie zamieni.

A że pan konserwatysta nie konsumuje potem swych zdobyczy? Podryw ten sam.

Tyle zostało z katopolskich tradycji, co ze wszystkiego innego: moda.

Dodać należy, że Guccio jest w garniturze La Salvy i krawacie turbo, chodzi w aureolach Old Spice'a, pod flagami Diabolo-Venice, z zębami Toma Cruise'a i cieniem Aruja.

Dziwna rzecz: gdy Paweł odwraca od niego wzrok, natrafia na lustrzaną minę Krysi. Więc symetria - a nawet się na siebie nie gejdźowali. (Przynajmniej on nie).

Komentują na privie. Na litość, grano te sztuki jeszcze zanim przyszedliśmy na świat! Ty ich znasz? Nie znam, to kontakt nieoficjalny od klienta Gejzeru. Zobacz w publicznej: pół na pół kreatywi i mierzwa warszawska. Bardzo, bardzo nieświeże.

Paweł liczy w milczeniu warstwy cudzysłowów. Scena postawiona na scenie postawionej na scenie postawionej na -

Na którym piętrze gra ten cały Guccio?

(Może powinienem częściej wychodzić poza moje konstelacje. W cudze hierarchie reputacji, w języki odległych królestw. Może taka jest moda sezonu. O czymś przecież trzeba rozmawiać, mimo że o niczym nie warto rozmawiać).

Krysia jest bardziej nudliwa. Wydyma wargi.

Że co, że konserwa religijna retro? To nawet nie jest śmieszne.

Przeegrali w momencie przystąpienia do demokratycznej konkurencji.

Więc uważasz, że człowiek zaczyna się od poczęcia? Że to są morderstwa? A oni - to mordercy?

Zatem wchodzisz do pokoju i strzelasz im w głowę, wbijasz nóż w serce, chwytasz i walisz czym popadnie.

Nie może być innej odpowiedzi. To są mordercy i zapowiadają kolejne morderstwa i umożliwiają innym więcej masowych morderstw i nie odwiedzasz ich od tego słowami.

Ale nie strzeliłeś. Usiadłeś. Rozmawiasz. Podajesz rękę. Pozwalasz decydować większości.

Przegrałeś.

Zdradziłeś się przed demokracją.

Że to nie są mordercy.

Że ty jedynie odstawiasz przed ludźmi teatr.

I oni to widzą. I ty to widzisz.

I oni widzą, że widzisz.

Obojętnie, w staromodnej aborcji czy w każdej innej kwestii opartej na wierze lub tradycji - ten sam wybór na progu.

I przepadło. Zapaliły się światła w teatrze.

Można być liberałem, ale nie można być dzisiaj konserwatystą - jedynie grać konserwatystę.

Przecież my to wiemy, wie to Gucio i wiedzą wszyscy przy stole. Zrzucili z siebie tamte sentymenty dawno temu.

Co więc pozostało?

Różne konwencje fikcji.

Oraz mięso dobrze przypieczone. (Znak modnej kontrmody).

Potem na balkonie taki papieros z Guciem, *mano a mano*. (Dialogi). Czy to cię nie mierzi? Gucio strzepuje popiół do wnętrza dłoni. Mierzi? Jestem dobrze wychowany. Ale przecież zdajesz sobie sprawę, że trend zdechł pokolenie temu. Więc jaki w tym sens? Tu się Gucio dziwi. Sens? A kto mówi o sensie? A jaki sens żyć? Co za dziwne pytania! Posłuchaj, Paweł, konserwatysta to nie jest ten, kto się trzyma starych wartości - ale kto się trzyma JAKICHKOLWIEK wartości. Nie ma znaczenia, co powiem o Kościele, kanonach biolo, cenzurze ducha. Mógłbym na odwrót, dla nich bez różnicy. W sercu wszyscy jesteśmy Proteuszami. Jarają się tym, że w ogóle siedzę tu przed nimi i mówię: „Taka jest prawda!”, „Takie jest zło!”, „Taki jest człowiek!”. I mogą się wtedy zbulwersić, pokłócić. Wiesz, jaki to rarytas? Zapraszają mnie wszędzie.

I obróciwszy się plecami do nocnej panoramy miasta, rozpościera swoje konstelacje, galaktykę miliardgwieżdną, gotyckie skrzydła smoka.

Paweł tylko wzdycha. Ale ty o tym wiesz, ty o tym wiesz.

Jasne, że wiem. No i co z tego? Jestem dobrze wychowany.

Wot, dramat konserwy. Widzi, że świat się zmienia, że świat musi się zmieniać.

Jaka racja za tym, co było, a przeciwko temu, co będzie?

Że było? Pfch!

Że się przyzwyczailiśmy? Pfch!

Że kultura i tożsamość? A dlaczego akurat ta? Bo tak przyszliśmy na świat w cyklu zmian?

Że przeciwko ryzyku niesprawdzonego? Trzymanie się staroci w odmienionym świecie bywa jeszcze większym ryzykiem, i też jest z góry nie do sprawdzenia.

Zostają więc tak zwane odwieczne wartości. Które oczywiście nie są odwieczne. Ale definiują człowieka.

Jedyna różnica: wybieramy albo jesteśmy wybierani.

Konserwa: wierzy w człowieka lub wierzy w Boga.

Rezultat ten sam.

No conspiracy

A jednak pan przyszedł, panie Kostrzewa.

Minęła północ, mieli wychodzić, ale Krysia przepadła w szlai gospodarzy, a Paweł odkrył akwarium chińskiego plastu i bawi się jak dziecko. Goście przechodzą, wchodzą, wychodzą, wchodzą; dom otwarty. (Wszystkie domy są otwarte). Duch faluje usypiająco.

Rajmund Gawriło zaświecił Pawłowi już na schodach, lecz nie podali sobie rąk, zanim nie podali sobie rąk.

A jednak pan przyszedł, przyszedł pan.

Paweł pokazuje Gawriłe zamki piaseczników i plastowe rzeźby swojej twarzy.

Teatrum owadzie. Czasami wydaje mi się, że oprócz plai i szlai nic już nie pozostało na świecie.

Ilu przyznałoby panu rację, młodszy człowieku.

Fatagowiec przysiadł pod oknem, rozpiął marynarkę.

Skądś się śpieszył. W środku nocy, w gnoju. Trochę zasapany. Jakże kunsztowna szczerłość biolo!

Paweł wypił pół butelki czerwonego wytrawnego, nie odjeżdżował się, jest w nastroju *sentimentale & largbissimo* (zielone tagi).

Moja krew też tam krąży. Od jak dawna sprzedaję duszę, włókno po włóknie.

Wie pan, jak się produkuje plaje? Nie piękniej od kiełbas. Bierzesz schemat medium i zanurzasz go - nasmarowaną miodem formę - w tym gigantycznym zbiorniku, w puli

wszystkich zarejestrowanych i zalicencjonowanych modułów bodźców zmysłowych. Tak oto kompiluje się utwór. Po czym testujesz go na kretynach. Widzisz przepływy krwi i napięcia elektrycznego w ich mózгах; najważniejsze są te do ciała migdałowego. Następnie wymieniasz w kompilacji bodźce, które najslabiej dźgnęły ich neuro, i zanurzasz czerpak ponownie. I znowu testy. I tak powtarzasz operacje, aż otrzymasz plaję, która w danej niszy konsumend daje od początku do końca stuprocentowe pobudzenie, przyjemność na przyjemności, rozrywkę optymalną.

A na czym polega tu przewaga konkurencyjna? Na nowych bodźcach, nowych emocjach, bogatszej ich puli, głębszym rezerwuarze.

Bo to nasza krew spływa do tego zbiornika. A oni - oni z niego piją, piją, piją.

(Piaseczniki budują fortecę w kształcie popiersia Pawła).

Kreatywi też muszą mieć po co wstawać rano z łóżka. Ale od lat nie tknąłem żadnej plai.

Tylko szlaje.

Cóż, mam nadzieję, że nie popsulem misji waszej kabale. Kupiłem skórę razem z profilem.

Nie odwracając oczu od akwarium, Paweł emotuje z rezygnacją. Przepadło. Banda Trojga wystartowała tamten shard od Złotej Sarmacji, a teraz Habsburgowie trzymają burdel na Wawelu. Karma.

Ale przyzna pan, panie młodszy - gdybym nie poprosił pana w szlai, w ogóle by się panu nie chciało.

Ba! Nikomu się nie chce. W plajach tak samo. Nie ma linii oporu.

Przypatrz się pan arcydziełom przeszłości. Dramatom, poezjom, sztukom. Co dawało im podstawę? Co dawało tarcie?

Konieczności życiowe: forsa, bezpieczeństwo, zdrowie, dzieci.

Albo żądze.

Albo narody, klany, kolory skóry.

A teraz? (Tragedia kreatywów, wbij pióro w mózg). Teraz trzeba wymyślać coraz fantastyczniejsze cuda - albo w ogóle rezygnować z opowieści.

Nie ma linii oporu, na której można by oprzeć fabułę.

Za to w szlai - ach, w szlai wchodzi pan od razu w ten cień Misji, Fabuł, Intryg, Konspiracji. Tajny emisariusz, papiery z sekretami, zdrady i pościgi, skarbcie narodów i święte wojny. I wszystko jasne.

A nie ma konspiracji?

Nie ma konspiracji.

Paweł kiwa smutno głową, piaseczniki wodzą za nim zimnymi ślepkami. Ma pan na myśli Mateo. Prażny wszystko przekazał wzyź.

Oczywiście, że Mateo. Chodź pan.

Gawriło zawija Pawła w zaklęty dywan i ulatują ponad miasto nocy.

Mateo! Żeby on żyły sobie podciął! (Krzyczy Fatagowiec na wiatr, a dwumetrowe wąsy powiewają za nim niczym frędzle morskich anemonów). Żeby w łeb sobie strzelił! Z mostu skoczył!

Widziałeś, panie młodszy? Wszyscy widzieli.

Wlatują w samobójstwo Mateo Gawriły.

Poszedł chłopak kwiatki zrywać, na łąki zielone, na wieczór letni, w symfonie motylotacie, pod serdecznym spojrzeniem drajad i najad. Tu spoczął, tam przysiadł, ówdzie przysnął. Duszki dobropuszki tańczyły wokół, wyśpiewując mu ballady sielankowe. Słońce pulsowało na niebie na podobieństwo logo producenta serotoninowego gejdzu. Spoczął, przysiadł, przysnął. Najada podała mu w nagich dłoniach wodę źródlaną. Rozsrebrzył się świat i Mateo Gawriło razem z nim.

To znaczy - zdechł tam na swoim wyrze zapętlony od dwóch tygodni, że nawet nie chciało mu się wstać do kibla.

Paweł znowu myśli o Ilonie Rosie. Jeśli ona przejrzała mi duszę prywatną, to FATAGA tym bardziej.

Łyka krótkimi haustami powietrze twarde jak fuleren.

My tak pracujemy! (Krzyczy w odpowiedzi). W czasie spoczynku wysoka inteligencja koreluje z liczbą połączeń między odległymi rejonami mózgu. Im odleglejszymi, tym wyższa. Nowe idee rodzą się nie ze skupienia na zadanym przedmiocie - ale ze skojarzeń pozaprzedmiotowych. Wyskakują z przypadkowych spięć w czołowych i ciemieniowych płatach mózgu.

Nie możesz pracować, jeśli chcesz pracować. Nie możesz wymyślać, jeśli chcesz wymyślać. (Nie możesz chcieć żyć, jeśli chcesz chcieć żyć).

Wylatują ponad Wonderlandy i kosmosy, Iliady i baśnie arabskie, hedony i rezony. Na drugim planie - na planie astralnym - płoną na nocnej półkuli ogniska transmisji zakluczonych, konstelacje poziomu zero dwa, zero trzy.

Zażyłem i tego! (Gawriło wysuwa półmetrowy język, liże się po plecach). Smakowałem tę truciznę!

Dobrze wiem. Plaże i szlaje - tylko one wam pozostały.

A wszystko inne - nie do końca jest prawdziwe.

Naszkiecowane tylko z grubsza. Napisane bez fabuły, odegrane bez scenografii, wypowiedziane bez interpunkcji.

Przemyka wam przed zmysłami, bez indeksu, bez porządku, bez sensu

echa

hasła, tagi, gestalty

zbitki obrazów

migotliwie urywki scen

sprasowane rozmowy

ludzie bez twarzy i imion

dzień nadpisany na dzień

blady kolaż powidoków

słowa idee słowa

Wasze życie i opowieść o życiu jest już gdzie indziej: w duchu, w szlaj.

W niej się można zanurzyć. Ona ogarnia cię i pochłania i przebija błony zmysłów.

Ma początek i koniec, wagę i cel i nagrodę u celu.

A tu, tu macie tylko chaotyczne fontanny konfetti obrazów dźwięków zapachów.

Wiem! Posmakowałem!

To po to kupił pan Skeuta Red?

Żeby więcej takich Mateo nie potopiło się podczas przeprawy. Podczas przejścia na drugą stronę przez morze nolensum.

Czy pan mnie rozumie, panie młodszy? Muszę wiedzieć, że pan mnie rozumie.

Jak rozpoznać odbicie myśli w cudzej głowie? Że rzeknie mi „tak”? Że mi przysięgnie? To nic nie znaczy, to gesty mały.

Pan przyjdzie do mnie i przedstawi mi sam, co chcę panu opowiedzieć. Pan mi poda moje słowa, zanim je wypowiem. Po tym poznam, panie Kostrzewa.

Paweł doskonale pojmuje. Sam nie postąpiłby inaczej.

Nolensum to naturalny żywioł Proteusza, na falach tego morza panuje bóg Zmiany, bóg Wszechmożliwości. Nie ma dla proteoczłowieka drogi na skróty, musi przez to przejść.

Migracja w Państwa Zero Dwa i wyższe - to tylko środek, ćwiczenie. Prawda? Nie chodzi o banalne zamatrixowanie ludzkości.

Jak pan woli, panie młodszy - jeśli już spisek, to jest to SPISEK EGZYSTENCJALNY.

Niczego nie zarobimy. Nikogo nie pokonamy. Niczego nie zagarniemy. Nie wygramy

w żadnym wyścigu.

Co zrobimy? ODMIENIMY IM ŚWIADOMOŚĆ.

Ale - jak? jak? jak?

Paweł wywija salto w powietrzu, wrywa dywan spod Gawriły, kotłują się tam w przestrzeni ponad przestrzeniami, a z upitego ducha Kostrzewy kalejdoskopują procesjami aeropagami pochodami cmentarzami

gospodynie domowe modujące się w rośliny

wybrandzlowane z Erosa przedszkolaki

konsumendy od rana do nocy zanurzone w plajach

plemiona afrykańskie zarażone religiami królestw Zachodu

proteoseksualiści zakochujący się w lodówkach i liczbach nieparzystych

piękności wychodzące z salonów ciała z upgrade'ami do upgrade'ów

pierwszy tysiąc niemowląt z genami nieśmiertelności

hormonalni niewolnicy kultów gadżetu

irrealiści, spirytianie, hedokryci, destrukcyjniści

Ilona Rosa

staruszkowie bezzębni

Wszyscy toną toną toną toną toną.

Stop.

Starczy.

Stanąwszy z powrotem na nogach. W półmroku pokoju akwaryjnego, w poszumie nocnym, w szeleście towarzyskim.

(Soundtrack: Swerlin').

Widzi pan, jak bardzo jesteście mi potrzebni.

Armie poetów, arsenały epiki, zaciężne sny.

Po czym pana rozpoznałem, panie młodszy?

Paweł patrzy na Rajmunda Gawriłę, jak patrzyłby na przywódcę swojej drużyny przed Misją. To fakt, musi wejść w szlaję, żeby poczuć fakturę życia. (Prawdziwe nie jest dość prawdziwe).

I odruchowo wywiesza teraz flagi Konspiracji, Gnozy, Hardkoru.

Ten petraczłowiek, ten starzec biolo grał przecież naprawdę - w miliony i miliardy euro. Jeszcze gdy ekonomia była tu sprawą życia i śmierci. Gdy pieniądź był koniecznością życiową. Rewolwerowiec, który przeżył, chociaż nie powinien był, przeżył i wszedł w kogito Farmera.

Wykupienie softu jurystycznego Skeuta Red to przecież także hazard epicki. Ów gigantyczny brylant własności intelektualnej natychmiast straci całą wartość, gdy tylko wycieknie do ducha publicznego. Skeut go sprzedał, bo już nie miał krwi kredytowej. Lata pracy nad projektem go wykończyły.

Ileż paradoksów nierozwiązywalnych musiał rozwiązać!

Kompatybilność praw tego samego podmiotu na różnych poziomach
ducha

Zapętlenie praw własności (posiadany posiada posiadającego)

Wiecznopłynność konstytucji Państw 02+

Arbitraż ekonomiczny

Projekcje praw ducha na gnój

Sprzeczność prawa z lokalną fizyką

Paweł docenia arcydzieło. Gildie męczyły się z tym w szlajach od lat. To wielka rzecz. I krucha jak zamek z kryształu. Wystarczy jeden wyciek kodu - i nikt już na nim nie zarobi.

Więc hazard na kilkaset milionów. Gawriło ma jaja jak gwiazdy neutronowe.

Wdech-wydech. Okay.

Jeśli zdam. Jeśli opowiem panu pańskie sny. To nie będzie poziom Gejzeru. Pan werbuje kreatywów do szachrazady królestw.

Do kreacji człowieka.

Co dostanę w zamian?

Gawriło po raz trzeci podaje mu rękę.

Jedno słowo: NIC.

I wychodzi.

Pod Pawłem uginają się nogi. Uśmiecha się, ale słabo. Siada. Krzesło twarde, wszystko twarde. Inhalator wpada mu w dłoń - wyrzuca go przez okno.

Stary Gawriło przebił go na wylot.

Kusiciel nolensowy nie oferuje nagród tryumfów bogactw satysfakcji.

Kusiciel nolensowy oferuje WYZWANIE.

Nagrodą jest sama możliwość pokuszenia. Przynętą jest szansa klęski.

Po czym mnie rozpoznał? Gdy tylko dostał sygnał od Prażnego, rozpruł mnie jak Rosa. Dziesięć razy głębiej! Rozpoznał mnie po tym, że ja rozpoznałem jego Mateo - rozpoznaliśmy się nawzajem. Musiał podać rękę.

Zanim się tak samo wykrwawię po liniach najmniejszego oporu.

Podać rękę. Zadać fikcję.

Nie ma znaczenia, że sam wymyślę. Nie ma znaczenia, że pic, i że wiem, że pic. Co z tego. To nie Coca-Cola Lucky Strike Visa Master Card American Express. To epoka świętego fałszu. Wszystkie fikcje szczerze przeżywamy, nawet jeśli sami je produkujemy.

ZWŁASZCZA jeśli sami je produkujemy.

Cokolwiek by sobie Paweł mówił i obiecywał i na jakie gejdże zrzucał - wie, że wejdzie w tę Morię. Wymyśli i przeżyje, wymyślone.

(Nie miałem tego nawet w duszy prywatnej. Nie miałem. On mi to dał).

Przyciska czoło do zimnej ściany akwarium.

Piaseczniki mają twarze Gawriły.

IQ^-1

Inteligencja odzwyczała cię od uczciwości.

Żyjesz między nimi, ale jak za szkłem matowym albo pod maską.

Ich widzisz jasno i wyraźnie. Oni ciebie - tylko w części.

I wiesz o tym. Że jest taka część ciebie - zachowania słowa uczucia myśli - która dla innych pozostaje niewidoczna.

Inteligencja to rodzaj czapki niewidki.

Bo nawet jak cię widzą - myślą, że widzą co innego, niż widzą. Tyle, co potrafią pomyśleć i zrobić sami.

A ty się poruszasz za tą zasłoną. Robisz dzikie miny i pokazujesz im wała. (Nie widzą).

Tak zwane sytuacje towarzyskie: wbijesz szpilę, oczernisz, poniżysz, spowodujesz zdradę i cierpienie - bezkarnie, bezwinnie.

Bardziej inteligentni od początku żyją w nieustannym teście moralności: jak się Iks zachowa, gdy nikt Iksa nie widział, nikt nie słyszał, nikt się nie dowiedział. Etyka bogów.

Aż spotykasz kogoś, kto widzi, słyszy, wie. (Gawriło).

Drugi taki jak ty. Lub nawet bardziej. (Gawriło).

Nagle alarm. On mnie ujrzał naprawdę! On mnie ujrzał całego!

Czyli jakiego?

I po raz pierwszy musisz zasymulować w głowie niezakryty, niezamaskowany obraz siebie. Jakim jestem w jego oku - tego, który przejrzał miny, półsłówka, aluzje, pozy.

Co za ból!

Moment ucziwości po tylu, tylu latach.

(Pękła czaszka).

CZEŚĆ DRUGA: TEATR

Finis familiae

Spożywa właśnie dziecię demona w wiosce księżycowych kanibali - i kto się wtrynił przed zakąskę?

Kacper.

Aż się Paweł dźwignął z kąpieli.

Co za alarmy! Spokój ducha mi tu!

Kacper panzer prze wskroś chmur i błękitów. Srogie flagi wokół: Powaga, Dom, ŻycieŚmierć.

Paweł zerka na konstelację rodzinną. Tagi powierzchniowe wskazują na matkę.

Skacze w prywatną. Kacper stoi w przedpokoju, zagląda do jadalni, skąd dobiega podniesiony głos matki. Rwie się i łamie. W szloch.

Nawet koty się wystraszyły, czmychnęły do kuchni.

Drama, Pawluchna. Spróbuj, może ty ją ułagodzisz. Spazmy prawie. Matuchnę trafiła Wierzba.

(Siostra jest Wierzba, tyle płakała, najmłodsza).

Co, wyjdę jej ze słuchawki, z ekranu?

Nie bądź buc. (Rzecz Barry White). Rusz się w gnoju.

Rusza się. Lecz tymczasem - dramy ciąg dalszy.

W drodze Paweł obserwuje wewnętrzną dynamikę konstelacji. Właściwie nigdy dotąd nie interesował się tym fragmentem nieba. Teraz odkrywa dokoła Wierzby całe nowe gwiazdozbiory.

Prawda, Nico Marsylczyk, dzieci - ale wcale nie one najbliżej.

Konstelacje Wierzby zaczynają nabierać sensu dopiero w 3D, a astronomia serdeczna tak naprawdę wychodzi na jaw w 4D i 5D. (Paweł duszny-zaduszny kontempluje w kołysce bentleya miesiąca).

Nie zabrała ze sobą Nico w zeszłym miesiącu, bo to małżeństwo to cienka plaja, gwiazda trzeciej wielkości, u niej takich tuzin.

Owszem, jest jego żoną (sorta).

Jest też żoną syjamów-zerystów z Tunisu.

I jest proteomężem Iwony samplistki, ćwierćpłciowej i czteropaństwowej.

Z którą ma inne dziecko, adopta na Śląsku (jedna szósta przyznanej opieki).

I jest córką-siostrą w daisy-chain komunie w szlai Free Love Forever 1969.

I ma nowego ojca, z kogito AI, podpisanego w publicznej jako jej prowadzący terapeuta.

I jest senior partnerką w otwartej polis Hento na zwyczajku królestwa.

(Nie interesował się).

Kto opowiedział matce? Przecież by nawet nie zrozumiała. To wymagało wysiłku.

Zatem z kim się nasza Wierzba znowu pogryzła? Kacper rozkłada ręce. Był tu twój Andrzej, jego pytaj. Ale Andrzej jest bezdechny, musiałyby ciężko fedrować do takich informacji. I po co, po co? No nie wiem. Ale widzisz, jaka awantura. Zaczęła wydzwaniać do Nico i jego plemienia.

Konstelacje Nico też rozłożyście. Rozhuśtany na falach Proteusza, ma tam mężów-ojców-braci-siostry-córki-żony (sorta).

Zresztą wrzucił swój genom do publicznej, może mieć rodzeństwo i potomstwo na każdym kontynencie.

Przed progiem Paweł wyciera buty na wycieraczcze. To go otrzeźwia. Zasnęte błoto. Grudy liści i trawy. Żwir. Drewno, kamień, beton, metal; stare i starsze.

Wchodzi. (Soundtrack: *Pryzmata II*).

Matka zaciska wargi. Histeria w cuglach. Masz, napij się. Gorąca herbata z cytryną. Bo wieje i zimno. (Nie zauważył).

Mamo, posłuchaj, to wszystko nie tak.

Wiedziałaś! Wiedziałaś! Kłamałaś mi jak oni!

Paweł czuje, jak opuszczają go wszystkie języki. Duch Święty wystąpił z ciała.

Czy wiedział? Nie interesował się.

Czy kłamał? Wysoki Sądzie, nie potrafię odpowiedzieć na to Pytanie.

Próbuje inaczej.

Przecież oglądasz telewizję, wiesz, jak inni żyją. Nie opowiadała ci, bo pewnie właśnie nie chciała denerwować.

Spodziewał się linii frontu na CoLudziePowiedzą i ObrzaBoska, ale matka zaszła z flanki:

Jak ona musi cierpieć! Co jej się stało! Kto jej to zrobił!

(Posłać husarię na ratunek córeczce!)

Paweł próbuje jeszcze inaczej.

Może po prostu nie rozumiesz jej, nie rozumiesz nas. Co? Przyjmij, że nie zrozumiesz, i uwierz w inne szczęście.

Ale dlaczego UKRYWACIE! Dlaczego nie możecie mi POWIEDZIEĆ!

(Ileż razy próbował. I teraz próbuje. I próbuje).

Opuściły go języki. A nawet gdyby nie - właściwie co miałby jej rzec?

Nie ma takich słów, bo nie ma takich pojęć. Zbyt mała jest wspólna część zbiorów.

Za często się gejdżował do obcej mu empatii. Za często - a może właśnie za rzadko - szprycował się oksytocyną & co., coś dziwnego dzieje się tu z Pawłem. Kiedy tak siedzi z matulą-katulą przy stole nakrytym białym obrusem, pod krzyżem i jej zdjęciem ślubnym, w zapachu forniru i masła.

Bąbelkuje mu spod skóry potężny nastrój: samotny koń na zimowym polu - bagna we mgle i klucz gęsi ponad bagnami - skowyt psa zamkniętego w betonie - nagły ból po zerwaniu plastra.

Znajdujemy się na scenie; i widzę tę scenę, siebie z matką na niej, z coraz większej i większej odległości, niczym przez odwróconą lunetę.

Logoff, login, logoff.

NIE INTERESOWAŁ SIĘ.

A dlaczego się nie interesował?

Bo tak naprawdę to wszystko nic go nie obchodzi.

Że obraca się w konstelacji rodzinnej - przyjeżdża tu na święta, na tradycyjne urodziny maluchów, podobne okazje - to wyłącznie siła inercji, rykoszet genetyczny: bo się tutaj urodził, bo dzieli z nimi geny.

Ale dzieli geny także ze ślimakiem winniczkim.

Odejmij to. I odejmij pamięć dzieciństwa. Teraz, w drodze do nieskończoności, te kilkanaście lat to przecież ułamek bliski zeru.

Odjąłeś. I co pozostało?

Nic.

To są obcy ludzie. Albo i nie ludzie. Nie masz z nimi o czym rozmawiać. (Z Wierzbą może - o pracy). Nie masz z nimi jak grać. (Z Wierzbą może - przeciwko nolensum). Nie masz z nimi jak żyć.

Tylko udajesz. Trwasz w potwornym zakłamaniu.

I po co? Po co? PO CO?

Jeszcze chwila i ciśnienie nastroju rozerwie go na strzępy. Teraz Paweł czuje fizycznie: każde wejście w konstelację rodzinną to jak dekompresja ryby głębinowej. Znalazł się w środowisku naturalnym innego gatunku. To dlatego słowa się nie przedzierają. Specjacja już nastąpiła - między ceratami, firankami białymi, kiszoną kapustą, kocim moczem i męczeńską siwizną matki. Paweł tutaj zginie, zginie. Zjedzą go papucie filcowe i sztuczna szczęka.

Wstaje, odstawia herbatę, wychodzi. Steady Hands +3.

Opada go Kacper, chmura natrętnych much. Co robisz, co robisz, co robisz, nie zostawiaj jej! Buczy basowo.

Paweł go wymazuje. Zmienił bieg planet, Kopernik zastąpił Ptolemeusza, rewolucja wstrząsnęła firmamentem nieba. Konstelacja genetyczna Pawła, w starożytnych atlasach podpiswana jako Rodzina, *Familia*, rozprysła się w najdalsze zakątki wszechświata. Jedna czy dwie gwiazdki migoczą blado, reszta - pufff!

Wsiada do samochodu; nie może pojąć, po cholere tu w ogóle przyjechał.

Wyjeżdża na główną drogę wsi.

I co widok przez szybę, to gotowy imprint do archiwów Pawła: te ugory, te dachy, ta szarość pól, te maszyny stetryczale, ten gnój, gnój w gnoju.

A przecież spędził tu tyle lat, tysiące razy przeskakiwał każdy rów, potykał się o każdy drut zardzewiały. Teraz zaś: pejzaże templates, wieś pod tytułem „Wieś”.

Nigdy więcej nie ujrzy jej na oczy.

Soundtrack: *Bohemian Rhapsody*.

Zakręt. A za zakrętem - Qqsyn pedałuje poboczem.

Andrzej, ty pojebie. Co cię napadło, jaki jad przegryzł?

Nieziemiona rozmowa prędko eksploduje w *staccato* równoległych salw słownych. (Dialogi, szybsze). Co mówiłeś wtedy - sprawdziłem. Co sprawdziłeś, idioto. Jak ty żyjesz, jak wy żyjecie. A co za interes masz, żeby na siłę uświadamiać. Wyszło z rozmowy, zapytałem, myślałem, że - zresztą, jakbyś się przejmował. A rzeczywiście, idź i nawracaj, droga wolna, duch mój tu nie postanie. O kurwa, jaka plaja. Właśnie koniec plai, szukaj mnie na drugim brzegu. Że co? Że ty? Że jak tak można - syn zostawia matkę starą. Nie zostawiam. Trzeba, to zapłacę, długi uiszczę, rachunki wyrównam. Jaki szczodry! Łyzeczką z nieskończoności! A idź, gówno mnie to. No to czemu tak się rzucasz, co? Obchodzi albo nie obchodzi, zdecyduj się. Ty pojebie.

Nie wiadomo, jak kiedy kto komu - cios za cios, i pada Paweł w błoto.

Zafascynowany doświadczonego szokiem - adrenalina w realu! - nawet nie chwytą

oddechu. Knockdown 5s, All Skills Disabled.

Leży pod szarym niebem, Doctor Who pochyla się nad nim z troską, archanioły królestwa zstępują z łóż widokowych, i przez szum ich skrzydeł Paweł słyszy klekot łańcucha roweru, na którym Qqsyn oddała się, klnąc gniewnie pod nosem.

Taki sam jak wszyscy! Taki sam jak wszyscy!

To prawda.

Co widzi Andrzej, co widzi wieś: banał nad banałami, Koh-i-Noor banałów.

Syn dorasta, wyjeżdża na nauki, osiada w mieście, zapomina o domu rodzinnym, zapomina o rodzicach, niewdzięcznik, i tak umierają w samotności, relikty w świecie reliktyw.

(Poszedł we łbach grzebać i we łbie ma nasrane!)

Pomiędzy oddechem i oddechem, zanurzony w gnoju jak we śnie, Paweł nareszcie przyjmuje żyletkową komunie od Krystyny Tusz: nie będzie wolny, dopóki nie złamie ręki dziecku.

Dopóki nie złamie treningu biolo.

Dopóty w sercu pozostanie wyrodnym synem niewdzięcznikiem.

A zatem -

Wstaje. Dłoń sięgnęła po zapominajkę i dłoń się cofnęła.

Przełyka ślinę pomieszaną z krwią z przygryzionej wargi. Przyjął do serca nowego Boga.

Nie ma Paweł rodziców. Nie miał, nie ma i nie będzie miał ojca matki siostr braci siostrzeńców kuzynów ciotek szwagrow synów córek wnuków żon mężów teściów zięciów.

Ma znajomych.

Munchkin way

Czy inni nie przebyli przed nim tej samej drogi? Wierzba, Kacper, Staszek. Czy przynajmniej widzą scenę, na której występują?

Ale nawet jeśli w podobnym kierunku zmierzali, to inne wiatry ich pchały.

Staszka - wojsko: zakon RPG realu.

Kacpra - miastowa kotka.

Wierzbę - kompleks najmłodszego dziecka, wściekła ambicja wykarmiona na zawiści i lęku przed własną słabością. Paweł zaś nie miał ambicji. Pawłowi się nie chciało.

Nie chciało się chodzić do szkoły, nie chciało się uczyć. Ganiał po polach i lasach okolicznych, gapił się w telewizję, podpatrywał sąsiadów, bawił się w wiedźminy, gangsterów i zombies, bawił się, bawił się wszystkim. Z Andrzejem, z innymi dziećmi wsi.

Było ich kilkanaścioro. (W każdej wsi jest). Zbierali się i rozpraszali w skurczach i rozkurczach spontanicznej dynamiki stada. Jak psy bezpańskie. Jak ławice piranii.

Ponad płotami i błotami ścigały ich serdeczne klątwy dorosłych: CoZNichWyrośnie!
ZaMoichCzasów!

Wszyscy dobrze wiedzieli, co z nich wyrośnie, bo wyrastało od pokoleń to samo: pokolenie poprzednie w lepszych ciuchach.

Potem Paweł poznał klątwy wyższe. (Magię pałacową).
PowielaniePatologiiStrukturalnej, DemograficznaPułapkaCywilizacyjna.

A istnieli też dobrzy czarownicy, arcyomagowie z zamorskich wież perłowych. Oni wymyślali, jak zdjąć z dzieci te klątwy. Odczarować zatrutą krew ojców ich ojców.

Bawisz się? Baw się!

Grasz? Graj!

Zaprawdę, nie trzeba niczego więcej.

Amerykanie i Chińczycy realizują tak projekty cywilizacyjne. GOSPODARKA RADOSNA rozkwita tęczową bańką wokół wyrobniczej-cierpiętniczej gospodarki gnoju.

Paweł jeszcze pamięta z dzieciństwa reklamy w telewizji.

Jak te nacelowane na grubasów, grubasów, których nie stać było na wciąż drogie wówczas genkuracje. Nieszczęsne ofiary DNA jaskiniowców w żaden sposób nie zdobędą się, by zrzucić nadwagę. Ale te same ich diety i ćwiczenia uczynią grą, zmień w pasjonującą konkurencję, podaj w liczbach, stwórz jasne hierarchie, nagradzaj każdy krok i każdy dzień reputacją - i schudną przy okazji, niechcący. Grając.

Jak trudno zmusić ludzi do bezinteresownej kooperacji dla wspólnego dobra! Ale niech współpracują nie dla owego dobra, lecz dla samej frajdy współpracy w grze. Cel osiągną (przy okazji), a tymczasem stworzą gildie, wikipedię, armię, korporacje, Państwa Ducha.

Nie skupisz też dzieci na jednym zadaniu na dłużej niż chwilę, wszystkie już cierpią na ADHD. Ale wciągnij dziecko w grę, a nie będzie sypiać, byle zdobyć miecz o jeden punkt lepszy, byle pokonać potwora, którego nikt nigdy nie pokonał, zostać bohaterem słynnym na całą szlaję.

I co osiągnie PRZY OKAZJI?

To zależy wyłącznie od przemyślności projektantów gry, kreatywów startowych. Od

podszeptów dobrych czarowników.

Bruksela wyłożyła fundusze. Europejski Program Emancypacji Socjalnej rozciągnął się na Śródziemie, Hyperboreę, królestwa Narnii i Świata Dysku, na imperia galaktyczne i średniowieczne pola bitew, na dziewiętnastowieczny Londyn wampirów i wiedźm, na siedemnastowieczną Sarmację Zagłoby i Kmicica.

W Chinach tą metodą masowo kształcą i wciągają do świata Proteusza dzieci wieśniaków z północy.

W Ameryce - Murzynów i Latynosów z gett, a także milionowe populacje więzień.

W Polsce zaś - prawniki pegieerów.

Paweł miał sześć lat, gdy zniszczył flotę i planetę Robali. Osiem, gdy pociągnął komando elfów do najgłębszych lochów Mordoru. Dwanaście lat, gdy zbudował korporację multigalaktyczną.

Kiedy nie chodził do szkoły - a nawet kiedy chodził, duchem i tak będąc na lekcjach nieobecny - prowadził wojny, stawiał miasta-twierdze, przewodził radom nadzorczym, negocjował pokój między państwami, planował strategie szturmowe przez czarne dziury i szczeliny czarnej magii.

(A munchkin way of life.

Potem już tylko nolensum).

Wstaje o świcie, myje zęby, sprawdzając operacje gildii z innych stref czasowych, kto wykonał zadanie, kto zawiódł, co się wydarzyło na frontach, jak zmieniły się ceny magicznych pierścieni i generatorów pól siłowych, jakie plotki krążą w komnatach aliansów, idzie nakarmić zwierzęta, a obora jest zamczyskiem klanu bałkańskich wilkołaków, stuletnie psy w żelaznych zbrojach wprowadzają go do sali kolumnowej, czeka świta człowiecza, czekają nadzy wodzowie, Paweł prezentuje insygnia, obnażają kły, negocjuje aneksję królestwa podziemi, dojąc krowy, podbierając jajka kurom, przy śniadaniu zaś, którego straceńcza obfitość stanowi dla matki podstawowy rytuał dnia, obserwuje z orbity Saiussa IV lądowanie na dryfujących w lawie diamentowych wyspach ciężkich krążowników z piechotą androidową, po czym awataruje się tam w sześciorekietowego mecha i z pełną drużyną złożoną z weteranów Bandy Trojga zstępuje do wnętrza wulkanu-skarbca miliardletniej AI ze wszechświata lustrzanej symetrii bozonowo-fermionowej, rajd trwa ponad sześć godzin, biegną po kilometrowych strunach topniejącego szkła nad oceanami ognia, w brylantach wielkich jak miasta walczą z nieskończonymi zastępami rycerzy von Neumanna, szturmują fortece FTL-owych mózgow przedwiecznej matematyki, z rozłupanych panczerzy niehumanoidów mechów wyjmują rozpalone wnętrza plazmowe, skarby obcej robotyki, które następnie

wmontowują w swoje pancerciała, Przez długie minuty bawiąc się w arkuszach kalkulacyjnych takimi i innymi kombinacjami współczynników, liczba możliwych konfiguracji jest prawie nieskończona, a każda konfiguracja oferuje nowe wspaniałości, inne moce, fantastyczniejsze Osiągnięcia, i czasami zdaje się małemu Pawłowi, że największa przyjemność, a więc i sens najgłówniejszy szlai zawiera się właśnie w owym modelowaniu potęg, które pozostają zawsze tuż poza zasięgiem gracza, w marzycielskim strojeniu super-hiper-spec potencjalności, w kolekcjonowaniu unikalnych artefaktów dla samego ich kolekcjonowania, dla sycenia się wyobrażeniem, co MÓGŁBYM zrobić, gdybym zebrał wszystkie sto Klejnotów Xuga, cały tuzin sprzęgów V-96, komplet szyfrów kwant-tantrycznych, i tak upływają mu kolejne godziny, i kiedy w końcu gildmistrze Bandy Trojga docierają do odwróconej kawerny postperowskitowej, w której bije zmiennowymiarowe serce boga ur-fizyki, matka ciągnie Pawła za uszy do kościoła albo do sklepu albo do sąsiadki, albo po prostu na obiad, i bitwa straszliwa toczy się na talerzu z kopytkami z cebulą, w górze wiszą dziesiątki tysięcy widmowych obserwatorów z całego świata, wszystkie gildie i strefy czasowe patrzą, jak drużyna Pawła włamuje się do kieszonkowego wszechświata pełnego artefaktów pochodzących sprzed ostatniego nerfingu fizyki, pełnego boosterów i bomberów stworzonych, zanim czas oddzielił się od przestrzeni, gdy jeszcze wszystkie cztery moce natury mieściły się w jednym języku, power to the people of Kos, i usadzony przy oknie, w które monotonicznie bije wieczorny deszcz, obierając zamokłe ziemniaki pod szaro-brunatną ikoną błotnistego podwórka, Paweł dogląda podziału łupów oraz koordynuje budowę reprezentacyjnego miasta-domu Bandy Trojga, które zawisnie między światami na fundamentach najwyższych magii-technologii każdej ze szlai, tam prowadzi będzie negocjacje dalsze: o władzę, o zasoby naturalne (nienaturalne), o strefy wpływów i kształt każdego ze światów ducha, kształt gry - albowiem najmniejszy ruch w grze grę od nowa tworzy, a im kto mocniej wpływa na kierunek rozgrywki, tym głębiej rzeźbi samą postać świata, na tym wszak polega różnica między plają i szlają, że w tej drugiej nie możesz być jedynie odbiorcą, chcąc nie chcąc, kreujesz dla siebie i innych nowe, niespodziewane doświadczenia, każdy dzień jest inny, każda rozgrywka zaskakująca, każda interakcja nieprzewidywalna, wszystko płynie, wszystko się zmienia, witajcie, dziatki, w kraju Proteusza.

Tak się bawił, tak się bawił, tak się bawił.

(Wspomnienie z dzieciństwa Pawła, wspomnienie z dzieciństwa *Homo proteo*).

Ucieczka od matki ojca domu wsi sąsiadów Qqsynów błota gnoju zdarzyła mu się tak samo jak wszystko inne w życiu Pawła Kostrzewy:

Niechący. Mimo woli. Przy okazji.

Nie skończył podstawówki, a spółki kreatywów kusily go kontraktami na wyłączność.

Znali go z REPUTACJI.

(Dyplomy i tytuły to atrapy kompetencji. Stosuj, dopóki nie masz rzeczywistego dorobku.

On miał).

Coś jednak przecież zadecydowało na samym początku.

Wszystkie dzieci się bawią, wszystkie dzieci żyją przede wszystkim w duchu; na ziemię sprowadzamy je przemocą. W czym miałby więc Paweł być wyjątkowy?

Na czym polega ta szczególna cecha umysłu i charakteru?

Że byle skrawek plastiku - a dłonie już sięgają, już wykręcają kształt koślawy w potwory rycerze kwiaty trąby bomby transformersy, a mózg eksploduje fontannami kolorowych kłamstw.

Co to jest?

Skąd się bierze?

Czym się żywi?

Nie był też Paweł autystą-ekapistą niezdolnym do współżycia z innymi ludźmi. Nie ma szlai bez współpracy, życie społeczne jest grą, gra jest życiem społecznym.

Nie opuszczając gminy-padliny, oplótl był konstelacjami znajomości Polskę i świat.

Nowe mapy nieba

Zaczyna się od prostej funkcji ważonej.

Przyjrzyj się swojemu życiu i każdemu kontaktowi z innym człowiekiem przypisz numeryczne wartości:

czas trwania

intensywność

częstotliwość

korzyść praktyczną

odczuwaną przyjemność

chęć ponowienia

Teraz przedstaw sobie tę sieć połączeń w postaci graficznej. Proporcjom numerycznym odpowiada wzajemne położenie w sieci oraz grubość łączących osoby linków

strun synaps żył.

(Tylko takie odległości mają znaczenie. To są prawdziwe dystanse międzyludzkie.

Nie metry i kilometry gnoju).

Ty zawsze znajdujesz się w centrum. Wokół ciebie - twoja konstelacja.

Zmienia się w czasie. Aktualizowana w miarę jak zmieniają się twoje priorytety i tryb życia. Gwiazdy przesuwały się po nieboskłonie. Gasną i rozbłyskują.

Mrugnij - ułożą się jeszcze inaczej. Możliwych konstelacji jest nieskończenie wiele.

Zazwyczaj wszakże obracasz się w czterech, pięciu, sześciu głównych.

Jedna jest konstelacja genetyczna

Jedna lub dwie lub trzy konstelacje przeszłości (znajomi z minionych etapów życia, których nie porzuciłeś za sobą)

Jedna lub dwie konstelacje hobby

I jedna konstelacja pracy

Pozostajesz w nich punktem wspólnym, lecz ich gwiazdy rzadko się mieszają. Konstelacje tworzą relacje nieprzechodnie. (Znajomi twoich znajomych nie muszą być twoimi znajomymi).

Gwiazd pierwszej wielkości świeci cztery, pięć. To te, które obserwujesz na co dzień. Poświęcasz im trzy czwarte uwagi.

Gwiazd drugiej, trzeciej wielkości - tuzin może.

Jeszcze słabszych - w sumie półtorej setki. To constans, więcej mózg nie obejmie. Choćbyś był królową-matką, duszą towarzystwa, swatką powiatową. Na stu pięćdziesięciu łamią się gildie i kabały, po stu pięćdziesięciu spółki kumpelskie morfują w bezosobowe korporacje.

Gwiazd krótkookresowych - komet, planetoid na ekscentrycznych orbitach, supernowych - możesz zaś mieć nieskończenie wiele. Konstelacje zmieniają się nieprzerwanie.

Te główne - rzadko obejmują więcej niż dziesięć gwiazd każda.

Te tymczasowe - obracają tysiącami, dziesiątkami tysięcy ciał.

(Policz, z iloma ludźmi miñałeś się na ulicy. Z iloma wymieniłeś w duchu słowo obraz myśł wrażenie towar skrawek duszy.

Dzisiaj, wczoraj, w zeszłym roku, w życiu).

Nie zwracasz na nich uwagi, nie pamiętasz, a przecież są ważni. Im gęstsze te sieci tła, tym łatwiej utrzymać głowę ponad powierzchnią nolensum.

Im większa dusza publiczna w proporcji do duszy prywatnej - tym wyższy poziom

serotoniny.

Niektóre z konstelacji odbijają nawet położenie ludzi w przestrzeni fizycznej: konstelacje lokalne, geotagowany socjal królestw.

To jednak mniejszość. Na co dzień odmienne reguły rządzą astronomią ducha.

Te same gwiazdy oddalają się i przybliżają, gdy inaczej ustalisz wagi: ważniejszy zysk - ważniejsze uczucie - ważniejsza długość kontaktu - ważniejsza liczba wspólnych znajomości - ważniejsze jeszcze co innego.

Kotka z zeszłej nocy w konstelacji socjalnej wisi tuż pod Księżycem; ale w konstelacji biznesowej nie masz jej w ogóle.

Sam krążysz po orbitach tysięcy innych ciał astralnych. Choćbyś nie wychodził z mieszkania i ciał ducha do kości - świecisz tam w obcych gwiazdozbiorach.

Ktoś gdzieś kiedyś. Słowo, uśmiech, ping.

I zapamiętał. Nie przewidzisz.

Może jesteś niespełnioną miłością jego życia. Do której nie miał odwagi się odezwać.

I przez lata nie stracisz Jowiszowej pozycji na jego niebiosach.

Nawet nie podejrzewasz, kto w tej chwili żyje twoim życiem. Pastuch z Mongolii. Król Wielkiej Brytanii.

Zaczęło się od samoorganizujących ksiązek adresowych i prostych narzędzi social networkingu, od aplikacji lifestyle'owych dla bezdzietnych singli wielkomiejskich. (Wszyscy będziemy bezdzietnymi singlami wielkomiejskimi).

Co potężniejsze klastry konstelacji skomercjalizowały się, podklejając bezpośrednio pod królestwa.

Grawitacja przyciąga gwiazdy w skupiska, zapadają się ku wspólnemu środkowi masy. Członkowie tych samych konstelacji długoterminowych upodabniają się nawzajem do siebie.

Czyli do kogo? Do bezosobowych atraktorów, do wypadkowych kolektywnej podświadomości. Wydestylowanych z polityki, z religii, a najczęściej - z popkultury.

Uzyskawszy autonomię, rządzą one tymi, którzy usiłowali rządzić nimi.

(Jesteś swoim ukochanym systemem operacyjnym. Jesteś marką swoich butów. Jesteś ulubioną plażą. Jesteś linią karoserii swoich samochodów).

Polityka rozgrywa się na naszych oczach na niebie. Żadna jedna ryba nie rządzi ryb ławicą - a jednak skręcają wszystkie w tę samą stronę.

Dzisiejsza astronomia ducha to nauka rozległa i subtelna.

Z alabastrowych blanków atlantydzkich Wież Mądrości i Zagłady Paweł śledzi przemieszczenia tych gwiazd z czujnością średniowiecznego astrologa.

Zlikwidowawszy jedną z głównych konstelacji, musi obliczyć od nowa tabelę precesji i kalendarze wschodów i zachodów.

Jednakże atlasy duszy prywatnej stanowią zaledwie dodatek do atlasów publicznych. Cała Polska wisi na Rozgwieżdzie, cały świat - na pekińskim Astrolabium i Hubie 400 z Kinszasy.

Zresztą systemów jest multum. Każdym słowem czynem transakcją myślą kontaktem pozostawiasz ślad w duszy publicznej.

It's official. Twoja dusza publiczna jest paszportem, kartą kredytową i odciskiem palca.

Świecisz na miliardach gwiazdosłonów, czy tego chcesz, czy nie.

Trenowany przez mędrców migotliwych i kryształowe automata Atlantydwów, Paweł śledzi obroty ciał niebieskich - astronomia prewencyjna ostrzeże go w porę przed hackerami serca.

W królestwie MorganChase/Haalsa-DoctorWho nie ma przypadkowych znajomych.

Nakarmiony nieufną matematyką duch starożytny wskazuje podejrzane gwiazdy.

Które łamią prawa fizyki międzyludzkiej

Których przemieszczenia wyprzedzają naturalne epicykle

Które świecą mocniej, niż powinny

Oto ktoś się pojawia coraz częściej wśród znajomych twoich znajomych. (I znajomych znajomych).

Ktoś wyemigrował wtem do twojego królestwa.

Ktoś wkupił się do twojej gildii.

Powtarza się w logach twoich szlai.

Zacieśnia wokół ciebie spiralę w duchu. Maksymalizując prawdopodobieństwo zadzierzgnięcia znajomości.

Paweł od tygodni obserwuje orbity Urszuli Hawel, który był jednym z developerów Gejzeru.

Musieli się zetknąć w pracy przy jakiejś okazji; Paweł nie pamięta (może to wyjeżdżował). Ale Urszula widać pamięta dobrze, bo poluje na Pawła w duchu i w gnoju, krwiożercza kometa.

Doszło do tego, że Hawel czyta te same książki co Paweł i jada te same potrawy; budzi się i kładzie spać o tych samych godzinach.

Czego chce? Paweł podejrzewa najgorsze: miłość, przyjaźń.

Zstępuje z wieży do piwnic studziennych: tu czarne kałuże metaliczne odbijają

niebiosa odwrócone, tu się uprawia astronomię głębi.

Bardziej wyrafinowani Keplerowie ducha rozrysowują bowiem mapy wprost na twoim kogito.

Rejestrują najsłabsze drgnięcia duszy prywatnej i z nich projektują obraz konstelacji. Nie one się przesunęły, lecz ty między nimi.

To znaczy - jeszcze nie, jeszcze się nie poruszyłeś w publicznej.

Ale chciałbyś. (Nie wiesz, a chciałbyś).

W którą stronę? Ku której gwiazdzie? Węzeł grawitacyjny jakiego czarnego giganta zasupłał ci serce?

Na smolistej membranie płynnego metalu wirują mandale podświadomości. Paweł prześledził trajektorie, przedłużył wektory i pochyła się nad wskazaną przez nie pulsującą gwiazdką.

Ilona Rosa.

Czy powinien być zdumiony? Pamięta, że sprawdzał ją zaraz po owym uroczym epizodzie szantażowym. Ale wszystko, co potem - to ruchy ciemnej materii, oddziaływania niewidocznych mas, ukryte stałe kosmologiczne jego id.

Wypadkowa tysięcy pozornie losowych wyborów: że zaczął coś czytać, że obrócił głowę, wynurzył się na sekundę z nolensum, zawahał się w szlaj, zapatrzył dłużej na kogoś, na kogoś zamknął oczy - to wszystko wskazuje nieomylnie kierunek dryfu jego konstelacji.

Czego pragnie? Za czym błądzi? Ku czemu piłuje mózg?

Przecież nie oszuka siebie samego, już mu podstawiono lustro. (Pękła czaszka).

I co teraz. Skoro odkrył wektory serca. Wpisze sobie blokadę? Czy świadomie pójdzie naprzód?

Wszak Rosa też z pewnością czuwa z lunetą wycelowaną w zodiaki swoich ofiar.

Popijając potem napar miętowy na tarasie ponad wieczorną panoramą Atlantydy, Paweł wyobraża sobie, jak złotą igłą czarodziejską wkłuwa się w żyłę Ilony Rosy i wykrada z niej bezcenne serum antynolensowe, skarb Rajmunda Gawriły, Immortality +100.

Smoking gun & cigarettes

- Tak go znaleźliśmy.

Szybkim łykiem ginu zmyłem z podniebienia aromat śmierci. Koroner nie skomentował zbezczeszczenia barku denata. Była to ta pora nocy, gdy nawet kalifornijskich

koronerów opuszcza ochota do szyderstw i czarnego humoru.

Detektyw porucznik Kach i detektyw sierżant Golsky szacowali zwłoki z póldystansu, jeden wyprostowany, dłonie w kieszeniach, drugi przykucnięty, obaj z papierosami przyklejonymi do warg. Zamordowany spoczywał między regałem i donicą z egzotycznym kwieciem koloru nieświeżych podrobów, w pociesznej pozie z nienaturalnie rozrzuconymi rękoma i nogami. Widywałem takie figury na fotografiach samobójców, co zeskoczyli z dachu wysokościowca, a także w dziecięcych bohomazach.

- Wy, to znaczy kto?

- To znaczy ja i dusza na moim ramieniu.

Kach przesunął wzrok na mnie, ale wyraz jego oczu się nie zmienił, nadal patrzył na trupa.

- Któregoś dnia, Coss, trafisz na gliniarza bez poczucia humoru.

- To niemożliwe, nie ma takich w tym mieście, panie poruczniku.

Koroner ściągnął gumowe rękawiczki.

- Pojedyncza rana od kuli, prawdopodobnie kaliber dwadzieścia dwa, wlotowa w potylicy, brak wylotowej, śmierć na miejscu, trzy do pięciu godzin temu, dokładniej po sekcji, dobranoc.

- Dwadzieścia dwa? - Kach przestąpił ponad zwłokami. - A pan mecenas co miał zarejestrowane?

Golsky przekartkował notes.

- Colta trzydziestkę ósemkę.

- Mało krwi. Powiadacie, że tak go znaleźliście? I gdy już oproszkujemy dom, to nie zobaczymy waszych odcisków na połowie sprzętów?

- Na klamkach, przy drzwiach, na włącznikach światła. Na telefonie.

- Na barku.

- Na barku - przytaknąłem, nalewając sobie drugą szklaneczkę. Porucznik Koch stał już okrakiem nad głową denata, plecami do gabinetu, z dłońmi splecionymi na karku, a miał kark, na którym można było zaplatać liny okrętowe.

- Jak to widzicie, sierżancie?

Golsky podźwignął się z przysiadu, zmrużył lewe oko i wycelował w porucznika ogryzionym ołówkiem.

- Nie ma innego powodu, żeby pakować się nosem w kąt między ten chwast i biblioteczkę. Musiała go tam ustawić pod lufą.

Podrapałem się w skroń.

- Dlaczego uważacie, że to kobieta?
- Dwudziestka dwójka - powiedzieli równocześnie.
- Jedenasta-dwunasta wieczór - dodał Golsky.
- Drinki na biurku.
- Odprawił służbę.
- I wylał na siebie galon wody kolońskiej.

- Wąchaliście go?

Spojrzeli na mnie z bezbrzeżną pogardą.

- Policjant nie wacha, Coss.

- Policjant przeprowadza oględziny.

- Podajcie jeszcze jej rozmiar buta i sukienki i pozwolę wam oględzić mój kapelusz.

Zaszli mnie z prawa i z lewa, wygasłe papierosy w ich ustach wskazywały przeciwnie strony.

- Rozmiar buta i sukienki podasz nam ty.

- Przeceniacie moje zdolności dedukcyjne.

- Przeciwnie, doceniamy twoją zdolność do pakowania się w kłopoty.

- Odstaw tę szklanę, Coss.

- Albo jest twoją klientką, albo śledziłeś ją tu na zlecenie klienta.

- Jadłeś znowu to meksykańskie gówno? - zagadnął Golsky, zdejmując marynarkę.

- Nie.

- To dobrze, w rzygach cuchnie piekielnie.

Pierwszy cios w żołądek zgiał mnie wpół. Po szóstym wykrztusiłem na wzorzysty dywan mecenasa LeHaye'a nieprzetrawione resztki ryżowego makaronu i chińskiej sałatki.

Ponieważ nadal nic im nie zdradziłem, przesłuchiwali mnie, dopóki nie pojawiła się ekipa techniczna. Czyli do świtu, kiedy to wykulałem na różowiejącą we wschodzącym nad Los Angeles Słońcu Hammond Street i wypluwszy skruszony ząb, podreptałem dwie przecznice w górę Stripu, gdzie na parkingu za San Vincente zacumowałem swojego forda mainlaine sedana. Minał mnie po drodze bezpański kundel; raz łypnął zaropiałym ślepiem, po czym zaskomlał i uciekł. Zawsze możesz liczyć na szczerłość psa i bezinteresowną brutalność gliniarza.

Od razu otworzyłem bagażnik. Skórzana torba znajdowała się na swoim miejscu, na oko wszystko wyglądało w porządku: trzy i pół tysiąca dolarów w używanych piątkach i dziesiątkach, tak jak je zostawiłem.

Przeglądając się we wstecznym lusterku, starłem chusteczką z twarzy krwawe ślady.

Na sińce i zadrapania nie poradzę. Słońce dopiero wstawało, doświadczenie uczy, że warto poczekać do wieczora, po cóż marnować lepce i bandaże na półprodukt.

Skręciłem na bulwar i zatrzymałem się przy najbliższym skrzyżowaniu budce telefonicznej.

Odebrał w połowie drugiego sygnału.

- Tak?

- Paul Coss.

- O Jezus, dzięki Bogu, niech pan mówi, niech pan mówi!

- Sprawa się skomplikowała. Musimy się spotkać.

- Ale czy pan je ma? Czy wszystko poszło okay?

- Zależy, jak na to patrzeć. Nie mam negatywów. Z drugiej strony LeHaye już nigdy nie będzie pana niepokoił. I zachowa pan trzy i pół kawałka, to też miły bonus, jak mi się zdaje.

- Nie rozumiem. Co pan tam nawyrabiał?

- Musimy się spotkać.

- Za godzinę na parkingu przed Stackym.

Nacisnąłem widełki i wykręciłem numer biura, a potem numer Sopera. Nie odpowiadał. Nie wrócił jeszcze. Albo nadal śledzi czarnego cadillaca.

Zatrzymałem się na kwadrans w barze z widokiem na ocean. Barman dopiero wstał i dlatego był tak zaspany, albo jeszcze nie zamknął lokalu po nocy i dlatego był tak niedospany. Zgarbiony starczo nad porysowaną ladą odprowadzał mnie oczyma wypalonego proroka. W owej porze oczyszczającego zmysły światła defilują przed pijakami, dziwkami i bezdomnymi widmami i upiory miasta, milczące sylwety z wyblakłego celuloidu życia. Nawet gdyby go potem przesłuchiwali Kach & Golsky, barman nie potrafiłby stwierdzić, czy mu się zaledwie nie przyśniłem.

W obskurnej toalecie cichego jak kostnica przybytku tytoniu i gorzały płukałem usta, by pozbyć się kwaśnego smaku wymiocin i krwi. Z pękniętego lustra spoglądało oblicze zdjęte wprost z trzecioplanowej postaci detektywa z jednej z tych niskobudżetowych produkcji, na jakich zrobił fortunę mój klient. Wcale dobrze na mnie nie leżało. Nacisnąłem ostrożnie chrząstkę nosa. Strzeliły flesze. Ile jeszcze takich nocy, ile poranków.

W fordzie pod zapasowym kołem miałem browninga dziewiątkę w kaburze na szelkach, z dodatkowymi magazynkami. Ponieważ nie było przy mnie Sopera, przyszło mi osobiście dźwigać artylerię. Odtąd kanciaste żelastwo tłukło mnie w żebra, skutecznie przypominając o ciężkiej ręce prawa w LA. Gdybym był człowiekiem rozsądnym,

pojechałbym do szpitala prześwietlić się na okoliczność pęknięcia tych żeber. Zamiast tego zaaplikowałem sobie podwójnego johnniego walkera, podanego z niezmierną gracją z głębi snu barmana; widmo nalało widmu, po czym białe światło z powrotem przepaliło wszystko.

Mr. Griswold czekał na mnie w starym pickupie pośrodku pustego parkingu. Prawdopodobnie pożyczył wóz od swojego ogrodnika.

Pogratulowałem mu przemyślności.

- Wmieszał się pan w tłum idealnie.

Zerknął lękliwie w boczne lustro.

- Żona chyba podejrzewa mnie o romans.

- Myśli pan, że wynajęła kogoś?

- Co? Dlaczego?

Rzuciłem mu przez okno torbę z pieniędzmi.

- Masz pan. LeHaye nie żyje. Nie udało mi się odnaleźć negatywów. Prawie minęliśmy się z morderczynią, nie wiemy, kiedy się tam zjawiła, mogła mieć czas zabrać całe archiwum mecenasa. Mój wspólnik siadł jej na ogon.

- Jezu Chryste. Czy policja...?

- Nie widzi pan, że nic im nie powiedziałem?

- Ale jak coś znajdą...

- To zależy. Czy odgadną motyw. Takie szczury w garniturach mają to w swojej naturze, nie obudził się przecież pewnego ranka z nagłym postanowieniem: a dzisiaj sobie zaszantażuję pana Benjamina T. Griswolda. Im dłużej ciągnął ten proceder, tym większa była szansa, że któraś ofiara nie wytrzyma i zapłaci mu gorącym ołowiem.

Siedział tam z dłońmi zaciśniętymi na kierownicy, wpatrując się w obieloną wapnem ścianę Stacky'ego naprzeciwko, zarazem mrużąc i wytrzeszczając blade oczy, zdesperowany kret.

- Więc to inna ofiara - wyszeptał. - Zabrała wszystko. Ona teraz ma.

Zapaliłem camela.

- Chyba niepotrzebnie się pan niepokoi. Najpewniej jeszcze dzisiaj zniszczy całość.

- Ale pan tego nie wie, Coss, pan tego nie może wiedzieć.

- Zapłacił mi pan za przeprowadzenie sprawy ze świętej pamięci mecenasem.

Zważywszy na wszystko, uważam, że wywiązałem się z zadania.

- To dlaczego posłał pan za nią człowieka?

- Bo ten trup pozostanie przy moim nazwisku. W razie napadu policyjnej nadgorliwości wolę wiedzieć, czyj palec nacisnął cyngiel.

Otworzył torbę i wygarnął z niej na ślepo cztery pliki banknotów.

- No więc ja teraz panu płacę za odzyskanie tych negatywów, ktokolwiek je ma, ta pokrzywdzona dama czy jej stuletni dziadek, weteran wojny secesyjnej. Proszę.

Powoli wydmuchałem dym.

- I co dokładnie pan tu rozumie przez „odzyskanie”?

- Odzyskanie. - Wyjął następne dwa pliki. - Odzyskanie.

W oddali, na wzgórzach ponad Encino, srebrno-błękitne refleksy wygrywały poranne harmonie na czystych wodach basenów gwiazd Hollywoodu. Rozczochrane głowy palm kiwały się lekko na wietrze. Niebo było tak jasne, że Słońce wydawało się na nim zupełnie zbędne. Zaraz na białe chodniki bulwarów i czarny asfalt parkingów wyjdą ondulowane dziewczęta w kloszowych sukienkach i przystrzyżeni na Jamesa Deana muskularni chłopcy w wykrochmalonych koszulach z podwiniętymi rękawami. Godzinę przed śniadaniem policja odkryje w zaułku za restauracją albo w zaroślach za stacją benzynową zwłoki zaszytowanej prostytutki lub porzuconego czarnego niemowlęcia. Już w mieście pieniądze przechodzą z rąk do rąk, już miasto nabiera powietrza w betonowe płuca.

Wróciłem do biura. Na wypadek, gdyby ktoś usiłował się włamać, drzwi zostawiam otwarte. Sprawdziłem lewą szufladę biurka - do niej wrzucamy kartki z informacjami. Saper najwyraźniej nie miał czasu wstąpić; nie spodziewałem się zresztą, że zdąży. Ze schowka pod koszem na śmieci wydobyłem butelkę z resztką szkockiej. Nie należy rozpoczynać nowego dnia pracy o pustym żołądku. Wykreśliłem numer Miss Spier.

- Panno Spier, dzień dobry, Paul Coss, były jakieś wiadomości?

- Tylko jedna, proszę zanotować: 5T498, Kalifornia 1949.

- Dziękuję bardzo, panno Spier.

Panna Spier ma siedemdziesiąt osiem lat, telefon i nigdy nie sypia; to wystarczające kwalifikacje, by dorabiać pięć dolarów tygodniowo jako sekretarka prywatnego detektywa.

Następnie zadzwoniłem do odrobinę tylko młodszej wtyki w Urzędzie Komunikacji. Nie było go jeszcze w pracy. Do dziewiątej zabijałem czas, budując z plików banknotów piramidki i snopki, składając dolary w kurczaczki i flamingi, a także dmuchając i gwizdząc do wnętrza pustej butelki. Kiedy już zabierałem się do wtykania we flaszkę zrolowanej forsy, Urząd obudził się do życia. Cadillac o numerze 5T498 został zarejestrowany na nazwisko Rose Lee, panny, zamieszkałej w dzielnicy nowobogackich w Thousand Oaks.

Zjechawszy z Ventura Freeway, zaparkowałem przecznicę wcześniej. W ostatniej chwili inteligentniejsza połowa mojego mózgu wykrztusiła myśl, by skryć zdezelowaną fizjonomię za szklami przeciwsłonecznymi. Miałem w schowku trzy pary, w tym jedną

należącą do Sopera: ogromne tarcze matowej czerni, w których wyglądałem jak Mickey Mouse z klapniętymi na twarz uszami. Ale przynajmniej nie nazbyt odrażająco, zdecydowała ta druga połowa.

Miss Lee mieszkała w parterowej willi w stylu hiszpańskim, z rozległym patio osłoniętym ukwieconymi drzewami jacarandy, za wysokim ogrodzeniem z kutego żelaza. Trawnika nie przyozdabiały różowe ptaki, pod drzewami nie stały kamienne nimfy i żaden posąg Murzynka nie strzegł furtki, co już czyniło pannę Lee osobą o najwyższej rozwiniętym zmyśle estetyki w dzielnicy.

Miałem czas przyjrzeć się budynkowi i okolicy, spacerując wzdłuż ulicy i z powrotem, a potem jeszcze tyłami posesji, i znowu przed frontem. Nigdzie nie zauważyłem starego lincolna Sopera, ale to o niczym nie świadczyło, mojego forda też nie było stąd widać. Czarny cadillac odpoczywał w cieniu na podjeździe. Zasłony i żaluzje w oknach domu pozostawały zasunięte, nie dostrzegłem żadnego ruchu.

Należało oczywiście przeprowadzić dłuższą obserwację i poczekać na raport Sopera, i o tym właśnie przekonywały się wzajemnie za czarnymi lustrami zaciśnięte pięści mojego mózgu - gdy za ogrodzeniem strzelił gaźnik samochodu, a zaraz po nim pękła torba papierowa, i to był sygnał: boks! Pierwszy cios przesądził sprawę, rozwaga padła pod prawym prostym brawury, wdrapałem się na ogrodzenie, zeskoczyłem w krzewy róż, wyjąwszy pistolet, wbiegłem od tyłu na patio, przeszklone drzwi były zamknięte, rozbiłem kolbą szybkę, otworzyłem, wpadłem do środka, półmrok, zasunięte story, salon, hol, jadalnia, schody, Soper leżał z przestrzeloną głową w progu bocznej sypialni.

Odbezpieczyłem browninga.

- Widzę pana.

Po prawej miałem lustro w złożonych ramach.

Ostrożnie przestąpiłem ogromne ciało. Długolufego colta czterdziestkę piątkę wciąż ścisnął w dłoni. Zdążył wystrzelić, ale widać nie zdążył wcześniej dobrze przymierzyć.

- Raz się pomylił.

Siedziała przy toalecie między zasłoniętymi oknami, otulał ją miękki cień i jedwabny szlafrok barwy cyjanku. Rękę z dwudziestką dwójką opierała na blacie, drugą unosiła do czerwonych warg srebrne szczypczyki zaciśnięte na zapalonym papierosie. Dym pachniał goździkami. Nogi w czarnych pończochach i czarnych szpilkach wysunęły się spod jedwabiu, skrzyżowane, swobodnie zgięte. W gęstwinie jej rudych włosów diabeł krzesze ambicje i żądze.

- Rose.

- A więc wyśledził mnie pan.

Opuściłem pistolet.

- Nikt nigdy nie weźmie pani za bezradną ofiarę szantażu.

Mierzyła mnie spokojnym spojrzeniem, poprzez dym i cień.

- Wspólnicy, pośrednicy - widzi pan, jak kończą.

- Nie mam dla pani żadnej propozycji. Nie oferuję niczego. Nie zyska pani nic.

Zaśmiała się.

- Nic! A czego chce pan w zamian?

Ale tylko zaciągnęła się papierosem, znalazła odpowiedź. Zmrużyła powieki. Teraz odłoży szczypczyki, wygładzi szlafrok, wstanie.

- Na litość boską, niech pan zdejmie te okulary.

Zdjąłem.

Pisarze to programiści

Akuku!

Ludovic przysiadł do Pawła. Który udaje zaskoczenie.

Myślał, że śpię. Może i przysnąłem.

Na dachu Staruchy, pod gwiazdami, pod duchami.

Płyniesz, Paul płyniesz. Kim była ta dama? Ach, nie było żadnej damy.

I kiedy tak siedzą w milczeniu, zagapieni na noc i miasto i światła, ich dusze publiczne mieszają się powoli, nastroje i asocjacje przenikają osmotycznie.

Paweł Kostrzewa i Ludovic Tuco należą do tego samego królestwa, to też pomaga. (Rozpoznali się już po kroju garniturów).

Obraz: spiralne mgławice kontrastowych farb zawijające się wzajemnie wokół siebie.

Ludovic proponuje szybki gejdż na dzikość serca. Paweł odmawia. (Strong Will +10%).

Ludovic, już ćwierć-Paweł, wrywa między dachówek chwasty i zaczyna je splatać w wianki i łańcuchy. Seksowne wróżki ze słowiańskiej mangi skaczą mu po ramionach i głowie.

Soundtrack: *Menuet G-dur* Beethovena.

Więc tak pracujecie. Jak ja wam zazdroszczę! Zazdrościłem.

Paweł się wzdyga. Czy właśnie pracował? (Odstawia żywcą). Może rzeczywiście. Pracuje. (Nadal).

Dawno już przestał rozróżniać.

Wskazuje na miasto. To ten dystans. To poczucie oddalenia. I nawał chaotycznych bodźców. I światła Rorschachowe.

Rankiem, po przebudzeniu. I wieczorem, przed snem, w zmęczeniu ciała. Wtedy największa swawola w tańcach mózgowych.

Nie możesz myśleć o problemie i nie możesz o nim nie myśleć.

Odpływasz - nie odpływając - śnisz o czym innym - aż nagle się okazuje, że o tym właśnie. Zanurzony w odległych skojarzeniach swobodnych, odkrywasz ideę naprawdę oryginalną.

Która NIE WYNIKA z myśli starych.

Skąd się zatem wzięła? Nie wiadomo.

Francuz kiwa głową. Kiedyś uważałem, że zostanę wielkim pisarzem. Przeszło mi. To straszna misja. Pisarze to programiści.

(Zgejdźował się).

Paweł podchodzi do krawędzi, spogląda w dół. Lekko wychylony. Grawitacja łaskocze go w grdykę.

Rekiny podpływają do stóp, łaszą się ośmiornice, rafy koralowe wybuchają wielobarwnymi neonami na elewacjach budynków, podwodny wulkan rzyga czarnym dymem... Wzburzone są wody morza nolensum.

Ale posłuchaj syren, posłuchaj syren miasta. Znasz ten głos, czujesz ten zew w kościach.

(Miasto kusi, miasto czeka, miasto odda wam człowieka!)

Ludovic wytyczowuje obrazki samobójców rozchlapanych na bruku.

Paweł coraz mocniej tęskni za petrażoną. (Nie ma żony).

Cholera, nazbyt są kompatybilni.

Wymieszali się.

Wiem, co myślisz. (Siadł na krawędzi, opuścił nogi w przepaść). Pisarze i kreatywi w ogóle. My wymyślimy - a potem zmienia się to w rzeczywistość, podpływa i kąsa nas w kostki.

Szczęśliwi Balzakowie i Dumasy! Najwyżej się ktoś wzruszył, oburzył, słał listy do redakcji, zakochał się w fikcji. Żyła w głowach, żyła w słowach.

A teraz nie ma „tylko słów”.

Kultura jest programem automatycznie wykonywanym na ludzkości.

(But zsunął się i leci w dół. Chap! i zniknął w paszczy rekina).

Francuz franczuje. Już rozpiął bielutką koszulę. Otwierają się za nim Champs Élysées (też wiosna).

Może nie powinienem się z tobą zadawać.

Wciąż mam pewność

(przysiadł przy stoliku kawiarnianym obok Sartre'a i Camusa)

że gdybym tylko wypuścił z siebie te zoologie czyścące ogrody ewangelie śmiechy koszmary - nie minie wiele czasu, a staną się na moich oczach prawdą okrutną.

Wyrosną mi za oknami. (Z mojej głowy).

Złożą mi łby potarmoszone na kolanach.

Wyleżą z oczu mojej córeczki. (Już nie córeczki).

Gdybym miał pewność

(zapala papierosa ponad swoimi nienapisanymi książkami)

że jestem kreatywem złym, to znaczy słabym - nie miałoby to wszystko znaczenia.

Ale podejrzewam co innego.

(Dlaczego się z tobą zadaję).

Paweł słuwa w bielmo na oku miasta. Mrugnął i konstelacje lokalne oślepiły go poprzez mury i sny. Jest nawet ktoś z Bandy Trojga - po ostrym gejdzu kopuluje właśnie z drzewem, osiem przecznic stąd. (Takie tagi).

Paweł waha się na krawędzi dachu. Czy wyskoczyć. (Do miasta).

I tak wahający się -

Ty za bardzo ostrożny jesteś, Ludo.

Nie można być ostrożnym. Nie można kontrolować kreacji. Co naprawdę nowe i oryginalne - to zaskakuje ciebie samego. Resztę wrzucić za darmo w publiczną. Niech się konsumendy pożywią na śmieciach z recyklingu.

Ludovic tańczy na stoliku kawiarnianym w oparach marychy.

Ostro-o-ożny! Ostrooożny!

Powinni zorganizować na was policję myśli! Pozamykać w klatkach! Zagejdzować na beton!

Paweł gotów przytaknąć. (Zgadza się sam z sobą).

Wiem. Książka czy inna plaja, bez różnicy. Kreatyw tworzy fikcję - fikcja wchodzi w umysły ludzi - ludzie realizują fikcję (bo mogą) - ludzie są tym, co napisane - literatura jest rzeczywistością, rzeczywistość jest literaturą.

Już nie tylko przebierają się za elfy i krasnoludy. SA ELFAMI I KRASNOLUDAMI.

Gal oklapł. Wczoraj Gondor R3 wszedł w recesję, musieliśmy wydobyć ostatnie

palantiry. Jak się rozleje na inne klasyczne szlaje, skoczą ceny energii na północy gnoju.

Ha. Miałem w gildii proteociałowca

(a ten tu nadal rżnie drzewo)

który nie tylko się przeprojektował w elfa biolo - uszy, oczy, struktura kostna czaszki i palców, fizjologia - ale też zgejdźował się na płask w nieśmiertelnego rycerza baśni. Aż odcięło go ni z tego, ni z owego. Ponoć zdonkiszotował swojego imama.

Cóż się dziwić, rycerz przynajmniej ma luksus OBOWIĄZKÓW.

Paweł ciska na pożarcie drugi but. Latająca ryba wynosi go na moment piętro wyżej. Śledząc trajektorię mokasy, wpada Paweł w światło w oknie Adriana Utrałta.

A jakże. Mamy tu takiego. Rycerza 72.

72

Wszelki duch! (Oraz jego pluginy).

Ale proszę, proszę. W moje skromne.

I płyną, Utrałt przodem. Panie Pawle, próbował pan pieczeni trawnych? (Klucze: mięso trawa, steki beczuciowe, humanitaryzm drapieżcy). A, to te dla kanibali. Fakt, można też wyhodować mięso ludzkie - które naturalnie nigdy nie było ciałem żadnego człowieka. Ale ja myślałem, że panu nie wolno. Mhm, smakowite aromaty.

Dlaczego nie wolno?

No bo rycerz, jeździec, wyniesiony. Ten, kogo obowiązują ostrzejsze kodeksy. Watykan zawsze jest przeciw nowościom.

(Co prawda, chrześcijanie od początku praktykowali kanibalizm rytualny).

Na co Utrałt rozświetla się meduzowo, włosy stają mu dęba w elektrycznej grzywie, skóra tęczyje, a z ust bucha obłok gorącej pary.

Wszył sobie w ciało nanopiezoelektryki, druty ZnO w polimerach. Jest swoją własną elektrownią.

Paweł podejrzliwy. Cóż to za rycerz proteuszowy? Cóż to za konserwa postępu? Niech mi tu nie oksymoronuje w oczy.

I już wyciąga język, żeby liznąć głębiej duszę Utrałta, gdy -

Teraz to rycerz 72: chwyta Pawła za rękę i powstrzymuje gest ducha. Allow me.

Copy & paste: *Następnie wyznaczył Pan jeszcze innych siedemdziesięciu dwóch i wysłał ich po dwóch przed sobą do każdego miasta i miejscowości, dokąd sam przybyć*

zamierzał.

Powiedział też do nich: „Idźcie, oto was posyłam jak owce między wilki. Nie noście z sobą trzosa ani torby, ani sandałów; i nikogo w drodze nie pozdrawiajcie! Gdy do jakiego domu wejdziecie, najpierw mówcie: Pokój temu domowi! W tym samym domu zostańcie, jedząc i pijąc, co mają. Jeśli do jakiego miasta wejdziecie i przyjmą was, jedzcie, co wam podadzą”.

A! Więc tak idziecie między ludzi. Jecie, co oni, żyjecie, jak oni. (Jak siedemdziesięciu dwóch Jezusa).

Po chwili: Nie, nie, to niemożliwe. Paweł kręci głowę, oddalając się, odpływając, odlatując. Niemożliwe. To jest teatr. Nie da się żyć życiem Proteusza i zarazem dotrzymywać wiary kamiennym prawdom religii.

(Wspomnij Gucia, Pawełku, wspomnij Gucia salonowca).

Utrał uśmiecha się pobłaźliwie. Pokażę ci.

Proszę bardzo. Niech mnie pan nawróci. Enter PvP mode.

Rycerz 72 w mig dogania Pawła i ściąga go na ziemię, do Palestyny rzymskiej.

Spadają na miasto białego kamienia i czarnych dymów. Jerozolima? Wieczór, kwiczą osły i szczekają psy. Jezus moczy nogi na podwórzu przy studni i rozmawia z innymi brodacami. Młoda kobieta kołysze w ramionach niemowlę. Chłopcy obrzucają się kamykami. Ludzie wchodzą i wychodzą, rozmowa wychodzi razem z nimi. Mówią do Jezusa, Jezus mówi do nich.

Tak obracają się dokoła żarna ludzkie.

Utrał otwiera lokalne atlasy. Oto i Chrystusowe królestwa niebios: Jego konstelacje, gwiazdy nieprzeliczone na bliższych i dalszych orbitach, większe i mniejsze.

Co tak naprawdę stworzył Jezus? Co pozostawił po sobie?

Social network.

Przeczytaj Ewangelie, przeczytaj Dzieje Apostolskie.

Jak się propagowały memy, jak się ucierały poglądy. (Paweł i Adrian przeciskają się między dyskutującymi brodacami, z kamiennego stołu podjadają chleb płaski, twardy, popijają kwaśnego wina mocno rozwodnionego). Posłuchaj, jak dyskutują. To był PROCES.

Chrześcijaństwo jest tworem lokalnego węzła starożytnego Facebooka.

Jak mówisz? - gejdź? Poproszę cię teraz, żebyś przegejdźował sobie kilka aksjomatów.

Siadają na cembrowinie za plecami Jezusa. Paweł jest lekko zniesmaczony. (Jasełka to w zimie). Żuje chleb i jednak słucha Adriana - ponieważ docenia ów ogień gorejący w człowieku, ponieważ pożąda tego serum antynolensowego.

Rycerz 72 nie przemawia; on zwierza się tobie, obejmując cię ramieniem i duszą, wchłaniając.

Mój Pawle, mój Szawle. Chrześcijaństwo kona nam w okowach Platona.

To nie Jezus uczył o wszechświecie wiecznotrwałych, niezmiennych bytów. To nie Jezus widział Boga poza czasem, spoglądającego z góry na przeszłość i przyszłość wytrawioną w kamieniu.

Masz rację, nie można mieć takiego obrazu rzeczywistości, takiego Boga i żyć w świecie proteo.

To nie jest Bóg trans-człowieka.

To nie jest Bóg trans-świata.

Nieustannej zmiany.

Ciągłego przepływu wszechmożliwości.

Wpływu wszystkiego na wszystko.

Gier słów, myśli, sensów. Gdzie nowe kształty wyłaniają się co sekunda z kształtów starych, już niknących, i nowy człowiek wyłania się ze starego człowieka, aby zaraz też zostać zastąpionym przez formę przed momentem jeszcze nie do pomyślenia.

Nic nie ISTNIEJE.

Wszystko SIĘ STAJE.

Przestaw to sobie w mózgu: każde *being* zastap *becoming*.

Zobacz:

Świata przyszłej sekundy nie ma - on dopiero się stanie - o! właśnie się stał! (Eksplodują fajerwerki).

Cud!

Nie ma człowieka jutra - dopiero się stanie - o! cud nad cudy! (Fanfary).

Jedyna teologia przystająca do naszej rzeczywistości to teologia procesualno-relacyjna. (Referencje: A. N. Whitehead, J.B. Cobb, D. R. Griffin).

Teologia 72, Bóg Stający Się.

Paweł przelyka z trudem. Pogodziliście katechizm z Proteuszem? Sztuczki studenckie!

Kundel poddreptał do Utrałta, Adrian drapie go za uszami. Gruby rzemieślnik przegania wszystkich z podwórza. Jezus ziewa, szarpie się za brodę. Utrałt wskazuje go palcem i zatrzymuje Palestynę w pół klatki.

Myśl o tym jak o różnicy między plają i szlają.

Teologie świata statycznego odgrywały przed tobą Ziemię i niebiosa niczym napisaną z góry plają, w której nic się nigdy nie zmieni.

Teologia świata płynnego zaprasza cię do szlai: zabijesz tego potwora w sobie i Bóg następnej sekundy będzie już innym Bogiem, bo potwór dotykał także Jego. (Wszystko Go dotyka).

Albowiem wszystko jest doświadczeniem, wpływem, czuciem-doczuciem.

Palestyna rusza z miejsca, Jezus się potyka, przewraca, mężczyźni się śmieją.

Rycerz 72 szepcze już prosto do ucha, do wnętrza głowy, wszedł pod czaszkę. (Zaprosiłeś mnie).

Zapomnij o Platonie i zapomnij o Kartezjuszu. Materia i duch są jednością - bo też nie są materia i duchem, jak je rozumiesz.

Powinniśmy mieć inne słowa: inne „doświadczenia”, inne „czucia”. (Doczucia).

Copy & paste: Każda nauka musi wynaleźć swoje własne narzędzia. Dla filozofii takim narzędziem jest język. Dlatego filozofia przeprojektowuje język w ten sam sposób, w jaki w świecie fizycznym przeprojektowuje się zastane instalacje.

Najpierw popatrz na zwierzęta i rośliny: nie muszą mieć świadomości, by doświadczać, prawda? (Kundel liże ci dłoń. Muchy podrywają się do ucieczki, gdy trzepniesz ręką).

Świadomość to świeczka na wietrze. Sam przez sporą część życia tkwisz w ciemnościach. Na przykład śpiąc. A przecież wtedy odczuwasz, doświadczasz. (W innym przypadku nie obudziłby cię najgłośniejszy budzik).

I gdzie przebiega granica? Wiemy, że ameby i pantofelki także doczuwają. (Nieświadome). Reagują na wpływy zewnętrzne. Wywierają wpływ. Zmieniają się pod naciskiem doświadczeń.

Komórka zatem.

Neuron.

(Pozbądź się przesądów biolo!)

Neuron, konglomerat białkowy.

Sprzęg cząstek chemicznych.

(Doświadcza. Doczuwa. Wpływa).

Molekuły.

Kwarki.

Funkcje falowe.

Subtelne fluktuacje faktury czasoprzestrzeni.

(Na co ty mnie nawracasz, na nową kwant-grawitację?)

Od najniższego do najwyższego poziomu - wszechświat jest doświadczeniem,

doczuciem.

Nie istnieje zewnętrzna wobec ciała dusza i jakaś równoległa rzeczywistość idealnych niezmienników.

Nie istniejesz „ty” („ja”) niezależny od nieustannego przepływu doczuć. Nie ma substancji oddzielonej od właściwości.

Odejmij wszystkie doczucia, odejmij wszystkie jakości - że myślisz, że masz dwie ręce, że oddychasz tlenem, że masz takie a takie DNA, że jesteś obiektem trójwymiarowym - i co pozostanie?

Nic.

JESTEŚ tym przepływem doczuć.

Doczuwasz więcej i masz samoświadomość, bo tak zostałeś zorganizowany w swej złożoności - by potęgować potencjał doczucia. (Układem nerwowym. Mózgiem).

Lecz niczego ci nie dołożono „spoza”, ażeby uczynić cię człowiekiem.

Dusza płynie w tobie jak prąd elektryczny w kablu. Który elektron „jest” prądem? Żaden. Wszystkie.

Materia i duch są jednością.

Tak naprawdę już to wiesz. Wiedziałeś od dawna.

Czy żyjąc życiem Proteusza, w ogóle dostrzegasz jeszcze różnicę między doświadczeniami świata materii i doświadczeniami świata ducha?

Czyż nie doczuwasz ich w równoległych salwach bodźców

parkietu pod stopami

soundtracku w uszach

moich słów

wgejdżowanego wspomnienia

tego kamienia, tego chleba, tego gwaru aramejskiego

swędzenia tagów na skórze

przyływu duszy publicznej

zapachu miejskiego powietrza

zapachu powietrza nad Adriatykiem, metanu na Tytanie, tensorów

metrycznych w Riemannlandzie

dowolnego contentu plai/szlai

Czyż nie?

Wszystko to są porcje doczucia.

Nie ma oddzielnej „narracji świata” i oddzielnej „narracji myśli”.

Liczy się tylko, jak te doczucia wpływają wzajem na siebie.

I jaki wobec tego powstaje z nich nowy świat - ten, który nie istniał jeszcze przed chwilą - i który zaraz zniknie - zastąpiony przez kolejny - i kolejny - i kolejny - i kolejny - i kolejny - kiedy to mówię - i kolejny - i kolejny -

(Zawrót głowy. Za szybko, za szybko!)

Zapomnij o Nieruchomym Poruszycielu.

Odwrotnie niż w chrześcijaństwie arystotelesowskim, w chrześcijaństwie 72 potęga Boga polega nie na tym, że On wpływa na wszystko, a nic nie wpływa na Niego, odwiecznie niezmiennego, pozaświatowego, nieodczuwającego - lecz właśnie na tym, że każde najmniejsze doświadczenie, każda drobina doczucia człowieka i psa i bakterii i elektronu dotyka Boga i Boga zmienia.

Bóg jest ciągłym procesem przekształceń pod wpływem wszystkich innych przekształceń.

Bóg STAJE SIĘ z chwili na chwilę, tak jak STAJE SIĘ wszechświat.

Przegejdź sobie o sto osiemdziesiąt stopni Władzę, Siłę, Mądrość.

To nie ten, co siedzi na tronie na wysokościach: widzi wszystko, rządzi wszystkim, nikt nie widzi jego, nikt nie rządzi nim.

Nie zakuci w zbroje mocarze, którzy rozdepczą bez wysiłku dziecko i mysz, a żaden dziecka uśmiech ich nawet nie drażnie.

Nie czołgi ducha, matematyki zimne, Big Bangi umysłu.

Najwyższą Potęgą jest zdolność do otwierania się na świat i wpływy ze świata.

Zdolność do tworzenia samego siebie wciąż na nowo z tego, czym byliśmy uprzednio i co na nas wpłynęło.

Zdolność do wpływania na świat dokoła po przyjęciu jego wpływów.

Bóg zaś stanowi najwyższą realizację tych zasad. Należy do wszystkich konstelacji bytów. Jest królestwem królestw.

Paweł coś podejrzewa. Wyszli na ulicę i schodzą w dół wzgórza, ku murom miejskim. Handlarz fig niemalże wciska im w usta wysuszone owoce.

Paweł przeżuwa długo.

Mhm. Podaje mi pan na tacy Boga kreatywów. Ja mam inne doświadczenia. Momenty twórczości to rzadkie przebłyski, kilka klejnotów rozrzuconych po pustyni. Pierwotnym żywiołem jest zaś nolensum - te miliony ton piasku, które nas zasypują, przytłaczają, unieruchamiają.

I rzuca Utrałtowi cały pakiet pojęciowy.

Rycerz 72 przełyka na sucho.

Nie, nie, nie. Źle to widzisz, znowu źle.

Nawet foton ma swój zakres wolności! Lewa czy prawa szczelina, nie zdeterminujesz.

Każda taka „decyzja” tworzy go na nowo, i tworzy świat z nim, przemienionym.

Dla bytów bardziej złożonych zakres wolności - potencjał kreacyjny - drzewo możliwości - rośnie proporcjonalnie.

Paweł podnosi spod muru skorupy rozbitego garnka, rzuca gliniane odłamki na ubitą ziemię. Czy ja tworzę? Coś nie może powstać z niczego.

Utrałt przesuwając czubkiem buta kanciaste kawałki, aż układają się w symetryczną rozgwiadę.

Świat sam w sobie powtarzałby tylko konfiguracje chaosu. Nie zrozum mnie źle: Bóg nie jest „przyczyną” tego, co nowe. Nie jest siłą zewnętrzną. Kiedy tworzysz, to TY tworzysz.

Bóg jest tym, co umożliwia jakiegokolwiek tworzenie.

Paweł wskazuje kciukiem łożę szyderców, pod flagami Cynizmu, Politowania, Dekadencji.

Soundtrack: złośliwy śmiech.

Cóż to za dowód? Pan wybaczy.

Utrałt był już wcześniej i na tej ulicy. Dowód? Nie, skądże.

Copy & paste: Nie dysponujemy niczym w rodzaju dowodu. Konfrontujemy jedynie system teorii z pewną interpretacją faktów. Dedukcje w tej sferze myśli nie mogą być postrzegane jako nic więcej aniżeli sugestie co do tego, jak problem się przemienia w świetle owego systemu.

No. Powiedzmy. Ale nawet jeśli. To cóż to za religia?

Poszliście między ludzi, żyjecie ich życiem, życiem Proteusza. Lecz wykonawszy całą tę robotę metafizyczną, chrześcijaństwo 72 najwyraźniej odcięło się zupełnie od nadbudowy rytuału, etyki, praktycznych nakazów. (Bo wtedy konkretne *being* znowu wykopałoby za drzwi wiecznizmienne *becoming*).

Mylisz się. Teologia 72 bezpośrednio kształtuje przykazania życiowe.

Chodź.

Zstępują do bramy. Zanurzają się w długi cień muru - i wszystko się odwraca.

Zimniej. Ciemniej. Okrutniej.

Żołnierz bije drzewcem włóczni czarnoskórą kobietę w ciąży, brzydką i nieludzką w swych tautażach i bliznach.

W zaułku opodal beznogi żebrak jęczy jednostajnie poprzez ból gangreny.

(Soundtrack: gangrena).

Dziki dzieci bezdomne ścigają się wzdłuż muru; dwie bandy. Dogonili się. Walczą. Gryzą. Chłopiec gwałci dziewczynkę.

Żołnierz podrywa się z posterunku i przepędza je wszystkie, płazując do krwi.

Wraca. Machinalnie kopie kundla. (Obrzydliwego, zawszonego).

Grupa mężczyzn w zawojach pustynnych targuje się błagalnie z wartownikami. Nie zostaną wpuszczeni do miasta. Zdradzają ich monstrualne anatomie ukazujące się spod zawojów.

Nie przynależą.

Soundtrack: gangrena.

Rycerz 72 zaciska dłoń na ramieniu Pawła. Widzisz? Widzisz? Widzisz?

Szlajasz się przecież po dawnych wiekach. Nawet z tamtych fikcji masz porównanie.

Jaka jest główna różnica na sto, dwieście, tysiąc, dwa tysiące lat wstecz i dawniej?

Pomijając scenografie i tech.

Zakreśl wokół siebie okrąg: co wewnątrz - temu możesz współczuć; co na zewnątrz - to tak obce, że serce nie dotknie.

Kto mieści się wewnątrz kręgu?

Najpierw tylko samce tej samej krwi

Potem - tego samego przymierza

Potem - tego samego bóstwa i ciała

Potem - także innego koloru skóry i kształtu oczu

Potem - także samice

Potem - także petraseksualiści innych modów

Potem - także ssaki z rzędu prymatów

Potem - także wszystkie inne ssaki

Potem - także proteoseksualiści i proteosomaci

Potem - także ptaki, gady i płazy

Teraz - ryby i AI poturingowe

Jutro - rośliny i homeostazy eko

EMPATIA DAŻY DO NIESKOŃCZONOŚCI.

Bo czy istnieje tu jakiś próg, granica nieprzekraczalna? Każda cezura stanowi sztuczne kryterium, odbicie przesądów kulturowych epoki.

Śmiejesz się ze współczucia drewnu? Bo odrobinę zbyt wcześnie się urodziłeś. Twoi pradziadowie śmiali się ze współczucia małpom.

I każda epoka ma swoich świętych Franciszków, sufrażystki, Zielonych. Ale co stanowi asymptotę tego procesu?

Empatia wszechogarniająca.

Braterstwo wszechświata.

Łączność wszystkiego ze wszystkim, otwarcie na każde doznaczenie.

Nie ma radykalniejszej etyki i drastyczniejszego przykazania miłości.

Duch jest materią, materia duchem. Masz.

Wkłada w dłoń Pawła - co? - lekki przedmiot o twardych krawędziach - to jeden z tych odłamków glinianej skorupy, Utrałt musiał go podnieść i zabrać. Paweł obraca w palcach brudny śmieć.

Masz. (Rycerz 72 przemocą zacisnął na nim pięść Pawła). Najmarniejsza rzecz, z której tworzysz, którą tworzysz, którą doznujesz - w duchu, w gnoju, bez różnicy - zapamiętaj: tak SIĘ STAJESZ.

Wszechświat jest także twoją kreacją.

Ponosisz odpowiedzialność.

(Wydech).

A teraz idź między ludzi.

Paweł podejrzewał, i ma już pewność.

Odlatując na grzbiecie skrzydlatej świni, śmieje się w duchu (duchu ducha).

Prawie dał się zhackować!

Na dachu znajduje butelkę po żywcu, wrzuca skorupę do środka. Nie wypadnie, jest większa niż średnica szyjki butelki. Przygrywając sobie tą grzechotką, schodzi do mieszkania. Prawie dał się zhackować!

Dla rycerza 72, który nawet nauczanie Jezusa postrzega w kategoriach social networkingu, co stanowi odpowiednik apostołstwa w XXI wieku?

Największy wpływ na ducha wywrze poprzez kreatywa. (Tym się przecież zajmujemy).

Nie było przypadku.

Miał się Utrałt przeprowadzić, sprawdził zatem oferty, rzucił tam sobie na niebo lokalne konstelacje - i która gwiazda zaświeciła mu najjaśniej?

Mam w końcu REPUTACJĘ. (To pływa w publicznej).

Wystarczy -

Ruch lustrzany.

Że uniósł do ust filizankę.

Paweł śmieje się na głos. Prawie mnie zhackował!

Naturalnie sama świadomość zamierzeń manipulatora nie osłoni przed wpływem. Wpływ został wywarty.

(Otwórz się. Na tym polega Potęga).

Paweł się śmieje. Bóg kreatywów! To naprawdę można dobrze sprzedać.

Wyciąga z publicznej Whiteheada. Podzwaniając sobie odłamkiem dzbana, filtruje wykłady, eseje, traktaty.

Przed wszystkim Boga nie powinno się traktować jako wyjątku od wszelkich metafizycznych zasad, przywoływanego, by zapobiec ich załamaniu. On jest głównym przykładem realizacji tych zasad.

Jako byt pierwotny, jest On nieograniczoną realizacją absolutnego bogactwa potencjalności. W tym sensie Bóg nie poprzedza kreacji, lecz jej towarzyszy.

Ma zaproszenie od Sapiehy na zajazd szlachecki; odmawia. Z innej szlai wołają go tęsknie wnuki, prawnuki. Paweł się muruje. Concentration +50.

Czego w istocie pragnie Gawriło? Ma swoje Państwa Ducha, Bartek i reszta dostarczą mu content. Ale to środek do celu; celem jest uratowanie milionów, miliardów ludzi tonących w nolensum. Ta kreacja, której chce ode mnie Rajmund Gawriło - i ta kreacja, na którą ma nadzieję Adrian Utrałt - i ta kreacja, która uratowałaby mnie samego - Czy w ogóle istnieje rozwiązanie owego układu równań? Czy te krzywe się przecinają?

Paweł gryzie powietrze, wali łbem w ciszę, demoluje noc.

Skorupa grzechocze wściekle w butelce.

Nie myśl o tym! (O czym myślisz). Przyjdzie do ciebie! (Nie przychodzi). Masz na końcu języka! (Odcina sobie język).

I tak do bladego świtu. Wyżyma neurony, spuszcza spermę z duszy, rwie sobie zęby z dupy.

Padł, gdy wreszcie opuściło go to rozedrganie kamertonowe, pijacki dygot wątroby.

Poleguje. Pod białym sufitem jak czystą kartą.

Wokół wirują słowa idee obrazy uczucia (doczucia) gwiazdy światy.

Oddycha.

Oddycha.

Postnihilizm (I)

1. Człowiek jest tworem kulturowym.

Komentarz: Należy to rozumieć dosłownie. Człowiek BYŁ tworem biologii (przyrody), lecz od chwili zdobycia narzędzi technologicznych, pozwalających na przebudowę człowieka, jego kształt - w tym podstawa materialna - zależy wyłącznie od kultury.

2. Stare systemy ewaluacji człowieczeństwa - oparte na racjach natury, tradycji, Objawienia - utraciły funkcjonalność i użyteczność.

Rozważ: Parlament, sędzia lub gremium naukowców ma określić dopuszczalność określonych procedur inżynierii genetycznej. Zadaje sobie pytanie; czy procedura będzie dla człowieka dobra czy zła?

Ale dla JAKIEGO człowieka? Jej wprowadzenie siłą rzeczy spowoduje zastąpienie Człowieka+1 przez Człowieka+2. Zatem według której miary człowieczeństwa oceniać działania redefiniujące człowieczeństwo?

Jedyną logiczną i konsekwentną postawą byłoby uznawanie *a priori* wyższości każdego Człowieka+1 nad każdym możliwym Człowiekiem+2 - w praktyce nie do przeprowadzenia.

Nadto rodziłaby ona pytanie o konkurencyjność strategii utrwalania akurat tej formy *Homo sapiens*, w której wypluła nas ewolucja.

3. Jan Paweł II *Veritatis splendor*.

W swoim dążeniu ku Bogu, który „jeden tylko jest Dobry”, człowiek powinien dobrowolnie czynić dobro, a unikać zła. Aby to jednak było możliwe, musi umieć odróżniać dobro od zła. Dokonuje tego przede wszystkim dzięki światłu naturalnego rozumu, które jest w człowieku odbłaskiem Bożego oblicza.

Wielka wrażliwość, jaką przejawia współczesny człowiek wobec uwarunkowań historycznych i kultury, skłania niektórych do kwestionowania niezmienności prawa naturalnego, a tym samym istnienia „obiektywnych norm moralności”, które podobnie jak w przeszłości obowiązują wszystkich ludzi pokoleń współczesnych i przyszłych: czyż bowiem można głosić powszechną ważność i trwałość jakichś racjonalnych rozstrzygnięć normatywnych sformułowanych w przeszłości, kiedy nie przewidywano jeszcze postępu, który miał się dokonać w dziejach ludzkości?

Nie można zaprzeczyć, że człowiek istnieje zawsze w ramach określonej kultury, ale prawdą jest też, że nie wyraża się on cały w tej kulturze. Zresztą sam fakt rozwoju kultur

dowodzi, że w człowieku jest coś, co wykracza poza kulturę. To „coś” to właśnie ludzka natura: to ona jest miarą kultury i to dzięki niej człowiek nie staje się więźniem żadnej ze swych kultur, ale umacnia swoją osobową godność, żyjąc zgodnie z głęboką prawdą swojego bytu.

Z teologicznego punktu widzenia zasady moralne nie są uzależnione od momentu historycznego, w którym zostają odkryte. Formułowanie zasad moralnych nie należy do kompetencji metod właściwych naukom szczegółowym.

Obraz: Przedstaw sobie sytuację etyczną człowieka jako wędrówkę po dwuwymiarowym polu przeszkód, pułapek i labiryntów dobra i zła. Wędrujący otrzymał na początku instrukcję (Kodeks, Przykazania) mającą go prowadzić: IF X THEN RIGHT/LEFT/FORWARD/BACK. Instrukcja się sprawdza, dopóki człowiek nie natrafia na schody i windy prowadzące do góry i w dół - dodany zostaje wtedy trzeci wymiar przestrzenny. (Przestrzeń możliwości powiększyła się o nowe zmienne; dawniejsze stałe okazały się zmiennymi). I niemożliwym jest wywiedzenie ze starej instrukcji jakichkolwiek wskazówek dotyczących słuszności wyboru drogi w dół lub w górę. Wszelkie przejścia logiczne typu IF LEFT THEN DOWN oznaczają dopisanie do starego systemu nowych, arbitralnych tez. Niczego też nie przyniesie większa ortodoksja, większa ścisłość w odczytywaniu instrukcji: bardziej FORWARD nie oznacza UP.

Przykłady: inżynieria genetyczna, transhumanizm, ekonomia postglobalizacyjna, AI, inteligencja inno fizyczna.

Imperia snu

Chcący-niechcący... Prażny.

Daj pyska!

Uuuch! Apage, ośmiornico przeklęta!

No co? No co? Miałeś ich pilnować. Projekt w rozpędzie. A ty gdzie się szlajasz?

I Szefu wypruwa sobie z żył armie kadmosowe, masakrycy wyskakują ze ścian, poleje się krew.

Paweł różowiutki. A-a tam. (Ziewa). Nie chce mi się. (Ziewa). Chyba się zwinę. Pa.

Teraz Prażny pokazuje, z jakiego gnoju został ulepiony. Nie stawiasz u steru arki kreatywów sierżanta ani księgowego, ani korporacyjnego Attyli. Niczego tu nie nakaże, niczego nie wydusi, do niczego nie zastraszy.

Chief Creative Officer ma zadanie trudniejsze: musi sprawić, żeby się cholernym pojebańcom w ogóle chciało bawić grać myśleć wymyślać. Dla reputacji i zysku firmy.

To są dzieci. (Powtarzali mądrzejsi). Muszą być dziećmi. Im nie wolno się PRZEJMOWAĆ. A nawet gdy się przejmują, zaraz gejdżują się designerskimi blokerami glukokortykoidów czy innymi antystreserami. Ażeby się bawić, bawić, bawić.

Usiądź z nimi w piaskownicy. (Powtarzali). Wciągnij w inną zabawę.

Toteż w sekundę Prazny yin-yanguje się na drugi biegun.

Spacerują z Pawłem zбочem Fudzi. Miyazakuchny skaczą po śniegu. Papierowy lampion Księżycy dryfuje ponad szczytem, cukrowe sople lśnią tagami baśni po japońsku.

Pawełku. Ja ciebie zaraz zakocham. Taki gejdż, że kręgosłup śpiewa. Chciałbyś, co?

Paweł emotuje wzruszenie ramion do entej potęgi. (Aż Fudzi wzdycha).

Mógłbym, mógłbym się zgejdżować. Ale po co? Mógłbym się zakochać w tym mostku drewnianym albo w tej sarencie. Pierdolić sarenci co rano. Wysarenkować się na wylot. I co z tego?

Podsuwasz mi bombonierkę czekoladek. Ja mam na talerzu stek gorący, krwisty.

Na takie *dictum* Prazny rozkłada przed Pawłem gratisowe próbki narkotyku. Zobacz, co już nawymyślali. Kiedy ostatnio zaglądałeś? Zobacz.

Mamy developerów hollywoodzkich. Mamy państworbów z Avocats Sans Frontières i koderów awatarujących ich kogito. Wpuścimy do publicznej nie byle modę, ale OCZYWISTOŚĆ. Jesteś obywatelem Konstelacyjnych Państw Ducha, tylko dotąd o tym nie wiedziałeś".

Mamy najlepszych world-builderów od szlai narodowych, religijnych i edukacyjnych, *creme de la creme* nerdyzmu proteo. Zobacz. (Zaglądałeś?)

W głębi duszy zawsze wiedziałeś:

ty i rodzeństwo - życie w innym świecie

ty i twoja pierwsza miłość - żyłście w innym świecie

ty i twoi przyjaciele - życie w jeszcze innych światach

ty i konstelacje serca - macie swoje światy serdeczne

ty sam - egzystujesz w swoim własnym świecie

To jest gotowa mitologia, poezja trumny i kołyski, źródłana prawda wieczorna.

Na niej zbudujemy zug dla FATAGI. „Serce jedynym prawodawcą".

Nie jesteś ciekawy? Nie korci cię? Nie oszukasz mnie przecież!

Paweł grzeje się przy zielonym płomieniu w chatce mnicha-pustelnika. Mnich ma głowę konia i częstuje gości złotym ryżem. Na zewnątrz pada śnieg, a każdy płatek

uderzający w ziemię to krystaliczna ćwierćnuta, zmrożona kropla muzyki.

Zbudujecie w Konstelacyjnych Państwach Ducha republiki intymności. Mmm. Dyktatury szeptów poduszkowych, imperia snu. A każde na dizajnie FATAGI, pod duchem kreatywów FATAGI.

Prażny kuje, póki gorące. Widzisz to! Czujesz to! Chcesz tego!

Initiative +10.

Mnich jemu również wciska w dłonie miseczkę z ryżem.

Jedzą w milczeniu pod księżycowym ideogramem Fudzi. Symfonia zimy narasta kaskadowo.

Paweł układa pałeczkami ziarenka jak maleńkie kamienie na planszy *go*. Rozgałęziają się szeregami we fraktalowe wzory. Ośmiornica połyka gwiazdę.

Czy Prażny nie ma racji? Ma, ma.

Przecież i chatka ciepła to podświadomy odruch, chwilowa ikona przytulności. W gnoju moment urwałby się na krótkim wrażeniu, rozmytej aurze, niewypowiedzianej metaforze. „Czułem się, jakby”.

A w Państwach Ducha nie ma „jakby”. Serce jest jedynym prawodawcą.

Paweł sam dobrze pamięta - chociażby doświadczenie nastolatka wrzuconego wtem w Życie w Wielkim Mieście. Była to baśń straszno-śmieszna o Wybrańcu błądzącym nieskończonymi labiryntami stolicy Pustki, pomiędzy Manekinami i Zombies. (Inny świat).

Świetnie wie, jak Bartek i jego zespół rozwiną ideę; na tyle Bartka zna.

Oto spotykasz człowieka, gejdżujesz się na pożądanie, on gejdżuje się na pożądanie ciebie, zapadacie w prywatny bąbel namiętności i czułości - i odtąd istnieje dla was tylko ta rzeczywistość.

I to nie w przenośniach poetyckich, lecz jak najbardziej prawnie, namacalnie, obiektywnie - w Państwie Ducha 02+ na licencji FATAGI.

Z trademarkiem Gawriły odbitym na każdym szeleście emocji, muśnięciu dusz.

(Tak człowiek zostanie rozkrojony na oścież - a Kostrzewa przyjdzie i pozamienia serce z wątrobą, wątrobę z mózgiem, skonstruuje *Homo Antinolensum*).

Małe futrzaste demony podkicały na próg chatki, Paweł podkarmia je kulkami ryżu. Kichają głośno, podnosząc fontanny śniegu.

Na pewno odniesiecie sukces. (Nie patrzy na Prażnego). Gawriło startuje jednak w dłuższym biegu, nawet nie dostrzegacie jego mety.

Może nie powinieneś być mnie zdradzać przed nim, może powinieneś być sprzedawać się królestwu Corleone ponad jego głową. A tak - Gawriło znalazł mnie w szlai, związał.

Nie widzisz? Jestem na queście.

Na co Prażnemu wyrastają rogi, zionie ogniem, urywa mnichowi koński łeb, wyskakuje w śnieg i depcze demony. No to pozdrowienia dla pana Rajmunda! Wszystkiego najlepszego! Na nowej drodze!

Paweł ściąga z nieba lampion Księżycyca i wręcza go Prażnemu w podarku. Nie bój się, nie zjem wam zlecenia. Nie bardzo mnie to (ziewa) rusza. Chyba się zwinę. A pozdrowienia przekażę, przekażę. Jutro.

Szefu pod lampionem żegluję powoli przez fortepianową śnieżycę. Ech, Kostrzewa, Kostrzewa, Kostrzewa... Gdyby tylko ci się chciało. Gdyby tylko. Gdyby.

Ale cóż. (Paweł wzrusza górą Fudzi). Takie kogito.

Czat mat: Patriarcha

Luksusy najwyższego dobrobytu: ujmij w dłoń nóż, poderżnij gardło prosięciu, patrz, jak się wykrwawia, dygocząc, rzeżąc. Wieczorem je zjecie.

Rajmund Gawriło zaprosił Pawła do siebie na kolację. Paweł zabrał Krysię. Krew ze szlachtowanego świniaka tryska naokoło, na ręce, ubrania, twarze. Krysia ociera czoło i pozostaje jej na włosach czerwona smuga.

Będziecie moimi gośćmi. Pani Krystyno. Panie Pawle. Pozwólcie. Wydrożdżujemy chleb, oskrobiemy warzywa, wyjmiemy miód z uli, upieczemy mięsiwo.

Powrócą SMAKI.

(Doktor Bieda splunąłby z pogardą. Retro na złożonym talerzu! Im teatr droższy, tym bardziej teatralny).

Paweł z Krysią wymieniają na privie zmysły, emoty i skojarzenia.

Trzeba było się zgejdżować oldskulowo. Ej, możesz się potem wyczyścić zapominajką, skoro taka trauma. A kto mówi o traumie! I Krystyna Tusz śmieje się, zadyszana, obrumieniona, tnąc drgające mięso według wskazówek gospodarza i jego rzeźmistrza.

Paweł wychodzi na papierosa. Łąki, lasy, pola, góry. W duchu zaś spoglądają spod chmur ogromne oblicza słowiańskich bogów.

Co to za królestwo? Ta krew, ten sparciały sensualizm gnoju.

Nie ma z nimi nic wspólnego retro doktora Biedy ani konserwa Gucia, ani wiara Utrałta. To inna ucieczka.

Schodzi do strumienia. Trawa i chwasty rosną tu w dzikich skupiskach, kołtuny na skalpie łąki. Nikt nie strzyże, nie pielęgnuje, w tym cały urok.

Chciał umyć ręce, ale się zatrzymał. Odruchy szlai. Obmyć się z posoki bestii, oczyścić miecz, Purity 10.

Polizał, powąchał. (Realizm na ćwierć gwizdka).

Pali papierosa. Tytoń powoli zwycięża. Czego Gawriło usiłuje tu dowieść? Wszystkie te fortece ciała upadły wszak dawno temu. Żadne mięso i krew nie będą dla naszych zmysłów bardziej prawdziwe przez to, że podane w gnoju.

Nie istnieje żadna taka „jakość naturalności”. Nożownicy z galerii handlowej mieli rację.

Wyciera ręce o spodnie.

Żalozne rytuały. Teatr, teatr w pałacu trądu.

Gorące tagi ciągną go w las, za pierwsze drzewa. Krysia przybiegła, zanim przybiegła. Krew kapie jej z sukienki Ybra, smród świńskiego truchła zabił perfumy Chanel.

Łapie oddech jakby każdym ruchem przepony wyrwała się z objęć śmierci. Oczy lśnią. Jej ustami śmieją się bogowie. Zrzuca sukienkę, rozsmarowuje cuchnącą czerwień po skórze. (Wypluj tego papierosa!)

Paweł ulega. Gejdzuje się po symetrii.

Gryzie Krysię w ramię, w szyję.

Szarpie za włosy, powala na ziemię.

Krysia drapie go po twarzy. Drugą ręką rozpina mu spodnie.

Warczą na siebie. Szczerczą zęby. Dyszą. Plują.

Ona usiłuje kopnąć go w jądra. On obraca ją twarzą w runo, smaga uda, pośladki.

Wyją. Śmieją się. Płaczą.

Kopulują w zieleni i błocie.

Ze zbocza nad strumieniem przygląda im się ośmioletnia wnuczka Gawriły.

Potem opowiada o tym przy stole. (Nad kaszą na smalcu z grzybami i szynką w jałowcu).

Lady Gawriło przypomina Marysi o etykietce. Rozmawiają o flagach proteoseksu. A jeśli się tak oflaguję, to czy mogę ich zlalkować? A jeśli, a jeśli, a jeśli.

Niewinne pytania. Paweł sympatyzuje. Nadejdą inne dzieciństwa. (Nadeszły). Lolitki i pedofile przeżyją tylko w bajkach, w plajach. Nie sposób zbrukać ducha wszechwiedzącego.

Lady Gawriło opowiada nie swojej wnuczce o dawnych teatrach biolo. Marysia przeżywa w duchu. Po drugim orgazmie grzecznie dziękuje i wstaje od stołu.

Szynka, potatówki w koszulkach, kiszonki.

Rajmund Gawriło u szczytu.

Paweł i Krysia wymieniają wrażenia i słowa. (Dialogi, prywatne). Doceniasz to, ten slalom po granicy, the last sprint of blade runner. Ile on ma lat? Akurat pływa w publicznej: osiemdziesiąt siedem. Zaraz bym dała mu się pokroić. Zgejdź się w samca petra, można się zarazić. Że ma pieniądze? Wszyscy mamy pieniądze. Że ma więcej pieniędzy? I co z nimi zrobi, napali w kominku? (Otworzy rzeźnie rozrywkowe). Że pamięta gospodarke walki o ogień? To tylko inny rodzaj mięśni, cyfrowy testosteron. Nie, nie, nie rozumiesz. On jest patriarcha.

Pod flagą Przekory Krysia sprzedaje się Gawriło na dzień, na tydzień, na miesiąc (z kopią do Pawła).

Gawriło uprzejmie odmawia.

Wymienia uśmiechy z żoną. To czwarta pełnoprawna.

Nie myślisz się pan żenić, co, panie młodszy?

Paweł nawet nie musi emotować zdziwienia. Nie podnosząc wzroku, bawi się warzywami na talerzu. W jego konstelacjach pracy i miasta nie znajdziesz nikogo żonatego-mężatego. W starych miał jeszcze kilkoro takich znajomych (siostrę, Qqsyna).

Przysięgi na pięć, dziesięć lat naprzód, na wieczność - cóż po nich w świecie Proteusza?

Nawet jeśli nieszczęśnik przysięga absolutnie szczerze - już przysięgając, WIE, że i ta szczerłość obróci się przeciwko niemu. Co innego będzie oznaczać w innym świecie.

Przecież widzimy, jak gwiazdozbiory wirują na niebie.

Wszystko się zmieni. Zawsze się zmienia.

To prawda. Ale

(nowa kolejka czerwonego wina, proszę unieść kieliszki, powąchać bukiet, ach)

czy nie angażujesz się w grę aż po najwyższe ekstazy i najgłębsze depresje pomimo pełnej świadomości, że to gra?

I Rajmund Gawriło toastuje Pawła. Nie wypuszczając Krystyny z mocarnego spojrzenia.

(Do kogo mówi teraz?)

Za każdym razem przysięgasz na wieczność.

Pierwszą żonę poślubiasz na studiach lub tuż po.

Macie po dwadzieścia kilka lat. Jesteście rówieśnikami, prawie.

Pochodzicie z tego samego pokolenia, tego samego świata. Rozumiecie swoje

marzenia i ambicje.

Ona oddaje ci energię, abyś mógł przebić się na szczyt. Ona rodzi ci pierworodnego. Z nią budujesz pierwszy dom i odnosisz pierwsze zwycięstwa.

Ale mija czas. Dzieci dorastają.

Ty jesteś mężczyzną sukcesu w sile wieku, nadal młodym zwycięzcą, a ona - czterdziestoletnią kobietą. (Bo biolo).

Druga żona, gdy ją poznajesz, również ma około dwudziestu lat.

Nie jesteście rówieśnikami. Przemieszczacie się po odmiennych trajektoriach.

Ona jest na krzywej wznoszącej. Daje ci prawdziwą młodość.

Z nią korzystasz z owoców zasłużonego sukcesu.

Dzięki niej chce ci się jeszcze zdobywać świat.

Nienasycona - tego potrzebujesz, nienasycenia, którego nie może ci dać pierwsza żona.

Lecz po kilkunastu latach również to przestaje mieć znaczenie. Zaczynasz bowiem dostrzegać przed sobą Koniec.

Trzecia żona może być rówieśniczką drugiej.

Zazwyczaj jest po trzydziestce, ma już za sobą dłuższy związek, dzieci z niego.

Przynosi ci przeciwieństwo daru drugiej: spokój.

Gdy jest przy tobie, czujesz się pogodzony ze wszystkimi niesprawiedliwościami, klęskami i cierpieniami, jakich doświadczyłeś.

Z nią możesz prowadzić długie rozmowy, które cię nie nudzą. Możesz milczeć.

Przed nią nie musisz kryć, co dotąd kryłeś.

To ona trzymać cię będzie za rękę na łożu śmierci.

Obmyje zwłoki, ubierze do trumny, złoży w ziemi. Zatrądzi się o testament i majątek, gdy inni będą lać łzy.

Kobieta, która przeprowadza na drugi brzeg.

Żyją dłużej, przeżywają nas. (Biolo). Mają władzę nad wspomnieniami.

Paweł prawie zaklaskał. Co za plaja. I co za duractwo.

Kobiety i mężczyźni, akurat!

Nie ma kobiet i mężczyzn. (I nie ma już patriarchów). Są tylko role kobiece i męskie. Maski proteuszowe, nakładane na biolo i na kogito.

My w większości jeszcześmy się rodzili w tych kostiumach przyspawanych do kości.

Ale Marysia?

Marysia będzie kobietą, będzie mężczyzną, będzie wszystkim pomiędzy, obok, poza i nad.

(Powiedziałby).

Lecz Gawriło sam to świetnie wie. Wygadywał te archaizmy w zupełnie innym celu.

Nawet Pawłowi prawie stanął. (Lust Mod 1min). Przeciekło od Krysi.

Która wpatruje się w pana Rajmunda spod opuszczonych powiek, lewa dłoń skacze po stole, napinają się mięśnie ud. Sound-track: *Swung* XRK (basy).

Lady Gawriło musiała się wymienić z mężem w prywatnym. Uśmiecha się porozumiewawczo do Krystyny. Pozwolisz, kochanie. Pozostawmy mężczyzn ich sprawom.

Nie ma już patriarchów, ale są patriarsze maski, są patriarsze plaje.

Czarodziejskie flety, szamani ognia, trony ducha

Business mode. Gawriło uderzył łyżeczką w kieliszek i weszli do sali tronowej orbitalnego zamku. Podłoga jest z przezroczystego plastu, pod nogami obraca się błękitno-biała Ziemia.

Oglądasz pan stare plaje? Niechże wreszcie któryś geniusz zła sięgnie tam po panowanie nad planetą! To byłoby najciekawsze: co zrobi potem, panując.

Gdy już nic nie stoi pomiędzy jego wizją świata i światem.

Odwieczne marzenie ludzkości: moc, dzięki której słowo staje się ciałem.

Tron ma gadżetowe ozdobniki rodem z barokowej science fiction, wisi na wielkim słupie światła, laserowym zaklęciu.

Gawriło zatrzymał się, wykonał ręką zapraszający zawijas.

Test? Test.

Paweł backupuje się co zdanie.

Nie dla mnie trony. Pan wie, kto ma taką władzę. Kto zmienia FAŁSZ w PRAWDE, NIE PODOBA SIĘ w PODOBA SIĘ.

Celebryci. Atraktory konstelacji. Ci, którzy samą swoją obecnością nadają kreacji status rzeczywistości.

Gawriło wychodzi na taras próżniowy, zapala cygaro od przelatującego satelity.

Więc co proponujesz?

Już czas, panie młodszy.

Wypowiedz własnymi słowami.

Paweł się waha. Nie przemyślał do końca. Nie jego to zadanie - domykać łańcuchy logiczne. On zazwyczaj zasiewa ziarna, rozkłada przynęty.

Wahający się -

Tak. Oni wszyscy toną. Trzeba ich jakoś uratować.

Przeprowadzić ludzkość z kontynentu starego człowieczeństwa, zalewanego przez nolensum

(plaja: Mojżesz uniósł ramiona, rozstępują się wody)

przeprowadzić na nowe lądy.

I chyba ma pan rację, Państwa Ducha to konieczne stadium przejściowe.

Dlaczego? Dlatego, że w nich proteizm jest normą obiektywną, świat odpowiada świadomości, świadomość światu. W gnoju zaś - w gnoju żyjemy w ciągłym rozdarciu. Myśl nie zgadza się z rzeczywistością, ciało z duchem.

Stadium przejściowe, bo, tak, idzie o przemianę świadomości. Czy ludzie urodzeni, wychowani w Państwach Ducha będą potrzebować tej protezy? Zapewne nawet jeśli powrócą do gnoju, bezpiecznie poześlą na falach nolensum.

Wydaje się więc, że cały problem to jak przetrwać MOMENT PRZEJŚCIA. (Pół wieku, dwa pokolenia).

Jak ich przeciagnąć na stronę Proteusza? Jak przyzwycząić do egzystencji już pozbawionej sensów życia *Homo sapiens*?

Paweł wybija dziurę w niebie i przez nią spoglądają z góry na miliardy

śpiących

jedzących

rozmawiających

szlajających się

pracujących fizycznie

podróżujących

walczących

nic-nierobiących

Soundtrack: *Die Schöpfung* Haydna.

Gawriło i Kostrzewa odganiają chmury, zapalają konstelacje publiczne. Paweł przesuwa palcem po liniach papilarnych cywilizacji, pieszczota demiurga.

Niech pan do nich zejdzie. No, dalej. Spójrzy prosto w oczy *hoi polloi*. Co im pan powie?

Zniebazstąpiwszy, stanęli za plecami afrykańskiego eks-rolnika pogrążonego w nocnej plai. Muchy chodzą mu po twarzy, turyści po duszy. Nie golił się i nie mył od tygodni.

Gawriło się krzywi.

(Mateo).

Paweł kładzie dłoń na głowie Murzyna, jakby dla jego obrony przed spodziewanym atakiem Gawriły.

Pan nie docenia trudności. Proszę. Możemy mu spróbować wytłumaczyć. Możemy przekonywać. No proszę.

Gawriło zagryza zęby na cygarze.

Paweł ponuro przytakuje.

Bo to nic nie da. Nawet sam siebie nie potrafię przekonać. Wiem, a jednak tonę tonę tonę. Dlaczego?

Ma pan świadomość: nie o rozum tu chodzi.

Oni wszyscy (zaciska dłoń na spoconym karku Murzyna), my wszyscy (wali się pięścią w pierś) jesteśmy jak neandertalczyki wrzuceni do cywilizacji McDonald'sów. Zatluszcimy się na śmierć, pozerając darmowe góry jedzenia - skoro tak zostaliśmy zaprogramowani: do magazynowania maksimum zapasów między długimi głodówkami.

Co z tego, że nie głoduje nikt. Musimy żreć żreć żreć.

Bo czemu służy całe nasze oprogramowanie kulturowe, cywilizacyjne, społeczne? Przełamywaniu ograniczeń materii.

Ale gdy te ograniczania znikają - znika tarcie - znika grawitacja -

na czym się oprzeć?

od czego odepchnąć?

ku czemu zmierzać?

Pracujemy - nie ma po co.

Uczymy się - nie ma po co.

Oszczędzamy - nie ma po co.

Jemy, pijemy, ćwiczymy - nie ma po co.

Obcujemy z ludźmi - nie ma po co.

Uprawiamy seks - nie ma po co.

Żyjemy - nie ma, nie ma po co.

Puszcza Murzyna. Afrykanin przewraca się na podłogę jak pusta kukła. Muchy na moment podrywają się w powietrze, zaraz z powrotem oblażą spocone ciało.

Żywe? Martwe?

Bez różnicy. Plaża gra jak grała.

Paweł otwiera drzwi bungalowu. Własnymi słowami? Wiem, czego pan oczekuje. Ale to nie są moje słowa.

Na centralnym placu wioski szaman w masce, piórach i liściach skacze wokół ognia. Dudnią bębny. Szaman krąży, przybliżając się i oddalając od płomieni. Gdy któryś z mieszkańców wioski wejdzie w zasięg światła i tańca, zostaje porwany w orbitę szamana - i odtąd krąży wokół niego. Tak pęcznieje korowód dzikich podrygów i rytmicznych przytupów. Troje, pięcioro, siedmioro, dziesięcioro, dwadzieścioro - a w duchu: pięć, dziesięć, dwadzieścia tysięcy followerów z Północy. Z ciemności w ciemność. Pójdą za nim na ślepo. (Przynajmniej dopóki front teatru nie przesunie się głębiej w dzicz).

Tego pan ode mnie chce, panie Rajmundzie. Żeby ich zaczarował.

Żeby ich wyprowadził

(z domu niewoli)

jak szczury z miasta.

Nie, nie ty, panie młodszy. Ty masz jedynie podać melodię dla fletu szczurołapa. Resztę załatwią inni.

(Armie poetów, arsenały epiki, zaciężne sny).

Paweł potrząsa głową.

Żeby im zaprojektował nowe człowieczeństwo, nowe PO CO. A najęci celebryci wciągną w nie ludzkość krok po kroku.

Ale

Tak się nie da.

Paweł przystawia szamanowi do głowy rewolwer. Szaman syczy, pluje i skacze w ogień. Paweł strzela w powietrze. Na próżno; czarownik jak głupi tańczy wprost pod lufę, szczerząc zęby. Paweł strzela mu w skroń. Pada trup, korowód rozbiega się z wrzaskiem.

To się nie uda. Szli za nim, ponieważ został opętany przez bogów.

Paweł dźga Gawriłę lufą w pierś. Pan tego nie pojmuje, pan się za wcześnie urodził, panie starszy, pan myśli kamiennymi tablicami. Nie da się ZAPROJEKTOWAĆ PROTEOCZŁOWIEKA.

Może pan i posmakował tej trucizny, ale tak naprawdę nie rozumie pan kreatywów.

Wie pan, jak powstały królestwa?

(Paweł podnosi i nakłada maskę szamana).

Korporacja się reklamuje. Korporacja pragnie trafić do klientów: zmienić w swoich klientów przypadkowych odbiorców reklam.

(Podchodzi do wystraszonych Murzynów i potrząsa im przed oczyma kolorowym totemem).

Ale oto duch zwycięża gnój i nie można już wpychać odbiorcom contentu na siłę;

odbiorca musi wejść w ten marketing dobrowolnie.

(Murzyni chowają się w chatach).

Każdy przekaz musi zatem nieść wartość sam w sobie.

Jak zareklamować reklamę? Wszystkie są darmowe, jednak czas odbiorcy pozostaje skończony. Którą reklamę wybierze?

(Paweł ciska kukielkę w ognisko i z płomieni wybucha totem większy: pięciometrowy feniks totemu, roziskrzony, huczący wichurami żaru, oślepiający).

Którą wybierze?

Tę, do której zaciekawi go sama IDEA. (Nawet we wnętrzach domów nie sposób się ukryć przed pulsującym blaskiem). Reklama już tu jest produktem, produkt reklamą, nie ma różnicy.

W rzeczywistości - co sprzedajemy?

Zaangażowanie odbiorców-klientów.

(Wychodzą z oczyma szeroko otwartymi, zahipnotyzowani, przyciągani fontannami żywych fajerwerków).

Dalece trudniej wycisnąć z kreatywów takie idee, które ludzie z ochotą łykną razem z towarem, aniżeli sfabrykować same towary.

Ubrania, gadżety, żywność - to wszystko jest tanie i łatwe w produkcji

(sypią się spod skrzydeł feniksa koszule buty kapelusze czekolady wódki karabiny lalki kosmetyki dragi)

i nie różni się jedno od drugiego niczym poza wkładem ducha: że kupując i paląc cygaro właśnie TEJ marki, wciągasz do płuc idee, w jakie zostało ono opakowane.

(Dym z cygara Gawriły skłębia się w mniejszą wersję feniksa totemu).

Utożsamiasz się z tymi ideami.

(Feniks cygarowy rozwiera dziób i skrzeczy bukietem iskier wprost w oczy Gawriły).

JESTEŚ nimi.

(Zwija skrzydła i nurkuje - wbija się w nozdrza Gawriły, wnika mu do głowy).

JESTEŚ tym cygarem.

(Gawriło odrzuca cygaro precz).

Pierwotna gospodarka, gospodarka zero, to gospodarka ideami.

(Paweł zwraca się swym obliczem potwornym ku Fatagowcowi i spod maski wybuchają mu

- zaciężne sny -

smoki chimery sfinksy gargojle meduzy anioły szatany).

Fabryki materii ostatecznie okazują się zaledwie drobnym dodatkiem.

Tylko kreatywów nie zastąpią maszyny: nie wyalgorytmizujesz metodą brute force naszych snów.

(Paweł zrywa maskę szamana - pod nią ma wykrzywioną w dzikim grymasie twarz starego Murzyna).

Rajmund Gawriło odstawia kieliszek, wstaje od stołu. Znowu znajdują się na tarasie orbitalnej twierdzy.

Paweł wychyla się przez plast i po łokcie zanurza ręce w waniliowym budynku ziemskiej atmosfery. Podwinąwszy rękawy, obraca morzami ducha, uciera ciasto miliardowych dusz publicznych, wydobywa spod skorupy planety sekretne poziomice marzeń i modlitw.

(Patrz!)

Gospodarka idei wlewa się we wszystkie nisze kulturowe.

(Patrz!)

Rynek kolonizuje kontynenty zbiorowej podświadomości.

Już widać linie, kształty, cienie gigantycznych cielsk tłoczących się pod spodem - pod kontynentami i oceanami.

Zakręcone przez Pawła fronty atmosferyczne dusz układają się we wzory, arabeski, pajęczne obrysy i geometryczne ikony.

Paweł przesuwając je to tu, to tam, bliżej równika, bliżej biegunów, łączy w konstelacje, rozdziela, puszczając w ruch monsunowy i pasatowy, odwirowuje w huraganach.

(Widzisz).

Niektóre idee są sobie bliższe, inne dalsze. Jedne się przyciągają, inne odpychają. Tworzą się klastry, inteligencje kolektywne, rozrasta się tkanka ducha.

Paweł strzela palcami. W ułamku sekundy piorun spływa z niebios do ziemi - i trafia przechodnia na ulicy miasta.

(Stop-klatka).

Paweł obraca w palcach sparaliżowanego człowieka-laleczkę, drapie paznokciem po jego mózgu, wywleka zeń flaki duszy publicznej.

Każda konsumenda zajmuje tu jakieś miejsce, bez wyjątku, to czy tamto - zawsze wisi gdzieś w takiej sieci.

Tylko pewność statystyki mniejsza lub większa. Że:

słucha muzyki ipa → ma wykształcenie ścisłe → nosi ciuchy od Baskuta → jeździ samochodami Marvel → ma seksualność lekkiego proteo → głosuje na komercyjną

postlewicę.

On tego nie wie

(odstawił laleczkę na miejsce)

ale rządzą nim nie korporacje chciwe - po cóż miałyby się bawić w rządy, to niehigieniczne - lecz bezimienni bogowie z zamków ponad chmurami.

(Start!)

Błysnęło, zagrzmiało.

Tak narodziły się królestwa.

Paweł wyprostował się, założył ręce na piersi. Robota skończona.

Czy pan co widzi, panie starszy? (Ziemię i sny pod stopami). Pan widzi.

To KRÓLESTWA SĄ NIEWOLNIKAMI IDEI, nie na odwrót.

Nikt ich nie zaprojektował. Nikt nimi nie steruje.

Nie można „stworzyć” królestwa wedle chęci. Nowe pojawiają się, gdy dostrzegamy lukę między terytoriami starych - w tym i tylko w tym miejscu.

Rajmund Gawriło, ponury niczym Dziadek Mór, wskazuje na tron świetlisty i zasiadającą na nim postać niewyraźną, rozmytą. Mateo.

Jemu to powiedz.

Dałem ci wyzwanie.

Poddajesz się? PODDAJESZ SIĘ?

Łapie Pawła w chwyt zapaśniczy i ciska na niewidzialną posadzkę, pod sam tron.

Duch Mateo Gawriły przelewa się przez oparcie i poręczę tronu. Głowa ledwo trzyma mu się na szyi. Oczy wyciekają z głowy, białka - z oczu. Osuwa się na siedzeniu, roztopia w amorficzną plamę gnoju.

To właśnie cię czeka. To czeka nas wszystkich.

Jeśli nie wymyślisz. Panie kreatywie młodszy.

Paweł, rozplaszczony na twardym niebie, w milczeniu kręci głową. Tak się nie da, nie da, nieda nieda nieda!

Mateo spływa z tronu i zalewa Pawła cuchnącą zgnilizną nolensum.

Opuszczają jadalnię, obejmują petrakobiety, wychodzą na werandę. Deszcz. Łąki, lasy, pola, góry.

Paweł na chwilę zostaje z tyłu, by połknąć dragi przepisane przez prochowca. Kilka pigułek upada na podłogę. Trzęsą mu się ręce.

Groza

Zostawić to. Uciec. Zapomnieć. (Zużył pełen inhalator zapominajki i połowę kolejnego). Wycofać się z zakładu nie do wygrania.

Ależ cały rajc właśnie ze zderzenia z niemożliwością!

(Nie słuchaj! Uciekaj uciekaj uciekaj!)

Zamknął się, zasklepił, zaszpunktował. Nie wchodzi w szlaję. Nie wychodzi w gnój. Nie trawi ducha. W prywatnym przepuszcza sobie przez łeb w kółko te same dwie plaje.

Jak ma wymyślić, myśląc wciąż o wymyślaniu? Jak ma tworzyć, z góry zakładając stworzenie?

W końcu gejdżuje się ostro w luz i tumiwizizm i dopiero wtedy kurcz puszcza mięśnie mózgu. Uff.

A zatem.

(Płyniesz, Paweł, płyniesz...)

A zatem człowiek emigruje w Państwa Ducha - żyje w rzeczywistości Proteusza - gdzie wiecznoziemny duch wprost odpowiada wiecznoziemnemu światu - nic nie jest stałe - nie ma żadnych punktów oparcia - cokolwiek wymyślę, rozplynie się w mgnieniu oka, zastąpione przez nowe atrakcje, nowe mody, nowe absoluty - znowu zaraz zastąpione - i znowu - i znowu... (No nie da się, nieda nieda).

Paweł zgejdżował się jeszcze mocniej.

Łup, coś mu pękło w płacie czołowym.

A-a. Nieważne. Nie przejmuj się. Zapomnij. Myśl o czym innym.

I tak, pomiędzy jednym i drugim ziewnięciem, znalazł się na skwerze UV.

Leży w trawie i mruga na biedronkę.

Biedronka odpowiada inteligentnym milczeniem.

Soundtrack: *Together We Will Live Forever* Clinta Mansella.

Z nudów Paweł czołga się po konstelacjach geotagowanych. Byczuś w zamkniętej szlaj, Zylita prują sobie od nowa całe neuro w klinice ekstropistycznej, Krwawy Hegemon oflagowany na FuckOff, Marchewa z łbem w cipie, Bartek śpi, Norman Prescott wywiesił się w publicznej (świeć Panie nad jego duszą), Ilona w pracy, Krysia w -

WTF!

Krysi nie ma.

Siadając, zmiażdżył biedronkę; nie zauważył. Jak mogło bez mojej wiedzy wymazać Krystynę Tusz?! Nawet gdyby umarła, miałbym feed z jej śmierci. Co jest grane? (Confusion

Max 10s).

Cofa się po logach publicznych hubów. Trzy dni temu jeszcze była, miałem ją na otwartej u Gawriły. Musi też wisieć w subskrypcjach królestwa Paribas-Chanel-π i na rejestrze Patentowanych Szaleńców.

Ale królestwo informuje o zerwaniu z wasalką wszystkich Lojalności, Gwarancji i Polis.

To trudne do pojęcia. Z dnia na dzień Krysia - co? przestała lubić kolory, jakie lubiła, przestały się jej podobać ubrania i ciała, które się jej podobały, przestała patrzeć na świat, jak patrzyła, kupować, co kupowała, żyć, jak żyła...?

Z Gildią Patentowanych Szaleńców to samo: nie zatrudnia już Krystyny Tusz. Rozwiązanie umowy o pracę nastąpiło po dwunastogodzinnym wypowiedzeniu, przedwczoraj o 18. 39.

Dopiero z konstelacji publicznych Krysi Paweł wyławia informację - jej znajomi rozmawiają o tym, wisząc na skałkach Les Calanques de Marseille, dowiedzieli się od kogoś ze szlai otwartej.

Że Krysia poszła w BDSM.

Paweł łowi szczegóły.

Wystawiła się na aukcję poprzez Hursta & Boscha, specjalistyczną kancelarię z San Francisco. Kontrakt zamknięty, bezklausulowy. Kupił ją niejaki Herman L. Mesoutte. Natychmiast zlikwidował jej życie, sprzedał wszystkie ruchomości i nieruchomości, przetransportował ciało do Stanów. Ona nie jest już Krystyną Tusz, nie ma prawa świecić w żadnych konstelacjach; jest satelitą gwiazdy Mesoutte'a, jego własnością.

Herman L. Mesoutte, 42, królestwo Benetton-Strauss, LA, Londyn, Ciudad Obregón, LA, wysokie reputacje w konstelacjach BDSM i gildii V777, Master of Arts, Master of Souls, wcześniej studio aktorskie Fritza K., teraz trenuje niewolników zawodowo, płciowiec petra, proteoseksualista hetero, a to ojciec, a to partnerki, a to konstelacje, a to powiedział, a to zrobił, a to o nim powiedziano, a tak ćwiczył kotki, a tak grał na gitarze, a tak pobił kelnera, a tak myślał, i prawdopodobieństwo, że go polubisz - nie polubisz - polubisz - nie polubięś.

Seks.

Książki.

Muzyka.

Gry. (Szlaje fantasy).

Jedzenie.

Już bym mu łeb urwał.

Krysią, która nie jest Krysią, lecz Białą Trzydziestką Czwórką, leży naga pod tlenówką w otwartym studio Mesoutte'a. Usunięto jej struny głosowe, przemodelowano kośćce twarzy, zoperowano genitalia, trwa wymiana skóry i strojenie neuro. Wkrótce nie będzie mogła wziąć oddechu bez pozwolenia Pana.

Paweł pochyla się nad Krysią. (Nie Krysią). Dotknie, lecz nie obudzi.

Zaschło mu w gardle. Odchrząkuje, powtarza grubym głosem słowa bez sensu, przełyka ślinę. Palce same splatają źdźbła trawy w koślawe kukielki.

Sprzedzała się bez klauzul, po formatunku kogito nie musi mnie nawet pamiętać.

A nic mi nie powiedziała! Nie dała żadnego znaku.

Ale czy miał prawo go oczekiwać? Kim był na jej niebie? Gwiazdą siódmej wielkości w jednej z pobocznych konstelacji.

Paweł odwraca się od Białej Trzydziestki Czwórki; odwróciwszy się, z powrotem się zapada.

Soundtrack: *Ghost Hardware* Buriala.

Nie pomagają drabi spersonalizowane. Nie pomagają gejdź jak młot.

Z każdą chwilą mocniej - obejmuje go - miażdży - wdętuje w trawnik - biedną biedronkę -

Groza.

Zdarza się każdemu. Wytrzymują, nie wytrzymują.

Na przykład. Siedział w gnoju na wykładach przede mną, aż mu pewnego dnia nolensum poszło uszami i nosem. I co? I tyle go widzieli. Może zgnił do reszty w swoim łóżku. (Jak Gawriło młodziak).

Albo. Spacerek w gnoju i wtem widzisz ją spoza ducha. Stare biolo, ciuchy z innej fazy. A rozpoznałeś ją w całej grozie po tym, że - nie wchodzi w interakcje. Nie należy do żadnej konstelacji. Nie jest już z tego świata. Wylogowała się.

Albo. Ojciec, rodzony. Dwadzieścia lat za tym biurkiem. I podwodna ociążałość w ruchach. W ilu wszechświatach wysadził ich wszystkich w powietrze? W ilu wszechświatach wydłubał szefowi oczy i obsmarował kałem dział kadr? Chodzą wokół niego, ci inni ojcowie, widzę ich, ojcowie dokoła ojca. Aż ścisną serce.

Groza.

Znajdź pustą butelkę. Taką, w jakich sprzedają drogie oliwy. Dmuchnij do środka i zakręć dobrze. Noś ją ze sobą wszędzie. Aż się przyzwyczaisz.

Przyzwyczaisz, lecz nie zapomnisz. Jest duża, nie mieści się w kieszeni. Niełatwo ją stłuc. Trzeba uderzyć z całej siły. O beton. O kamień. O stal.

Po tym poznasz.

Że znalazłeś siłę, by wypuścić na świat NIC.

Utraciłeś, czego nigdy nie miałeś, ale nagle tak bardzo ci brak -

Czego?

Tam nic nie było.

(Groza, groza).

Droga smoka

Poprawiłem miecz przy pasie, plecak na ramionach i zszedłem w dolinę.

Mgły spłynęły z przełęczy. W nocy słyszałem jego oddech, budziłem się przy wygasłym ognisku, gdy grały tam w płucach gadzich straszne chroboty i gwizdy. To wicher gwizdał ponad puszciami. I o świcie spłynęło w dolinę skroplone westchnienie smocze: tumany białej pary, wał za wałem. Zbiegałem przed nimi po piargach i połoninach. Aż połknęły mnie i otuliły mięsistymi jęzorami chmur. Tak zstąpiłem do strażnicy Syuer, wilgotny od jego śliny, dyszący ciężko, parujący z nagiej skóry ramion w zimnym powietrzu górskim. Czarne księżycy wróżyły Odpływ i Kazirodztwo.

Wystawili wartę. Zdjąłem plecak, odpiąłem pas z pochwą. Bardzo powoli wysunąłem z niej Pocieszyciela Zmarłych, jednosieczne ostrze westchnęło cicho, obnażone przed światem. Siedzieli po lewej i prawej stronie kamiennego portalu, przed którym czerniało wypalone ognisko. Ten z lewej nie wstał, osunął się na twarz już w kałużę własnej krwi. Ten z prawej wstał, Pocieszyciel odrąbał mu dłoń z toporem i dopiero sięgnął serca. Nie krzyknęli. Ale drzwi były zamknięte, nie usłyszano by ich i tak.

Oczyściwszy miecz, wyjąłem z plecaka kościane pochodnie. Strażnica Syuer stała tu, zanim otwarto drogę w głąb, strzegła przełęczy; obecnie z murowanej konstrukcji przedludzkiej pozostał nierówny krąg ścian najniższej kondygnacji oraz izba piwniczna, w której z rzadka nocują wędrowcy zaskoczeni przez złą pogodę Smoka. Drugie Sprzysiężenie Anatomów otworzyło drzwi jakieś czterdzieści jardów na północ od strażnicy, pod wysokimi sosnami, w piaskowcu. W skalne podłoże, ledwo przykryte żwirem, nie dało się wbić pochodni. Ustawiałem je, obkładając ściśle kamieniami. Odległości pomierzyłem stopa za stopą. Pentagram musiał się opierać na boku o długości proporcjonalnej do długości cienia rzucanego przez przyzywanych. Najszerzej otwierają się drogi o zmierzchu i o świcie.

Skropiłem jeszcze wewnątrz figury krwią z odrąbanej kończyny wartownika (świeża

kręć zawsze pomaga), zapaliłem kości (tego ognia nie widać po naszej stronie jawy) i usiadłem pod sosną. Czekałem. Z zielonych igieł machinalnie układałem pentagramki dla mrówek, koślawe sylwetki bestii i bogów. Pocieszyciel Zmarłych gaworzył w pochwie, opity.

Słońce wychynęło spod siwej chmury i na powierzchni skały w pentagramie pokazał się tłusty cień. Przesunął się w przód i w tył, po czym stanął na baczność, między dwoma syknięciami pochodni zyskując głębię, ostrość krawędzi. Po kapturze i grubej lasce rozpoznawałem już Iagona Karalucha. Pochodnie syknęły po raz trzeci, Iago zdarł z siebie cień i wystąpił z pentagramu. Wstałem, podaliśmy sobie ręce.

Jako drugi przybył Tomasz Niemota, na cieniu, który mało a by się nie pomieścił w pięcioboku. Ciągnął za sobą na łańcuchu swoje zbroje, kołysały się mu w powietrzu nad głową niczym pęk balonów. Większość tych pancerzy nie została wykonana przez ludzi ani dla ludzi, zmiażdżyłyby go, gdyby ich nie odciążał zakłębami kolibra. Niemota zakotwiczył przy drzwiach; oczywiście nic nie rzekł, tylko od razu zabrał się do dobierania najwłaściwszego zestawu stalowego odzienia.

Potem się zachmurzyło na kilka klepsydr. Gdy wreszcie wiatr powiał mocniej, z pentagramu prędko wyskoczyła Lilia Niepokalana, jak zwykle prawie naga, tylko w perłowo-srebrnej masce zakrywającej całą twarz, z trzema płonącymi bezdymnie piórami żar-ptaka nad czołem, w falujących tatużach od stóp do piersi, ze szklanymi rękawicami na dłoniach. Podbiegła do nas w podskokach, Tomaszowi wskoczyła na głowę, na Iagona wypięła tyłek, mnie smagnęła płomieniem po twarzy. Wymienialiśmy ponad Lilią bezradne spojrzenia.

Ostatni zjawił się Kajtuś Bożatko, w czerwonym kubraczku, fioletowych pumpach, rzepoląc na bałajce i bimbambując przywiązany do warkoczyków dzwoneczkami. Nie marnując czasu, zagrał nam błogosławieństwa na szczęście, na zdrowie, na silnego ducha oraz na sprawność oręża. Lilia, zeskoczywszy z sosny, potargała mu fryzurę, dzwoniąc nią perłście. Kajtuś mieszkał w ośmioletnim ciele jej syna; dawno temu Niepokalaną uwiódł i pokalał pewien bóg gorącej krwi i życiodajnego oddechu.

Tomasz zatrzasnął przyłbicę lustrzaną, Iago umaczał koniec lagi w posoce trupa, sam tymczasem wyjąłem z plecaka i zawiesiłem u pasa trzy orzechowe bomby; byliśmy gotowi.

Skinąłem na Karalucha. Dotknął kamiennych drzwi. Otworzyły się ze zgrzytem na wilgotną ciemność.

- Start.

Pierwsze kilkaset jardów szliśmy schodkowym tunelem, nic tu się nie zmieniło od czasu, gdy Drugie Sprzysiężenie Anatomów przebiło się do bestii. Iago otoczył nas chmurą ciepłego światła, widzieliśmy wydrapane i wymalowane na kamiennych ścianach historie

dawnych bohaterów, podobizny drużyn, które jako pierwsze schodziły do Smoka. Gdzieś w połowie tunelu wykuto w kamieniu tragiczne losy Herolda Krwi. Może jeszcze go spotkamy.

W przodzie pojawiło się światło. Uniosłem rękę. Lilia zgasła pióra i tatuaże i pobięła na zwiad. Dotarliśmy do Rany, zazwyczaj któraś z gildii utrzymuje tam obóz. Lilia zameldowała po chwili o sztandarach Hematyków. Oni pozostawałem w sojuszu z Hematykami.

Podeszliśmy do nich ostrożnie, z Kajtusem i Iagonem w tyle, skrytymi pod melodią cienia.

Rana otwierała się pod piaskowcem głęboką jaskinią o stropie pokrytym stujardowymi stalaktytami strupów; zionęło z niej już wyraźnym smrodem krwi. Na trasie zejścia, poniżej wylotu naszego i trzech innych tuneli, w namiotach i przy ogniskach rozłożyło się kilkadziesiąt osób. Niektórzy odpoczywali, niektórzy pewnie właśnie szykowali się do rajdu w głąb. Był nawet handlarz z wozem i mułami, skupował łupy i sprzedawał podejrzone mikstury cudownego ozdrowienia.

Pod sztandarami Hematyków czterech zbrojnych grało w kości. Kiedy podeszliśmy, zażądali listu imiennego, a potem jeszcze dziesięciu sztuk złota od głowy.

- Przejdziemy spokojnie - odparłem. - Możemy zapłacić, ale nie będziemy kłamać o glejcie.

Zmarszczywszy sinoburzone brwi, ich dowódca podźwignął się, ażeby zmierzyć mnie wzrokiem odpowiednio groźnym i na równej wysokości.

- To jak w ogóle tu weszliście przez Syuer?

- Być może pamiętasz z historii swojego bractwa, walczyliśmy w tych samych kampaniach. - Okazałem mu insygnia Bandy Trojga. - Odsłoń swe imię.

W chwiejnym świetle ognisk i koszy węglowych przypatrywał się długo insygniom, potem przeniósł wzrok na Tomasza Niemotę, który raz stanąwszy, nie drgnął już ani o włos i z każdą chwilą coraz bardziej przypominał kawał wulkanicznego żużlu; a potem na Lilię - Lilia odpowiedziała mu zimnym spojrzeniem maski.

- Niemota Imperna - wskazał palcem Tomasza. - Lilia Niedotykalna. A ty - Kosiarz Rata. Bardzo ładne. Oni jeszcze za starego królestwa hasali, tak? Bardzo ładne. Ale papier mieć muszę.

- Lilijko, kochanie, pokaż im coś.

Wskoczyła Hematykowi na głowę, odbiła się, zanim mrugnął, skoczyła na szczyt namiotu, odbiła się, skoczyła na ścianę, szklane rękawice rozbłysły wczepiając się prędko w kamień i stalaktyt, wspięła się na strop jaskini, zapaliła tatuaże i wbiła szpony lewej dłoni w

podstawę nawisu; przez pięć uderzeń serca nic się nie działo, tylko jej rękawice i tatuaże pulsowały coraz szybciej - a potem pęczniejące szkło rozdarło i skruszyło odwróconą iglicę, i góra kamiennej krwi runęła na obóz.

Uciekali z krzykiem pod ściany i w górę tuneli. Kajtuś zagrał nam kołyskę, przeszliśmy czym prędzej, nim opadł pył.

W środku było cieplej, dawały też trochę blasku fluorescencyjne plamy sińców na skamieniałych mięśniach. W powietrzu dryfowały bąble tłustych wyziewów; od wieków nie pozwalano zamknąć się Ranie, choroba musiała wnikać głęboko.

Iago szukał życia w skale - wbił się tam w nią laską, posłuchał, podumał i wskazał drogę.

Zeszliśmy w jelita Smoka.

Najpierw przez warstwy kościanego pancerza, przez mile spetryfikowanego cielska, rozpadliskami, szczelinami, rurami pustych i skruszałych ze starości żył, brodząc w czarnym prochu: tysiącletniej wyschłej krwi gadziej. Gdy robiło się ciasniej, puszczałem przodem Tomasza, który rozpychał swoimi pancerzami niezniszczalnymi kości, bazalty i fundamenty gór.

Potem, już w cielsku gorętszym, pulsującym, wędrowaliśmy osteoporowymi pustaciami, rozstępami tkanki nekrotycznej, otoczeni tam bąblami tlenu cyrkulowanego laską Iagona, pod życiodajną muzyką Kajtusia; wędrowaliśmy krętymi tunelami wygryzionymi przez kaparfusy, murtapije, graguje. Są to pasożyty Smoka, smocze tasiemce i czerwie, żerujące od eonów w jego ciele. I przyszło nam stoczyć walkę z gigantycznym murtapijem, który wyłonił się wtem z rozwibrowanej ściany mięsaka - ślepy łeb jak zad demona, pierścienie igieł zadziurawionych jak szeregi oszczepników na wieży obłąkanej, dech żółty jak bojowe gazy trujące. Kajtuś zagrał i odtąd oddychaliśmy jego muzyką. Tomasz Niemota stanął naprzeciwko murtapija, nieporuszony, gdy łamały się na nim igły trzyjardowe, gdy spadał nań kafar murtapijowego tułowia. Lilia wbiegła potworowi w paszczę; bluznęła krew brunatna. Przemknąłem pod ścianą, wrażliwym Pocieszyciela Zmarłych między pierścieniem, aż krzyknął, porywając mnie w cięciu wzwyż i w dół; wykroilem w boku murtapija trójkątny portal. Robal monstrualny ciskał się już w panice i trzęsły się ściany tunelu. Iago wbił laskę pod nogi i uwolnił piorun najpierw prosto w dół, by sparaliżować miejscowo mięśnie Smoka. Potem wpuścił burzę w otwartą ranę murtapija. Lilia wyskoczyła z rozwartej gęby, niesiona rykiem konającego pasożyta. Rozpadał się w drgawkach, dymiąc przez ranę i wnętrzości. W zamieszaniu jedna z igieł przebiła mnie na wylot, przez żołądek i śledzionę. Kajtuś Bożątko zaśpiewał mi do ucha; powstałem.

Potem płynęliśmy rzekami wrzącej krwi smoczej, pompowanej przez setki mil w powolnych przyptywach i odpływach z magmowego serca. Nie dało się tu oddychać, żyliśmy na nucie Kajtusia, we wrzecionowatym splocie zakłęć Iagona. Lilia przykucnęła na dziobie tej łódki podwójnej, szklanymi szponami sondowała głębokość arterii; Tomasz znieruchomiał pośrodku, dociażając czółno. Płynęliśmy w dół, w górę, z prądem i pod prąd. Otwierały się przed nami w ciemności studnie trującej posoki, krwiospady wielomilowe i krwiociągi pompujące nurt czarny mile wzwyż, rozpościerały się błotniste rozlewiska krwiaków mięśniowych, krążyliśmy po zatokach gnilnych i wokół purpurowych gór wątroby. Iago w końcu wyrwał nas z tego ciemnego i dusznego obiegu osocza w prądy słabsze, boczne, wystygłe, ku zimnym wyżynom gada.

Tam w forcie zakrzepu stanęło nam na drodze plemię sycystów. Dwudzieste, trzydzieste pokolenia od zagubienia w smoczych labiryntach - żywili się jego ciałem, pili jego płyny, śnili i rozmnażali się w rytmie jego fizjologii. Niektórym pozostały ludzkie twarze, niektórym - ręce, innym - jeno mowa. W sycystów ufortyfikowanym obozie, wybiwszy te ślepe mutanty i ich pomiot nieludzki, odkryliśmy w stertach rozgryzionych kości i rozmaitego śmiecia zebranego na zakrzepie - odkryliśmy szczątki aparatury ur-magicznej. Jeszcze pulsowały w nich Słowa, a gdy Iago trącił cewkę anielską swoją laską, cewka zagrała wszystkimi barwami tęczy i przez moment widzieliśmy nawzajem swoje myśli.

- Świeża - rzekł, uniósłszy ją pod światłochmurę. - Wyplukałaby się tu w tydzień. Ktoś wszedł w Smoka z laboratorium zenitu pod pachą i schrupały go te pokraki.

- Albo i nie schrupały! - zawołała z wysokości Lilia. Wbiegła tymczasem po zwałach zatoru kilkadziesiąt jardów wzwyż. Cały zakrzep składał się z piętrowych narostów krwi, które z czasem erodowały, ruszały, i ponownie były przykrywane porowatym strupem, i tak oto powstał tu system mniejszych i większych dziur, jaskiń, tuneli, zapadlisk, w słabym i niskim świetle dodatkowo zamaskowany milionem cieni rzucanych od każdej nierówności i krawędzi. Jednak Lilia - wszystkowidząca maska Lilii - dostrzegła coś ukryte w jednej z jam i teraz ciągnęła to przemocą na powierzchnię, aż biały dym szedł z piór płomiennych Niepokalanej i skwierczały jej tatuaże. Ciągnęła, ciągnęła, wyciągnęła - dwójkę dzieci człowieczych, chłopca i dziewczynkę.

Okazało się, że było to rodzeństwo, syn i córka pary magów-teoretyków, którzy, idioci, wybrali się w Smoka na rodzinną eksplorację. Kajtuś ukołysał zaraz dzieciaki do snu bez snów; Iago wejrzał im w główki. Byli świadkami śmierci co najmniej jednego z rodziców, sycyści rozkawałkowali im ojca, przypiekając mięso w kwasie serdecznym Smoka.

- Nie zostawimy ich przecież - stwierdziła Lilia, wycierając śpiące buzie jakąś czar-

szmatką.

- Nie zawrócimy także - rzekłem stanowczo. - Znasz zasady. Kajtuś zagrał trzy ciche nuty. - Będzie dobrze.

- Odma zatem - rzekł Iago.

Zagryzłszy zęby, rozłożyłem bezradnie ręce. Tomasz Niemota nie powiedział ani słowa.

Posadził sobie potem dzieci na barkach, dziewczynkę na lewym, chłopczyka na prawym. Przyszło nam zboczyć z drogi, zejść w przepaście wichrowe, w głąb otchłannej piersi smoczej.

W dolinie jego płuca zatrzymaliśmy się w Białym Zajeździe, u ślepego Janusa. To miasto, Odmę, założyli jeszcze Anatomowie. W jego bliznach i zrostach kryją się starożytne skarbcze Sprzysiężenia, w których pierwsi magowie-eksploratorzy złożyli swe najcenniejsze - bezcenne - zdobycze. Radni miejscy, strażnicy owych skarbów, od wieków już nie ukazują się oczom śmiertelników. Ponoć obmywszy się w zimnym ogniu smoczego nasienia, rządcy Odmy wraz z gadzią witalnością zyskali apetyt Smoka i teraz żywią się czasem i przestrzenią, pożerają logikę przyczyny i skutku, upijają się urtopią, to jest naturalnym dążeniem każdej rzeczy magicznej do magii wytracenia.

Dlatego płuco z Odmą rozdzieliło się do postaci trzykroć większej od drugiego płuca Smoka. I dlatego w Odmie ma siedzibę tyle towarzystw, gildii, sekt i aliansów: bliska obecność niewidzialnych radnych konserwuje artefakty pochowane w prywatnych kryptach. Przybywają tu też starzejący się arystokraci, monarchowie i herosi pożenieni z ziemią, przybywają, gdy i najdroższa magia nie jest już w stanie obronić ich przed śmiercią. A w Odmie nawet jeśli w końcu umrą, to cudownie zagubieni pomiędzy własnym dzieciństwem, młodością, dojrzałością i wiekiem starym, zaplątani między wczoraj i jutro, pamiętający moment zgonu jako odległą, zamgloną przeszłość... Zawsze uciekałem z Odmą najszybciej, jak mogłem.

Lilia i Kajtuś zajęli się znalezieniem opieki dla dzieci, a ja udałem się do starej siedziby Sojuszu Gwoźdźcia. Mieści się ona na Zaflegmiu, w wieży z kości smoczej. Popłynąłem głównym kanałem. Wioślarz śpiewał morfologiczne barkarole. Fioletowe cienie od ogni tchawicznych tańczyły po gęstych falach i zaropiałych ścianach budynków. Powiał mocniejszy wiatr i poczułem w ustach smak, na który nie ma nazwy. Nie znoszę tego miejsca.

Na niebie nad Odmą kłębią się sztormy oddechu Smoka; kiedy w grzmiącym wichrze je wydycha, chmurzy się mrocznie nad górami i równinami Zachodu, fronty atmosferyczne przesłaniają oblicze kontynentu, a wróżbiarze królów piszą nowe kalendarze dla chłopstwa.

Czekając na furtianą pod wieżą Gwoździa, zadzieralem głowę. Długie na dziesiątki mil eksplozje ognia - protuberancje żółtego i czerwonego płomienia - wybuchały co chwila hen, wysoko, u szczytu płuca. Aby w Odmie nie panował mrok, rada miejska zakupiła u Trzeciego Sprzysiężenia Anatomów - płacąc skarbami, których możemy się tylko domyślać - samożywną Torturę. Tortura dziurawi system oddechowy Smoka w ten sposób, by upuszczać ogień z jego gruczołów siarkowych nie na zewnątrz, a do wnętrza płuca. Magowie wszyscy powiadają, że to go bardzo boli. Smok nienawidzi ludzi. Od tysiącleci nie było na jego kontynencie księżycodnia bez wojny i zarazy.

Wspiałem się za furtianem do izby wizytowej, nieobjętej klauzurą - Miron przywitał mnie winem i kadzidłem. Był młodszy niż poprzednio.

Wspominaliśmy czasy chwały Bandy Trojga. Okazało się przy tym, że Sojusz Gwoździa wycofał się już z wojen o moc i artefakty.

- Pamiętasz, jak otworzyliśmy tu szlaki balonowe? Nawet co bogatsi mieszczenie z Cesarstwa urządzali sobie wycieczki. A dzisiaj?

- Ile to w waszych kalendarzach? Sto sześćdziesiąt lat?

- Nie pokazujesz się.

Wzruszyłem ramionami.

- Jakoś mnie to już nie bawi.

- Ale teraz wszedłeś, i to ze starą drużyną. Jak się przebiłeś?

- Przez Syuer. Na północy jestem wyklęty, zapomniałeś?

- Rzeczywiście. Czyli prawie od nerek, tak? Dobre pięćset mil.

- Cóż poradzę, siedzi w głowie. O to właśnie chciałem zapytać. Czy macie wieści o jego dokładnym położeniu. Gdzie się wszył. Bo możemy latami tam krążyć i go nie znaleźć, Karaluch nie daje zupełnej gwarancji.

Zanim odpowiedział, Miron zatrzaskał okiennice.

- Nigdy nie wiesz, gdzie tu przebiega żywy nerw. Mhm. Posłuchaj, to nie jest taka prosta sprawa. Od lat już w ogóle nie dopuszcza konkurencji poza opony. Słyszałeś o tych trzęsieniach ziemi w Erbach? Powstało nowe morze.

- To on?

- To on. Rada Odmy głosowała wniosek o nagrodę za jego głowę; jest obawa, że przy mocniejszych ruchach Smok zmiążdży nas tu albo wypluje. Wniosek na razie przepadł, ale myślę, że nie odmówią dyskretnej pomocy, skoro usłyszą, że to Kosiarz się do niego wybiera.

- A ty skąd wiesz, co się głosuje na posiedzeniach rady?

Miron zrobił niewinną minę. (Był jeszcze młodszy niż butelkę temu).

Staneło na tym, że najpóźniej za sto klepsydr da mi nieoficjalną odpowiedź od rady. Napomknął o przewodniku, szkolonym neuropacie. Mają tu bowiem kastę interpretatorów snów Smoka. Ci się nie wszywają - sprzęgają się poprzez aparaty ur-magiczne.

Narysowałem mu kształt cewki anielskiej.

Pokiwał głową.

- No, mniej więcej coś takiego.

W Białym Zajeździe nie zastałem Iagona, za to wrócili Kajtuś z Lilią.

- Dowiedzieliśmy się tyle, że istotnie była taka para naukowców, małżeństwo, skonstruowali nowe translatory, składali oferty różnym gildiom.

- Ale skąd się wzięli? Stąd, z Odmy?

- Chyba nie, to plotki z czwartej ręki.

- U kogoś zostawić sieroty musimy, nie zabierzemy ich przecież na rajd do głowy Smoka.

- A co powiedział twój znajomy?

- Ma dać przewodnika. Dyskretna pomoc rady miejskiej.

Kajtuś zabrzdakał smętnie.

- Co znowu? - westchnąłem.

- To nie musi być tak, to wcale nie musi być tak, może być na o-odwrót, znajdujemy się w O-odmie, Ooodmie...

- Wiem. Gdzie one teraz?

- Tu obok.

Zajrzałem do izby po drugiej stronie korytarza. Tomasz spał, bez swoich pancerzy - nagi i miękki i blady niczym ślimak wyjęty z muszli. Dzieci już się obudziły, bawiły się w jakąś skomplikowaną przeskakiwanekę na podłodze pod oknem. Na mój widok przystanęły, chłopiec spojrzał bardzo poważnie, posiwiło mu lewe oko, rozległ się grzmot metaliczny, ściany pokoju rozjechały się na boki, zmieniło się światło ogni na niebie, dziewczynka zestarzała się i odmłodziła, obudzony Tomasz powstał, ściągając spod sufitu swoje zbroje (to było źródło owego hurgotu uprzedniego), a chłopiec wskazał go palcem i szepnął:

- Zginął.

Wpadli do wnętrza Kajtuś i Lilia. Chłopiec wskazał Bożatko.

- Zginął.

Wskazał Niepokalaną.

- Zginęła.

Przyklękąłem przed nim.

- Jak ci na imię?
- Olo.
- Pamiętasz nas?
- Biliście się z armiami Jeźdźca Smoka.
- I co, wszyscy polegliśmy? - spytała Lilia.

Pokręcił główką.

- Nie wszyscy.
- Dobiłem z nim targu?
- Chciał ci dać, ale nie wziąłeś.
- Niemożliwe!
- Nie wziąłeś.

Po czym Olo zamrugał, znowu odmienily mu się oczy; izba podskoczyła i z powrotem się skurczyła, aż Niemota wybił łokciem dziurę w ścianie.

Podniosłem się.

- Zabieramy je. Pamiętają drogę. Co za cholerne miejsce.

Wydobyliśmy z magazynu Gwoździa jeden ze starych balonów, powłoka z błony jelitowej Smoka zachowała się nadspodziewanie dobrze. Niewolnicy Mirona przytargali gondolę uplecioną z lekkich wici parazytowych. Przewodnik od rady zjawił się w ostatniej chwili, równo z zasapanym Iagonem. Załadowaliśmy zapasy, zrzuciliśmy balasty i poszybowali w górę płuca.

Nie widzieliśmy ich spoza bulwiastej bryły balonu, lecz słyszeliśmy z każdą chwilą wyraźniej szum, z jakim u szczytu płuca przepływają w powietrzu rzeki ognia. Szum, hurgot, wreszcie ryk ogłuszający. Pociliśmy się niczym w południe na pustyni. Kajtuś zagrał śnieżynkę, trochę pomogło. Płomienie wybuchały w przypadkowych miejscach, pod przypadkowym kątem; przewodnik miał kości urtropiczne, rzucał nimi co chwila i odczytywał kurs, a Lilia biegała po olinowaniu gondoli i zmieniała nachylenie żagli manewrowych.

Tomasz pozwolił dzieciom bawić się w pancierzach, powpełzały mu w zbroje jak myszy w ser i tylko co jakiś czas wychylała się spomiędzy okrutnych hełmów, puklerzy, rękawic bardzo poważna buzia, błyskało oko szeroko rozwarte w szczelinie czarnej stali.

Iago przesiedział cały lot milczący jak Tomasz i dopiero po przycumowaniu w tchawicy zagadnął mnie na osobności.

- To jest wynalazek drakofilów - rzekł półgłosem, wyjąwszy z rękawa tamtą cewkę anielską. - Wyszedł z Odmy albo z samych trzewi. Popytałem, postawiłem lustra.

- Mhm, nasz przewodnik to prawie drakofil. Oni co prawda nie czczą Smoka, ale podsłuchują jego sny.

- Chodzi mi o to, że takie transformatory ur-magiczne - obracał cewkę w grubych dłoniach niczym zatruty sztylet - pierwotnie zostały pomyślane dla przepływu obustronnego. Nawet jeśli nasi pechowi magowie tego nie wiedzieli, to... Pamiętasz Palantiry?

Zerknąłem odruchowo na sieroty. Siłowały się właśnie na rękę z Tomaszem, jedno dziecko na jeden palec Niemoty.

- Zajrzałeś im przecież do głów.

- Za magię ludzką i ur-magię ręczę: czysto. Ale jeśli to robota samego Smoka... Niby czemu się wszywają? Jego Słowa wywracają na nice rzeczywistość. Tego nie da się wykryć, nie da się porównać do stanu naturalnego - bo to manipuluje samymi fundamentami natury.

Przewodnik opowiadał przy ognisku legendy gildii. Nie wiadomo, co w nich pochodzi z historii, a co ze zmyślenia. Smok zmieniał następstwo pór roku, Smok ściągał z nieba i połykał gwiazdy - to gwiazdami się żywił, stąd jego oddech wszechpalący. Epoki geologiczne odpowiadają okresom linienia jego skóry. Teraz od lat śni o rzeczach zimnych i nieruchomych: uzurpator spętał jego myśli, pierwszy od niepamiętnych czasów Jeździec Smoka. Czy rzeczywiście przesuwają lądy i oceany? Jeśli podniesie Smoka z leża, nie będzie lądów i oceanów.

Nazajutrz rozpoczęliśmy wspinaczkę w górę czaszki. Szliśmy głównie po trawersach tkanek miękkich; co jakiś czas Iago przepalał swoją laską tunele w masie pulsującej.

Kilka mil ponad krawędzią kościanego urwiska Lilia spotrzęła pierwszego wszytego. W dół do niewidocznych masywów kręgosłupa biegł warkocz srebrnych żył geologicznych. Mag wisiał, przypieczony wplask do tego srebra - odsłoniętego nerwu Smoka.

To odwieczna pokusa czarodziejów: włamać się do jego systemu nerwowego, splątać myśli z jego myślami, magię z jego magią, wysać mądrość i potęgę. Ginają jeden po drugim, a mimo to próbują.

- Wepchnij sobie w gardło rurę - rzekł Iago, odwracając z niesmakiem wzrok - i wlej w siebie ocean.

Są wszakże wyjątki, którym się udaje.

Nasz przewodnik wkuł w nerw swój tajemniczy aparacik, posłuchał, pomedytował i wskazał drogę. Powinniśmy się przebić możliwie blisko Jeźdźca - żeby potem nie ugrzęznąć na zbyt długo w samym mózgu. Spytałem jeszcze dzieci, czy taką właśnie drogę pamiętają. Potwierdziły. Po chwili zwątpiłem - pamiętały także naszą klęskę, może więc jednak inną trasę należało obrać. Cień Odmy wisiał nad nami wszystkimi.

Aby przebić się przez opony mózgowe Smoka, nie wystarczy laska Karalucha i trochę ognia. Mózg Smoka nie jest mózgiem gada ani mózgiem człowieka, znacznie mniej jednak przypomina ten pierwszy. Jeździec zresztą się ufortyfikował; opona twarda to gruba na kilkadziesiąt jardów warstwa skryształizowanej tkanki, w której chaotycznymi zakosami biegały druty piorunowe.

Naciąłem sobie żyłę w łokciu i krwią serdeczną wypisałem na gładkiej skorupie bomby orzechowej poezje życia i śmierci. Po czym cisnąłem bombę w oponę. Miałem kiedyś tuzin takich orzechów, to moja część łupu z wielkiego rajdu do Korzeni Świata; tylko jeden zmarnowałem, niepotrzebnie zamykając Cieśninę Uka. Ten tutaj powinien nam zapewnić bezpieczne przejście przez wszystkie opony i poprzez płyn mózgowo-rdzeniowy, w którego morzach, jak opowiadał przewodnik, Jeździec hoduje odmianę inteligentnych kałamarnic żywiących się logiką i pamięcią. Nie jadają jedynie myśli wariatów, kretynów i niemowląt.

Bomba eksplodowała, od razu wgrzyzając się dziesiątkami pędów korzeniowych w sino-rdzawą ścianę opony. Musieliśmy się cofnąć, dać miejsce na główny pień orzecha. Wyrósł on w pół klepsydry - pusty w środku i lekko skręcony. Słyszeliśmy, jak krystaliczna struktura błony jęczy i trzeszczy, rozpychana przez wciąż rosnące wewnątrz drzewo. A może to drzewo trzeszczało. Kiedy wprowadziłem drużynę do jego wnętrza, pachnącego świeżymi sokami spiralnego tunelu (Karaluch rozpyłał w mroku chmury światła), dzieci się rozpląkały, przerażone, że orzech zaraz pęknie pod naciskiem i zmiażdży nas wszystkich. Trzaski bowiem wybuchały w długich salwach armatnich, hałas prawie ogłuszał. Aż wreszcie Kajtuś zagrał maluchom kołysankę; zasnęły w ramionach Niemoty.

Przeszliśmy w pniu orzecha przez pierwszą i drugą błonę, przeszliśmy przez głębiny myślożernego oceanu, przeszliśmy przez oponę miękką, za nią bomba rozszczeptała się na setki mniejszych i większych konarów, wyskoczyliśmy więc z drewnianej trąby na bagniste pogórze wyżyn mózgowych spiętrzonych w fałdy i turnie sięgające aż czaszkonieba, wyskoczyliśmy na łąkę krwistego śluzu i szarego torfu - a tam już na nas czekali.

Jako że kryła ich pieśń niewidzialności, maskując nawet przed maską wszystkowidzącą, Lilia wbiegła prosto w zasadzkę. Mnie ostrzegł wrzask Pocieszyciela Zmarłych, a Iagona - wyładowanie prądów mózgowych Smoka: Smok pomyślał, czaszkoniebo rozjarzyło się purpurowo-złotymi łańcuchami błyskawic przeskakujących po zboczach kortekсового górotworu, i wprost z jego myśli stanęły przeciwko nam nieprzeliczone zastępy koszmarów-drakmarów. Rzeczywistość ugięła się przed Smokiem.

W dwa uderzenia serca otoczyli Lilię Niepokalaną, owijając ją kurtynami nocy. Usłyszeliśmy jej krzyk rozzwierający i brzęk tłuczonego szkła. Tomasz porzucił sieroty,

zatrzasnął przyłbicę i popędził na pomoc Lili; pognałem za nim, skryty w kilwaterze zakłębionych jego zbroi. Kajtuś rozbrzdąkał się szaleńczo - płynęły jedna po drugiej melodie potężne, nastrojone przeciwko pieśniom koszmarów. Obmywały mnie ciepłymi falami, aż poczułem, że to właściwie nie ja biegnę, nie ja koszę mieczem nieważkim szeregi drakofagów zmiennokształtnych, mutujących przede mną niczym sen, z jednej niemożliwości w drugą, nie ja - to sam rytm wygrywany wymuszał ruchy i decyzje.

Rozpruwszy ciemne zastępy, Tomasz przebił się w końcu do Niepokalanej. Do tej pory zdążyli rozszarpać ją na strzępy. Kajtuś zaśpiewał z daleka rezurekcję; Lilia przeciekała Niemocie między żelaznymi palcami. Kosilem tymczasem drakmary z lewa i prawa, Pocieszyciel Zmarłych wył opętańczo, już sama ciemność rozpadała się pod jego ostrzem na dwa, już fruwały naokoło odłamki stali, kamienia i diamentu; lecz drakmarów nie ubywało. Koszmar nie ma końca, snu nie strwoży arytmetyka.

Jeszcze jedno uderzenie serca, jeszcze jedno - Karaluch nareszcie zakończył inkantację i uwolnił demona. Hetman piekielny stanął na ukrwionej glebie smoczego mózgowia, zaskwierczała przyzegana tkanka. Sięgnął jedną ręką i spalił dziesięć drakmarów. Sięgnął drugą ręką i spalił sto drakmarów. Sięgnął trzecią ręką i spalił tysiąc drakmarów. Lecz drakmarów nie ubywało, oświetlające nas z wysokości w wiązkach i pajęczynach piorunów intensywne fantazje Smoka roily kolejne i kolejne zastępy. Koszmar nie ma końca.

Karaluch dotąd musiał już pojąć, że w ten sposób nie zwyciężymy. Zniknął z powrotem we wnętrzu pnia, pociągając za sobą demona. Bożątka również skreślił melodię w inne, nieznane mi rytmy.

Staliśmy tu z Tomaszem w okrążeniu, plecy w plecy, chore potwory gadziego umysłu napierały zbitą ścianą, Pocieszyciel Zmarłych chichotał obłąkańczo... Zwały trupów zamknęły nas w ciasnym okopie. Tomasz przepychał się przez nie, ja za nim, lecz zaraz grzęźliśmy w nowym okrążeniu, bo zmory, potwory, horrory opadały nas zewsząd, z góry, z flanki i z dołu, wyłaząc spod świeżych trupów, od trupów nieodróżnialne. W końcu nas przygniotą samą masą koszmaru. Oderwałem z pasa drugą bombę.

Zanim wszakże zdążyłem ją nastroić i cisnąć, inna eksplozja rozdarła przestwór czaszkowy: z wielusetjardowego pustego pnia wystrzelił kielich ognia niczym z lufy armatniej - Iago Karaluch uczynił bowiem żywą amunicję z inferno-demonia i palił nim teraz na wprost, a także pod kątem, wykręcając drzewo-garłacz niczym węża. Najpierw pomyślałem, że pudłuje fatalnie, bo ta oślepiająca salwa demoniczna szła całkowicie ponad łbami drakmarów. Ale zaraz pojąłem zamysł przebiegły: ostrzał demolujący kładł się na góry i doliny, wyzegując materię mózgową i gasząc pod chmurami krematoryjnego popiołu burze

smoczyczych myśli. Im mniej i słabiej Smok myślał, tym mniej i słabszych stawało przeciwko nam drakmarów; aż wreszcie wyginęli pod ostrzem Pocieszyciela do ostatka, i koszmar się skończył.

Staliśmy w upiornych ciemnościach, wdychając drobiny żywej spalenizny, pośrodku wielomilowego Udaru, krajobrazu martwoty i bezmyśli.

Nie żył przewodnik, nie żyła Lilia i Kajtuś, zjedzony przez rekinowego drakmara z ostatniej fali. Iago rozpruł to truchło i animował Bożątko; ten zatańczył sobie powstańduszę i rychło wrócił do żywych. Ale Niepokalanej i przewodnika nie zdołał wskrzesić, było już za późno. Tomaszowi drakmary odgryzły w kolanie nogę; Bożątko ją przyśpiewał z powrotem. Dzieci patrzyły na to wszystko wielkimi oczyma, rozmazując po buziach smugi węglowe.

Wskazałem kierunek wylosowany uprzednio przez przewodnika.

- Tędy? Jak pamiętacie? Olo! Tędy?

Pokiwał głową.

Powędrowaliśmy w głąb rozumu bestii.

Ciemnymi i dusznymi wąwozami korteksu przeszliśmy poza granicę spalenizny. Na kościanym horyzoncie, pod sferami oponowymi, błyskały odległe sztormy podłości. Gdybym znał tajemne księgi Sprzysiężeń Anatomów, może mógłbym stwierdzić, o czym Smok w tej chwili duma.

Trzy mile przed wielkim kanionem śródmózgowym wyskoczył na nas dracunkulus: smok wewnątrz smoka. Nie było ostrzeżenia, wylazł nam wprost spod nóg, spod kory. Zaatakował od tyłu i zanim się obejrzelśmy, przegryzł w pół Kajtusia i przydepnął Iagona.

- Robaki nędzne! - zaryczał, po czym wypluł spod języka kiszki Bożątka. - Precz z mojej głowy!

Przyskoczyłem do niego z obnażonym Pocieszycielem Zmarłych; na co dracunkulus mocniej przydepnął Iagona i zionął ogniem.

- Jeśli naprawdę jesteś nim - rzekłem - a nie kolejną lalką Jeźdźca, to nie masz się czego lękać: my właśnie chcemy cię uleczyć.

- Kłamca! - warknął smok i zagrzmiało na wzgórzach środkowego cerebrum. - Już wbijacie mi gwoździe w duszę!

Przypomniałem sobie o orzechu-armacie.

- Musieliśmy - Iago otworzył usta i strzelił w dracunkulusa śliną słonecznego żaru. Smok zawył, smagnał maga ogonem i przydepnął drugą łapą, aż z rozgnieczonego na miazgę Karalucha wyprysnęły na boki soki żywota.

- Ssss! Jak cię zwa, robaku?

- Iago - jęknął Iago - Karaluch.

- Karaluch! - zaśmiał się dracunkulus, z ciekawości aż nachylając łeb nad zmiążdżonym człowiekiem.

- Bo nie idzie mnie ubić. - I Iago wcisnął w paszczę gada koniec lagi, stwora wygięło, jakby bułat połknął, wybałuszył ślepią i rozłożył skrzydła, z lagi poszły wióry, a dracunkulus padł ze złamanym w kąt prosty kręgosłupem.

Wielkim wysiłkiem woli Iago pozbiierał się do kupy. Siedział potem długo i trzymał się za głowę, przyciskał pięść do skroni.

Przysiadłem obok.

- Nie podniesiesz Kajtusia?

Iago spojrzał ponuro na Niemotę wrywającego z jaszczurzej padliny szczątki Bożątka, strzęp po strzępie. Dzieci skakały dokoła, wybierając z zezwłoku co bardziej lśniące łuski.

- Wypluty jestem.

- Cholera. - Poczyszczyciel pogwizdywał w pochwie; ścisnąłem rękojeść. - Słuchaj, on skądś wiedział, że pójdziemy tędy.

Iago podniósł wzrok.

- Podejrzewasz maluchy? Pamiętają z góry, bo ich Odma zakręciła.

- Tak, ale to, co pamiętają, musiało stać się w czasie samo z siebie. Dlaczego stało się tak właśnie, a nie inaczej?

- Jeździec podsłuchał naszego przewodnika przez cewkę. Mówiłem ci, diabelstwo przewodzi w obie strony.

- Obawiam się, że to sięga jeszcze głębiej. - Im dłużej tak obserwowałem Ola i jego siostrę, tym mniej dzieci w nich widziałem. - Załóżmy, że masz rację i tamto małżeństwo magów zostało zlalkowane przez Jeźdźca, który wsączył się im niepostrzeżenie po nerwach Smoka przez cewki anielskie. Magia Smoka nie jest sztuką fałszu - on gra na samej rzeczywistości, nie rozpoznasz zmiany. Poszło dwoje magów, mężczyzna i kobieta. Znaleźliśmy dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę. Sam mówiłeś, że temu, co widzisz w ich głowach, nie można wierzyć.

- Jeśli są lalkami Smoka... dokąd nas prowadzą?

- Kto powiedział, że nie można zlalkować piętrowo?

Poprowadziły nas do samej krawędzi wielkiego kanionu. Wisiał tam nad mroczną przepaścią rodzaj mostu uplecionego z nerwowodów wysupłanych ze zwojów po lewej i prawej stronie. Czyżby więc Jeździec rezydował na przeciwnej półkuli? Lecz Iago wypuścił

naprzód obłok dymnej światłości i ujrzelśmy, że to Jeździec jest owym mostem - most jest Jeźdźcem, wiszącym tam w sercu najgęstszego splotu żył myślowych Smoka jak poczwarka w kokonie, jak anielica na białych skrzydłach rozpostartych na dziesiątki metrów, od urwiska do urwiska.

Jeździec obrócił głowę, otworzył oczy, uśmiechnął się.

Odskoczyłem.

- Dzieci! - krzyknąłem na Niemotę. - Zostaw dzieci!

Ale znowu się spóźniłem. Zanim Tomasz zatrzasnął przyłbicę, siedząca na pancernym barku dziewczynka wbiła mu w oko długą i ostrą jak pazur łuskę dracunkulusa. Niemota zwalił się niczym dąb ścięty, potoczył do krawędzi i poleciał w otchłań.

Pocieszyciel sięgnął zaraz serca zabójczyni. Lecz Olo umknął i mnie, i Karaluchowi - wbiegł na nerwomost, a biegnąc, z każdym krokiem przybliżającym go do Jeźdźca starzał się o rok, aż stanął nad nim w postaci dorosłego mężczyzny, maga przypieczonego; stanąwszy, osunął się na kolana i uderzył czołem ku wiszącemu pod nim Jeźdźcowi. - Panie.

Podszedłem do mostu, uniosłem Pocieszyciela Zmarłych i ciąłem przez sieć żywej tkanki. Białoszara substancja prysnęła naokoło, kilka oślizłych wisi chlasnęło mnie po twarzy - a byle ich muśnięcie, dotyk najslabszy otwierał mi w głowie rezerwuary obrazów, dźwięków, uczuć, wspomnień. Nie należały do mnie, nie pochodziły ze mnie.

Jeździec wierzgnął wściekle w swej uprząży symbiotycznej, Olo poderwał się na nogi, a ze szczytów gór mózgowych ponad nami wystrzeliły wiry błyskawic, spłynęły tabuny piorunów kulistych.

- Czego chce?! - krzyknął Olo wielkim głosem, i nie był to jego głos.

- Dobijemy targu albo utracisz swojego wierzchowca!

Olo wskazał wtedy w dół, w głąb czeluści na mile przepastnej. Coś tam się poruszało, ciemność w ciemności, coś wzbierało masywną falą.

- Nie ujdzie żywy!

- Zapewne. Wliczyłem to w koszt. - Ciąłem ponownie. - Oddasz mi coś spoza tego świata i zachowasz swoją władzę w świecie. Albo ją utracisz. - Ciąłem. - Wybieraj!

- Mówi!

- Twoja zabawka najnowsza, lalka Hermana, zwrócisz jej wolność w zaświatach.

Olo zawahał się, a potem zaśmiał.

- Niemożliwe!

Ciąłem.

- Na czym bardziej ci zależy: na jakiejś niewolnicy, którą dopiero co kupiłeś, będziesz

miął dziesiątki innych - czy na wyjątkowej potędze tutaj, którą budowałeś latami i której nie odzyskasz, raz utraciwszy?

- O czym mówi! Nie wie, o czym mówi!

Ciemność w otchłani kipiała coraz wyżej; dostrzegałem już w świetle spięć nakorowych najwyższe, najprędsze pułki milionowej armii drakmarów.

Ciałem ponownie, raz, dwa, trzy, z niehamowanym gniewem. Pędy nerwów smoczycy wily się naokoło, siejąc lękami, nadziejami, pokusami. Mignęła mi po lewej ręka Karalucha - łapał te pędy w powietrzu. Obejrzałem się. Już ich kilkanaście zdążył przycisnąć do swej skroni, gdzie niedawno pięść niemocy przyciskał, i przypiec sobie do głowy. Wchodziły jak w masło.

- Co ty wyprawiasz?! - Szarpnąłem go za ramię; odepchnął mnie. - Sam mi mówiłeś! Nie pamiętasz? Ocean w gardło! Zginiesz!

- To jest jedyny sposób - wycharczał Karaluch. - Nie ujeżdżę Smoka. Ale kto powiedział, że nie można piętrowo? Ujeżdżę Jeźdźca.

- On cię omamił, Iago, zaraził przez nerw otwarty, zginiesz!

Wyszczrzył się głupio.

- Nie-idzie-mnie-ubić.

Olo śmiał się za moimi plecami.

Obróciłem się, zrywając z pasa bombę orzechową.

- Śmieję się! Śmieję!

Jeździec zadygotał w neurosieci, otworzył oczy, otworzył usta.

- A czego się spodziewał? - Zaśpiewał już z własnej krtani, głosem mocnym, męskim.

- Przecież szukał Mistrza Dyscypliny, Pana Niewolników, szukał Tresera Dusz, Architekta Kontroli. Znalazł.

Nie strojąc go nawet, zamachnąłem się orzechem.

- Uwolnij ją!

On tylko wykrzywił się odrażająco w elektrycznym blasku swego gniewu.

- Nie można wyzwolić -

Niezmywalna lepkość teatru

- z teatru, w którym się urodziłeś.

Nie można się odcudzysłowić - z wewnątrz cudzysłowu.

Zbliż się do Mistrza, niech złoży dłoń na głowie adepta. (Wszak uczysz się dopiero).

Zbliż się, podejdź.

Popatrz: jesteś ty i jest reszta świata: widzowie.

Nie ociągaj się, nie zasłaniaj kłamstwem; wstąp świadomie na scenę.

Jeszcze pusta. Stół, krzesło. Coś na stole: kubek, miska, owoce, nóż.

Czy dostrzegasz na widowni publiczność? Czy słyszysz publiczność? Jej szepty, szelesty, szurania, kasznięcia, oddechy.

Pozostawmy to w zawieszeniu. Może tak, może nie. Wystarczy, że scena, że ty na scenie - a zatem publiczność tam jest, nawet jeśli jej nie ma. Reflektory wycinają cię z tła, także gdy wyłączone.

Teraz, na tej scenie, podejdź do krzesła i stołu.

Usiądź.

Zjedz jabłko.

Wypij wodę z kubka.

Wbij sobie nóż w brzuch.

Ukłoń się.

Czy zapamiętałeś?

Rewind.

Idziesz. Jesz. Pijesz. Wbijasz.

Postaw je sobie w pamięci jak prześwietlone dioramy, rentgeny czynności.

I obok, do pary: kiedy indziej dokąś szedłeś, kiedy indziej piłeś, gdzie indziej jadłeś, w innych sytuacjach szykowałeś samobójstwo.

Po czym nałóż je na siebie, jeden na jeden. I porównaj czynność z taką samą czynnością wykonaną bez reflektorów, w ciemności ducha.

Z zewnątrz różnicy nie widać. Ciało przemieszcza się tak samo. Ciecz tak samo wchodzi do organizmu. Bilans materii i energii się pokrywa, wektory nakładają się na wektory.

A przecież różnicę już czujesz. TO SĄ INNE CZYNNOŚCI.

Chodzenie na scenie nie jest chodzeniem. Picie na scenie nie jest pić. Jedzenie na scenie nie jest jedzeniem.

Obrazy się rozmijają. To samo - coś mniej - coś więcej.

Oddziel, wydestyluj tę różnicę, tę jakość teatru. Rozetrzyj między palcami. Rozgrzyż, posmakuj na języku.

Ażebyś potrafił rozpoznać także bez sceny. W natężeniu ułamkowym, w milimetrowej

warstwie.

Najpierw u siebie samego. Łapiąc się na czynnościach, na życiu,
które jest życiem na scenie (nawet gdy nie ma widowni i milczą
reflektory)
które jest życiem JAKBY
które jest - życiem

Popatrz na siebie z zewnątrz cudzysłowu.

Rozmawiasz, ale tak naprawdę - rozmawiasz: wcale nie chodzi o przekazanie myśli w słowach; chodzi o dobre uczestnictwo w sytuacji rozmowy. (Ujrzałeś scenę).

Pracujesz, ale tak naprawdę - pracujesz: wcale nie chodzi ci o zarobienie na przeżycie; chodzi o uczestnictwo w grze obudowanej na rytuałach pracy: przymusie codzienności, strukturach zwierzchności, sytuacjach towarzyskich, osiąganiu stawianych przed tobą celów. (Ujrzałeś scenę).

Kochasz, ale tak naprawdę - kochasz: wcale nie chodzi o czułość serdeczną czy bezwzględna żądzę; chodzi o dobre wypełnienie słów, zachowań, sytuacji, relacji romantycznych, erotycznych, w zgraniu z osobami - kochanymi. (Ujrzałeś scenę).

A potem już dostrzegasz także u innych.

Niekiedy wystarczy rzut oka.

Jak idą ulicą, jak podają sobie ręce, jak się śmieją. (- Idą, - podają, - śmieją).

I po czym poznałeś? Nie wypunktujesz. (Różnicy nie widać). Nawet gdyby przystawić ci pistolet do głowy.

Ale co, co to jest?

W duchu możesz obrysować żółtą kredką, dodać poświatę tła: jakby czynności - wykonywane odbywały się zawsze w cieplejszej aurze, w poblasku słabej żarówki, opalone na brzegach płomieniem świeczki.

(Nie widzisz?)

I to się przykleja, osadza na tobie cienką warstwą bezwonnego oleju. Nie zmyjesz.

Już niczego, ale to niczego nie potrafisz zrobić; wszystko - robisz.

Nawet gdybyś umierał z głodu: pierwszy kęs - jesz; drugi kęs - jesz.

To ćwierć, jedna dziesiąta, karzeł-ułamek sceniczności prawdziwie teatralnej. Nikt przecież nie mówi szeptem gromkim i nie wykonuje pantomimowych gestów, nie sady min stukilogramowych.

Więc subtelniej, ciszej, nieświadomie. Nie rzuca się w oczy.

Ale jest wszędzie.

Teatr.

Dzieci sceny. (Kiddie porn)

Paweł o tym wiedział. Nawet jeśli nie potrafił opowiedzieć, to potrafił przyszpilić wrażenie, wrzucić uczucie do formaldehydu i wystawić w kolekcji na półce.

Kiedy powracał do gnoju z długiej szlai

(jak teraz)

jak teraz: siedzi na kiblu i kopie zdrętwiałą nogą w kafelki, w opuszczonej lewej ręce wciąż dzierżąc bombę wymierzoną w Hermana L. Mesoutte'a, a koniuszkiem języka licząc zęby, dziwnie miękkie w dotyku

(teraz)

kiedy powracał z długiej szlai, zawsze potrzebował godziny, dwóch, by strząsnąć z siebie tę niepewność swędzącą.

Aby złamać cudzysłów.

(Mowa Mesoutte'a cię spętała, pokłoń się Mistrzowi).

Wracał z drugiej strony cudzysłowu, lecz po której stronie znajdowało się NA NIBY?
Po której stronie naprawdę czuł OPÓR?

Tam - wszystko było grą. Ale w ramach gry każda rzecz miała określoną wagę i wartość.

Tu - wszystko było naprawdę. A przecież kolejne rzeczy czynności emocje życia rozmywały się nieuchronnie, zastępowane przez teatralne atrapy.

Chwiejąc się sennie na kiblu, Paweł usiłuje strząsnąć z siebie czary Mesoutte'a.

Zejść ze sceny.

I nie może.

(Spętał cię).

Raz ujrzał światła scenografie kostiumy - zawsze już będzie je widzieć.

Tylko struga moczu szczerą, tylko ruch kiszek niezmanierowany. (Lecz kruszą się, upadają i te bastiony biolo).

Na cóż więcej go stać przeciwko teatrowi?

W końcu nawet żołądek uczestniczy w przedstawieniu, krygują się jelita, tremuje wątroba. Dzisiaj bowiem - jemy niemal wyłącznie dla przyjemności, rytuału lub utrzymania konstelacji. (Jedzenie to forma seksu).

Zawieszony w desperackim półśnie, Paweł poszukuje odtrutki.

Ubrać się? Gdy ubieraliśmy się naprawdę, to po to, by nie zamarznąć, nie zmoknąć, obronić się przed naturą; teraz moglibyśmy chodzić nago, jednak nie: teraz się - odziewamy.

Pójść między ludzi? Ależ oni wszyscy także występują w teatrze, nasze rozmowy są - rozmowami, kłótnie kłótniami, przyjaźnie - przyjaźniami.

Zabić kogoś? (Parodia desperacji). Ale jaki ja mam powód do zabójstwa? Żadnego. Byłby to zatem - mord wprost z plai: popełniony nie dla konieczności praktycznych, ale dla ODEGRANIA mordu. Jak przez tych dwóch byczków z galerii, jak przez tysiące serial killers XXI wieku: wychowanych na teatrze mordu.

(Spętał cię, zhackował).

Whatever.

Wypuść ją!

Podąża za Mesoutte'em do jego domu, powłócząc lekko nogą i woniejąc gównem - tak dopada Mistrza w słonecznym ogródku za kalifornijską rezydencją.

Grozi mu bombą orzechową.

Szantażuje.

Warczy.

Mesoutte nie przerywa ćwiczeń rozluźniających.

Soundtrack: *Tannhäuser* Wagnera.

(Dialogi). Nie udawaj, że ci nie zależy. Zależy! Pewnie, że wolałbym zachować Jeźdźca. Ale czego ty żądasz! Przybywasz z tak obcego królestwa, nie rozumiesz nic. Nie mogę jej wyzwolić. Oczywiście, że możesz, sprawdziłem. Co sprawdziłeś, odwracalność formatunku kogito? Przecież nie o to chodzi. Jasne, mógłbym ci ją sprzedać za dolara i sam trzymałbyś ją 24/7 pod gejdżem ostrym - ale czy ty się w ogóle na tym znasz? Nie znasz się. Żeby zostać dobrym Panem, trzeba talentu, siły i lat praktyki. A widzę w publicznej, że się nijak nie nadajesz. Co byś z nią zrobił? Wyrzucił na śmietnik, prędzej czy później.

Paweł w duchu kopie Mesoutte'a w jaja, wbija mu bombę w gardło, łamie nos.

Mesoutte kontempluje to z niejakim podziwem. Podobny ogień zasługuje na docenienie.

Chodź, muszę zjeść śniadanie.

Oczywiście nie musi jeść. Będzie - jadł.

Idą. (- Idą).

Zatem - na przechadzce. Słoneczny ranek w Kalifornii.

Car free area. Zieleń. Przechodnie, biegacze i spacerowicze ze zwierzętami, w

konstelacjach zwierzęcych.

RBC, Amura-Rocks, Valmont-Prabbles-QR, najmłodsze królestwa Zachodu.

Piękni, nawet gdy starzy. Pokonali biolo.

Mesoutte nie musi wskazywać Pawłowi palcem. (Kto raz przejrzał na oczy).

To pierwsza kraina, w której wszyscy, od dziecka do gubernatora, od świtu do zmierzchu - żyją.

Widzisz to, prawda?

Nikt tu nawet nie oddycha. Wszyscy - oddychamy. (Są szkoły, akademie oddechu).

Najdrobniejszy gest dłoni. Sposób przejścia przez ulicę. Węzeł na moich sznurówkach.
(- Gest, - przejście, - węzeł).

Mesoutte - siada przy stoliku, - zamawia kawę i rogaliki, - pozdrawia konstelację geo.

Najwyższym stopniem rozwoju cywilizacji jest teatr.

Herman Mistrz - pije kawę.

Wokół obracają się koralowe gwiazdozbiory, socjal mandale tak gęsto splecione, że skóra piecze i włoski stają na przedramionach.

W tych obrotach elektrycznych zanurzony - Herman - panuje.

Znajomi-nieznajomi orbitują wokół, on nie poświęca im jednak uwagi, aż -

Kobieta proteo wyczepiona przez konstelację zerowca siedzącego dwa stoliki dalej - wstaje, - podchodzi i - kładzie się na kamiennej posadzce pod stolikiem Mesoutte'a, - opierając głowę na jego kolanach. Mesoutte - głaszcze ją lewą ręką. Czarne tagi BDSM ciągną się za kobietą smyczą długą na kilometry.

Paweł spogląda wzdłuż linii jej konstelacji publicznej. Osobnicy jej podobni nie posiadają domów, nie posiadają dóbr materialnych. Przechodzą od Pana do Pana (lub Pani, lub Mistrzów Zero). Ciało robią tatuują im DNA, piercingują kogito.

Pieszczochy Proteusza. Oddychają czystym gejdżem.

Taka kultura.

Paweł łyka z ducha.

W Kalifornii, naszym przedwidoku jutra, rozbudowane komuny BDSM działają od kilkunastu lat. Zalegalizowano publiczne proteoniewolnictwo, seksualne i nieseksualne.

W *cafe* nikt nie zamrugał, nie zwrócił głowy. Już się nawet nie gapią, to zbyt popularne, zbyt powszechne. Nie gapią się, nie daje więc też łatwej przyjemności ponizenia, zbyt powszechne, zbyt popularne.

Całe konstelacje hierarchizowane master-slave

Zony safewordów: pracy, domu, ulicy, szlai

Zatrzaśnięte w duchu na karkach obroże

Napięte smycze

Kodeksy służby

Och! Obraz wszechświata w uśmiechu twego pana i władcy

Głębiej lub płycej, dłużej lub krócej, wedle potrzeby.

Ofkors, Mesoutte miał w tej przechadzce swój cel.

Proszę, porozmawiaj z nią. Pozwalam.

Spytaj, czy mam ją - powtórz to słowo - WYZWOLIĆ.

Paweł nie jest już taki naiwny. Jedno spojrzenie w oczy niewolnicy wystarcza.

Przegrał. Strong Will - 30%.

Pyta o co innego.

Dlaczego? Dlaczego?

Ona czeka w milczeniu. Aż jej Pan daje - znak. Wtedy odpowiada: że to jedyne wyjście.

Reszta właściwie wisi w publicznej. Paweł mógłby przekopować duszę młodego Gawriły i nałożyć niczym kalkę.

Mesoutte wszystko to widzi jak na dłoni. Ma doświadczenie.

- Ociera sobie usta chusteczką, - karmi kobiety *croissantem*. Mesmer Skills +20.

Nie powinieneś być zdziwiony. Muszę przecież je rozumieć, aby skutecznie tresować.

Pomyśl chwilę. W rzeczywistości kto tu kogo wykorzystuje?

To jest ciężka praca, najcięższa.

I czy tak bardzo różna od twojej? Tworzę dla nich światy, podtrzymuję ich światy w istnieniu.

To rodzaj służby. Otrzymujemy dotacje federalne i stanowe, także od ubezpieczycieli z kompatybilnych królestw. Ratujemy życia. (Skoro już zeszedliśmy na banały).

Bo czemu nie? Tak sobie myśli niewolnik bez Pana. Czemu nie?

Wszystko inne na talerzu, więc i samobójstwo. (Eutanazja z przyczyn społecznych).

Paweł przypomina sobie ostatnie chwile z Krysią, u Gawriły; wierci paznokciem w ranie.

Wcale ich nie rozumiesz! Ona by nie popełniła samobójstwa.

To prawda. (Evil grin).

Co najwyżej mogła popełnić - samobójstwo.

Ale wybrała przeciwnie.

To znaczy niewolę u ciebie. (Paweł już rozłożony na łopatki).

To znaczy mój przymus, moje KONIECZNOŚCI.

Kiedy z nią skończę, na rozkaz zatrzyma sobie serce.

Zaciśnięta pięść obok porcelanowej filiżanki.

Jestem realnością twardszą niż grawitacja. Jestem jej granicą, jej kamieniem, bólem zęba, wschodem Słońca i drapieżnikiem nad kołyską.

(Linia oporu).

Niewolnica wtem wyciąga szyję i liże grzbiet dłoni Pawła. Paweł podrywa się jak oparzony.

W publicznym oni wszyscy podgryzają mu duszę. (Nie muszą - patrzeć).

Ręka nadal odruchowo sięga po Pocieszyciela Zmarłych; wciąż pali w nozdrzach siarczana woń Smoka.

Mógłby ich rozsiekać, wysadzić w powietrze, poszczuć diabłami. (- Rozsiekać, - wysadzić, - poszczuć).

Im dłużej jednak tak przed nimi stoi, wahający się bombardier, wyrzutek gnoju, tym silniejszy nastrój rośnie w Pawle, jakby to w nim wybuchło drzewo szturmowe.

Wybuchło, rośnie i go rozsadza, taki klimat: California Dreamin' - żywozielone liście szeleszczące pod gorącymi promieniami Słońca - zapach luksusowego poranka - piękny mężczyzna w białych spodniach i koszuli Erhmo, siedzący przy kawiarnianym stoliku tuż przy otwartym bulwarze, i piękna kobieta w sukience Octavo skulona u jego stóp - kelner zero pochylają się nad blatem, starannie omijając ją spojrzeniem - jedwabna chusteczka, falując, spada powoli na jej ramię, ona zaś bez pozwolenia po chusteczkę nie sięgnie, nawet jej nie zauważy - oślepiającej bieli na ciemnej skórze - California Dreamin' - głosy beztroskie w tle - bardzo dużo błękitów, zieleni, żółci - w oczach kobiety: szczęście.

Soundtrack: *Cantus in memory of Benjamin Britten* Arvo Pärta.

Jeździec Nolensowy, z dłonią złożoną na karku niewolnicy jak na berle biolo, przemawia z samego środka owego tableau. (Cios za ciosem za ciosem).

Skąd ci w ogóle przyszło do głowy urządzić za kotką taką krucjatę? Rozum ci odjęło? Przecież wiedziałeś, że postąpiła, jak chciała postąpić.

I czy naprawdę aż tak ci na niej zależy? Obchodziła cię w ogóle? W publicznej wcale na to nie wygląda.

Ale za to - jaka piękna szlaja!

Przestałeś odróżniać. Wydaje ci się, że co robisz? Ratujesz kochankę?

Nie. (Uśmiech pobłażliwy znad parującej kawy).

Ty - ratujesz - kochankę.

Czujesz to? Widzisz?

Paweł widzi.

Podszedłszy do krawędzi sceny, spogląda w przepaść. Nie ma schodów, nie ma rampy. Nigdy nie zejdzie z desek teatru.

Mógłby zachłysnąć się zapominajką, zagejdzować na twardo. (I co jeszcze?) Skoczyć na główkę z dachu Staruchy.

Tak czy owak, nie uratuje się tu przed nolensum.

Tym się różni szlaja od gnoju, że w gnoju nie masz żadnych bossów do ubicia, żadnych questów do zaliczenia. Nie można wygrać i nie można przegrać.

- Rzuca - bombę w widownię i - podciera sobie - tyłek.

Soundtrack: oklaski.

Postnihilizm (II)

4. Człowiek definiuje się przez swoje granice. Człowiek opisuje się na liniach oporu: to jeszcze jest człowiek, a to już nie; to jeszcze człowiek może, a tego już nie; to jeszcze jest ludzkie, a to już nie; to człowieka ogranicza - więc z tym walczy, naciska, wyęcza myśl i wolę.

Owe linie oporu stanowią fundamenty kultury, religii, filozofii, sztuki, języka, moralności, życia społecznego i politycznego.

Wyznaczają także wektory szczęścia i nieszczęścia - ambicji, nadziei, lęków, ideałów - w życiu jednostkowym.

5. Następujące linie oporu zostaną w sposób nieunikniony zlikwidowane w rezultacie postępu technologicznego:

- A. Śmiertelność.
- B. Cieleśność.
- C. Jednostkowość. (Tożsamość niepodzielna i niewymienna).
- D. Pleć.
- E. Genetyczna dziedziczność.
- F. Nędza. (Niedostatek dóbr koniecznych do przetrwania).

6. Następujące linie oporu utrzymają się niezależnie od postępu technologicznego:

- A. Postęp technologiczny.

B. Ekonomia. (Nierówność dystrybucji dóbr skończonych).

C. Skończoność umysłu. (Ograniczenie zasobu wiedzy oraz szybkości przetwarzania informacji).

D. Pamięć przeszłości.

7. Komentarz do 5A:

Czym innym jest nieśmiertelność jako gwarancja życia bez końca, a czym innym - nieśmiertelność jako niekonieczność śmierci. Zlikwidowanie linii oporu śmiertelności oznacza tę drugą sytuację.

Wyjąwszy ekstremalne wypadki losowe (katastrofy naturalne itp.), każda śmierć będzie rezultatem świadomego wyboru. (Woli śmierci). Toteż koniecznym warunkiem człowieczeństwa w starym sensie jest eutanazja.

8. Komentarz do 6B:

Pewne dobra zawsze pozostaną skończone: przestrzeń, materia i energia zamknięte w horyzoncie zdarzeń podmiotu. Z nich wynika ograniczenie dóbr pochodnych, jak moce obliczeniowe czy przepustowość pasm komunikacyjnych.

(Przy założeniu niezmienności praw fizyki).

9. Komentarz do 6D:

W fizyce odróżniamy procesy, w których przejście do stanu $n + 1$ jest całkowicie opisywalne na podstawie znajomości stanu n , od procesów, w których pełny opis takiego przejścia nie jest możliwy bez znajomości „historii procesu” ($n - 1, n - 2...$). W układach stochastycznych (np. dla ruchów Browna) procesy pierwszego rodzaju opisuje tzw. własność Markowa.

Pomimo użyteczności matematyki łańcuchów Markowa w socjologii, szeroko rozumiana kultura nie daje się do nich sprowadzić i stanowi odpowiednik procesów drugiego rodzaju.

Jakoś inaczej

Dobry wieczór. - Cmok-cmok. - Wszedł. - Zaświergotała. - Wręczył. - Oprowadziła. - Pochwalił. - Usiedli.

Tak samo, a jednak - jakoś inaczej.

Przecież wtedy również wiedział, że na nich patrzą (nawet gdy nie patrzył nikt), tak jak i teraz wie. Oboje wiedzą.

A jednak - jakaś - skądś - dlaczegoś - różnica.

Ilona Rosa, Krystyna Tusz. Krystyna Tusz, Ilona Rosa.

Ilona Rosa.

(Powinieneś na parę miesięcy przegejdżować się w homo, za dużo z obcą płcią, to niezdrowe).

Anyway. Zła Królowa przyjęła go w swym gnieździe. *Femme fatale* w komnacie zdrady. Czarodziejka strzegąca sezamu trucizn.

Paweł płynie z nurtem.

- Zapala - papierosa. - Prezentuje - barwy herbowe.

Ilona - nalewa do kielichów.

Dwa tygodnie, zanim zaprosiła go w gnoju; zdążyły zaświecić na publicznym niebie nowe konstelacje. Prawie jakby targował się o jej duszę.

I w pewnym sensie tak jest.

Zamierzał złożyć propozycję już po trzecim

(rewind)

spotkaniu. Ale Rosa trzymała go na dystans, był przecież ofiarą jej szantażu, prześladował swoją prześladowczynię, i żeby jeszcze chciał na niej zemstę otwartą wyrzucić, żeby ciągnął za sobą policję, no ale właśnie nie, nic z tych rzeczy, tym bardziej więc powinna była mieć się na baczności, opancerzyć się od razu, zniknąć z gwiazdozbiorów, prosiła się o nieszczęście, dopuszczając do siebie takiego stalkera, dlaczegoś właściwie go dopuściła - o to zapytał w pierwszej kolejności, a ona tylko przechyliła głowę i uśmiechnęła się firmowym uśmiechem Rolls-Royce'a, i Paweł już wiedział, że dobrze trafił, że jeśli nie z Ilony Rosy wydobędzie serum przeciwnolensowe (bezcenny ekstrakt żywicy ludzkiej), to z nikogo, więc miał już podejrzenia, miał przeczucia silne, gdy pytał głębiej: a po co szantażuje, a na co jej te pieniądze, co to za absurdalna metoda samozagłady, przecież w jej duszy publicznej nie ma żadnych desperacji i przymusów, więc skąd to, dlaczego, po co - jak to „po co?”, czy Paweł nie wie (wie, wie), czy musi pytać (jednak musi), czy nie rozumie zasad gry, gry, która utrzymuje cię na powierzchni życia, gdy wszystko inne poszło na dno - zatoneło - tonę, Ilona, tonę, pomóż mi - i Paweł wyciąga teraz rękę po ratunek

(fast forward)

a Rosa - podaje mu kielich - zaczarowanego eliksiru.

Paweł ostrożnie smakuje piękną substancję.

Co to? Rewers-zapominajka, silny gejdź PKM-Zetowy.

(Miałem coś osiągnąć, ale zapomniałem co).

Pawłowi szumi w głowie. Wymazane neurony nie rozkwitną wtem z powrotem, niemniej z czasem rozepchną się w mózgu nowe

przyszłości

możliwości

radości

Jednak Paweł wie, że to gejdź, że oszustwo, że to

- przyszłości

- możliwości

- radości

Zła Królowa kusi go fałszywymi cudami.

A Paweł tak desperacko pragnie zostać skuszony!

Ma przygotowany plan. Przyszedł z opracowaną propozycją.

Starannie dobierając słowa, przedstawia Ilonie warunki partnerstwa.

Teatr skrapla się im na skórze w oleistych smugach.

Soundtrack: *La Mucha* I. C. Mack.

Ilona - nalewa herbatę z rozcieńczonym - eliksirem.

Paweł - miesza łyżeczką.

Ilona - pije.

Paweł - pije i - rozgniata niedopałek papierosa.

- Uśmiechają się.

Sytuacja sceniczna *par excellence*: kobieta i mężczyzna, petra pleć, usiedli, by rozmówić się o przyszłym życiu, o wzajemnej konsumpcji dusz i ciał. Gdyby nie konwencja technu, mogliby tu odtwarzać dziewiętnastowieczną plaję.

Nie są w stanie wziąć jednego głębszego oddechu, żeby teatr nie wyprysnął z ich porów kroplami tłustego potu.

- Siedzą. - Mówią. (Social Link Boost).

Ilona z początku stara się być delikatna w swej odmowie. Bo czym by się twój układ różnił od każdej innej szlai? Prawo też jest formą teatralizacji życia. Państwo Ducha jedynie zobiektywizuje to, co sam wniosłeś.

A ja nie potrzebuję żadnych paktów antysamobójczych. (Każde małżeństwo jest paktem antysamobójczym). Nie potrzebuję kopiować plai konsumend.

Ja gram sama.

Jestem swoim własnym kreatywnym.

Paweł zagryza wargi, z trudem kryjąc upokorzenie. Jak ma się przyznać do największej słabości, jak ma przed nią odsłonić kalectwo najstraszniejsze - traci odwagę - jak ma się zdać na jej łaskę - stracił.

Coś jednak musiało wyciec do publicznej. - Odpędziwszy gnomy, licha i upiory, pod flagami Salonu i Miłosierdzia Ilona wciąga na moment Pawła w swoją duszę-cebulę.

Spójrz na dzieci. Jak się bawią.

Przysiedli na ławeczce na dziedzińcu zamczyska Królowej. Zakwefione piastunki doglądają maluchów rozbrykanych na słonecznym trawniku. Ilona z kolei ich dusze otwiera - żeglują ponad zielenią wielokolorowe bańki mydlane światów dzieciennych, jeden cudowniejszy od drugiego. Paweł zadziera głowę, gdy dwumetrowa bańka przelatuje wprost ponad nim. Nie dotykaj! Wpadniesz w dzieciństwo i nie zrozumiesz własnych słów dzisiejszych.

A dzieci, one rodzą się do szlai. Szlaja stanowi ich środowisko naturalne.

(Paweł biega z Andrzejem po lasach, Paweł rozgrywa z dzieciarnią wsi kampanie na niewidzialnych łąkach, Paweł obiera kartofle).

Klejnot koronny dzieciństwa to ta wrodzona zdolność czynienia fałszu prawdą i zatracania się w grze o sekundowy absolut. A ty -

A ja gdzieś tę zdolność zagubiłem. (Błądzi wzrokiem za bańkami jak zahipnotyzowany). Wyciekł ze mnie. Ten fluid wyobraźni, ten szpik snów. Złoto bezcenne. Pili wprost z moich żył, sprzedawałem litrami, oddawałem darmo, w butlach, wiadrach, cysternach, tankowcach. I wykrwawiłem się.

Nie potrafię już niczemu wstrzyknąć sensu.

Zła Królowa wbija paznokiec w kark Pawła. Prąd przebiega mu po kręgosłupie.

Spójrz na dzieci!

Są bezpieczne, bo nikt im jeszcze nie wmówił, że prawda idea absolut nie może się zmieniać.

Są bezpieczne, grają. W dowolnie płynnym i rozchobotanym świecie budzą się o poranku gotowe znaleźć od nowa tysiąc jeszcze radośniejszych celów życia (milion treści zabawy).

Paweł, poskromiony, składa głowę na kolanach Królowej. Dziecko podbiega, zagląda mu w oczy, łaskocze kwiatkiem w nos. Paweł zaciska powieki.

Ochroń mnie, Królowo. Ulecz mnie. Zwróć żywicę złotą. Błagam.

Ja wiem, że to tchórzostwo. Przychodzę za późno i za wcześnie.

Ci z pokoleń za mną, ludy petra, oni nie urodzili się do teatrów. Polowali na mamuty, pracowali w fabrykach. Nie znają tego uczucia całkowitego pochłonięcia przez fikcję - o której wiesz, że jest fikcją, a zarazem w tej minucie stanowi cały sens twojego życia.

(Ja także nie znam już tego uczucia).

Ci z pokoleń przede mną, ludy proteo, nie będą potrzebować protezy, bo popłyną swobodnie od zmiany do zmiany, zmieniając się wraz z nimi, ludzie-fale, nieludzie. Nie poznają tego uczucia, gdy nagle ziemia usuwa ci się spod stóp - nigdy bowiem nie staną na nieruchomej ziemi.

(Ja także nie stoję. Tonę).

Ratuj mnie, Królowo.

Pkkk! Pękła bańka na czole Pawła.

Podrywa się na nogi.

Zróbmy sobie dziecko!

(A dzikie emoty rozbiegają się naokoło, kicając kangurzo i zajęczo).

W jaki sposób w szlajach rodzą się dzieci graczy? Nie mają przecież żadnego biolo za podstawę. Następuje mejoza neuro. Łączy się i rekombinuje czysty duch.

(Tak wykradnę serum kogito, którego nie wykradnę podstępem ni przemocą).

Paweł sięga sobie w głąb czaszki i wydobywa, stękając jęcząc kwicząc piszcząc, bańkę krwistoczerwoną, włochatą i piłkowatą.

Wyciąga następnie rękę ku głowie Królowej - lecz Zła Królowa reaguje szybciej: otwiera szeroko usta i wybucha śmiechem.

Śmieje się, wyśmiewa, wyszydza Pawła.

Pękają bańki. Dzieci zatykają uszy, wykrzywiają buzie. Gnomy wytykają Pawła kościstymi paluchami.

Paweł ucieka z duszy i zamku Królowej.

- Ucieka. Ucieka.

Wybiegł na ulicę, łapie oddech. Jest noc i chłodny wiatr śródmiejski szczypie w oczy; łązy zostaną więc usprawiedliwione.

Sięga po inhalator z zapominajką.

Niematerialna dłoń łapie go za rękaw.

Zostaw. Czego się boisz? Wypiłeś. Uczucia to najbanalniejsza rzecz na świecie.

- Żmijowa czarownica - unosi się na wietrze, półprzezroczysty sztandar upiorów, postać wyrwana obcęgami spod powiek snu.

Paweł - wymierza w nią inhalator niczym lufę pistoletu.

Precz.

Maszeruje do domu.

Wieczorne światła wokół. Kanciaste konstelacje geo. Obce piękno królestw
śródmieścia. Ciała.

(Miasto warczy, miasto szczeka, miasto pożre ci człowieka).

Soundtrack: *Kasza* Wału & Przewału.

Lecz nie zagłuszysz parzącej słodyczy Królowej.

Ach. Bo ty nadal nie rozumiesz, dlaczego kotka uszła ci w BDSM. Nie rozumiesz
ZMIANY.

Uczucia to najprostsza sprawa.

Czy wiesz, co wypiliśmy? Może ci skłamałam. Może to zupełnie inny gejdż. Czy wiesz,
czemu płaczesz?

Dlaczego zachowujesz się, jak się zachowujesz?

A Paweł jak przyspawany do inhalatora zapominajki. Jeśli mam się pruć designerskim
gejdżem, to raczej się wyblankuję na zero, wolę nie pamiętać.

Bo czym się to różni od samobójstwa. Niczym.

- Królowa Upiorów wytrwale - płynie za nim przez miasto.

Wyrzuć to, wyrzuć! To właśnie te balasty kotwiczą cię wciąż we wczorajszym
repertuarze. Dlatego rozumiesz jak stary romantyk, dlatego potrzebujesz grubego kaftana
uczuć. Cudzej ręki, żeby cię wyciągnęła na brzeg.

Myślisz: zmienię się w kogoś zupełnie innego → nie będę sobą → nie będzie mnie →
umrę.

Dlatego pozostajesz niewolnikiem petra.

I dlatego próbujesz sam siebie związać na lata naprzód pracą, studiami.

I dlatego pędzisz na oślep na ratunek kotce, której zachciało się przegejdżować na
nice.

(Królowa zamiata koronkowym trenem reklamy, lampy, balony, zagarnia w welon
trupi galaktyki sportu, seksu i polityki. Rozpościerając geometryczne fale na powierzchni
królestw).

Nie myśl rzeczownikami! Myśl czasownikami!

Czyż nie byłeś sobą w tych wszystkich szlajach, w które zapadałeś się na dni,
miesiące?

Uważasz, że to TYLKO teatr? Ten teatr zmienia ciebie każdą przeżytą w nim sekundą.

Że jesteś kimś innym - i znowu kimś innym - i znowu - i to jest naturalne, to jest

dobrze, to jest życie Proteusza.

Nie uratujesz siebie, naśladowując innych. Nie zachowasz duszy, pożerając duszę moją. Musisz się zmienić, to znaczy przestać być sobą - to znaczy zdać się na nieopisane, poddać się grzmotowi pioruna i bogom ciemności.

Znam was, rozłożyłam was na części.

CHCIAŁEŚ, żebym cię tym napoiła!

Po to przyszedłeś.

(Królowa rozwachlarzowana ponad dachami, Królowa Zła przesłaniająca gwiazdy i Księżyc).

Ażebym cię wciągnęła w GRE. Taką GRE, której nie potrafiłbyś się oprzeć.

Paweł zbiera się, by odczynić uroki Ilony, ale tymczasem zostaje zaatakowany z zupełnie innej strony: Behold, z bramy Staruchy wyskoczył Qqsyn.

Ambush Strike 100/100, Stun 3s.

Co ty tutaj. Czego. Do jasnej cholery. Puszczaj. Paweł. Andrzej. No gdzie. Przyjechałem specjalnie. Czeka. Ale czemu. Rany boskie. Czego, czego.

Pobijają się. Nie pobijają.

Dzwoniłem, nie odbierasz. Nie można się nijak skontaktować. Wierzba przebijała się i nie przebiła. Musiałem osobiście. Twoja matka w szpitalu. Serce, ciągle migotania, obrzęk płuc. Paweł, na litość boską.

Paweł słucha, Paweł patrzy. Jak Qqsyn się - oburza. Jak się - troska. Jak - wygraża, - załamuje ręce, - szarpie, - krzyczy, - szepcze, - przekonuje.

Zła Królowa nachyla się z wysokości, w jej dłoni drugi kielich drogocenny, zielony jad zeń kipi, wylewa się. Wypijwypijwypij.

Na tych samych wysokościach ponad Pawłem, lecz po przeciwnej stronie, w rozświetlonym białym prostokącie okna majaczy sylwetka Adriana Utrała. Mężczyzna patrzy w dół na ulicę i powtarza w kółko jeden gest, prosty ruch ręką.

Andrzej - prosi.

Królowa podaje - truciznę.

Utrał rzuca - czar.

Nateżenie teatralności staje się dla Pawła nie do zniesienia. Coś pęka.

Reset All Skills. Revive.

Odpycha Andrzeja. Tobie się wydaje, że mnie ratujesz z pułapki bezdusznej podłości. (Paweł pełnym głosem, do ostatniego rzędu). Wydaje ci się, że nie ma innego życia i szczęścia jak wasze.

Nie wgejdździesz we mnie wyrzutów sumienia. Odpłynąłem.

Qqsyn - okazuje - pogardę. Tfu, Raskolnikow z elektronicznej piaskownicy!

(Idź, złam rękę dziecku).

Wszyscy się bez przerwy tym szprycujecie, uczucie na rozkaz, miłość jak szminka na wieczór, przyjaźń jak woda kolońska, tfu, tfu, dusza na smyczy, nie macie duszy, nie macie uczuć.

Trudno teraz Pawłowi nie patrzeć na kuzyna jak na dziecko albo jaskiniowca albo zabytek ciemnogrodu. Przecież Andrzej nawet nie jest świadomy własnej niedojrzałości.

Niewolnik biolo, niewolnik kogito.

„Urodziłem się w katolickim kraju - jestem katolikiem, wierzę w Boga”. (Wyzwolił się).

„Urodziłem się w Polsce - jestem Polakiem, kocham Polskę”. (Wyzwolił się).

„Urodziłem się w rodzinie - jestem synem, kocham matkę i ojca”. (Wyzwolił się).

„Urodziłem się *Homo sapiens* - jestem takim właśnie człowiekiem i nie będę miał innego człowieka przed nim”. (Wyzwolą się wszyscy).

W drzwiach klatki Paweł raz jeszcze odwraca się.

Zapłacę jej rachunki, zapłacę za doktorów, szpitale, leki. Ale nie nachodź mnie już więcej. Wylogowałem się z waszej szlai.

IQ ^ 1

Wydaje ci się, że to tak wielka sprawa.

Że tak trudna.

Że uszlachetnia cię i wywyższa i daje przepustkę do człowieczeństwa.

A uczucia to najbanalniejsza rzecz na świecie.

Postawiłeś je na ołtarzu, ponieważ nie potrafisz ich zrozumieć.

Falszywy, falszywy bożek!

Ponizasza własną inteligencję. Składasz ją w ofierze przed relikdami zwierzęcej biologii.

A tu nie ma nic do rozumienia. Możesz tylko doświadczyć lub nie.

Gejdźując się w dowolną emocję. Czy przez to mniej prawdziwą? Każda emocja jest prawdziwa, gdy przeżywana.

Wyzbądź się przesądów dzikusa petra!

Że tak mówi kultura sztuka religia tradycja? Ile głupot mówi!
Że przyjemnie ci w obłokach uczuć cudzych? Ta przyjemność to też jest uczucie!
Że bez uczuć nie różnisz się od maszyny? Odpowiednio skomplikowanym maszynom programujemy dowolne stany emocji.

To właśnie z uczuciami nie różnisz się od małpoluda!

Co daje ci gejdź? Gejdź daje ci władzę nad nimi.

Bo nie mają racji - ty bynajmniej nie wyzbywasz się uczuć.

Będziesz miał ich nawet więcej. Więcej więcej nieskończenie więcej. Ile chcesz. Na rozkaz.

Ustawione karnie w ordynku.

Walczyliście o to od wieków, walczyliście chemią psychologią neurologią medytacją. I zwyciężyliście. (Kolejny opór przełamany).

Lecz tymczasem postawiłeś nad sobą kata, który karze cię bezlitośnie za najmniejszy uczuć niedobór: o, jaki niehumaniczny! jaki zimny! psychopata!

Pozbądź się tych przesądów!

Który z dwóch porządków przystoi człowiekowi?

Czuję to, co nakazuje rozum

Rozumuję tak, jak nakazują uczucia

I nie możesz już zbyć problemu wzruszeniem ramion. Nie możesz odłożyć odpowiedzi na później. Nie możesz powstrzymać się od dokonania wyboru.

Samo istnienie gejdzu stawia cię pod ścianą.

Korzystasz? - czy nie korzystasz? Rozum? - czy małpa?

Odmówiłeś?

Wracaj do jaskini.

Noc astrologii studziennej

Paweł kłęczy w podziemiach atlantydzkiej Wieży Mądrości i Zagłady. Pochylony mnisio nad ciemną sadzawką podświadomości, obserwuje pijane tańce gwiazdozbiorów swej duszy tajemnej.

Jak uzyskać wiedzę o sobie - spoza siebie? Im cięższym spojrzeniem tonie w tej odwróconej astronomii, tym wyraźniej tam rozpoznaje płasy psyche relacyjno-procesualnej. Astronomowie głębi, jeśli tylko wystarczająco nisko zstąpią w te ciemne otchłanie, w końcu

obliczą i opiszą Whiteheadowego Boga.

Tymczasem Paweł na inną wędrówkę w głąb się wybrał.

Kłęczy nagi, po prawej ręce kielich trucizny Złej Królowej, po lewej - nóż ostry. Za plecami - zakapturzone figury Atlantydwów.

Mędrcy bez twarzy nuca jednostajną melodię. (Soundtrack: OMMM).

Paweł chciał wykraść od Ilony Rosy Czar Antynolensowy, lecz poniósł porażkę.

Teraz chciał go z gwiazd wyliczyć - poległ także.

Wydobył pełne archiwa duszy publicznej Ilony. Cofnął się rok, dwa, trzy, aż do czasu, gdy już w samym rytmie jej precesji i epicyklów dostrzegał gęstość zatapiającego ją nolensum.

Dzisiaj zaś - unosi się ona swobodnie ponad. Dzisiaj Rosa wskrzesza zmarłych i ożywia posągi.

Coś więc musiało się zdarzyć pomiędzy tymi dwoma konfiguracjami. Musiała znaleźć receptę i ta recepta jest zapisana w gwiazdach. (Wszystko jest zapisane w gwiazdach).

Paweł zanurza wskazujący palec w płynnym metalu. Ślimaczo powolne fale rozpełzają się na boki.

Mędrcy: OMMM.

Ale tam nie było żadnej reguły, żadnego algorytmu. Spotykała tych, tamtych. Podróżowała tu, tam. Migrowała między królestwami. Pływała między szlajami. Wydawała pieniądze na to, czerpała pieniądze stamtąd. Zmieniała płęć, zmieniała biolo, zmieniała kogito, zmieniała żądze, zmieniała konstelacje. (Zmieniała świat). Milion chaotycznych ruchów Browna. Zero sensu.

Zwątpił.

A potem przypomniał sobie wyścig singularystów do Wittgensteinowej AI.

Co oni robią? Co tak naprawdę robią schowani za zasłoną antyprackich chaotyzerów, przykucnięci za mgławicami białego szumu? (Psy Baskerville'a, tongi cesarskie, kabały nerdów).

W pracy, której Paweł nigdy nie napisał dla doktorów Żeliwo, znajdują się precyzyjne uzasadnienia owej niemożności. (Drugi po lewej Atlantyda czyta tę pracę na głos, monotony szept ledwo się wydobywa spod kaptura, OMMM).

Nie istnieje taki system, który potrafiłby obliczyć przyszłe stany systemu.

Nie da się skonstruować maszyny przewidującej jej własne myśli i ruchy.

Nikt nie zaprojektuje sam siebie.

Co zatem robili tam singularyści? Za czym gnały Psy Baskerville'a?

Racjonalizm deterministyczny to bajka. Wszyscy funkcjonujemy w sieciach, w relacjach, w grach. Także sama nauka. Od czasu usankcjonowania zasady peer review postęp naukowy działa poprzez social networks tak samo jak wszystko inne.

Paweł dotyka opuszką palca stalowych igieł gwiazd. Są to odpryski jego duszy. Tak się zawierają w sobie dziedziny serca: to, co publiczne; a na zewnątrz publicznego - to, co prywatne; a na zewnątrz prywatnego - to, co nieznanne człowiekowi o nim samym nawet w jego prywatności.

Ja to zrobiłem? Ja powiedziałem? Ja zobaczyłem? Ja przeżyłem? Ja? Ja?

Nie pamięta, a przecież owe doczucia wpłynęły na niego. Są nim. Uginają przestrzeń dookoła. Dotyka komety drgnięcie głowy, gdy Krystyna wstawała z krzesła, wpółobrócona, mówiąc do kogoś innego, tak że Paweł nie widział jej twarzy, i wtedy coś szarpnęło nim ku niej, spojrzął, przesunął dłoń po krawędzi stołu (kilka centymetrów), zwolnił oddech (sekunda), wstała.

Dotyka roju meteorów

te chwile, zazwyczaj wieczorem, po zwycięskiej bitwie, gdy przynosili łupy, prezentowali jeńców, ciskali na ziemię zdobyczne sztandary, gdy łąły się w strugach wina hołdy i gratulacje, wtedy zawsze następował taki jeden krótki moment jak cichy trzask pękającej gałęzi - pękła, i już nie miał po co tam siedzieć, po co tego słuchać, udawać radość; przed pęknięciem się radował naprawdę, a teraz musiałby udawać, teraz wszystkiego było za dużo, nawet chwały.

Dotyka welonu mgławicy

butelki żywca na dachu Staruchy.

Dotyka spalającego się w atmosferze meteoru

ja ja ja to wymyśliłem, oczywiście, że ty, nikt nie twierdzi inaczej, a potem, po tygodniu, miesiącu, roku, Paweł przypomina sobie z apokaliptyczną pewnością już wcześniej widziany obraz, wcześniej słyszane słowa, przypomina sobie źródło nastroju: duszę cudzą.

Dotyka planety w trzeciej kwadrze

zawahanie, pijacka nieskończoność pomiędzy dwoma mrugnięciami powieki, gdy stał i wyciągał w duchu rękę ku oknu zakupowemu w kanale publicznym, a w oknie: Eutanazjol Super, ultrawolność w pastylce, zielone łąki *forever*.

OMMM.

Zakapturzeniec z prawej podaje mu kielich z trucizną. Zakapturzeniec z lewej podaje mu nóż.

Żadnej reguły, żadnego algorytmu. Paweł sięga w głąb sadzawki, nabiera garść czarnej

rtęci razem z gwiazdami i wlewa do kielicha. Gwiazdy skwierczą, mieszając się z jadem.

Nóż jest szybszy, jedno cięcie i krew kapie do kielicha.

Teraz prędko kielich do ust.

Jest bardzo ważne - najważniejsze! - aby Paweł NIE WIEDZIAŁ, co pije.

Grając w szachy z samym sobą, nie sposób się zaskoczyć ani oszukać.

Truciznę musiała podać ręka cudza. Trucizna musiała przyjść falami: najpierw ta słabsza, która zgejdżowała go ku przyjęciu tej mocniejszej.

Pada jak ścięty. (Soundtrack off). Mędrcy przykrywają go wełnianym kocem. Wysoko, wysoko, w okrągłym wylocie studni-obserwatorium mruga kilka gwiazd publicznych. Paweł uśmiecha się do nich, puszcza oko, macha im dłonią. Aż i dłoń opada.

Czarny gejdż orze mu mózg.

Gwiazdy krążą krążą krążą krążą krążą.

Chuj to jest nasz ostatni

Bierz go, Bartek. Zagryź skurwyjeba.

Na wejściu Paweł dostaje serię przez klatę, a potem jeszcze ścinają mu głowę kataną.
Death Penalty 10min.

Tagi: PvP, Szczur, NoMercy, TyChuju.

Paweł - wzdycha.

Co znowu. Komu teraz wybuchło gówno w rękach. No, dawajcie, riebiata.

- Tańczą wkoło, małe czorty ludojady. Zakłuliby go ołówkami, gdyby mogli.

W publicznej nic nie pływa, a firmowa zakluczona przed Pawłem.

Więc do tego już doszło! Kto się podpisał! (Prażny). Bez słowa za burtę!

W końcu Krzysiu się zlitowała, rzuciła Pawłowi pigułę z ostatnich dni w Gejzerze Cudów.

Otóż taka drama przeszła tu huraganem:

Mieli oficjalną prezentację. Bartek & co. przyszykowali projekty cycuś, Konstelacyjne Państwa Ducha na tacy z fajerwerkami fontannami fanfarami, no ale zawsze trzeba dać klientowi wybór, więc dla dekoracji dorzucili dwa inne projekty z szafy sztabowych gotowców. Przychodzi Gawriło i który projekt wybiera? Oczywiście ten najbardziej sztabowy.

Można się popłakać z frustracji. (- Popłakali się).

Nie mija jeden wieczór pod Słońcem szatana i nikt w Gejzerze nie ma wątpliwości: to przez Pawła.

Nie pokazuje się. Wyorbitował z firmowych konstelacji. Co robi. Prazny nie wie. Nikt nie wie.

Strzępy z duszy publicznej: że szlaja się za mistrzem BDSM; że zasysa na potęgę Biblię fizykę teologię zakreconą; że w gnoju wizytuje prywatności Rajmunda Gawriły.

Wniosek jasny. Odjechało mu (horror gejdż) i spalił nas u klienta.

Paweł mógłby im zaoszczędzić stresu. (Gdyby w ogóle o nich pomyślał). Po patriarszej przemowie Gawriły, a zwłaszcza po nadniebnej rozmowie z nim było przecież dla Pawła jasne, że Fatagowiec nigdy w życiu nie kupi idei kwantowej intymności sekundowych Państw Ducha. Zapewne był nią przerażony. Gdzie jego narzędzia do ulepienia Nowego Człowieka, gdzie jego arka Noego, gdzie Ziemia Obiecana.

I cóż teraz począć? Paweł wysłała do Bartka jedna za drugą procesje aniołków sypiących białe kwiecie. Niosą dary, leją miód, promienieją wiosną.

Bartek po namyśle go wpuszcza. Ale dwa kroki i pluton egzekucyjny mierzy Pawłowi w plecy.

Paweł pokazuje time-out. Bartek odkłada bazukę.

Lubią się. Nie lubią. Lubią. Cholera wie. (Paweł gejdżuje się na tak).

Słówko.

Ale na osobności.

Zakopali się w bunkrze dziesięć kilometrów pod powierzchnią Merkurego. Hełmofony od krtani do uszu. Pancerne rury i śluzy. Zabrzęczy obca mucha i wybuchnie Słońce. Soundtrack: *Oral Geology* van der Huuta.

Mów.

- Mówi.

Będę szczery. (Będzie - szczery). Odwalałem prywatę. Sprawa między mną i Gawriłą, żaden biznes, prędzej kozetka u psychoanalityka. Czujesz te klimaty, Bartuś, wódka, jazz i deszcz na szybie. A mówiłem ci, że stary Gawriło ma w tym swoje własne cele, swoje Jerozolimy. I rzeczywiście: nigdy mu nie chodziło o projekt komercyjny, to przykrywka, żeby mógł wykorzystać moce FATAGI. On chce czego innego: zadośćuczynienia, odkupienia za Mateo. (Rzuca Bartkowi plaję o Mateo Gawriłę). Wpadliście pomiędzy żarna niemożliwych kaprysów oligarchy petra. Ileż to razy musieliśmy sprzedawać kampanie proteo prezesom i dyrektorom wyjętym wprost z epoki kamienia łupanego? Na koniec przychodzą do nas, pokorni, bo upokorzeni, gdy wrogie królestwa omalże starły ich na proch; wtedy biorą content

bez pytania. Tutaj tak samo, tylko że Gawriły kampania - obsesja - to nie żaden produkt, nie Państwa Ducha Skeuta Red. Gawriło walczy o duszę ludzkości. Przegra, oczywiście. Ja ratuję, ile się da. Nie dla niego - dla tych Mateo, których on nigdy nie zrozumie. Opowiadam ci szczerze (- szczerze), bo nie chcę was storpedować niechcący. Spędziłem tu zbyt wiele lat. Pomagałem ci, rozumieliśmy się w lot, nie miałem ściślejszej konstelacji. Wiesz przecież. Poczekajcie dwa-trzy dni. Jak mi się uda, to od razu będziecie wiedzieć. Przeprós resztę w moim imieniu. Taki rykoszet.

Bartek coś podejrzewa - ale podejrzewa jawnie, czyli prawie przyjaźnie.

Co ci się stało. Przestrugałeś sobie kogito czy też jedzie tu na Pawle Kostrzewie ktoś zupełnie inny. Nigdy dotąd mi takich gadek.

Teatr z głębi serca. Wąż zjadł swój ogon.

Paweł przymyka oczy. Czysta betonowa stoi wokół, terakotowa armia made in PRL. Co mi się stało? Poddąłem się, Bartuś.

Rzuciłem kości. Gram.

Wszyscy to robimy - tylko niekonsekwentnie, nie przyznając się przed sobą. Dlaczego szlają są darmowe?

Bo każda szlaja stanowi przedsiónek jakiegoś królestwa.

Spędziłeś dwa lata, szalejąc po Zaporozu z partią zdziczałych szlachciców - nie mogło to na ciebie nie wpłynąć. PRZEŻYŁEŚ te lata. Jesteś już innym człowiekiem.

Wasalem niewidzialnego królestwa.

Odtąd gdy sąsiad potrąca cię w windzie, sięgasz po szablę u pasa.

A zatem kupujesz to i to - plajasz to i to - mówisz tak i tak - myślisz tak - żyjesz tak. (Odpłynąłeś).

Nie ma sensu się bronić, *compadre*. Im prędzej to zaakceptujemy, tym mniej trupów po drodze.

Liczą się tylko doczucia przyjęte do serca. Obojętnie skąd. Obojętnie z czyjej głowy. Liczy się tylko content. Z ducha, z gnoju - to jedynie kwestia znaku postawionego przed nawiasem.

Doczucia wpływają na ciebie - zmieniasz się - wpływając z kolei na świat i innych ludzi - którzy też się zmieniają - wpływając - bez końca - bez różnicy między duchem i materią - bez żadnego stanu stałego, bez podstawy, wartości niezmiennej, bez prawa naturalnego i bez człowieka naturalnego - linie oporu pojawiają się i znikają i pojawiają i znikają i pojawiają i -

Nie pieprz. Straciłeś wenę i proteuszujesz się na gwałt. Jak kreatywi wszystkich epok.

Wódka, koka, gejdź. Choose your armageddon.

Paweł łapie Bartka za szyję, przyciąga, wbija hełmofon w hełmofon.

Nie zgwałcę cię przecież przez ucho. Ale słuchasz mnie. I zapamiętasz.

Bo wiem, że ci zależy. Ty akurat masz karierę wypisaną na czole. Więc rada bezbolesna.

Pomyśl, Bartolomeo, o jutrze - gdy wszyscy będą kreatywami.

Masz tych, co piszą, malują, komponują, tworzą - i wypuszczają to za friko w duszę publiczną. Cały ich zysk to reputacja.

Masz tych, których dzięki zdobytej reputacji najęły już firmy, ażeby hodowali sobie na wątrobach, mózgach, nerkach, kościach - sny i nowotwory do wypełnienia contentem firmowych plai i szlai.

I masz tych, między których chciałeś wejść - zazdrościłeś mi, wiem, zazdrościłeś - tych, wokół których snów obudowuje się całe plaje, szlaje i przemysły gnoju.

Wyobraź sobie teraz, że wszyscy ludzie są kreatywami trzeciego rodzaju. Że nie ma nikogo, kto nie byłby kreatywem. Każdy żyje w świecie stworzonym i każdy tworzy sam siebie.

Zarazem wszyscy wpływają na wszystkich.

Wyobraź to sobie. Potrafisz?

Bartek - mruga. - Uśmiecha się. - Ociera pot z czoła. Defensive Stance On.

Znalazł się w obecności proroka. (Freak of culture). Przystawiono mu do skroni odbezpieczony umysł.

Okay, Paolo, wypaliliśmy fajkę pokoju, odpuść.

Ale widzisz, że próbuję ci pomóc, prawda? (Powaga, ŻycieŚmierć). Widzisz? Byłem taki jak ty. Pomagam samemu sobie.

Lecz już się krawędzie ich dusz rozpalają czerwono, już od tarcia emotywnego tryskają naokoło płomienie, płynie ostry swąd z palonej gumy hełmofonów.

Paweł puszcza.

A ledwo się odbarrkował, inna armia go flankuje: Einsatzgruppe Prażny, hordy Gejzeru. Ani się obejrzał, a wycelowali w niego dzidy łuki muszkiety armaty lasery masery.

Ani kroku dalej. Jesteś ciało obce, Kostrzewa. Wydalam cię.

Paweł z rękoma w górze. Pokój tej ziemi.

Lecz Prażnego nie spacyfikuje.

Ja ci tego nie daruję! Poszczuję cię armiami prawników! Wyprażę do kości! Pustynia radioaktywna po tobie zostanie!

Naśle asasynów, czarowników i nazgule! W żadnej szlai nie będziesz bezpieczny!
Wypad mi z życia, chujku oślizły!

Paweł gejdżuje się w Gandhiego. Już, już, już mnie nie ma.

Ale Prażny jest w predator mode, z każdym słowem rosną mu kły pazury noże lufy bomby.

Wycelowałem w ciebie astronomów! Czytają mi z ruchu gwiazd, co ci się tam we łbie rodzi! Co ty tam kombinujesz! Do czego się zbierasz! Wiem!

Paweł waha się na progu. Do czego ja się zbieram? Co kombinuję? Co -

Gejzer eksploduje i wyrzuca Pawła z pierwszą prędkością kosmiczną.

Paweł orbituje w zadumie. Soundtrack: *Also sprach Zarathustra* Straussa. Słońce powoli wysuwa czoło zza okrągłego brzucha planety.

Prażny, Gejzer, FATAGA. Mhm. Trzeba się będzie zabezpieczyć. Ujść poza ich zasięg. (Czyli dokąd?) Jeśli nie uda się przemówić do rozumu Gawrile.

Błękitno-biały globus obraca się pod Kostrzewą z hipopotamim dostojenstwem. Ponad nim - miliardy srebrnych ziaren migoczą na czarnej kopule.

Mhm. Widać rzeczywiście. Zapisano mi w gwiazdach.

Ludzie z podziemia

Jesienią tego samego roku, pogryziony do kości przez *Ratti virulenti* z gangreną w lewej stopie i lewej ręce daleko już posuniętą, w stanie gorączki mózgowej nieustępującym przez dni i noc, przewieziony zostałem z twierdzy cesarskiej w Z. do garnizonu pod Wiedniem, to jest do więzienia garnizonowego, gdzie zamknięto mnie w niewiele różnej od poprzedniej celi bez okien, tylko że mniej podmokłej i nie tak zaszczurzonej. Zrazu sądziłem, że wszystko to jest częścią majaków chorobowych, wszelako już w podróży, zaplombowany w czarnej karocy pancерnej, w przeciwną ekscesję popadłem: bo jeśli mnie przewożą naprawdę, to pierwsza to szansa od pojmania, ażeby odbiła mnie nasza kabała - takie właśnie rzeczy robiliśmy dla innych zaprzysiężonych, takie i większe.

Lecz nikt mnie odbić nie spróbował. I w ciemność nowego lochu rzucony, pojąłem zaraz w pierwszej godzinie rozpacz, że nie inny będzie koniec już całej mojej szarpaniny na tym świecie: w kazamatach, w brudnej wodzie, wyjąć z bólu w niewzruszoną twarz kamienia, oddam tu ducha w samotności, a parobek-idiota rzuci me ciało świniom na żer.

Rankiem przyszli po mnie cesarscy w mundurach *Infanterieregiment 217*, w

defiladowych butach i rękawiczkach. A zatem nie kaci, pomyślałem, i już więcej w tym było rozczarowania niż radości. Skuli mnie znowu i wywlekli na światło. Nic zresztą nie widziałem, oślepiony, a wlekli mnie też już dosłownie, bo noga gangreną przeżarta wypowiedziała posłuszeństwo głowie, przechodząc ostatecznie pod sztandar ropy, zgnilizny i śmierci. Nie mogłem nawet ustać, kiedy jak lalka na sztorc postawiony, i musieli mnie prędko posadzić na stołku z oparciem wysokim. Tak siedząc, z ręką utuloną do piersi, mrugający krecio, po minucie-dwóch przejrzałem wreszcie na oczy.

R.G. Vrillo siorbał rosół parujący, obsługiwany zza pleców przez cygańskiej urody ordynansa. Lewe ramię i pół torsu wciąż miał w bandażach i nie był w stanie pochylić się nad stołem, wkliniowany zań sztywno jak deska.

Siedzieliśmy więc tak naprzeciw siebie, lustrzane kaleki, w tym zwycięscy, że w ogóle zdolni wstrzymać się na tak długo od głośnych wyrazów cierpienia, a że żołnierze również dźwięków nie puszczali, cisza trwała marmurowa. Tylko echo musztry garnizonu ciekło wątlm strumykiem od okna.

Przeciekło mi do zmysłów sąsiednich także co innego, przeciekł mi do gorączkującego mózgu przez nozdrza katarem zabagnione zapach tego rosółu, ach, mało powiedziane - symfonie zapachu, nawały artyleryjskie pietruszki i lubczyka, kanonady drobiowych smaków, fontanny płomienne ok tłustych. Zaśliniony jak pies, chyliłem się już ku rosółowi czarownemu, tak za łańcuch psi ku niemu ciągnięty.

R. G. Vrillo łypnął sponad wysoko wzniesionej łyżki.

- Chciałem tylko, żeby mi pan bajkę napisał. - I siorbiąc sadystycznie wywar ów rozkoszny, patrzył jeszcze długo z niemym wyrzutem. - A pan mnie rani. To boli. Jak mnie pan zranił.

Oblizalem się. Jeden łyk, jedna łyżka. Co on do mnie mówił?

- Czegóż pan się boi? - Ślurp. - Tylko słów chciałem, tylko czarów baśni. - Ślurp. - Od rygoru ciała mam tu innych mistrzów. - Ślurp. - Innych inkwizytorów. - Ślurp, ślurp.

Spadłem ze stołka. Padając, czepiłem się krawędzi blatu, i oto już miałem nos przy talerzu, już tonąłem w rosole - ale mnie feldwebel capnął za kołnierz i pociągnął wstecz.

Komendant spoglądał na to ze zrozumieniem, acz smutny niewymownie.

- Z głodu. Ano widzicie. Czyż to nie piękne pragnienie? Wielkie rzeczy z głodu osiągnąć można. - Przelał powoli rosół z łyżki w talerz niczym srebro płynne. - Tak prosta rzecz i już znalazłeś się w niewoli ducha. Przyznaj to chociaż przed samym sobą. Dla zupy, warto żyć dla zupy. Dam ci ją - przesunął talerz w moją stronę - i będziesz w tej chwili najszcześniejszym człowiekiem na świecie. Czyż nie? To - uniósł łyżkę z parującą cieczą

wysoko, wyżej głowy, prezentując niezgrabną parodię rytuału hostii i ołtarza - to jest teraz twój sens życia.

Zagryzałem zęby.

- Kiszki - szepnąłem - mnie nie słuchają. Ale i ja nie muszę słuchać się kiszek.

- Proszę.

Odwróciłem głowę, zacisnąłem powieki.

- Nie muszę.

- Oszukujesz się? - R.G. Vrillo nadał głębę buldogowatą, jakby dopiero teraz prawdziwie urażony. - Nie przystoi! - Skinął na ordynansa i smagły młodzik pomógł mu podźwignąć się do pionu. - Emh! To jedno, myślałem, nie grozi nam tutaj: kłamstwa przed sobą. Jeśli nie możemy być uczciwymi w tych prywatnych teatrach, za maskami żelaznymi - to gdzie?

- To nie jest rzecz do uczciwości czy nieuczciwości przemawiająca. - Nie otwierałem nadal oczu i dzięki temu właśnie mogłem mówić mu wprost. - Pan mnie o niemożliwość prosił. Tylko że pan w tę niemożliwość nadal wierzy, w ratunek dla człowieka z projektu innych ludzi; a ja widzę rzeczywistość, jaką ona jest, bliższy niej może przez to, że już do tych teatrów, w tych teatrach urodzony.

- O niemożliwość? Ja prosiłem o czar delikatny, czar snu, marzenia, którego przemocy by nawet nie poczuli. Chodź, pokażę ci, panie młodszy, jak to się naprawdę ludzi robi.

On pierwszy, ja wleczony przez żołnierzy za nim, tak zstąpiliśmy do piekieł, to znaczy do lochów ciemnych z powrotem. Ale to inne podziemia więzienne były, w inną stronę zakręcić mną musieli na schodach, korytarzach, galeriach mrocznych - bo gdy w moich kazamatach tylko szelest ściekającej wody i pisk gryzoni niszczą ciszę, to tutaj na ciszę nie ma miejsca w ogóle: między krzykami, jękami, szlochami, zgrzytem żelastwa.

Lecz przeszliśmy dalej jeszcze, poza izby tortur, których okropności ledwie mi mignęły w gorących cieniach. Tu zaś odprawiano inne męczarnie. Komendant, wsparty na lasce, wskazał drzwi pancerne; otwarto je przed nim prędko. Tam kat pracował nad więźniem. Owa praca odbywała się w milczeniu i w bezruchu. Mistrz siedział na zydlu z pałką w ręce, a ofiara stała, naga, twarzą do muru, na szeroko rozstawionych nogach, w kapturze głowę szczelnie otorbijającym. Musiała jednak usłyszeć wizg nieczystych zawiasów, bo drgnęła i skrzyła lekko szyję - na co mistrz zdzielił ją pałką raz i drugi, aż znowu zamarła w jedynej dozwolonej jej pozie.

Przyłożywszy następnie palec do warg, wymknął się kat z celi bezdźwięcznie.

- Dobry już?

- Tydzień, dwa, będzie dobry - odparł komendantowi szeptem, spoglądając na mnie z ukosa. - Wisi już między zjawami, ułudami. Słyszysz tylko mój głos, moje słowa. Zaprzyjaźniamy się.

- Zrobisz z niego innego człowieka.

- Już jest innym człowiekiem, panie pułkowniku. Przeżył paniki, depresje, obłądki paranoiczne. Teraz je mi z dłoni myśli niewypowiedziane. - Machnął drągiem na szereg drzwi żelaznych. - Siódemka ma dzisiaj pięć lat i mieszka u dziadków na wsi. Jedenastka karmi piersią dzieci, których nie miała. Trzynastka nadał rozmawia z Bogiem. Dziewiętnastce wyrosły skrzydła, będzie więc gniazdo. - Poklepał się po udzie. - My ich tu tuzinami, panie pułkowniku, ludzi z podziemia. Zrobimy fest!

Vrillo zwrócił się teraz do mnie, zionąc mi wprost w lico słowem i oddechem.

- Jak więc sądzisz, panie młodszy, która metoda lepsza? Kija czy wiersza?

Nie dałem rady ustać; wpierw opierałem się całym ciężarem o ścianę kamienną, ale i w tej pozycji straciłem równowagę, żołnierze mnie nie podtrzymali, osunąłem się na podłogę u ich stóp, zadzwoniły łańcuchy.

- Która metoda. Teatry ducha zdradzają o nas jednak więcej niż zwykle sądzimy. - Zadzierałem głowę, patrząc na nich wszystkich do góry, na R.G. Vrillo, jego ordynansa, kata, żołnierzy, jak dziecko patrzy na srogich dorosłych, pochylających się nad nim w kręgu nagany. - Dlaczego takie scenografie pan wybrał? Dlaczego przemawia pan do mnie z głębi lochów, spośród jęków męczonych i gwałconych? Bo w cichości serca pan już wie - już do serca pańskiego trafiłem, gdyśmy ostatnio mówili na wysokościach, ponad Hiobami - pan wie, że to pokuszenie Wielkiego Inkwizytora. Wiersz czy kij - co za różnica, w estetyce jeno.

Vrillo pozwolił, by szczerą rozpacz na moment zmięła mu oblicze.

- Więc co? Więc jak? Jeśli człowiek nie będzie ani taki, ani taki, jeśli go nie urobimy do żadnego kształtu konkretnego, jeśli będzie się tak upłynniał i upłynniał i upłynniał, aż rozplynie się zupełnie - to nie będzie człowieka wcale! A jeszcze po drodze oni wszyscy potopią się, potopią się całkiem. MUSIMY coś zrobić. MUSIMY ich uratować!

Przyciskałem rękę gangrenową i rozpalone czoło do zimnej potylicy głazu.

- Napiszę wam bajkę, która uwiedzie miliony, i będę jak ci kaci-mesmeryści, jak luksusowi treserzy niewolników, jak Jeździec Smoka.

- Przełknij-że wreszcie te pieszczoty sumienia!

- Ale czemu pan mnie nie słucha! - krzyknąłem, a mistrz kaźni uderzył mnie pałką w nogę gnijącą, i krzyknąłem raz jeszcze, ciszej wtedy, bo bez tchu prawie. - Czemu mi pan nie wierzy. Przecież do tego mnie pan chciał: żebyśmy znał się, na czym pan się nie zna, żebyśmy

czuł, czego pan nie czuje. A to nie jest wcale rzecz sumienia, tylko niemożliwości całkiem praktycznych. Powtarzam to panu i powtarzam. Nie przeprowadzisz ich na drugą stronę, albowiem NIE MA ŻADNEJ DRUGIEJ STRONY, jest tylko przeprawa, przeprawa bez końca, wieczna wędrówka w nieznanne, we wciąż nowe i nowe i nowe i nowe; lecz w tym nowym nigdy nie znajdziesz swojego „nowego człowieka” - że mógłbyś go wskazać, opisać i powiedzieć: odtąd człowiek jest taki i taki. Chyba żebyś po koniec czasów ustawił nad każdym jednym mistrza bólu z pałą i kapturem, iżby go pilnował i tresował w tym nowym człowieczeństwie kamiennym, niezmiennym. Ale i tego mało! Bo popatrz na mnie - kto tresować ma tresujących? Kto ma pisać wiersze dla wierszopisów? I dla tamtych wierszopisów? I dla tamtych znowu?

- Ja tego - R.G. Willo nade mną walił laską w kamień ze ślepym uporem iście starym - nie-ak-cep-tuję!

- Pan myśli, że się poddałem. - W mej lewicy szerniałej, pod skórą, kłębiły się węże ognia, spęczniałe glizdy pełne kwasu. Zębami i drżącą dłonią prawą zdarłem resztę szmat, jakimi jeszcze w Z. próbowałem obandażować rany. Popłynęły z napuchłego ciała wydzieliny cuchnące. - Nie poddałem się. Tylko że rozwiązanie jest całkiem inne. Pan go nie rozumie, nie zrozumie, pan się nie urodził w teatrze, nie umie się tak bawić. - Tą półmartwą kończyną przesunąłem po spoiwie międzykamiennym, lepкими wybroczynami malując na ścianie katowni linie proste i półkola. - Bo rozwiązaniem nie jest panowanie nad wszystkim. Nie kontrola wszystkiego, nie planowanie i tworzenie według planu, i nie człowiek wymyślony przez tego czy innego geniusza, ani człowiek wymyślony przez naturę.

Czułem już, jak w murze za mną poruszają się kamienie. Jęki i wrzaski z cel odleglejszych brzmiały coraz słabiej i słabiej, aż ucichły zupełnie. Światło lamp naftowych zmieniało barwę. Ręka i noga pod zgorzelą mrowiły mnie i paliły, to znów pulsowały chłodem intensywnym.

Vrillo nie mógł się zgiąć, pochylić, więc tylko przycisnął brodę do piersi i dźgnął mnie końcem laski.

- A co ty tam wyprawiasz, draniu młodszy?

Podniosłem spojrzenie. Mistrzowi katowskiemu, ordynansowi i żołnierzom ubrania i skóra spływały z mięśni i kości. Kamienie i żelazo szybowały w powietrzu, nieważkie, puchowe. W wyrysowanym na ścianie pentagramie cienia migotał niewyraźny kształt; potem ściana też rozsypała się niczym dziecięce klocki przez dorosłego trącone. Skoczyłem na nogi, spadły kajdany. Snopy światła słonecznego przebiły grube kości cesarskich kazamatów. Zapachniało wiosną. Trzęsła się ziemia. Tak się bawiłem.

Dotknąłem piersi Gawriły i wyrwałem z niej kule i chorobę i starość.

- Zmieniam reguły gry.

Postnihilizm (III)

10. Ludwig Wittgenstein *Dociekania filozoficzne: Język jest labiryntem ścieżek. Przybywasz z jednej strony i orientujesz się w sytuacji; przybywasz do tego samego miejsca z drugiej, i już się nie orientujesz.*

Mógłbym ewentualnie wynaleźć taką grę, w jaką jeszcze nikt nie grał. - Ale czy byłoby również możliwe coś takiego: Ludzkość nigdy w nic nie grała; pewnego razu jednak ktoś wynalazł jakąś grę - w którą jednak nikt potem nie grał?

Stosowanie się do reguły jest czymś analogicznym do wykonywania rozkazu. Jesteśmy w tym celu ćwiczeni i reagujemy na rozkaz w określony sposób. Cóż jednak, gdy jeden reaguje na rozkaz i ćwiczenie tak, a drugi inaczej? Kto ma wówczas rację?

Wyobraź sobie, że przybywasz jako badacz do nieznanego kraju, z zupełnie obcym językiem. W jakich okolicznościach powiedziałbyś, że tamtejsi ludzie wydają rozkazy, rozumieją je, wykonują, sprzeciwiają się im itd.?

Układem odniesienia jest tu wspólny ludziom sposób działania, poprzez który interpretujemy obcy nam język.

Wyobraźmy sobie, że w owym kraju ludzie, wykonując zwykłe ludzkie czynności, posługują się przy tym - jak się zdaje - artykułowanym językiem. Gdy przypatrzymy się ich postępowaniu, to jest ono zrozumiałe, zdaje się nam „logiczne”. Kiedy jednak próbujemy nauczyć się ich języka, to stwierdzamy, że jest to niemożliwe. Albowiem nie ma tam stałego związku między mową - dźwiękami - i działaniem. Mimo to dźwięki te nie są zbyteczne; gdy bowiem któregoś z tych ludzi zakneblować, to skutki są takie jak u nas: bez owych dźwięków działania stają się - jak powiedziałbym - nieskoordynowane.

Czy mamy rzec, że ludzie ci mają jakiś język: rozkazy, komunikaty itd.?

Do tego, co nazwalibyśmy „językiem” brak tu regularności.

Rozważ jednak: Istnieją rodzaje gier analogicznych do Wittgensteinowych gier językowych, w których brak tak rozumianej regularności, albowiem reguły gry ulegają zmianie w jej trakcie - są one poniekąd elementem samej gry. Takie gry znajdujemy np. w szeroko rozumianej sztuce i kulturze (np. literatura), a także w psychologii intymności (np. sztuka uwodzenia).

Uwaga: Nie oznacza to, iż gra nie ma w danej chwili w ogóle żadnych reguł albo że ma jakieś ukryte metareguły, które - dla odmiany - są stałe. Oznacza to natomiast, że funkcje akcja-reakcja nie dadzą się tu ująć w uniwersalnym schemacie; że zarejestrowanie danego „rozkazu” i „działania” niczego nam nie wyjaśni; że nauka takiego języka (gry) znacznie łatwiejsza jest poprzez aktywne uczestnictwo w grze (tzn. „myślenie na sposób gry”) niż przez obserwację i naśladowanie z zewnątrz.

Tego typu GRY SWOBODNE nie posiadają reguł „do nauczania” w starym sensie. Człowiek „wyjęty z gry swobodnej” i przywrócony do niej po absencji musi się jej od nowa uczyć - nie jest możliwa ekstrapolacja reguł gry poza grę. GRANIE jest zarazem nauką i tworzeniem reguł. GRANIE jest zmianą reguł. GRANIE jest uczestnictwem (zanurzeniem) w procesie nieustannych zmian reguł gry.

Nie ma on żadnego celu, żadnej kierującej nim logiki, nie dąży do żadnego porządku, żadnej doskonałości; nie gwarantuje nawet postępu poprzez kumulację pamięci wcześniejszych stanów gry. Nie podlega racjonalizacji ani z wewnątrz, ani z zewnątrz.

11. Nowe człowieczeństwo jest grą swobodną.

Linie oporu tworzą się i zanikają. Raz bycie człowiekiem oznacza to, raz - tamto. Linia oporu może obrócić się w swoje przeciwieństwo i z powrotem (np. płciowość w apłciowość i znów w - jakąś - płciowość). Linie oporu nie mogą zaniknąć w ogóle, albowiem to one są przedmiotem (materią) tej gry.

W danej chwili w trakcie gry linia oporu ma wartość absolutną **POMIMO ŚWIADOMOŚCI GRACZY, IŻ W SPOSÓB NIEUNIKNIONY ULEGNIE ZMIANIE.**

Nie jest to nihilizm.

12. Uzyskawszy technologiczne narzędzia do autoewolucji, człowiek uczynił samego siebie zmienną kulturową.

Człowiek nie jest przedmiotem gry. **CZŁOWIEK JEST GRĄ.**

CZEŚĆ TRZECIA: GRIND

Promień Schwarzschilda twego serca

Obudził mnie alarm dehermetyzacji pokładu. EUCUBRON uruchamiał agregaty osiowe, darła się faktura wszechświata. Spoczywając bezpiecznie w kabinie trumiennej, kupiłem z tymczasowego konta pięć minut widoku zewnętrznego. Bliski na wyciągnięcie ręki sufit zapadł się w nieskończenie głęboką otchłań kosmosu. Moje dłonie bawiły się glifami emo, zlepiając i splatając ekscentryczne uczucia i wspomnienia, poprzez dotyk wklejane zaraz w neuro; podczas gdy wzrok zapadł mi się w tę otchłań w ślad za sufitem, a ja zaraz za wzrokiem.

EUCUBRON nie mógł zostać skonstruowany w żadnym innym punkcie przestrzeni Salva. Przerzucając spojrzenie z kamery do kamery, powoli okrążałem gigantyczną strukturę. Pamiętałem to miejsce. Pobjowiska kosmiczne stopniowo zmieniają się w chmury anonimowego gruzu, przesuwane i ucierane w polach grawitacyjnych pobliskich mas gwiazdowych i planetarnych - tu jednak nie było żadnych mas poza masami właśnie wraków; znajdowaliśmy się w jednej czwartej drogi pomiędzy galaktyką Mlecznej Drogi i Kompleksem H. Siedemset trzydzieści jeden lat temu starły się tu flota Nieparzystych i flota aliansu CF; pułapkę Einsteińską założyli najęci przez CF Eskulpatorzy, których rozdygotane topologie wciąż nawiedzają lokalną fizykę. Eskulpatorzy byli postkulturą kwant-mechów z innej kieszeni multiversum. Przepisawszy się na replikatory 2T, bifurkowali w tysiące cywilizacji pasożytniczych, czepiających się takiej czy innej biologii. Szczep najęty przez CF zaraził był Palindromistów: żywe zupy Bosego-Einsteina z jądra galaktyki, kotłujące się na straceńczych gradientach G u progu kwazarowych czarnych dziur, zawinięte solitonami w zamknięte krzywe czasowe (stąd ksywa). Pahndromiści-Eskulpatorzy 2T mogli opuszczać swe środowisko naturalne, jedynie zabierając je ze sobą: ich statki kosmiczne były *de facto* generatorami pułapek Einsteińskich, tam osobliwości wyskakiwały jak króliki z kapelusza, a czasoprzestrzeń supłała się w precle i zjadała samą siebie. Jeden taki statek został w czasie bitwy trafiony torpedą klasy Supernova, i jego szczątki są odtąd czarną nebulą, wokół której orbituje reszta pobjowiska, masą odpowiadającą dwóm Księżycom.

EUCUBRON mógł powstać tylko tutaj, z wyszabrowanych z grobu Eskulpatorów-Palindromistów maszyn egzotycznej fizyki, przestrojonych następnie do celów człowieka w mozolnych procesach prób i błędów. Na niebie wokół EUCUBRONU lśniły te wszystkie gwiazdki-cekiny, zawinięte spiralną wstęgą dokoła mogiły Palindromistów: niekształtnej plamy cienia. Teraz, po wiekach, żyło tu już ponad dwa miliony ludzi & *compatibles*, we wrakach, we fragmentach wraków, w habitatach i mikroświatach pobudowanych z materiałów przetworzonych z wraków, wreszcie w statkach przybyłych już po powstaniu i rozkwicie *polis* Bitwy. Niektóre miasta rozpoznawałem w podczerwieni, dokupiwszy krótki *zoom* - w ich kształtach pozostało jeszcze coś z drapieżnej symetrii niszczycieli i pancerników, którymi ongi dowodziłem, śląc dziesiątkami do straceńczych ataków. Gdzieś tu powinien także krążyć odstrzelony mostek mojej flagowej „Miserere”. Ciekawe, czy wyłowili wszystkie zwłoki. Przesuwałem ogniskową w ślad za ławicami wahadłowców, które kursowały nieustannie pomiędzy miastami, stacjami, osiedlami Bitwy. To już nie było cmentarzysko, pulsowało tu życie, życie wykarmione na padlinie. Fazowali do Bitwy handlowcy Salvy, Mille'a, Boreburki, dalszych przestrzeni niekorporacyjnych. Na moich oczach wyprysnął zza masywu Palindromisterium zjadacz gwiazd pod flagami *incompatibles*, otorbiony cebulowo przeciwko ludzkiej fizyce, tęczący po wszystkich zakresach EM... Pięć minut skończyło się i spadłem z powrotem do wnętrza hotelowej trumny.

W barze przy śluzach wszyscy jeszcze mieli na szyjach maski tlenowe. Rozmowy obracały się wokół planów kolejnych rozruchów EUCUBRONU.

- Minuta, dwie - rozumiem. Ale jeśli faktycznie strzelą na maksa, sam pływ nas rozerwie.

- Kto przeżyje? Inki Czterdziechy i paru żynierów w siodłach zewnętrznych.

- Wykup sobie klona z minutowym ubezpieczeniem.

- Gdybym miał taką forszę, nie grzałbym tu tyłka, siedząc na lufie odbezpieczonej strzelby.

- Ciekawe, pan taki ekstra strachliwy czy wszyscy inni skretynieli. Bo z każdą próbą większy tłum.

- Nawet inki walą na widowisko. - Hybrydowiec w kombinezonie próżniowym wskazał na projekcję zewnętrzną, zjadacz gwiazd *incompatibles* był dla ludzkiego oka tak piękny, że serwisowcy po prostu musieli go pokazać. - Jakoś się nie boją.

- Bo zabetonowani w swoich wymiarach.

Hybrydowiec zakręcił się, odepchnąwszy się od lady, i zobaczył, że jestem na pięćdziesięciogodzinnej.

- No a pan, pan na czym przyleciał? W jakim celu?

Na niczym nie przyleciałem.

- Mam tu zaległe sprawy spadkowe do uregulowania.

- Wujek wyrwał z wraku skarb, zjadła go macierzyca i pan dziedziczy?

- Przeciwnie. Po mnie dziedziczą.

W szybie osiowym ukłuła mnie niespodziewanie nostalgia, zimna igła wbita gdzieś między grdykę i mostek. Oto bowiem majaczyły przede mną, wyżegane w dźwigarach pikorodowych, negatywy wielkich emblematów Bo3, siedmiometrowe litery i cyfry. Z tych dźwigarów wykonano kotwice rzeźby, która wypełniała sporą część przestrzeni publicznej tunelu osiowego. Prawdopodobnie również wyszabrowano je z jakiegoś wraku. Ponad jedna trzecia jednostek walczących po stronie Nieparzystych należała do aliansu Bo3 i zależnych.

Tu wszystko pochodziło z szabru, każda rzecz była wprawdzie inną rzeczą, o zapomnianej już historii. Talon tlenowy kupiłem w budce skleconej z chormalisu zdartego z powłok min grawitacyjnych.

Z perspektywy piętnastego pokładu nareszcie odczytałem pełny kształt rzeźby: przedstawiała ona zamrożony w metalu ułamek sekundy eksplozji starożytnej jednostki subatmosferycznej.

Na pokładzie sto osiemnastym zobaczyłem go, jak ładował sobie z gniazda PRT9 Inc. pakiet snów premium. Nie poznał mnie, byłem przecież w innej skórze. Powinien mieć już blisko tysiąc lat zegarowych, widać wiele razy się przesiadał - a wciąż zachowywał oryginalny fenotyp: włosy jak nitki babiego lata, różowa skóra, uśmiech *made in USA*. Nosił krawat Parzystych.

Poszedłem za nim i znaleźliśmy się w tej samej windzie. Kto inny zainicjował rozmowę; włączyłem się. Posługiwał się starym imieniem: Henryk, Henri. Pracował obecnie na własną rękę jako broker korporacyjnych fizyk. Z okazji rozruchu EUCUBRONU zlatują tu różni *incompatibles*, to dobra okazja do handlu.

Zatrzymaliśmy się na chwilę na tarasie widokowym pod pierścieniem Czterdziestki Czwórki, ludzie zbierali się i gapili na tęczącego radośnie zjadacza gwiazd.

- Wie pan, że kończy im się leasing na oddziaływania słabe? Zaraz wybuchnie kilka przetargów.

- Wiele osób boi się, że EUCUBRON to wszystko roztrzaska. - Streściłem dialogi podsłuchane przy barze.

Henryk wzruszył ramionami.

- Czterdziestce Czwórce podobne gry *va banque jak* dotąd wychodziły. To jest stary

wszechświat, sporo warstw zalega pod spodem.

- Ale klony na krótkim ubezpieczeniu pan trzyma.

Zaśmiał się.

- Jasne, że trzymam!

- Powodzenia życzę. - Klepnąwszy go w ramię na pożegnanie, oddaliłem się ku słuzom. Stamtąd obserwowałem go jeszcze dłuższą chwilę. Odczułem też coś w rodzaju fizycznego przyciągania, jakąś siłę skierowaną przeciwnie do mej woli, nie pozwalając mi ona odwrócić się, oderwać od Henryka - walczyłem z nią niczym z uwarunkowaniem hipnotycznym. Nareszcie on zniknął w tłumie. Aż dziwne, że tak dobrze go pamiętałem; że w ogóle rozpoznałem.

Pierścień Czterdziestki Czwórki pochodził z drednota Absolutu, był to jego oryginalny moduł dowódczy i komunikacyjny; w starszych modelach zawsze miały one kształt torusa. Czterdziestka Czwórka nasadził ową obręcz o średnicy ponad dwustu metrów na oś EUCUBRONU w dwóch trzecich długości instalacji; sam EUCUBRON ciągnął się dalej, kilometry żebrowań, kratownic i migoczących hieroglifów.

Gdzieś tu powinny wchodzić w strukturę ukośne ciągi windowe z pierścienia; on się nie obracał, panowała tam taka sama nieważkość. Krążąc wzdłuż ścian modułów słuz, bawiłem się komem, nadając stare kody Absolutu, także w ultradźwiękach i podczerwieni. W końcu pękła w pół jedna z reklam najnowszych bakterii jelitowych i otworzyła się za nią winda komandorowa. Wszedłem, zapiąłem pasy, szarpnęło. Nie było skanera wewnętrznego; prawdopodobnie nikt jej już nie używa, nie aktualizuje dostępu.

Potwierdziło się to, gdy wyszedłem z kabiny w galerii żynierów Absolutu. Puste siodła, od wieków nie pompowane symbiozery, wygaszone na płask projektory 4D. Odbijając się od sprzętów, pozostawiałem na nich jaśniejsze plamy w kurzu - wentylacja tu nie działała, a na powierzchniach nieuziemionych zawsze zbierze się ładunek elektrostatyczny. Kupiłem sobie wzrok szerokospektralny, mogłem więc orientować się po ciemku.

Znalazłem tablice administracyjne. Stare kody Bo3 otworzyły mi podgląd. W sektorach najwyższego poboru mocy żynierowie Czterdziestki Czwórki stroili EUCUBRON do następnego odpalenia. Ich siodła wykonano z techniki Eskulpatorów-Palindromistów, w większości wystawały poza 1T. 44 krążył między stanowiskami, powstrzymując się od popędzania ekipy i ingerencji w działania ekspertów, lecz po samych jego ruchach i rytmie odbić sądząc - doprowadzony już został do granicy wytrzymałości nerwowej. Asystenci, adiutanci - ludzie & compatibles - odciągali go z pokładów żynieryjnych.

Wyczekałem, aż zostawią go samego na balkonie pokład wyżej, i zjechałem tam

wewnętrzną windą komandora. Wynurzyłem się z marmurowej płaskorzeźby galaktyki.

44 obejrzał się, usłyszawszy zgrzyt kamienia. Rzecz jasna, nie poznał mnie.

Któryś muskułem uruchomił alarmy. Nie uruchomił - moje kody je zablokowały.

Zaśmiał się. Teraz stać go na beztroskę. Żyje w zbyt wielkim napięciu, zamachowców wita z ulgą.

- Spotkałem przed chwilą naszego syna.

Otworzył usta i to była cała jego reakcja. Podpłynąłem spokojnie.

- Wiedziałaś w ogóle, że Henryk jest na EUCUBRONIE? Utrzymujecie kontakt?

Wyciągnął rękę, ona także nie dokończyła ruchu.

- K-Oss...?

Złapałem go w mocny uścisk. Nie bronił się. Ale też nie oddał gestu.

I ledwo się rozdzieliliśmy, powoli dryfując w przeciwne strony, 44 rzucił:

- Przyszedłeś po swoje? P

okręciłem głową, uniosłem puste ręce.

- Gałązki oliwne i dary.

- Ale szczerze.

- A szczerze: maty deal na koniec.

- To już prędzej. - Odetchnął, odwrócił wzrok. - Widuję go czasami. Co kilkanaście lat. Nie bardzo mamy o czym mówić.

- Znam to uczucie.

Zachnął się.

- Przecież inaczej to było.

- Co?

- Nie dlatego odszedłeś. - Obrócił się plecami do pokładów żynieryjnych i panoramy rozświetlonego EUCUBRONU za olbrzymim pikorodowym oknem wychodzącym na otwarty kosmos Bitwy. - Dlaczego odszedłeś?

- Rozmawialiśmy o tym.

- Nigdy.

- Wiesz, ile lat prowadziłem Bandę Trojga?

- Millennia. I co z tego?

- Ale na zewnątrz. Dziesięć lat prawie.

- Co, znudziło ci się? Zaglądałem z ciekawości: szlajasz się gdzie indziej. Ale co to za szlaje, pozał się Boże. Jakies niskie kabały, questy dla szeregowca, jednoosobówki nastrojowe w otwartych światach. Co się stało, K?

- Chyba przeżarł mnie grind. Zresztą... Nie wydaje ci się, że to wszystko - objąłem machnięciem ruchomy obraz imperium galaktycznego - należy do minionej epoki? Że dawno już powinniśmy byli pozostawić za sobą?

- I co, powrócić do gnoju? - 44 parsknął kpiąco. - Nie ma powrotu.

- To prawda, nie możemy wyskoczyć. Utoniemy. - Przysunąłem się do krawędzi balkonu, zacisnąłem palce na balustradzie. W dole trwały gorączkowe przygotowania. Cały ten rozgardiasz hi-techowy napełniał mnie tylko jeszcze gęstsza nostalgia. - Ale wyobraź sobie, że masz możliwość, by odwrócić cudzysłowy.

- Że co?

- Dostałbyś do ręki narzędzie, które dowolnie zamienia znaki w równaniu. To - wskazałem szeregi żynierów & compatibles, rozświetloną autostradę EUCUBRONU na tle kosmosu Bitwy - to lub cokolwiek innego, wedle chęci, stałoby się twoim gnojem; a stary gnój - szlają wysoką. Nie w przenośni, nie w głowie. NAPRAWDĘ.

Zawahał się.

- Nie jestem pewien, czy to by cokolwiek...

Zawahał się ponownie. Przebiegały mu teraz przez myśli symulacje duchowe, ostatnio sam nieustannie błądziłem w tych labiryntach. 44 był bardzo inteligentnym człowiekiem, ale inteligencja niekoniecznie musi tu pomagać. Patterniści-aspergerowcy obrócą w rozumie tysiąc szachownic naraz, a nie domyślą się, co czuje dziecko, któremu podeptali zabawki.

Spojrzał nieufnie, w widoczny sposób zmagając się z własną nieufnością.

- To jest ten deal?

- Spisek egzystencjalny. W każdym razie jego część, narzędzie. Droga.

- Mhm. Przyznaję, interesujące. Zresztą na pewno przyszło ci do głowy: a co, jeśli nasz gnój został napisany jako czyjaś szlaja? od stałych fizycznych i kwarków wzwyż? A potem - buch, kreatywi odwrócili znaki.

- Za dużo już było podobnych hipotez, za dużo. Nowa Kosmogonia Lema, kosmoewolucjonizm Smolina, wahadło Chena, zmienia się to w prosty schemat analogii. Ciebie nadal kręci, ale ja nigdy nie byłem takim hardkorowcem SF. No już, decyduj.

- Okay, K.

Wyjął kom.

- Fizyka?

- Załatwiona.

- Prawo?

- Załatwione.

- Ekonomia?
- Załatwiona.
- Biolo?
- Upłynnione, przecież wiesz.

Wyprostował się.

- Dobra, połykam haczyk.

Odetchnąłem.

- Wiem, że się pionizujecie na potęgę. Jak zresztą wszyscy. Kiedy wychodziłem z triumwiratu Bandy, posiadaliśmy w gnoju jedynie backupowe serwery i resztówkę walutową na zapomnianych kontach. Nie bój się, nie wejdę z powrotem w Bo3, to już cudze mocarstwa. Ale tu, w tym świecie po rozpadzie, przejąłeś większość dziedzictwa Bandy i wiem, że przesuwasz się na konstelacje zewnętrzne. Gromadzisz akcje Disneya, Villarosy, królestw radosnych.

Machnął na EUCUBRON.

- A niby co tutaj robimy?

- Ta, wykupią nas spadkobiercy gildii erpegowych i cwanych enpeców. - Zaśmiałem się. - Czyli nasze dzieci tutaj - bo nie roboty, korporacje, mutanty posiadają Ziemię, ale to potomstwo gry, Henrykowie nasi duszogeni. - Wysiąkałem nos. - Okay, ale mnie chodzi o te branże mniej legalne - to znaczy o te legalne tylko w duchu. Trzymasz zespoły na podorędziu, na pewno wykorzystywałeś je w niższych szlajach, w całym pionie gildii. Zadasz im teraz jeden quest w gnoju.

- Jaki quest?

- Mission Impossible w zamkniętych serwerach FATAGI. Kod źródłowy wagi superciężkiej. - Uniosłem dłoń. - Nie zaprzeczaj, wiesz, że mam stare klucze CEO Bo3, na tyle potrafię was podejrzeć: razem z ciałem poprzedniego imperium skanibalizowaliście jego system immunologiczny. Takie hiperkapitalistyczne szlaje staromodnej *science fiction* szkołą samurajów cyfry szybciej i sprawniej niż Pentagon gnoju. Masz co najmniej cztery odpowiednie drużyny. Mnie najbardziej podobają się ci *compatibles*, którzy zsabotowali biologię pokemonów. Nie obchodzi mnie, czy w gnoju to przedszkolaki zero, czy emerytowani krytycy sztuki z Nowego Jorku. Wchodzą, wykradają, wychodzą.

44 przez chwilę kablował coś do komu.

- Ale jaki zysk dla nas? Żeby potem oddać ci ten kod?

- Sam go potrzebuję, bo muszę się zabezpieczyć przed zemstą zdradzonych bogów. Czy można jednak oddać to, co należy już do wszystkich? Ale rozumiem. - Przerzuciłem mu

pliki z własnego komu. - Skarby starożytnych. Za moich czasów Banda zbudowała poza horyzontem korporacyjnym kilka sfer Dysona. Mieliśmy też już położone cugi minusowe do wormhole'ów przystosowanych do ludzi i *compatibles*. Wybierz swoją nagrodę.

Zapatrzył się w kom, zafascynowany. Natychmiast przypomniałem sobie owo uczucie: jasny cel przede mną, wspaniałe wyzwanie, narkotyczne obietnice potęgi. Trudno nie zazdrościć.

- Mogliście być największym imperium ducha. - Podniósł wzrok, potrząsnął głową. - Dzisiejsza Banda... ech. Ale powiedz, no powiedz, czemu wysiadłeś? Czemu się to rozpadło?

- Imperium ducha... Nie ma już imperiów ducha, przekonasz się. Duch i materia stają się jednym, gospodarka radosna przeważa gospodarkę pracy. Najedziesz dla frajdy jakąś fantazję i nazajutrz milion zulusów straci połowę zasiłku rodzinnego. A to już nie jest tak zabawne, prawda? Wszystko wpływa na wszystko, mój drogi. Im wyżej zasiadasz, tym więcej cię dotyka, tym więcej doczuwasz.

...Pomyśl o tym jak o fizyce gwiazd: istnieje graniczna gęstość masy, powyżej której nieuchronnie zapadniesz się w czarną dziurę. I będziesz nadal wszystko zasysał, zasysał, zasysał - ale nic już nie oddasz z siebie na zewnątrz. Za wyjątkiem promieniowania Hawkinga, zimnego jak próżnia, cieniutkiego strumyczka anonimowych jęków rozciągniętego na miliardy lat - tak się wykrwawisz, stygnąc, zagrindowany na śmierć.

44 zbierał się do mocnej riposty, ale coś mu weszło w myśl - spojrzał na kom, spojrzał na salę poniżej, obrócił się w powietrzu.

Ludzie & *compatibles* pędzili na stanowiska, zatrząskiwali się na wkręconych żynierach pluswymiarowe siodła (już były zatrzaśnięte). Zahuczał sygnał odliczania. Ktoś krzyknął do 44; 44 uczynił gest ręką, jakby błogosławił albo przyzywał z rezygnacją. Zasłoniłem sobie oczy przedramieniem: za panoramicznym oknem wielokilometrowa konstrukcja EUCUBRONU rozbłysła wszystkimi lampami i laserami. Sygnał odliczania przechodził w coraz wyższe tony. Pomyślałem jeszcze, że powinienem być wyjść wcześniej albo przynajmniej zapiąć się w trumiennej - po czym EUCUBRON odpalił główne agregaty.

Zgasły światła na instalacji, przez moment nic się nie działo; wymiotu energii generowanych przez egzotyczne maszyny Eskulpatorów-Palindromistów 2T nie było oczywiście widać. Potem spomiędzy szwów siodła chlusnęła krew, pojawiła się grawitacja, 2 lub 3g, bardzo szybko kilkakrotnie zmieniła kierunek wektora, posypało się szkło, ludzie krzyczeli; z wielkim hukiem poczęły się zatrząskiwać grodzie awaryjne. A przez ten huk słyszeliśmy już inne dźwięki, inny strumień bodźców płynął jakby wprost do mózgu, coraz żywszy Opuściłem ramię. Z rozdartej czasoprzestrzeni przed EUCUBRONEM bił blask

obcego uniwersum. Instynktownie odepchnąłem się w tył. Skok grawitacji cisnął mnie na podłogę, potem na ścianę. 44 wołał o rzuty innych pasm EM. Rozpłaszczony naprzeciw kosmicznego kataklizmu, tonąłem w przybierającej wciąż na mocy muzyce Ilúvatara, gdy na skanach panoramicznych jedna po drugiej wyłaniały się z macicy odległego wszechświata przerażające, nagie anatomie *incompatibles*: świetliste sylwety Valarów.

Wszystko płynie

Na granicy poproszono mnie o pleć. Zdjąłem ją i oddałem, i weszłem nago.

Tuż za granicą na drzewie mięsistym i strzelistym siedziało okrągłutkie Dziwo. Takie Dziwo nikogo nie przepuści bez pytania.

- Ile jest trzy plus trzy?

- Sześć.

Kiwało łebkiem.

- Ile jest trzy plus trzy?

- Dziewięć.

Kiwało łebkiem.

- Ile jest trzy plus trzy?

- Trzy.

Dziwo znowu tylko pokiwało.

- Ile jest trzy plus trzy?

- Ile?

- Nie wiem.

Chyba więc mogłem przejść.

Droga wkrótce się rozwidła. Jedna odnoga prowadziła w lewo, dwie - w prawo, pół odnogi - na wprost, a jedna ósma - w dół. Były też inne drogi, szlaki promilowe, dukty prawie-nieprawdy. Wyjęłem monetę i rzuciłem orłareszkę. W rezultacie poszłem w większości prosto naprzód, trochę w dół, a trochę się cofnąłem.

Wybiła Zielona Godzina. Czekają mnie lata udręki i chwile radości, czekają mnie żywoty szczęścianieszczęścia. Grażyłem się w głuchą bezleśność i w nudną bezpolność. Spotkałem tam wędrowca bez twarzy, podarował mi kryształ mleczny: pamięć. I pamiętałem, jak rodziłam dzieci, dwoje, troje, pięcioro, ósmioro dzieci, w chacie lampą olejną oświetlanej i w ziemiance ciemnej, pracując w polu i pracując przy zwierzętach, rodziłam dzieci, a potem

te dzieci męczyły mnie i dręczyły, aż zadręczyły; tak umierałam. W kryształach miałam również wspomnienia ojców, braci, mężów: że walczyłem, zabijałem, ginałem. Zakopałem klejnot cierpienia na rozstajach stuprocentowych, pod uschniętym drzewem złości-wiadomości.

Na owych pustkowiach zagubienia, wśród zgaszczów zieleni, nie ja jedną nosiłam kształt człowieczy. Spotykałam też innych cudzoświatowców, wieczorami przy ogniu wyznawali swe historie. Zazwyczaj podróżowali do krewnych przebywających na oddaleniu, do synówcórek, bracisiostr, którzy opuścili krainy kamienia i prawa, ojczyzny zera i jedynki. Tutaj, jeszcze pod południkiem granicy, pielgrzymi nadal mówili o tym jako właśnie o „oddaleniu”, nie rozumiejąc, dlaczego ich bliscy nie są już bliscy i dlaczego odmawiają powrotu do wszechświata euklidesowych dusz.

- Przecież ich kochamy, jacy by nie byli. Naprawdę, wcale nie muszą się dla nas zmieniać.

Im dalej wędrowaliśmy, tym bardziej zmieniało się wszystko wokół. Świat przemieniał się w sen o snach nietrwały.

Czas jakiś żyłam w gaju owocowym, gdzie zbierałam jabruszki i oliwnice, też wyłącznie nimi się żywiąc. Proteusz pobłogosławił był ten gaj; każdy owoc otwierał inne drzwi. Ktoś zjadł rykwaśną jabruszkę i urodził trojaczki wszechczasowe: jedno dziecko się starzało, jedno młodniało (embrionując-duszując), a jedno żyło zakokardowane mocno we wciąż tę samą sekundę. Ktoś zjadł przejrzałe oliwnice i zwymiotował duszę podobną do umarłego słowika; gryzonie i mrówki rozwlekły ją po gaju, po łąkach, ugorach, zmieszały z błotem i piaskiem, utopiły w bagnach i rzeczkach. Nieszczęsny żył potem porami roku i kwadrami Księżyca, mówił chmurami i deszczami, zmartwychwstawał w przegniłej wyściółce puszczy. Ja zjadłam pestki dyńgrestu - i nic się ze mną nie stało, tylko świat stracił wymiar namacalności, zdalęczyły się gwiazdy i księżyce.

Kiedy będziemy mogli wniknąć swobodnie w gąszcze interioru? Zwiedzić duchem na przełaj zieleni samą w sobie? Kiedy przepych nudy rozżłoci swe czary i cienie? Byli tacy, co czekali dziesiątki, setki lat. Strażnik Gaju, któremu nie dało się zobaczyć ani usłyszeć, jedynie wyśnić, odpowiadał jak Dziwo: jutro, pojutrze, za tysiąc lat, wczoraj. Każda odpowiedź była prawdziwa i żadna odpowiedź nie była prawdziwa.

Drajada zielonowłosa sypiąca w wysokich pniach gaju zdradziła własną historię: przybyła po córkę, którą był już czymś-kimś pozajednostkowym, nie istniała w żadnej konkretnej osobie, przejawiając się jedynie w rozbłyskach duszy kolektywnej pomiędzy rozległymi konstelacjami znajomych. Ale córka tego właśnie chciała.

- Że poznała przeróżność wonnego istnienia, i wszechmożliwość, i

wszechspodzianość, i uśmiechnięty czar niezrozumienia...

- Do oddaleńców, do oddaleńców przecież wszyscy czekamy.

- Ale nie trzymają nas tutaj ze złośliwości, nie uparli się nas zniechęcić. Czekając - żyjemy. Żyjąc - inaczmy się. Niektórym trzeba wielu lat, niektórym - dni.

- Taki to właśnie raj dzieci Proteusza...? Życie za wieczną służą, pod buforem kogito, w enklawie dusz duszolibnych?

- Nie, słońce, nie. Lecz my przyfruwamy im prosto ze świata, który nie jest przecież wiernym obrazem myśli, nie odbija prawdy z umysłu, NIE PŁYNIE. Jak długo musieliśmy tam w nim trwać innymi, niż byliśmy w duchu! Urodziliśmy i żyliśmy z kamieniami w mózgach. Trzeba więc nam kwarantanny: odzwyczajenia zwyczajności, odnormalnienia normalności.

Albo kwarantanny dla świata materii, myślałem. Aż to on się upłynni w raj Proteusza - wtedy wszyscy będziemy żyć obok siebie, bez śluz, buforów, filtrów, jednako skowronkowi, sen wysnuty z niczego albo z gwiazd obrotu.

Zbadawszy istnienia dwuznaczność i zwiewność, ulatywali w gąstwie, wyzwolenicy-oddaleńcy. Czy przyśnił im się Strażnik Gaju i powiedział, że już mogą? Chciałem uciec, wymknąć się samojednu, ale gdzieś się nie obróciłem, i tak w polu było mi polno, a w lesie - leśno. Nie uciekniesz od samego siebie. Nie wypłyniesz w nowe geografie, gdy nadal stara głowa je wyświetla.

Ściśniętu snem północnym zaczęłem kopać pod korzeniami drzew. Każde wyrosło z zasadzonego kryształu pamięci. Można jeść owoce i inaczyć się latami, ale można sięgnąć do źródła, ryzykując wyobcowanie serca, supel kolczasty języka i milczenia. Pod osłoną nocy, pod skrzydłem kruka wjadłem się w ziemię pulchną od ciepłych wspomnień, cudzożywając cudzożywnie, w setkach, tysiącach losów - aż się rozrobaczyłem na wszystkie strony świata i człowieka, i wtedy dopiero mogłem wykiełkować i zakwitnąć znowu ku światłu, już w kielichach doczuć swobodnych. Tu czy tam, tą duszą czy tamtą, jedną czy siedmiu, z czasem czy wbrew czasowi... Czuję wszystko; istniałem wszędzie.

Wywalczywszy się na powrót do jedności-istoty, tak oto zapomniałem się w kwiatach, w oceanach kolorowych doczuć. Czym byłem owej nocy, której dziś już nie ma?

Artur Żeliwo pływał w kwietownicy, na falach coraz to innych światów, odczłowieczając duszę i oddech wśród maków, chabrów, niezapominajek; co wychynął z odmętów flory, to zanurzył się w nich z powrotem, i tak aż maj z czerwcem dogoniły go i wyrzuciły na brzeg lata. Gdzie spoczął, rozploniony rozsloneczniony, falujący, migodrzący.

Ubrałem płęć - ale nie poznał mnie, gdy przybłyskotałem obok. Musiał się być

specjalnie oślepić, ignorancja to również dar Proteusza, dar zaskoczeń, olśnień, nieoczywistości.

Minęło nas stado fizyk, przefrunęły językówki i narracjanny, histornica przechyliła o pół stopnia pion i poziom, i poczułem się wtem jak na popołudniowej przechadzce w ogrodach markiza de Girardin, ach, *chassez le naturel...* Gdybyś się uczłowieczył - jakie miałbyś lica?

- Czy mogę?

Artia, zarumieniwszy się skromnie, usiadła prosto, zbierając pod kolana szeroki klosz jasnoblękitnej sukni.

Rzuciłem surdut na grzywy kwietne obok; spocząłem w przyzwoitej odległości. (Jeszcze o pół stopnia przechyliło się niebo i Słońce). Oglądaliśmy zawody ciałoskoczków i życiodojców. Niebo nad nami kołysało swój bezmiar w sąsiednie bezmiary. Z jaskrawo ubarwionych kielichów kwiecica tryskały fontanny pyłu wspomnień; wdychaliśmy Awantury, Romanse, Tragedie, Ekstazy...

Tak więc ongi budowałem z Artią domy misjonarskie, zakładaliśmy dynastie wyklęte, rabowaliśmy skarby królów i uwodzili miiodookie Egipcjanki.

Proteusz przechadzał się między swymi dziećmi i potrzasał światem.

I stało się, że Artia poznała mnie.

- Panie Kostrzewa! Doprawdy, to już przekracza wszelkie granice!

Przekroczyłem wszelkie granice.

- Zer doktor są mi najbliżsi w tej konstelacji, wysłuchają mnie przynajmniej, niech spojrzą w gwiazdy.

Artur naprężył mięśnie, pełen tygrysiich złości i rozścierwień, dymiący prędkim testosteronem.

- Czego chce?

Ach, rozszarpałem mu chwilę kwietną, pachnącą! Nie wolno zapominać: transowie to najwięksi romantycy. Nerdowie, queers, transseksualiści, nadcieleśni, roleplajowcy, onzo - tylko dzięki temu przetrwali, że żyją między ideałami, ślepi na cały gnój materii, z jakiej zostali ulepieni. Oddaleńcy, w których oczach mży sama oddalność. Elfy porcelanowe uwięzione w ciałach brzydkich brutalni. Drżące najady schowane pod gruboskórą spoconych tłusciuchów. Mężczyźni w ciałach kobiet. Kobiety w ciałach mężczyzn. Bezpłciowcy w ciałach płcią pieczętowanych. Roztrzepane cherubiątko zamknięte w biologii dwustukilogramowych bydlaków.

Transowie pierwsi zaczęli emigrować w ducha. Jeszcze zanim skręcono boski

procesor, zanim pociągnięto kable-scrabble, jeszcze przed kodami, matematykami, FATAGAMI.

Transowie bowiem zawsze byli takimi, jakimi są dla siebie w duchu, a nie jakimi zakamieniała ich materia. Dziwo przefrunęło nad ich kołyskami, Proteusz zgwałcił im neuro.

Wyduszyłem mu to na dłoń w łzie mlecznej, w kryształach białym.

Artur przyjął go z wahaniem. Lecz zaraz zmieniła mu się mina.

- I oddasz nam to wszystko?

- Nie wam. Ale poprzez was, tak, to znaczy: wy oddacie. Uwolnicie do publicznej. - Zabłytniełem szeroko na światy, nieba, kwietownice podobłoczne. - Ażeby każdy mógł, jak w tej tu waszej socjal szlai, stanowić sobie taką normalność człowieka, jaką tylko chce - ale obiektywnie, prawnie, fizycznie - a następnie dowolnie zmieniać ją w inną, tak samo absolutną, i znowu, i znowu, i znowu, W GRZE. Nie tego chcecie?

Arto migotału świergotliwie, niezdecydowanu, wielomyślnu, dygotląc.

- Nie wiem. Czego chcemy. Nie ma, nie było żadnego chcenia ostatecznego, chcenia poza chcenia wszystkie. Zawsze tylko chęci drobnego upłynnienia: ubioru, roli w społeczeństwie, roli w gospodarce, płci, ciała, kogito.

- I jak miało się to skończyć?

- Nie miało końca.

- Ale czy można upłynniać w nieskończoność? Co będziecie zmieniać w świecie płynności absolutnej? Krew kreatywów nie starczy na długo.

- O nas się boisz?

- Nie. Wy jesteście bezpieczni, Proteusz was przytulił do serca, nie zatonicie. Urodziliście się, by pływać. Boję się o tych przemocą zrzucanych z urwiska w fale. Dlatego chcę gwarancji - teraz - zanim wydostanę i przekażę kod - że uwolnicie go już w nurcie gry swobodnej, tak rozwinięty, że przyjazny dla najstarszych petra, otwarty na wszystkie królestwa.

- Nie musisz -

- Jaka jest ostatnia forma rasizmu, zer doktor? Rasizm kulturowy. Następuje specjacja, ludzkość rozchodzi się w różne królestwa: inaczej konsumujemy, inaczej mówimy, inaczej myślimy, inne nosimy ciała i inne światy na głowach - należymy do innych gatunków. Prawnie, biologicznie, fizycznie. Człowiek przyszłości pocznie się nie z genetyki czy cybernetyki, lecz z szalonych fantazji pijanego pisarza.

...Co możemy zrobić? Zachować możliwość GRY między królestwami. Wróćcie do Wittgensteina, zer doktor.

Wstałem.

- Będę czekał do trzeciego wschodu koguta.

Żeliwo człowieczału i bożyszczалу.

- A ty? Ty sam? Co z tobą?

Zaśmiałem się sucho.

- Możesz też nie wszedł do Ziemi Obiecanej.

- Ale zdajesz sobie sprawę, jak szybko stanie się to wszystko widoczne w konstelacjach, jak na dłoni Nostradamusa. Z którego kwadrantu przyszedł ruch, wokół jakiej gwiazdy obracają się nasze planety, Ściągniesz na siebie odwet, wiesz o tym, prawda?

Teraz zaśmiałem się królewsko, sztandarowo.

- Odwet! Wrogów! Konspiracje!

Arto spłynętu powoli w odmęty kwietne, wahadłując między rolami, maskami, płciami, światami.

- Nie wrócisz na studia...

- Czego mnie jeszcze nauczycie, znawcy znawstwa samego?

Żeliwo tylko kwiatowału pletwiście, smoczyście.

- Pływać, pływać, pływać...

A wraz z jenu ruchami bałwaniły się i nicowały połączie zieleni, wszelkich kolorów wybuchowych - że rychło zostałem samu na wierzchołku graniastoświata łysego i zwyczajnego jak trzy plus trzy. Granica przekroczyła mnie z drugiej strony. Zadrzałem. Nadchodzi rok nieistnienia, nadchodzi straszne bezkwiecie.

Endgame

Doctor Who osłoni własną piersią.

Ale nie ma budek telefonicznych na mostku flagowego krążownika FATAGI. Sejwujemy się co sekunda. All Resists +100%.

Paweł wypada z niespodziewanego uskoku temporalnego, królestwo pcha go na szczycie sinusoidy, w Sony-Corleone rządzą te same płcie, fizyki i polityki, te same palety barw i emocji.

I dopiero bosman wąsaty blokuje mu drogę przed główną schodnią. You shall not pass.

Następują krótkie targi. Aktualne położenie w konstelacjach - Pawła paszport, Pawła DNA - daje mu prawo. Żeby przynajmniej dopuścić przed oblicze.

Panie Rajmundzie!

Ja tu sam!

Z otwartymi ramionami!

Rajmund Gawriło pali fajkę rozparty na mostku, za sterem pancernego okrętu tnącego wody móż nieprzyjaciela. Soundtrack: *Line 14* O-Iera.

(Dialogi, powolne). Czy nie powiedzieliśmy sobie wszystkiego? Powiedzieliśmy wszystko. Kiedy ja nie chcę, żeby został między nami żal gniew pretensja. Rozeszliśmy się, rozeszły się światy. To naturalne. Uważasz, że jestem zbyt stary, spetryfikowałem sobie mózg, że nie rozumiem. Być może. A czy - Brzęk dzwonka. Przybiega oficer z kabiny radiowej. Admirał Gawriło czyta radiogram, a burze piorunowe przechodzą mu po czole i pod brwiami.

Przerywamy misję. Nowe rozkazy, nowy kurs, cała naprzód.

Paweł stoi w kącie cichy jak trusia.

Przybiegają kolejni oficerowie, odbywa się narada. Paweł słyszy słowa-blanki, widzi twarze-maski - ale liczy się melodia sytuacji, rytm przekleństw.

Naturalnie nie mógł się spodziewać, że stary Gawriło weźmie wszystko po prostu za zbieg okoliczności. Dlaczego Paweł musiał się tu teraz zjawić? Ponieważ te teatry są starsze od królestw. Już australopiteki - pochylały się nad pokonanymi, by - zajrzeć im w ślepią w chwili - tryumfu.

Spodziewał się. Co nastąpi.

Plaja: Strzelają Pawłowi w łeb i rzucają trupa rekinom.

Albo. Zamykają go pod pokładem i podpinają mu jaja do prądu.

Albo. Gawriło w furii królewskiej masakruje Pawła za pomocą żeliwnego barometru.

Albo.

Nic z tego. Nie zatańczę z tobą, panie młodszy.

Inni cię zbawią, w innych grach.

I tylko spogląda Gawriło z takim - smutkiem. Taki - zmęczony. (W opuszczonej dłoni - kartka z radiogramem).

Dlaczego sądziłeś, że jestem twoim wrogiem? Czy musisz mieć wroga? Musisz wierzyć w intrygi, w złe koporacje, strasznych oligarchów, tajne akcje i zbawcę ludzkości? Wykradać, niszczyć, zdradzać? Naprawdę nie potrafisz inaczej?

(Bez wyzwania. Bez przeciwnika. Bez misji. Bez nagrody).

Drze i wyrzuca radiogram do morza.

Co zrobisz z tymi Państwami Ducha? Komu sprzedasz?

Nikomu. (Paweł głośno, do mikrofonu. To ostatni akt). Nie będzie żadnych providerów Państw Ducha. Żadni kreatywi nie nakręcą tych pomarańczy.

Uwolnię kod. Cudzymi rękoma, ale uwolnię. (Zobacz). Dla każdego, dla wszystkich, na wszystkie drogi człowieczeństwa.

Że powstanie miliard różnych ludzkości. Miliard różnych normalności. Miliard równoczesnych *Homo sapiens*. (*Trans-sapiens*). Miliard państw.

A potem następny.

I następny, jeszcze inny.

Przeplływając od atrakcji do atrakcji, od sekundowego absolutu do absolutu.

Bez końca.

Bez kierunku.

Bez celu.

Bez żadnej jednej, niezmiennej doskonałości.

Gra.

(Musiałeś być świadkiem tej chwili, musiałeś stanąć F2F, wygłosić kwestie epilogowe.

Nie ma dla ciebie życia poza plają i szlają).

Podłoga przechyla się pod nogami, krążownik kładzie się ostro na burtę.

Złapawszy się stalowego uchwyty, Gawriło wskazuje admiralską fajkę napęczniałe cyferblaty zegarów wysoko na bocznej ścianie.

Może i rozumiesz prawa królestw, może i wyczuwasz prądy ducha. Ale nie rozumiesz gospodarki, nie rozumiesz pieniądza, za późno się urodziłeś.

A dla mnie on był, jest środowiskiem naturalnym. Na zmianę stóp procentowych swędzi mnie błędnik.

(Uginając kolana, utrzymuje równowagę na rozkołysanym pokładzie).

Oba zegary mają tylko po jednej wskazówce, a na ich tarczach nie wypisano godzin, lecz procenty.

Lewy zegar pokazuje stosunek Produktu Globalnego Brutto Gospodarki Ducha do Produktu Globalnego Brutto Gospodarki Gnoju.

Prawy zegar pokazuje stosunek Produktu Globalnego Brutto Gospodarki Radosnej do Produktu Globalnego Brutto Gospodarki Pracy.

Patrz!

Gdy obie wskazówki wejdą na lewe połowy tarcz (bije dzwon okrętowy) nadejdzie potop.

Oni zaczną tonąć - tonąć stadnie, rocznikami, pokoleniami, milionami. (Miliardami).

Każdego dnia, każdej godziny dostrzegając - równie wyraźnie jak ty i Mateo - absolutną nudę i bezcelowość dalszej gry.

A tymczasem -

Pokonałeś bossa? All hail the champion. Zalicz sobie punkty doświadczenia.

Ale to nie kaprys starego durnia.

To wyścig o życie. Ucieczka przed tykającą bombą zegarową.

(Cała naprzód!)

Paweł - wykrzywia usta. Kto tu jest niewolnikiem plai. Kto się ściga.

Kto nie pojmie nigdy takiego tryumfu: przez poddanie. Takiego ratunku: przez wyzbycie się kontroli. Takiego planu: nie planować. Grać.

Nagle grzmiały działa, trzęsie się mostek, Paweł zatyka uszy. Krążownik ostrzeliwuje nieprzyjaciela: mgliste sylwety na horyzoncie.

Potępieńcze wycie syren uniemożliwia zebranie myśli. Co się stało? Niespodziewany przystanek po drodze. A może właśnie przystanek w niespodziewanym: powrót do pierwotnej misji Gawriły.

Paweł wytacza się na zewnątrz, zjeżdża po stalowej drabinie na pokład.

Okręt zwalnia, podchodząc do rozbitków, od których odpędził już wroga. (Rozmazane kształty na widnokregu).

Wody Morza Nolensum są szare jak popiół, ciężkie jak marmur, lekkie jak gaz rozweselający. Piana morska ma tu barwę szkliwa zębowego.

Marynarze przerzucają uratowanych na pokład przez reling niczym worki śmieci. Topielcy padają bezwładnie, toczą się bezwolnie jak kukły. Nolensum rozlewa się wokół nich w mętne kałuże.

Trzeba im przemocą rozwierać szczęki, unosić powieki, zmuszać do oddychania. (- Oddychania).

Są tak młodzi.

Tak bladzi.

Nawet odratowani, usadzeni prosto, z kubkami gorącej kawy w garściach - patrzą mało przytomnie, tylko obracając oczy ku morzu, ku bezmiarowi nolensum. Nasiąknęli nim do kości.

Brali udział w wyprawie na koniec świata. Dotarli do celu i zatonęli - staranowani - w drodze powrotnej. (Przez wroga-widmo, nieprzyjaciela niewidzialnego).

Nolensum spływa z nich grubymi kroplami, ścieka na stal, kap-kap.

Paweł stoi, patrzy. Dźwięki, barwy, zapachy, nastroje - to przecież także jego

królestwo. Stoi, stoi i kołysze się do rytmu fal jak zahipnotyzowany.

Kap. Kap. (Bliżej). Kap. (Posłuchaj). Kap. (Wiesz). Kap.

Zdobyłeś, co było do zdobycia.

Pokonales wszystkie przeszkody.

Zgromadziłeś bogactwa, reputacje, cuda.

Osiągnąłeś ostatni level.

I co teraz? Co ci pozostało?

Tylko nieskończony - kap - bezcelowy - kap - otepiający - kap - ogłupiający - kap - śmiertelnie nudny - kap, kap - grind.

(Bliżej).

(Bliżej).

I to nie ramię Doctora Who, nie nelson puchowy anielic, lecz brutalny chwyt admirała Gawriły ratuje w ostatniej chwili Pawła, już przechylonego przez reling, już zsuwającego się w szare odmęty.

Dispel All. Recharge.

Gawriło z trudem kryje nagle zdenerwowanie, musi - odwrócić twarz. Uratował Pawła - zamiast tego, kogo powinien był uratować. (Więc ratuje wciąż i wciąż, bez końca).

To nie są dla ciebie bezpieczne akweny.

Zwijaj się. Panie młodszy. Już.

I Paweł zwija się.

Zwinąwszy -

Przemyka promieniem złocistym od węzła do węzła konstelacji:

Paweł Kostrzewa

Krwawy Hegemon

Strewak Buta

Pacza

Pacza dopiero co obudził się w swojej strefie czasowej; ale od razu zaakceptował warunki. (Paweł znał go z REPUTACJI).

Zacieśnia orbitę. Znajomy znajomego znajomego. Znajomy znajomego. Znajomy.

Już pora.

Business mode. Na mahoniowym stole na dwusetnym piętrze wieży finansowej Kinszasy spoczywa mały czarny nesaser. Szyfrowy kwant-zamek otworzy jedynie dusza prywatna Pawła.

Na nesaserze - pojedyncza kartka: sumy kontrolne i specyfikacja kogito. Pacza

zapoznał się z nimi pierwszym rzutem oka.

Od momentu włamania - gdy Gawriło otrzymał sygnał alarmowy - minęło prawie pół godziny. Transi zdążyli zabezpieczyć się na swoich prawach i rozmnożyć kod poza zasięg FATAGI. Uwolnienie nastąpi w ciągu najbliższych kilkunastu godzin, gdy tylko uwiną się ichni developerzy.

Pacza. jest developer kultowy: fikcje Paczy nie tylko zwyciężają z prawdą i innymi fikcjami, ale przykrywają własne oryginały. Sporządził piekło Dantego, Nowy Jork Woody'ego Allena, sny Prousa, dzieciństwo bezdomnych, małżeństwa Bergmana.

Konstelacje Paczy - bursztynowe galaktyki pokazowe - przemawiają za niego. Nie skusiły go teraz pieniądze; przyjął WYZWANIE.

Przysuwa neseser do siebie. Zaciera krótkie rączki.

Nikt jeszcze nie widział tego kodu w publicznej. Gorące bułeczki prosto z pieca. Ladder Standing +200, orgazm wtajemniczenia.

Dziecko staje na palcach, by sięgnąć półki ze słodyczami.

Mogę? Mogę? Mogę?

Cyrografy zostały podpisane, dusze wymienione.

Pyk, otwiera się zamek.

Paweł - wygląda na nocne miasto pod obcymi gwiazdami, podczas gdy za jego plecami Pacza pożera łączywie kod Skeuta Red.

Punkt widzenia Pawła cofa się pięć metrów za jego kark. Widzi teraz samego siebie stojącego z założonymi z tyłu rękoma, zarys postaci na tle plajowej panoramy miasta.

Soundtrack: *Heat, Run Uphill* Elliota Goldenthala.

Nastrój: melancholia technicolor - długie, spokojne nuty: nolensum płynie przez zmysły - żyje tu tyłu, tyłu ludzi! - cokolwiek uczynię, cokolwiek pomyślę, cokolwiek przeżyję, będzie jedynie ślepym powtórzeniem w masie - statystyka cieknie mi z nosa, leje się z oczu - rozmywając w kolorowych smugach światła migoczące w nieskończonej planimetrii miasta - miasto moje konstelacje, miasto duszą, miasto ja.

Zatopiony w nastroju -

Łyka swoje designerskie dragi, pigułka po pigułce. Statecznie i z namysłem. Jakby się zaciągał bardzo drogim cygarem. (- Zaciąga się).

Tagi: TopOfTheWorld, FinalCountdown.

A Pacza (za plecami) pożera kod, przygięty nisko nad brązowym płaskowyzem stołu, nad otwartym neseserem, pożera pożera pożera, gęba szufla, gardło odkurzacz, łapy spychacze, żre żre żre.

Aż odpada, nazarty, napuchły, rozdęty. Omal unosi się w powietrze. Zera i jedynki bąbelkują mu z kącików ust.

Beka.

Odbeknąwszy -

Ryczy. (- Ryczy).

Wicher ryku Paczy strąca ze ścian Picassy, Warhole i Maiery.

Jest to wrzask Stworzyciela Światów.

Bogowie i tytani kotłują się w jego brzuchu, napiętym niczym bęben. Wiecznie niespokojne palce Paczy wystukują na nim szybkie rytmy.

Ruszamy! (Niech się stanie półcień, półświatłość).

Zatem - raz, dwa, trzy, cztery - na jakich to ma pójść flakach?

A co mnie one obchodzą? (Paweł nie - odwracając się). Hardware, software - to wszystko część gnoju, mamy od tego żuki-gnojowce, nerdów technofilów, niech się w tym grzebią, to ich porno.

Takie czy inne medium, taki czy inny tech, takie czy inne biolo - nie ma znaczenia.

Kreatyw tworzy CONTENT.

A developerzy uważają się za kreatywów najwyższej kategorii. (Nadęci). Inżynierów ontologii, matematyków snu. (Nadmuchani).

World-building to sztuka ostateczna. Koniec końców wszyscy będziemy żyć w zbudowanych od podstaw światach fikcji.

No więc co to ma być? Bóg-dziecko - zacierą rączki. Na czym mam postawić te szlaje?

Jaka specyfika?

High fantasy?

Hard SF?

Inna fizyka?

Inne biolo?

Inny social?

Przyszłość? Przeszłość?

Odwrócona entropia?

Co to ma być?

Paweł połyka ostatnią pastylkę.

Jedno słowo: NIC.

~

Była sobota, Paweł Kostrzewa obudził się wcześniej niż zwykle, gdy jeszcze grały w promieniach Słońca wibracje porannej rzeźkości, gdy buzował elektrycznie lazur śródmiejskiego nieba. Paweł pozostawił wczoraj wieczorem niezaciągnięte zasłony - wyrwał był tę wolność spod pruskiej komendy mieszkania, podobnie jak temperaturę powietrza czy nastrój aerozolowy poszczególnych pomieszczeń - i teraz zapłacił cenę: poranek letni wtargnął mu szturmem na łóżko, zdobył przyczółki na bieli prześcieradła i poduch, wpełzł gorącą falą na nagą skórę młodego mężczyzny, wreszcie wjechał mu w oczy. Paweł Kostrzewa się obudził.

Ponieważ nadal był niewolnikiem fizjologii, poddawał się temu samemu rytmowi rytuałów ciała, i to nie gdzie indziej jak w łazience nurkował, jeszcze półspiący, półśniący, w błękity międzyludzkie świata, miasta i dzielnicy. Przez te kilka godzin wiele wszak mogło się zmienić; mogły się wokół Pawła zupełnie inaczej ułożyć sieci znajomości-nieznajomości. Pod prysznicem, wyjąwszy z uszu szum wody, słuchał plotek i niedyskrecji wyciekających z FATAGI i Gejzeru Cudów w rewiry publiczne. Rozpoznano tam już wektory trendów i zwrócono uwagę na news wypuszczony przez królewską kabałę transów: dzisiaj o 12.00 GMT ogłoszą oni nową kampanię non profit, na reputacji aliansu. Znajomi-nieznajomi pukali do Pawła przez całą noc. Otrzymał nawet zanonimizowane groźby śmierci. Już się szykują, już się zbierają przeciwko niemu, zatruwają groty strzał. Był w świetnym humorze.

Wystąpił na moment na balkon, potykając się o pustą butelkę z odłamkiem glinianej skorupy w środku. Słońce pompowało czystą energię, czuł każdy foton wnikający w ciało. Sok grejpfrutowy miał barwę i smak plazmy solarnej. Paweł zdjął ze zmysłów wszystkie pakiety tagowane GPSEM i RFIDami. Jakże ożywczo - podniecająco - działał sam widok milionowego miasta pod światłem nowego dnia, w ruchu, w gorączce, w zmianie. Coś się działo; coś się rodziło; coś nowego nadchodziło.

Postanowił obejrzeć prezentację transów przy śniadaniu, przy obfitym posiłku, którego składniki wybierze z kaprysu w ostatniej chwili z menu „Ambrozjonu”, 237 metrów na północy wschód od aktualnej lokacji. Był cudownie głodny. Włożył garnitur Norton & Sons, zbiegł po schodach, ani spojrzawszy na windę.

Na ulicy przed Staruchąomalże wpadł na Adriana Utrałta.

- Śpieszy się pan? Chciałem -

- Ależ pan już zrobił swoje! - zaśmiał się Paweł.

Utrałt otaksował go szybko.

- Właśnie wydawało mi się, że naciskałem jednak zbyt bezpośrednio. A moje intencje...

Paweł poklepał go po ramieniu.

- Proszę się nie przejmować, ugrał pan, ile mógł. I teraz - co? Przeprowadzka?

- Nie. Nie zamierzam. - Wziął głębszy oddech. - Pan rzeczywiście podjął już decyzję. Widzę, że tak. - Jeszcze złapał Pawła za rękaw marynarki, przytrzymał. - Dostrzegł pan prawdę.

- Przeciwnie! - Paweł śmiał się, lecz bez najłżejszej nuty szyderstwa, kpiny. - Co dostrzegam? Fałsz, teatr i fałsz. Czynię fałsz! Z prawdy - fałsz! Tylko w tym sens, rycerzu mój drogi, tylko taki ratunek.

- Co pan opowiada? Panie Pawle, przecież -

- Porozmawiamy! Porozmawiamy!

Paweł pomachał Utrałtowi i pobiegł dalej. Serce biło mu niczym dobrze nastrojony młot pneumatyczny, uśmiech balonowy rozsadzał czaszkę, żyłami mknęły torpedy FTL. Musiał co chwila skręcać, uskakiwać, lawirować, na ulicach było tyle ludzi! I nawet nie krzyczeli, nie obrażali się, gdy ich niechący trącał, popychał. Znajomi-nieznajomi, odpowiadali Pawłowi uśmiechami, odprowadzali go słonecznymi spojrzeniami. Że aż trudno było się obronić przed tą pewnością oślepiającą: każdy chce mi coś powiedzieć, każdy ma coś ważnego, coś dobrego do przekazania. Tyle, tyle ludzi! Czemu ich nie pozdrowić, nie uściskać, nie zaprzyjaźnić się? Wszyscy jesteśmy znajomymi.

Była sobota, był maj, słońce, ranek, tłumy, Paweł pędził przez kolorowe miasto, podekscytowany, głodny, ciekawy następnej godziny, minuty, sekundy. Ma dwadzieścia siedem lat, nie lęka się biedy, nie lęka choroby, przyszłość jest otwarta na oścież. Świat biegnie razem z nim. W tę czy w inną stronę - to nie ma znaczenia. Trzeba tylko biec, trzeba iść do ludzi, między ludźmi, z ludźmi. Prędkiej! Prędkiej! Czeka nas życie pełne przygód.

listopad 2008 - wrzesień 2010

W tekście wykorzystałem fragmenty encykliki Jana Pawła II Veritatis splendor, Dociekań filozoficznych Ludwiga Wittgensteina, Process and Reality Alfreda Northa Whiteheada oraz fragmenty wierszy Bolesława Leśmiana.

OKO POTWORA

Sterownia wyglądała jak sala tronowa. W szklach martwych ekranów zobaczył się jak w lustrze (...). Na wzniesieniu stały budzące rozmiarami szacunek fotele pilotów, zwaliste, z siedzeniem w kształcie głębokiego negatywu ludzkiego ciała - zapada się w nie po pierś. (...) Pianowa wyściółka poręczy zmurszała od starości. Kalkulatory - takich jeszcze nie widział. Ich twórca musiał się zapatrzeć w organy. Zegarów na pulpitych było jak maku - trzeba by mieć ze sto oczu, aby je naraz ogarnąć. Odwrócił się wolno. Szedł oczami od ściany do ściany, widział plątaninę łątanych kabli, skorodowane płyty izolacji, żelazne koła ręcznego opuszczania hermetycznych grodzi, wyświechtane od dotyku rąk, spłowiła czerwień rozrządu gaśnic - wszystko było tak zakurzone, tak stare...

Stanisław Lem, *Terminus*

KARKULOWSIAŁ ZWARTUSIAŁ
RATUWSIANKU BOŻYWSIO

Stanisław Lem, *Dzienniki gwiazdowe*

I. Bunt

Trzy dni po opuszczeniu orbity Marsa CSS „Behemot V” otrzymał morsem ostrzeżenie o nadchodzącej burzy słonecznej. Nawigator obliczył nową trajektorię, pozwalającą zejść w porę w pas asteroidów i osłonić statek masą skalną; mieliśmy potem dopędzić Júpitera na tej samej elipsie, po dodatkowych akceleracjach. Stos atomowy, stary model lunarny, sprawował się dobrze, „Behemot” dysponował zresztą zapasem paliwa na cztery akceleracje do kursowej. Już po zmianie kursu Nawigator odkrył, że w obliczeniach był błąd. Rozmontowawszy z Elektronikiem i Inżynierem kalkulator pokładowy, znalazł na świeżo lutowanych układach popalone kłębki włosów, kulki kurzu bądź wełny. Była to oczywiście wina Elektronika, który się upił na wychodnym w bazie na Dajmosie i dręczony kacem nieważkościowym nie dopilnował techników przysłanych dla okresowych reperacji ze stoczni marsjańskiej. Trzeba było na gwałt nowe obliczenia wykonać, już dla z góry tak nieszczęśliwie ustalonego wektora. Kapitan, Nawigator i Pierwszy Pilot ślęczeli nad nimi całą nocną wachtę. Wyczyszczony kalkulator dla odmiany się przegrzał; Elektronik własnymi rękoma okładał rozpalone lampy próżniowe maszynowego mózgu szmatami z suchym lodem, parząc się przy tym dotkliwie. Przyszedł do mnie z tymi poparzeniami. Dałem mu maść i obandażowałem dłonie. Teraz już będzie zupełnie do niczego nieprzydatnym.

Nazajutrz przyśpieszaliśmy kwadrans z 1g i kilkakrotnie na mocniejszym ciągu w krótszych zrywach. Zostałem w łóżku, czytając prasę fachową podjętą z Dajmosa, dopóki mi ramię nie omdlało. Pod wieczór byliśmy już na nowym kursie, z powrotem w nieważkości. W mesie, półmroczej od dymu papierosowego zasysanego niemrawo przez zdezelowane wentylatory, gadaliśmy przy kolacji o wieściach o wojnie. Związek Radziecki już zamknął swoje stacje i punkty przeladunkowe dla statków pod zachodnimi banderami; na Dajmosie mówiło się o ostrzegawczych laserunkach, a nawet o sabotażu jakichś składów tlenu pod Olympus Mons. Kto miałby je sabotować? Strony oskarżały się wzajemnie. Radiowiec twierdził, że potem nic już nowego nie poszło w eter, Luna Jeden przestała zresztą przekazywać biuletyny polityczne. Długo tłumaczył Drugiemu Pilotowi, dlaczego nasza kompania nie powinna się przejmować tymi perturbacjami. Na kolacji pojawił się także Pasażer, zazwyczaj proszący o dostarczenie mu posiłku do kabiny. Próbowałem wciągnąć go w rozmowę; odpowiadał półsłówkami. Może istotnie z nieśmiałości. Ma paszport z Zachodnich Niemiec i płaci gotówką. Pierwszy Pilot utrzymywał, że rozpoznaje u niego

akcent Afrykanera. Na pewno wyróżniał się Pasażer cerą: smagły i w ostrych zmarszczkach od słońca - a my: blade robaki próżni. Radził sobie jednak z jedzeniem w zero gie wcale dobrze. Palił marlboro.

Kapitan wezwał mnie do sterowni, chciał obliczeń siły tego sztormu i oceny zagrożenia zdrowia załogi. Gdy przyszedłem, sterownia była akurat pusta. Na ekranach srebrzyły się gwiazdy, małe Słońce rozjaśniało boczny monitor rufowy, cienie pełzły smolnymi smugami od prawej ku lewej. Tysiące świateł migotały na panelach kontrolnych, nigdy nie udało mi się zapamiętać, o czym tu informuje która lampka, i pewnie właśnie dlatego tak mnie uspokaja ów widok, widok i cisza kabiny sterowniczej taktowana mechanicznym tętnem masywnych zegarów kalkulacyjnych. Ciszę mącił także furkot papierów z obliczeniami Nawigatora, przypiętych metalowym klipsem do obudowy mózgu elektronowego: trzy wiatrakowe wentylatory umocowano tam w miejscu zdjętej okrywy, ażeby chłodziły wnętrze maszyny myślącej. Prąd powietrzny biegnący od niej przez sterownię obrócił mnie powoli i pochwyciłem obraz sylwety małpiej skrytej w cieniu za szafami z kartami astrograficznymi i mapami fotogramometrycznymi: wielki chochoł żelazny, pałuba ludzka-nieludzka na nogach hydraulicznych. Ach, więc nie człowiek, lecz automat człekokształtny, ten Marabut megawatowy, którego Kapitan przejął był za niespłacone długi od spółki górniczej z Merkurego. Włączony? Wyłączony? Sądziłem, że trzymamy go gdzieś w górnych ładowniach wewnętrznych. Ogniste ślepie pulsowało w powolnym rytmie nad gębą lasera wyzierającą spod purpury chromowo-korundowej płyty piersiowej automatu - włączony zatem. Za plecami zaskrzypiały przekładnie zegara kursowego, obejrzałem się. Zawisły przy zegarze Kapitan kartkował tablice astrometryczne, zerkając co rusz w rachunki Nawigatora.

- Na co on tu, Kapitanie? - spytałem, wskazując Marabuta.

Kapitan tylko przyłożył palec do warg.

Dałem mu rachuby napromieniowania (bardzo pesymistyczne) i wróciłem do siebie, głowiąc się już i nad tym Marabutem, i nad zachowaniem Kapitana, i nad obecnym położeniem „Behemota”, które wtem, w owym krótkim rozbłysku aury tajemniczości, ukazało mi się dziwnym i bardziej jeszcze niepokojącym.

Statek zgrzytał, świszczwał, huczał, szło to długim echem w jego metalowych kościach, jak zawsze po seriach przyśpieszeń - budziłem się z płytkiego snu wciąż i wciąż. W końcu zasnąć nie mogłem wcale. Naciągnąłem podwójne skarpety, zabrałem termos ceresowego samogonu i zapukałem do Radiowca.

Długo czyścił łatką irchy grube szkła okularów.

- Na straży?

- Więc skoro Kapitan ma takie powody...

Rozbieraliśmy to na czynniki pierwsze w żółtym świetle nagiej żarówki, ssąc przez słomki zimny alkohol, zapatrzeni w gwiazdy migoczące na czarno-białym ekranie-bulaju.

- Może Pasażera...

- Ale do asteroidów? Cóż tam, górnicy jacyś na kursie?

- Przez tę wojnę w takim razie.

- Mhm.

Radiowiec chwycił żeliwny teownik koi i podciągnął się pod sufit, do półki ze starymi almanachami i katalogami. Odnalazłszy wolumen, zawiesił go przed sobą w powietrzu i kartkował powoli, podwinąwszy pod się nogi.

- Aha. No tak. - Pokazał mi schematy układów naszego kalkulatora. Nic nie zrozumiałem. On kiwał głową, już trochę po pijacku. - Dałoby się. Chyba. Taką awaryjną pomyłkę.

Dumaliśmy następnie aż do dna termosu, kto i po co miałby sabotować główny mózg pokładowy CSS „Behemota V”, aby sprowadzić frachtowiec z kursu na śmietnisko układowe. Sabotażysta musiałby wszak wpierw przewidzieć nadejście burzy słonecznej.

- Jakie niesiemy cargo?

- Głównie biomasa dla habitatów jupiterowych.

- Któż by się połasił?

Była to już godzina przed pierwszą wachtą. Radiowiec uśmiechał się sennie niczym kwitujący Budda, mnie krążenie zamierało w stopach, masowałem nogi, ziewając.

- Piraci! - chichotał Radiowiec, a kropelki śliny lub samogonu drżały mu na wąsach. - Kosmiczni piraci!

Zwątpilem.

Następnego dnia po śniadaniu Kapitan zwołał załogę na odprawę. Czyli wszystkich prócz Pasażera; nie pojawili się jednak Nawigator ani Elektronik. Elektronik pewnie spał po pastylkach przeciwbólowych, ale usłyszałem, że i Nawigator wymówił się chorobą - o tej dolegliwości nie raczył mnie powiadomić. Zaraz potem udałem się do niego. Nie chciał otworzyć. Drzwi kabiny zaryglował od wewnątrz, nie odpowiadał na wywołania przez głośnik. Wszystko to było coraz bardziej dziwne.

Zaszedłem znów do Radiowca. Nie miał wiele do roboty, skoro huk Słońca zagłuszał już całą długodystansową komunikację; sortował stare radiogramy. Pracownię nasłuchową wyłożono grubą izolacją dźwiękową, nawet przeciągłe pojękiwania metalu kadłuba tu nie

dochodzą. W ciasnym pomieszczeniu wisiała woń sparciałej gumy.

Radiowiec zamknął drzwi, wyłączył instalację foniczną.

- Myślałem o tym od rana - rzekł ściszone głosem. - Bierzemy przecież te kontenery według manifestu frachtu, sami nie sprawdzamy zawartości, bo i jak? Burze słoneczne występują niezupełnie przypadkowo, ale jednak w pewnym kalendarzu probabilistycznym, są pory mniejszego i większego zagrożenia. A obecnie znajdujemy się w szczycie jedenastoletniego cyklu słonecznego. Już od dłuższego czasu na równiku Słońca grupują się wielkie plamy. Pierwszy wyrzut masy z korony nastąpił dwa tygodnie temu, postawiono wachty alarmowe w obserwatoriach astronomicznych. Teraz poszedł rozbłysk z wyrzutu o temperaturze pięćdziesięciu, sześćdziesięciu milionów kelwinów, po spektrum widzialnym, i po rentgenowskim oraz gamma. Na Ziemi podziwiają przepiękne zorze. Łączność radiowa kompletnie tam zagłuszona, podpalona jonosfera, pasy Van Allena zmiotło, połowa satelitów usmażona, byle żelastwo indukuje prąd. Więc odcięci. A w pasie asteroidów masz dziesiątki albo już i setki prywatnych habitatów, często po prostu zahermetyzowanych jaskiń, trudno o lepsze miejsce do przeładunku kontrabandy w kosmosie, słyszy się o tym w portach, w plotkach na falach.

- Ale nawet jeśli sprowadzi nas tak sprytnie do swojej kryjówki w planetoidach - jakżeby miał dokonać przeładunku bez naszej wiedzy? Jakżeby w ogóle miał go dokonać z nami na pokładzie?

- Toteż właśnie. - Tu Radiowiec nachylił się ku mnie, łamiąc pion. - Zjadłeś tę jajecznicę? Wyplułem wszystko! Herbatę gotuję u siebie na spirytusowej. Mam trochę sucharów i puszkowanej wołowiny.

Zachnąłem się.

- To już jest paranoja! - A podrapawszy się po krótko ostrzyżonej głowie: - Mhm. To kto dziś gotuje?

- Inżynier.

Zrobiliśmy niepoważne miny, po czym roześmialiśmy się wraz.

- Wiem, wiem. - Rozłożył ręce. - Po iluś tygodniach w trasie każdego to dopada, załoga „Kaliguli” ponoć badała sobie co godzina krew, przekonana, że wlaź w nich jakiś tajemniczy wirus, a ci na Justynie XI” urządzali regularne przesłuchania i tortury; cholera wie, czy taki nie był też koniec „Santa Clary”.

- Trzeba jakoś rozładować napięcie. My z Kapitanem i Pierwszym Pilotem znamy się od lat, ale reszta...

- Tak, tak, brat przeciwko bratu i strachy rosnące w milczeniu na nocnych wachtach,

konspiracje zapisane w gwiazdach na ekranie.

- Zaraz się tu podzielimy i zacznie się -
- Cicho!
- Co?

Radiowiec przechylił głowę, nasłuchując. Nastawiłem uszu - nic. Podpłynął do drzwi, obrócił koło śrubowe, pchnął - Syrena alarmu ręcznego wyła przeciągle, zachłystując się co drugi skowyt. Alarm automatyczny oznaczałby dehermetyzację statku albo zagrażającą życiu awarię stosu; alarm ręczny mógł włączyć tylko dowódca, jego zastępca lub oficer wachtowy. Popędziliśmy zatem do sterowni, obijając się o ściany, kanty i nagie szczęki grodzi. Zachlapane starą farbą lampy alertowe błyskały czerwono i żółto, a gdzieś w trzewiach „Behemota”, w siłowni bądź na sprzęgach mocowników kontenerów, metal tarł brutalnie o metal, generując wizgi i piski, od których cielsko statku wzdrygało się histerycznie. W korytarzu dowódczym zderzyliśmy się z Elektronikiem - z rękoma obandażowanymi w bezużyteczne pecyny utknął w przewężeniu, ciśnięty w grodz nogami w przód niczym rażona prądem rozgwiazda. Radiowiec poholował go za szelki.

W sterowni zastaliśmy obu Pilotów, wpięci pasami przeciążeniowymi w wysokie fotele obserwowali obrazy rzucane na główne ekrany. Światła w kabinie były wyłączone, blask bił tylko od pulpitych rozrządczych i gwiazd z tych ekranów. Wpiąłem się po omacku w fotel po lewej.

- Gdzie Kapitan?

- Tam - odparł Pierwszy Pilot i wskazał fajką na górny ekran. Ktoś tymczasem wyłączył alarm i usłyszałem ich oddech ciężki, wyrzucany z płuc na znak wielkiej ulgi bądź wielkiego napięcia. Na ekranach widniała przysłoneczna powłoka „Behemota V” i odbywał się tam wyścig próżniowy człowieka i człowieka, i maszyny.

„Behemot V” jest frachtowcem klasy Pompeje, zbudowanym na szkielecie zeszlówiecznych masowców-pchaczy, co znaczy, iż główną partię towaru mieści nie w ładowniach wewnętrznych, lecz pcha przed sobą. Z uwagi na profil osłony przeciwmeteorowej oraz standard sprzęgów - które winny trzymać ładunek w kupie nawet pod wektorami przyśpieszeń 20g, i to przykładanymi w najosobliwszych kierunkach - cała konstrukcja przypomina grubo nabój karabinowy lub ucięte w dwóch trzecich cygaro. Z obecnym ładunkiem „Behemot” miał 397 metrów długości, z czego ponad 300 liczyły same kontenery z cargo; za nimi, pod mocownikami i pierścieniami anten, krył się tułów właściwego „Behemota” (135 tysięcy ton metrycznych masy spoczynkowej) zakończony gotycką płataniną rur, zbiorników, radiatorów i dysz. Osłony przeciwmeteorowe wieńczyły

przeciwny koniec statku i zmieniano je każdorazowo przed opuszczeniem orbity portowej, w zależności od przewidywanej trasy podróży. Załogi zazwyczaj umieszczają na ich czarnych tarczach piktogramy charakterystyczne dla jednostki. My od czasu wypadków na Io malowaliśmy biały łeb jednookiego bałwana.

Od tego bałwana (niewidocznego) ku wygiętym elipsoidalnie dyszom (widocznym tylko częściowo), po pudłach kontenerowych i pasach regulacyjnych ciągników, trzy sylwety posuwały się w ciężkim, nienaturalnym rytmie magnetochołu. Plamy intensywnego cienia bluzgały za nimi ku sterburcie. Sylweta środkowa nie miała głowy i biegła najszybciej. Obserwowaliśmy pościg w milczeniu, nie było nic do zrobienia, nie było nic do powiedzenia. Drugi Pilot mógł tylko próbować podkreślać ostrość i zbliżenie obrazu branego z kamery na rufowym teletaktorze. Blżej, dalej, blżej, blżej.

Czarno-białe kadry opowiadały historię bezdźwięcznego sprintu w smole. Uciekał Nawigator, za nim biegł Marabut, a za Marabutem - Kapitan. Pamiętam, że od razu tak pomyślałem: Nawigator ucieka. Choć przecież mogło być inaczej: wszyscy mogli uciekać przed czymś innym, niedostrzegalnym, lub wszyscy mogli coś ścigać. Ale ostatnie dni, ich atmosfera, rozmowy z Radiowcem i moje własne prowadzone po omacku domysły - już ustawiły mnie w podejrzeniach i strachach, że nie miałem wątpliwości: więc dlatego zamknął się był w kabinie!

Marabut dochodził Nawigatora nieubłaganie, dystans zmniejszał się z każdym susem automatu. Nawigator obejrzał się - co w ciężkim skafandrze próżniowym wymaga ruchu prawie całego tułowia - po czym wyłączył magnesy: następne stąpienie odbiło go od blachy w kosmos pod kątem trzydziestu stopni. Teraz też oczywistym stał się dla mnie absurd całego tego pościgu: dokądże można umknąć ze statku próżniowego w połowie rejsu między planetami oddalonymi o prawie miliard kilometrów? A gdyby Nawigator naprawdę chciał uciec ostatecznie, mógł wszak otworzyć hełm w każdej chwili. Więc co? Ma tu gdzieś ukryty własny jacht kieszonkowy? Wymieniliśmy z Radiowcem spojrzenia.

Nawigator oddalał się od „Behemota” ze stałą szybkością; tarczowy licznik radaru bocznego pokazywał 35, 38, 40, 43 metry.

Gdy wskazówka dobiła do 55, wydarzyły się równocześnie dwie rzeczy: Nawigator zmienił gwałtownie kierunek wektora lotu, a Marabut wystartował ku niemu, ciągnąc za sobą linkę zabezpieczoną na zębrze hydrauliki. Nadal wszystko działo się w ciszy, czarno-biały kadr po kadrze.

Człowiek w jasnym skafandrze i ciemnoszara maszyna minęli się o kilka metrów. Marabut musiał ponownie odpalić z wewnętrznej dyszy, bo zaraz skręcił za Nawigatorem - i

wpadł na niego z rozpostartymi szeroko łapami, bezgłowym torsem pancernym waląc w tors, zamykając zaraz ramiona i prawie miażdżąc człowieka między nimi. Linka się naprężyła. U jej drugiego końca stał na zebrze Kapitan.

Marabut odpalił po raz trzeci: zawrócił wraz z pochwyconym Nawigatorem ku „Behemotowi”. Kapitan powoli zwijał linkę na przedramieniu. Cały pośpiech i napięcie zniknęły bez śladu; było po wszystkim.

Czyli - po czym?

Drugi Pilot pokazywał coś na górnym ekranie wykresowym. Liczyły się tam skomplikowane trajektorie. Przypomniałem sobie ową nagłą zmianę wektora Nawigatora. Główna trajektoria szła od tej delty. Znając masę Nawigatora w skafandrze i jego późniejszy wektor pędu, można wykalkulować ruch masy odrzuconej - skoro jednak była ona na tyle mała, że nie zauważyliśmy jej w ogóle na ekranach, jak duża będzie jej składowa prędkości? Podpłynąłem bliżej ekranu.

Pierwszy Pilot przedmuchał głośno cybuch - cisza pękła.

- Palnął z pistoletu sygnałowego.

Za główną trajektorią naliczały się - co trzy sekundy od nowa - wiązki krzywych stycznych. Dotknąłem palcem monitora.

- Po co to?

Pierwszy Pilot machnął fajką w stronę Radiowca.

- Nawet jakby się teraz dostał do radia, to nic mu z tego, prawda?

Radiowiec potarł wąsa.

- Nabił boją radiową. Tak? Wiedział, że Kapitan po niego przyjdzie, i ustawił zegar na duży plus, dla pewności.

- Boją?

Radiowiec odmierzył palcami.

- Takie coś, nie większe. Nie pokazywałem ci? Wypuści welon solarny i zacznie nadawać. Pewnie szyfrem.

Zwróciłem się z powrotem ku głównym ekranom. Marabut z Nawigatorem wylądował już na powłoce statku; automat prowadził Nawigatora ku śluzie, oplątawszy mu korpus linką bezpieczeństwa. Kapitan postępował za nimi. „Behemot V” obrócił się tymczasem w osi wzdłużnej na tyle, że spod horyzontu statku wypłynęła - niczym oceaniczny przybój - fala absolutnej ciemności; cała trójka maszerowała w ten mrok. Gwiazdy nad nimi migotały ostrzegawczo.

- Nie przechwycimy - oświadczył Drugi Pilot i zagaśły wszystkie rysunki trajektorii.

Obejrzałem się na łomot rytmiczny - to Elektronik tłukł obandażowanymi dłońmi w podglówek fotela przed sobą. Miał twarz wykrzywioną w brzydką maskę wściekłości, nigdy wcześniej go takim nie widziałem. Nawigator zsabotował nasz kalkulator, a teraz wystrzelił sekretną wiadomość do współników. Znajdowaliśmy się w stanie wojny, samotni w pustce kosmosu, miliony kilometrów od jakiegokolwiek ratunku, odcięci od ludzkości, pod huraganowym rykiem Słońca, z wrogiem na pokładzie.

II. Rozprawa

O godzinie drugiej czasu pokładowego zwołano zebranie w bibliotece. Nawigator zajął miejsce pod regałem z mapami nieba, gdzie siadał zazwyczaj. Pierwszy Pilot przypiął go do fotela, a potem jeszcze związał mu dłonie za plecami, za wysokim oparciem. Następnie przysiadł pod półkami obok i, łypiąc sowio na Nawigatora, począł czyścić tę swoją fajkę, tuzin razy już przeczyszczoną. Reszta załogi zdryfowała pod przeciwną ścianę, pod sufit; tylko Kapitan osiadł na swoim fotelu. Zjawił się także Pasażer, w nowym garniturze z gumowymi ściągaczami, we włóczkowych skarpetach. Nikogo nie pozostawiono na wachcie, statek szedł prowadzony przez automaty.

Zabezpieczony parcianymi pasami księgozbiór szemrał i szeleścił pod wentylacyjnym cugiem, wybuchając klekotami i łomotami przesuwanych mas papieru przy najłżejszej zmianie wektora „Behemota”, a także na skutek jego ruchu między słońcem i cieniem. Długą chwilę tylko to słyszeliśmy.

Kapitan przypatrywał się Nawigatorowi; wszyscy przypatrywaliśmy się Nawigatorowi. Nawigator, z obliczem i nabrzmiałym, i dziecięco naburmuszonym, wiercił się wciąż na fotelu, oczy mu błędziły po grzbietach książek, jakby próbował odczytać ich tytuły i nazwiska autorów, co było zgoła niemożliwe. Światła w bibliotece tradycyjnie ćmiły na ćwierć blasku; do lektury zapalało się tu lampy punktowe o silnych żarówkach. Ktoś - Inżynier albo Drugi Pilot - włączył taką punktówkę i, poobracawszy stożkiem jasności tam i siam niby z zabawy tylko, zatrzymał go nacelowany na twarz Nawigatora.

Na to dopiero zmieniła się temperatura i skrzył prąd idący między nami w bibliotece; poruszyli się wszyscy, nie poruszając się - bo to było przesłuchanie, to już była sprawa winy i kary, i także Nawigator to pojął, spuszczać głowę na pierś, na kraciatą koszulę niedopiętą, mrużąc oczy i kryjąc się przed blaskiem za jasną grzywą włosów. Światło oprószało te włosy różowo i srebrzyście. Był młody, chyba najmłodszy z nas wszystkich, jeśli nie liczyć

Drugiego Pilota.

- Zagaście! - jęknął.

Naraz wstyd mi się zrobiło. To się tak zaczyna, pomyślałem, na tych wszystkich statkach, o których potem tylko straszne plotki dochodzą - to się pewnie tak właśnie zaczęło.

- Zagaś - mruknąłem do Radiowca.

Kapitan uniósł rękę.

- Nie czas na litość dobrego doktora - powiedział głośniejszym głosem, niż było trzeba.

- Niech powie, kto mu płaci! - wybuchnął wtem Drugi Pilot.

Nawigator spojrział nań pod światło, mrugając łzawie.

- Kto mi płaci? - zapiszczał i zaraz odchrząknął grubo, przerażony dziewczęcym tembrem własnego głosu.

Kapitan podciągnął rękawy ceglatego swetra, obnażając owłosione przedramiona; kiedy się po tym jeszcze nachylił lekko ku spętanemu Nawigatorowi, wszyscyśmy na pewno pomyśleli to samo: jak to się zabierze do roboty fizycznej, do ręcznej obróbki przesłuchiwanego, weźmie go w te łapy żylaste nasz Kapitan, ściśnie i wydrenuje ze zdrajcy grzechy i sekrety.

Zakładka książkowa z tabelką przeliczników kątowych dryfuje powoli między Nawigatorem i Kapitanem.

Pyta Kapitan:

- Czemuś kalkulator popsuł?

Odpowiada Nawigator:

- Nie popsulem!

Pyta Kapitan:

- Czemuś popsuł?

Odpowiada Nawigator:

- Działa przecież!

- Bośmy naprawili.

- Nie o to chodziło!

- A o co?

- A kto wam powiedział, że kurs zły? Ja!

- Sam go w pierw liczyłeś na naszym mózgu pokładowym.

- I dobrze policzyłem. A korekty były potem, jak już go rozłożyliśmy tu na gorąco.

- To świadomie podałeś z góry zły kurs? Dlaczego?

- Nie zły, tylko taki, żeby... Przecież nic by się nie stało! Jest burza, maszyny zawsze

się psują, wszystko by poszło bez zwracania niczyjej uwagi! Ale pan, Kapitanie, musiał zaraz zacząć podejrzewać najgorsze, sprawdzać stare taśmy i wydruki, roboty nasyłać. Po co? Na co? Co dobrego z tego? Poszłoby wszystko gładko, stawilibyśmy się na podjupiterowej może z dwutygodniowym opóźnieniem, parę dni odczekałoby się w cieniu, pozwiedzalibyśmy śmietniska, nikomu nic by nie -

- Jakie śmietniska?

- No... A, zobaczycie sami.

- Co zobaczymy?

- Tylko że mnie już tam pewnie nie puścicie?

- Co zobaczymy?

Nawigator mamrocze coś pod nosem. Kapitan pyta:

- Co zobaczymy? Głośniej!

- Astromancera!

Ktoś po lewej (Inżynier?) syczy przez zęby. I jeszcze potem:

- Bzdura!

Spoglądam na Radiowca. Pokazuje oczyma, żeby milczeć.

Kapitan myśli długą chwilę.

Nawigator:

- Ale przecież rozwiążecie mnie w końcu! Nie wyglupiajcie się! Ile razem latamy? Rok? Będzie rok! Co ja wam zrobiłem? Zabiłem kogo, czy co?

- Kalkulator popsuleś! - wybucha Pierwszy Pilot. - Lot zsabotowałeś!

- Wcale nie! Ale nawet gdyby - to co? Policzcie mi koszty i - jakie jest prawo? na grzywnę? pensję? Ludzie!

Ma rację. Na statku w czasie rejsu (czyli ponad najwyższą orbitą postojową) obowiązuje prawo portu rejestracji, a „Behemot V”, jak większość jednostek komercyjnych, został zarejestrowany na Lunie, pod banderą protektoratu genewskiego, na tamtejszym prawie. Obowiązywał nas kodeks karny, cywilny i handlowy Szwajcarii, z poprawkami księżycowymi.

Kapitan:

- Trwa wojna. Nie działałeś sam. Do kogo była ta wiadomość? Do sowietów? Co tam do nich nadasz?

Nawigator zacina usta, milczy. Kapitan:

- Koordynaty? Znasz koordynaty? Musisz znać, skoro świadomie wykreśliłeś kurs na kalkulatorze.

- I tak już nic nie poradzicie. Krzywych grawitacyjnych nie przeskoczy pan siłą woli, Kapitanie, nie wydusicie nagle pięciu gie. Matematyka żeglugi podsolarnej jest bezlitosna: albo trzymamy się trajektorii, albo nie zdążymy się osłonić przed szczytem burzy. Wiecie przecież. - Prawie wypina pierś. - Nie poradzicie. Po co ten teatr? Tak czy owak, lecimy jedyną możliwą styczną.

Kapitan nadal liczy coś w głowie.

- Wiedziałeś już, że się wydało. Podałeś im więc koordynaty, żeby cię stamtąd podjęli. Ale nie podejmą cię przecież w trakcie trwania burzy, sygnał z boi dojdzie już po szczycie, gdy oczyści się eter; dawno stamtąd odlecimy. A jednak wystrzelełeś boję. Musisz być pewien, że „Behemot” pozostanie tam długo po burzy. Dlaczego? Co takiego się stanie?

Nawigator mruży oczy, trze podbródkiem o koszulę.

- Kto przyleci? - pyta Kapitan. - Na czym? W jakiej sile? Czego będą chcieli - ciebie tylko?

- Nie wiem!

- Na co liczyłeś?

- Że przynajmniej stąd usłyszy...

- Kto?

- On.

Parsknąwszy, Pierwszy Pilot obraca się w powietrzu i opuszcza bibliotekę. Nawigator wzrusza ramionami.

Kapitan kładzie dłonie na poręczach fotela, co w nieważkości ma odwrotne znaczenie: trzeba się wszak chwycić, żeby się odbić.

- Chciałbyś coś jeszcze nam powiedzieć, zanim zdecydujemy, co z tobą zrobić?

- Że nikomu nic złego nie zrobiłem. - I po chwili: - Przepraszam.

Wychodzimy po kolei.

- Szpieg - mówi głośno Drugi Pilot i Nawigator już nie zaprzecza. Patrzy na nas pochylony, z tym wyraźniej wygiętymi teraz rękoma, spętany barbarzyńsko pośrodku biblioteki.

Dopiero co jedliśmy z nim razem i żartowali. Wzdrygam się. To jest jak wirus, może zaatakować każdego i obrócić wtem w inną zupełnie osobę. Nie ma obrony. Nikt nie jest bezpieczny. Starannie omijamy się wzrokiem, przepuszczając się w drzwiach i na korytarzu. Wszyscy myślą to samo. Te wraki „Santa Clary”, „Kaliguli”, znajdowane po latach na dziwnych kursach wycelowanych w pusty kosmos, gdzieś poza ekliptykę - i te, których nigdy nie odnaleziono, „Alfy IV”, „Beowulfa”, „Smierdiakowa”, „Greater Glory” - bezludne lub z

załogą wymarłą w niemożliwych do wyjaśnienia okolicznościach - w ciszy radiowej - bez choćby słowa pozostawionego w dziennikach - bez logiki, bez sensu... Tak się zaczyna.

III. W ukryciu

Inżynier zna go najdłużej. Obrócili dwa razy między Ziemią i bazami zamerkurowymi na „Hammurabim III”, pod Szalonym Chińczykiem.

- Przyszedł z papierami - opowiadał Inżynier, mocząc herbatniki w gorącej kawie i pociągając nosem. - Jakby to dało się znać każdego, kto na kursowcach teraz lata! Ja tamte czasy jeszcze pamiętam: usłyszałeś nazwę jednostki i wiedziałeś, kto na niej stos grzeje, kto wektory liczy, kto dowodzi, a kto kucharzy. A teraz? Kuka nawet nie mamy - że niby maszyny zrobią co trzeba - no ale jak to smakuje! I tak gotujemy na zmianę po swojemu. Efekt? Jest gorzej jak było! Taki to postęp. A maszyny nawet załogi już dobierają, słyszałem, że wszystko wychodzi na taśmach z mózgu firmy w Londynie, i tak właśnie Nawigatora nam wsadzili. A żarcie paskudne jeszcze bardziej. - I zaczął opowiadać o wenusjańskim spisku dystrybutorów mieszanek do kompilatorów gastronomicznych: jakoby także spółka AKG należała w istocie do niejakiego Flutza spod Lipska, który wyemigrowawszy do USA, zmienił nazwisko na Floods i pod szyldem Floods' Foods kontroluje przemysł garmazeryjny i witaminowy na Ziemi, przez co trzyma też udziały w holdingu Krapso International, a że ten daje wielką część czarterów dla armatorów księżycowych, to wszystkie spółki transportowe, operatorzy baz pozalunarnych i nawet placówki państwowe państw Zachodu muszą się zaopatrywać u dostawców powiązanych z Krapso; Flutz *vel* Floods zaś to wie i wciska kosmonautom przez wenusjańską filię AKG odpadki z FF niewiele lepsze od tej surowej biomasy, jaką właśnie pchamy pod Jowisza.

Musieliśmy byli zejść z Radiowcem aż do stosu - akurat padła termostatyka w połowie „Behemota” i Inżynier grzał się przy reaktorze, chuchając w zgrabiałe dłonie w rękawiczkach bez palców, z czapką włóczkową naciągniętą do samych brwi. Plany wewnętrznego systemu wymiany ciepła przykleił na płytach ściennych; studiował je, mieszając kawę suwakiem logarytmicznym. Przyśpieszaliśmy właśnie według planu z 0.35g i wszyscy korzystali z nieczęstej okazji do nieco bardziej higienicznej konsumpcji.

- Wiem, że urodził się na O’Neillu Osiem, trzecie albo czwarte pokolenie, mózgi elektronowe chyba dają im za to dodatkowe punkty. Zobaczycie, jeszcze parę lat i do reszty wygryzą Ziemiaków. Zaczytywał się grafomanią księżycową, woził ze sobą całą kolekcję

imbriuminiów. Podśmiewaliśmy się z niego, gadał dużo o „pięknie kosmosu” i tym podobnych bzdurach. Jak to dzieciak. Ale kto wie, co z nich teraz wyrasta? Miałem tu gdzieś papiery z diagnostyką stoczniową... Dziękuję.

Radiowiec drapał się z namysłem po nieogolonym policzku.

- Ale w sumie pod sufitem - tentego?

- Samiście słyszeli.

- Ale wtedy, na „Hammurabim”.

- Noo, o Astromancerze do mnie nie gadał.

Radiowiec skrzywił się kwaśno.

- Myślę, że on może w to wierzyć.

Inżynier odwrócił wzrok od poźółkłych schematów.

- Daj pan spokój! W Astromancera? To w co jeszcze? W pająki w tunelach Marsa?

Szpiegowska robota to jest, nie ma co gadać.

Odchrząknąłem.

- Ten Astromancer... kto on?

Skrzywili się obaj.

- Żeby chociaż „on” - mruknął Radiowiec.

- On albo i nie on - zaburczał Inżynier, oblizawszy suwak.

- Takie tam... komiksy kosmiczne.

- Szara eminencja i dziadek do straszenia młodych pilotów.

- Człowiek, nie człowiek, jak komu pasuje.

- Nagle jakaś dziwna maszyna wchodzi do produkcji albo pojawia się niespodziewanie rozwiązanie starego problemu konstrukcyjnego - to skąd? „Od Astromancera”.

- Plotki w eterze. Sygnał zakodowany idzie nie wiadomo z jakiego źródła - meldunki wojskowe jak nic. Ale co się mówi? „Astromancer nadaje”.

Spod szlafroka, z jednej z dziesiątek kieszeni kombinezonu roboczego Inżynier wygrzebał ogryzek ołówka i zanotował nim coś na schemacie na ścianie. Wysiorbawszy resztę kawy, wrzucił ołówek do kubka, a kubek upuścił na podłogę. Przez chwilę przyglądał się mu z satysfakcją - przynajmniej grawitacja wciąż pracuje jak Newton przykazał.

- Taak - mruknął. - Albo zniknie jakiś stary znajomy: nie ma go w żadnym porcie, na żadnym statku, nie wywołasz przez Lunę, z Ziemi też brak wieści. To co się z nim stało? „Odleciał do Astromancera”. „Astromancer wziął”. Naprawdę pan nie słyszał, Doktorze?

- Widać puszczam takie rzeczy mimo uszu.

Pokiwał głową.

- I mądrze, i mądrze.

- To co, Nawigator po prostu stracił rozum?

- Przecież mówię: szpieg. A Astromancer - głupia przykrywka.

Radiowiec nie wydawał się przekonany.

- Nie tak to brzmiało...

W drodze powrotnej na pokłady górne usiłowaliśmy wykrzesać z tego jaśniejszy sens.

- Jeśli kłamie, no to rzeczywiście nic nie wiemy. Ale jeśli mówi prawdę?

- *Rendez-vous* z Astromancerem. Czy co tam sobie Nawigator uwidział na swojej stycznej. Tylko że ta boja... Zwariować można samemu - ale jak masz do tego wariactwa całą organizację, to to już jest polityka.

- Albo błąd w programie maszyny.

Przeszliśmy przelotnie ciśnieniową modułu habitacyjnego.

- Może jest coś w jego rzeczach. - Wskazałem w stronę kabiny Nawigatora. - Kapitan zamknął go na dole w 7B, przy Perłach. Tymczasem przeszukał ktoś jego bagaż?

- Myślisz?...

- Jeśli się naczytał, jak mówi Inżynier... Te imbriumina to pisemka takiej grupy awangardowej z Księżyca, trochę politycznej, jak to zawsze w awangardzie, ale głównie o sztuce i życiu w kosmosie. Wydawali manifesty, wystawiali sztuki... to znaczy nie sztuki, ale coś jakby...

Radiowiec przyglądał mi się z zaciekawieniem.

- Nie wiedziałem, że się interesujesz podobnymi rzeczami.

Wzruszyłem ramionami.

- Wy macie swoje obowiązki na statku, a ja głównie czekam na nieszczęście. Człowiek się nudzi. Czytam.

Stanęliśmy przed drzwiami kabiny Nawigatora.

- Kto ma kody?

- Kapitan. Pierwszy Pilot może.

- Elektronik by dał radę.

Wymieniliśmy spojrzenia.

- Elektronik chętnie przyłoży rękę. A przynajmniej głowę.

- Poczekaj.

Poszedł po Elektronika. Zapaliłem bezpopielnego. Izolacja pod płytą pionu centralnego przetrzała się i kabel skrzył seledynowo co kilka sekund, śmierdziało mokrym metalem. „Behemot” trzeszczał i jęczał. Osiem dni do krytycznego natężenia burzy

słonecznej. Do powrotu łączności radiowej - najmniej dwa razy tyle. Jeśli ktoś ma nas przechwycić na koordynatach Nawigatora, musi już teraz albo znajdować się w pobliżu punktu spotkania, czyli gdzieś w Pasie, albo na paraboli podróżnej. Biuletyn lunarny szytuje otwarte transpondery co dwa dni, a słusznie rzekł Nawigator: matematyka żeglugi podsolarnej jest bezlitosna.

Wrócił Radiowiec z Elektronikiem.

- Masz ostatnią rozpiskę układową z Luny Jeden? - spytałem Radiowca.

- Stara, sprzed burzy. Po komunikacie przecież większość zmieniała kursy. Bo co?

Opowiedziałem mu. Elektronik wytrząsnął z torby sprzęt i poinstruował Radiowca, jak się podpiąć do panelu drzwi Nawigatora. Dłonie w bandażach nadal swędziały Elektronika, drapał nimi nieustannie o czoło i ramiona.

- Proszę potem do mnie wstąpić, dam panu sulfatiazolu. Kapitan ma u siebie te biuletyny, prawda?

Radiowiec wzruszył ramionami.

- Wiszą przypięte pod kolizyjną w sterowni. Bo co?

- Zastanawiam się, czy to stamtąd mógł powziąć podejrzenie... Jeśli rozpoznał konkretny statek albo zna kogoś z jego załogi - jak oni wszyscy się znają, z pokolenia Inżyniera.

- Podejrzenie?

- Bo on jednak miał rację.

- Kapitan?

- Nawigator. Nie, nie; w czym innym. Kapitan mu nie odpowiedział. Bo jak wyjaśnić te podejrzenia Kapitana? Musiał, musiał mieć informacje skądinąd.

- Myślałem, że to nasz Elektronik się zawziął i posprawdzał obliczenia na piechotę.

Spojrzeliliśmy na Elektronika.

- Doktor ma słusność. - Drapał się dalej, być może akurat z zamyślenia. - Zresztą to Kapitan mi zasugerował... A przynajmniej tak mi się teraz wydaje. Mhm.

- Od razu postawił w sterowni Marabuta.

Zgasilem papierosa, schowałem peta do śmieciówki. Na panelu drzwi zapalały się po kolei zielone diody.

- Naprawdę, Nawigator miał rację, nie było powodu podejrzewać czegoś więcej niż awarię kalkulatora, takie rzeczy się zdarzają. To Kapitan wprowadził całą tę atmosferę. - Przypomniałem sobie jego zachowanie wówczas, ten gest palca na wargach. To było więcej niż podejrzenie. Bo mając jedynie przypuszczenia i wątpliwości, nie ryzykowałby

wzbudzania w ten sposób niepokojów wśród załogi, Kapitan nigdy tak nie postępował. Wręcz przeciwnie: gasił spory i bagatelizował obawy często nawet wbrew faktom.

Szczęknięły zamki, puściły blokady drzwi. Weszliśmy do kabiny Nawigatora.

Panował tu bałagan charakterystyczny dla ciasnych pomieszczeń mieszkalnych w długim rejsie nieważkościowym. Jak mi nieraz tłumaczyli doświadczeni kosmonauci, entropia w zero gie mnoży się sama przez się: przybywa bowiem trzeci wymiar przestrzenny, w którym chaos może się rozbuchać - kolejne stopnie swobody dla śmieci i brudu. Teraz mieliśmy 0.35g i wszystko, co się u Nawigatora zdążyło w braku ciężenia poprzemieszczać i wymieszać, zległo z powrotem na płaszczyznach dolnych. Nawet na łóżku (niezasłanym) spoczywały w bezładnym stosie części sprzętów, kable, układy scalone, podręczniki komputacji astrogacyjnej - w 0g Nawigator miał je zapewne zawieszane nad głową. Elektronik pochylił się nad tym kompostem technologii. Radiowiec precyzyjnie się do szafek bocznych. Podłoga też była zabałaganiona, należało stąpać ostrożnie, przy drzwiach wałowały się wnętrzności kombinezonu ciśnieniowego i kilka książek po francusku, a kiedy obszedłem łóżko i blat przyścienny, musiałem odsunąć stopą z drogi skomplikowaną płataninę drutów, odartych z izolacji kabli, popalonych oporników i kondensatorów, skrzepów cyny, płytek laminatowych. Otworzyłem schowki górne.

- I ubrania, sprawdźcie panowie w ubraniach.

- Czy on miał jakiś dziennik, pamiętnik? Chociaż notatnik - widział ktoś?

- Piloci i nawigatorzy zwykli prowadzić prywatne logi kursowe.

- Co to jest?

- Myślałem, że kalendarze z gołymi babami. Ale nie, zaraz - katalog aukcyjny? No tak.

- Obrazy?

- Nie, sztuka nowoczesna.

Zerknąłem.

- Z Księżyca. Pokaż. - Przekartkowałem. Notował sobie na marginesach. Niektóre pozycje zakreślone, niektóre odfajkowane. Szacował finalne ceny. Stawiał wykrzykniki i pytajniki. - Zdaje się, że to nie była tylko amatorska fascynacja, on je naprawdę kupował.

- A! Skąd miał pieniądze?

Przedmioty budzące zainteresowanie Nawigatora nie dawały się łatwo sklasyfikować jako rzeźby lub obrazy. Na zdjęciach sprawiały wrażenie raczej przypadkowo wyrwanych części jakichś większych dzieł. W ich opisach stosowano żargon imbriumistyczny: „duch pustki”, „barwy przeciążenia”, „strukturalna próżnia”. Albo ktoś żył w tej poezji i coś to wtedy dla niego znaczyło, albo nie i był to bełkot.

Jeśli chodzi o książki, to Nawigator miał oczywiście zapas powieści dla zabicia czasu lekturą - od Henry'ego Millera po J.J. Bouletta, z kilkoma tomikami imbriuminiów datowanych na zeszłą dekadę. Właśnie je wertowałem, gdy w drzwiach kabiny stanął Pasażer.

Radiowiec rzucił mu mało przyjazne spojrzenie.

- Sprawa załogi. Proszę nie przeszkadzać.

Pasażer zapatrzył się w rozpląszczoną na podłodze płataninę drutów i grubszej elektroniki. Trącił ją delikatnie stopą.

- To jego?

- Proszę nie ruszać.

- Znaleźliście środki chemiczne?

- Jakie środki chemiczne?

- Ach tak.

To już było irytujące. Radiowiec przeskoczył przez łóżko i dosyć niegrzecznie wypchnął Pasażera z kabiny, po czym zamknął drzwi.

- O co mu chodziło?

- Wściubinos.

- Może Nawigator rzeczywiście planował nas potruć...

Elektronik zaburczał coś z głową wciśniętą w szafę z ubraniami.

Na wszelki wypadek przeszukałem dokładnie ciasną wnękę prysznicową, przybornik apteczny i resztę schowków Nawigatora. Znalazłem zwykle pastylki do regulacji cyklu dziennego, czopki na nieważkościowe zaparcia, które sam mu przepisałem, witaminy oraz zioła z chińską nalepką.

- Gdyby zabrał na pokład jakąś chemię trującą - zauważył Radiowiec, łypiąc przez grube szkła na znalezione dokumenty w tekturowej teczce - nie chowałby jej przecież we własnej kabinie. We wnętrzu „Behemota” można taką buteleczkę ukryć w milionie łatwo dostępnych miejsc, nigdy jej nie znajdziemy. Jeśli w ogóle istnieje.

Elektronik przysiadł na blacie.

- Nie przesadzacie panowie? Łobuz to jest niewątpliwy, ale po cóż miałby od razu na masowe mordy się porywać?

Jęknęła stal. To wróciła nieważkość. Złapałem się półki podsufitowej i zdryfowałem w powietrzu. Zahaczyłem przy tym nogą o stos odpadków na podłodze. Pchnięta płatanina wzniosła się powoli ku sufitowi, rozprężając, rozkładając się niczym origami, kwiat albo sidła kłusownika. Patrzyliśmy w milczeniu.

Była to prymitywna wersja kosmo-artu - jak z tych fotografii w katalogach sztuki

Nawigatora. Teraz, w zero gie. Bo zgnieciona grawitacją, pozbawiona swobody trzeciego wymiaru - kupa śmieci.

- Poznałbyś?

- Nie.

- On poznał.

Nie tylko światła w sterowni. Na nocnej wachcie - kiedy długo nie mogę zasnąć, kiedy objam się bezwolnie o stalowe ściany kabiny i nawet ucieczka w lekturę nie uratuje mnie od tej strasznej ciszy i samotności - ratuje mnie „Behemot”. Wychodzę, światła są przygaszone lub zgaszone zupełnie, w długich jelitach korytarzy cienie strzelają spod pierścieni grodzi ostrymi półksiężycami, zazwyczaj zresztą co któraś żarówka już się przepaliła albo właśnie się przepala i migocze nieregularnie, co wywołuje wrażenie, jakby jelito w tym miejscu doznawało chorobliwych skurczy, zwierając i rozwierając gródź półmroku, niczym wyciągnięty wprost ku mnie przewód zasysający, przelyk głodnego robala, a ja idę, płynę w głąb zwierzęcia, dłonie na zimnym metalu, kciuki na nitach, paznokcie na kablach, odpycham się, ale delikatnie, palcami, czubkami palców, każdy dotyk wyważony i na tyle mocny, na ile to konieczne, więc bardziej głośnięcia, bardziej pieszczota żelaza, płynę powoli, jedna, druga, dziesiąta gródź, szyby przelotowe, przeguby modułów, długie ciągi luków buforowych i ciśnieniowych komór, potem znowu magazyn albo mesa, potem z powrotem, wzwyż, wciąż wzwyż, bo gdzie głowa, tam góra, więc wzwyż, ku szczytowi „Behemota”, a on trzeszczy, buczy, świszcze, jęczy, mruczy, warczy, klekocze, szepcze wokół mnie, zawsze jednak jakoś zza pleców, z oddali, przez grube pancerze i setki metrów pustki, to są odgłosy z tajemnych wnętrzości potwora, do których nigdy samotny wędrowiec nie dotrze, choćby krążył w labiryncie latami, i to także działa uspokajająco, ten ogrom, ten basowy oddech rozciągnięty na minuty, to poczucie zupełnego ogarnięcia przez coś tak masywnego, tak niewrażliwego na ludzki dotyk, więc nie tylko światła w sterowni, bo kiedy tak krążę po bezludnych korytarzach i kabinach „Behemota V”, jedynie na krótko zawisając przed monitorem, przed ekranem-bulajem, na moment pochylając się nad pulpitemi i rozrządami, zaglądając w przelocie w pulsujące serca automatów, zanurzony w wiecznych odorach smarów, olejów, gumy, gorącego żelaza i ozonu, kiedy tak krążę do zmęczenia, aż mnie wreszcie sen zmoże... najbardziej uspokajają mnie przetarte izolacje, zdrapana farba, świst niewydolnej hydrauliki i szmer elektrycznych przekaźników, drzenie idące po blachach, najczulej koi starość maszyny.

IV. Kwiaty Ziemi

- Kapitanie?

- Tak?

- Mogę?...

- Minuta, Doktorze. Mamy pierwszy drobny gruz na kursie.

Zatrzymałem Kapitana pod pierścieniem przelotowym modułu dowódczego, przez otwarte grodzie słyszeliśmy głosy Pilotów recytujących sobie namiary mas oświetlanych radarem dziobowym.

- Chodzi o Pasażera.

- Co z nim?

- Czy to on powiedział panu o Nawigatorze?

Kapitan obrócił się w powietrzu w osi prostopadłej. Wyglądał na zagniewanego, ale wszyscy tak wyglądamy po powrocie do nieważkości, gdy krew uderza do głowy i naczynia włosowate w skórze twarzy kwitną wiśniowo, gdy puchną nam oblicza i wargi odsłaniają zęby. Mam o tym dwie monografie.

- Co Pasażer wam -

- Nic.

- Więc -

- Domyśliłem się.

- Ach tak.

Czekałem. Nie odwracał wzroku. Machinalnym gestem zebrał chusteczką ślinę z ust. Spostrzegłem, że zaciął się przy goleniu pod grdyką, on jeden nie używał maszynek elektrycznych. Kapitan był z pokolenia jeszcze sprzed pokoleń Inżyniera i Pierwszego Pilota, latał na jonowych składakach i pamiętał epokę wieloletnich wypraw do zewnętrznych planet, zeszlowieczną astronautykę bilardową. Który to kurs w jego karierze? Tysięczny? Pięciotysięczny?

- Rozczaruje się pan, Doktorze - powiedział, chowając chusteczkę pod ściągacz swetra

- ale niestety nie wiem o wszystkim, co dzieje się na moim statku. - Odbił się ku sterówce. - Co jednak wiem: jemu też zależy, żeby dolecieć do Jupitera żywym. Proszę zostawić Pasażera w spokoju.

- Ale czy -

- Nie przedstawiał mi papierów uwierzytelniających. To są sprawy ponad naszymi głowami.

Zniknął w pierścieniu.

Nic nie powiedział, a znowu powiedział więcej, niż zwykle by sobie pozwolił.

- „Papiery uwierzytelniające”? - głowił się Radiowiec, który, dopóki Słońce się nie uspokoi, też nie miał wiele do roboty. - Tak się wyraził?

- Napuszcza nas na niego.

- Bo boi się, że istotnie to człowiek rządowy, a Kapitan nie chce podpaść wojsku czy firmie związanej kontraktami państwowymi. Ale jeśli ty albo ja, jako niezdyscyplinowana załoga... Pojmujesz?

Układałem w powietrzu kulki z łożyska, Radiowiec zawieszał plastikowe kostki rozdzielcze - graliśmy w trójwymiarowe kółko i krzyżyk, na ciągi czwórkowe.

- Niepokoi mnie jeszcze, że w takim razie Pasażer nie znalazł się u nas przypadkowo. Już na Marsie wiedział, co się szykuje, musiał wiedzieć, skoro wsiadł akurat na „Behemota”. Czy wtedy już ostrzegł Kapitana? Zatem dlaczego Kapitan pozwolił na zsabotowanie kalkulatora? A jeśli nie ostrzegł - to o czym jeszcze wie i czeka, ryzykując nasze i swoje życie? Tu się rozwija większa strategia.

- Więc co? Też udajemy i siedzimy cicho? Czy jednak zrobimy, jak chce Kapitan, i zagramy za niego w otwarte karty?

- Zawsze można spróbować ponownie z Nawigatorem...

- Z palnikiem acetylenowym i obcęgi? A może sporządzisz z tych swoich proszków jakieś serum prawdy? Bo inaczej skończy się jak poprzednio.

Wzdrygnąłem się.

- Znowu spadamy w studnię. Nie dajmy się wciągnąć w podejrzenia i spiski, zadusimy się w takiej atmosferze. To się nie może dobrze skończyć.

- Czyli - udajemy głupich?

Zawiesiłem czwartą kulkę i Radiowiec kichnął, rozpraszając całą formację gry.

- Mhm. - Otarłem twarz rękawem. - Spróbuję zająć Pasażera jakoś z boku. Zagadać neutralnie. Na inny wspólny temat.

- Nudę i klaustrofobię?

- Sztukę, zasmarkany ignorancie, sztukę.

Wstąpiłem do Pasażera po kolacji - nie pojawił się na niej, i to był dobry pretekst.

- Nie zauważył pan, Doktorze, tej epidemii kataru na pokładzie?

Zaśmiałem się.

- My zawsze coś podłapiemy na orbicie! Grypa propaguje się przez Układ Słoneczny z prędkością kursową od Merkurego do Neptuna, Luna rozsyła biuletyny wirolologiczne.

- No, może być i tak, może i tak.

- A pan podejrzewa Nawigatora? Broń biologiczną?

- Musiałby gdzieś trzymać antidotum dla siebie, nieprawdaż? Nie znaleźliście. Cóż. Czy on też już kicha?

- Mhm, nie zauważyłem.

Miał większą kabinę, płacił za to. Pokazał, żebym usiadł w fotelu za blatem - konwenans planetarny. Przyciągnąłem się do siedziska. Wolne ściany po przeciwnej stronie pozalepiał tapetami z fotografiami - nie krajobrazów Ziemi, lecz świetlistych nebuli, neonowych welonów mgławic, porażającej glorii supernowych w rozkwicie. Pod mocnymi żarówkami zdawały się wręcz oślepić. Zamrugałem. Pasażer zawisł po drugiej stronie stolika, miał jakiś płyn w bulwie, ssał słomkę w zamyśleniu. Za łóżkiem przymagnesował do ściany bagaż - trzy wielkie skrzynie oblepione starymi plombami celnymi. Każda skrzynia z szyfrowym zamkiem.

Nie spuszczał ze mnie wzroku, gdy rozglądałem się po jego kabinie. Uśmiechnąłem się porozumiewawczo. Jakby tu zacząć... Pochylił głowę i spostrzegłem błądy tatuaż na jego skroni: znak religijny lub matematyczny - rybę? niedomkniętą ósemkę?

Nad blatem wisiała książka.

- Pan - czyta?

Odwróciłem książkę okładką do góry. Poezje Walta Whitmana.

- Tak.

Zdradził się tym krótkim „tak”. A właściwie sposobem, w jaki je wypowiedział. To nie była monosylabowa gburowatość, ani nieśmiałość, ani sygnał niechęci do rozmowy. To już było „tak”, które przychodzi po wielu latach odpowiedzi na podobne pytania, gdy w im szersze, dłuższe, bardziej szczegółowe tłumaczenia się wikłał, w tym głupszej sytuacji na koniec stał. Konieczny jest bowiem pewien wspólny kod, sekretny język, system umówionych znaków. Wpierw rozpoznajemy się między obcymi - jeden na sto, jeden na tysiąc - i dopiero przystępujemy z otwartym zaproszeniem; wówczas można je przyjąć lub odrzucić bez strachu przed pułapką towarzyską i napiętnowaniem.

Człowiek czytający starożytne poezje w podróży międzyplanetarnej.

Szukałem słów.

- Ja też, kiedy nie mogę spać...

- Lek na bezsenność?

- W kosmosie, w tej ciszy maszynowej...

- Tak.

Tak. Rozumie? Być może. Sam nie do końca rozumiałem.

Głos miał cichy, jakby przygaszony, wycofany. Nad każdym zdaniem wisiało ćwierć pytajnika, muzyczny znak niepewności.

Wykreślił trójkąt równoboczny: bezczelność - nieśmiałość - i co na trzecim wierzchołku?

Kartkowałem tomik.

Noc na preriach,

Już po kolacji, przygasa, tli się ognisko,

Zmęczeni emigranci śpią, owinięci w koce.

Sam idę w ciemność, przystaję i patrzę na gwiazdy.

Wydaje mi się, że ich nigdy dotąd nie pojąłem.

Teraz wstępuje we mnie pokój i nieśmiertelność,

Pochwalam śmierć i sumuję dane.

Jakie skróty! Jaka zgodność! Jaka plenitudo!

Ten sam dawny człowiek i dusza - te same stare dążenia i treści.

Wierzyłem we wspaniałość dnia, aż nie-dzień pokazał mi inną,

Myślałem dość o tej planecie, aż otoczyły mnie miriady planet.

Przestrzeń i wieczność napelniły mnie, siebie zmierzę ich miarą,

Żywoty innych planet przeniknęły mnie, zrównane z żywotami na Ziemi

Albo czekające, żeby się zrównać, albo wyższe od naszych.

Zbyt długo trzymałem książkę otwartą - spostrzegłem, że dałem się zaczarować. Odłożyłem tomik z mimowolnym uśmiechem skrepowania. Człowiek czytający starożytne poezje w podróży międzyplanetarnej. Oddawaliśmy się tu pod osłoną pancernych płyt oczywistym nieprzyzwoitościom.

Pasażer delikatnie zamknął Whitmana.

- Sztuka - powiedział - nie przystoi człowiekowi praktycznemu. Czyż nie tak?

- Sztuka zaczyna się, gdy ludzie się nudzą. To dlatego na długich trasach -

- Jak umysł zwalniany z obowiązków racjonalności na czas snu. Mhm?

- A przynajmniej ta potrzeba, głód sztuki. Lub czegoś zamiast.

- Ale to nie jest przypadkowe. To nie może być „coś”. - Wskazał wzrokiem książkę. -

Dlaczego się pan zdziwił? Nie tylko że wiersze, ale że takie wiersze.

- Poezja nieśmiertelną jest - zażartowałem.

Nie podjął żartu.

- Poezja to martwa informacja. Co zaś może być nieśmiertelne? Przystosowanie ludzi do reagowania na dane związki semantyczne, melodykę wersu, symbolikę i temu podobne. Że pokolenia zastępują pokolenia, cywilizacje - cywilizacje, technologie - technologie, a nadal te same słowa budzą w ludziach tak samo silny rezonans.

- Skoro tak woli pan to ująć.

- Te same słowa. Ale niektóre jednak nie. Nie każda sztuka przetrwa zmianę. Prawda?

- Widać więc zła sztuka to była.

- Zła dla nas, dobra dla nich. Co się zmieniło? - Przytknął palce wskazujące do skroni.

- My.

- Wiadomo, kultura, warunki życia, język...

- To na wierzchu. A pod spodem?

Obkręcił się w powietrzu ku górnemu schowkowi i z plastikowego opakowania wydobył okazałych rozmiarów album w lśniących okładkach. Za główną ilustrację na jego froncie posłużyła fotografia naskalnego malunku prehistorycznego - jelenia? wołu? Kilka kresek, dwie barwy.

Pasażer otworzył album, przekartkował.

- Proszę spojrzeć.

Wybiegły na nas stada koni i bizonów, trochę jak z Picassa lub Dalego: niekiedy oddane jedynie za pomocą paru linii, szkicowe, niekiedy w polichromiach, zawsze jednak z silnym wrażeniem ruchu, z wrażeniem masywności, potęgi. Przewracałem twarde stronicę. Obrazy opisano, odatowano. Altamira, Castillo, Le Clotilde de Santa Isabel. Byki, niedźwiedzie, jelenie. A tu - tu już w takim tłoku, w hordzie napierającej ze ściany, że jeden sus więcej - i wysypałyby się z pradawnego fresku wprost na patrzącego.

- Sztuka czy nie sztuka, Doktorze?

- Co przetrwało -

- Co przetrwało w nas z tamtego praczłowieka, że nadal na nas oddziałują jego dzieła.

Tak trzeba pytać.

La Peña de Candamo: jeleni, koń, bizon. Cortezubi: niedźwiedź jak żywy. La Mairie, Teyjat: niedźwiedź pochyla łeb - to już więcej niż wizerunek zdjęty z oka, to próba transferu uczucia.

Kolejny etap: uruchomienie narracji, obraz rozkwita w opowieść. Les Trois Frères - tuziny bizonów, konie, renifery i coś jakby człowiek. Fryz z Roc-de-Sers: oszczepnik ucieka przed wołem, czarownik w masce zastępuje drogę koniom, napierają bizony, niedźwiedź,

głuszc.

Praartyści uczą się oddawać ruch: bieg to podwójna liczba kończyn.

Pasażer postukał w tabelkę na marginesie. Strzałka określała kierunek ewolucji sztuki: zadrapania na skale - ryty krzywych linii - prymitywne, bardzo uproszczone wyobrażenia zwierząt - ryty coraz głębsze, aż do płaskorzeźb - i genitalia.

- Tu już nakładają się seksualność i elementy kultu.

- Też pewna ciągłość, to pan chce powiedzieć.

- Też.

Venus Impudique z Laugerie Haute: wysoki tors z mocnymi nogami biegaczki. Ale i grube, obłe figurki z jaskini Rideaux w Lespugue; podobne - z Willendorfu. Na płaskorzeźbach w Laussel uwiecznialiśmy kobiety o szerokich biodrach i wielkich, obwisłych piersiach niczym wymiona. W rozdziale o kulturze oryniackiej zdiagnozowałem zaś po pierwszym rzucie oka genetyczną steatopygę.

- Rozbieżne ideały seksualne, stąd nasze odruchowe odrzucenie. - Pasażer pociągnął z gruszki głębszy łyk. - Eros jest bardziej zmiennym, czysta pornografia starzeje się w jedno pokolenie, czasami jeszcze prędzej.

- Więc co było wcześniej? - Zerknąłem na witrażowe astrografie na ścianie. - Kontemplacja natury?

- Są też intuicje głębsze. Te hieroglificzne ryty ze stropu Altamiry sprzed dwudziestu tysięcy lat. - Przekartkował wstecz i wskazał palcem. - Podobny protojęzyk pojawił się po kilkunastu tysiącach lat na Krecie.

- Idzie panu o taki estetyczny niezmiennik, na którym opiera się każda sztuka prymitywna, nieobudowana jeszcze żadnym formalizmem, manieryzmem, żadną świadomością sztuki. Złoty podział, połowa z sumy jedynek i pierwiastka kwadratowego z pięciu. Wiedział pan, że Nawigator kolekcjonuje imbriumistów?

- Ach, ale prymitywna sztuka kosmiczna nie może być powieleniem, ani przedłużeniem sztuki człowieka prymitywnego! Na tym polega problem z nieodwracalnością postępu. Imbriumiści mają przecież w pamięci całą dotychczasową sztukę człowieka. A nawet gdyby jej nie znali - siedzi on w nich tak czy owak: bo urodzili się i wychowali w kulturze zbudowanej także na tamtej sztuce. Co więcej, sztuka prehistoryczna służyła - zamiast narzędzi jeszcze niewykształconych, jak pismo czy nauka - do opisanego, zrozumienia świata. A przecież nie ma dla nas powrotu do stanu „sprzed pisma”, „sprzed nauki”. Nie można budować estetyki na symulacji samoograniczenia.

- Jakie więc mosty chce pan tu przerzucić ponad dziesiątkami tysięcy lat?

- Są połączenia, mhm, anegdotyczne. Najstarszy dokument ludzkiej astronomii, kość paleolityczną z zapisem obserwacji Księżyca prowadzonych przez sześćdziesiąt dziewięć dni, znaleziono w dolinie Wezery, gdzie powstały te wszystkie podziemne skarbcze sztuki: Lascaux, Laussel, Combarelles, Font-de-Gaume, a niedaleko są i Teyjat, i Pair-non-Pair.

- Ale kiedy pan mówi „prymitywna sztuka kosmiczna”, ma pan jednak na myśli konkretny, żywy nurt sztuki różny od wszystkiego, co powstało na Ziemi. Imbriumiści, jeśli prawidłowo pamiętam ich manifesty, uzasadniają tę odrębność politycznie i mistycznie. - Na to krótki grymas pogardy mignął na wargach Pasażera. - Pan się z nimi nie zgadza.

Zamknął album, schował z powrotem do futerału. Przez chwilę błędził wzrokiem po kabinie, jakby szukając punktu do zahaczenia i zawiązania początku zerwanej myśli.

- Że nam się podoba, co się podoba, że piękne jest piękne... Wyobraź pan sobie tę mgławicę dokładnie taką samą - tylko że brzydką, nie piękną.

Zachnąłem się.

- Aha! - Uniósł palec. - Gdzie to w nas siedzi? W mózgu, a po trochu i w genach. Złote proporcje, symetrie, synkopy, czarny kwadrat na białym tle i kształt kobiecej piersi. Żeśmy stawali na nogi na sawannach afrykańskich i ćwiczyli głębię spojrzenia, wypatrując drapieżników pod drzewami - także stąd.

- To znaczy - jak konkretnie?

- Dlaczego na przykład akt mniej jest nam piękny w klinicznej, ginekologicznej otwartości i jasności, a bardziej - w połowicznej zasłonie, właśnie nieodkryty, czyli półakt, sugestia i zapowiedź raczej?

...Dlaczego piękno widzimy w Tajemnicy?

- Dlaczego?

- Ponieważ lwy i tygrysy! - Odrzuciwszy gruszkę, poszybował pod sufit i musiał się odepchnąć z powrotem. Złapał się blatu. - Uczono pana przecież zasad gier biologicznych, Doktorze. Ewolucja nagradza tych, co potrafią w porę rozpoznać przyczajonego drapieżnika; geny mniej uważnych giną pożarte razem z ich nieszczęsnymi nosicielami. Powstaje mechanizm nagrody, uczucia satysfakcji z rozpoznania ukrytego wzorca, z dopowiedzenia w myśli reszty kształtu zwierzęcia między gałęziami, źdźbłami trawy. A ziemską ewolucją fauny preferowała formy symetryczne, zwierciadlane, toteż takie są nasze odruchy estetyczne i taki praworzec piękna: bo ten, kto domyślał się kształtów w mroku wedle reguł symetrii, większą miał szansę przeżycia w Edenie mięsożerców. Tak też narodzili się bogowie: z bardzo racjonalnego domysłu świadomej intencji kryjącej się za fenomenami natury. Kto się ich nie domyślał, częściej ginął zaskoczony przez przypadek jednak nieprzypadkowy.

...A co jest brzydkie? Nieregularne plamy pozbawione wyraźnego profilu. Mózg rozpoznający tysiąc potencjalnych zagrożeń na sekundę nie może analizować w pełni każdego kształtu i ruchu z osobna - co najwyżej skupiłby się na jednym czy dwóch, ignorując pozostałe, a to prędko okazałoby się fatalnym. Znowu więc nagrodę otrzymujemy za umiejętność rozpoznania owych cech charakterystycznych, profilu, gestaltu. To on decyduje - nie zaś w pełni realistyczny obraz całego obiektu odkrytego. Człowiek bardziej jest podobny do swojej karykatury niż do fotografii. Stąd takie właśnie malowidła naskalne, stąd minimalizm piórka i węgla, stąd abstrakcyjniści.

...A więc planeta, ciężenie, dzień i noc, niebo na górze, ziemia pod stopami, oczy mięsożercy, hipokamp i ciało migdałowate wyrosłe na małych strachach i przyjemnościach... Z tego wyszli i Fidiasz, i Picasso, i Bach, i Walt Whitman. Pojmuje pan, Doktorze?

- Inna ewolucja, inne piękno, to oczywiste.

- Ewolucja, ale także środowisko. A teraz weź człowieka, ba, już całe pokolenia ludzi wychowanych bez planety, bez dołu i góry, och, zatracających w ogóle poczucie góry i dołu, jak i panu na pewno się w nieważkości nieraz przydarzało - zgubić orientację ciała w umyśle: stopy są górą, głowa dołem ciała -

- Trzeba się wtedy uderzyć mocno.

- Więc weź pan pokolenia wychowane już w tym stanie, żyjące w sztucznych światłach i barwach, weź pan człowieka urodzonego do kosmosu - jaka mgławica jemu będzie piękną?

Udałem, że się zastanawiam.

- Ten połamany kosmo-art w kabinie Nawigatora...

Pasażer z powrotem przygaśł, stłumił głos, umknął wzrokiem. Pochwycona gruszka z napojem dała mu zajęcie dla dłoni.

- Nie szukam piękna kosmosu - rzekł. - To mam na Ziemi, właśnie w zdjęciach mgławic i supernowych, w negatywach koron słonecznych. Szukam piękna z kosmosu - pierwszej sztuki naiwnej tego nowego szczepu, nowego *Homo ludens*, który jeszcze sam nie wie, że inne Muzy go prowadzą, inni bogowie w kołysce do ucha mu szeptali.

Odchrząknąłem.

- Umawiał się pan z Nawigatorem na Marsie? Tam poznaliście się?

- On mnie nie znał.

- Ale przecież to nie przypadek -

- Proszę mi wierzyć, nie brałem udziału -

Przerywaliśmy sobie nawzajem. Pasażer zrobił przeproszącą minę.

- Rozumiem, załoga zawsze podejrzewa obcego.

Chciałem zaprzeczyć, lecz potrząsnął głową, żebym nie wyprzedzał jego myśli.

- Podejrzewa, podejrzewa. Naprawdę, nie wiedziałem, co zrobi Nawigator. Nie powinienem panu tego mówić, Doktorze, ale zdaję sobie sprawę, że nie wstąpił pan do mnie po prostu na pogawędkę z nudów.

Znowu chciałem zaprzeczyć.

- Nie, Doktorze, muszę liczyć się z realiami. Nie jest mądrze prowokować takie podejrzewania u załogi, wypadki w kosmosie się zdarzają, a ja z natury jestem mól książkowy, a nie galaktyczny szpieg. Dostałem na Marsie cynk od pośrednika, że ktoś wziął od Repetugi ogromną zaliczkę na poczet największej kolekcji kosmo-artu, jaką widział człowiek. Repetuga to przemytnicy powiązani z Cosa Nostrą. Kupiłem, kupiliśmy informację, płacąc bardzo słono. Udało nam się dojść po niej aż do waszego „Behemota”. Ale zanim Nawigator się przyznał, mogłem tylko snuć przypuszczenia i zgadywać.

Gryzłem to z krzywą miną.

- Nawigator i Cosa Nostra? E, chyba nie. Dali mu fortunę na piękne oczy?

- Potrzebował pieniędzy - też żeby kupić informację. Zapewne od swojego starego kontaktu, który sprzedał mu już przez lata sporo artu. Nawigator miał do niego dojście; my nie.

- No więc co kupił?

- Liczby orbity Astromancera.

Powstrzymałem westchnięcie.

- A cóż Astromancer ma do sztuki kosmicznej?

Pasażer nerwowo siorbnął przez słomkę.

- Wszystko.

Kolejny obrót zegara dobowego. I znów zabrzmiał sygnał wachty nocnej, przygasły żarówki w korytarzach „Behemota V”. Automaty wentylacyjne i siłowniki termotropii poszycia szumiały i świszczały teraz jakby odrobinę głośniejsze, a może to cisza na pokładzie zapadła głębsza. Co się jednak zmieniło, oprócz położenia wskazówek na cyferblatach? Puszka blaszana i my w tej puszcze, w pustce.

Przesiadaliśmy w mesie jeszcze długo po kolacji, zagadując ciszę bajkami i gawędami. Na śnieżącym ekranie podglądu kursowego skakały grafy i alfanumeryki; kątem oka śledziliśmy telemetrie co większych mas. Mimo woli przysunęliśmy się bliżej stołu, nachylili głowy. Elektronik wspominał poprzednie burze słoneczne, Radiowiec mówił o

Szwedzie z nasłuchu Merkurego Siedem, któremu nagła flara na długościach rentgenowskich rozpękała bębni...

- Było już po peryhelium, odchodziliśmy w chłód - opowiadał z kolei Pierwszy Pilot, postukując cybuchem fajki o kościste kolano. - „Mothman” postawił siedemnaście luster, na osiemnaste nie miał dosyć kryształitu, odpadaliśmy od Słońca z jeden-półtora gie. A działało się to za czasów, kiedy jeszcze ktoś zwracał uwagę na takie wyprawy, jeszcze się mówiło: „Ziemia patrzy”, „Ziemia słucha”, i my naprawdę tak myśleliśmy. Nie firma żadna; finansowały nas instytuty amerykańskie i europejskie. „Mothmana” wykupiły od pionierów z Tytana, którzy nurkowali w nim w gazach Saturna, atmosfera grzała tam statek do piekielnych temperatur, zostały mu grube pancerze izolacyjne i chłodnice wewnętrzne gigadzulowe. Myśmy mieli wejść w koronę Słońca, szukać cywilizacji plazmowych. Byłem młody, wzięli mnie na Trzeciego prosto ze szkoły kadetów.

...Wtedy ludzie bawili się podobnymi hipotezami. Jeśli życie plazmowe rozwinęło się w ekosferze gwiazdy, to oczywiście w żaden naturalny sposób nie spotka się z życiem węglowym, białkowym: nasze biosfery są całkowicie rozłączne, nasze światy się nie przecinają; ani my nie wejdziemy w żar fotosfery, ani oni nie wyjdą w lodowate przestrzenie pozasłoneczne. A orbity planet? To już cmentarz plazmy. Możemy więc co najwyżej dojrzeć z dystansu znaki, ślady, dowody pośrednie. Analizowano pod tym kątem także ruchy plam słonecznych, częstotliwość rozblysków, topologię protuberancji, krzywizny pola magnetycznego Słońca, profil fal wiatru słonecznego. Na „Mothmanie” ustaliła się w końcu między nami bardziej pesymistyczna wersja. Nawet jeśli takie życie może powstać, to z tabel kosmologicznych czytamy, iż gwiazdy istnieją kilka miliardów lat dłużej niż najpierwsze planety. Cykle ewolucyjne życia słonecznego są zatem o tyle wcześniejsze od najszybszej możliwej ewolucji życia ziemskiego, ba!, jakiegokolwiek życia planetarnego. I teraz wyobraź sobie cywilizację stojącą miliard lat wyżej na drabinie postępu. Potrafisz? Ano właśnie.

...Mieliśmy na „Mothmanie” Astrofizyka, który tak się zapatrzył w Słońce, że widział w nim miasta, maszyny, ogrody, żyły i nerwowody. Oczywiście nie mówił o nich tymi słowami. Ale pokazywał na kliszach zaczernionych jakieś kształty, jakieś cienie, jakieś struktury. Nikt inny ich nie dostrzegał; on - tak. Śniły mu się w dzień i w nocy. Zасыpiał z okiem przy okularze solaroskopu. Po prawdzie wiele wtedy nie rozmawialiśmy - maszyny chłodzące pracowały przez cały czas pełną mocą, huk był nie do wytrzymania, pchaliśmy watę do uszu, ja chodziłem w słuchawicach pożyczonych od naszego Radiowca. Astrofizyk występował na odprawach, wyświetlając te swoje slajdy i wskazując taką czy inną plamkę, zakreślając fronty plazmowe, formacje spikuli. Nikt nie wiedział, co on właściwie chce przez

to powiedzieć. Kiedy jeszcze mówił, nie mówił: „miasta”, „ogrody”. To my dopowiadaliśmy. On dekodował tajemnice na kliszach oślepiającego ognia, z nosem przy szkle powiększającym, kropka do kropki do kropki.

...Którejś nocy przyszedł do mnie. Miał kłopoty ze złożeniem logicznego zdania, podmioty i orzeczenia rozpadały mu się w ustach, z języka sypał się piach. Coś mu się niedobrego stało od zbyt długiego wypatrywania tych wzorów na Słońcu. Wziął w końcu ołówek i kartkę i zaczął mi rysować kursy styczne do korony, pod łukami protuberancji, pod mostami dżetów, w setkach tysięcy stopni. Przypomniałem mu, że przecież odlatujemy, oddalamy się od Słońca; i tak zresztą nikt by się nie zgodził na podobnie samobójczy skok w studnię grawitacyjną gwiazdy. Czego on chciał, spalić nas wszystkich? Rysował dalej: granice, niewidzialne bariery, ściany w masie helowo-wodorowej, coś jakby tunel otwarty do wnętrza morza plazmy. Zrozumiałem, że Astrofizyk jest przekonany, iż solarianie otworzą dla nas bezpieczne przejście; że czekają tam na nas, a on właśnie odczytał ich intencje. Był to rodzaj obłędu. Starłem się go uspokoić. Rysował swoje. Chciał, żeby wsadzić go w prom - „Mothman” niósł dwa promy subatmosferyczne - i samego posłać tam w Słońce. Solarianie nie dadzą go skrzywdzić. Miliardoletnia cywilizacja kontroluje powierzchnię Słońca jak my temperaturę w pokoju. Mają tam wszystko dla niego naszykowane.

...Musiałem oczywiście zameldować dowódcy. Potem jednak zastanawiałem się, nie mogąc zasnąć, jak to się zdarza po częstych zmianach wektora przyśpieszenia. Zastanawiałem się, po co byłby solarianom już usadzonym na wysokości bogów tego wszechświata jakiś człowiek, małpa ledwo od kija i kamienia oderwana? Są ekosfery biologii, ale są jeszcze mocniej rozdzielone ekosfery umysłu: nie przecinają się, nie mają punktów wspólnych, nie dzielą zasobów ani przestrzeni życiowej. I czy przejścia między nimi w ogóle byłyby możliwe? Czy można „dorosnąć” do ekosfery cywilizacji wyższej? Czy ten rozdział nie jest wbudowany w samą kosmologię, w naturę uniwersum, w prawa fizyki? Cywilizacje wyższe powstają na samym początku; a potem z im cięższej, zimniejszej materii się rodzisz, tym niżej sięgasz - nigdy nie zbliżysz się do Pierworodnych, bo oni przecież też w tym czasie prą naprzód. Moment narodzin w dziejach kosmosu determinuje zatem pułap postępu. Nie ma drabin, schodów, wind między piętrami cywilizacji. Żyjemy może w nieodległych przestrzeniach, lecz w zupełnie od siebie odseparowanych sferach intelektu.

...Popelniliśmy na „Mothmanie” błąd - którego nie popelnił teraz nasz Kapitan - popelniliśmy błąd i nie zamknęliśmy Astrofizyka w areszcie. Tak, przekradł się do promu i sam odpalił ku Słońcu. Zniknął nam za krzywizną jego płaszcza elektromagnetycznego; widać go jeszcze było chwilami na refraktorach dyspersyjnych spod orbity Merkurego. I tyle.

Spalił się, oczywiście - prom przepadł bez śladu. Ale od tego właśnie zaczęła się cała ta solaromancja. Wszystkie zapiski, bazgroły, rysunki Astrofizyka, nawet taśmy z jego nieskładnymi monologami, nawet fotografie wnętrza jego kabiny, ułożenia przedmiotów w kabinie - na Ziemi przekazywali je sobie z rąk do rąk, reprodukowali w książkach i czasopismach; próbowali zrozumieć. To był pierwszy stopień. Bo wtajemniczenia stopień drugi zakłada, że Astrofizyk w rzeczywistości wcale nie zginął, czy też: nie wszystek zginął; że solarianie przyjęli go do siebie, a on teraz porozumiewa się z nami w jedyny możliwy dlań sposób, to znaczy poprzez Słońce, w Słońcu, Słońcem. Zwłaszcza w porze burz słonecznych - obserwują wyrzuty masy koronalnej i rejestrują pilnie głos gwiazdy na wszystkich długościach fal elektromagnetycznych, i deszyfrują go według wskazówek z notatek Astrofizyka. Podobno ogłasza nam doniosłe rzeczy. W tym szumie, w trzaskach i wizgach. Pierwszy Pilot przygryzł ustnik fajki.

- Ale Astromancer - to chyba całkiem co innego.

Wracaliśmy do kabin wsłuchani w syk i chrobot wewnętrznych mechanizmów „Behemota V”. Trzeba słuchać, trzeba wypatrywać - Pasażer rzekłby, że takie są imperatywy estetyki pustki i ciszy.

V Narada

Odbyła się kolejna narada. Schodziliśmy w głąb Pasa Asteroidów. Kapitan musiał podjąć decyzję.

- Doktorze? Zmieniło się coś?

- Zakładam, że burza rozwijać się będzie według tradycyjnego modelu; wówczas natężenie promieniowania przekroczy wartość krytyczną za około trzydzieści godzin. Bezpieczniej założyć dwadzieścia osiem. Nagłych flar oczywiście nie przewidzę. Kwadrans temu odczytałem indykatory: jeszcze nie zebraliśmy wielkiej dawki. Możemy się ukryć w Perłach, ale to rozwiązanie na kilka godzin, zresztą nie sposób z wnętrza kapsuły sterować statkiem. Obrócenie „Behemota” ładunkiem lub kurtynami rufowymi wprost ku Słońcu dosyć by pomogło, ale, jak rozumiem, na obecnym kursie manewrowym nie jest możliwe utrzymywanie takiej pozycji.

- Dobrze pan rozumie. Panowie, sprawa pod dyskusję: gdzie parkujemy? Według planu Nawigatora? Czy też możliwie daleko od jego orbity?

Pierwszy Pilot:

- Podał koordynaty?

Kapitan:

- Nie. Ale wyobrażam sobie, że bardzo chętnie poda. Tego przecież chciał.

Inżynier:

- Cokolwiek on tam nadaje przez boję radiową, przebije się to do odbiorcy już po naszym odlocie z Pasa, zatem nie widzę różnicy. Można tu, można tam. Na zdrowy rozum wzięwszy. Nie? A jeśli on faktycznie ma zamiary na Astromancera, to zarobimy na tym nieźle.

Ja:

- Pasażer na pewno dołożyłby swój głos za, gdyby mógł. Inżynier:

" - A co to za insynuacje! Ja:

- Ależ... Ja niczego nie - Kapitan:

- Nie udawajmy. Nie jednemu Inżynierowi musiał przyjść do głowy zysk do wyciągnięcia z tej awantury. Sprawdziłem treść naszych kontraktów z kompanią. Jeśli uda się dowieść, że zboczenie z kursu, dzięki któremu weszliśmy w posiadanie określonych dóbr czy informacji, nie naraziło kompanii na żadne dodatkowe koszty, na żadne straty - to zachowamy pełne prawo do owych dóbr.

Pierwszy Pilot:

- Moim zdaniem będzie to dosyć łatwe do wykazania. Przecież tak czy owak musimy się ukryć przed burzą. Nie był to nasz wybór.

Ja:

- Ale trajektoria wymuszona sabotażem Nawigatora nie jest najbardziej ekonomiczną, prawda? Inaczej nie musiałyby niczego sabotować, kalkulator podałyby ją jako trasę preferowaną.

Inżynier:

- Ale Nawigator to nie my! Oddamy go sądowi karnemu, a kompania niech się procesuje z draniem na własną rękę.

Radiowiec:

- Czy to znaczy, że Nawigator musiał zostać przegoniony pod kamerami po poszyciu? Musiał go Marabut ścigać na odczepie, a Kapitan zamykać w areszcie pokładowym - żebyśmy mogli obronić w sądzie prawo do zysków z Astromancera?

Kapitan:

- Co?! Czyli - czyli - czyli ja się z góry ułożyłem po cichu z Nawigatorem i odgrywaliśmy to wszystko jak jakiś teatr, operę kosmiczną, tak?!

Radiowiec:

- Albo z Pasażerem, jeśli powiedział on Doktorowi prawdę. Ale spokojnie, Kapitan się nie denerwuje. Ja nie oskarżam, ja podziwiam.

Kapitan:

- A chodź-no tu, popodziwiał moją pięść. Elektronik:

- Panowie! Panowie! Kapitan:

- Trzymajcie go! Elektronik:

- Panowie, tak nie można! Wyrwijmy się z tego fatalnego zapętlenia. Doktor ma rację, to jest pewna droga do nieszczęścia, do losu „Kaliguli” i „Santa Gary”. Teoria gier, ona pokazuje jedyne możliwe wyjście. Musimy na starcie ślepo zakładać prawdopodobność i czyste intencje towarzyszy, inaczej - Drugi Pilot:

- Czyj to but tutaj? - Kapitan:

- Mój. Rzuć.

Radiowiec:

- Przepraszam. Ja:

- Chciałbym poruszyć inną sprawę, na którą zwrócił mi uwagę Pasażer. W ciągu ostatniej doby z lekką grypą zgłosili się do mnie Inżynier, Drugi Pilot i Kapitan. Sam odczuwam objawy.

Kapitan:

- To nie jest - Ja:

- Proszę pozwolić. Sprawy się wiążą. Przemyślałem to wczoraj. Pasażer musiał już wcześniej zważyć opcje Nawigatora. Dajmy na to, że Kapitan by się nie zorientował. Nawigator sprowadza zatem „Behemota” do Astromancera - i co? Zadowolili się swoją działką? Jedną ósmą?

Kapitan:

- Jedną dziewiątą. Mam podwójny udział. Ja:

- Okay. Przypominam, że Pasażer twierdzi, iż Nawigator zadłużył się u kryminalistów na poważną sumę, żeby zdobyć te koordynaty. Nie mógł brać pod uwagę podziału. Zresztą gdyby brał, dlaczego nie miałby nas wtajemniczyć? Nie. Wszystko miało być dla niego. A więc?

Pierwszy Pilot:

- Wiedziałem, że ten katar mnie zabije. Kapitan:

- Nie pora na takie żarty. Elektronik:

- Ale nawet jeśli nas co do jednego wytłucze jakimś wirusem... No przecież nie

ucieknie nigdzie „Behemotem”, Układ Słoneczny to nie Dziki Zachód.

Inżynier:

- Może po to była ta boja. Przylecą po niego. Ja:

- Nie, moi drodzy, najprostszy sposób jest inny. Pomyślcie: co w tej aferze jest najcenniejsze? Liczby orbity Astromancera. To za nie Nawigator zapłacił. Nie mam pojęcia, jak ten Astromancer wygląda, co on za dziwo - ale zakładam, że nie jest to coś, co można zapakować do ładowni zwykłego kursowca; inaczej dawno już ktoś by go podwędził. Sprzedawano by samego Astromancera, a nie liczby. A zatem większa masa, większa kubatura. Co robi Nawigator? Do czego potrzebuje „Behemota”?

... Parkuje go na stycznej do Astromancera. Odczepia nasz ładunek. Szczepia Astromancera. Mamy w zapasie kilka godzin ciągu, nawet wliczając drugie hamowanie i drugie przyspieszanie do kursowej. W gruzowisku Pasa wystarczy pewnie kilka minut. Nawigator przepycha tam Astromancera na nową orbitę. Dla takich zadań zbudowano „Behemoty”, nie mylę się. Przepycha, notuje koordynaty - teraz on jeden w całym Układzie Słonecznym zna położenie skarbu. Wraca po ładunek, montuje go z powrotem razem z osłoną. Wymazuje magnetyczne logi kursowe. Trwa burza. Ustawia statek z powrotem na kurs. Uszkadza powłokę. Wystawia nasze zwłoki na promieniowanie. Na Jupiterze melduje się jako jedyny ocalały po nieszczęśliwym wypadku w Pasiu w czasie sztormu solarnego. Zrywa kontrakt z kompanią. Nikt się nie dziwi. Jest bezpieczny. Ukradł Astromancera.

Inżynier:

- Zatłukę skurwysyna. Drugi Pilot:

- Od wczoraj głowa tak mnie boli, o, tutaj, zatoki i skronie, łupie coraz bardziej.

Kapitan:

- Ma pan odpowiednie wyposażenie, Doktorze? Mikroskopy? Ja:

- Rozpoznam wirus dopiero po działaniu. Musiałbym zajrzeć mu do genów. A i tak nie mam na pokładzie biblioteki o broni biologicznej, żeby sprawdzić i porównać.

Inżynier:

- Kto pierwszy zaczął kichać i smarkać? Elektronik:

- Jeśli to broń wypuszczona przez Nawigatora, powinniśmy paść jeszcze przed podejściem do Astromancera. Tak to przecież by sobie wyliczył.

Pierwszy Pilot:

- Siedemnaście godzin. Kapitan:

- Jeśli tam właśnie zaparkujemy. Ja:

- Chyba już wszyscy zdecydowali... Kapitan:

- Głosujemy.

Poszliśmy potem do Nawigatora po namiary. Kapitan, Pierwszy Pilot i ja. Miałem zbadać Nawigatora: czy zachorował, tudzież czy wykazuje jakieś specyficzne objawy związane z zaaplikowanym sobie wcześniej antidotum. Nie wykazywał. Kichał i smarkał, ale to o niczym nie świadczyło: luk siódmy i sąsiednie znajdowały się w części „Behemota”, gdzie nadal szwankowała termostatyka, mógł się przeziębic i tak.

Ledwo wyszedł Kapitan, zaczął się skarżyć Nawigator i domagać wypuszczenia po zaparkowaniu przy Astromancerze. Pierwszy Pilot go wyśmiał.

- Nie denerwuj ludzi - poradziłem Nawigatorowi. - Jeszcześmy nie wrócili żywi. Pasażer mówi, że masz jakąś umowę z przestępcami. Co byś z nami zrobił tam na miejscu? Powiedz szczerze.

- A musiałbym coś robić?

- Przecież wydałoby się, że - - Co by się wydało?

- Zobaczylibyśmy Astromancera i straciłbyś wyłączność. Nawigator zaśmiał się kpiąco - taki śmiech pewnie sobie zamierzył, ale wyszedł mu on dość żałośnie: chichot i pociąganie nosem.

- Nie zobaczysz go - zachrypiął. - Jesteśmy już w Pasie, prawda? Nie wypatruj nawet. Ile widzisz przez pokładowy teleskop? Kilka tysięcy kilometrów i już tylko punkciki, światełka, profile dosłoneczne i profile odsłoneczne. Na radarze podobnie: plamki, szумы. Równoczesna telemetria dziesięciu tysięcy mas to abrakadabra. Przecież z tego właśnie powstała legenda: nie widziano Latającego Holendra, bo jest Latającym Holendrem - nie widziano Astromancera, bo jest Astromancerem. Z samego spektrum i echa elektromagnetycznego - nieodróżnialny od reszty układowego śmietniska. Musiałbyś wlecieć wprost na niego. Z góry wiedzieć i wypatrywać.

- A ty - widziałeś go? Pokręcił głową.

- Wypuście mnie? - powtórzył cicho. Spojrzałem nań raz jeszcze na odchodnym.

- Nawet nie jesteś pewien, czy on rzeczywiście się tam znajduje. Włosy unosiły się mu wokół głowy jasną grzywą. Szarpnął się teraz w tył, jakbym wyprowadził cios pięścią w jego twarz - i zakryła ją powrotna fala fryzury.

Pierwszy Pilot czekał na mnie przy grodzi.

- Kłamie?

- Koordynaty pewnie są prawdziwe. To znaczy takie, jakie kupił. Ale..

- No właśnie. Gryzł ustnik fajki.

- Doktorze, ja znam się z Kapitanem od dawna i nie wierzę, że się tak ułożył z

Nawigatorem, to nie do pomyślenia. Zresztą Nawigator głupi szczeniak jest. Kapitan skądś jednak miał wiedzę. Nie przecucie; coś więcej. Pan rozmawiał z Pasażerem. Ta historia o kosmo-arcie... Jak pan sądzi?

- To chyba prawda. Ale może być tam coś jeszcze. Pasażer szepnął słowo Kapitanowi zaraz po awarii... Po co, skoro chciał dolecieć do Astromancera po kursie Nawigatora? Teraz boi się, że Nawigator nas wytruje. Nie bał się, wchodząc na „Behemota” na marsjańskiej?

- Właśnie. Pan jest rozsądnym człowiekiem, pan przemyśli sprawę pięć razy, zanim rzuci się po skarb. Nie możemy tam wpaść hurmem jak banda Ali Baby do Sezamu.

- Nie głosował pan przeciw. Żachnął się.

- Wszyscy głosowali za!

- Nie chcę wdawać się w spekulacje. Mówiłem już: z tego nic dobrego - - Wiemy, wiemy. Ale scenariusz kradzieży Astromancera dobrze pan przemyślał.

Uśmiechnął się lekko, przesuwając fajkę z jednego kąta ust w drugi.

- Co pan ma na myśli? - spytałem cicho, mimo woli rozejrzawszy się po stalowym korytarzu w obie strony.

- Nic - wzruszył ramionami.

- Nawet jeśli go tam sami przepchamy... Siedem osób nie utrzyma koordynatów w tajemnicy jak jedna.

- Osiem. - Osiem.

- A właściwie dziewięć. Nawigator się dowie nawet w zamknięciu. Potrafi obliczyć nową orbitę.

- Sam pan widzi.

- Ale oni zaraz na to wpadną.

- Co pan proponuje? Jestem lekarzem pokładowym. Dlaczego pan ze mną o tym rozmawia?

Pierwszy Pilot podniósł wzrok i ustrzelił mnie spojrzeniem prosto w oczy.

- Doktor na kontrakcie kompanii frachtowej. - Cmoknął przez zęby. - Mógłby leczyć ludzi gdziekolwiek, na Ziemi, na Lunie, na Marsie, w szpitalu jakimś czystym, przyjemnym. Ale lata w tej cuchnącej puszczy. Wielotygodniowe rejsy od planety do planety, samotność i nuda. Do nikogo ust otworzyć z inteligentnym słowem. Żadnej przyszłości. Pustka i beznadzieja. Czyż nie zagadka? Co on tu robi? Co to za człowiek?

Obruszyłem się.

- Nie dam się - - Tu obowiązuje selekcja negatywna, Doktorze. Jestem starszy, pamiętam czasy, do których przetrwało jeszcze odrobinę z tego etosu odkrywców kosmosu,

bohaterów przygody gwiazdnej. Tak wtedy werbowano. Ale teraz? Co to za atrakcja: miesiąc w tę, miesiąc w tą, i tak bez końca w żelaznym więzieniu? Kto więc lata na tych krypach? Ci, co nie potrafią znaleźć lepiej płatnej pracy. No, są jeszcze zabytki z poprzedniej epoki, których wiąże z kosmolotami głupi sentyment, jak naszego Kapitana. Ale to wyjątki. Poza nim wszyscy, którzy trafiają na „Behemoty” i inne „Pompeje”, to nieudacznicy, niedorajdy życiowe i zawodowe. Tak się dzieje we wszystkich profesjach wysokiego ryzyka, które w końcu powszechnieją i zmieniają się w masową rutynę. Dlaczego tu zawsze coś szwankuje? Dlaczego nie powinniśmy byli się nawet zdziwić, że kurs źle obliczony? Że kalkulator w ruinie? Dlaczego znowu ogrzewanie siadło, a rezonans w modułach rufowych tak trzepie farbę ze ścian, że izolację traktów nadprzewodzących do wzbudnic musieliśmy z Inżynierem reperować w maskach? To stary statek, prawda. Ale przede wszystkim dlatego, że załoga ledwo potrafi go przeprowadzić z portu do portu. Do niczego lepszego się nie nadajemy, to trafiliśmy tutaj. Ale pan, Doktorze? Przecież nie czyta pan całymi dniami w swojej kabinie starych żurnali medycznych i esejów o sztuce nowoczesnej. Zazwyczaj dobrze się pan maskuje. Nie odzywa za wiele. Ale od czasu do czasu wyskoczy pan z czymś takim jak dzisiaj. Co pan właściwie robi na naszym „Behemocie”? Po co pan marnuje tu życie? „Musiałbym zajrzeć mu do genów”! Któremu lekarzowi pokładowemu trzeciorzędnej kompanii frachtowej wyrwie się coś takiego? Pan leczył ludzi? Czy - czym właściwie się pan zajmował? Doktorze?

Zamknąłem się na resztę dnia w mojej kabinie. Pierwszy Pilot zdenerwował mnie. Wyjąłem Marka Aureliusza, czytałem przez chwilę przy migoczącej żarówce. Musiałem się jednak wpierw uspokoić, żeby słowa znowu do mnie trafiały. Książki szeleściły i szurały na półkach; sam też czułem w uchu mikroimpulsowe korekty kursu. Przegłosowane, Astromancer. Poprawiłem szpagaty i pasy mocujące księgozbiór. Trochę się już przemieszały tytuły po latach moich przypadkowych lektur, pora na ponowny remanent biblioteczny. Śmiali się ze mnie, że pół kabiny mam zapchane papierem. Przesunąłem palcami po grzbietach grubych monografii i cienkich raportów z prac badawczych. Nauka. Było tu także moje nazwisko, aż na którejś wachcie cmentarnej, upiwszy się bimbrem Radiowca, wyrzuciłem przez śluzę wszystkie książki, które mogłyby mnie zdradzić.

Nauka, żelazna dziewica. Jeśli piękno narodziło się dla człowieka, tak jak twierdzi Pasażer, to podejrzane są również nauki przyrodnicze w rodzaju fizyki - czyż fizycy nie przyznają, że w dociekaniach kieruje nimi często właśnie wycucie piękna rodzącej się teorii? czyż matematycy nie poszukują symetrii równań? Przecież sam znałem jej przyciąganie. Potem człowiek już zawsze dąży odruchowo do tej harmonii, nawet wiążąc buty i myjąc

zęby, budując zamki z piasku i piekąc ciasto. Kryje się ona i w matematyce, i w biologii roślin i zwierząt, w *geometrii muszli i liści*, i w *spiralach galaktyk*, *wielorybiej pieśni* kosmosu.

... Czyż cała nauka ludzkości nie zasadza się w istocie na owej satysfakcji z domyślenia się kształtu ukrytego, obrysowania Tajemnicy? Ujrzał nasz małpi praprzodek punkt gorejący w gęstwinie ciemnej - i jeśli zdołał z tego ślepiec drapieżcy odmalować sobie zaraz w głowie tygrysa całego, to przeżywał. Widać niejedna ręka nieśmiertelna potrafi obrysować te straszliwe symetrie. Bo tak my obrysowujemy w wyobraźni - w nauce - wszechświat postrzegany, oko potwora.

Książki szeptały do mnie coraz głośniejsze. „Behemot V” manewrował ostro. Co tam się działo? Wpadliśmy w gęstwę meteorów? Nie chciało mi się wychodzić. Przypiąłem się do łóżka.

Potem dowiedziałem się o incydencie z czarną fregatą. Wyszła z cienia radarowego ćwierćkilometrowych kamyków, równo w ekliptyce i wprost naprzeciw naszego wektora. Radiowiec twierdził, że gdybyśmy się już obrócili do deceleracji, moglibyśmy nie wymanewrować w porę - fregata gnała jak wariat.

Jakie jest prawdopodobieństwo, że w miliardach kilometrów próżni zderzą się wtem czołowo dwa statki? Gdyby jednostki w Układzie Słonecznym poruszały się po kursach doskonale *losowych*, istotnie byłoby ono astronomicznie małe. Jednak krzywe kursowe liczą zawsze te same algorytmy na tych samych startowych danych: przemieszczamy się od planety do planety, z orbity na orbitę. Gdyby nie niedoskonałości człowieka i milisekundowe opóźnienia aktywacji maszyn, chodzilibyśmy po parabolach odchylanych jedynie przez różnice w aktualnej grawitacyjnej macierzy czasoprzestrzeni.

Tutaj jednak nie znajdowaliśmy się na żadnym regularnym kursie. „Behemot” szedł po krzywej stanowiącej wypadkową improwizacji, błędów i manipulacji Nawigatora. A *jedyną* twardą daną, na której zawieszono tę krzywą, stanowiły koordynaty Astromancera.

Fregata wyskoczyła na nas cała czarna, to znaczy z wygaszonymi światłami pozycyjnymi, martwymi transponderami (tak blisko powinniśmy je łapać na antenach mimo burzy słonecznej), z wyłączonymi aktywnym radarem i laserunkiem antykolizyjnym. Dyżur w sterówce miał akurat Drugi Pilot. Prawą ręką manewrując manetkami ciągu i wolantem dysz korekcyjnych, lewą klepał na ślepo po panelu telemetrii. Zdołał wykonać fregacie trzy zdjęcia błyskowe. Na kontaktowej minęliśmy ją o półtora kilometra. W skali kosmicznej to odpowiednik otarcia farby z burt.

Radiowiec jeszcze tej nocy wywołał fotografie. W maksymalnym powiększeniu udało

się przez lupę odczytać część numeru seryjnego wymalowanego na wahadłowcu atmosferycznym podczepionym na zewnętrznym deku fregaty. Kapitan i Pierwszy Pilot, zajrzawszy do katalogu Ferre'a, wywnioskowali, iż fregata należy do prywatnej spółki z planet wewnętrznych. Profil kadłuba wskazywał, iż opuściła stocznię co najmniej trzydzieści pięć lat temu.

Czy istotnie wracała od Astromancera? Kto jeszcze - oprócz nas - zna jego położenie? Nawigator, podtrzymując wersję Pasażera, twierdzi, że kupił koordynaty od jakiegoś szabrownika kosmo-artu. Być może. Ale kto poza tym tu bywa, i w jakim celu?

Nad owymi niewyraźnymi fotografiami fregaty, powiększonymi na półtorametrowych odbitkach, siedzieli długo w noc, kichając i kaszląc, aż zegar kursowy wydzwonił alarm na hamowanie.

- Skoro tu taki ruch, dlaczego inni nie kradną?
- Kradną. Widzieliście katalogi aukcyjne Nawigatora.
- Dawno powinni byli rozkraść wszystko.
- To Astromancer jest od produkcji sztuki? Myślałem, że raczej na odwrót.
- Co, zjada ją?
- Nie, ludzie tu ją zwożą. Może to kod na ich melinę.
- Przemytnicy.
- Przemytnicy czego?
- Nie wiem.
- Doktor miałby gotową wielką teorię.
- Doktor śpi. Spałem.

Fatalne zapętlenie. Chyba wiem, co miał na myśli Elektronik. Przypięty pasami pod kocem, mrugając sennie do rytmu czerwonej diody pulsującej nad zamkniętymi drzwiami, na godziny przed podejściem do Astromancera, próbuję sobie wyobrazić graf operacji maszyny logicznej, który sporządziłby Elektronik, gdybyśmy wobec naszych dylematów mogli postawić kalkulator taki superspecjalny.

Kiedy podejrzewam o to i tamto *Pasażera*, albo Nawigatora i próbuję skonstruować teorię tłumaczącą w spójny i racjonalny sposób ich zachowania wraz ze zdarzeniami wcześniejszymi - to co właściwie wtedy robię? Otóż przede wszystkim buduję sobie w głowie wizerunek, odbicie Nawigatora: że tego by nie uczynił, tego nie mógł wiedzieć, na tamto jest za głupi, et cetera. Na tym wszak polegają wszelkie śledztwa. Z takiej koronki szyje się hipotezy spisków i rekonstrukcje zbrodni.

Ów Nawigator-w-Doktorze, zamknięty w puszcze „Behemota” z ośmioma innymi ludźmi, musi oczywiście w swych rachubach i decyzjach brać pod uwagę możliwe plany i reakcje pozostałych osób znajdujących się na pokładzie, pod horyzontem jego woli i czynu. A zatem projektuje swoje ruchy na podstawie modeli Kapitana-w-Nawigatorze, Pasażera-w-Nawigatorze i tak dalej. Lecz nie wolno mi zapomnieć, że są to wszystko rachuby już mojego wyobrażenia Nawigatora, toteż w istocie oglądam tu w głowie odbicia Kapitana-w-Nawigatorze-w-Doktorze, Pasażera-w-Nawigatorze-w-Doktorze, ba, Doktora-w-Nawigatorze-w-Doktorze.

Ale przecież i na tym się nie kończy. Nijak się nie kończy. Nie ma końca, nie może być. Nawigator-w-Doktorze-w-Nawigatorze-w-Doktorze, Kapitan-w-Pasażerze-w-Doktorze-w-Nawigatorze-w-Doktorze-w-Nawigatorze-w-Doktorze... Przekręcam się z boku na bok, dociągam pasy, przykładam czoło do zimnej płyty. Potrząsnąć, uderzyć - i poczuję w środku grzechot matrioszek: tak się objijają o siebie i o wnętrze czaszki lalkowe modele członków załogi, a każdy z analogiczną kolekcją matrioszek we własnej głowie - które też są nimi do cna wypełnione - i tak w nieskończoność. Nosimy tam w sobie tłumy, armie, galaktyki.

Na zewnątrz, w świecie otwartym, prędko się to rozsypuje: coś zawsze zakłóca proces odwzorowań, zdarzenia niezależne, osoby trzecie; uwaga się rozprasza, nie *jesteśmy w stanie* modelować cudzego życia, które biegnie poza naszą wiedzę, poza naszym horyzontem zdarzeń. Pozostajemy więc w miarę bezpieczni. Ale w izolacji długiego rejsu międzyplanetarnego, w zamkniętym systemie „Behemota V”, „Kaliguli”, „Santa Gary”...

Powstaje „fatalne zapętlenie”, wir samoświadomości, z którego nie sposób się wyrwać. Nie ma takiego logicznego rozumowania, które pozwoliłoby wydobyć się z owej spirali; logika prowadzi wyłącznie w głąb.

I zostajemy już tylko z wyborem między różnymi rodzajami instynktów, przeczuć, odruchów irracjonalnych. Z wyborem strategii oblędu.

Niczym w starych małżeństwach, w których małżonkowie znają się tak dobrze, że nie ma wielkiej różnicy między Żoną-w-Mężu-w-Żonie i Żoną-w-Mężu, między Mężem-w-Zonie-w-Mężu i Mężem-w-Żonie. Ale tu u nas - tu odbija się i mnoży bez końca nie to, co dobre, a wyłącznie to, co złe.

Nawigator truje wszystkich na pokładzie. Pasażer układa się z admiralicją na naszą zagładę. Kapitan kłamie i zwodzi, i podpuszcza. Inżynier z chciwości dogaduje się z każdym na lewo. Doktor kryje mroczne tajemnice przeszłości.

Piękno i prawda jest w oku patrzącego - więc co to za oko? kto patrzy? Niezglębiona, smolna pustka, zimna otchłań kosmosu, nieskończoność przemnożona przez nieskończoność.

Budzę się z krzykiem. Echo odbija się od stali.

VI. Wśród ruin

Astromancer rozkwita zmiędzy gwiazd czarnym chwastem. Spadamy w jego objęcia.

Nie mogę poruszyć głową zamknięty w ciężkim skafandrze, przypięty parcianą uprzężą do ściany za fotelem Radiowca. Kapsuły ratunkowo-manipulacyjne „Behemota” to pojazdy jednoosobowe i mamy je na wyposażeniu już tylko trzy. (Kompania nie refunduje raz utraconych części, które nie są statkowi niezbędne do funkcjonowania). Trzeba było zatem zapakować osiem osób w trzy Perły - Burza przekroczyła już wszelkie normy i wyjście bez osłony zza skały żelazowo-niklowej, gdzie postawiliśmy „Behemota”, grozi co najmniej chorobą nowotworową i dziurami w mózgu. Perły zaś to pancerne kule, które w teorii powinny wytrzymać nawet eksplozję stosu atomowego. Ale niewiele się w nich mieści poza fotelem pilota, systemami podtrzymywania życia i podstawową elektroniką. Gdyby przyszło do nagłych przyspieszeń i hamowań, połamiemy tu sobie kręgosłupy.

Lecz było oczywistym, że nikt z nas nie zaufa reszcie na tyle, by pozostać na pokładzie „Behemota”.

- (szum) Załoga, (szum) (szum)
- (szum) Pierwszy, jest.
- (szum) Drugi, jest.
- (szum) Inżynier, jest.
- (szum) Elektronik, jest.
- (szum) Radiowiec, jest.
- Doktor, jest.
- (szum) Pasażer? (szum)
- (szum) Khm. Jestem.

Astromancer rośnie na głównym monitorze Perły. Spoglądam ponad fotelem i Radiowcem: ośmiornica bezgwiezdnej ciemności. Usiłuję dopisać mu w myśli konkretne kształty. Czy to wyciemniony habitat? Jakaś baza górnicza? Statek niewymiarowy? Profil na radarze wciąż zbyt jest koślawy.

- (szum) Kapitan. Dwa trzysta, na osi do stycznej, potem statyczny korekcyjny.
- (szum) Drugi, przyjął.
- (szum) Radiowiec, przyjął.

- (szum) Kapitan, na dwieście reflektory. Trzymać otwarte częstotliwości. Transpondery na międzynarodowym. Powtarzamy.

- (szum) Drugi, przyjął.

- (szum) Radiowiec, przyjął.

- (szum) (szum) (szum)

Nie mam fonii z wnętrza Perły, słyszę tylko łączność skafandrów, idącą zresztą na amplifikatorach Pereł, co jest konieczne, by przebić się przez szum burzy słonecznej. Nie słyszę więc ani nie widzę ruchów Pasażera przymocowanego do ściany-sufitu po prawej stronie i nade mną. Powraca mocne przekonanie, prawie pewność, że gdybym tylko mógł ujrzyć jego twarz w momencie, gdy Astromancer wyłoni się przed nami z ciemności - poznałbym prawdziwe motywy Pasażera.

Tymczasem próbuję obrysować w wyobraźni cielsko tygrysa w nocnej gęstwinie.

- (szum) Drugi, drobnica na kursie. Schodzę na plus sto w płaszczyźnie.

- (szum) Kapitan, przyjąłem. Meldować o kolizyjnych.

- (szum) Drugi, to chyba kable luzem.

- (szum) Kapitan, widzę.

- (szum) Radiowiec, widzę.

- (szum) Cholerne zasieki, (szum)

- (szum) Kapitan, wszyscy kontra do jeden koma pięć na sekundę. Nie zaplątać się w to.

- (szum) Drugi, przyjął.

- (szum) Radiowiec, przyjął.

Impulsowe hamowanie, chociaż bardzo słabe, ciska mną naprzód w uprzęży i przez chwilę zajęty jestem wyłącznie walką z wykręcającymi członki pasami; ręce w ciężkim skafandrze też nie wszędzie sięgną, wiję się jak mucha w pajęczynie.

Tymczasem w Perle się rozjaśnia, a w słuchawkach rozbrzmiewa nowy gwar. Włączyliśmy reflektory.

- (szum) wrak (szum) zderzyła (szum) (szum) głazami na dodatek (szum) rozpruty (szum) chyba ze stoczni orbitalnej jeszcze (szum) projektu (szum) więcej niż sto lat (szum) (szum) i złomu (szum)

Wykręcam się wreszcie w uprzęży tak, żeby znowu móc zajrzeć ponad fotelem na monitory. Trzy nieforemne plamy bieli pełzną powoli po powierzchni Astromancera. Objawiają się podziurawione płyty tytanowe, wyprute w próżnię płataniny rur i przewodów elektrycznych, konglomeraty gruzu meteorowego i okrętowych śmieci złapane w sieci kabli i

rozdartych anten, rozdziawione szeroko paszcze wbitych w to wszystko pod absurdalnym kątem dysz. W końcu widzimy nawet napięty na gładkich fragment balonu habitacyjnego, pomalowany w pomarańczowo-zielone pasy. Wszystko to nie ma sensu i nie jest do niczego podobne.

Potem jednak przypominam sobie kosmo-art w kabinie Nawigatora.

- (*szum*) Kapitan, na pięćdziesiąt stop, triangulacyjnie na otwartych. Musimy znaleźć bezpieczne podejście.

- (*szum*) Drugi, przyjął.

- (*szum*) Radiowiec, przyjął.

- (*szum*) Pierwszy, tamci jakoś podlatywali. Musi być otwarta styczna.

- (*szum*) Pasażer, on się obraca na prostopadłej. Poczekajmy.

Odruchowo obkręcam się w pasie ku Pasażerowi. Bez skutku - widzę tylko kawałek jego nogi.

- Doktor, przypominam o zdjęciach do analizy.

- (*szum*) Kapitan, fotki, panowie.

Znowu szarpnięcie: parkujemy na pięćdziesięciometrowej orbicie nad Astromancerem.

- (*szum*) (*szum*)

- (*szum*) Co?

- (*szum*) Radiowiec, on nadaje.

- (*szum*) Kapitan, melduj.

Radiowiec wystukuje coś na panelach pod bocznym rozrzędem. Dlatego przecież siedzi w fotelu trzeciej Perły: na wypadek gdyby Astromancer się do nas odezwał.

- (*szum*) Radiowiec, szum. Na razie. Próbuje. Chwila. Jeszcze. (*szum*)

Astromancer wiruje nad/przed nami bardzo powoli, wystawiając pod światło już to krągłe pośladki wciśniętego w złomowisko meteoru chondrytowego, już to iglicę przebijającej go wskroś anteny albo włochate podbrzusze zbiornika jakiejś cieczy, która w zerze Kelvina skrzepła na metalu w postaci fal brązowych kudłów.

- (*szum*) Pierwszy, mam kalkulację z radaru: trzysta siedemdziesiąt osiem w osi, sto dziewięćdziesiąt trzy w obrocie. Masa wyjdzie dopiero z przyłożenia, w środku może być próżnia, a może być magazyn uranu.

- (*szum*) Radiowiec, trzy częstotliwości, podaję na dolnych. Pierwszy to niemodulowany szum. Drugi rozbijam cyfrowo, mam format, nie mam treści. Trzeci to mors. Pętla literowa, ale nic ze znanych mi języków, (*szum*) Zbyt słabe, prawdopodobnie wyciek z transmisji wewnętrznych, (*szum*) Także podczerwień, aury rezydualne zza izolatorów. Być

może stos na spoczynkowej, niewygaszone systemy otwarte.

- (*szum*) Kapitan, rejestruj.

- (*szum*) Radiowiec, rejestruję, rejestruję.

Pod reflektory znowu wchodzi kostropaty blok regolitu wbity pod pierścień towarowy wraku. Głaz musi mieć dobre pięćdziesiąt metrów. Na jego „górną”, prostokątnej płaszczyźnie ktoś wymalował koncentryczne kręgi niczym na strzelnicy - jednak dziwnie nierówne na i tak nierównej, chropowatej powierzchni, jakby kreślone po omacku.

Od zaparkowania „Behemota” nadajemy wezwania radiowe. Taka obowiązująca procedura - ale przede wszystkim po to, by nie wpaść przypadkiem na innych sekretnych gości Astromancera. Nie wykryliśmy w pobliżu żadnego statku, co jednak o niczym nie przesądza: wystarczy, że się kosmolot wyciemni, wychłodzi i nijak go nie wypatrzymy pośród tysięcy mniejszych i większych kamieni podróżujących od milionów lat po tej orbicie. Nawigator miał rację: nawet zaparkowawszy przypadkiem dokładnie tam, gdzie zaparkowaliśmy, moglibyśmy przeoczyć Astromancera. Zresztą nie trzeba się nawet wyciemniać - wystarczy pozostawać w cieniu elektromagnetycznym innej skały. Niemniej przyjęliśmy zgodnie, że Astromancera będziemy mieć w czas burzy słonecznej dla siebie - bo tylko samobójcy operowaliby tu poza osłonami.

Sięgam do zatrasku awaryjnego i wypinam się z upręży. Odpycham się od ściany, mijam fotel pilota. Radiowiec obraca ku mnie hełm.

Pokazuję na malutki panel diagnostyki zewnętrznej. Perła nie ma wyrafinowanych czujników na pancerzu, projektanci założyli, że one spalą się pierwsze. Wyprostowanym palcem wskazującym - i tak absurdalnie wielkim w paluchu skafandra - klepię w te toporne przyciski. Kanciaste cyferki podskakują na czarno-białym wyświetlaczu.

- Doktor do Radiowca, przesuń nas w cień solarny.

Radiowiec kiwa głową.

- (*szum*) Kapitan, co wy tam kombinujecie?

- Doktor, sekundę.

Radiowiec daje miniimpuls na korekcyjnym. Rzuca mną o ścianę. Zapomniałem, że się odpiąłem. Na szczęście pchnięcie było dosyć słabe. Przełykam ślinę. Przygryzłem sobie język.

Wracam do panelu diagnostyki.

- (*szum*) Kapitan, nie udzieliłem zgody na wyjście z formacji. Radiowiec, Doktor!

- Doktor, czytam promieniowanie korpuskularne i elektromagnetyczne. Astromancer daje pełną osłonę. Powtarzam, pełna izolacja od burzy.

Przez chwilę to trawia.

- (*szum*) (*szum*) Jest za mały, żeby postawić za nim „Behemota”.

- (*szum*) Nie możemy mieć pewności, to łatanina, widzicie.

- (*szum*) Podniósłbym się na ukośną (*szum*) przeświecić na wszystkich profdach wzdłuż.

- (*szum*) Kapitan, kto to mówi? Identyfikować się! Astromancer pokazuje nam tymczasem w kręgach światła figę zawiniętą z trzech białych rękawów ciśnieniowych, każdy gruby jak od pasażerskiego „Matuzalema”, każdy postrzępiony i dziurawy.

- (*szum*) Elektronik, ja notuję, to nie jest, nie może być jeden wrak. Co najmniej trzy różne statki. Fragmenty z nich. Plus moduły orbitalne. I inne.

- (*szum*) Zderzyły się?

- (*szum*) Pierwszy, widzę otwarte podejście.

- (*szum*) Kapitan, widzę.

Kręgi światła spotykają się na odcinku Astromancera za bryłą regolitu wbitą w kadłub potężnego modułu industrialnego. Bryła wysunięta w obrotach poza profil Astromancera wyczyściła tu kable i inne śmieci, da się przemknąć bezpośrednio w cień skały i potem do kadłuba. W kadłubie ziejie dziura.

Reflektory zaglądną w ciemność. Nie wyłania się z niej żaden konkretny kształt. Na obrzeżach dziury i na orbicie nad nią skrzą drobiny zamrożonej cieczy.

- Doktor, zejdziemy pierwsi, odczytam natężenie promieniowania, prosba o pozwolenie.

- (*szum*) Każdemu (*szum*) wyrwał, (*szum*) (*szum*)

- (*szum*) Kapitan, ani metra bez rozkazu. Doktor, Radiowiec! (*szum*) zrozumieli?
(*szum*)

- Doktor, zrozumiał.

- (*szum*) Radiowiec, zrozumiał.

Wyłączam radio skafandra i przykładam hełm do hełmu Radiowca. On także przeciął swoją łączność.

- Szybko. Co robimy?

Sapie, zdenerwowany.

- Ryzykowałbyś?

- Kto pierwszy wejdzie do środka.

- Ile postawisz na tę osłonę?

- Niech się obróci w pełnej osi, powinniśmy porównać odczyty z kątowych.

- Ale już wewnątrz. Nie wiadomo. Może płatanina taka. Krok dalej i dostajesz pełną dawkę. Ile trzeba?

- Krok cię nie zabije. Ale lepiej unikać, nie przeczę.

- Która część osłania? Może to coś w środku, co miniemy. Jakies grodzie wewnętrzne, gruz, nie wiem.

- Mamy liczniki. Szybko: tak, nie.

Stuknięcie. Pasażer się wypiął z uprzęży, przyłożył hełm.

- Spokojnie, nie zdradzę was.

- Wyłączył się pan?

- Jeśli chcecie się wyrwać tam pierwsi -

- Pan zostanie w kapsule.

- W jaki sposób myślicie potem cokolwiek przemyścić poza wiedzą reszty załogi?

- A pan wie, co tam jest w środku?

- Zresztą w warunkach burzy i przy niepewnej osłonie tylko ten robot Kapitana mógłby -

- O jasna cholera!

Nie patrzyliśmy na ekrany. Czym prędzej wpinam się w uprzęż i włączam radio. Na głównym monitorze obie Perły - Kapitana i Drugiego Pilota - pędzą, manewrując aktywnie, ku dziurze za regolitem.

- (*szum*) (*szum*) Rozkaz! (*szum*) Powtarzam! (*szum*) żeby (*szum*)

- (*szum*) potem procedurami (*szum*)

- (*szum*) was wszystkich! (*szum*) (*szum*)

- (*szum*) pocałować, Kapitanie, (*szum*) - (*szum*) (*szum*) (*szum*)

Radiowiec już bez słowa więcej włącza silniczki. Pasażera rzuca o ścianę. Coś chrobocze po osłonie Perły, zahaczyliśmy o kable, zmarzliny chemiczne, złom oddarty ze złomu. Radiowiec nie gasi odrzutu. Na ekranach przesuwają się na boki oświetlone i nieoświetlone fragmenty rozpostartego dookoła Astromancera gruzowiska. Kapsuły Kapitana i Drugiego Pilota wcelowały już wektorami prędkości w otwór w poszyciu wraku; schodzą weń na zgaszonych prędkościach kątowych. Radiowiec klnie na otwartym kanale.

- (*szum*) Na szarym końcu!

- (*szum*) Nie wyjdą na wprost Słońca.

Jedna, a potem druga Perła znika w owalnej dziurze ciemności, ostra jak żyłtka krawędź cienia obrysowuje metaliczne kule: coraz mniejszy półokrąg biało-czarny - plamka - punkt - i zniknął.

Radiowiec dźga w tę ciemność reflektorem. Pokazują się krzywizny wewnętrznych konstrukcji wraku, rozcinające przestrzenie międzypokładowe kolejnymi cieniami. Perły zniknęły w jednym z nich.

Obraz zachodzi mgłą - odpaliły przednie dysze, szarpnęło mnie w przód, hamujemy.

Na ekranach po prawej przesuwa się czarny masyw regolitu. Po nim płynie od góry skośne pasmo blasku słonecznego.

- (*szum*) Czekacie! (*szum*) (*szum*)

Myląc się i nie trafiając niezgrabnymi paluchami w klawisze, obliczam okres obrotu Astromancera i czas ekspozycji na promieniowanie odsłoneczne w każdym obrocie.

Dziura wypełnia już cały główny ekran.

Słońce pełźnie po skale w przypiływie czarno-białym, granica kolorów wycięta lancetem.

- Siedem minut, chyba że się od razu za coś schowamy. Potem dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć w miarę bezpiecznych.

- (*szum*) Co?

- Musimy odczekać, nie wyjdziemy w skafandrach, dopóki się nie obróci osłoną między nami i Słońcem.

- (*szum*) Pasażer. Przejdźmy na prywatny. Odciełi nas.

Wciąż strzelając z przednich dysz w impulsowych korektach, wsuwamy się powoli w kolczasty mrok Astromancera, ścigani przez jeszcze powolniejszą falę zabójczej jasności.

Słyszać tylko oddechy.

Trzy figurki w jasnych skafandrach pochwycone w kleszcze ciemności kosmicznego wrakowiska. Taki obraz ujrzałem, obracając się z włączoną lampą hełmu ponad wywiniętym w paszczę zimnej próżni jęzorem na wpół stopionego metalu; w plamie refleksu świetlnego zamajaczyło mi nasze odbicie na perłowej powierzchni Perły Trzech astronautów na progu gwiazdnej otchłani. Czyż nie oglądaliśmy wszyscy tych filmów, w młodości, w dzieciństwie, czyż nie czytaliśmy tych powieści i komiksów, czy nie z tej ikonografii wyśnili swe powołanie próżniowcy pokolenia Kapitana? Nie poczuje owego dreszczu, kto nie zaznał go jako dziecko, wytrenowany w teatrzyku dziecięcej wyobraźni, na papierowych astronautach i papierowych kosmosach.

Skafander Radiowca jest pomarańczowy, Pasażera - jasnoblękitny, mój - piaskowożółty. W nierozpraszanym przez atmosferę, twardym świetle reflektorów wydają się prawie białe. A ciemność wokół - absolutnie, węglowo, śmiertelnie czarna.

Główny reflektor Perły skierowaliśmy wskroś dziury, na platformę trzy pokłady i kilkadziesiąt metrów dalej, gdzie zawisła Perła Kapitana. Perły Drugiego Pilota nie wypatrzyliśmy; niewykluczone, że wcisnęła się głębiej w tamten pokład, przed Kapitanem. Doszliśmy jednak do wniosku, że Drugi Pilot i Kapitan kierowali się tą samą logiką chciwości co my.

To dylemat wprost z teorii gier. Jest labirynt i skarb ukryty gdzieś w labiryncie. Trzech poszukiwaczy ma taką samą wiedzę o jego położeniu: bliską zera. Jeśli poszukiwacz drugi podaży drogą wybraną już przez poszukiwacza pierwszego, to - chociaż bezpieczny przed wszelkimi groźnymi niespodziankami, które spotkają pierwszego - nawet gdy coś znajdzie, na pewno nie znajdzie tego pierwszym. Powinien więc obrać drogę możliwie różną. To samo tyczy się poszukiwacza trzeciego. Gra skomplikowałaby się, gdyby poszukiwacze znali nawzajem rezultaty swych peregrynacji. Jednakże po rozdzieleniu się we wnętrzu wrakowiska tak czy owak utracimy łączność.

Radiowiec, wisząc nad krawędzią kratownicy, nadal wypatrywał jakiegokolwiek ruchu wokół oświetlanej przez nas Perły Kapitana. Tamta Perła miała wyłączony reflektor. Nikt się też dotąd nie pojawił w jej pobliżu. Poszli w głąb, do Astromancera. Kapitan i Pierwszy Pilot. Chyba że siedzą tam wciąż w środku kapsuły i czekają - na co? Radiowiec zabrał ze sobą z Perły silne radio impulsowe, nadawał przez nie na częstotliwości „Behemota” i nasłuchiwał. Bez skutku. Poszli, poszli z pewnością.

W próżni wskroś dziury i między rozprutymi pokładami dryfowały na tle gwiazd ławice skrzących w świetle kryształków tlenu, wody, czystego azotu, pyłków metalu i plastiku, mikroskopijnych skrzeplin rozmaitych płynów i gazów skroplonych i zamrożonych w zerze Kelvina. Wszystko wystrzeliło z ciśnieniowych zbiorników i hydrauliki w momencie zderzenia, w momencie wybuchu - jakakolwiek była przyczyna katastrofy. Coś przecież musiało wyrwać tę dziurę w boku statku, dobre czterdzieści metrów średnicy, zęby rozpękniętego pancerza wywinięte na zewnątrz, szkielet nośny odarty z kilotonowego ciała.

W kosmosie na pierwszy rzut oka nie sposób oszacować wieku sztucznego obiektu. Wrakowisko Astromancera przemierza tu szlak wokółsolarny w gęstwie planetoidowej, która w końcu rozgryzie, podziurawi i zmiążdży je nie do poznania - ale to kwestia milionów, miliardów lat. W skali człowieka zaś czas w tym cmentarzysku się zatrzymał, to miejsce wyjęte z czasu - jak światy baśni, religii, mitów. Tylko krążą, krążą wokół Słońca po swoich zodiakach i trolk'inach, ale ciemność zawsze zalega w Hadesie, i Marduk zawsze miażdży łeb Tiamat i szlachtuje ją wpół.

Zawisnąwszy ponad krawędzią obok Radiowca, zwrócony szybką hełmu w stronę

gwiazd mrugających nerwowo w koślawym owalu dziury, odczepiłem lampę znad czoła i jąłem skakać kołem kremowobiałego światła po wylotach otwartych w ciemność arterii statku, po wystających w mróz obłamkach tytanowo-molibdenowych kości umarłego kosmolotu, po wrzodach ziejących w blachach międzypokładowych, bliznach po udarze gigadzulowym, szramach wyrytych w betonowych plombach, którymi automaty nadaremno usiłowały plastrować rany kadłuba astrolotu w ostatnich sekundach jego życia, po wiązkach synaps i naczyń włosowatych okrętu wydzierganych brutalnie w próżnię: ciężkich kablach siłownikowych, lekkich miedzianych drutach elektryki i maszynowej homeostatyki, giętkich obwodach wzbudnic i węzownic chłodzenia, to wszystko obnażone obscenicznie unosiło się tu dookoła w chaotycznych konstelacjach, otaczało mnie senną galaktyką śmietnika i grobu. Oderwane ramię robota. Bielutkie butelki tlenowe. Połówka przelaserowanej maszyny do pisania. Krzesło z roztopionymi nogami. Wielka jak głowa, zamarznęta kropla krwi. Trzy puste hełmy w równym rzędzie. Talerz z przymarznęta doń jajecznica. Książka otwarta na rycinie z Łazarzem. Kanister. Klucz francuski. Jabłko.

Przestawiłem alarm tlenu skafandra na trzydziestotrzynastominutowe okresy obrotu wrakowiska wokół osi; sygnał włączy się na minutę przed powrotem pod burzę słoneczną. Naturalnie im bardziej oddalimy się od dziury i zmienimy nasze położenie względem niewidocznej osłony oraz osi wrakowiska, tym mniej będziemy mogli polegać na tych obliczeniach.

Alarm odliczał do początku następnego okresu bezpiecznego; nie było sensu wyruszać w połowie obrotu. Mieliśmy jeszcze pięć minut, plus siedem minut ekspozycji słonecznej, gdy trzeba z powrotem schować się do Perły.

- (*szum*) Zobaczcie.

Pasażer znalazł coś pod wygiętą płytą ceramiczną na pokładzie wyżej. Obróciłem lampę, otworzyłem dyszę ręczną. Po chwili zawisłem przy nim, trzydzieści stopni od pionu Pasażera.

Do płyty przysmażyły się wpółroztopione strzępy izolacji, w nich podmuch eksplozji zatopił odłamki sprzętów wylutych w kosmos razem z uciekającą atmosferą. Znalazły się tu - muszki zalepione w industrialnej żywicy - cyferblaty zegarów mierniczych, kryształki szkła, spirale niklu, miedzi i cyny, strzępy wykładziny pokładowej, jeden guzik rogowy oraz obudowa zapalniczki.

A także - wygięta i osmalona płytka certyfikatu stocznioowego, jeszcze z trójkątnymi nitami w rogach. Na każdym module statku mocuje się takie płytki po remoncie; czasami ubezpieczyciel wymaga jeszcze inspekcji producenta.

Pasażer przetarł pociemniały metal błękitną rękawicą.

LUNAR CRAFTS & WORKSHOPS, GRUBER & Co., 2049

LLOYD'S REGISTER GROUP, LONDON

PROPERTY OF MIZUMI ENTERPRISES, GENEVA, SWITZERLAND

HERMAPOLIS II, HLN LUNAR INDUSTRIES, 2011

CSS BEOWULF

Alarm tlenowy zapiszczał mi w słuchawkach.

Za pomocą rury z kawałka serwomechanizmu rozdziawionej na oścież grodzi podważyliśmy i wyrwali płytkę z kleksa zmrożonej izolacji.

Stłoczeni z powrotem we wnętrzu Perły, obracaliśmy ją w niezgrabnych dłoniach niczym magiczne lustro.

- *(szum)* Nigdy go nie znaleźli
- *(szum)* Właśnie znaleźliśmy.
- *(szum)* Przylatują tu. I nikt nie zgłosił.
- *(szum)* Pan zgłosi?
- *(szum)* *(szum)* *(szum)*
- *(szum)* Co tu się wydarzyło?

Słońce schowało się za pancierz, wskazówka promieniowania spadła z czerwonego pola i weszliśmy w trzewia „Beowulfa”.

W ciszy watomanej jednostajnym szumem naszych oddechów, taktowanej terkotem miernika promieniowania. Odbicie, krok, odbicie, ale powoli, ostrożnie, w baletowym zawieszeniu pomiędzy płaszczyznami stali, po długich łukach, spowolnieni w ruchu razem z resztą wszechświata. Ciemność zimnej próżni stanowi ośrodek o gęstości mleka - to stąd owo tempo milczącego snu, z powodu czarnego mleka. I tylko trzy sztylety światła kłują wprzód po wektorach ruchu; i tylko tyle widzimy, co ich drżące ostrza wyskrobiają spod atramentowej zawiesiny, bo nawet nie same długości kling, nie snopy blasku.

Weszliśmy w korytarz na pokładzie tuż powyżej tego, gdzie spoczęła kapsuła; wybraliśmy tę drogę, ponieważ zrazu tu najgłębiej sięgał reflektor. Radiowiec począł zapisywać marszrutę w przyramiennym notatniku. Raz, żeby się nie zgubić w drodze powrotnej. Dwa, żeby nie zatracić orientacji względem osi obrotu wrakowiska i osłony odsłonecznej. Pasażer zabrał też nabój luminescencyjnego markera i znaczył nim ściany co zakręt.

A zakręciliśmy już po dwunastu metrach. Były to korytarze modułu przemysłowego. Poznaliśmy po szerokości grodzi i fabrycznych stemplach nad zatrzaśniętymi drzwiami. Wszystko pokrywał lekki nalot osmalenizny i jakby pyłu grafitowego. Przyświecaliśmy z boków, podczas gdy Pasażer wytarł metal rękawicą. Ukazały się liczby porządkowe, emblemat producenta i specyfikacje energetyczne. Radiowiec nacisnął guzik i szarpnął dźwignię alarmową, lecz drzwi ani drgnęły. Omiótł lampą korytarz wokoło. Pod sufitem na następnym zakręcie unosiło się truchło siedmioramiennego automatu, pająk-kandelabr. U styku ścian szły wiązki kabli zasilających, grubych jak udo mężczyzny, trakcja teradzulowa prosto ze stosu.

- (*szum*) Chodził w dyżurze inżynierskim.

- Znasz to?

- (*szum*) Technogator.

W swych dniach ostatnich „Beowulf” kursował najwyraźniej jako wspomagająca jednostka lunarnego korpusu inżynierskiego. Znajdowaliśmy się w module robotyki i cybernetyki klasy Alfa Plus, to znaczy przeznaczonym nie tyle do wykonywania z góry zadanych prac, ile do produkcji narzędzi do ich wykonania - W kosmosie zdarzyć się może dowolna liczba katastrof, wszyscy tu żyjemy w sztucznych środowiskach podtrzymywanych w istnieniu przez maszyny, i nie sposób przewidzieć, jaki typ automatów czy systemów intelektualnych okaże się niezbędnym w danej sytuacji, nie da się też ich wszystkich składować na miejscu ani transportować skroś Układu Słonecznego od potrzeby do potrzeby. Technogator potrafi natomiast skonstruować w kilka godzin automatykę niezbędną dla zaradzenia dowolnemu kłopotowi, byle dostarczyć mu materiału i energii.

Radiowiec zapisywał numery zamkniętych nisz produkcyjnych. Nie pytałem, po co mu one.

Korytarz stawał się coraz bardziej zaśmiecony, coraz częściej musieliśmy odgarniać sprzed siebie kawałki sprzętów, odłamki mechanizmów, grubszy i grubszy pył meteorowy. Posuwaliśmy się już gęsiego, ten na przedzie mocował lampę do hełmu i miał ręce wolne, by rozsuwać kurtyny szczątków. Raz wypchnięte z lewitacyjnej martwoty, potem odbijały się od ścian, wpadały na kolejne przedmioty, wirowały - w zależności od masy - w powolnym balecie albo niczym bąki rozdrażnione; powietrze ich nie hamowało, nie hamowało ich ciężenie. Znalazłszy się w ariergardzie, obróciłem się o sto osiemdziesiąt stopni i spojrzałem wstecz. Cały korytarz za nami wirował i pulsował, niby podrażnione jelito perystaltyczne. Wpychaliśmy się do wnętrza martwego organizmu, który po naszym przejściu jednakowoż ożywał życiem martwiaczym, półtrupim. Światło skafandrowych reflektorków

skakało po rozpędzonych szrapnelach grobu.

Wkrótce zagęściło się jeszcze bardziej. Dotarliśmy do skrzyżowania. W korytarzu z prawej światło grzęzło na paru metrach - wisiał tam gruz meteorowy rozmiarów pięści, głowy; kawałki skały węglowej, żelazowo-niklowej, porowatego regolitu, choridrytów enstatytowych.

- Nie przecięniemy się.

- (*szum*) Jak to wszystko się tu dostało?

Część nadto przedryfowała do korytarza głównego, musieliśmy odpychać teraz kamienie o bezwładności wielokilogramowej i jeszcze uważać, dokąd potem odlatują, rykoszetując bilardowo w zwolnionym tempie. Posuwający się na przedzie Radiowiec sapnął ostrzeżenie o odepchniętej wyjątkowo ciężkiej zawalidrodze, i dopiero gdy skierowaliśmy na nią dwie lampy, spostrzegliśmy, co nam przelatuje nad głowami w lunatycznym wirowaniu, wypłukane na moment z czarnego mleka: zwłoki człowieka w rozdartym wpół kombinezonie. Odbił się barkiem od ściany, zakręcił na ułamanym dźwigarze, przekazał impet puszcze smaru i przybił piętami do sufitu.

Zawisnęliśmy wokół, liżąc go nerwowo jęzorami światła.

- (*szum*) (*szum*)

Nie miał lewej połowy głowy. Cięcie musiało być laserowe, pozostała równa płaszczyzna przekroju od szczytu czaszki do kości obojczyka, *extremitas sternalis* i *manubrium sterni*. W to miejsce zasadzono obfity krzew obwodów krzemowych i miedzianych, diod niobowo-tantalowych, lamp próżniowych, długich oporników na cynowych ścięgnach, w kłębkach poszarpanej izolacji i zakrzepłego towotu. Z *corpus callosum* wyrastał wkręcony prostopadle w zlodowaciałą materię mózgową czytnik taśmy ferromagnetycznej.

- (*szum*) Doktorze.

Rozsunąłem ostrożnie materiał kombinezonu. Na białym podkoszulku nie wykryłem śladów krwi. Mężczyzna zastygł z rękoma rozłożonymi jak do lotu, z nogami w przykurczu. Prawe jego oko - lodowy rubin - gapiło się z maniakałnym napięciem w nieskończoność pomiędzy łokciem Pasażera i kolanem Radiowca. Zanim zamarzł, pękły mu w gałce wszystkie naczynka krwionośne. Prawa połowa ust zatrzymała się w półokrzyku, ukazując połowę języka. Po stronie lewej odpowiadała mu połówka karty perforowanej. Wyrwałem ją z tego krzaka obłąkańczej elektroniki. Kod na krawędzi opisywał element jakiejś procedury technogatorowej. Przekazałem kartę Radiowcowi. Zanotował kod i schował ją do kieszeni skafandra.

Przypomniało mi to o kieszeniach kombinezonu trupa. Przeszukałem je, nie znajdując niczego ponad ołówek, kilka gumowych uszczelek i zasupłaną wiązkę kabli. Zwróciłem jednak przy tym uwagę na lewą dłoń denata - dopiero przyświeciwszy z bliska, dostrzegłem, że jej paznokcie nie są paznokciami, wymieniono je na kwadratowe płytki ebonitowe. Skórę tej dłoni pokrywał zaś gęsty tatuaż maszynowego kodu kreskowego. Podwinąłem rękaw kombinezonu. Tatuaż biegł wzdłuż ramienia. Albo wykonano go przed śmiercią kosmonauty, albo pośmiertnie ktoś z powrotem przydział zmarłego.

- (*szum*) Doktorze?

- Nie mam pojęcia. Musiał zginąć wcześniej. Ale jak, i co to w ogóle jest...

- (*szum*)

W absurdalnym odruchu obróciłem lampę w głąb korytarza w obie strony. Czy ktoś nas nie podgląda, czy się nie podkrada. Ale tylko chaos maszynowego grobu wyświetlił się z mroku, ruchomy i nieruchomy.

- (*szum*) De Grais, trzecia fala, Rezonans Trutnia.

- (*szum*) Co?

- (*szum*) Ten kosmo-art swego czasu schodził na Lunie po trzysta tysięcy. Teraz to banał. Najprostsze kontrasty człowiek-maszyna. Widzicie panowie toporność tych symetrii.

Zapisał mi alarm tlenowy. Ostrzegłem ich; umilkli. Odczytałem wskaźniki promieniowania. Nic się nie zmieniło. Gdzie znajdowaliśmy się względem osi obrotu wrakowiska, naszej Perły i osłony? Radiowiec studiował przez chwilę swoje zapiski. Przygryzłem wargę. Nie przemyśleliśmy tego zbyt dobrze. Na pewno przecież nie zdążymy wrócić do Perły. Liczyliśmy, że kryje nas kołnierz stosu atomowego któregoś z tych zdemolowanych statków czy habitatów. Czy jednak zaszliśmy wystarczająco daleko w głąb „Beowulfa” i poza wektor wybitej w nim dziury? Radiowiec liczył metry i zakręty. Powinien wiedzieć.

- (*szum*) Okay.

A jednak zamarliśmy tam przy trupie na długie sekundy, czekając przyływu burzy solarnej, panicznego pisku mierników. Trzy dyski blasku krążyły bezcelowo po ścianach, kamieniach, trupie, kawałkach maszyn i mebli; każda myśl adrenalina przemnożona stokroć w spojrzenie, przemnożona stokroć w taniec światła. Milimetrowy dygot duszy ukazywał się dwumetrowym łukiem reflektora.

I zdało mi się wówczas, że w jednej z tej myśli płochych, lękliwych wyświetlił się za ruchomymi kurtynami śmiecia inny ruch, gwałtowniejszy, niejednostajny, ruch innego, większego kształtu - tam, u dna korytarza-szybu, którym już przeszliśmy. Dźgnięty pod

osierdzie igłą adrenalinową, zaraz wróciłem tam myślą i światłem - ale nie, niczego już nie pochwyciłem w widzialny konkret.

Tit-tik-tik, przeczekaliśmy spodziewane uderzenie burzy i nic się nie stało, wskazówki ledwo zadygotały. Byliśmy bezpieczni. Zmienił się jednak nieodwracalnie nastrój naszej wędrówki - jeśli uprzednio popychała nas naprzód także ekscytacja właściwa dla eksploratorów, odkrywców, teraz niewiele z niej pozostało. Już nie ja jeden machałem lampą w odruchach nie tyle ciekawości, co lęku. Koła i owale i powyginane plamy jasności skakały po suficie, podłodze, ścianach, przylepiały się do dryfujących w korytarzu przedmiotów, coraz to kierując się także do tyłu, na to, co pozostawiliśmy za sobą. I tak, w nerwowych wyświetleniach-spojrzeniach, ukazywały się nam kolejne zagadki „Beowulfa”.

Nieczynny robot nieznanego projektu, wbity w płytę ścienną jakby wpadła nań z za zakrętu rozpedzona gigantyczna masa. Robot był wielkości odkurzacza i składał się niemal wyłącznie ze skomplikowanego systemu przekładni i kół zębatach; brakło nam wyobraźni, do czego mógł służyć. Kilka metrów dalej spostrzegliśmy panel ścienny w całości pokryty równymi rzędami i kolumnami cyfr. Cyfry miały poniżej centymetra wielkości i chyba wyżegano je kwasem. Radiowiec w pierwszym odruchu chciał je zapisać; poddał się prędko, zajęłoby mu to kilka godzin. Między cyframi nie pozostawiono odstępów; z pozoru był to taki sam biały szum jak radiowe transmisje Astromancera. Spostrzegliśmy brak cyfr 8 i 9; informację najpewniej zapisano w systemie ósemkowym. Nikt z nas nie wiedział, co by to miało oznaczać; nie używano przecież innych systemów niż dziesiętny i dwójkowy.

Wkrótce potem trafiliśmy na otwartą niszę produkcyjną Technogatora. Za pierwszym oświetleniem ukazało się coś jakby mechaniczna rana w pokładzie modułu, krater wybity w wewnętrznym rezerwuarze szalanej robotyki, która, uwolniona spod morderczego ciśnienia, wykpiiała na wszystkie strony, po czym zamarzła, spiętrzona na kratownicach, grodziach, dźwigarach, płaszczyznach działowych. Wisieliśmy w zdumieniu nad tą martwą od nie wiadomo ilu lat erupcją metalu, kładąc na nią trzy figury światła, trzy białe kształty wyginające się na tytanowych korpusach wklepanych w barokowy złom, na setkach hartowanych przegubów pajęczych splecionych w przedziwne mozaiki szkieletowe, na falach łożysk kulkowych, z których wybijały tu i ówdzie równie absurdalne siłowniki i pompy rozdziawione na próżnię, a dalej to światło refleksowało na kryształowych kwiatach pomiażdżonych i rozkruszonych lamp próżniowych, błyskało na wysokich płaskorzeźbach układów elektronicznych, tablic rozrządowych i kaset kontrolnych, wprasowanych bezużytecznie w miazgę prefabrykatów automatonowych. Im dłużej się przypatrywaliśmy, tym więcej szczegółów i szalonego sensu widzieliśmy w tym zastygłym wylewie mechaniki.

Były tu warstwy przypominające geologiczne strata: wylew przykrywający wylew. Na łożyska wydobyły się z czeluści bezludnego konstruktora drobne roboty czyszczące i oksydujące, ale też kalekie i pomyłone już u zarania: bez dysz, bez magnesów, bez kończyn manipulacyjnych. Coś je przygniotło z wielką siłą, wprasowując w dywan łożysk. Z kolei po drugiej stronie wrót - na moim „suficie” - wśrubowały się w łuskowate cielska skrzydeł ablacyjnych rzędy chwytaków i zgryzaków górniczych, same szczęki, same zęby, same świdry i igły, wkręczone zażarcie trójkami i czwórkami w supertwardy podkład. Spod którego znowuż wystawały tu i ówdzie rozbłyскиwe pasma ogniw fotowoltaicznych; a pod nimi zapewne spoczywały jeszcze dawniejsze pokłady zimnej anatomii. I tak to szło, metrami, dziesiątkami metrów od niszy produkcyjnej, grzyb robotyczny narośnięty na pokładach i ścianach „Beowulfa”, do skrzyżowania korytarzy i dalej.

Na skrzyżowaniu Radiowiec dostrzegł zeszlowieczne piktogramy orientacyjne, wskazywały między innymi główny szyb komunikacyjny statku; bez słowa skierowaliśmy się ku niemu. Gruz i szczątki nie wisały tu już w takim zagęszczeniu, posuwaliśmy się szybciej. Lampa Pasażera wyłowiała z czarnego mleka kilka przedmiotów przypominających kosmo-art z katalogów Nawigatora; nie zatrzymywaliśmy się jednak. Aż do samego szybu, gdzie stanęliśmy przed wyborem jednej z siedmiu możliwych dróg: szybem na pokłady górne, szybem na pokłady dolne lub korytarzami do sześciu części tego pokładu (minus korytarz, którym tu przybyliśmy).

Poświeciliśmy w głąb każdego z czarnych tuneli. Wszędzie to samo śmietnisko. Radiowiec skupił się na swoich notatkach. Pasażer sprawdzał, czy dobrze widać za nami fluorescencyjne znaki, jakimi przyozdabiał po drodze płyty, grodzie i dźwigary.

Siedem studni ciemności, z których dopiero spojrzenie świetliste wyłania chwiejną głębię, brudne płaszczyzny ścian i rozkalejdoskopowane między nimi nieruchome mandale śmiecia. Nie dawało mi spokoju wspomnienie niedawnego przywidzenia-niedowidzenia - czy naprawdę dojrzałem coś-kogoś innego poruszającego się tu w odległym mroku? Nurkowałem więc okiem i reflektorem to w tę, to w tę sztolnię wrakowiska, napędzany przez paranoiczną świadomość, że gdy patrzę tu lub tam, zawsze sześć innych otchłani ciemnych celuje we mnie bezkarnie, nieoglądanych.

- (*szum*) No więc z moich rachunków wynika, że powinniśmy teraz -
- Szybem w górę.
- (*szum*) Co? Dlaczego?
- Tamtędy przeszli.
- (*szum*) Kto?

- Popatrzcie. Niech pan też poświeci. Ten bałagan bliżej - tam są wyższe pokłady, do trzeciego albo czwartego, policzcie otwory boczne - więc to wszystko tu bliżej rzeczywiście wisi w bezruchu. Ale jak mi się uda złapać w światło kawałki dalsze... O! Poczekajcie. Tamta skrzynka - widzicie? - milimetr po milimetrze, ale przesuwa się za krawędź. I ten chwytak obok - on się obraca wokół osi, tylko że też już bardzo powoli. I te kamyki -

- (*szum*) Widzę.

- (*szum*) Co co znaczy? Kapitan tamtędy przeszedł? Drugi Pilot?

- (*szum*) Może gdzieś głębiej, i to odległy rykoszet, i dlatego została tylko resztką pędu.

- A może dlatego, że tak dawno temu.

- (*szum*) Jak dawno?

- Tu, w próżni? Miesiące. Lata.

- (*szum*) (*szum*)

Wpłynęliśmy w ten szyb, samym weń wejściem burząc wszakże spokój wypełniającego go śmietniska, więc nie byliśmy już obserwatorami zewnętrznymi, już w ogóle nie była możliwa obserwacja, bo im głębiej się posuwaliśmy, tym mocniejszą falę ruchu budziliśmy przed sobą i pozostawiali za sobą, ale ważne było tylko to, co przed nami, ważne były owe ślady ruchu obcego - które właśnie nieodwracalnie wymazywaliśmy przyływem świeżo wzbudzonego pędu. Że minąwszy czwarty pokład, zatrzymaliśmy się tak samo zagubieni jak uprzednio: w którą stronę pójść?

Reflektory zaglądały w ciemność. Proch kosmiczny i truchła robotów wisiały dookoła w czarnym mleku.

- (*szum*) Tam!

Światło Pasażera przyspiliło ów ruch obcy. Zamarliśmy w swoich pionach, skrzyżowawszy lampy na odległym zakręcie korytarza.

Ten, który się poruszał, w ogóle nie zwrócił na nas uwagi, albowiem był ślepy. Pokraka brzusznoškielekowa, pełzacz chromowany, siedmiokończynowy, wywijając krzywymi manipulatorami i dziurawymi inhaustorami, i gnąc się wężowo, obijał się od płaszczyzny do płaszczyzny, a za nim tłukł się tak w ciszy próżniowej kawał złomu ściskany w szczękooogonie pokractwa, jeszcze z polatującymi za nim przewodami i taśmami, przepalonymi, rozerwanymi, rozstrzępionymi. Złom włókł złom. Nigdy wcześniej nie widziałem podobnego automatu i, gdy się obejrzał na podświetlone w hełmach oblicza Pasażera i Radiowca, poznałem po ich minach osłupiałych, że i oni nie widzieli. Hybryda owa cybernetyczna złożona zostać musiała z kilkunastu, jeśli nie kilkudziesięciu fragmentów

innych urządzeń, i tak, Frankensteinową metodą kanibalizmu martwego przez martwe, powstał twór nowy, wszelako ku jakiemu celowi, dla jakiej funkcjonalności, pod jaki projekt?

Jeszcze szarpnął się raz, odbiwszy się od wgniecenia w kratownicy, i zniknął nam za zakrętem. Nie wymieniwszy słowa, podążyliśmy za nim.

Już wtedy musiałem coś przeczuwać. Pasażer co chwila odwracał swoją lampę od robota, świecąc na boki. Wiedziałem, czego wypatruje. Wypłynęliśmy na główny trakt komunikacyjny „Beowulfa”, przy mesie i windach osobowych. Mesa była otwarta. Zarastał ją las instalacji kosmo-artowych, nieważkościowa ekspozycja trójwymiarowa, nie przeznaczona jednak dla oczu żadnego człowieka, gdyż nikt się tam w ów gąszcz nie zdoła wedrzeć, aby go obejrzeć głębiej poza najpierwszymi warstwami - pojąłem to od pierwszego spojrzenia poprzez rozedrgane refleksy z owej płataniny-lutowaniny. Był to kosmo-art całkowicie wyjęty ze sztuki. Gdzieś dalej mignęły mi wmontowane weń chaotycznie członki mężczyzny i robota, siłownik i kość udowa. Szyby dźwigowe wypełniała z kolei wirująca spiralnie biała kurzawa pociętych w cieniutkie wstążki kartek chyba ze wszystkich ksiązek z biblioteki pokładowej „Beowulfa”. W głównej kabine nawigacyjnej trzy ogruchotane roboty konserwacyjne goniły się nieprzerwanie w ciszy i ciemności, sprężynując od ściany do ściany; rozklepana w ten sposób kabina wyglądała niczym wojenne pobojuwisko. Ile lat się tak ścigają? Kto doładowuje ich baterie? Z czarnego mleka korytarzy wypływały nam przed oczy coraz to nowe horrendy i absurdy. Na suficie przed ambulatorium wyżegano palnikiem acetylenowym bardzo piękny wzór rekurencyjny przechodzący w twarz kobiety. Z jakiegoś powodu miałem pewność, że nie jest ona dziełem maszyny.

Złom-pokraka zatoczyła się pijacko w podpokład centrum kalkulacyjnego „Beowulfa”, my za nią, i tam, za pierwszą grodzią ciśnieniową (rozdartą), trafiliśmy na wota. Były to skrzynki z częściami zamiennymi, firmowe pakiety elektroniki, fabrycznie nowe szpule kabli, pudełeczka z lampami próżniowymi, nawet najnowszy model syntezatora mowy (jeszcze obleczony w folię). Na wizytówkach, na kartach perforowanych, markerami na taśmach izolacyjnych - podpisywali się na darach darczyńcy. Złowiłem kilka. JAN T. HOŠAK. ST. INŽ. „SPEARIX”. 0027410256/3030. Co miał oznaczać ten numer? Albo: K.K. & AJ. JAK UTRZYMAĆ STABILNĄ PLAZMĘ NA MAGNESACH 12T? Albo: MURMURIN I.O. - TYLKO NA STARYCH CZĘSTOTLIWOŚCIACH! Albo: HERBERT VON GEITZ, PRZENIESIENIE NA PLUTONA. Ktoś zostawił też kasetkę z laboratoryjnymi próbkami krwi (zamarzły w rozpekłych fiolkach).

Łataniec-złomotaniec przekoziółkował między tym wszystkim, cudem chyba tylko nie zahaczając ciągnionym żelastwem o żadną ofiarną ikebanę, i zrykoszetował do centrum

kalkulacyjnego. My za nim, Radiowiec na przedzie, i to on krzyknął, zaparłszy się wtem na wygiętej framudze. Wpadliśmy nań z rozpędu, wpychając, krzyczącego, do wnętrza pomieszczenia. Które - wystarczyło, że raz machnąłem lampą - było za duże na centrum kalkulacyjne jakiegokolwiek jednostki kursowej, cztero-, ośmio-, dwudziestokrotnie za duże, lecieliśmy przez ogromną halę, a w skafandrach piszczały nam alarmy promieniowania. To bowiem zastopowało w progu Radiowca: wrzask mierników radiacji wystawionych na sztorm solarny. Zgasilem swoją lampę. W górze migotały gwiazdy.

- (*szum*) (*trzaski*) (*szum*)

Odpaliłem na krótko ręczną dyszę, coby przynajmniej wyhamować, ale wcześniej zahaczyłem nogą o pręt lub kabel i wywinęło mnie wstecz pod kolanami. Odrzut cisnął mnie w zupełnie inną stronę. Alarmy wyły coraz głośniejsze; dołączył alarm tlenowy. Ciemność, dwie skaczące plamy światła, rzeka gwiazd i czerwony węgiel rozżarzony w tej ciemności - wszystko to wywijalo salta w szaleńczym tempie. Jeszcze zdążyłem w kolejnych obrotach ujrzeć uchwycone przez lampy Radiowca i Pasażera monstrualne zwały obnażonej elektroniki, chmury taśm perforowanych, pracujące bębny programatorów ferromagnetycznych, wielotonowe agregaty mocy porośnięte staroświeckimi zegarami kontrolnymi, i chromowo-korundowy pancerz Marabuta pochylonego przed tym niczym bezgłowy mnich żelazny przed rubinową lampką ołtarza - co tam się świeciło - krwawy laser błysnął spomiędzy megalitów maszynowych - i ożyła na nich tysiącramienna armia teratogennych robotów-potworków - a ja znowu obrót, gwiazdy, ciemność - i jeszcze zdążyłem przywołać z pamięci tabele elektronowoltów i radów, remowych przeliczników biologicznych, i zdążyłem pomyśleć, że nareszcie, nareszcie ujrzałem Astromancera, zanim wpadłem na niewidzialną przeszkodę, czaszka uderzyła o hełm, krew zalała usta, kaszlnąłem (*szum*) i straciłem przytomność. (*szum*) (*szum*) (*szum*)

Na początku pierwszej mojej tury w klinice na Europie zostawałem często na tak zwane nocne dyżury. W istocie trwały one kilkanaście godzin, podczas których Europa kryła się w elektromagnetycznym cieniu Jupitera, urywał się też kontakt z większością stacji i jednostek dokołajupiterowych. Rzadko ktoś wtedy lądował w bazie i rzadko zachodził z wizytą, nie było również radiowych próśb o zdalne diagnozy. Przeczytawszy ostatnie zaległe lektury, nabrałem zwyczaju przeglądania mikrofilmowych i fonograficznych archiwów kliniki, gdzie zachowano dokumentację z kilkunastu lat, od początku jej istnienia: badania, operacje, konsylia, wywiady chorobowe, studia przypadków, sekcje zwłok. Którejś nocy trafiłem na nagranie rozmowy niepracującego tam już internisty z powracającym pacjentem,

pilotem komercyjnego lodołapacza na kontrakcie jupiterowej kompanii górniczej. Zrazu pilot skarżył się na złe sny; to dość powszechna przypadłość po rozregulowaniu cyklu dobowego. Potem twierdził, że sterburtowa heterodyna wraz z pulpitem dubel-rozrzędu zawiązały przeciwko niemu spisek. W końcu firma skierowała go do kliniki na leczenie przymusowe, albowiem nasikał w magnesy pamięci kalkulatora nawigacyjnego. Kosmonautom na wieloletnich kontraktach zdarzają się różne dziwactwa i śmieszne kompulsje; ignorujemy je bez słowa. Ten pilot przekroczył jednak granice. Po kilku długich rozmowach lekarz zdiagnozował u niego zespół Ursanova-Ity. Była to rzecz znana dotąd raczej z teorii i chyba nigdy objawowo w całości nie opisana. Człowiek wyjęty ze swego naturalnego środowiska, które jest środowiskiem flory i fauny, ogrodem życia organicznego, a także miejscem nieustannych kontaktów z innymi ludźmi, człowiek pozbawiony tego wszystkiego - a w zamian zapuszkowany w stalowe tuby i pudła, otoczony maszynami, obcujący jeno z martwymi narzędziami i komunikujący się z aparatami tylko udającymi zrozumienie i empatię - on prędzej czy później zacznie przenosić na tę mechaniczną martwość doświadczenia i cechy środowiska żywego. Nie dzieje się to świadomie. Nie dzieje się to nagle. A chyba każdemu się kiedyś przydarzyło w języku, w skojarzeniach, z rozpędu wyobraźni. Lampki na pulpitych nie zapalają się i nie gasną; o n e m r u g a j ą. Klimatyzacja nie szumi; o n a s z e p c z e i ś p i e w a. Robot nie zaciął się na przymarzłych smarach; o n s i ę z a w a h a ł. Kalkulator się nie przegrzewa; kalkulator się g n i e w a. Jak daleko taka aberracja postąpi, zależy wyłącznie od równowagi mentalnej kosmonauty i jego higieny psychicznej. Dlatego zaleca się urlopy na Ziemi, a przynajmniej przepustki do większych, ludnych baz. Nie wiadomo przy tym, jak miałyby wyglądać trzecia, czwarta faza Ursanova-Ity. Czy chory dopatruje się intryg i złej woli w pływach grawitacyjnych i obrotach ciał niebieskich? Podejrzewa tabele logarytmiczne i liczbę pi? W ramach kuracji, jeśli nie sposób delikwenta wyprawić prędko z powrotem na zielone łąki, należy mu przynajmniej po Freudowsku rozłożyć strukturę psychiczną przypadłości. Tak też postąpiono z pilotem. Tu następowała kilkumiesięczna luka w dokumentacji; pacjent najwyraźniej nie zgłaszał się z nowymi problemami albo opuścił system Jupitera, udawszy się w dłuższy rejs. Kolejne nagrania oznaczono już symbolem innej jednostki chorobowej. Pilot zgłosił się teraz z zespołem Ursanova-Bergera. Terapia bowiem poskutkowała. Dobrze wiedział, że to wszystko są maszyny. Unaoczniono mu zimny determinizm wszechświata. Rakiety to były rakiety. Reaktory to były reaktory. Kalkulatory - kalkulatory. A człowiek - człowiek to machina białkowa. Jestem robotem, panie doktorze. W nocy słyszę, jak przesuwają mi się w głowie taśmy programatora. Niech pan mi objaśni te algorytmy. Sam

siebie nie przeprogramuję. I tak dalej, na tę modłę. O, to już była poważniejsza fiksacja, nie tak łatwa do zdemonstrowania samymi słowami. Zaaplikowano mu doraźną chemię hormonalną. Miał też dużo ćwiczyć w 1g i pilnować elektrolitów. Kompania, po krótkich sporach prawnych, zafundowała mu bilet na Ziemię i pół roku płatnego urlopu. Nie chciał wracać. Nie udało się z niego lekarzowi wydobyć przyczyny tej niechęci. Kiedy wreszcie wsadzili pilota na kursowiec lunarny, po dwóch dniach zszedł do stosu atomowego i, zerwawszy plomby, napromieniował się śmiertelnie. Ratującej go załodze tłumaczył rozdygotany, że przecież twarde promieniowanie to jedyny sposób, ażeby złamać sztywne algorytmy programu, żeby rozchwierutać automat w zawiasach matematycznych rozkazów. Pragnął wolnej woli. Ale w takim razie skąd miałyby się wziąć w jego programie owo pragnienie? Konając, mamrotał o pięknie chaosu rozkwitającego barokowymi chwastami w jego robocich trybach, o białym szumie, jakim promieniowanie jądrowe przestrzeliło mu mózg. Im bardziej bełkotał, tym mocniej był szczęśliwy, że bełkoce. (Umierając). Rozpadały mu się słowa i myśli. Szum, paplał z uśmiechem na ustach, szum, biały szum, szum, szum szum szum.

VII. Pierwszy

- (*szum*) Doktorze? (*szum*) (*trzaski*) Doktorze!

Odplunąłem. Skrzepy krwi lepiły mi się do dziąseł. Musiałem przegryźć sobie język albo wargi. Odplunąłem po raz drugi i zimne powietrze wlało mi się w gardło, zimne światło w oczy, zimny strach w członki. Nie miałem hełmu na głowie. Ręce związano mi za plecami. Gdzieś obok wciąż terkotał licznik promieniowania.

- (*szum*) Gdzie on (*szum*)

- (*szum*) do cholery (*szum*)

- (*szum*) Doktorze! (*szum*) (*trzaski*)

Hełm dryfował wskroś ciasnej kabiny, w zbliżeniu jego trajektorii słyszałem nawoływania wyraźniej, w oddaleniu - nikły pod trzaskami licznika. Nie pracował tu żaden wentylator. A zatem nieznany porywacz porzucił mnie nie tak dawno. Szarpnąłem się w więzach. Lampa w suficie (który miałem właśnie pod stopami) co kilka sekund przygasła lekko. Po przykrytych białą farbą ścianach przesuwiał się mój cień. Dobiłem do kąta i spróbowałem zahaczyć ramionami o pusty stelaż. Więzy trzymały mocno; był to chyba kawałek kabla, w dość grubej izolacji. Pomieszczenie miało dwoje drzwi, z przepisową

sekwencją kolorowych lamp u góry i szerokim tasterem dotykowym z boku. Znajdowałem się w śluzie.

Odepchnąłem się od ściany, nacisnąłem taster kolanem. Tylko zaświeciła się czerwona żarówka blokady.

Hełm ponownie przedryfował mi nad głową.

- Hej! Słyszycie mnie? Mówi Doktor. Ktoś mnie - Przeciwległe drzwi rozsunęły się z sykiem. Do środka wpadł Drugi Pilot. Był w pełnym skafandrze próżniowym, z długim zwojem linki asekuracyjnej przy pasie, z płachtą folii metalicznej w ręku. W korytarzu za nim panowała ciemność, ale że powietrze nie uciekło ze śluzy, musieli tam mieć atmosferę.

Wpadł do środka i pierwsze, co zrobił, to złapał mój rozgadany hełm i wyrwał zeń radio. Dla pewności rozgniół je jeszcze na ścianie.

Rachowałem prędko, ile to czasu mogło minąć. Ile cykli wrakowiska pod burzą solarną. Wystarczy pięćset remów i jesteś chodzącym trupem. Na Ziemi człowiek otrzymuje rocznie jakieś ćwierć rema - to są zupełnie inne rzędy wielkości. Jeden Rosjanin na Merkurym przyjął był tysiąc sto i przeżył. Ale to Rosjanin. (Odpięty licznik nadal terkotał gdzieś pod stelażami). Gdybyśmy wrócili prędko na „Behemota” i -

- Niech pan go założy, nie ma czasu.

- Ręce.

Odplątał mi kabel z nadgarstków.

Rzuciłem się po licznik. Wskazówka drgała pośrodku strefy żółtej. Zwróciłem miernik ku korytarzowi. To samo. Ale ile zdążyłem wchłonąć wcześniej?

Kaszlnąłem. Grypą zaraziliśmy się jeszcze na „Behemocie”.

- Skąd to powietrze?

- Musiałem jakoś pana z tego uwolnić, bałem się, że się pan utopi we własnej krwi.

Złapałem hełm.

- Ale co to jest? Została atmosfera na „Beowulfie”?

- To nie „Beowulf”, to ten drugi.

Zatrzasnąłem stalowy kołnierz, sprawdziłem hermetyzację. Tlen na jednej trzeciej. Przydałaby się sprężarka.

- Boi się pan, że podsłuchują.

- Wiem, że podsłuchują. On i oni. Idziemy.

Na folii miał plany przekrojowe pokładów statku.

- To o kosmo-art Astromancera?

- Niech pan nie żartuje, Doktorze. Pasażer może sobie zabrać wszystkie te śmieci.

Włączył reflektor, ja włączyłem swój. Przepłynęliśmy krótkim korytarzem i przez zagraconą narzędziownię (także ciemną), i byliśmy już przy następnej śluzie. Drugi Pilot klepnął taster, weszliśmy, zasunęły się drzwi, zaświszczało, pisnął sygnał ciśnieniowy, otworzyły się drzwi następne, Drugi Pilot wypchnął mnie w otwarty kosmos.

Odruchowo skontrolowałem z ręcznej dyszy. Dywany gwiazdne zawinęły się wokół mnie. Te poszarpane płachty jednolitej ciemności nad głową - to było wrakowisko widziane z zupełnie innej perspektywy, z innej strony. Dźgnąłem je sztychem światła, tu, tam, tam. Wanadowy pancerz burty, zmiażdżone anteny dalekiego zasięgu. „Beowulf”? Nie „Beowulf”. Przypomniałem sobie rzekę gwiazd ponad masywem Astromancera. Folię w ręce Drugiego Pilota. I czy mógłby mnie stamtąd -

Złapał mnie za nogę, obrócił. Wisieli w trójkę przy połamanym panelu solarnym. Kolory ich skafandrów: Inżynier, Pierwszy Pilot, Elektronik. Drugi Pilot dał odrzut, podpłynęliśmy do nich powoli. Złapałem się krawędzi panelu. Inżynier przyciągnął mnie za uprząż barkową. Hełmy stuknęły o hełmy.

Tylko Pierwszy Pilot się nie poruszył.

- Doktorze, musi nam pan powiedzieć, czy to był wypadek.

Nadal świeciły się wewnętrzne diody jego hełmu. Oblicze zastygło w grymasie przeciągłego krzyku, język sterczał sztywno między zębów. Wskazali mi dziurę wypaloną w skafandrze, otwór wielkości pięści na wysokości żeber Pierwszego Pilota. Podobno w ostatniej sekundzie czują, jak ślina się gotuje na języku. Skutek zerowego ciśnienia w próżni.

- Dobrze. - Poświeciłem im po twarzach. - To przeciwko Kapitanowi, tak? Dlaczego nie -

- Ma Marabuta.

- Usprawiedliwienie dla buntu? - Przypiąłem miernik promieniowania do pasa. - Ile mamy czasu?

- Jesteśmy w osi, godziny.

A jeśli powiem, że morderstwo?

Patrzyłem na nich w milczeniu. Przekroczyli granicę. Nie ma odwrotu. Fatalne zapętlenie nastąpiło w momencie złamania szyku Pereł przy podchodzeniu do dziury we wraku „Beowulfa”. I teraz już nakładają na każde cudze słowo, na gest, na minę własne projekcje najgorszych wyobraźalnych intencji. Nie ja tu do nich mówię, lecz jakaś pokręcona wersja Doktora-w-Paranoi-w-Paranoi-w-Paranoi... I nie da się, nie da się tego odwrócić. Spróbuję wyjaśnić - tylko bardziej się pograżę.

A jeśli powiem, że wypadek - czy w ogóle dadzą mi wiarę?

Potrzebują mnie, żeby zrealizować swoje plany chciwości, nie wypowiadając ich na głos, nie przyznając przed Sobą-w-Sobie.

Obróciłem Pierwszego Pilota, otworzyłem zatrzaski jego skafandra, odpiąłem odeń hełm; z pomocą Inżyniera obnażyłem zwłoki do pasa. Poświeciłem na skórę, w oczy, do wnętrza ust. Przyjrzałem się ranie w prawym boku. Inżynier miał w pasie narzędziowym piromometr; wycelowałem go w pierś Pierwszego Pilota.

Zetknęli się hełmami.

- I jak, Doktorze, i jak?

- Zimny trup przecież, po cóż mierzyć temperaturę w próżni?

- Bo wcale tak prędko w próżni nie wystygniesz - odparłem, spoglądając na wskazówkę termometru. - Nie ma tutaj ośrodka, który odebrałby z ciała ciepło.

- Ale od czego zginął?

- Nie od przebicia skafandra, nie od dekompresji.

- Jest pan pewien?

- Spuchłby, przynajmniej w stawach. Skóra by zsiniała cyjanowo. Mogłoby mu rozerwać płuca, w zależności od odruchu wstrzymania oddechu. Normalnie pozostaje kilkanaście sekund na przytomną reakcję; a miał radio. Zresztą uczyli was, musieliście to zaliczyć na testach Karty Kosmo.

- Więc co?

Obróciłem trupa raz jeszcze. Pozostawiony sam sobie, wirował powoli w osi równoległej. Odwinięty niżej bioder skafander prostował w próżnię dodatkowe kończyny, koślawia ośmiornica.

- Ten kąt uderzenia - widzicie? - udar nie był powierzchniowy, impulsowy; nie tylko przebiło skafander, ale przeszło nieszczęśnika na wylot, przez kręgosłup. Połowę wnętrzości ma spalonych. Takie rany znam jedynie z dokumentacji wypadków z laserami przemysłowymi. W próżni zawsze jesteś całkowicie zaskoczony, bo nie zobaczysz linii emisji, dopóki nie trafi cię prosto w oko.

- Cholera.

- Czy naprawdę muszę wam tłumaczyć takie oczywistości? Wiedzieliście to beze mnie.

- Doktorze...

- Tutaj go znaleźliście?

- Bo co?

Wskazałem na ciemne płaszczyzny paneli solarnych, pod światłem reflektora tęczujące

zimno.

- Przeszło na wylot, powinien więc pozostać ślad także za celem. Jeśli nie przesuwaliście zwłok... Dwa punkty już wystarczą, pociągnijcie linię do źródła.

Oderwali się i zaraz zebrali z powrotem w trójkę, trzy hełmy zetknięte, trzy zaciśnięte w pięść oblicza w chłodnym blasku. Co się odbija suchą wibracją w ich bulwach szklanych - nie dla moich to uszu.

Pożyczywszy moment pędu od trupa, obróciłem się powoli twarzą ku wrakowisku. Konfiguracja przestrzeni zabójstwa wskazywała na strzał od strony tej mniejszej jednostki sczepionej z gruzem i z „Beowulfem”. A skoro działały w niej systemy wewnętrzne, śluzy, oświetlenie, ogrzewanie, obieg powietrza - to i energoboty statku mogły nadawać się do użytku. Błądziłem po powierzchni pancerza kręgiem światła, starając się, by nie wyglądało to na celowe poszukiwania. Temperatura ciała Pierwszego Pilota daleka była od zera Kelvina. Śmierć nastąpiła nie tak dawno. Ktokolwiek doń strzelił, mógł nadal tam tkwić przy laserze; a my wisimy tu niczym porcelanowe kaczuski na strzelnicy.

Oczywiście jeśli w ogóle jest tam ktokolwiek. (Kapitan). A nie tylko Astromancer i zastępy jego połamańców technogatorowych.

Odnalazłem reflektorem usta śluzy, nadal otwarte. Nie przywiązali mnie linką asekuracyjną, to był ich błąd. Chwyciwszy butle tlenowe Pierwszego Pilota, otworzyłem ręczną dyszę i popłynąłem z powrotem ku śluzie.

Wszystko odtąd działo się w ciszy, to znaczy w szumie mojego oddechu. Czy krzyczeli za mną, mimo braku radia? Czy ścigali mnie? Nie obejrzałem się; zresztą byłoby to trudne do wykonania, spojrzeć za siebie w skafandrze próżniowym w trakcie lotu swobodnego w zero g. Nie traciłem też czasu, dopadłszy do śluzy: szarpnąłem się do środka, klepnąłem taster, drzwi się zamknęły, syknęło powietrze, otworzyłem drzwi wewnętrzne i zaraz zablokowałem je płytą duraluminium przywleczoną z narzędziowni. Po czym wróciłem do kabiny z działającym oświetleniem i zamieniłem swoje puste butelki tlenowe na pełne. Wtedy dopiero na moment się zatrzymałem - by złapać oddech, pomyśleć. Szumiało mi w uszach. Tętno, ciśnienie, przerażenie.

Co robić, co robić, co robić. Krew pochodziła wyłącznie z przegryzionego języka, nie pluję na razie krwią z wnętrzości, to dobrze. Ale czas, czas! I nie zawahają się już przecież, nie zatrzymają w pół drogi. Drugi Pilot, Inżynier, Elektronik. A jednak - co Kapitan z Marabutem...

Klepnąłem raz jeszcze w taster zewnętrznych drzwi. Znowu bez skutku. Kto buduje śluzę w środku statku? Kto? - górnicy. Jednostki dobowcze klasy Rekin wgrzają się

widelcowym kadłubem w planetoidę, aby stopniowo się zintegrować z przestrzenią roboczą wewnątrz skały; na czas robót eksploatacyjnych taki statek pozostaje połączony ze sztolniami i tunelami systemem wewnętrznych śluz. Więc Rekin. Co tłumaczyłoby także laser górniczy przepalający wątrobę Pierwszego Pilotą i multum fruującego tu wszędzie naokoło gruzu i miału - pozostałości wierceń i skruszeń.

Zacisnąłem powieki, żeby nie poddać się pośpiechowi, taktowi zegara odliczającego tlen i życie. Podarujmy sobie chwilę luksusu: czas na myślenie.

Więc Rekin, jestem w Rekinie. Co się stało? Rozgryzał do reszty jakąś górę magnetytową, gdy coś nawaliło, coś poszło nie tak, nastąpiła awaria i potrzebowali pomocy. Wezwali najbliższą jednostkę inżynierską. Przybył „Beowulf”. I wtedy -

- Mówi Kapitan. Wiem, że mnie słyszycie. Jest siódma szesnaście czasu pokładowego. O ósmej trzydzieści nastąpi eksplozja jądrowa. Przeprogramowałem stos jednego z wraków. Macie godzinę i czternaście minut na powrót na „Behemota”. Mówi Kapitan. Ci, którzy usłyszeli, niech przekażą reszcie załogi.

Głośniki wewnętrznej instalacji fonicznej Rekina podawały słowa Kapitana z głuchym pogłosem, jakby mówił z głową włożoną w wiadro albo cały zamknięty w szafie.

Sprawdziłem zegarek i ustawiłem nowy alarm. Godzina i czternaście minut.

Szum w uszach ustąpił przeciągłemu dudnieniu. Uderzenia serca odliczane od skończonego czasu, wstecz od śmierci. W ilu wyścigach o życie można uczestniczyć jednocześnie?

- Mówi Kapitan. Wiem, że mnie słyszycie. Jest siódma siedemnaście czasu pokładowego. O ósmej trzydzieści -

Odbiłem się jak do sprintu. Lewo, prawo, lewo, góra. W ciemności odnajdywałem kierunki w architekturze Rekina, wymachując snopem światła w poszukiwaniu uniwersalnych piktogramów: droga ewakuacyjna, droga do maszynowni, droga do najbliższej wnęki tlenowej, droga na mostek. Góra, prosto, góra, góra. Potrafiłem kulkę zaschniętych wymiotów i truchło kota, skoroszyt, cyrkiel i puszkę oleju. Góra, góra. Czy rzeczywiście na tyle dobrze znałem Kapitana? Czy tylko Kapitana-w-Doktorze, karykaturę w matriosce? Schodnia, gródź, mostek, góra, naprzód. Nie ogłosiłby takiego rozkazu z innego miejsca, nie Kapitan, nie z miejsca niekapitańskiego. Mostek.

Wpadłem tam nie wyhamowawszy nawet, wymachując w ciemności pejcem światła i krzycząc na bezdechu spod otwartego hełmu:

- Kapitanie! To ja, ja, Doktor! Musimy -

Mignął na mgnienie oka w plamie reflektora, zaraz tonąc na powrót w czarnym mleku,

ale szukałem go, szukałem tak panicznie, że blask prędkości smagał go znowu i znowu, i znowu, w coraz bliższych pozach wyświetlając, i znowu, i znowu, gdy leciałem, rozpędzony, ku martwym ekranom i ciemnym stołom rozrzędu, on sunął ku mnie, rozwierając ramiona - i znowu, i znowu, coraz bliższy - rozwierając pancerne ramiona, purpurowa jego pierś, jedno ślepie pulsujące nad konchą lasera - i znowu ten obraz jasny mam przed oczyma - obraz Marabuta nadciągającego z mechaniczną nieuchronnością, z uściskiem imadłowym, wciąż przy tym odtwarzającego z taśmy wewnętrznej nagranie Kapitana („Mówi Kapitan”) - bliżej, bliżej aż mnie tam dopadł i wbił w płytę sufitową sterowni, i wbił, i uściśnił na powitanie megadżulowo, że nie tylko dech, ale czucie ciała całego straciłem, władztwo zmysłów („Mówi Kapitan”), w objęciach maszyny, pod pieczęcią kowadła.

- Maszyna, mój drogi panie, to grzech człowieka.

Miał siedemdziesiąt sześć lat, z górą osiemnaście szefował Instytutowi. Po wylewie przeszedł na emeryturę. Odwiedzałem go w jego willi nadmorskiej, wylegiwał się na drewnianym leżaku nad wydiami. Otyła czarnoskóra pielęgniarka przynosiła mu ciepłe mleko i pastylki do połknięcia. Mówiła do niego: „słodziutki”; mówiła: „zuch, zuch”. My mówiliśmy: „Profesorze”; nigdy inaczej.

Nie wiadomo, czy Profesor zaczął swój eksperyment przed wylewem czy po nim. Czy wylew był przyczyną. Miał swoje laboratorium w podziemnych kondygnacjach Instytutu i jedynie on decydował, kogo dopuści do tajemnic. Aż zniknął, wszczęto poszukiwania i dopiero przepaliwszy drzwi pancerne, znaleziono go tam, przegryzającego się na ślepo przez jelita gigantycznego kalkulatora elektronowego, znaleziono go konającego z wycieńczenia, z połową mózgu na wierzchu. Na niewygaszonych ekranach i w koślawych notatkach miał wzory Wielkiej Teorii Unifikacyjnej.

Nikt nie potrafił jej odtworzyć w całości. Sam Profesor, uratowany, nie potrafił jej odtworzyć - nie posiadał już tej części mózgu.

Siadałem przy nim na piasku, rysowałem patykami figury, śpiewałem Profesorowi stare piosenki i zadawałem dziecięce zagadki. Chodziło o to, żeby znaleźć drogę powrotną do Sezamu.

Znosił mnie z pogodną melancholią. Poblążliwie kiwał głową.

- Pan ciągle w to wierzy.

- W co?

W odpowiedzi wykrzywiony artretycznie palec Profesora wędruje do skroni.

Czy najpierw nastąpił wylew i Profesor, aby ratować uszkodzony mózg, zdecydował

sprotezować się maszyną liczącą - czy też to właśnie zabawy ze sztukowaniem płytów czołowych szafami lamp próżniowych i pamięci taśmowych spowodowały udar pod czaszkowy?

Jedno wiedzieliśmy: istniała Wielka Teoria - wedle zapisków poczynionych własną ręką Profesora - kompletna, spójna i niewywrotna, z dowodami i testowalnymi przewidywaniami, z chmurą hipotez komplementarnych, z tysiącnymi zastosowaniami fizykalnymi. Istniała, istniała, lecz gdzieś po drugiej stronie granicy, tam za mostem, za ciemnością.

Przynosiłem mu te notatki oraz wydruki z uratowanych pamięci maszynowych. Pokazywałem wzory, odłamki jego odkrycia.

Kręcił głową. (Blizny ukazywały się spod bandaży i włóczkowej czapki).

- Nie wiem, nie rozumiem.

- Może sobie Profesor chociaż p r z y p o m n i.

- Jestem zbyt głupi. Teraz zapewne istotnie był.

Powstała idea powtórnego przebycia całej jego drogi, krok po kroku, stąpając po śladach Profesora. Zgłaszali się ochotnicy, w rzeczy samej ochotników mieliśmy mrowie, rozpalonych nadzieją kandydatów na geniuszy. Nie przerażała ich konieczność trepanacji czaszki i eksperymentalnego okablowania przedomózgowia. Niektórzy sami z siebie przejawiali naukową błyskotliwość, przynosili zaiste imponujące listy publikacji. Tu jednak sytuacja była wyjątkowa: oto pojawiła się szansa dokonania odkrycia z góry potwierzonego, z góry gwarantowanego. Skarb istniał i nawet wiedzieli, jak wygląda - należało jedynie się doń przebić.

Profesor wysłuchiwał moich raportów z tych ekskursji w ciemne kontynenty fizyki z łagodnym rozbawieniem, może i zaciekawiony, ale nie bardziej niż rezultatami wyścigów motorowych albo prognozą pogody na dzień następny.

- Co pan powie, co pan powie - kręcił głową. - I jak, przeżył?

Przeżywało wielu. Niektórzy utrzymywali nawet, że istotnie dokonali odkrycia - nie byli w stanie po rozłączeniu odtworzyć brakujących fundamentów Teorii, ale przysięgali, że pamiętają uczucie olśnienia: zachowali bardzo jasne wspomnienie pewności dotknięcia prawdy, objęcia myślą całości abstrakcyjnej konstrukcji - na tę sekundę przed kłopotem, na moment przed krwotokami, pożarami, eksplozjami lamp, omdleniami, udarami, spięciami elektrycznymi, spopieleniem bezpieczników, awariami skrzyń nadprzewodników. Jeśli uchodzili z życiem, to z wyżeganą materią mózgową, współsparaliżowani, głusi albo ślepi, albo niemi, albo bez ośrodków uczuciowych, albo bez ośrodków logiki, albo bez

czasowników, albo bez imienia i nazwiska. Odwożono ich z Instytutu niczym ofiary-inwalidów z linii frontu jakiejś barbarzyńskiej wojny - niech wracają na tyły bohaterowie zmagających Rozum z Naturą, niech goją rany. Tu już świeże pułki nacierają, suną w mgłę trującą i pod deszcz bomb nowe mózgi.

Zmieniali się też generałowie. Inne strategie brały górę. Czy rzeczywiście trzeba łączyć korteks białkowy z elektronowym? Czy nie chodzi po prostu o wielkość systemu logicznego, obojętnie z czego utworzonego? Zaciemniliśmy pół hrabstwa, nadwyrężywszy pobliskie elektrownie.

Profesor częstował mnie cukierkami ślazowymi.

- Maszyna, mój drogi panie, to grzech człowieka.

- Co Profesor ma na myśli?

Wskazał psa goniącego mewy po wydmach.

- Moglibyśmy dosztukować mu trzecią, czwartą, piątą półkulę, skumulować w sumie coś na podobieństwo ludzkiej inteligencji... prawda? Ale po co wtedy w ogóle doklejać do tego psa? Po co męczyć zwierzaka?

Czy krył się za tym jakiś głębszy argument, donioślejsza wiedza? Czy tylko w s p o m n i e n i e p o s i a d a n i a w i e d z y?

Nie przekonywał mnie przecież żadnymi wywodami logicznymi, nie czułem się przekonywany. A jednak to wówczas zagnieździł się we mnie ów niepokój, przeczucie nieuchronnego załamania, które już nigdy mnie nie opuściło, rosnąc wciąż i tężejąc.

Zdaje mi się, że podświadomie próbowałem Profesora nie tyle zrozumieć - bo właśnie do rozumienia nie podawał on nic - co zdekodować, rozszyfrować, wyinterpolować. Fizycy w Instytucie opowiadali mi o modelach kosmologii holograficznej: wszystko znajduje się na powierzchni wszechświata, cała informacja zawiera się w granicy. Jeździłem do niego nad morze co drugi, co trzeci dzień, zostawałem do zmroku.

Grzmot fal wymuszał milczenie. Profesor nie schodził na samą plażę, bo laska zapadała się w piasku. Spacerowaliśmy starymi alejkami zdziczałego parku nadbrzeżnego. Lubił przyglądać się kroplom wody ściekającym powoli po liściach, po igliwiu, korze. Ponad rykiem morza nasłuchiwał odgłosów wiatru, zawsze go zaskakiwały, obracał się, zdumiony, może spodziewając się za sobą czyjejś obecności - a to tylko wiatr grał. Gdyśmy się już oddalili we względną ciszę, bardzo szybko tracił wątek rozmowy; nie były możliwe wymiany zdań dłuższe niż na sześć, osiem kwestii, potem Profesor wracał po pętli do punktu wyjścia albo całkowicie porzucał temat. W kieszeni szlafroka nosił zawsze najnowszy numer lokalnej gazety, notował na marginesach miękkim ołówkiem. Raz, gdy przysnął na leżaku,

podebrałem mu tę gazetę z nadzieją odnalezienia w jego notatkach wskazówek. Były to wszakże zbitki słów, które nic mi nie mówiły, często przypominające wręcz przedszkolne rymowanki. W kilku rozpoznałem urywki zdań, które sam niedawno wypowiedziałem. Ale nie wiązały się z niczym konkretnym: przymiotnik i przymiotnik, czasownik na przysłówku, trzy rzeczowniki skojarzone po brzmieniu sylab. Zakreślał także fragmenty tekstu w artykułach. Może powinienem był przekazać tę gazetę fizykom. Ale znałem przecież podobne lingwistyczne rorschachiany z historii innych przypadków urazów neuralnych. Profesor prawdopodobnie postrzegał w ten sposób cały świat: łącząc przedmioty i znaczenia w dużej części na chybił trafił. Nie tylko Wielką Teorię Unifikacyjną wyrwał sobie z mózgu razem z kablami i elektrodami. Nieraz widziałem, jak powstrzymuje rękę, która już unosiła się, by drapać rany pod bandażami. Mimo woli przechylał się na tamtą stronę. Może to nie wiatru nasłuchiwał, może to nie jego odgłosy go myliły. Ból to sygnał organizmu - a jaki jest jego odpowiednik dla intelektu? Ten ból fantomowy po amputowanym rozumie - który był rozumem Profesora tylko przez kilkanaście godzin, lecz cóż to były za godziny! - ten ból musiał go prześladować w każdej sekundzie przytomności, potworne, niewyrażalne poczucie braku, doświadczenie pustki, utraty. Utraty czego? Przez moment był człowiekiem; moment minął, odpadły stukrotne protezy kognicji, pozostał pies. I cóż nam teraz wyszczeka, cóż wyskamle?

Wracalem do siebie i ledwo przekroczywszy próg mieszkania, miałem już pewność odwrotną: że to tylko moje wrażenia i wyobrażenia, a nie opis rzeczywistego stanu Profesora.

Wszystko to jednak musiało się przecież układać w konkretny profil, w odcisk, wybity w glinie ślad prawdy, która tak boleśnie zrykoszetowała Profesora. Był pierwszą ofiarą, w tym niepowtarzalną, iż wszyscy następnicy już wiedzą, że ogień parzy, że woda moczy, a Słońce oślepią - on zaś poszedł z umysłem otwartym, bezbronnym, nieświadomy granicy.

- Cokolwiek zbudują, zapadnie się.

Pies przynosił mu patyki, śmieci, martwe zwierzęta. Profesor trącał, obracał je laską, układał z nich na werandzie ponure hieroglify entropii. Pielęgniarka uprzętała je z irytacją.

Na starym adapterze grał w kółko fugi Bacha i rozwiązywał gazetowe krzyżówki, wpisując same niewłaściwe odpowiedzi. Nie odwiedzali go żadni goście poza mną, nie miał bowiem Profesor przyjaciół, a z nielicznej rodziny nie żył już nikt.

Zmarł jesiennym świtem, zapatrzonej w morski horyzont, osunąwszy się z wiklinowego fotela na podłogę. Gdy nie mógł spać, gdy się budził w nocy, siadywał w nim przy oknie i czekał wschodu słońca. Osunął się, drewniana marionetka ze splątanymi sznurkami, przewrócił fotel, stłukł okulary w rogowych oprawkach, rozbił swój ulubiony

kubek. W ostatniej chwili chciał chyba coś narysować palcem w rozlanym mleku; pies schleptał je z parkietu, zamazując obraz. Potem, przywabiony wciąż ropiejącymi bliznami, lizał długo tę część głowy Profesora, która nie tak dawno temu była trzypiętrowym kalkulatorem elektronicznym.

VIII. Wtajemniczenie

- Pilnuj nieba. Wkradają się od gwiazd.

A on krząta się przy rozprutych pulpitych rezerwowego terminala, wyciąga na wierzch druty, trakcje, drabinki rezystorów, liliowe diody oblaskują spoconą twarz i zmrużone nerwowo powieki. Drżą mu dłonie. Ostra woń wymiocin zatruwa zatechłe powietrze.

Przywiązał mnie sparciałymi pasami przeciążeniowymi przy okienku grodzi awaryjnej, mam zezować w krzywe gwiazdozbiory ponad Astromancerem. Miernik promieniowania tyka ostrzegawczo na granicy bezpieczeństwa. Wskazówka zegara pokładowego, którego tarcza fosforyzuje blade nad terminalem, przywarowała na siódmej czterdzieści dziewięć. Jeśli ten zegar mimo wszystko dobrze pokazuje uniwersalny czas rejsowy Luny Jeden, w ciągu kwadransa powinniśmy wyruszyć w drogę powrotną, inaczej nie zdążymy przed wybuchem skryć się w Perle. Odchrząkuję.

- Gdzie Marabut?

- Przy stosie.

- Którym? „Beowulfa”? Ile tu jednostek się szepiło - trzy? cztery?

- Astromancer kontroluje „Beowulfa”.

- Ale pan chyba nie wierzy, Kapitanie, że on -

- Pilnuj nieba.

Przyklejam policzek do zimnego szkła. Ukośne okienko ma zaledwie kilkanaście centymetrów szerokości, muszę wykręcić szyję pod odpowiednim kątem i zamknąć lewe oko, żeby dojrzeć ruch cieni na tle gwiazd. Ale nic się tam nie rusza.

- Pierwszy Pilot zginął od ciosu laserowego.

- Taak?

- Tak. Co się stało? Byliście przecież razem. Wiem, że Marabut ma wbudowany laser roboczy. Pan przeprogramował ten automat pod swoją wyłączną kontrolę. Pierwszy nie miał wcale zamiaru wysadzać Astromancera, prawda?

Kapitan zastyga na moment w zamyśleniu, zawisnąwszy nad rozmontowanym

pulpitem, z pękiem kabli w jednym ręku i izolowanymi obciążkami w drugim. Bardzo powoli obraca ku mnie głowę. Pojedyncze krople potu odrywają się od jego czoła i dryfują przez kabinę. W brutalnym blasku neonowych rur świetlnych oblicze Kapitana ujawnia ową charakterystyczną gorączkową bladość, rumień anemiczny. Na podbródku ma wyraźny ślad oparzenia. Widziałem, jak wypadają mu tu narzędzia z niepewnych dłoni, jak się obijał nieporadnie o kanty i blachy, łapał się powietrza. Smród wymiocin przewierca skronie. I jeśli dotąd oszczędziła go biegunka, to zapewne też nie na długo.

Z całej siły przyciskam czoło do szybki, jakby próbując, co pierwsze pęknie: szkło pancerne czy moja czaszka.

- Pan w ogóle nie zamierza się ratować - szepczę.

A on mruga w zwolnionym tempie.

- Dostał pan śmiertelną dawkę, rentgenem i ciężkimi protonami do kości - szepczę.

A on oblizuje szczęki czązków.

- Wszedł pan tam do Astromancera w burzy, nie zdążył się cofnąć, to przez to otwarte niebo - szepczę - nie miał pan ustawionego alarmu, a w tej jaskini nie ma gdzie się skryć - szepczę - albo nie, burza by tak mocno tu nie uderzyła, zszedł pan do stosu, majstrował przy otwartym stosie - szepczę - więc teraz już żadne zyski, żadne udziały nie mają dla pana znaczenia, wysadzi go pan, żeby -

- Głupoty.

- Co takiego on panu powiedział? Podłączył się pan tam bezpo -

- Powiedział? P o w i e d z i a ł? - Wybuchnie zaraz niepoohamowaną wściekłością albo roześmieje się panicznie, nie sposób odróżnić uczuć rozszalałych wtem za twarzą spoconą, napiętą. - Ten-ten-ten śmietnik myśli, kolos bełkotu, gilgamesz białego szumu! Słuchałeś pan tam jego zawodzeń, jęków, symfonii trzasków i gwizdów? Patrzałeś w jego oscyloskopy i indykatory, w sieczkę bezrozumną wyrzygiwaną na wszystkich zakresach, jakby ta burza solarna w nim właśnie szalała, jakbyś żywą kipieli piekielną z niego słyszał i widział? Czytałeś te hałdy wydruków gęstych, posiekane biblioteki wszechświata we wszystkich językach człowieka i maszyny, ten szyfr idioty, kod tajemny stada małp, te sekrety w bełkocie? Oni widzą sekrety. Ale to jest bełkot, bełkot, bełkot! Idź, porozmawiaj z protuberancjami słonecznymi, dyskutuj z erupcjami plazmy, wyjmij rozum z czerwonej burzy Jupiterowej!

- Ile czasu pan tam, Kapitanie -

Zgasł.

- Pilnuj nieba, stamtąd przychodzi.

- Co, kto, do cholery?.
- Nie jesteśmy tu sami, Doktorze.
- A kto jeszcze?!

Ale już się odwrócił z powrotem do wnętrza elektronicznych, już nie słyszy albo udaje, że nie słyszy.

Szarpię się w pasach; na próżno. Tylko sińce świeże od kafarowego uścisku Marabuta odzywają się chórami. Sплюwam, celując w głowę Kapitana. Plwocina trafia go w kark. Nie zwraca uwagi.

Zacisnąwszy usta, wyglądam w ciemność grotu Astromancera. Lecz oślepiiony światłem wnętrza kabiny nie widzę prawie nic. Próbuję zorientować się w przestrzeni względem Astromancera - to ta ciemność w dole naprzeciw - oraz względem wejścia od pokładu nawigacyjnego „Beowulfa” - to ta ciemność po prawej. I nagle zdaję sobie sprawę, że chociaż wiele tam nie wypatrzę, to przecież samym ruchem głowy przy okienku ślę w mrok głośne sygnały: to zasłaniając, to odsłaniając światło bijące w przestwór próżniowy z tego małego prostokąta. Odtąd markując szarpaninę w więzach, morsuję w ten sposób powolne SOS cienia i blasku, cienia i blasku, cienia i blasku. Do kogo? Do Astromancera chyba.

Aby nie liczyć w panice uciekających sekund (to krótka droga do hysterii), rachuję w głowie odległości i geometrię zdewastowanych kosmolotów. Dlaczego w Rekinie, a przynajmniej w jego części tutaj jest światło i powietrze, a w „Beowulfie” nie? Jak przebiegała ta katastrofa? Co wybiło dziurę w otwarty kosmos ponad Astromancerem? Czy to w ogóle jest dziura? Wyglądam przez szybkę po raz kolejny. Jaki kształt obramowuje tam gwiazdy? To trapez nierównoboczny, na liniach prostych, o ostrych krawędziach.

Łup, łup, łup, SOS, SOS. Przypominam sobie falangi robotów pokracznych, wulkan obłąkanej automatyki wybuchły i zastygły w module Technogatora, przypominam sobie korytarze pełne wotów maszynowych i przypadkowy kosmo-art porzrucany po wraku, co wcale nie jest wszak kosmo-artem. Jakeśmy tam parli, nurzając się w śmieciach i trupach mechanizmów - przez które to człony statku, jakimi arteriami, ku jakim węzłom konstrukcyjnym?...

Hałdy wydruków gęstych, posiekane biblioteki wszechświata we wszystkich możliwych językach człowieka i maszyny... Szyfr idioty, kod tajemny stada małp...

Jedyna szansa na ratunek: przemówić do Kapitana językiem jego własnego obłądu, rozsadzić projekcję zwichrowaną od środka.

Bębniąc głową o okienko grodzi kulawy szyfr, opowiadam ostatnią, myślę sobie, ostatnią Hipotezę Doktora.

- Widział pan kiedyś, Kapitanie, drylującego planetoidę Rekina? - A Kapitan nie słyszy albo udaje. - Widział pan? Oglądałem filmy na Europie. On się w miarę robót wgrzyza tym widłowym trzonem w masę skalną. Inaczej więc jest zorganizowany wewnątrz, centra kalkulacyjne i co wrażliwsze aparaty nie znajdują się na przedzie, a w dole korpusu. Teraz to zobaczyłem - jak się zderzyli, ten Rekin z „Beowulfem”, jak się zakleszczyli zgruchotanymi pokładami i wręgami tytanowymi... To nie jest dziura w kadłubie, przez którą widać tu gwiazdy - to rozziw między korpusami dwóch okrętów, między płaszczyznami dwóch architektur wewnętrznych.

...Za tą grodzią powinny się znajdować sale operacyjne głównego kalkulatora Rekina. A my z kolei weszliśmy tam przez pokład komputerowy „Beowulfa”. Ale one tak się zderzyły, dziobem w burtę. Tak się zwały z sobą, skolidowały, splątały główne rozrządy statków i mózgi elektronowe, ich szafy liczące i bloki intelegtroniki. Z czego oczywiście żaden Astromancer nie byłby powstał, nie wystarczy otłuc młotkiem wiadro cewek i lamp, żeby automat rachujący się narodził... Lecz „Beowulf” niósł w sobie moduł Technogatorowy, i tylko nie wiem - już pracujący? już pod kontrolą mózgu okrętowego? Czyją komendą powodowany w momencie zderzenia? Ale tak to poszło niechybnie: okaleczony w swych programach przystąpił do reperacji mózgu, który sam go w działaniach rekonstrukcyjnych kierował, ślepy doktor operujący samego siebie, a i nie dość, że ślepy: ślepy i już zarażony, już gangreną i obcymi pasożytami toczony, bo co odbudowywały cyfrowym instynktem powodowane roboty Technogatora, co łątały i lutowały jego mrówcze automaty? Nie kalkulator pokładowy „Beowulfa”, ale sprzęg ten chaotyczny kalkulatorów „Beowulfa” i Rekina, absurdalne pomieszanie obwodów liczących, pamięci magnetycznych, układów lampowych, cybernetyczną parodię mejozy nukleotydowej, kogel-mogel dwóch maszyn myślących, i to na nim pracowały reparatory bezświadome, i to właśnie próbowały przywrócić do kształtu pierwotnego, to znaczy wyleczyć. Ale nie było żadnego kształtu pierwotnego! Nie było ku czemu leczyć! I ten leczący, ten, co leczył sam siebie - nie leczył - przebudowywał - już był przemieniony, już był czymś innym - każdą operacją bezcelową, ślepą, rakowatą wypoczwarzał się w inny konstrukt, który jeszcze bardziej absurdalne komendy słał, które jeszcze mocniej go mutowały, więc on jeszcze gęstszy chaos zerojedynkowy z siebie wydałał, więc mateczniki Technogatorowe jeszcze dziksze rekombinacje robotów rodziły, a one rozbudowywały go i permutowały jego elementy w jeszcze namiętniejszym obłąkaniu... I ile to lat, ile lat tej martwej ewolucji nowotworu, ile tysięcy obrotów młyna losowej inżynierii? Aż się rozrósł na całą przestrzeń między kadłubami. Przeżuje gruz, przetrawi rudy z planetoid, wchłonie złom, tym się przecież żywi,

jelita ma pełne surowca - i może za lat sto, może lat tysiąc, ale rozrośnie się dalej, wykipi z wrakowiska, rozpostrze w kosmos.

...Tylko że to właśnie nie jest ewolucja, nic podobnego do ewolucji: nie ogranicza procesu żadna selekcja, nie ma tu ciśnienia środowiska, nic się nie mnoży i nic nie dziedziczy, żadne presje nie pchają Astromancera ku lepszemu przystosowaniu - przystosowaniu do czego? - żadna walka o przetrwanie nie formuje go do większej skuteczności - skuteczności w czym? Decyduje czysty chaos - a może już coś, co się z tego chaosu tam skryształizowało; lecz nie porządek, nie sens! I to, co się rekombinuje, to nie kod genetyczny, ale wprost struktury logiczne umysłu. Cóż że martwego? Programy nukleotydowe nakręcające nasze komórki też są na poziomie chemicznym m a r t w e; życie jest dopiero skutkiem realizacji programu. Rozumie pan, Kapitanie? Nekroewolucja, jako te same procedury dziedziczenia, reprodukcji i selekcji naturalnej wykonywane przez maszyny niebiologiczne, przez stalowe maszyny kopiująco-reperujące puszczane samopas - taka ewolucja martwoty byłaby jeszcze do pomyślenia. Ale tu się dzieje co innego, tu się wydarza horrendum logiki.

Szum, szept, szum, nie, jednak słowa - kto mówi - nie Kapitan - milknę - a te słowa urywane jakby wprost do głowy mi skapywały:

- ... lik... ma-ra-ta-ma... pró-próż... tra... trzym... raz... seku...

Kto, kto mówi? Zamieram z potylicą przyciśniętą do szyby i dopiero dreszcz lodowaty maszeruje mi po skórze, gdyż ten szept płynie właśnie stamtąd: zza grodzi, z ciemności, z próżni, od Astromancera.

Kapitan pracuje nad bębniem czystych taśm, wkręcając je z benedyktyńską cierpliwością we wnętrzości terminala. Nie obejrzał się nawet.

Wstrzymując oddech i słowa, bo groza złapała mnie już za gardło stalową pięścią, obracam głowę i wzrok w ciemność za grodzia.

- ...pró-próżnię... ak.. at... taka... li-la-li... em.. łem... ełm...

W obłoku błękitnego blasku majaczy twarz Inżyniera. Przytknął hełm do szybki grodzi, usiłuje mi coś powiedzieć, poruszają się jego wargi, drgają nerwowo gałki oczne. Spozstrzegł, że patrzę, i odsuwa się, cienie jego rękawic wskazują na coś, czego nie widzę. Unosi dłoń przed głowę, zgina palce, klepie się po nadgarstku. Czas, nie ma czasu. Wiem, że nie ma czasu. Dochodzi ósma.

Przeraźliwy terkot odrywa mnie od Inżyniera. Przemajstrowany przez Kapitana terminal wypluwa wstęgi papieru perforowanego; to zęby dziurkaczy tak stukają, trtrtk, trtrtk. Kapitan zgarnia z powietrza falujące wstęgi i czyta z nich zachłannie, z kodów, z szyfrów, z gęstych maszynogramów.

- Rozkazy! - mamrocze w gorączce. - Rozkazy! Więc tak to rozumieli! Agenci, szpiedzy, idioci! Czyje! Jego! Jego! - Mnie te serpentyny i drze, przesuwa palcami po dziurkach niczym ślepiec czułym dotykiem zanurzony w lekturze Braille'a. - Bełkot, bełkot, co za bełkot! I wojna z bełkotu! Proroctwa, rozkazy! Czarne nieba, co za głupoty! Żeby cały Układ Słoneczny zaplątać!...

Czy mógł oszaleć od samej śmiertelnej dawki promieniowania, czy ono tak przewierciło mu mózg - czy też to ta świadomość nieuchronnej śmierci wbiła go w wariacki stupor? Ale po Kapitaniu jako ostatnim spodziewałbym się podobnego załamania.

- ... kii... tli... ik... ełm.. ni... raz... raz... raz...

Inżynier ponownie odpływa od grodzi, a znikając pod powierzchnią czarnego mleka, wykonuje wciąż dramatyczne gesty, chwytając coś w ciemności i - Eksplozja ciska mnie o ścianę, odbijam się, i o drugą ścianę, odbijam się, połamałem żebra, szum, pyknięcie w uszach, powiew zimna, białe warkocze papierowych taśm fruną w próżnię przez wysadzoną gródź, chwytam się szafki naściennej, rozerwane pasy antyprzeciążeniowe biją mnie po twarzy, wypuszczam z płuc powietrze, mam dziesięć sekund, dziesięć-piętnaście sekund życia w przytomności, skóra już szczypie, zimne igiełki wchodzą pod powieki, odpycham się od szafki, gdzie mój hełm, nie ma przecież, rozglądam się po kabinie, próżnia wysysa powietrze także z dalszych pomieszczeń, przez drzwi w głębi lecą z wnętrza Rekina chmury kurzu, lekkich śmieci, drobin pianki wykładzinowej, skrawków papieru, Kapitan miota się we własnym papierowym tornado, figura tańcząca w białym ogniu, płomienie taśm zerojedynkowych furkoczą wokół niego, zginie w huraganie wykradzionych myśli Astromancera, ale nie, on tam coś szarpie, wyciąga zza emaliowanej obudowy terminala, swój hełm, wybijam się kolanem od sufitu, trafiam Kapitana łokciem w kark, wrywam mu hełm, odbijam się wstecz, jednocześnie nakładając hełm na głowę, czy pasuje, czy pasuje, kryza metalowa, izolacja, guma, zatrzaski, czy pasuje, pasuje, odkręcam krany tlenowe, ból rozrywa krtań, dygoczę w szoku, dryfując powoli w kąt kabiny, w ciemny kąt, w kąt.

Ile czasu mija, zanim z powrotem rejestruję obrazy, dźwięki, odczucia? Ślimak niechętnie wysuwa czułki z muszli. Ale trzeba opuścić komfort żywego, ciepłego, oddychającego ciała, zwrócić zmysły ku nieprzyjaznemu światu. Gdzie boli każdy głębszy wdech, każdy ruch gwałtowny.

I oto Inżynier rozkrawa inżynierskim ostrzem trupa Kapitana. Kaszlę głucho we wnętrzu swojej bańki powietrza. Inżynier niecierpliwie szarpie rozcięty skafander dowódcy, skalpeluje jego podkoszulek, sięga w głąb grubą rękawicą.

Stukam hełmem o hełm.

- Daj mu pan spokój. Nie ma czasu.

- Następny boi się radia? Nie przesz -

Odpycha mnie i zabiera się do dalszych operacji na zwłokach.

Radio, nie mam przecież radia. Zaraz jednak myśl zakręca o sto osiemdziesiąt stopni. To nie mój hełm, nie mój hełm, nie mój. Sprawdzam kontrolki styku, otwieram na lewym rękawie kasetkę diagnostyki. Radio wewnętrzne, na zielono, obwód foniczny, na zielono. Pstrykam plastikowym przełącznikiem.

- (*szum*) (*szum*) (*szum*) nawet gdybyśmy mieli tu takie luksusy, a nie mamy, doktorku, nie mamy -

- Zostaw go pan.

- (*szum*) To jak się przedostaniesz?

- Co?

- (*szum*) gdzie on to, nosił przecież na szyi... (*szum*) Jak się przebijesz? Przeklęty robot wartuje przy stosie, nie dopuści nikogo oprócz naszego drogiego Kapitana, Drugi Pilot próbował i skończył z urwaną ręką, szlag trafi wszystko za (*szum*) dwadzieścia dwie minuty.

- Co to jest, klucz kodowy do Marabuta? Nawet jeśli, to jak zdążysz pan z nim do stosu Rekina, a potem jeszcze odwrócić tam program autodestrukcji reaktora?

- (*szum*) Nie muszę, Kapitan też przecież trzymał kontrolę w eterze. Elektronik czeka już pod hermetyką stosu, nadam przez głośniki, (*szum*) Pomógłby pan lepiej!

Spokojnie, spokojnie. Trzeba tylko cofnąć się znad urwiska i spojrzeć na to wszystko bez drżenia, jak na zagadkę albo problem medyczny. (Zapomnij o zegarze).

- Może się uda, może nie. A w Perłach bylibyśmy bezpieczni.

- (*szum*) Świetnie, pana mamy z głowy w podziale, siedź pan sobie w Perle.

- Powariowaliście. Ryzykujecie życie dla łupów z Astromancera.

- (*szum*) A niby co robiliśmy tu od początku? Co, kazał ci ktoś wchodzić? (*szum*)
Wszyscy rzuciliśmy się na oślep do tego wyścigu.

Łapię go za bark. Wrywa się. Zdarł już z Kapitana cały skafander, rozpruł skafandra kieszonki i schowki, przeszukuje teraz kieszenie jego spodenek, ściąga mu skarpety.

- Na litość, te kilka milionów -

- (*szum*) Milionów? Milionów? Durniu, czy ty wiesz, co oni tu z niego wydobywali?

- Co?

- (*szum*) (*szum*) że czemu go chciał wysadzić? (*szum*) wszystkich bibliotek (*szum*)
(*trzaski*)

Machinalnie chwytam wstęgę dziurkowanego papieru, nadal wypływającą z na wpół

rozmontowanego terminala. Oczywiście nic z niej nie odczytam. Może nie ma tu w ogóle nic do odczytania.

- Kazał mi wypatrywać innych gości. Bał się ich, naprawdę się bał. To już były majaczenia, ale... Ponoć wślizgują się wprost z otwartego kosmosu, przez tę szczelinę między kadłubami ponad Astromancerem. Czy Kapitan naprawdę kogoś tam widział? Mhm. Ale pamięta pan czarną fregatę? Pasażer zwiódł nas niechcący kosmo-artem, taką miał obsesję. A przecież ta niby-sztuka to zaledwie produkt uboczny, najmniej ważny. Kapitan podejrzewał natomiast gry polityczne, czytał z tego tutaj wskazówki wojenne Astromancera. Nie wydaje mi się, żeby wszystko można było zwalić na pusty bełkot złomu, to zbyt prymitywna teoria spiskowa. Ale... Co pan robisz?!

Inżynier zatrzymuje się z nożem już wbitym w żołądek Kapitana; ciało nie zdążyło ostygnąć, ciemne korale krwi wypływają na ostrze.

- (*szum*) już żadnego pożytku, skoro sam miał tu zginąć, nie? Więc mógł połknąć.

- Albo wyrzucić w kosmos. Nie znajdziecie na czas. Ósma jedenaście, uciekajmy do Pereł.

- (*szum*) za łatwo poddajesz. Ta gra (*szum*) największy skarbiec ludzkości. Nie mówił wam Radiowiec?

- Cóż on tam znalazł w tym chaosie?

Przypominam sobie jednak legendy. Kto opowiadał pierwszy? Inżynier. Wynalazki, odkrycia, pomysły, przełomy... Postęp. „Od Astromancera”. „Astromancer wynalazł”. „Astromancer nadaje”. „Projekt Astromancera”. I te wota, te supliki ołtarzowe. Jak utrzymać stabilną plazmę na magnesach 12T? Zaiste, jak?

Przygryzam wargę.

- To wszystko nic nie znaczy. Że opowiadają sobie po Układzie Słonecznym bajki, że przypisują Astromancerowi, co niewyjaśnione - to nie znaczy, że w tym rakowatym złomie rzeczywiście świeci choć skra rozumu! Daliście się omamić Tajemnicy. Jak ten kosmo-art - tu tak samo. Dorysowujecie kształt bestii - we własnych piętrowych wyobrażeniach - bo wydaje się wam, że ujrzeliście w mroku oko błyszczące. A tam niczego, nikogo nie ma. Tylko chaos rozpleniony.

Inżynier przypatruje mi się w zamyśleniu, poniechawszy rzeźni. Czy w ogóle słucha? Nie słucha. Rozmawia ze sobą we wnętrzu głowy.

To nie ma sensu. Ósma dwanaście. Zginę tutaj razem z nimi.

- To nie ma sensu.

Wybijam się ku wysadzonej grodzi. Inżynier odpycha trupa, wlatuje w moją

trajektorię, zderzamy się niezgrabnie, akordy bólu grają na pogruchotanych żebrach.

- (*szum*) Nigdzie nie pójdziesz.

- A bierzcie wszystko, nie chcę żadnych procentów!

- (*szum*) Kolory, Doktorku. Dawaj mi ten hełm. Odtrącam go instynktownie.

- Nie wygłu -

- (*szum*) (*trzaski*) (*szum*)

Inżynier odpala ręczną dyszę, odrzut obraca go bokiem, nóż ma w drugiej ręce. Ciskam w niego pętlę pasów antyprzeciążeniowych i daję nura w ciemność jaskini Astromancera. Zaraz za krawędzią odpalam ostro w lewo, poza aleję światła, i przylepiam się do ściany. Gaszę diody wewnątrzhełmowe. Dyszę. Słyszy mój oddech. Wyłączam nadawanie, pozostawiając odbiór.

W otworze pojawia się seledynowy bark, część torsu. Inżynier zachowuje ostrożność, nie wyskoczy w ciemność w ślepym pościgu.

Mrugam. Kolory, kolory. Skafander Inżyniera jest seledynowy, Kapitana - śnieżnobiały, mój - żółty. Hełm nie pasuje do reszty, widać na pierwszy rzut oka. A w hełmie - radio Kapitana. Gdzie mógł włożyć klucz kontrolny Marabuta, skoro musiał na bieżąco zmieniać mu program w próżni?

Jak to sprawdzić? Na kontrolce na ramieniu się nie wyświetli, nie wiem, pod jakie łącze zostało podpięte.

Inżynier znika z powrotem w kabinie. Włączam szybko reflektor, szukam w załamanej przestrzeni międzykadłubowej wylotu korytarza, którym tu dotarłem z Radiowcem i Pasażerem. Tymczasem lampa wyłapuje czerwoną skrzynkę dryfującą tuż pod moimi stopami. Wykrzykniki, pioruny i trupie czaszki ostrzegają o jej zawartości: to z magazynów Rekina, materiały wybuchowe górników. Tak Inżynier wysadził gródź.

Światło reflektora myśli za mnie. Obserwuję - widz usadowiony w wysokiej loży opery ciszy - jak odskakuje, to znów wraca do skrzynki. Te wahania, te zwątpienia, zakręty możliwych przyszłości - to wszystko jest w owych kilku drgnięciach płamy blasku, w kilku sekundach. (Szybko, szybko, szybciej, zanim Inżynier powróci z nowym planem).

Więc skrzynka: nie, tak, nie, tak, tak.

Przyciągam stalowe pudło, gaszę reflektor. Inżynier nie zatrzasnął zamka, kłapa kontenera pozostała uchylona. Ładunki to smukłe puszki z wklęsłymi denkami. Obróciwszy się plecami do wejścia do kabiny, przyświecam diodami. Zapalnik czasowy ustawia się, przekraczając kanciaste tryby, cyfry przeskakują w prostokątnym okienku. Bezpiecznik to czerwone pokrętko pod blaszaną plombą; trzeba wpiąć tę blachę zedrzeć. Pomagam sobie

zębem hakowatego zaczepu linki asekuracyjnej.

Następnie odbijam się mocno w ukośną trajektorię, tak aby przelecieć przez światło kabiny, zarazem oddalając się już w głąb jaskini, odbijam się, lecę, i w tej krótkiej chwili, gdy neonowe słońce wydobywa mnie z czarnego mleka i spoglądam przez rozerwaną gródź na pobjowisko po poprzedniej eksplozji, na Inżyniera wlokącego na próg kanciaste urządzenie z długimi korzeniami kabli i jak na mój widok unosi pustą dłoń w prędkim geście, który -

- (*szum*) Doktorze! (*szum*) (*szum*)

...rzucam w światło czerwone puszkę, jedną i drugą.

Musiałem wyliczyć z góry czasy, wołałem więc dodać parę sekund, niż z pośpiechu samemu się rozerwać na strzępy. Wiedziałem przecież, że Inżynier i tak nie będzie w stanie w porę złapać i wyrzucić ładunków. On też to wie. Zamiera tam na trzy uderzenia serca. Po czym także wyskakuje w ciemność. Fala odłamków pchnięta przez detonację uderza go w plecy. Koziółkując z rozłożonymi bezwładnie kończynami - zielona rozgwiazda - znika w mroku.

Kontruje z dyszy, szybko, na wyczucie. Obkręca mnie i zupełnie tracę orientację - w którym kierunku, o ile stopni, w jakim pionie. Jednocześnie drugą ręką operuję reflektorem, w panice szukając Inżyniera. Zginął? Przeżył? Radio milczy. (To znaczy szumi). Wyłączył albo zniszczone. Tylko miernik promieniowania terkocze ze śmiertelną częstotliwością. Gwiazdy mrugają ponad moimi zgiętymi kolanami; pionuję się z niebem nad głową. Czy wrakowisko obróciło się właśnie tą stroną ku burzy słonecznej? Zatem jestem martwy tak czy owak.

Ale zbyt świeża w pamięci jest ulga z cudem uratowanego życia, napięte zostały cięciwy, nakręcone sprężyny. Będę walczył do ostatniej sekundy. Otwieram dyszę, uciekając spod otwartego nieba, w cień od gwiazd. Nie nadążam z dokonywaniem wyborów, a każdy z nich teraz pod znakiem katastrofy. Włączyć lampę? A jeśli Inżynier przeżył i zobaczy? A jeśli nie włączę i znowu wpadnę na coś w ciemnościach, pogruhoczę się, roztrzaskam hełm? Ale w próżni nie tak łatwo dojrzeć światło nierozproszone. Zatem co to za punkt czerwony, gorejący, co to za puls żaru bije przede mną? Naciskam spust reflektora. I druga ręka zaraz kontruje odrzutem - stop! Wpadłbym na niego w rozpędzie ratunkowym, wprost w masyw jego centralny. Tak oto zawisnąwszy, figurka kanarkowożółta, ludzik niezgrabny, ciastowaty, macam wielką łapą blasku po górach i dolinach Astromancera, po jego lasach i łąkach, miastach i wulkanach, ileż to ma dziesiątek, setek metrów, ile tysięcy ton metalu, szkła, elektroniki rzemieślniczej, jakaż obfitość kształtów mechanicznych, przez mechanizmy wykonanych! Niczym w głębinie oceanicznej albo w otchłani kosmosu pozagalaktycznego, zaiskrzy tam też od czasu do czasu gwiazdka srebrna, pójdzie po liniach cienia smuga

wyładowań otwartych, kieszonkowe błyskawice zakręca żarnami matematyki, pulsar spod kamienia, kwazar spod bazaltu łyśnie i zgaśnie, złoty piasek systemów rachujących ułoży się na źrenicy konstelacją zawrotną, też na ułamek sekundy za ledwie, i znowu mrok, znowu milczące Himalaje maszynowego rozumu, maszynowego obłądu. Mógłbym godzinami krążyć światłem po turniach, żłebach, piargach i falach splątanej cybernetyki i nie ułożyć sobie w głowie obrazu ogólnego, nie obrysować kształtu potwora. Tylko tam pośrodku, tam w jamie, w gębie, w kawernie, w leju spiralnym traktów radiacyjnych, pod nawisami pomp magnetycznych i tłoczni, za siatką przewodów miedzianych, orzęsiony rudymi cewkami, tam płonie rubin samotnego lasera, wiązka rozbita na jakimś ośrodku gęstym, że dobrze widoczna z każdego miejsca przed obliczem Astromancera. Po co wmontował w siebie ten laser? A po co wmontował cokolwiek? (*szum*) Drży ręka, drży światło. Tam, tam, czy to są talerze pamięci ścieżkowych - tysiąckrotnie powiększone? Czy to taśmy programowe - skłębione w chmury wielkie jak chmury? Czy to szeregi czytników optycznych - czytających ciemność? Ten lodowiec atramentowy podniebny - (*szum*) - to przekrzywiona ściana zimnych ekranów i oscyloskopów, na pół biurowca wielka.

Ten przyływ pienisty u dołu - to bałwany wydruków papierowych, nieustannie, od lat wydalanych przez Astromancera, a potem zapewne pożeranych przez inne maszyny i z powrotem przetrawianych do drukarni sprzężonych z rozgorączkowanymi mózгами lampowymi. Jakie mądrości chaosu tam wypisuje? (*szum*) (*szum*) Czy po to właśnie się zakradają - ci spadający od gwiazd i ci podążający korytarzami ofiar i próśb - czy to z tych bełkotów doniosłych agenci czytają swoje rozkazy, a naukowcy kłamliwe przepisy na odkrycia nie do odkrycia? Podczas gdy Astromancer liczy, on niewzruszony.

- (*szum*) (*szum*) (*szum*)

Ale to nie jest szum, ten dźwięk narasta ze złożenia miliona innych dźwięków - gdybym tylko potrafił je usłyszeć każdy z osobna! Może wtedy zdołałbym zrozumieć Astromancera. Bo nie mam wątpliwości: tak przemawia, tak śpiewa, na wszystkich zakresach, we wszystkich językach. Im bliżej Astromancera dryfuję, tym wyraźniej przebija na słuchawkach: słowo, ciąg pisków, kilka pyknięć morse'a, wizg elektroniczny, echo dudniące, puls, puls maszyny.

„Zrozumieć Astromancera!” Budzę się jak z uroku hipnotycznego. Wystarczyła chwila, bym dał się związać absurdowi; wiedząc doskonale, że nie jest to rzecz do zrozumienia, natężyłem umysł, napędziłem wyobraźnię, aż, wyglodzona, schwyciła radośnie byle ochłap sensu, byle kość logiki.

Jak się obronić? To w nas siedzi najgłębiej, zapisane w genach, wryte w mózgu,

zasadzone w snach.

I jeszcze: $(1+\sqrt{5})/2$.

Odrywam reflektor od ślepiu rubinowego, umykam spojrzeniem precz.

Błysk: seledyn eruptuje z czarnego mleka, prze w światło. Ręka sięga do pasa, zrywa bezpiecznik, ciska bombę pięciosekundową. Gaszę lampę i odbijam gwałtownie w prawo, w dół. (*szum*) (*szum*) Adrenalina wchodzi w serce jak sopel ognisty, lód płomienia. Czy to był Inżynier? Uciekam. Gwiazdy wirują w trapezie. Migocze oko rozeźlonego byka. (*szum*) Uciekam.

Eksplozja jest cicha i ciemna. Wszystko zaczyna się sekundę po eksplozji. Mózg małpy musi obrysować strach wyciągniętym paluchem, małpie serce wie: Astromancer się obudził. (*szum*) (*trzask*) (*szum*) Więc najpierw wykwitają pod/przede mną gigantyczne mandale wyładowań elektrycznych, łuki błyskawic niczym korony lasu tysiąca generatorów van de Graaffa. W ich glorii porażającej, w łunach chirurgicznych rozpościerają się krajobrazy maszynowego nowotworu. Ale już nie góry, nie masywy statyczne - teraz każda krawędź i linia cienia, każda orografia Mandelbrota i geometria stalowa się porusza: w jednej chwili na powierzchnię Astromancera wykipiwały nieprzeliczone zastępy dziwactw, pokrak i karykatur automatycznych, kaleki zrodzone przez pokolenia kalek, chaos wyprodukowany przez chaos i chaos produkujący. Bo co one robią - one od razu wgryzają się w cielsko Astromancera, otwierają ryje palników, uruchamiają zębate piły i ostrza laserowe, idą w pęd ich obcęgowy gęby i świdrogony, tańczą tam szaleńczo pająki śrubokrętowe i mrówkownicelutownice. A obłęd rekonstrukcji jest tak gwałtowny, że robotom wszystko jedno, co przemontowują; tną i składają od nowa inne roboty, a one znowuż zabierają się do kolejnych, może właśnie te, co przed chwilą je sfrankensteinowały, może własną część w nie włożyły, a może z ich części się przed momentem narodziły. I ta kanibalistyczno-kopulacyjna orgia cybernetycznego kowalstwa tylko przybiera na sile; choćbym się starał wysledzić wzrokiem spokojnym (a uciekam, uciekam, uciekam), nie powiem, gdzie uderzył ładunek górniczy, który fragment Astromancera zniszczył, czy zniszczył cokolwiek, a przecie to z jego powodu ta furia martwej inżynierii, to dlatego jest pożerany i zmartwychczyniony, ale nie, nie da się już odróżnić konstrukt od konstruktora, przedmiotu od podmiotu, materii od czynu. Astromancer stwarza sam siebie. Zapadają się bloki elektromózgów nadprzewodzących i rosną nowe. Na moich oczach wykręca się wielusettonowe origami metalu i szkła, odmieniają się konstelacje ogni katodowo-anodowych i wzorce wewnętrznych wyładowań, wypiętrzają się świeże pasma kalkulacyjne i prą między poszarpanymi kadłubami „Beowulfa” i Rekina nowe moreny procesorowe, (*szum*) A nad nimi błyska i migocze mozaika obrazów i wykresów

wyświetlanych w nieludzkim tempie na falującym murze tysiąca małych i dużych ekranów, miliona zegarów pokładowych, wypukłych szkieł oscylatorów, tarcz potencjometrów. Cóż takiego one wszystkie pokazują? Jakaż lawinę informacji wyrzuca tam z siebie Astromancer! Serce małpy się wrywa, ale przymuszam głowę, by odwróciła się od rorschachowych uroków; to tam się poczęła demencja Kapitana. Uciekam, uciekam. Obracam się bokiem do wektora, sprawdzam reflektorem drogę przede mną. Już blisko, kilka sekund. Lecz zanim opadnę na urwaną kratownicę pokładu i dam nura w ciasny korytarz ofiar modlitewnych i kosmo-artu, jeszcze w ostatnim długim spojrzeniu na geologiczne konwulsje Astromancera - nie mogłem go sobie odmówić - widzę tam, o jedną przełęcz od krateru czerwonego oka, pomiędzy młynami pamięci ferromagnetycznych, wynoszony wtem na jezorze lśniącej blachy, opleciony i przefastrygowany setką drutów iskrzących, w koronie płonących lamp próżniowych i rozkrojony wpół imbriuminiową instalacją vacuum-artu, widzę pomarańczowy skafander Radiowca, skafander i sztywne ciało w nim. Stłuczone soczewki jego okularów, szron tlenu na wąsach. Astromancer rozkwita wokół umarłego spiralnymi kielichami anten, niezmordowani stal-majstrowie dobudowują w pośpiechu arabeskowe architektury dzikiej logiki, czarne mleko gotuje się od piorunowych ogni, kable w kolorowych izolacjach serpentynują niczym grzywa wynurzającej się Meduzy, ach, wszystko to jest niewymownie, euforycznie piękne. Uciekłem.

IX. Rozmowa

Uciekłem, przebiłem się drogą ostemplowaną świetlicie przez Pasażera, dopadłem Perły, zatrzasnąłem się w pancерnej kapsule. Za późno, była ósma czterdzieści trzy. Była ósma czterdzieści trzy, lecz stos nie wybuchł. Z trudem dotarłem do fotela, krył go gąszcz stłoczonego od podłogi do sufitu kosmo-artu. I dopiero zahermetyzowawszy bolid, ustaliwszy atmosferę i zdjawszy hełm, spostrzegłem skulonego w kącie pod masywną mgławicą sztuki Pasażera w jego błękitnym skafandrze. Był nieprzytomny. Zmierzyłem temperaturę i stopień napromieniowania, jemu i sobie. On umierał, a ja? Chyba nie. Połknąłem tabletki przeciwradiacyjne i proszek przeciwbólowy z apteczki Perły, dwie torebki, a po chwili jeszcze trzecią, bo ból głowy właśnie narastał do hucznego *crescendo*. Ósma czterdzieści dziewięć. Na ekranach - wrakowisko, dziura, gwiazdy, gruz. Z głośników - szumy i trzaski. Wywoływałem wszystkich żyjących na częstotliwościach Kapitana i „Behemota”. Bez skutku. Zdryfowałem głębiej w objęcia fotela, otumaniony, wyprany z emocji, niebezpiecznie

senny. Ósma pięćdziesiąt dwie. Dlaczego nie wybuchł? Nie od razu więc wzbudziłem w sobie należytą ciekawość. Dlaczego nie wybuchł i nadal nie wybucha? Czy Inżynier przeżył? Przeżył i wraz z Elektronikiem przeprogramował Marabuta spod rozkazów Kapitana? Mają tam powietrze, mają energię, pewnie znajda i zapasy wody, pożywienia. Kto wie, co znajduje się w innych okrętach i habitatach na wpeł zasymilowanych i przetrawionych przez wykolejonego Technogatora? Nie muszą wracać, nie od razu. W ostateczności mogą zjeść zwłoki. (Już lekko odpływałem). Wyczekają, aż przyleci następny poszukiwacz, szabrownik, szpieg. I wykupią się albo uprowadzą mu statek. Mogą też wykorzystać Perły. Perły! Muszę je poprowadzić zdalnie na „Behemota”, nie wolno mi ich tu pozostawić. Ale - na „Behemocie” - co? Wrócę sam? Tak czy owak powinienem się czym prędzej położyć pod diagnostyką w ambulatorium. Mam gorączkę. Przykładałem dłoń do spoconego czoła. Nie opadała, również ciepła, nieważka. Odpływałem. Ból żeber i głowy mijał i czułem, że zaraz zasnę tu na dobre, po raz pierwszy od tylu godzin nareszcie bezpieczny, bezpieczny, bezpieczny. W tej ciasnej, półmrocznej przestrzeni, w pancерnej macicy perłowej, w fotelu królewskim otoczonym zewsząd ekranami, światłkami, przyciskami, obrośniętym atolem obumarłych odrostów Astromancera, wyglądając z beztroskiego komfortu w ciemność maszynowej tajemnicy... Kiedy astronauta cofa się do kołysanek dzieciństwa - cofa się do tej właśnie chwili. Niezniszczalny becik niesie ciekawskiego bobasa przez kosmos wielki, zimny, ciemny, obcy. Jeszcze przytknąć dłoń do chłodnego szkła monitora... Dreszcz przebiega. (Bo mam gorączkę). Dlaczego nie wybucha? Usiłowałem posortować w głowie możliwości, lecz maślane myśli wyslizgiwały się spomiędzy rozmiękłych zwojów mózgowych. Jak to wszystko przebiegło? Ja, Radiowiec, Pasażer - i Inżynier, Drugi Pilot, Elektronik - i Kapitan, Pierwszy Pilot, Marabut... A teraz Pasażer już prawie martwy, a reszta... Czy Kapitanowi rzeczywiście promieniowanie wyświdrowało klepki? Gdybym wiedział, co właściwie im się przydarzyło!... Ciskało mną tam niczym kulką we flipperze, od wypadku do zagubienia, od zagubienia do tragedii. Ale - pomyśl również o ich losach! pomyśl z ich perspektywy! - czy mnie jednego? Kapitana, Pierwszego, Drugiego, Radiowca, tego tu biedaka, ich wszystkich przemielilo w młynku chaosu i paranoi. Wlecieliśmy we wrakowisko i od tego momentu coś się zmieniło - jakby to bliskość Astromancera na nas wpływała, na nas albo na sam bieg wydarzeń, ach, czy tak udziela się ów astromancerowy chaos lawinowy? I czy tylko nam, czy każdemu, wszystkim przed nami, wszystkim po nas?

I nie chaos pusty przecież, bo małpie wystarczy ujrzyć oko potwora w gęstwinie nocy, lecz chaos generujący wciąż nowe pokręcone zrozumienia - spiralę rozumu - hieroglify entropii... (Obudź się!) I czy to jest zaraźliwe, czy się roznosi, czy można wziąć w siebie i

przekazać dalej, jak oni biorą i przekazują - czy tak to się odbywa: karmiony darami-informacjami Astromancer wypływa z siebie wstęgi taśm z cyfrowo-literowym bełkotem, który jednak ludzie tak bardzo spragnieni sensu biorą za kolejne rewelacje, rozkazy, przepowiednie, i potem je wykonują w świecie, procesują na świecie, i tak się propaguje z coraz to nowych przerzutów nowotworowych po całym Układzie Słonecznym ta wojna absurdalna? I nie tylko wojna, bo jeśli istotnie tu mają początek nowe wynalazki, odkrycia naukowe - to przecież nie Astromancer sam (Obudź, obudź się!) Dlaczego nie wybucha? Marabut nie wypełnił rozkazu - ale czy dlatego, że Inżynier rozkaz zmienił, czy też dlatego, że zmianie uległa architektura logiczna robota i owa instrukcja już do niej nie pasowała, nie mieściła się w obwodach i języku robota, który nigdy nie zniszczy, nie skrzywdzi Astromancera? Odpłynąłem, tak, i to było dobre. Pod przymkniętymi powiekami Marabut wyświeślał mi się ukorzony przed laserowym spojrzeniem Astromancera, ukorzony, a może właśnie ku Astromancerowi spadający, może sięgający ku niemu, a może to Astromancer wyciągał się ku automatowi strugą martwego życia stalowego, może więc potem to już nie był Marabut, już zapuściło w nim korzenie ziarno chaosu, szum, biały szum przeplótł jego programy. Złapałem z powietrza hełm i wydłubałem zeń moduł radiowy. Klucz do Marabuta to była płaska kasetka układów elektronicznych. Wcisnąłem ją w grzebieniowe przyłącze modułu radiowego Perły. Podkreściwszy maksymalnie moc emisji, jałem nadawać w eter ostatnią, bezwarunkową instrukcję robota.

- W pustej konserwie w zero gie - nie tak łatwo się zabić.

- Ile to? Blisko doba. Myślałeś, że wszyscy zginęliśmy.

- Widzi pan tę blachę? Odłamałbym w końcu krawędź, naostrzył. Jak długo się kona z pragnienia, panie Doktorze?

- Tydzień nawet.

- Długo.

- Weź tusz i przyjdź do mesy. Musimy porozmawiać.

Czekałem pod wentylatorem, paląc grubego ziemskiego papierosa, z termosem samogonu dryfującym przy łokciu. Wydawało mi się, że jestem głodny, bardzo głodny - nagotowałem więc sobie jedzenia jak na ucztę całej załogi, głównie kaszki i wypieki proteinowe, ale we wszystkich dostępnych w dystrybutorach smakach, i jeszcze w kombinacjach smaków w nich niemożliwych, aż spostrzegłem, że gnam w tę robotę kucharską, ponieważ jeść nie chcę, nie mogę. Wróciłem się zatem po bimber. Piłem i paliłem. Systemy satelitarne potraw zamkniętych w napęczniałych foliach i pojemnikach defilowały

przez mesę w powolnych piruetach. Nie miałem siły ich gonić.

Nie powinienem był palić: wystarczy jedno kaszlnięcie lekkie i żebra zaciskają na oddechu kolczastą klatkę tortur. Nawigator zastał mnie przeczekującego w embrionalnym skurczu kolejną falę bólu. Z maszyny Floodsa wycisnął sobie kubek jogurtu na świeżych bakteriach. Wyjadał go potem łyżeczka po łyżeczce, nawet się delektując tym kwaśnym smakiem. Jasne włosy, wciąż mokre, kleiły się do kształtnej czaszki Nawigatora, pozostawiając w powietrzu konstelacje drobnych kropeł. Wdział białe spodnie treningowe i biały podkoszulek. Umywszy się i przebrawszy, zdążyłby jeszcze obejść połowę „Behemota”, ale nie mogłem go przecież pilnować krok w krok. Cóż mi pozostało? Musiałem przynajmniej udawać zaufanie.

Przypatrywał mi się bardziej zaciekawiony niż przestraszony - następny znak nieomylny jego młodości.

Inaczej powinny zawisnąć szale między nami, wszak go uwolniłem, darowałem życie, był na mojej łasce. Ale on już czuł, już wiedział, że wszystko się zmieniło.

Wypuściłem dym przez nos.

- Ile ty masz lat?

- Dwadzieścia siedem.

- Widzisz, będę ci jednak musiał zaufać.

- Bardzo źle pan wygląda.

- Taak.

Zamigotały żarówki i „Behemot V” jęknął przeciągle. Podobne dreszcze przechodzą po statku kilka razy na dobę. Nie zauważamy ich, przez sen obracamy się na drugi bok, pisząc, zatrzymujemy na sekundę dłoń z długopisem.

Przyciągnąłem się bliżej blatu. Klepnałem taster ssawy papierosowej; z głośnym wizgiem połknęła popiół.

- Chcę wiedzieć... ten sygnał w boi... czy ty wciąż liczysz na czyjeś przybycie?

Jednak zastanawiał się przez chwilę.

- Nie. - Zawahał się z łyżeczką przyklejoną do wargi. - Zamknął pan ambulatorium.

Mamy rannych?

- Pasażer umiera. Promieniowanie w śmiertelnej dawce, nie jestem pewien, czy wyłącznie z burzy.

- A reszta? Nie wracają od Astromancera?

- Nie ma reszty. Damy radę poprowadzić „Behemota” we dwójkę?

Zatchnęło go.

- Serio?

- Nie mamy wyjścia.

- Wszyscy? Wszyscy? Kapitan też? I Pierwszy?

Powoli pokiwałem głową.

Wpatrywał się we mnie, jakbym tym jednym gestem dokonał masowej egzekucji.

- Opowie mi pan wszystko.

- Opowiem. Ale teraz - czy damy radę?

- Przecież sam pan wie. Załoga jest potrzebna do ustawiania kursu oraz manewrów początkowych i końcowych. Poza tym przydajemy się tylko na nieprzewidziane wypadki.

- Postawisz statek na kursie?

- Po burzy.

- Po burzy.

Opuścił wzrok.

- Mamy czas.

- Nie, nie! Zapomnij o swoich planach.

- Bo co? Przegłosujesz mnie?

- Zginiesz, jeśli tam polecisz.

- Aż tak mocno sieje? Przeczekam sztorm.

- W Perle mam sporo kosmo-artu, Pasażer pozbierał. Musisz się tym zadowolić.

Zrozum, nie mogę cię puścić - bez ciebie się stąd nie wydostanę.

Złożyłem przed nim broń. A on skrzywił się niczym rozkapryszone dziecko.

- Ale dlaczego? Wchodzą tam i wychodzą, wiem przecież. Coście zrobili?

- Każdy, kto wejdzie do wrakowiska, zginie. Marabut go zabije.

- Co?

Wyjąłem z kieszeni przełamany klucz do Marabuta. Zawisł nad odrapanym blatem w dwóch nierównych kawałkach.

- Wydałem polecenie i nikt już go nie odwoła. Przynajmniej dopóty, dopóki Marabut w ogóle będzie się trzymał jakichkolwiek poleceń.

Trącił ostrożnie klucz trzonkiem łyżeczki.

- Co pan zrobił? - szepnął.

- To prowizoryczne zabezpieczenie. Bo tak czy owak, będziemy musieli przepchnąć Astromancera. Dodatkowa robota dla ciebie: znaleźć orbitę maksymalnie dobrze ukrytą, odchodzącą od starej orbity Astromancera. Czeka! Nic mi nie jest, nie zwariowałem. Widzisz przecież, że musimy się dogadać, nie ma innej możliwości. Opowiem ci, zrozumiesz.

Oczywiście wymażemy twój „bunt” z rejestrów, zmienimy dziennik pokładowy. No, już, oprzytomnij. Chcesz kawy?

Zaparzyłem. Obserwował mnie czujnie. Z otwartych w cielsko „Behemota” korytarzy zionęła w mesę skondensowana ciemność, lampy automatycznie gasły w bezludnych modułach - ale gdzie dawniej była chwilowa, ruchoma pustka zamieszkanego przestrzeni, teraz stała granitowa próżnia samotności, tysiące ton próżni, zostaliśmy sami na statku, sami, sami.

Zacząłem opowiadać odwrócony plecami, wisząc nad kuchenką - i póki nie widział mojej twarzy, póki nie mógł zajrzeć mi w oczy, szło łatwiej. A i tak przy opisie Astromancera ścisnął mnie ból od połamanych żeber i przerwałem, dysząc przez zęby; i to też był opis. Nawigator milczał. Nie oglądając się, pchnąłem doń gruszkę termiczną. Opowiedziałem o Kapitanie, Inżynierze, ich planach, szaleństwach. Opowiedziałem o wszystkim. Znowu bolało, bolało bardziej. Ale Nawigator musiał mnie zrozumieć, to było najważniejsze. Opowiedziałem aż do ostatniego majaka w Perle, aż do strasznego rozkazu.

Otworzyłem oczy. Żarówki dygotały w bulwach parzącego źrenice blasku. Nawigator zamarł z wpółotwartymi ustami. Chciał coś powiedzieć - zaniechał. Chciał powiedzieć co innego - cofnął słowa.

Wreszcie:

- Więc pan właściwie jak Kapitan. Najchętniej zniszczyłby go doszczętnie, prawda?

- Nie, nie wiem, to nie tak. - Jak mu wytłumaczyć, żeby pojał? - Kapitan mógł rzeczywiście stracić na jasności myślenia wskutek udaru pod ciężkimi promieniami. Ale mógł być też postępować tak z zimnego przekonania. Dlaczego? Myślałem nad tym. Ażeby powstrzymać wojnę.

Nawigator sęczył gorącą kawę krótkimi łykami; skupienie na kawie pozwalało skupić się na tym, czego tu nie widział, patrzeć wprost na opowiadane. Wskroś gruszki, wskroś blatu, wskroś pokładów stalowych.

- Jeśli naprawdę Układ Słoneczny jest areną działań agentów Astromancera, wykonujących te niezrozumiałe komendy ku niezrozumiałym celom, bez wzajemnej wiedzy o sobie, przekładających jego skrzek cyfrowy na świat...

- Oni nawet nie muszą o sobie myśleć jako o agentach. Skoro Astromancer daje im wynalazki, których inaczej nigdy by nie dokonali, nie dotarli do nich ludzką myślą, to jak mają odróżnić recepturę na postęp od receptury na katastrofę? Nie wiedzą, co czynią; nie mogą wiedzieć, co czynią.

- Myśleliście, że ja jestem agentem, szpiegiem wojennym.

- Może jesteś. Może i Pasażer nim jest. To poza wami.

- Astromancer pociąga sznurki? - zakpił.

- Nie! Nie, nie, nie! Tam nie ma żadnych planów, żadnego rozumu, żadnej logiki i programu, tylko chaos! Pojmujesz? Musimy go schować, przesunąć, i to na tyle daleko, by nie wykryli go po tych szczątkowych emisjach radiowych. Bo gdyby nadawał celowo, punktowo, z pełną mocą, to oczywiście żadne szachy kursowe nie miałyby sensu.

- Ale, jak pan tak mówi, Doktorze, ale wtedy nie tylko wojnę - zastopujemy także postęp, tak?

Pokiwałem głową.

- To i tym lepiej.

- Co?

Kawa nadal była dla mnie zbyt gorąca. Odkręciłem termos, łyknąłem bimbru ceresowego. Udało mi się powstrzymać kaszel. Zapaliwszy następnego papierosa, przyłożyłem na moment potylicę do stalowej ściany. Cudownie zimna. Wstrzyknąłem już sobie steroidy na gorączkę, lecz wciąż paliła mnie mocno.

Ścisnąłem skronie obiema dłońmi. Nawigator patrzył na mnie spode łba. Zasłoniłem oczy palcami, światło żarówek cięło mnie po źrenicach, pozostawały powidoki żółtych i czerwonych blizn, wyżarzone pod powiekami w formie koślawych liter X i V; zasłoniłem.

- Weź migrenę, odejmij ból, ale zostaw to ciśnienie wewnętrzne. Czuleś tak kiedyś, jak ci pęka głowa? Zaraz pęknie. Ale nie mówię o biologii, mówię o czystym intelekcie. Co? Czuleś?

- Może tej kawy nie -

- Ile ty masz lat?

- Dwadzieścia siedem - odparł, ciszej już.

- Posłuchaj. Na Ziemi... to znaczy, dlaczego uciekłem w kosmos... Ale! Musiałbyś go tu zobaczyć na własne oczy, to przecież jest niemożliwe, rozrasta się i przebudowuje ze ślepego rozpędu algorytmów, z każdą iteracją coraz bardziej skłóconych, entropia dawno powinna go była rozpuścić do czystego szumu, do maszynowej figury szumu. Więc skąd się to wszystko bierze, skąd, skąd, SKĄD?!

Szeptem:

- Nie wiem.

Wydech. Wdech. Wydech.

Zdryfowałem wzdłuż ściany, papieros i termos sunęły razem ze mną, gruszka kawy odbiła na rozbieżną orbitę, w ślad za rozkręconymi epicyklami kolacji, ale powoli, powoli, wszystko już teraz działa się w dusznym spowolnieniu, Nawigator wodził za mną oczyma

niemrugającymi, nie, nie odpływałem.

- Dobrze. Posłuchaj. Albo postęp ma granice, albo nie ma.

...Rozumie się: inne niż granice natury, jak granica czasu, bo po śmierci wszechświata nie będzie już komu pchać postępu naprzód, nie będzie nawet „przodu” i „tyłu” na skali zegarowej. Ale poza tym - jest-li tu jakiś hamulec wbudowany, czy nie?

...Bo jeśli nie, to prędzej czy później odejdzie w niebyt każda cywilizacja, wraz z jej właściwymi technologiami, jak te statki ciężkopancerne na stosach atomowych; z jej właściwą nauką, nauki wewnętrzną hierarchią, jak nasza: fizyka, elektronika, cybernetyka, chemia, potem może biologia, może matematyka; i z jej właściwą kulturą, w tym także sposobem myślenia i mówienia o nauce i technologii. Odejdzie - zastąpiona przez tę dalej posuniętą wedle miary postępu. Zrozum, co to oznacza: k a ż d a t o k a ż d a, czyli i ta po każdej, i tak bez końca. Czy to słuszny obraz? Że w którymkolwiek momencie spojrzysz na wszechświat, najwyżej rozwinięta w nim cywilizacja i tak ma przed sobą n i e s k ó n c z o n y ciąg jeszcze bardziej rozwiniętych cywilizacji?

...Że z a w s z e będą nauki lepsze, mocniejsze, prawdziwsze. Widzisz to? Czy to ma sens?

...Ale jeśli jest inaczej i ów proces w rzeczy samej napotyka jakiś bezwzględny „stop” - to na czym ten „stop” miałby polegać? skąd jego nieuchronność?

...Były teorie. Jak ta znana pod wieloma nazwami teoria Wiecznego Powrotu, Koła Dziejów, hipoteza Policzalnych Możliwości. Świat - o rozmaicie definiowanych granicach - zawiera skończoną liczbę cząstek elementarnych, które istnieją w skończonej liczbie dyskretnej konfiguracji w przestrzeni. Przyjmij taki obraz, a już twierdzenie o powrocie Poincarégo pokaże, iż postęp naprawdę uderza w ostateczną barierę: w ściśle obliczalnym czasie wszystkie możliwe konfiguracje materii zostaną wyczerpane i zacznie się p o w t a r z a n i e ś w i a t a, czyli także p o w t a r z a n i e p o s t ę p u. Materia to bowiem również nasze mózgi, neurony i dendryty w mózgach; konfiguracje cząstek kodują konfiguracje myśli. - Złapałem papieros i określiłem sobie czaszkę aureolą dymu. - Jaka możemy mieć gwarancję, że my sami, nasze nauki, maszyny i rakiety i cały postrzegany kosmos nie stanowi entej iteracji wiecznie powtarzanego procesu?

...Że entropia? Entropia może tu robić za kolejny element gry: system wróci do stanu zero i entropia się cofnie. Skąd mamy wiedzieć, że już tak nie było? Wszystkie zegary fizyki nakręca ta sama ręka, nie ma miary zewnętrznej.

...Już kiedyś my - ale nie my - inni ludzie - ale jednak my, my, bo co do myśli tacy sami - lataliśmy po Układzie Słonecznym „Behemotami” i „Molochami” i „Beowulfami”, już

kiedyś odkrywaliśmy teorię względności i Wielką Unifikację; już kiedyś narodził się Astromancer i stoczone zostały wszystkie wojny, wszystkie spiski rozegrane. Opisano to i zapomniano i opisano ponownie, setne echo snu-mitologii. Teraz my rozgrywamy na nowo, równie naiwnie, bo także pamięć to materia.

- Ale pan nie daje temu wiary?

Wzruszyłem ramionami.

- To jest „stop” czysto akademicki. Aż do ostatniej możliwej konfiguracji nikt „z wewnątrz” wszechświata nie zweryfikuje tej hipotezy. Będziemy szli naprzód w pochodzie Postępu, aż uderzymy w ścianę, i nawet tego nie pocujemy, bo już nas nie będzie. Z definicji nie sposób pamiętać Wielkich Powtórzeń.

- Pamięć to materia.

- Tak, więc takie wspomnienie nie mieści się w możliwych konfiguracjach systemu: konfiguracja N plus jeden zawierająca w sobie pamięć konfiguracji N, będzie różną - z zasady bogatszą - konfiguracją niż N plus jeden bez tej pamięci.

Inna ciekawość błyszczała już w oczach Nawigatora.

- A pana „stop” jest - jaki?

Łyknąłem wódki. Prędko zasychało mi w gardle. Głębiej w krtani łaskotała zapowiedź straszliwego kaszlu, piórko w ręku kata. Łyknąłem wódki po raz drugi.

- Mój, nie mój, pracowaliśmy przecież latami, ilu nas było!... Postęp, postęp wynika z kumulacji wiedzy. Im więcej wiemy, tym lepiej opisujemy rzeczywistość, tym precyzyjniejsze prawa nią rządzące poznajemy i, wykorzystując je, tym doskonalsze i potężniejsze narzędzia budujemy. Da się to sprowadzić do problemu zarządzania informacją, przy czym kwestią nie jest wielkość i poziom komplikacji tego, czym zarządzamy, lecz konieczna wielkość i poziom komplikacji tego, co zarządza. To nowa nauka, której nie idzie sprowadzić do żadnej z nauk wcześniejszych: matematyki czy psychologii. Patrząc w przyszłość i projektując tak postęp, przedłużalibyśmy po prostu reguły, które obowiązywały dotąd - a to głupi redukcjonizm.

...Historia nauki zna przecież wiele takich przejść, swoistych progów komplikacji. Mówi się wtedy o emergencji. Masz zbiór cząstek, tak czy owak powiązanych, i wystarczają ci do ich zrozumienia prawa chemii. Ale oto cząstki złożą się w taki sposób, że powstaje z nich żywy organizm, i chemia już nie wystarcza, część funkcji i działań organizmu wyjaśni dopiero nauka wyższa: biologia. Ale oto organizm rozwija mózg, w mózgu rodzi się intelekt, świadomość, i biologia już nie wystarcza: część funkcji i działań mózgu wyjaśni dopiero neurologia i nauki pokrewne. Ale oto mózg - czy jakkolwiek inny system przetwarzania

informacji - dla popchnięcia tego zbioru informacji jeszcze dalej, ku pojemniejszym uogólnieniom, musi osiągnąć taki poziom złożoności, że i tamte nauki nie wystarczają. Objawiają się reguły nowe, dziwne, zaskakujące, nieredukowalne do reguł neurologii, psychologii, teorii informacji.

...Powyżej pewnego poziomu, aby posunąć naprzód postęp, trzeba systemów, którymi rządzą prawa wyższego rzędu, niewywiedlane z praw niższego rzędu - tak samo jak z chemii nie wywiedziesz socjologii czy psychiatrii.

- I te prawa wyższe - pan je zna?

- Próbowaliśmy je właśnie odkrywać. Między nimi znajduje się - zakładamy - prawo „stopu”. Ta dziedzina nie ma jeszcze nawet nazwy. Doksologia? Progrestyka? Jesteśmy jak biolodzy na moment przed emergencją z chemicznej zupy pierwszych systemów organicznych.

Wycelowałem papieros w Nawigatora. (Ręka drżała).

- Dlaczego nie odwiedziły nas jeszcze obce cywilizacje znajdujące się na wyższych stopniach rozwoju, obleczone w swe cudowne technologie, na naukach rozwijanych przez miliony lat? Nie dlatego, że nie ma obcych cywilizacji - ale ponieważ nie ma wyższych stopni rozwoju. To - łupnąłem głucho w ścianę stalową, plasnąłem w grube szkło popsutego ekranu podsufitowego - to jest najwyższy stopień, stopień ostatni. Latają w swoich układach na takich powolnych frachtowcach, też gapiąc się w gwiazdy i spoglądając z utęsknieniem w galaktykę.

- Ale właściwie... dlaczego? Próbowali wymyślić coś więcej i - co?

- I próbują, i próbują, i próbują. Jest mnóstwo sekretów natury do poznania - tylko że objąć i sformalizować je może jedynie taki system przetwarzania informacji, który łamałby jedno lub więcej praw, które właśnie chce poznać.

Wciąż nie potrafił owinać myśli dookoła tej idei.

- No ale w praktyce, jak w praktyce wygląda ten „stop”? Fizyk, na ten przykład, siada do równań Einsteinowych, chce obliczyć warunki lokalnego ominięcia bariery prędkości światła - i co? I strzela mu w mózgu jakiś bezpiecznik?

- Jedno z dwojga: albo nie jest zdolny do ujęcia w umyśle teorii jakościowo wyższej, i wtedy naturalnie jej nie odkrywa; albo jest zdolny, i wtedy już wcześniej samoistnie się zapada: jak mocarz, który co prawda osiągnął taką masę mięśniową, co dźwignęłaby rekordowy ciężar - lecz tym samym jego szkielet nie potrafi już udźwignąć owych mięśni. To nie wina samej rzeczywistości: ona jest jak najbardziej racjonalna ze swej natury. P o z n a n i e j e s t m o ż l i w e. N i e j e s t m o ż l i w y p o z n a j ą c y.

...Przy czym, jak mówię, problem nie leży w cechach biologicznych czy chemicznych, lecz w samej strukturze owego „ponadzłożonego” systemu zarządzania informacją, toteż dotyczy i ludzi, i każdego -

Poderwał się.

- Ach! I pan sądzi, że Astromancer -

- Tak.

- No to czy oni źle chcieli? Inżynier i inni? Sam pan mówi, że Kapitan postradał zmysły. - Sięgnął ponad blatem i złapał tuż sprzed mojego uchwytu wirujący termos. Otworzył, powąchał, przygryzł wargę. - Widzę, że się pan bardzo źle czuje, Doktorze. Powinien się pan przespać, mamy czas, ja rozumiem, że teraz, po tych przejściach dramatycznych, teraz się pan boi i wolałby -

Rozkaszałem się. Zamilkł. Przeczekał moje cierpienie, lekko urażony, że go uciszyłem tak niskim sposobem.

- Czy ja się tego boję - zachrypiałem - czy raczej pragnąłbym ujrzeć przełamane wszelkie bariery „stopu”, ujrzeć na własne oczy Postęp nieujarzmiony... - Światło znowu mnie raziło, opuściłem powieki. - Kiedy usłyszałem o Astromancerze, wpięram w plotkach niejasnych od Inżyniera, potem już domyślając się trochę z tego, co znajdowaliśmy we wrakowisku, i wreszcie ze słów Kapitana i Inżyniera tam w Rekinie, z ich planów - jaki obraz miałem w wyobraźni? Właśnie konstrukt z natury odmiennego, bo niepowstałego na drodze ewolucji ani z planów rozumowych, takiego konstrukt, którego akurat nie wiążą prawa owej „nauki wyższej”. Ale kiedym wejrzał mu w oko gorejące, w to bycze ślepie Postępu, klejnot zimny krwią maszynową nabiegły - dreszcz po mnie przebiegł i iglica zimna w czaszkę weszła. Zajrzałem mu w oko i zobaczyłem nieskończony szereg cywilizacji, następujących po sobie jak potęgi nieprzeliczalne w alefie, a każda cywilizacja mocarniejsza, i mocarniejsza od mocarnej... zobaczyłem i -

- Przeraził się pan potwora Postępu. - Chciał się chyba zaśmiać; spojrzałem: śmiech zatrzymał się mu na grymasie ust. - No ale teraz już, gdy pan wie -

- Co wiem? - Odepchnąłem się krzywo od szafy syntezującej Floodsa. - Że nie ma w Astromancerze jednej myśli sensownej, jeno bełkot zerojedynkowy, a te jego szumy-rozkazy to Niagary wzajem sprzecznych idiotyzmów, które być może są odpowiedzialne również za tę wojnę? Tak! Bo czy to nie byłby sposób? Nie ma Myśli! Nie ma Rozumu! Jest bestia wszystkożrąca rozkraczona pośrodku chaosu, chaos wydalająca - i widać tą drogą, widać stąd on przychodzi, gdy już nie może nadejść ścieżką mózgową - z oblędu - Postęp!

Dyszałem.

Zbliżył się, odbiwszy się ponad stołem.

- I starczy, i dosyć. Chodźmy. Musi pan odpocząć, Doktorze. Proszę to zostawić, upił się pan.

Ciągnął mnie w korytarz. Żarówki rozbłyskały z cichym brzęczeniem. Metalowe jelito „Behemota” rozkurczało się przed nami zapraszająco.

Musiałem nadal mamrotać pod nosem echo ostatnich myśli („z obłądu - Postęp!”), bo Nawigator rychło zirytował się, szarpnął mnie mocniej, wytrącił z dłoni papieros.

- I co z tego, że z obłądu? Nawet jeśli! Co z tego? Dobrze! Będziemy mieć lepsze, szybsze kosmoloty! Przebijemy barierę prędkości światła! Wydrzemy naturze jej sekrety! Skolonizujemy galaktykę!

- Aha. A dlaczego żadnej cywilizacji wcześniej się nie udało?

- Nie może pan mieć pewności, że tak samo -

- To już się zaczęło! Już się rozwija! - Biłem do rytmu pięścią w grzyby nitów i śrub, w hermetyczne kołnierze odrzwi. - Nie widzisz? Idzie w parze z Postępem - jak smutek z mądrością, niedołęstwo ze starością. Astromancer jedną ręką daje wynalazki i odkrycia, a drugą - chaos, szaleństwo, szum roschachowy. I ta wojna bezsensowna - ona jest pierwszym objawem nowotworu.

- Więc co? Zniszczyć go? Bo dlaczego tylko ukrywać na tajemnej orbicie? Kapitan był bardziej konsekwentny.

Kręciłem głową, a raczej to głowa bezwolnie kolebała mi się na szyi.

- Nie mogę sam takiej decyzji... Być może nigdy nie powstanie drugi Astromancer. Być może nigdy wcześniej w historii wszechświata nie powstał. Raz na bilion lat, wbrew termodynamice... On jest bezcenny! Ale nie, nie, z innego powodu: on stanowi punkt miary, drugą stronę równania. Gdzieś pomiędzy nim i mózgiem małpy przebiega granica, na której włącza się „stop” Postępu. Ominął ją, bo nie wstępował schodami rosnących potęg, a złożył się naraz z chaosu - człowiek też może powstać z przypadkowego tańca atomów, jeśli poczekaś dość długo. Gdybyśmy znali specyfikację takiego systemu logicznego -

- To co? - Obrócił mnie w powietrzu ku mojej kajucie, potrząsnął mną lekko. - Doktorze, Doktorze... Niech się pan prześpi. Sam pan tu sobie przeczy. Słyszę przecież, że tak naprawdę nadal chce pan tego samego: badać go, poznawać. A więc odkrywać. Popychać naukę do przodu. Badając naturę wpisanego w prawa wszechświata zakazu postępu - dokonuje pan postępu. Jak pan zamierza się wyrwać z tego paradoksu? Samo myślenie o granicy poznania przesuwają tę granicę.

- Być może masz rację... - Zwiądnął mu w drzwiach, dysząc jeszcze ciężiej.

Nieważkość jednak w dużym stopniu maskowała mój stan, na Ziemi bym się przewrócił. Wyciągnąłem się przez próg, gubiąc pion. - Bo, widzisz, z tej, z tej, z tej strony mamy ciemną przepaść. O, o, otchłań. Ale jeśli zupełnie odwrócę się od Postępu, to co mi pozostanie? No co? Ja nie jestem jak Kapitan. Nie potrafię tak. Niechby chociaż ta progrestyka... - Nawigator pchnął mnie ku koi; popłynąłem wygięty niezgrabnie, chwytając się światła i cienia. - Bo skoro na wieki, na zawsze zatrzymamy się w tym miejscu, na ostatnim stopniu przed szafotem - to co zamiast? Na czym nakręcać się będą żywoty pokoleń, co napędzi ich ducha, jaki motor da moc dziejom człowieka, po co mielibyśmy w ogóle żyć, co nam pozostanie, co, co, co?

Nie miał problemu z ripostą.

- Sztuka.

Jak opowiedzieć owo przecucie, rozedrganie nocne, to swędzenie między półkulami mózgu? Gdybyś tylko mógł sięgnąć w siebie, a zarazem za siebie, jakąś kończyną wewnętrzną zmacać się w tym miejscu, gdzie rodzą się myśli, gdzie pęcznieje tkanka nowych idei, narodził obrazów, które nie zostały ujrzane nigdzie w przestrzeni przedmiotów wymiernych, ten nowotwór abstraktów, które nie wyjdą na świat, bo nie mają dlań ni kształtu, ni sensu, ten guz rozpychający drogi korteksowe, którego samego nie czujesz, ale który - czarna dziura nakręcająca na siebie nebule myśli - rozsadza ci czaszkę, dzień po dniu, noc po nocy, teoria po teorii, rozsadza, aż wreszcie rozsadzi, trach, ona pęknie z cichym trzaskiem, już wyczuwasz pod palcami linie naprężeń, pajęczą frenologię kataklizmu, już. Jak opowiedzieć? To wszystko dzieje się wszak po drugiej stronie granicy, za rzekami, za przepaściami. Z oddali obserwujesz zamglone krajobrazy. Stoją tam gigantyczne budowle nieznanego przeznaczenia, wieże, maszyny, wiadukty, armaty, nie, to tylko złudne podobieństwa. Ale samo to, że dostrzegasz ich zarys, wyróżnia cię z całej ludzkości; wyłącznie ty możesz próbować się domyślić ich prawdziwej natury. I jednocześnie wiesz, że właśnie ten jeden krok bliżej nich, jeden krok w przepaść i odmęty topielcze, który pozwoliłby ci uchwycić obraz w idei, ideę w regułach, reguły w słowach - tego kroku właśnie uczynić nie możesz. Nachylasz się naprzód. Ciśnienie w czaszce rośnie. Wyteżasz wzrok. Trzeszczy kość. Czarna dziura zasysa w siebie myśli o życiu, myśli o czynnościach codziennych, o ludziach przypadkowych, niekoniecznych, potem także wszelkie słowa dla ich oswojenia przeznaczone, potem także cierpliwość dla słów. Nie bardzo potrafisz się porozumieć z innymi w sprawach bliższych niż kształty owych tajemnic na horyzoncie. Nawet gdy mówisz - dobrze opowiedział Astrofizyka Pierwszy Pilot - gdy mówisz, podmioty

i orzeczenia rozpadają ci się w ustach, z języka sypie się piach. To już nie są twoje ziemie. Już nie twoja ojczyzna. Coraz bardziej nachylony ku niewidzialnemu. Ze wzrokiem obróconym poza materię. Wyciągnąłeś zawleczkę. Pora eksplodować granat umysłu.

X. Powrót z gwiazd

Mógł zrobić wszystko. Mógł mnie zgładzić we śnie. Mógł zamknąć, jak jego zamknęliśmy. Mógł zabrać Perłę i polecieć do Astromancera. Później dowiedziałem się, że istotnie - zabrał i poleciał. Sprawdzałem logi kapsuł (wtedy już sypiałem wyłącznie w kapsułach) i odnalazłem zapis wycieczki Nawigatora. W „noc” po uwolnieniu, bodaj w godzinę po zakończeniu rozmowy ze mną, odcumował Perłę i opuścił dok „Behemota V”. Log rejestruje co znaczniejsze manewry oraz aktywację podsystemów. Nawigator orbitował tam trzy godziny i pięćdziesiąt minut. Wielokrotnie korzystał z nadajnika radiowego. Wywoływał ich. Jeśli nadal żyli, mogli mu odpowiedzieć, chociażby ze sterowni Rekina. Czy odpowiedzieli? Nie zdradził się przede mną, a ja nie pytałem.

Drugiej nocy po powrocie od Astromancera zaczęły się sny, które - mam pewność - nawiedzać mnie będą latami. Krążę w nich po bezkresnym labiryncie zarośniętego Astromancerem wrakowiska, krążę, błędę i polatuję niesiony strumieniem widoków-skojarzeń, aż nagle strumień się odwraca, serce przyspiesza i już wiem: ściga mnie przez tę kolczastą ciemność figura jakaś masywna, gładkopodobna.

Jest coraz bliżej, taranuje gruz, przebija blachy, kruszy koronkowe aparaty. W próżni nie mogę jej słyszeć, a jednak słyszę. Rozchodzą się czarne kręgi po czarnym mleku. Aż Marabut wynurza się spod jego powierzchni wprost na mnie, z gotowym do morderczego zacisku imadłem ramion, jak wtedy na mostku Rekina, a więc znowu jestem na mostku Rekina, znowu, i robot mnie miażdży, zapalają się ekrany, z nich przemawia Kapitan - wiem, że mnie słyszycie! - słyszą go, słyszą go wszyscy, Inżynier, Elektronik i Drugi Pilot zdejmują hełmy, nachylają się ku sobie w zмовie złowroziej, przekazują z rąk do rąk atrybuty zdrady, a tymczasem, tymczasem robot mnie miażdży, czerwony punkt pulsuje w mroku, spadam w spiralną paszczę Astromancera. I wtedy się budzę. (Echo odbija się od stali).

Trzeciego dnia zmarł Pasażer. Czuwałem przy nim długie godziny; niewiele więcej mogłem dlań zrobić. Nie wątpię, że wystawił się na promieniowanie z innego jeszcze źródła, ekspozycja na burzę solarną zagwarantuje raka, ale nie zabije tak prędko jak oparzenie pod otwartym stosem atomowym. Już stan Kapitana zdawał mi się podejrzanym. Kapitan

mógł być zejść do stosu Rekina - ale Pasażer? Pozostawało to zagadką. Czuwałem przy nim i widziałem, jak przyplywa i odpływa od brzegu świadomości, jak się ześlizguje w komę przedśmiertną, rytmy elektroencefalografu opowiadały tę wędrówkę w zmierzch. Odchodził spokojnym krokiem. Raz przystanął i spojrzał wstecz. Byłem wtedy na świeżych prochach, nie od razu zareagowałem. Spoglądał na mnie jednym okiem odkrytym. (Drugie nazbyt zapuchło). Palce zginały się i prostowały. Wisiał podpięty do kroplówki, cewnika i kaniuli tlenowych, do EKG i EEG; powinienem był przymocować go pasami, teraz jednym ruchem gwałtowniejszym zaplączę się fatalnie, pozrywa przewody. Ścisnąłem go za ramię. Rozchylił spierzchnięte wargi i zacharczał przeciągle. Pod opaloną skórą napinały się mięśnie. Czy usiłował mi coś powiedzieć? Zamiast uspokajać cierpiącego, nachyliłem się nad nim i jałem bezlitośnie wypytywać: co mu się stało? dokąd się udał we wraku? Gdzie się oparzył promieniowaniem jonizującym? Po co znosił do Perły kosmo-art, skoro już tracił tam przytomność? Czy wie, co się stało z Radiowcem? Na pewno usiłował mi coś powiedzieć, lecz nie był w stanie wydać z krtani czystego dźwięku, jeno mokry szelest albo pisk chrapliwy.

Przywiązałem do ramy łóżka duży notes, wcisnąłem Pasażerowi w palce kredkę, a następnie przywiodłem ją do papieru. I taki to był dialog:

- Co się z wami stało? Co się z wami stało? Niech pan napisze. Co się stało?

KRAT MIJ A NIE MA

- Czego nie ma?

ASTRMC

- Ale ja wiem, że to tylko skrzep chaosu maszynowego. Wiem, że nie ma rozumu.

TWRZ SZTUK WSZ CZYT

- Bo ten chaos sam się stwarza, to dlatego.

NIE MA

- Wiem.

WSZ W OKU PTRZ

- Wiem. Ale co się z wami stało? Gdzie się pan napromieniował? I Radiowiec?

CZYT

- Te jego wydruki?

POWDZ IM NIE ASTRM WSZST

- Komu? Nie Astromancer - co?

PKNO PKNO

- Co?

PLI KN IO MA K I L I

Wówczas pojąłem, że ten rozkład wewnętrzny, ten szum komórkowy go toczący nie jest jedyną chorobą - że Pasażer się zaraził, jak zarazili się ci wszyscy szpiedzy, złodzieje, wynalazcy, agenci, roznosiciele chaosu Astromancera. I to właśnie zasadzają potem w świecie, rozsadzają po całym Układzie Słonecznym. Bo cóż ja tu robię? Siedzę nad chaosem literowym ciekącym z ręki człowieka ukąszonego przez Astromancera i dopisuję sensy, dorysowuję kształty. Nie ma różnicy: Astromancer, kosmo-art, rak złośliwy, entropia słowa pisanego. Nie ma różnicy.

(Czy tak właśnie odpływałem?)

On spoglądał na mnie jedynym sprawnym okiem z wielkim gniewem lub wielką rozpaczą, spojrzenie przeszywało mnie na wylot.

Złapałem się ramy, zawisłem nad Pasażerem.

- Po coś zbierał ten cały kosmo-art, skoro wiedziałeś już, że to odchody maszyny, ślepy wyrzut gejzera?

PTRZ WSZS TW NIE ASTRM PATRZ

- Co? Sztuka? Piękno jest w oku patrzącego, wiem.

WSZSK I TK NKA

- Co to znaczy: „wszystko”?

PTRZ

I zamknął oko.

Przełknąwszy gorzką irytację, udałem się do luku towarowego 4C, gdzie wcześniej przeniosłem z Perły wykradziony przez Pasażera kosmo-art; potem zajrzałem do jego kabiny, z głupią nadzieją, że może tam znajdę wskazówki. Wskazówki ku czemu? Bo w rezultacie wpatrywania się w wiszące w pustym magazynie kłęby dadaistycznej mechaniki nie spłynęło na mnie żadne olśnienie, nie objawił się żaden sens nowy. W kabinie zastałem zaś przykładowy porządek, Pasażer wysprzątał pomieszczenie przed wyprawą do Astromancera. Do bagażu zamkniętego w ciężkich kontenerach nie dostanę się wszakże bez szyfru albo palnika acetylenowego. Szukałem prywatnych zapisków Pasażera; może prowadził dziennik. Jeśli nawet, to schował go w którymś z tych kontenerów. Przypomniała mi się rewizja przeprowadzona w kabinie Nawigatora. Dlaczego uważamy, że przedmioty opowiedzą myśli używających je ludzi lepiej, niż są w stanie wypowiedzieć je sami ludzie? Ba, wobec przedmiotów się nie kryjemy, przedmiotom nie kłamiemy. Kto zawstydził się w obliczu szafy, zarumienił przed krzesłem, poczuł nagość własną wobec walizki? I jeszcze taką rzecz zważyć należy: jeśli sam sobie wybrałeś otoczenie, w którym żyjesz, to odbija ono kształt

twojej duszy równie pewnie, jak gdybyś wcisnął twarz w glinę - tam w rewersie, w odbiciu przecież zobaczysz, odnajdziesz dotykem siebie. Zamarłem, zawisnąwszy przed tapetami świetlistych nebul, płomiennymi meduzami supernowych, złotą inkrustacją galaktyki. O jakiej sztuce zbawiennej z żył Astromancera śnił Pasażer pod tymi obrazami? Jediną książką dryfującą luzem był ów tom poezji Whitmana, obciążony ściśle gumkami-recepturkami, lecz z grubą zakładką w miejscu ostatniej lektury.

*Kiedy słuchałem wykładu astronoma,
Kiedy dowody i liczby maszerowały przede mną karnie,
Kiedy mi okazywano wykresy i diagramy, mnożenia, dzielenia i pomiary,
Kiedy siedziałem słuchając astronoma, a on wykladał, oklaskiwany, w wykładowej sali,
Wkrótce poczułem dziwne znużenie i przesyt,
Aż wstałem i wymknąłem się stamtąd samotnie
W noc pachnącą wilgocią i tajemnicą, by od czasu do czasu
W absolutnej ciszy popatrzeć na gwiazdy.*

Zakładkę stanowiły zdjęcia kosmo-artu z kolekcji lunarnych. Pasażer najwyraźniej tropił był latami na aukcjach i wystawach eksponaty „oryginalne”, to znaczy te pochodzące od Astromancera - zanim jeszcze wiedział, czym jest Astromancer. Usiłowałem spojrzeć na nie oczyma Pasażera. Jaki wspólny mianownik wruch odnalazł? *Piękno jest w oku patrzącego*. Tak, ale on twierdził, że nie tylko piękno, lecz że cały obraz świata, konstrukt rzeczywistości, jaki nosimy w głowach, wszystko to stanowi pochodną naszego pierwotnego uwarunkowania, by dopełniać wszelki postrzegany chaos wzorcami celowej inteligencji.

Latamy kosmolotami, ponieważ potrafimy dojrzeć w gęstwie nocy straszne symetrie nieistniejących tygrysów.

Na zdjęcia eksponatów nałożyło się świeże wspomnienie kosmo-artu wyłowionego przez Pasażera z ruiny „Beowulfa”. Miał w tym przecież mocny cel, miał wielkie przekonanie o słuszności. W jaki sposób obejść „stop” postępu, skoro nie powtórzymy drogi Astromancera?

A czemu miały służyć moje wizyty w willi Profesora nad morzem, po co wykradałem jego notatki gazetowe, co takiego usiłowałem wydobyć ze słów upośledzonego geniusza?...

Chciałem go jeszcze dopytać, lecz gdy wróciłem do ambulatorium, Pasażer już nie żył.

Czwartego dnia po raz pierwszy zewnętrzne czujniki „Behemota” zarejestrowały

spadek natężenia promieniowania słonecznego. Minęło apogeum, sztorm stopniowo tracił na intensywności. Jeszcze parę dni i będziemy mogli ruszyć statek z za planetoidy, będziemy mogli przepchnąć Astromancera. Myślałem w liczbie mnogiej, dobrze jednak wiedziałem, że bez Nawigatora nie wykonam tego manewru. I wiedziałem też, że z kolei on beze mnie poradzi sobie doskonale.

Zaszedłem do jego kabiny. Nie chciał mi otworzyć albo nie było go w środku. Zajrzałem do mesy, do biblioteki, do maszynowni, do wewnętrznych luków towarowych. Mogliśmy się tak mijać w „Behemocie”, nawet specjalnie się nie kryjąc. Wróciłem na mostek. Setki światełek migotały na pulpitych i płytach rozrządu. Odszukałem w schowku sufitowym książkę musztry kursowej, przestudiowałem diagramy: która dioda opowiada którą historię - co się dzieje we wnętrzu kosmolotu. A także: który przycisk jakie rozkazy wysyła - te diagramy to były Drzewa Wiadomości i Drzewa Władzy. Kontrolki kalkulatora pokładowego wskazywały zwiększony pobór mocy maszyny liczącej. Przy samym kalkulatorze jednak Nawigatora nie było, sprawdziłem. Skąd jeszcze mógł przeprowadzać rachunki na mózgu elektronowym? Otóż istniało takie jedno łącze specjalne.

I tam go odnalazłem, w kabinie Kapitana. Przeglądał pasy spektrogramów, wisząc ponad otwartym terminalem.

- Podjąłeś już decyzję?

- Ile dni do końca burzy?

- A, więc jednak czekasz na coś? Na silnych chłopców Repetugi może?

Posłał mi szelmowski uśmiech spod jasnej grzywy, jasnych oczu.

- Nie bój się, łączność wróci na samym końcu, moje tajne floty nie zdążą odebrać wezwania.

Zatem już jawnie kpi. Już nie „panie Doktorze”, już tyka mnie bezczelnie. A mógłbym być jego ojcem.

Ale nie da się wymazać pamięci tamtej rozmowy w mesie, nie da się cofnąć pochopnych wyznań.

- Obliczałeś trajektorie - wskazałem na terminal. - Wiesz, że nie pozostało nam inne wyjście. Nie wejdziemy tam bezpiecznie do środka, a nie mamy teraz czasu na dłuższe operacje. Jak tylko wróci łączność, zaczną nas wywoływać z Marsa i Io i Luny Jeden. Musimy przepchnąć Astromancera na nową orbitę. Wrócimy na prywatnym czarterze. Nawet gdyby ktoś tam cudem trafił, to też nie wejdzie, Marabut pilnuje Sezamu.

- Od dawna to planowałeś?

Zdrętwiałem. Przecież nie było go wtedy na naradzie załogi, nie mógł słyszeć, co

mówiłem. Ktoś mu powiedział? Kto? Odwiedzali go w areszcie.

Jak się wyrwać z tej spirali podejrzeń? Nie można.

- No to co zamierzasz? Słucham.

Wzruszywszy ramionami, wrócił do taśm.

- Przesunąć Astromancera i przylecieć potem na czarterze. Och, jakże subtelna różnica: brak liczby mnogiej w zaimku.

- Po sztukę.

- Po sztukę - przytaknął. - Ale ciebie ona nie interesuje, prawda? I nauka chyba również, skoro tak boisz się postępu. Co?

- Nie, nie. Nawet gdybym... - Jak wyrwać się ze spirali podejrzeń? Jedyłą radę dał wtedy Elektronik: zachowywać się tak, jakbyśmy wierzyli w prawdomówność i czyste intencje innych graczy. Nawet gdy nie wierzymy. - Dobrze, przyjmijmy, że fundamentalną zasadę wszechświata stanowi twardy kres postępu. Co zatem będzie najważniejszym celem dociekań człowieka? Opracowanie metody ratunku cywilizacji przed rozbiciem się o tę granicę. Progrestyka to nauka o obronie człowieka przed r o z u m e m.

Schował taśmy, zgasił terminal. Zaniepokoiłem go, nie potrafił stwierdzić, czy mówię serio.

- Nauka przeciwrozumowa?

- No to wyobraź sobie, że Astromancer rozrasta się nadal, przez tysiąc, milion lat, na cały Układ Słoneczny.

- Myślałem nad tym. Tak naprawdę przed czym się tu bronisz? Albo daje wam te wynalazki, albo nie.

- Kto? - zachnąłem się. - Kto?! Przecież tam nikogo, niczego nie ma! Okay, sztuka. Przypatrzyłeś się temu kosmo-artowi? Tam nie ma nic. Piękno jest w oku patrzącego. Tak samo to nie Astromancer tworzy sensy - to my obrysowujemy w mroku drapieżcę, wyobrażenie drapieżcy. Być może było tak od początku, i być może to jest nauka najczystsza; spotkaliśmy tu między gwiazdami kwintesencję nauki.

Przyglądał mi się niemal z przestraczem.

- Coś jest z tobą nie tak, Doktorze. Ty też wróciłeś od Astromancera - zakręcił dłonią w powietrzu - pomieszany. Zdajesz sobie sprawę? Bzdury niesamowite opowiadasz.

- Bzdury?

- Co ci się tam stało? - Wyciągnął do mnie rękę. - I ten rozkaz dla Marabuta. Posłuchaj

-

- Bzdury?

- Sam pomyśl. Jak to możliwe. Niech nawet istnieje taki „stop” postępu. I nie Astromancer, tylko - w oku patrzącego. Czyli kogo? Tych wszystkich kosmonautów, wszystkich nas w statkach kosmicznych, w bazach układowych, którzy mieli styczność z wydalinią Astromancera? Jakim cudem akurat nasze, ich umysły nagle przeskoczyły barierę „stopu”?

- Tak, tak, masz rację... Musiałyby to być przyczyna - odginałem kolejno palce - po pierwsze, niezależna, po drugie, obejmująca kosmonautów i w ogóle pozaziemski personel układowy, być może poza tym państw komunistycznych, a nie obejmująca wcale ludzi na Ziemi, po trzeciej, taka, która nie istniała od zawsze, ale zaszła kilkanaście lat temu - kiedy dokładnie zaczął się kult Astromancera?

- Widzisz więc -

- A im przecież przeskakują tryby w głowach, nawet gdy nie mają za katalizator Astromancerowego generatora rorschachianów, wystarczy byle pretekst. Tak to się zaczyna! Dlatego tyle statków nie wraca, stąd te krwawe tragedie załóg na rejsach długodystansowych, te erupcje spisków, ta łatwość wrednych projekcji. Tak. Coś w umysłach, coś w mózgach.

- Doktorze -

- Pasażer podejrzewał wirusa. Ale jak nim zaraża? Pojedynczo? Nie. - Odepchnąłem się ku drzwiom. - My to jemy! Pijemy! Flood's Foods! Wystarczy się przecież dostać do głównej przetwórci Floodsa na Wenus. I już! Na każdym statku, w każdej bazie, na każdej orbicie! Jedyne pasujące wyjaśnienie!

Wypadłem na korytarz, popędziłem do mesy. Potężne szafy wydajników żywieniowych z łuszczącymi się emblematami FF przyśrubowano do ściany w równym szeregu. Wdusiłem przyciski. Zaszumiało, zabulgotało, rzygnęło papką gorącą. Posmakowałem jej ostrożnie.

Ale oczywiście niczego nie czuję, dlaczego miałbym poczuć? A jedzenie kosmonautów zawsze było i będzie ohydne, nikt się temu nie dziwi. Próbowałem zajrzeć w przewody łączące maszyny z rezerwuarem biomasy umieszczonym gdzieś we wnętrzościach „Behemota”. Jak każda jednostka ponadorbitalna, dysponował on własnymi systemami recyklingu powietrza i materii organicznej, żyliśmy tu w obiegu zamkniętym. FF odpowiadało za sposoby przetworzenia wody i biomasy oraz za domieszki jednorazowe, a także za dostarczenie na początku bezpiecznej wielokrotności podstawowej porcji białek, cukrów, tłuszczów i witamin. Ingerencja mogła nastąpić w kilku różnych miejscach, niekoniecznie w każdej maszynie dozowniczej z osobna. Nawigator obserwował mnie z

progu mesy, jak za pomocą dłuta i śrubokręta rozbieram Floodsową mlekodajnię, przeprowadzam wiwisekcję gumowych rurek i szklanych pomp, bąble lepkich płynów orbitują wokół mej głowy. Nie mówił nic.

I nie rozmawialiśmy też potem, gdy przystąpił już do manewrów odczepiania ładunku i podprowadzania „Behemota” pod wrakowisko. Byłem na mostku, pomagałem przepatrywać na optycznej i radarowej przestrzeń przed nagim dziobem statku, pchaliśmy się przecież w gęstwą kamiennych i metalowych odpadków i tak naprawdę brakowało jeszcze dwóch albo i trzech par oczu, obtarliśmy mocno rufową antenę, odłamali czwarty teletaktor. Nawet jednak w chwili ścierania mas, gdy stumetrowe łapska obejm pchacza ześlizgiwały się po nieregularnych krzywiznach porcelitowej burty „Beowulfa” i od sterowni do tytanowych trzewi pędni szedł po kręgosłupach stalowych „Behemota” przeraźliwy chrobot, i kiedy po pierwszym uderzeniu ciągu cała płatanina gruzu asteroidowego i maszynowych ruin rozpuchła-rozkwitła przed nami na ekranach niczym planetoklazmowy jamochłon i nie wiedzieliśmy, nie mogliśmy wiedzieć, czy Astromancer przetrwa ten cios, czy też przełamie się i rozkruszy w kilometrowy obłok naelektryzowanego żelastwa wraz z resztą owego konwulsyjnego cmentarzyska inżynierii - nawet wtedy nie padło między nami ani jedno słowo. Było to sprzysiężenie zdrajców, milczący sojusz wiarołomców, zbójcecki szach-pakt.

Czy Nawigator miał wciąż przed oczyma te same straszne oczywistości co ja? Jakże mógł nie mieć? Po wygaszeniu ciągu zanotowaliśmy nowe współrzędne - oto sekret został podzielony na dwa i rozmnożony w nieskończoność. Komu jeszcze wyda go ten drugi? Jakie oszustwo już przygotował? Kiedy dźgnie mnie w plecy? Dopóki żyje dwóch, żaden nie jest bezpieczny. Kto pierwszy zdąży wrócić tu z Jupitera? Kto sprzeda Astromancera, oddając się pod protekcję sił wyższych? A przecież on, Nawigator, on od początku miał plan. Dla kogo przeznaczył sygnał z wystrzelonej boi? Dla Repetugi? Wspólników w Pasie? Przecież nie dla Astromancera, jak próbował nam wmówić. Nie chciał się przyznać, a miał, miał plan.

Toteż nie byłem bezpieczny. Także zamknięty w kabinie lub w ambulatorium: Nawigator mógł się dostać do systemów podtrzymywania życia, ze sterowni lub z lokalnego węzła, i zdalnie zadusić mnie, zamrozić. Cóż było robić? Począłem nosić z sobą aparat tlenowy, a potem w ogóle nie zdejmowałem skafandra, jeno hełm. Lecz i wtedy mógł mnie Nawigator wziąć z zaskoczenia, choćby wpuszczając w dukty powietrzne prędkie toksyny i wirusy, tę gripę prawdziwie zabójczą. Począłem więc sypiać w Perle; kapsuły miały niezależne układy podtrzymywania życia. Musiałem też zmienić szyfr jej przelotni ciśnieniowej. Podejrzywałem wszakże, iż Nawigator potrafiłby obejść elektronikę zamka, znał się na tym daleko lepiej ode mnie. W końcu przyszło do tego, że sypiałem w skafandrze.

Rzecz jasna byłbym głupcem, ufając jedzeniu z maszyn podpiętych do zamkniętego obiegu „Behemota”. Mógł je zatruć na Wenus Floods, mógł zatruć tutaj Nawigator. Złupiłem kajutę Radiowca, zabierając jego zapasy sucharów, puszkowanej wołowiny, kompotów pasteryzowanych. Rozmontowałem tuleje tłoczące i badałem skład pulpy kalorycznej, poszukując elementów pozaprzepisowych. I to przy mikroskopie zastał mnie alarm przeciążeniowy. Powłóczęc nogami pod 1g, wspiąłem się na mostek. Opodał krzyża celowniczego na głównym ekranie migotała plamka Jupitera. Nawigator nawet mnie nie zapytał. Wczorajszym wieczorem wskazówki na zegarach promieniowania solarnego zeszyły z czerwonych pól. Obliczył kurs, ustawił stery i uruchomił ciąg. Nie było go tu, schował się gdzieś. Mogłem próbować majstrować przy rozrządach i manetkach, ale po co? Żeby zepsuć to, co tylko Nawigator umie naprawić? Pozostawałem zdany na jego łaskę i niełaskę.

Wracając do Perły, wypatrywałem go podświadomie w cieniach i półmrokach, w szybach i korytarzach „Behemota”. Statek dygotał, wył i jęczał przeciągle, przyspieszając, metal przemawiał językami czyścica. Wszedłem w doki bakburtowe i on wyszedł naprzeciw mnie, też był w skafandrze, wyłonił się z głębokiej szarości, postać nieprzyjazna, rozpędzona straceńczo z nachylenia barków i głowy; przystanąłem i on przystanął; uniosłem rękę i on także pogroził mi pięścią - i dopiero pojąłem, że patrzę na własne odbicie lustrzane w wypolerowanej powłoce Perły.

Tak. Nie mogę dłużej czekać. Nie śpiam już w ogóle. Nie jem i nie piję niczego z mesy. On chowa się gdzieś na dolnych pokładach. Dzisiaj lub jutro powróci łączność. Zamknąłem swoim kluczem kajutę Radiowca, ale Nawigatorowi wystarczy się podpiąć do którejkolwiek z anten w węzłach roboczych, nawet tych przy stosie; wystarczy mu wstąpić na minutę na mostek. Kto pierwszy pośle w eter swoją wersję historii, ten ustali zwycięski scenariusz. Nie mogę czuć tu nieprzerwanie. A skoro już znajdujemy się na kursie ku Jupiterowi - Nawigator tak naprawdę nie jest niezbędny.

Nie ma w tym ani krztyny nagłej emocji, nie kierują mną odruchy zwierzęce; dokonałem analizy i zimna logika spirali podejrzeń nie pozostawiła mi innego wyjścia. Nawigator stoi wobec tych samych konieczności. A jedyna niewiadoma to: kto zadziała pierwszy. Całą resztę obliczono już dawno temu, do milionowego miejsca po przecinku; została zapisana w kształcie muszli i krzywiznie liści, w łuku ramion galaktyki.

Myślami jednak wciąż i wciąż powracam do tego labiryntu, leżąc w półmroku i ciszy zahermetyzowanej Perły, i tutaj, czuwając na mostku, w ciężkim skafandrze, z wonią ozonu w nozdrzach; do labiryntu w głąb. Pójdę i przysięgnę Nawigatorowi, że go nie zdradzę. Czy mi

uwierzy? Czy uwierzyłbym, gdyby on przyszedł i przysięgał? Nie. Nie ma takiej przysięgi, nie ma takich argumentów, nie ma takich gestów i słów, które dawałyby gwarancję. Ja wiem, że on wie. On wie, że ja wiem. Ja wiem, że on wie, że ja wiem. Że wiem, że wie, że wiem, że wie, że -

Kto pierwszy pociągnie za spust.

Rozwiązanie Elektronika niczego nie rozwiązuje. Działać tak, jakby się wierzyło w najlepsze intencje drugiego gracza - jednak ten, kto pierwszy zadziała zgodnie z logiką, pokona tego wierzącego, więc co to za wybór? Nie ma wyboru.

Przestudiowałem diagramy. Nacisnę ten guzik, a potem ten, a potem ten. Procedura opuszczania osłon stosu trwa sześć minut i piętnaście sekund; zdążę schować się w Perle. W obu pozostałych kapsułach zablokowałem mechanizmy śluz. Dziewięciogodzinna ekspozycja na promieniowanie jądrowe z gorącego reaktora zlikwiduje wszelkie życie na pokładzie „Behemota V”. Ślady, jakie pozostaną, wytłumaczy burza. Tak czy owak brak ciał prawie całej załogi; ciało Nawigatora zniknie również. Nie wątpię, że stworzę spójną i wiarygodną teorię, która wyjaśni wszystko.

Gdybym wszakże był do końca rozsądny, podjąłbym akcję już zaraz po zakończeniu akceleracji. Tymczasem czekam. Tymczasem wywołuję go przez głośniki. Może jeszcze się zjawi i powie, jaki ma, jaki miał plan. Do kogo posłał sygnał? Przesłanie z boi wkrótce przebije się przez zakłócenia eteru. Czy nadejdzie odpowiedź? Na czyje przybycie liczył? Co jeszcze wie o Astromancerze? Może dzięki temu jakoś doszedłbym, co właściwie wydarzyło się tam we wrakowisku.

Gdyż ból żeber, migrena, gorączka, nudności i inne skutki napromieniowania - one mijają, miną. Lecz owo swędzenie, rozedrganie, dziura w głowie... Jak trudno się powstrzymać, żeby nie rozdrapywać w kółko rany rozumu, nie wsadzać palucha w bolącą myśl! Bo to wszystko przecież nie ma sensu. Elementy nie pasują do siebie. Porwane strzępy nie dają się zszyć. Dotarłem do granicy, stanąłem nad przepaścią. Może gdyby Nawigator - Ten guzik, a potem ten, a potem ten.

A biedny mały mózg nie spocznie, dopóki nie obrysuje zagadki pięknym, symetrycznym sensem. I w końcu i tak wszystko zrozumiem i przekonam się do tego zrozumienia. A potem do następnego, jeszcze trafniejszego. I następnego. I następnego.

„Behemot V” oddala się odeń z każdą sekundą o setki kilometrów, ja zaś nadal słyszę, widzę bicie zegarowego serca Astromancera, łomot jego krwi elektronowej i moc laserowego spojrzenia - w rytmie błysków najmniejszej lampki na pulpicie pod ekranami, pod gwiazdami. Mrugają do mnie uspokajająco. Mknę w ciszy zamknięty w stalowej arce w nieskończoną

ciemność, a on liczy. Liczy. Liczy. Liczy. Liczy.

kwiecień 2008 - maj 2010

Fragment Nocy na preriach Walta Whitmana przytaczam w przekładzie Czesława Miłosza. Kiedy słuchałem wykładu astronoma... - w przekładzie własnym.

SZKOŁA

Nauczonym.

Ku przestrodze.

Teraz

Puño dryfuje wolno po mieliznach półsnu. Otwierają się przed nim wrota przeszłości. Sterowany przez bezsenną maszynę dozownik wsacza mu w krwiobiegu tajemne ciecze. Puño leży na noszach, wielokrotnie opleciony różnokolorową pajęczyną elastycznych pasów, kabli, nagich czujników, sztucznych żył, w których pulsuje sercotaktnym przepływem krwi, co tak naprawdę wcale krwią nie jest. Ponad ciałem rozmawiają ze sobą maszyny. Śpij, Puño, śpijśpijśpijśpijśpij... Mężczyzna siedzący w nogach noszy, przy drzwiach ambulansu, nie zwraca uwagi na ich dialog. Czyta książkę. Broń w kaburze pod jego lewą pachą czasami ukazuje się na moment, gdy mężczyzna mimowolnie rozchylił połę marynarki - Puño zobaczyłby ją, gdyby uniósł głowę, gdyby uniósł powieki, gdyby miał oczy; żaden z tych warunków nie jest jednak możliwy do spełnienia. Strażnik chwilami przerywa lekturę i gapi się ślepo w zapasowe butle z tlenem przymocowane do przeciwległej ścianki: otrzymuje przez ukryty w małżowinie usznej odbiornik informacji od pozostałych ochroniarzy; chwilami sam coś powie w przestrzeń: słowo bez związku. Kobieta siedząca za głową Puño, plecami do szoferki, zawzięcie ignoruje strażnika - stara się wpatrzeć w wizualny dialog maszyn. Kobieta jest w białym kitlu lekarskim, ale pod nim ma skórzaną kamizelkę i dżinsy. Jej młodość zaprzecza samej sobie. Puño nic nie wie o żadnej z tych rzeczy. Docierają doń może tylko nieregularne drgania i wstrząsy pędzącego po autostradzie samochodu. Chociaż i one nie zawsze: oto połyka go brama, studnia, jama, paszcza przeszłości. Tętnią rytmicznie żyły. Przyływ. We wczoraj. Śpijśpijśpij. Nie ma cię teraz, nie ma cię tutaj. Nie obudzi cię nawet odgłos gromu słyszalny i przez ściany ambulansu. Na zewnątrz szaleje burza - deszcz, pioruny, wiatr; pędzicie przez ciemność w kolumnie anonimowych samochodów; noc za wami, noc przed wami. A ty, Puño, ty - żyjesz w dniach minionych, w chwilach, co na wskroś myśli przemknęły, w dźwiękach, co przebrzmiały, zanim je usłyszałeś, w doznaniach, których ani wtedy rozumiałeś, ani teraz rozumiesz. Tam bezpiecznie. Tam nic cię nie zrani: wszystko dokonane, a więc niezmiennie, zamrożone na wieczność. Oto i Juan, już zupełnie niegroźny; tylekroć cię pobił i pociął tym swoim nożem, upokorzył przed wszystkimi, i to pamiętasz - lecz już ani razu więcej tego nie uczyni, w przeszłości cię nie dosięgnie. Tu znasz każde miejsce, każdy czas. To twoje dominium. Terytorium.

Smak śmierci

- To nasze terytorium - rzekł owego dnia Juan. Tamci zagwizdali szyderczo. Rozpoczął się rytuał. Przejście podziemne, którym nikt donikąd nie przechodzi, kryjówka miejskich złodziei - tu panuje chłód nawet w letnie południe, tu panuje cisza nawet w północ karnawału, nie znajdzie cię pośród płataniny zgruchotanych płyt betonowych nadziewanych hartowaną stalą żaden policjant, żaden dorosły nie przecisnie się kolczastym tunelem w poduliczny półmrok ruiny tunelu; tu możesz bezpiecznie zbadać i podzielić łup. To nasze, nasze terytorium, od posiadania tej meliny zależy przetrwanie gangu, stąd dwie przecznice do metra, trzy do przykatedralnego placu żebraków, niedaleko także do dzielnicy pedofilskich pensjonatów. Ze slumsów bowiem nie sposób działać bezpośrednio, to ogromne odległości; nawet gdy smog się podniesie, nie dojrzysz z centrum miasta ani bezkresnych pól tekturowych, blaszanych i glinianych bud, ani lesistych stoków doliny, gdzie na wietrznych wysokościach mieszkają ponad wami prawdziwi bogacze, książęta drewna, kawy, koki i nielegalnych loterii. Więc przejście musi być wasze. Gwarantuje bezpieczeństwo także przed Szwadronami. Bez przejścia umrzecie z głodu, wy i wasze siostry, bracia i matki. Bo żebracy już zagrozili wam śmiercią, a alfonsi z niższych ulic zawarli umowę z policją i zamknął się rynek na jedyne usługi, w jakich mogliście być konkurencyjni, pozostała zatem tylko kradzież, rozbój, włamania i uliczne napaści. Będziecie walczyć. Rytuał trwa.

Ty, Puño, ty stoisz trzy kroki za Juanem; żelazny pręt w twojej dłoni, żyłeczka pod językiem. Oczywiście, że się boisz, bałeś się zawsze i wszystkiego, strach masz we krwi jak ten narkotyk, przesączony przez pępowinę z organizmu matki, odziedziczony po niej w kolejnej skarłałej generacji; on, strach, zawsze był po twojej stronie. A że się boisz - krzyczysz, gwizdziesz i prowokujesz Wężę jeszcze głośniejsze od innych. I ten strach sprawia, że kiedy w końcu Juan ze szczękiem otwiera nóż i postępuje krok ku przywódcy Węży, dając tym samym znak do ataku - ty skaczesz pierwszy i pierwszy ścierasz się z przeciwnikiem. Metys, jak ty; niski i chudy, jak ty; boi się, jak ty. Ślina na wyszczerzonych zębach. Uderzasz go prętem w brzuch, ale jednocześnie sam dostajesz łańcuchem rowerowym powyżej prawego kolana. Ugina się pod tobą noga, na szczęście on tylko krzyczy dziko z bólu, łańcuch wypada mu z ręki - nie wykorzystuje przewagi. Zresztą krzyczą wszyscy wokół, panuje taki hałas, że nie słyszysz nawet swego chrapliwego oddechu. Kurz wapienny podnosi się na półtora metra, rozmazuje się tunel w tumanach miążkiego pyłu. Już tylko wy dwaj. Tamten otwiera brzytwę. Rzucą się na siebie. Odbijasz prętem rękę z ostrzem, padasz z przeciwnikiem na beton. Zgubił brzytwę. Leży pod tobą. Wali wściekle kolanami, ale jakoś nie może cię trafić w krocze. Łapiasz go mocno oburącz za włosy i zbliżasz jego twarz do własnej. Pluje, klnie, próbuje gryźć. Trzymasz. Wypychasz wargi, jeszcze się pochylasz i

potrząsas energicznie głową: raz, drugi, trzeci; i niżej. Już nie wrzeszczy. Rozchlastane oczy, pocięte gardło. Ciepłe źródło bije ci rytmicznie na ubrudzony T-shirt. Z powrotem chowasz lepką żyletkę pod język. Śmierć smakuje starym żelazem, wapnem, solą i rozgrzanym plastikiem. Nie wiedziałeś o tym - nigdy się nie dowiesz - że w dniu bitwy w tunelu skończyłeś dziewiąty rok swego życia.

Musisz się jakoś nazywać

- Ile masz lat?

- Gówno.

- Weź mi, kurwa, nie podskakuj, szczeniaku, bo jak się wnerwię, to będzie cię słyszać na sąsiednim posterunku! Ile masz lat?

- Sto.

- Ty, mały, będziesz mi tu pogrywać - Wszedł wysoki brodac w cywilu. Podał tłustej jakieś papiery. Coś pomruczała, wskazała cię kciukiem, zakłęła, uśmiechnęła się sardonicznie, zapaliła beznikotynowego papierosa i wyszła z pokoju. Brodac usiadł na jej miejscu. Potarł długimi palcami nasadę nosa, spojrzał na ciebie bez wyrazu.

- Głodny?

- ...

- Pepsi może? - Postawił puszkę na stole. - Weź.

Nie wziąłeś, choć nie piłeś nic od dwóch dni.

- Słuchaj, mały - zamruczał. - Kłopot z tobą mamy. Jak zresztą z wami wszystkimi. Zabiłeś tego mężczyznę, zabiłeś tę kobietę. Może istotnie w samoobronie. Ale ty nic nie chcesz powiedzieć. Co gorsza, nie wiemy nawet, kim jesteś - rozumiesz? - nie wiemy, jak cię zapisać. Jak się nazywasz? jak masz na imię? Chcesz, żebyśmy cię wołali numerem? Jak te zwłoki niezidentyfikowane, które znajdujemy na przedmieściach, zwłoki takich jak ty dzieci nielegalnych imigrantów, tylko ciąg cyfr - ale ty żyjesz. Chcesz wrócić do mamy? Chcesz wrócić do domu? Powiedz tylko, jak się nazywasz, zaraz sprowadzimy twoich rodziców.

W końcu się zorientował, że nie zwracasz na jego słowa uwagi, że interesuje cię wyłącznie ta puszka pepsi, od której nie jesteś w stanie oderwać wzroku. Podsunął ci ją jeszcze bliżej.

- No, napij się, dalej.

Tylko skuliłeś się mocniej.

Mężczyzna westchnął, wyprostował się, przeciągnął, ziewnął.

- Co ja z wami mam... Boże drogi. - Mówił do sufitu. - Wczoraj przesłuchiwałem trzech portorykańskich szczeniaków, siedem, osiem i dziesięć, zgwałcili i skopali na śmierć zakonnicę, żaden nie umie pisać, żaden nie zna ojca, żaden nie pojmuję, o co ten szum... Synu, przecież wiem, że rozumiesz po angielsku - ale jak chcesz, mogę przejść na hiszpański. Przyrowadzę ci nawet faceta, który szwargocze po portugalsku - Brodacz przerwał, bo właśnie rzucił się na stół, złapał puszkę i zaczął ją opróżniać szybkimi łykami; płyn pienił ci się na brodzie, skapywał na podkoszulek z Batmanem. Zaraz się zakrztusił, pusta puszka wypadła ci z rąk na podłogę.

- No. Dobrze było? Chcesz jeszcze? Chcesz? Zaraz ci przyniosę. Powiedz tylko, jak masz na imię. Tylko tyle. Jak mam cię wołać. No. Przecież musisz się jakoś nazywać. Jesteś głodny? Frytki? Hamburgera? Odezwijże-się! Cholera, mam cię oddać świrowi, o to ci chodzi? No i co tak wytrzeszczasz gały?

Mężczyzna poklepał się po kieszeniach, znalazł gumę do żucia, jeden listek sam wetknął sobie do ust, drugi podał tobie, ale nie wziąłeś.

- Mhm, mam już dość. Za forszę, co mi płacą, nie stać mnie nawet na leczenie tych wszystkich nerwic, których się tutaj nabawiłem. Przychodzę do domu i patrzę na własnego syna jak na przestępcę. Szlag by to. Claire też ma dosyć. Wczoraj mi mówi: wystrzębiasz się, człowieku, jak stary dywan, jeszcze trochę i szmata z ciebie zostanie. Wystrzębiam się, kapujesz, mały? Szmata, ot co. A potem idę do pracy i wyciskam z trzech przedszkolaków szczegóły gwałtu. Chryste, ja powinienem mieć sto patyków dodatku za szkodliwe warunki pracy! Masz pojęcie? Byle skurwysyn z koką na rogu wyciąga dziennie więcej niż ja na miesiąc. A stary na mnie wrzeszczy: jak cię jeszcze raz złapię na posterunku z nikotyną w łapie, to wylecisz w dwa kwadransy! To ja, cholera, wejdę mu jutro do gabinetu z zapalonym papierosem w gębie i niech mnie wywala. Błogosławiony, kurwa, to będzie dzień -

- Puño.

- Cco? Coś ty powiedział?

- Puño. Wołają mnie Puño.

Teraz

Puño śpi w przeszłości. Tam jeszcze widzi. Tam jeszcze jest człowiekiem. Ślepy całkowicie byłby jedynie wówczas, gdyby pozbawili go również wspomnień obrazów, lecz

oni nie potrafią przeprowadzić selektywnej amnezji z równie wielką precyzją. W przeszłości więc widzi. Jest dwóch Puño, a każdy temu drugiemu obcy. Kto zrozumie własne myśli sprzed godziny? Kto wytłumaczy się z dnia minionego? Kto usprawiedliwi swe życie? Życie Puño, tak bezkształtnie rozpełzłe w jego pamięci na wszystkie strony w czasie i przestrzeni - on przecież nie zna nie tylko godziny i dnia, ale nawet miesiąca swych narodzin. Ojca, rzecz jasna, również; ale także matki. Ta zaćpana dwunastolatka, która wydała go na świat, zginęła wkrótce potem, topiąc się w ulicznej kałuży, naszprycowana domowej roboty zacierem. Nigdy jej nie widział. Nie zna jej twarzy. Nie istnieją jej fotografie. Ludzie z Miasta, z którymi rozmawiał, ciepło ją wspominali. Dobra dupa była. Wołali ją „Łysa”, bo jedna oficjalna kurwa chlusnęła ją kiedyś po głowie kwasem, widząc, że mała podbiera jej klientów. Po prawdzie Puño niezbyt się interesował swym pochodzeniem. W okolicy, w której żył, terażniejszość jest bardzo silna. Terażniejszość, czas niedokonany, niezamknięty. Przetacza się po równinie burza, pędzi konwój po autostradzie, trzeszczą krótkofalówki kierowców, błyskają wśród piorunów światła ambulansów i radiowozów. Na czarnym niebie piętrzą się sinofioletowe wyklębia chmur, niczym tło starotestamentowych hekatomb. Osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt mil na godzinę na liczniku. Strażnik przewraca kolejną kartkę swej książki; kobieta w lekarskim fartuchu w stosownej chwili zerka z ukosa: to *Krytyka czystego rozumu* Kanta. Puño kiwa się lekko na swym wąskim łożu w rytm zakolebań rozpędzonego wozu. Porusza się więc również pajęczy splot aparatury nad nim i kobieta co chwila sięga ręką i poprawia czujnik, żyłę, opaskę. Ma krótko przycięte, ciemne włosy, ciemne oczy, ciemną cerę urodzonej pod zwrotnikiem, twarz bez zmarszczek - szpeci ją tylko ów mimowolny grymas, wygięcie ust, jak znamię pogardy dla siebie samej. Połyskuje zimno wpięta w fartuch plastikowa plakietka. FELICITA ALONSO. Nie tak mówił na nią Puño.

Dziwka

- Felicita Alonso - ale wszyscy nazywacie mnie Dziwką, więc nie krępuj się.

Była rzeka, i most nad nią, mur, brama, strażnicy. Mur wznosił się bardzo wysoko, metry i metry, a jeszcze ponad jego ostrą krawędzią szczyrzyły się drapieżne konstrukcje. Jednoślępne węże kamer kołysały się i gięły sennie.

Urzednicy, którym przekazała cię policja, teraz przekazali cię z kolei mostowym strażnikom. Oni pobrali ci odciski palców, zajrzeli w głąb oczu dziwnymi urządzeniami, odcięli kawałek naskórka przy paznokciu. Potem wepchnęli cię do środka przez małą furtkę w

wielkiej bramie. Furtka zatrzasnęła się za tobą. Na tę jedną chwilę byłeś znowu sam.

Park jakiś, stary i zapuszczony, drzewa dziko wychylone nad alejkami, na alejkach grube dywany opadłych liści, szepczą i trzeszczą przy każdym kroku, wiatr szeleści nimi nieustannie - nawet niebo widziane stąd zdaje się być barwy krematoryjnego popiołu.

- Puño.

Stała pod dębem, z rękoma ciasno założonymi na piersi, jakby w obronie przed przenikającym ją chłodem; dziwnie niska, dziwnie szczupła - nawet dla ciebie. Palila papierosa, także w tym drobnym ruchu dłoni do ust objawiając nerwowość.

Podszedłeś do niej, bo nie mogłeś nie podejść. Wtedy wygłosiła swoją kwestię.

- Felicita Alonso - ale wszyscy nazywacie mnie Dziwką, więc nie krępuj się.

Pomyślałeś, że - tak jak ci gliniarze, urzędnicy i doktorzy - ona się ciebie boi, pogardza tobą i jednocześnie wstydzi się za ciebie. Pomyślałeś: głupia, głupia Dziwka.

A ona wiedziała doskonale, co ci się w głowie obraca, nie musiała nawet patrzeć ci w oczy.

- No, mały. Idziemy. Uważaj, bo sobie wargę odgryziesz.

- Chuj ci w dupę, cipo łysa.

- Może potem. Chodź, chodź.

Absurdalnie zabrzmiałyby zarzekania, że nigdzie nie pójdziesz, a i sterczeć tu w nieskończoność nie miałaś bynajmniej ochoty - podreptałaś więc za nią, z rękoma wbitymi kościstymi piąstkami w płytkie kieszenie nazbyt dużej kurtki. Złośliwie rozkopywałaś naokoło suche i mokre liście. Dziwka co jakiś czas oglądała się na ciebie, lecz jej spojrzenie znad krótkiego papierosa było ślepe i puste: nie o tobie myślała. To też stanowiło powód do słusznego gniewu.

Park okazał się olbrzymi. Ten mur, jeśli faktycznie ogradza całą posiadłość - pomyślałeś - musi ciągnąć się milami i milami. Dziwka doskonale знаła drogę, szła szybko, nie zatrzymywała się. Po pewnym czasie dojrzałeś ponad gałęziami łysiejących drzew zarys dachu odległego budynku.

Ostatnie skrzyżowanie alejek, ostatni zakręt - i wyszliście na prostą przed podjazdem domu. To było wielkie, stare dworzyszcze, jedno z tych, które przytłaczają swą szarą, ponurą monumentalnością nawet wieloletnich mieszkańców. W mniej słoneczne dni można popaść w depresję na sam jego widok. W czasie burz z gromami i błyskawicami doktor Frankenstein ożywia za tymi murami trupio-twarze monstra. Gdy dmie wichur, zwyrodniali lordowie dokonują tu krwawych mordów. Kamienne gargulce wykrzywiają ohydne pyski i wybałuszają ślepia, wyczekując odpowiedniego momentu, by spaść na głowę samotnemu spacerowiczowi.

Tymi alejkami, pozornie zaniedbanym ogrodem, zdziczałym parkiem, po cmentarnym kobiercu gnijących liści - nie należy spacerować samotnie. Cisza wiecznie jesiennej posiadłości i tak czyni cię samotnym pośród zimnych myśli.

Wyuczony świata na wideotece Miłego Jake'a nie mogłeś mieć innych skojarzeń. Zakląłeś, splunăłeś, kopnąłeś liście: ledwo się poderwały, zlepione, ciężkie od brudnej wilgoci - zaraz opadły, zatruta plwocina parku.

Po szerokich schodach weszliście na taras ciągnący się wzdłuż frontu budynku, wyłożony kwadratowymi płytami białego marmuru. Uniosłeś głowę, spojrzalesz wzwyż: szara ściana nad tobą, szare niebo. Za mleczną szybą na drugim piętrze - za kratami - rozmazana twarz dziecka.

- Szkoła.

- Tak, Puño. Szkoła.

Przez boczne drzwi wyszedł na taras starszy mężczyzna w kitlu chirurga obficie poplamionym ciemną krwią. Odetchnął głęboko kilka razy. Zauważył was, zamrugął, zaraz cofnął się do wnętrza.

Dziwka odrzuciła peta i postąpiła ku głównemu wejściu, wielkim szklanym drzwiom. Skinęła na ciebie; teraz, być może po raz pierwszy od bramy, patrzyła widząc. I uśmiechała się lekko, w owej chwili niemal piękna.

- Chodź.

Zakup

- Chodź.

Zaraz cię powieszają, Puño, zawieszysz na latarni, umrzesz, Puño; taka jest prawda. Tu i teraz kończy się twoje życie.

Ale jeszcze nie wierzyłeś tym szeptom - i słusznie. Choć już stałeś na dachu samochodu, już czuleś szorstki sznur na szyi. Łysy naciągał go coraz mocniej. Przekręciło ci głowę w lewo.

Nadchodzili ku wam z tej strony dwaj mężczyźni.

- Co znowu, Zazo? - spytał blondyn z beretką. To on wydawał tu rozkazy.

Zazo, niższy z nadchodzących, pokazał szybkim gestem: interes. Wyższy, w okularach i płaszczu, otwarcie taksował ciebie i dwóch pozostałych, czekających na swoją kolej na tylnym siedzeniu samochodu.

Blondyn przełożył berettę do lewej ręki i podał Zazo prawą. Przywitali się w milczeniu.

- Chcę ich wykupić - oświadczył gość w płaszczu.

Od nagłego przypływu nadziei zebrało ci się na wymioty, zgiąłbyś się w pół, gdybyś mógł. Szarpnąłeś konwulsyjnie spętanymi za plecami rękami, nylonowa linka werżnęła ci się głębiej w ciało: linka była zamiast kajdanek, które okazały się za duże na wasze nadgarstki.

Zza kierownicy wysunął się kulawy brodacze, od częstego wążania śniegu chronicznie zakatarzony. Wstał, pociągnął nosem, zakulał.

- Co jest?

- Mam go wieszać? - zwrócił się do blondyna zdeorientowany łysy.

- Chwilę. - Blondyn machnął pistoletem i skinął na okularnika. - Pan jest z opieki społecznej czy co?

- Co za znaczenie? - mruknął okularnik, wyjmując z przepastnej kieszeni płaszcza plik banknotów o wielozerowych nominałach. - Pan policjant, a prawa w tej chwili raczej nie strzeże. Dziesięć za każdego; tego z blizną nie weźmiemy, za stary.

Blondyn odwrócił głowę, zamrugał w noc. Tak jak stali, obejmowali spojrzeniem ulicę do trzech przecznic w obie strony, a ty, z wysokości swego szafotu, warkoczącego miękko na jałowym biegu, jeszcze dalej; jedynie wiatr bawił się na niej puszkami po piwie. To ostatnie rubieże miasta, pobjowisko w wojnie z ekonomią, budynki wielopiętrowe w trakcie przybierania ochronnych barw ruin. Tylko cieni tu mnóstwo; tylko szczury słyhać. I czasami poszum oddechu miasta właściwego, którego podchmurne menhiry dojrzysz i stąd, jak kontrolnymi układami świateł w oknach apartamentów znaczą zimny mrok nieba - a noc jest prawdziwie południowoamerykańsko duszna i wilgotna.

- My tu nie handel prowadzimy - wycedził policjant po służbie. - Nie jesteśmy jakimiś kidnaperami. My oczyszczamy miasto. To jest służba społeczeństwu.

- Taa, jasne, nie musi mi pan mówić, kim jesteście. Ja chcę ich tylko wykupić. Potraktujcie to jako datek od sponsora.

- Zazo, co to za pajac?

Zazo wzruszył ramionami, strzyknął śliną na popękany asfalt.

- Jeździ po mieście i zbiera bachory, jeszcze jeden pośrednik; od chirurgów, od alfonsów czy kogo tam... Ma forszę. No to jak, miałem go puścić samopas?

Blondyn schował berettę do kieszeni płaszcza bliźniaczo podobnego okularnikowemu. Nie zapinał go, pod spodem miał jedynie siatkowy podkoszulek - podczas gdy okularnik nosił się niczym jakiś ciemny adwokacina.

- A na co ci oni?
- A na przekąskę. Co za znaczenie?
- Też prawda. Dwadzieścia.
- Dwanaście.
- Dwadzieścia.
- Do widzenia.
- Zazo?
- O, pierwsi to wy nie jesteście, przy mnie zebrał z tuzin. Tam stanął furgonetką.
- Dobra, wracaj, dwanaście. Hej, zdejmuj go! Załóż tego pociętego.

Pieniądze - ręka - kieszeń.

- Jak on się nazywa? - spytał kupiec, wskazując cię palcem ze złotym pierścieniem.
- Jak on się nazywa?! - zawołał blondyn do chromego.
- Puño.
- A ten drugi?
- A ten drugi?!

- Te, jak cię wołają? - warknął kulawy, tarמושąc Juana. Juan, z uwagi na związane na plecach ręce oraz widoczne świetnie także w półmroku rany i siniaki, nie mógł się wygramolić z samochodu.

- Jak? Głośniej! Mówi, że Juan. O kurrrwa...!!

Juan rzucił się na kulawego, powalił go i teraz, klęcząc na jego piersi, wgryzał mu się w twarz. Kulawy miotał się po asfalcie, w straszliwym bólu niezdolny do podjęcia obrony. Juan gryzł; krztusił się krwią, ale gryzł.

Spanikowany blondyn sięgnął do kieszeni, trafił na pieniądze, wygarnął je z furiją na ziemię, wyszarpnął berettę i przestrzelił Juanowi głowę.

- Szlag by to... - mamrotał, zbierając banknoty.

Zazo i łysy usiłowali w pośpiechu zatamować krwotok kulawego. Kulawy nie miał już nosa, a nie był to jedyny ubytek w jego fizjonomii, skądinąd i przedtem niezniewałającej.

Nie zdążyłeś przyjrzeć się mu lepiej: skorzystawszy z zamieszania, zsunąłeś się z dachu wozu i teraz uciekałeś ku skrzyżowaniu. Gdyby nie ból rozdartej skóry odbytu i rwanych przy każdym kroku skrzepów krwi - nigdy nie dałbyś się złapać okularnikowi. A tak dogonił cię i po krótkiej szamotaninie przewrócił na asfalt, jeszcze zanim pokonałeś połowę dystansu. Po czym zostałeś zawleczony z powrotem pod latarnię.

- Forsa za Juana - zażądał kupiec od blondyna. - Sam żeś mu czachę rozpieprzył.
- Spierdalaj.

- Za trupa mam płacić?

Blondyn przystawił lufę beretty do lewego szkła okularów tamtego.

- Spierdalaj.

Twój właściciel tylko spojrział na kulawca, który, przytrzymywany przez Zazo i łysego - a zataczał się i dosłownie leciał im przez ręce - wymiotował przy kole samochodu w kałużę własnej krwi.

- Idziemy, Puño.

Sprzedaż

- Idziemy, Puño.

Stary Jacco potrząsnął tobą za ramię. Ten osiemdziesięcioletni Indianin rzadko kiedy wymawiał naraz więcej jak trzy, cztery słowa.

Cienisty chłód parteru zrujnowanego puebla, stanowiącego dom i zarazem miejsce pracy Jacco, zniechęcał do wyjścia w otumaniający upał, pod mordercze promienie zenitalnego Słońca. Spać, spać; tutaj, w stercie postrzępionych koców i wyblakłych *ponchos*, wciśniętej w cuchnący suszonym nawozem ką, odespałeś każdą nocną godzinę spędzoną w ojczystym mieście na łupieżczych eskapadach i męczącym czuwaniu w trakcie łowów. Ile to już czasu? - minął tydzień takiej sennej, zwierzęcej wegetacji w sercu meksykańskiej pustyni, w milczącej gościnie antypatycznego Jacco. Nocami, od zapachu narkotykowego zacieru wypełniającego wielkie kadzie ciemniejące pod przeciwległą ścianą, nachodziły cię niepokojące, chore wizje. Chłodnymi wieczorami zaś, o zachodach Słońca, które nad meksykańską pustynią są bardzo piękne, siadywałeś przed pobielaną wapnem ścianą puebla na ustawionej na dwóch kamieniach desce - i płakałeś. Nikt nie patrzył, byłeś sam, Jacco gdzieś pijany bądź upijający się, wokoło dziesiątki mil wietrznego pustkowie, piasku koloru ochry, o zachodzie prawie karmazynowego - tam i wtedy mogłeś płakać w poczuciu pełnego bezpieczeństwa. Panował taki spokój - taki wielki, śmiertelny spokój - że byłeś w stanie wyobrazić sobie i uwierzyć nawet w to piekło i niebo, o których opowiadały wam sinym świtem stare prostytutki z placu Generała.

Człowiek w okularach, który cię odkupił od Szwadronów Śmierci, oraz jego nieodmiennie anonimowi współnicy, przeszmyglowawszy cię przez szereg granic państw, o których nigdy wcześniej nie słyszałeś (bo nie słyszałeś o żadnych państwach z wyjątkiem swej ojczyzny, no i Złotej Ameryki) - ludzie ci w końcu pozostawili cię tu na łasce

milczącego Jacco, niczego nie tłumacząc, niczego ci nie nakazując ani nie zakazując. Co samo w sobie mogło się zdawać postępowaniem nielogicznym, lecz ty nie byłeś jeszcze nauczony wiary we wszechobecność logiki i przyjąłeś rzecz bez zdziwienia: pozostawałeś dzieckiem chaosu. Działo się, co się działo; świat płynął i niósł cię swobodnie w swoim nurcie. Ci, co wierzą - toną. Ani tej filozofii nie artykułowałeś, ani o niej nie myślałeś, ani nawet nie zdawałeś sobie sprawy z charakteru własnej natury w odróżnieniu od natur innych ludzi. Tam, w slumsach, w Mieście Dzieci, w smrodzie, głodzie i upale - nie tak się myśli. Po prawdzie, tam nie myśli się prawie w ogóle.

- Idziemy.

Wstałeś, ponieważ on chciał, żebyś wstał. I wyszedłeś na zewnątrz, ponieważ nie było powodu, żeby nie wyjść. Tak, właśnie tak się żyje tam, skąd pochodzisz.

Słońce uderzyło cię w skroń ognistym obuchem. Zachwiałeś się. Oślepiiony, oślepiiony.

- Czeka na ciebie - rzekł Jacco, pchnąwszy cię w plecy. - Dalej. - Jego portugalski był cokolwiek anachroniczny i chropawy, ale całkowicie zrozumiały.

Mężczyzna siedział na masce nowoczesnego czarnego samochodu i palił papierosa. To był Miły Jake, ale wtedy jeszcze nie znałeś jego imienia, więc, gdy tylko wrócił ci wzrok, pomyślałeś sobie: pierdolony pedał. Mężczyzna miał kilkanaście stalowych kolczyków wkłutych pod skórę gładko ogolonej twarzy, uszu i szyi, a ubrany był w letni garnitur włożony na gołe, bezwłose ciało. Uśmiechał się szeroko do ciebie.

Zaczął w angielskim:

- Nie uśmiechniesz się do mnie? Lubię szczęśliwe dzieci. - Po każdym zdaniu następowała dłuższa chwila kontrolnego milczenia. - Cóż, mój chłopcze...? Bądź miły dla Miłego Jake'a. Papierosa...? No, dalej, ja nie gryzę. Mmm... pokochasz mnie, zobaczysz... - Zeskoczył z maski, odrzucił niedopałek i przestał się uśmiechać. - Słodki Jezu, on jest do niczego. Co za ponury skurwiel! Na miłość boską, jeden pieprzony uśmiech...! - Chciał cię uderzyć otwartą dłonią w twarz, ale się uchyliłeś. - Cholera! Właź do środka! Teraz jesteś mój i będziesz robił, co ci powiem! Do środka! Co, nie nauczyli cię? Już ja cię nauczę! - Poszukał nowego papierosa i zapalił go. Znowu zaczął się do ciebie uśmiechać. Wystraszony, odbiegłeś tymczasem kilkanaście metrów od samochodu i teraz za plecami miałeś jedynie jasny przestwór rozpalonej mirażami pustyni. - Ze mnie naprawdę miły facet, Puño, bardzo miły, przekonasz się. No. Dalej. Wszystko będzie dobrze.

Teraz

Puño śpi, ale jednocześnie jest przytomny. Śpi, bo skazili mu krew; a zachowuje przytomność, bo jeszcze wcześniej skazili mu umysł, wdarli się do wnętrza jego głowy, odbierając mu zdolność zapadnięcia w ów - jakże ludzki - stan bezświadomości. To zakazane. Więc i ta narkoza nie wyłączyła go do końca. Wprawdzie większość bodźców doń nie dociera, a myślami dryfuje Puño w przeszłości - lecz właściwsze byłoby tu stwierdzenie, iż marzy na jawie. A w tym był zawsze dobry. Marzenia produkował bardzo wysokiej jakości, ludzie podziwiali jego barokowe kłamstwa i dziecięco rozbuchane konfabulacje. Potem naoglądał się wideo Miłego Jake'a i marzenia mu zdziczyły, lecz wciąż mógł w nie uciec. Teraz jednak pozbawiony został umiejętności tworzenia prywatnych alternatywnych przyszłości, ostała mu się jeno przeszłość. Woleliby zabrać i ją, ale ci, którym rzeczywiście zabrali, pokrzywili się jakoś dziwacznie - więc dali sobie spokój, poszli na kompromis. Felicita powiedziała mu kiedyś, że tak naprawdę czas miniony nie jest ważny i żeby się skoncentrował na teraźniejszości - ale na czym teraz ma się koncentrować? Buszują mu po umyśle spuszczone ze smyczy myśli; a kumulując się, owe mentalne ruchy Browna powodują przypadkowe spięcia na korze mózgowej: od czasu do czasu drgnie samowolnie głowa Puño, zatrzepoczą mu palce, załamię się oddech, podskoczy pochwycona nibyskurczem stopa. Felicita przypatruje się temu ze swego miejsca przy szoferce. Ochroniarz myśli o niej: - Ciekawe czy przygryza wtedy dolną wargę, czy zamyka oczy? - Ona myśli o Puño: - Nigdy nie będę mieć dzieci, wysterylizuję się. - A Puño, Puño jest tylko ciałem, trzęsie się na noszach jak martwa tusza mięsa. Gdyby jeszcze uniósł powieki. Ale przecież nie może, ma zaszyte. Ochroniarz myśli o Puño: - Biedny dzieciak. - Felicita myśli o ochroniarzu: - Nienawidzę ich. - A Puño jak przedmiot. Dobiegło go, nierozpoznawalnie zmiksowane, echo grzmotu; skojarzył co innego: odległy łoskot karabinu maszynowego.

Baśń

- Słyszysz?
- To Cillo czyści El Dorado.
- Mówili, że jest na Cillo wyrok.
- Wykupi się, wykupi.

Siedzieliście na szczycie nie do końca wyburzonego muru starej fabryki, na skraju slumsów. Był wieczór, zbliżał się wasz czas. Domino częstował cię orzeszkami ziemnymi z ukradzonej ze straganu puszki. Domino posiadał prawdziwy nóż sprężynowy, identyczny z

Juanowym. Za godzinę mieliście umówiony skok na klienta znajomej męskiej kurwy. Ten klient okaże się człowiekiem Barona i zastrzeli Domino, a tobie wybije kilka zębów - ale na razie Domino żyje, jeszcze wasz czas nie nadszedł: siedzicie i snujecie nocną baśń Miasta.

- On urodził się za ściekiem, tam, gdzie teraz są Maciory. Dokładnie tak samo ojca nie znał, a matkę mu gdzieś zarabali albo też sama kiwnęła od przećpania. Tak samo nocą szmerał po Dzielnicy. A teraz, teraz patrz, kto on jest, czym on jeździ, gdzie mieszka; ile ma spluw na zawołanie, ile dup na jedno słowo. Bo to było tak: podwędził u Platfusa portfele czterem klientom pod rząd, a tam siedział i widział to Srebrny Gorgola. Wychodzi za nim, łapie Cillo i mówi mu: „Dobry jesteś, mały, bardzo dobry; teraz robić będziesz dla mnie”. I zabiera go do siebie. I Cillo robi dla Srebrnego Gorgoli.

I Gorgola widzi, że Cillo jest najlepszy. Mówi mu: „Masz tu, Cillo, gnata, idź i kropnij tego a tego, bo bruździ mi, matkojebca jeden”. Cillo idzie i gościa już nie ma. Gorgola jest zadowolony i Cillo odtąd już nie będzie się martwił o pieniądze. A potem wpada ten interes i Cillo rozwała Gorgolę i teraz mówią na niego: Złoty Cillo. A urodził się - o, tam, za ściekiem...

Czas. Zeskoczyliście z muru, ruszyliście powoli ku Dzielnicy. Domino bawił się tym nożem, swoim talizmanem, amuletem.

- A wyobraź sobie - rozmarzył się - tylko sobie wyobraź....

Testy

- Wyobraź sobie, Puño, że wychodzisz na korytarz. Korytarz jest bardzo długi, nie widzisz jego końca, posadzkę ma z gładkich, zimnych stalowych płyt, ściany wyłożone kafelkami. Żadnych okien, a mnóstwo drzwi. Sufit zakrywają jaskrawo świecące lampy, w tym korytarzu jest bardzo jasno. Idziesz. Słyszysz tylko własne kroki. Idziesz i idziesz. Nagle otwierają się jedne z drzwi, kilkanaście metrów przed tobą. - Czarnoskóry doktor przerwał, nie oderwał jednak od ciebie wzroku; Dziwka, siedząca w kącie na plastikowym krześle, obojętnie przeglądała wydruki z maszyn, które tego ranka zadawały ci ból. - Patrzysz, ale nikt w nich nie staje. Podchodzisz. Wtedy to zauważasz. Opuszczasz spojrzenie: na dół, na posadzkę. On nie ma nóg ani rąk, nie umie mówić, jest ślepy; i tak od urodzenia. Kadłub. Wypelza przez drzwi i sunie po podłodze ku tobie. Puño? Puño? Całujesz go, Puño, pochylasz się i całujesz.

Od plastrów, którymi poprzyklejali ci do ciała chłodne końcówki różnych urządzeń,

rozswędziała cię skóra. Trudno ci się skupić na słowach wysokiego Murzyna, choć jego angielski jest maksymalnie uproszczony i nie musisz się wysilać, by zrozumieć, co do ciebie mówi. Zresztą nieważne. To są wrogowie, wrogowie.

Doktor westchnął, wstał, spojrzął na Dziwkę, podszedł do wysokiego okna wychodzącego na okalający Szkołę dziki jesienny park, postął tam chwilę, potem wymaszerował z pokoju, cicho zamykając za sobą plastikowe drzwi.

Dziwka ziewnęła i rzuciła papiery na biurko.

- Zmęczony?

- Odwalcie się ode mnie.

- To tylko tak na początku, Puño. Musimy cię poznać.

- Coście mi wtedy dali do picia? Dlaczego niczego nie pamiętam?

- Są takie testy, których przeprowadzania nie powinienesz pamiętać.

- Co to za popieprzona szkoła...

Zaśmiała się.

- To jest bardzo wyjątkowa szkoła i niezwykłych rzeczy tu uczymy. Zobacysz, zobacysz. Pewnego dnia... może jeszcze będziesz sławny.

- Nie chcę być sławny - warknąłeś, zły, że zdołała wciągnąć cię w rozmowę.

Zgasiła uśmiech, zaczęła szukać po kieszeniach papierosów.

- My cię nauczymy, czego masz chcieć.

Zabrałeś się do zrywania z siebie czujników. Dziwka wzruszyła ramionami.

- Może masz rację. Na dzisiaj już dosyć. Odpocznij. Jutro zaliczysz resztę testów apercepcyjnych, wydolnościówki i *lingua questo*. Testy matematyczne to kiedyś przy okazji. - Zapaliła papierosa. - Ubierz się. Pokażę ci, gdzie będziesz mieszkał. Poznasz kolegów. Nie będziesz ich tu miał tak dużo.

- Czego mi nie wolno?

Spojrzała dziwnie.

- Tym się nie zajmuj.

Wyszliście do holu. Schody jak w operze; widziałeś opery na filmach u Miłego Jake'a, więc miałeś porównanie. Tu, na parterze Szkoły, zawsze dużo ludzi, ruch, zamieszanie, szybkie dialogi w przypadkowych spotkaniach. Żadnych dzieci, sami dorośli. Niektórzy w kitlach jak lekarze, niektórzy w mundurach jak policjanci, ale najpewniej ani to jedni, ani drudzy. Nikt się wam nie przyglądał.

- Wypuście mnie? Kiedy?

Popchnęła cię ku schodom.

- To nie jest kara. Zostałeś tu zgodnie z prawem przekazany przez Opiekę Społeczną. Jesteśmy instytucją rządową. Taką specjalną szkołą.

- Poprawczak?

- Nie, nie. Powiedziałam: to nie jest kara. Nieważne, co przeskrobałeś, Puño.

I właśnie dlatego, że nie wierzyłeś w logikę - spytałeś, tknięty profetyczną myślą:

- Co wy mi zrobicie?

Coś odpowiedzieć musiała.

- Nie martw się, Puño, wszystko będzie dobrze.

Wideo

Przez cały okres pracy dla Miłego Jake'a żywiłeś się oglądanymi na wideo filmami. Inne dzieci z jego stajni albo ćpały na zabój, albo zapadały w jakiś katatoniczny trans, albo - choć to najrzadziej - podejmowały śmieszne, nieudolne próby samobójstwa. Ty siedziałeś przed wideo. W ostatecznym rozrachunku to wideo uratowało ci życie, lecz przecież oglądałeś je po prostu dla czystej radości uczestnictwa w efektownych kłamstwach. Tam były mityczne światy wiecznej szczęśliwości, światy ludzi, jakich nie ma, niemożliwych zachowań, niemożliwych słów i myśli. I tam zwyciężało dobro, tam w ogóle to dobro istniało jako realna siła; nauczyłeś się na nowo owego słowa z filmów wideo właśnie, bowiem prostytutki z placu Generała nie potrafiły go jasno wytłumaczyć. W telewizorze było dobro, w telewizorze było szczęście; nie wierzyłeś w nie po wyłączeniu urządzenia, bo tamte światy w rzeczywistości nie istniały, wiedziałeś o tym - ale lubiłeś przecież bajki. Wideoteka Miłego Jake'a była ogromna, tysiące kaset, skład prawdziwy. Angielski, jakiego się z tego wideo z czasem nauczyłeś, ten pierwszy, prostacki, niedoszlifowany staraniem nauczycieli ze Szkoły - był angielskim slangowym, amalgamatem narzeczy etnicznych gett, gwar środowiskowych gangsterów, gliniarzy, prawników i żołnierzy. Szybko zatraciłeś akcent: byłeś młody, byłeś dzieckiem. Samotność tak naprawdę ci nie przeszkadzała, nie nauczono cię lubić towarzystwa innych ludzi, więc nie tęskniłeś za nim, bo i za czym towarzystwem miałeś tęsknić? Praca u Miłego Jake'a nie była specjalnie męcząca, zdarzały się bardzo długie przerwy pomiędzy kolejnymi nagraniami. Jeśli coś ci dokuczało, to jedynie przymus ciągłego przebywania w czterech ścianach - ten rok spędziłeś w zamkniętych pomieszczeniach, nigdy nie wychodziłeś na zewnątrz, nawet wożony do powciskanych gdzieś w okolicy centrum miasta ciasnych, tymczasowych studiów filmowych, nawet wtedy widziałeś świat jedynie przez szybę. Jake i

jego kobieta, Holly, bardzo dobrze strzegli swego towaru; w końcu stanowiłeś ich źródło utrzymania. I dbali o ciebie. Co prawda jedzenie było irytująco monotonne - niemal uzależniłeś się od pikantnej meksykańskiej pizzy - lecz nie zdarzało ci się już kłaść spać głodnym. A Miły Jake wcale tak często nie bił, bardzo rzadko zaś na tyle mocno, by pozostały ślady, bo potem reżyser na niego krzyczał i pieklił się charakteryzator; zresztą Jake'owi szybko przechodził gniew. Błyskawicznie zmieniały mu się nastroje. Kiedyś przyniósł ci w prezencie plastikowe przeciwsłoneczne okulary. A gdybyś chciał, mógł cię zaopatrywać w co tańsze narkotyki, inne dzieci z jego stajni dostawały swoje porcje codziennie przy jedzeniu. Właściwie porządnie wściekł się tylko wtedy, gdy odkrył, że zacząłeś się uczyć czytać i pisać. Latał po domu, wymachując twoimi bazgrołami i wrzeszcząc: - To po to wydaję na tego małego sukinsyna tyle forsy?! Po to?! - Ale przyszła Holly i przed wieczorem był już spokojny.

Oglądałeś na wideo Jake'a każdy film, jaki miał w swych zbiorach, bo w tym właśnie - nie w rzeczywistym - świecie żyłeś. Lecz w końcu i te zbiory zaczęły się wyczerpywać. Sięgnąłeś zatem po kasety upakowane w tekturowych pudłach spiętrzonych pod ścianami piwnicy. Okazało się, iż na nich nagrana jest produkcja Jake'a i kompanii. Rychło znudziłbyś się tymi karykaturalnymi obrazami spoconych nagich ciał, prężących się, wijących, drżących epileptycznie i wydających śmieszne dźwięki - gdybyś nie odkrył na sporej części owych filmów samego siebie. Nie tak to zapamiętałeś. Na wideo byłeś inny. Na wideo wszyscy ci mężczyźni i kobiety byli inni. Nawet wyglądało na to, że im i tobie sprawiała ta seksualna gimnastyka jakąś przyjemność, choć doskonale wiedziałeś, że tak nie było. Głos wydawany przez twoje ciało z ekranu telewizora nie był twoim głosem. Podłożyli go. Słuchałeś i parodiowałeś samego siebie. Ale i mimo owego humorystycznego akcentu w końcu dotknęła cię nuda: te filmy po prostu nie miały żadnej fabuły. Przeglądnałeś jeszcze parę, sięgnąłeś do innego pudła; to samo. Do jeszcze innego; takż. I do czwartego; i niby też nic nowego, lecz przewijając taśmę, dostrzegłeś przy końcu jakąś szamotaninę, rozłopotane w zmiksowanych nienaturalnym tempem przesuwu kadrach - plamy gorącej czerwieni. Wróciłeś do zwykłej prędkości. Tego chłopca, użytkowego bohatera owego filmu - mordowali właśnie niedawni jego kochankowie. Cofnąłeś, zobaczyłeś jego twarz: on mieszkał tu z wami przez kilka miesięcy, był u Miłego Jake'a, jeszcze zanim ten przywiózł cię z pustyni od Jacco. Parę tygodni temu zniknął, ale przypuszczałeś, że się zaćpał, bo to był szprycer pełną gębą. Wołali go Guyjo, pochodził z Bangkoku; kiedyś pobiteś się z nim o paczkę gum do żucia. Kiepsko mówił po angielsku. Na filmie wywrzaskiwał falsetem swe historyczne błagania z bezbłędnym akcentem z Nowej Anglii, podczas gdy śniadoskóra dziewczyna sunęła

skrwawioną brzytwą przez jego podbrzusze.

Teraz

Bo świat jest okrutny i nawet słodkim, rodzinnym filmom z Jake'owego wideo nie udało się tej oczywistej dla Puño prawdy zafałszować. Jest to okrucieństwo dzikiego drapieżcy z głębi puszczy, który pojawia się na ekranie na krótki moment, by w krwiożerczym szale wymordować pół ekspedycji, a potem równie niespodziewanie zniknąć w gęstwinie: ludzie będą krzyczeć, płakać i przeklinać zwierzę, jakby nie zdając sobie sprawy, że to właśnie tylko zwierzę. Zło uosabia w nim swym kunsztem reżyser. Okrutnym można być jedynie w obliczu człowieka, któż inny bowiem nazwałby okrucieństwo? Puño zaś nie respektował żadnych praw poza prawami dżungli i nawet teraz, uwięziony w karczerze swego ciała, w pędzącym przez noc, przez gasnącą burzę, rozkołysanym ambulansie, nawet teraz, półprzytomny w uspokajającym rozciągnięciu pomiędzy wczoraj a dzisiaj - nie nazwie tych ludzi okrutnymi. Felicita Alonso, Dziwka - ona być może jest jego wróg, być może przyjaciel, być może matka, której nigdy nie miał - lecz wszystko to być może, wszystko to chwilami i nie naprawdę. Nienawidzić Puño potrafił doskonale, lecz osądzać po prostu nie umiał. prostytutki z placu Generała nie opowiadały im o sprawiedliwości, bo wysmialiby je. prostytutki z placu Generała opowiadały im o Bogu, ponieważ Bóg jest wszechmocny, a to coś znaczy. Bóg jest także dobry, ale to znaczy o wiele mniej. Sprawiedliwość zaś nie znaczy nic, słowo to jest puste niczym spojrzenie Puño, i choć z łatwością przekłada je on na pięć innych języków, w każdym z nich brzmi jednakowo śmiesznie. To jest mój nóż, mawiał Juan, a to jest jego nóż, ale jak ja miałbym spluwę, to by dopiero było sprawiedliwie, bo strzeliłbym mu prosto w mordę i byłoby po sprawie. Ha, taką sprawiedliwość Puño rozumiał. A przecież czuł żal, czuł gorycz, czuł złość i gniew; oczywiście, że czuł. Gdyby zobaczył tego dwumetrowego ochroniarza, siedzącego w nogach noszy i z trudem udającego, iż czyta - gdyby ujrzał ten jakos symboliczny obraz, być może zdołałby jasno i pojmowalnie dla innych wytłumaczyć swoją postawę: To oni mają spluwę. Ale nie zobaczy. Jadą. Musieli zwolnić, bo na autostradzie była kraksa, osiemnastokółowiec wypełniony wiezionymi do rzeźni końmi wpadł w poślizgu na mokrej jezdni, na nieprzepisowo zaparkowanego buicka. Pobocze i pole za szosą pokrywają ciała koni o sierści ciemnej i błyszczącej od deszczu, koni martwych oraz jeszcze żywych. Jest blokada, policjanci z drogówki, w przeciwdeszczowych pelerynach, z latarkami i krótkofalówkami w rękach, biegają wszędzie dookoła. Światła stojącej w glinie

pobocza karetki błyskają żółto i czerwono; na szczęście ambulanse karawany nie są oznakowane, toteż nikt ich nie zatrzymuje dla wymuszenia pomocy. Burza gaśnie i nie uderzają już pioruny, skończyły się błyskawice i grzmoty; a jednak co chwila huczy na zewnątrz jeden i drugi strzał - to ci ludzie, ci ludzie jak cienie w deszczu, spacerujący w błocie i we krwi i dobijający konające zwierzęta. Huki Puño słyszy, chociaż nie wie, co oznaczają. Domyśla się. W tej chwili cały świat ma w domyśle. Puño zawsze żył pośród tajemnic.

Tajemnica

Wyglądał niczym płonący anioł. Zobaczyłeś go z okna łazienki, jak biegnie przez park, w stronę wewnętrznego muru i zamkniętej nim zakazanej strefy. Biegnie, a blask bijący od jego śnieżnobiałych skrzydeł tworzy w nocnej gęstwinie wysokich drzew przepływające szybko głębokie cienie.

To był dopiero twój pierwszy miesiąc w Szkole, nadal miałeś ją za jakiś nowoczesny, postępowy poprawczak. Obudził cię w środku nocy płacz Ricka; skłąłeś go i poszedłeś się odlać. A tam pod oknem łazienki odbywało się polowanie na płonącego anioła.

Ale wnet się zorientowałeś, że to żaden anioł. Był sporo niższy od tych mężczyzn w mundurach, który go ścigali; był dzieckiem. Przycisnąłeś twarz do zakratowanej od zewnątrz szyby, lodowato zimnej. Przecież on nie mógł być też dzieckiem. Poruszał tymi swoimi skrzydłami, i świecił, i biegł jakoś nie po dziecięcemu, nie po człowieczemu. Mignął ci raz i drugi bladej owal jego twarzy. To nie była twarz. Coś ścisnęło cię w żołądku. Nie strach, coś subtelniejszego, trudniejszego do opisanie.

A tamten wciąż próbował uciec, chociaż oni już go okrążyli, odcięli od ciemnej gęstwy parku i wewnętrznego muru granicznego. Nagle krzyknął - usłyszałeś ten krzyk przez szczelnie zamknięte okno, przez grube kamienne mury: wysoki, rozpaczliwy, ptasi wrzask, rozedrgany okrutnie na wznoszącej się nucie. Umilkł nagle i niespodziewanie - wtedy tego nie rozumiałeś, pojąłeś dużo później: krzyk ściganego przeszedł w ultradźwięki i to dlatego rozszczękały się wściekle ogary w psiarni. Może nie był to anioł, ale z pewnością nie był to również człowiek.

Trudno ci przyszło tej nocy powtórnie zasnąć, choć Rick, upity swymi łzami, pogrążył się już w bolesnej drzemce i nie zakłócał ciszy. Płonący anioł. To od tamtej chwili zaczął się zmieniać twój stosunek do Szkoły. Owo nocne objawienie otworzyło ci oczy na niezwykłość

sytuacji, której inaczej długo jeszcze byś nie zauważał, pozbawiony skali porównawczej. Lecz teraz wiedziałeś, wypowiedzieli ci bohaterowie thrillerów z Mike'owego wideo, podszeptnęła święta cisza wielkiego, ciemnego budynku: jest w Szkole jakaś Tajemnica.

Nauczanie początkowe

Dużą wagę przywiązywali do języków. Angielski, ale także portugalski, w którym nie umiałeś wszak ani czytać, ani pisać, ani nawet poprawnie mówić; także języki sztuczne, i kodowe, i komputerowe od tych wysokiego rzędu poczynając, a kończąc na maszynowych, bazujących na zapisie wyłącznie zerojedynekowym. Przejście do matematyki nastąpiło zatem bardzo łagodnie, prawie niedostrzegalnie. I po prawdzie nie dostrzegałeś w nim niczego nienormalnego (bo i jakaż była ta twoja norma?), nie protestowałeś przeciwko programowi nauczania, który nijak się miał do poziomu twego dotychczasowego wykształcenia i wychowania, do twojego pochodzenia i wieku. To nie było miejsce, w którym można swobodnie protestować, to nie byli ludzie, którzy by podobne protesty tolerowali, a i ty nie byłeś przyzwyczajony do takiego sposobu myślenia, co zezwala na bunty skierowane przeciwko rzeczywistości. Rzeczywistość się akceptuje albo rzeczywistość nie akceptuje ciebie i dopiero wtedy jest naprawdę źle. Więc uczyłeś się pilnie. I wcale nie tak od razu domyśliłeś się ich wysokiej oceny twojej inteligencji. Ale wreszcie pojąłeś: oni by cię tu nie przywieźli, gdyby nie byli pewni, że podolasz. To te testy, te testy, które ci robiono jeszcze na policji i w domach opieki. Zostałeś wybrany.

Z filmów wideo domyślałeś się, jak wygląda klasa w zwyczajnej szkole. A tu nie było klas. Ta Szkoła zatrudniała więcej nauczycieli, aniżeli posiadała uczniów. Nie wystawiano w niej ocen. Nie istniał tu podział na godziny lekcyjne i konkretne przedmioty. Nie było rywalizacji pomiędzy dziećmi: każdy pobierał nauki w całkowitej separacji od reszty. Nikt nie zabraniał wam prowadzenia rozmów - w ogóle nie wydawano sztucznie egzekwowanych zakazów; jeśli coś było zabronione, po prostu nie miałeś szans, by zarządzenie to złamać, i z tej niemożliwości właśnie wnioskowałeś o zakazie. Miewaliście niekiedy okazję wymienić się doświadczeniami, i rzeczywiście często się nimi wymienialiście - nie naruszało to jednakże w żaden sposób narzuconego schematu nauki. Ci znajdujący się na etapie nauczania początkowego - jak ty przez pierwsze miesiące - uczyli się w zasadzie wszyscy tego samego. Dopiero później ścieżki ich edukacji się rozchodziły, lecz później - później rozchodzili się i oni sami: przenoszono ich do innej części Szkoły. Nie istniała również reguła określająca

moment tego przeniesienia, nie miał nań wpływu ani wiek ucznia, ani długość okresu dotychczasowej nauki. W każdym razie wy tej reguły nie znaleźliście. Polecenie przeniesienia mogło nadejść każdego dnia. Lecz ów stan ciągłego zawieszenia „pomiędzy”, dla innych być może męczący, dla ciebie nie był niczym niezwykłym. W istocie to do pograżenia w rutynie i spokoju niezmienności musiałbyś się przyzwyczajać. I nie stanowiłeś pod tym względem wyjątku wśród wychowanków Szkoły. Nie zabraniano wam rozmów, więc rozmawialiście: oni wszyscy byli takimi samymi wyrzutkami jak ty, Puño. Wszystkich ich pozbierano - za pośrednictwem policji lub innych rządowych instytucji - z miejskich śmietnisk, ze slumsów, z rozbitych melin. Znaleźli się tu - uświadomiłeś sobie wkrótce - właśnie dlatego, że nie było nikogo, kto mógłby się za nimi ująć, kto mógłby ich odszukać i z pomocą jakichś bohaterskich prawników wyrwać ze szponów Szkoły. Szkoła brała tylko tych, którzy dla świata i tak już nie istnieli. Twoja wideoświadomość podsuwała ci oczywiste odpowiedzi na pytanie o powód zastosowania podobnego kryterium selekcji: straceńcze misje, zbrodnicze doświadczenia na ludzkich organizmach; tajemnica, tajemnica. Ale Szkoła była tajna oficjalnie. Któregoś mroźnego zimowego poranka przez zakratowane okna o zaparowanych waszymi oddechami szybach zobaczyliście wysiadających z samochodu przed tarasem trzech wojskowych: ciemne okulary, neseserki, szare mundury, wysokie szarże. Gwiazdzistymi nocami ów domniemany sekret Szkoły był piękny i podniecający, lecz w świetle dnia roztopiał się pośród setek nowych słów z nowych języków, rzędów równań różniczkowych, chaosu n -wymiarowych symulacji abstrakcyjnych procesów na jasnych ekranach komputerów. Komputery lubiełeś, te martwe maszyny nie posiadały własnej woli i musiały cię słuchać. Była w Szkole cała wypełniona nimi sala, w której spędzałeś dziesiątki godzin, w samotności, w ciszy przerywanej jedynie skrzekiem rozpedzonych twardych dysków i kliknięciami myszy oraz przycisków klawiatury. Myślałeś: Puño i komputery; Cillo Złoty. A to był przecież dopiero początek.

Wieczorne opowieści

- Co dalej?
- Zabiją nas, wszystkich nas zabiją.
- Przymknij się, Rick!
- Dzisiaj spytałem się Siwego.
- I co powiedział?

- Że zobaczymy. Oni mają przykazane, żeby nic nam o tym nie mówić.
- Bo byśmy się wystraszyli. Mówię wam, ucieknijmy stąd!
- Przymknij się, Rick.
- Przywieźli dwie dziewczyny. Widziałem.
- Gdzie oni je trzymają?
- Co jest na trzecim piętrze?
- Albo w zamkniętym skrzydle?
- Na co im tyle dzieci?
- Nas to jakby już nie było. Mieliście kiedyś jakieś dokumenty? Rejestrowano was gdziekolwiek oprócz policyjnych kartotek? Ilu z was nawet nie ma nazwiska?
- O co ci chodzi, Puño?
- Oglądałeś *Mechaniczną pomarańczę*? W tej Szkole nie ma nikogo, kto nie kwalifikowałby się do poprawczaka.
- A ja wam mówię, że to są jakieś medyczne eksperymenty. Będą z nas przeszczepiać mózgi, serca, wątroby...
- ...dla jakichś pokreconych, cholernie bogatych dziadków.
- Ale to nie jest prywatny biznes!
- I po co ta nauka? To bez sensu. Dzisiaj kazali mi tłumaczyć symultanicznie na trzy języki. A potem dali do oglądnięcia kurewsko nudny balet, myślałem, że tam przysnę.
- Małego znowu wzięli na testy.
- Co, Mały, nic nie pamiętasz?
- Wiesz, jak to jest. Dają coś do wypicia, a potem się budzisz po paru godzinach i jakbyś se strzelił księżycową.
- Tu są miliony. Dziesiątki milionów. Widzieliście sprzęt. To musi im się jakoś zwrócić.
- Frank ponoć groził, że zastrajkuje.
- Jak niby?
- Przystanie się uczyć.
- O co mu chodzi?
- A bo ja wiem?
- No i co mu odpowiedzieli?
- Nie powtórzył. Miał rozmowę z Cycatą.
- Pewnie go zastraszyła.
- Na początku mówili, że nas po prostu odeślą, jeśli nie będziemy się uczyć. No i

faktycznie; pamiętacie tych zbuntowanych? Nie jedzą, nie piją, ani słowa z siebie nie wyduszą; ich też wywozili. A nad tobą co wisi, Puño? Dwa morderstwa?

- Aha. Mówię: oni tu na każdego mają haka. Nawet jakby kto uciekł - to co zrobi? Może to jest więzienie, ale powiedz mi, Jim, powiedz mi, Xavier: czy kiedykolwiek żyliście sobie tak wygodnie?

- Ty, Puño, kurwa, chory jesteś! Widzisz te kraty? Widzisz?!

- Puść go!

- Jaja se robisz, człowiek. Nie mów, że sam nie zwałbyś, jakbyś miał okazję.

- Pewnie bym zwał. Chociaż... nie wiem, może nie. No co, tak wam tu źle?

- Głupi jesteś, Puño, głupi jak ślepy kogut.

- Uciekać...

- ...trzeba zawsze.

Wtedy jeszcze żaden z was nie wiedział, że nie tylko pokój Xaviera, w którym się zbieraliście, ale każdy z pokoi, korytarz oraz łazienki - że pomieszczenia te co do jednego są gęsto naszpikowane nagrywającą wszystko non stop aparaturą audio i wideo, zminiaturyzowaną niemal do absurdu. Nie umknie tym kamerom i mikrofonom ani jedno wasze słowo, ani jeden wasz gest, grymas twarzy, niedopełniony ruch. W bezludnych podziemiach Szkoły - o czym, podsłuchawszy, dowiesz się dużo, dużo później - nienasycony superkomputer magazynuje rozbite na cyfrowy proch i pył obrazy z milionów metrów taśm wideo.

Teraz

A prawda jest taka, że już nigdy nie przejrzy się w lustrze i nie zobaczy swego ciała, choćby właśnie na wideo nagranych. Puño, mój drogi - powiedziała mu przed dwoma tygodniami Dziwka - ty już nie jesteś człowiek. Więc kto? Ty jesteś Puño. Puño. Pamiętaj. Obraz swego ciała zastąpił obrazem swego imienia. Kiedy myślał „Puño” - a myślał często, kazali mu tak myśleć, by nie zapomniał o sobie - rozwijał mu się z tego słowa jakiś młody półbóg, poczwarka tytana. W imieniu była siła. Wszystko mu wytłumaczyli. Nie ma drugiego takiego jak ty, Puño. Jesteś jedyny. Tak, tak. Potem Felicita Alonso już nie mogła na niego patrzeć bez obrzydzenia, ale to było po operacji oczu i nie ranił go brak wyrazu jej twarzy. Obserwował za to jej kości, pożywienie rozpuszczające się w jej żołądku, krążenie utlenionej i odtlenionej krwi w jej organizmie. Po jego próbie samobójczej musiała spędzać z nim dużo

czasu i to wtedy zaczął słyszeć jej myśli. Wierzył Puño w potęgę swego słuchu, słyszał przecież wszystko - a zatem i jej myśli. To niemożliwe, powiedzieli mu, myśli nie można usłyszeć. Ale wiedział swoje. Strach wydawał w jej głowie krótkie i szybkie, szeleszczące dźwięki. Zmęczenie było długim, niskim drzeniem tłustego basu. Gniew jęczał na wysokich tonach, w kakofonicznych zrywach. Frustracja była słabym pulsem wieloechowego bębna. Puño mówił im to wszystko, ale oni nie dawali mu wiary. To wtedy podjęli decyzję wykastrowania go ze snów, Snów i marzeń; co miał wyśnić, już wyśnił. Toteż teraz - przytomny, choć odcięty od świata i ściągany martwym balastem pamięci w przeszłość - śni jednocześnie swój jedyny możliwy sen: ułudę telepatii. Mam, posiadam, ukradłem ich myśli - mówi sobie zamknięty w więzieniu swego ciała. Ja. Mam. Ukradłem. Burza łagodnieje, konwój przyśpiesza, wozy gładziej suną po mokrym jezorze asfaltu i ciało Puño nie skacze już tak na noszach. Felicita rzadziej jest zmuszona dotykać jego ohydnej skóry, tego semiorganicznego tworu złożonego z wielu sztucznie zaprojektowanych i wyhodowanych symbiontów, którego kolor przywodzi na myśl wiekową rzeźbę, faktura - grzybowatą narośl, a zapach (którego Puño, rzecz jasna, nie czuje, pozbawiony zmysłu węchu) - stare krematorium pracujące w wilgotnym upale. Pod tą skórą - to widać - mięśnie Puño nie układają się tak, jak powinny się układać mięśnie dziecka. W dotyku są jak kamień. Rogowate narośla na bezwłosej czaszce też czemuś służą, był jakiś cel w ich zaszczepieniu, lecz ochroniarzowi wydają się po prostu obscenicznym obrzydlistwem. Zwłaszcza w połączeniu z ptasimi, drapieżnymi pazurami u palców rąk i nóg i makabrycznie zdeformowanymi stopami. Ochroniarz czyta książkę, żeby utrzymać spojrzenie z dala od Puño. Jednakże przegrywa tę walkę. On ma syna w tym wieku i to karykaturalne spotwornienie owego znanego mu tylko z kodowego hasła dziecka - sprowadza na mężczyznę, wbrew jego woli, chorobliwe skojarzenia. Felicita Alonso natomiast ma twarz jak pośmiertną maskę. Jej obrzydzenie jest innej natury. Ona musiała przecież za każdym razem przekonywać Puño, że to wszystko wyjdzie mu na dobre. Będzie dobrze, mówiła, a on wiedział, że kłamie, ale chciał słyszeć te kłamstwa, dużo kłamstw i często powtarzanych, z przekonaniem, z siłą. Wszystko będzie dobrze. A dobro istnieje, wiedział to dzięki wideo Miłego Jake'a. To jest jakaś ciepła światłość, jakaś biel i cicha, spokojna muzyka, a także śmiech wielu ludzi, i matki z dziećmi, i kochankowie w uścisku, i miejsce schronienia, dom; to jest jakaś jasność, a on ku niej wciąż podążał.

Kiedy jeszcze śniłeś

Nigdy nie pływałeś, nie umiałeś pływać - a w Snach to właśnie czyniłeś. Nurkowałeś w głębinę, i tam było światło. Zazwyczaj bałeś się światła. Nie w Snach jednakże, nie w Snach. Zaczęło się pojawiać, gdy przenieśli cię ze wspólnego skrzydła do izolatki na parterze. To nie była kwarantanna i nie było to więzienie - teraz już po prostu nie miałeś możliwości kontaktu z innymi uczniami w Szkole: zostałeś odizolowany. A sam pokój dali ci przecież większy i lepiej wyposażony. Tyle że bez okien. Zapadałeś w nim w sen wyjątkowo łatwo.

Bo kiedy jeszcze śniłeś... ach, cóż to były za sny! Cóż to były za wspaniałe, ohydne, dzikie i piękne Sny! Budząc się w bezdechu w absolutnej ciemności nocy, w przepoconej pościeli, w chłodnym powietrzu zamkniętego pokoju, wcale nie przerażony, co najwyżej śmiertelnie zdumiony - wślepiałeś się długo w mrok, zdezorientowany, bezskutecznie usiłując zrozumieć wizję, z której dopiero co się wynurzyłeś - usiłując pojąć, skąd się ona wzięła w twojej głowie, co za wspomnienie, jakież skojarzenie ją zrodziło. Nie raz, nie dwa i nie trzy; te Sny napływały co noc, a nie było przed nimi obrony. I jeszcze w jasnym świetle dnia dosięgały cię niespodzianie w połowie jakiejś czynności, w uskoku myśli - marszczyłeś brwi, gubiłeś słowa: co to jest? skąd się wzięło? Miast bezsensownej bazgraniny bądź regularnych figur, w chwilach głębokiego zamyślenia jeły się pojawiać pod twoim ołówkiem dziwne, faliste kształty, sylwety jakiegoś niewyraźne, hipnotyczne ornamenty. Oprzytomniawszy, wpatrywałeś się w nie, zdziwiony.

Nie utrzymywałeś już z innymi kontaktu i sam wysnułeś pochopny wniosek: to ten pokój, to z niego Sny. Objawiło ci się prawo: zacząłeś wszak Śnić równo z przeniesieniem, w noc po odseparowaniu od grupy.

- Ty wiesz o Snach - rzekłeś pewnego razu Dziwce, zmieniając temat w środku dyskusji o filozofii teatru *no*. - Zabierzcie mnie z tego pokoju.

- Co ty mówisz, Puño? O jakich snach?

Ale widziałeś, że kłamie.

A Sny były takie:

Na początku woda. Może nie woda, ale - ciecz. Może nie ciecz, lecz - zawieszona wszędzie wokół substancja, ciężka i lepka, boleśnie spowalniająca ruchy. Pływałeś w niej. Nurkowałeś. Ku światłu. W dół? Tak podpowiadałaby logika, ale sny - a zwłaszcza Sny - mają własną. Równie dobrze światło mogło oznaczać górę. To kwestia nie do rozstrzygnięcia: nigdy do niego przecież nie docierałeś. Ciemna niby-ciecz zamykała się wokół ciebie, traciłeś orientację, traciłeś poczucie ruchu, nawet poczucie istnienia. Przypominało to stan zawieszenia pomiędzy kończącym się a rozpoczynającym kolejnym snem - jednak tym nie było: Sen stanowił jedną niepodzielną całość. Ciągnął się i ciągnął, odmieniając się

nieznacznie w miękkim kalejdoskopie wielocieni: w mroku pojawiali się Oni. Gdybyś dotarł do końca owego światła - może i zobaczyłbyś Ich. Tu, w głębinie, jedynie wyczuwałeś czyjąś obecność. I odczucia tego nie da się opisać, tak jak nie da się w pełni objąć pamięcią i rozumem mgielnej materii snów: nikt nie stworzył esperanta marzeń nocnych, onirystycznej mowy ciszy, języka zawierającego słowa definiujące stany i bodźce istniejące jedynie po ciemnej stronie jawy. Ocknąwszy się, zdesperowani, poszukujemy jakichś przybliżeń, uproszczeń, niezgrabnych przyrównań - bezskutecznie. Tak samo ty, Puño - budziłeś się, gapiełeś w ciemność i próbowałeś wgryźć w jeszcze ciepłe mięso zabitego nagłym przebudzeniem Snu. Ale to trucizna. Piekła ci myśli, wypluwałeś ją pośpiesznie. Obce, obce, złe.

Cóż zatem pozostawało ci ze Snu na czas światła? Wrażenie, tylko ono. Ulotne i nieopisywalne, niczym nie do końca uświadomione wspomnienie. Impresja czegoś, czego śnić nie miałeś prawa. Oni, mówiłeś sobie; ale i to było zaledwie słowo, nic więcej. Wiedziałeś, przeczuwałeś, że świadomie zapamiętana część Snu stanowi jedynie ułamek przepływających przez twój śpiący umysł ciemnych wizji. Ta ciecz, to światło, ta ciemność... Tak naprawdę Sny były o wiele bogatsze.

Pierwsza operacja

Żadnej z operacji nie pamiętasz, to dziury w ciągłej materii twych wspomnień, jak tamte testy zakazane: białe interludia pustki. Był piątek, pracowałeś właśnie nad udoskonaleniem komputerowego modelu konstruowanego przez ciebie przestrzennego języka, opartego na zmianach trójwymiarowego układu różnokolorowych brył i figur oraz zmianach ich rozmiarów; ćwiczyłeś ich „czytanie” przy współczynniku przyśpieszenia projekcji wynoszącym 2.4 - gdy nagle zmógł cię sen. Ostatnia myśl: ten pokój... I już spałeś. Potem domyśliłeś się oczywistości: gaz usypiający. Ale przecież i tak nigdy nikomu nie ufałeś.

Przebudzenie to twarz Dziwki.

- Słyszysz mnie, Puño?

Szarpnął tobą zimny strach: TE DŹWIĘKI. To była pierwsza operacja, a właściwie pierwszy ciąg operacji: ocknąłeś się przecież dopiero w środę. Przez pięć dni stanowiłeś obiekt dziesiątek mniej i bardziej skomplikowanych zabiegów, nie tylko chirurgicznych. Wiedziałeś o nich chyba wszystko. Krótco po przeniesieniu do bezokiennego pokoju Dziwka

zaczęła ci opowiadać o czekających cię transformacjach, a wchodziła w takie szczegóły, iż w końcu jęło cię to wyliczanie przyszłych tortur nudzić, zwłaszcza że jedyne pytanie, odpowiedź na które naprawdę cię interesowała - a mianowicie pytanie o powód, przyczynę tego wszystkiego - zbywała bezczelnym odwoływaniem się do twego rzekomego zaufania do niej oraz obietnicą obszernych wyjaśnień w bliżej nieokreślonej przyszłości. Ale co innego słowa, co innego rzeczywistość. TE DŹWIĘKI. Mówiła ci o boskim słuchu, jaki zyskasz, lecz jakże wyobrazić sobie niewyobrażalne? Teraz zaś faktycznie słyszałeś - słyszałeś niemal wszystko.

- Aaaaaaaaaa!

- Cicho, Puño, cicho...

Co za symfonie we własnym oddechu, jakie burze i huragany w biciu własnego serca, w przepływie własnej krwi... Cisza została ostatecznie obalona, nigdy nie powróci. Puls pochylonej nad tobą Dziwki, sercotakt żył jej szyi, przebiegających tuż pod delikatną skórą - zagłuszał słowa. Szelest cudzych poruszeń, echo życia zza białych ścian: bił na ciebie zewsząd jeden wściekły, niekończący się wrzask.

- To przejdzie, Puño, to przejdzie, przyzwyczaisz się, nauczysz, my cię nauczymy. Już dobrze, Puño, już dobrze...

Szepnąłeś samym ruchem warg:

- Zabierzcie to.

Słuch przytłoczył ci inne zmysły. Przecież w końcu spostrzegłeś z przerażeniem potwierdzenie pozostałych zapowiedzianych zmian: brak czucia, przytępienie smaku i węchu oraz przyśpieszenie procesu percepcji świata, w samotności niemal nieweryfikowalne, lecz rozpoznawalne po nienaturalnym, ociężałym rozleniwieniu Dziwki w gestach, minach i ruchu warg, spomiędzy których bucha ów dziki ryk.

A przecież o wszystkim tym cię skrupulatnie uprzedziła. Przychodziła w przerwach zajęć ze wciąż zmieniającymi się nauczycielami języków istniejących i nieistniejących - i opowiadała bajki. Będziesz, Puño, wielki; będziesz, Puño, półbogiem; o tobie, Puño, inne dzieci będą się uczyć. Była to argumentacja, która w jakiś sposób przemawiała do twej żarłocznie egoistycznej natury. Lecz przy tym wprowadzała zamęt. Wszak uczyłbyś się i tak, ostatecznie to było po prostu ciekawe. Ale te tajemnice, te obietnice, atmosfera nieustannego zagrożenia... I Dziwka, niczym kapłanka jakiejś technoreligii, głosząca niezłomnie prorocstwo twego rychłego wniebowzięcia... Doprowadzało cię to do stanu chorobliwej irytacji.

- O n i i tak nic o mnie nie będą wiedzieć! - krzyczałeś na nią, rozeźlony, i ona doskonale wiedziała, kogo masz na myśli. Choć nieodmiennie zaskoczona twoimi

wybuchami, sama nie podnosiła głosu. Nigdy tak do końca cię nie rozumiała. Stanowiłaś dla niej ciemną zagadkę, psychologiczną kostkę Rubika: przez godziny i godziny niewolniczo posłuszny, potulny i pokorny w zachowaniu i słowach, aż nagle totalnie zbuntowany, pałający gorącą nienawiścią do wszystkiego i wszystkich. Nie odwiedziła miejsca twych narodzin.

Cóż oni wiedzieli o wzajemnym porozumiewaniu się, ci eksperci od translacji, niewładni przełożyć krótką myśl z Puñowego na nie-Puñowy - jakich prawd fałszywych mogli cię nauczyć?

Genesis

Oni i tak nic o tobie nie będą wiedzieć, bo opuściwszy Miasto, opuściłaś cały ich świat, przestałaś zatem istnieć - dla nich nie ma już Puño. Dziwka nie zna tego miejsca. A gdyby nawet tu przyjechała, gnana pragnieniem odkrycia sekretów twego serca - również niewiele by zrozumiała. Jeśli w ogóle cokolwiek. Urodzona poza Miastem, urodzona w USA, ze znanej matki i ojca; wychowywana, wychowywana, wychowywana - należy do innego gatunku. Felicita Alonso, latynoska piękność o zimnej twarzy, ciepłych oczach - cóż takiego by zobaczyła tymi oczyma, przechodząc w upale dusznego południa przez labirynt dzielnicy slumsów, gdzie ty spędziłaś niemal całe swe życie? Otóż piekło, ujrzałaby piekło w najjaskrawszej postaci swoich wyobrażeń. I poza owo ekstremum imaginacji żadną myślą nie byłaby zdolna już sięgnąć. Ten smród bijący pod zasnuwane kolorowym smogiem niebo, ten ogłupiający, przyprawiający o ból głowy, wszechobecny smród. Tu na ziemi, na ścieżkach krętych - bo ulic po tej stronie doliny nie uświadczysz - we wnętrzach tekturowych, blaszanych, drewnianych i plastikowych bud, i pod ich ścianami, i wszędzie dookoła, zalegają zwąły, sterty i bagna organicznych i nieorganicznych śmieci. Tu wszystko się rozkłada, gnije, niszczeje, rozpada, dezintegruje w powolnej męce nieustannego wzrostu entropii: ludzie i przedmioty. Ktoś rabuje świeże zwłoki, inne, już nagie, pęcznieją na słońcu, cierpliwie dojrzewając jako pokarm dla owadów, szczurów i psów. Jest południe, więc w miarę cicho, skądś z dala ryczy radio, płacze gdzieś kobieta, terkocze pod chmurami helikopter - prawdopodobna Felicita Alonso podąża wzdłuż naturalnego ścieku, starannie omijając obszary co większej ohydy. Ściek wysechł prawie całkowicie, toczy się jego korytem jedynie jakaś gęsta breja, ciemna i granulasta. Wielkie oczy nagich dzieci śledzą każdy ruch prawdopodobnej Felicity Alonso, bo prócz niej wszyscy trwają tu w bezmyślnym letargu, poukrywani w wilgotnych cieniach krzywych zadaszeń. Niewiele zobaczy, złą porę wybrała,

w tym świecie obowiązuje strategia przeżycia rodem z obozów koncentracyjnych - minimalna strata energii, maksymalny zysk - i w czasie południowej kanikuły nikt nie wykona jednego zbędnego gestu, oddechu szybszego, niż musi; trwa w palącej ciszy tortura przymusowej sjęsty. Dzielnica ożywa w nocy, to wtedy powinna ją odwiedzić prawdopodobna Felicita Alonso - wszak po przekroczeniu jej granicy szanse na przeżycie ma nieskończenie nikłe zarówno przed, jak i po zmroku, bez żadnej różnicy. Ale prawdopodobna Felicita Alonso odwiedziła ją właśnie teraz i jest w stanie dostrzec jedynie owe nikłe oznaki prawdziwego życia tego miejsca, zagadki i pytania wykluwające się z dostrzeżonych tu i ówdzie szczegółów: gdzie się podzieli dorośli? dlaczego tyle tu dzieci? czy nie ma tu nikogo, kto miałby więcej jak kilkanaście lat? Nie wie i nie rozumie, że w miejscu owym czas biegnie z inną szybkością, że tu w ogóle nie ma dzieci, że jedenastoletnie kobiety rodzą tu bez jęku w parne, bezgwiazdne noce nienaturalnie drobne i kościste istoty, wypychając z wąskich miednic sine ich ciała w odwieczny brud mieszkalnych śmietnisk, w ciszy i milczeniu wszechnienawiści; że lat dwadzieścia to starość i że nie ma tu miejsca dla kalek. Prawdopodobna Felicita Alonso odczytuje to po swojemu: piekło, piekło. Nie widzi, jak ją zachodzą ze wszystkich stron, skryci za niskimi zabudowaniami. Kiedy w końcu zagrządzają jej drogę i orientuje się, że jest otoczona, że nie pozostawiono jej żadnej drogi ucieczki, a ich jest aż tylu - wciąż myśli niepojętnie: czego te dzieci chcą...? Bez słów, bez obrazów - oni obcy, obcy. Za chwilę prawdopodobna Felicita Alonso zostanie pobita do nieprzytomności, odarta i ograbiona ze wszystkiego, co ma na sobie, po czym sadystycznie, po wielokroć zgwałcona przez hordę tych Puño. Może wtedy - prawem utożsamienia ofiary z dręczycielem oraz przez rzeczywiste poniżenie sprowadzona do tego samego poziomu strachu i wściekłości - może wtedy zrozumie coś z ich życia. Chociaż i to nie jest wcale takie pewne. Bo co powoduje, że z zastraszonego, niemal autystycznego chłopca zmienia się wtem Puño w chorego gniewem złoczyńcę? Jaki taniec tańczą mu w głowie myśli? Jaki jest ich kolor? Jaka pieśń? Nikt nie nauczył Dziwki sztuki translacji cudzych uczuć, a ona, i ci doktorzy, ci profesorowie - tego właśnie próbowali nauczyć ciebie.

Teraz

To tutaj. Karawana zwalnia. Jest boczna droga, ciemna, nieoświetlona i nieoznaczona - to tutaj, to w nią skręcają wszystkie wozy karawany. Ochroniarz chowa książkę. Konwersuje coraz dłuższymi zdaniem ze swoimi niewidocznymi kolegami. Sama Felicita Alonso też

rozmawia: przez telefon, z ludźmi znanymi jej tylko z imienia i nazwiska, z tych akt, które czytała jeszcze w Szkole. - Puño. Tak, Puño. Nie z naszej winy opóźnienie. Są gotowi? Co to znaczy? Nie, nie, on jest na Otchłań Czarnych Mgieł. Było ustalone. Co to znaczy, do cholery? Mam go tu na podśnie. W takim razie dzwoni pan do generała. A żeby pan wiedział, że napiszę! - Droga zakręca, opada i wznosi się. Ambulans jedzie znacznie wolniej i wcale mocno nim trzęsie. Ciało Puño kolebie się na noszach; Felicita Alonso machinalnie poprawia ułożenie oplatającej go sieci macek podsufitowej aparatury. Deszcz przestał padać, burza minęła, zbliża się świt. Lecz tymczasem trwa jeszcze noc, noc bezksiężycowa, i tu, w środku dzikiej puszczy, pod konarami starożytnych drzew, panuje ciemność niemal absolutna. Światło reflektorów pojazdów opornie wciska się w gęstą materię mroku. Krótkofalówki kierowców skrzeczą w ciągłym dialogu: tylko jeden z nich jechał już kiedyś tą drogą. Zwalniają jeszcze bardziej, bo oto zbliżają się do punktu pierwszej kontroli. Żołnierze przepuszczają ich jednak bez zbędnych formalności. Ale po drugiej stronie droga jest jeszcze gorsza, nie można przyśpieszyć, trudno nawet utrzymać tę samą prędkość. Ochroniarz, po rzuceniu w powietrze paru pozornie nic nieznaczących uwag, po raz pierwszy odzywa się do Felicity Alonso: - Kłopoty? - Nie - ucina ona. Drugi punkt kontrolny. Wysokie ogrodzenie wyrastające metalowym szkieletem z leśnej gęstwiny. Sierżant z noktowizorem na oczach zagląda do wnętrza ambulansu i wypełniające wóz, klinicznie czyste powietrze zostaje natychmiast wyparte przez wilgotną, aromatyczną mieszaninę roślinnych gazów życia i śmierci. Puño i tego nie czuje. Kwadrans później, kiedy samochody zjeżdżają pod ziemię, w ciemną paszczę rozsuwających się zgrzytliwie ciężkich wrót, on dryfuje coraz głębiej i głębiej - w pamięć. Śni o snach. Wyjmują go z wnętrza pojazdu, kładą na innych noszach; i oto jedzie jaskrawo oświetlonymi korytarzami, a za nim podąża truchtem zaaferowana Felicita Alonso, jednocześnie podpisując dziesiątki przeróżnych formularzy, druków i oświadczeń, wydając polecenia tłumkowi lekarzy i strażników oraz zajadle kłócąc się przez telefon z nieznanym osobnikiem w stopniu majora. Niski i chrapliwy kobiecy głos wygłasza przez interkom wezwania, ostrzeżenia, administracyjne obwieszczenia. Puño tu nie ma, on jest w swych snach ostatnich. Miał sny, jakich nie miał nikt. Miał Sny.

Kiedy jeszcze śniłeś

A potem Ich zobaczyłeś. Tańczyli. To znaczy: ty widziałeś taniec. Ale skąd mogłeś wiedzieć, czym są te ruchy, skoro nie wiedziałeś, czym/kim są Oni? Co gorsza, nie słyszałeś

Ich, a że ten Sen przyszedł już po pierwszej operacji, czułeś się w jego bezdźwięcznym świecie nieomal kaleką. Jak opisać coś, co wymyka się porównaniom? To musiał być sen, tylko sny pozwalają na podobną bezsłowną wolność myśli; nie musisz znać nazwy rzeczy, by o niej śnić. Zatem i to słowo - „taniec” - musiało się zrodzić już po przebudzeniu. We Śnie go nie było. We Śnie byli Oni i zmiana. Raz, dwa, trzy - dookoła ciebie; powoli, ale wciąż inaczej. I również dopiero po przebudzeniu zaczęłeś się zastanawiać nad możliwymi znaczeniami tych poruszeń i przemieszczeń, bo tam, w ciemnym letargu, zdolny byłeś jedynie do spokojnej kontemplacji, na pewno nie do zadawania pytań, na pewno nie do nadawania nazw. Pod tym względem sen stanowił środek optymalny. Ale przecież od początku był to jeden z twoich dogmatów: Szkoła jest cwana. Dziwka będzie kłamać, zaprzeczać oczywistości, póki nie uzyska pozwolenia od Szkoły. Więc w końcu przestałeś ją nawet pytać, choć Sny były coraz nachalniejsze. Myśli Szkoły, jak każdego instytucjonalnego bóstwa, pozostawały nieprzenikalne dla umysłów pojedynczych ludzi.

To już większy wgląd miałeś w Ich myśli. Być może owa progresja siły i długości Snów stanowiła jedynie złudzenie powodowane ciągłą zmianą filtrów twojej pamięci: Sny były takie same, lecz ty budziłeś się, pamiętając coraz większą i większą ich część, coraz wyraźniej. Być może nawet - dopuszczałeś taką ewentualność - nie wynikało to z ingerencji Szkoły, a procesu przystosowywania się twego umysłu do nieznanego, tak jak organizm systematycznie dręczony dawkami trucizny potęguje swą odporność na nią, choć jednocześnie uzależnia się od chemicznego wpływu specyfiku.

Lecz w sztucznym świetle sztucznego dnia nie tęskniłeś za Snami. W istocie bałeś się ich. Szkoła wyrządzała ci kolejną krzywdę, której nie byłeś w stanie zapobiec.

Tańczyli, a niestała materia ich nieciał skręcała się cienistymi wirami z otaczającej was niecieczy. Wiszące w górze/dole słabe światło migotało nieregularnie. Okrążali cię, rozmywając się w nicość i na powrót stapiając z gęstego, mętnego ośrodka Onirlandu. Jak wiatr, co w niewidocznym powietrzu jest niczym, a porwawszy z ziemi pył, piasek i śmieci i splótlszy je w bicz tornada, zyskuje jak najbardziej realne i materialne ciało. Byli jak fale na trójwymiarowej powierzchni morza, jak przypadkowe zagęszczenia w rozbulgotanej zawieszynie wszechżycia. Dwoje Ich, troje, a nagle dwadzieścia, a za chwilę nikt; i znowu tłum dookoła ciebie.

A wyobraź sobie istotę ograniczoną do $n-x$ wymiarów, gdzie n jest ilością wymiarów, w których żyjesz ty, x zaś niech na początek wynosi 1; i wyobraź sobie, że spotykasz taką istotę. Dla ciebie jest jak animowana Myszka Miki na płaskim ekranie telewizora; ale kim ty jesteś dla niej - to znaczy ta część ciebie, którą ona postrzega? Zamieńcie się miejscami. A

teraz zwiększ x do 2. A teraz do 3. Już niczego nie jesteś w stanie sobie wyobrazić. Ta iteracja zwie się teogonią.

A jednak - a jednak. Już po przebudzeniu nachodziły cię takie cienie, strzępy myśli, niedokształtowane przeczucia, z pozoru naturalne dla dziennego świata słów: że to coś znaczy. Ten taniec, co nie jest tańcem. I Oni. Że coś mówią. Że to jest język.

Język

się robi

się pracuje

się je

się pije

się śpi

się żyje

się umiera

się myśli się

uwaga

czasowniki zyskują autonomię

czasowniki walczą o suwerenność

czasowniki już nas nie potrzebują

uwaga

apeluję do was

podmioty dzieł zaniechanych

rzeczowniki zawieszono w próżni

na litość boską

się zrobimy coś

po nas już tylko partykuła

- Co to jest?

- Wiersz.

- Widzę. Co on ma znaczyć?

- Zniszczyłem tę serwetkę. Skąd go macie? Kamery, co? Wysoka rozdzielczość, no,

no, no.

- Niepokoję się o ciebie. Myślałam, że tłumaczenie nie sprawia ci kłopotów, że instynktownie rozumiesz specyfikę języka. Sam mówiłeś: to łatwe. Co to ma znaczyć: „po nas już tylko partykuła”?

Lubiła tak siadać na brzegu twego łóżka i przyglądać ci się przy pracy, jak wystukujesz coś na komputerze, wykonujesz skomponowane specjalnie dla ciebie ćwiczenia translacyjne albo po prostu myślisz; lubiła tu z tobą przebywać, w tym otoczonym zewsząd betonem pokoju pełnym niewidocznych kamer, przez które mogłaby cię przecież sekretnie obserwować z bezpiecznego oddalenia, ale nie czyniła tego, więc widocznie ceniła twoje towarzystwo. Przychodziła, gdy wychodzili nauczyciele. To ona przyniosła ci pierwszy dysk z zapisem obrazów ze Snów, Powiedziała; - Przetłumacz to. - To ona przyniosła ci nagrania z tą niemuzyką. - Po prostu słuchaj jej. - Wydawało się, że Dziwka naprawdę zaczęła darzyć cię uczuciem. Dopiero potem usłyszałeś to określenie: oficer prowadzący.

Odwróciłeś się do naściennego monitora, gdy po raz drugi zaczęła czytać z krótkiego wydruku nikczemnie wykradzony wiersz. Na monitorze trwał balet abstrakcyjnych kształtów. Hasła kontekstów tematycznych wyświetlały się w górnym okienku; nazywało się to „interpretacją zawężającą”. Balet w przestrzeniach nieeuklidesowych, symbolika ruchu w przestrzeni o ujemnej krzywiznie, filozofia śmierci w rozszczepionym czasie. Zabronili ci czytać książki i oglądać zwyczajne, hollywoodzkie filmy. W Szkole czas bynajmniej nie rozszczepiał się, płynął wciąż do przodu, a ty w jego nurcie.

- ...mnie w ogóle słuchasz, Puño?

To było już po pierwszej operacji. - Słyszę twoją krew, słyszę chaos twoich myśli.

- Jesteś zmęczony? Możemy zwolnić. Sprawia ci coś większe trudności? Tylko daj znać. Ty wiesz. To wszystko dla ciebie. My. Ja. Czekam. Jeśli tylko... Co, Puño? Tłumaczysz? Co to za język?

- Język.

- Dlaczego się tak zachowujesz? To niegrzeczne. Rozmawiam z tobą. Każde słowo muszę z ciebie ciągnąć. Jesteś nieuprzejmy, Puño, nauczyciele też się skarżyli. Jak mogą ci pomóc, skoro nie wiedzą, czy rzecz pojąłeś, czy nie. Ja ciebie nie rozumiem, Puño.

Raz powiedziała prawdę. Wyłączyłeś monitor i z powrotem odwróciłeś się do Dziwki. Zazwyczaj nie patrzyłeś ludziom w oczy, toteż tym bardziej się zdziwiła. Aż uniosła brwi w niemym zdumieniu, pytaniu w odpowiedzi na pytanie.

- Powiedz coś. Zmarszczyła brwi.

- Co?

- Powiedz coś.

Jakoś przeczuła nieszczęście.

- Uspokój się, Puño.

- Powiedz coś!

- Bez przerwy do ciebie mówię. Usposo -

- POWIEDZ COŚ! NO POWIEDZ.

Poderwała się, krzyknęła w przestrzeń: - Histeria! VG-100, dziesięć milimetrów! Szybko!

Wciąż jeszcze na nią wrzeszczałeś, gdy przez z nagłą otwarte drzwi wpadli do środka sanitariusz i lekarz z iniektorem w dłoni. Dziwka się odsunęła, ty skoczyłeś w kąt. Wydruk z wierszem spadł na podłogę.

Dopadli cię w mgnieniu oka i sprawnie obezwładnili. Pistolet dyspersyjny przyłożyli do ramienia. Krzyczałeś im w twarz, ogłuszając samego siebie: - Powiedzcie coś! - Ale siła była po ich stronie. Chciałeś ich wszystkich zabić, Dziwkę też, Dziwkę pierwszą. Twoja nienawiść nie zna stanów pośrednich. Lecz przecież nie w nienawiści zabijasz. Po twojej stronie jest strach.

Smak śmierci

Strach był po twojej stronie, ale po stronie Miłego Jake'a były mury, kraty i zamki. Przede wszystkim, powiedziałaś sobie, przede wszystkim muszę pamiętać, że mam jeszcze czas. Żyli wciąż dwaj chłopcy, którzy przebywali u Jake'a dłużej niż ty. Jeszcze nie twoja kolej. Można pomyśleć. Co nie znaczy, że można się nie bać. To byłoby niebezpieczne. Strach zawsze jest po stronie słabszych, to jedyna pewna ich broń, nie odrzucaj go pochopnie.

Cała piwnica i część parteru, wszystkie okna podwójne, gęsto okratowane, wszystkie drzwi z zamkami elektronicznymi, wzmocnione stalowymi sztabami, żadnego telefonu, żadnych połączeń ze światem zewnętrznym. Oczywisty pomysł wywołania pożaru upadł po zorientowaniu się w niezawodności skomplikowanego systemu automatycznych sufitowych tryskaczy, na który Jake musiał wydać sporą sumę. Jake nie lekceważył was, to w żadnym razie nie był amator, on żył z tego procederu od lat. Trzeba sprawę spokojnie przemyśleć, sposób się znajdzie.

Potem zniknął Gordo. Przed tobą pozostał jedynie Pasmurkian. Ale to już nie miało znaczenia: Jake przestał opierać się na chronologii, Pasmurkian pozostawał jednak w jego stajni dłużej od Gordo. Więc równie dobrze następnym mogłeś być ty. Przyszło ci do głowy,

by puścić innym dzieciom te zapomniane przez Jake'a piwniczne kasety egzekucyjne, lecz doszedłeś do wniosku, że nie potrafiłyby utrzymać tego w tajemnicy, zdradziłyby się jakoś i Jake wyprzedziłby wasz ruch, asekurancko mordując wszystkich jak leci. Cokolwiek o nim mówić, nie był to ryzykant i nie był to głupiec.

A czas płynął. Teraz już każda sesja mogła okazać się ostatnią. Miły Jake wywlekał cię do samochodu, a ty modliłeś się do okrutnych bogów, żeby to jeszcze nie było to. Raz spróbowałeś mu zwać od drzwiczek wozu, ale złapał cię po paru krokach.

Powoli stawało się oczywiste, że wyjście jest tylko jedno. Zdecydowałeś się na nie, ponieważ nie mogłeś się nie zdecydować. Twe decyzje, te ważne, niemal zawsze podejmowane były w atmosferze desperacji. Żyłeś z przymusu.

Drzwi, drzwi, które oddzielały waszą część domu od Mike'owej, wychodziły na przedpokój tuż obok schodów prowadzących do piwnicy. Otwierały się do wewnątrz, za nimi był korytarz ciągnący się aż do drzwi wejściowych. Wiedziałeś o tym, bo tędy właśnie wyprowadzał was Jake. Odwiedzał was także, by przynieść jedzenie (czasami robiła to Holly) lub wybrać na wieczór którąś z dziewczynek, Holly nie tolerowała bowiem w jego łóżku chłopców - była o to pomiędzy nimi duża awantura, jeszcze przed twoim przybyciem, kiedy to zastała z nim Guyjo; dostało się wtedy świętej pamięci Guyjo nielicho, lecz przynajmniej mieliście później spokój. Dziewczynki natomiast Holly lubiła, byle świeże i nie zanadto pyskate.

Siadywałeś na tych schodach do piwnicy i czekałeś. Po zmierzchu, gdy reszta dzieci już spała bądź właśnie odpływała w senny haj, panowała w domu cisza niemal kościelna, odgłosy z drugiej części budynku nie przedostawały się przez grube mury: to była stara, stara willa. Czekałeś w cieniu stromych schodów, w ciszy własnego strachu, w nerwowej nudzie przeciągającego się stresu. Aż piątego wieczoru... otworzyły się drzwi. Traf chciał, że była to Holly, sama przyszła wybrać małą; i dla ciebie był to szczęśliwy traf.

Zdażyła krzyknąć. Rzuciłeś się jej pod nogi, złapałeś za kolana i pociągnąłeś w dół. Była w letniej sukience, a ty owym szarpnięciem rozdarłeś sukienkę: został ci w dłoniach kawał niebieskiej bawełny w żółte kwiaty. Holly spadała w dół schodów jak ciśnięta z wysokości kukielka. Odkryło się to bardzo szybko, na wideo strącani z klatek schodowych ludzie spadali dłużej, ale w prawdziwym życiu sceny rutyny i sensacji przebiegają w jednakowym tempie.

Zbiegłeś na dół, pochyliłeś się nad nią. Jęczała coś niezrozumiale, macała naokoło drżącymi rękoma, usiłowała się podnieść, niemrawo i bez przekonania, wciąż co najmniej ogłuszona. Miałeś pochowane po kieszeniach różne podręczne narzędzia mordu. Wyjąłeś

długopis i - złapałszy kobietę za nos, by unieruchomić przewalającą się bezwładnie z policzka na policzek głowę - wcisnąłeś go do oporu najpierw w lewe, a potem w prawe oko. Wychodził z trudem, oblepiony krwawo-szarą mazią. Holly przestała się ruszać i jęczeć już po pierwszym oku, lecz ty byłeś metodyczny: gdybyś odstąpił choć na krok od zaprzysiężonego w nocnym przerażeniu postanowienia - zaraz rozpadłoby się w proch całe to pozorne zdecydowanie.

Przeszukałeś ją i zabrałeś klucze: oni zawsze zamykali za sobą drzwi. Teraz tymi kluczami je otworzyłeś. Cicho, cicho, spokojnie, choć serce rwie i myśli krzyczą. Pobiegłeś prosto do wyjścia.

- Holly, co... O kurwa. Stój, Puño, gówniarzu jeden! - Przesadzając po trzy stopnie naraz, Miły Jake pędził z piętra. - No i coś ty najlepszego narobiła? - zawołał w głąb pustego korytarza. Nikt mu nie odpowiedział. On nie czekał na odpowiedź. Rzucił się na ciebie: stałeś przy tych drzwiach wyjściowych jak sparaliżowany (a metr dalej - wolność).

Złapał cię za ramię i jął wlec z powrotem, klnąc przy tym w niedowierzaniu na głupotę Holly. Trafiłeś drugą ręką do innej kieszeni i wyjąłeś małą jednorazówkę, jedną z tych, jakie Jake rozdawał wam wraz z porcjami narkotyków. Ta, wielokrotnie używana, napełniona była teraz twoim moczem. Wbiłeś ją, nieporadnie i krzywo (starą igłę wielokrotnie gięto i prostowano) w prawe udo Jake'a. Jake wrzasnął i rzucił cię na ścianę; ostry ból przeszył ci plecy. Nie zdążyłeś do końca wcisnąć tłoka.

Mężczyzna wyrwał ją zaraz i podniósł do oczu.

- Co to jest?! Co to jest?!!

- Pieprzyłem twoją matkę! - zawył piskliwie w odpowiedzi, kompletnie bez sensu. Lecz coś takiego musiałeś mu w twarz wyrzesczyć, żeby mieć odwagę na dokonanie kolejnego czynu wymyślonemu w nocnym strachu.

Skoczyłeś mu do gardła i rozharatałeś je jednym zamaszystym pociągnięciem kościanego grzebienia, ukrywanego dotąd z tyłu, za spodniami; ten grzebień miał wyjątkowo ostre i twarde zęby, dodatkowo wyszlifowane przez ciebie na betonie piwnicznych schodów w cienkie ćwierćbrzeszczoty.

Jake zdążył jeszcze zdzielić cię krzywym sierpowym w ciemność. Padłeś na podłogę zamroczony.

Przez te kilkadziesiąt sekund, gdy ty pozostawałeś nieprzytomny, on się wykrwawił. Zastałeś go rozciągniętego za zakrętem ściany, całego we krwi, z rękoma przy szyi, oczyma wytrzeszczonymi, łzami na policzkach, z zaiste śmiertelnym przerażeniem w grymasie grubowargich ust. Trafiłeś, idąc po ścieżce gęstej czerwieni. Chwilę powstałeś nad nim, z braku

siły woli, do ostatka już wyczerpanej, niezdolny nawet do wypełnienia rytualnego *katharsis*: dwóch-trzech kopnięć w bezwładne ciało. Po czym odwróciłeś się na pięcie i wyszedłeś w zmierzch nad Kalifornią. Powietrze było takie świeże, takie orzeźwiające. Przełknąłeś je. Strach wyplułeś wraz ze śliną.

Żadnego smaku w ustach: te dwie śmierci były absolutnie jałowe, bezbarwne, bezosobowe - sztuczne. Nie ty mordowałeś, mord był poza tobą.

Druga operacja

Gwoli prawdy: smaku w ustach to ty już nigdy nie poczujesz. Straciłeś go nieodwracalnie po drugiej - i zarazem ostatniej - przeprowadzonej w Szkole operacji. Straciłeś wówczas także węch i wzrok (a w każdym razie wzrok w człowieczym tego słowa rozumieniu). Lecz to brak zmysłu smaku pierwszy dał ci się we znaki. Leżałeś jeszcze w bandażach na głowie i pod maską tlenową. Przyszła Dziwka, dała ci się czegoś napić - i wtedy spostrzegłeś, iż nie jesteś w stanie rozpoznać rodzaju przełykanego właśnie płynu.

- Co to jest? - szepnąłeś.

Zrozumiała.

- Woda z cytryną.

- Ja nic -

- Mówiłam ci.

To prawda.. Wszystko ci opowiedziała: będziesz wielki, Puño, będziesz wielki. A szło o to, żeby zrobić z ciebie jeszcze większego kalekę. Bez smaku, bez węchu, z zaszytymi powiekami, pozbawiony gruczołów łzowych.

Z twoimi oczami to nie do końca było tak. Widziałbyś nawet przez bandażę, ale to nie były jedynie bandażę. Dopiero nazajutrz, gdy zdjęli ci tę metalowo-plastikową opaskę - z o b a c z y ł e ś. Przejrzałeś na całkiem nowy świat - choć dźwięki pochodzące z niego zaczęłeś słyszeć zaraz po pierwszej operacji. Do starego świata Dziwki i nauczycieli należałeś już w niewielkim stopniu.

To, co zajmowało miejsce twoich gałek ocznych, było wyczulone na fale elektromagnetyczne odpowiadające długością promieniowaniu rentgenowskiemu oraz, w mniejszym stopniu, podczerwonemu. Zaszyte powieki w żaden sposób nie przeszkadzały ci w „widzeniu”. Nikt też nie mógł cię przez pomyłkę wziąć z tej przyczyny za śpiącego, albowiem po drugiej operacji byłeś już organicznie niezdolny do zapadnięcia w sen,

jakkolwiek płytki i chwilowy.

Wszystkie powyższe zmiany, ich kumulacja i konsekwencje każdej z nich z osobna, wymusiły także zmianę twego otoczenia. Znów przenosiny: inny pokój. Ten odłam ergonomii był nauką młodą, i Szkoła nauczyła się dużo właśnie na twoim przykładzie, jednak już wkrótce - po tygodniu, dwóch - czułeś się w nowej celi jak w domu. To znaczy jednak obco. Teraz twoje nieoczy doskonale widziały poukrywane w ścianach i suficie kamery i mikrofony. To Lewiatan, a ty znajdowałeś się w brzuchu potwora.

Całkiem inny komputer, całkiem inny ekran. Wpłaszczona w biurko sensoryczna klawiatura jaśniała łagodnym ciepłem. Pozornie nieuniknioną monochromatyczność monitora o „kineskopie” emitującym wyłącznie promienie X przewyciężono dzięki zastosowaniu układu dublującego w podczerwieni oraz przez sprzężenie z nim systemu głośników, w który od początku wyposażone było to pomieszczenie. Zaprojektowano je i zbudowano wyłącznie z myślą o tobie, abys zaczął wreszcie rozwijać swój zmysł nietoperzowej orientacji przestrzennej.

- To dla ciebie, Puño.

- Ale ja nie chcę.

- Wszystko będzie dobrze.

- To nie jest szkoła, ja wiem, to jakiś wojskowy ośrodek eksperymentalny, co wy tu ze mną robicie, przecież niczego nie uczycie, tylko spotworniacie, spotworniacie, spotworniacie mnie... - Nawet otwarcie zdenerwowany mówiłeś powoli, kontrolując słowa i gesty. Na szczerłość można sobie pozwolić jedynie w samotności, a samotność doskonała nie istnieje.

- Ależ to jest szkoła, dobrze wiesz; i uczymy cię -

- T e g o mnie uczycie?! T e g o?! - Nieoczy. Nieuszy. Nieskóra. Nietwarz. Nieczłowiek.

Coś jakby smętne rozbawienie wyciekło w spowolnionym oddechu Dziwki. Widziałeś, jak porusza swym ciałem w zawsze płynnym przemieszczeniu miękkość aury zwierzęcego ciepła, w zmianie wzajemnego położenia fioletowych kresek kości i ciemnych, wielopłaszczyznowych splotów wewnętrznego mięsa. (Postrzegane nieoczyma niekolory automatycznie przyporządkowałeś starym barwom, by uniknąć mnożenia dla potrzeb „ślepców” skomplikowanych neologizmów. Ale także dla własnej wygody myśli).

- A ty sądzisz, że co robią w innych szkołach? - parsknęła Dziwka. - W tych, które masz za normalne - ty, który do żadnej, prócz tej, nie uczęszczałeś? Czegóż się naoglądałeś na wideo? Że niby jakie te szkoły? Szkoła, mój drogi Puño, z definicji musi dążyć do dokonania jak najgłębszych zmian w umysłach swych uczniów. Każda. Każda. To, że my

akurat zajmujemy się również ciałem - to szczegół. Zasada jest ta sama. Nie możesz wyjść ze szkoły taki sam, jak wszedłeś.

Nie pytałeś o prawo szkół do mordowania milionów, ponieważ dla ciebie było ono oczywiste: siła. Lecz nie znaczyło to bynajmniej, że akceptujesz ten stan rzeczy i poddajesz się odwiecznemu dyktatowi. Ty, Puño, dziecko slumsów, dziecko chaosu, miałeś swoje własne prawo.

Uciekać trzeba zawsze

Ponieważ uległość to nie to samo co poddanie, a kto raz się podda, ten do końca będzie żył w poddaństwie, i przetrwanie, jak się okazuje, mimo wszystko nie ma najwyższego priorytetu. Jednakże tym razem trudności, jakie zmuszony byłeś pokonać, okazały się znacznie większe od przewyżczonych podczas ucieczki z domu Miłego Jake'a. Te mikrofony, te kamery. To musiało być coś nagłego i nieprzewidywalnego, niewymagającego absolutnie żadnych przygotowań. Niemal pokonała cię absurdalna ergonomia twego pokoju. Lecz przeoczyli wzmocnione krawędzie dolnych szafek. Wystarczyło przesunąć lekko górne i spokojnie odejść pod drzwi. Pięć metrów to mało na rozbieg konieczny dla uzyskania odpowiedniego impetu. Ale uciekłbyś, naprawdę uciekłbyś im - gdyby nie instynktowne drgnięcie głowy w ostatnim momencie, i chyba już w pełni świadome zaparcie się lewą ręką dla zmniejszenia siły uderzenia: organizm był przeciwko tobie. Krawędź omsknęła ci się po ciemieniu, rozcinając głęboko nieskórę. Lekki wstrząs mózgu, ale czaszka nawet nie pęknięta i zero zagrożenia życia. Fiasko kompletne.

Przynajmniej próbowałeś.

Potem, oczywiście - Dziwka. Była na tyle inteligentna, by nie pytać głupio: „Dlaczego?”. Chociaż tyle.

- Będziesz wielki, Puño, będziesz wielki. Pieniądze, co tylko chcesz. Taka jest twoja przyszłość. Zobaczysz. Gdyby nie Szkoła, zgniłbyś już gdzieś na wysypisku miasta. To jest twój sen złoty - czy ty zdajesz sobie z tego sprawę? Ilu by się z tobą z chęcią zamieniło? Miliony, miliony. Przecież jesteś sprytny, potrafisz to sobie skalkulować. Otrzymałeś szansę, jakiej nie otrzymał nikt inny. Opłaci ci się to.

Była na tyle inteligentna, by nie mówić jak do dziecka i nie grać na twoich uczuciach, których nie rozumiała; miast tego przemówiła do umysłu chciwego złodziejaszka ze slumsów. Tam, skąd pochodzisz, każdy ma jedno marzenie: zostać Cillo. A przecież oni w czasie tych

testów, których nie pamiętasz, wyciągnęli z ciebie ostatni strzęp najgłębszych marzeń.

- Przekupujesz mnie - odparłeś wbrew instynktowi milczenia, przyglądając się, jak mięsień sercowy Dziwki ściska się i rozdyma, niczym sparciała rękawica bokserska.

- Oczywiście. To źle? Umowa jest chyba uczciwa.

- Powiedziałaś, że to wy mnie nauczycie, czego mam chcieć. Przegrałem.

Nie pojęła twych słów. Przegrał? W jakiej grze? O co mu chodzi?

- Nie próbuj tego więcej. Już wkrótce czeka cię podróż; wreszcie sam zobaczysz Mgły. Musisz być w dobrej formie. Przecież jesteś ciekawy, to cię podnieca; nie zaprzeczaj, ja wiem. Pamiętaj: sześć lat. Wrócisz i zostaniesz największym Cillo na Ziemi. Nie będziesz miał jeszcze dwudziestki.

Zacząłeś się śmiać.

Pochyliła się nad łóżkiem.

- Co...?

Odwróciłeś się od niej, przekreśliłeś na bok, zwinąłeś do pozycji embrionalnej. Chichot przeszedł w coś innego. Wycięli ci gruczoły łzowe, więc nie była pewna. Słyszałeś w jej głowie zmieszanie, frustrację i cichy strach.

- Proszę - szepnęła.

Powiedziałeś coś niemal bezgłośnie; nie dosłyszała. Ale na pewno poszła potem do centrum i spytała superkomputera, który nigdy nie uronił ani jednego twego oddechu. Superkomputer zaś odrzekł jej:

- Boję się.

Teraz

I to strach wrywa Puño z podsnu. Budzi się w nieznanym mu pokoju, nieprzystosowanym do jego potrzeb, co poznaje po jednostajnym ciemnym chłodzie otoczenia; budzi się zatem wbrew zamysłom swych nadzorców: nie powinien był się obudzić. Coś się dzieje. Anielski słuch go nie zawodzi: krzyki na korytarzach, rozwrzeszczane głośniki, alarmy. To nie jest Szkoła. To na pewno już ta Stacja Tranzytowa, o której opowiadała mu Dziwka. Wstaje z łóżka, podchodzi do zamkniętych drzwi. Porusza się tak ostrożnie, takimi delikatnymi stąpięciami niestóp, w tak muzycznym balansie ohydneho ciała, jakby specjalnie dla niego tutejsza grawitacja zmniejszyła się do ułamka naturalnej. Zmysł równowagi Puño nie znajduje się w uchu wewnętrznym, w błędniku: zaprojektowano i

wszczepiono mu bardziej „elastyczny” niebłądnik, gotów do natychmiastowego adaptowania się do nowych warunków, jakiegokolwiek by się one okazały. Stojąc przy drzwiach, Puño słucha. I słyszy: - ...natychmiastowe stawienie się w Sali Tranzytowej numer jeden. Powtarzam... - Co im się stało? Poszaleli? - Ależ, kochanie, oni z definicji są szaleni. - Odzyskali przytomność? Kto pozwolił? Kto pozwolił? Co za burdel... - Z drogi, z drogi! - I co to w ogóle znaczy? Myślałem, że tuczniaki nie potrafią mówić, a co dopiero pisać! A matki przecież żaden z nich nie miał. Więc skąd to...? - A odwal się. Co, może to moja wina? - Pewnie sprzęgli się z jakimś telepatą. Pamiętasz, co nawyrabiał Dwunasty? - Wszystko przez tego nowego anestezjologa. Oni bezustannie powinni tkwić w transie, nie mieliby szans połączyć się z myślakami i dostać do wspomnień w naszych głowach. - Uwaga...! - Puño stoi i słucha. Co tam się dzieje? Wyczuwa szybkie przemieszczanie się wielu ludzi za przegrodą metalowych drzwi. Niemal słyszy ich strach. Słyszy także zbliżającą się Dziwkę. Gdy drzwi się otwierają, on siedzi w bezruchu na swym łóżku. Wchodzi Dzwinka wraz z mężczyzną o orientalnych rysach twarzy; oboje są w mundurach. Puño tego nie widzi - odmienności materiału ich ubrań domyśla się po wydawanych przez nie specyficznych szelestach (on, sam nagi pod swą nieskórą), azjatyckie pochodzenie przodków mężczyzny zgaduje zaś po kształcie jego czaszki. - Obudził się. - Mężczyzna wzrusza ramionami: - Oni wszyscy się pobudzili. - Dzwinka zwraca się bezpośrednio do Puño: - Małe opóźnienie. Nic poważnego. - Z korytarza dochodzi wtem trzask, rumor i kobiecy krzyk, zaprzeczając słowom Dzwinki. Puño czyni dłonią znak pogardliwego szyderstwa. Dzwinka we wnętrzu zamkniętych ust wywija język ku podniebieniu, oznajmiając Puño swą dezaprobatę. Puño słyszy w jej głowie ciągły, wysoki dźwięk koncentracji i skupienia, ziemniakowaty mięsień jej serca kurczy się i rozkurcza szybciej niż zazwyczaj. - Skoro tak... Idziemy, Puño. - Mężczyzna łapie ją za ramię, najwyraźniej nie będąc przekonany o słuszności tej decyzji. - Co...? - Przerzucimy go w Dwójce. Okay? Idziemy, Puño. - Wychodzą na korytarz. Puño rozgląda się, ale więcej szkieletów nie widzi. Chaos został opanowany. Idą. Nie widzi również tych metrowej długości cięć w supertwardej materii ścian, układających się w gigantyczne litery, a te w słowo, które towarzyszy im, wciąż się powtarzając, gdy tak zagłębiają się w podziemny labirynt Stacji Tranzytowej. Ściany krzyczą: MAMO MAMO MAMO MAMO MAMO. Wciąż idą, kiedy te niemożliwe cięcia zaczynają nabiegać i broczyć gęstą i czerwoną cieczą. Puño słyszy lęk i dezorientację towarzyszących mu w tym ostatnim marszu kobiety i mężczyzny - lecz nie rozumie ich. Idą, idą i idą, a choć księżycowy niechód Puño, tak płynny, tak taneczny, zdaje się wymuszać nienaturalną powolność jego kroku, w istocie to on wyprzedza swych strażników i przewodników. Różne przedmioty dryfują wokół nich przez powietrze wbrew

grawitacji; trzaskają mijane drzwi, samowolnie otwierając się i zamykając; za zakrętem krzesła i stoliki wpełzają na sufit; wyrwany komuś z dłoni długopis wypisuje bezsensowne bazgroły na białym chodniku; kamera strażnicza jak oszalała kręci się na wysięgniku; łomoczą w poprzek korytarza niczyje kroki; kartki papieru z tablicy ogłoszeń ścierają się ze sobą ponad głowami idących, niczym rozwścieczone drapieżne ptaki; sama tablica drży w wibracji o wzrastającej częstotliwości. Idą. Puño już wie, przypomniał sobie. Oto jest gniew bogów.

Bogowie

Rzekł nauczyciel:

- Rok świetlny to jest dziewięć i pół biliona kilometrów. Odległość do najbliższej obcej gwiazdy przemnoż sobie przez cztery koma trzy. A Alfa Centauri nie posiada przecież planet. Taka Epsilon Eridani jest jeszcze dwa i pół raza dalej. Więc sam widzisz, Puño.

To mrzonki. Nawet gdybyśmy posiadali technologię umożliwiającą utrzymanie ciągu 1g aż do osiągnięcia podświetlnej, a potem podczas deceleracji aż do całkowitego wyhamowania; nawet gdybyśmy dysponowali przepisem na takie cudowne paliwo, które swoją własną masą nie potęgowałoby automatycznie wielkości masy poruszanej, wymuszając zwiększanie ciągu, które wymaga więcej paliwa, i tak *ad infinitum*; nawet gdybyśmy potrafili czynić takie cuda - to co z czasem? Bo w sferze o promieniu dwudziestu pięciu lat świetlnych z całą pewnością nie ma odpowiednich planet. Więc co? Posyłać ludzi na zatracenie w einsteinowskich paradoksach? Doleciawszy do celu, zastaną tam swe wnuki przybyłe na miejsce w okamgnieniu dzięki wykorzystaniu teorii wyższych wymiarów, o których dziś wiemy tyle, że być może istnieją. Zrozum zatem, Puño: nikt nie wyłoży pieniędzy na podobnie niepewne przedsięwzięcie, a już na pewno nie rząd, na pewno nie NASA. Wołają sobie bazy na Marsie budować, koszt im się zwraca w prawach do transmisji telewizyjnej. I tak by cała sprawa cicho umarła, gdyby nie genetycy. Myślisz sobie: co, u licha, mają wspólnego genetycy z podróżami międzygwiazdowymi? A widzisz, mają, mają. Facet nazywał się De Door i nawet nie był profesorem. Trzymał fuchę w zakładzie psychiatrycznym... słynna historia, najlepszy kawałek z *Księgi wielkich odkryć*. No więc ten De Door zainteresował się pewnym piromanem, którego leczyli tam od paru miesięcy, a któremu wciąż wszystko dosłownie paliło się pod palcami. De Door zorientował się, że oto ma do czynienia z ewidentnym przypadkiem pirokinezy, czyli wznecania ognia wyłącznie za pomocą siły

woli. Genialność De Doora polega jednak na jego podejściu do fenomenu. Cóż on mianowicie zrobił? Pobrał od pirokinetyka próbkę tkanki - włosy po prostu mu wyrwał - po czym za własne pieniądze przeprowadził w jakimś prywatnym instytucie analizę genomu delikwenta, z wydrukiem pobiegł do biblioteki, wypożyczył atlas ludzkiego DNA i zabrał się do porównań. Co, rzecz jasna, nic mu nie dało, bo jeden człowiek to za mało, by na jego podstawie wyprowadzać ogólne teorie. Potrzebował więcej nadmysłowców do weryfikacji danych. I tu już nie mógł liczyć na przypadek. Zaczął łączyć ze szkicem projektu po przeróżnych fundacjach. Niestety, ów piroman ze szpitala dla obłąkańców zdążył się tymczasem spalić doszczętnie i De Door nie miał już dowodu. Minał rok, drugi, trzeci. No i zgadnij, Puño, kto przyznał doktorkowi fundusze? Nieoceniony Pentagon. Zastanawiasz się zapewne dlaczego? Czyżby mu uwierzyli? I to akurat wojsko? Diabła tam! Przyszły po prostu raporty wywiadu o wzmożonym zainteresowaniu Chińczyków technikami pozazmysłowej inwigilacji nieprzyjaciela, jakiś generał dopisał na takim raporcie: SPRAWDZIĆ, WYPRZEDZIĆ - i oto zdumionego De Doora przywaliła lawina pieniędzy. Gość przynajmniej zdawał sobie sprawę, jak kapryśne są bóstwa U. S. Army i jak przypadkowy jego tryumf, nie tracił więc czasu. Spora część przyznanych mu funduszy poszła na wykup reklam w gazetach i Internecie. Ktokolwiek udowodni posiadanie jakichkolwiek, chociażby najslabszych, zdolności paranormalnych... i tak dalej, i tak dalej. Wysokie sumy obiecywał, zgłosiły się dziesiątki tysięcy. De Doorowi wystarczyłoby jedynie trzech niespokrewnieni osobnicy o podobnych talentach. Tymczasem najpierw wyłowił nadempatę, potem dalwidza, potem znów nadempatę... ciężko mu to szło. Ostatecznie jako pierwszą wyizolował sekwencję genów odpowiedzialną za umiejętność wykrywania świadomego kłamstwa w słowach rozmowy, czyli za szczątkową nadempatię właśnie. A że jeden z nadempatów dał się zwerbować wojsku do prowadzenia przesłuchań podejrzanych o szpiegostwo - De Door otrzymał kolejny finansowy zastrzyk. Rozbestwiony Pentagon zgłosił zapotrzebowanie na pełnych telepatów. De Doorowi, oczywista, wyszło co innego: telekinetycy. I to marni: przesunie taki długopis, przewróci kartkę książki, a już pot się z niego leje strumieniami i ledwie biedak dycha. Ale dla De Doora - w odróżnieniu od jego mocodawców - siła talentu nie miała znaczenia, on mierzył dalej. Szło mu o program długofalowy; i ostatecznie wywalczył nań forszę. Słyszałeś o konwencji madryckiej? No więc on ją złamał. Zresztą łamią ją wszyscy, ale on bodaj najjaskrawiej. Miał rządowe błogosławieństwo, więc się nie przejmował. Zaczął od zygot i zarodków; nastrzykiwał najądrza, stosował retrowirusy... Znał już geny odpowiedzialne i spotęgowanie danych zdolności nie stanowiło dlań problemu. Większym problemem było uniknięcie ubocznych efektów selektywnego manipulowania genami sprzężonymi; po

prawdzie do dziś sobie z tym nie poradził. W każdym razie pierwsi sztucznie wyhodowani telekinetycy, ci nadmysłowi transgeniczni *Homines sapientes*, urodzili się z łon mechanicznych macic jedenaście lat temu. To jeszcze była seria eksperymentalna, zresztą De Door wciąż doskonali modele genomów poszczególnych nadmysłowców, skatalogował już wszystkie ich typy... Ale nas, ciebie, Puño, interesują wyłącznie telekinetycy. Seria będąca obecnie w użyciu posiada już moc wystarczającą do sięgnięcia w głąb jądra Galaktyki. Siły woli nie ogranicza prędkość światła. Odkryliśmy wiele ciekawych planet. Ale ciebie, Puño, interesuje wyłącznie Otchłań Czarnych Mgieł.

Dlaczego

Rzekł nauczyciel (inny):

- To się nazywa idiom. To się zdarza wtedy, gdy żaden z nas nie jest telepatą. Ty jesteś człowiek, ja jestem człowiek. Ty jesteś mężczyzna, ja jestem mężczyzna. I nawet tym samym językiem się posługujemy. I nawet kultury, z których się wywodzimy, w jakiejś tam, dosyć sporej części, się pokrywają. Ale ani ja ciebie rozumiem, ani ty mnie. Przy obustronnym wysiłku jesteśmy w stanie przekazać sobie niektóre myśli w ich najprostszej i najmniej osobistej słownej interpretacji. Ale to wszystko. Do żadnego głębszego porozumienia nie jesteśmy zdolni. My - a co dopiero ludzie nieposługujący się wspólną mową, ludzie o wzajemnie sobie obcej pamięci doświadczeń, wyrosli na niekompatybilnych kulturach, mający odmienny wygląd. A co dopiero człowiek i nieczłowiek. Wówczas ten obszar psychicznej zbieżności zmniejsza się do mikroskopijnej szerokości pasa, jeśli chwytasz moją analogię, Puño. Wyobraź sobie, że masz za zadanie porozumieć się z drzewem. Wiesz *a priori*, że jest ono inteligentne. Musisz zainicjować dialog. Od czego zaczniesz? To są tego typu szarady. Robimy, co w naszej mocy, ale my jesteśmy sobą, a Oni sobą. Nie sposób wyjść poza własne myśli. Spójrz na historię: jak radzili sobie ci konkwistadorzy, odkrywcy, podróżnicy? Albo zabierali ze sobą na kilka lat paru tubylców, żeby nauczyli się języka zdobywców, albo zostawiali na miejscu swoich poliglotów. Ale najlepszym, choć najbardziej czasochłonnym sposobem, było po prostu *w y h o d o w a n i e* tłumaczy: zakładali na brzegu osadę, zamieszkaną oczywiście wyłącznie przez mężczyzn, bo kobiety były dostępne na miejscu, wracali po dwudziestu latach - i mieli oto tuzin mieszkańców szwargocących swobodnie w obu językach, należących do obu kultur i nienależących do żadnej, lojalnych wobec obu panów i wobec żadnego: idealny pomost cywilizacyjny, złoty środek, z którego

jednako daleko do każdego z brzegów. Owi mieszkańcy, właśnie dlatego, że nie przynależeli w pełni ani do jednej, ani do drugiej społeczności, byli je w stanie w swojej osobie w jakiś sposób, zapewne niedoskonały, zsyntetyzować. Uśrednienie, wypadkowa, nowa jakość. W naszym przypadku, w twoim przypadku, Puño, w przypadku Otchłani Czarnych Mgieł - rzecz jasna nie ma mowy o żadnym wzajemnym wymieszaniu gatunków. Niemniej pozostaje niepodważalnym faktem, że nie jesteśmy w stanie Ich zrozumieć, my, ludzie, obdarzeni takim, a nie innym ciałem, w taki, a nie inny sposób postrzegający świat, uwięzieni w tym swoim obrazie świata, w życiu przeżywanym na swój człowieczy sposób, w pamięci własnej i cywilizacyjnej - i tak dalej, i tak dalej. Czy ty mnie rozumiesz, Puño? Też nie w pełni. Każdy każdemu obcy. Widzisz, Puño, to ty będziesz naszym tłumaczem w Otchłani Czarnych Mgieł. Z pewnością pojmujesz powody, dla których konieczne były te operacje. Znasz pochodzenie Snów. Przedstaw to sobie jako skalę, której jeden koniec stanowi człowiek, a drugi - Oni. My przesuwamy cię w kierunku tego drugiego końca, zarówno twoje ciało, jak i umysł, choć z ciałem zawsze łatwiej, w końcu to tylko organiczna maszyna. I w jego przypadku osiągnęliśmy już granicę, której nie możemy przekroczyć - której ty nie możesz przekroczyć. Szkoła uczyniła wszystko, co w jej mocy, byś mógł maksymalnie zbliżyć się do świata, w którym żyją Oni. Zrozumieć go. Starać się postrzegać go tak, jak Oni go postrzegają - teraz już posiadasz niektóre potrzebne do tego zmysły. Oczywiście nie wszystkie i oczywiście ułomne - ponieważ mimo wszystko wciąż pozostajesz człowiekiem, i to nie tylko przez pamięć swego człowieczeństwa: w końcu gdybyśmy cię przesunęli do końca skali (choć to niemożliwe), stałbyś się dla nas po prostu tak samo obcy jak Oni i też niczego nie potrafiłbyś przetłumaczyć. Ty masz stać pomiędzy. Ponieważ jednak nie jesteś naturalnym mieszkańcem, a jedynie sztucznie przystosowanym *Homo sapiens*, zawsze ciężko będziesz w swych translacjach ku ludzkiemu punktowi widzenia, i my to akceptujemy, godzimy się z tym nieusuwalnym wypaczeniem. Zwłaszcza że psychicznie nie przesunąłeś się po tej skali ani o dziesiątą część jej rozpiętości. Tu, w Szkole, możemy jedynie zainicjować ten proces, przygotować cię - stąd Sny - tudzież starać się już na etapie selekcji wybrać osobę w sposób naturalny najbardziej predestynowaną do funkcji tłumacza na danym świecie - i stąd testy. Nie możemy natomiast n a u c z y ć cię Ich języka, ponieważ sami go nie znamy. Zresztą, pozostając w pełni ludźmi, i tak nie bylibyśmy w stanie go sobie przyswoić. To ty, Puño, ty, tam, w Otchłani Czarnych Mgieł, będziesz uczył się Ich mowy, jakkolwiek by się ona miała okazać; ty będziesz nam Ich tłumaczył, interpretował, wyjaśniał; uczył nas, ile możemy się nauczyć - my, którzy nie jesteśmy tobą. Wiesz: jesteś pierwszy. Wszyscy jesteście pierwsi, to pionierskie przedsięwzięcie, żadnych doświadczeń, żadnych błędów poprzedników, których

moglibyście uniknąć. To wy, Puño, ty i twoi odpowiednicy na innych planetach (a niektórych z nich być może poznałeś tu, w Szkole, jeszcze zanim stali się tym, czym są), wy będziecie popełniać te historyczne błędy. Nie mówię, że to będzie łatwe. W istocie będzie to bardzo trudne, graniczące z niemożliwością. Znajdziesz się na tej planecie sam, pozbawiony bezpośredniego wsparcia naszej orbitalnej placówki, która zresztą na razie nie jest niczym innym jak kupą tymczasowo pospawanego złomu, w której poci się troje zapracowanych ludzi, w tym jeden szalony telepata, więc właściwie nie człowiek - znajdziesz się w Otchłani Czarnych Mgieł tak, jak teraz przede mną stoisz, Puño: zmieniliśmy twój organizm na tyle, byś mógł tam przeżyć dowolnie długo, o ile nie spotka cię coś, czego nie przewidzieliśmy, coś, o czym nie mamy pojęcia. Bo nie wiemy nawet, co uczynią Oni, gdy zdadzą sobie sprawę z twojej obecności, a przecież nastąpić to powinno jak najszybciej, bo wszak wysyłamy cię tam właśnie po to, żebyś nawiązał z Nimi kontakt, r o z m a w i a ł. Zdaj sobie sprawę z Ich obcości: dla człowieczego telepaty Ich myśli po prostu nie istnieją. Toteż prócz funkcji tłumacza sprawować będziesz funkcję naszego ambasadora. Łączność z orbitą zapewni ci miejscowy tucznik, a przez niego zyskasz łączność z Ziemią. Ale nawet mimo obejścia ograniczenia szybkości komunikacji do szybkości światła, jest to nazbyt długi łańcuch, byś miał czekać z każdą decyzją na słowo Ziemi. Zaakceptuj tę myśl: będziesz sam na obcej planecie, pośród Obcych. A w tej chwili wiesz o Nich tyle, co my: prawie nic. Owe Sny, które wsączyliśmy ci w umysł, to jedyne Ich nagrania z automatycznych sond, jakimi dysponujemy, i na podstawie analizy tych nagrań zbudowaliśmy twój profil percepcji, więc może pomyliliśmy się, nie jest to wykluczone. Ty będziesz naszą następną sondą. Niezależnie od sukcesu czy porażki tego przedsięwzięcia, miejsce w podręcznikach historii masz zapewnione. Jesteś, Puño, jednym z Kolumbów kosmosu. To nie *science fiction* - to rzeczywistość.

Science fiction

- To jakaś pieprzona *science fiction!* - rzekł Gość.
- Już nie *fiction*, już nie *fiction* - odmruknął Wielki.
- Dajcie spokój - szepnęła Dziwka.

W przeddzień zapowiedzianego wyjazdu do Stacji Tranzytowej, kiedy już nikt niczego cię nie uczył, podsłuchiwałaś rozmowę toczącą się w jednym z pokoi, dwa piętra wyżej. Mimo zamkniętych drzwi celi, grubych ścian Szkoły i jej niemal hermetycznego podziału na

odrębne sekcje - twój anielski słuch prowadził cię nieomylnie po budynku korytarzami i schodami, rurami i szybami wentylacyjnymi, pośród burzowego hałasu wszechdźwięków, uderzających zewsząd głosów i odgłosów, pośród cudzych umysłów i cudzych ciał - do miejsca, gdzie trwała dyskusja, w której padło twoje imię. Oni w to nie uwierzą, powiedzą, że zmyślasz - jak zawyrokowali po twym wyznaniu o muzyce ich myśli: że to niemożliwe, byś ją słyszał - więc nawet nie będziesz próbował ich przekonać. Wyposażenie cię w podobny słuch stanowiło integralną część ich planu, zatem uczynili to - a teraz nie wierzą w potęgę swego własnego daru. Nie wiedzą, co urodzili, nie chcą wiedzieć. Ich sprawa. Ty słyszysz.

GOŚĆ: Ja myślałem, że to placówka badawcza, że... no, nie wiem; w każdym razie nie tego oczekiwałem.

WIELKI: Nie dostał pan papierów? Ma pan przecież dostęp. Trzeba było przeczytać, nie byłby pan zaskoczony.

GOŚĆ: A co mi pan tu z papierami...! Właśnie nie chciałem nic czytać, chciałem zobaczyć na własne oczy, po to mnie wysłał prezydent, w lekturę wojskowych okólników to ja się równie dobrze mogę zagłębiać w Waszyngtonie, zresztą i tak w nich tonę; a tutaj przyjechałem, żeby osobiście sprawdzić, na co idą te miliardy.

WIELKI: NO i sprawdził pan.

GOŚĆ: Jezu Chryste... (*głęboki oddech*) Można tu palić?

WIELKI: A co pan ma? Nikotynowiec? Oj, nieładnie.

GOŚĆ: Chciałbym wiedzieć, kto w ogóle wpadł na ten genialny pomysł. Co? Jest ktoś taki, czy też już zdążył zgubić swoje nazwisko w tym magicznym obiegu pism w Pentagonie, mhm? Panie pułkowniku?

WIELKI: Projekt był autoryzowany przez wszystkich trzech kolejnych prezydentów, więc prosiłbym bez gróźb.

GOŚĆ: A pan co taki hardy? Niby pułkownik, a stawia się jak, nie przymierzając, szef sztabu. Co za władzę daje panu to stanowisko - dyrektor Szkoły - że pozwala pan sobie na podobne odzywki?

WIELKI: Spokojnie, spokojnie... Przecież pan wie: te wszystkie imponujące szarże - to tymczasowe. Dziewięćdziesiąt procent personelu Szkoły to żołnierze jedynie nominalni, proszę tu nie oczekiwać przepisowych salutów i entuzjastycznego trzaskania obcasami. Kwalifikacji, jakich wymagamy, raczej nie nabywa się w West Point.

GOŚĆ: Im dłużej pana słucham, tym bardziej mętne to wszystko się staje, panie... pan tak naprawdę nie jest pułkownikiem, co?

WIELKI: Ynix. D'Afferto Ynix.

GOŚĆ: A cóż to za nazwisko? Dlaczego nie nosicie plakietek identyfikacyjnych?

DZIWKI: Na początku były. Ale zarządzenie wymagało posługiwania się fałszywymi tożsamościami i zrobił się, za przeproszeniem, nielichy burdel.

GOŚĆ: A pani...?

DZIWKI: Kapitan Felicita Alonso.

GOŚĆ: I to jest prawdziwe nazwisko czy fałszywka?

DZIWKI: Prawdziwe. Tego zarządzenia nikt już nie przestrzega. Ludzie zapominali własnych imion, nie mają głowy do całej tej konspiracji.

GOŚĆ: Gubię się. Po cholere takie zarządzenie?

WIELKI: Widzi pan, u nas pracuje, na etacie i na zlecenia, masa międzynarodowych sław. Wszyscy są na hipnotycznym bezczasie, więc nawet ich nie zaprzysięgamy, bo i tak nic nie zapamiętują i nie są w stanie żadnej tajemnicy zdradzić - ale w końcu może się zorientować ktoś z zewnątrz. Dublujemy im spędzany u nas czas. Ja, na przykład, od pięciu lat jestem zahibernowany w podziemiach *Luny IV*, w ramach eksperymentu *Eternity* - słyszał pan może? A wielu pracujących w Szkole etatowców to po prostu zombies. Z krótkookresowymi zleceniobiorcami radzimy sobie inaczej: jakaś urojona konferencja naukowa na drugim końcu świata, tego typu rzeczy.

GOŚĆ: Ale po co to wszystko...?

WIELKI: A jak pan myśli? Dla zachowania tajemnicy. Widział pan ten plakat w gabinecie? „Wszechświat będzie nasz!” Szybciej, więcej, lepiej. Żeby USA pierwsze otworzyły ambasadę w Obłoku Magellana. Taka jest oficjalna egzegeza. Chwyta pan klimat?

GOŚĆ: Pan ma jakieś obiekcje, zastrzeżenia...?

WIELKI: Ależ skąd! Ja jestem zaślepiony entuzjasta! To mnie się końmi powstrzymuje. Tu moje nazwisko pod każdym rozkazem. D’Afferto Ynix, D’Afferto Ynix. Ostatnio zagustowałem w lekturze protokołów z procesów norymberskich. Uczmy się na cudzych błędach.

GOŚĆ: To żart?

DZIWKI: Żart, żart.

GOŚĆ: Specyficzne poczucie humoru...

WIELKI: Prawda? (*po chwili*) Da pan tego papierosa.

Milczenie.

GOŚĆ: Ynix, Ynix... skąd pan właściwie pochodzi?

WIELKI: Wie pan, to śmieszne: ja akurat nie jestem obywatelem Stanów Zjednoczonych. Bezpaństwowiec, mam niebieski paszport ONZ.

GOŚĆ: Ach, pan jest jednym z tych...

WIELKI: Dokładnie. Z tych. Z pierwszego miotu.

GOŚĆ: Nie będzie niedyskrecją pytanie o pana Atrybut?

WIELKI: A jak pan myśli? *(po chwili)* No dobrze. Ja jestem Szczęściarz.

GOŚĆ: Mhm, ktoś logicznie rozumował: jak może się nie powieść przedsięwzięcie kierowane przez Szczęściarza?

WIELKI: NOO, bardzo prosto: jeśli dzięki temu Szczęściarz uratuje swą skórę.

DZIWKI: Chyba odeszliśmy cokolwiek od tematu.

WIELKI: A jaki ten temat?

GOŚĆ: No więc, szczerze mówiąc, uważam to wszystko, co tutaj robicie, za głęboko niemoralne i wcale bym się nie zdziwił, panie Ynix, gdyby rzeczywiście skończyło się to procesem norymberskim. Bardzo przepraszam, ale w moich oczach jesteście po prostu zbrodniarzami.

WIELKI: *(ze śmiechem)* Ależ nie ma potrzeby przepraszać, drogi panie! Pan ma bardzo dobry wzrok.

GOŚĆ: Prosiłbym jednak o odrobinę powagi.

WIELKI: To ja przepraszam.

GOŚĆ: Przede wszystkim nie rozumiem powodów, dla których kolejni prezydenci mieliby brać na siebie odpowiedzialność za tę potworność. Pomijając wszystko inne, jest to gigantyczny błąd polityczny.

WIELKI: Pan faktycznie nie czytał niczego z materiałów, które panu dostarczyliśmy. Znowu mnie czeka pogadanka. Felicita, proszę cię...

DZIWKI: My podbijamy Galaktykę, panie sekretarzu.

GOŚĆ: Ale co pani mi tu...! *(wysiąkuje nos)* Co to ma być, *Star Trek*? Podbijamy Galaktykę, też coś! Będzie wiek, jak NASA podbija Układ Słoneczny, a jeszcze nie stanęła ludzka stopa na wszystkich jego planetach. Ale oni przynajmniej nie wykorzystują do tego celu dzieci, nie bawią się w Boga. Szkoła, akurat; *Auschwitz*, nie szkoła.

DZIWKI: Pan katolik?

GOŚĆ: Ja człowiek. A pani?

DZIWKI: Jak to? Zbrodniarz, rzecz jasna.

WIELKI: Felicita, ja cię proszę.

DZIWKI: Na początek małe sprostowanie: ludzka stopa stanęła już na wszystkich planetach Układu Słonecznego, na których mogła stanąć, i na większości ich księżyców. Jednakże nie dzięki wysiłkom NASA, lecz naszym, dlatego też nie jest to fakt powszechnie

znany. W istocie jest to ścisła tajemnica. A żeby być jeszcze precyzyjniejszym: transport, podobnie jak łączność i wiele innych dziedzin, stanowi domenę projektu Łono, kierowanego osobiście przez De Doora. Widział się pan z profesorem, odwiedził Żłobek? Nie? No tak.

WIELKI: Pan nie raczył spojrzeć nawet na przygotowany przez nas harmonogram wizytacji.

GOŚĆ: Spojrzałem, ale zignorowałem go. Wolałem z zaskoczenia.

WIELKI: Obustronnego, jak widać.

DZIWKĄ: Ale zasadę pan zna, prawda?

GOŚĆ: Aż za dobrze. Czy ten cały De Door nie słyszał nigdy o konwencji madryckiej? Cholerny Mengele. To już setki tych... „dzieci”... wyhodował.

WIELKI: Słownictwo było w aneksie. My nazywamy ich sztucznymi nadzmysłowcami. W slangu: tuczniaki. Niezbyt ładnie; nie wiem, skąd się to wzięło.

GOŚĆ: Tuczniaki. Boże drogi.

DZIWKĄ: Dzięki De Doorowi i projektowi Łono kosmos stoi przed nami otworem. A co do konwencji madryckiej - co pan powie na chińskie manipulacje? U nich to idzie w miliony.

GOŚĆ: Żdźbło w cudzym oku...

DZIWKĄ: Sekwoja raczej.

WIELKI: (*kasze*)

DZIWKĄ: Pana sekretarza, jak widzę, nie podnieca wizja podboju wszechświata.

GOŚĆ: Ja jestem stary, pani Alonso, mnie mało co podnieca. A już na pewno nie jestem do tego stopnia zboczony, żeby ekscytować się cudzym cierpieniem. Bo wszystkie te szumnie zwane projekty właśnie na ludzkim cierpieniu stoją, może nie? Co wy robicie z tymi dziećmi, co wy robicie... co robicie tym nieszczęsnym „sztucznym nadzmysłowcom”...

DZIWKĄ: Powołujemy ich do życia. Cierpią? Może i cierpią, chociaż De Door pracuje nad uczynieniem ich organicznie szczęśliwymi; ale jeśli cierpią, jeśli w ogóle cokolwiek odczuwają - to dzięki komu?

GOŚĆ: Wie pani, pani kapitan, kiedy matka prasuje swoje dziecko żelazkiem, przypala je papierosami, razi prądem, głodzi i katuje, to się jej dziecko odbiera, a ją samą do więzienia wsadza. Znane mi są takie prawa.

DZIWKĄ: A znany jest panu specyfik o nazwie *ServeViol*? Ilu milionom ludzi uratował życie?

GOŚĆ: Pani twierdzi -

DZIWKĄ: Oficjalnie produkuje się go na orbicie. Tak naprawdę zbierany jest z czegoś

w rodzaju trawy parę tysięcy lat świetlnych stąd. Zdziwiony? Mogę mnożyć przykłady, ale po co, nie w ilości rzecz, a pan ma to wszystko w papierach, może się zapoznać ze statystyką w dowolnej chwili. Na każde jedno dziecko czy tuczniaka, któremu, według pana, zadajemy cierpienie, przypadają miliony uratowanych od niechybnej śmierci. Pomimo wszystko t o j e s t o p e r a c j a w o j s k o w a, panie sekretarzu. Kiedy stoi pan wraz ze swoim oddziałem w ariergardzie przegranej armii, a nieprzyjaciel naciera, zamykając drogę odwrotu, to dla uratowania armii poświęca pan pułk, i potem dają panu medal, a poległym budują pomnik i kręcą film. Chwała im, krzyczą. Ale kto krzyczy? Żyjący.

GOŚĆ: To jest ohydna logika. W co wy wierzycie: tu, w Szkole, i tam, w Łonie? W co?

WIELKI: W większe dobro, panie sekretarzu, w większe dobro. Pana wnuk jest chory na zespół Mowgsona, nie myślę się? Testujemy właśnie lek sprowadzony z drugiego ramienia. Być może będzie mógł uzdrowić George'a. Zabroni pan mu go podać?

GOŚĆ: Kurwa mać, Ynix!

DZIWKI: Przepraszam w jego imieniu.

Milczenie.

GOŚĆ: Tylko że rozkręcając ten cały interes, stwarzając pierwszych „sztucznych nadzmysłowców”, nie wiedzieliście, nie mogliście wiedzieć o owych cudownych medykamentach...

WIELKI: Tak, ma pan rację, to jest efekt uboczny, przypadkowe odkrycia - chociaż ważne, przyzna pan. Prawdziwy cel stanowi, jak to określono, „technologiczny megaskok”. Szukamy obcych cywilizacji, które moglibyśmy bezboleśnie oskubać z wiedzy. My, to znaczy USA. Zna pan historię wyścigu o bombę atomową? No więc w porównaniu z projektem Samorodek projekt Manhattan to jak wynalezienie agrafki przy odkryciu teorii względności. Prawdy naukowe, do których doszlibyśmy po tysiącach lat, maszyny jak magiczne artefakty, sama nauka jak magia, moce zaiste boskie. Dla reszty świata będziemy jak Cortez dla Azteków: niewyobrażalne potęgi, niewyobrażalne bronie, niewyobrażalna władza... Cóż to by musiał być za prezydent, który by się nie podpisał pod czymś takim? Bądźmy poważni; z nas trojga to przecież pan jest politykiem.

GOŚĆ: A Szkoła...

DZIWKI: To właśnie za pośrednictwem takich Puño będziemy ich „skubać”.

GOŚĆ: Dlaczego wybraliście do prezentacji właśnie jego? Pani jest jego oficerem prowadzącym, prawda?

DZIWKI: Nie tylko jego, ale on jest najbardziej „miękki”. Jutro jedzie do Stacji Tranzytowej. Zobaczył pan produkt finalny, jeśli można się tak wyrazić.

GOŚĆ: W tych murach najwyraźniej można wszystko, niech się pani wyraża. Produkt finalny. Sierota, powiedziała pani. Metys z Południowej Ameryki. Dlaczego właśnie on? Przecież i angielskiego musieliście go uczyć.

DZIWKĄ: To nie jest kwestia naszego wyboru. Dochodziliśmy do tego metodą prób i błędów. Te półdzikie dzieci slumsów posiadają po prostu największe szanse na skuteczne przystosowanie się, są najbardziej...

GOŚĆ: ..."miękkie". Co to znaczy?

DZIWKĄ: Też slang. „Miękki”, czyli potrafiący się psychicznie zaadaptować, zaadaptować swój umysł do dowolnych nowych warunków, zaakceptować je także podświadomie - stąd dzieci. Jak najmłodsze. Optymalny wiek, te dziesięć, dwanaście lat, stanowi wynik pogodzenia dwojga sprzecznych wymagań: maksymalnej chłonności i plastyczności umysłu oraz zdolności mentalnych, inteligencji. Nikt starszy nie ma już szans na tak instynktowne i pełne zrozumienie Obcych. Ostatecznie - że ucieknę się do trochę mylącej analogii - najłatwiej uczymy się języków w dzieciństwie.

GOŚĆ: Ale... czy wy tego nie rozumiecie? To są d z i e c i.

DZIWKĄ: Dzieci. A cóż to znaczy? Ten okres życia człowieka - dzieciństwo - nabrał specjalnego, nieomal metafizycznego znaczenia dopiero kilkaset lat temu. Wcześniej, przez wieki i tysiąclecia, dzieci to byli po prostu ludzie niewielkiego wzrostu, czasowo upośledzeni umysłowo, z racji swego wieku posiadający niewielkie doświadczenie, zatem bardziej bezbronni; tyle. Nie strzeżono ich przed światem, nie okłamywano ich, nie kreowano dla ich potrzeb odrębnej, fałszywej rzeczywistości dzieciństwa, oni żyli w tak samo okrutnej i bezwzględnej rzeczywistości dorosłych. Pan rozumuje podług dziewiętnastowiecznych kryteriów. Puño by pana nauczył. Dzieciństwo to stan sztuczny, wymuszony przez nienaturalnie luksusowe warunki zewnętrzne. Proszę się przejść po byle slumsach.

GOŚĆ: Pani w to wierzy?

DZIWKĄ: Cóż, jest to jedno ze standardowych usprawiedliwień. Oni sami je nam podsunęli. Akceptujemy tę teorię, bo zgadza się z praktyką. I teraz już ograniczamy nasz nabór wyłącznie do osobników o pochodzeniu i życiorysie podobnych do Puñowego.

GOŚĆ: Lecz tak naprawdę chodzi po prostu o to, że takie dzieci łatwiej ulegają waszej woli, co?

DZIWKĄ: Bynajmniej. Oni właśnie, ci Puño, potrafią wbrew wszystkiemu zachować swoją własną wolę. Wolę przetrwania, przeżycia, pokonania nas. Chyba nawet dumę, o ile mogą to ocenić. Inni odmawiają współpracy, załamują się, jest im wszystko jedno albo okazują się po prostu nazbyt dziecinni. Poza tym - to kwestia statystyki. Musimy mieć

odpowiednio duży wybór, aby wyselekcjonować jednostki naprawdę uzdolnione. A nie możemy przecież porywać dzieci od matek. Mimo wszystko prawo jest prawo, a my działamy w zgodzie z nim, w całkowitej zgodzie z obowiązującym prawem, panie sekretarzu. Toteż tacy Puño są dla nas wręcz idealni. Po prawdzie nie do końca rozumiemy, co sprawia, iż właśnie oni... jakby to powiedzieć...

GOŚĆ: Już lepiej niech pani nic nie mówi.

Teraz

Teraz, teraz, dzisiaj, za chwilę, za moment. Stanie się. Puño stoi na środku Sali Tranzytowej numer dwa i zamkniętymi nieoczyma widzi chaos wokół siebie. Hermetyczna Komora Tranzytowa, do której go wsadzono, ma ściany z pancernego tworzywa o przejrzystości szkła, ale dla niego to bez znaczenia, podobnie jak fakt, iż jej wnętrze oświetlone jest oślepiająco jasnym światłem, a reszta Sali tonie w ciemności; kogoś innego faktycznie by ono oślepiło, ale nie Puño, nie Puño. Widzi czerwone koła ciepłych reflektorów, lecz teraz więcej uwagi poświęca docierającym do jego nieoczu promieniom X. Poza Komorą wciąż panuje chaos, choć przynajmniej nie szaleją tam moce rozbudzonych tuczników-telekinetyków z Sali numer jeden. Tuczniaki z Sali numer dwa pólżę bezwładnie w swych pajęczych, kołyskowatych fotelach, szerokim okręgiem otaczających Komorę. Foteli jest dwanaście i tyleż nadzmysłowców w nich. Wszyscy śpią, chociaż żaden nie śni. Są jeszcze młodsi od Puño, to kilkuletnie dzieci, nagie, chude i kościste, o ciałach zdeformowanych niczym po straszliwej chorobie kości, czaszkach bydlęcych, twarzach debilnych - ale to nie choroba, to te geny sprzężone z odpowiedzialnymi za wyolbrzymione zdolności parapsychiczne. Któremuś ślina cieknie z rozwartych ust, pielęgniarka zaraz ją ściera przygotowaną chusteczką. Ich mózgi są dogłębnie spenetrowane przez tysiące cienkich nóg szklano-plastikowo-metalowych robali przysiadłych na ich głowach, symbiotycznie z nimi szczepionych. Wizjami miejsc, do których tuczniaki wysiłkiem swych umysłów przenoszą z Komory martwe ładunki oraz ludzi, kieruje superkomputer Stacji Tranzytowej, on też zawiaduje wolą nadzmysłowców, którzy sami z siebie nie byliby zdolni zadziałać z precyzją czasu i miejsca konieczną dla bezbłędnej translokacji żywego organizmu na odległość tysięcy lat świetlnych; nie mówiąc już o uczynieniu tego razem, jednym nagłym aktem zjednoczonej woli. Komputer posiada zarejestrowane zestawy współrzędnych odpowiadające każdemu z punktów w przestrzeni, do którego kiedykolwiek dokonywał przerzutu. Nieustannie

aktualizuje te współrzędne, wprowadzając korekty wynikające ze wzajemnego przemieszczania się układów gwiazdnych w dwuramiennej spirali Mlecznej Drogi oraz z przemieszczania się obiektów w ramach tych układów po ich wyekstrapolowanych orbitach. Teraz na ekranach terminali kontrolerów widnieją koordynaty Otchłani Czarnych Mgieł. I koordynaty Puño. Puño stoi nieruchomo. Obserwuje bieganinę na zewnątrz Komory. Czy to jest normalne, czy też spowodowane wymknięciem się spod kontroli tamtych tuczników? Obserwuje Dziwkę, konwersującą, z założonymi na piersiach rękoma i papierosem w ustach, z jednym z kontrolerów, pochylonym nad klawiaturą i stukającym palcem w sensoryczny ekran. Obserwuje rozstawionych pod ścianami ludzi z sekcji bezpieczeństwa i konserwacji, gotowych wejść do akcji w wypadku nieprzewidzianych kłopotów, które jednakże przewidują tu wszyscy, niejedną raz musiały się już im przydarzyć. Obserwuje, ponieważ jest obserwatorem. Boi się. Dziecinnieje w tej Komorze z tym większą szybkością, im mniej czasu mu pozostaje do przerzutu. Na zewnątrz zaczynają błyskać światła ostrzegawcze, trwa odliczanie prowadzone spokojnie przez nieodróżnialny od ludzkiego głos maszyny. Dziwka gasi papierosa, zapala drugiego. Ktoś głośno rozmawia przez telefon. Ktoś, kucając, grzebie we wnętrznościach urządzenia i ledwo się ogląda na Puño przez ramię, obelżywie obojętny na zbliżający się moment jego wniebowzięcia. Jeden z tuczników wpada w epileptyczną drgawicę, zbiegają się lekarze: strzykawki, komputery, krew. Ci pod ścianami przygotowują sprzęt. Technik wali wściekle w ENTER. Głos komputera kończy odliczanie. Puño krzyczy. Tucznikom występują spod tłusto spoconej skóry zwierzęce żyły. Dziwka odwraca wzrok. Puño krzyczy coraz głośniejsze i nie jest to już krzyk człowieka. Boże, gdybym tylko... Jednemu z tuczników bucha z nosa i uszu jasna krew. Puño pada na podłogę, łapie się za kolana, zwiija w embrion. Krzyk się urywa. I kiedy Dziwka podnosi wzrok, Komora jest już pusta, nie ma już Puño.

grudzień 1994 - październik 1995

KRÓL BÓLU I PASIKONIK

I

Król Bólu i Księżyc

Owej nocy w ogrodzie Króla Bólu zakwitł pies.

Król, wykapturzony, spędził wieczór w Nowym Jorku, zamykając ostatnie klauzule kontraktu rządowego; krzywa histaminowa zdążyła opaść niemal do zera. Wróciwszy, zaparzył herbatoherbate i wyszedł na taras. Ze wschodu i od północy, od Zamościa, ciągnęły po niebie węże fioletowego światła. Przypomniawszy sobie, że w necie zapowiadano grzybobicie. Spojrzał na ogród. Pies kwitł gwałtownie, otwierały się w blasku Księżyca białe pąki. Był to collie rottweiler o piaskowej sierści. Wabił się Syska, należał do siostrzenicy Króla. Ukraińskie émy, większe od wróbli, krążyły wokół kwiatów suki, Król nawet na tarasie słyszał klekot ich skrzydeł.

Krzywa od razu skoczyła w górę. Sycząc przez zęby, wybrał numer lebenmaistrów Ziegler und Hochkuper.

Wylądowali po kwadransie. Z miejsca położyli hermę na kawał ogrodu. Okazało się, że Syska zapuściła korzenie metr w głąb ziemi; serce psa już stanęło.

Król Bólu się zirytował.

Zadzwoił do siostry.

- Co wyście przywieźli znad tego Adriatyku?
- O co ci chodzi? - Nie spała, złapał ją na mieście, światła taksówek oślepiły telefon.
- Podbili wam GIP po powrocie?
- Straszysz mnie teraz. - Uniosła aparat do twarzy.
- Psa wam złamało. Tę Syskę Janki. Na amen. Białe kwiatuszki. Śliczne zresztą. O.

Lebenmaistrzy składali już hermę.

Fatima wsiadła do samochodu. Dłuższą chwilę przyglądała się w milczeniu ogrodowi Króla.

- Ale właściwie co ona u ciebie robiła?
- Mhm?
- Syska.

- Janka mi zostawiła.

- Zaraz. Dzwoniłeś do niej?

- Dostała przecież wizę, nie? Czy ja tu czegoś nie łapię? Objasnij mi. Korpus Pokoju nadal aktualny? Co? Fatima?

- Jadę do ciebie.

Wypił herbatę, zaparzył drugą filiżankę. Lebenmaistrzy przed odlotem przedstawili Królowi rachunek oraz wydruk pierwszej diagnostyki. Pełne metryki DNA obiecali za czterdzieści osiem godzin - chyba że chce zapłacić ekstra. Nie chciał.

W ogrodzie pozostał wysoki krzak białego kwiecia na grobie psa. Ómy już się doń nie zlatywały; krzew wyglądał świeżo i zdrowo, ale *de facto* był martwy, nakręcone przez lebenmaistrów zegary genetyczne odmierzały czas śmierci komórek. Księżyc, tej nocy wyjątkowo nieprzesłonięty przez mgły dionizydowe, topił wszystko w srebrnym blasku.

Król Bólu stał z filiżanką gorącej herbatoherbaty w dłoni i przyglądał się bękarciemu wyrostowi *Artificial Genetics* i chaosu. Kwiaty miały kształt asymetrycznych płomieni, z każdej łodygi bijących pionowo w górę, ku zenitowi; dwudziesto-, trzydziestocentymetrowych, smukłych, monarszych. Nie było dwóch takich samych. Król stał i drobnymi łykami pił herbatę. Filiżanka parzyła dłoń, łagodne cierpienie w nocnej ciszy.

Fatima wysiadła z taryfy pod domem Króla Bólu już po północy; tu zazwyczaj jechało się nawet dłużej, Król mieszkał na przedprzedmieściach, na końcu krętej odnogi bocznej drogi, za baobabami.

- Salaam.

- Salaam.

- Ściskam cię.

- Cmok-cmok.

Cofał się przez dom, zachowując metrowy dystans.

Fatima od miesiąca podciągała sobie kościec - na tymczasowych mięśniach poruszała się z ostrożnością staruszki cierpiącej na zaawansowaną osteoporozę. Usiadła w kuchni przy oknie wychodzącym na ogród, naląła sobie mlekomleka. Makijaż szybko adaptował się do jasno oświetlonego pomieszczenia i Król Bólu zauważył drobne konwulsje mięśni mimicznych siostry.

- Śmiejemy się.

- Śmiejemy, martwimy. Zabrałaby ze sobą to psisko, gdyby mogła. - Otarła usta wierzchem dłoni.

- I kto to mówi. Pamiętasz, co sama -

- Mówiła ci, że kiedy wkleją jej wizę?
- Nooo, potrwa to parę tygodni. Wam ani słowa?

Fatima wolno pokręciła głową.

Król oparł się o zlew, syknął, przysiadł na krawędzi stołu. Na chwilę go zaćmiło. Wziął głębszy oddech.

- ...co drugie, co trzecie pokolenie - wzdychała Fatima. - Akurat Mrówki. Co poradzisz? Syn znajomych wstąpił do Brygad Casaldaligi, wyskrobywali mu potem z wątroby amazońskie hity. My, nasi rodzice -

- Myśmy się jeszcze za bardzo bali.
- Tak. Ale dzieci Zimnej Wojny - one paliły ogniska pod bramami baz raketowych.
- Każde pokolenie ma taki sześćdziesiąty ósmy, na jaki zasługuje. Wyjęła zioło, zapalili fajki.

- Tobie powiedziała, nam nie - szepnęła Fatima i odliczyła pięć ruchów przepony. Popiła dym mlekomlekiem. - Co jeszcze ci mówiła? O Mrówkach?

- Nic. Niewiele.

- Co? Kiedy? Gadaj.

- Na proxyku, w anarklandzie. Ciąłem lokalny supel gordyjski. Chłop jak dąb, skąd miałem wiedzieć? O Boże, coś ty mi tu -

- Ćśśśś.

- I potem zaczęła mnie odwiedzać. Nigdy się tak, ach, posmakuj tylko -

- A po co dała ci tego psa? Znam ją.

- Krew z twojej krwi.

- Popatrz -

- A-a. Jakie białe.

- No, bardzo sterylna ta pustelnia, bakterie giną na sam twój widok. Jak długo trzymałeś go u siebie? Psa, Syskę. Od kiedy ją -

- Zalewa mnie, przykręć światło.

- To Księżyc.

- Ale -

- No już, już.

- Ten Księżężyc!

- Dotknij.

- Nie -

- Dotknij.

Król Bólu wyciągnął tekę ponad stołem i musnął opuszką palca grzbiet dłoni siostry.

- Proszę - jęknął.

- Tchórtchórtchórtchórtchórz...

- Mnie nie wolno - muszę się - może na proxykach - niech sobie póóójdzie!

Rozplakał się.

Wstała, podeszła, światło Księżycy zmroziło mu mięśnie, nie mógł uciec.

- Całą prawdę, braciszku.

- Ale to booooooli!

Król Bólu i terroryści

++ *KING_OF_PAIN*

connection established

194533 CET/154533 GMT-3

IP: <anonymized>

system: MS Puppeteer 7.10

crypto: Absolute Asymmetry 03EEI3K98R3MD9394

master: KING_OF_PAIN

slave: LOCA_LOCA#7599

body provider: IF Proxy do Brasil Empresas

Wstaje z łóżka i macha rękoma. Nic go nie boli. Łagi niewyczuwalne. Za otwartym na oścież oknem dusznego pokoju hotelowego krzyczy pod niebiosa puszcza Rio de Janeiro. Zbliża się wieczór, purpurowe Słońce rozlało się nad horyzontem jak niedosmażone jajko sadzone.

Król Bólu zerka na parametry transmisji i wchodzi do łazienki. W wysokim lustrze ściennym przygląda się swemu nagiemu ciału: Mulat, około trzydziestki, gęba raczej mało inteligentna, małpie brwi, nad lewą tatuaż IF PBE, czaszka ogolona, masywny kark, małpie łapska, nad mostkiem świeża blizna. Szczerzy zęby. Ma wszystkie, równe, białe.

- Wlazł kotek na płótek i mruga! I mrruga!

Głos lekko zachrypnięty. Zamyka lewe oko, zamyka prawe. Podnosi palcami powieki. Staje nad sedesem, sika. Fizjologia okay. Wchodzi pod prysznic. (Prysznic działa!) Skóra przyjmuje gorącą wodę z przyjemnym pieczeniem. Król Bólu jest prawie w euforii.

Zawsze się tak zaczyna.

Ubranie przygotował był sobie sam proxyk - nie to, w którym tu przyszedł, ale też jego, na niego szyte: wkłada i wie, że już kiedyś miał je na sobie. Buty z cholewami, biały garnitur, koszula z jedwabio-jedwabiu, biały kapelusz. Krawata nie zakłada.

W neseserze proxyka znajdują się kopie papierów klienta, Wyzwolonych Manufaktur Zjednoczonego Kościoła Siatkówki Plażowej, a także jednorodzony telefon i ptasie pióro.

Król Bólu włącza telefon.

- Jestem.
- Zachodnia loggia na siedemnastym.
- Okay.

Rozmawiają po angielsku; Mulat nie kłamał, jego nerwowody pamiętają głoski tego języka, akcent jest bardzo słaby.

Król zabiera z łazienki zapieczętowaną butelkę wody i wychodzi z pokoju.

Windy nie działają, musi wspiąć się na siedemnaste piętro schodami ewakuacyjnymi. Proxyk się nie męczy. Na szesnastym spotyka hotelowego szamana, uchyla kapelusza. Szaman pali pękate cygaro; drugą ręką karmi małego demona. Krążą wokół nich komary AG, wielkie jak ważki. Demon chwyta je kameleonim językiem i zjada, mlaskając głośno. Szaman śmieje się przez dym.

Król Bólu wychodzi na otwartą loggię na wyższej kondygnacji. Cumują tu dwa balonowce. Ten po prawej ozdobiony został jaskrawym graffiti przedstawiającym ciemnoskóre dziewczęta grające w siatkówkę na plaży na tle zachodzącego Słońca. Słońce, które zachodzi w tle za balonowcern, przepala polimerową powłokę oraz graffiti, rozświetlając erotyczny witraż.

Król wchodzi na pokład, pokład kołysze się lekko pod stopami. Mulat ma mało wrażliwy błędnik, tu również nie kłamał. Siada pod baldachimem na drewnianym stołku. Na obręczy baldachimu kiwa się sennie tłusta papuga.

Aquim de Neira krzyczy na pilota; ten daje znak, by odcumować. Cumy wyhodowano na twardej AG, z przeciągłym sykiem zwijają się synchronicznie, ich skóra lśni od lepkiego potu. Balonowiec odbija, kołysząc się mocniej. Król Bólu opiera się o baldachim.

Siwowłosa - Aquim de Neira przysuwa sobie taboret, podaje Królowi kawogruszkę.

- Dziękuję.
- Druga tura, wyjęli noże. Masz pan te fotki z orbity? Słono zapłaciliśmy.
- Przejrzałem jeszcze u siebie. Wszystkie strony już wiedzą?
- Na pewno ci z Cthulhu, latają nad Amazonką dla ONZ.

- Zawsze możemy znowu postraszyć Waszyngton.
- Hry, hry, kiedy ostatnio przeszło coś przez Panamę?
- Boją się, boją. Wszyscy się boimy.

Kawogruszka nie smakuje ani jak kawa, ani jak gruszka.

Król Bólu wyjmuje z nesesera papiery. Furkoczą na wietrze, przyciska je do wieka. Balonowiec wznosi się ponad zadżunklone centrum Rio de Janeiro. Niebo ponad anarklandami pozostaje bezchmurne, cyrkulacja prądów powietrznych to jedyne, co nie jest tu przedmiotem negocjacji, wojny, przetargu i szantażu. Słońce odbija się od pokrytego diamentorostami Chrystusa Zbawiciela na Corcovado. Mrużąc oczy, Król wyrzuca ogryzek za burtę i wyciera ręce w chusteczkę.

Pod ażurowym balonowcem Wyzwolonych Manufaktur przesuwają się spiętrzone fale zieleni, fale kolorów bardziej drapieżnych: czerwieni, jadowitej żółci, głębokiego granatu. Dżunkla pochłonęła anarklandy, docierając do Atlantyku. Gdyby zeszli poniżej dziesięciu metrów, smród tego organicznego śmietnika stałby się dla Króla Bólu nie do zniesienia. Proxyk mógł się przyzwyczać, Król Bólu nie przyzwyczai się nigdy. *Junklee*, liszaj AG na obliczu kontynentu, rozciąga się od Pacyfiku do Atlantyku, od Ziemi Ognistej do Frontu Panamskiego. Dżunkla pochłonęła i przetrawiła ponad dwieście milionów ludzi, bardziej żarłoczna od kilku wojen światowych razem wziętych.

Balonowiec skręca w cień drapacza chmur i w perspektywie Rio Branco ukazuje się ponadstumetrowej wysokości Drzewo Wiadomości Dobrego i Złego. Drugie rośnie nad brzegiem Rodrigo de Freitas, stąd go nie widać.

Aquim przeklina Drzewo po portugalsku.

- Nigdy mnie pan nie przekonasz! To szawłyści! Specjalnie je sadzą!

Drzewa są komputerami genetycznymi, megadionizydami. Programują nacelowane na *Homo sapiens* nowotwory i retrowirusy.

Szawłyści, katolicycy terroryści św. Pawła, uważają bioterror za konieczny „grzech oczyszczający z grzechu”: fazę, którą cywilizacja musi przejść, by powrócić do ideału społeczeństwa zbudowanego z niewielkich gmin chrześcijańskich i pozbawionego wyższych struktur władzy. Które są złe i w sposób konieczny rodzą zło z samej swojej istoty. Dla zasady atakują więc szawłyści wszelkie większe skupiska ludności, w pierwszej kolejności miasta. A już zbory w rodzaju tego, na który udaje się Król Bólu, działają na nich jak na byka czerwona szmata.

W każdym mieście Ameryki Południowej rośnie przynajmniej jedno Drzewo. Wypalano je do korzeni na rozmaite sposoby; zawsze odrastają. Do ich autorstwa przyznaje

się połowa anarkii dzunkli. Król Bólu nie wierzy obwieszczeniom żadnej z anarkii - a już najmniej przechwałkom szawłystów: gdyby mieli w swoich szeregach takich artystów AG, nie ograniczyliby się do trucia byłych metropolii.

W koronie Drzewa nad Rio Branco obracają się czarnymi spiralami stada harpii i innego skrzydlatego pomiotu megadionizyda, ich cienie przesuwają się po podziurawionych ścianach wieżowców.

Król Bólu kartkuje raporty ze skanów orbitalnych.

- Tu, tu i tu. Pan patrzy. Zmiany proporcji gazów atmosferycznych - ale to zbyt subtelne. Tutaj. No! Wzory w podczerwieni, powtarzające się anomalie, co noc. Zdążyłem nawet zdobyć oficjalne ekspertyzy z paru uniwersytetów, robią wrażenie jak należy. Jeśli liczyć według ilości ognisk - no, to kilkadziesiąt rodzin, nie więcej. W górze Amazonki już nie tak gęsto.

- Jest pan pewien?

Król Bólu prycha.

- Oczywiście, że nie! Ja w ogóle w to nie wierzę! Niech się Vija tłumaczy!

- Może jednak jakaś prymitywna anarkia, o której nikt nie słyszał...

- Na jedno wychodzi. - Król Bólu wzrusza ramionami. - Ile miałeś chromosomów, jak ostatnio sprawdzałeś?

- Hry, hry, chromosomy, powiadasz? A co to takiego? Hry, hry. Nagły hałas nad głową - papuga wierci się i macha skrzydłami.

- Znowu on, kruca bomba! - skrzeczy po polsku. - Nie, nie, nie! Za-ka-zu-ję!

Aquim drapie się w brodę.

- O co chodzi?

- Kto to jest? - pyta go Król Bólu.

- A bo ja wiem, kto ją dosiadł. Ivan i spółka. Ptaszysko jest proxykiem marksistów-kreacjonistów.

- Oczywiście przyłączyli się do nas na pierwszą wzmiankę - ciągnie Aquim. - Dali swoich zakładników, byle przyspieszyć. Toż to ich ewangelia. Guillo przybił krwią. Płacą na ciebie po połowie.

- Nie wiedzieli, że na mnie.

- Pewnie właśnie się wygadałeś - szczerzy się starzec. - Dowiedzieliby się prędzej czy później, mają klucze do weryfikacji transmisji.

A papuga piekli się dalej.

- Wszystko to pic na wodę! Nigdy nic nie przychodzi z waszych rad! Forsa w błoto!

Krucafuks!

Jakiś potomek gombrowiczowskiej emigracji, myśli Król Bólu.

- Wiesz przecież, plastusiów najmują wszyscy - mówi spokojnie.

- Wszyscy! I co? I pstro!

- A co się dzieje z tymi, co próbują sobie radzić bez?

- To jest korporacyjna zmowa kapitalistycznych oszustów! Gracie tak, żeby wydoić klientów! Taka sama zaraza jak prawnicy! Nikt ich do niczego nie potrzebuje, ale wystarczy, że jeden dureń najmie prawnika - i zaraz wszyscy musimy ich najmować, żeby bronić się przed ichnimi prawnikami! Zgroza i potępienie!

- Czaszki w dół! Małpiarnia! - woła z rury pilot.

Król Bólu i Aquim de Neira pochylają się, kryjąc głowy poniżej relingu.

Balonowiec sunie między budynkami, które dzunkła wypełniła aż po dachy, kipiąc na zewnątrz przez wszystkie naturalne i nienaturalne otwory w ścianach. Z okien, z drzwi, z balkonów, z wentylatorów, ze szczelin, wyłomów i rozpadlisk wylewają się girlandy mięsożernych kwiatów, warkocze jadowitych lian, wiechcie metanowej trawy, kaskady zdrewniałej tkanki, zielonej, brunatnej, czarnej, spływają aż do ziemi, do ulicy kobierce splątanych korzeni, gałęzi, liści, kwiatostanów - z dwudziestego, czterdziestego, sześćdziesiątego piętra. A w ślad za florą przybyła fauna AG, w tym rozmaite chimeryzacje dziwomałp, hordy potomków czepiaków, barrigud, małpeczek, uakarisów, przepisanych po drodze przez kilka dzikich genetyk. Niektóre zwierzęta potrafią naśladować ludzką mowę, potrafią naśladować ludzkie gesty. Dziwomałpy Rio de Janeiro nabrały nawyku noszenia czapek, kapeluszy, mycek. Niektóre zakładają również wykradzione okulary, przeciwsłoneczne, korekcyjne i te z wybitymi szklami - bez różnicy. Wszystkie zaś wrzeszczą, skaczą, plują i sikają na byle widok człowieka, ciskając przy tym w jego stronę, co tylko im w łapy wpadnie. Ostatnio opanowały sztukę konstrukcji i obsługi procy Dawida. O powłokę i burty balonowca Wyzwolonych Manufaktur bije grad kamieni, odłamków szklanych, plastikowych i betonowych oraz zgniłych owoców.

Królowi Bólu wydaje się, że w ujadaniu wściekłej małpiarni rozróżnia portugalskie przekleństwa.

Papuga w obawie o życie sfrunęła na pokład balonowca.

- No więc co radzisz? - skrzeczy do zgiętego w pół Króla. - Mistrzu!

- Najpierw muszę poznać stanowiska innych stron - mamrocze Król, zbierając papiery do nesesera.

- A ich plastusie mówią im to samo! Może nie? Może nie?

- Zapewne.
- Zaraza! Zaraza! Za-ra-za!
- Zamkniesz ty się wreszcie?

Królowi Bólu puszczaają nerwy i czyni neseserem zamach na papugę. Neseser okazuje się niedomknięty, papiery na powrót się rozsypują. Król Bólu rzuca w ptaka butelką wody. Ptak uskakuje, butelka wypada za burtę. Król zdejmując kapelusz, gotując się do pochwycenia weń krzywodziobego proxyka. Lecz dostaje od małp w potylicę skorupę kokosa i, pokonany, zwała się z opuszczonymi rękoma na stołek.

Papuga podskakuje w miejscu, tryumfalnie bijąc skrzydłami.

- Kacap! Kutafon! Krowiguz! Kozak! Kastrat! Krucypisk! Kocichuj! Krypek! Kupojad! Kinolec! Karakon! Kiepoliz! Kaprawiec! Kłystek! Krzyp! Kozojeb!

De Neira wznosi oczy ku niebu.

- Nie dość, że marksista, to na dodatek papuga - nie przegadasz, zapomnij. A właściwie za co oni cię tak nie znoszą?

- Przydarzyło mi się kilka, mhm, zbyt szczerych wypowiedzi na polityczne tematy.

- Człowiek nie jest odpadkiem ewolucji! - drze się ptaszysko. - Proletariusze wszystkich genów łączcie się! Burżuje do próbówek! DNA do dna!

Aquim grozi mu palcem.

- Bo rozłączę! Kto tu kogo ujeżdża? Weź się opanuj.

- Wszystko się pieprzy, nie będę lepszy - kracze ponuro papuga i milknie.

Balonowiec podskakuje, zadzierając dziób.

- Dolatujemy!

Sto siedemdziesiąta ósma tura negocjacji pod auspicjami biskupa Rio de Janeiro oraz miejskiej anarkii marksistów-kreacjonistów odbywa się w penthousie jednego z wysokościowców niegdysiejszego centrum biznesowego. W zależności od przyływu i odpływu trendów medialnych, niektóre odsłony negocjacji mają bogatą oprawę PR i, relacjonowane na żywo, trafiają w tysiącach kanałów TV do milionów domostw; inne znowuż przebiegają na podobieństwo krwawej burdy w zadymionej melinie złodziei i morderców. Król Bólu uczestniczył w czterech. Ostatnim razem pijany ivanowiec obciął mu głowę maczetą. (Ubezpieczenie proxyka pokrywa klient). Gdyby nie wysoki kontrakt, nie zgodziłby się ponownie w to bawić. Ze wszystkich skazanych na niepowodzenie negocjacji, w jakich brał udział, te prowadzone przez południowoamerykańskie anarkie Otwartego Nieba jawią się Królowi jedynymi prawdziwie beznadziejnymi.

Ledwo balonowiec Wyzwolonych Manufaktur Zjednoczonego Kościoła Siatkówki

Plażowej cumuje i pasażerowie przechodzą na dach wysokościowca, dopada ich tuzin proxyków, ludzkich i nieludzkich. Na części z nich jadą mediacy, na części - agitatorzy i szantażyści poszczególnych frakcji i anarkii; wszyscy przekrzykują się nawzajem. Król Bólu i Aquim de Neira maszerują do wnętrza penthouse'u, oganiając się od natrętów. Papuga marksistów-kreacjonistów polatuje ponad. Ją też dopada agitator, skrzydlaty demon.

Treść wywrzaskiwanych haseł ma mniejsze znaczenie od tego, co proxycy wydychają i czym plują. Anarklandy Otwartego Nieba od lat stanowią poligon dla politycznych idealistów wszelkiej maści, którzy wkapturzą się tu z całego świata. Król Bólu w podświadomym odruchu osłania głowę neserem. Powietrze mgli się od przenoszonych drogą kropelkową indoktrynatorów, krążą tu zarazki *Kapitału* Marksa, *Bogactwa narodów* Adama Smitha, *Centesimus annus* Jana Pawła II, wykichiwany i rozkaszliwany jest *Lewiatan* Hobbesa, *Państwo i anarchia* Bakunina oraz *Wynaród* Kurzajewskiego. Tuż przy wejściu do oszklonego patio trzy wiedźmy metyskie palą kadzidło komunizmu korporacyjnego; pomarańczowy dym gryzie w oczy.

Do patio i do penthouse'u wchodzi się przez służę. Po zatrzaśnięciu drzwi Król i de Neira biorą głębsze oddechy, otrzepują ubrania. Na zewnątrz, za szkłem kłębi się tłum. W rogu dachu, pod prowizorycznym namiotem, dwoje nastolatków sprzedaje wodę i owocowoce - to chyba jedyne osoby zawiadywane tu przez własne mózgi. Podczas anarkijnych negocjacji ceny usług proxyków zlokalizowanych w genosferze Rio de Janeiro zawsze rosną kilkakrotnie. (Honorarium proxyka pokrywa klient jeźdźca).

- Ilu już przybyło?

- Większość. To znaczy, oni sami pewnie wkapturzą się w ostatniej chwili. Tak było za pierwszym podejściem.

- Dwa tysiące, że do jutra wieczór nie uda się ich nawet posadzić przy jednym stole.

- Stoi. A zresztą, i tak wszystko decyduje się w kuluarach i przy barze. Mam nadzieję, że jesteś wyspany.

- U mnie już teraz środek nocy.

- Cholerni sybaryci! - skrzeczy papuga. - Niewolnicy przyjemności!

Królowi Bólu nie chce się nawet ust otwierać do ptaka. Kopie go czubkiem buta - unoszą się wewnętrzne drzwi służy i ornitoproxyk wlatuje do penthouse'u, wrzeszcząc przekleństwa po polsku, portugalsku, angielsku i hiszpańsku.

Ale penthouse istotnie wygląda na wyjęty z innej bajki: plusz, kryształy, żywe boazerie, żywe dywany, żywe meble, wszystko lśni czystością, w przyćmionym świetle zachodzącego Słońca spektrum barw przesuwają się ku czerwieni i to lśnienie kładzie woal

miękkiego różu nawet na stalową biżuterię i białą bawełnę sukienki hostessy, która podchodzi do nowo przybyłych gości i kieruje ich do przydzielonych im kwater.

Miejska anarkia marksistów-kreacjonistów Rio de Janeiro przyszykowała cztery najwyższe kondygnacje oraz penthouse; hermetycznie odcięta reszta budynku została zapewne już szczelnie wypełniona przez dzunklę. Wyzwolone Manufaktury dysponują pokojami na drugim podpiętrze. Król Bólu nie spodziewa się spędzić tam wiele czasu - kontrakt wiąże go na czterdzieści osiem godzin, potem najprawdopodobniej z miejsca się wykapturzy. A może nawet wcześniej: jeśli anarkie zdążą się przedtem porozumieć (w co nie wierzy) lub do reszty pokłócić i zerwać rozmowy (co jest najbardziej prawdopodobne).

Zostawiwszy w pokoju neseser oraz kapelusz, wraca do penthouse'u. Bar jest oczywiście otwarty (obsługuje mówiący cockneyem barman na proxyku indiańskiego chłopca). Król Bólu zamawia wódkę z lodem. Siedzący na stołku obok zielonooki demon wyjmuje wizytówkę. Król Bólu odwraca się, by dopełnić formalnej prezentacji, gdy w głębi baru, za abstrakcyjną rzeźbą i tiwipetą, wybucha bójka: kudłata dziwomałpa szarpie za włosy piękną Mulatkę, która wali dziwomałpę po łbie grubą książką. Pojawia się dwóch ivanowców (czarne garnitury, na ramionach opaski z czerwoną gwiazdą w promienistym trójkącie Opatrzności) i przemocą wykapturza z proxyków obu jeźdźców. Ciała dziwomałpy i Mulatki, z izolacyjnymi czarczafami zamkniętymi pod szyją, leżą pod tiwipetą, jedno na drugim. Na tiwipiecie leci powtórka meczu Manchesteru United z Juventusem Turyn, fonia wyłączona. Juventus prowadzi 0:2. Gdy zdobywa trzecią bramkę, ktoś w głębi wstaje i zaczyna śpiewać z rozdzierającą serce pijacką tęsknotą:

- *Ó pátria amada, idolatrada! Salve! Salve!*

- Czterdzieści lat, odkąd Brazylia strzeliła ostatniego gola - mówi demon. - Odkąd rozegrali tu ostatni mecz.

Król Bólu sączy wódkę. To zawsze tak wygląda.

Demon okazuje się proxykiem plastusia wyspiarskiej anarkii z Karaibów. Usłyszawszy nazwisko Króla Bólu, zapewnia, że już się nieraz spotykali, wymienia miejsca i daty. Król Bólu przytakuje uprzejmie. Bardzo możliwe, w końcu plastusiów nie ma tak wielu. Na ile został wynajęty? Na tydzień. Tak długo? Czyżby jego pracodawcy spodziewali się, że dojdzie do negocjacji umów szczegółowych?

- Nie można zaszantażować dzunkli! - śmieje się demon.

Do baru wchodzi czworo sześcio-, siedmioletnich dzieci. Pod Otwartym Niebem nie obowiązuje żadne prawo poza prawem obyczaju i prawem strachu, można tu ujeżdżać każdego, kto wyrazi zgodę lub kogo właściciel ją wyrazi. Król Bólu nie jest pewien, do której

kategorii zalicza się jego własny proxyk. Pod Otwartym Niebem widywał już nawet ujeżdżane niemowlęta. Co prawda większość tradycyjnych anarkii krzywo patrzy na podobne praktyki. Jest to więc rodzaj politycznej demonstracji. Król mógłby się założyć, że na tych dzieciakach jadą jacyś supremiści z północnych anarkii postpartyzanckich. Po ich przybyciu z baru ostentacyjnie wychodzi kilka osób.

Dzieci zamawiają u barmana opiatówkę i rozsiadają się przy oknie. Za oknem noc gasi czerwone refleksy na dżunklowym Rio de Janeiro, balonowce kołyszą się na wietrze, szereg bulwiastych plam cienia. Sztuczne światła na dachach i w wysokich oknach budynków można policzyć na palcach dłoni. Ciepła ciemność opada na miasto, wlewa się do penthouse'u. Barman zapala świece. Pijak szlocha nad pustą butelką. - *Dos filhos deste solo és mãe gentil, pátria amada, Brasil!*

Król Bólu zamawia drugą wódkę. Rozważa, do kogo by się przysiąc na nocną pogawędkę; z kogo wyciągnąłby najbardziej przydatne informacje. To nie Manhattan, tu czasami ludzie mówią prawdę bez żadnego powodu - bodaj jedyna zaleta tej krainy potępienia (jeśli ktoś uważa takie rzeczy za zaletę).

Jeden z supremistów wciąga zakapturzoną Mulatkę na blat, obraca na brzuch i zsuwa z niej spodnie. Król Bólu rzuca w niego szklanką. Pozostałe dzieciaki odrywają się od opiatówki.

- No co?! No co?! - podskakuje mały napaleniak. - Nie wolno? Nie wolno?

Król Bólu wskazuje palcem wiszące nad drzwiami insygnia papieskie.

- Po coście się fatygowali, skoro nawet nie siadacie do rozmów?

Biskup zaraz was grzecznie wyprosi.

Niedorosły gwałcieł wodzi wzrokiem od obnażonych pośladków kobiety do watykańskiego herbu i z powrotem. Dwóch olbrzymich chimeryków podnosi się od swojego stolika i podchodzi do supremistów; to chwilowo uspokaja dzieciarnię. Łysy chimeryk wyjmuje telefon, wzywa ivanowców. Garniturowy patrol pojawia się po chwili i zaczyna się długa kłótnia między supremistami, ivanowcami, chimerykiem, świeżo przybyłym towarzyszem zakapturzonej dziwomałpy i kolejnymi włączającymi się do sporu gośćmi. Barman zapala więcej świec. Juventus ostatecznie remisuje z Manchesterem. Łysy chimeryk przysiadła po drugiej stronie Króla Bólu. Wrzuca do ust kilka kostek lodu i gryzie je z chrzęstem.

- Wieczór, który zaczyna się od gwałtu - o świcie przekąsimy comber dziecięcy, popijemy krwią dziewic.

Demon sięga do wewnętrznej kieszeni marynarki i podaje chimerykowi wizytówkę.

- John - przedstawia się w odpowiedzi olbrzym. Imiona i nazwiska nie mają oczywiście znaczenia. Król Bólu podaje więc prawdziwe.

Chimeryk przygląda się Królowi.

- Manufaktury Siatkówki? Wykrwawica?

- Nie ma żadnej wykrwawicy - mruczy Król.

- A to coś nowego. Zastraszacie, zaprzeczając własnym groźbom?

- Kto się boi? Nikt. Wszyscy. - Król Bólu wzrusza ramionami. - Europejczycy i Jankesi wkapturzają się tu na weekend ekstremalnej turystyki i wracają do swoich disneyowskich staz z nielegalnymi wspomnieniami, kolekcjami drobnomieszczańskiej pornografii. Południe Otwartego Nieba, krainy hardkoru, Bóg nie patrzy, Raskolnikov Show. Ale oni - Król Bólu wskazuje awanturujących się supremistów - oni tu się urodzili, tu żyją. Drugie, trzecie pokolenie. Groźby? Polityka? Umowy? Słowo honoru? Zysk, strata? Nic się ich nie ima. Jak się mają pozabijać, to się pozabijają. Nie - to nie. A te negocjacje - to imprezy towarzyskie.

- Upił się pan.

- Ha ha ha.

Wchłaniana przez organizm proxyka chemia oczywiście nie działa na Króla Bólu (chyba że chciałby, by działała) - działa jednak atmosfera miejsca i chwili. Tą nocą nad wyludnionym Rio de Janeiro, tymi cieniami od chybliwych płomieni świec, szmerem melodyjnych języków Południa i organicznym zapachem dzunkli - można się upić równie dobrze. Wódka to rekwizyt smaku. (Nie boli).

- Na przykład ci tutaj - Król unosi szklanę - to wnuki lewackich partyzantek narkotykowych z Kolumbii i okolic. Normalnie jakoś by się ucywilizowali, nawet oni, ale jak każdy trzyma palec na przycisku holocaustu, to nie ma mowy o żadnej presji politycznej. Ot, skansen. Trzeba więc czytać podręczniki historii. Ile książek napisano o Stu Dniach Valdeza? A co się zawsze w nich powtarza? Nikt się nie spodziewał! Żadnych scenariuszy klęski! Żadnego planu! Jak dzieci chowające głowy pod kołdrę: nie widzę, więc nie ma. „Zwycięstwo terroryzmu jest nie do pomyślenia”. No fakt, nie było: bo o nim nie myśleli.

- A pan co by zrobił na miejscu Valdeza?

Król Bólu wzrusza ramionami.

- Najpewniej strzelił sobie w łeb. On rzeczywiście nie miał wyboru. Wybór mieli ci, co lata wcześniej zaniechali przygotowań i zabezpieczeń.

- Ktoś musiał być pierwszy - mówi John. - Inaczej padłaby Europa. Albo Stany. Ameryka Południowa została poświęcona, aby ostrzec Północ.

- Pan jest od Casaldaligi? - krzywi się demon. - Teorie spiskowe mnie usypiają.
- Na mnie działają hipnotyzująco - mamrocze Król Bólu. - Jak wstęgi Moebiusa i geometria Eschera.

John energicznie wstaje i wznosi toast:

- Za Valdeza!

- Za Valdeza!

- I wszystkich innych biednych sukinsynów wydymanych przez historię.

- Chuj jej w dupę!

- Chuj!

Piją.

Ricardo Jose Martin Samoza Valdez, ostatni prezydent Chile, Neville Chamberlain XXI wieku. Ktoś musiał być pierwszy; padło na niego. Dopóki arsenał terrorystów wypełniały materiały wybuchowe (nawet jeśli były to ładunki jądrowe) lub broń chemiczna, zagrożeniu dało się przeciwdziałać, zagrożenie dało się wykryć, broń przechwycić, ewakuować cywili z pola rażenia; samo pole rażenia pozostawało jeszcze ograniczone. Gdy jednak biotechnologia na tyle się rozwinęła i potaniała, że byle magister genetyki mógł sobie urządzić w garażu warsztat AG, na którym pichcił wirusy śmiertelnych chorób, o jakich świat dotąd nie słyszał, zdolne z najodleglejszego zadupia w kilka tygodni rozprzestrzenić się po całym globie i wykosić 99% populacji *Homo sapiens* - i takich odjebów było tysiące, dziesiątki tysięcy - niektórzy snujący swoje czarne marzenia w krajach, gdzie aparat porządku praktycznie nie istnieje... Za pierwszym, drugim razem udało się jeszcze w czas zareagować. Za trzecim, czwartym terroryści spełnili swe groźby: tak Biała Ebola wycięła połowę ludności Bliskiego Wschodu, tak LK4 zatrął genomy Europejczyków. Jak przed uwolnieniem wirusa powstrzymać fanatyka z drugiego krańca planety, gdy wszystko, co o nim wiesz, to pseudonim, lista jego żądań i że naprawdę dysponuje tym wirusem, bo na samym początku przesłał ci próbkę, wraz z nekrologami ofiar - więc miliony podejrzanych - kilka godzin na decyzję - na szali biologiczne przetrwanie całego narodu, za który odpowiadasz - jak powstrzymać? Nie da się, jeśli nie pomoże przypadek lub głupota szantażysty; prędzej czy później ktoś musiał się ugiąć. Los Izraela mieli wszyscy świeżo w pamięci, te miasta trupów, pustynie masowych grobów. Valdez niczym się nie wyróżniał z szeregu dyktatorów, populistów i oligarchów przekazujących sobie od wieków władzę w Ameryce Południowej - ani *in plus*, ani *in minus*. Po prostu w takich czasach przyszło mu rządzić, w takim kraju. Być może gdyby charakteryzował się pogardą dla życia podwładnych właściwą carom i gensekom... Ale nie chciał mieć krwi rodaków na rękach, ugiął się, on pierwszy. I dalej

poszło to jak fala padających kostek domina, bo każdy udany szantaż uaktywniał setki kolejnych terrorystów. Alternatywa była porażająco jasna: albo spełnienie ich żądań - albo totalna zagłada. Bez negocjacji, bez oblężeń ufortyfikowanych kryjówek, bez najmniejszych szans na obronę i kontratak. *Terrorismo o muerte*. Owszem, znalazło się kilku nieugiętych prezydentów i premierów - stąd dzisiaj dżunkla dzikiej AG pokrywa większą część kontynentu. Tak czy owak, nie ostała się tu żadna przedterrorystyczna struktura władzy.

Co bowiem oznacza „ulegnięcie żądaniom terrorystów”? Skoro uległo się raz, ulega się ponownie - zagrożenie jest to samo. Jednak w chwili, w której oficjalny rząd staje się w sposób oczywisty zaledwie transmitterem woli terrorystów, a prawdziwy ośrodek władzy przenosi się do jakiejś śródleśnej chaty partyzanckiej czy piwnicy-laboratorium pod śmietniskami faweli - państwo jako takie przestaje istnieć. Demokratyczny mandat? Prawo? Lojalność? Przysięgi? Gwarancja zatrudnienia? Nic już nie jest pewne, nic nie wiąże ludzi do wykonywania poleceń rządu, który nie jest rządem, sądów, które nie są sądami, parlamentu, który nie jest parlamentem. Po kilku tygodniach pękają ostatnie więzy. (Valdez wytrwał trzy miesiące). Najdłużej trzyma się wojsko i podobne hierarchie autorytarne. Lecz gdy żołnierze wiedzą, że mają wykonywać rozkazy terrorystów... Zresztą dowódcy sami zachęcają do dezercji. Grupa szantażująca nie może również wystąpić otwarcie, by objąć władzę bezpośrednio. Po pierwsze, skoro stara struktura nie istnieje, nie ma fizycznie kogo szantażować: można grozić pojedynczemu człowiekowi lub gremium decyzyjnemu, lecz nie narodowi, nie - masom. Jedną tylko reakcję uzyska się wówczas z całą pewnością: histerię i chaos. Tryumf terroru - zniszczenie państwa - jest zarazem kresem terroru jako metody: staje się on bezużyteczny. Po drugie, nawet jeśli terroryści wyjdą z lasu, zejną z gór, wypełzną ze slumsów z gotowymi gabinetami cieni, tysięcznymi sztabami profesjonalistów do obsadzenia zwolnionych przez *ancien régime* stanowisk, popierani przez znaczną część społeczeństwa, nawet jeśli - to w dniu, gdy zaczną ustanawiać własne struktury i przejmą odpowiedzialność za państwo, staną się tak samo narażeni na szantaż ze strony w s z y s t k i c h i n n y c h t e r r o r y s t ó w. Scenariusz jest identyczny, tylko aktorzy się wymieniają. Czy nowi władcy mogą zareagować jakoś inaczej, czy posiadają jakąś opcję niedostępną ich poprzednikom? Nie. Znajdują się nawet w gorszej sytuacji: nowe struktury sypią się momentalnie; zresztą od początku znaczna część narodu ich nie uznaje.

Tak oto, w skończonej liczbie obrotów koła terroru, fortuny i zagłady, państwo degeneruje się do jedyne go stabilnego w podobnych warunkach systemu: pozbawionego wszelkich struktur władzy zbioru anarchistycznych minispołeczności, scalanych wyłącznie prawem pięści i strachu. Każda wykwitająca ponad anarkiami organizacja zostaje ścięta u

korzeni: bo jest podatna na terror. Przy czym problemem nie jest tu sama metoda śmiertelnego szantażu - na niej przecież od dawna opiera się polityka międzypaństwowa, wystrzelenie przez nowo narodzone mocarstwo atomowe pierwszej rakiety z głowicą jądrową stanowiło w XX wieku „subtelny” odpowiednik skierowanego do sąsiadów listu z żądaniem okupu. Problemem jest brak równowagi: że terrorysty nie można zaszantażować w rewanżu. Nie można, dopóki się nie ujawni i dopóki nie okaże przywiązania do czegoś, czego da się go pozbawić, co da się zniszczyć. Życia, rodziny, dobytku. (Natomiast słowa, idee i religie przetrwają wszystko). Prawdziwie bezpieczny przed terrorem jest tylko fanatyk-samobójca. Ideał społeczeństwa Otwartego Nieba stanowi zatem przypadkowa zbieranina samotnych kamikaze: niespołeczeństwo. Niestety - czy też na szczęście - człowiek jest zwierzęciem towarzyskim, gadatliwym *zoon politikon*. Ocaleli mieszkańcy Ameryki Południowej zatrzymali się na etapie ponadrodzinnych anarkii. Grupy większe mają za dużo do stracenia; grupy mniejsze nie radzą sobie z fizycznym przetrwaniem, z obroną przed dżunklą i AG. Na pewno wegetuje tu też tysiące kilku-, kilkunastoosobowych „plemion”, złożonych z tubylców zdegenerowanych do poziomu prawie zwierząt. Oni jednak, co zrozumiałe, w żadnych międzyanarkijnych negocjacjach udziału nie biorą, najpewniej w ogóle o nich nie słyszeli, odcięci od sieci; a nawet jeśli - nie mają dostępu do technologii pozwalającej na wkapturzenie się w proxyków. Strach budzą wszakże ci, co udział wziąć by mogli, lecz nie chcą - którzy pozostają w ukryciu - prawdziwi szaleńcy-kamikaze. Każde wyśledzone z orbity nienaturalne źródło promieniowania, każdy ruch, który nie jest ruchem dżunkli, każda niezapowiedziana z góry zaraza AG, zbyt wyspecjalizowana, by była owocem Drzewa Wiadomości lub ślepym posiewem innych dionizydów - stanowi przedmiot niekończących się dyskusji i kłótni na spotkaniach w Rio. Jednoczy ich tylko strach. Takie są prawa Otwartego Nieba.

- Ostatnio siatkówkowcy chwalili się, że ich wykrwawica położy wszystkie DNAwe ssaki po tej stronie Atlantyku - mówi chimeryk, gdy usadowili się w najciemniejszym kącie, z dala od narastającego zgiełku awantury supremistów. - Przeszło im?

Król Bólu wzrusza ramionami.

- Mają coś lepszego - uśmiecha się demon. - Nową anarkię tysiąc mil w głębi dżunkli.

- Akurat! Kto im uwierzy? Nawet ta wojskowa misja Amerykańców nie wlaźła dalej niż na czterdzieści mil, chromosomy kipiały im uszami.

- Otóż to. - Król kiwa głową. - Dziewięćdziesiąt procent żyje w pasie przybrzeżnym, w górach lub w nie połkniętych przez dżunklę miastach, ruinach miast. Dżunkla, myślą sobie, to dopust Boży, żywioł natury napędzany tymi tuzinami śmieciowych genetyk wypuszczanych z kolejnych chałupniczych laboratoriów, sama w gruncie rzeczy bez znaczenia, trzeba tylko

trzymać się z daleka i cierpieć w milczeniu. - Król Bólu dolewa wódki. - A j e ś l i n i e?

Demon szczyrzy kły.

- Nie można zaszantażować dzunkli!

Wielki chimeryk drapie się w głowę.

- Czy to jest ciąg dalszy tej bajki o potworach AG?

Demon szczyrzy się nadal.

- To jest coś więcej. - Klepie Króla Bólu w plecy; Król z trudem powstrzymuje odruch uniku. - Jeśli dobrze rozumiem jego plan... to byłaby nareszcie szansa na zjednoczenie tych cholernych anarkii!

John unosi brwi.

- Wiem, wiem - mruczy Król. - Z własnej woli nie zjednoczą się nigdy. Poprzednio rozpuszczaliśmy, ivanowcy rozpuszczali memy czystego strachu: wyjdzie nocą z dzunkli ciemny lud i pożre nas wszystkich. Skończyło się na podniesieniu budżetu pomocy humanitanej Waszyngtonu, pamiętacie przecież.

- Położyły na niej łapę anarkie andyjskie - krzywi się John. - Większość tego, co przychodzi w tej pomocy, Hacjendy Cthulhu sprzedają z powrotem na Północ. Widziałem na własne oczy.

- Dziwnym nie jest - prycha Król. - Teraz zresztą też może tak wyjść, jeśli bractwo medialne wpięprzy nam się w środek rozmów.

- Nabiorą się drugi raz na ten sam numer?

- Ba! Teraz mamy dowody!

Demon pochyla się na wysokim stołku.

- Znaczy, najpierw wymyślił pan jako chwyt negocjacyjny bajkę - która okazała się, Boże pomiluj, okazała się prawdą...?

Król Bólu opuszcza skromnie wzrok.

- Cóż mogę rzec... dobry jestem.

Demon rechocze i wali się dłonią w udo, aż podchodzi do nich zaniepokojony barman. Król strzela palcami i zamawia dolewkę. John-chimeryk przesuwa się bliżej Króla.

- Te dowody - utrzymają się na zewnątrz? przed mediami Zamkniętego Nieba? jak dobre? - Spojrzenie ma jasne, pewne, twarz profesjonalnie szczerą.

Dopiero w tym momencie u Króla Bólu rodzi się podejrzenie: że może to do niego przysiadł się lepszy cwaniak i łowi cenne informacje w przybarowych pogawędkach.

Nad drugim ramieniem Króla rozlegają się siarczyste przekleństwa.

- Co?

Zielonooki demon podnosi się, zde gustowany.

- Zdaje się, że smarkacze postawili na swoim.

Odstawia kieliszek, poprawia garnitur i maszeruje w tłum; awantura zaczyna się na nowo.

Król Bólu podąża za nim wzrokiem, z uśmiechem gorzkiej ironii przygląda się eskalującej burdzie. Pod Otwartym Niebem granice zła i dobra zazwyczaj wyznacza silniejsza genetyka; teraz, tutaj - nawet tej podstawy brakuje. Zależy, kto kogo przegada. Małe proxyki mają zdrowe gardła, wykrzyczą sobie prawo do rekreacyjnego gwałtu. Ostatecznie i tak nikt tu chyba nie jedzie na własnym cieie.

Potężny chimeryk dotyka delikatnie dłoni Króla Bólu.

- Przepraszam. Nie o to mi chodzi. Nikomu nie zdradzę, naprawdę.

Król smakuje ten dotyk jak kiper delektujący się pierwszą kroplą trunku z nowego szczepu winogron. Nie ma w tym nic seksualnego; seks to tylko jeden z wielu rodzajów intymności. Król Bólu jest koneserem intymności, wyczulonym na wszelkie jej przejawy - tak człowiek przez całe życie balansujący na granicy śmierci głodowej ślini się na najśłabszą woń najpodlejszych potraw.

- Ze świty biskupa? - pyta, w cieie proxyka bardzo spokojny, ani puls mu przyspieszył, ani źrenice drgnęły.

- Nie, nie. Czy mógłbyś mi... - Olbrzym bierze głębszy oddech. - Dobrze. Powiem tak. Zastanawiałeś się, co będzie, jak się już zjednoczą?

Król Bólu wzrusza ramionami.

- Takie sojusze strachu trwają dopóty, dopóki trwa zagrożenie. A nie mamy pojęcia, co się tam w dżunkli urodziło. Może tylko jakieś odrobinę sprytniejsze małpy, co nauczyły się rozpałać ogień. A może autentyczna inteligencja *Artificial Genetics*: Obcy bardziej obcy niż wszystkie telewizyjne potwory; życie samoświadome na genetyce bez DNA, bez kwasów rybonukleinowych. Tak czy inaczej, kiedyś zagrożenie minie.

- Skąd ta pewność? Zresztą wystarczy, że utrzyma się dostatecznie długo, by...

- By co?

- Potem już pójdzie siłą rozpędu. Przyzwyczajają się współpracować, przyzwyczajają się rozmawiać. Niech ich tylko zmusi do tego zewnętrzna groźba. Ty ją im dałeś: tajemniczy lud dżunkli. Już przecież był taki okres w historii Ziemi, gdy rozwijał się na niej równolegle więcej niż jeden gatunek hominidów. Z mniejszych lęków powstawały narody. Stany Zjednoczone narodziły się z przymierza przeciwko Brytyjczykom.

Król Bólu zatrzymuje wzrok na rozgorączkowanym chimeryku.

- Optymista. - Przypatruje mu się dłuższą chwilę. - W rzeczywistości jesteś bardzo młody, prawda?

I olbrzym, zażenowany, zmieszany, opuszcza wzrok, zwija na podolku potężne kulaki, ściska kolana.

Król powstrzymuje szyderczy śmiech. Ta naiwność i szczerłość, nawet jeśli udawane, są zbyt rzadkie, by niszczyć je bez potrzeby.

Jak zatem zareagować? Jak zwykle w sytuacji bliskości, Król Bólu ucieka się do zimnej analizy i voyeurystycznych wspomnień o cudzych reakcjach.

Nachyla się ku chimerykowi; teraz mogą rozmawiać szeptem. Po to istnieją takie miejsca: ciasnota, półmrok, hałas, wszystko przysuwa tu ludzi ku sobie, narzuca konwencje, jowialności i konfidencji, głowy zbliżają się do głów, usta do uszu, spojrzenia do spojrzeń, myśli do myśli, i już mogę ci powiedzieć, czego nie mógłbym powiedzieć, zapytać, o co nie powinienem był pytać.

- Nie macie przepustki od biskupa ani od ivanowców, prawda? - pyta spokojnie Król. - Jesteś z Północy, to na pewno. Młody. Idealista. Greenwar? RSC? Dublińczycy? Whackowaliście się w tych proxyków, czy jak?

- Nadzieja razi w oczy, co?

- Nadzieja, to znaczy brak doświadczenia. Pewnie, że mogą się zjednoczyć. Ale wystarczy jeden idiota, jedna kłótnia, jeden szantaż, jeden głupi zbieg okoliczności - i wszystko na powrót się rozleci.

Nie musi odmalowywać przed Johnem fikcyjnych przykładów, mają to obaj przed oczyma: politykę anarkijną w praktyce. Tu już piorą się po mordach.

Pojawili się w znacznej sile towarzysze obojga wykapturzonych, pojawili się kolejni supremiści, już na proxykach o słusznych gabarytach, przybyły też posiłki ivanowców, przybył ksiądz i dwie zakonnice, banda dziwomałp ujeżdżanych przez cthulhtystów, na koniec przydreptał nawet rwący siwą brodę Aquim de Neira i przyfrunęła z wrzaskiem papuga marksistów-kreacjonistów, i kotłują się teraz wszyscy na środku baru pod tiwipetą, wśród wielojęzycznych przekleństw i okrzyków oburzenia, co i raz ktoś pada, depczą po nim, podnosi się, przewraca kogoś innego, miażdżą krzesła i stoliki, szkło trzeszczy im pod butami; reszta gości uciekła pod ściany i na korytarz, stamtąd się przypatrują, dopingując, komentując i przyjmując zakłady na wynik bójki; tłum widzów rośnie, co chwila odbija od niego ten i ów, by przyłączyć się słowem i pięścią do awantury, co wsysa kolejnych uczestników niczym puchnące tornado - a w jego centrum, w oku cyklonu jedyna postać nieruchoma: rozciągnięta na stole Mulatka z gołym tyłkiem. Dyplomacja anarkii, *live and*

color.

- Więc co? Przekleństwo dziejów? - Gorycz wylewa się z Johna już z każdym słowem, musi zdawać sobie sprawę, jak śmiesznie brzmią w tej chwili jego argumenty; a wobec śmieszności bezradna jest najsilniejsza logika. - Że tu, i w Afryce, i w Dolnej Azji prędzej czy później wszystko i tak zapadnie się w chaos. My za to zostaliśmy pobłogosławieni! Imperium białego człowieka rośnie w siłę!

- Białego człowieka? - Król uśmiecha się kpiąco. Zna doskonale te teorie spiskowe. Asymilacja genetyczna zastąpiła asymilację kulturową: stazy przepisują genomy potomków imigrantów na obraz i podobieństwo białych. Niektórzy publicyści i politycy idą dalej, twierdzą, że taki właśnie jest podstawowy cel istnienia biostaz, reszta to sfabrykowany pretekst i zasłona dymna. Król jednak zbyt dobrze poznał, jak się w praktyce uprawia politykę, by traktować serio jakiegokolwiek spiski bardziej skomplikowane od kampanii medialnych złośliwości. W książkach i filmach to działa, ale nie w prawdziwym życiu, tu rządzi entropia. Entropia: Coś Zawsze Się Spieprzy.

- Ty naprawdę w to wierzysz?

- Jak można tak siedzieć z założonymi rękoma! Czy Koran nie nakazuje pomagać słabszym, współczuć w cierpieniu, dzielić się bogactwami?

Król Bólu sztywnieje.

- A gdybyś mógł to zmienić? - Chimeryk tymczasem objął żelaznym uściskiem ramię Króla. - Gdyby od twojej decyzji zależało zawrócenie biegu historii, zaprowadzenie sprawiedliwości? Gdybyś mógł nakarmić głodnych, napoić spragnionych, odziać nagich, uleczyć chorych, dać dach bezdomnym? Co? Nie patrz na mnie jak na kolejnego nawiedzeńca, mogę ci -

- Macie moje dossier?

- Co?

- Nie widzisz, że piję alkohol?

John wypuszcza powietrze z płuc. Prostuje się, powoli rozciągając wargi w pozbawionym radości uśmiechu. Cofnął rękę od Króla, wstaje. Król Bólu zadziera głowę.

- Nigdy nie widziałem, żebyś się modlił - mruczy basem wielki chimeryk, przeszedłszy na polski - ale nie przeszkadzało ci to częstować mnie przy każdej okazji mądrościami sur. No więc teraz -

Rozlega się huk, - potem drugi i trzeci - impet poniósł awanturę poza *point of no return*, poszła w ruch broń palna. Koszą się z bliskiej odległości amunicją rozpryskową.

Pękają zewnętrzne szyby baru. Ostry zapach dzunkli uderza Królowi do głowy jak

bukiet starego wina.

Sześćcioletni proxyk supremisty wskakuje na ladę, długą serią z pistoletu maszynowego zabija barmana, dziwomałpę i chimeryka.

Aquim de Neira wydobywa się tymczasem spod zwłok ivanowców i unosi nad głowę rękę z granatem bez zawlecзки. Krzyczy ostrzegawczo. Nikt na niego nie zwraca uwagi.

Król Bólu dopija wódkę i odstawia szklanę. Dzieciak strzela mu w głowę, w pierś, w brzuch.

Papuga marksistów-kreacjonistów krąży ponad przewalającym się przez bar tłumem walczących, niczym pstrokaty Duch Święty AG, bijąc histerycznie skrzydłami, aż lecą z nich kolorowe pióra, i wrzeszcząc skrzekliwie:

- Bydlaki! Buce! Barachła! Barany! Brukwy! Bandyci! Bździagwy! Brudasy! Bęcwały! Bisurmany! Bałwany! Buraki! Bestie! Biesy! Bładupce!

Król Bólu pełźnie po podłodze, tonąc w bólu i we krwi. Uśmiechnąłby się szyderczo, ale ma rozerwane mięśnie twarzy. Tak oto sto siedemdziesiąta ósma tura negocjacji między anarkiami Otwartego Nieba Ameryki Południowej kończy się, zanim na dobre się zaczęła.

Przypomina sobie jeszcze o zakładzie de Neiry, gdy krzyk Aquima urywa się i -

- *KING_OF_PAIN*

connection aborted

Król Bólu i Słońce

Zbyt jasne, bolało. Zasycał przez zęby i czerń powlekła okna. Dziewiąta siedem, lipcowy poranek, histaminówka poszarpana niczym EKG. Podniósł się z łoża agonii, z przepoconej pościeli. Dom wypełniał przedpołudniowy aromat (mięta i szalwia), lecz Król przysięgłby, że mimo to czuje zapach narkotycznych ziół, którymi odurzyła go wczoraj w nocy Fatima. Bolała go głowa, ale to akurat nie było niczym niezwykłym.

W łazienkowym lustrze spojrzął sobie głęboko w oczy - w oko, lewe. Przekrwione nie bardziej niż zwykle. Odwrócił się, zanim zdążył pochwycić całe odbicie. Król Bólu był chudy, kościsty, o wątłych mięśniach, gruzłowatych żyłach wytłaczających skórę, wiecznie przygarbiony. Usunąłby z domu wszystkie większe lustra, gdyby ich tak często nie potrzebował. (Ból kłamie, trzeba więc co dzień badać swoje ciało ze skrupulatnością niewiernego Tomasza).

Podreptał do kuchni zaparzyć kawę. (Kawa boli orzeźwiająco). Wczoraj w nocy

musiał zapomnieć zamknąć drzwi do ogrodu, teraz podłogę korytarza pokrywały truchła owadów wytrutych i zwęglonych przez germańskie immuno domu Króla Bólu; w godzinę znikną i one, rozłożone do sterylnej chemii najprostszych związków. Immunoboty domu były genetycznie dostrojone do częstotliwości ultrafioletu emitowanego przez lampy wbudowane w ściany i sufity, ginęły metr za progiem. A drzwi rzeczywiście zastał uchylone. Wyszedł na taras, truchła przylepiały się do bosych stóp. Słońce, słońce, więcej słońca. Cofnął się w cień. Stąd przyglądał się przez chwilę psokwiatom. Teraz lepiej mógł ocenić ich barwę: większość była jasnożółta, niektóre śnieżnobiałe, niektóre błękitne. Profilem swych kielichów nie przypominały żadnego gatunku czy marki kwiatów znanych Królowi - ale tego należało się spodziewać po chimerykach AG.

Przy kawie zadzwonił do siostry. Złapał ją w pracy. Przełączył na tiwipetę.

- Mata Hari z Narutowicza. Czymżeś ty mnie napruła?

- Nie ma jej w kwarantannie Emiratów. Zgłosiłam na policji zaginięcie.

- Co?

- Ale jest pełnoletnia, chcą papierka o tej wizie. Nie mogę znaleźć. Będziemy musieli złożyć zeznania. Przypomnij sobie, sprawdź terminarz i logi domu. Być może to ty widziałeś ją ostatni.

- Korpus?

- Wypisała się z Korpusu Pokoju dwa lata temu.

- Kłamała od początku.

- Jakiego początku?

- Rio. Właściwie co ja ci wczoraj powiedziałem?

- Wszystko. Mam nadzieję. Mailuję ci namiary na komisarza, do którego zgłosisz się z zeznaniem. Dzisiaj.

- Że niby jak? - właścicielesnie?

- Albo płacisz za notarialnego szyfranta.

- Płacę. Przeszukałaś jej pokój?

- Nic.

- Koledzy, przyjaciele.

- Nic.

- Znasz ich w ogóle?

- Dobre pytanie. Muhat, Bodziuś i mama, i ja - zrzucamy się na detektywów.

Wchodzisz?

- Jasne. Kto to będzie?

- Kopenhaska Policja Obywatelska Świętego Antoniego.

- A, tak, słyszałem. Mają swoje stajnie proxyków na Południu?

- Myślisz...?

- Właśnie zacząłem. Strzelać?

- Wal.

- Jeden, alterroryści. Przez nich albo dla nich. Sama mówiłaś. Dwa, Robin Hood. Trzy, miłość.

- Co?

- Miłość, taki fenomen neurologiczny.

- Ale dlaczego miałyby...? A, rozumiem, Romeo spod Otwartego Nieba. Poznała go na proxyku podczas jakiejś misji dobrego serca, on na pewno nie dostanie wizy brukselskiej, więc wyemigrowała sama. Wszyscy byśmy jej to odradzali, no to nie powiedziała ani słowa, uciekła. Mhm. Nie wspominała ci o jakimś chłopaku?

- Aż o nazbyt wielu.

- No tak. Należałoby zdobyć sądowy nakaz i sprawdzić logi jej kaptura.

- Na pewno wykapturzała się u znajomych, no i u Mrówek.

- Od czegoś trzeba zacząć.

- Sąd prędzej ulegnie, jak pojedziesz Robin Hoodem. Jestem na liście Interpolu, dostaję biuletyny. W Tokio za tydzień na nagim umyśle płacą sto tysięcy.

- Japońce mają niezłe nasrane we łbach.

- *Haute couture* pornografii.

- Starczy, już mnie nastraszyłeś.

- Spoko, znajdę ją.

- Muszę... Co?

- Znajdę ją. Jeśli Bóg zechce.

- Z filmu się urwałeś? Sam wyglądasz, jakbyś potrzebował natychmiastowego ratunku. Z reanimacją włącznie.

- Dzięki, z wiekiem przystojnieję.

- Do pięty przylepił ci się karaluch. Idź już na tę policję. Salaam.

- To chrabąszcz jest. Był. Pająkochrabąszcz. Mhm.

Król Bólu znalazł czarne okulary i z kubkiem gorącej kawy w dłoni wyszedł do ogrodu. Okrąg zgniecionej trawy wokół grobu Syski wyznaczał granice wczorajszej hermy. Król nachylił się, powąchał kwiaty. Nie wydzielaty żadnego zapachu. Podrapał się w szyję - płomień poszedł po kości policzka do oczodołu, Król Bólu zacisnął zęby. Zapomniał wypytać

Fatimę. Kiedy Syska miała ostatnio podbijaną *Genetic Insurance Policy*? Jeśli nie złapała, tego na wakacjach w Chorwacji...

W plastusiowym umyśle Króla Bólu zaczynała się obracać kalejdoskopowa łamigłówka.

Nie powiedział tego siostrze - bo nie było sensu jeszcze bardziej ją straszyć - ale dzisiaj, po pięciu dniach od ostatniego logu Janki, największe prawdopodobieństwo miały scenariusze, w których Janka nie żyje - nawet jeśli żyje jej ciało. Na temat Robin Hoodów nie żartował. Lipcowe słońce piekło bladą skórę Króla, żar przepalał jego zimne kości. Przełknął konwulsyjnie kawę. Często się parzył zbyt gorącymi napojami i potrawami, ból zlewa się z bólem, świat rozplywa się w jednej wielkiej parestezji, nie zwracał uwagi. Mhm. Jeśli złodziej kapturew istotnie zhackował był Jankę, jadącą na jakimś niezarejestrowanym proxyku Mrówek czy innych alterterrorystów, to zdążyłby przez ten czas już dziesięć razy wystawić ją na sprzedaż, zlicytować i wyrzucić jej mózg na nice. Ciało Janki pewnie jeszcze oddycha w melinie Mrówek, ale umysł został już zniszczony. We wschodnich burdelach nazywa się to hanafawidża, „skłanianie ku Otchłani”. Kupiec przejmuje od hackera pełną kontrolę nad twoim kapturem, może cię sadzać na dowolnych proxyków i wykorzystywać dowolne środki - aby jak najszybciej doprowadzić cię do oblędu. Ta gałąź bezcielesnego BDSM rozwijała się nader zwawo. Biostazy zamknęły granice, uniemożliwiając handel żywym towarem, ale człowiek zawsze wymyśli coś jeszcze potworniejszego. Kuzyn sieciowego znajomego Króla został zhackowany przez dzieciaki z Południa. Domownicy przemocą zerwali z niego kapturem - i mindwormy wypaliły mu połowę płatów czołowych. Typowy trojan Robin Hoodów demoluje hipokamp ofiary i wżera się w ośrodki pamięci długoterminowej. Po zerwaniu kaptura czy przerwaniu połączenia w inny sposób w najlepszym wypadku otrzymujemy Kaspara Hausera, w najgorszym - warzywo. Król Bólu miał szczerą nadzieję, że w grę wchodzi tu raczej alterteryści - przypominał sobie teraz wszystkie swoje rozmowy z Janką - taką miał nadzieję, gdyż raz zhackowany umysł nigdy nie wraca do normy. Być może za dwadzieścia lat Janka obudzi się pewnego dnia i z uśmiechem poderżnie gardła swoim dzieciom, bo przypadkowy sen uruchomił w jej umyśle starego wirusa. Słyszysz się o takich historiach. Król odstawił kawę. Zrywał w zamyśleniu co roślejsze psokwiaty. Jeśli faktycznie uciekła do ukochanego spod Otwartego Nieba... Mhm, zupełnie to nie pasowało do Janki. Chociaż może - gdyby jakiś młody Che Guevara - napalone idealistki z Północy często traciły głowy dla podobnych typków. Z drugiej strony, o Korpusie kłamała od ponad dwóch lat, to sugeruje raczej przemyślany plan, nie nagle uczucie. Łatwo powiedzieć: emigruję pod Otwarte Niebo. Ale przeprowadzić to skutecznie, w stosownej tajemnicy... Gdzie? Jak? I ile

coś takiego kosztuje? Na pewno małą fortunę. Skąd miała pieniądze? Nie miała, ktoś musiał jej dać. Mrówki. Czyli odpada wersja romantyczna, wracamy do alterterrorystów, alterterrorystów i Rio de Janeiro. *Gdybyś mógł nakarmić głodnych, napoić spragnionych, odziać nagich, uleczyć chorych, dać dach bezdomnym...* Za czasów alterglobalistów urządzali pikiety i rekreacyjne zamieszki. Ale jako obywatele staz najpierw musieliby się zbuntować przeciwko swojemu DNA. Tam więc powinienem szukać Janki, w anarkiach. Obiecałem i może rzeczywiście ją znajdę, ha! Insz Allah, insz Allah. Słońce paliło skórę.

Wrócił do domu. Bukiet psokwiatów wstawił do wazonu pod otwartym oknem salonu. Usiadł obok w nagrzanym żywym fotelu - w plamie słonecznego blasku, w zapachu ogrodu mieszającym się z zapachem domu - i naciągnął kaptur.

Lokalni proxycy stajni policyjnej rekrutowali się w większości ze studentów dorabiających w ten sposób na kilkugodzinnych kontraktach. Król odwiedził wskazanego przez Fatimę komisarza, jadąc na wysokim młodzieńcu o leworęcznej orientacji. Potknął się parę razy i stracił papiery z biurka komisarza. Który natychmiast skierował Króla do jakiegoś żółtodzioba świeżo po akademii, co dobitnie pokazało, jak niski priorytet posiada w publicznej policji sprawa zaginięcia Janki. Król przekopował logi swego domu z dni ostatnich wizyt siostrzenicy, poczekał na notarialnego szyfranta i złożył zeznanie. Najważniejsza jego część dotyczyła słów Janki, iż emigruje ona w ramach pracy w Korpusie Pokoju; ale powiedział też o jej powiązaniach z Mrówkami. Policjant sporządził na podstawie logów Króla aktualny genopis Janki (aktualny dwa tygodnie temu) i wrzucił go do sieci na listę osób poszukiwanych. Na tym zakończyła się aktywność policji publicznej w tej sprawie. Królowi nie chciało się nawet urządzać awantury, wszystko to było tak okropnie banalne: zbuntowana dziewczyna, zniknięcie, ponieważ troskliwa rodzina... Król pożegnał się grzecznie i wykapturzył.

Spojrzał na psokwiaty, ich delikatne płatki prześwietlane przez południowe słońce. Jeśli Janka istotnie to planowała, nie powinienem zakładać, że akurat Syska padła ofiarą przypadkowego dionizyda. Z drugiej strony, jeśli założę, że przypadkiem nie jest nic, równie dobrze mógłbym się od razu napruć paranoidowymi dragerkami... Sprawdził godzinę i wykapturzył się do lebenmaistrów ZH.

Firma była niemiecka, pracownicy polscy, proxyki romskie. Król Bólu wstał z krzesła w poczekalni pełnej śpiących proxyków, poprawił mankiety koszuli, otrzepał garnitur, przyglądał sumiastego węża, zerknął jeszcze w wielkie lustro, po czym podszedł prosto do biurka recepcjonistki (dynamiczny kościec twarzoczaszki, zintegrowany układ nerwowy, cztery palce u rąk).

Lebenmaistrzy Ziegler und Hochkupfer od lat odpowiadali za substancję jego posiadłości, recepcjonistka poznała go już po ukłonie i pierwszych uprzejmościach. Król zapytał, kto ma dyżur - chociaż dobrze wiedział. W ciągu pięciu minut przyjęła go inżynier AG, Irena Nowak-Nowak.

Znali się.

- Dopiero przed chwilą dotarła pana prośba o przyśpieszenie analizy. Proszę usiąść. Pojawiły się jakieś skutki uboczne?

- Nie. Byli z tym psem na wakacjach nad Adriatykiem, czy to mogło się przyplątać z -

- Front europejskiej stazy opiera się o Kair, słyszałby pan alarmy we wszystkich mediach, gdyby coś weszło tak głęboko. Proszę jeszcze o odrobinę cierpliwości.

Król Bólu założył nogę na nogę, spojrział na swoje paznokcie, spojrział na ciemną skórę ciężkich, spracowanych dłoni.

- Jeśli mógłbym tymczasem zasięgnąć pani -

- Słucham. - Zawsze wchodziła mu w słowo.

- Wiem, że normalna procedura imigracyjna trwa dwa, trzy miesiące. Czysto teoretycznie, gdyby nie ograniczały nas żadne przepisy, żadne inne wymagania - jak szybko można człowiekowi wkleić wizę?

Nowak-Nowak uniosła brwi. Król Bólu czym prędzej z powrotem odwrócił wzrok. Osobom, które poznał bez kaptura - które jego poznały bez kaptura - nie potrafił patrzeć w oczy.

Inżynier oparła łokcie o blat biurka, przechyliła głowę.

- Czy ten człowiek ma po wklejeniu wizy żyć?

- Tak, tak.

- Czterdzieści osiem godzin do pięciu tygodni, zależy, jaki sprzęt mamy do dyspozycji i jaki jest stopień kompatybilności stazy wyjściowej i stazy docelowej.

- Mhm, a jeśli ze stazy pod Otwarte Niebo?

- To nie ma znaczenia. Dostał pan wezwanie z Żywicy?

- Co? Nie. - Król zaśmiał się sucho. - To nie o mnie chodzi. Teoretycznie pytam.

- Pomyślałam, że dotarły do pana jakieś przecieki i woli pan wyemigrować, zanim Żywica wystąpi do sądu o przymusową normalizację. Stracilibyśmy świetnego klienta. - Uśmiechnęła się ciepło.

Król machnął lekceważąco. Europejska Komisja Konserwacji Życia plastusiom żyjącym pod jej stazą daje dyspensy od ręki; podobna polityka obowiązuje w większości staz. Gdyby chcieli normalizować wszystkie chimeryki rodzące się jako skutki uboczne kolejnych

upgrade'ów genomu stazy, ugrzęzliby w procesach na dziesięciolecia i na dziesiątki miliardów. Nadto niektóre formy chimeryzacji okazują się wcale pożyteczne. Jedną z pierwszych teorii spiskowych, na jakie Król Bólu natrafił jeszcze w dzieciństwie, głosiła, że żaden chimeryk urodzony pod biostazą nie jest przypadkowym odrzutem ruletki genetycznej, nieprzewidywalnym sprzęgiem genów stazy z genami dziedziczonymi naturalną drogą od rodziców - lecz zaplanowanym eksperymentem Żywicy, elementem wyścigu genetycznych zbrojeń między stazą ojczystą i innymi stazami.

- Nie wie pani, czy wizę można sobie wkleić jakoś, mhm, na własną rękę?

- Teoretycznie.

- Teoretycznie.

Już się nie uśmiechała.

- Teoretycznie można to zrobić w byle klinice, chyba nawet u nas. To operacja przepisania organizmu z jednej genetyki na inną podobną do tej, jaką wszyscy niezauważenie przechodzimy z każdą aktualizacją stazy, tylko że szybsza i bardziej radykalna, bo zmiany są znacznie większe. Anyway, sprzęt jest identyczny. Ale skąd wziąć samą wizę, pełny pakiet docelowej informacji genetycznej? Rząd stazy, do której emigrujesz, musi ci przyznać indywidualny kod genetyczny. Inaczej, choćbyś się przepisał na ich genetykę z największą precyzją, po przekroczeniu granicy staza momentalnie zetnie cię jako ciało obce. A żaden rząd nie wyda wizy prywatnej klinice. Czy pan to rozumie?

- Rząd - nie. Ale gdyby ktoś chciał wyemigrować pod Otwarte Niebo? Musi tylko osiągnąć ogólną zgodność genetyczną. Ludzie tak emigrują, widziałem w sieci, to się zdarza. Gdzie więc się przepisują, jeśli -

- Jak pan słusznie zauważył, to wszystko jest w sieci, może pan sobie -

- Ale, pani Ireno - Król Bólu przypatrywał się swoim białym skarpetkom i skórzanym mokasynom - ale skoro już sobie przyjemnie gawędzimy...

- Nie wychodzi pan często z domu, co? - rzuciła z przekąsem.

- Nie. Nigdy. Nie osobiście. Ale - Przynęła paznokiec do kącika lewego oka, mrużąc prawe - Król uniósł na moment głowę, by dobrze zapisać w pamięci ten jej gest zamyślenia.

- Kiedy ostatnio stroiłam panu stazę, dostał pan na mój widok jakiegoś ataku, epilepsji czy czegoś podobnego, nie wiedziałam zresztą, że takie rzeczy -

- Pani mnie dotknęła wtedy

- Co?

- Dotknęła pani mojej dłoni, dwa razy, kciukiem i palcem wskazującym, tu.

Pokazał.

Inżynier odchyliła się w fotelu, cofając głowę aż na oparcie; spoglądała na Króla spod opuszczonych powiek. Nie sprawdził dotąd, ile ona ma lat. Wybrała fenotyp śródziemnomorskiej trzydziestki. Piękno jej twarzy i elegancję krzywizn ciała oceniał na dwieście tysięcy, *upper middle class*. W rozcięciu kostiumu, między piersiami lśnił srebrny krzyżyk rzymski. Nie nosiła obrączki. Raz usłyszał jej głośny śmiech, nagrał ten śmiech; odtwarzał potem w kółko. Już czterokrotnie odwiedzała go w domu, nadzorując okresowe strojenie jego stazy. Nie licząc krewnych, była jedyną kobietą, z jaką się spotkał w ciągu ostatniej dekady bez pośrednictwa proxyka.

- Chyba jednak poproszę, żeby przydzielili panu innego inżyniera.

- Wszyscy musimy dźwigać swoje krzyże.

- Ale właściwie o co panu chodzi? - podniosła głos. - Czy kiedykolwiek dałam panu pretekst...? Prowadzę serwis dziesiątek klientów.

Król Bólu już miał na języku kolejną ironiczną odzywkę - sztukę ripost tyleż efektownych, co bezdusznych opanował doskonale - lecz w ostatniej chwili zmienił zdanie.

Natychmiast ją nerwowo zamykać i otwierać pięści, kołysać nogą założoną na nogę.

- Gdyby... gdyby miała pani kiedyś wolne popołudnie... wieczór... byle nie na proxyku... w moim ogrodzie, kiedy zachodzi Słońce... porozmawiać, cokolwiek... byłoby mi... byłoby... bardzo...

Przypatrywała mu się długą chwilę w milczeniu. Potem przeniosła wzrok na ekran.

- Kwiatowy Szmugler Intronowy. Geny nielicencjonowane, pierwsze wystąpienie odnotowane w stazie australijskiej siedem lat temu, zaraz potem weszły w domenę publiczną, najczęściej używane w jednorazowych łańcuchach symbiotycznych, przekładalne na większość oficjalnych genetyk. Prawdopodobnie napisane przez Grupę Maoryską albo na jej zamówienie. Pierwotna funkcja: geneware szpiegowski. Sekwencja wykryta w omawianym organizmie odpowiada za pierwsze ogniwo łańcucha: pobranie, enkapsulację i przekazanie wykradzonego kodu. Genom oryginalny to psopies, collie rottweiler, samica. Zrekonstruowaliśmy też jej fenotyp, już z uwzględnieniem ekspresji wpisanego geneware'u. Na powierzchni języka psa wykształcają się receptory, enkapsulacja wykradzonego materiału następuje w gruczołach podjęzykowych. Materiał zakodowany przekazany zostaje do kwiatostanów sierści, skąd, zapisany w pyłku, pobierają go organizmy drugiego ogniwa, najprawdopodobniej oparte na genomie owadów, i przenoszą do organizmów trzeciego ogniwa, gdzie następuje deszyfracja. Wykradany materiał genetyczny od momentu enkapsulacji jest nie do odtworzenia bez szyfru komplementarnego. Uruchomienie geneware'u tego typu na terenie Unii Europejskiej traktuje się jako wykroczenie, ścigane z

oskarżenia prywatnego. Komisja Konserwacji Życia klasyfikuje go jako Niegroźny-Niesprzężony. Pełne dane poszły na pana konto, wraz z ekspertyzą dla sądu.

Król Bólu pokiwał głową.

- Pani myśli, że to nieśmiałość.

- A nie?

- Nie jestem nieśmiały. Ja po prostu bardzo źle znoszę bliskość innych ludzi.

Król Bólu i piękno tego świata

Jej twarz, jej oczy, jej uśmiech, blask uśmiechu w oczach, jej głos. Wszyscy i wszystko było tu piękne; ona najbardziej.

Hawra, mówił jej, hurysa niebiańska: bardzo czarne tęczówki, bardzo białe galki oczne. Potem zawsze już używała tego ciała, zapraszał ją, więc płacił za rezerwację proxyka. Piąty rok, od kiedy się spotkali na forum poświęconym kaligrafii (Król Bólu był mistrzem niewidzialnego pióra). Nie wiedzieli o sobie nic poza imionami, jakich używali w sieci, zbyt pretensjonalnymi, by przywiązywać do nich wagę. King of Pain, 4e33a - i tak pozostało. W absolutnej anonimowości mogli być wobec siebie absolutnie szczerzy - we wszystkim, co tej anonimowości nie zagraża.

Lubił ją ubierać - kąpać, wycierać, czesać, malować i ubierać; wtedy rozmawiali najswobodniej.

- Obróć się. Rękę - dzięki. Znowu ciężki tydzień?

- Też masz takie wrażenie, że im jesteś starszy, tym krótsze są dni, godziny, tym mniej rzeczy zapamiętujesz z kolejnego miesiąca? Jakoś się to wszystko - jakoś sprasowuje.

- Neurologia, dziecino, neurologia.

- A, ty znowu swoje.

- Chodź tutaj. Mhmmm. To zapamiętasz?

- Może. - Jej uśmiech. - A co ty zapamiętujesz?

- To, co nowe.

- Mam znajomego, który co miesiąc wkleja sobie w mózg nową wiarę. Mówi, że tylko tak może sprawdzić, jaka religia najbardziej mu pasuje: wypróbowując je w praktyce.

- Religie pracują w cyklu rocznym. Zima, lato, krótki dzień, długi dzień, śmierć, odrodzenie. Pochyl się.

- Za długo by trwało, zbyt wiele ich.

- I która prowadzi?
- Na razie chyba agnostycyzm.
- Facet jest jeszcze przy A? Chodź.

Przeszli do sypialni. Za otwartymi na plażę drzwiami balkonowymi wieczorna bryza marszczyła ciemny błękit oceanu, cienie palmopalm rozciągały się na piasku od błękitu do zieleni. W falach odpływu baraszkowała para nastoletnich blondynek - po ruchach ramion, prostych plecach i rubasznych okrzykach Król poznał w nich japońskich biznesmenów.

Posadził sobie kobietę na kolanach; wtuliła się w niego instynktownie. Wybrał szminkę, tusz i biżuterię. Olicarte stawiało na naturalne piękno, jego proxykowie nie stosowali makijaży pigmentowych ani geneware'u kosmetycznego.

- Zastanawiałam się, jaką religię mogą wyznawać na przykład tacy plastusie. Przecież...

- Nie ruszaj się, rozmażę.
- Już?
- Popatrz.
- Przecież im odmienia się bez przerwy, nie? Raz wierzą, raz nie wierzą, czy jak?
- Może to, co się zmienia, nie ma wpływu na ich wiarę lub niewiarę. Gdyby wiara się opierała na doświadczeniu, byłaby kolejną nauką empiryczną. Zamknij oczy.

- E tam. Skąd by na przykład wiedzieli, że Bóg jest jeden w trzech osobach, gdyby im o tym nie powiedziano, gdyby tego nie wyczytali? Wszystko wchodzi w nas przez zmysły.

Wszystko wchodzi w nas przez zmysły. Oprócz sposobu, w jaki porządkujemy te wrażenia zmysłowe - z nim się rodzimy, on w dużej części jest nam dany w genach, w strukturze umysłu. Gdy jednak mamy władzę zmiany tej struktury... Król Bólu zatrzymał spojrzenie na ich odbiciu w szerokim zwierciadle: smagłe twarze o lekko mongolskich rysach, policzek przy policzku, kobieta i mężczyzna, o najgładszej skórze, najczystszych oczach, młodzi bogowie. Jak teraz spoglądają na własne odbicia - mogliby być rodzeństwem; być może są. 4e33a przesuwając koniuszkiem języka po czerwonych wargach. Król całuje ją w szyję, nadal patrząc w lustro. Ona patrzy na niego, patrzącego. Odbicia odbić odbić - piękno przychodzi zawsze z zewnątrz, nie istnieje poza światem fizycznym: mimo wszystko wyobrażenie piękna nie jest pięknem, tak samo jak wyobrażenie strachu nie jest strachem, a wyobrażenie zła nie jest złem.

- Gdybyś mogła pożądać, co tylko sobie zażyczysz...
- Mhm?
- Jakiego pożądanego pożądasz? Jakich pragnień pragniesz?

- Nie wyjdę poza siebie.

- Nie. Ale moglibyśmy wylosować jakiś fetysz - szeptał jej - i wkleić sobie takie żądze. Chciałabyś? - szeptał jej. - Zawsze coś nowego. Chciałabyś chcieć?

- Nudzi ci się? Znudziły ci się te ciała?

- Kochanie, ja się sobie znudziłem.

Milczała, gdy rozczesywał jej długie, czarne włosy. Usiadł potem na brzegu łóżka i podnosił nogi 4e33a, naciągając ciemne pończochy, tak delikatne, że w dotyku prawie niewyczuwalne - stopa, łydka, i w górę uda, aż dłonie zatrzymają się na tym wąskim pasku nagiej skóry ponad koronką. Stojąc na jednej nodze, utrzymywała równowagę, opierając się o Króla, kładła dłoń na jego głowie. Palce wplątywały się między gęste loki (miał imponującą grzywę), leniwie drapała go paznokciami, raz, dwa, cztery, do rytmu swoich myśli, spoglądając ponad nim, na plażę, ocean i czerwone Słońce tonące w oceanie.

- Jest taka gra - mówiła - moi znajomi w nią grają. Anyway, twierdzą, że grają. *Life Playing Game*. Zbierają się co jakiś czas, to są długie sesje, miesiące, lata, zbierają się i pompują drągi rozluźniające, które wyciągają im na wierzch podświadomość, wyciągają prawdę. Ujarani, opowiadają sobie życie: co się im przydarzyło, w jakim punkcie się właśnie znaleźli, czego pragną, czego się boją, jakie wybory przed nimi stoją, jakie widzą przed sobą przyszłości. Spisują to wszystko. Godzinami omawiają historię każdego z osobna, opowiadając różne scenariusze, od najbardziej prawdopodobnych do zupełnie odjechanych, tych z kina, z gier. Dziesiątki dróg, dziesiątki ścieżek rozwoju postaci. Spisują to wszystko. Na koniec odbywa się losowanie. Scenariusz, który ci wypadł, musisz realizować w ciągu sesji, to znaczy do następnego spotkania - wklejasz sobie od razu najgłębsze pragnienie jego realizacji. Nie chodzi o to, że nie możesz się wycofać - z LPG nie chcesz się wycofać. Rezygnacji z LPG nie ma w żadnym scenariuszu. Są śmierci, rozwody, małżeństwa, samobójstwa, morderstwa, wielkie zbrodnie i wielkie kariery. LPG z założenia jest większa od życia.

Naciągnął jej drugą pończochę, sięgnął po pantofle na wysokich obcasach.

- Powiedzieli ci, dlaczego to robią?

- Bo mogą.

- Tak.

Ubrał ją w lekką sukienkę kryształjedwabną na niewidzialnych ramiączkach, od góry półprzezroczystą, od dołu matową. Wyszła na balkon. On zapinał koszulę, wiązał krawat, naciągał marynarkę. Z balkonu schodziło się po spiralnych schodach wprost na alejkę prowadzącą między palmopalmami do głównego budynku resortu, ukrytego za

gigantycznymi paprociami. Między paprociami fruwały kolorowe fairies. Król podał 4e33a ramię. Siedzący na krawędzi dachu bungalowu ptak ognisty krzesał na nich złote skry, gdy przechodzili alejką poniżej.

- Albo gdybyś mnie znienawidziła.

- Dziękuję, wolę tak, jak teraz.

W cieniu paproci zatrzymała go na długi pocałunek. Nad Olicarte zachodziło Słońce. Król Bólu przypomniał sobie bardzo podobne wieczory, jeden, drugi, dziesiąty. Bez przesady, w końcu ile można? 4e33a starła mu szminkę z ust, identycznym gestem czułości, co poprzednio, i poprzednio, i poprzednio. Król westchnął głośno. Umysł domaga się pożywienia. Szumu tych fal już prawie nie słyszę, kolorów egzotycznych prawie nie zauważam.

Polinezja Francuska nie utrzymywała swojej biosfery w pełnej stazie, wyspy znajdują się zbyt daleko od większych lądów, zbyt mało ludzi tu mieszka, zbyt słaba jest lokalna gospodarka, zbyt potężne huragany. Olicarte było sztuczną wyspą wyrosłą na bazaltokoralowcu patentu GE. Umieszczono ją w archipelagu lies sous le Vent. Jej krajobrazy, jej flora i fauna oraz zamieszkujący ją *Homo sapiens stasis* zostali zaprojektowani w jednym celu: maksymalizacji doznań estetycznych. Olicarte powstało jako resort turystyczny epoki wojen genetycznych: nikt tu nie przyjeżdżał i nikt stąd nie wyjeżdżał, ale osiemdziesiąt procent tubylców pozostawało na długoletnich kontraktach proxy, ujeżdżani przez bogaczy z całego świata dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Nic nie zakłócało turystom harmonii, nawet widok innych turystów.

W restauracji zastali już kilkunastu gości, tak samo pięknych i doskonałych, podobnego fenotypu. Kelner posadził Króla Bólu i 4e33a za filarem, od strony oceanu. Kiedy 4e33a zamawiała dania (kuchnia jednorazowa, każde warzywo, owoc i mięso na niepowtarzalnych genach), Król wyjął z kieszeni obszerny notes i pióro. Zazwyczaj na pamiątkę spędzonego razem weekendu caligrafowali haiku.

- No to już - uśmiechnął się do 4e33a, gdy kelner odszedł. - Posłuchaj. Mam siostrzenicę. Dorosła. Ledwo co. Głowa pełna ideałów lewicowych alterterrorystów, wykapturzała się chyba do każdego teatru nieszczęść na świecie. Zniknęła. Żadnego listu, żadnego śladu. Za to zostawia mi swojego psa, którego przeprogramowała do kradzieży mojego DNA. Nie wiem, komu je przekazała. Myślę, że poszła do tych swoich alterterrorystów, przepisuje się na genetykę jakiejś południowej anarkii. Teraz do przodu. Co robie? Scenariusze.

- Po co miałyby kraść twoje DNA?

- Plastyczność sieci neuronowej, hiperaktywny glej, chimeryzacja wrodzona, dziewięćdziesiąt dziewięć procent koma coś tam.

- Ach.

4e33a poprosiła o papierosa. Wybrał zielonego karakulca, podał ogień. Zaciągnęła się.

- Wiesz coś, czego nie wie policja.

- Mogę wiedzieć.

- Czy plastusiowe DNA nie są katalogowane?

- Przez rządy? Na pewno.

- Alterroryści chcą coś upichcić na plastusiowych genach.

- To oczywiste. Ale jakie ja mam pole manewru?

- Masz jakies? Jesteś może na dodatek supermanem, kryjesz w piwnicy wehikuł czasu, magiczną kulę? Idź na policję.

- Byłem. - Zapisał w notesie. - To jest wersja minimum, ja chcę LPG na dopalaczach.

- Mhm. Jako plastyk na pewno pracowałeś dla rządu. Masz kontakty. Powołaj się. Przysługa, szantaż, coś w tę stronę.

Zapisał.

- Nadal cienko. Książki! Filmy! Gry! Myśl.

Wzruszyła ramionami.

- Sam najlepiej znasz swoje życie.

- Ale o to właśnie chodzi! Ja jestem ja, myślę jak ja, wybieram jak ja. Po co grać, jeśli nie po to, żeby zmusić się do wyjścia poza siebie? Mów!

Przesunęła w zamyśleniu błękitnym paznokciem po naszyjniku z lodognia. (Od rafy wiatr niósł echo śpiewu syren).

- Tryb życia, jaki sobie obieramy, narzuca nam typ ludzi, z jakimi się stykamy. Którzy z kolei narzucają nam kształt samego życia: takich mamy znajomych, takich przyjaciół, takie miłości. Rolnik zakochuje się w mleczarce, księgowy w sekretarce, policjant w pani prokurator - lub w prostytutce. Czy znasz jakąś drogę do podziemia? Mógłbyś sam zejść na ścieżkę zbrodni?

Zapisał. Uśmiechnięty, postukiwał o blat skuwką pióra. 4e33a spoglądała na niego przez seledynowy dym. Czasami powiedziała coś takiego, zachowała się w taki sposób - że prowokowało to u Króla podejrzenia, iż jest 4e33a stara, bardzo stara, być może urodziła się jeszcze w dwudziestym wieku.

Ujął ponad stolikiem lewą dłoń kobiety.

- Zejść na ścieżkę zbrodni. Jeśli ona uciekła do anarkii - nie ma zbrodni, nie ma prawa.

Byłem już na takich wycieczkach: dwa dni hardkoru, w poniedziałek powrót do kochającej rodziny. Dalej!

Ścisnęła jego dłoń.

- Uważaj. To gra bez backupu, życie jednokierunkowe, nie wrócisz.

- O to przecież chodzi!

- Proszę cię -

Pocałował ją w nadgarstek.

- Kimkolwiek się stanę, nadal będę -

- Nieprawda, wiesz, że to nieprawda.

Król zmrugał lewe oko, do kącika prawego przycisnął palec wskazujący dłoni z piórem. 4e33a cofnęła swoją rękę. Obserwował, jak błądzi jej spojrzenie, jak szuka punktu zaczepienia z dala od Króla - na stoliku obok, na fosforyzującej paproci, na liściach palmy, na niebie, oceanie, horyzoncie. Czy to drzenie warg - to preludium płaczu? 4e33a nie płacze, nie w takich sytuacjach; i nigdy publicznie. Ale sam sygnał rozpaczy wystarcza, by ścisnęło się Królowi serce. Czy widzi teraz 4e33a - czy widzi afrodytę Olicarte, hawrę czarnooką, jakąś inną kobietę na jej miejscu?

Uśmiech kota bez kota - piękno kobiety bez kobiety.

Król Bólu przynajmniej rozumie, czego nie rozumie. Piękno rodzi się z kanonów estetyki wyznawanych przez patrzącego - które się wywodzą z dogmatów kultury, w jakiej się wychował i żyje - które zależą od relacji ekonomicznych kształtujących ową kulturę. Gdyby w reakcji na upowszechnienie taniego bioterroru świat się nie podzielił na zamknięte klauzury wrogich genetyk, technologie komunikacji transzmysłowej nie stałyby się opłacalne. Zainwestowano w ich rozwój tak wielkie sumy, że dziś niemal każdy posiada kaptur. Skoro więc piękno materii zostało dobrem wymiennym, tym bardziej wzrosła cena piękna formy: słów, zachowania, sposobu, w jaki zawiadujesz ciałem, jakkolwiek wspaniałe czy odrażające by ono akurat było, sposobu odnoszenia się do innych ludzi, budowania z nimi relacji emocjonalnych. Nie wiedział o 4e33a prawie nic, ale to, co wiedział, wystarczało.

Była kobietą, a nawet jeśli nie - takie powinny być kobiety.

Napił się wody.

- Dalej.

Strzepnęła popiół z papierosa.

- Wszystko, co konieczne, by zdobyć na nią namiary. Jesteś plastusiem? Sam myśl.

- Ale co to jest „wszystko, co konieczne”?

- Wszystko.

- Wszystko?

- Wszystko.

- No, no, no, tak się mówi, ale tak się nie myśli. A gdybym musiał cię sprzedać Robin Hoodom.

- Znam cię, nie sprzedałbyś. Chcesz grać? Graj. Takiego, co by sprzedał. Wtedy nie będziesz sobą, prawda? Zadowolony?

Zapisał.

- Wtedy cię sprzedam. Okay. Dalej.

- Jest jeszcze jakieś „dalej”?

- Zawsze jest jakieś „dalej”.

Zgasła papierosa.

- Czego boisz się najbardziej? Co sprawia ci największy ból?

- Mhm, jest nasz obiad.

Kelner rozłożył nakrycia. Jedli w ciszy. Król Bólu studiował ruch jej nadgarstka, gdy kroiliła mięso, ruch nadgarstka, kąt nachylenia przedramienia, jeden bark niżej, drugi wyżej, prawa pierś lekko spłaszczona i przyciśnięta do tułowia, mięśnie ręki naprężające się i rozluźniające. Raz zadygotała, gdy półsekundowy lag przytrzymał proxyka.

Przy deserze poprosiła o papier i pióro. Inaczej napinały się pod ciemną skórą mięśnie, gdy kaligrafowała. Pewne czynności wymagają głębszego zestrojenia układów nerwowych, pewne - są w ogóle niemożliwe na ciałach niezgranych. Kaligrafia jest bardzo trudna; równie trudno osiągnąć orgazm na kobiecych proxykach, tak wyjątkowo zsynchronizowane egzemplarze rezerwuje się na lata z góry.

Król Bólu odebrał pióro i wyrwał drugą kartkę. Pisał prawą ręką (był praworeczny, on i proxyk). Nad haiku nie należy namyślać się zbyt długo.

*wieczorem czysty deszcz
echo dżungli z głębi nocy
wdech horyzont wydech*

Wymienili się kartkami. 4e33a przeczytała w milczeniu. W sercu wyspy wyły i śpiewały dzikie chimeryki.

Król przesunął opuszkami kciuka po krawędzi papieru, na którym nie wysechł jeszcze czarny atrament. Myślał, jak doskonały jest kształt liter zrodzonych pod ręką 4e33a. Tak ją przecież poznał, taką ją sobie wyobrażał, takie było najpierwsze jej piękno.

*w ostatniej sekundzie
odwrócisz głowę -
chmura ptak tęcza*

Król Bólu i ból

Urodził się w roku komety, pod niebem zielonym od ruskich dionizydów, w bólu.

Niemowlęta krzyczą, niemowlęta płaczą, byłoby dziwne, gdyby nie płakał. Płakał. Potem przestał - ból był zbyt wielki. To milczenie zaniepokoiło rodziców.

Lekarze przeprowadzili skany neurologiczne, skonsultowali się z genetykami. (Niemowlę w milczeniu łykało powietrze rybimi haustami).

- To się zdarza, staza każdego dotyka inaczej, ułamek procenta zawsze wypada poza bezpieczne statystyki. W telewizji bez przerwy pokazują co efektowniejszych chimeryków, widzieli państwo.

Matka gryzła paznokcie. - Ale... co mu właściwie jest?

- Mhm, boli go.

(Niemowlę zamykało i otwierało wilgotne oczy).

Ból można tłumić i można zmienić mózg tak, by bólu nie odczuwał, lecz każde rozwiązanie ma swoje konsekwencje.

Dziecko nie decyduje o sobie; decydują rodzice, według własnego rozeznania wybierając, jak wybrałoby ono, gdyby już miało wiedzę i doświadczenie konieczne dla świadomego dokonywania wyborów. Skoro jednak decyzje rodziców kształtują właśnie owo doświadczenie - jaki przyjąć tu punkt odniesienia? jaką normę? jakie dobro? Nawet Koran nie da jednoznacznej odpowiedzi.

Ubezpieczenie Genetyczne było już wtedy obowiązkowe i kalectwo chłopca wyceniono na ponad milion euro. Towarzystwo ubezpieczeniowe przedstawiło rodzicom alternatywę: pozostawiamy go w takim stanie - ale wtedy ból najprawdopodobniej towarzyszyć mu będzie do końca życia; albo faszerujemy go brutalnymi RNAdytorami, które zniszczą obecną strukturę neuralną i spróbują w jej miejscu zbudować coś na kształt „zdrowego mózgu”, z normalnym glejem. Jako że nie istnieje nic takiego jak „ośrodek bólu”, fragment mózgu lub organ odpowiedzialny za odczuwanie bólu; nic, co można by selektywnie wyciąć, zatruć, odłączyć. Sygnał idzie przez rdzeń kręgowy, wzgórze, korę mózgową. Są dwa szlaki: starszy, którym wędrują wszystkie bodźce, a ból rodzi się z tych o

natężeniu przekraczającym wartość graniczną; i szlak nowszy, specjalistyczny, wydzielona autostrada bólu, po której od nociceptorów mkną z włączonymi syrenami posłańcy z miejsc katastrof w organizmie. Oba szlaki rozgałęziają się w korze mózgowej na miliardy ścieżek prowadzących do neuronów czuciowych - nie ma „centrali bólu”. Albo niszczymy wszystkie receptory, którymi sygnał wchodzi - albo przebudowujemy cały mózg. Tak czy owak, jest to morderstwo systemu nerwowego.

Ból można tłumić doraźnie: mogli mu podłączyć dozowniki endorfinowych analogów, kanabinoidów, minocykliny, która zapobiegałaby doraźnie tworzeniu cytokin i tlenku azotu w neuronach, mogli zalewać interneurony znieczulające enkefaliną i serotonina, nakręcić układ dokrewny do tak intensywnej ich produkcji, że zostałyby znieczulony totalnie - przynajmniej na jakiś czas, zanim mózg nie zaadaptuje się do sytuacji i jeszcze bardziej obniży próg wrażliwości. Bo przecież ów wyścig bólu z błogostanem ostatecznie mógł mieć tylko jeden koniec: śmierć hormonalną organizmu.

Ból stanowił bowiem zaledwie skutek uboczny, najbardziej oczywisty z pakietu efektów, jakimi objawiała się chimeryzacja dziecka. Nie było ono pierwsze - to szczególne sprzężenie genów zostało już rozpoznane. „Plastusie”, taką nazwę wymieniły media, albowiem ta właśnie cecha stanowiła podstawowy wyróżnik chimery roku komety: plastyczność umysłu.

W jaki sposób nabywamy doświadczenie, adaptujemy się do nowych warunków, uczyliśmy się reagować na nieznaną? Sieć neuronowa zmienia się pod wpływem bodźców - wszystko zależy od tego, jak szybko się zmienia. Główny wyznacznik stanowi natężenie przepływu impulsów elektrycznych na synapsach w hipokampie, który odpowiada za struktury magazynowania pamięci, zbierania doświadczeń. Z kolei ta aktywność synaptyczna zależy bezpośrednio od zachowania przyległych komórek neurogleju, astrocytów; tu nośnikiem impulsu są jony wapnia. Plastyczność układu nerwowego jest właśnie kwestią neurogleju, włącznie z funkcją przyrostu nowych synaps, regeneracji starych, odżywiania, osłaniania neuronów. I ta sama wyjątkowa cecha powoduje dwa skutki: plastusiowatość oraz przewlekły ból, wielozakresową allodynię. Procesy regeneracji, przyrostu, remodelowania interpretowane są jako *gojenie* i generują sygnały bólu, wzrasta liczba, komórek mikrogleju, a na dodatek zamyka się pętla sprzężenia zwrotnego - wydłuża się okres wytwarzania przez glej czynników uwrażliwiających i sygnałów stanu zapalnego. Nie ma rany, ale glej goi, a zatem idzie impuls cierpienia.

Im wyższa proporcja liczby komórek astrocytowych do komórek neuronowych, tym wyżej na drabinie ewolucyjnej lokuje się dany gatunek. Decyduje neuroglej, nie zaś wielkość

mózgu czy stosunek jego masy do masy ciała. U Króla Bólu owa proporcja neurogleju do neuronów była o dwa rzędy wielkości wyższa od średniej populacyjnej *Homo sapiens stasis*.

Tylko że to bolało.

Nie ruszał się. Nie ruszał się, jeśli nie musiał; każdy ruch to nowa fala bodźców, nowy krzyk organizmu, nowa agonia. Leżąc, wystawia na dotyk największą powierzchnię ciała, ale leżeć bez ruchu może najdłużej. Na bodźce stałe, na bodźce powracające - w końcu przestaje reagować tak intensywnie. Powtarzane doznania nakładają się na siebie, identyczne ruchy, identyczne kształty, identyczny nacisk, faktura materiału, temperatura, miejsce kontaktu - boli, ale można to znieść, można zepchnąć pod spód, zlekceważyć, zapomnieć, zanim jeszcze na dobre przeminęło. To jedyny dostępny mu sposób znieczulenia: na poziomie psychiki, nie fizjologii.

Nie ruszał się, jeśli nie musiał, nie wstawał, nie wychodził z pokoju, nie wychodził z domu, jeśli nie musiał. Przedmioty martwe powoli oswajał, stutysięczny dotyk klamki boli mniej od dziesięcioletniego - lecz źródło największego cierpienia stanowiły istoty żywe.

Fatima (która była starsza o jedenaście lat) miała psa, od dziecka lubiła psy, wielkiego labradora. Rodzinna legenda głosi, że gdy pies po raz pierwszy polizał rączkę Króla Bólu, serce Króla w spazmie nagłego cierpienia zatrzymało się na kilka sekund i rozwrzeszczały się wszystkie alarmy medyczne w domu.

Pies musiał zniknąć.

Wstępu do Króla odmówiono także samej Fatimie. Rzadko przychodził ojciec - rzadko, więc ból był tym silniejszy. Nie dotykał dziecka nikt oprócz matki i pielęgniarki.

Królestwo bólu z czasem się powiększało. Już w pierwszym roku życia ból przekroczył granice Dotyku i wkroczył na ziemie Światła, Zapachów oraz Dźwięków. Pokój dziecka zahermetyzowano.

Król zaczął mówić bardzo późno, ponieważ mowa i dźwięk własnej mowy również stanowiły nowe doznania i najpierw - jak zawsze - musiał przełamać barierę cierpienia. Wykrztusił pierwsze słowo na panicznym wydechu:

- Fijć!

Dzieci plują jedzeniem, ciskają zabawkami, ściągają ubranie, niszczą, co mogą zniszczyć - byle tylko zwrócić na siebie uwagę i przyciągnąć dorosłych. Król Bólu zaczynał od repertuaru nakierowanego na efekt dokładnie odwrotny: „Wyjdz!”, „Nie!”, „Sam!”, „Idzie!”, „Zostaw!”, „Nic!”. Nic, nic, nic, nie chciał nowych zabawek, nie chciał nowych przytulank, nie chciał niczego, co nowe, inne i nieoswojone w bólu.

Leżeć w bezruchu. Oddychać. Cisza, to samo światło i kolory. Nikt nie dotknie, nikt

nic nie powie. Bezpieczny. Oddychać, oddychać. Tak cierpieć jest najprzyjemniej.

Pokonała go nuda.

Umysł potrzebuje codziennej porcji świeżych bodźców tak samo, jak ciało potrzebuje codziennie nowej porcji protein. Oczywiście są różne metabolizmy: jedni jedzą mniej, inni więcej, jedni spalają wolniej, inni szybciej. Niestety, umysł Króla Bólu był wyjątkowo żarłoczny. Cholerny glej stymulował rozrost synaps szybciej, niż Król nadażał je zaspokajać. (Potem miał koszmary z własnym mózgiem w roli głównej. Śnił o swoich neuronach śniących, że śni o swoich neuronach, które śnią, że śni o swoich neuronach śniących, że śni o - no, właśnie takie były sny Króla Bólu).

Mieszkali w starej kamienicy niedaleko śródmieścia. Rodzina Króla odnowiła najwyższe piętro i poddasze. Na pokój dziecka przeznaczono narożne pomieszczenie górnej kondygnacji. Przez trójkątne świetliki w pochyłym dachu wpadało światło słoneczne i poświata księżycowa, przesuwwały się po ścianach i sprzętach geometryczne fale blasku i cienia, kalejdoskopy barw, kształtów i natężenia jasności. Jako niemowlę źle znosił te ciągłe zmiany, matka zasłoniła świetliki, bezpieczniejsze było stałe światło sztuczne. Z czasem nie nauczył się bynajmniej znosić ich lepiej, lecz po kilku latach, gdy tylko posiadał niezbędną po temu siłę, sam zerwał zasłony, pewny bólu, jaki go czeka w spotkaniu z nowością; ale nie wytrzymał, zerwać musiał - z c i e k a w o ś c i.

Klątwa plastusiowa napędza samą siebie: wiecznie głodny umysł szuka wciąż nowych podniet, nowych bodźców - a kiedy napływają, krzyczy z bólu. Czy nadprodukcja neurogleju jest z tym sprzężona w sposób konieczny? Z pewnością sprzężenie wyjaśnia, dlaczego owa mutacja, nawet jeśli się pojawiła, zaginęła bez śladu w mrokach ewolucji *Homo sapiens*: w królestwie zwierząt podobne kaleki giną bezpotomnie.

Król wyglądał przez świetliki na ruchliwe ulice, wspinał się na krzesło, przyciskał twarz do szyby; dźwięki miasta nie docierały do wnętrza. Z obrazu dedukował wrażenia, których nie doświadczał. Co czują ludzie przytuleni do siebie? Co czuje dziecko w ramionach matki? Co czują ludzie, gdy biją się ze sobą, ten bity i ten bijący? Co czuje człowiek, stojąc w deszczu z odkrytą głową? Bolało go ciepłe słońce, bolała zimna szyba, ale patrzył.

Odnajdywał potem w wyznaniach ludzi normalnych opisy identycznych kompulsji. Drapią paznokciami gojące się rany, które przez to otwierają się na nowo i bolą tym bardziej - ale oni nie potrafią się powstrzymać, drapią mimo to, drapią dlatego. Zrywają strupy. Wygryzają skórę spod paznokci, do krwi, do kości. Drażnią chore zęby, językiem, palcami, sztucami, gdy tylko ból przygaśnie, by zaraz powrócił, ostrzej, mocniej, więcej, więcej, więcej bólu.

Tak wyglądało całe życie Króla.

Matka przyłapała go pod świetlikami - i oto pojawiła się w pokoju Króla tiwipeta, a potem także konsola. Ze ściszonej dźwiękiem, na minimalnej ostrości i jasności - oglądał obrazy z miliona ulic, tysiąca miast; zaiste, było to okno na świat. Z nałożonego na kanały zagraniczne programu tłumaczącego uczył się języków. Alfabet poznał z nagłówek na kanałach newsowych. Przeglądarka TV/net rzucała go po sieci, przekierowywana szeptanymi pytaniami, w końcu samą zmianą rytmu oddechu. Konsolę dostał, gdy pokazał matce, że umie czytać. Wiedziała, czego się spodziewać po plastusiowym dziecku. Konsola była holograficzna, bezdotykowa, ale oczywiście samo przyzwyczajanie rąk i palców do nowych ruchów bolało. Głód jednak znowu okazał się silniejszy.

Wtedy to, podczas pierwszych wizyt w sieci, wpisał ID, które pozostało z nim na zawsze: KING OF PAIN, KRÓL BÓLU, desperacka przechwałka dziecka, które czyni ze swej odmienności powód do chwały. Usłyszał piosenkę i wiedział, że to o nim.

*I have stood here before in the pouring rain
With the world turning circles running 'round my brain.
I guess I always thought you could end this reign
But it's my destiny to be the King of Pain.*

Potem - lata potem - pojawił się kaptur.

Zastanawiające, jak dobrze potrafił udawać normalnego człowieka, skryty w ciele proxyka, wykapturzony z własnego ciała. Naturalność odruchów, których wykształcić przecież nie mógł - całe to uczuciowe i behawioralne oprzyrządowanie sytuacji fizycznej bliskości - zastępował staranną grą, kopiowaniem zachowań podpatrzonych u obcych ludzi: w sieci, na proxyku.

Zdawał sobie sprawę, że to, z czym tu walczy, to rodzaj autyzmu. Nie było ekspertów od neurologii plastusiów - kto szybciej zrozumie właściwości nowej struktury mózgu, jeśli nie sami plastusie? Król wyczytał, że ponadprzeciętna aktywność neurogleju kory czołowej, zakrętu obręczy i mózdzku charakteryzuje właśnie autystów. Być może więc to człowiek autystyczny byłby następnym stadium ewolucji *Homo sapiens* - gdyby *Homo sapiens* nadal ewoluował.

Krół Bólu studiował intymność jak antropologowie studiuje fenomeny ekstremalnych subkultur.

Na początku istotnie kierowała nim wyłącznie chęć poznania stosownych algorytmów

zachowań, by móc tym skuteczniej je naśladować. Szybko jednak zdobył się na uczciwe wyznanie: zazdrość. Zazdrościł tego, do czego nie miał dostępu; to naturalne. Czy można jednak zazdrościć uczucia, do którego samemu nie jest się zdolnym i którego się w ogóle nie rozumie?

Dniami i nocami oglądał voyeurystyczne filmy pochodzące z wszechobecnych kamer publicznych i prywatnych, na których to filmach ludzie nieświadomi ukrytej za obiektywem widowni, przyłapani przez obiektyw w przerwie na lunch, na ulicy, na pikniku, w restauracji, w ogrodzie przydomowym - odgrywali swoje rytuały intymności. Głównie pary zakochanych (hetero - czy homoseksualnych, bez znaczenia), ale także większe rodziny, matki z dziećmi, synowie i ojcowie, a zwłaszcza rodzeństwa. Jak się do siebie odnoszą, co mówią, czego nie mówią, jak milczą, jak reagują na siebie, jak odczytują wzajem swoje zachowanie, z urwanego słowa, z krótkiej miny, z gestu prawie niezauważalnego, z rzeczy, których Król Bólu faktycznie nie był w stanie zauważyć. Skarby najcenniejsze w jego kolekcji stanowiły nagrania nie tyle sytuacji intymności, co sytuacji, w których podglądane osoby w intymność dopiero wchodzi: na początku sobie obce (to potrafił rozpoznać), na końcu porozumiewające się już bez słowa i bez gestu, podświadomie (to też rozpoznawał); ale ten punkt, granica, moment zmiany i przyczyna zmiany - j a k o n i t o r o b i ą! - pozostawały dla Króla Bólu nieprzenikalnym sekretem.

Być może to jak z jazdą na rowerze: owa wiedza jest nie do przekazania w słowach, trzeba doświadczyć, żeby pojąć. Najoczywistszym progiem intymności wydaje się seks. Kiedy Król Bólu go przekroczył? Ba, w tym cała rzecz, że progi istniały w czasach jego dziadków, pradiadków, a teraz są jedynie łagodne pochylnie. „Nie można być dziewicą w połowie” - otóż można, w połowie, w jednej trzeciej, w kilku procentach. Co jest ważniejsze: uczestnictwo ciała czy pamięć doświadczenia? Znajdź próg, jeśli potrafisz. Najpierw były te voyeur-filmy - potem komputerowe gry, nowele - potem seks pod kapturem w VR, z postaciami zarządzanymi przez programy - potem w VR z postaciami zarządzanymi przez innych ludzi - potem pod kapturem na dorodnym męskim proxyku, z wysokiej klasy (bo drogą) prostytutką. Upewnił się wcześniej, że operuje ona na własnym ciele. Sam nagrał całe doświadczenie - by studiować je tygodniami równie pilnie.

I powtarzał ten schemat przez lata, stopniowo rozbudowując swą grę i dodając etap niby-przypadkowego poznania i uwiedzenia. Nie płacił już kobiecie (nie otwarcie, nie bezpośrednio), nie potrafił jednak wskazać, w którym momencie skończyła się prostytutka, a zaczęło - co? coś innego, nie-prostytucja. 4e33a była, jak dotąd, najbardziej ambitnym ćwiczeniem Króla.

W zdumienie wprawiali Króla Bólu ludzie, którzy zdawali się tę sferę życia całkowicie sobie lekceważyć. Nie byli na nią ślepi czy upośledzeni, jak Król; świadomie odrzucali to, czego on im tak zazdrościł.

Przed Janką nie musiał się kryć.

- Pani Dulaska *strikes back* - naśmiewała się z niego. - Imam byłby z ciebie dumny! Jeszcze trochę i zaczniesz mi prawić kazania o świętości dziewictwa!

- Nie mówię przecież o grzechu, nie mówię o żadnych kategoriach moralnych. Ale wszystko, co robisz, czego doświadczasz - wpływa na ciebie i zmienia cię. Równie dobrze możesz się posługiwać terminami neurologicznymi, skoro rażą cię religijne metafory. Musisz zadać sobie pytanie: czy chcę się stać taką osobą? „Przespałam się z tym, przespałam się z tamtym”. Jakbyście się pozdrowili w tłumie.

- Urodziłam się w stazie, nawet kataru od nich nie złapię. A zresztą, kto się nie pieprzy na proxykach?

- To nie ma znaczenia! Ciało to detal. Jak bardzo jesteś w stanie zbliżyć się do drugiego człowieka? Wejdiesz mu do głowy? Poznasz myśli? Poznasz uczucia? Nigdy. Widzisz proxyków, rozmawiasz z proxykami, dotykasz proxyków - nawet jeśli ich jeźdźcy akurat się w nich urodzili, dla ciebie wszyscy ludzie poza tobą samą zawsze będą proxykami. Ciało to detal; to czy tamto, bez znaczenia. Ale wstyd ciała, ale bariera nagości, fizycznej i psychicznej, bariera zażenowania, lęku przed odsłonięciem, przed opuszczeniem maski - ona oddziela sytuacje konwencjonalne od sytuacji intymności. Jeśli wszystko jest normalne, swobodne, łatwe i bezstresowe, jeśli tak samo jesz ze znajomym śniadanie i uprawiasz seks - nigdy się do nikogo naprawdę nie zbliżysz. Ten ból, który czasami nazywamy wstydem, czasami zdradą, czasami upokorzeniem, ten ból nie jest więzieniem, z którego za wszelką cenę musisz się wyrwać - on jest pierwszym warunkiem intymności.

Śmiała się.

- A wszystko przez to, że urodziłeś się z rozregulowanym systemem nerwowym!

Nikt nie ceni owego dobra równie wysoko, jak ci, co są go pozbawieni.

Ból jest jedynym uczuciem, które nie dopuszcza intymności. Można dzielić z kimś szczęście, można dzielić przyjemność, smutek, gniew, zazdrość, można dzielić miłość, można nawet dzielić wstyd - ale z nikim nie można dzielić bólu. Ból jest dyscypliną samotności i drogą do wnętrza duszy.

Król Bólu, niepostrzeżenie dla niego samego, stał się prawdziwym kapłanem intymności.

Tylko czasami przeważał cynizm i ironia: może dlatego tak dobrze mu to wychodzi,

może dlatego pozostaje proxyk Króla Bólu nie do odróżnienia od proxyków normalnych ludzi - ponieważ w istocie wszyscy naśladową sztuczność sztucznością i w ogóle nie ma czegoś takiego jak „naturalna intymność”? Są jedynie teatry, w których widzowie i aktorzy się na moment zapominają - oraz teatry złe, teatry z głośnymi suflerami, przesadnym makijażem i tekturową scenografią, w których wszyscy wykonujemy mechaniczne gesty i recytujemy puste słowa, jednocześnie myśląc o czymś zupełnie innym. Chodzi zatem o to, by grać z przekonaniem, grać z wiarą w szczerą własną grę. Czyż wybitni aktorzy nie doprowadzają się do płaczu samą myślą o płaczu, czyż nie popadają na scenie w stany historyczne i euforyczne? Granica jest rozmyta, trudno powiedzieć, gdzie kończy się symulacja uczucia, a zaczyna uczucie.

Być może więc tym właśnie jest intymność, w ten sposób ją sobie wmawiamy: pierwsze słowa są niezręczne, pierwszy dotyk nas krępuje, uciekamy przed jego/jej wzrokiem, ale gramy dalej, ćwiczymy tę grę, idzie coraz sprawniej, coraz krótsze wahanie przed kolejnymi kwestiami, coraz łatwiej spływają z warg zdania, które jeszcze niedawno brzmiały nam kiczowato i pretensjonalnie, coraz mniej sami sobie się dziwimy, i gramy dalej, gramy dalej - już chwilami zapominając, że gramy. Być może tak właśnie rodzi się intymność.

Oczywiście Król mógł o to zapytać wprost - Fatimę, Jankę, kogoś z rodziny, kogoś ze znajomych, a jeszcze lepiej: nieznanym. Problem wszakże polegał na tym, że sama prośba o szczerą relację z cudzej intymności przekracza intymności granicę, podobnie jak żadna rozmowa o seksie nie jest pozbawiona seksualnych podtekstów. Był to więc prawdziwy Paragraf 22, pancerna szyba, której o własnych siłach Król nigdy nie roztrzaska, by przedostać się do świata Normalnych; widzi, lecz nie dotknie.

A kto miał mu pomóc? Przyjaciele? Przecież w tym cała rzecz, że nie miał przyjaciół. („Przyjaźń” - co to znaczy? Przy jaźni Króla Bólu był przede wszystkim ból). Miał kolegów, znajomych, istoty, które nie przynosiły mu cierpienia, ponieważ spotykał ich tylko na proxyku, samych zapośredniczonych. Imiona i nazwiska nie odgrywały roli, stanowiły skróty kluczy szyfrujących transmisję. Król Bólu. Siurpryza Bluzg. Ballagan. 4e33a. Siódma Wojna Światowa (zdrobniale: Wojenka). Palmer Eldritch. Bułanek. Ulrich von Jungingen.

Król Bólu i Ulrich von Jungingen

Ulrich von Jungingen otworzył piwopiwo. Piana strzeliła mu na T-shirt z neonem:

CZEKOLADA SEKS KOKAINA. Nie zwrócił uwagi, szeroki uśmiech na jego nieogolonej twarzy nie zmniejszył się ni o milimetr. Ulrich von Jungingen był szczęśliwym niewolnikiem swego przodomózgowia.

- Witam Króla w moich skromnych progach! Czyż nie cudowny poranek? Specjalnie wstaję przed wschodem Słońca. Popatrz na te tęcze!

Ulrich mieszkał w pagodzie wzniesionej nad alpejską przełęczą. O świcie, gdy promienie przechodziły poziomo przez zawiesiny dionizydów frontu śródziemnomorskiego, na południowym horyzoncie rozkwitwały błękitno-czerwone tęcze. Z okien na drugim piętrze pagody von Jungingena rozciągał się widok na całe południowe podgórze, aż do zielonych pastwisk i kwiatnych łąk. Ulrichowi przyśnił się był ten widok; opisał go agentowi nieruchomości i kazał znaleźć miejsce, z którego mógłby go podziwiać IRL. Agent znalazł.

Król Bólu przefrunął z balustrady balkonu na poręcz krzesła naprzeciw von Jungingena.

- Jakie tęcze? - zakrakał. Ptasi proxyk nie widział ich swoimi ptasimi oczami. - Chodź do środka, skrzydła mi odmarzną. Że też tobie nie jest zimno!

- Ach, ależ zimnem też się można delectować! - Ulrich pociągnął długi łyk piwa. - Wyfiltruj się albo co. Popatrz na te chmury! Ich cienie na stokach!

- Znowu się ujaraleś.

- Chcesz pepkę? - Ulrich von Jungingen otworzył elegancki pojemnik w kształcie papierośnicy wypełniony czarnymi, owalnymi pigułkami.

Król pochylił dziób.

- Co to jest?

- No pisałem ci przecież! Pępki, *pain pills*! Tu masz kreseczki: jedna - minuta bólu; dwie - pięć minut; trzy - kwadrans. Najwyższa klasa, agonია czyściutka jak kryształ.

Król tylko łypnął na Ulricha czarnym ślepiem.

- Mówię ci - rozpływał się von Jungingen - bólga jak złoto, paluszki lizać, od razu człowiek czuje, że żyje, aaach, w małych dawkach lepsze od dragerki.

Król poznał Ulricha na forum poświęconym bólowi, zanim jeszcze Ulrich zajął się na serio inżynierią neuralną. Ostatnio ich kontakty stały się rzadsze. W tłumieniu bólu i indukowaniu przyjemności osiągnąwszy taką maestrię, że całymi miesiącami żył na krawędzi euforii, Ulrich zwrócił teraz swą uwagę na specyficzną przyjemność „ulgi po bólu”: dla euforyków totalnie zdragerkowanych bólga okazywała się doświadczeniem świeżym, silnym i oferującym błogostan inaczej nijak niedostępny. Von Jungingen zamierzał wprowadzić pępki na rynek, gdy sprzedaż RNAdytorów dragerkowych zacznie znacząco spadać.

Król Bólu wskoczył na ramię Ulricha i dziobnął go w ucho.

- Au!

- Przestań wreszcie chlać - zakrakał Król - muszę z tobą pogadać na trzeźwo.

- Jestem trzeźwy. - Fakt, wysławiał się wyjątkowo wyraźnie. Zazwyczaj von Jungingen był tak nabuzowany endorfinami, że z trudem artykułował głoski, które wymagały czegoś więcej niż jedynie szerokiego otwarcia ust - jego mowa przypominała wówczas składający się niemal wyłącznie z samogłosek bełkot pacjenta pod dentystycznym znieczuleniem.

- Ty nigdy nie jesteś trzeźwy i nigdy nic jesteś nietrzeźwy, w tym kłopot. Na co się teraz nakręciłeś, na piwo?

- To już by była perwersja! Piwo jest piwo.

- No to na co?

Ulrich machnął ręką w głąb pagody.

- Postawiłem sobie piec, wypiekam chleb. Dowożą mi mąkomąkę z pszenicopszenicy. Jadłeś kiedyś jeszcze ciepły, pachnący chlebo-chleb? Powiadam ci -

- Paluszki lizać, wiem. I co, ująłeś się tym chlebem? Weź się pozbieraj do kupy, na litość boską!

- Bo co? Popatrz na te tęcze... Król Bólu dziobnął go w czoło.

- Aua!

- Pamiętasz, coś mi proponował w Kolonii, dwa lata temu? Brigwall, połykacz butów. Zostawiłeś mi kartę krypto. Miałem z nimi porozmawiać w orbitalnym hotelu zero-stazowym. Karta jest już nieaktualna, sprawdzałem. Oni -

- Zaraz. Zaraz! - Von Jungingen strącił sobie Króla z ramienia. - Czy ja dobrze rozumiem -

- Dobrze.

Ulrich odstawił piwo, spojrział na Króla, na zegarek, na Króla, zmarszczył brwi.

- Skądżeś wziął tego kruka?

- Jak to, skąd? Wypożyczalnia w miasteczku na dole. Do ciebie się tu dostać, to - - Jakie krypto? Co to za sieć? Stary Vega, prawda? Cholera. Wykapturzaj się, będę u ciebie na proxyku Lloyda, jak tylko dojadę - mieszkasz za miastem, tak? Skoro musiałeś pod kapturem, to trzeba było zamówić tu sobie porządnego promyka od Lloyda albo PRS.

- Paranoik.

- Ale żywy. No już!

Król zdjął kaptur. Wstał, rozprostował ramiona, wciągnął do płuc miętowe powietrze.

Na plecach gasł mu ból fantomowy po skrzydłach. W pochyłych słupach słońca wpadającego tu z ogrodu obracały się złote drobiny kurzu. Jako dziecko bał się wchodzić w plamy światła, uważał, że dotknięcie tych drobin go rani. Nie pomagały tłumaczenia matki, że kurz jest wszędzie, słońce jedynie czyni go widocznym. Tak czy owak, ból rodzi się i ginie w umyśle. (Albo w neuronach zwojów korzenia grzbietowego).

Podszedł do okna. Psokwiaty w wazonie zwiędły, pozostały obwisłe łodygi cuchnące mokrą sierścią. Wystawił rękę - już nie padało. Słońce, które nad pagodą Ulricha von Jungingena właśnie wschodziło, tu zdążyło się wspiąć pod konary baobabów otaczających posesję Króla i wyznaczających granice jego substazy; tęcze były naturalne.

Przyjmie Ulricha w ogrodzie - nie lubił gości w swoim domu, nawet rodzinę wpuszczał z niechęcią: zbyt wiele można się dowiedzieć o człowieku po tym, jak mieszka. Sprawdzał godzinę i wspiął się na piętro, do garderoby, przebrać się w garnitur. (I tak wszystkie bardzo źle na nim leżały). Dojazd z miasta zajmuje taryfie najmniej pół godziny, ale Ulricha stać na wynajęcie koptera specjalnie dla swego proxyka; wkapturzy się weń tuż po wylądowaniu. Ulricha na niewiele rzeczy nie było stać, sam patent RNAdytorów reprogramujących receptory neurotransmiterów musiał mu przynosić setki milionów. Król poznał von Jungingena już po legalizacji tego rodzaju geneware'u. Von Jungingen zaczynał, sprzedając specjalistyczne RNAdytory przedstawiające receptory delta-9-tetrahydrokanabinolu. Wszystkie narkotyki, na jakie reaguje mózg człowieka (w tym właśnie marihuana z THC), są środkami, do których odbioru *Homo sapiens* został ewolucyjnie przystosowany - gdyby były one dlań rzeczywiście „obce” i „nienaturalne”, jego organizm nijak by na nie nie reagował. Tymczasem owe pochodzące z egzotycznych roślin związki chemiczne wykorzystują ścieżki neurotransmiterów już istniejących: klucze pasują do zamka, mechanizm się obraca, delikwent odlatuje do krainy szczęśliwych snów. Ulrich napisał geneware pozwalający uruchamiać mechanizm euforii dowolnie wybranym przez klienta wytrychem. Dlaczego akurat kokaina wywołuje w mózgu takie reakcje? To kwestia zakodowanego w DNA programu receptorów, równie dobrze mogą reagować w identyczny sposób na inne związki; w skali życia jednostki jest to tak samo naturalne/nienaturalne. Zresztą zawsze można się przeprogramować z powrotem. Toteż zamiast rujnować się na drogie używki, kupujesz Ulrichowy geneware i odtąd ćpasz - na przykład - bułki z masłem, dym z ogniska albo sok pomarańczowy; efekt ten sam. Bardziej zaawansowany geneware uzależnia działanie neurotransmiterów od określonych zachowań lub określonego bilansu hormonalnego - w ten sposób można sobie zaprogramować autentyczne ekstazy cierpienia, orgazmy głodu, szczęście depresyjne. Król czas jakiś żywił nadzieję, że geneware von

Jungingena nareszcie uwolni go od bólu. I rzeczywiście mógł to zrobić, ale, jak zwykle, cena okazała się za wysoka: całkowite oderwanie od wrażeń ciała. A do tego wystarczył Królowi kaptur.

Zaniósł na stolik ogrodowy tacę z owocami i napojami, usiadł na krześle pod gruszokacją. Odczekał kilkadziesiąt sekund, aż ból uwolni go z uścisku i krzywa histaminowa opadnie. Grób Syski miał po lewej, po prawej wejście do ogrodu z podjazdu przed domem. Obejrzał się, gdy na ziemię spadł baobabowy chleb. Ta część ogrodu stanowiła piknikowy trawnik ocieniany przez trzy gruszokacje; trawa na angielskiej licencji była tak gęsta i miękka, że zazwyczaj chodził bosy. Za plecami miał część kwietną, gdzie eksperymentował z gatunkami oryginalnymi i roślinami pisanymi od zera na gratisowych AG - Król był członkiem kilku klubów kreatywnego ogrodnictwa. Wszystkie wyhodowane przez niego chimeryki pozostawały bezpłodne, ich kwiaty puste; jedynym ich celem i usprawiedliwieniem było piękno wykalibrowane przez oczy Króla Bólu. Za podjazdem, po drugiej stronie domu rosły natomiast długoterminowe projekty Króla, rozmaite chimeryki drzewopochodne oraz półlegalne dionizydy. Jeszcze dalej, pod i za południowymi baobabami, Ziegler und Hochkupfer sadził rezerwowe regulatory substazy i szczepionki hybrydowe, niektóre koszmarnie brzydkie. Stąd, od ogrodowego stolika i z głównej części domu, nie były one widoczne. Gdy szło o estetykę, Król Bólu nie godził się na żadne kompromisy.

Ustawił naczynia w symetryczny wielokąt, dzbanki obrócił dzióbkami na północ, poprawił mankiety. Czekał. Przedramiona położył płasko na poręczach, nie ruszał się, wtedy mniej bolało, potrafił zamierać w krokodylim bezruchu na długie kwadransy, nawet pierś ledwo się unosiła. Zamykał również oczy, jeśli światło było zbyt jaskrawe, zbyt duży ruch barw.

- Żyjesz? Żyjesz? Boże Miłosierny Litościwy, a jemu co znowu się stało?! Hej! - Tak wołała Janka, ujrawszy go po raz pierwszy; czekał na nią tu w ogrodzie, powiedziała, że przyjdzie się wytłumaczyć, następnego dnia po Rio. Przyjechała na rowerze, oparła go o baobab i zaszła Króla od tyłu. - No powiedz coś!

- Nie dotykaj mnie!

- Okay, okay. Już. Uff, wystraszyłeś mnie. Kiedy ostatnio się widzieliśmy? Znacząco, osobiście? Odwiedziłam cię tu raz z mamą, ale kiedy to -

- Siedem lat temu.

- Ach, była burza, tak, gdzieś tu w okolicy uderzył piorun, rozbeczałam się wtedy okropnie, co? No popatrz, jakie rzeczy się zapamiętuje z dzieciństwa. Potem już zawsze wspominałam cię z błyskawicą w tle, z grzmotami. Ha! Wujek-odludek. Gdybyś -

- Siadaj.

Usiadła, naląła sobie soku. Przypatrywała się Królowi, nie kryjąc ciekawości, jasnymi, poważnymi oczyma; wargi jednak same układały się jej do uśmiechu.

- No co? Wujek się gniewa? A jak ładnie przeproszę?

- Skąd wiedziałas?

- Co?

- Skąd wiedziałas, że będę w Rio? Skąd miałaś zamiary na mojego proxyka?

Dopiero zaczęła się śmiać. Ze śmiechu dostała czkawki; znowu musiała się napić.

- Szpieg! Agent tajny! Maacki mam liczne i długie - zanuciła - wszystko wiem.

- No dobra, usłyszałaś moje nazwisko, przedstawiłem się. Ale skąd w ogóle się tam wzięłaś? Byłaś z kimś, jechaliście na takich samych chimerykach. Nie mów mi, że to wszystko w ramach researchu do pracy semestralnej.

- Co może robić dziewczyna z Europy w anarkiach Ameryki Południowej?

- Mediacy, co zęby pozjadali na takich politycznych imprezach, nie dostali się do środka, a wy tak. Pytałem ivanowców, ale to nie oni za was ręczyli. Biskup? Wątpię. Musieliście wejść na szyfrze którejś z delegacji. W coś ty się wplątała?

- Nie wydałeś mnie matce.

- A powinienem był? Ty mi powiedz.

Spowaźniała. Podciągnęła nogi pod siebie, siadając bokiem, by zwrócić się bezpośrednio ku Królowi. Oparła łokieć na blacie - Król odsunął się od stolika.

- Mówiłam szczerze. Wczoraj w Rio. Pamiętasz? Zależy nam, żeby -

- Komu? Jakim „nam“?

- Mam przyjaciół, poznaliśmy się w Korpusie Pokoju, przecież wiesz, jako wolontariuszka pracuję na proxykach w misjach edukacyjnych na Południu. Uczymy tam ludzi wykorzystywać publiczny geneware, organizujemy pomoc, uczymy czytać i pisać, doprowadzamy sieć, pilnujemy przepływu dotacji, patrzymy na ręce lokalnym politykom, walczymy o zachowanie oryginalnego genomu pod Otwartym Niebem -

- Aniołeczki moje.

- No! Dlaczego wujek szydzi?

Spojrzał na nią i zmieszał się. Rzeczywiście, dlaczego szydził?

- Przepraszam. Odruch starego cynika.

- Akurat. O ile jesteś starszy? Dziesięć lat?

- Przepraszam.

- Co śmiesznego jest w nadziei na sprawiedliwy, wolny świat, w którym miliardy nie

głodują, nie giną od idiotycznych chorób i chimer, wszyscy mają dostęp do sieci i mogą się uczyć, mogą pracować - co jest w tym takiego śmiesznego, że nie jesteście w stanie wysłuchać żadnego argumentu, nawet porozmawiać nie można, tylko od razu uśmiezki wyższości, szydercze dowcipy i lekceważące *one-linery*? Myślałam, że to ja, że my, że skoro od młodych... Ale w Rio było tak samo. Proxyk, nie proxyk, bez różnicy - wyśmiać. Pamiętasz, coś mi odpowiedział?

- Że musisz być bardzo młoda, skoro jeszcze nie wyrosłaś z takich nadziei.

- Historia Valdeza niczego was nie nauczyła? Sam mówiłeś. Nikt się nie spodziewał, wszyscy myśleli, że zawsze będziemy wyłapywać terrorystów na czas, albo że ich groźby okażą się blefami, albo że nigdy nie zdobędą naprawdę niebezpiecznej broni. No i co? Proszę. A mimo to dzisiaj znowu identyczne zaślepienie. Czy ja mówię o jakiejś utopii? Szczęściu i dobrobyciu dla każdego? Nie. Mówię jedynie o życiu przyzwoitym, o życiu bez nędzy, głodu, niekoniecznego cierpienia, w zdrowiu, pod rządami sprawiedliwości, z szansą na wykształcenie, pracę i karierę dla każdego, tak, dla miliardów - bum, wpadam na mur: niewyobrażalne, więc nikt nie próbuje sobie wyobrazić. I koniec dyskusji, dzieciaki splawione. Jacy mądrzy jesteśmy, jacy dojrzały, jak nam do twarzy z cynizmem! Rzygać mi się od tego chce!

- Spadniesz z krzesła.

- *Fuck you!*

Aż się zarumieniła. Po jej spoconej szyi wędrowała muchomucha, Janka najwyraźniej w ogóle nie czuła dotyku odnóży owada, Król Bólu przypatrywał się temu przez chwilę, zafascynowany. Potem na powrót zamknął oczy.

Słyszał, jak dziewczyna powoli uspokaja oddech.

- Więc - więc czym się zajmujesz? doradzasz grubym rybom, jak mogą orznąć inne grube ryby, tak?

- Za to najlepiej mi płacą.

- A co poza tym?

- Kwiaty hoduję. Rośliny różne. Chimeryki, hybrydowce, tabularazy.

- Mama mówi, że nie wychodzisz z domu.

- Dom, ogród, jak daleko sięga cień drzew. Nie, nie wychodzę.

- Nigdy?

- Nigdy.

- O kurde.

Wzruszył ramionami.

- Taka karma. Staza unijna gryzie się z plastusiowymi genami.
- No to cię zestandaryzuje, jak wszystkich. Co za problem?
- Wszystkich... Jak standaryzuje ciało, zawsze można to przeżyć. Ale jak standaryzuje geny odpowiadające za strukturę mózgu - rozwała umysł. No to jest śmierć, nie?
- Żywica ma zakaz upgrade'owania genów od układu nerwowego.
- Nie musi upgrade'ować. To ja się urodziłem niezgodny ze standardami, a one z czasem jeszcze bardziej się oddalały. Jakbym chciał się przepisać na *Homo sapiens stasis*, równie dobrze mógłbym sobie strzelić w łeb. Kula też ładnie przedstawia neurony.
- Więc - więc całe życie tutaj, w domu, w ogrodzie?
- Noo, sporo czasu spędzam na proxykach.
- *Shiiit* - westchnęła niemal z podziwem.

Uśmiechnął się do Słońca, ciepła jasność malowała powierzchnie opuszczonych powiek.

- A ty - gdybyś trzymała łapki z dala od kapturka, tyle byś wiedziała o świecie i ludziach, co by ci na tiwipiecie zamigotało, co byś sobie z kumplami wyjarała pod Księżycem. Dlaczego Korpus Pokoju stał się tak popularny? Cierpienie niedoświadczane, cudze cierpienie telewizyjne - w końcu zawsze znudzi. Natomiast proxyk daje iluzję współuczestnictwa. Kaptury pozwalają praktykować cnotę miłosierdzia. Kto powiedział, że technologie zrodzone z chciwości nie mogą ostatecznie okazać się prawdziwym błogosławieństwem dla ciała i duszy? I oto teraz mamy kolejne pokolenie, które gotowe jest dla ideałów miłości bliźniego kłaść na szali własne życie. Jak mówiłaś? Zdrowie, dach nad głową, praca, wykształcenie i sprawiedliwość dla każdego człowieka na Ziemi. Tak?

- Mniej więcej.
- Nigdy się to nie udało.
- A co to za argument? Nie wyszlibyśmy z jaskiń, gdyby w ten sposób -
- Wiem, ale musisz przyznać, że to nie jest tak, że nikt sobie wcześniej tego nie wyobrażał - wręcz przeciwnie, wielu sobie wyobrażało i właśnie próby realizacji tych wyobrażeń nauczyły nas cynizmu.
- Jeśli mi teraz wyjedziesz z Leninem i Stalinem i Pol-Potem -
- Cśśś, posłuchaj lepiej, jak grają żuczoty.
- Co
- Cśśś, spokój, nie zdradzę nic matce. Opowiesz mi, coście wymyślili w tym Korpusie.
- Które to żuczoty?

Otworzył oczy.

Muskularny blondyn w trykocie lotniarza usiadł okrakiem na krześle po drugiej stronie stołu.

- Nie zamykasz bramy, dom wpuszcza tak każdego?

- Nie czytałeś tablic ostrzegawczych przy drodze? Gdybym akurat nie życzył sobie przyjmować gości, już po pierwszym zakręcie alergię rozdełyby cię jak purchawkę.

- Sąsiedzi przepadają za tobą.

- Możliwe, nigdy żadnego nie spotkałem.

Ulrich von Jungingen wychylił pół dzbanka soku cytrarbusowego.

- Uff, no dobra, transmisja czyściutka, gadaj.

- To jest nadal aktualne?

- Co?

- Wiesz, co. Twoja propozycja.

- Nie moja. Ja tylko, mhm, przekazałem zaproszenie od znajomych.

- To znaczy, od kogo? Mafii, prawda?

Ulrich skrzywił się kwaśno. Grymas, przemnożony przez mimikę świeżego proxyka, ukazał się obleśną karykaturą miny.

- Mafii, nie mafii, cholera ich tam wie. Słuchaj, a jaką ja mam gwarancję, że ktoś cię tu nie namierzył? Może byśmy się przeszli kawałek, co?

Wstał.

Król Bólu podniósł się ostrożnie, wygładził marynarkę, przygryzł wargę, wygładził marynarkę ponownie; zmięła się jeszcze bardziej. Ruszył powoli ku baobabom.

- Nie mogę za daleko.

- O, tam.

- Dwieście, trzysta metrów.

- Myślałem, że wykupiłeś ziemię aż do szosy.

- Tak, ale ciężko utrzymać substazę na otwartej przestrzeni. Wiesz, ruch powietrza, deszcze, nasiona roślin, owady...

- Monsuny co roku rozwalają stazy żółtkom i Hindusom.

- No właśnie. Musiałbym bulić lebenmaistrom nieziemskie sumy. I tak nieźle mnie doją. Boję się, że jeszcze parę aktualizacji stazy unijnej i genetyka Żywicy zupełnie odjedzie. Nie tylko że nie będę mógł opuścić swojej stazy, ale proxyki europejskie i w ogóle nikt na genetyce UE - nie wejdzie do mnie. Wtedy pozostanie mi się zahermetyzować.

- Albo wyemigrować. Na jakąś wyspę pośrodku oceanu.

- Albo wyemigrować.

- Sprawdziłeś ofertę Atlantydy? Za czterdzieści milionów wyhodują ci stuhektarową wyspę poza szelfem, ze wszystkimi bajerami: flora, fauna i zapieczętowana homeostaza AG.

- Zakładasz, że mam czterdzieści milionów.

Doszli do baobabów. Oczywiście nie były to baobabobaobaby - choć nie mniej potężne od oryginałów, o pniach dziesięciometrowych i wielopiętrowych koronach rozkładających się w szerokie tarasy zieleni. Stanowiły jeden z głównych elementów substazy Króla Bólu, otaczały jego dom i ogród nieregularnym okręgiem o średnicy bliskiej kilometra. Ich systemy korzeniowe wypiętrzały się ponad grunt, splecione z sobą w jeden ciąg laokoonicznych mięśni drzewnych, tłusty czarnoziem spływał z nich długimi skibami.

- Więc dlatego przyszedłeś. A myślałem, że plastusie śpią na złocie.

Król ostrożnie przysiadł w rozwidleniu korzenia. Między pniami baobabów otwierał się widok na pofałdowaną równinę, zieloną, żółtą, brunatną, zieloną. Nisko na północnym horyzoncie, nad miastem, wisiały szare pasma żywicznych dionizydów. Wiał chłodny wiatr. Król odetchnął głęboko i rozkaszał się. Przez chwilę z bólu nie mógł mówić, charczał tylko, zgięty wpół. Von Jungingen czekał. Podniósł patyk i drapał się nim po plecach. Trówki i malignięta buczały w powietrzu.

- Pieniądze - mruknął Król Bólu - oczywiście. Khrr. Jak mówiłeś? Że dadzą cztery razy więcej?

Ulrich wzruszył ramionami.

- Czarny rynek, przemysł nielegalny zawsze generuje wielokrotnie wyższe zyski - bo jest nielegalny. Organizacja, która będzie tu miała na usługach plastusiowy umysł, zdobędzie wyraźną przewagę. W legalnym biznesie to się rozmywa, sam wiesz, ale tu miałbyś realny wpływ, zobaczyłbyś efekty swoich działań.

- Geniusz zbrodni.

- He he, oczywiście przez łańcuszek pośredników i podstawionych firm konsultingowych, na proxykach pod ciężkim krypto. Na pewno i tak bez przerwy najmują was do problemów topsekretnych i szemranych biznesów rządowych, mam rację? A forsa jest forsa.

- Jakżeś ty w ogóle się z nimi skumał? Przez dragerki, prawda?

Ulrich zrobił minę niewiniątka, tym razem twarz lepiej go posłuchała.

- Nie moja wina, że prawo nie nadaża za technologią. Pamiętasz, jak wypuściłem dragerkę cukrową, to wyskoczyli jacyś politycy, co chcieli wpisać na listę substancji zakazanych glukozę, fruktozę i pochodne! Paranoja totalna. Trzeba było załatwić sobie lewe dojścia. I przez te parę lat cwaniaczki z organizacji nieźle się na mnie obłowiły. Bo prawda

jest taka, że ja to mogłem pichcić dla sportu w piwnicy, ale w momencie jak wypuściłem pierwszą serię dragerek, rozpieprzyłem rynek przemytnikom naturalnych narkotyków i połowa cyngli mafijnych miała na mnie zlecenie. Musiałem sobie zapewnić ochronę. Więc poszedłem pod skrzydła chłopaków z Wiednia - oni dostali monopol na technologię, a ja ochronę i procent z zysków. Właściwie to szkoda, że zalegalizowano dragerki... Anyway, wiedeńscy riebniata zakładają filie we wschodnich stazach i zgodaliśmy się kiedyś przy chlebie, jak bardzo by się im przydał taki plastusiowy łeb. No więc...

- Taak.

- To jak będzie?

Król wyprostował się, przeciągnął. Uśmiechał się, nie potrafił tego opanować.

- Pieniądze, oczywiście; będziemy rozmawiać o pieniądzach. Ale warunek jest inny.

- Warunek?

- Czy wejść, czy nie wejść. Podstawowy warunek - czy ci wiedeńczycy siedzą w przemyśle ludzi?

- W czym?

- Jak ktoś chce fizycznie uciec ze stazy pod Otwarte Niebo, bez oficjalnej wizy, albo do innej stazy, o ile to w ogóle możliwe, ale pewnie kupić można wszystko, także autentyczny kod wizowy - więc jak ktoś chce wyemigrować na czarno własnym ciałem, to jak to robi? Muszą go przepisać na lewo w jakiejś zaufanej klinice i przemycić w zahermetyzowanym pojemniku. Prawda? To niewielki rynek, ale na pewno istnieją specjaliści, szlaki przemytu, sprawdzone metody.

- Mhm, musisz nielegalnie? Bruksela nie chce cię wypuścić?

- Nie ja. Szukam człowieka, który tak wyemigrował. Znaczący, domyślam się, że wyemigrował. Tydzień temu, więc może da się go jeszcze złapać w klinice albo w hermie. Jak mi go wiedeńczycy znajdą na czas, to będą mieli plastusiowego *consigliere*.

- No, ja tego zagwarantować nie mogę.

- Przekaż po prostu. I żeby się pośpieszyli: z każdą godziną maleją ich szanse.

- Ale umowę trzeba sporządzić wcześniej, żebyś się potem nie wykręcił, jak oni już robią swoje.

- Byle szybko.

- Na pewno zagonią setkę prawników do spisania kontraktu dla plastusia.

Król Bólu wstał.

- Będziesz to przeciągał? Chcesz sprawdzić, komu zależy bardziej?

- A ty nie pytasz o szczegóły? Nie chcesz wiedzieć, co to za ludzie?

- Nie.

- Skok na główkę z zamkniętymi oczami, co? - Von Jungingen złamał patyk, kawałki rzucił na słoneczną łąkę, w rój jętkomotyli. - Cholera, czuję się jak adwokat piekła negocjujący cenę za duszę śmiertelnika.

- O tym w każdym razie historia Fausta milczy.

- O czym?

- Jaki to jest kop adrenalinowy - Król Bólu zatarł ręce - sprzedawać własną duszę!

Ulrich von Jungingen spojrział w Słońce.

- Myślisz, że można zaprogramować dragerki na reakcję na wyrzuty sumienia? To byłby odlot!

Król Bólu i bestie

++ *KING_OF_PAIN*

connections established

054500 CET/ 034500 GMT-1

IP: <anonymized>

system: MS Puppeteer 7.10

crypto: Absolute Asymmetry 03EEI3K98R3MD9394

master: KING_OF_PAIN

slave (1): DRACO_SEPTIS#212

slave (2): DRACO_SEPTIS#199

slave (3): ICARUS_FALLING

slave (4): LEVIATHAN#7

body provider (1): property of KING_OF_PAIN>

body provider (2): <property of KING_OF_PAIN>

body provider (3): <property of KING_OF_PAIN>

body provider (4): Avalon Health Care Center

Nigdy się tak nie zaczyna: prąd wzdłuż kręgosłupów, mur powietrza pod łuskami brzucha, zygzakowaty horyzont rozkołysany przed zbyt szeroko rozstawionymi ślepiami, pod skrzydłami kudłate chmury.

Powietrze ma konsystencję budyniu, poniżej gęstszego, od góry rzadszego. Zmysłem, którego nie potrafi nazwać, Król Bólu wyczuwa w nim prądy, warstwy, konwekcje. Nie musi

poruszać skrzydłami, niesie go na zachód szybki wiatr od Morza Północnego - Król porusza się w powietrzu, a powietrze porusza się wraz z nim.

Niebo jest ciemnogrnatowe, chmury - szaroróżowe, ocean - przed Królem czarny, za Królem - purpurowy. Z oceanicznej purpury wylania się grzbiet wełnistej grzywy Słońca. Gdy Król obraca łeb i spogląda za siebie (może to zrobić, ma długą, węzową szyję), widzi pełne spektrum elektromagnetycznych lun jutrzeńki. Jest 4.47 czasu Greenwich, „Eusebia Bianca” powinna właśnie przecinać dwudziesty piąty południk, zaraz ukaże się na horyzoncie - gadzia krew rozdyma serca Króla Bólu, gruczoły hormonów stresu i agresji pompują swe trucizny - Król rozwiera paszczę i wydaje długi ryk, na który -

+ - *hood off*

++ *hood on*

- odpowiada sobie identycznym rykiem. Ześlizguje się po fali powietrza w prawo, aż zrównuje się ze sobą w locie, i szybuje odtąd skrzydło w skrzydło, ogon w ogon, dwie białobłękitne bestie na tle jaśniejszego nieba. Spogląda na siebie prawym ślepiem - potrafi tak patrzeć - i widzi -

+ - *hood off*

++ *hood on*

- to -

+ - *hood off*

++ *hood on*

- samo -

+ - *hood off*

++ *hood on*

- co -

+ - *hood off*

++ *hood on*

- ślepiem -

+ - *hood off*

++ *hood on*

- lewym. Mogliby pochodzić od jednej matki i ojca, gdyby pochodzili od matki i ojca. Taką AG piszą na zamówienie czarnorynkowi inżynierowie wychowani na Tolkienie i Baście, obdarzeni nadmierną wyobraźnią magistranci bawią się nią po nocach na wydziałowych sekwenserach. Jednorożce, balrogi, smoki, szeloby, nyarlathotepy. Nigdy nie wychodzą z sekwenserów poza suche symulacje. Chyba że.

Król szczyrzy do siebie żółte kły.

„Eusebia Blanca” pojawia się w prześwicie między chmurami jako zaledwie punkt na linii horyzontu. Jasny przecinek kilwatu wskazuje kurs statku: południe-południowy zachód. Król ogniskuje astygmatyczne spojrzenie na niebie ponad okrętem. Ikar powinien się już kondensować, kaptur na razie go nie rozpoznaje, ale menadżer zapewnia, że nie ma opóźnienia, a łącze kontrolne działa. Król mruży ślepie. Obłok czy nie obłok? A przecież w tym rzecz, iż do ostatniej chwili Ikar ma pozostawać nieodróżnialnym od cumulusa; barwy skrzydeł i brzucha Króla również dobrano z myślą o kamuflażu na tle nieba.

4.50. Schodzi pod chmury. „Eusebia Blanca” rośnie przed nim z każdą sekundą. Spogląda w dół i widzi rzucone przez siebie na gładką powierzchnię oceanu dwa bliźniacze cienie w kształcie krzyży o bardzo grubych ramionach, rozciągnięte na kilkadziesiąt metrów w przód. Na tle Słońca Król powinien być niewidoczny; jego profil radarowy odpowiada profilowi pary przerośniętych albatrosów.

4.51. Widzi na „Eusebii” poruszających się ludzi i światło w oknach nadbudówek. To eks-drobnicowiec, przebudowa ograniczyła się do wnętrza, z zewnątrz nie wygląda wcale solidniej niż większość licytowanych za grosze jednostek bezużytecznych dziś flot handlowych. Król wyciąga na kaptur dostarczone przez wiedeńczyków plany statku, sprawdza, czy symulacja taktyczna pokrywa się z obrazem rzeczywistym.

Ikar otwiera pełne łącze z kapturem.

4.52. Król ściąga skrzydła do tułowia i pikuje z wysokości ku rufowemu pokładowi „Eusebii Blanki”; na dziesięciu metrach rozpościera je gwałtownie po raz ostatni, prostuje tylne łapy i, podpierając się ogonem, ląduje na statku. Metal dźwięczy głośno, dzwon uderzony młotem; szpony Króla drapią pokład, dźwięk musi być trudny do zniesienia dla ludzkich uszu.

Sekundę później młot uderza ponownie: ląduje drugi proxyk. Zawiadywany teraz przez cogitoware wzorowany na drapieżniczych mindwormach, draco siada obok Króla z iście gadzim wdziękiem. Król ogląda się na niego, wyginając długą szyję i balansując ogonem. Tamten reaguje uśmiechem z trzech tuzinów krzywych kłów. Król szczyrzy się w odpowiedzi. Ogony biją o reling. Zaryczeć! Król Bólu potrząsa łbem.

Potrząsa łbem, obraca się na tylnej łapie i rzuca na drugiego proxyka. Dwoma kłapanięciami szczęki odgryza mu skrzydła; resztki skóry rwie przednimi łapami. Draco sięga ponad barkiem Króla i zaciska kły na skrzydle nad prawą jego łopatką; Król szarpie się wstecz, by czym prędzej oderwać skrzydło. Puszczają wiązadła, chrząstki, ścięgna, mięśnie - ból strzela wzdłuż kręgosłupów aż do podstawy płaskiej czaszki Króla. Król podsuwa

bliźniakowi lewe skrzydło. Rach!

Z dwupiętrowej nadbudówki na śródokręciu wyszło już kilka osób, przyglądają się potworom rozszarpującym się nawzajem w strugach żółtej krwi.

Król staje pewnie na tylnych łapach, prostuje się, znajdując nową równowagę dla okaleczonego ciała. Ogon wznosi się ponad jego łbem skorpionim łukiem, równoległe do węzowej szyi. Jeden krok, drugi - włączają się programy kompensujące - trzeci, czwarty - bliźniaczy proxyk podąża obok - piąty, szósty - z każdym szybciej - Król biegnie ku nadbudówce długimi susami -

+ - *hood off*

+ + *hood on*

- skręcając, zwijając, zaciskając się w węzeł, pięść, obuch, granat, którego nic już nie powstrzyma przed upadkiem, uwolnione kieszenie wodoru pękają z hukiem (którego nie słyszy), w szarej zawieszynie chmury tworzy się wir, otwarty ku oceanowi lej, przez niego Król spada, przyspieszając, prosto w dół, na powiększający się błyskawicznie długi prostokąt „Eusebii Blanki” - spada, spada, spada - już widzi mknące wzdłuż jego osi dwie błękitne sylwetki - owadzie oczy pokrywające dolny pancerz Króla budują monochromatyczny obraz z drobnych cekinów światła - pośrodku prostokąta powiększa się ciemny kwadrat, z którego wyłaniają się mniejsze sylwetki - ludzie - kwadrat, przecięcie przekątnych - Król uwalnia ostatnie bąble wodoru, korygując tor lotu - tor upadku - aby uderzyć w sam -

+ - *hood off*

++ *hood on*

- środek nadbudówki, jak meteor, V2, pięść Boga, rozpędzona masa wbija się w płaski dach, znikając we wnętrzu konstrukcji; gdyby Król się nie spodziewał, w ogóle nie spostrzegłby Ikara. Lecz skutki impaktu odczuwają wszyscy. Przez okna i drzwi i wyrwy w ścianach wydostaje się fala eksplozji, niosąc ze sobą szkło, metal, fragmenty mebli, mechanizmów i ciał. „Eusebia Blanca” szarpie się jak koń dźgnięty ostrogą, w górę, w dół, w górę; tylko proxyki Króla zachowują równowagę. Alarmy okrętu wyją, dzwonią, piszczą, dudnią. Zza burt wznoszą się gigantyczne fontanny wody. Pokład przechyla się gwałtownie. Ludzie krzyczą.

Król wbiega w ruinę. Ciemną szczeliną zgniecionego korytarza idzie naprzeciw niemu fala gorącej pary - połyka go i wybucha białym gejzerem pod niebo. Król biegnie w głąb statku, prac przez szarą mgłę bez wahania, prowadzi go kapturowa projekcja „Eusebii” wirtualnej - jak dotąd, zgadza się z „Eusebią” rzeczywistością. Tędy, tędy, tędy, tu skręcić, tu zeskoczyć na niższy pokład, tu wyrwać drzwi i wdrzeć się do hermetycznej części statku. Z

tyłu słyszy kroki drugiego proxyka. Biegna w jednym tempie. Ludzie, których napotyka - jeden, drugi, trzeci i para w fartuchach lekarskich - albo w ogóle nie dostrzegają draco, oślepieni, zdeorientowani, ciśnięci na podłogę, na ścianę; albo, spostrzegłszy, gapią się w stuporze, póki bestie nie znikają im z oczu - co trwa sekundę, ułamek sekundy.

4.54. Są już na docelowym pokładzie. „Eusebia” przechyla się coraz bardziej, Król brodzi w zimnej wodzie. Odlicza sale: prawo, lewo, prawo, lewo, prawo. Przez korytarz pełźnie na czworakach pielęgniarza; przeskakuje ją. Pielęgniarza podnosi wrzask. Król w biegu przebiega przez służbę izolatki, wpada do środka wraz z dwiema parami drzwi i kupą lepkiej bioelektroniki. Strąca ją z siebie i rozgląda się po wnętrzu kabiny. W przezroczystym sarkofagu, zawinięta w kilka całunów i sieci transfuzyjnych, śpi młoda kobieta. Król Bólu pochyla się, by odczytać umieszczone na sarkofagu ID, strąca przy tym ogonem naścienną szafkę. Mruży ślepią. ID zgadza się. Syczy przez kły. Rozbija sarkofag, wyjmując kokon z kobietą, przyciska ją szponiastymi łapami do błękitnych łusek piersi. Obraca się - drugi proxyk jest już przed nim, teraz on będzie prowadził. Wypadają na korytarz. Podnosząca się z wody pielęgniarza z powrotem pada na czworaki; krzyczy i krzyczy.

Biegna w dół, zgodnie z nachyleniem pokładu, tam, skąd wdziera się do wnętrza „Eusebii” spieniona woda. Gdyby znajdowały się na ich drodze zamknięte grodzie, woda by się tu nie przedostała - nie ma grodzi, droga jest wolna. Zatrzymują się dopiero przed ścianą dymu i ognia. Król wyteżę wzrok, ale nie potrafi jej przejrzeć. Jeśli wszystko poszło zgodnie z planem (a menadżer kaptura nie informuje go o żadnych problemach), Ikar przeszedł przez konstrukcję „Eusebii” nie dalej niż pięć metrów stąd, tam powinna ziać w poszyciu statku dziura - od dachu nadbudówki, poprzez wszystkie jej kondygnacje, podpokłady, aż po zęzy i dno - dziura, przez którą wdziera się właśnie Atlantyk, a wraz z nim -

+ - *hood off*

+ + *hood on*

- bleeee, bleep, bleeee, co za ohyda, te smaki kanciaste, te wódnie oślizgłe, to odcisnienie wyskórne, i jeszcze jak wywraca Króla cug odgłębny: to na grzbiet, to na boki, trudno utrzymać równowagę, łatwo się zgubić w ruchu ciepłych mas, które tu, przy powierzchni, przy krańcu świata, przemieszczają się w sposób tak chaotyczny, wszystko jest tu szybsze, ściętsze, marnijne, cielsko Króla Bólu raz po raz zostaje zepchnięte z wytyczonego przez menadżer kaptura toru, mięśnie tułowia, płetwy i ogon pracują niez mordowanie, ku górze natomiast pcha Króla samo odcisnienie, ku górze, ku światłu, które otwiera się przed Królem jak mętny ukwiał, rozgwiezda oślepiających nadkolorów, ślepią odruchowo okrywają się grubszą błoną, ale zaraz i ona nie wystarcza, skoro łeb Króla

przebija powierzchnię świata i na wszystkie zmysły zwała się ohyda tysiackrotna, bleeeee -

+ - *hood off*

++ *hood on*

- gdy skaczą przez dym i płomienie, najpierw bliźniaczy proxyk Króla, potem sam Król z kokonem w łapach, dwa susy i stoją po uda w wodzie, której poziom podnosi się tym szybciej, im szybciej przechyla się „Eusebia Blanca”, tonąc w dwóch kawałkach, rozłupana na pół, oddzielnie część rufowa i oddzielnie część dziobowa, zanurzają się w ciemnych odmętach, w powolnym wirze wzburzonej wody, tuż przed pyskiem Króla Bólu, który wparł się ogonem w pokład osuwający się w ów wir, zaparł się pół metra przed krawędzią sufitu i górnych pokładów, z nich bowiem sypie się nieprzerwany deszcz maszynowych szczątków, niektóre z nich płoną, niektóre jeszcze rozpadają się w locie. Alarmów i krzyków ludzkich prawie nie słyhać: trzeszczenie giętej i rwanej materii statku jest o tyle głośniejsze, zagłusza wszystko inne, także szum wody, huk ognia, trzaski wyładowań elektrycznych - a nawet gulgotliwy ryk, z jakim wynurza się z wiru, w obłoku brudnej piany i pary wodnej, wielorybi łeb lewiatana, już rozwarto zapraszająco, jamochłonna paszcza o średnicy sześciu metrów, ofrędzlona białymi wąsami, zielonymi naroślami. Wzbudzona przez lewiatana fala obmywa mnie, unoszę wyżej kokon z kobietą. Postępuję naprzód, wymijając drugiego proxyka. Z ciemnego otworu gębowego potwora mój wysuwa się i rozwija długi, szeroki jęzor, porowaty mięsień ociekający gorącymi sokami organicznymi, dalej, dalej, jeszcze dalej - postępuję dwa kroki, spod tylnych łap ucieka mi pokład, już tylko wklonowany między rozdarte płyty ogon utrzymuje mnie w pionie - cuchnący morską zgnilizną jęzor sięga ku mnie niczym macka ślepej ośmiornicy - prostuję ogon, odbijając się w śmiertelny wir, w ostatniej chwili przed zanurzeniem wciskając kokon w środek lewiatanowego jęzora, który natychmiast, jak cięty prądem, zawija się wokół ciała, roluje w gruby wał i cofa w ciemność zamykającej się już paszczy, gdy sam potwór cofa się pod powierzchnię wody. Jedna fala, druga, trzecia, każda kolejna pokrywa go wyżej, czwartej wszakże już nie widzę, wir wessał mnie wcześniej, wessała mnie zimna ciemność, i tak spadamy obaj, ja i ja, wszyscy trzej, ja i ja i ja, w otchłań oceanu, gdzie jeszcze unosi się gęsta zawiesina szczątków czwartego mego ciała; wszyscy zapadamy się w mrok.

- - *KING_OF_PAIN*

connections aborted

Król Bólu i alterroryści

Grzbiet meduzowca kołysał się lekko pod stopami Króla. Król nie powinien był w ogóle czuć kołysania, ale trafił mu się wyjątkowo wrażliwy proxyk, a na północnym Atlantyku wzbierał właśnie sztorm. Jeszcze nie lunął deszcz, lecz na horyzoncie od Zachodu już się przeżyły sine jelita chmur burzowych, gęsty fiolet rozlewał się z nich na niebo i na morze, Słońce dawno w nim utonęło - choć do nocy pozostało dobrych kilka godzin, muezzin meduzowca nie wzywał jeszcze na al-maghrib.

Król Bólu przeszedł przez rynek; rozszczękały się za nim rozdęte baloniasto puchaktusy. Skręcił w cień podstawy jednej z trzech latarni morskich meduzowca i po szerokich kamiennych stopniach, flankowanych przez półżywe posągi krakenów, wstąpił na Taras Zachodni. Przy balustradzie stało dwóch proxyków w drogich garniturach, z kubkami parującej cieczy w dłoniach, i w przerwach cichej konwersacji pluli za balustradę w burzące się kilkanaście metrów niżej fale. Na drewnianej ławce samotna dziewczyna czytała książkę, opatulona w zielony runokoc.

Przysiadł obok.

- Gutwald? To jakieś romansidło jest? Myślałem, że zaczytujesz się Kurzajewskim.

Janka spojrzała nań podejrzliwie.

- Zidentyfikuj się, cwaniaczku.

Na czarnym horyzoncie zaślniła pierwsza błyskawica.

- Burza, no właśnie, siedem lat temu rozplakałaś się u mnie podczas burzy.

Janka starannie wsunęła zakładkę między strony, zamknęła książkę, uwolniła ramię spod szeleszczącego na wietrze runokoca - i zaczęła walić Króla grubym tomem po głowie.

Z początku Król nie bronił się, przyjmując te rytmiczne ciosy ze śmiechem - ale zaraz spostrzegł, że Janka wcale się nie uśmiecha, że nie jest to po prostu jej sposób na rozładowanie niezręcznej sytuacji, żartobliwa bójka, jak te poduchowe bitwy dzieci, które Król Bólu znał z filmów. Nie, Janka biła z zaciśniętymi ustami, głową pochyloną, zmrużonymi oczyma. Wiedziała, że nawet jeśli stłucze proxyka Króla do nieprzytomności - no to, cóż, stłukła proxyka; nie ma to znaczenia. Dlatego nie było w tym furii i ognia. Biła, dopóki Król nie wyrwał jej książki i nie odsunął się poza zasięg ramion dziewczyny. Wtedy z powrotem zawinęła się w koc.

- Widzę, że doszłaś już do siebie, co?

Nie odpowiedziała.

- Dobrze cię traktują? Opłaciłem pełną obsługę. Nie masz wyjścia na sieć, ale, jakby co, możesz mnie łapać pod domowym. Wszystko okay?

Nie odpowiedziała.

- Sorry, że dopiero teraz... Nie było co tracić czasu i komplikować wszystkiego: kazałem im od razu przepisać cię z powrotem na geny unijne. Kombinujemy teraz, jak przemyścić cię na kontynent. Policji powiemy, że zabalowałaś gdzieś na parę tygodni, nakręciłaś się dragerkami i zapomniałaś. Będziesz musiała porozmawiać z Fatimą, nieźle jej to pojechało po nerwach, wyobrażasz sobie.

Nie odpowiedziała.

- Wszyscy się baliśmy o ciebie.

Nie odpowiedziała.

- No, zdrowo ci odjechało, cholerna kretynka bez serca, miłych snów.

Wstał.

- Pozabijają ich teraz wszystkich.

Proxyk Króla miał dobry słuch, wychwycił ten szept mimo rosnącego szumu wiatru i hałasu fal bijących o elastyczne ciało wyspy.

- Kogo? Kto?

Janka obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem.

- Pewnie już nie żyją. Przeżył ktoś w klinice?

- Na statku? Nie wiem.

- Nawet nie sprawdziłeś! Opowiedzieli mi tutaj, jak to wyglądało. Plastusiowa subtelność, kurwa mać!

Król Bólu potrząsnął kalejdoskopem w swojej głowie. Nowy obraz się ułożył.

- Ci twoi kumple, alterterrorysty, z którymi trzymałaś, Mrówki - to było zaplanowane, więcej was uciekało, prawda? Ile Mrówek przepisywało się na „Eusebii” na AG Otwartego Nieba?

- Kilkoro. Kilkanaście. Nawet nie sprawdziłeś!

- Rozumiem. A ci, co zostali w Europie - muszą teraz uciekać przed cynglami przemytników, przemytnicy myślą, że to Mrówki ich wydały. Rozumiem.

- Nie rozwaliłbyś nas lepiej, nawet jakbyś pracował dla Interpolu. - Poderwała głowę. - Pracujesz dla Interpolu?

Król Bólu zamyślił się. Za nim, nad morzem, uderzyły jedna po drugiej trzy błyskawice, elektryczne szpony czarnych aniołów sięgających z niebios w toń oceanu. Król odrzucił książkę, podszedł do ławki, spoliczkował Jankę dwukrotnie, aż krew pociekła jej z nosa, i szarpnął ją brutalnie za włosy, odchylając głowę do tyłu. Próbowwała się poderwać, bronić, kopnąć go - bez skutku, był silny jak tur.

- Co to jest? - syknął. - Gadaj, bo, przysięgam, oddam cię temu Interpolowi. Co to

jest?

- Puszczaj!

- Co to jest?

- Ty mi nie -

- Zaraz się wykapturzam i dzwonię do nich. Mówisz teraz, powiesz potem. Mnie, im.

Powiesz!

Z górnej wargi kapłała jej krew; zlizła ją odruchowo. Pod ramieniem proxyka Króla widziała tych dwóch mężczyzn w garniturach, przyglądali się scenie z przelotnym zainteresowaniem, sącząc napoje z kubków. Zapadała ciemność, Janka nie była w stanie nawet stwierdzić, czy się uśmiechają, czy nie.

- Powiem, puść.

Puścił. Poszukał w kieszeniach, podał jej chusteczkę. Przycisnęła ją do nosa.

Król podniósł książkę i z powrotem usiadł na ławce.

Janka podciągnęła runokoc na piersi. Wiatr wyrwał z niego jeden z liści, liść wirował nad jej głową, zwinięty w wąskie źdźbło, zielony wykrzyknik zawieszony nad milczeniem.

- Chodzi o to, że ty się nie pozwalasz dotykać.

- Że co...?

- Nie pozwalasz się nikomu dotykać.

Odchyliła głowę, przelękając ślinę. Nadal zaciskała nozdrza dłonią z chusteczką. Zezowała na Króla lewym okiem.

- Najpierw myślałam, że się zgodzisz. Że jeśli porozmawiamy szczerze... Przekonam cię, zrozumiesz, pomożesz nam z własnej woli.

- Rio.

- Tak.

- Czekając na mnie.

- Ilu ludzi z Mrówek ma w rodzinie plastusiów? Od razu postanowiliśmy, że muszę spróbować cię skaptować. Ivanowcy powiedzieli nam, gdzie się pojawisz i dali akredytację.

- Ach, skumaliście się z marksistami-kreacjonistami, no tak. Król Bólu dorzucił do kalejdoskopu następny kamyk. Marksiści-kreacjoniści utrzymują, że ekonomiczne podziały społeczeństwa oraz wszystkie polityczne i kulturowe zależności stanowiące tego podziału konsekwencje - są dla *Homo sapiens* niemożliwe do uniknięcia. *Homo sapiens* jako *Homo sapiens* pozostaje na nie skazany: bez sztucznych ograniczeń, totalitarnego przymusu, pozostawiony sam sobie, w „stanie naturalnym”, prędzej czy później człowiek zawsze doprowadzi do identycznej sytuacji nierówności, ucisku, wyzysku i niesprawiedliwości. Jest

to zdeterminowane przez jego naturę, tak samo jak natura pszczół determinuje strukturę ula - choć oczywiście w przypadku *Homo sapiens* zależności są bardziej skomplikowane i nie objawiają się w ciągu życia pokolenia. Wobec tego jedynym sposobem na wyrwanie się ze spirali społecznego zła jest zmiana samej natury człowieka: jego najgłębszych uwarunkowań, począwszy od programów genetycznych i sieci neuronowej mózgu. *Homo sapiens* musi zostać na nowo stworzony. Tu jednak teoretycy marksizmu-kreacjonizmu grzęzną w mętnej dialektyce. Czy podmiot może stworzyć sam siebie? Jeśli zmiany zachodzą z woli człowieka, na jego warunkach i dla osiągnięcia przez niego stawianych celów - to stanowią takie samo przedłużenie dotychczasowego systemu niesprawiedliwości społecznej jak wszystkie inne ludzkie działania, tak samo odbijają się w nich interesy warstwy rządzącej. Gdy pieniądze mogą ci kupić nowe ciało, nowy mózg, nowy umysł, przepisać cię na lepszą genetykę, na mądrość, szczęście, piękno i nieśmiertelność - wówczas staje się to boleśnie oczywiste dla każdego. Byt określa byt. Człowiek nie stworzy człowieka innego niż on. Kreacja musi przyjść z zewnątrz. Z zewnątrz - to znaczy skąd? Co takiego pozostanie w naturze po odjęciu człowieka, co byłoby zdolne do aktu stworzenia? Król strawił na podobnych dyskusjach z ivanowcami niejedną alkoholową noc.

Chusteczka przesiąkła czerwienią, Janka zastanawiała się dłuższą chwilę.

- Ivanowcy... podsunęli nam rozwiązania niektórych problemów. Pomagają nam, bo są przekonani, że i tak ich będzie na wierzchu, a my się przysłużymy jako ślepe narzędzie.

- A wy myślicie tak samo o nich. Lubię takie sojusze. - Król postukał kłykiem w twardą okładkę książki. - Nie mogłaś mnie dotknąć, a potrzebowałaś DNA plastusia, tak?

- Spotkanie w Rio przynajmniej dało mi pretekst, żeby odwiedzić cię w domu. Ale ty się bez przerwy pilnowałaś, nawet jak siedzieliśmy razem przy stole. Najpierw myślałam, że załatwię za jedną wizytą, w końcu każdy zostawia po sobie w mieszkaniu od cholery materiału biologicznego. Ale ten twój dom ma system immunologiczny jak baza księżycowa, widziałam, jak w kilka minut rozłożył motyla, co dopiero jakiś wypadły włos czy złuszczone naskórek. Myślałam, że może w ogrodzie... Ale ile można czekać na okazję, myśmy się z góry umówili z ludźmi na terminy, po siódmej czy ósmej wizycie powiedziałam sobie -

- Syska.

- Kupiliśmy geneware od inżynierów z kliniki „Eusebii Blanki”. Pod lasem, po drugiej stronie autostrady, kilkanaście kilometrów od ciebie posadziłam krzewy deszyfrujące. Nawet nie wiem, czy to ostatecznie wypaliło, wypłynęliśmy, zanim przyszło potwierdzenie.

- Wypaliło. W każdym razieśmy wyfrunęły z moim kodem. Cholera, powinienem się był domyślić.

- Co?

- Fatima opowiedziała ci historię o psie i dziecku w kołysce, prawda? Gdybym ci odmówił...

Zamilkł. Jak właściwie o nim rozmawiają - w rodzinie, wśród krewnych i znajomych? Śmieją się? Współczują? Straszą nim dzieci? W jaki sposób Janka przewidziała, że on z całą pewnością zgodzi się wziąć do siebie Syskę? Powiedziała, że wyjeżdża z Korpusem prawie na dwa lata, a przecież równie dobrze mogła skłamać o dwóch miesiącach. Od czasu tego incydentu w niemowlęctwie Król nie miał bezproxykowego kontaktu z żadnymi większymi zwierzętami. Skąd wiedziała, że nie odmówi, że nie ucieknie, nie uchyli się przed psem, że wyciągnie rękę pod jego ozór, pozwoli mu obślinić dłoń, sam pogłaszcze miękką sierść zwierzęcia, zaciśnie palce na ciepłych mięśniach, w bólu, zaciśnie tym silniej, skąd wiedziała? Ile czasu w sumie spędzili razem, on i Janka - dwadzieścia godzin? Rozmowy, trochę śmiechu, nic o sobie, nic intymnego. I to wystarczy? Przeraził się.

- Powiedz wreszcie, co to jest! - warknął. - Jakaś wykrwawica? Czarna chimera? Na całą stazę europejską? Co żeście wypuścili? Mów!

- Ten człowiek, z którym się wykapturzyłam do Rio... nazywa się Robert Chauvelle, pracował w Żywicy, ale pół roku temu odszedł z Komisji. Poczytał Kurzajewskiego, posłuchał o al-gajb i przyłączył się do nas. Miał pogadać z tobą, ale nic z tego nie wyszło. Próbowaliśmy oczywiście pisać do mediów, próbowaliśmy demonstracji - nikt nie zwraca uwagi, jeśli nie masz w ręce jakiejś bomby AG, alterteryzm to jedyny sposób, żeby w ogóle zmienić coś w świecie na lepsze.

Nawet nie próbował ukryć zgrozy. Nieraz kpił z jej zaangażowania w działalność Mrówek, wyśmiewał Kurzajewskiego, przekomarzali się na rozmaite polityczne tematy, z młodzieńczym zapałem wygłaszała natchnione diatryby, jakby cytowała reklamy partii, śmiał się jeszcze głośniej - a teraz okazuje się, że ta puciołowata nastolatka przez cały czas planowała w imię szczytnych ideałów kolejny holocaust na miarę Białej Eboli. I oczywiście zero wyrzutów sumienia, żadnego zmieszania, ta sama dziewczęca pasja i rumieńce na policzkach, podniesiony głos i przyśpieszony oddech. Nie okaże skruchy, skąd - ona ma pretensje do niego, że się nie przyłączył!

Owszem, żartowali również o alterteryzmie, Janka opowiadała mu o Mrówkach: Mrówki nie wypierały się aktów wandalizmu, w Skandynawii ich dionizydy wywołały epidemię kataru, gdy młodzi z Mrówek lobbowali za podatkiem genetycznym, podobno zdarzały się też przypadki śmiertelne. Janka była pełna oburzenia. Jak mogą ich zrównywać z terrorystami! Wszystko, co robią, robią dla wspólnego dobra! Jeśli nie wprowadzimy podatku

genetycznego, społeczeństwo w ciągu dwóch pokoleń rozwarstwi się bezpowrotnie, anielscy Eloiowie odjadą na swych geneware'ach, milion euro za indywidualną kurację, pozostawiając za sobą Morloków w białych kołnierzykach, którzy nigdy już nie będą mieli szansy wkupić się do wyższej klasy - chyba że wygrywając los na loterii. Jeśli masz pieniądze, żadna ustawa nie powstrzyma cię przed kupnem u inżynierów AG lepszej przyszłości dla swoich dzieci, dla siebie. A co z biedakami spod Otwartego Nieba? Im nawet podatek genetyczny nie wyrówna szans.

Altterroryzm to jedyny sposób, by ująć się za tymi, których interesy nie są reprezentowane w demokracji, gdy ona mimo to decyduje o ich losie. Bruksela i Waszyngton co tydzień przegłosowują ustawy wpływające bezpośrednio na resztę świata; i reszta świata nie ma prawa głosu, nie zasiadają jej reprezentanci w tych parlamentach.

Jak więc może się bronić? Nie wypowie wojny - już przegrała wszelkie możliwe wojny. Nie przekona obcych sobie wyborców medialnie - wyborcy musieliby zagłosować przeciwko własnym interesom; nie zagłosują. Nie przetrzuci na ziemię wroga swoich terrorystów - padną martwi po kilku krokach w cudzoziemskiej stazie. Pozostaje tylko metoda wewnętrznego zastraszenia, pozostają tylko tacy młodzi idealisci urodzeni pod Zamkniętym Niebem, którym jeszcze zależy, którzy jeszcze naprawdę wierzą w równość wszystkich ludzi; pozostają altterroryści.

- Co to jest? - szepnął Król Bólu. - Mów.

- Robert nam zdradził, nad czym pracuje Żywica. Ręczne strojenia staz są za wolne, Komisja nie reaguje ze swoimi update'ami oficjalnej genetyki wystarczająco szybko, szczepy sąsiednich staz wchodzą coraz głębiej, terroryści wypuszczają genetyki coraz trudniejsze do rozłożenia, politycy i mediacy siedzą na karku Żywicy. I co Żywica wymyśliła? Robert zresztą mówi, że wyszło to z Pentagonu, to oni zaczęli próby. Podpatrzyli w dzunkli, z tych ekspedycji, jakie ślali pod Otwarte Niebo Ameryki Południowej. Że nie będzie już ręcznego strojenia: staza ma teraz sama reagować. Rozumiesz? Tylko ta genetyka przetrwa, która wystarczająco szybko będzie się adaptować, obroni się przed wszystkimi innymi genetykami i wyprze ich nosicieli, zastąpi ich kody. Sama z siebie, automatycznie; coś pomiędzy domkniętym ekosystemem a organizmem, homeostaza samoregulująca, z silnym sprzężeniem zwrotnym. Taka autostaza to już nie tylko przestrzeń objęta wspólną AG - posiada coś w rodzaju instynktu, przystosowuje się do nowych warunków, wytwarza antyciała, to znaczy antygenetykę, AG przeciwko AG. Sama przeprowadza symulacje i operacje logiczne, planuje strategie, jak zwierzę, jak system immunologiczny - ale... Jeśli trzeba, wytwarza organy inteligencji.

- Drzewa Wiadomości.

- Tak.

- A geny plastusiowe -

- Autostaza plastusiowa oczywiście już na starcie pobije wszelkie inne autostazy. Żywica ma te geny w bazie danych, inżynierom Żywicy wystarczyło wrzucić je do kotła i zamieszać. Myśmy po prostu chcieli, żeby Południe miało równe szanse. No sam pomyśl! Przecież autostazy Północy zniszczą ich kompletnie, to już nawet nie kolonializm - wyeliminują ich fizycznie, to genetyczna globalizacja! Nie dosyć zła, że siedzimy zamknięci w swoich stazach, tam pod Otwartym Niebem pół świata kona z głodu i od naszych chimer, a my się tylko przyglądamy - nie dosyć tego, teraz wydusimy ich wioska po wiosce. Pomyśl! Autostazy nie znają politycznych ograniczeń, to żywioł, widziałeś dzunkłę, będą się rozprzestrzeniać, aż obejmą całą biosferę. W końcu pewnie zwycięży jedna, ale to bez znaczenia dla Afryki, dla Ameryki Południowej, dla Oceanii, Azji Monsonowej - połkną je w kilka lat. Wyobrażasz sobie, co się tam będzie działo? Takich klęsk humanitarnych świat jeszcze nie widział! Setki milionów, miliardy ofiar. Znowu będą jak Indianie wystawieni na gripę Nowego Świata, przed którą nie mają szans się obronić. Mrówki... Chcieliśmy przynajmniej dać Dawidowi procę. Dżunkła na plastusiowych dopalaczach - może będzie miała jakąś szansę przeciwko autostazom Północy, może coś -

- Dżunkła? Dżunkła? Janka, czyś ty się chociaż przez moment zastanowiła, co się stanie z ludźmi Otwartego Nieba, jeśli faktycznie zwycięży dżunkła?

Janka odrzuciła chusteczkę, krew już nie ciekła jej z nosa. Spojrzała hardo prosto w oczy proxyka Króla.

- Ona przynajmniej nie została zaplanowana przez człowieka.

Król Bólu parsknął, zrezygnowany.

Rozumiał jednak naturę sojuszu Mrówek z ivanowcami. Skoro Kreacja musi pochodzić całkowicie z zewnątrz dotychczasowych struktur społecznych, ekonomicznych, politycznych, skoro nie może zostać zaplanowana przez człowieka - rozwiązaniem jest właśnie przypadek i żywioł. Z kolei Mrówki (na ile Król się orientował po pobieżnej lekturze ich materiałów w sieci i po rozmowach z Janką) opierają się głównie na radykalnym indywidualizmie Franciszka Kurzajewskiego: gdy każdy człowiek może się przepisać na odrębną genetykę, dowolnie się przeprogramować biologicznie i psychofizycznie, a genetyczna zgodność nie jest już konieczna dla splodzenia potomka - trzeba patrzeć na ludzkość jako na zbiór miliardów jednoosobowych narodów. Dowolne dwie obdarzone świadomością jednostki mają tu tyle samo ze sobą wspólnego - tyle, ile zechcą mieć.

Każdy jest twoim bratem lub nikt nie jest twoim bratem. Według Mrówek i innych podobnych alterrorystycznych grup wyznających doktrynę al-gajb, „Tego, Co Skryte”, przyjęcie powyższych prawd oznacza konieczność jednakowego współczucia z każdym człowiekiem. (W wersji radykalnej - z każdym żywym organizmem). Matka, syn, kochanek, sąsiedzi, rodacy - nikt nie jest ci bardziej lub mniej bliski niż bezimienny parias z indyjskiej pipidowy. To, co widzialne, to, co objawia się w widzialnym - ciało, zachowanie, nawet sama osobowość, pamięć i struktura umysłu - jest w gruncie rzeczy przypadkowe i równie wymienne jak twój ubiór, nie może więc decydować o stopniu współczłowieczeństwa, o prawdziwej bliskości. Decyduje To, Co Skryte.

Pioruny nad oceanem były teraz co kilka sekund, słyszeli grzmoty. Wiatr wyrwał Jance z palców chusteczkę. Dziewczyna owinęła się ściślej kocem. Liście szeleściły głośno. Mężczyźni rozmawiający przy balustradzie uciekli z tarasu już chwilę temu.

Król Bólu mrużył łzawiące oczy.

- Czy ten Robert powiedział wam, kiedy Żywica planuje oficjalnie wystąpić z projektem autostaz? Wiesz przecież, że zanim coś takiego przeforsują, przez lata będzie się to wlec przez parlamenty, komisje, referenda, na pewno też połowa alterrorystów przygotowuje kampanie zamachów protestacyjnych... to są lata, lata.

- Jak pierwsza staza się przestawi, zaraz wszystkie ze strachu pójną w jej ślady.

- Mhm. Ktokolwiek będzie pierwszy, pewnie Syberia, ale nawet jeśli - lata. A wy - co tymczasem zrobiliście z moim DNA?

Wzruszyła ramionami.

- Poszło do ivanowców. Taki był plan. W dzunkłę.

- A jednak uciekaliście.

- Nie uciekaliśmy. Nie jesteśmy tchórzami. Czy ja jestem tchórzem? Nie uciekaliśmy.

- Przepisywaliście się na AG nadamazońską. Jak inaczej mam to wytłumaczyć? Wydaliście Północ na pastwę tej dzikiej autostazy anarklandu, a sami zwiewacie pod jej skrzydła. Też będą miliardy trupów - tylko że w równych stosach na każdym kontynencie. No, na waszym mniejsze.

- Nieprawda!

- To po co żeście tam emigrowali?

Spadły pierwsze krople; otarła je z twarzy, pochyliła głowę.

- Potrzeba było ochotników.

- Co?

- Ktoś musi pójść pierwszy. Kiedy dzunkła wyewoluuje w autostazę, jak się spodziewa

Żywica. Trzeba będzie wprowadzić tam wolontariuszy na dobrej genetyce, trzeba będzie sprawdzić, czy w ogóle da się żyć... rozumiesz... przecież sam mówiłeś w Rio, masz zdjęcia, masz ekspertyzy... te plemiona z górnej Amazonki, ogniska, ludzie, nie ludzie... Tutaj, na Północy, lebenmaistrzy przygotowują start z przyjaznej genetyki - ale dzunkla stworzy jedyną prawdziwie dziką, chaotyczną a-stażę, której nie można z góry przewidzieć. Ktoś więc musi wejść, przeżyć, dać na czas anarkiom dobrą krew.

- Mogą zwierzęta -

- To już się zaczęło. Drzewa Wiadomości zabijają tylko ludzi.

Proxyk Króla zadrzał pod zimnym deszczem.

- Czy wyście wszyscy do reszty powario -

- Nie jestem tchórzem. - Wydymała wargi jak mała dziewczynka, obrażona na mamę, że nie dała jej cukierka.

Król Bólu potrząsnął kalejdoskopem po raz kolejny. Jeśli to wszystko jest prawdą, pomyślał, jeśli ona nie kłamie, a jej nie kłamał ów Robert Chauvelle, a jemu nie kłamali w Żywicy, i jeśli przegłosują przejście na autostażę w UE - ja tego nie przeżyję. Może przeżyje ciało, może przeżyje mózg (mózg, kilka kilogramów białka) przestawiony na nową strukturę neuralną - ale nie ja, nie umysł, nie pamięć. Żaden lebenmaister nie obroni mnie przed autostażą - czyż nie na tym właśnie ma polegać jej przewaga? Prędzej czy później, trzeba będzie zejść do podziemia, zamknąć się w bunkrze, w trumnie. Jak ci hermetycy z sekt fundamentalistycznych, jak Świadkowie Jehowy i katakumbowi piusowcy. Prędzej czy później. Jeśli nie kłamie.

Oziębilo się na tyle, że z ciała meduzowca jęła się podnosić para, lepka mgła - spomiędzy bruku, z odsłoniętej półprzezroczystej gleby, z przeżartych słońcą boków Avalonu. Deszcz ciął mgłę. Niebo powlekała jednolita czerń i tylko światło latarni nad tarasem rozbijało sztormowy mrok. Meduzowiec był jednym z tych nieuznawanych przez rządy Północy (dlatego też Janka mogła czuć się bezpieczna w tutejszej klinice) i trzymał się głębokich szlaków oceanicznych. Pozostawał więc skazany na ciągłe sztormy, zderzenia frontów atmosferycznych, opady rozmaitych egzotycznych dionizydów przenoszonych przez wiatry, przez chmury. Gdy biły pioruny, na oczach Króla Bólu i Janki z ciemnych fal wyskakiwały fosforyzujące rybołaki - zawisnąwszy na moment w powietrzu, eksplodowały niczym mokre purchawki. Wkrótce lśniła seledynowo cała powierzchnia morza. Latarnia rozpalala ją co sekunda.

Proxyk Króla przysunął się do Janki; objęła go ramieniem z runokocem, naciągnęli materiał na siebie. Król pośpiesznie przejrzał w pamięci repertuar gestów ojcowskich. Zanim

się zdecydował, położyła głowę na jego piersi. Przygarnął Jankę bez wysiłku (to był wielki, muskularny proxyk). Na oceanie wybuchały kolejne iluminacje, przyglądali się im spod runokoca. Wszystko sływało wodą i dopiero po kilkunastu minutach Król Bólu zorientował się, że Janka płacze; płakała w milczeniu, a że drżała - sądził, iż drży z zimna. To jest instynkt zwierzęcy, myślał Król, najpierwotniejszy odruch stałocieplnego ssaka, chodzi o utrzymanie temperatury organizmu, to dlatego nazywamy to „bliskością”, dlatego się przytulamy, znajdujemy bezpieczeństwo w kontakcie cielesnym, skóra przy skórze, ręka na ręce, głowa na piersi, serce i serce, rytm krwi, rytm oddechu, życie i życie... Cudze ciepło.

Sztorm rozdzierał promienisty ocean.

II

Król Bólu i zło tego świata

Jej twarz, jej oczy, jej uśmiech, blask uśmiechu w oczach, jej głos. Słońce nad Olicarte zbliżało się do zenitu i Król Bólu mrużył, opuszczał powieki, krył przedramieniem głowę. Nie musiał widzieć, znał piękno tych ciał na pamięć. Przez powieki docierały do niego jedynie zmiany natężenia słonecznego blasku. Liście palmopalm falowały nad Królem na lekkim wietrze i po brązowej skórze proxykow Króla i 4e33a przesuwwały się arabeskowe cienie. Kobieta ścigała je czerwonym źdźbłem makotrawy, co chwila łaskocząc nim Króla. Król leżał z głową opartą o pień i gryzł we wnętrzu ust język i policzki, fale tego cukierkowego bólu były jak orzeźwiające prześwity spod kaptura błogostanu. Nie istniały po temu żadne neurologiczne przesłanki, lecz Król uważał, że zbyt długie wykapturzenie w bezbolesne proxyki osłabia jego intuicję, zamula umysł, hamuje pracę nadmiarowych astrocytów. (Po prawdzie nie istniały również przesłanki za tezą przeciwną). A od chwili podpisania cyrografu z Wiedeńską Trzydziestką Szóstką - od ponad trzech miesięcy - zabierał ze sobą pracę nawet na polinezyjskie weekendy, kontrakt był bezterminowy, tu już nie chodziło o niezobowiązujące konsultacje, nie chodziło o skontrolowanie manipulacji plastusia strony przeciwnej. Król Bólu planował strategie wrogich przejęć, szantaży korporacyjnych, metody korupcji urzędników i polityków, prewencyjne zabójstwa. Owa postać w LPG nazywała się „Mafioso” i Król grał swą rolę z pełnym zaangażowaniem, czekając błogosławionego momentu, kiedy przestanie ona być grą, kiedy po raz tysięczny powtórzone myśl, słowo, zachowanie - wypłyną z niego w najnaturalniejszym odruchu, bez poprzedzającej refleksji: „a teraz mam zagrać tak i tak”. Siłą rzeczy przyjmował coraz mniej innych zleceń, zresztą przeważnie były one gorzej płatne. 36 von Wien wciągała go niczym pasjonująca nowela komputerowa, chciał zostać wciągnięty. Wyrzucał sobie teraz, że wcześniej nie pomyślał o *Life Playing Game* lub podobnej metodzie. Czy inni plastusie czują tak samo? Umysł plastyczny pozostawiony sam sobie wykolei się prędzej czy później. Wobec 4e33a nazwał to nudą, ale była to nuda na granicy cichego obłądu. Jeszcze jeden rok jako Król Bólu - i rozpuściłby się do reszty między proxykiem a proxykiem, kłamstwem i kłamstwem. Nie

można żyć wyłącznie cudzymi problemami, cudzymi karierami i cudzymi ciałami, rozumiał to teraz. Król założył był ten kaptur jako dziecko i do dzisiaj go nie ściągnął, nie miał siły ani chęci. Ale Mafioso, ale żarłoczny *consigliere* Wiedeńskiej Trzydziestki Szóstki - jemu nie sprawi to kłopotu. Umysł plastyczny szybko adaptuje się do nowych warunków, przyjmuje nową strukturę. Król był już autentycznie wdzięczny Jance, że mimo woli skierowała go na tę drogę. (Oczywiście ta wdzięczność również mogła stanowić - i najpewniej stanowiła - efekt postępującej adaptacji). Pierwszy impuls zawsze musi przyjść z zewnątrz, sam siebie nikt nie podniesie z bagna za włosy. Idiotyczna zabawa Janki z Mrówkami przyniosła więc przynajmniej ten dobry skutek. Przyniosła i drugi: oto Król przestał być dla rodziny trędowatym, plotki rozeszły się jak kręgi po wodzie, człowiek, który Załatwia Sprawy, zawsze jest w poważaniu, zwłaszcza w Polsce; tylu telefonów i nawet osobistych wizyt, co w ciągu ostatnich tygodni, nie miał przez dekadę. Inna rzecz, że przedtem nie byłby z nich bynajmniej zadowolony, na telefony by nie odpowiadał, gości przeganiał spod drzwi - natomiast teraz zainteresowanie krewnych sprawiało mu szczerą satysfakcję, satysfakcja przeważała nad lękiem i bólem. Zamówił sobie nowe garnitury i koszule, szyte na miarę; eksperymentował z genware'em kosmetycznym, którego stanowczo zabraniała mu GIP; myślał nawet nad krótkimi spacerami poza baobaby. Mafioso był coraz silniejszy, wkrótce ludzie zaczną go dostrzegać przez proxyki. Król Bólu zastanawiał się, kiedy zauważy Mafiosa 4e33a - to dopiero będzie prawdziwy test. Czy spostrzeże. Kiedy spostrzeże. Co ją zdradzi, że spostrzegła. Jej twarz, jej oczy, jej uśmiech, blask uśmiechu w oczach, jej głos.

Czerwone źdźbło zawędrowało po szyi Króla na podbródek i wargi. Pochwyił je zębami i wypluł, razem z krwią.

- Zostaw.
- Myślałam, że zasnąłeś.
- Chodź-no tutaj.
- Albo się wykapturzyłeś.
- Jak woda?
- Cieplutka. Syreny podpływają do brzegu. Śliczne są.
- Jeszcze mi cię uwiodą.

Uszczypnęła go w nos. Kichnął.

- Na zdrowie.
- Dzięki.
- Tak sobie myślę...
- Mhm?

- Co mówiłeś w nocy. O tych Mrówkach i siostrzenicy.

- Mhm?

- Rozmawiałeś z nimi? To w końcu alterroryści, nie? Czy ona teraz -

- Nie bój się, matka zakula ją w dyby.

- Nie, mnie chodzi o te ich pomysły, co opowiadałeś -

- A! Też tak myślałem. Ale im dłużej... - Uniósł powieki, spojrzał na 4e33a. Oparła głowę na rękach złożonych na jego piersi. Odgarnął jej z czoła wilgotne włosy. - Wczorajsze utopie są dzisiejszą normą. Dlaczego zdrowie, dom, jedzenie, wykształcenie i sprawiedliwość dla każdego musi pozostać wyśmiewanym snem młodych idealistów?

- Przekonali cię.

- Kto? Nie, ja po prostu - po prostu wreszcie spojrzałem na to jak plastuś. W telewizji, w gazetach, wszyscy bez przerwy narzekają: gorzej już być nie może, czeka nas zagłada, świat zmierza ku przepaści, jacy to ludzie teraz są źli, jaki upadek moralności... Dno i padół łez. Ale prawda jest taka, że jak porównasz warunki życia przeciętnego Europejczyka, czy nawet nie-Europejczyka, to zobaczysz, że począwszy od średniowiecza, one się systematycznie poprawiają. Weź takiego chłopca pańszczyźnianego z roku Czarnej Śmierci i spytaj go o jego utopię. Już żeśmy ją zrealizowali. Rzecz w tym, że od jakiegoś czasu, od czasu Hegla, Marksa i Lenina, jawne ogłaszanie podobnych celów stało się co najmniej podejrzane; realizujemy te utopie mimowolnie.

- Nie wszyscy.

- Nie wszyscy. Właśnie. Społeczeństwa cofnięte w fazie, pozostawione o jedną, dwie utopie w tyle: Południe, Otwarte Niebo, dwie trzecie ludzkości - nie oni.

- Bo to jest chyba jedyna utopia, której rzeczywiście nigdy nie zrealizujemy.

- Mhm?

- Równość. Idę po lody, chcesz?

- Jakie teraz?

- Waniliowe może?

- A są z taką gorzką mieszanką, kawa, cytryna, winorczyca -

- Żółte chyba.

- Będziesz tak miła?

4e33a podreptała przez plażę ku barowi. Król Bólu odprowadzał ją wzrokiem. Ziarenka białego piasku odpadały od jej ciemnej skóry, gdy szła w cień zagajnika. Kształty odcisnięte przez piasek na jej plecach i pośladkach przypomniały Królowi plamę z testu Rorschacha - plamę, która przypominała - Zmarszczywszy brwi, podniósł się na łokciach.

4e33a wróciła z lodami. Król odebrał swój kielich, zanurzył łyżeczkę w zimnym kremie. 4e33a usiadła pod palmą, krzyżując nogi. Włosy po kąpieli w oceanie już jej wyschły, przerzuciła je machinalnie przez prawe ramię, rozłożyły się na piersi czarnym wachlarzem.

- No dobrze. - Oblizła w zamyśleniu łyżeczkę. - Ale czy oni mają jakiś pomysł, jak to w praktyce -

- Kim ty jesteś?

- Co?

Król Bólu cisnął precz czarę z lodami i poderwawszy się, odskoczył aż na szczyt wydmy.

- Kim jesteś?

- Auć! No to krewa. - Poklepała łyżeczką wysunięty język. - Słuchaj -

- Kim?

Wzruszyła ramionami.

- Co za znaczenie? Przydzielona do sprawy. Skoro się sypnęło, jutro dostaniesz przez swojego adwokata oficjalne pismo z prokuratury.

Splunął - chciał splunąć, zabrakło mu śliny w ustach.

- O co mnie oskarżacie?

- Mam wyliczać? Zresztą i tak wystarczy jeden zarzut federalny, żeby Żywica cofnęła ci pozwolenie - i jesteś ugotowany, po przepisaniu na standard zostanie ci z mózgu sieczka neuronowa. Mhm, ale dobre, naprawdę, tss-tss.

Król Bólu ugryzł się w górną wargę.

- Włamujecie się tak do wszystkich plastusiów?

- No co ty.

Potrząsnął kalejdoskopem, raz, drugi. Ukazały się nowe wzory.

- Macie moje DNA w bazie danych. Wypląnąłem po analizie świeżych próbek z dzunkli. Pieprzone Mrówki!

Skinęła głową.

- Dopiero wtedy zaczęliśmy cię monitorować. Skąd geny polskiego plastusia w sercu amazońskiego śmietniska AG? No i pierwsze, co wyskakuje, to twoje zeznanie w sprawie zaginięcia siostrzenicy, którą rodzina, rzekomo niesłusznie, podejrzewała o ucieczkę do - do kogo? Do alterrorystów. No naprawdę, nie trzeba było geniusza, żeby złożyć to do kupy. Wzięliśmy cię pod lupę.

- Ale ja jeżdżę na zbyt dobrym krypto.

- Ale ty jeździsz na zbyt dobrym krypto, w odróżnieniu od tej tu kochaneczki.

Zhackowaliśmy jej kapturek -

- Co z nią? Nafaszerowaliście ją jakimiś mindwormami?

Kobieta cmoknęła z dezaprobatą.

- No wiesz! Z nas dwojga, kto tu jest złączyńcą? Nie ja przecież.

- Kogo jeszcze zhackowaliście?

- Masz na myśli chłopców Trzydziestki Szóstki?

Z głośnym westchnieniem Król Bólu usiadł na rozpalonym piasku.

Informatyka opuściła królestwo determinizmu jeszcze na początku wieku, gdy w ciągłym przyroście mocy obliczeniowej uderzono w bariery stawiane przez same prawa fizyki, na początek barierę cieplną, i trzeba było się przesiąść na procesory wielordzeniowe; potem weszły do użytku procesory o dynamicznej architekturze, i wyniki powtarzanych przeliczeń tych samych programów zaczęły się rozchodzić nieliniowo, zatarł się też podział na hardware i software, co ostatecznie upodobniło komputery nieorganiczne do komputerów genetycznych. Oczywistym następnym etapem były komputery kwantowe - od kilkunastu lat plotkowano o wojskowych prototypach, pracujących dla NSA, FSB i Guoanbu. Kryptologia stawiała się powoli formą religii: każdy szyfr był na tyle bezpieczny, na ile weń wierzono.

- No dobrze. Mafioso złapany, poddaje się.

- Naprawdę to ona cię w to pchnęła?

- Nie. To znaczy... Nie. Nie. Ja sam.

Przyglądała mu się uważnie.

- Ty sam. Czyli kto?

Wtedy zrozumiał, zobaczył człowieka pod proxykiem.

- Więc o to chodzi! Wynajęli plastusia, żeby zaszantażować plastusia! Myślisz, że cię nie znajdę? Ilu nas w sumie przyszło na świat, trzystu?

Jadła lody.

- Mmmm, i jeszcze groźby karalne, nieładnie, nieładnie. - Uniosła wzrok. - Ale ciebie to bawi, prawda?

- A ciebie nie?

Uśmiechali się teraz do siebie w sekretnym porozumieniu, przez granicę słońca i cienia, przez lekko drżące w upale powietrze. Bar ukryty był w zagajniku; poza nimi dwojgiem na łuku plaży znajdowało się tylko troje proxyków, zresztą bliźniaczo pięknych. Wysoko na błękitnym niebie szybowały orlęże, ułożenie ich długich ciał wskazywało kierunek wiatru. Wiał znad oceanu, przynosząc jego zapach i wilgoć. Południowa sielanka na Olicarte - cisza, tylko szum fal i palm, większość zwierząt śpi. Zawieszona na pniu nad

kobietą ręczniki, jaskrawoczerwone, są jedynym mocnym wykrzyknikiem koloru w panoramie kojących bieli, zieleni i błękitu.

Oblizwała palce, powoli odłożyła pusty kielich.

Król Bólu wyprostował się i splótł dłonie na karku, odchylając szeroko łokcie.

- Wal.

- Wprowadzisz nas przez Jankę do ivanowców, siatkódkarzy i cthulhtysów, musimy przejąć kontrolę nad ewolucją dzunkli, a w najgorszym przypadku - zablokować ją, spowolnić. Zdejmujemy Mrówki i wszystkich terrorystów powiązanych z anarkijną autostazą; do Mrówek wprowadzisz nas najpierw.

- Jaki jest bat?

- Proces za wiedeńczyków i współpracę z terrorystami. Już areszt oznacza przymusową standaryzację - i po Królu. Janka oczywiście pójdzie siedzieć albo przewiną jej mózg. Pewnie to samo spotka resztę twojej rodziny, za ukrywanie i współudział.

- A marchewka?

- Czyścimy ci akta.

- Co wtedy z Janką?

Wzruszyła ramionami.

- Biedne dziecko, nie pomorduje sobie więcej tłustych Europejczyków.

- Nikogo nie zamordowała.

- A-a, to proszę, pozwólmy jej nadrobić zaległości! - prychnęła kobieta. Podciągnęła kolana pod brodę. - Dawniej przynajmniej wszystko było jasne: strzelaniny, podłożone bomby, porwane samoloty - brudziłeś sobie ręce, angażowałeś się fizycznie, akt terroru był czymś konkretnym, wyraźnym, czynem o wielkim ciężarze, byłeś świadomy, co robisz, gdy to robiłeś. A teraz? Hobby weekendowe, na które akurat jest moda na kampusach, letni alterroryzm. Wyszadzą coś w powietrze? Nacisną spust? Wbiją nóż? Zobaczą krew? Nigdy. Mentalność hackerów: grzebią w geneware, wypuszczają swojego dionizyda - a miesiąc później wybucha gdzieś epidemia. I nikt nigdy nie wie: czy to ich wina, czy też przypadkowe sprzężenie dziesiątków innych genów. Jak w dzunkli: wrzucili tam tyle tego śmiecia, że wojna biologiczna toczy się już sama, terror oderwał się od terrorystów, zyskał niepodległą tożsamość. Nie mówią: my zabiliśmy. Mówią: dzunkla zabiła. Nie tak rozumuje ta twoja Janka? Co? Nie tak?

- Nie do wszystkiego zła, co zdarza się na świecie, znajdziesz paragraf i sprawcę. A oni właśnie próbują zła zapobiegać. Na swój historyczny sposób próbują czynić dobro. A raczej: poprawiać bilans dobra i zła. Wiem, nie liczą się intencje, tylko skutek, ale -

Kobieta wstała spod palmy, wspięła się po wydmie do Króla; schyliwszy się, napisała na piasku ID transmisji.

- Proxyk od Lloyda, sprawdź i połóż swoje krypto. Jeszcze przez chwilę będziemy gadać o złu tego świata w rajskiej enklawie milionerów i się porzygam.

- Ale lody smakowały, co?

Sypnęła mu piaskiem w oczy.

Wykapturzył się.

Był środek nocy. Król Bólu wstał z łóżka, zapaliły się światła, poczłapał do łazienki, kliniczna biel ścian parzyła źrenice, wysikał się, wszedł pod prysznic, przez chwilę drżał z bólu w strugach zimnej wody, krzyknął raz, krzyknął drugi; wyszedłszy spod prysznica, z premedytacją zwrócił się ku zwierciadłu. Mokre włosy oblepiały nazbyt kanciastą czaszkę, zgarbiony, pochylał głowę do przodu, w stronę lustra, spoglądał spode łba.

(Ćwiczenie: spojrzeć na odbicie i nie zobaczyć siebie - zobaczyć ciało - pomyśleć: „on”, „to ciało” - nie „ja”, ani przez sekundę, ani w najbliższym skojarzeniu - pomyśleć: „czy dobrze na mnie leży?”, „czy mi pasuje?” - odruchowo, bez myśli o myśli - spojrzeć na odbicie i zobaczyć pod nim, jak naprawdę wyglądam - nie tak, inaczej - naprawdę, a nie oczyma - zobaczyć To, Co Skryte).

Przypomniało mu się, jak Kubrick zwykł był filmować swych bohaterów w zbliżeniu *en face*, z kamerą najeżdżającą, od czoła, zaglądającą w cienie pod łukami brwiowymi - pochylił głowę jeszcze bardziej - i jak ci bohaterowie wtedy zazwyczaj uśmiechali się z drażniącą ironią - uśmiechnął się - tak dobrze? Kalejdoskop zawirował, skojarzenie odpłynęło, odstąpił od lustra.

Wrócił do sypialni, skinął na okna, otworzyły się, wpuszczając zimne powietrze nocy i ostre zapachy chimerycznego ogrodu. W koronach baobabów świergotały ptasie hybrydy. Na horyzoncie, nad łuną miasta, pod przesłaniającym gwiazdoskłon płaszczem chmur, wirowały konstelacje aktywnych dionizydów Żywicy, nawet z tej odległości rozpoznawał po ich barwie poziom alarmu stazy: lekka gorączka, nie więcej. Król sięgnął po kaptur. Zerknął na krzywą histaminową (wzwyż, wzwyż, wzwyż) i ostrożnie usiadł na łóżku. Ani przez moment nie miał wątpliwości, że przyjmie zaproszenie plastusiowej agentki. I rzecz bynajmniej nie w odwadze (co to za odwaga - wsiąść na Lloydowego proxyka?), lecz w zwykłej plastusiowej żarłoczności wrażeń: wdrapie się do każdego świetlika, przycisnie nos do szyby, choćby bolało, choćby wiedział, że nie powinien.

W duchu przyznawał rację Fatimie i rodzicom. „Nigdy nie dorosnie”. Kto jest bardziej ciekawy świata? kto szybciej adaptuje się do nowych warunków? kto szybciej

zmienia zdanie, łatwiej poddaje się wpływom? kto nie jest jeszcze nikim, a może być każdym? czyj umysł jest miękki jak plastelina? Dzieci.

Naciągnął kaptur. Naciągnął kaptur, zachłysnął się, rozkaszłał i wypluł gęstą ohydę. Wydobyć się z tego rynsztoka! Podciągnął tors, ale po pierwszym szarpnięciu pojął, że nie uklęknie, nie wstanie: nie miał nóg, kończyły się gdzieś nad kolanami. Ból zlewał się z bólem, najbardziej bolały stopy, których nie posiadał. Odetchnął głęboko - smród był gorący, kwaśno-słodki, z organicznej zgnilizny i przesiąkniętej twardą chemią ziemi - odetchnął, po czym obrócił się na plecy. W prześwicie między dachami ruder z suszonej cegły lśniło tysiąc gwiazd, nieba nad Kairem nie zasłaniały żadne zawiesziny dionizydowe. To świat pozbawiony dobrodziejstwa biostazy - Egipt, Afryka, Południe - Król znalazł się pod Otwartym Niebem, na śmietniku cywilizacji.

Pomacał się po twarzy. Była to twarz starca. Pod splątanym zarostem wrzody broczyły ciepłym śluzem. Pomyślał, czyby się nie wykapturzyć i nie wyciągnąć z Lloyd'a specyfikacji proxyka; Lloyd raczej nie prowadził wypożyczalni sado-maso. Ale epidemie koszą równo proxyków i nieproxyków. Z głębi zaułka, gdzie grunt opadał ku prawdziwemu śmietniku, dobiegły Króla ciche głosy: ktoś się modlił po arabsku, płakało dziecko. Przeczółgał się do rogu rudery. Na środku placu, nad zawaloną cembrowiną starożytniej studni postawiono drzewce z białą szmatą z symbolem Kwarantanny. Król Bólu, jak wszyscy, wiedział, co oznaczają te Sztandary Śmierci; co jakiś czas powracała w mediach moda na turpistyczne reportaże spod Otwartego Nieba. Z trzydziestomilionowej populacji Kairu Białą Ebolę przeżyło dwa miliony. Ile z tych dwóch milionów przetrwało późniejsze zarazy i chimery, Król nie pamiętał. Ponad sztandarem migotały odległe światła - założył, iż są to światła wysokościowców centrum Kairu, ale proxyk miał zbyt słaby wzrok, na lewe oko praktycznie w ogóle nie widział, może więc są to iskry i płomienie bliskiego pożaru.

Przeczółgał się do cembrowiny, pod sztandar. Ciało ledwo go słuchało, drżał, spocony; noc była gorąca, duszna. Przy każdym oddechu czuł, jak w piersi, między płucami, przemieszczają się jakieś kości, których człowiek nie powinien mieć. Ile chimier przeszło przez genom tego nieszczęśnika? Oparłszy głowę o gruz, zobaczył czarną ścieżkę ciekłych odchodów, jaką pozostawił za sobą od zaułka - zwieracze nie funkcjonowały, być może nie posiadał zwieraczy. Sięgnął ręką w dół, pod zapadniętą klatkę piersiową, ostre żebra i owrzodziały brzuch. W pokrytych skorupą nieczystości genitaliach poruszały się robaki o konsystencji masła.

Z uliczki po lewej wyłoniła się garbata postać ciągnąca drewniany wózek. Wózek skrzypiał, tragarz sapał, leżący na wózku jęczeli. Garbus zatrzymał się przy zaułku i zrzucił

ich na ziemię - raz, dwa, trzy, i jeszcze dziecko. Potem zawrócił. Król Bólu zrozumiał, że naprawdę znajduje się w nowożytnym Mieście Umarłych, to cmentarz kairski, Kair jest cmentarzem. Żywica oenzetowska zaleca, by w każdym mieście Otwartego Nieba wydzielić część dzielnic dla ofiar epidemii i chimeryków. Z czasem flagi Kwarantanny posuwają się od obrzeży ku centrum, niczym żołnierze oblężniczej armii. Tak padła Jerozolima, tak, po dwudziestu dwóch latach oporu, padł Johannesburg. Król zaharczał i splunął głośno, oddalający się tragarz ani się obejrzał. Zwożą i wysypują tu wszystkich, domami, ulicami. Kair nie plasował się wysoko na liście medialnych dramatów, Król nie orientował się, jaki geneware stoi za tymi śmierciami. Niewykluczone, że był to kolejny skutek uboczny przeniesionych ponad Morzem Śródziemnym odprysków stazy UE, takie rzeczy zdarzają się bez przerwy i nigdy nikt nie potrafi stwierdzić, co stanowiło przyczynę czego.

Król Bólu zamrugał, przetarł oczy - to był błąd, zaczęły łzawić, obraz jeszcze bardziej się rozmył - mrugając, skupił wzrok na drzwiach najbliższej chałupy. W środku pełgało słabe światło, na tym tle chybotliwym cieniem odcinała się zawinięta w czarne szaty niska sylwetka. Dopiero gdy usłyszał chrzęst żwiru pod jej stopami, zyskał pewność, że to nie zwid i gra światłomroku. Uniósł z wysiłkiem głowę. Obwieszona metalową biżuterią starucha pochyliła się nad nim, przesunęła po jego czole paluchem z krzywym paznokciem, paluch był umazany jakimś zwierzęcym tłuszczem; tak namaściła go w znaku krzyża, nad nosem, na wargach, na piersi. Na jej odkrytej twarzy z głębokimi zmarszczkami przecinały się fioletowe linie tatuażu. Rechocząc, kucnęła przy Królu. Cuchnęła gnojem i spalenizną, z wąskich nozdrzy wyrastały jej zielone wici.

- Teraz opowiedz mi o złu na świecie.

- Kcie... - Odchrząknął. - Gdzie nas...?

- Darb al-Akmar. - Rechotała nadal. - Myślisz, że jestem najemniczką, że pracuję tylko dla pieniędzy, jak ty? Własnoręcznie - wyciągnęła do Króla artretyczne dłonie - podusiłabym wszystkich tych turystów nieszczęścia. Weekend na proxyku w Kambodży, weekend na proxyku w Jerozolimie. Jak ich to bawi - pół biedy. Gorzej, jak zaczynają współczuć i wyrastają z nich tacy niedzielni terroryści.

- A więc wystarczy wyłapać złoczyńców, tak? - Podźwignął się do pozycji półsiedzącej. - Skąd ty pochodzisz? Plastikie rodzili się tylko w Europie. Pewnie twoi rodzice... Stąd? Z Afryki?

Przejechała paznokciami po jego twarzy, ból zmieszał się z bólem, Król uśmiechnął się spod wrzodów.

- Skąd bierze się zło na tym świecie? - szepnął. - Nie zło intencjonalne, myśl o cudzej

krzywdzie, bo to zawsze rodzi się w duszy drugiego człowieka - ale całe zło doświadczane, to co nazywamy bólem, cierpieniem, krzywdą, niesprawiedliwością. Skąd?

Wskazał na zaułek trupów.

- Czy ktoś zaplanował takie ich życie? Czy wymyślił i zrealizował takie sadystyczne marzenie: skazać miliony na wegetację w brudzie, nędzy, chorobach, ciemnocie i cierpieniu, wydać ich na pastwę wszystkich dionizydów szalejących pod Otwartym Niebem, zmienić całe narody w hordy potworów AG? Podobne czarne charaktery spotkasz tylko w komiksach, filmach i grach, i to tych głębszych. Diabolicznych dyktatorów, genialnych gangsterów, szalonych naukowców usiłujących zdobyć „władzę nad światem” - dlaczego nigdy nie pokazują ich już sprawujących tę władzę? Tego nawet nie sposób sobie wiarygodnie wyobrazić. Prosta prawda jest taka, że światem nie rządzi nikt, żadna intencja nie stoi za tą rzeczywistością.

- Nie każdy musi sobie od razu wyobrażać Mefistofelesa.

- Ludzie tworzyli bogów, uosabiając w nich siły natury - teraz tworzą popkulturowe stereotypy uosabiające siły, które wciąż pozostają poza ich zrozumieniem. Skąd zło? Dlaczego miliardy cierpią? Kto to sprawił? Krwiożerczy kapitaliści. Żydzi, masoni, kryptokomuniści, Kościół katolicki, rząd Stanów Zjednoczonych, Bank Światowy, biurokraci brukselscy, Wall Street. Bezduszne media. Inżynierowie AG. Iluminaci. Spisek plastusiów. Spisek CIA. Chińczycy. Mogę tak dalej, tę litanię zna każde dziecko, to są bogowie ciemności dwudziestego pierwszego wieku. - Wyszczrzył się bezzębnie. - A naprawdę - naprawdę to sama wiesz najlepiej, jak to wygląda, na pewno też nieraz siedziałaś przy stołach, gdy spisywano protokoły indolencji. To zło, to zło największe, które jednym posunięciem zsyła cierpienie na miliony, które decyduje o dobrobycie nielicznych i nędzy mas, ono nie pochodzi z duszy żadnego człowieka. Nie ma jednej, prostej przyczyny - dlatego pozostaje nienazwane i twarzy muszą mu używać filmowe lotry.

- Mówisz o dżunkli. To jest dżunkla.

- Co?

- Żyjemy w dżunkli, to chcesz mi wmówić, że od dawna wszyscy żyjemy w dżunkli. Zło, to znaczy ból, nieszczęście - się nam p r z y d a r z a.

- Nawet jak wypuszczamy w świat trucizny, zabójcze wirusy, geneware pandemii, to nigdy nie można na koniec stwierdzić, że to właśnie one były przyczyną nieszczęścia - może tak, może nie, może w jakimś procencie, może tylko w sprzężeniu z innymi genami.

- Nasze czyny wpadają z jednej strony, z drugiej strony wychodzi zło lub dobro, ale w środku - w środku jest tylko chaos, czarna skrzynka, dżunkla, w której nie prześledzisz

przyczyny i skutku. Wygodne.

- A nie jest tak? - Odkasznął. - Możesz na przykład powiedzieć, kto zabił tych ludzi?

Tymczasem tragarz zmarłych i konających powrócił z kolejnym transportem, wyrzucał właśnie ciała pod ścianę rudery, osuwały się w rynsztok. Przybiegł szcziropies, wgrzył się w kościstą łydkę truposza. Garbus zawrócił. Znowu ani spojrzął na Króla.

- Kto? - zaskrzeczał Król. - Jak znajdziesz winnego? Dionizydy z jednej stazy, dionizydy z innej, posiew jakichś terrorystów, ale pewnie też geny ze szczepionek WHO, Bóg wie, co jeszcze - i tak rodzi się chimera, rodzi się zaraza. Więc kto? Politycy może? Którzy? Wszyscy? No to wracamy do komiksów i teorii spiskowych.

- Moralność chaosu.

- *Welcome to junklee.*

- A jednak nie pozwoliłeś siostrzenicy odejść z terrorystami.

- Co ma jedno z drugim -

- Wiesz doskonale.

Skrzywił się.

- Dlaczego złe rzeczy przytrafiają się zawsze dobrym ludziom?

- Kiedy przytrafiają się złym, wychodzą w sumie na dobre, nie są to więc już złe rzeczy, prawda? A ty - co? ty siebie do których zaliczasz?

- Obawiam się, że ja jestem te złe rzeczy, które się przytrafiają.

- Przeszedłeś na stronę dzunkli.

Złapał ją za rękę. Szarpnęła się w odruchu obrzydzenia, ale nie puścił.

- Czemu utożsamiasz chaos ze złem? To przesąd, bajkowy schemat. W chaosie, w bałaganie, w nieuporządkowanym ruchu milionów jednostek, w ślepej zbieraniu wszelkich możliwych poglądów, metod i celów - tam jesteś bezpieczna, tam zawsze będziesz miała dokąd uciec, zawsze ktoś cię ochroni. Chaos nie jest zdolny do wielkiego dobra, nie potrafi działać dla wielkich idei, nie zbuduje Chińskiego Muru, nie zaprowadzi jednym dekretem szczęścia i dobrobytu na całej Ziemi - ale z tych samych przyczyn nie jest też zdolny do wielkiego zła, nie buduje obozów koncentracyjnych i łagrów, nie spuszcza bomb atomowych, nie zniewala narodów, nie przymusza ludzi do podłości. To wielkiego porządku winniśmy się bać. Niech cię nie zwiedzie retoryka: terroryści zawsze działali w imię porządku, swojego porządku - zniszczyć stary, by zastąpić go nowym. To dopiero Mrówki, dopiero terroryści czasów dzunkli występują naprawdę w imieniu chaosu, to jest terroryzm zupełnie nowego rodzaju - dopiero pokolenie Janki zrozumiało, że jedyne rozwiązanie to zdać się na chaos. Nie: przejmować władzę, zwiększać kontrolę i zaprowadzać utopię pod przymusem - ale:

zrzec się władzy, oddać kontrolę nad człowiekiem temu, czego człowiek nie może kontrolować; szukać utopii w anarkii. Ujrzeni szczęście w chaosie, ja też, ja też chyba je widzę.

Nachyliła się, by wsłuchać mu słowa prosto do ucha.

- A prawda za wszystkimi tymi słowami jest taka, że po prostu nie potrafisz wskazać sprawcy własnego cierpienia.

Puścił ją.

Wstała, zamiatając śmieci czarnymi spódnicami.

- Ile mam czasu do namysłu? - spytał.

- A ile chcesz?

Spojrzał na nią podejrzliwie.

- Skąd ta nagła wielkoduszność?

- Dać nam czas, dać okazję, to sami przekonamy się do wszystkiego. Czyż nie jest to prawdziwe błogosławieństwo umysłu plastycznego? - Zaśmiała się szyderczo, demoniczna starucha. - Ile czasu potrzebowałeś, żeby wmówić sobie, jaka wspaniała i ekscytująca jest droga oszustwa i zbrodni? Ile czasu, żeby uwierzyć w chaos i terror, przyznać rację Kurzajewskiemu i Ivanowi? Poczekam.

Po to ją właśnie najęli - rozumiał to doskonale - po to whackowali ją w proxyka 4e33a: plastuś nacelowany na plastusia. Zmieniała strategie perswazji równie szybko, jak on zmieniał zdanie. We wszystkich ważniejszych negocjacjach stawały naprzeciw siebie strony z plastusiowymi doradcami, ale nigdy nie przyznawano im pełnomocnictw decyzyjnych: gdyby zostawić negocjacje wyłącznie w gestii plastusiów, byłiby zdolni zmienić wzajem swoje stanowiska o 180° - a potem wytłumaczyć się z każdej wolty z żelazną logiką.

Po trzech krokach starucha przystanęła, jakby ją zatrzymał nagły lag; spojrzała przez ramię. Król Bólu chciał się już wykapturzyć, zamarł w pół gestu.

Stara przytknęła palec do warg, przechyliła głowę, zabrzęczały naszyjniki.

- Po czym poznałeś, że to nie ona? Powiedziała coś nie tak?

- Nie.

- Zachowałam się inaczej?

- Nie, chyba nie.

- No to jak poznałeś?

- Nie wiem.

Obnażyła w obleśnym uśmiechu zaropiałe dziąsła. - Widać jesteście ze sobą naprawdę blisko. Król Bólu milczał, zażenowany.

Król Bólu i człowiekoczwłowiek

Noc nad Tiergarten. Bez gwiazd, bez Księżycy. Na niebie kolorowe reklamy malowane przez lasery na chmurach dionizydów: fiolet, żółć, zieleń. Niżej, w chaosie świateł Berlina, króluje czerwień. Puchaemy i fairies krążą nad ulicami i parkiem, roznosząc Radość, Beztroskę i Pożądanie. Muzyka jest tak głośna, że dreszcze przechodzą po skórze i po otwarciu zbyt długo zmrużonych oczu świat kołysze się jak rozhuśtany dzwon. Bum-łum, łum-bum, b-bum.

Wypadła z tłumu derwiszy, z którymi tańczyła od dwóch przecznic; pobiegli dalej, ona zatoczyła się na trawnik i w cień drzew. Łapała chłodne powietrze szeroko otwartymi ustami. Pot lśnił na kameleonicznym makijażu pokrywającym jej skórę. Zataczała się nadal tanecznym krokiem, potrząsając do rytmu głową i nucąc dwusylabiczną mantrę. Czerwona fairie przefrunęła nad dziewczyną, obsypując ją lśniącym pyłem; ta wzięła głęboki wdech i roześmiała się głośno. Para siedząca obok na trawie uniosła wzrok. Dziewczyna podtańczyła do nich. Przed sobą mieli rozłożoną wielką księgę, białe strony razity oczy dziewczyny. Zawirowała w piruecie, po czym upadła mężczyźnie na kolana. Chciał ją podnieść, ale uwiesiła mu się szyi, ciągnąc do całusa. Zepchnął ją na trawę, na księgę. Śmiała się śpiewnie. Sięgnęła ku kobiecie, dłoń powędrowała z piersi na biodro i z powrotem ku piersi, palce po omacku szukały sutka. Kobieta odtrąciła rękę, zachnęła się. - *What are you, bi!* - *No. But I could be.* - Gdy następna fairie przysiadła na ramieniu dziewczyny, ta chwyciła ją i połknęła. Każdy kolejny ruch zdradzał jednak większą senność; prawie już spała, niewygodnie wyciągnięta na ziemi. Uśmiechając się szeroko, powtarzała, ledwie słyszalnie pod grzmotem muzyki: - *I could be, I could be, I could be.* - Para wstała, zostawiając ją tak na trawie: plama jaskrawych kolorów na tle ciemnej zieleni, w czerwonych cieniach miasta, w grafitowych cieniach drzew. Z jednym okiem wciąż otwartym dziewczyna przewróciła się na bok, kłuło ją pod zebro stalowe pióro. Karty księgi pokrywały długie ściegi odręcznego pisma, bardzo regularnego, o absurdalnie wielkich literach. Co tam napisali? W tej chwili nie знаła żadnego ludzkiego języka. Obróciła się na wznak. Zlatywały się nad nią roje puchaciem, jak pszczoły zwabione słodyczą zbyt wielką, by się jej oprzeć. Podniosła ku nim ramię. Opadały purpurową spiralą, w rytmie ekstatycznego basu. Niebo kołysało się nad dziewczyną, łum, łum, z każdym wdechem płynęła wyżej, ku kolorowym chmurom nocnym, w jaskrawe obrazy czystej przyjemności. - *I could be.*

Król Bólu obejrzał się jeszcze raz spod łuku festynowej bramy, mimo woli zastępując drogę 4e33a.

- Tak jak ona.

- Mhm?

- Spytasz ją - co ci powie? Nic ci nie powie. Nie wie, kim jest, nie wie, kim będzie.

- Chodź.

4e33a ujęła go pod ramię. Kolumna derwiszy zniknęła już w perspektywie alei, zmierzając w kierunku zoo. 4e33a i Król powędrowali na drugą stronę, gdzie cienie były głębsze i mniej Radości w powietrzu. Prowadziła 4e33a. Po ruchomej kładce przeszli na jedną z wysepek rozciągniętych na ciemnym jezioru. Ktoś tu stał, wysoka postać pochylona nad wodą - nie, to posąg. Przysiedli na kamiennym postumencie. Muzyka nie była już tak ogłuszająca, ale nadal głośniejsza od oddechu, od dźwięku przetykanej śliny. Szepty nie wchodziły w grę. Król Bólu zerknął na 4e33a. Spoglądała przed siebie, na lunę miasta ponad gąszczem Tiergarten. Uniósł ramię - wyczuła jego zamiar, odsunęła się, zanim ją objął.

Król specjalnie postarał się być o proxyka możliwie podobnego do swego oryginalnego ciała, liczył się więc z takimi odruchami: w niczym nie przypominał pięknego kochanka z Olicarte.

Ale zaraz zrozumiał, że to nie był odruch.

- To widać - powiedziała. - Twoje pismo.

- Rozpoznałaś przecież.

- Tak, to ty. - Trzy dni zajęło mu, zanim od nowa nawiązał z 4e33a kontakt przez kluby kaligrafii i, już pod biznesowym krypto, wyciągnął z niej wyznanie, że również mieszka w Europie; to przesądziło. Trzy godziny improwizowanej kaligrafii zabrało im, zanim uwierzyli w siebie nawzajem. Ona jechała na własnym ciele, on na proxyku: spodziewał się, że 4e33a jednak nie do końca pozbedzie się wątpliwości. - Ty, ale nie ty. Ostrzegałam cię. A teraz...

Król wzruszył ramionami. Zaangażowania w LPG „Mafioso” nie rozpatrywał w ogóle w kategorii błędu: Interpol tak czy owak miałby go na widelcu, przypieczętował swój los w momencie, gdy zdecydował się na przemycenie Janki z powrotem do UE, gdy nie doniósł władzom o terrorystycznych powiązaniach. Tak czy owak odpowiadałby za współudział i ukrywanie.

- Opowiedziałem ci wszystko - mruknął.

Uniosła głowę.

- Opowiedziałem ci wszystko! - powtórzył głośniej. - Wiesz, że nie mam wyjścia. Czy ulegnę szantażowi, czy nie, cokolwiek zrobię lub nie zrobię... - Ponownie wzruszył ramionami. - Że Brukseli tak zależy na zablokowaniu autostazy anarkijnej, to najlepszy

dowód, iż Północ naprawdę zamierza przejść na tę biologię, że to nie jest wcale kwestia lat; raczej miesięcy, tygodni. Nie mają już czasu na procedury demokratyczne, wezmą polityków z zaskoczenia: ot, jeszcze jeden upgrade genetyki Zamkniętego Nieba. Nie od razu się też ludzie zorientują. Dopiero gdy autostaza zacznie skręcać w *Artificial Genetics* nieprzewidziane w żadnych strategiach Żywicy, gdy *Homo sapiens* z każdą pełnią Księżyca coraz mniej przypominać będzie *Homo sapiens* - dopiero wtedy uwierzą propagandzie alterterrorystów. - Król pochylił się, oparł łokcie na kolanach. Zapach płynącej wody przypomniał mu o wiosennej burzy z dzieciństwa: wybił wtedy szybę, by posmakować deszczówki, przecudownie bolała. - Tak czy owak, dla mnie będzie już za późno. A-staza pochłonie mój dom i ogród z pierwszym silniejszym wiatrem. To koniec plastusiów, koniec wszelkich chimeryków neurologicznych. Czy ulegnę szantażowi, czy nie ulegnę - dni Króla Bólu są policzone.

- Po co ty mi to -

- Nie wiedziałem, że masz męża. Rodzinę. Że. Tak. Nigdy mi nic nie -

- Przecież sam chciałeś! Na tym wszystko polegało, nie? Absolutna wolność absolutnej anonimowości. Dopóki pewnego wieczoru nie zaczęłeś opowiadać o kłopotach swojej siostrzenicy.

- Bo już się domyślałaś! Wypytywałaś o plastusiów!

- Nic podobnego!

Przyglądał się jej kątem oka - podpatrywał, to było stosowne słowo, podpatrywał ją, w cieniu, z cienia. Dobry, szczupły kościec, świeżo nawinięte mięśnie, licencjonowana skóra nastolatki. W drugiej godzinie kaligrafii 4e33a opowiedziała mu, kim jest jej mąż, że posiada pakiet kontrolny ULI Orbitals. W trzeciej godzinie opowiedziała mu o swoich wnukach i prawnukach.

- Anyway, nie zdradziłem ci nic, co -

- Że neurochimeryk i że -

- Ale nawet imienia -

- Ja nazywam się Greta Willberg-Müller.

Poderwał się jak trafiony szrapnelem i odskoczył od posągu, zatrzymując się dopiero na samym brzegu jeziora.

- No i cz-cz-czemu... dlacz-czego musiałaś... - Zrozpaczony wymachiwał rękoma i kopał czubkami butów w wilgotną ziemię.

Greta założyła ręce na piersi.

- Teraz zapytasz mnie, czy nigdy cię nie kochałam, ja odpowiem, że może, ty się

wściekniesz i -

- Podręcznik napisz!

- Tylko nie rozumiem, czego się właściwie po mnie spodziewałeś. Że razem z tobą popełnię samobójstwo? Ile ty masz lat, piętnaście?

- Rozdział trzeci, „Niezbędne okrucieństwo”.

Zaczęła chichotać.

- Uroczy jesteś!

Dopiero wtedy uwierzył w Gretę Willberg-Müller. Potrzęsnał kalejdoskopem.

- To nie twoi znajomi.

- Co?

- Nie tylko oni. Ty też. Ty przede wszystkim.

- O czym -

- *Life Playing Game* „4e33a”. Wylosowałaś mnie, mam rację?

Uciekła spojrzeniem w bok.

- Wylosowałam s i e b i e. Na tym ta gra polega, przecież wiesz. Kiedy żyjesz tak długo jak ja... Zbyt długo. Zaczynasz się nudzić. Powinno być inne słowo, nuda ma się do tego jak szept do wrzasku. To ssanie w środku głowy, dziura w myślach, świat za szybą pancerną. To -

- Wiem.

Kto miał wiedzieć, jeśli nie plastyk? Usiadł na wilgotnej trawie, krzyżując nogi. Greta odwróciła głowę, przyciskając policzek do posągu, byle nie patrzeć na Króla. Król natomiast przyglądał się jej otwarciu. Kim była, zanim zaczęła grać? Jaka postać poprzedzała 4e33a? Jaka poprzedzała tamtą? Jak wyglądałby charakter pisma oryginalnej Grety Willberg-Müller, spontaniczna kaligrafia Greto-grety...?

Przyszło mu do głowy, że ludzie w istocie od dawna grają w LPG, że owo pragnienie wyjścia poza siebie, przewyciężenia paradoksu - nie pomyślę rzeczy nie do pomyślenia, nie wyobrazę się sobie innym, niż mogę wyobrazić, będąc sobą - jest uczuciem charakterystycznym dla człowieka jako człowieka, towarzyszy mu od zarania. Zmieniają się tylko metody gry.

Ongiś nakaz zewnętrzny musiał przychodzić z sankcją religii, istoty wyższej, autorytarnego władcy. Jednym z pierwszych Podręczników Gry było Dziesięć Przykazań. Gra posypała się w XIX wieku, gdy ludzie masowo zaczęli wybierać sobie religię i kodeks etyczny podług własnych upodobań: nakazy nie były więc już naprawdę obce, nie pochodziły z zewnątrz. Ułomny substytut stanowiły jeszcze kursy dyscypliny mentalnej, rozmaite sekty i

terapię medytacyjną, podręczniki samorealizacji, także sztuki walki. Zawsze jednak decyzja zależy tu w jakimś stopniu od człowieka. A nikt sam siebie nie podniesie z bagna za włosy.

Ongiś nakaz zewnętrzny musiał przychodzić z sankcją religii - teraz z premedytacją poddajemy się żywiołowi, chaosowi nazywanemu chaosem, w nim nasz ratunek. Nie trzeba pięknych usprawiedliwień, masek samooszustwa: c h c e m y oddać kontrolę, przesunąć władzę nad sobą poza siebie. I nie może być to wybór - świadomy ani podświadomy - cóż to bowiem za niewolnik, który jest panem swego pana?

Marksieści-kreacjoniści mają rację. Kto stworzy nowego człowieka? Przecież nie człowiek stary.

Czym innym jest projekt autostazy, jeśli nie ucieczką w *Life Playing Game* na skalę cywilizacji?

Bez zewnętrznego punktu oparcia ludzie nigdy się nie podniosą.

Król Bólu poderwał się energicznie, podszedł do Grety, ujął ją za rękę.

- Wszystko przygotowałem. Jutro dostaniesz przesyłkę z wykonanym na zamówienie pachnidłem. To nie będzie pachnidło. Wystarczy, że rozsmarujesz odrobinę na nagiej skórze. Potem, nie wiem kiedy, za tydzień, za miesiąc, może wieczorem, może rankiem, zobaczysz je przed domem.

- Zobaczą - kogo?

- Pasikoniki.

- Co?

Pociągnął ją; wstała, zmieszana.

- Chodź, pod kawiarnią przy Englischer Garten jest salon Lloyda.

Nie miała czasu się zawahać, wyartykułować sprzeciw, wymyślić wymówkę - przeciwko czemu? Zanim się obejrzała, byli z powrotem na alei, gorące cienie oblały ich neonowymi rumieńcami, mijały ich korowody uczestników Festiwalu Alienacji, oparta na irytującej dysharmonii muzyka wkuwała się w bębni, grzmot za grzmotem, nad drzewami mignęła Kolumna Zwycięstwa w koronie rozpalonych laserami dionizydów, Król nie pozwalał Grecie zwolnić kroku, przyklejony do jej boku, wykrzykujący prosto do jej ucha wyjaśnienia, o które nie pytała, głos znowu mu wibrował od plastusiowego samozadowolenia:

- Szmugler Intronowy! Pracuje na trzech organizmach! Szyfratorze, Przemysłowcy i Deszyfratorze! Chyba że wersje specjalistyczne. Te wykorzystują więcej nośników. Wersja szpiegowska - na początku wprowadza organizm wykradający materiał szyfrowany. A wersja tranzytowa - dodaje następnych Przemysłowców. Ale zasadniczo! Jak działa taki genware?

Szyfrator szyfruje podany mu genom według unikalnego klucza. Zaszyfrowany, umieszcza w intronowych śmieciach genomu Przemytніка. Teraz geny szmuglowane będą nie do odróżnienia od reszty intronowego szumu. Przemytnik wchodzi bez problemu do najbardziej paranoicznej stazy. Po spotkaniu z Deszyfratorem przekazuje mu pełny genom - tu konieczny jest kontakt fizyczny. I w organizmie Deszyfratora następuje odkluczenie intronów. Za klucz może posłużyć każdy oryginalny genom. W ostateczności Deszyfratorem jest dowolny organizm nieseryjny. W zależności od wersji Szmuglera, zdeszyfrowane geny zostają natychmiast zaaplikowane Deszyfratorowi lub, już odkryte i aktywne, przekazane jeszcze innemu organizmowi. Szmugler został zaprojektowany do infiltracji Zamkniętego Nieba. Posiadanie syntezatorów życia jest tu ciężkim przestępstwem. Podobnie jak posiadanie każdej innej broni masowego rażenia. Wygodniej więc zacząć od gotowego organizmu, nie od czystej informacji. Przemytnikami są przeważnie owady. Rzadziej ptaki lub ryby. Nie sposób powstrzymać ruchu fauny między stazami. Trzeba by przykryć stazę hermą, tego nie da się zrobić. To dlatego w tej chwili Komisje Konserwacji Życia dążą do takiego zróżnicowania genetycznego poszczególnych staz - zwłaszcza sąsiadujących z sobą - żeby gatunkom wędrownym nie pozostawić żadnego pustego miejsca w genomie. Wyeliminować introny i podobne bufory. Zresztą Bruksela powoli rezygnuje z podwójnych helis, z chromosomów. W modzie jest genetyka kubistyczna i języki wektorowe. Ale póki co. Póki co! Póki lewoskrętne DNA! Szarańcza przemierza kontynenty! Motyle przelatują dziennie sto mil! Zginą, nie zginą, łańcuchy pokoleniowe Szmuglera są nieskończenie długie. Wystarczy jeden! Pasikonik!

Kawiarnia była otwarta i pełna ludzi, podobnie salon proxy na dole. Król przekupił szefa sali, żeby wpuścił Gretę na fotel zarezerwowany dla innego klienta. Usiadła, nadal spoglądając pytająco na Króla. To była typowa kapturnia uliczna, maksimum cztery godziny na sesję, brak wyposażenia medycznego, fizjologia na autopilocie, opłata z góry. Król zapłacił, wpisał adres.

- Czekam na ciebie - powiedział i podał Grecie kaptur. W fotelu po lewej miała wąsatego Turka, po prawej - nastoletniego demona.

- No! - popędził ją Król. - Wchodzisz?

- Wchodzę! - syknęła i naciągnęła na głowę czarny materiał.

Król Bólu przekapturzył się.

W sercu dzunkli, pod trupaprocją trzy dziwomałpy grały w strulki. Reszta stada rozsiadła się na rozświetlonej polanie obok. Król przestał iskać grubą samicę, podniósł się na krzywe nogi i podreptał do graczy.

- Chtóła naszepna w kolecze? - Charknął, walnął się w pierś, splunął, odchrząknął, zajodłował i powtórzył: - Która następna w kolejce?

Ale już ją widział: niska dziwomałpa o białej sierści, nagle rozbudzona, mruży oczy w wieczornym słońcu, zielonym od podniebnego gąszczu, przez który musi się ono przebić, zanim spłynie na polanę, mruży oczy, unosi niepewnie ręce, dźwiga się na zbyt krótkie nogi, rozgląda, otwiera usta...

- Tutaj! - Król zerwał kapelusz z głowy jednej z grających małp i zamachał nim energicznie. - Greta!

Podeszła, lekko się potykając i podpierając rękoma.

- Tsz, szcz, ksz - zaczęła.

- Powoli. Samogłoski najpierw.

- A-a-ale -

- Oddaj-żesz!

Król przedstawił małpę, która właśnie z powrotem nasadzała sobie na łeb flakowaty kapelusz.

- Guillo od Ivana. Ten w baseballówce to Vija Pyszczek, szaman Wyzwolonych Manufaktur Zjednoczonego Kościoła Siatkówki Plażowej. A ten z blizną na mordzie to pomagier Guillo -

- João Fernández-Argüelles Robakiewicz, hreczkosieju - warknął obliźniony, podrzucając wysoko w powietrze biały kamyk.

- Bażo mymyło - powiedziała Greta.

- Chodź, sama zobaczysz -

- Hej! - Guillo podniósł wzrok. - Mieliśmy ciąć mapy! Masz te skany?

- Wczorajszy rzut już wrócił? - Król spojrzał ku zachodowi, pod słońce.

- A myślisz, że na co tu czekamy?

- Coś rośnie nad Rio Canacha - mruknął Vija.

- Co?

Vija wzruszył ramionami, co wyglądało, jakby i tak krótka szyja do reszty zapadła się w wypukłą klatkę piersiową dziwomałpy.

- Spuściliśmy z balonowca ostatnich szpiegów. Wrzucę ci pliki.

- Okay.

- Aha, po zmroku nie wchodź do wody.

- Wiem, wiem.

Król Bólu i Greta powędrowali w głąb dzunkli.

Ledwo zeszli z małpiej polany na wąską ścieżkę międzydrzewną, zaczęli się zapadać po kostki, po łydki, po kolana w ziemi, która wtem utraciła spoistość i rozpulchniła się w czarny kisiel.

Greta wydobyła się zeń dzięki lianie; Król pomógł jej poniewczasie.

- Zapomniałem. To, co w cieniu... Trzeba chodzić po kamieniach, korzeniach. W ogóle najlepiej wędrować między gałęziami. Ale spadłabyś. Ja też nie mam jeszcze wyczucia.

- Tarzan z bożej łaski.

- No, parę razy już sobie tak zламаłem kark, skacząc po lianach.

Szli, stąpając po wypiętrzających się z parującej gleby systemach korzeniowych, po pochyłych pniach, starym drewnie. Ścieżka okazała się atrapą ścieżki: widzieli wystające ponad powierzchnię ziemi fragmenty ciał zwierząt, łapy, ogony, długie dzioby, nagie kości, czaszki oraz szczątki, które trudno było przypisać konkretnemu gatunkowi lub metagatunkowi, czy nawet roli, jaką miałyby pełnić w organizmie. Kości - ale może nie kości. Kończyny - ale może nie kończyny. Róg - ale może serce - ale może mózg - ale może coś zupełnie poza nazwaną biologią.

Czy w ziemi pod dzunkłą żyli jacyś niewidzialni drapieżcy? Czy sama ziemia była drapieżcą? Niektóre z na wpół pochłoniętych członków wyglądały dla Greta na niepokojąco podobne do jej własnych rąk i nóg - rąk i nóg jej aktualnego proxyka.

- Problem polega na tym - mówił Król Bólu - że wszczepki nie pasują do przekreślonych układów nerwowych. Znaczący, wylapujemy stado dziwomałp, proxykujemy je i wypuszczamy w dzunkłę, ale gdy tylko wleżą w jakąś autostazę czy po prostu w taki obszar AG, w którym organizmy przepisywane są na radykalnie odmienną biologię - tracimy nad proxykami kontrolę. Wszczepki zostały zaprojektowane dla układów nerwowych *Homo sapiens* i podobnych, w każdym razie pochodzących od kręgowców opartych na tradycyjnej genetyce. Mózg, neurony, aksony, synapsy, impulsy elektryczne, jony sodu i litu, i tak dalej. A im głębiej wejdiesz w dzunkłę, tym trudniej znaleźć zwierzaka, który w ogóle miałby coś w rodzaju mózgu.

Greta wyrwała sobie spod skóry jakiegoś robala, składającego się głównie z kleszczy i żądła, i przyglądała mu się przez chwilę, przechylając łeb.

- Wiem, że ULI Orbitals mają na warsztacie niebiałkowe sieci proxykujące - powiedziała.

- Mhm?

- Jak tylko zlikwidują problem opóźnień w transmisji, usłyszysz o Aniołach Próżni, tysiąc euro za minutę wynajmu: istoty od podstaw zaprojektowane w biologii otwartego

kosmosu, motyle wiatru słonecznego. Oczywiście na zupełnie innej neurologii i innej genetyce.

- Noo, DNA to dawno zostawiliśmy za sobą.

- Co?

Król Bólu machnął w stronę przeciwną do kierunku marszu.

- Sto pięćdziesiąt mil na wschód stąd przebiega granica genetyk aminokwasowych.

Greta odruchowo spojrzała na swoje ręce, nacisnęła mięśnie, dotknęła pyska dziwomałpy.

Król zaśmiał się i pogłaskał sierść na jej głowie.

- To są jeszcze łagodne translacje - rzekł. - Fenotyp się trzyma. Ale tam... Chodź.

Łagodne translacje nie oznaczały wszakże, że wszystko tu pozostało zgodne z pierwotną biologią Ziemi. Różnice były drobne, ale tym bardziej zaskakujące. Demony, hybrydy i chimeryki wypuszczane przez inżynierów AG zawsze mają jakiś cel, są zaprojektowane dla określonej funkcji lub wypełnienia określonego miejsca w ekosystemie. Z kolei obronne *Artificial Genetics* Północy i Południa w ogóle nie służą zmianie równowagi ekologicznej ani manipulacji fenotypami: AG przepisują tam organizmy na coraz inne języki genów, sam kształt organizmów pozostawiając - na ile to możliwe - niezmieniony. Tak samo dla brzmienia melodii niewielkie ma znaczenie, czy zapisano ją na woskowym walcu, winylowej płycie, pamięci cyfrowej czy kryształom rezonansowym. DNA to tylko jeden z możliwych języków dla opowiedzenia Życia. Jednak džunkla nie ma celu; džunkli nikt nie projektował; džunkla walczy sama z sobą. Setki wypuszczonych w żywioł południowoamerykańskiej dziczy terrorystycznych AG złożyło się na proces nieporównanie bardziej chaotyczny od naturalnej ewolucji. Mijali całe obszary - akry, hektary - wyjąłowione w starciu rozbieżnych biologii. Drzewa, krzewy, kwiaty, grzyby, trawy, chwasty, mchy - jakby przez wszystko przeżarł się złośliwy nowotwór, zabijający, wysuszający, petryfikujący każdą tkankę. A potem - kilkanaście metrów i jak nożem uciął: nowe życie, nowe kombinacje flory i fauny. Król Bólu opowiadał Grecie przebieg wojny, dedukowaną z pozostałości przegranych genetyk historię i ewolucję autostaz džunkli.

- Cała gra polega na tym, by w porę wytypować zwycięską autostazę. Mapujemy džunklę podług zasięgu poszczególnych genetyk i staz, obserwujemy dynamikę zmian, szukamy ośrodków decyzyjnych, organów inteligencji, jeśli takowe w ogóle istnieją. Drzewa Wiadomości mogą przecież stanowić wyjątek - wszystko po to, żeby jak najszybciej rozpoznać najsilniejszą genetykę. Czyli tę, która wypiera inne, najlepiej się adaptuje, najłatwiej przystosowuje do nowych warunków i odpowiada na zagrożenia. Rozpoznać - i

wejść w nią. Ludzie spod Zamkniętego Nieba nigdy tego pojną, jedynie gracze tacy jak my...

Greta tylko przewróciła oczyma, wyglądało to jak chwilowe omdlenie małpy.

Król Bólu uderzył zaciśniętą dłonią w dłoń otwartą, zapamiętany w nagłej gwałtowności.

- Wchodzisz - ale nie wiesz, kim, czym się w końcu staniesz wewnątrz. Możesz tylko obstawić pierwsze pole, nie przewidzisz, gdzie gra cię poniesie potem. Na tym zasada się przewaga a-staz nad stazami sterowanymi przez człowieka: same się przystosowują, nie muszą za każdym razem czekać na nowy program z Żywicy. W to tutaj gramy.

- Ty i -

- Marksiści-kreacjoniści, siatkówkowcy, część cthulhystów, Mrówki. Anarkie, terroryści, alterroryści.

Spojrzała na niego z małpią powagą.

- Znalazłeś sobie ostateczną LPG.

Zarechotał głośno, aż coś mu zadudniło w piersi.

- Ona mnie znalazła! To jest w tym wszystkim najpiękniejsze! Nie pozostawili mi wyboru! Parę miesięcy wcześniej, parę miesięcy później - co za różnica? Wolę pograć po plastusiowemu. Jeszcze się zdziwią. - Nachylił się nad Gretą, jego dziwomałpa była wyższa od jej dziwomałpy. - Zagrasz ze mną?

- Pasikoniki...?

Ledwo dał jej czas na wtrącenie słowa.

- Komisje Konserwacji Życia chcą zablokować, spowolnić auto-stazy, bo boją się, że w tej chwili okazałyby się one silniejsze od staz Zamkniętego Nieba; połknęłyby je, przepisały na własną modłę, albo po prostu wyparły i zniszczyły. Oczywiście od anarklandów Ameryki Południowej do Europy droga daleka, więc Północ może zdążyć się przesiąść na równorzędne a-stazy - ale rzeczywiście: gdyby już teraz przemycić tę amazońską autostazę do UE, gdyby przekopiować tam jej zarodnię, ugryźć od wewnątrz...?

- Ale - po co? Dlaczego?

- Żeby nie mogli nad tym zapanować! Żeby oddać władzę przypadkowi, wyprzedzić ich porządek. W imię chaosu! - krzychał. - Bo tylko taka nadzieja nam pozostała: c z ł o w i e k n i e s t w o r z o n y p r z e z c z ł o w i e k a.

Wyszli w końcu spod ciemnozielonego dachu dzunkli, jeszcze kilka kroków po zrogowaciałych korzeniach drzew, drzew, które powoli obracały się nad nimi na wietrze - i stanęli na osłonecznionym zboczu. Opadało ono, najpierw łagodnie, potem coraz bardziej stromo, ku rozlewisku, z którego na północy wylaniał się nurt i koryto rzeki. Rozlewisko było

seledynowe od gęstego kożucha chlorofilowego fermentu. Lecz im dalej na zachód, tym mniej zieleni w krajobrazie. Unieśli głowy, małe bokobrody nastroszyły się na wietrze. Zachodni horyzont zagradzała ściana płaskowyżu, przez jego krawędź przelewał się wodospad, rozczesany skalnymi ostrogami na kilkanaście szerszych i węższych strug bieli. Tam, u jego podstawy, woda miała kolor wody. W chmurze rozpylonych w powietrzu mikroskopijnych kropli obracały się powoli kłęby, bałwany i spiętrzenia piany. Głuche echo jednostajnego huku docierało aż do Króla i Greta, którzy przysiedli pod szczytem stoku, w jednej trzeciej wysokości płaskowyżu.

Król Bólu wskazał długim ramieniem ponad nawis pionowej ściany.

- Tam zaczyna się terytorium autostazy, która prowadzi w rankingu ivanowców.

Na tle zachodzącego Słońca rysowały się ponad krawędzią płaskowyżu niewyraźne kształty: nie drzewa, nie rośliny, nie zwierzęta, coś kanciastego, coś zbyt regularnego, by nazwać to dziełem natury - takiej natury, jaką znała dotąd Ziemia. A przede wszystkim kolor - ten kolor nie był kolorem życia, jakie znała Ziemia: nie zieleń, nie brąz, nie żółć i nawet nie błękit - lecz metaliczne srebro, matowa szarość i czerń masywna jak kopyto Lucyfera.

Greta mrużyła po ludzku oczy.

- Niewiele widać. Macie w ogóle pojęcie, co tam się dzieje?

- Dziwomały nie wracają, nawet te specjalnie adaptowane, wykręca im zresztą wszczepki proxykowe z mózgow. Ludzkich ochotników nawet nie próbowaliśmy. Dla człowiekoczwolika jest to kraj nie do życia: genetyka tak odmienna, że jej wirusy czy bakterie nawet nie rozpoznają nas jako organizmy żywe - zabija sama chemia. Ze skanów orbitalnych widać, jak zmienia się skład atmosfery, coraz mniej tlenu, coraz więcej ciężkich związków węgla. Spuszczamy z balonowców roboty szpiegowskie. Chcesz zobaczyć nagranie? Wrzucę ci na ten sam adres, naciągnij sobie na kaptur.

- Dawaj. Już?

- Już.

++ +

...kolec, struna, spirala, sieć heksagonalna, ściana czarnego ula pocięta na geometryczne komórki jak kryształ, który dzieli symetria wiązań chemicznych - dopiero gdy w obraz wdzierają się jedna z nóg robota, ustanowiona zostaje skala tej sieci: każda komórka większa od robociej łapy, a komórek tysiące...

...pędy, wici, żyły, korzenie jak organiczne kable, wysuwające się ze szczelin w spieczonym na szkło ziemi i wkleszczające się w gniazda/ usta/odbyty zwierząt, które zbierają się na tej węglowej równinie pod wielkim Księżycem...

...zwierząt utrzymujących od siebie jednakowy dystans i poruszających się powoli, niczym na rozciągniętym w czasie filmie, który wtem się zrywa: bezgłośnie spazmy podrzucają je, szarpia nimi niewidoczne wyładowania...

...zwierząt pochodzących od zwierząt, zwierząt pochodzących od roślin, zwierząt pochodzących od ludzi i zwierząt pochodzących od tego, co nie pochodzi z naturalnej ewolucji...

...człowiek, mała, ptak, owad, nie może być tym wszystkim, ale jak się zachowuje, jak patrzy - beznamiętna intensywność spojrzenia sępa - patrzy na mnie, podchodzi, kolana wysoko, łokcie od ciała, prosta szyja, ostra grdyka, i teraz nagła drgawica członków, jak trzepot kończyn zepsutego automatu, po czym unosi jedną nogę i, zatrzymany w pół kroku, z twarzą zwróconą ku zasnutemu truciznami niebu, wydaje z siebie wysoki, przeciągły trel, pisk przechodzący w ultradźwięki, na który odpowiadają inne piski, głośniejsze, szybsze, jeden, drugi, dziesiąty, jak maszynowe strzały informacji ściśniętej do sekundowych impulsów kakofonii...

...z dymów, z głębi czarnych oparów, z zimnych chmur ciężkich gazów, z geometrycznej ciemności...

++-

Król Bólu patrzył, jak Greta otrząsa się z nastrzykniętych w zmysły wizji; sam tylko zajrzał, widział te nagrania wcześniej. Proxyk Greta przez chwilę potrzasał głową i łapał powietrze szerokimi ustami.

- W to... w to chcecie się przepisać?

Król wzruszył ciężkimi ramionami.

- Co zwycięży. Zobaczymy. W tym rzecz, że my nie mamy tu żadnego wyboru, ja nie mam wyboru. Ta staza wygrywa, która wygrywa.

- Nie powiem, żebym czuła się zachęcona.

- A czego się spodziewałaś? Kwiatusków, motylków, aniołków? Nie bój się, estetyka podąży za biologią - w końcu i w tym ujrzysz piękno.

- Ach! - Otworzyła szeroko zwierzęce oczy. - Więc to tam wpuścili twoje geny? Czy to właśnie wyrosło na plastusiowej neurologii?

Spojrzała na Króla, na płaskowyż, z powrotem na Króla.

- Królestwo Bólu.

Odwrócił wzrok.

- A jakie to ma znaczenie? Geny są geny. Skoro już je wrzucili do tego tygla... Mhmmm. Tylko...

- Co? Co ci znowu chodzi po głowie?

Zmarszczył grube jak kciuk brwi; nawarstwiły mu się nad oczodołami w mongolskich fałdach, małpy nie powinny być zdolne do podobnej mimiki.

- Jaki będzie następny etap? - rzekł powoli. - Bo to oczywiście nie koniec. Nie ma końca. Na wszystko znajdzie się odpowiedź.

- Mhm?

Zgarbił się karykaturalnie i nabazgrał na ziemi, między platfusowymi stopami:

TERROR → BIOTERROR → BIOTERROR GLOBALNY →

ANARKIE I STAŻY → AUTOSTAŻY → ?

- Jedno wymusza narodziny drugiego, jak choroba wymusza lek, miecz tarczę. Nie można tego zatrzymać. Na pewno pojawi się odpowiedź także na autostazy. Jaka? Kiedy? Skąd nadejdzie? I co, co to będzie?

Greta zachichotała basowo.

- Chcesz wiedzieć? Nie chcesz wiedzieć!

Wyprostował się, spojrział na nią z nagłą powagą.

- Tak. - Poszukał nieforemną dłonią jej dłoni, małpie palce zacisnęły się na małpich palcach. - Wydaje mi się, że teraz, ha, teraz, gdy jest już za późno, w końcu rozgrywam to jak trzeba.

- Mhm?

Wyciągnął się z powrotem na zboczu, między twardymi szponkorzeniami wirdrzewa. Greta leżała obok. Król Bólu pomyślał, czy przypadkiem nie spogląda na nich znad wodospadu któryś z robotów szpiegowskich Wyzwolonych Manufaktur Zjednoczonego Kościoła Siatkówki Plażowej i marksistów-kreacjonistów, i co widzi, jeśli spogląda: dwie dziwomałpy, każda z innego gatunku, o innych proporcjach ciała i kościach twarzoczaszki, dwie dziwomałpy ułożone na stoku spłowiałej zieleni, w cieniu i blasku zachodzącego Słońca, pod splątanym baldachimem dzunkli, dwie dziwomałpy, zagładające sobie w ciemne ślepie, trzymające się za ręce - perwersyjna parodia obrazów ludzkiej czułości.

- Nikt samodzielnie nie nauczy się intymności - rzekł. - Tego nie można kontrolować. Nie można wybrać, zaplanować, przewidzieć. Musisz rzucić się przed siebie z zamkniętymi oczyma, w niewiadome, godząc się z góry na wszystko, co cię spotka.

- Mówisz o tym jak o kolejnej *Life Playing Game*.

- To jest pierwsza *Life Playing Game* człowieka: drugi człowiek.

Uśmiechnęła się, odsłaniając żółte kły. Mimo zwierzęcej maski proxyka Król dostrzegł smutek w tym uśmiechu, pod tym uśmiechem.

- Nie potrafisz - szepnęła. - Nigdy ci się nie uda. Nadal planujesz: że wybierzesz brak wyboru i brak planu.

- Nie -

- Już ci się układają w głowie scenariusze.

Chciał powtórnie zaprzeczyć; nie zaprzeczył. Obrócił spojrzenie ku zenitowi. Na ciemniejącym błękitcie wysrebrzały się pierwsze gwiazdy, podświadomie dorysowywał między nimi jasne linie. Tak włączały się po kolei nad Królem Bólu układy scalone Otwartego Nieba.

Ścisnęła mocniej jego dłoni.

- Może gdybyś... Skoro wszystkie bodźce odbierane przez twoje ciało powodują mniejszy lub większy ból, czemu całego czasu nie spędzasz na proxykach?

- Na pewno słyszałaś o schizosomatach. Gubią się zwykli ludzie, co dopiero plastusie. Mam ustawiony licznik, proporcja czasu powinna wynosić co najmniej jeden do jednego, minus okresy snu. Psychologowie doradzają jeszcze ostrzejsze limity: czterdzieści procent, trzydzieści procent. Muszę się pilnować. Żeby...

- Żeby co?

- Żeby się nie rozpuścić.

Zamknął oczy. Rozpuści się, nie ma innej drogi. Widział to wyraźnie, w snach i na jawie. (Takie były sny Króla Bólu: że czasami odróżniał je od jawy tylko po braku bólu. Ból również mu się śnił - ale o ile sen o przyjemności sam jest przyjemny, o tyle sen o bólu nie boli, co najwyżej sprowadza lęk i depresję). Widział to w snach: *world turning circles running 'round his brain* - co zobaczy, gdy spojrzy w lustro? - nie siebie: al-gajb, To, Co Skryte. W snach bowiem posiadało konkretny kształt: płonąca zimnym, srebrnym ogniem sieć neuralna Króla, jak preparat sekcyjny, rycina anatomiczna: układ nerwowy *Homo sapiens* wyjęty z organizmu, delikatna płatanina srebrnych nici, u góry zwijająca się w dwie masywne półkule mózgu i schodząca w dół pionowym prętem rdzenia kręgowego, lecz poza tym rozproszona w koronkowej kompozycji przestrzennej odpowiadającej zarysem ludzkiemu organizmowi; jaśniejsza w miejscach gęstszego unerwienia, ciemniejsza, gdzie rządzi mięso. Tak wyglądał duch al-gajb Króla Bólu. Odkąd jednak Król zdecydował się uciec spod policyjnego szantażu w *Life Playing Game* o amazońskiej autostazie - odkąd ujrzał z plastusiową pewnością, że nie ma dla niego innej drogi - al-gajb poczęło się zmieniać. Sen nakładał się na sen. Bo Król śnił już oczywiście o dniu, gdy wbije tę a-stazę w serce Europy, i

jak wybuchną pod Zamknięte Niebo inwazyjne dionizydy na jego genach, z wiatrem i pod wiatr, w wirusach, bakteriach, owadach, ptakach, w roślinach i zwierzętach, powoli zagarniając coraz większe przestrzenie, rozlewając się po biosferze jak kropla atramentu w szklance mleka, coraz szerzej, i na ludzi, na ludzi także, przepisując ich na a-stazową genetykę, wciągając ich do procesu zmian, ich mózgi, ich al-gajb, i jak proporcjonalnie rozwija się - pierwszy sen pod snem drugim - moje al-gajb, jak dotyka, obejmuje, pochłania wszystko, co żyje, srebrna sieć nerwowodów płonie oślepiającym blaskiem, nie posiadam ciała, ponieważ teraz istnieją jedynie al-gajb oraz rozpięte na ognistej sieci proxyki - cały świat jest moim proxykiem - każde cierpienie doświadczane przez najpodlejszego chimeryka, każdy ból chorych i umierających jest moim bólem - a nie ma sprawiedliwości ponad sprawiedliwość tego, który odczuwa ból wszystkich ofiar i krzywdzicieli. Tak więc oto naprawdę stałem się Królem Bólu. Oczywiście to tylko senne rojenie, całkowicie odklejone od rzeczywistości, nikt nie rządzi a-stazą, to żywioł, nie ma centrum, nie ma celu, nie ma mózgu, a ja nie jestem królem niczego poza własnym zwierzęcym bólem - ale... *I could be, I could be.*

Gdy z powrotem weszli na polanę, wszystkie nieujędzone dziwomałpy już spały. Pod trupaprociami pozostali tylko Vija Pyszczek i João Fernández-Argüelles Robakiewicz.

- Nie wrócili? - spytał Król.

- Nie wrócili. Znaczy, zeszło coś z płaskowyżu, ale nie małpa.

- No to skąd wiecie -

- W żołądkach miało kawałki wszczepki proxykowej. Czego nie zdążyło strawić.

Król zaklął i usiadł ciężko pod czarnym liściem paproci. Greta potrząsnęła głową.

- Czekają na mnie w domu. Zaraz zresztą wyrzucą mnie z Englischer Garten.

Złapał ją za rękę.

- Nie odpowiedziałaś mi, czy -

- Nie wiem. Puść. Nie wiem. Poślij te pasikoniki. Zależy od dnia, od chwili. Chyba powinnam rzucić monetą, nie? Puść.

Puścił. Biała dziwomałpa podreptała na środek polany, odwróciła się na pięcie, uniosła ramiona - i padła bezwładnie na ziemię.

Vija wachlował się baseballówką. Noc była duszna, nawet dla lokalnych proxyków.

- Co ze skanami?

- Przejdźmy do Rio.

João spojrzał na pozbawionego jeźdźca proxyka Grety.

- Pasikoniki, he? Co ty tam kombinujesz?

- Nie twoja sprawa.

- Nie moja sprawa! - poderwał się João. - Nie moja sprawa! Słyszysz, Pyszczek? No słuchaj gieroja!

Vija wytrzepał z czapeczki fluorescencyjne zarodnie, rozgniół je kciukiem, kciuk polizał.

- Cichaj, ptaszyno. Nasz plastuś kochany też ma na karku terminy.

- Jak się nie pośpieszę - powiedział Król - przyjdą po mnie i wywleką z substazy, wyprasują mózg, *kaputt, finito*; nie pogram. Czekają, ale w nieskończoność czekać nie będą.

- Przeciągaj - rzucił João. - Złap się na ten szantaż, wydaj Mrówki, dogadamy się, kogo mogą poświęcić w Europie. Tu też możemy podstawić szczujom jakichś ślepych idiotów.

Król pokręcił przecząco masywną głową.

- Nie da się. Napuścili na mnie plastusiową profilerkę, z miejsca się wyzna, wszystko sobie ułoży po jednej rozmowie. I dopiero się sprawa posypie.

João spojrział na Viję.

- Przecież nie mamy jeszcze pojęcia, na jaką autostazę postawić. O co tu chodzi?

Vija wzruszył ramionami.

- A co byś zrobił na jego miejscu? W zeszłym wieku wdziewali dynamitowe kamizelki i szli na ulice. On nie może nawet wyjść z domu.

João tylko prychnął.

- Nie wiedziałem, że z niego taki terrorysta chaosu! Chaotysta wielki! Bardziej ivanowy od Ivana!

- Co się przejmujesz - mruknął Król - i tak przecież nie zdradzę waszej a-stazy, skoro sami nie wiecie, którą wybrać.

- To co? - sierznił się João. - Zdasz się na przypadek? Wyciągniesz tę autostazę z kapelusza? A może dasz jakiejś dziwce wylosować, skoro już je tu na wieczorki zooflne prowadzasz?! Które zwierzątka bardziej się jej podobają, w te wejdiesz, co?! - Złapał się za głowę. - Kretyn wszystko spieprzy! Matko Boska Częstochowska! Za co nas takimi defekami karzesz!

- Odpierdol się.

- Nie wiemy, na którą postawić - no to skąd możesz mieć pewność, czy nie podasz im na tacy tej właściwej? A może o to ci chodzi? Może już cię przekręcili, szantaż się im udał, może ty agent Żywicy jesteś?!

- Wszystkiego nie da się kontrolować. - Król podlubał w zębach, podrapał się po

jajach, splunął. - Nie wszystko warto kontrolować.

- Pacan! Pustoleb! Pawian! Parch! Pierdydziel! Pojeb! Pompon! Paskuda! Prujkrawiec! Pizdopij! Pieprzotnik! Póljajec! Pędrak! Przyryj! Pigwej! Potępieniec! Pochujnik! Pierdzibóg! Pipciwcisk! Przelewak! Pluskwa! Pędzismród! Pyszczur! Poplityk! Piździch! Pajac! Polaczek! Pupapiór! Pokątnik! Pludrak! Psuj! Pytyczaj! Picoglanc! Platfusior! Praprałat! Pryszczesz! Pedałmac! Psubrat! Porąbaniec! Pólgłówek! Palant! Plastuś pieprzony!

Król Bólu i pasikonik

Żywica, wypuściła nagły upgrade stazy, by zablokować nowy wirus Synów Palestyny, i zarządzono dzień wolny od pracy; ludzie siedzieli w domach, mierzyli sobie temperaturę, wypatrywali oznak alergii, oglądali tapery i pili wielkie ilości płynów. Irena Nowak-Nowak jechała baobabową aleją, przeklinając na głos Króla Bólu. Ciekło jej z nosa, kręciło się w głowie, ale musiała jechać: przez tydzień po upgradzie każde wezwanie traktowane jest jak alarmowe i lebenmaistrzy zobowiązani są reagować odpowiednio. Co prawda, teraz sygnał przyszedł od menadżera domu klienta, nie od samego klienta, dla prawników jednak to wszystko jedno. I żeby jeszcze był to ktoś normalny - ale ten pieprzony plastuś...! Musiała się zawsze bardzo pilnować, by nie okazać podczas wizyty obrzydzenia; pewnie to tę skrupulatną uprzejmość wziął był za oznaki sympatii. Co za kanał. Że też muszą jej przydzielać wszystkich pojebów...! Wóz zatrzymał się na podjeździe, wysiadła, wycierając nos w lipustkę. Po południu padało, w wieczornym powietrzu wciąż unosił się zapach deszczówki - kichnęła i nos zatkał się jej z powrotem.

Podeszła do drzwi.

- Ziegler und Hochkupfer.

- Niezmiernie mi miło - powiedział dom. - Pan jest zajęty. Chce pani zostawić wiadomość?

- Chwila, moment. Przysłałeś nam informację o skażeniu substazy. Potwierdź.

- Polisa ubezpieczeniowa nakłada na mnie taki obowiązek. Piękny mamy wieczór, nieprawdaż? Pan jest zajęty. Chce pani zostawić wiadomość?

Irenie krew uderzyła do głowy.

- Zamknij się!

- Jestem zamknięty, proszę pani.

Wyjęła telefon i ściągnęła z serwera firmy kody alarmowe. Na pewno nie była to wojna dionizydowa ani żaden podobny przypadek wymagający nagłej interwencji, ale inżynier Nowak-Nowak nie powstrzymałby teraz tuzin prawników. Przyznała sobie przywileje współwłaściciela i weszła do środka. Dom otwierał przed nią drzwi i zapalał światła.

Wołała Króla, ale nikt nie odpowiadał. Powietrze pachniało egzotycznymi ziołami. W jadalni znalazła resztki kolacji przyrządzonej dla jednej osoby.

- Gdzie on jest? - zapytała dom.

- Pan wyszedł do ogrodu.

Stała na tarasie i od razu go zobaczyła. Leżał pod rozłożystą gruszkacją, kilka metrów od miejsca, gdzie ostatnio kładli hermę. Był nagi. Irena wyjęła injektor, wstrzeliła sobie koktajl antywirusowy, naciągnęła długie hermekawiczki. Był nagi, leżał na wznak, miał zamknięte oczy. Podeszła. Oddycha? Klatka piersiowa nie poruszała się. Kucnęła, dotknęła go. Hermekawiczki pokazały temperaturę: 43.7 °C. Nie oddychał, ale serce biło, puls 295. Odciągnęła powiekę i zaświeciła palcem wskazującym. Reakcja źrenicy zbyt wolna. Inżynier pociągnęła nosem, zamyślona. Spróbowała obrócić głowę mężczyzny, napotkała opór. Nie było to przecież stężenie pośmiertne. Położyła się w trawie, by spojrzeć z bliska. Trawa zasłaniała, dlatego w pierwszej chwili nie zauważyła. Nie było to stężenie pośmiertne, niemniej dolna część ciała odbarwiła się wyraźnie: zamiast sińców odleżynowych i spływu krwi - gorący rumieniec punktowany czarnymi krostami. Z krost wrastają w dół, w ziemię, gładkie wici, korzonki. Dotknęła ich delikatnie. Hermekawiczka pokazała temperaturę pozabiałkową. Inżynier przysunęła się jeszcze bliżej. Widziała teraz, że czarne punkty rosną tu właściwie w każdym porze w skórze mężczyzny, przebijają się z nich wiotkie kiełki; zdało się jej, że naprawdę widzi ich ruch, wzrost, jak sięgają ku glebie chimerycznego ogrodu. Czaszka mężczyzny drgnęła. Irena poderwała się na kolana. To otworzyły się jego usta. Nie wydobył się z nich żaden odgłos, nie przemknął nimi oddech. Spomiędzy spieczonych warg prysnęła banieczka śliny, potem druga, gęsty śluz wyciekł na policzek i coś poruszyło się w ciemności jamy ustnej. Irena uniosła rękę i zaświeciła w głąb. Ociekający parującym w wieczornym powietrzu śluzem, drząc i wierzgając odnóżami, po spuchniętym języku szedł zielony owad. Stanąwszy na dolnej wardze, kołysał się przez chwilę niepewnie; śluz schodził z niego białymi płatkami, błyskawicznie wysychając. Podniosły się dwa bardzo długie czułki. Wąski, trójkątny odwłok wsparł się w szczelinie między przednimi zębami. Inżynier wyciągnęła rękę; owad musiał to zauważyć, cień dłoni na skórze człowieka, nagły powiew - skoczył w trawę. Odruchowo obejrzała się za nim i spostrzegła, jak robaczym ruchem

przemieszcza się między źdźbłami trawy palec wskazujący prawej ręki klienta. Ostrożnie odchyliła źdźbła. Paznokieć rysował w ziemi zaskakująco równe linie liter.

NIEWZYSWAJNIE

Przypatrywała się im przez długą chwilę. Potem wezwała agentów Żywicy i dyżurny zespół z firmy.

Obłożyli hermą pół ogrodu Króla Bólu. Irena nie ruszyła się z miejsca, trzymała na kolanach jego głowę, gdy zaczęli go wycinać. Raz szarpnął się w skurczu, otwierając ślepe oczy; i serce jeszcze zabiło, i jasna krew pociekła.

- Czy to go boli?

Nie wiedzieli.

Słońce zapadło za baobabami i wszystko przykryły cienie. Lebenmaistrzy rozstawili reflektory, w których piekielnym blasku rośliny, ludzie i sprzęty wygięły się w dwuwymiarowe figury czerni i bieli. Rozchylone wargi Króla zdawały się układać w drwiący uśmiech.

- A pasikonik?

Nie znaleźli pod hermą żadnych pasikoników.

Trzymała na kolanach głowę Króla Bólu, gdy wstrzyknęli mu retrowirusy i gdy otworzyli jego żołądek i napęczniała w żołądku zieloną fabrykę owadów. Przez mokre od potu nogawki czuła na udach gasnące ciepło ciała Króla Bólu, ciepło ciała, które ogrzewa jej ciało.

Do północy wyrwali go z korzeniami.

grudzień 2004 - luty 2005

CRUX

Parodos

Teraz się wydarzy to, a następnie tamto,
później zaś, za rok albo za dwa lata (jak obliczam),
takie a takie rozegrają się działania, takie a takie zapanują obyczaje.
Nie będziemy się troszczyć o daleką przyszłość.
Postaramy się o to, żeby się działo jak najlepiej.
Im zaś gorliwiej się postaramy, tym więcej zepsujemy
i tym gorzej wszystko powikłamy, aż wreszcie się pogrążymy
na samo dno zamętu. Wtedy się zatrzymamy.

Graffiti

CRUX CRUX CRUX CRUX

- Co, znowu?
- W nocy.
- Gdzie jest ochrona?
- Werki spadają z deszczem. Wieczorem lało, dzisiaj całe śródmieście tak wygląda.

CRUX CRUX CRUX CRUX

- Ale co to w ogóle jest?
- Mhm? - Lipski już kryje się za rozpostartą gazetą.
- Ten crux.
- A bo ja wiem. Pewnie po prostu litery ładnie im wyglądają. No wiesz, graffiti.
- Taa.

Piątek, siódma dziesiątka rano. Do służby biurowca Czermu wchodzimy razem z tą nową od Leśmiana. Lipski zaszywa się w kącie z „Wyborczą”. Odruchowo wyciągam na kontakt ID panny: Anna Zoja Stefańska, nieherbowa, 25, SGH i rok w londyńskim C&C - ale pełne CV pod gryfem Buzdygana.

Błysk virsionków zwrócił jej uwagę, musiała rozpoznać mudrę albo po prostu domyśliła się odruchu, spogląda mi prosto w oczy.

Uśmiecham się uprzejmie.

- Pierwszy dzień w pracy?

- Pierwszy tydzień... - tu następuje krótka mudra z jej strony, której nie kryje wcale - ...panie Ćwicz.

Wstaje i dyga, gdy ujmuję jej uvirścinią dłoń i składam w ukłonie pocałunek.

- Bardzo mi przyjemnie.

- Wasza miłość.

Ma ciemne oczy, ciemne włosy we włoskim splocie, ciemno opaloną skórę. Także ciemny żakiet i spódniczkę oraz białą bluzkę z mazowieckim haftem, a wszystko to, nie wątpię, manufakturowe.

- Pracuje panna u Staszka Leśmiana?

- Tak, tam tymczasowo... I właśnie powinnam zająrzeć do pana lub pana Żeguty, pan Stanisław chciałby włączyć wasze plany kryzysów wschodnich...

- Ależ oczywiście, proszę, jeśli nie ma dziś panna nic pilniejszego, możemy od razu -

- *Dziękuję państwu* - mówi służa i wchodzimy do holu Czermu. Niewiasta oczywiście przodem i Lipski, przesunąwszy wzrokiem po jej nogach w ciemnych pończochach, mruga do mnie porozumiewawczo. Mudruję mu na priva głośny fakof. Śmieje się, składając gazetę.

W windzie krótka pogaduszka o nowej modzie pośród magnatów Unii Południowej: polują w Kampinosie na tury za pomocą średniowiecznych broni. Tylko Chińczycy psują obraz: nasi socjerzy nie kwapią się do tak ryzykownej pracy, choć wysoko płatnej (zresztą, do jakiej się kwapią?), i najmować do nagonki trzeba Azjatów.

Lipski wysiada wcześniej, my dopiero na siedemnastym. Mijając dygające sekretarki, mudruję im z podvoredzia plik harmonogramu dnia. Pokój Jakuba jest zamknięty. Mój osobisty sekretarz wciąż na zwolnieniu, muszę się obywać bez sekretarza.

- Pani Madziu, sejf rękopisów.

Pani Madzia nosi pęk ręcznie szlifowanych kluczy na srebrnym łańcuchu zawieszonym na szyi. Gdy ona otwiera toporną kasę pancerną i kolejne w niej metalowe szkatułki, pełne grubych manuskryptów, zdejmuję marynarkę, siadam za biurkiem i sygnuję poranne pisma - zabytkowy waterman między palcami w herbowych virścionkach. Panna Stefańska przycupnęła na fotelu pod zimowym Malczewskim, ze zmarszczonymi brwiami czyta coś na kontakcie.

Ściany biurowca Czermu wykonano z werkfakturowego plastu. Jego właściwości regulowane są natężeniem pola magnetycznego oraz temperaturą. W godzinach pracy wszystkie pomieszczenia poza łazienkami i gabinetami magnatów pozostają całkowicie przezroczyste, ich ściany, podłogi i sufity - prawie niewidoczne. Dywany, chodniki, biurka, krzesła, regały, obrazy, rośliny - wszystko wisi w powietrzu, kondygnacja nad kondygnacją

nad kondygnacją. Przesunawszy wzrok poza krawędź dywanu, widzę - skroś szesnastu poziomów biurowca, aż do parteru z jego jajowatymi bryłami służ - przybywających kolejnych pracowników niższych departamentów Czermu, witających się, kłaniających, całujących dłonie niewiast, siadających przy swoich biurkach... Tylko dźwięki się nie przenoszą, to teatr niemy.

Natomiast uniósłszy wzrok, natrafię na nieprzeniknione kobierce apartamentów najwyższego piętra: nad nami już tylko pokoje właścicieli Czermu.

Skreśliwszy powoli podpis na ostatnim z pergaminów, odkładam pióro i odchylam się na fotelu, obracając się w prawo, ku pannie Annie. Spojrzenie jednak mimowolnie wędruje poza plast, na drugą stronę alei Putina.

Ściana sąsiedniego budynku prawie na całej wysokości pokryta jest fraktalowo zorganizowanym graffiti. Poranne słońce odbija się od lśniących płaszczyzn, mrużę oczy. Z blasku wyłania się mechaniczny wzór czarnych liter. CRUX CRUX CRUX.

- Wandale meteorologiczni - mruczę, szukając papierośnicy w kieszeni marynarki zawieszanej na oparciu fotela.

- Przeświecają w jego imię gowarki w Bałtyku.

- Słucham?

Panna Anna wykonuje mudrą zamknięcia, zakłada nogę na nogę i skupia wzrok na mnie.

- To jest taka gra, panie Ćwiecz. Werki rządowe, zwłaszcza ekologiczne i pogodowe, dawno już zhackowano. Kilkanaście lat temu.

- Brukselscy werkmanci wypuszczają coraz nowsze wersje. Kiedy ostatnio pomyłono się w prognozie pogody? Panna wierzy w te wszystkie teorie spiskowe?

- Ja po prostu wiem, jak się dzisiaj bawi młodzież, panie Ćwiecz. Kiedyś włamywali się na strony Pentagonu czy Hagi, teraz łamią gowarki. Kiedyś wywieszali na zhackowanych stronach w sieci dowcipy i przechwałki, teraz - wskazuje sąsiedni budynek - sam pan widzi. Złamią jednego gowarka w Bałtyku, on przerobi kolejne, te następne, werklawina; potem spada to z deszczem. Co prawda zazwyczaj kodują ograniczenia geograficzne, nie wiem, czemu teraz od paru dni sieją tak na ślepo, może jakiś ambicjonalny wyścig sztam... Mój kuzyn należał do sztam, która prowadziła z innymi gry na barwy chmur i kształty błyskawic.

- To przecież niebezpieczne. Równie dobrze można złamać werki, żeby, o, dziękuję, pani Madziu, żeby wytrącały kwas siarkowy albo, bo ja wiem, rozkładały białko.

- Można. A hackerzy komputerowi mogą zablokować sieci komunalne, też zabijając tysiące ludzi. Przecież nie jest to legalne, oczywiście, że nie. Ale też jest niemożliwe do

kontrolowania.

Uśmiecham się krzywo.

- Ma panna kuzyna przestępcę.

Opuszcza wzrok, wygładza spódniczkę.

- No tak.

Otwieram skórzaną teczkę przyniesioną przez panią Magdę.

- Panna pochodzi z socjalisk - mruczę pod nosem, kartkując rękopis.

Kątem oka widzę, jak wzrusza ramionami; zacisnęła wargi.

- Mam to w CV.

- Nie czytałem.

- Więc skąd...?

- Jak tylko pannę zobaczyłem: młoda profesjonalistka, jak z reklamy, pełne porno.

Ubranie, słowa, uśmiech, jak panna tu usiadła, wszystko ideał. Więc się zastanawiam. Że nieherbowa? Nie, to za mało. A teraz mówi mi panna, że jej krewni bawią się hackowaniem werków. Ukraina?

- Słucham?

- Ta inżynieria kryzysów wschodnich. Ukraina, Odessa, Zakaukazie? Plany moskiewskiej bessy na przyszły rok wywieszono już w sieci.

- Mogę zerknąć?

- Proszę.

Przesuwam ku niej papiery. Pochyliła się nad nimi. Kosmyk czarnych włosów układa się ponad kołnierzykiem białej bluzki wzdłuż linii szyi i zagłębienia nad obojczykiem. Z premedytacją odwracam wzrok, mudruję priva ojca. Mgła snuje się nad parkiem konnym Piłsudskiego, sekundanci wbijają w błoto szpile dymiących werkalergów, z wypalanej mgły sypie się szary śnieg. Ojciec wskazuje coś na niebie.

- A to?

Skupiam wzrok na pannie Stefańskiej. Przesuwa karminowym paznokciem pod tabelą planowanych bankructw i upadłości, w sumie ponad czterdzieści miliardów euro strat.

Czerm jest firmą brokerską, specjalizujemy się w inżynierii kryzysów. CM, *crisis management*, dzięki werkom logicznym stał się zupełnie nową dziedziną ekonomii. Od dawna wiadomo, że gospodarka rozwija się w cyklach i że żadna hossa i wzrost nie mogą trwać wiecznie; sztuka polega więc nie na sztucznym ich podtrzymywaniu, lecz takim wywoływaniu i zarządzaniu kryzysami, recesjami, dewaluacjami, by posłużyły one tylko jako katalizator jeszcze większego wzrostu, możliwie bezbolesny. Dzięki werkom logicznym

można obliczać, co przedtem było nieobliczalne, i próbować zapanować nad nieopanowywalnymi dotąd procesami.

Ponieważ gospodarka drexlerowska jest grą o sumie dodatniej, bardziej opłaca się współpracować, planując zgodnie kryzysy w skali lokalnej i globalnej; a przecież tak naprawdę każdy kryzys wpływa na resztę świata. Gdy podpisujemy kontrakt na wywołanie i zarządzanie kryzysem jakiejś branży, rynku, państwa, unii - musimy znaleźć sposób na bezkonfliktowe wpisanie go w większy, największy obraz. Przypomina to sztukę wyczuwania przez surfera rodzącej się mu pod deską fali.

Gospodarka drexlerowska wymusza więc jawność i kooperację; uzgadniać trzeba, nie tylko działania z działaniami, lecz także działania z planami, a nawet plany z planami i planami planów. Panna Stefańska porównuje zamierzenia departamentu Leśmiana z otrzymanymi przeze mnie w zaufaniu harmonogramami kryzysów firm CM z Protektoratu Rosyjskiego. Kaligrafuję je zawsze zabytkowym piórem na grubym, czerpanym papierze i chowam jedyne egzemplarze w werkalergowej kasie pancерnej.

- To? Kryzys spowoduje wzrost cen energii, będą sadzić drzewa słoneczne. Wobec czego... Przepraszam.

Cofam dłoń, która spoczęła tymczasem na jej ramieniu, zsunęła się po szorstkim zakiecie ku miękkiemu mankietowi, gdy śledziłem ruch czerwonego paznokcia.

Panna Stefańska podnosi wzrok znad papierów.

- W tym budynku, jak dam po mordzie, zobaczy to woźny w piwnicy. Pamięta pan, co radzi Boziewicz?

- Staszek musi mieć z panną ciężkie życie - uśmiecham się, wyjmując z papierošnicy ręcznie zwijanego krusta. Częstouję zagniewane dziewczę. Przyjmie, nie przyjmie? Przyjmuje. Siada, wkłada krusta do cygarniczki, podaję jej ogień. Zaciągnąwszy się, wydmuchuje powoli dym. Też już nie potrafi powstrzymać uśmiechu. Hušta lewą nogą, postukując obcasem pantofla o plast.

- Proszę, dla znajomych i przyjaciół: Aza.

- Aza.

- Tak.

- Zygmunt.

- Mhmm - spogląda przez obłok dymu - to jednak nie wypada, ja mimo wszystko -

- Mój sekretarz jeszcze się kuruje, siekł się o jakąś głupotę, możesz go przecież zastąpić przez ten czas. Staszek winien jest mi przysługę, zaraz to - chyba że nie chcesz?

- Skoro tak, Zyguncie... Co się stało?

Podrywam się z fotela i wychodzę zza biurka, po drodze gasząc dzwony, których nagły loskot niemal rozsadził mi czaszkę. Mudruję po windę.

- Szef wzywa.

Wszyscy ludzie honorowi są sobie bezwzględnie równi

Pan Jan Andrzej Buzdygan herbu Pobóg wybierał się właśnie na śniadanie do ambasady Brazylii; musiał zawrócić, nie zdążył się przebrać, stoi teraz za biurkiem w przesywanym złotem, czerwono-żółtym żupanie, z paradną karabelą u boku, z zatkniętym za pas słucki czarnym werkalergiem - buławą ebonitową. Virścionki w kształcie rodowych pierścieni błyskają, gdy prawą ręką wyłapuje z sieci kolejne pliki. Lewą natomiast szarpie sumiastego węża.

Mruga w charakterystyczny sposób, spoglądając na mnie przez kontaktówki: astygmatyczny buldog.

- Pan doły pode mną kopiesz, panie Ćwiecz! - huczy, a rude kłaki na podgalanym łbie stroszą się w bojowy kopeć. - Pan mnie skompromitować usiłujesz, panie Ćwiecz wielmożny!

- Ależ skąd, co też -

- Wasza familia, panie Ćwiecz! Ba! - ojciec wasz rodzony! Ja was pytam: skąd niewdzięczność taka? K'czemu zdrada?

- Zdrada? Zdrada? - Łapię się teatralnie za serce. - Co ja słyszę? Co wasza miłość rzeczesz!

- Nu, nu, nu, waspan się nie wyłgasz, minęła już ósma, a oni na dziewiątą umówieni, ja nie mam czasu. Vater Ćwiecz nie może go drasnąć! Słyszysz? Ani drasnąć!

Dopiero pojmuje, w czym rzecz.

- Kim on jest? - pytam zmieniwszy ton, podchodząc do biurka karmazyna. - Ten Wichwitz.

Nad parkiem Piłsudskiego przeredzają się mgły, wrony przysiadłe na topolach i wierzbach rozpościerają żałobnie skrzydła i rozdziawiają dzioby, zimne krakanie płoszy konia na pobliskiej ścieżce. Joachim Wichwitz, oparty biodrem o maskę swego rolls-royce'a, spoglądając mi prosto w oczy, ściga powoli zamszowe rękawiczki.

- A kto Burre, wiesz? - warczy Buzdygan.

- Mały Burre? Co on ma do tego?

Frederico Burre, zwany Małym z uwagi na ponad dwa metry wzrostu, pełni funkcję

nieoficjalnego ambasadora Unii Alpejskiej w Polsce. Stara Unia Europejska prawnie i obyczajowo nadal istnieje, jak istniała przez dziesięciolecia po minięciu daty jej użyteczności Organizacja Narodów Zjednoczonych - lecz nieporównywalnie większą rolę odgrywają mniejsze sojusze państw o wspólnych celach politycznych i gospodarczych: Unia Południowa, Unia Alpejska, Unia Założycieli, Frager, Unia Bałkańska, Unia Słowiańska, Unia Skandynawska. Nie chodzi przecież o ustalanie polityki celnej i imigracyjnej, bo rynek globalny tak czy owak wymusza tu wszędzie maksymalne swobody - co najwyżej właśnie o wspólne planowanie strategii kryzysów. Mały Burre kilka lat temu złożył w Czermie kurtuazyjną wizytę, Buzdygan i Struś przyjmowali go miodem i pieczonym prosięciem. Oficjalnie Burre nie posiada żadnej władzy, lecz gdyby rzekł złe słowo - nie podpisalibyśmy ćwierci tych kontraktów, które podpisaliśmy.

- Mały Burre - cedzi pan Jan - ma trzy córki. Panny, słyszę, wielce urodziwe i kochliwe. Dwie już się zaręczyły. Z kim zaręczyła się najstarsza, panie Ćwiecz?

- Z Wichwitzem?

- A teraz przysięgnij się pan na ten krzyż święty, że ojciec jednego z moich dyrektorów nie usiecze przyszłego zięcia ambasadora Alp.

- Akurat, Kmicica będę ci jeszcze odstawił - mamroczę.

- Przysięgasz! - ryczy Buzdygan, łapiąc za rękę karabeli.

Wyrecytowawszy przysięgę, pochyla się i całuje złoty krucyfiks.

- Co za porno.

- Tato, ty mnie nie słuchasz, on - nie wyrzucaj mnie teraz! - ten łorany Wichwitz - na litość boską - ile jeszcze, Grzesiu?

- Dziesięć minut. Chyba że złapię się za kierownicę.

- Łap, łap, ubezpieczenie biorę na siebie.

Szofer wyłącza pilota i nagłym szarpnięciem wrywa nas z kolumny pojazdów; przyśpieszamy na lewym pasie.

Niechący trącam mudrującą energicznie Azę. Skupia na mnie wzrok i unosi pytająco brew.

- Wyblokował mnie - krzywię się. - Nie mam podglądu.

- Sekundanci?

- Nie wpuszczą mnie bez alarmu, teraz już wszyscy wyłączeni. Ósma czterdzieści trzy.

Sprawdziłaś?

- Mhm, sam zobacz. O co właściwie twój vater się z nim bije?

- Aaa, on tak zawsze.

Łapię na kontaktówki pliki newsowe. Aza szukała głównie po publicznych filtrach - bo tak najszybciej i najłatwiej - więc wyłowiła przede wszystkim podrasowane oficjałki: Wichwitz na nartach, Wichwitz na premierze *Dziadów*, Wichwitz na balu charytatywnym - tańczy z gładką blondynką. ID: Fiona Burre.

Joachim Wichwitz + Fiona Burre: „Romans w wyższych sferach”, „Zaręczyny magnatów”, „Pierścionek dla hrabianki”.

- Co: zawsze?

- Honor. Kiedyś na raucie wyzwiał komisarza policji za „niestosowny żart”.

- I co?

- Z komisarzem? Przeżył.

Joachim Wichwitz + pojedynek. Trzy nazwiska skojarzone - do ostatniego zarejestrowanego pojedynku Wichwitza doszło przed dwoma laty. Draśnięcia, żadnych głębszych ran. Dwa razy Wichwitz przegrał.

Zdejmuję sobie zaćmę z kontaktów. Aza spogląda na mgielne łąki parku Piłsudskiego, gdy łamiąc przepisy, pędzimy jedną z jego alei hippicznych. Wóz podskakuje, mijamy zagajnik i pomnik Marszałka, Grześ skręca ku zjazdowi na polanę. Kraczą wrony.

- Czego chciał od ciebie Byczuś?

- Kto? - Aza odwraca wzrok od okna.

- Małżecki, bezpieczniak Buzdygana. Czekał na ciebie pod parkingową służą.

- Aa, ten gołota. Musiałam podpisać zobowiązania do zachowania tajemnicy, straszliwe klątwy prawne, w dwunastu egzemplarzach; pióro było wilgotne i upuściłam, przepraszam, jeśli czekałeś...

- Jako moja asystentka i tak musiałabyś podpisać, ale ten pośpiech - Grześ, zatrzymaj tu!

Samochód staje za nierównym szeregiem wozów zaparkowanych pod młodymi topolami.

Pierwszy krok i but w błocie. Otrząsam nogę z obrzydzeniem. Powietrze jest chłodne i wilgotne, kontaktówki szczypią w oczy. Mrugam, obchodząc automobile.

Tamci oczywiście spostrzegli nasz przyjazd, ojciec zbliża się szybkim krokiem, wyraźnie zirytowany, szerokie rękawy białej koszuli nadymają się na wietrze. Jak zwykle przed pojedynkiem ostrzygł się na łyso; teraz lśni mu na czaszce - pot, a może mgłą skroplona, a może martwe werki atmosferyczne.

- Co ty sobie wyobrażasz, wpadać tu w ostatniej chwili, już wszystko - Trzeba odbić

jego pierwszy gniew.

- Tato, poznaj pannę Annę Zoję Stefańską, moją nową asystentkę.

Zdażyła już obejść samochody z drugiej strony. Dyga, uniósłszy rękę.

Ojciec zatrzymuje się, kłania głęboko, przeciąga pocałunek składany na dłoni Azy - nie byłby sobą.

- Cała przyjemność. Co się stało z Jakubem?

- No więc właśnie. - Próbuję ująć go pod ramię i odciągnąć pod drzewa, lecz wyrывa się, odstępuje. - Też szabelka. Na litość boską, ten jeden raz, błagam cię, nie musisz przecież zawsze -

- I ja takiego syna wychowałem, tfu! Dziadek się w grobie przewraca!

- Dziadek, jak się kiedykolwiek w życiu z kim bił, to chyba tylko w kolejce po kuroniówkę - mruczę pod nosem.

On się ogląda na ludzi zebranych przy owalu wyznaczonym wbitymi w grunt szpilami werkalergów; czekają bez słowa, lecz lekko już zniecierpliwieni. Wichwitz, również w białej koszuli, tnie nerwowo powietrze obnażoną szablą. Siedzący w otwartych drzwiach ambulansu lekarz pali papierosa. Ambulans znajduje się najbliżej, na końcu szeregu samochodów, doktor zapewne dobrze słyszy naszą sprzeczkę.

- Rozumiem, że nie chce się pan wycofać - wtrąca Aza. - Ale wystarczyłoby, mhm, zaprzeczyć obrazie.

Rzuca mi plik z Boziewiczem. Zezuję na siwe chmury, gdzie rozsmarowało na kontaktówkach tekst:

„Art. 105.

Zaprzeczenie obrazy jest wystarczającym zadośćuczynieniem w tych wszystkich wypadkach, w których obraza faktycznie nastąpiła, jednakowoż ogranicza się do poniżenia miłości własnej obrażonego, ale sama w sobie jest niegrzecznością towarzyską.

Inaczej określając: zaprzeczenie obrazy wystarcza we wszystkich przypadkach lżejszej zniewagi, a oczywiście o ile nie jest zniewagą czynną”.

- Tyś go wyzwał od - od czego? „groszowych rywinków”?

Ojciec wzrusza ramionami.

- Co to są „groszowe rywinki”?

Wzrusza ponownie.

- A miałeś w ogóle jakiś poważny powód? Czy po prostu brakło ci rozrywki w tym tygodniu? Od kiedy ty w ogóle chodzisz do term rzymskich?

Aza powstrzymuje mnie gestem.

- Panie Ćwiecz - zbliża się do ojca - jeśli nie chce pan osobiście, można pisemnie, przez sekundantów -

- Po moim trupie!

Panna spogląda błagalnie, ujmuje go delikatnie za ramię, czerwone paznokcie na białej tkaninie.

- Ale może w takim razie da się to załatwić bez wyrządzania mu krzywdy. Panie Ćwiecz. Przecież pan pokona go bez trudu, Zygmunt mi opowiadał, nie musi go pan okaleczać, prawda? Nie jest pan przecież jak te młodziki, nie zależy panu na krwi. Jakie warunki spisali sekundanci?

- Oczywiście, oczywiście, ale to jednak się tak nie da, moja droga - ojciec kręci głową, krzywi wargi. - Jak los pozwoli... Żadnych gwarancji.

„Art. 76.

Gentlemanowi nie wolno przyjąć mandatu wówczas, jeśli jego klient żąda z góry pojedynku aż do śmierci jednego z walczących”.

Ale mało to pocieszające, zważywszy, że córeczka Burre dostanie spazmów na widok byle blizny u ukochanego, choćby i zesłała ona pod werklazem w jeden dzień; a ojciec jeszcze nigdy nie wypuścił spod klingi człeka nienaznaczonego. Śmierci też się przydarzały.

- Może gdybyśmy porozmawiali jeszcze z sekundantami obu stron... - myśli na głos Aza. Wyraźnie widzę, jak w kolejnych próbach rozwiązania problemu panna usiłuje się zaprezentować jako energiczna, zdecydowana profesjonalistka. W pewien sposób jest to nawet rozczulające; w pewien - zasmucające.

- Ani się ważcie! - Ojciec odskakuje jak oparzony. - I odczep się wreszcie, Zygmusie, czas ucieka, zresztą zaraz będzie po sprawie, tylko się mi nie wtrącaj, dobrze? Waćpanno.

Kłania się i odchodzi ku placowi pojedyńkowemu. Opiera się o maskę merca, wyjmując papierosnicę.

- Więcej niż kwadrans opóźnienia i zapiszą niehonorową ucieczkę. - Zapalam. - Gdybym dał mu z zaskoczenia w łeb, jako chory, nie w pełni sił, musiałby się wycofać. Przynajmniej na kilka dni.

Aza spogląda na mnie, na ojca, na sekundantów, Wichwitza, policjanta.

- To co? Rezygnujemy?

- Trzeba liczyć na lekką ranę. Pójdę, przepraszę, pokłóć się na jego oczach z vaterem, scena przecieknie na plotkarskie serwisy; jakoś się ułoży.

- On naprawdę taki fechtmistrz?

- Uczył w jednym z pierwszych liceów szermierczych. Gdy potem prywatne szkoły

zaczęły wprowadzać klasy szabli, napisał podręcznik: *Mały Wołodyjowski*. W domu miałem to dzień po dniu. Ekstrema sarmatyzmu. My już jesteśmy drugie pokolenie, połykamy jako normę albo kontestujemy - a dla niego to ideologia życia. Trzeba było znaleźć jakieś chwytliwe memy dla odbudowy polskiego etosu, ja to rozumiem.

- Musiał cię nieźle przeciwzić.

- Ba!

- Przynajmniej rozmawiacie ze sobą.

- Ano.

Ojciec ma sześćdziesiąt lat, ale jest to sześćdziesiątka werkmajsterowa: soczyste mięśnie, proste plecy, jędrna skóra, jasne oczy, energiczne ruchy, mocny głos. Te bary miał jeszcze przed kuracjami. Nosił wąsy, ostatnio zgolił. Apodyktyczny był zawsze.

Rozmawiamy ze sobą, tak; kilka lat nie rozmawialiśmy, co najwyżej na vircie. Że teraz wpuszcza mnie na kontaktówki i pozwala podglądać swoje pojedynki, to raczej forma jego przewrotnej zemsty: ja nigdy nikogo nie wyzwiałem, a nie potrafię powściągnąć nerwów, gdy on po raz enty ryzykuje zdrowie i życie - muszę podglądać. Papieros w dłoni odrobinę pomaga.

Obaj - ojciec i Wichwitz - zdjęli koszule, lekarz i sanitariusz okręcają ich teraz przepisowymi bandażami: przegub lewej ręki, przegub prawej ręki, brzuch i plecy. Obserwator policyjny sprawdza szable i ziemię (trawa jest niedozwolona). Dokoła gniazd szpil werkalgicznych, wbitych głęboko w grunt, obracają się wiry szarej mgły, z których spada powoli migoczący w promieniach słońca pył. Szpile wyznaczają granice owalu placu pojedynkowego.

„Art. 247.

Wielkość miejsca walki ma wynosić - przy pojedynku na szable: 15 metrów długości i co najmniej 6 metrów szerokości”.

- Bacność!

Ojciec i Wichwitz stają na swoich stanowiskach, obok nich sekundanci z nagimi szablami w dłoniach. Bandaż ojca jest biały, Wichwitza - biało-błękitny.

- Złóż się!

Okrzyk podrywa z drzew stadko czarnych ptaszysk, przelatują nad nami, zataczając krąg; unoszą na chwilę głowę.

Sekundanci podali szable klientom, ojciec i Wichwitz salutują sobie lśniąca stają.

Z wozu wysiadł także Grzesiu, przypatruje się widowisku z założonymi na piersi rękoma.

- Vater waszej miłości?

- Aha.

- Byku. A ten młodziak spietrany, widać. Będzie dobrze.

- Mhm.

Aza przypatruje mi się kątem oka. Uśmiecham się krzywo. Ciepły dym w płucach. Na priva dobija się nieprzerwanie Buzdygan; ignoruję go, gaszę dzwony.

- Bij!

Ruszają i od razu widzę, że coś jest nie tak. Odrzucam papieros, prostuję się. Zły balans ciała i to ugięcie nóg - a kiedy Wichwitz uderza wlew, zasłona ojca jest odrobinę spóźniona, łapie cios na sztych, zamiast na zastawę. Kiedy przechodzi do cięcia z podlewu, też jest zbyt wolny i nieprecyzyjny; Wichwitz spuszcza je na jelec, ale mógłby się uchylić. Ojciec to spostrzega, odstępuje, krok, drugi, trzeci, prawie do granicy szpil werkalgicznych, wciąga do płuc powietrze, widzę, jak próbuje się ocucić głębokimi oddechami.

Chcę krzyknąć, ostrzec go, zatrzymać pojedynek - ale wiem, że nie powinienem, w tej chwili to najgorsze, co mógłbym uczynić. Dłonie zwijają się w pięści. Jak wszyscy zebrani, zachowuję milczenie i patrzę w bezruchu.

Słysząc jedynie głośne oddechy walczących i zgrzyt stali. Cięcie, zasłona, cięcie, zasłona, cięcie, unik, cięcie, cięcie, dostał w głowę, pada.

- Stój! - Ostatnia komenda. Zadyszany Wichwitz odstępuje.

Podbiegamy.

Teraz krzyczą wszyscy, wszyscy w ruchu, muszę się przepychać. Obok przeciska się lekarz.

Ojciec leży twarzą do ziemi, widać krew w błocie, ale nie widać rany, dopiero gdy doktor, uklękawszy, odwraca go na wznak, ukazuje się ukośna bruzda na czole, nad lewym okiem, powoli nabiegająca czerwienią. Spod skóry przebijają krawędzie kości czaszki. Stracił przytomność natychmiast, ostrze musiało sięgnąć mózgu.

- Odsunąć się, do cholery! Tutaj !

Ambulans zatrzymuje się tuż nad ciałem, wysuwa się kokon, cofamy się. Półprzezroczysta macica medwerków obejmuje ojca, lekarz mudruje zawzięcie, palce migają w wirtuozerskich układach. Sekundanci i świadkowie przyglądają się, rozmawiając cicho w grupkach.

Ktoś szarpie mnie za ramię. Aza?

- Pan Ćwiecz? - Rozbandażowywany Wichwitz usiłuje zajrzeć mi w oczy; odwracam twarz. - Panie Ćwiecz, chciałbym, żeby pan wiedział, że ja naprawdę -

- *Excusez-moi.*

Uciekam za ambulans (kokon powoli cofa się do wnętrza wozu). Tutaj nie dosięgną mnie ich spojrzenia. Gapią się tylko kruki i wrony siedzące na gałęziach wierzb oddzielających polanę od alei hipicznej. A z tej alei - rumak o sierści jak atrament zatrzymał się właśnie między drzewami - z tej alei amazonka przypatruje się zamieszaniu z męskiego siodła. Białe bryczesy, czarne oficerki, białe koronki, ogniście czerwony rajtrok, ręką z palcatem osłania oczy od słońca. Opieram się plecami o ambulans. Amazonka przekrzywia głowę, przygląda mi się zmrużonymi oczyma. Odruchowo kłaniam się. Salutuje palcatem.

Na privie matka szepcze mi do ucha:

- Żyje, żyje, żyje, jedź z nim, będę się modlić, zobaczysz, wszystko będzie dobrze, nie martw się.

- To jest jakieś urewskie oszustwo, mammo. To nie tak miało być!

- Ciii.

Splunąłbym, kopnął samochód, zaklął głośno, zawył do nieba - amazonka patrzy, tylko więc kręcę głową i syczę przez zęby, gdy kokon z ojcem znika we wnętrzu ambulansu, a matka szepcze mi w głowie pogodnie modlitwy, z każdą sekundą coraz bardziej irytujące. Verdammt, to jest czas na gniew, nie na pokorę!

Kobiety cierpienie zbliża do Boga, mężczyzn - oddala.

Legenda ludowa

- Crux, powiadają, Crux mu na imię. Towarzysz Crux, szwagier Crux, pan Crux-Kruczyński. W jego żyłach płynie krew Gierka, Wałęsy, Leppera i Glińskiego. Wyszedł z nocy blokowisk, z dymu melin śródmiejskich, z majaków socjerów. Śnią na jawie z otwartymi oczyma, godziny, dni całe, z okien widzą światła szos, po których pędzą w swych luksusach jaśnie państwo. Począł się Crux z brudnej strzykawki dragmana, z krwi przypadkowej ofiary mołojców, z czarnego vertu socjerskiego. Najpierw się go bano, zanim o nim mówiono; najpierw o nim mówiono, zanim dokonał cudu; najpierw dokonał cudu, zanim go ujrano. Młódź strzela sobie na skórze jego imię, maluje na oknach jego herby, graffituje nim niebo - takie jest porno. Crux, Crux. „Pracować ci się zachciało? Czekaj, przyjdzie Crux, to popamiętasz, zaprzańcu!" Panowie ścigają go, oczywiście. Jest list gończy, chociaż nie ma człowieka; znają tylko ksywę, imię legendarne. Crux, Kruczyński. I wygląd, też z legendy: niski kaleka w starym dresie, na szyi wszystkie możliwe i niemożliwe metale, w ślepiach

słońca laserowe, diamenty w ustach.

- Więc władze wiedzą. Co mówią?

- Och, wersja oficjalna - co znaczy wersja policmajstrów - jest oczywiście banalna. Urodził się w rodzinie przeżartych dragami socjerów, kto był jego ojcem, nie wiadomo, stryj, kuzyn, dziadek, w każdym razie geny mocno zasupłane: karzeł, garbus i kuternoga. Ale umysł ma sprawny, choć pewnie też pokręcony, i siedząc całymi dniami przy kompie - bo i tak nie mógł się ruszyć, kaleka, więc co miał robić - od małego ćwiczył się w tek-arcie, i w końcu taki werkmajster z niego wyrósł, że potrafi hackować dowolne werki, rządowe, wojskowe, korporacyjne, i rządzi niepodzielnie swym otoczeniem, bo wszelka materia uległa jest jego algorytmom. To tu, w mieście - ale legenda się szerzy, przyjeżdżają socjerzy zewsząd, niech pobłogosławi, niech dotknie - sam wiesz, że dotyk wystarcza, dotyk leczy, dotyk zabija.

- Aza!

- Ścigają go za terroryzm, za morderstwo, za podżeganie do morderstw. Ale na kanałach płatnych o nim nie usłyszysz, mówią tylko na publicznych, socjerskich. I też rzadko otwarcie; pojawia się niejasny rysopis - a i tak wszyscy wiedzą, że chodzi o Cruxa. Wszyscy tam, na dole, w socjaliskach, w ziomalstwach.

- Kryją go?

- Sam się kryje. Nikt nie wie, gdzie mieszka; on się tylko p o j a w i a. Ale tak, istotnie - marny los donosicieli, kapusiów. Żebyś jednak nie zbudował sobie fałszywego obrazu: nie jest Robin Hoodem, nie rozdaje socjerom bogactw, nie spełnia życzeń do złotej rybki. Chociaż niektórzy modlą się do niego.

- Modlą?

- Widziałam kaplice. Pod betonem, pod ścianą peerelowskiego bloku - ogniste graffiti i różańce herbowe, rozgnieciony obcasem luxus i ciemna kropla dragu utoczona na ziemię.

- Jakie, u licha, „różańce herbowe“?

- Mołojec wychodzi z ziomalstwa, dopada jaśnie pana, nóżka, kuzia, bryko, i zdejmuje mu z palca pierścień herbowy. Tak zbiera - kilka, kilkanaście - nawleka je na strunę i składa Cruxowi w ofierze. Wiszą potem te wota, nikt nie zdejmie, Crux patrzy, wiszą na prętach zbrojeniowych, na starych antenach, radiatorach.

- Jezukryste, to wszystko są bandyci, mówisz o bandytach.

- Swoich nie plewią, panów tylko.

- Po polsku, proszę.

- Crux potrafi podnieść z grobu.

- Legenda ludowa, tak?

- Albo i nie legenda. Trzy lata temu, pamiętasz, bruta uliczna, wymiana lepperów w całym kraju. Policja posiadała neurowerki, pamiętasz, tłum szedł na centrum. W efekcie pół setki wymóżdżonych, werki przeżarły im płaty skroniowe. Na pewno pamiętasz, było w wysokich kanałach. Co robiły rodziny? Zabierały te rośliny i wiozły, wlokły do Cruxa.

- To znaczy dokąd?

- Tam, na dół, w głąb socjalisk, poza sieć, poza zasięg kamer, satelitów, gowerków. Pod jego kapliczki, w cieniu betonu. Mój kuzyn - nie ten, inny - mój kuzyn, Maciejko, znalazł się między nimi, kompletnie wyłorany. Lekarze powiedzieli, że struktury neuro wyprażone do cna, nie ma z czego odtworzyć umysłu, skoro informacja utracona. Ale Crux zwrócił mu duszę i Maciejko hartuje teraz u pijków nowego leppera, ziany bucuś.

- Co ty mówisz? Aza!

- Tylko zacyc Cruxowi przykrakać musiał; bo cena jest zawsze. Ale żyza. Znaczy, żyw i przy świadomości. Ja cię poprowadzę. Pokłonisz się, hołdujesz, przyświeci, vatera ci odżyzi.

- Czy ja dobrze rozumiem? Chcesz -

- Moja wina, ja jestem odpowiedzialna. Nie mam herbu, ale mam honor.

- Nie twoja.

- Ja mu przyniosłam śmierć na czystej dłoni.

Siedzimy w salonie poczekalni w skrzydle neurologii szpitala Przemienienia Pańskiego. My: ja, matka, Aza, sekretarz Wichwitza, dwóch Szwedów z biura ojca, jego sekundant, policmajster. Policmajster mudruje na wysłepie: on jest tu w pracy.

Postawiony przy drzwiach szpitalny gołota przynosi matce szklanę z wodą mineralną. Matka uśmiecha się promiennie, dziękując mu cicho. Tego już za wiele, nie wytrzymuję, wychodzę.

Za salonem korytarz zakręca ku szerokiemu tarasowi okrążającemu piętro - siódme, najwyższe. Stąd łagodne pochylnie prowadzą na dach, gdzie znajduje się lądowisko dla kopterów.

Przysiadam na marmurowej ławeczce. Po prawej ręce mam jasnobliski luksusów centrum; dalej, za rzeką, stoją we mgle dzielnice socjalne, szara panorama regularnej zabudowy, aż po horyzont. Niebo pozostaje zachmurzone i zdaje mi się, że wciąż słyszę krakanie kruków i wron - to tylko szpitalne słupy werkalergowe trzeszczą, trawiąc nano niesione z miasta przez wilgotny wiatr. Drżą włosy na dłoniach, gdy zapalam papierosa.

- Mogę?

Wzruszam ramionami.

Aza siada obok. Ławeczka jest niska, w wysokich obcasach wygodniej wyciągnąć pannie nogi przed siebie. Kontempluję ponuro ich aerodynamiczną geometrię.

- Dzwonił do mnie Buzdygan, mówi, że go wyblokował.

- Czego chciał? Powinien być zadowolony. Mimo wszystko teraz to Burre ma u niego dług honorowy.

- Brzmi, jakbyś winił Buzdygana.

- A broń mnie Bóg!

- Psychologia. Poczęstujesz mnie? Dzięki. Psychologia, Zygmunta: lepiej dla ciebie, że vater przegrał, więc chociaż źle mu nie życzyłeś, sam teraz masz poczucie winy. Kto odnosi korzyść, ten może nie zawsze jest winny, ale zawsze czuje się winnym.

- Poszła won.

- Psychologia, kurs podstawowy. Jak się wydobyć z niesłusznego poczucia winy? To jest już zresztą fundament wszelkich kursów asertywności. Przeprowadzamy racjonalny rozbiór faktów i motywów, aż widzimy, że uczucie jest bezzasadne. Co prawda ty na dodatek masz za sobą ten konflikt z ojcem -

- Aaa, więc po to pan Jan dzwonił? Posłał cię, żebyś urządziła mi tu improwizowany seans psychoanalizy? A może trzymasz go tam na privie, co? A na podwórku - Małego Freuda 7.0?

- Po kolei. Czy naprawdę uważasz, że twoje pojawienie się wyprowadziło vatera z równowagi na tyle, że dlatego właśnie przegrał?

Kręcę głową.

- To nie było, nie było normalne. Oglądałem wszystkie jego pojedynki. Co mu się stało? Jakby został nagle odurzony, zakręciło mu się w głowie, stracił dech...

- Lekarz badał ich przed walką.

- To nic nie znaczy. Taki Buzdygan, gdyby mógł, oblałby cały park naczelnymi na vatera werkami.

- Osuwasz się w paranoję. Stały wszędzie przepisowe werkalergi, widziałeś. Policjant nie podniósł alarmu.

- Więc w kontakcie bezpośrednim, przenoszone nie drogą powietrzną. Skóra-skóra. Uścisnęliśmy sobie dłonie.

- Myśl, Zygmunta, myśl. To wszystko się kupy nie trzyma. Wyszedłeś z Czermu przez służbę parkingową, byłeś czysty, Buzdygan nie mógł zasadzić na tobie żadnych werków. Gdyby... Co? Puść! No puszczaj!

Wykręcam jej ramiona, upuściła papierosa. Próbuje się uwolnić, nie potrafi wstać z

niskiej ławki. Przyciskam ją do balustrady.

- Dłonie! Pokaż swoje dłonie!

- Co-

Czerwone paznokcie, opalona skóra, bursztynowe virścionki.

- Werkmać! Za późno!

Puszczam ją, wstaję. Nic nie udowodnię, weszliśmy do Szpitala Przemienienia Pańskiego przez służbę kliniczną, nie pozostał ślad. Aza masuje nadgarstki. Podnosi się, wygładza spódniczkę.

- Panie Ćwiecz. Spodziewam się -

- Pióro Małżeckiego.

Nie rozumie, widzę, że nie rozumie.

Ale już zaczyna wątpić, już marszczy brwi nie w gniewie, lecz w zamyśleniu, sięgając na oślep pamięcią wstecz.

Na tarasie pojawia się sanitariusz z wózkiem zamiennego fleszu. Mija nas - nawet nań nie spoglądamy.

Aza mruga, jakby wpadło jej coś do oka - i istotnie, łzy lśnią pod jej powiekami. Odrzuca zaplecione włosy na plecy, zakłada ramiona na piersi - zrozumiała, teraz zrozumiała.

- Gdybym tylko -

Po lokalu wchodzi mi na kontakt doktor Bierżyński. Stoi w salonie poczekalni neuro i mówi do matki:

- ...są niestety nieodwracalne. Interwencje werkchirurgiczne potrafią zazwyczaj odtworzyć każdą tkankę. I, technicznie rzecz biorąc, moglibyśmy w końcu odtworzyć także tkankę mózgową. Mięsień musi być jedynie mięśniem tego samego rodzaju, by spełniać swą funkcję - wszelako tkanka mózgową musiałaby być nie tylko taką samą, ale t a s a m ą tkanką, zapisem tej samej pamięci, osobowości. Przy podobnie rozległych uszkodzeniach struktura nie jest w stanie sama się odbudować - co najwyżej moglibyśmy skonstruować nową. To znaczy, nowego człowieka w ciele pana Ćwiecza. Tak czy owak, nie byłby to już pan Roman Ćwiecz. Jego już nie ma. Przykro mi.

Mutter uśmiecha się do doktora Bierżyńskiego ze świętą wyrozumiałością.

- Ja wiem, że pan musi tak mówić, doktorze, ubezpieczyciele każą panu -

Odcinam transmisję, z wściekłości niemal się trzęsąc.

Aza również musiała mieć Bierżyńskiego na kontakcie. Po raz pierwszy całkowicie opada z jej twarzy maska wzorcowej młodej profesjonalistki, grywnej, zrywnej i asertywnej.

- Kiedy ja naprawdę... - przetyka ślinę.

- Wyblokowałaś się? Wyblokuj.

Kiwa głową.

Wspinamy się na dach szpitala, przechodzimy między pękatymi kopterami. Zatrzymujemy się dopiero przy krawędzi dachu, tuż pod słupem werkalergowym. Włosy stają mi dęba na głowie, mrowi język, metaliczny smak drażni usta.

- Ma jego profil - mówię cicho - musi mieć, Buzdygan ma profile psychologiczne wszystkich członków rodzin wszystkich swoich najbliższych współpracowników. Więc wiedział, że jeśli pojedziesz ze mną, ojciec nawet w największym gniewie nie sprzeniewierzy się tradycji. Wszystko się zmienia, oprócz odruchów. Pocałunek w rękę to idealny sposób. Czymkolwiek Małżecki pokrył pióro, trafiło to bezpośrednio do organizmu vatera.

- Zrobię analizy, pacjentów nie wwożą przecież przez służbę, był w kokonie - - Sądziś, że werki nie rozłożyły się zaraz po wykonaniu zadania? Wystarczyło zaburzyć lekko równowagę hormonalną organizmu. Do tego nie trzeba, żadnych mechanicznych inwazji. Buzdygan nie popełnia takich błędów.

Aza przygryza wargę.

- Nie mamy więc nawet poszlak. To naprawdę może być zbieg okoliczności -

- Aza!

Opuszcza głowę, nagle bardziej podobna do skarconej dziewczynki niż wannabe kobiety sukcesu.

- Ziany Buzdygan, karcz jego błada - mamrocze ledwo zrozumiałe - panu wyżyżany.

No tak, trzeba spojrzeć z punktu widzenia Azy: nie każdego dnia człowiek się dowiaduje, że współuczestniczył - w czym? - w próbie morderstwa, tak, i to przecież próbie udanej - w morderstwie.

Obejmuję ją. Drży - od tego zimnego wiatru, może istotnie także od niego.

- Czego cię uczyli na kursach asertywności? - szepczę. - Nie ma tu twojej winy.

- Jja -

- Ciii. Tak się gra między magnatami, tak magnaci grali zawsze.

Ale czuję, że do niej nie trafiam, wstrząs był zbyt mocny. O bogaczach opowiada się najczarniejsze historie, w duchu jednak nie wierząc w nie. Nie wierzą, nie mogą wierzyć zwłaszcza tacy jak Aza: młodzi parweniuse, nakierowani na sukces niczym samonaprowadzający się pocisk, gorliwi wyznawcy świata sztywnych hierarchii - skoro przyszli z Dołu, to znaczy, że istnieje Góra, prawda? I jak teraz pannie wytłumaczyć? Nie po to ciułała na ręcznie szyte kostiumy, nie po to ćwiczyła przed lustrem profesjonalne grymasy. Cynizm to narkotyk sączony latami w małych dawkach; podany od razu w jednym zastrzyku -

zabija nieuodporniony organizm.

- Buzdygan... - zaczyna Aza.

- Nie znasz Buzdygana. Daj spokój.

Ja, niestety, znam. Jan Andrzej Buzdygan herbu Pobóg jest głową jednej z Rodzin. Na siatce ustrojów politycznych pomiędzy demokracją absolutną (zrealizowaną właściwie tylko w greckich polis), arystokracją absolutną (tyraniu, totalitaryzmów), demokracją konstytucyjną (USA XIX wieku, Europy ery przedinformacyjnej) oraz arystokracją konstytucyjną (monarchii oświeconych czy dzisiejszych Chin) nasz ustrój odpowiada pozycji arystokracji moderowanej: dzierżyciele władzy się zmieniają, lecz zawsze pochodzą z tej samej elity; na owe zmiany wpływają zaś między innymi wyniki głosowań ludu (który musi wierzyć, iż może wybrać każdego), stanowiące odbicie aktualnego stosunku sił wewnątrz elity - kto miał akurat więcej pieniędzy i sprytu, kto lepiej zbajerował socjerów. Zawsze więc rządzą panowie magnaci lub ich reprezentanci. Rodzin jest w Polsce dwanaście, Polska należy do dwunastu Rodzin. Jan Andrzej Buzdygan jest głową jednej z nich.

Aza drży coraz mocniej, coraz mniej rozumiała są jej słowa - aż wreszcie orientuję się, że panna płacze w moich ramionach. Teraz odruchy opiekuńcze i reakcje czułości całkowicie biorą górę. Przytulam ją, prowadzę pod wiatę. Wysokie obcasy nie wybijają już marszowego rytmu. Ttuk, ttuk, ttuk-tukk, łamie się chód dziewczyny. Jest niższa ode mnie, o ile niższa, nie zwróciłem przedtem uwagi, nie była różnica widoczna, gdy Aza patrzyła hardo wyprostowana, gdy słowa padały twarde jak plast.

Całuję ją lekko w czubek głowy, w zaplecione ciemne włosy.

- Teraz już na pewno zostaniesz moją asystentką, Jakub odchodzi.

I to była właściwa rzecz do powiedzenia. Aza odrywa się ode mnie, ociera szybko łzy, zaciska wargi. Wsunięta broda, ręce przy bokach.

- Przeżyje, będzie żył - mówi gniewnie - wróci.

- Słyszałaś, co doktor -

- Łorać doktora. Nie wszystko panowie wiedzą. Zmartwychwstanie, jak będzie trza.

Zapada się w socjerstwo na moich oczach - niemal jakbym obserwował odwróconą wersję przyspieszonego filmu o ewolucji *Homo sapiens*.

- Co - szydę - chowacie tam jakiegoś małokalibrowego Chrystusa?

- Mesjasze zawsze przychodzą spośród ludów najbardziej pogardzanych. - Aza uśmiecha się ironicznie, ale to jest tak zimna ironia, że mróz spina mi kręgosłup; mimowolnie prostuję się i marszczę brwi.

- Crux, powiadają, Crux mu na imię - intonuje panna ciemna. - Towarzysz Crux,

szwagier Crux, pan Crux-Kruczyński. W jego żyłach płynie krew Gierka, Wałęsy, Leppera i Glińskiego. Wszedł z nocy blokowisk, z dymu melin śródmiejskich, z majaków socjerów...

Stasimon

Nie wszyscy z jednym szczęściem na świat się rodzą:

Szerzej jedni niż drudzy swe płoty grodzą,

Ten ma wiele nad insze w zacności domu,

Ten dobrą sławą nie da naprzód nikomu,

Za tym przyjaciół więcej. Śmierć sprawiedliwa

Jednakiego na wszystkie prawa używa.

Kto bądź, ten bądź - na kogo los naprzód padnie,

Tak pana, jako sługę poima snadnie.

Tragedia proletariatu

Największą tragedią proletariatu okazała się nanotechnologia.

Nie chodzi nawet o to, czego spodziewali się wszyscy luddyci XXI wieku, to znaczy o odebranie kolejnych kilkunastu procent miejsc pracy przez maszyny, maszyny już w ogóle niewidoczne. Oczywiście odegrało to swoją rolę - chociaż każda nowa technologia buduje przecież stopniowo wielkie zaplecze powiązanych z nią usług oraz przemysłu developerskiego, rozmaitej maści technokratów. Tak samo komputery, odebrawszy ludziom wiele zawodów i funkcji, stworzyły zarazem niebywale popularną profesję informatyka i technika komputerowego, czy to faktycznie piszącego programy, czy też jedynie wyspecjalizowanego w posługiwaniu się nimi. Toteż na rynku wciąż istnieje zapotrzebowanie na wykwalifikowanych pracowników. Uniwersytety nie nadążają z wypuszczaniem magistrów nano.

Ostateczną tragedią i pogrzebem proletariatu okazało się więc nie to, że werki odebrały ludziom pracę, lecz - że dały im chleb.

Dawniej istniał oczywisty przymus pracy: kto nie pracował, ten nie miał co jeść, nie miał gdzie mieszkać, nie miał się za co leczyć, umierał, on i jego dzieci. XX wiek wyraźnie złagodził presję, zwłaszcza w Europie. Leczyc musiało cię państwo. Wkrótce także państwo

musiało zagwarantować dach nad głową. W XXI wieku wysokość gwarancji socjalnych wzrosła zaś tak wysoko, iż państwo nie pozwala także głodować.

Ostatnie ekonomiczne przymusy - że pracować musi przynajmniej tyle podatników, by utrzymać tych niepracujących - upadły bowiem z chwilą wejścia użytkowego nano. Werkkuchenka w każdym domu! Pamiętam, jak swego czasu wygrywano nawet wybory pod tym hasłem. Teraz koszty dostarczania do socjalisk wody, minerałów i pulpy COH stanowią drobny ułamek dawnego zasiłku socjalnego. Werkkuchnie zajmują się resztą. Nie głoduje nikt.

Raj ludzi pracy to życie bez konieczności pracy. Czekali na to od pokoleń, od czasów Szeli, Gierka i Kwaśniewskiego. Należy im się - i mają! Po co poniżać się, szukając zatrudnienia, po co męczyć się latami w szkołach, po co kłaniać się panom, po co pozwalać się wyzyskiwać obcym kapitalistom, oddawać dzieci w kierat wrednych krwiopijców i grabieżców narodu polskiego? Nie muszą; socwerki dały im wolność. Tryumf proletariatu to śmierć proletariatu - narodziły się Ziomalstwa Socjału.

Tu życie toczy się w leniwym rytmie betonowych wschodów i zachodów Słońca. Ludzie budzą się i zasypiają, spożywają posiłki i wydalają, awanturują się i kopulują zgodnie z ramówką programów sieci publicznych: do południa tapety migoczą głównie obrazami kościelnymi, transmisji mszy i modlitw, różańców i Aniołów Pańskich - wtedy tkwią przed ekranami socjerzy najstarsi, zwłaszcza kobiety, nie ujrysz ich w oknach, na podwórkach czy ulicach ziomalstw; po południu królują sagi romantyczne i sagi przygodowe, plotkarnie, spowiedniki i sport dla średniego pokolenia; potem programy dla nastolatków, seks, muzyka i adrenalina - i koło obraca się od nowa. Niekiedy wydaje się, że rytm przyspiesza, co kilka lat: w czas wyborów, w czas zmiany lepperów, pielgrzymek relikwii papieskich, mundialu. Z góry jednak wiadomo, że wszystko wróci do normy: socjerzy, 20 milionów obywateli Rzeczypospolitej Polskiej, 80 procent społeczeństwa, drugie i trzecie pokolenie wolnych bezrobotnych - nie mogą, nie potrafią inaczej żyć, innego życia nie są w stanie sobie wyobrazić.

Z rzadka wybija się z masy statystyczna anomalia, owoc ambicji i determinacji tchniętych w nią chyba przez Ducha Świętego, bo na pewno nie przez rodzinę i sąsiadów, rówieśnych socjerów, jedna na tysiące - Anna Zoja Stefańska.

Mówi, że urodziła się właśnie tutaj, na tej ulicy. Jest już późne popołudnie, przedwieczorna cisza opadła na miasto. W sercu socjaliska pora dnia właściwie nie ma znaczenia: nikt przecież nie idzie do pracy, nikt z pracy nie wraca - co najwyżej uliczni dragmani i pokątni dilerzy ziomalskich biznesów.

- To nie praca - poprawiła mnie Aza - wypłuj to słowo. To kant.

- Zarabiają. Co za różnica?

- Ale nie na legalu. I nie mają nad sobą żadnych panów.

W niektórych socjaliskach lepperzy podtrzymują tradycję szkół publicznych - tam można jeszcze ujrzeć rankiem i po południu dzieci z tornistrami, wędrujące grupkami przez pogrążone w letargu dzielnice. Nie tutaj, e-edukacja jest tańsza, miejscowy lepper przeznaczył te fundusze na jakąś kiełbasę wyborczą. Dzieci socjerów mogą być tylko socjerami. Na skrzyżowaniu kilkanaście metrów dalej trzy dziewczynki bawią się w wieszanie kota.

Bloki stoją w równych rzędach prostopadle do szerokiej ulicy; pomiędzy nimi - pasy gęstej zieleni. Część budynków pochodzi jeszcze z XX wieku, część zaś postawiono już w werkteku, z plastu i kraku. Nie dostrzegłbym różnicy, gdyby Aza mnie nie oświeciła. Wszystko przykrywa gruba warstwa pstrokatego graffiti, hackowane gowerki codziennie przepisują oblicze socjaliska, granice wpływu poszczególnych barw i form wyznaczają granice wpływu sztam. Rodzinny dom Azy - pięciokondygnacyjny zygzakowiec - piętnują fioletowe fraktale Bieżyjobów.

- Poznasz ich po werkpigmentcie i ogniach nad głowami - zapowiedziała, wysiadając. - Jeśli się pojawią, padaj od razu na kolana i całuj asfalt. Nie śmiej się, nie żartuj. Tu nawet beton i chmury są po ich stronie.

- Mógłbym uciec pod inną sztamę.

- Nie mógłbyś.

Wysiadłszy, sama uklękła i polizała krawężnik.

- Dość często odwiedzam rodzinę - mruknęła. - Muszę aktualizować werki immuno.

- Aha.

Wzruszyła ramionami i pomaszerowała ku domowi. Akacyjowa 12 B.

Weszła sama; zostałem na zewnątrz. Siedząc samotnie w zamkniętym fiacie, sprawiałbym wrażenie przerażonego turysty. Wysiadłem, oparty o maskę palę papierosa. Werkduj idzie pustą ulicą, ostre, błękitne lśnienie municypalnych disasemblerów - nie uświadczysz tu śmieci, brudu, odchodów zwierzęcych i ludzkich. Choć po drodze mijaliśmy pijaków i dragerów szczających otwarcie pod latarniami, śpiących gromadnie na trawnikach w kałużach rzygowin i ekskrementów, jeszcze nie rozłożonych. Socjaliska w większej części są czyste niczym luksusowe kostnice.

W bramie obok na plastowym krzeselku siedzi neonowa staruszka. Pod lewą ręką - butla werkbimbru samopędnego; w prawej - różaniec herbowy. Zachrypniętym głosem modli

się bezmyślnie na sygnetach ułoranych panów:

*Żyzaś Mario, werków pełna,
Crux z Tobą, uwidzionaś Ty między feminami,
i zwidzion towar żyza Twego, werkur.
Ziana Marryo, mutroroża,
virtuj za nami, socjerami,
tera i w godzinę śmierci naszej.
Ament.*

Unosi suchą twarz, wypraną ze zmarszczek topornymi socwerkami kosmetycznymi, spogląda na mnie wielkimi oczyma - i przez straszną chwilę takie wrażenie: widzi, zobaczyła, przejrzała na wylot, wirścionki pod rękawiczkami, jaśnie pana pod socjerskim ubraniem, zaraz zdradzi krzykiem całemu blokowisku.

Aza z góry zastrzegła:

- Żadnych ręcznie szytych ciuchów, żadnych wirścionków i luksusowego werklażu. Tylko głupi się podkłada bez potrzeby.

Przebraliśmy się więc w krakowe dzinsy i bluzy, ciężkie glany plastowe i kurtki-sekundówki. Rękawiczki są po to, żeby nie odcinać się od virtu; socjerzy preferują systemy tańsze, nierelatywne: czytniki stacjonarne, skany gestu i krtani, nawet klawiatury i myszki. Wirścionki nie są tu porno, wirścionki są dla panów. Rękawiczki nosi natomiast prawie każdy mołojec: naga dłoń to naga dusza, dotyk bywa zabójczy.

Krakowy materiał jest miękki, gładki, maszynowo jednorodny. W antyseptycznej tandecie już czuję się na pół socjerem.

Jeden papieros, potem drugi. Te dziewczynki nad martwym kotem, ta babka rózańcowa, te głowy w oknach i ci zapici, zadrągowani socjerzy na balkonach, ci mołojcy w przejeżdżających z rzadka bezszelestnych wozach, wynurzające się z cieni klatek dziewczyny w jaskrawych lub przezroczystych sukienkach, zabierający je właśnie na dyskorgie i pajarunki młodzieńcy, przepuci pornosowymi werkami w mięśniacze monstra seksapilu ciężkiego jak żelbeton, te psy i koty, ten drager kopulujący ze słupem, tych dwóch pijaków wrzeszczących na całe gardło przekleństwa na siebie i na bezimiennych panów, to płaczące niemowlę, ten pacyfak z chlorofilowymi włosami, ta kobieta wracająca z zakupów, te dzieci plujące na przechodniów z dachu, ci starcy opalający się na boisku koszykówki, ten sprzedawca popiełuszków i wojtyłów kursujący z zachryplą zaśpiewką pod balkonami, ten drager

konający pod akacją, te dziewczynki, te dziewczynki. Papieros trzeci, czwarty. Raz, pamiętam, vater zabrał mnie do socjaliska, miałem wtedy - ile? sześć, siedem lat? - żebym zobaczył, żebym poczuł i posmakował. - Oczywiście, że możesz się nie uczyć. Możesz nie odrabiać lekcji i w życiu nie przepracować ani dnia. Popatrz. - Prowadził mnie za rączkę przez pogrążone w takim samym letargu, słoneczne dzielnice socjału.

Krótką mudra dłonią w krakowej rękawiczce: ojciec nadal w kokonie, nie odłączy go przynajmniej przez dwadzieścia cztery godziny, matka nie pozwoli, tego akurat mogę być pewien. Inna rzecz, że teraz z każdą minutą maleją szanse na cudowne wybudzenie, to znaczy - zmartwychwstanie. Muszę pamiętać, by nie dać się omamić słowami. Nie ma szans. Jest tylko głupia nadzieja Azy, jej upór szczenięcy.

Piąty papieros. Timer: 19:29. Z okien bloków sygnał dźwiękowy jakiegoś socjerskiego szoła. Na priva dobija się Lipski; wrzucam go do mordom.

Wraca Aza. Przydeptuję peta. Wsiadamy, odpala fiata.

- Dokąd?

- Dwudziestopięciolecia. To po drugiej stronie miasta.

- Ale co niby ci powiedzieli? Że udziela tam cowieczornych audiencji?

Moje szyderstwa odbijają się od niej jak od plastu. Tylko pochyla się bardziej nad kierownicą.

- Dałam słowo. Nie umrze.

Zaciśnięte wargi, wzrok krogulczy, łokcie ciasno przy tułowiu. Nakierowała się na nowy cel, nie zmienię raz obranej trajektorii. Socjerski fiat sunie siedemdziesiątką.

Wraz z uderzającymi w twarz światłami reklamy kwaśna refleksja: Mój Boże, co ja najlepszego wyprawiam, przecież znam ją zaledwie kilka, kilkanaście godzin. Powinienem siedzieć w Przemienieniu albo wisieć na gardle Buzdygana, albo upić się i szaleć w vircie.

Lecz teraz mam przynajmniej poczucie, że coś robię.

To prawda, że ludzie w podobnych sytuacjach zawsze chwytają się nadziei najbardziej kretyńskich - szamani, cudotwórcy, święci mężowie, jak trwoga, to do znachora - ale ja przecież nie wierzę w te bajdy Azy!

- I co, machnie ręką, a dwadzieścia kilometrów dalej ojcu odrośnie mózg?

- Zabierzesz go ze szpitala i przywieziesz, gdzie Crux wskaże.

Wyjeżdżamy na obwodówkę. Tu na chwilę łączy się nurt wozów socjerskich z samochodowymi luksusami śródmieścia i sabarbyjskich stanic. Aza prowadzi jedną ręką, w drugiej trzymając papierosa. Musiała pochwycić mój przerażony wzrok, unosi brwi.

- Masz opłacone bezpilotowe OC na wysokie drogi? - pytam.

- Mam flagę. Kuzyn, tak, ten pierwszy, zhackował mi transponder wozu, inaczej w ogóle nie wyjechalibyśmy z socjaliska.

- Czyli jak nas złapią -

- Nie złapią.

- Ale gdyby jakiś wypadek -

- Nigdy nie miałam wypadku.

- Ja tego w ogóle nie pojmuję. Przecież to jakbyś grała w zręcznościówkę, w której pomyłka równa się śmierci, a co najmniej okaleczeniu - ciebie, pasażerów, innych na drodze. Padłbym na serce po pierwszym kilometrze.

- Ponad wiek ludzie tak jeździli, sami prowadzili.

- No właśnie. Setki tysięcy zabitych. Horror. Czy ty masz przynajmniej licencję szofera?

- Eee tam.

- Jezukryste.

Wjeżdżamy pod plastowe wiadukty. Wstęga szosy jest przezroczysta, widać tylko cienie podwozi przemykających nad nami maszyn. Słońce już właściwie zaszło, ostatnie poziome promienie rozszczepiają się na krawędziach plastu, wspinamy się przez autostrady tęcz. Bardzo to jest piękne - czysty porno industrial - jak te nieboskłony smogu prześwietlanego przez łuny świtu - harmonia zanieczyszczeń natury.

- Nie masz lepszego auta?

- Yhm.

- Rozumiem, że w ziomalstwach, ale - wszędzie wozisz się tym socjergratem?

- A idź się łoraj.

- Przepraszam. - Poniewczasie powstaje myśl, oczywista przecież, że Aza odbiera to jako przejaw typowej pogardy dla klasy niższej. - Nie mój żywioł.

- Taaa.

- No wybacz, że nie zapłacę rzewnymi łzami nad strasznym losem socjerów...!

- Ależ wcale się nie spodziewałam - mówi powoli, nie odrywając wzroku od jezdni.

- Ludzie z dowolnej epoki z przeszłości zamieniliby się z nimi bez wahania.

- Powiedział jaśnie pan, poklepując po głowie swego chłopca pańszczyźnianego.

- Co za lepperskie gadki -

- Już milczę.

- Myślałby kto, że sama masz inne marzenia, niż poślubić herb i uciec do dworku na wsi.

- Jakbym słyszała swoją matkę! - Aza w końcu wybucha. - „Zdrajczyń! IM się wysługujesz! Dziwka zaborców! Niech ONI ci teraz pomogą!”

- Zaborców?

- Nie wiesz? Sprzedaliście Polskę Niemcom, Żydom i Amerykanom. Werki to wymysł masonów, coby do reszty zgębić naród polski.

- No tak.

- Ale Matkoboska i Crux zrzucą z kraju obce jarzmo i powstanie mężne ziomalstwo.

- A wydawało mi się, że dopiero co była wymiana lepperów. Tak szybko się buntują?

- Nie chwytasz. - Aza kręci głową. - Tu zawsze żyje się na granicy wybuchu, ze szturmówkami i mołotowami pod łóżkiem. „Dłużej już tak nie wytrzymamy!”, „Jak coś się zaraz nie zmieni, popłynie krew”, „Znajdujemy się na krawędzi przepaści”, i tak dalej. Żadnego specjalnego katalizatora nie trzeba, mentalność kryzysu to styl życia, dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku, pokolenie po pokoleniu. Poczucie nieustannego zagrożenia i totalnej beznadziei kultywuje się niczym tradycje bożonarodzeniowe. Napatrzyłam się od dziecka. Co najbardziej mnie dziwiło - to, że tylko ja się dziwię. Przychodzi nowy lepper, są nowe wybory, dostaje od Rodzin fundusze, ludzie znowu wierzą obietnicom, Rodziny dzielą się tortem, ale ile można ufać jednemu człowiekowi? - drugie, trzecie wybory i morda się zużywa, więc znowu fala, nowa buźka, nowy układ, nowa marchewka, jakiś luksusowy socwerk albo podwyżka socjału, nowy podział tortu, i wszystko od początku. A naprawdę przerażające jest to, że możesz im mówić, możesz powtarzać, tłumaczyć prosto w oczy - słyszą i nie rozumieją, słyszą i nie chcą rozumieć. Panowie mają im dać, to, to i to, więcej i więcej, się należy - i kto wylepperuje, za tym pójdą. Dopóki nie wyjechałam na studia, czułam się, jakbym żyła pośród zaślepionych w vircie, jedyna przebudzona. Horror. Musiałam uciec, nie było wyboru - od momentu, gdy przejrzałam na oczy.

Dopiero obraca ku mnie głowę i widzę, że się uśmiecha. Grymas uległ roztopieniu, twarz jest miękka, bezbronna, melancholia zasnuwa ciemne tęczęwki.

- Największa trudność - mówię - to po raz pierwszy pomyśleć rzecz nie do pomyślenia. Ucieka wzrokiem.

- Więc teraz znajduję się po drugiej stronie.

- Mhm?

- Wyzyskuje.

- Aha. Znaczący, salariat to też są ONI.

- Oczywiście. Sądzi się, że socjerzy rozróżniają? Ktokolwiek pracuje, zarabia. Jeśli zarabia, to wyzyskuje. Z definicji. A najgorsi ONI to, rzecz jasna, ten ułamek procenta ponad

salariatem, który zarabia, bo posiada. Panowie magnaci. Ty, Zygmunt.

- Ja? - śmieję się. - Ze mnie taki magnat jak z -

- Co z tego, że jesteś też na pensji? Masz udziały w Czermie? Masz. Koniec dyskusji. Pijesz ich krew, pogódź się z tym.

Nadal się uśmiecha, ale znów więcej w tym uśmiechu ironii. Nie jestem tylko pewien, przeciwko komu skierowanej.

- Jak, u licha, mogę ich wyzyskiwać, skoro oni nie pracują, niczego nie produkują? Skąd niby więc pochodzi ten zysk, którego ich pozbawiam?

- Oj, powinienes zdecydowanie częściej oglądać kanały publiczne. Praca nie ma tu nic do rzeczy. Ty masz, a oni nie - to jest niesprawiedliwe. Gdyby was nie było, bogactwa przypadłyby wszystkim po równo. Ale wy zatrzymujecie je tylko dla siebie.

- Co za bzdura! Gdyby nas nie było, nie byłoby żadnych bogactw do podziału!

- W zeszłym wieku pewnie by w to jeszcze uwierzyli, ale w epoce werków - nie ma najmniejszych szans. Przecież widzą, że bogactwo bierze się z powietrza.

- O Boże. Kto w takie -

- Wszyscy. Osiemdziesiąt procent społeczeństwa, Zygmunt.

- I ten Crux jest ich - kim? Kościuszką, Wałęsą, Mandelą, Ghandim, Sejwiorem Samozwańcem, Zagarą, bin Ladenem, Che Guevarą?

- Aha.

- Dlaczego zatem w ogóle miałby wysłuchać mojej prośby?

- Tak. - Aza przygryza policzek, obracając energicznie kierownicą; zjeżdżamy w rozległą nieckę, dolinę zarośniętą rzędami bloków jak układ scalony opornikami, każdy kładący przed sobą wielki cień. - Dlaczego miałby?

Jezdnia pokrywa się kolorowymi fraktalami. Na starej tablicy z planem Osiedla XXV-lecia PRL tańczą iskry drobnych wyładowań. Mija nas chłopak na rowerze, jego ciało pozostawia w chłodnym powietrzu różowy powidok. Siedzący na krawężnikach mołojcy plują leniwie malutkimi piorunami kulistymi. Do wnętrza fiata przebija się głośna muzyka: elektroniczny rytm marszowy, synkopowany przez chór dziecięcy. Dzieci skandują z pasją: - Urrwa! Urrwa! Urrrrwa!

Wjechaliśmy do ziomalstwa.

Ziomalstwo XXV-lecia PRL

- Kto jest lepperem tego socjaliska?
- Klawysyn, Mustafa Klawysyn.
- Powinienem o nim słyszeć?
- Jeszcze niczego nie podpalił.
- Toś mnie pocieszyła. Widziałaś na dole tych młodziaków z werkosami?
- Wyluzuj. To spokojne ziomalstwo. Klawysyn nawet policję wpuszcza.
- Order Orła Białego mu dać.
- A myślisz, że na koniec czym się kupuje lepperów?

Idziemy wąskim korytarzem bloku, pierwsze piętro, brak windy, klatki schodowe pulsujące werkami słonecznymi, korytarz ma chyba sto metrów długości, ciągnie się przez cały blok, drzwi do mieszkań po lewej i prawej jak wrota pancernych sejfów. Z naprzeciwka idzie dwoje dzieci, podają sobie na przemian fajkę z jakimś słodkim dragiem, dym ciągnie się za nimi białą wstęgą. Nagła lekkość głowy, gdy wciągam go do płuc.

Aza zatrzymuje się przy numerze 143. Naciska dzwonek i robi głupią minę do obiektywu. Kroki. Drzwi się otwierają. Wchodzimy.

Gospodarz jest w samych gaciach, drapie się po brzuchu i marszczy brwi, gęsty zarost kryje subtelniejsze wyrazy jego oblicza. Obrzuca mnie badawczym spojrzeniem. Bohatersko wstępuję w zatęchłe powietrze mieszkania, w smród niemytego ciała. Gospodarz ma chyba trzydzieści lat, ale wygląd socjerów bywa mylący - może się okazać nastolatkiem.

- Zyga, Brudzio - przedstawia nas sobie Aza i zaraz porywa Brudzia za łokieć. - Nóżki, musimy pogadać.

Brudzio stawia opór.

- Tera? Tera? Szławon, cmitu w minutu! A już! Czasu nie mam dla twoja!
- Nie krakaj, nie krakaj. Sznura tyko na jednego mołojca mi dasz.
- Turaj, urwo niebieska!
- Liżesz mi, Brudzio! Co ci krędzi kwadransik? Wall Street nie zategujesz. No, tera-
już.
- A odteguj ty się od moja! Trzy lata i jędzi nagle na progu z jebkiem bladym! Pradź!
- Samse pradź. Nóżki, nóżki, Brudzio!

I ciągnie go w głąb mieszkania.

Przedpokój jest tak wąski, że dwóm osobom trudno iść obok siebie. Brudzio ogląda się na mnie przez ramię.

- A jego gdzie? Siad!

Aza wskazuje mi wzrokiem wyleniąta sofę pod ścianą. Nie potrafię się rozeznąć w tej

socjerskiej ciasnocie - czy to rodzaj minisalonu, czy rozszerzenie przedpokoju, czy jakaś przypadkowa wnęka. Siadam posłusznie. Aza i Brudzio znikają za drzwiami po prawej.

Przynajmniej mogę otwarcie mudrować. Na kontakcie po lewej otwieram podgląd sieci w osobistym filtrze informacji. Filtr jeździ na plastusiowej AI, która lepiej ode mnie wie, czego jestem ciekawy.

Czasami na wąskich kanałach abonenckich pojawiają się newsy o publicznych pojedynkach, jeśli brały w nich udział Nazwiska. Sprawdzam. Nie ma jednak newsa o ojcu i Wichwitu.

Odruchowa mudra na priva szpitalnego: w Przemienieniu bez zmian, rejestry medyczne vatera stoją na tych samych wynikach; jeśli coś tu drgnie, to tylko w dół. Chyba że Crux złoży swe dłonie na rozłupanym czerepie (O Krystepane, zaczynam w to wierzyć!).

Na BBC-Open najnowsze wieści z frontu wojny meksykańskiej: wszystkie strony oskarżają się o rozpuszczenie militarnego nano; skrecone prądy morskie niosą je do Ameryki Południowej - lasy deszczowe zagrożone po raz kolejny.

Crisis Watch o rynkach afrykańskich: indeksy na plus jeden koma osiem, dwa koma trzy, widełki stabilnego wzrostu. Na giełdzie bagdadzkiej kompanie szejkanatów naftowych zaczynają hamować spadek. Indeksy n-biznesu podskoczyły, gdy Bukkart ogłosił wyniki za pierwszy kwartał: ropa jako surowiec organiczny dla werków niskoenergetycznych okazała się opłacalnym wyborem.

Wyrok Trybunału w sprawie żywności werkogenicznej: dopuszczono do sprzedaży socwerki wielogeneracyjnej. Natychmiast spadają notowania producentów przetworów o standardzie socjalnym; Interpol wydaje ostrzeżenie przed nowymi atakami terrorystów chłopskich, Ostatni Rolnicy zapowiadają *suicide-shows*.

Dziesiąty dzień głodówki króla Williama - sondaże opinii Brytyjczyków, wizualizacja trendów.

AI zarządzająca ciałem Britney Spears postawiła się w stan samooskarżenia; proces o prawa do DNA i neuro weteranki popu toczył się będzie przed sądem Santa Barbara. Akcje holdingów medialnych posiadających udziały w Britney Spears idą w dół.

Z TVN-Pro12 filtr wyławia mordę Buzdygana. Widocznie prosto ze śniadania w ambasadzie Brazylii udał się Buzdygan na otwarcie nowego Akwarium ewolwerków Uniwersytetu Warszawskiego, wygłaszał tam mowę w tym samym żupanie, z tą samą karebelą u pasa. Rozpoznaję tekst manifestu gospodarki drexlerowskiej: „Niegdyś ludzkie życie przypominało grę o sumie zerowej. Ludzkość wypełniała niemal zupełnie swoją niszę i szczerp walczył ze szczerpem o przestrzeń życiową. Powiększenie obszaru pastwisk, upraw czy

terytorium łowieckiego jednej grupy oznaczało odebranie ich innej grupie. W dziedzinie podatków, transferów pieniężnych i batalii sądowych zysk jednej strony nadal dziś oznacza stratę drugiej. Powiększamy sumę naszych bogactw powoli, lecz redystrybuujemy je błyskawicznie. Jednak historia rozwoju ludzkości dowodzi, że w skali świata ta gra jest grą o sumie dodatniej. Przyspieszający w ostatnich wiekach wzrost gospodarczy świadczy, że bogaci mogą się bogacić, podczas gdy biedacy - również się bogacą. Zasoby kosmosu i replikujące się nanoasemblery przyspieszą ten historyczny trend poza najśmielsze wyobrażenia ekonomistów, otwierając przed ludzkością nowy świat".

Nowy świat otworzył się dla wszystkich, ale nie dla każdego ten sam. Rzecz nie w tym, że następują zmiany - bo świat zawsze znajduje się w trakcie zmian - lecz że warunkiem koniecznym skorzystania na zmianie następnej jest poddanie się zmianie uprzedniej; kto więc raz się spóźni i nie dosiędzie fali, ten nigdy już nie dogoni przyływu. Człowiek, familia, pokolenie, naród, kraj.

Stąd rodzą się egzotyczne subkultury Pozostawionych w Tyle.

Od szczegółu: socjerski wzorzec piękna jest inny, opiera się na kulcie ilości - więcej złota, mięśni, kolorów, więcej luksusu - i takie oto holo szczyrzy się do mnie ze ściany przedpokoju Brudzia: mięsista blondyna o ogromnych cycach, w girlandach ciężkiej biżuterii. Od szczegółu: po co sprzątać, skoro można rzucić w mieszkanie disasemblery higieniczne - w efekcie nawet drewno oparcia sofy w dotyku jest jak krak. Od szczegółu: okna wykonano z grubego plastu, kula ich nie przebije - na co są dowody, szereg szram po pociskach, i to świeżych, skoro jeszcze nie zaleczonych. Do ogółu: jak tu okropnie cuchnie!

Zza drzwi dochodzą niewyraźne głosy Azy i socjera. Już mam wstać, podejść, przyłożyć ucho (zero wstydu), gdy w głębi przedpokoju rozlega się szcęk automatycznych zasuw i krótki przeciąg sygnalizuje otwarcie drzwi na korytarz. Ktoś wszedł, nie zadzwoniwszy, kobieta Brudzia? - ale nie, z cienia wylaniają się dwie męskie sylwetki. Najpierw żółty pobłysk zarysu czaszek, ramion, ognie oczu - widzą mnie - para bezwłosych gołot, w portkach skórzanych i werkolczugowych kamizelach, neonowy dym ciągnie się za nimi w powietrzu, tygrysie pasy przesuwają się po przesłonecznionej skórze. Pod jaką sztamą znajduje się ta dzielnica? O tym akurat Aza omieszkała mi wspomnieć.

Tygrys Jeden obrzuca mnie zdumionym spojrzeniem, Tygrys Dwa trąca go łokciem i wskazuje drzwi po prawej. Mam wstać, przedstawić się, paść plackiem, uciec, mudrować po policję? Zdecydowali za mnie, weszli do Azy i Brudzia, zanim zareagowałem.

Głosy wznoszą się jeszcze bardziej. Teraz już przymus prawie fizyczny - słyszę, ale nie rozumiem, toż to nie do wytrzymania - podchodzę na palcach, przysuwam głowę do

plastu.

- ...póddzie bruta!

- Jaka bruta, jaka bruta! - To głos Azy. - Pały waszej wyłorało! Mało Klawysyn wycyckał?

- Nie dla Klawysyna, pradź jego harawa! - To któryś z Tygrysów. - Póda wszystkie ziomalstwa. Co twoja nakłapał? Zacyc był: nie krakać cipom. Przychodzi nasza i co oca? Już rusułka u Brudzia! Pradź!

- To mała Stefańskiej od tarota. Co moja mógl? Wlazła.

- Ale czy nie wykraka? Wszystkie krakają.

- Wyprażyć jej czachę. - To Tygrys drugi.

- O, pewnie, wyłorać od razu na lód! - piekli się Aza. - Co za mołojce odjebkowane tera chlaczą! Myślałyby kto, rewoluszyn odkryli! Moja widziała tuzin takich lepperiad. Akurat jest o czym krakać! Tegujcie, tegujcie, dupa wolna.

- Lepperiad! - prycha Tygrys Drugi. - Nie będzie żadnych monstracji! Nocą, po chatach, wsze wraz, ziomale dawno ukrakani, pódziem lito, Crux poprowadzi, wyłoramy panów, razdwatrzy, tu i wszędzie, tak będzie, urwo gupia!

- Lutuj paszczę! - ryczy nań Tygrys Pierwszy. - Musiała wykrakać, a? A? Pradź!

- Noconoconoco -

- Crux poprowadzi, krakas - mówi powoli Aza. - Wasza zna dobrze Cruxa?

- To on dał Wygrysom ogień! - chwali się drugi mołojec.

Odgłos uderzenia. Pierwszy zdzielił po pysku Drugiego, mogę się założyć.

- Pradź harata! - syczy Pierwszy. - Powiem na sztamie, zaszyją ci jamę! A ty! Ty, ty, twoja! Zamkniesz ją tu do pojutra rano. I nigdzie ma nie dzwonić, z nikim nie krakać. Błyska?

- Błyska, błyska - przytakuje ponuro Brudzio.

- Ja muszę -

- Grówno musisz! Co, łorkujesz w sobotę? - I rehot chóralny. Liczę szybko: piątek, sobota, niedziela - zaplanowali brutę na noc z soboty na niedzielę, wtedy istotnie dopadną większość poza pracą, w domach albo w wysokich dzielnicach, po klubach, kinach i salonach.

Dlaczego nie słyszałem wcześniej o tej socjerskiej ruchawce? Oni nie potrafią niczego sprawnie zorganizować, tym bardziej w sekrecie, od tygodni powinienem był mieć na filtrze informacji dziesiątki newsów o trendach agresji klasowej w ziomalstwach.

Ale też nigdy nic nie miałem o Cruxie.

- ...oblacze na łyso - tłumaczy Wygrys Pierwszy Brudziowi. - Jak było ukrakane. Ma?

- Oczaj.
- Nooo.
- Piknę.
- Dajesz.

Syk stali. Po kręgosłupie nagły mróz: wiem, o co tu chodzi. Przyszli po akcesoria, po szable, ubiory, chcą się wmieszać między nas, wejść między herbowych. Brudzio robi za kontakt zaopatrzeniowy, ziany diler - nic dziwnego, że Aza do niego się zwróciła po namiary na Cruxa.

- A jak -
- O !
- Pokaż!
- He he!
- A co ty tak łapką płukasz -
- Urrrrrwa!
- Trzymaj ją!
- Rękawiczki!
- C o -
- Po gliny mudrowała!
- Ożesz ty hara, werk twoja mać, oczaj te pirścionki, no jaśnie cipanna!
- Poszło? Mogła nie zdążyć. Czopuj!

Kłaśnięcie.

- Czop! Już!
- Brudzio, co ty krakał, że skąd ją znasz?
- Łojezu, żaż to Stefańska, ta z -
- Trzymaj ją, Józek. Jamę zatkaj, bede prażył przez czachę, ryczą urewsko i krwią im idzie z nosa i uszek. Brudzio, dajesz szmaty.

- A ten chujek, co tam posłuje?
- Co z nim?

Drzwi nie zostały zatrzęsnięte, wystarczy popchnąć, oni są zajęci Azą, Wygrys Drugi unieruchamia ją w nelsonowym uścisku, Wygrys Pierwszy obejmuje za głowę, jaskrawa łuna wokół nich - szable leżą na stole, podnoszę nagą zygmontówkę, nie ma czasu wyważyć, jak ostry sztych, nie wiem - tnę oburącz znad barku.

Wygrys Pierwszy pada z rozchlastanym karkiem, kręgosłup na wierzchu, werkolczuga skwierczy, zalana krwią, ścieram krople z twarzy rękawem kurtki.

Wygrys Drugi wrzeszczy, puszcza Azę, Aza wrzeszczy, unoszę szablę, za moimi plecami wrzeszczy Brudzio.

Teraz już tylko odruchy - dziesięć lat minęło, odkąd chodziłem na szermierkę, a jednak zwierzęca pamięć trwa w ciele - unik, zastawa, Brudzio idzie na mnie z krakowym krzesłem, zbijam, podnosi, zbijam, rzuca, uskakuje. Z drugiej strony Wygrys wykonuje jakiegoś ciężkiego werkboja, kolczuga zwija mu się na ramionach, Wygrys zaciska pięści, rosna na nim kolce i ostrza, powietrze drży, czuję ten żar i czuję ostry zapach spalenizny. Żółte oczy płoną, pochyla głowę, odsłania zęby, też już zawerkowane na lśniąca stal, werklaż napina mu mięśnie i wypycha spod skóry żyły - oto i stoi przede mną Bestia.

- Aza! - wołam, zezując na Brudzia, który rzucił się tymczasem ku stercie pudeł zajmującej prawie połowę pomieszczenia, ku wysokim wieszakom z żupanami i deliami.

Aza próbuje się podnieść, upada, próbuje ponownie. Wygrys postępuje naprzód, iskry białych wyładowań skaczą wokół niego po liniach kondensacyjnych werków. Tnę z lewej, odbija ostrze przedramieniem.

- Aza!

- Pad!

To krzyczy Brudzio - nie do mnie, ale padam bez namysłu. Seria idzie po ścianach, meblach, sprzętach, suficie, trafia w coś szklanego, sypią się kryształowe odłamki.

Turlam się za drzwi, szabla w garści. Sofa, przez sofę, przedpokój - uciec z tego mieszkania! Nie oglądam się. Zasuwy, krakleszcze, na szczęście nie ma szyfr-zamka - wypadam na korytarz. Którędy do klatki schodowej? W lewo. Biegnę.

Ale - ale już słyszę go za sobą, widzę na ograffitowanych ścianach lśniące pobłyski od jego werkzorz. Zgięta w pół staruszka wychyla się za próg i zaraz cofa głowę, przerażona; rozszechkują się w mieszkaniach psy. Z tyłu łomot, jakby to Terminator tam biegł.

Złapawszy za balustradę klatki schodowej, oglądam się przez ramię. Rozpalony Wygrys jest dziesięć kroków za mną, bierze zamach pancernym ramieniem, jak gdyby strzelał z niewidocznego bata, i nie widzę, nie mam prawa ujrzeć, lecz wyraźnie czuję, jak coś zawija, zagęszcza, zatraskuje się w powietrzu - skaczę w dół klatki, ale jest już za późno, czarny ogień dosięga moich pleców, parzy przez kurtkę.

Spadam z krzykiem, uderzam głową w beton. Na półpiętrze podnoszę się, zrzucam skażoną sekundówkę. W prostokącie u wylotu schodów nade mną rośnie zimna jasność.

Zbiegam po trzy stopnie. Dragujący w holu socjerzy patrzą na mnie zdumieni. Przekładając szablę z ręki do ręki, zrzucam z siebie koszulę, rozpinam dzinsy - nie zdążę zdjąć, drą się i rozpadają, spodnie, pas, bokserki, z materiału unosi się dym. Dragmani

chichoczą.

Na betonie rozpościera się cień, ostry, coraz ostrzejszy, gdy za moimi plecami rozkwita biała luna. Podnoszą wzrok, rzucają pety i uciekają - bez słów, żyją przecież pod sztamą Wygrysów, wiedzą.

Biegnę razem z nimi.

Zapadł już zmrok, więc uciec, uciec w tę ciemność - fiat, nie, on ruszy tylko pod dotykiem Azy - w ciemność - z żółtych okien bloków wychylają się głowy starych i młodych socjerów, echo niesie po socjalisku pytające okrzyki - w ciemność - już pali mnie skóra, plecy, uda, kark, mój Boże, dosięgnął mnie - w ciemność - ze starożytnego bloku za mną wylania się w oślepiającym blasku werkbrojny gromodzierzca, wyrzaskujący wygrysią wściekłość - w ciemność - w Ziomalstwo XXV-lecia PRL.

Crux

Polują na mnie, słyszę ich nawoływania, płyną wilczymi zaśpiewami przez nocne blokowisko. Przebiegam w cieniu.

Świeże graffiti na oknach niemieckiego socmarketu: PRZYDŹ KURESTWO TWOJE.

Dwie dziewczyny obściskujące się pod drzewem, ta wyższa rozpościera kiczowate skrzydła z przeterminowanych światłolotów.

Ogniska na dachach bloków, czarne sylwetki tańczące wokół elektrycznych płomieni.

Starzec z psem - werkpies wyprowadził dziadka na spacer.

Obracająca się na ścianie szczytowej wieżowca kolorowa mandala: CRUX CRUX CRUX.

Kobiocy głos z otwartego balkonu: - Julius! Lora! Lora! Łobora!

Wylaniający się z zakrętu alei, w warkocie zabytkowych mechanizmów, wielki ropniak, zesłowieczny mercedes. Z jego głośników - niezrozumiały hymn socjerski; w otwartym jego dachu - ekipa Wygrysów pod czarnymi sztandarami z Matkoboską.

Przebiegam w cieniu.

A z oddali, spoza gmachów ciemności, zza geometrii jasnych okien: - Uuuuuuuuuuuu! Uuuu! - Sfora socjerska, sztama zbierająca się w nagonce.

Polują.

Szabla w garści, tyle. Ocieram dłoń o udo. Na szabli krew, nie wytrę.

Dlaczego kontakt nie łączy? Mudruję bez przerwy, na podwórzedziu otwierają się

wszystkie szybkie opcje komunikacyjne - policja, Czerm, Aza, hierarchia rodzinna, Buzdygan, Małżecki, straż miejska - i nic. Zaczopowany, zostałem zaczopowany, razem z Azą; Wygrys Pierwszy, Wygrys Drugi, któryś z nich odciął mnie od sieci.

Czego, oczywiście, nie mógł zrobić. Bo niby jak? Musiałby chyba wrzucić mnie do morderu wszystkich sieciówek w zasięgu.

Tu nawet beton i chmury są po ich stronie.

Beton drapie stopy do krwi, zimny, chropowaty. Miałem buty, nie mam butów, rozpadły się w biegu. Piecze już cała skóra. Gdyby chlasnął mnie otwartymi werkami rozkładu organicznego, do tej pory niewiele by ze mnie zostało - atak był więc sprofilowany. Uderzał przecież w środku bloku socjerskiego, musiał bardzo ostrożnie dobierać oręż.

Lecz nano tak wysokoenergetyczne, że zdolne do rekonfiguracji makrostruktur w skali sekund, jest zakazane przez wszystkie możliwe konwencje i kodeksy. Gowerki podnoszą alarm na byle ślad podobnych procesów. Tymczasem Wygrysy najwyraźniej posługują się nim niemal rutynowo.

Co więcej: ten pistolet maszynowy Brudzia to zdecydowanie nie była wiatrówka. A jedną z pierwszych funkcji policyjnych gowerków jest przecież wykrywanie chemii terrorystycznej - po spaleniu takiej ilości prochu nad ziomalstwem powinny krążyć tuziny policyjnych kopterów.

Kto wyjął tę krainę spod prawa miasta i świata? Jest coraz zimniej - ja pocę się ze strachu.

To on dał Wygrysom ogień!

Przebiegam w cieniu.

Pusta jezdnia, parking, murek, drzewa i - kościół: taka sama betonowa bryła jak reszta ziomalstwa, tylko że zwieńczona krzyżem. Piątkowy wieczór, powinno być chyba otwarte - jakie są religijne zwyczaje socjerskie, nie mam pojęcia.

Świątynia niestety nie posiada śluzy, pełny prymityw. Wbiegam przez boczne wejście w pogrążoną w półmroku nawę. Cisza, nikogo w zasięgu wzroku. Odkładam szablę. Zasady pierwszej pomocy w przypadku skażenia werkami nie różnią się wiele od procedur postępowania po skażeniu materiałem promieniotwórczym. Owalna chrzcielnica jest umieszczona wystarczająco nisko i ma ponad pół metra średnicy. Wchodzę w wodę, obmywam się, trąć mocno skórę. (A jeśli kościół posiada sieć dozoru wewnętrznego? Tym lepiej - niech rozdzwonią się alarmy w agencjach, w policji!)

Echo kroków w pustym wnętrzu. Zamieram. Decyzje w ułamkach sekund - nie decyzje: odruchy. Wyskakuję z chrzcielnicy, zdzieram szatę wotywną z posągu jakiegoś

socjerskiego świętego, zawijam się w sztywny materiał, srebrny ryngraf kołysze się na piersi. Jeszcze szabla i - Plask, plask, zimny marmur pod bosymi stopami. Odruch: ku ołtarzowi i do zakrystii czy precz od ołtarza? W zakrystii stałe łącze, końcówka policyjna, ale - w zakrystii też na pewno socjerzy. Kroki się nie zatrzymują i przeważa strach chwili: uciekam przez główne drzwi.

Drzemiąca w ostatniej ławie babcia kościelna nawet nie podnosi na mnie wzroku.

Mokry, drzę na zimnym wietrze. Ze schodów kościoła rozciąga się widok na sporą część dzielnicy: aleje znaczone rzędami lamp, szeregi bloków jak cepeliowskie wycinanki cienia i światła, skwery zupełnie już ciemne. Światła ruchome - światła samochodów - mogę zliczyć na palcach jednej ręki. Pieszycy nie widać w ogóle, jeśli nie wejdą wprost w słup jasności, plamę żółtego blasku. Ludne socjalisko jawi mi się niemal wymarłym. Czy tak to wygląda zazwyczaj po zmierzchu, czy też naturalny rytm życia w ziomalstwie został dziś zaburzony i ta ciemna pustka powinna stanowić dla mnie ostrzeżenie?

Czym prędzej schodzę z widoku, z wysokich stopni kościoła na ulicę i między drzewa za parkingiem. Wymudrowuję mapę miasta. Nie mam na podvorędziu precyzyjnego planu socjalisk, ale byle program turystyczny jest w stanie wytyczyć marszrutę na podstawie dotychczas przebytej drogi oraz danych wzrokowych.

Program pyta o priorytety. Jeden: wyjść z socjaliska. Dwa: wyjść spod sztamy Wygryśów. Trzy: znaleźć terminal na sztywnym łączu.

Przewodnik wskazuje mi na kontakcie kierunek. Zawijam ściślej szatę i ruszam za nim, od drzewa do drzewa.

- Uuuuuu!

Skąd płynie ten zew? Dźwięki odbijają się od płaszczyzn betonu, trudno rozpoznać kierunek.

Być może jednak nie mogę rozpoznać, ponieważ dobiegają one zewsząd - zostałem otoczony.

Właściwie co tam socjerzy robią - dmą w rogi? kręcą syreny? Rzną głośniki? Znacznie sprawniej porozumiewaliby się przez komórki albo virt. Idioci.

Przewodnik wyprowadza mnie na pobocze jednej z przelotówek: cztery pasma, krakowe ogrodzenie, plastowe lampy, werkpucha na jezdni. Nie przekraczam granicy światła.

Przebiegam w cieniu.

To są jednak spore odległości, nie utrzymam dłużej podobnego tempa, już ciężko dyszę, obraz się rozmazuje, mętnieje -

- Oż pradź urrewska!

- Nyzio!

- On to!

- Łoraj jebuca!

- Hihhi, oczaj, jaki dziubus ockany!

Siedzieli tu w wypalonym wraku samochodu i chlali jabsynt. Trzech mołojców regularnych: mięso, skóra, złoto, haki. Na szczęście nie dostrzegam na nich pasów wygrysich.

Nie odzywam się, dyszę wsparty na głowicy szabli.

Podchodzą rozbawieni.

- Oczaj szabelku!

- A ciuszek jakie porno!

- Pirścionki moje! Nie ruszycie!

- Kurat!

- To on, on. Noco gapuje darmo, snypan? Gleba! A już!

- Łoraj jebuca, Macu.

Macu rozbija o kolano flaszkę po jabsyncie. Szkło pryska wraz z resztkami świecącej w półmroku werkpiatówki. Odchrząkuję.

- Panowie...

Wybuchają konwulsyjnym śmiechem.

- Pa-pa-pa-pa-panowie! - powtarza rudzielec w środku. - Łojezu!

Rozrehotany Macu wymachuje mi ostrym szkłem przed twarzą. Odruchowo schodzę w prawo, tnąc oburącz w krzyż, bardzo nieczysto. Pada z rozchlastaną klatą. Syczę z bólu, nadwyreżywszy lewy nadgarstek.

Dwaj pozostali mołojcy, nagle otrzeźwiali, sięgają po werkosy.

Podnoszą mi się włosy na karku.

Uciec im nijak nie zdołam.

- Łoraj!

Poszli. Błękitne ostrza pozostawiają w powietrzu elektryczne powidoki; choć to niemożliwe, zdaje mi się, że naprawdę słyszę trzeszczenie kondensujących się werków.

Rudego biorę na sztych - szabla dłuższa od werkosy - nadziewa się własnym impetem. To mnie jednak unieruchamia, jest za ciężki, nie nadażam z obrotem, o uniku nie ma mowy, i trzeci mołojec dźga mnie w pierś - tszkr! - werkosa schodzi po ryngrafie, wyzegując w metalu głęboką bruzdę.

- Pradź!

Wyszarpuję szablę z ciała i tnę w kiść, zataczając się, prawie na ślepo. Pada.

Padł, czyli dostał. Nie sprawdzam już nawet gdzie, nie sprawdzam, czy żyje. Ciężkim truchtem ruszam za przewodnikiem.

Przede mną łańcuch świateł zakręcającej szosy jak ramię spiralnej galaktyki. Z rzadka przemykają komety: automobile socjerskie, niektóre to jeszcze nieprzekrecone benzynówki, ogony smrodu za nimi - oznaka statusu.

Przebiegam w cieniu.

- Uuuuuuuuuuuu! Uuuu!

To z dołu, z centrum socjaliska, z wnętrza doliny. Przystaję, nasłuchuję. Wycia niosą się ponad blokowiskiem. Naraz pojmuję ich prawdziwą naturę i funkcję i nie potrafię opanować drżenia; wspieram się na krzyżowym jelcu zygmuntownki.

To nie socjerzy porozumiewają się w ten sposób ze sobą, nie o komunikację między ścigającymi tu chodzi. To jest nagonka w dosłownym znaczeniu: chcą, żebym ich słyszał, chcą, żebym uciekał, przerażony. N a g a n i a j ą m n i e. Kierunek został z góry określony, pętla się zaciska.

Najstraszniejsze jest jednak to, że pędzą mnie tam, dokąd sam uciekam: na zewnątrz, ku stokom doliny, ku granicy socjaliska, poza teren zabudowany, ku autostradom obwodowym na górze.

Znowu moment trwożliwej konsternacji, jak w kościele - w tę czy w tę stronę - tu strach i tu strach - Uuuuuuuuuuuu! Uuuu! - i znowu odruch zwierzęcy: biegnę wzwyż, po zboczu porośniętym fluorescencyjnymi bękartami jodły, zostawiając za plecami jasną czteropasmówkę i betonowy labirynt cichego blokowiska.

Muszę pomagać sobie szablą; tuż przed wyjściem na plac, w połowie wysokości stoku stromizna jest tak ostra, że osuwam się dwukrotnie wraz z wilgotną ziemią. Ale nawet nie myślę o przystąpieniu dla odpoczynku: są tuż za mną, już na stoku, kilkadziesiąt, kilkanaście metrów poniżej - słyszę nie tylko te mechaniczne wycia, ale także socjerskie przekleństwa i trzask łamanych gałęzi.

Wypadam na asfalt zgięty w pół, rżąc i plując. Przede mną rozpościera się świeże gruzowisko, jeszcze niezarośnięte, betonowa ruina po zeżartym przez disasemblerzy wieżowcu - dlaczego nie dokończyły roboty? - sto metrów geometrycznego gruzu, pozostały w nim widoczne kwadraty piwnic i szkielety ścian parteru, drzwi otwarte na oścież z nocy na zimną noc, krótkie klatki schodowe prowadzące pod gwiazdy, dwadzieścia stopni i zawieszony w powietrzu podest półpiętra, przegryziony w skos ołtarz betonu - Z niego Crux spogląda z krzywym uśmiechem na świat w dole.

Siedzi na rozłupanym telewizorze, w lewej ręce ścisza włosy Azy, która spoczywa

obok w kałużę rzygowin, prawą kreśli w powietrzu heliografy.

- Uuuu!

Wchodzą za mną, nie muszę się oglądać, słyszę ich kroki i oddechy, oddech tłumu, zebrała się tu cała sfera. Na pewno są między nimi Wygrysy: lodowate światło skacze po gruzach.

Crux kończy słoneczny wzór i kiwa na mnie palcem. Wchodzę ostrożnie w ruiny. Z każdym krokiem ranię sobie stopy, tu zewsząd wystają ostre odłamki, szpice prętów zbrojeniowych, krzaki drzazg. Na betonowych stopniach pozostawiam krwawe ślady, litanie czerwonych odcisków. Cztery, sześć, osiem, on kiwa na mnie ponagląco, dwanaście, czternaście, na koniec staję przed nim na krzywym półpiętrze między ziemią i niebem.

Słyszę tylko charczenie Azy, krztuszącej się swoimi wymiocinami.

Crux opiera mocniej stopę obutą w metaliczny adidas na plecach panny i szarpie jej włosami, jak wozami krnąbrnego wierzchowca, wykręcając głowę Azy ponad kałużę.

Łańcuchy na dresie Cruxa lśnią wszystkimi odcieniami jubilerskiej tęczy.

Unosi na mnie wzrok i odzywa się w najczystszej polszczyźnie:

- Czego zatem chciał pan ode mnie, panie Ćwiecz?

Nie potrafię zrozumieć, o co mu chodzi. Przekładam szablę z ręki do ręki, ocieram wnętrze dłoni o szatę. Crux się nie uśmiecha, owo skrzywienie warg to jeszcze jedno trwałe piętno jego kalectwa. Siedzi, bo siedząc, lekko pochylony, kryje garb.

Czego ja od niego chciałem?

- Och! - wciągam głębiej zimne powietrze i przez dłuższą chwilę z wysiłkiem powstrzymuję kaszel. - Chciałem... ona chciała... Czy mógłbyś uzdrowić mojego ojca.

- Proszę mnie o uzdrowienie ojca.

- Tak. Tak. Proszę.

Aureola różowego światła zbiera się wokół głowy Cruxa, spływa mu po ramieniu i dłoni i gdy Crux prostuje palec, blask pada wprost na ostrze zygmunta, czerwień łączy się z czerwienią.

- Czyja to jest krew, panie Ćwiecz?

- Złych ludzi, herr Crux.

- Kogo raczej powinienem uzdrowić: ich czy pana ojca?

- To zbójce uliczni. Mój ojciec nie - Crux unosi palec i kineskop pod nim eksploduje z przytłumionym hukiem.

Cofam się instynktownie, stopień, dwa niżej, lecz zaraz wracam na miejsce.

Crux spogląda spode łba, z wnętrza obłoku siwego dymu.

- Twój pan, Buzdygan, któremu hołdowałeś - opowiedziała mi wszystko - on pod krzyżem i luxusem morduje ludzi, jeśli tylko stanęli mu na drodze do zysku. Przecz mi.

- Nie przeczę.

- Kim on jest, panie Ćwiecz? Czy nie on jest źli ludzie?

- Ja nie -

- Twój vater rodzony, o którego życie prosisz - o co się bił z tym młodzieńcem? Bronił może kobiety, dzieci, Matkoboskiej? Był w ogóle jakiś powód? Czy też napadł po prostu na słabszego? Zaszlachtowałby go, jak tyłu przed nim, bo mu się tak spodobało, zbój uliczny. Przecz mi.

- Nie przeczę.

- Kim on jest, panie Ćwiecz? Czy nie on jest źli ludzie?

- Och, na litość! Być może jest, to jednak -

- Ty, ty, Zygmunt Ćwiecz herbu Leliwa, pan szablowy - co zrobiłeś? Czy poszedłeś zabić Buzdygana, który zabił ci vatera? Nie. Czy wyzwaleś Buzdygana? Nie. Czy chociaż wymówiłeś Buzdyganowi? Nie. Będziesz więc nadal brał pieniądze od mordercy swego ojca. Przecz mi.

- Musisz zrozumieć, że -

- Nie przeczysz.

- To nie jest bajka rycerska, w życiu nie można tak -

- Nie przeczysz.

- Nic bym -

- Nie przeczysz.

- Nie, kurwa, nie przeczę!

Crux kiwa głową.

- Przynajmniej nie łżesz.

Aza jęczy niezrozumiale. Crux szarpie za czarne włosy, mocniej ją przydeptuje.

- A ją zostawiłeś i uciekłeś.

- Więc na dodatek tchórz.

- Tak by było lepiej. Obawiam się jednak, że zwyczajny skurwysyn.

- Jasne, do ludobójcy mi daleko.

Crux unosi twarz, spogląda w gwiazdy, gwiazdy błyskają mu w krzywych ustach.

- Dopóki trzymał ręce w górze, dopóty Żydzi zabijali; gdy zaś je opuścił, to Żydów zabijano. Był stary, szybko się męczył. Jak zwyciężyli?

- Podtrzymywali go młodzi.

- Tak. Błogosławiona rzeź. Ja się nie zmęcę, werki się nie męczą. Jutrzejszej nocy wyłoramy panów. Tego nic nie zmieni, nawet twoje ostrzeżenie. Ale nie ostrzeżesz nikogo.

Spluwam. Chciałem splunąć na niego - ślina zakreśliła w powietrzu krótki łuk i spłynęła na beton po niewidocznej błonie. Spoglądam z nienawiścią. Crux przypatruje mi się, przechyliwszy głowę.

- Zauważ, że rozmawiam z tobą.

- Filmów się naoglądałeś, gówniarzu.

- A ona będzie żyć, oczyszczam ją właśnie z wygryziny, ona ma serce, dobrze się przysłuży moim socjerom.

Spluwam ponownie.

- Ojcom rewolucji łby ukrecać w kołyskach.

- Ale ojców rewolucji osiemdziesiątego dziewiątego i ojców rewolucji nano - ich to błogosławisz, prawda? Bo kim byś był, gdyby nie oni? A teraz pora na obrót fortuny korzystny dla socjerów, na ich rewolucję.

Roześmiałbym się, gdyby nie boleśnie suche gardło.

- I jak to sobie wyobrazasz? Pójdzie bruta w całym kraju, zarzniecie robotnych i nagle z socjału spłyną na was wszelkie luksusy? Idioci. Dopiero pożałujecie, jak nie będzie u kogo lepperować! Bez ONYCH, bez nas - co zostanie z socjerów?

- Nic. Będą socjerami, jedynie dopóki istnieją jacyś panowie, od których da się wylepperować socjał. Wyprowadzę ich z tej niewoli. Zmuszę do wolności. Zmienia się tylko wtedy, gdy nie będą mieć innego wyjścia.

- Zawsze będą posiadać inne wyjście, zawsze będą posiadać werki.

- Teraz werki mają ich. Socjerzy są polskimi Murzynami nano. Widzisz to.

- Czy ty mnie usiłujesz p r z e k o n a ć? Nie przekonasz.

Crux prostuje się na tronie elektronicznego złomu, podciąga rękawy dresu, na muskularnych przedramionach ozywają werktuaże. Szarpie za włosy Azy. Aza jęczy. On siedzi rozparty szeroko, z kolanami i łokciami podanymi na zewnątrz, kończyny ma jednak nieproporcjonalnie długie.

- Powiedziała mi wszystko. Gdzie pracujesz, czym się tam zajmujecie. Za dwa dni na Polskę spadnie największy krach. Trzeba mi menadżerów kryzysu najlepszych z najlepszych, by obrócili go na moją, na naszą korzyść. Pracowałeś dla Buzdygana, ale Buzdygana załoramy pierwszego; będziesz pracował dla mnie, Czerm będzie pracował dla mnie. Widzisz więc, dlaczego z tobą rozmawiam, dlaczego jesteś mi potrzebny, panie Cwicz.

- Prędej się -

- Ale nie za darmo przecież! Zapomniałeś, po co przyszedłeś? Vater wstanie z łoża. - Crux zaczyna kreślić w powietrzu lśniący helioglif. - Taki - taką transakcję jestem gotów zawrzeć. Hołduj mi tylko.

- Co?

- Czy nie myślisz o sobie jako o człowieku honoru? Znam was. Szable, pierścienie, herby, wielkie słowa. Przysięgnij mi. - W powietrzu krzepnie obraz krucyfiks. - Przysięgnij na krzyż święty. Będę łaskawszym panem niż Buzdygan.

- Łoraj sie.

- Ani na vatera nie zważysz?

- Pradź!

- Ale dlaczego nie, panie Ćwiecz?

Szukam odpowiedniego słowa i nie mogę znaleźć. Wiem jedynie, że jakkolwiek hołd przed tym socjerskim pokurczem jest nie do pomyslenia - i, tym bardziej, nie do opowiedzenia jest to obrzydzenie, wstręt zgoła fizyczny, alergia do wszystkiego, co on reprezentuje. Jak wytłumaczyć odmowę, gdy na porcelanowym talerzu podsuwają nam do spożycia parujące gówno? Można jeno kląć.

Więc na koniec tylko wypluwam z nieskończoną pogardą:

- A spójrz ty na siebie!

Crux szczerzy w krzywym uśmiechu ostre diamenty. Ale znowu się pomyliłem, to nie jest uśmiech. Puszcza włosy Azy, głowa panny uderza o beton. Nad Cruxem skreca się wir gęstej aureoli, ciemna kondensacja - aż ozon pali język i podniebienie. Nawet nie unoszę szabli, tylko cofam się, o stopień, drugi, czwarty, Cruxa mam już na wysokości oczu, ogień świętego Elma skaczą mu po dresie i łańcuchach, we wnętrznościach telewizora budzą się czerwone puls, Crux nachyla się ku mnie na swoim siedzisku, unosi ręce nad głowę -

- Łorać urwie pana!

Od jego dzikiego ryku niemal pękają mi bębenki; ogłuszony, spadam ze schodów w gruz, tłukąc się boleśnie. Ryk, grzmot, wichura - uderzyła mnie niewidzialna pięść Cruxa i zostałem powalony.

Podrywam się czym prędzej, wznoszę klingę w instynktownej zastawie.

Oni idą na mnie, tłum socjerski, mołojcy blokowisk i Wygrysy werklazowane, z nożami, bejsbolami, krakulcami i werkosami w łapach, w pomruku chłopskiego gniewu, ze złośliwymi grymasami na twarzach, tłuszczem ciemnym, spuszczone ze smyczy mięśniaki i dragmani, sól i łajno tej ziemi, krew z krwi, kość z kości i beton z betonu - łorać! łorać! łorać!

Crux nade mną z uniesionymi rękoma, aurora mortifera coraz jaśniejsza.

Spluwam raz jeszcze. Poprawiam szatę i ryngraf, kręcę szablą młynka, może się który wystraszy, odstąpi - nie, żaden, w kupie są nieulekli. Jednego, dwóch, trzech pewnie zdejmę, sięgnę ostrzem. Ale cóż teraz po najzręczniejszej szermierce i stali szlachetnej, cóż po szkołach wysokich i technologiach subtelnych?

Skopią, zarąbią, zatłuką, zajebią na śmierć.

- Łorać pana!

A i ręka z szablicą już ociężała, nie chce się wznieść do ciosu, noga nie chce postąpić naprzód - i nie wiem, co właściwie mnie paraliżuje, strach czy Crux, obaj. A nawet gdybym -

- Łorrać pana!

Jest ich zbyt wielu, miliony, miliony.

Exodos

byś wczuł się w to miejsce poczuł mistyczny
sprawdź to ja reprezentuję moich ludzi
a oni reprezentują mnie
obskurne czasy skazani na piekło na ziemi tego jestem pewien
bo ciągle klepią biedę
samoobrona w kieszeni na zawsze na bicie
niosą mnie dzieciaki pogrążone w gniewie
dalej stale walę swoją prostą przed siebie
robię to i tylko ode mnie zależy jak ja to na kartce uchwyć
moje ukochane brudne ulice
obnażone tak że aż dreszcze są i tchu brak

lipiec - grudzień 2003

W opowiadaniu wykorzystano fragmenty: wiersza Konstandinosa Kawafisa Zstąpienie bogów w tłumaczeniu Zygmunta Kubiaka; Polskiego Kodeksu Honorowego Władysława Bożewicza; Pieśni XVI Jana Kochanowskiego; pracy K. Erica Drexlera Engines of Creation; piosenki Peji Głucha noc.

SERCE MROKU

Najlepiej czytać przy muzyce zespołu Rammstein

Przewracając pożółkłe stronice
głodny lampart w twoich oczach
i zapach napalmu o poranku

I

Dotknąwszy stopą jej powierzchni, zgiąłem się wpół i zacząłem wymiotować. Z dysz wahadłowca szedł biały dym. Paale zatoczył się i upadł obok mnie. - Ale cuchnie! - jęknął. - To aż boli. Powinienem być siłą wydrzeć mu te filtry! - Prędzej czy później będziecie musieli się przyzwyczaić - rzekł z wysokości schodków pierwszy pilot. Nałożył noktokulary i zapalił papierosa. Może to pomaga, pomyślałem. Dym papierosowy. Lecz sam nie wierzyłem. Smród był tak okropny, że w ciągu kilkadziesiąt sekund istotnie zaczęła boleć mnie głowa. Otarłszy usta, pomogłem wstać Jürgenowi. Z lewej dochodził warkot samochodu, z każdą chwilą wyraźniejszy. Obejrzałem się: szare cienie pośród cieni czarnych. Najdalej wzrok sięgał akurat do stygnących dyszy; na Klinie nie da się wylądować, polegając jedynie na napowietrznym ślizgu, trzeba manewrować aktywnie, wszak między innymi z tego powodu wybrano Klin na bazę, to kryjówka śródgórska dostępna jedynie po stromej paraboli. Sięgnąłem do kieszeni kurtki, rozerwałem firmowe opakowanie i nałożyłem nowiutkie noktokulary Zeissa. Popielaty monochrom uderzył mnie w źrenice. Mężczyzna w toczącym się ku nam FTM-ie machał ręką. Poznałem: to von Miltze, tylko że z brodą. W oddali, za jego plecami, majaczyły blaszane baraki. Dżungla zaczynała się tuż za nimi - brudnymi falami dzikiej roślinności wspinała się po zboczach otaczających nas gór, wyżej i wyżej, ku wiecznej półciemności nieba Mroku.

Von Miltze zatrzymał się, uchylił drzwiczki. Bez słowa zajęliśmy miejsca. Zawrócił - po czym nadepnął gaz, aż wcisnęło nas w fotele. Za naszymi plecami - widziałem to w ciemnych odbiciach lusterek wstecznych - wahadłowiec zaczynał manewrować do ciasnego skrzyżowania na końcu pasa. Von Miltze zanucił pod nosem, uderzył nasadą dłoni w kierownicę i nagłym wyrzutem lewej ręki włączył radio. Radiostacja Klinu nadawała ciężki tot frankfurcki, Wagner zaklęty w zgrzytach elektrycznych gitar i rozsampłowanym głębokim basie bębnow.

Jechaliśmy przez monochromatyczny półmrok, nie używano tu reflektorów, zanadto by oślepiały oczy za noktokularnymi szklami, a te nosili wszyscy. Zapytałem von Miltzego o windy. Wskazał przed siebie, za siebie, na boki. Wahadłowiec właśnie toczy się na Mamuta, rzekł, podnosząc głos ponad muzykę. Te windy, widziałem to na trójwymiarowych planach Klina, przestrzeliwały masyw skalny szybami o długości ponad kilometra. Baza właściwa mieściła się tak głęboko pod powierzchnią gruntu Mroku dla zabezpieczenia przed atakiem

jądrowym. Rosjanie, Japończycy i Amerykanie umieścili swoje centra w podobnych katakumbach. Uniosłem twarz ku ciemnemu niebu, wiatr - nareszcie ruch powietrza! - chlasnął mnie po twarzy brudną ścierką. Tam, ponad brunatno-szarym bagnem chmur, niewidoczne, krążyły po wciąż zmienianych orbitach wyrzutnie rakiet, nasze i ich; naszych cztery lub pięć, jak głosi plotka, bo to, rzecz jasna, tajemnica państwowa i nikt nie wie nic pewnego. Chodzą również plotki o platformach z działami laserowymi i mikroorbitalach z pojemnikami wypełnionymi śmiertelnie zjadliwymi bakteriami, nacelowanymi genetycznie zarówno na nas, jak i na biosferę Mroku. Wyżej, po wyciągniętych, elipsoidalnych krzywych, okrążają planetę cztery statki: „Adolf Hitler”, „Hermann Göring”, „Władza Ludu” i „Wschód”. Półtora roku świetlnego stąd amerykański „George Washington” mija się właśnie w drodze powrotnej na Ziemię ze swym bliźniaczym „Franklinem D. Rooseveltem”; „Roosevelta” ściga japoński „Orukina”, kolejne pięć lat świetlnych za nim sunie gigantyczny „Josif Wissarionowicz Stalin” ze stu osiemdziesięcioma tysiącami anabiozerów, a w każdym z nich cholerny komunista. Nieco szybciej od statków mkną zaś ku nam na elektromagnetycznej fali informacje i rozkazy z Ziemi. Chociażby: co zrobić z tym „Stalinem”? Zestrzelić, zanim wejdzie na stacjonarną? Wojna by z tego była jak nic. Szlag, i tak jest wojna. Ten cały wyścig na Mrok nie ma najmniejszego sensu, Rzesza nic tu nie może zyskać, jedynie spada przezeń w coraz głębsze otchłanie deficytu budżetowego. Ale to polityka, nie tu po logice; daliśmy się złapać w klincz wzajemnej ideologicznej propagandy, teraz już wycofanie się z Mroku jest nie do pomyślenia dla żadnego z mocarstw. Kosmos pochłania miliard za miliardem. Gdyby nie chmury (Mein Gott, gdyby nie chmury...!), dojrzałbym światelko „Göringa”, przesuujące się wolno między obcymi gwiazdami. Przebyłem w tym światelku zimną nieskończoność, światelko wyrwało mi z życiorysu kawał historii, lata całe nawet według zrelatywizowanego zegara podróznego: informacja o przeszłości wyprzedziła mnie i gdy obudzono nas w końcowej fazie hamowania, byłem do tyłu o ładnych kilka rewolucji politycznych; dotąd zdarzają mi się wpadki. Wyobrażam sobie, jaką reedukację będą musieli przejść po przecknięciu się ci czerwoni pionierzy ze „Stalina”, istne pranie mózgow, wszak miesiąc po ich zaśnieciu pucz NKWD zmiotł z Kremla Gruzłowa i jego ekipę, przez próżnię płyną już z pewnością nowe podręczniki historii ZSRR. To światelko, którego nie widzę, „Hermann Göring”... Chciałem się mu przyjrzeć z zewnątrz z wahadłowca, ale oczywiście nic z tego nie wyszło, znam tylko zifferrechenmaschinowe symulacje, makiety w małej skali, zdjęcia z orbity Ziemi. Nikomu nie mówiłem: on jest piękny. Estetyka półkilometrowej konstrukcji z metali i tworzyw sztucznych i diabli wiedzą czego jeszcze - zauroczyła mnie od pierwszego spojrzenia. Statki posiadają dusze kobiet,

także te kosmiczne, także te pozaatmosferyczne, nieprzeznaczone do lądowań na powierzchni planet, o kształtach niewyprofilowanych aerodynamiką do obłych strzał, stożków, deltoid, ich sylwetki nie ogranicza żadne prawo gazów, „Göring” najlepszym przykładem, kosmiczna katedra Gaudiego, tak, tak, właśnie tak mi się kojarzy, gdyby Gaudi projektował statki kosmiczne, wyszłoby spod jego ręki coś podobnego: kwiat czarnych metali, ażurowa strzelistość pseudogotyku, ciężkie a lekkie, a nieważkie, miliony ton masy spoczynkowej, choć gdy patrzysz z dala, widzisz tylko anielskie skrzydła, złożone i rozłożone, kręgosłupy wymarłych lewiatanów, łukowate żebra, asymetryczny wir czaszy odrzutowej, krzywą kadzielnicę anihilacyjnego ognia; statki posiadają dusze kobiet, nic dziwnego, że o okrętach mówi się „one”.

Windy. Wjeżdżaliśmy właśnie do tego blaszanego baraku, gdy kilkadziesiąt metrów dalej zapadła się ziemia i wychynał z prostokątnej mogiły czarny Wiesel z krzyżami Luftwaffe na aporcyjnych statecznikach i skrzydłach. Wiesel należał do serii produkowanej przez Messerschmitta na specjalne zamówienie AstroKorps, wskazywał na to wyjściowy kształt skrzydeł o zmiennej geometrii oraz wybruszenia dodatkowych zbiorników paliwa. Nim opadły za wozem wrota baraku, ujrzałem, jak w myśliwcu obracają się turbiny, buchnął spodeń brudny wiatr, wiry cienia, na ich krzywych słupach maszyna podniosła się chybotliwie na pięć, osiem, dziesięć metrów, wówczas pilot odpalił główne silniki i Wiesel, uderzony stożkiem obrzydliwie białego ognia, runął w gruboziarnisty monochrom wiecznie zachmurzonego nieba Mroku, w ciasnym zakręcie tnąc przestrzeń nad opadającym już na platformie megawindy wahadłowcem, z wahadłowca jedynie szary statecznik wystawał nad ziemię. Ale wrota baraku zatrzasnęły się i my również zaczęliśmy opadać. Zapaliły się lampy umieszczone dookoła na krawędzi podłogi windy, bluznęło wysokimi cieniami na uciekające wzwyż ściany. Von Miltze zgasił silnik, wysiadł, przeciągnął się, klapnął na ziemię przy tylnej oponie, wyjął papierosa, zapalił. Usiadłem obok. Zdjęliśmy noktokulary. Jürgen majstrował coś przy radiu, bo zeszło z fali. Von Miltze poczęstował mnie harvarem. Tu też śmierdziało, ale już nie tak, jak na powierzchni. Zacząłem coś mówić o tym odorze, mówiłem przez dłoń przyłożoną wraz z papierosem do warg, cicho i niewyraźnie; von Miltze kiwał głową ze zrozumieniem. To jedna wielka kupa nawozu, odezwał się. Akcelerator biologiczny. Widziałeś zdjęcia Ognia Piekielnych?, pytał retorycznie. Widziałem, widziałem. Samozapłon metanowych gejzerów - wyziewów dżungli, które wypływają spod powierzchni bioblota wielkimi bąblami - rozświetla wieczną noc planety długimi sztandarami brązowego ognia. Niczym pochodnie na gazach oceanicznych platform. Ocean dżungli Mroku jest miejscami smolście czarny, jego flora nie może sobie w fotosyntezie pozwolić na stratę choć kwantu

energii. Siedzimy tu już drugą dekadę, mamrotał von Miltze, a nadal odkrywają nowe gatunki, i to jakie! - chociażby te stratopajaki, żeglujące od wulkanu do wulkanu; a po lasach jeszcze gorzej. Po lasach zawsze gorzej, tam żółte oczy w gorącej ciemności. Już niewielu U-menschów zostało w Krypcie. Na „Göringu” też przyleciało ich ledwo z setkę; i na ile to ma starczyć, na pięć lat? Wolne żarty. Może powinniśmy założyć tu własną hodowlę. Hydroponika niskich poziomów Klina daje przecież coraz większe nadwyżki ziemskiego białka. Ale samic mało. Zresztą Fulke - znasz go, to ten sztywniak z SA - Fulke nie wyrazi zgody, jego podpis to świętość, doprowadził sztukę egzegezy oficjalnych komunikatów do prawdziwego mistrzostwa. Pojmujesz: on musi postępować podług wytycznych, które pozna dopiero po latach, przewiduje dziesięć kroków do przodu, to polityczny jasnowidz; jakiegokolwiek herezji publicznie by nie wygłosił, przytakuj mu i nie pytaj, on jest Strażnikiem Słowa, on niesie Płomień.

Winda stanęła, rozsunęły się wrota. Łysy wąsacz w kombinezonie mechanika obejrzał się na nas przez ramię, szczając do przerdzewiałego wiadra, odgłos przypominał prucie blachy. Podsufitowe halogeny hali zapalały się i gasły w przypadkowych kombinacjach. Jürgen zadarł głowę. - Odszajba Siegfrieda - wyjaśnił von Miltze. Siegfried to główna administracyjna zifferrechenmaschine Klina, model jeszcze sprzed dwóch generacji, ale jakoś dotąd nie zamontowano nowej maszyny, choć części spadły z „Göringa” już blisko tydzień temu. Para przysłanych razem z nimi specjalistów zdążyła tylko rozgrzebać do reszty oprogramowanie Siegfrieda. Problem polegał na tym, że nie mogło być mowy o żadnym przestoju w pracy elektrogehirnu, przejście powinno nastąpić całkowicie płynnie. Tymczasem okazało się, iż przez te wszystkie lata całkowitego odosobnienia Siegfried wyewoluował tu w swych quasi-sieciowych strukturach do jakiejś przedziwnej, niekompatybilnej z niczym formy. - Świrus, świrus - mamrotał von Miltze, maszerując ku drzwiom, nad którymi paliła się czerwona żarówka. Śluza. Oczekiwałem zmiany w powietrzu, ale jeśli jakaś zaszła, to na gorsze: do smrodu doszedł zaduch. Jaskrawe oświetlenie wciskało cienie pod krawędzie plastikowych płyt pokrywających ściany korytarza. Von Miltze zatrzymał się i zaczął tłumaczyć Jürgenowi, jak ma trafić do swego pokoju - bo nie mógł go tam osobiście odprowadzić, miał polecenie dostarczyć mnie prosto pod drzwi Mundiego. Mundi czeka. Jürgen znał rozkład pomieszczeń w Klinie z trójwymiarowych map, którymi dysponowaliśmy na „Göringu”, każdy przechodził przeszkolenie z architektury bazy oraz geografii planety, żeby się nieustannie nie gubić na Mroku w pierwszych dniach po przylocie - ale co innego symulacja, co innego betonowy labirynt dookoła ciebie: Jürgen rozglądał się po korytarzach, gapił na piktogramy piętra i sektoru, kręcił głową... Zostawiliśmy go tak, z kartką papieru z

nabazgranymi wskazówkami w jednej ręce i kieszonkowym e-notizbuchem w drugiej.

- Powiedział „natychmiast”, no to „natychmiast” - mrucał von Miltze, ciągnąc mnie niekończącymi się korytarzami, windami i schodniami. Mijaliśmy mniej ludzi, niż się spodziewałem, wyobrażałem sobie tłok i tłumy wypełniające Klin, bardzo głupio - w sumie spotkaliśmy ze dwa tuziny osób. Wszystkie obrzucały mnie taksującym spojrzeniem, bezbłędnie rozpoznając nowego zesłańca z „Göringa”.

W końcu drzwi. Krzywo nalepiona plakietka: *Wandelsternführer Octavio Mundi*. Cóż za tytuł...! Von Miltze zapukał, wetknął do środka głowę, mruknął coś w brodę, przepchnął mnie przez próg, machnął ręką, mrugnął, uśmiechnął się melancholijnie - a wykonawszy to wszystko, zatrzasnął drzwi.

Były to chyba pomieszczenia prywatne wandelsternführera, jego Klinowe mieszkanie, dosyć obszerne, wszak skały tu mieli do przewiercenia pod dostatkim. Salon musiał liczyć ze sto metrów kwadratowych, podzielony był na trzy poziomy, na najwyższym stał fortepian, na którego klawiszach siedział czarny kot. Kot obrzucił mnie zimnym spojrzeniem i wrócił do lizania łapek. Na jednej z kanap leżały poplamione czymś spodnie, a na stoliku na środkowym poziomie, pomiędzy popielniczkami przepelnionymi niedopalkami, białe damskie majtki. W powietrzu, z którego odorem daremnie walczyła klimatyzacja, wisiał jeszcze zapach tytoniu i nieczystego alkoholu. Nawet umieszczony na ścianie naprzeciwko wejścia portret Hitlera był nieco przekrzywiony.

Z lewej doszedł mnie szum wody. Nadstawiłem uszu. Ktoś chyba śpiewał pod prysznicem. Zdołałem nawet rozpoznać po wywrzaskiwanych męskim głosem końcówkach słów przebój sprzed dekady i już miałem ruszyć ku źródłu lirycznych eksklamacji, gdy śpiewak mnie uprzedził: zakręcił wodę i zamilkł. Zaraz sam pojawił się w salonie, zastając mnie niezdecydowanego i zmieszanego pośrodku pomieszczenia, nad owym ołtarzem nieświeżej bielizny.

Łażł, kłapiąc mokrymi stopami i drapiąc się po włochatym tyłku. Z czarnej czupryny ciekła woda. Kłął pod nosem. Spostrzegłszy mnie, uniósł brwi.

- Aa, z „Göringa” - mruknął. - Kto?

- Kapitan Erde - przedstawiłem się.

- Aa, rzeczywiście.

Wyminął mnie, wierząc palcem w ucho, i zniknął w drzwiach przeciwległych do drzwi prowadzących ku łazience. W krótkim czasie jego nieobecności zdołałem wreszcie podjąć decyzję i usiadłem w najbliższym fotelu. Byłem w standardowym kombinezonie Astro-Korps i zdawałem sobie sprawę, iż w kontraście do gołego Octavio Mundiego sprawiać muszę

niemile służbiste wrażenie, zwłaszcza na tle dookólnego pobojowiska. Niemniej nie zdobyłem się już na założenie nogi na nogę. Przeskok był zbyt nagły: jeszcze godzinę temu - „Göring”; teraz - wojskowy burdel. Różne chodziły o Mroku plotki, lecz żadne nie dorównywały rzeczywistości. Mój Boże, a myśmy na statku rozważali na serio problem salutowania do próżniowych hełmów...! „Rozprężenie dyscypliny”, dobre sobie, eufemizm godny biura prasowego kanclerza Rzeszy.

Wandelsternführer wrócił, nadal rozkosznie golutki, lecz już uczesany, z wielkim białym ręcznikiem z czarnym hakenkreuzem na ramionach, z cygarem między żółtymi zębami. Przysunął sobie fotel i usiadł naprzeciwko. Nie zapalił cygara; gryzł je tylko, uśmiechając się do mnie z odwinętymi wargami. Wyglądał na pięćdziesiąt lat - tak naprawdę miał czterdzieści trzy. Dostał tę posadę z uwagi na naciski nieniemieckiego lobby: jego ojciec był Włochem.

- A więc, kapitanie Erde.

- Tak, wandelsternführer?

- Jak tam nasza stara, dobra Rzesza? Trzyma się?

- Nigdy nie miała się lepiej, wandelsternführer.

Pokiwał głową.

- Też tak myślałem. Nigdy nie miała się lepiej. Otóż to. - Krążył spojrzeniem gdzieś po ścianie. - A jak pierwsze wrażenia?

- Cóż, to na pewno dla każdego jest wstrząs -

- Burdel, nie placówka wojskowa, prawda? - przerwał mi Mundi.

- Ależ -

- Aha. Aha. - Kiwał głową i gapił się na ścianę. - Wie pan, ile spędzi tu lat? - spytał nagle.

- Harmonogramy rotacji wciąż są dopasowywane do planów księżycowej stoczni, a w każdym razie nie dogoniła nas informacja -

- „Adolf Hitler” miał odpalić już sześć lat temu, ze stu siedemdziesięcioma osobami na pokładzie. Do tej pory nie dostaliśmy wymaganego potwierdzenia. Nikt z nas nie wróci nigdy na Ziemię.

- Jankesi swojego „George'a Washingtona” -

- Ze szkieletową, na autopilocie. - Przeniósł wzrok ze ściany na mnie. - A czemu „Stalin” ciągnie tu zapchany po burty czerwonym mięchem? To nawet nie jest kolonizacja - to ratunkowa infekcja wirusowa w ucieczce przed śmiercią pierwotnego nosiciela. Teraz będą mieli argument: nawet całkowite zgładzenie życia na Ziemi nie zniszczy naszego narodu!

Pojmuje pan, kapitanie? Pojmuje pan, dlaczego nie posyłają nam więcej Untermenschów i zakazali ich hodowli? Włączyli do swych kalkulacji pośmiertne zwycięstwo ideologii. Teraz opłaca im się nawet kollaps Ziemi.

- Wandelsternführer, ja nie mogę -

- A wie pan, co mówi Fulke? - zaśmiał się ni z tego, ni z owego. - Że musimy postępować tak, jakby nadawcy tych rozkazów już nie istnieli. Był tu cmentarz, początkowo chowaliśmy naszych zmarłych, ale gdy liczba grobów przekroczyła dwadzieścia, kazałem ich wykopać i skremować; odtąd kremujemy wszystkich.

- Ja nie rozumiem, po co mi pan to -

- Mój drogi kapitanie, ja kreślę panu tło. Poleci pan do Piekła. Poleci pan do Piekła i porwie lub zabije Diabła, he he he. Wyruszy pan o jutrzejszym świcie.

- Co...?

- Wie pan, co to jest Piekło?

- Tak, ta nizina dorzecza Thora i -

- I wie pan, kogo zwał tu Diabłem?

- Nie.

- No tak. Opowiem panu pewną historię.

Tu jednak zamilkł i znowu oddał się kontemplacji ściany. Trwałem w bezruchu. *Poleci pan do Piekła i porwie lub zabije Diabła.* I ten jego śmiech. I te jego paranoiczne wywody: *ratunkowa infekcja wirusowa w ucieczce przed śmiercią pierwotnego nosiciela.* Czyżby Klin był w całości opanowany przez zdrajców? Ale przecież nawet na „Göringu” nie ma nikogo wyższego rangą i pełnomocnictwami od Octavio Mundiego, on tu wódz, jemu winienem posłuszeństwo i lojalność. Czy mam zatem udawać, że to normalne? Milczeć? Albo i przytakiwać?

- A może i nie - zdecydował, przeniósłszy nagle spojrzenie na mą twarz. - Obejdzie się. Wystarczy krótkie wprowadzenie. Pan zdaje sobie sprawę ze strategicznego znaczenia Piekła, prawda? Granice wpływów poszczególnych państw wciąż są na Mroku płynne, trudno tu o jakiegokolwiek wiążące ustalenia, zwłaszcza że ci na Ziemi uparcie odmawiają ratyfikowania jakichkolwiek traktatów. Gdybyśmy sami się jakoś nie dogadywali, dawno by już poszły w ruch te lasery i wodorówki, które pozawieszaliśmy sobie nad głowami. Oczywiście element zastraszenia odgrywa pewną rolę: aktualny stosunek sił nieuchronnie odbija się na tych negocjacjach. I nie wątpię, że nadal niewiele trzeba, żeby to wszystko trzasnęło... Przede wszystkim bowiem nikt tu nikomu nie ufa; jedno, czego możemy być pewni, to swej wzajemnej przeniewierności. Wie pan, że na przykład dowódcą Amerykanów

jest Żyd? Taak. A Piekło stanowi obszar, do którego wszyscy roszczą sobie pretensje; zbiegają się tam granice trzech stref, a i żółtki mają do niego dojście przez morze. Jest to dzicz absolutna. Penetracja z powietrza nic nie daje, zresztą tam prawie nie ma gdzie wylądować; skany orbitalne też niewiele pokazują. Staliśmy piesze ekspedycje. Duże straty. Stopniowo w całości przerzuciliśmy się na U-menschów. Ale i ich przecież nie mamy za wielu. Tymczasem rozpętała się ta afera z Kretowiskiem Ikisawy, Durchmann znalazł te malunki... No, to pan jeszcze usłyszysz w szczegółach od doktora Gaspa. W każdym razie w Piekło siedzi teraz Leszczyński i śle przez radio te swoje szalone manifesty, cała planeta go słucha. Raz, że mamy przez niego potworne kłopoty natury, mhm, politycznej; dwa, że ludzie Gaspa ozłociliby mnie za wyciągnięcie z Diabła choćby połowy tego, co wie.

- Diabeł to ten Leszczyński?

- No tak; nikt już nie posługuje się jego numerem. Nie mieliśmy zresztą pojęcia, że cholerny U-mensch posiada w ogóle jakieś nazwisko, sądziliśmy, że pochodzi z tych skandynawskich farm hodowlanych; ale to przysposobienie capnięty w ostatniej fazie. Tytułuje się hrabią! Mein Gott, kim on się nie tytułuje! Przesłucha pan sobie w drodze nagrania jego audycji, to wyrobi sobie zdanie. Nie mamy tu zwierzęcego psychologa, więc trudno coś prawomocnie wnioskować, ale mało kto zaprzeczy, że odjechało mu nielekko.

Pozwoliłem sobie na okazanie pewnej dezorientacji i wahania: podrapałem się w szczękę, wydałem policzek.

- Porwać lub zabić, mhm?

Zadzwonił telefon. Mundi z westchnieniem podniósł się i poczłapał do antycznego aparatu. Z dłonią na słuchawce ledwo uniesionej nad widelki obejrzał się na mnie ponad barkiem przykrytym białym rękawikiem.

- Usunięcie go stamtąd też jest ważne, ale on naprawdę wszedł w posiadanie pewnych, że tak powiem, tajemnic. Z drugiej strony... Ale niech pan lepiej porozmawia z doktorem Gaspem, kapitanie.

Też już stałem - najwyraźniej był to koniec audiencji.

- Jeszcze tylko jedno, wandelsternführer. Dlaczego ja?

- Pan zna polski, kapitanie. Poza tym to była droga eliminacji, a nie specjalne zamówienie, niech pan sobie nie pochlebia; któraś strona monety zawsze musi być na dole i nie ma dla niej żadnego „dlaczego”. Życzę powodzenia.

- Heitla!

Zanim wyszedłem, usłyszałem jeszcze krótką wymianę zdań Mundiego z programem łącznościowym, po czym wandelsternführer przeszedł na rosyjski. Czy on ma tu założoną

bezpośrednią z Podcerkwią? Najwidoczniej. Warczał do słuchawki w złości i irytacji. Drzwi zamknęły się.

Dokąd teraz? Ani myślałem błąkać się tu jak Jürgen. Gdzie w ogóle znajduje się moja kwatery? Trzeba zasięgnąć informacji od Siegfrieda. Terminale powinny się znajdować na każdym skrzyżowaniu. Na najbliższym jednak ich nie było. Złapałem za ramię przechodzącego młodzieńca w lotniczej kurtce z przyśniedziałymi srebrnymi emblematami AstroKorps. W odpowiedzi na zapytanie machnął ręką w lewy korytarz i mruknął coś o barze. Po dwóch krokach przystanął i obejrzał się. - Z „Göringa”? Gdzie dziewczyny? - He? - Z jego dalszych słów wywnioskowałem, iż oni tu już od dawna ostrzyli sobie zęby w oczekiwaniu na nasz przylot, znali bowiem listę załogi „Göringa”, na której to liście co trzecie nazwisko należało do kobiety - podczas gdy dotychczasowa proporcja płci wśród mieszkańców Klinu wynosiła sześć do jednego na niekorzyść kobiet. - Na naszą niekorzyść! - parsknął lotnik, zapalając papierosa. - Kiedy wreszcie je wysadzicie? - Dopiero co zaparkowaliśmy na geostacjonarnej...

Terminale w barze wbudowane były w ladę szynkwasu. Metalowo-plastikowa automatyczna bogini Kali serwowała zza niego bezalkoholowe trunki; prócz mnie jedynym klientem był starszy facet w przetartym na łokciach swetrze, podrzemujący nad jakąś kieszonkową powieścią i szklanką gęstego soku brunatnej barwy. Wsunąłem kartę, terminal rozpoznał użytkownika. Błysnęła ikona poczty. Rozwinąłem. Doktor Gasp prosi o jak najszybsze stawienie się w 125A4XII. A gdzież to jest? Wywołałem mapę. Moją kwatery od gabinetu doktora Gaspa dzieliły dwa piętra i siedem zakrętów - a od tego baru... Zgubiłem się, wodząc palcem po ekranie. Nic dziwnego, że to taki labirynt - rozbudowywali kompleks Klina sukcesywnie, latami całymi, ryjąc diamentoszczękami kombajnami kolejne tunele i kawerny.

Facet w swetrze pierdnął przez sen i podrapał się po obojczyku. Ośmioreki barman skrzypiał, sunąc wzdłuż szynkwasu, zamaszystymi wymachami pozornie wątłych kończyn polerując ladę. Czyja to zabawka, ciekawym; jakiś żart inżynierów. Zarządziwszy wydruk pełnego planu Klina, wybrałem z podświetlonego menu sok z czarnej porzeczki. Maszyna odliczyła dwieście dwadzieścia marek. Nic darmo, nawet dla zdobywców kosmosu. Sok zresztą miał w sobie z czarnej porzeczki jeno barwę. Zebrałem wydruk i ruszyłem ku windom.

Część korytarzy pogrążona była w półmroku. Kilkakrotnie wdepnąłem w dostrzeżone poniewczasie kałuże smarów, od których potem lepiły mi się do podłogi podeszwy butów. W poukrywanych gdzieś pod sufitem głośnikach dwakroć zahaczało, dźwięk przeszedł w wysoki

pisk sprzężenia. Na wewnętrznej stronie drzwi windy ktoś wydrapał karykaturę kanclerza Hödla, rzucały się w oczy zwłaszcza obwisłe uszy.

Wszystko to razem przywodziło na myśl raczej podziemny lager w fazie likwidacji aniżeli obcoplanetarną bazę Trzeciej Rzeszy. Nie tak, nie tak ją sobie wyobrażałem. Odpędzałem od siebie gorzkie myśli, nastrój jednak nieuchronnie pogarszał się z każdą minutą. Na dodatek zimny strach skręcał żołądek na wspomnienie słów Mundiego. Jutro rano! Do Piekła! Porwać lub zabić! Sok burzył mi się w jelitach, bezsmakowa ciecz sekretnego pochodzenia wracała teraz do gardła falami goryczy. A jeśli to prawda? Jeśli rzeczywiście - do śmierci...? Mrok. Bez powrotu. W tej windzie, prócz własnego odoru planety, unosiła się woń amoniaku. Oparłem się plecami o zimną ścianę, przeszedł po mnie dreszcz, zdałem sobie sprawę z wilgoci pod kombinezonem. Wytarłem grzbietem dłoni czoło: zimny pot. Zawarczałem przez zęby bezsilne przekleństwo. Jedno jest życie i tylko raz można je przegrać.

Gasp dyktował właśnie swej zifferrechenmaschine poprawki do jakiejś statystyki. Spojrzał na mnie sennie ponad okularami. Okutany był w ciemny, kraciasty koc, ściśle niczym egipska mumia. Tylko ręce i głowę miał wolne, a na głowie słuchawki, a w rękach: lewej - jakieś papiery; prawej - wielką chustę. Co chwila wydmuchiwał w nią nos. Wymieniwszy uprzejmości, wszedłem i usiadłem na jedynym pustym krześle, bowiem na pozostałych - oraz na stole, na podłodze, na półkach i, na ile mogłem to dojrzeć przez uchylone drzwi, w sąsiednim pomieszczeniu - leżały mniejsze i większe, zamknięte i otwarte, szare, plastikowe pojemniki, zawierające okazy flory i fauny Mroku, zatopione w krystalicznie przejrzystych bryłach twardej materii, zamrożone, zsekcjonowane, rozpięte na skomplikowanych stelażach, pokrojone w cienkie, niemal dwuwymiarowe preparaty, a także żywe - żywymi w każdym razie były te dwa czarne jak węgiel zwierzątka wielkości i kształtu chomików, drapiące powolnymi ruchami sześciu łapek w pręty włożonej w pojemnik klatki.

Gasp kichnął, zsunął słuchawki (jakaś opera), wydał zifferrechenmaschine komendę zamknięcia aplikacji, kichnął raz jeszcze, po czym sapnął: - Gasp.

Zrozumiałem, że się przedstawił.

- Erde.

- Ech. Uch.

- Co to jest? U1?

- Bóg jeden wie. Ponoć zsyła dziwne sny.

Skórzasty, brązowy wór zwisający z sufitu w rogu pomieszczenia nad głową doktora bezustannie drżał, jego powierzchnia delikatnie falowała, dochodziło zeń niskie buczenie, na

samej granicy słyszalności, człowiek mimowolnie przechylał głowę ku ramieniu. Do sufitu wór przymocowany został kilkunastoma mackami, których przylepy rozlały się po plastiku płyt owalnymi platfusami. W istocie przypominał organiczny ul, gniazdo wściekłych szerszeni bezskutecznie szukających drogi wyjścia, otworu w skórze.

- Więc pan spróbuje odłowić Leszczyńskiego... No tak. Kiedy?

- Jutro.

- Aha.

Zmroziło mnie to „spróbuje”. Chrząknąłem.

- Wandelsternführer Mundi sugerował, że ma mi pan do -

- Tak, tak. - Gasp zamachał chusteczką, jakby usiłował ją wytrzeć. - A co pan wie?

- Nic. - Wykonałem ręką z wydrukiem planu Klina ruch, który miał być gestem irytacji i pogardy, a okazał się, zwiędły w połowie, manifestacją mej dezorientacji. - Ja w ogóle... Ten Diabeł... Co to... Przecież...

- Aha.

Opuściłem rękę, odwróciłem wzrok.

- Ma pan może coś mocniejszego na splukanie tego smrodu, doktorze?

- Jakiego smrodu? A! Tam, proszę.

Nalałem i jemu. Samogon jakiś - ale przynajmniej wypalił flegmę w gardle. Gasp dla wychylenia szklaneczki podciągnął się na kozetce do pozycji półsiedzącej.

- Uch...! Za powodzenie pańskiej misji! Widzi pan, rzecz polega na tym, że on wciąż żyje. Leszczyński, Diabeł. A nie powinien. Nie ma prawa. Pomijam tu już sprawę mikrodetonatora, musiał go sobie jakoś wydłubać, Fulke rwał włosy z głowy, ślaliśmy pełną mocą sygnał aktywizujący przez kilka tygodni, ale bez skutku, drań wciąż nadawał. I chyba faktycznie poznał jakąś tajemnicę, bo to mija już siódmy miesiąc, tak, będzie już pół roku jak nic - a on żyje. A posłaliśmy go do Piekła, jak każdego U-menscha, z zapasem pożywienia starczającym jeno na dwadzieścia dni, żeby nie zdążył przejść do strefy amerykańskiej. Pan wie, oni dają U-menschom azyl, ci hipokrytyczni Jankesi, szlag by ich. Trzeba więc podludziom uświadamiać przed wypuszczeniem, że jedyna ich szansa przeżycia leży w terminowym powrocie do nas, inaczej zdechną z głodu. Bo zdaje pan sobie sprawę, że flory i fauny Mroku i Ziemi nie są ze sobą kompatybilne: nierównoległe ewolucje, pełna dywergencja, równie dobrze mogliby próbować żreć plastik. Ale Leszczyński jakimś cudem utrzymuje się przy życiu.

- Wandelsternführer wspominał coś o, mhm, Kretowisku, i chyba malunkach, nie pamiętam nazwisk...

- Ach, tak. Rzeczywiście. To też. Naley pan jeszcze z łaski swojej. Dzięki. No więc jeden z żółtków, Ikisawa, z wykształcenia zresztą fizyk, wystąpił z następującą teorią...

I tak to szło. Wór brzęczał. W pudełkach poruszały się zwierzęta. Siedziałem na tym niewygodnym krześle, pochylony ku charczącemu i skrzeczącemu doktorowi Gaspowi, mechanicznie przytakując jego słowom, z których coraz mniej rozumiałem, choć wszystkie ejdetycznie zapamiętywałem; siedziałem tam, ściskając w pocących się dłoniach plik pomiętych wydruków, przełykając gęstą ślinę i oddychając przez usta, Klin spoczywał na moich plecach masą milionów ton, garbiłem się coraz bardziej.

Pożegnawszy się z doktorem, pognałem do najbliższej toalety, dwakroć myłąc wskazywaną laserowym szkicem zifferrechenmaschine drogę. Tam zwymiotowałem. Spojrzałem w lustro nad umywalką, nawet niezbyt brudne. Twarz jak po zatruciu rtęcią, pot na szarej skórze - czy to jakiś miejscowy wirus? Przecież nie wyślą do Piekła chorego! Zacisnąwszy szczęki, usłyszałem w uszach własny puls, przepływ gorącej krwi zagłuszający wszelkie inne dźwięki - szszumch, szszumch-szszumchchch - policzyłem: sto czterdzieści. Jest źle, Erde, jest źle. Czy to jakiś spisek? Czy ktoś tu specjalnie stara się cię zabić? Bo w końcu cóż to innego, taka misja, jeśli nie wyrok? - posłać żółtodzioba drugiego dnia pobytu na planecie w najdziksze jej ostępy: śmierć. Przypomnij sobie: nie naraziłeś się komuś? Ale komu? Mundiemu? To niepojęte. Dlaczego? dlaczego? *Któraś strona monety zawsze musi być na dole i nie ma dla niej żadnego „dlaczego”*. Akurat...!

W przydzielonej kwaterze czekały na mnie bagaże przetransportowane z wahadłowca: dwie metrowe paki, pięć worów, staromodna walizka, jeden standardowy kontener. A kwatery składała się z dwóch dość obszernych pokojów oraz łazienki - wszystko umeblowane z motelową pogardą dla jakiegokolwiek stylu. Bo i cóż to innego, jeśli nie hotel? Zatrzasnąłem za sobą drzwi. Spojrzałem na zegarek - pokazywał jeszcze czas „Göringa”. Przeprogramowałem go podług biurkowego terminalu Sigfrida na szesnastogodzinną dobę Mroku. Ile zatem pozostało do świtu? Niecałe sześć godzin.

Terminal, niepytany, otworzył ikonę poczty. Dwa listy, jeden krótki, od niejakiego majora Blockego, podający adres, spod którego mam rankiem odebrać potrzebny sprzęt; drugi, bardzo długi, od zastępcy wandelsternführera Fulkego, istny elaborat. Ale wbrew pozorom niewiele w nim było dętej ideologii: Fulke bardzo jasno wykladał polityczne implikacje aktualnej sytuacji w Piekło, klarował pragmatykę tutejszej koabitacji i mimochodem otwierał liczne nowe zagadki. Wydrukowałem list i dopiąłem do planu Klina.

Przysiadłszy następnie bezradnie na łóżku, znowu spoglądałem na zegarek. Sześć godzin, trzysta sześćdziesiąt minut. Już zaledwie trzysta czterdzieści cztery. To dużo,

przekonywałem się, to bardzo dużo, więc jeszcze nie musisz się denerwować. Otworzyłem jeden z worków i przebrałem się w ciemne spodnie, sweter, buty z cholewami. Precz z kombinezonami, skafandrami, AstroKorpsem, „Göringiem"! Mam trzysta czterdzieści cztery minuty i jestem wolny.

Ale zaraz ponownie skręcił mi się żołądek. Wychłęptałem szklanę potwornie schlorowanej wody. Wolałem nie patrzeć ponad kranem w podświetlone lustro. Porwałem papiery i wyszedłem. Spać? Nie będę spał, sen to złodziej życia, wyżre dziurę w czasie, nagle okazałoby się, że oto już nadszedł świt i zatrzasnęły się kajdany; więc nie zasnę, nie zasnę, nie zasnę!

To już nie było przerażenie, to była panika o lekkim, miedzianym posmaku klaustrofobii. Nie oglądając się na boki, nie podnosząc wzroku, lękając się spotkania z kimś, kto rozpoznałby we mnie göringowca i wciągnął w rozmowę, przemknąłem do pobliskiej osobowej hiperwindy, klepnałem najwyższy przycisk, drzwi się zasunęły, podłoga naparła na stopy. Znowu na zegarek: minuta, dwie.

Na powierzchni, bez zapomnianych noktokularów, przykryty zostałem półsferą miękkiej ciemności. Na dwadzieścia, trzydzieści metrów jeszcze coś widać w ćwierćcieniach i krętych smugach szarości - dalej już tylko mrok. Cholerne noktokulary. W którą stronę do starej stacji? Chyba tam. Piasek i żwir chrzęściły na betonie pod podszwami. Budynek wyrósł przede mną z nagłą, niczym łeb albinosiego walenia wynurzający się spod gładkiej powierzchni morza nafty. Obszedłem go dookoła, szukając głównego wejścia. Według słów von Miltzego powinien tu, tuż za drzwiami, stać pojemnik wypełniony parami nocnych okularów już z lekka zużytych. Stał. Wszedłem, sięgnąłem, wybrałem, wyszedłem. Ktoś się za mną obejrzał, ale tylko wydłużyłem krok. Lewe szkło noktokularów było pęknięte i świat postrzegany posiadał odtąd skazę.

Mrok rozdarł się przede mną w szwach. Chmury, góry, chmury, niewiele więcej. Jakby istniało jakieś sprzężenie - bo wraz z odblokowaniem zmysłu wzroku ciężki smród planety uderzył w me nozdrza z podwojoną siłą. Co za ohyda. Przytłoczony tymi doznaniem na moment zapomniałem o strachu i jego nawrót przyśpieszył mi puls jeszcze bardziej.

Minęły mnie dwa samochody, musnął podmuch spiralnego wichru wznieconego lądowaniem śmigłowca. Przy urwisku jednak, gdzie nie sięgał beton, nie było nikogo. Tu przysiadłem, zwieszając nogi w przepaść. Buty nagle zaciążyły mi kilogramami martwego balastu, niemal czułem, jak zsuwają się ze stóp w otchłań. Urwisko - czy zatem zamierzałem z niego skoczyć? Skądże; dopiero teraz przyszło mi to do głowy. I tylko uśmiechnąłem się w duchu. Co to, to nie - nie jestem typem samobójcy.

Zegarek: trzysta trzydzieści. Potrafię rozpoznać miejsca, w których czas zwalnia, i to było jedno z takich miejsc. Nie zasnę. Będę siedział i patrzył. Do świtu daleko, daleko. Ale i co to za świt? - czy w ogóle ujrzę słońce przez kożuch tej naniebnej zawiesiny? Gdzieżby. To Mrok.

Prawda, przyznaję się, jestem tchórzem. Zawsze byłem, odkąd pamiętam, towarzyszył mi strach i strach przed strachem; w beznadziejnej walce z nimi zdobywałem się na coraz bardziej szaleńcze gesty, straceńcze decyzje, akty przerażenia, które jedynie inny desperat potrafi rozpoznać jako takie, pozostali biorą je za dowody niebywalej odwagi i hartu ducha. Takim też sposobem, splotem owych dopingowanych strachem najstraszniejszych z możliwych wyborów, znalazłem się w AstroKorpsie i potem na liście załogi „Göringa”: ponieważ to wzbudzało we mnie największy lęk. Nie twierdzę, iż jest w tym choć szczypta logiki; są za to ciemne otchłanie depresji, tysiące bezsennych nocy, lata daremnej ucieczki przed zwierzętami umysłu. Polują. Słyszę je. Te wycia. Gorący oddech na mej szyi. Wystarczy, bym choć na moment przestał udawać - i dopadną mnie, rozszarpią. Więc nie mam wyjścia, muszę przeć naprzód. A mógłbym teraz przepędzać beztrudne dni w rodzinnym majątku w Guberni, polować samotnie w okolicznych lasach, wędrować przez chłodne, cieniste ostępy, otulony zamszową zielenią, zanurzony w zapachu nagrzanego ściółki... Nie, nie mógłbym; nie ja.

Trzeba mi zapomnieć o ziemskich woniach. Odtąd tylko smród Mroku. Trzeba mi zapomnieć o Rembrandtowskich światłocieniach słonecznego popołudnia w letnim lesie, odtąd tylko czarne puszcze, czarne niebo, czarny wiatr. Choć po założeniu noktokularów nawet czerń zyskuje na barwności. Z pozoru rzecz polega na stopniowaniu szarości, lecz wystarczy kilkanaście minut, by podświadomie zacząć rozpoznawać w niej kolory. Na południe od płaskowyżu Klina rozpościera się bagienna Równina Krów. Kryje ją na wysokości siódmego piętra brunatny kobierzec spleciony z koron fungusoidalnych nibydrzew, powyżej Zwrotnika Raka zarastających wszystkie bagna tego kontynentu. W zależności od kierunku, w którym wieje wiatr, brunatna fotofilna powłoka puszczy jaśnieje bądź ciemnieje: dendrogrzybiczne analogi liści po jednej stronie są niemal czerwone. Wiatr to cichnie, to się wzmaga, obraca lekko ich płaszczyzny - i oto po powierzchni puszczy idzie fala głębokiej purpury. A puszcza ciągnie się aż po horyzont, jedynie na wschodzie wyrasta zeń szereg wulkanów, ich broczące lawą stoki nawet z tej odległości płoną brudną żółcią. Ponad wulkanami wznoszą się do chmur odwrócone stożki dymu, na wpół spopielonej materii wynoszonej do nigdy nierzednącego gazowego płaszcza biosfery Mroku. To nawet nie są chmury w ziemskim znaczeniu tego słowa. Płaszcz ma kilka kilometrów grubości,

buzuje tam w nim inne życie: kolonie lżejszych od powietrza mikroorganizmów; wirusowe zawiesiny skoloidowane z tysiącami dzikich mieszanin wielkocząsteczkowych związków chemicznych, niesione przez globalne prądy latami i latami w poszukiwaniu ofiary; i bazujące na fotosyntezie jednokomórkowce, co jakiś czas wzbijające się na konwekcyjnych frakcjach do górnych warstw powłoki; i wodorochłonne symbiostaty - wszystko to kotłuje się tam bez końca, niczym w pełnym wrzątku garze, a rozbulgotaną powierzchnię ukropu można tu oglądać odwróconą wbrew grawitacji ku dołowi. I tak odmieniają się barwy ciemności, gdy wynurzy się naraz spod pomarszczonego dywanu zanieczyszczonej pary wodnej rzeka chmurnego życia: domyślne brąz, sepia, czasami nawet ciemna zieleń. A potem znowu zniknie bez śladu. A obok łeb innego potwora: gigantyczna globula kultury radioaktywnych beztlenowców. Za nią łyśnie krótki piorun, drugi, trzeci, dziesiąty. Burzy się, marszczy i splata w wir ciemnogramatowa składowa naniebnego chaosu: to polaryzery - organizmy indukujące i pochłaniające wyładowania elektryczne - pędzą do pożywienia, do źródła energii. Uczta przesuwana się ku wulkanom, filary dymu kładą się ku zachodowi, wiatr zakręca, puszcza płonie purpurą, wybucha gdzieś w jej mrocznych ostępach metanowa bomba, upust reszty gazu wznosi nad dendrofungusami porządek poziomego ognia; pioruny tymczasem biją już w magmowe kaldery, eksploduje z trąb popiołu siny fiolet, wirująca rozgwiazda objęta eliptyczną galaktyką ogni świętego Elma wznosi się ponad rzygający stożek, odbija od piorunów, chmury sięgają ku niej macką nieprzenikalnej dla wzroku szarości, otwierają się niebiosy i rusza wodospad fosforyzujących biało powietrznych glonów; gasną pioruny, ręka szarości zaciska się na ćwierćkilometrowym stratopajaku, uśpione przez wieki wirusy teraz budzą się i przeprowadzają błyskawiczną inwazję, ognie świętego Elma nikną, szarość spada w krater, magma bluzga ponad krawędzie, a w chmurach zamyka się lej wiru i rzeka aerożycia, niczym superszybki pociąg, zakręca, po czym znika pod - czyli nad - powierzchnią kobierca ciemnych gazów. Wiatr po raz kolejny zmienia kierunek. Wraz z falą zmiany sunie ponad Równiną Krów para myśliwców, sztylety ich ogni odrzutowych zapalają metanowy oddech bagna, Wiesele pozostawiają za sobą gasnącą powoli powietrzną aleję, wykreśloną podwójną przerywaną linią krzywych płomieni. Spod mego urwiska śpiewa, przechodząc stopniowo w ultradźwięki, niewidoczne, nieznanne mi zwierzę. Nie patrzę na zegarek. Nie boję się.

II

W rzeczywistości ona wcale nie nazywa się Mrok. W rzeczywistości - którą w tym przypadku kształtują zapisy w prawodawczych aktach czterech państw - ma ona inne nazwy, swą pompatycznością podkreślające wyłączone do niej prawo każdego nazywającego. Ale tu, na jej powierzchni i na jej orbicie, nikt nie zwie jej inaczej, jak Mrokiem właśnie. Takie jest jej imię i taka jest prawda.

Podobnie rzecz się ma z topografią jej powierzchni: nazywają po swojemu. Owa rzeka, którą płynąłem, na naszych mapach podpisywana Thorem, na jankeskich obwieszczana jest Rzeką Granta. Bardzo płytka w swej rozmulonej do jednolitego brązu delcie, rozpościera się tu od brzegu do brzegu wodnym przestworem sunących ku morzu gigitalitrów trującej cieczy, szerzej od Amazonki - rozwarta oblesnie gęba kontynentu rzyga we wszechocean gorącą zawiesiną obcego życia. Mijałem jakieś ośmiornicze sploty korzeni, gałęzi, lian, łodyg, twardych jak węglowe szkło źdźbeł trawy - zaraz zdając sobie sprawę, że ani nie są to korzenie, ani gałęzie, liany, łodygi, ni trawa, nic ze znanych mi gatunków flory, bo to nie Ziemia, to obca planeta; i odprowadzałem wzrokiem owe przewalające się na żółtej wełnie rzecznych fal kłęby roślinnych zwłok, póki gleitschwimmer nie poniósł mnie od nich wbrew nurtowi Thora na odległość uniemożliwiającą dostrzeżenie jakichkolwiek szczegółów - mimo noktowizyjnych szkieł kontaktowych przylepionych na stałe do mych gałek ocznych niczym gadzie błony. Noktoszklą pracują w innym trybie niż zeissowskie noktokulary i nie jest się już skazanym na monochrom i spektralne urojenia; mikrozählwerki szkieł koloryzują obraz podług domyślnych ustawień, bym w całkowitej ciemności ujrział błękit i karmin i seledyn, złote pręgi zwierząt, srebro wodnych owadoidów.

Śmigłowiec, z którego mnie zrzucano w muliste odmęty Thora, zaraz się poderwał i wrócił na radarową wysokość i bezpieczny kurs, oddalając się od dżungli Piekła; zapewne wylądował na Klinie, zanim minąłem pierwszą wysepkę na rzece. Istnieje kilka takich spornych obszarów na Mroku i Piekło nie jest tu żadnym wyjątkiem, choć jemu akurat poświęcają najwięcej uwagi. W każdym razie wszyscy wiedzą, czego należy się spodziewać, zwyczaj utarł się aż do postaci żelaznej procedury. Strategia spod znaku psa ogrodnika: „może i nie moje, ale na pewno nie twoje”. Szerokospektralne skanery stacjonarnych satelitów pozawieszanych w poczwórnej heksagonalnej sieci nad całym globem informują

natychmiast centralę każdego z państw o próbie wtargnięcia intruza na „ich” teren: błyskają przez chmury lasery komunikacyjne, na to odzywają się impulsowe monolampy ich mocarnych braci orbitalnych i intruz zostaje w ułamku sekundy spalony do postaci plazmy, a wraz z nim z dymem idzie przynajmniej kilometr kwadratowy dżungli, zagotowanej nagłą emisją w atmosferę teradzuli energii cieplnej. Niebo nad Pieklm pozostaje wolne od maszyn latających ktoregokolwiek z państw; nawet piesze ekspedycje muszą się tu pilnować, nie wychodzić na otwarty teren, nie używać urządzeń łatwych do spelengowania, słać meldunki radiowe jeno skupionymi wiązkami i prosto w górę, do przyjaznych anten. Teufel hrabia Leszczyński wyjątkiem: nadaje, pozornie nie troszcząc się o własne bezpieczeństwo, lecz w istocie musi stosować jakieś przemyślne sztuczki, bo już siedmiokrotnie przyżegano miejsca emitowania obłąkańczych kazań Leszczyńskiego - jak widać, bezskutecznie. Może po prostu ciągnie długie kable albo pozostawia nadajniki z mechanizmami zegarowymi - no ale skąd by je wziął, na wyprawę w głąb Piekla wyposażono go jak każdego innego Untermenscha, miał jeno satelitarne radyjko dla przesyłania raportów skompymowanych do milisekundowych pulsacji szumowych. Lecz Teufel cały stanowi tajemnicę. Ostatnio zresztą zaprzestano ogólnego polowania nań, przynajmniej jeśli chodzi o uderzenia świetlne. Wołą słuchać, co ma do powiedzenia, naukowcy analizują każde słowo. Może zdradzi swe sekrety.

Gleitschwimmer niósł mnie pod prąd Thora z prędkością ponad dwudziestu węzłów. Subtelnie wyprofilowana deska z monoszkła, z doczepionymi szeregowymi silnikami turbinowymi, hydrodynamiczną zmiennokształtną owiewką i dwoma pojemnikami bagażowymi, sunęła po powierzchni wiecznie wzburzonej wody, z irytującą wytrwalością przełamując kolejne bałwany brudnego potopu i włokąc mnie za sobą, na wpół w niej schowanego, przymocowanego do niej nieelastyczną uprzężą kombinezonu, miła za miłą, przez obrzydliwie ciepłe fale błotnego wylewu. Jak okiem sięgnąć wyglądało to tak samo, owa zbełtana na całej szerokości splywu hydrolawa przywodziła na myśl obrazy ziemskich klęsk żywiołowych, brutalną powódź przewalającą się przez zamieszkane i niezamieszkane ziemie wraz z tsunami śmieci, błota i wzdętych truchel zwierząt - a ja parłem przez tę powódź ku źródłu zagłady. Mrok mnie kryje, Thor maskuje, jestem bezpieczny, jestem bezpieczny... i, o dziwo, czułem się bezpieczny: zanurzony w tym chaosie, ciskany w dół i w górę, i na boki, zalewany gęstą plwociną obcego świata, wyzbyłem się strachu, wypływał on ze mnie z każdą następną przemierzoną korytem Thora miłą - wyciekał w tę zupę ohydy i ginał w niej bez śladu. Już się dokonało, już trwa - toteż nie mam czego się więcej bać. Zapadły wyroki. Amen. Teraz każda minuta to cud.

Po dziesięciu godzinach szalonego ujeżdżania powodzi miałem dosyć, nadszedł czas

na pierwszy nocleg. Skręciłem ku najbliższej wysepce, wyłączyłem gleitschwimmera i, wyczołgawszy się z przybrzeżnego błota, wciągnąłem go za sobą. Wysepkę porastały bambusowe gąbki: płatanina tysięcy bardzo długich, giętkich łodyg bijących z bagna wzwyż na dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści metrów, potem zawracających, splatających się z innymi, by w efekcie dać zbity kloc porowatej materii organicznej, bezustannie trzeszczącej, chwiejącej się wte i wewte i strzelającej na wszystkie strony świata zarodnikami w kształcie shurikenów, od których padło było już dwoje ludzi i jeden U-mensch. Wkopałem się w błoto, przykryłem gleitschwimmerem, wysunąłem paluchy napowietrzacza, z wewnątrzhelmowego podajnika zlizalem tabletkę i zasnąłem. Spałem prawie dziewięć godzin. Nic mi się nie śniło, to znaczy żadnych snów nie pamiętam; nigdy nic mi się nie śni. Spuściwszy ślizgacz na wodę, ruszyłem w dalszą drogę. Ani nie był to świt, ani wieczór, gdy kładłem się do wampirzego łóżka: jednaka kołdra ciężkiej szarości na nieboskłonie; pozbawiony noktoszkieł ujrzałbym - teraz i wtedy - bezksiężycową, bezgwiezdą noc. Mrok jest całym wszechświatem, nie ma niczego poza.

Minąwszy pierwszy punkt orientacyjny (mikrozählwerk nadajnika, wszczepiony mi wraz z samym nadajnikiem w kość lewego przedramienia, poinformował mnie o tym chrapliwym basem majora Blockego), nagrałem i wysłałem za pośrednictwem anteny gleitschwimmera meldunek składający się właściwie z jednego zdania: „Wszystko zgodnie z planem”. Czy rzeczywiście tam w Klinie czekali na każde moje słowo z taką niecierpliwością? Łatwiej było mi sobie wyobrazić Mundiego i Gaspę na wieść o mej śmierci wzruszających ramionami, po czym posyłających do Piekła następnego naiwniaka z „Göringa”. Im chodzi o informacje, o tajemnice Leszczyńskiego - a jakże inaczej się do nich dostać? Można tylko liczyć na gadatliwość samotnika. Albo właśnie porwać i przydusić. Zabić? Dla zapobieżenia przechwyceniu jego sekretów przez wroga? Tak powiedział Mundi, lecz z kolei Gasp nawet słyszeć o tym nie chciał. Ale to, co Fulke pisał o licytacji... Nic tu nie jest jasne do końca. Podejrzenia, podejrzenia... Blocke mrugnął i wymamrotał, że mamy kogoś u Ruskich. Czy to zatem donosy tego zdrajcy mówiły o innych posłańcach - amerykańskich, japońskich, rosyjskich - idących w Piekło z pełnomocnictwami do prowadzenia negocjacji z Teufelem? Wydawałoby się, że pierwsze, co Leszczyński zrobi, pozbywszy się detonatora, to ucieczka do Jankesów. Ale nie. Nie chce. Tkwi w tej dżungli. A co tamci mu oferowali? Wolność, oczywiście, wolność na Mroku. Co jeszcze? W sumie niewiele jest tu do zaoferowania. Nie wiadomo, ilu poszło; Fulke twierdzi, że nie wrócił nikt. W kolejności wyglądało to zapewne tak: audycje Diabła - polowanie laserami - presja naukowców - koniec polowania - pierwsi emisariusze. Może nawet ktoś próbował na

otwartym kanale, na fali Leszczyńskiego. Wszystko bez skutku. Trudno też przypuszczać, bym był pierwszym wysłanym doń z Klina, na pewno byli przede mną inni, może nawet jakaś cała karna ekspedycja, kto wie - a gdy zorientowali się, iż to nie jest sposób, wymyślili ten fortel ze znanym im jedynie z nazwiska i akt personalnych göringowcem w roli głównej. Czy naprawdę liczą, że im się to powiedzie? Mein Gott, to jest pułapka w pułapce, podstęp potrójny, przecież ten Blocke mógł we mnie implantować także samodetonującą się mikrobombę, nie mam jak tego sprawdzić - wandelsternführer wbrew Gaspowi zamienił mnie w samonaprowadzający się pocisk - idę na śmierć - już nie żyję - mam udawać zbiegłego U-menscha, ale co tu udawać, czym w istocie różnię się odeń - jestem podczłowiekiem - jestem podczłowiekiem - nie żyję. Tak. Tak. Nie ma już strachu.

- Zielona linia - szepnął mi Blocke i przybiłem do lewego brzegu Thora. Koniec pierwszego, łatwiejszego etapu podróży, tutaj zaczyna się zona krwawych totemów, czas skrócić na północ. Zdjąłem hełm, ściągnąłem skafander. Pod nim miałem połowy kombinezon U-menscha. Teraz trzeba porzucić i zakopać wszystko to, co może mnie zdemaskować: a więc po pierwsze sam gleitschwimmer, potem skafander, ponadnormatywne zapasy pożywienia, rezerwową antenę satelitarną... Będę mógł do nich wrócić, jeśli pierwszy wypad nie da rezultatu. Teraz też wysłałem kolejny meldunek. Odtąd będzie z tym gorzej: nadajnik, który zabieram - bo muszę przecież zabrać - zakamuflowany został jako zwyczajna metalowa miska, z niej można jeść rozpuszczone w zagotowanej i przefiltrowanej wodzie koncentraty bez szkody dla elektroniki. Emisje następować będą podczas posiłków, a „łapać satelitę” będę ręcznie, wspomagany wskazówkami mikrozahlwerka nadajnika... Już to sobie wyobrażam - nawet w wykonaniu Blockego wyglądało zgoła idiotycznie. Coraz wyraźniej przybiera wszystko formę czarnej komedii.

Wstąpiłem w Piekło. Piekło zamknęło się za mną i nade mną. Dookolna czerń natychmiast stężała w tłusty atrament. Noktoszka wzmocniły sztuczne kontrastowanie, wzmogły reinterpretacyjne rachunki, już w trakcie postrzegania przyoblekając na mych źrenicach obrazy przedmiotów w nowe kolory i nową fakturę półcieni: kamień w drzewo, drzewo w kamień; potem podchodzę, dotykam i to jest zwierzę. Są tu zwierzęta, Mrok pełen jest zwierząt, zwierząt i roślin i Bóg wie, czego jeszcze. Wyobraź sobie ziemski wykres ewolucyjny fauny, mówił doktor Gasp, potem roztrzaskaj go, odłamki rozmnoż tysiąckrotnie, wymieszaj, ćwierć wyrzuć, ćwierć przenicuj - i dostaniesz obraz chaosu panującego w królestwie zwierząt Mroku. Z florą jest trochę lepiej, ale i tak gatunków tu na jednym kilometrze kwadratowym tyle, co w całej Eurazji. A przecież Mrok jest znacznie młodszy od Ziemi. Może to kwestia większego ciśnienia ewolucyjnego, bo bynajmniej nie zawsze to tak

wyglądało, nie zawsze Mrok był Mrokiem, środowisko jest tu wysoce zmienne, bo zmienną jest sama gwiazda Mroku, owo niewidoczne stąd słońce, cholernie niestabilne, teraz akurat przechodzi okres silniejszego promieniowania, ale bywały takie milionlata, gdy pozostawało chłodne i wówczas panowała tu epoka lodowcowa do kwadratu, niebo było polarnie czyste, atmosfera ścinała się, za terminatorem mogłeś ją zbierać garściami ze zmrożonej ziemi. I bywały chyba okresy jeszcze większych upałów, kiedy ta gazowa powłoka pełniła funkcję wysokoalbedowej planetarnej folii ochronnej. Nie dokonuj jednak bezpośrednich skojarzeń z Wenus; to nie jest Wenus. Nie dokonuj jakichkolwiek bezpośrednich skojarzeń, nie ma z czym. Sam fakt przetrwania biosfery Mroku dowodzi niezwykłości, oryginalności funkcjonujących tu mechanizmów ewolucyjnych. Ciągnąc ów wykład, doktor Gasp *de facto* przyznawał się do własnej ignorancji: biolodzy Mroku wciąż znajdowali się na etapie kreślenia map swej niewiedzy. Na Ziemi i jeszcze potem na „Göringu” studiowałem wszelkie przesłane informacje, uczyłem się rozpoznawać obce rośliny i zwierzęta, szczególnie te niebezpieczne - a teraz z trudem nazywam co setne. Otacza mnie gęsta dżungla tajemnicy. Drzewa? Jakie tam drzewa, to grzyboidalne wyrosła złożone z kilkunastu symbiontów, od góry kryje je fotofilna tkanka symbiontu roślinnego, partie niższe tworzą konglomeraty współżywnych roślin i zwierząt, dotąd sklasyfikowano tysiąc ich gatunków, a jest tego nieporównanie więcej, trudno spotkać dwukrotnie tę samą kombinację, niemal każdy dendrofungus to oryginalny, pojedynczy nadorganizm. Mijałem je w bezpiecznej odległości, starając się nie zbliżać zanedo do żadnego z „pni”, choć po prawdzie jedyną przesłanką dla wniosku o bezpieczeństwie zachowywanego dystansu był fakt, iż wciąż żyłem. Niektóre „drzewa” pożerają nieostrożnych. Niektóre trawią ich jeszcze przed pożarciem. Niektóre wstrzeliwują w nich rozplemnie. Oglądałem różne filmy; puszczeni pod wyselekcjonowane okazy U-mensche ginęli na ten czy inny sposób, zawsze spektakularnie, dla przestrogi przyszłych badaczy. Wchodząc w tę aleję śmierci - ciemną, krętą ścieżkę, wytyczoną przez naturę pomiędzy ziemiami zajętymi przez korzenne systemy poszczególnych „drzew” - poczułem, że w ostateczny, bezpowrotny sposób wyzwalam się z wszelkiego strachu. Dżungle Piekła tyłu już zabiły przede mną. Jakie mam szanse. Żadne, prawie żadne. I teraz jestem wolny. Stopa dotknęła miękkiego gruntu, złapałem oddech, fala zimna przepłynęła po spoconej skórze. I zacząłem iść, coraz szybciej, nie oglądając się za siebie. Z początku właśnie tak: „bezpiecznie”, po wielekroć zakręcającej szerokimi łukami linii, biegnącej pomiędzy „pniami”. Nic mnie nie atakowało. Zboczyłem ku wielkiemu dendrofungusowi, wszedłem w grzybiczną pajęczynę, rozgarnąłem zasłony owadożernych błon, dotknąłem gorącego ciała. Pulsowało. Przytknąłem ucho. Bum-bu-łubum, bum-bu-

lubum. Serce? Te „drzewa” nie posiadają serc, nie płynię w nich miast soków żadna krew, może nawet i soki... jakie soki, cóż to za analogie, one przecież w istocie nie są drzewami, zapomnij. Coś wysunęło się ze zmieniającej odcienie czerni skóry organizmu - setny symbiont, paralizujące macki, żądła śmierci, liście, nie liście - dotknęły mej twarzy - nie poruszyłem się - dotknęły mych powiek - nie mrugnąłem - dotknęły mych warg - ugryzłem. Nic się nie stało. Nie miał smaku. Jak papier. Wyplułem. Wyjąłem nóż i wbiłem w „drzewo”. Coś pociekło. Rozległ się syk. Uderzyłem powtórnie. Rach-rach-rach, furia zimnolica, nawet zadyszki. Klinga w gęstej cieczy. Cuchnie. „Drzewo” milczy. Wycieram i chowam nóż, maź na rękawiczkach, wycieram rękawiczki, cuchnie dalej; wszystkie pachnidła Arabii... Żyję, więc wracam na ścieżkę, której nie muszę już nazywać bezpieczną. Wolny - bez strachu - zrozpaczony. I idę, idę, katedry ciemności obracają się dookoła mnie, mijam kuniebnne filary, arkady cieniozwisne, obłoki pleśni-nie-pleśni zawieszzone metry pod kopułą, szare sieci tnące rozwibrowanymi płaszczyznami przestwory ogromnych naw, gotyk animalnych konarów, walczących z sąsiednimi o dostęp do resztek blasku słonecznego dla swych światłożernych symbiontów, wzniesionych ku jednolitej ciemności kozucha koron, zbitych w gęstą masę; i mijam barok pompujących wzwyż wodę firan, galaretowatych falban, doziemnych węzolian... Lecz w rzeczywistości brak w obrazie tej statyczności, jaką sugerują powolne słowa - teraz opowiem o zwierzętach, o zwierzętach, które są wszędzie. Te drobne, ledwo widoczne, z przyzwyczajenia nazywane owadami, owadoidami, robakami - krążą tu w wielkich chmurach, lawirując pomiędzy pniami, wznosząc się i opadając, w nagłych zrywach przyśpieszając, to znów zwalniając do zawiśnięcia prawie w bezruchu; a tych chmur jest zawsze kilka w polu mego widzenia, omijają się, nie mieszając, wygląda to jak balet obłoków, rozpędzona ponad zwinność oka symulacja burzy. Robaki w powietrzu, robaki na ziemi, robaki na mnie. Strzepuję, oglądam się, wyszukuję, rozgniatam - a potem spostrzegam, że znowu pełzną. W dżunglach tak zawsze, dzikość świata wciska się na siłę do ciała i do umysłu, to boli. Gdy odwrócę kopniakiem kamień, wyświetla się negatyw życia, który też jest ruchem: wybuch zgnilizny, eksplozja ohydy, aż para bucha z rozerwanych kokonów, w których robactwo pomieściło swe organiczne łupy, i armie brzydoty ruszają spod mych stóp szerokimi wachlarzami w poszukiwaniu nowych mateczników ciemności. A przecież jest tu piękno, znajdziesz je wszędzie, jeśliś wystarczająco głodny. Bo są i zwierzęta większe, te, co ryją ziemię i pelzają, skaczą, szybują, rozmiarów kreta, rozmiarów psa i rozmiarów konia - a oczywiście nie krety, nie psy i nie konie. Większość nie posiada oczu, lecz te, które posiadają, obracają je ku mnie, gdy przechodzę, a mikrozyfferrechenmaschine noktoszkieł wprawia w ich domniemane oczodoły tęcze odbitego ćwierćświatła, bez przerwy strzelają więc ku mnie z

gęstwiny zimnobłystne cekiny. Może i bałbym się, gdyby nie śmierć. Wszak to istna aleja strachu. W którąkolwiek stronę bym nie skręcił, nie wyzwolę się spod głodnych spojrzeń nienazwanych drapieżników. A jeszcze gorsza ich ślepotą. Bezokie wory trawienne wielkości niedźwiedzia zwisają z konarów dziesięć metrów nad głową, gotowe spaść i zamknąć w sobie rozpoznaną nieznanym zmysłem ofiarę. Pseudolarwy długości anakondy suną ścieżkami leśnej zwierzyny na swych niezliczonych odnóżach - gdy podejść na dwa metry, zamrą w bezruchu. Cofnę się - ruszą dalej. Nie widać głowy, nie widać końca ni początku, jeno gruby, bładny sznur przegradzający przejście. Przeskakuję. Nie zabiło mnie. Małpopodobne owadooczne sześciopły skrzeszają z gęstwiny oraz z rozpiętych między dendrofungusami sieci hydrodrennych. Widziałem je w encyklopedii Mroku pod hasłem „horusy”. Z tym że te tutaj posiadają skrzydła w atrofii i muflonowate rogi. Niewiele zgadza się z encyklopedycznymi klasyfikacjami, co chwila coś mnie zaskakuje. A to niespodziewany deszcz suchej ziemi z rozwartej nagle w pniu grzybodrzewa „dziupli”; a to dźwięki fletni Pana dochodzące, zda się, tuż znad mej głowy; a to widok odchudzonego już wora trawienno unoszonego z powrotem na wysokość górnych konarów przez stado nietoperzopodobnych zwierząt o przeraźliwie ludzkich oczach; a to zachowanie gromady sześciopłycich dzików, które otoczyły mnie ciasnym kręgiem i jeły z głośnym sapaniem ocierać się o me nogi. Ochrciłem je dzikami, bo podobnie ukształtowany był ich korpus przechodzący bez zwiężenia w masywną głowę; ale gdy uciekłem od nich na bezpieczną odległość, ujrzałem jak wspinają się, jedno za drugim, na pionowy pień dendrofungusa. Zapewne nie racicami, a długimi pazurami zakończone są ich nogi.

Ułożyłem się do snu w kołysce korzeni potężnego „drzewa” i zasnąłem bez chemicznego wspomagania. Śniło mi się... Ale chyba nie, bo gdy się obudziłem, ściagała mnie pustka. Przez te parę godzin zarosła me legowisko półprzezroczysta błona. Przeciąłem ją nożem. Krzyknęła. Wstałem. Błona gwałtownie uciekała na boki. Wiedziony przecuciem wyjąłem z plecaka metalowe lustro i przejrzałem się w nim. Całą odkrytą powierzchnię skóry, włącznie z twarzą, porastało coś na kształt krótkowłosego futerka, delikatnego mchu barwy miodu, jeśli noktoszka nie łągały. Zgoliłem mech maszynką. Na razie nie odrastał. Rozpuściwszy w misce śniadanie i przeżuwając je w zamyśleniu, równie mechanicznymi ruchami nakierowałem naczynie ku podszeptanemu przez majora Blockego punktowi na podwójnie zakrytym nieboskłonie Mroku i przesłałem skąpy meldunek o dotychczasowym braku kontaktu. Pół godziny później ujrzałem pierwszy totem.

Była to niemal ludzka czaszka zatknięta na wbity w pień dendrofungusa kołek. Wbito go na wysokości mej głowy, mogłem z czerepem wymieniać jednak nic nierozumiejące,

puste spojrzenia. Czaszka do złudzenia przypominała kość *Homo sapiens*, policzyłem nawet zęby. Czyżby to tak kończyli owi negocjatorzy, emisariusze Klina i innych baz? Teoria Gaspa, iż to w istocie sam Teufel produkuje wszystkie te straszysła, wydawała mi się w obliczu tego turpistycznego folkloru coraz bardziej prawdopodobna. Na skroniach czaszki wymalowano jakimś gęstym, brunatnym sokiem ciasne spirale; przez dolną szczękę przewieszono kiście zeschniętego zielska z nanizanymi na nie kostkami palców, też ewidentnie ludzkich. Więc Leszczyński... Choć po prawdzie trochę szwankuje tu chronologia, wówczas, gdy zarejestrowano pierwsze totemy, walili jeszcze doń z orbitalnych laserów - ale czy owymi totemami również były czaszki? I kiedy właściwie ruszyły pierwsze poselstwa? Bo Teufel siedzi tu już blisko cztery lata Mroku. Najpierw były owe malunki, dadaistyczne bohomy kresłone białą i czerwoną gliną na kamieniach i pniach. Gasp pokazał mi ich fotografie. Durchmann, który pierwszy na nie trafił, upierał się prawem odkrywcy, iż są to twory jakiejś miejscowej nierozpoznanej inteligencji. Durchmann był tylko pilotem i brać naukowa wyśmiewała go zgodnie - do czasu przecieku z obozu Japończyków. Japończycy mieli gdzieś na orbicie sztuczną inteligencję trzeciej generacji i nakarmiona obficie danymi maszyna rzekła im, iż co najmniej tuzin okazów fauny złapanych na obrzeżach Piekła nie da się w żaden sposób dopasować do wykresów ewolucyjnych biosfery Mroku. Ikisawa-san, skądinąd fizyk wielce konserwatywny w poglądach, wystąpił wobec tego z hipotezą nieciągłych połączeń Piekła z innymi ekosystemami. W przekładzie na mowę potoczną oznaczało to dopuszczenie istnienia jakichś nad-, pod, czy obokprzestrzennych bram, przez które przedostają się do Piekła (skąd? - najpewniej z innych planet) składniki ich biosfer. Połączenia nie mogą być ciągłe, taki wariant równałby się bowiem *de facto* zjednoczeniu i unifikacji pomieszanych biosystemów, co wykluczałoby dostrzeżone rozbieżności ewolucyjne; lecz z drugiej strony nie mogą być również nazbyt rzadkie, schwymane okazy jakoś przecież przeżyły w Piekle. Hipoteza broniła się przed brzytwą Ockhama, bo tłumaczyła również fakt przetrwania w tym środowisku Leszczyńskiego: on najwyraźniej znał lokalizację odpowiedniej bramy i nie był skazany na niestrawne dla jego organizmu białka Mroku. W modelu tym czasoprzestrzeń Piekła prezentowała się jako istne kretowisko, pełne niewidocznych tuneli prowadzących ku tajemnym destynacjom. „Nie ma ceny, którą nie kalkulowałyby się zapłacić za kontrolę nad tym obszarem” - pisał Fulke w liście do mnie. (Czy nie była to po prostu kopia listu, który przesłał memu poprzednikowi, i poprzednikowi poprzednika...?) „Bardzo więc możliwe, że ów U-mensch stanowi klucz do lebensraumu rozciągającego się na całą galaktykę. Jeśli jednak tak nie jest i istnieje odmienne wytłumaczenie, wówczas nie leży w interesie Rzeszy publiczna falsyfikacja teorii Ikisawy”.

Poleciałem mikrozifferrechenmaschine pobrać z noktoszkieł obraz totemu i dołączyć do najbliższego meldunku, po czym ruszyłem dalej.

Dżungla stopniowo męczyła me ciało i umysł, jak się męczy nieustannym naciskiem najtwardsze materiały; ciągły zalew bodźców czopował i przytępiał zmysły. Istnieje graniczna ilość świeżych wrażeń, jakie jest w stanie w jednostce czasu wchłonąć człowiek, potem zaczyna już brakować miejsca. Coś tam migotało na skraju pola widzenia, przebiegały mi drogę pokraczne dziwadła, zagłuszały własne myśli nagłe erupcje dźwięków z dookolnych chaszczy - nawet nie obracałem głowy. I wtedy, wraz ze zmęczeniem, z powrotem pojawił się strach. To ma jedyna ucieczka, tylko na niego mogę liczyć, w największej udręce, w całkowitej dezorientacji, w samotności ostatecznej - on mnie nie opuści. Skojarzenia, wiedzione wieloletnim przyzwyczajeniem, same doskonale wiedzą, w którą stronę biec. Nie odmienisz map autobahnów synapsatycznych. Aż zmuszony byłem przystanąć, wesprzeć dłonie o kolana, poddać się głębokiej inhalacji powietrzem Piekła śmierdzącym amoniakiem, metanem i siarkowodorem. Nie żyjesz, pamiętaj, już nie żyjesz, umarłeś w chwili opuszczenia pokładu śmigłowca.

Parłem więc naprzód prowadzony ponurym głosem majora Blockego, głębiej w Piekło, głębiej w śmierć, ku tajemniczemu Teufelowi. Napotykałem kolejne totemy i malunki, w sumie trzy czaszki, przysiągłbym, że ludzkie. Jednak po ich twórcach - ani śladu. Miejscowa inteligencja nie jest to z całą pewnością, zapewniali zgodnie Fulke i Gasp, nie ma po prostu na nią miejsca w schematach ewolucyjnych Mroku, nawet jeśli weźmiemy pod uwagę spory margines naszej niewiedzy i chaotyczności tego tu procesu; równie dobrze można by się spodziewać nagłej mutacji od chomika do szympansa, brakuje dobrych kilkudziesięciu szczebli, a w każdym razie na żaden z nich dotąd nie natrafiliśmy, probabilistyka jest przeciwko rozumowi. Toteż jeśli nie Leszczyński - to cóż pozostaje? Jeno Kretowisko Ikisawy i jacyś obcoplanetarni intruzi. W rzeczy samej ciężko mi było w coś takiego uwierzyć, już raczej dozwalałem rozwinać się wyobrażeniu szalonego Teufela hrabiego Leszczyńskiego ganiającego wte i wewte po Piekło i nasadzającego na kołki wypreparowane czerepy pomordowanych negocjatorów. Przychodziło mi to z tym większą łatwością, że przed snem i nieraz w trakcie marszu przesłuchiwałem nagrania przemówień U-menscha. Mówił: - Ja będę królem. Ja was pognębię. Zmiotę z powierzchni Mroku, zmiotę z powierzchni Ziemi, wasza diabelska rasa zniknie na zawsze, nie przetrwa ni kropla przeklętej krwi. Armie już się gotują. Spod mojej ręki, spod mojej zemsty zginie każdy jeden z was; zmartwychwstaną umęczeni, powróci fala niesprawiedliwości. Niebo będzie czarne i nie ujrzyście poranka. Mrok pójdzie ze mną. - I mówił: - Bo jam jest Bogiem tego świata, moja

ciemność pulsuje w najodleglejszych jego zakątkach. Zsyłam oto zarazę na wasze pola. - I w ciągu dwóch tygodni po tym oświadczeniu ukryte głęboko pod powierzchnią planety farmy, w których uprawiano strawne dla ludzi zboża i hodowano na ubój ziemskie zwierzęta, padły ofiarą przedziwnej plagi; wszystkie, wszystkich czterech państw. A on mówił: - Boicie się? Bójcie się; niech strach przeżre was do kości. Przyjdziecie na kolanach, przyjdziecie, błagając, bym uczynił z was mych niewolników, zatrzasnął obroże na karkach. Obyście do śmierci nie zaznali dobrodziejstwa spokojnego snu. A wtedy zacznę zadawać wam ból; i nauczę was dziękować zań i prosić o większy; nauczę was naprawdę pragnąć cierpienia. Będziecie skamleć o jedno upodlenie więcej... - Głos miał osobliwie skrzeczący, coś tam charczało i skrzypiało głęboko w jego krtani, gdy wypluwał w eter słowa niczym ciężką flegmę, i tak też zalegały w głowach słuchaczy: magmą chłodnej plwociny. Na Klinie przyjrzałem się jego zdjęciu: ciemne oczy, jeszcze ciemniejsze pod nawisami łuków brwiowych, kanciasta, pokryta jakimiś guzami i podłużnymi zgrubieniami czaszka, z mocno na niej opiętą niezdrowej barwy skórą z przepisowo krótką szczeciną nieznanego koloru włosów. Nochal krzywo zrosnięty, niczym u boksera, szufłowata szczęka podana do przodu. Obojętna mina nie wyraża niczego, a jednak zdaje się, iż Leszczyński spogląda na ciebie z tego zdjęcia z wrogością tak przemożną, że aż sam zaczynasz szukać w sobie winy i przyznajesz rację jego nienawiści. A to wielka potęga. Aż dziw, że za sam wygląd nie posłano go do rzeźni transplantacyjnej, lecz zapakowano na „Adolfa Hitlera”. Ewidentna luka w programie selekcyjnym.

Pod koniec czwartego dnia marszu - choć „dzień” nie oznaczał w tym momencie nawet cyklu aktywność/sen, rozpręgnęłem się bowiem z zegarami Berlina, „Göringa”, Klina i Mroku na dobre; gdy brak okresowych zmian w otoczeniu, organizm rychło zapomina o świętych prawach, granice dnia i nocy wyznacza wtedy zmęczenie - zatem umownym wieczorem czwartego dnia wędrówki przez Piekło dostrzegłem przybite do dendrofungusa półtorametrową włócznią o kamiennym grocie, ogryzione do żółtych kości - zwłoki demona. Już tylko czarne płyty przegniłej skóry i węzły ścięgien zwisały z przekrzywionego w lewo szkieletu. Oraz szare błony jego potężnych skrzydeł, bliźniacze namioty nieprzezroczystej materii organicznej rozciągniętej na długich, cienkich kościach czwartej pary kończyn. Para dolna wspiera się na szerokich kopytach, para środkowa zakończona jest trójpalczymi dłońmi, górna zaś, ta umocowana do korpusu ponad więzadłami skrzydeł, sięga przed się tygrysimi pazurami, jeszcze ze strzępami czerwonej tkanki na nich. Sama czaszka demona wygląda na zgoła koźlą, nawet podobne sterczą z niej rogi. Potwór musiał być z półtora raza wyższy od człowieka, włócznia trafiła go pomiędzy pierwszym a drugim mostkiem, teraz zwisał krzywo

nade mną, niczym podwieszony pod kopułę muzeum model dinozaura. Niczego choć z grubsza przypominającego owo monstrum nie było w bazach danych Klinu, dziwadło nie mieściło się w ramach żadnych ewolucyjnych schematów, na zdrowy rozum wzięwszy, nie miało w ogóle prawa istnieć, swą absurdalną hybrydowością przywoływało wizję pijanego demiurga zlepiającego nowe życie z elementów przypadkowo wybranych z kilkunastu różnych zwierząt. *Bo jam jest Bogiem tego świata...* No więc objaw się wreszcie! Chmury owadoidów krążyły dookoła gigantycznego truchła spiralnymi aureolami. Kazałem mikrozifferrechenmaschine zarejestrować obraz i odwróciłem się od dendrofungusa, by podjąć marsz. Wtedy spostrzegłem, że podczas tych kilku minut zauroczenia ikoną śmierci, zgnilizny i wszechwładnej entropii - zostałem wzięty w niewolę.

Stali dookoła mnie i grzybodrzewa w milczącym półokręgu, szare postacie w mroku Mroku, cisza pomiędzy nimi niczym niewidzialne łącze neuronalne; i ściskali w swych pięciopalcych dłoniach krzemienogrotne włócznie, wszystkie skierowane tym ostrym krzemieniem ku mnie, dziewięć, dziesięć, dwanaście; i przewiercali mnie na wylot spojrzzeniami ludzkich oczu z ludzkich twarzy, a wąskie wargi odsłaniały szczerbate użębienie, siekacze, kły, zęby trzonowe, ludzkie nad wyraz - podczas gdy trzecia para kończyn, wątych trójpalcych rączek, zwisała im beużytecznie wzdłuż tułowia, krótkie ogony były o pośladki, a szaropopielata sierść stroszyła się nad oczodołami i podnosiła w szybkich falach na barkach i ramionach. Były wśród nich samce o zwisających z zapadniętych podbrzuszy bardzo czarnych penisach, i były samice o czterech skłębłych wymionach, co do jednej ciężarne. Stali w bezruchu, a długie, chwytne paluchy ich stóp rytmicznie zginały się i prostowały, grzebiąc nerwowo w tłustej glebie. Oddechy świszczwały cicho w szerokich nozdrzach.

Poruszyłem bezgłośnie wargami, zarządzając otworzenie programu stałego zapisu obrazu. Byłem absolutnie spokojny, strach skrył się gdzieś daleko za horyzontem. Sięgnąłem do kieszeni kurtki po latarkę. Na ten ruch któryś z oszczepników charknął i odezwał się zniekształconą polszczyzną: - Udiesz snami.

Poszedłem.

III

Jej dzieci obciążone są tą samą skazą: przerost życia ponad logikę, estetykę i konieczność. Każda jedna kreatura niczym suma siedmiu - potwory obfitości lebensspirale. Szedłem posłusznie, monstrum przede mną, monstrum za mną, reszta przemykała gdzieś cieniami dżungli, nie słyszałem najmniejszego szmeru. Byli bezgłośni - podczas gdy Piekło ryczało ze wszystkich stron swą zwykłą kakofonią nieustającej nigdy walki silniejszych ze słabszymi. Uświadomiłem sobie, iż tak doskonalili tropiciele mogli mnie regularnie podchodzić od samego Thora, a ja nie dostrzegłbym, nie dosłyszał najniezgrabniejszego z nich; być może byłem śledzony już w chwili zakopywania gleitschwimmera wraz z ekwipunkiem - w takim razie jestem spalony. Cofnąłem się w tym rozumowaniu dwa kroki: tkwi w nim wszak, niczym podskórna drzazga, aprioryczne założenie, że to są śludzy Teufela, te pokraki, że to na jego polecenie porwali mnie i prowadzą teraz przez dżunglę ku niewiadomemu. Lecz czy istotnie jest to założenie bezzasadne? W jakim języku przemówili? Po polsku. Kto tu zna polski? Tylko nieliczni Untermensche (i ja). A jaki inny U-mensch gania wolno po Piekło? Jeno Leszczyński. Czyli wszystko sprowadza się do jednego. Zaiste, on, on tu królem.

Zerknięcia na zegarek: godzina, dwie, cztery, siedem; padałem z nóg. Teren stawał się coraz bardziej podmokły, na dodatek wyraźnie się obniżał, schodziliśmy w jakieś nizinne bagna, dendrofungusy rosły tu znacznie gęściej, cieńsze i bardziej koślawe były ich pnie, niżej zawieszane korony. O ile to możliwe, zrobiło się jeszcze mroczniejsze, kontrastowanie noktoszkieł wyduszało teraz z obrazu ostatnie kwanty światła, opóźnienie interpretacyjne mikrozahlwerków wzrosło, aż przeszkadzało w orientowaniu się w kształtach otoczenia, głazy, przewrócone grzybodrzewa, odłączone od nadorganizmów zwierzęce konary, wielkie pajęczyny wodne - wyskakiwały nagle na mnie odległe zaledwie o dwa kroki, przedtem zwinięte w cień pod postacią miękkich obłoków, mgielnych oparów, rozmazanych konturów. Czy doprawdy o wiele lepiej radzili sobie moi przewodnicy? Ich oczy - tak ludzkie... Jakim zmysłem zatem wiedzeni stąpali pewnie przez coraz większy gąszcz Piekła? Szliśmy i szli, metanowe wyziewy dobywające się z bulgoczących pod naszymi stopami otchłani błotnych - blecht, mssspch, szluch - tworzyły w powietrzu miazmatyczną zawiesinę, od której już po kwadransie kręciło mi się w głowie, tępy ból rozsadał skronie, łomot zatrutej Mrokiem krwi

uniemożliwiało zebranie myśli, zwidywać mi się zaczęły szybsze od mikrozahlwerków zjawy migotliwe, jakieś twarze, nie twarze, blade oblicza nieczłowiecze, kształty kuszące i potworne, drobne światła rozproszone po peryferiach pola widzenia... Poruszają się, tańczą... - Iszcz, iszcz. - Idę, ale już nie wiem dokąd, nie czuję ziemi pod stopami, nie słyszę dżungli, nawet ów nieubłagany odór Mroku odstąpił mnie na czas ciszy. Błękitna toń zamknęła się nade mną.

Obroty wiru zimnego powietrza wydobyły mnie z ciepłej kolebki nieświadomości. Chłód twardych kamieni przeniknął przez ubranie, przepłynął przyjemnym dreszczem po plecach i ramionach. Zakaszlałem, coś wpełzło mi do gardła. W czysto fizjologicznym odruchu usiadłem, zgiąłem się wpół i zacharczałem boleśnie w przestrzeń. Wykrztuszony, wypadł mi na udo długi robal, jeszcze poruszał tuzinem odnóży. Straciłem go, zmiażdżyłem. Po krzywej posadzce z nieobrobionych gładów rozbiegło się kilka mniej śmiałych pobratymców insektopodobnej ohydy. Pomieszczenie ludzaco przypominało średniowieczną celę. Wstałem, wyprostowałem ręce. Dwa metry na dwa na dwa. Brak okien. Ale to chyba są drzwi... W tak absolutnym braku światła nawet noktoszka dawały ledwo przybliżenie prawdziwego obrazu rzeczy - nie posiadały niestety opcji podczerwiennej. A to były jednak drzwi, a w każdym razie - pełniący ich funkcję kawał drewna zawieszony na pleciance z włóknistych łodyg jakiegoś zielska. Pchnięty, odchylił się z lekkim skrzypem. Przybyło światła, mikrozahlwerki szkieł przyspieszyły, z cieni wyłoniły się ostro zarysowane kształty. Była to sala z jednej strony szeroko otwarta na Piekło. Pod ścianą, naprzeciw kamiennej werandy, stał sklecony z ułamków grzybodrewna stół, potem dostrzegłem także krzesło, a w odległym kącie - coś w rodzaju siennika z dwoma skotłowanymi kocami. Na stole leżał elektroniczny złom, obok metalowa taca z - jak się domyślałem - resztkami posiłku. Nigdzie nie dostrzegłem natomiast mego plecaka. Chciałem podejść do stołu, przyjrzeć się tej rozbebeszonej elektronice, lecz ugięły się pode mną nogi, musiałem usiąść pod ścianą, brakowało mi tchu, pot wystąpił na czoło. Powietrze od błotnych wyziewów było tu gęste jak galareta, po kilku oddechach kręciło się człowiekowi w głowie - jeśli to właśnie była siedziba Teufela hrabiego Leszczyńskiego, nie pojmowałem, jak może tu żyć. Odór był okropny, niemal fizycznie odczuwałem nacisk na zatoki, coś pchało się w górę mych nozdrzy, eteralna macka Mroku. Siedziałem tak, wściekły na samego siebie, spod opuszczonych powiek bezsilnie się przypatrując drżącym dłoniom, trzepotowi lewej nogi rozdygotanej od szybkich skurczów przemęczonego mięśnia udowego - i wtedy usłyszałem bębny. Niewykluczone, że dźwięk szedł przez powietrze już od jakiegoś czasu, lecz po prostu nie zwracałem nań uwagi. Dudnienie jednak narastało. Brakowało w nim jakiegokolwiek rytmu, mimo że umysł na siłę

szukał wzorca. Możliwe, że był on po prostu nazbyt skomplikowany. Dudnienie narastało, tak, bez wątplenia narastało; i nie chodziło tu o przyspieszenie łomotu, lecz zwiększenie jego natężenia - wkrótce stało się wręcz ogłuszające. Podniosłem się i wyrząłem na zewnątrz. Zobaczyłem Rytuał.

Stał na błotnym wale, po kostki w ciemnych odmętach powolnej mazi sunącej z góry grubymi węzłami, chmura owadoidów obracała się dookoła niego (szybciej i wolniej, w pozornych ucieczkach i natarciach), zwierzęce pnącza pełzły ku niemu przez stok, a oni podchodzili po kolei, spokojnie, w ustalonym wcześniej porządku, i pili. Stał niewzruszenie. Dopiero gdy odejmowali pyski od jego nadgarstka, w tej krótkiej chwili pomiędzy raptownym oderwaniem się od źródła a zaciśnięciem drugiej dłoni na przegubie wyciągniętej ręki - migąła mi przez noktoszkła krecha gęstego karminu, krew na brudnej skórze przedramienia dawcy. Podchodził następny spragniony, podnosiłem wzrok na twarz kapłana i widziałem wyszczerzone w przestrzeń ponad pochylonym komunikantem spróchniałe zęby Teufela hrabiego Leszczyńskiego. Nie wiem, kto bił w bębny, nie widziałem bębniących. Także ci głodni krwi i krwią już nakarmieni kryli się gdzieś w odleglejszych, gęstszych cieniach piekielnego bagna. Wyłaniali się z cienia, znikali w cieniu. Dendrofungusy podchodziły pochyłą ścianą rozwrzeszczanej dżungli niemal do samego wzgórza, na którym stała kamienna chata Teufela, kopuła fotofilów zwisała zaledwie trzy-cztery metry nad budynkiem. Skądś z lewa docierały przez nieustanny łomot bębnow echa dalekich eksplozji - wybuchały prawdopodobnie podbłotne bąble metanowe. Aż ziemia lekko drżała. Leszczyński zaś wciąż stał na stoku i karmił ich. Cofnąłem się we względny chłód wnętrza kamiennej chałupy. Usiadłem na krześle. Muskuł lewej nogi wciąż drżał. Oparłem łokcie na kolanach. Bębny, bębny. Smród szturmował mózg. Zorientowałem się, że kiwam się mechanicznie na tym krześle, w przód i w tył. Trzeszczało niepokojąco. Wszedł Leszczyński. - Ja nie jestem Polakiem - powiedziałem. - Jestem Niemcem. - Wiem - odparł.

Prawy przegub przewiązany miał jakąś szmatą. Rozejrzał się po izbie w niejakiej dezorientacji, z westchnieniem odwrócił, podreptał do kąta i zwałił na siennik. Padł na wznak, zdrowym przedramieniem zasłonił sobie oczy - choć trudno mi było uwierzyć, że i tak cokolwiek widzi. Nie miał założonych noktokularów. Po prawdzie miał na sobie tylko strzępiaste spodnie od terenowego uniformu U-menscha. Wyglądał na wychudzonego - niemniej żył, czymś zatem karmił się przez te wszystkie lata. Zerknąłem na tacę. Nie wyglądało to zachęcająco, w istocie przypominało raczej stare odchody, glinę zdrapywaną z zaskorupiałych w niej trucheł, wraz z kawałkami tak podgniętego mięsa. Jeśli to mięso; nie sposób orzec. Nie wziąłbym do ust za żadne skarby.

- Kim oni są?

- Kim oni będą - zaakcentował, przechodząc na polski; wymamrotał to w powietrze, nie obróciwszy głowy.

- Kim?

- Ludźmi.

- Kiedy? Ewolucja -

- Za dziesięć, dwanaście lat.

Teraz dopiero zdałem sobie sprawę, że bębny umilkły. Czy słyszałem je jeszcze, gdy Teufel stanął na kamieniach wysuniętej poza dach posadzki? Czy słyszałem, gdy wspinał się na wzgórze? Głowa mi pękała, pamięć - w pamięci nie tyle ziały luki, co brak jej było indeksu, miast minionego dnia trafiałem niespodzianie na wiosnę dzieciństwa, ktoś wymazał odnośniki, rozpadła się hierarchia, runął pałac Mnemona, pozostało grzebanie w gruzach: w jednej dłoni pierś kariatydy, w drugiej - chropowata cegła z fundamentów.

- Na co im krew?

- Trzy lata temu ganiali po drzewach. Daję im ciało i krew, bo one posiadają moc odmiany.

- Zabijesz mnie?

- Nie wiem. Tak, chyba tak.

- Gdzie mój plecak?

- A wtedy stworzą cywilizację, której religią będzie pomsta ich Boga.

- Kto?

- Horusy.

- Kto?

- Oni. Plemię. Dzieci moje. Mściciele.

- Gdzie mój plecak?

- Takie są prawa gwiazd niestałych.

- Głowa mnie boli.

- Zaśnij.

- Mein Gott.

- Zamknij się już.

Pomyślałem, że wstanę, podejść i go uduszę. Spojrzałem. Patrzył na mnie. Z twarzy czytałem mu wielkie zmęczenie. Patrzył - i widział. Nie miał noktokularów, miał coś innego, jakaś półprzezroczysta szarość zarosła jego gałki oczne. Roślina? zwierzę? Niewątpliwie żywy organizm. Nie byłem w stanie wytrzymać długo takiego spojrzenia. Zsunąłem się z

krzesła, zwinąłem w kłębek, zasnąłem.

Czy stał nade mną, pogrążonym w metanowych odmętach nieświadomości, z nożem w ręce i niespełnionym zamiarem w szarych oczach? Śniło mi się... I zapamiętałem. Zabrał mi także zegarek, więc nie wiem, jak długo spałem. Wciąż na wpół otumaniony wywlokłem się opróżnić pęcherz. Głowa pulsowała bólem w rytmie gorącej krwi. Wróciłem i ponownie zasnąłem. Po raz drugi obudziłem się już chory - oddech, ciężki i charkotliwy, drapał mnie w gardle, z trudem odplułem z przetyku twardy gnój. Przycisnąłem czoło do posadzki.

Więcej zimna, więcej kamienia, płonę. Podał mi w metalowym kubku wodę. Wychleptałem. Wyszedł. Próbowalem usiąść, bez powodzenia, błędnik szalał, zbierało mi się na wymioty, musiałem paść na płask: mokra od potu koszula na mokrej ciepłą wilgocią Piekła posadzce. Własny oddech parzył mi skórę przedramienia. Język sam przykleił się do powierzchni wygładzonego stopami Teufela głazu. Zaczęły mną szarpać dreszcze, nie potrafiłem powstrzymać dygotu: fale gorączki i arktycznego chłodu przechodziły naprzemiennie przeze mnie, póki nie zapadłem w niespokojny półsen, płytką nieświadomości sinusoidalnie przybliżającą i oddalającą mnie od świata rzeczywistego. Po drugiej stronie były senne majaki. Co pamiętam: Diabeł i jego ludzie-horusy na stoku wzgórze, wzniesione włócznie, horus nade mną, Diabeł nade mną, wielki krzyk, i ogień płonący na wysokim stosie, dookoła dzikie postaci, Diabeł stoi i przemawia, Diabeł stoi i milczy, Diabeł błogosławi, przynoszą nowo narodzone potworki, niektórym skręca kark, potem otwiera sobie żyły, a matki piją. Szepczę niepewne modlitwy, których inwokacje zapominam po minucie. Siada koło mnie i poi mnie, karmi; zwracam cuchnącą papkę, krztusząc się, na wpół przyduszony. Głaszczę po włosach. Próbuję ugryźć jego dłoń, ale jestem powolniejszy od własnego snu, zmienia się w upiora i rozplywa w powietrzu, nim odsłonię zęby. Krrrr. Sukcesywnie wyciekała ze mnie wola, traciłem wszelką chęć, siłę do choćby rozpacz, wypacałem z siebie ostatnie krople sprzeciwu. Pozostawała kontemplacja niemocy. Czas poruszał się skokami. Jestem sam i jestem z Diabłem; pada deszcz i nie pada; biją bębny i nie biją; dżungla wrzeszczy, dżungla milczy. To mnie wydobyło spod czarnego aksamitu: nienaturalna cisza Piekła. Ocknąłem się w tej ciszy, tak słaby, tak straszliwie słaby; na wyciągnięcie ręki stał na podłodze kubek z wodą, więc wyciągnąłem rękę i wypilem wodę, i to było dzieło mego życia. Czuję, jak przelknięta ciecz spływa we mnie ciepłą strugą. Żołądek skręcił się w ciasny węzeł.

Rozpoczynam ruch ciała. Początki, początki - ile starczy siły i inercji na ciąg dalszy, tyle się przesunę ku werandzie, ale to zaraz gaśnie, zamiera, i znowu muszę zaczynać. Tak się przemieszcza ku realizacji: przez półchęci, niepewności, niedohamowane odruchy, drgnięcia

organiczne. Na łokciach i kolanach, na brzuchu niemal - w pyle. Cisza i ciemność. Wyglądam zza sterty kamienia. Kuca nad moim plecakiem, przygląda się wyciągniętym zeń i rozłożonym na zarośniętej posadzce werandy przedmiotom. Dotyka ich po kolei, jakby próbując przez te dotknięcia odtworzyć prawdę widzenia: rozszyfrować. Lecz spostrzegłszy mnie, wstaje, podchodzi i kopie w skroń. Prąd strzela przez me ciało, zabierając mnie w następny majak, otulonego w jadowity szept Teufela: - Amen, Szwabie.

Inny szept rozdarł kurtynę: - Jec. - Wpychali mi do ust: jedzenie i brudne paluchy. Zakrztusiłem się. - Jec, jec, dobre jeszcze. - Horusy, horusy, Mein Gott, a te ich oczy, a te ich twarze, a ruchy, a mowa, kim oni byli. Kucając we trójkę nade mną, podawali sobie wzajem naczynia z wodą i jedzeniem, drewniane pojemniki krążyły w kręgu, szybciej i szybciej, aż wreszcie któryś przytykał mi je do ust i wówczas zaczynała się litania: - Jec, jec, jec, jec. Pij, pij, pij, pij, pij. - Paluchy z rąk górnych, wątle palce z rąk dolnych - smakowały na mym języku dziwnie słono. Czuję także zapach ich mokrych sierści. Ta trójka - samica i dwa samce - nie posiadała szczytkowych skrzydeł ani ogonów. Uniosłem się na łokciach i zobaczyłem więcej: nie znajdowałem się na Teufelowym wzgórzu, lecz w międzykorzennej kołysce gigantycznego dendrofungusa. Ciemność nade mną, spleciona z jego symbiotycznych kończyn, odległa była o kilkadziesiąt metrów. Metanowy młot uderzał w górę zatok ze znacznie mniejszą siłą. Wykradli mnie Diabłowi, zabrali mnie gdzieś - gdzie? po co? Mają powody, teraz mnie karmią, na pewno mają po temu powody, na pewno coś planują, oni, horusy, tam w ich łbach, to ciemne za ich żrenicami, ten spokój poruszeń - to są myśli, to jest inteligencja. - Jec, jec. - Nie chcę, ale organizm każe, więc żuję i połykam ohydę. - Tak, to jego, to dobre - mruży samica i robi naraz coś niewyobrażalnie potwornego: głaszcze mnie po głowie, jak głąskał Leszczyński. Bezsilna wściekłość wstrząsa mną; zabiłbym, gdybym mógł. Ale nie mogę i muszę jeść, muszę pić.

Zjadłem i wypilem. Nie było to ziemskie pożywienie, z całą pewnością nie wyglądało na takie i nie tak smakowało; a jednak żołądek zdołał je jakoś rozłożyć, energia wpłynęła do układu. Nie zatrąłem się ani nie zwróciłem nieprzetrawionej papki. *To jego, to dobre* - jego, Diabła: jakimś cudem wyhodował tu sobie jadalne odmiany roślin. Bo chyba nie było to mięso? Nie, to nie mogło być mięso.

Nie pamiętam, czy to jeszcze Teufel, czy też już oni w czasie przenosin, gdy pozostawałem nieprzytomny, zdarli ze mnie ubranie. Bo teraz byłem nagi, pozostały mi jeno noktoszka na oczach i implant kostny w przedramieniu. Bez przerwy czuwał nade mną przynajmniej jeden horus; gdy zasypiałem, gdy się budziłem, gdy podnosiłem się - najpierw na czworaki, potem na wyprostowane nogi - by przewlec się parę metrów dla oddania moczu

czy kału, gdy piłem i gdy jadłem, już samemu wpychając sobie paskudztwo do ust. - Laźwa - mówił horus, wskazując szarą maź. - Kosy, jemniak, klep. - Jadłem to wszystko i powoli tępał mi smak. Poza owymi nie do końca wyartykułowanymi pomrukami nie było słów; i nie było nadziei; i nie było strachu, bo nie było przyszłości. Obracałem się zamknięty w pętli przestrzennej, kilkanaście kroków od pnia grzybodrzewa, niczym na uwięzi, pies na łańcuchu, przynęta na żyłce. Poza ów okrąg nie wybiegałem nawet myślą, nic mnie nie ciągnęło, nie było próżni do wypełnienia, nie było ciśnienia pragnień, niczego nie pragnąłem, co najwyżej pragnęło moje ciało, ale te pragnienia były w pełni zaspokajane. Ponieważ nie żyłem, nie musiałem czuć się szczęśliwy. Potrafiłem siedzieć i patrzeć w mrok, póki nie zsunąłem się w ciepłe marzenia, które w istocie zawsze były jedynie podretuszowanymi wspomnieniami z mej przeszłości; a wtedy dalej siedziałem i marzyłem, horus siedział przy mnie, gapiliśmy się niewidząco w wieczną noc, Piekło szeleściło dookoła wodnymi pajęczynami, obsiadały nas czerwonymi rojami owadoidy, przebiegały po nas tysiącnoгие stada robali, mijały obojętnie wielkie zwierzęta. Godziny, dni, puste słowa Blockego. Horus był za każdym snem inny, lecz zawsze ten sam: samica, samiec, zwierzę, które mówi, bajka. Wreszcie - przedtem, potem - najwyraźniej podjąłem decyzję, bo w pełni świadomie wyciągnąłem ku niemu rękę, zacisnąłem dłoń, i ów premedytowany dotyk ukonstytuował jego ciało: teraz był realny. Mokra sierść pod opuszkami, szorstka skóra, węzłaste mięśnie. Realność tę dziedziczyli wszyscy jego następcy; zaszła zmiana, usłyszałem tyknięcie zegara, coś się odwróciło. - Kim ja jestem? - spytałem. - Słojcem - odparł. - Czego chcecie? - Wolnoszci. - Oni chcą wolności, tak mówią, co znaczy dla nich wolność, kto zdradził im słowo, kto zaraził, Teufel, nie Teufel, przecież nie przeciwko sobie samemu, ale może nie pomyślał, co w takim razie rozumieją, że co jest wolność, co znaczy, że jakie to Słońce, co to jest, kto zdradził im słowo, co rozumieją.

I patrzyłem mu w oczy, bo to były oczy, nie ślepie, patrzyłem w jego niemrugające nigdy oczy, i teraz już widziałem w nich ów niepojmowalny głód, wampirze pragnienie, tęsknotę za nieutraconym; patrzyłem, on widział, że patrzę, w ten sposób wymienialiśmy spojrzenia, długie, spokojne spojrzenia, z których wnioskowałem istnienie między nami porozumienia, zgoła przymierza - ale ja nie wiedziałem, co by to mogło być za przymierze. On wiedział. Nie był strażnikiem - był opiekunem. Wszyscy oni byli troskliwymi opiekunami. Nie mieli za zadanie powstrzymywać mnie przed czymkolwiek, mogłem zerwać niewidzialny łańcuch, wyjść poza okrąg. Ale nie było po co. Brakowało motywów do choćby myśli o ucieczce. Po cóż uciekać? Co zyskam? Tak jest dobrze: nic do zyskania, nic do stracenia, spokój. Horusy to rozumiały. To Piekło poruszało się wokół nas, my zaś

pozostawaliśmy w absolutnym bezruchu. Zegar tykał, ale prawie go nie słyszałem. Połykałem jedzenie, które nie miało już smaku; piłem dla wypełnienia żołądka wodę; dla jego opróżnienia wydaląłem. Tu siedzi zwierzę. Ponad nie - jedynie milczenie. Był to czas milczenia, braku potrzeby słów i myśli. Posiadałem wówczas taki stopień przezroczystości, jaki nigdy wcześniej nie był mi dany, bodźce świata zewnętrznego przechodziły przeze mnie bez pozostawienia najmniejszej zmarszczki, najdrobniejszej choćby interferencji, osiągnęliśmy stan stuprocentowej koherencji: ja i Mrok.

Potem przyszedli, a było ich tuzin, sześciu mężczyzn, sześć kobiet, i naznaczyli mnie. Mieli glinę, mieli noże, mieli soki. Stałem w bezruchu, a oni malowali. Wzdłuż linii, co nigdy nie były proste, pociągnęli kamiennymi klingami, aż rozchyliła mi się skóra i wybroczyła na nią jasna krew. Gdzie indziej kłuli ją na wylot i przewlekali talizmany, amulety turpistyczne: kości horusowe i ludzkie, nie do odróżnienia. Włosy, natarte tłustymi sokami, zapleciono mi i związane w kształt, którego mogłem się tylko domyślać. Do pleców, pod łopatkami, przymocowano lekkie, acz twarde konstrukcje, najprawdopodobniej z drewna, nawet ich nie zdążyłem zobaczyć przed zawieszeniem na fałdach skóry. Czułem strumyki krwi pełzące powoli od nich wzdłuż kręgosłupa, ku kości ogonowej i szczelinie między pośladkami, gdzie na czterech cierniowych kolcach wdzierzgnięto w ciało martwy, bezwładny ogon z krótko przyciętej węzoliany. Na wysokości czwartych żeber zawiązali na mej dermie supły wykonanych z suszonego zielska atrap trzeciej pary kończyn. Spojrzałem: piersi pokrywał mi malunek złożony z kilku warstw wielokolorowych, falistych linii, biegnących ku plecocom i w dół, na uda. Kolana pokryto brunatnym barwnikiem, na palce stóp nawleczono pierścienie, łydki obwiązano białym nibyłykiem, które natychmiast zacisnęło się w twarde pancerz, członek przedłużono, domocowując czarną kość, w pępek wciśnięto chropowaty kamień. Nie czułem bólu, w krwiobrocne nacięcia wcierali mi inne soki. Strunę zmysłów naciągnęło mi na ponad kilometr, tyle dzieliło mnie od własnego ciała, soki odwróciły lunetę układu nerwowego - tak daleko, taki mały, tak nieznaczący: mogli mnie złożyć do grobu, i nie wiem, czy bym nawet wzruszył ramionami. Od wzruszenia ramion łopatkowe konstrukcje klekotały lekko. Gdy wetknęli mi w dłoń włócznię, uniosłem ją w górę i zagrzechotały amulety. Odstąpili. Spojrzałem im w oczy. U ś m i e c h n ę l i s i ę.

Poprowadził mężczyzna z odrąbaną trzecią ręką. Skręcając na leśnych ścieżkach, mrucał coś do siebie, w końcu rozpoznałem melodię niecenzuralnej piosenki popularnej w Rzeszy kilkanaście lat temu. Uderzyło mnie to jako tak nieprawdopodobny surrealizm, że z tego zdumienia aż obejrzałem się za siebie i wówczas zobaczyłem długi, nierówny szereg horusów, ginący gdzieś za siódmym tytułem ciemności, a każdy z maszerujących w nim

rytmicznie otwierał i zamykał usta, układając niemo wargi do francuskich słów szlagieru. W tym momencie, w pół kroku, zanim jeszcze moja stopa zanurzyła się w gorącym błocie - dotarło do mnie prawdziwe znaczenie rozgrywających się wydarzeń. Pojąłem: to ceremonia, rytuał, a ja jestem bożkiem, złotym idolem, nie mam imienia, nie jestem osobą, wypełniam funkcję. Tak samo przeznaczone jest mi to miejsce w szeregu. Powody, jeśli są, podobnie przynależą do mitu; wybory, jeśli świadome, identycznie wykraczają poza wszelką racjonalność; nie ma zbawienia. Słowa nic nie znaczą: tej piosenki, tamtych odpowiedzi - *wolnoszcz, la la lala*. Jak to dobrze, żem już po drugiej stronie śmierci.

Rozpoznałem otoczenie, rozpoznałem metanowe powietrze. Bagno łąpało mnie za nogi. Horusy odpędzały błotne drapieżniki, uderzając w ciemną zawieszinę kijami i włóczniami.

Potem wyszliśmy pod wzgórze. Było ich tu ze stu. Teufel hrabia Leszczyński klęczał pod werandą i wrzeszczał w korony dendrofungusów. Obie ręce miał po łokcie czarne od krwi. Krzywe, chore zęby szczyrzył na stojące niżej w ciszy i bezruchu horusy.

Koło zamknęło się i wypchnęli mnie do przodu. Spojrzał i zaśmiał się. Potrząsnąłem włócznią. Horusy westchnęły i w Piekło nagle zaległa cisza.

- Nie możesz - rzekł i z niejakim trudem podniósł się na nogi. - Nie potrafisz. Nie masz siły. Nie wiesz. Odejdź! Won! Won mi stąd!

Powtórnie potrząsnąłem włócznią. Horusy westchnęły. - Dałem im siebie - warknął i potoczył po rzędach milczącej widowni wzrokiem, w którym po równo mieszały się wściekłość i rozżalenie. - Dałem im przyszłość i myśli o przyszłości, gwiazdy i Ziemię, wszystko im dałem. Nie ma sprawiedliwości. Jaki masz cel, Szwabie? Nie masz żadnego. Obejrzyj się. Za twoimi plecami - tam nie ma niczego, niczego. Nie ma pożądanego, nie ma gniewu, nie ma nawet pragnienia uznania, niewolniku strachu.

Po raz trzeci włócznia.

- To z powodu ekstremalizmów środowiska - szepnął, odwróciwszy wzrok. - Mechanizm kradzieży przystosowań. Zjadają i przyswajają lebenspirale pożartego - jest tu taka odmiana fauny, rodzina złodziei formy. Są także mechanizmy blokady. Spryt replikatorów. Podświadomy akcelerator ewolucyjny: bo jednak idzie to rekombinacjami w dużym stopniu losowymi. Lecz mimo wszystko niektóre organizmy potrafią tym procesem do pewnego poziomu sterować. I to też można ukraść, też jest kodowane, ta cudowna umiejętność autoewolucji. A ja je hoduję. Będą ludźmi; będą więcej niż ludźmi, nie pozbawię ich przecież tej zdolności. Zniszczą was. Nie zdegenerują się. To kwestia diety. - Wyszczyrzył szczyrbate uźębienie. - A piją inteligencję. Jeśli nawet ty... To co zrobisz, Ubermenschu?

Zniszczysz planetę? W końcu przyjdą po was, przylecą, szybciej, niż moglibyście się spodziewać, i nie ma takiej zarazy, którą moglibyście na nich zesłać, a której oni nie byliby w stanie zasymilować. Zawsze i wszędzie będą formą najwyższą. Dałem im to wszystko, a teraz przychodzą tu z tobą. W imię czego? - syknął - Dlaczego obracają się przeciwko mnie?!

- Dla słońca.

- Co...?

- Bo nie są rasą niewolników, U-menschu.

Cisnąłem włócznią i włócznia trafiła. Przewrócił się. Drzewce drżało i chybotąło się na boki, gdy wił się i rzucał na glazach werandy. Ich powierzchnia ciemniała zalewana krzepnącą powoli glazurą krwi. Stałem i obserwowałem rozlew. Leszczyński bełkotał coś w nieznanym mi języku. W końcu krew rzuciła mu się ustami i wtedy umilkł. Horusy ruszyły naprzód. Pierwsza kobieta, która nie była w widocznej ciąży, pochyliła się nad Diabłem i wycięła mu z klatki piersiowej serce. Podzieliła je i rozdała złaknionym. Zaczęli jeść. Potem przystąpili kolejni, było jeszcze sporo mięsa. Obszedłem ich szerokim łukiem, kłębiących się nad zwłokami Diabła, i wspiałem się do kamiennej chaty. Plecak leżał przy posłaniu Teufela. Znalazłem i wyjąłem miskę. Wyszedłem na zewnątrz. Kilkanaście metrów niżej horusy szeptały coś do siebie w ciasnym kręgu, resztek ciała podczłowieka nie było widać z za tego tłumu. Odwróciłem się od nich i wywołałem podprogram. - Zabiłem go. Zabierzcie mnie, nie mogę wrócić sam. Wszystko wiem. W każdym razie wystarczy. Siądźcie na tych koordynatach. Szybko. Jak najszybciej. To nie jest Kretowisko, to nie jest Kretowisko. - Obróciłem miskę podług wskazówek Blockego i strzeliłem w górną ciemność skomprimowanym sygnałem. Sygnał poszedł i pomyślałem: ratunek. Pomyślałem: przeżyję. Upuściłem miskę. Kwas zalał mi żołądek, gorąca krew uderzyła do głowy, jelita skręciły się w supeł, mięśnie zaczęły drżeć w niekontrolowanych skurczach, nie mogłem powstrzymać dygotu. Musiałem oprzeć się o kamienną ścianę. Oddech mi przyśpieszył, zacząłem się pocić. Jednak mimo łomotu krwi w uszach usłyszałem ich stąpanie, rytmiczne młaśnięcie błota. Oderwałem się od ściany i obróciłem. Pierwsze podchodziły kobiety. Ta, która uknęła, podała mi nóż. Ująłem kamienną rękojeść w zimną już dłoń. Zacisnąłem palce, mocno, bardzo mocno, to był uścisk rytualny, zawarcie przymierza z tym, co przelewa krew. Potem spokojnie, równo, bez wahania przesunąłem ostrzem po nadgarstku. Złapała mnie powyżej przecięcia, ucałowała w przegub, przyssała się do rany. Czułem jej ciepły język, wilgoć ust na mej skórze, ślinę gęstą, może już też moją własną krew zawróconą w obrocie rytmu jej przełknięć i sapnięć. Z wysiłkiem wydłużyłem oddech. Uniosłem spojrzenie, by nie patrzeć w oczy oczekujących, tych niezapłodnionych kobiet, które chcą włączyć do lebenspirali swych

dzieci moje oczy, moją twarz i mój strach, choć ani nie rozumieją, co to są te spirale życia, ani do końca nie pojmują manipulacji Leszczyńskiego, dzięki którym tak szybko dojrzewają, tak szybko rodzą i otwierają w swym potomstwie następne pokolenia metagatunku w tym niepowstrzymywalnym już sprincie ku cywilizacji. Kobieta odejmuje usta od rany; kolejna klęka i przystępuje do komunii. Ceremonia trwa. Wzrok mi się mgli. Chrzcę własną krwią ich nienarodzone dzieci. Ktoś mnie podtrzymuje, bo tracę siły. Przystępują następni, kobiety i mężczyźni, ci uprzywilejowani, których sperma posiada największą moc transferu człowieczeństwa: z jednego łyku - dziesięcioro, dwadzieścioro synów i córek. Stąd wyjdą armie, tu rozdziera się szczelina przyszłości. Nie wiedzą, a pragną. Nie wiedzą, a piją. A może wiedzą. Diabelskie nasienie. Nie mogę oderwać ręki. Hhhhhwch... Znowu bębny, teraz je słyszę, bębny zewsząd, Piekło dudni w rytmie mego słabnącego tętna. Ktoś mnie podtrzymuje: wojownicy z włóczniami w drugich rękach - z lewej i z prawej i z tyłu. Ale to nie litościwa pomoc, ich uścisk nazbyt silny. Bogów się zjada. Powietrza! Metan maści myśli. A bębny: kababum, bum, ba-ba-babummmmm! Klęka następny. - Serce ty - szepcze. I ssie. Owadoidy dookoła mej głowy, niczym spiralny woal, aureola potępienia. Patrzę w górę, w ciemność, w rozpostarty nad nami płaszcz symbiontów dendrofungusowych. I wtedy, i teraz, i nagle - błysk, jasność, dziura; widzę: po raz pierwszy otwiera się mrok nieba, niebo Mroku pęka w szwach, i z wysokości spada prosto na mnie wielkie światło.

listopad 1997 - luty 1998

AGUERRE W ŚWICIE

1. Mord w Aguerre

Quinceyowiec klęka, przyciskając twarz do podłogi, prawe oko ginie w dywanie, spogląda na zwłoki lewym. Wielki zegar z żelaza, mahoni i kryształu wybija w kącie pokoju dwudziestą siódmą. Lady Amiel na odgłos pierwszego uderzenia kryształowego serca upuszcza kielich z fioletowym spieré; zaraz jednak wino i odłamki szkła unoszą się z podłogi i wracają do nieposłusznej dłoni: to wchodzi Scilla. Błyskawicznie robi się ciemniej. Albedo skóry xenotyka nie przekracza procenta. Scilla jest w białej koszuli i białych spodniach, boso. Nie ma włosów. Czarne stopy toną w dywanie. Spogląda na plecy quinceyowca i klęczącemu płaczącą się myśli; nie wiedząc, co rzec, podnosi się i mówi:

- Piękne.
- Proszę?
- Mord.

Lady Amiel odstawia zawrócony z czasu kielich i nalewa sobie do nowego. By nie patrzeć na ciało męża, wygląda przez okno. Za miastem, na północnym horyzoncie, pod pierścieniem, trzeszczą poziome, czerwone błyskawice.

- Mijamy Śmierć Tataux - mamrocze w przestrzeń.

Karmin kilometrowych piorunów odbija się w jej źrenicach krwawymi niteczkami. Zamyka oczy. Oddycha, oddycha, oddycha. Boże. Co ja teraz zrobię. W Iluzjonie już się pewnie gotuje. Gabriel, niech cię szlag, na co ci był w konstytucji ten de Quincey. Kręci jej się w głowie, opiera się o barek. *Kreist*, jaka pustka. Mięśnie brzucha drżą w niekończących się skurczach.

Nagle bardzo ciężka, musi się teraz opierać obiema rękami, odstawia więc kielich.

To wszedł Aguerre.

- *Gritz*.
- *Gritz, frei*.

Podchodzi do niej.

- *Meigaud*, Carla, naprawdę nie wiem, co powiedzieć. Nie miałem pojęcia. Ogłoszę wendetę.

- Nie trzeba.
- Chcę. *Jiis*. - Obejmuje ją, ściska za ramię. - Nie rozumiem.

Lady Amiel czuje, jak zapada się w ciało xenotyka. Stampa *Primusa* OHX zaburza

gradienty grawitacji. Wdowa uwalnia się, z wysiłkiem unosi głowę i spogląda w twarz Aguerre. Maskę współczucia. Z podocznych wybroczyn przebija ohydny fiolet gleju. Wolałaby już Aguerre tak jednolicie czarnego jak Scilla, przynajmniej nie byłoby widać t e g o. Oni czasami pocą się glejem i maż pozostaje na przedmiotach i osobach, które dotykali.

Aguerre kręci głową.

- Cokolwiek. Tylko powiedz.

Lady Amiel chyba nawet nie słyszy. Wykonuje błędny ruch dłonią.

- Muszę usiąść - mamrocze.

Wbiega krzesło. Aguerre wyciąga rękę i mebel wpada mu w nią, zakręcając w locie.

- Proszę.

Kobieta siada.

Okno otwiera się na oścież, zimne powietrze nieziemskiej nocy wpływa do środka, wprawiając w drżenie płomienie świec, mierzwiąc białe włosy wdowy, szeleszcząc papierami na regale. Porusza się także rękaw szaty lorda Amiel.

Scilla obchodzi jego zwłoki, bezgłośnie. Tam, gdzie spogląda, robi się jaśniej. Gdy wpatruje się dłużej w poderżnięte gardło mężczyzny na fotelu, rana rozjarza się do białości wręcz kaleczącej oczy.

Quinceyowiec stoi w bezruchu. Patrzy; ucztuje. Na wysokości jego łokcia obraca się w powietrzu korona kurzu, spleciona w małym residuum oktomorficznym. Quinceyowiec czyni w zamyśleniu pół kroku w bok i syczy z bólu, gdy ręka trafia w mikrowęzeł 4D.

- Znam go? - pyta wdowa przez ramię, ocucona dźwiękiem cierpienia.

Aguerre - głowa w Iluzjonie - odpowiada:

- Chyba nie. Pokazać?

- Dziękuję. Nie trzeba.

- Ucieka.

- Tak.

Aguerre ogląda się na Scillę. Scilla Miaso OHX, numer 16 według sierpniowych notowań Łuznego, 356.7 oct., dwadzieścia dwa lata bezsenności. Pies Aguerre. W takich sytuacjach słowa między nimi nie są potrzebne, ani w Glinie, ani w GRI. Pół spojrzenia, drżenie stamper, żyła gleju, to wystarcza. Scilla kiwa głową, zakręca na pięcie, mija zgarbioną lady Amiel i wyskakuje przez okno z siedemdziesiątego piętra. Noc połyka czarno-białą postać bezdźwięcznie.

Aguerre masuje ramiona wdowy. W końcu coś się w niej przelamuje pod jego

dotykem i kobieta wydaje z siebie pierwszy krzyk rozpacz; na razie jeszcze bardziej szept, westchnienie - ale tak uwalnia się dusza.

Aguerre podnosi wzrok na quinceyowca. Spojrzenie xenotyka czują nawet nieprzytomni; teraz quinceyowiec wzdryga się pod nim, rozgląda nerwowo i wychodzi.

Minuta ciszy. Zwłoki stygną. Nocny wiatr. Kobieta w rozpacz. Zapach gleju.

Aguerre czyta w iluzyjnej bibliotece konstytucję zabitego. Konstytucja w punkcie piątym przywołuje pełny tekst Deklaracji Londyńskiej, włącznie z ortodoksyjną Zasadą Arté. Aguerre pyta bibliotekarza o indeks i ten wskazuje mu przypisy. Egzekucja Zasady wymaga ustalenia estetycznego statusu zabójstwa. Ponieważ Zasada zgadza się co do smutnego faktu, iż obiektywne piękno, choć istnieje, nie może zostać orzeczone po tej stronie śmierci - przybędzie tu dwunastu quinceyowców i oni wydadzą sąd. Informacja już pomknęła glejowodami, autotestament Gabriela się wykonuje.

Czyli morderca może jednak jeszcze podpaść pod lokalną jurysdykcję - jeśli zbrodnia złamała kanony piękna.

Aguerre, masując kark i barki wdowy, otwiera drzwi do Scilli i wchodzi przez Stróża do jego głowy.

- Złap mi tego artystę - myśli mu.

W Glinie, dwa pokoje dalej, nadal trwa bal z okazji piątej rocznicy zakupu planety, płynnie muzyka i śmiech soczysty, ludzi oraz xenotyków.

2. Pies i Kameleon

Scilla Miaso wyskakuje przez okno, nogawki i bufoniaste rękawy furkoczą w chłodnym powietrzu, biel rozedrgana ponad sprawność ludzkiego oka, gdy tak spada w morderczym pędzie, siedemdziesiąte, sześćdziesiąte, pięćdziesiąte piętro, błyskawicznie ciemnieją i jaśnieją mijane w locie gargulce, płaskorzeźby, wielokolorowe okna, płaszczyzny lśniącego żywokrstu zazębające się na ścianie Aguerre Tower w Penrose'owe mozaiki.

W okolicy czterdziestej kondygnacji xenotyk zaciska przestrzeń nad głową. Szybko przesuwają punkt zapaści wzwyż i wzmacniają węzeł, aż studnia grawitacyjna zakleszczona zostaje dwieście metrów ponad ziemią, w środku ulicznego kanionu między Aguerre Tower a Zamkiem Zakonu. Studnia z początku musi być głęboka, by wyhamować upadek Scilli. Zanim Miaso się zatrzymuje, a potem wznosi do lokalnego pseudo-Lagrange'a (osiemdziesiąte drugie piętro), od Wieży i Zamku odpada kilka fragmentów zewnętrznych

dekoracji. Z narożnego tarasu Zamku wyrwane zostają też cztery wielkie sztandary OHX, gigantyczne płachty złego fioletu z nakreślonymi na każdej trzema srebrnymi literami. Sztandary spadają w grawitacyjny węzeł, oplatają się wokół niego, długie drzewca wystają z kłębowiska pod dzikimi kątami, jedno się łamie... Koleczaste fioletowe słońce nad głową xenotyka.

Scilla, zawieszony w punkcie nieważkości, przygląda się Aguerre City - astygmatycznie, bo zarazem w Glinie i w Iluzjonie.

W Glinie miasto błyszczy blaskiem podwójnie odbitym - jest noc (zawsze jest noc), słońce pod horyzontem, lecz złoto-niebieski pierścień planety dostarcza wystarczająco dużo światła, by żywokrystna metropolia jaśniała na tle starego, wulkanicznego płaskowyżu niczym diament na żużlu. Diament jest sześcioboczny, przy czym fasety przednia i tylna są nieproporcjonalnie wydłużone przez identyczne odbicia transferowanej dzielnicy. Aktualnie transferuje się Dystrykt Handlowy, rosną przed miastem szpiczaste Trojaczki Goose'a, jeszcze nie upadłe po przeciwnej jego stronie - a już lśnią kryształowym żywokrystem w awangardzie Aguerre City, przed Dzielnicą Kabalistów. Ponieważ centrum oraz osie miasta nieustannie się przesuwają, i to w różnych kierunkach, jako że zmienny jest kierunek wędrówki metropolii - wzór jej ulic z konieczności posiada strukturę fraktalową, zawsze z paroma ogniskami, do których dojdiesz z każdego punktu, stosując się do jednego i tego samego algorytmu marszruty. Ognisko najbliższe geometrycznemu środkowi Miasta Chaosu zwać Wielkim Atraktozem. Aguerre Tower i Zamek OHX zostały przekopiwane ponad dwa tygodnie temu i Scilla, wisząc tak między nimi i patrząc ku frontowi metropolii, ma przed sobą cztery atraktory, osiemdziesiąt procent Aguerre City, a dalej - czarną równinę pociętą płytkimi wąwozami, wschód pierścienia, ogromną kopułę gwiazd, nawet po stronie dnia nigdy do końca nieblaknących.

W Aguerre mieszka zaledwie czterysta tysięcy ludzi. Zważywszy na porę, nie należałoby się spodziewać wielkiego ruchu, lecz jako że trwa święto - dachy i tarasy, powietrzne kawiarnie i dansingi są zapełnione. Pograżone w niemal pełnym mroku chodniki naziemne służą wyłącznie bezludnemu transportowi automatycznemu, w tym - żywokrystnej perystaltyce wędrownego miasta. A że zgodnie z zarządzeniem burmistrza zabroniony jest ponad AC transport powietrzny - wróciła tu do łask zapomniana sztuka spaceru; Aguerre City jest wystarczająco małe. Od swych narodzin poddane konwencji architektury trójwymiarowej - gdzie żaden z kierunków nie jest dyskryminowany z uwagi na wektor grawitacji i niedoskonałość technologii materiałowych - miasto wykształciło tradycję podróży po ścieżkach łączących dowolne dwa punkty znajdujące się pod jego dyfuzyjną półsferą. Węższe

i szersze ścieżki z najszybszego, czarnego, wysokoenergetycznego żywokrystu rosną pomiędzy budynkami ze średnią prędkością trzech kilometrów na godzinę; jeszcze szybciej kruszą się potem do piezoelektrycznej sadzy. Fazę aktywności miasta można osądzić po jednym rzucie oka: jak gęsta jest sieć dróg powietrznych. Dłuższe spojrzenie pozwala na precyzyjniejszą ocenę: punkty zagęszczeń, zbiegów opadających i wznoszących się alejek, wskazują - niczym w strukturze zmarzliny, w schemacie polimeru - centra krystalizacji, miejsca, gdzie najmocniej bije puls miasta. Teraz nie ma wątpliwości, iż uwaga metropolii skupia się na Aguerre Tower: żywokrystny ziggurat otacza ciasna rozgwieżdżona czarnych wstęg, niektóre jeszcze rosną, niektóre już się rozpadają, i to przeważnie poczynając od końców odleglejszych od wieży - wciąż więcej gości przybywa, niż opuszcza komnaty planetodzierzcy. Sieć owa jest w tej okolicy tak gęsta, że należy uznać za cud, iż nagle wybicie przez Miaso grawitacyjnej dziury nie naruszyło konstrukcji żadnej z alejek. Jedną ma pod sobą, jedną po lewej, jedną na poziomie fioletowego słońca - ta prowadzi od Strażnicy, najwyższego budynku miasta, opadając ku balkonowi sześćdziesiątego drugiego piętra Aguerre Tower (jeszcze doń nie dorosła). Mężczyzna w białym garniturze i kobieta w granatowej sukni topless przystanąli na niej, oparli się o poręcz, spoglądają na Scillę; kobieta unosi ku niemu w niemym toaście asymetryczny kielich-konchę. Miaso ich ignoruje - jest już w Iluzjonie.

W Iluzjonie/Open/Aguerre00 panuje tłok czterokrotnie większy. Na obchody rocznicy przybyło ponad milion gości, głównie z Ziemi, lecz także nieproporcjonalnie wiele z kolonii. Zaproszeni są bowiem w większości (w ten czy inny sposób) powiązani z ICEO lub wręcz z OHX. Teraz tłoczą się na widokowych instalacjach miasta, jego kaskadowych tarasach, żywokrystnych drózkach powietrznych, gliny i iluzyjnych. Dla gości iluzyjnych lewitujący xenotyk stanowi większą atrakcję: troje stojących na alejce za parą w wieczorowych strojach wskazuje Scillę palcami, kobieta z kielichem tłumaczy im coś przez ramię. Miaso nie zwraca uwagi, jest już w Iluzjonie/Open/ Aguerre00/Personal/Track07.

Ściągnięte przez Stróża nagranie sprzed kilkunastu minut nakłada się na obraz czasu rzeczywistego. Morderca wyskakuje przez okno z Aguerre Tower - ale nie jest xenotykiem i sztuka Rzeźby czasoprzestrzeni jest mu obca, jego strategia inna: wyskoczył, obrócił się w locie, przywarł do ściany, wisi na palcach. Miaso przygląda mu się z uwagą. Mężczyzna jest wysoki, szczupły, ma długie ręce, długie nogi, czarne włosy splecione w warkocz; twarzy nie widać, przyciśnięta do muru. Jasnoszary garnitur marszczy się i zwija - na kolanach, na ramionach, w pasie. Morderca szybko strąca ze stóp skórzane mokasyny - lecą w przepaść. Nogi wyszukują punkty podparcia. Nie ma skarpet i teraz widać, co się dzieje z jego palcami:

wydłużają się, wykrzywiają, grubieją. Scilla mierzy tempo metamorfozy: rząd sekund. Tak brutalna RNAdycja wymaga gęstej sieci nanowodów energochłonnych na poziomie komórkowym, potężnych zapasów szybkich analogów ATP... Zabójca, musi być ciężko znanocyborgizowany.

Budzi się w Scilli nagle pragnienie: złapię tego artystę dla Aguerre.

- To Kameleon - odpowiada swemu suwerenowi.

Kameleon, metamorficzny asasyn, zakończył już optymalizację fenotypu (genotyp optymalizuje błyskawicznie) i teraz schodzi po elewacji wieży w tempie kondygnacji na sekundę. Miaso przesuwając sobie spektrum odbieranych fal elektromagnetycznych w lewo: widzi pozostawianą przez Kameleona smugę ciepłego powietrza, gorączkę jego ciała. Temperatura organizmu asasyna utrzymuje się tuż pod progiem denaturacji białka.

Na pięćdziesiątym drugim piętrze Kameleon skręca ku balkonowi, odwraca się i skacze w przepaść - znajdowała się tam żywokrystna ścieżka, której teraz już nie ma. Miaso wywołuje ją w Iluzjonie. Kameleon biegnie po niej stałym rytmem niezmordowanego sprintera, na ciągłym długu tlenowym, w biegu od nowa się RNAdytując, błękitny termowarkocz za nim.

Oczywiście gdyby Scilla chciał prześledzić poczynania mordercy lorda Amiel w skali czasowej 1:1, nigdy by go nie dopadł - zawsze o ten kwadrans w tyle. Toteż przyśpiesza projekcję do 1:4, 1:10, 1:20. Dojdzie go w minutę.

Miaso odpala NavigatorkaXG i rozpoczyna się pościg - Pies i Kameleon w Mieście Chaosu, pod zimnymi gwiazdami.

Raz, dwa, trzy; co krok to nowa rzeźba czasoprzestrzeni. To już są szybkości i precyzje niedosiężne dla nagich umysłów, nawet jeśli xenogenetycznych. Milisekundy, milimetry, ugięcia pola grawitacyjnego co do 0.00001g - i tak przecież niechlujne i pośpieszne w porównaniu z Rzeźbą wielkoskalową, chlebem codziennym bezsennych. Tutaj to zaiste spacer. Raz, dwa, trzy; co krok to kilkadziesiąt metrów, po wysokich łukach, między płataniną czarnych ścieżek, przez zawieszony w nocnym powietrzu tłum, gliny i iluzyjny, przez światła, muzykę i śmiech, w furkocie białej tkaniny, w obłoku cienia, zawsze spadając, zawsze „w dół”, ku kolejnemu węzłowi, też zaraz się rozwiązującemu - i tak od grawitacyjnej studni do studni, czarny Pies w siedmiomilowych butach; tyle że bosy. A gdzie spojrzysz, tam ogień, a kędy przejdzie - po niewidzialnych mostach nocy, setkę metrów nad ziemią - tam nagle wszystko nieważkie: mijani zbyt blisko glinni goście łapią się poręczy, kolorowe trunki uciekają z poruszonych przez nich naczyń, ich ubiory marszczą się w przeciwnych designowi kierunkach. Raz, dwa, trzy; za duchem Kameleona przez kolorowe

Aguerre City.

Dopada go na placu Wielkiego Atraktora.

I żadnych tu bojów, żadnych zmagień efekownych, pompatycznego *mano a mano*. Kameleon jest w stanie wyRNAdytować sobie gruczoły produkujące najzłośliwsze zarazy, jady ultratoksyczne, nie musi dotknąć, by zabić; lecz Scilla - Scilla to xenotyp, glej w jego żyłach, glej w jego genach: by zabić, nie musi nawet znajdować się na tej samej planecie.

Odpala ze wszczepki jedną z wersji Cage'a, szybkie makro NavigatoraXG. Kameleon przecina właśnie rondo, przeskakuje powolne gąsienice transportowego żywokrystu - i po kolejnym skoku po prostu zawisa w powietrzu. NavigatorXG odpowiednio zmniejsza moc zafiksowanego przez Cage'a węzła, który zniwelował pęd mężczyzny, i teraz znajduje się on w punkcie zerowego bilansu grawitacyjnego, subtelna Rzeźba dookoła więzi go w ciasnym bąblu nieważkości. Z tej klatki nie ma ucieczki: nawet nagły odrzut go nie uratuje, NavigatorXG natychmiast zoptymalizuje Rzeźbę, wszelki ruch będzie ruchem pozornym.

Miaso opuszcza Iluzjon i spada na bezludny Wielki Atraktor Gliny. Zatrzymuje się kilkanaście metrów od Kameleona, trochę wyżej od pochwyconego. Asasyn obrócił się w powietrzu, spogląda na czarnoskórego xenotypa wielkimi oczyma barwy miodu. On na Scillę, a Scilla patrzy na Kameleona - powoli rośnie dookoła zabójcy aureola złotego blasku. Kameleon dyszy głośno przez wполotwarte usta, gęsta ślina ścieka mu na brodę. Nie opuszcza wzroku. Wydawałoby się, że powinni sobie coś teraz powiedzieć, wytłumaczyć, zapytać, przekląć; ale żaden nie mówi nic.

Scilla przechyla głowę. Klatka zaczyna się wznosić. Zabójca podciąga kolana pod brodę, kuli się do pozycji fetalnej. Miaso przeczuwa jakąś potężną RNA-dycję, lecz nie jest w stanie jej zapobiec - więc tylko gotuje makro sejfu atmosferycznego, ClosedCircuit.

Szybują w ciszy.

Pół minuty później, gdy zbliżają się ponad AC do Zamku, Kameleon płonie już w podczerwieni błękitną żagwią. Gdy zaś lądują na górnym tarasie, sekretny nowotwór dociera do jego skóry i martwy asasyn na oczach Scilli Miaso rozpada się, rozplywa w kupę gorącego djenajowego błota.

3. Jak wdowa

Co dziwne, potem zasnęła. Spała długo i chyba nawet śniła, na pewno śniła, wszak wyrzuciło ją na jawę z taką siłą, że prawie spadła z łóżka - lecz co śniła? Nie przypomni

sobie.

Stoi teraz oparta o futrynę drzwi balkonowych, zakutana ściśle w jedwabne kimono, Aguerre City lśni przed nią siedmioma barwami nocy, Śmierć Tataux grzmi i błyska, świeci pierścień, na ścieżce dwa piętra niżej tańczy zakochana para... Carla Paige stoi i liczy lata. Ile przed Gabrielem; ile z Gabrielem; ile po nim. I co przeważą. Nie jest smutna, nie rozpacza, nie oplakuje - jest spokojna, nadszedł dla niej czas arytmetyki.

Ktoś puka. Carla wchodzi do Iluzjonu/Personal i ogląda się na drzwi. Rozpływają się pod jej spojrzeniem w rzadką mgłę: to Frederick Aguerre. Wpuszcza go.

- Wstałaś. Muszę z tobą porozmawiać.

Ona kiwa głową niepewnie - przytakując? zapraszając? okazując rezygnację? Zaraz odwraca się z powrotem ku miastu. Widok wielkich przestrzeni wywołuje u niej dreszcze, podświadomie buduje wrażenie zimna; więc tym mocniej obejmuje się ramionami, ściślej zamyka szatę.

Aguerre - już w bardziej swobodnym stroju: szarych lnianych spodniach o szerokich nogawkach, niedopiętym kaftanie OHX (fioletowa satyna przesywana srebrem, czarne mankiety) - podchodzi do niej, nachyla się. Znowu sam nie musi jej dotykać, stampa przyciągają i tak, w takiej bliskości - wręcz nieuchronnie. Carla ciąży ku xenotykowi, odchyła się od futryny, traci równowagę... W ostatniej chwili odwraca się i z wysiłkiem odstepuje. Przelotny gniew na jej twarzy.

- Chodź, przejdziemy się - mówi szybko Aguerre.

Wychodzi na balkon, w Iluzjonie/Edit/Aguerre03 zamawia ścieżkę. Czarny jęzor wyrasta mu spod stóp wprost w przepaść. W półobrocie burmistrz wyciąga zapraszająco rękę ku lady Amiel.

Spacerują pod gwiazdami. Ścieżka szybko wybiła wzwyż, meandrują po niebie ponad dachami Aguerre City. Najmocniejszy teraz jest cień nie od pierścienia, lecz od Śmierci Tataux - stroboskopowe światło, stroboskopowa ciemność.

Stampa, rzecz jasna, w końcu zwyciężyła i wędrują bok w bok, Aguerre obejmuje Carlę długim ramieniem, ona zapada się w niego, kryje twarz w miękkim fiolecie - fiolecie, barwie gleju.

- Gdybyś popłynął z nami na Sycylię - odzywa się po raz pierwszy.

Aguerre mruga szybko. Gdybym popłynął z nimi na Sycylię. Mój Boże, czyż i ja nie śniłem o takich niemożliwościach? Przekleństwo wyborów dokonanych. Dwadzieścia trzy lata; ona miała wówczas niecałe dwadzieścia. Duszny koniec sierpnia, Adriatyk, wesele w jakiejś wiosce, bodajże córka wójta wychodziła za mąż. Głośna muzyka zwabiła turystów.

Przemierzaliśmy się, pośród tańczących tubylców, w chybocie świateł kolorowych żarówek, w zapachu potu, alkoholu i morza, tak bliskiego przecież - wystarczyło spojrzeć ponad murkiem ogrodu gospody, Księżyc ślizgał się po ciemnych falach. - Fred, Carla, poznajcie się. - Kto nas sobie przedstawił? Tego akurat nie pamiętam. Pierwszy taniec, i potem wszystkie inne, przez sześć godzin do świtu. Najśmieszniejsze jest to, że nawet jej nie pocałowałem. Także słowa były niewinne, jeśli w ogóle jakieś były, bo we wspomnieniu nie rozmawiamy, tylko tańczymy, coraz wolniej, coraz bliżej, patrząc sobie w oczy i uśmiechając się, lekko, najlżej, tym podświadomym skurczem warg, bardziej do swoich myśli aniżeli do drugiej osoby; w milczeniu. Była w biało-błękitnej bawełnianej sukience do kolan, na wąskich ramiączkach; przepocony materiał przylgnał jej do pleców, przyciskała go moja dłoń. Nie miała stanika. Przesuwałem kciuk cał w górę, cał w dół, po linii jej kręgosłupa. Tyle. Wszystko było w spojrzeniu. Musiałem być pijany: w tym potrząśnięciu głową, którym odrzucała wstecz długie blond włosy (wówczas miała długie), widziałem grację ruchów naszych niepoczętych córek. Zapadała mi się w pierś, już wtedy. (Są stampy glejowe i są stampy psychologiczne - które potężniejsze?). Ale zaraz musiała się odrywać, by ponownie zajrzeć mi w twarz; albo ja ją odchylałem. Cały czas utrzymywałem się w tym przyjemnym stanie ćwierćerekcji, na granicy fizycznych pożądań. Przez materiał sukienki oraz koszuli czułem nacisk jej sutków. Zanurzeni byliśmy nawzajem w swych aurach, aż po podświadomą harmonię ruchów. I spojrzenie; i ten uśmiech. Bolały mnie nogi; ją zapewne też. Kiedy usiedliśmy i opróżniliśmy szklanice miejscowego wina, zarazem słodkiego i kwaśnego, powiedziała: - Wyżywamy pojutrze z przyjaciółmi na Sardinie, na trzy tygodnie; znajdzie się miejsce. - Jak tylko zrobię test na zgodność, mam już opłacony, we wtorek. - Okay - odparła i uśmiechnęła się do Księżycy. Dołałem jej wina. Chłodny wiatr osuszał skórę. Była zbyt piękna, balon euforii rozsadzał mi klatkę piersiową. Uścisk jej dłoni; i jak we wnętrzu mojej kuliły się jej palce... Nigdy nie popłynąłem na Sardinie. Szansa niczym jeden do kilkuset milionów - a jednak w czwartek miałem już Stróża, w piątek zasnąłem po raz ostatni, w niedzielę byłem xenotykiem. Dwadzieścia sześć lat temu. *Kreist*, gdybym popłynął!

- Musimy porozmawiać. O Gabrielu.

Carla nie odpowiada. Zatrzymują się - ale ścieżka rośnie dalej, kreśląc ponad miastem randomiczną krzywą.

Aguerre siada, opierając się plecami o balustradę, stampa grawitacyjna pociąga kobietę za nim. Stampa oczywiście sama z siebie nie jest na tyle silna, by powodować pozostającym w równowadze ciałem człowieka, lecz Carla znajduje się obecnie w takiej otchłani bezwoli, że najslabsze nawet pchnięcie, o ile umiejętnie przyłożone, ciśnie ją ku czynom

najstraszliwszym. Usiąść na chwilę ponad stolicą xenotyków u boku alternatywnej miłości swego życia... takie rzeczy nie sięgają nawet powierzchni jej myśli.

- To nie był quinceyowiec. Ten morderca. To znaczy... orzeczenie Sądu Estetycznego wypadło na jego korzyść, zabił go zgodnie z ich kanonami piękna; ale tak naprawdę to był Kameleon.

Zerka na nią, by się zorientować, czy Carla rozpoznaje termin - ale wygląda, że ona w ogóle nie poświęca mu uwagi: z dłonią płasko przyciśniętą do karbonowej powierzchni alejki, głową przechyloną, nasłuchuje dźwięków zza kurtyny ciszy.

- Słyszysz? - pyta szeptem. - Ten szum.

Aguerre nakrywa jej dłoń swoją dłonią, większą, przeciętą dwiema żyłami gęstego fioletu wypacają się na owłosionej skórze.

- To wewnętrzne arterie żywokrystu - tłumaczy jej powoli. - W każdej rosnącej jeszcze ścieżce wyczujesz to drzenie. Nawet najgorętszy żywokryst nie podola krzywej energetycznej dla przyrostu masy w takim tempie: transportuje wewnętrznymi kanałami moduły makrocząsteczkowe, płynne masy rekonfiguracyjne. To słyszysz; to czujesz. Jak rośnie. O Kameleonach wiesz?

- Tak. Chyba tak.

- Ktoś to zlecił. Wysokie sfery. Polityka; a wbrew pozorom nie ma tak wielu powodów dla mordu politycznego. W dzisiejszych czasach, po prawdzie, nie ma już chyba żadnych. A jednak to musiało przejść przez oficjalne struktury rządowe. Któreś z mocarstw. To jest ten poziom technologii. Słuchasz mnie?

- Mam czterdzieści pięć lat.

- Tak.

- Jedna trzecia życia. Dwie trzecie, jeśli nie liczyć ewidentnej starości. Na cholere mu był de Quincey?

- Nie masz racji, ta furtka w konstytucji Gabriela to był tylko szczęśliwy bonus dla wykonawcy; skoro posłali aż Kameleona, zabiliby go i tak. Opowiedz mi.

- Co?

- Opowiedz, czym on się ostatnio zajmował. Z kim kontaktował. Jakies konflikty. Kontrakty. Groźby może. Cokolwiek.

- A co powiedział Kameleon? Zatrzymałeś go przecież. Prawda?

- Kameleon nic nie powiedział. Miał zawieszonygo execa autoletalnego, sperwertował się nam momentalnie do rakowatej zgnilizny.

- Ach.

Zaciska palce na dłoni Carli.

- Opowiedz.

Kobieta podciąga kolana, opiera o nie brodę. Wiatr zsuwa połę szlafroka z jej ud, ta sama gładkość jedwabiu. Aguerre odruchowo poprawia materiał.

- Jak się czujesz? - pyta cicho.

Carla po raz pierwszy podnosi na niego wzrok. Wszystko jest w spojrzeniu.

4. Iluzjon/Open/Venice00

W Wenecji pada deszcz, gołębie się gdzieś skryły. Na Piazza San Marco glinna staruszka walczy z glinnym pudełkiem na długiej smyczy. Aguerre przeskakuje ponad smyczą - choć nie musi. Staruszka go nie widzi, zamknięta w *CLay, Corporeal Layer (of Reality)*. Widzą go za to bodaj wszyscy goście i obsługa glinnej restauracji, niegdyś kawiarenki Byrona i Balzaca, do której Aguerre wchodzi. Fioletowy kaftan skrzy się pod ich astygmatycznymi spojrzeniami.

Yesada Ori OHX (ledwo dwa lata bezsenności, numer 603 u Łuźnego) wstaje na powitanie Aguerre, jak nakazuje etykieta Zakonu. Aguerre czuje, że Yesada wstałaby i tak, z czystego, szczerego szacunku. Dwudziestoletnia xenotyczka, oryginalnie na genach hinduskich i japońskich, fenotypuje się postacią tak młodej, drobnej, filigranowej wręcz dziewczyny, że Frederick w bezpośredniej jej obecności - glinnej czy iluzyjnej, bez znaczenia - mimowolnie zapada się w formy paternalistyczne; a ona odpowiada mu symetrycznym odbiciem. Bardzo długie, kruczoczarne włosy, skóra jak miód... Technologia poszła znacznie do przodu, syzygie z ostatnich lat są już prawie-bezblędne: żadnych zewnętrznych skaz glejowych, wybroszyn fioletu.

Yesada uśmiecha się, kłaniając. Zawsze instynktownie budzi w nim sympatię. Pamięta, jak składała przysięgę, cały rytuał odprawiła sztywno edytowana - tak była przerażona. Jej rodzice, dziadkowie, pradziadkowie - od świtu w błocie pól ryżowych. Gdyby nie Karta Bostońska, nigdy nie opuściłaby swojej wioski.

- *Gritz.*

- *Gritz.*

Siadają. Podchodzi kelner, podaje menu, zapala świece. Fiolet odświętnego kaftana Yesady lśni mokro. W Glinie i na planecie xenotyk zobowiązany jest ściśle stosować się do kodu Zakonu, także w ubiorze. Iluzyjny Aguerre właściwie mógłby wystąpić po cywilnemu.

Ale z kolei jemu, który jest *Primus Inter pares Ordo Homo Xenogenesis*, nie bardzo wypada. Tak więc siedzą naprzeciw siebie fiolet i srebro, subtelne piękno i toporna szpetota, *CLay* i *GRI* - mały paradoks ontologiczny pod dachem „Caffe Florian”.

Przyniesiono zamówione przez nich potrawy; jedzą teraz, pospołu sen i materię. Bardzo to niegrzecznie spotykać się publicznie z glinnymi w zamkniętych hierarchiach Iluzjonu: nie należy dodatkowo porcjować rzeczywistości, inaczej wszyscy skończymy jako technoautyści, spacerujący z jednakowo szeroko rozwartymi oczyma przez zimne burze i gorące noce, i rozmawiający z duchami... A tak przynajmniej każdy widzi te same duchy i kiedy Aguerre konwersuje przyjaźnie z małą Yesadą ponad truflami i lasagne, cała restauracja obserwuje każdy gest i każdą minę pary xenotyków - restauracja i kilkanaście jej odbić z niższych szczebli hierarchii Iluzjonu, to popularny lokal. Nalegała na publiczne miejsce spotkania.

Aguerre nie bardzo się to podoba, ale oczywiście nie może - na razie - spytać ją o powód; nie tutaj. Chociaż w istocie doskonale go zna - lecz i tak ciekaw jest odpowiedzi Yesady. Niewiele wie o młodej xenotyczce, ale na tyle zdążył ją poznać: zbyt jest nieśmiała, by umiejętnie kłamać.

Rozmawiają zatem o rzeczach neutralnych: powodziach w Ameryce Południowej, Trzeciej Wojnie o Tajwan, antymonopolistycznym truście kontr-ICEO, ostatnim software do Stróży, książce Droppa, nowego guru ultrakonwergencjonalistów, manifeście *frei* Ivana Petrcza, dyżurnego kontestatora OHX; oczywiście także o pogodzie giełdowej. Trzy lata temu sto dolarów to był dla Yesady majątek z marzeń - dziś przelewa między spekulacyjnymi funduszami sto milionów. A jest jednym z najbiedniejszych xenotyków. Czy jednak można zapomnieć o własnym dzieciństwie? Aguerre obserwuje ją dyskretnie podczas posiłku, słowami, mimiką, gestami, spojrzeniem - okazując bezinteresowną sympatię. Tak, w końcu zapomnisz; ale ono nadal pozostanie w tobie, w odruchach najpierwotniejszych, w podświadomości, w snach, w gustach niepodlegających logicznej argumentacji. Dojmujące poczucie nieadekwatności, cichy lęk przed sprawiedliwą zemstą bogów i wielka radość z rzeczy najmniejszych - kompleks niższości. Lub właśnie na odwrót: kompleks wyższości, pewność wyniesienia. Oszczędny, dyskretny sposób, w jaki Yesada kroi i spożywa swoją pieczeń (w „Caffe Florian” każde mięso na oryginalnych genach!), wywołuje w Aguerre lekki wstyd. *Frei Ori* zdecydowanie bliższa jest niższej ścieżce. Paradoksalnie, może to oznaczać, iż tym trudniej przyjdzie Frederickowi nagiąć ją do swojej woli.

- To wino naprawdę takie dobre?

- O, tak.

- W każdym razie przykładają się tu do aplikacji iluzyjnych. Mhmm.

Potem wychodzą na spacer po nocnej Wenecji. Przystało padać, kamienie błyszczą rybio od świeżej deszczówki. Ująłby Yesadę pod ramię, gdyby nie była o tyle niższa.

Piazza San Marco niczym jezioro oleju w koronie świateł, trapez cienistych arkad dookoła, z Palazzo Ducale wybiegają rozchichotane nastolatki; na gorzejącej tarczy zegara Torre dell Orologio dziewięta czterdzieści. Robi się chłodniej, Yesada naciąga na dłonie purpurowe rękawiczki.

Aguerre tylko potrzebował sygnału. Nakłada na transfer pieczęć krypto ich Stróży. W hierarchiach otwartych będą odtąd oboje, Frederick i Yesada, bełkotać bezsensowne sylabizacje, w przypadkowych układach warg i wibracjach krtani.

- Słyszałaś o Gabrieli Paige?

Nawet nie unosi na niego wzroku.

- Tak, *frei*.

- A co słyszałaś?

- Sporo o tym w mediach. Mord na szlachcicu w święto xenotyków, w Aguerre City. Głośno było; głośno jest. Odzyli quinceyowcy. Trzeci w historii pozytywny werdykt Sądu Arté. Znowu się podniosą rewizje prawne osobistych konstytucji.

Zbyt wiele mówi, zbyt szybko. I nie patrzy na niego, patrzy przed siebie. Ręce założone na piersiach, czerwone rękawiczki pod pachami. Ikona skrywanego lęku.

Aguerre ściska ją lekko za ramię.

- Yesada - mówi cicho. - Przecież ja wiem.

Przez chwilę idą spokojnie. Pozwala mu utrzymać uchwyt. Patrzy pod stopy, omija kałuże. Po ich gładkiej powierzchni można poznać iluzyjną naturę Aguerre: nie istnieją komplementarne aplikacje symulacyjne dla stamp xenotycznych.

- W rejestrach Zakonu tego nie ma - odzywa się wreszcie Ori.

- Nie.

- Przelewy szły z przysięgi, na krypto Stróża. Podawałam tylko regulaminowe dane. Malareth to spółka wirtualna.

- Wiem, sprawdzałem: podstawiony prezes zarządu i tak dalej.

- Więc skąd?

- Lord Amiel zwierzał się żonie.

Yesada wypuszcza z płuc powietrze - obłoczek oddechu przed twarzą, skroplone westchnienie.

- Ach tak.

- Taak.

Przystają na moście ponad kanałem. Dwie, potem trzy, potem cztery gondole zderzają się pod nimi, burta w burte, fala od motorówki spycha je na kolejne łodzie. Stampa *frei Ori* jest łagodniejsza i nie tak oczywista jak xenotyków starszych generacji: zaburza. dookolną probabilistykę.

- Dokąd lataliście?

To ją podrywa. Prostuje się, spogląda na Aguerre szeroko otwartymi oczyma, a oczy ma ciemnobrązowe, bardzo duże, prawie bez fałd mongoloidalnych. Gdy nie drgają powieki - dziecinne zdumienie na gładkoscórej twarzy.

- Z tego się jej nie zwierzał?

- Najwyraźniej nie.

- Cóż.

- Dokąd?

- *Frei* Aguerre!

- Oburzona?

- Przysięgałam...

- Ale to nie jest prawo, to załedwie obyczaj.

Yesada w końcu mruga (może coś wpadło jej do oka).

- Nie mogę uwierzyć, że to mówisz. Ty.

- A któż wie lepiej ode mnie? - Z powrotem ujmuję ją za ramię, sprowadza na nabrzeżny trotuar. Zawracają ku Piazza San Marco. - Opowiem ci, jak to naprawdę było. Po syzygii pierwszego tuzina złożyliśmy grupowy pozew. Patent xenogenezy posiadały tylko CasLabs NASA, nie uciekli poza jurysdykcję sądów miejscowych. Wygraliśmy i postawiliśmy warunki. Wówczas już wszyscy szukali na gwałt nowych kandydatów, żeby złamać nasz monopol. „Nasz” - bo od początku stanowiliśmy grupę. Wtedy też Stiepanow wyciągnął kopyta i pokazało się, co znaczy śmierć xenotyka. Wymusili ściślejszy nadzór Stróży. Zdołaliśmy wywalczyć tylko niepodległe krypto. Już było jasne, że istnieje i, co gorsza, pogłębia się ostra opozycja „nas” do reszty ludzkości. Musieli coś z tym zrobić, zbyt wiele zależało od xenotyków, byliśmy zbyt cenni, ale zarazem zbyt groźni. Bezpośrednia kontrola, środki represji i tym podobne sposoby nie wchodziły w grę, nie tylko z racji ich niepraktyczności, lecz przede wszystkim, aby nie odstraszać kolejnych kandydatów. To było zresztą już po kilkudziesięciu grubych umowach z prywatnymi konsorcjami i dysponowaliśmy małymi fortunami na batalie prawne i lobbying; tak czy owak nie daliby nam rady. Więc co zrobili? Wynajęli inżynierów memetycznych. Ci skonstruowali optymalny mit.

Ordo Homo Xenogenesis. Jednocześnie wywyższający nas i ukorzeniający etos służby. Struktura hierarchiczna, etyka i estetyka wzorowane na organizacjach religijnych. Symbolika bezpośrednio wywiedlna z cechy wyróżniającej, piękno z brzydoty; nie wstydzisz się, a szczeni. Wienc glej na sztandarach, glej na ubiorach. - Przesuwa dlonią po fioletowym kaftanie. - Także reguła Zakonu. Także przysięgi poufności. To jest nic innego jak system zabezpieczający, Yesada. Nagroda i kajdany. Na tym polega prawdziwa potęga inżynierii memetycznej: jesteś świadoma manipulacji, a mimo to ulegasz; wiedza nie chroni przed urzeczeniem irracjonalnym. Wienc taka jest prawda. To wszystko sztuczne, *frei*.

Przed nimi Basilica San Marco. Wchodzą w półmrok kościoła, ale zaraz zatrzymują się w sieni: nawy nie są objęte sieciami Iluzjonu.

- Co znaczy: sztuczne? - pyta Yesada. - Prawdziwe. - Obraca się ku odległemu ołtarzowi, wskazuje krucyfiks. - Kto może stwierdzić z całą pewnością, jaki był początek tego?

Aguerre źle się czuje w sytuacjach tak patetycznych, z chęcią uciekłby w ironię, cynizm, w prześmiewcze aforyzmy człowieka, który wszystko to już dawno temu przemyślał, przeżył i wypluł. Ale ten lekki wstyd-niewstyd wobec Yesady, tak młodej, tak szczerzej, wciąż go kłuje i łapie się Frederick na cichej zazdrości. Czego mianowicie zazdrości xenotyczne? Naiwności?

- Honor zatem - mruży. - Czy ja namawiam cię tu do zdrady?

Yesada odwraca głowę.

- Tak, chyba tak.

- A przecież wiesz, że w ten sposób chronisz mordercę.

Dziewczyna uśmiecha się nieśmiało.

- A czy nie taką właśnie etykę nam zaprojektowano? Księży, lekarzy, prawników.

- *Gaud*, jaki piękny paradoks! Aguerre opiera się o zimny kamień.

Yesada odgarnia nerwowo włosy - purpurowe palce w czarnych splotach.

Mija ich para turystów stuprocentowo glinnych; prawie się zataczają, zagapieni na Ori.

- Wenecja, Glina - szepcze Aguerre, powoli, ledwo słyszalnie, jak przystoi duchowi w domu Pana. - Gdzież większe nagromadzenie zabytków? Gdzie byłoby to większą katastrofą? Nie zabiją tu xenotyka. Prawda? Prawda, Yesada? Jak długo zamierzasz się tutaj kryć? Następny Kameleon już na ciebie czeka. Powiedz, a stracą motyw.

Ona tylko kręci głowę.

- Po co ty w ogóle chciałeś się ze mną spotkać? Aguerre. Daj spokój. Z góry wiedziałeś, że nie powiem, nie mogę powiedzieć. Po co to było?

- Będę wróżył.

5. Siedem Mieczy, Papieżyca

Nie powiedziała; pozostają zatem dane z oficjalnych rejestrów Zakonu. Malareth Ltd. wynajmowała Yesadę Ori OHX, z licznymi przerwami, przez ponad dwa miesiące, poczynając od września.

Odpisy rachunków znajdujące się w archiwach Zakonu mówią o siedmiuset dwunastu godzinach aktywnej Rzeźby oraz niemal równie długim okresie dyspozycyjności. Zaprzysiężony pod Stróżem zwyczajowy jeden procent dla OHX ujawnia wysokość honorarium xenotyczki. Lord Amiel, *via* atrapowa Malareth, wypłacił młodej Ori osiemdziesiąt osiem milionów dolarów brutto. Zważywszy na poziom obecnego popytu na usługi xenotyków, trudno uznać tę kwotę za wysoką. Jeśli jednak spojrzeć na to od strony Gabriela... Tylko najwięksi krezusi mają xenotyków na prywatnych kontraktach, a lord Amiel do nich nie należał. Osiemdziesiąt osiem milionów to musiał być dla niego spory wydatek.

W archiwach Zamku znajdują się także regulaminowe wypisy z dzienników pokładowych Yesady Ori, ale znów jest to absolutne minimum wymagane przez Zakon: nagie bilansy czasu i odległości. Nic o kierunkach i celach lotów. I tak być powinno - inaczej któżby zaufał xenotykowi? Każdorazowy najem równałby się zdradzie tajemnic handlowych kompanii. Przysięga, której Yesada tak kurczowo się trzyma, może faktycznie jest tylko zwyczajem - lecz w takim razie jest to jeden ze zwyczajów konstytutywnych dla xenotyka i jego roli w gospodarce. Słusznie Yesada się dziwiła: Aguerre nie miał prawa oczekiwać, iż wyjawi przedśmiertne tajemnice lorda Amiel. Po co zatem odwiedził ją w Wenecji?

Bo z góry wiedział, że ucieknie się do tego, do czego xenotycy zawsze się w podobnych sytuacjach uciekają: wróżby irracjonalnej; a żeby wzbudzić rezonans, trzeba membranę jak najbardziej zbliżyć do źródła wibracji.

Jeszcze spacerując z Yesadą po deszczowej Wenecji, opuścił Aguerre City i Przerzeźbił się ponad atmosferę, do Ogrodów Orbitalnych. Ogrody Orbitalne Aguerre rozpościerają się na stu pięćdziesięciu kilometrach sześciennych, na stacjonarnej równikowej, powoli rozrastając się ku kształtowi pierścienia. Naturalny pierścień planety zaczyna się sporo wyżej, jednak Ogrody nie są bezpieczne od pochodzących stamtąd przypadkowych odprysków, kosmicznego gruzu spychanego na niższe orbity. Flanele miękkiego żywokrystu wypełniają dziesięciokrotnie większą przestrzeń, i to bynajmniej nie ku kształtowi kuli ani

elipsoidy. Większość żywokrystalnej waty, tak delikatnej, że, gdy widziana z Ogrodów, całkowicie przezroczystej, buforuje przestrzeń pomiędzy Ogrodami a pierścieniem. Mniejsze i większe bloki kosmicznego gruzu grzęzną w tej niewidocznej gęstwie - kamienie i lód, aż po mikrometeory. Taki jest system chłono-trawiący Ogrodów. Z przechwytywanej materii żywokrystalnej transmutacyjnej dobudowuje nowe segmenty Ogrodów lub inne, niezależne moduły, wedle zapotrzebowania, priorytetów, stosunku podaży do popytu oraz proponowanych sum. Aguerre wszystko to niewiele obchodzi. Posiada większościowe udziały w spółce kontrolującej Ogrody Orbitalne. Złożył zamówienie i niemal natychmiast reprogramowano według niego żywokrystalny w jednym z granicznych sektorów. Zmienia się front przyrostu struktury.

Podczas gdy pod pierścieniem rośnie powoli jego prywatny Ogród, Aguerre dotrzymuje towarzystwa lady Amiel oczekującej przybycia kursowego transportowca na Błękit. (Niemał wszystkie regularne Rzeźby FTL zahaczają o planetę xenotyków, jej odległość od Punktu Ferza wciąż nie przekracza roku świetlnego). Wnętrze Ogrodów Orbitalnych zarastają ściśle wielokolorowe nieważkościewce kutrypiczne. Skłębione masy kutrypicznego życia odcinają widoki dalszych fragmentów Ogrodów; nie ma tu ścian żywokrystalnych, jedynie sam szkielet - reszta to drzewa, kwiaty, pnącza, grzyby i mchy tudzież gatunki zupełnie pozbawione analogów w świecie flory DNArodnej. Tym bardziej nie widać przez nie gwiazd pierścienia, ani planety. Chyba że w Iluzjonie - ale oboje znajdują się w dziewięćdziesięciu procentach w Glinie.

Aguerre rozkłada karty. Carla zagląda mu przez ramię.

- Na co wróżysz?

- Wędrowniaki Gabriela.

- Ach. No tak. - Przygląda się przez chwilę Arkanom. Aguerre ciągnie z potrójnie przełożonej talii, od serca. Błat okazuje się za krótki, więc wydłuża go szarpnięciem o kolejny metr. Carla marszczy brwi. - Mhm, ale jak właściwie? Przy takiej ilości zmiennych...

- Nie jest tak źle. Z archiwów Zakonu mam zgrubne dane na temat odległości, więc już zamykam się w sferze. Od tego odejmuję wewnętrzną kulę, bo nie było meldunków o Rzeźbie Ori w podanych przedziałach czasowych.

- Ale i tak - to są tysiące, miliony gwiazd. Mylę się?

- *Nai.*

- Więc? - Carla odchyła się do tyłu, kutrypiczna drzeworośl pochłania energię ruchu i, odczytując intencję, przeorientowuje korzenną kolebkę, unosząc ją nieco ponad błat i obracając lekko na osiach prostopadłych. Wiszą teraz oboje nad złoto-srebrnym tarotem (talia

według Wzoru Łuźnego) rozłożonym na ebonitowo czarnym stole. - Nigdy do końca nie rozumiałam, na jakiej zasadzie to działa.

- Tarot?

- Wróżby xenotyków. Przecie to zabobon.

- *Gaud*, następna! - wzdycha Aguerre.

Carla posyła mu kose spojrzenie, przez sekundę znowu zdolna do arystokratycznej wyniosłości. Jedwabny wachlarz trzaska ostro, złożony szybkim ruchem palców.

- Okay, okay - mamrocze xenotyk. - Przeczytaj *Sny o Karakorum* Łuźnego; ja ci mogę tu dać kulawe streszczenie. Że, oczywiście, wszystko jest w gleju.

- Oczywiście - sarka kobieta. - *Deus ex gluex*, mogłam się spodziewać.

- Ale taka jest prawda. Transmisje zeroczasowe otwierają drzwi na otchłanie pozaobliczalności. Na razie nie potrafimy tego wykorzystać - niemniej GRI i międzygwiazdna sieć informacyjna funkcjonują w czasie rzeczywistym tylko dzięki bioprzekaznikom glejowym, chociaż niby ułomnym i tracącym nanosekundy na sztucznych sprzęgach. Przecież wiesz. Natomiast my, bezsenni, nie tylko że mamy go w modułach łączności wszczepek, nie tylko że mamy go w Stróżach - mamy go w genach, we krwi, w mózgach, m y ś l i m y n i m. Część impulsów nie idzie w ogóle przez synapsy, lecz przez residua glejowe. A glej i glej - we mnie, w innych bezsennych, w Bagnach, na Szadrze - jak odróżnić? gdzie się kończy, gdzie zaczyna? Nie ma nawet liczby mnogiej.

Wyklada kolejną kartę: Papieżycza. Tak zamyka lewy krzyż, otwarty Rydwanem.

- Więc kiedy wróżę, próbuję sięgnąć właśnie tam. Dać szansę na ujawnienie się tej wiedzy, której nie mam prawa posiadać.

Zorganizować formę dla pochwycenia informacji nieuchwytnych. Dać ujście rozumowaniom, których nie sposób przeprowadzić. Stworzyć matrycę dla kształtu rezonansu, jaki wzbudziły we mnie rzeczy, których nie byłem nawet świadomy. Złamana nuta w głosie *frei* Yesady. Ruch oczu Gabriela. Setna pogłoska na przyjęciu. Drobnie anomalie w którejś z tysiąca statystyk; niedawno wchłonałem wszystkie raporty Zakonu z ostatniego roku. Wiem, tylko że nie wiem. Wróżę więc.

Carla wachluje się w zamyśleniu. Spogląda na Aguerre, na karty, na Aguerre; przygryza krawędź wachlarza.

- Tarot.

- Tak.

- Popularny.

- Tak. Większość z nas ucieka się do kart. Niektórzy rzucają zwierzęcymi kośćmi.

Niektórzy łądygami krwawnika. Niektórzy składają ofiary; wówczas wnętrzości lub krew. W każdym razie musi to być zbiór podlegających randomicznej permutacji elementów o bogatej symbolice.

- Rorschach.

- *Z feedbackiem*. Ujęty w reguły. Podlegający skupieniu.

- Czemu nie zapytasz od razu o mocodawcę Kameleona?

- W końcu zapytam. Gdy zbiorę wystarczająco dużo danych, by wzbudzić rezonans, i zamknę liczbę możliwych odpowiedzi.

Znowu dłuższą chwilę zamyślona. Aguerre rozkłada karty raz za razem. Kutrypowe owadoidy roznoszą szczepienia dla podróżnych udających się na Błękit, Szukacz i Wojtyłę. Jeden przysiada na ramieniu kobiety, kłuje przez bluzkę. To wytrąca ją z transu - a może z Iluzjonu.

- Musieli się spodziewać.

- Mhm?

- Suwereni Kameleona. Że któryś z was wyciągnie ich z takiej wróżby. Na litość boską... w stolicy xenotyków, na oczach całej ludzkości...! Musieli się spodziewać.

- Tak.

- A mimo to...

- A mimo to.

W Iluzjonie/Open/OrbitalGardenAguerre00 ogłoszone zostaje ustanowienie żywokrystnego korytarza z kursowcem na Błękit. Carla wciąga głęboko powietrze. Przechyliła się ku Aguerre i drzeworośl gnie się wraz z nią. Chwyta xenotyka za ramię, ściska mocno.

- Powróź sobie, Fred - szepcze. - Powróź sobie samemu. Nie jesteście nieśmiertelni.

Aguerre mruga, zaskoczony. Z sekundowym opóźnieniem odrywa rękę od kart, unosi do dłoni kobiety; następnie całuje ją, wewnątrz, nadgarstek. Spojrzenia złączone. Drżą kutrypiczne liście.

Półuśmiech.

- Lecz jakże głośno umieramy.

Przez następne szesnaście godzin, po odlocie Carli Paige ze zwłokami męża do ich majątku, zanim wyrośnie Ogród Aguerre, xenotyk wróży nieprzerwanie.

6. Przeciwno nieskończoności

Cóż poradzi człowiek naprzeciw nieskończoności? Co poradzi xenotyk? Wróżba niepewna prowadzi *frei* Fredericka Aguerre krętym szlakiem przez galaktykę.

Ogród Aguerre, zrealizowany według standardowego programu, nie jest duży, lecz, jako struktura otwarta, stwarza wrażenie przestronności. Sześć ażurowych płaszczyzn przecina się wzdłuż ośmiu linii, nie do końca prostopadłych i nie do końca równoległych - w ten sposób powstaje jedno pomieszczenie zamknięte oraz dwadzieścia sześć mniej i bardziej otwartych na gwiazdzisty kosmos. Zamknięte też nie do końca jest zamknięte: żywokryst każdej z płaszczyzn jest nieco inny - a to półprzezroczysty, a to siatkowy - i do wnętrza komory sączy się zimne światło gwiazd. W komorze znajduje się jacuzzi oraz inne utensyilia łazienne. Zapas wody i żywokrystne instalacje filtrujące zajmują kubik dolny, pięciościenny; z szóstej strony woda napiera tam na próżnię. A przynajmniej tak mogłoby się wydawać patrzącemu na Ogród z zewnątrz. W rzeczywistości Ogród posiada ściśle określone granice: gruby, całkowicie przezroczysty żywokryst termoizolacyjny chroni go przed próżnią, zabudowuje w kształt bliski kuli.

Aguerre spoczywa na futonach w górnym przednim kubiku trójściennym. Wciąż w stu procentach w Glinie, obserwuje spod w półprzymkniętych powiek, jak gwiazdy rozjeżdżają się na boki przed Ogrodem. NavigatorXG jedzie ostro na Aguerre, wykonuje równoległe trzy makra, w tym klasyczny SpaceSculptor na 99.7 procent maxoct. Gdy w sumie wykorzystywany jest prawie cały oktomorficzny potencjał Fredericka, gdy mózg puchnie mu w uścisku Stróża - zapada się Aguerre w stan spośród dostępnych mu najbliższy snowi. Ogarnia go przyjemne ciepło, kończyny ciężą... Ogród tymczasem płynie przez kosmos z prędkością wielokrotnie przewyższającą prędkość światła.

Pierwsze makro, OnTheGround, zafiksowuje Rzeźbą lokalnej studni grawitacyjnej pod wodnym kubikiem Ogródu, ustalając kierunki ciążenia. Drugie makro, bardziej wyrafinowana wersja Cage'a, ustanawia zewnętrzne ochronne pola grawitacyjne. Natomiast SpaceSculptor v. 16.12 (upgrade sprzed czterech dni) Rzeźbi „lokalne siodło” czasoprzestrzeni oraz w sposób ciągły przekształca bezpośrednio jego sąsiedztwo, z przodu ją „ściągając”, z tyłu „rozciągając”. Aguerre leci do pierwszej spośród gwiazd wskazanych przez tarot.

Tymczasem myśli półświadome dryfują mu ku Carli - Gabrielowi i Carli. Były trzy fazy jego niemałżeństwa z Carłą. Przez pierwsze lata po syzygii, kiedy nawet celibat stanowił po części kolejną ze snobistycznych ekstrawagancji, Frederick prawie w ogóle o Carli nie pamiętał. Potem poznał ją po raz drugi, jako żonę Gabriela Paige (jeszcze zanim otrzymał on szlachectwo) - i w ten sposób zaczął się niemożliwy związek Fredericka z Carłą. Siedem, osiem lat żył tak, w najbardziej niespodziewanych momentach zapadając w infantylne

marzenia o życiu alternatywnym, w którym popłynął był na Sycylię; marzenia: substytut snów. Miał alternatywny dom (pod Sewillą), alternatywną karierę (jako tłumacz przy Lidze Suwerenów), alternatywnych przyjaciół, alternatywne smutki i radości; i dzieci, i chwile ekstazy, i miłość śmiertelną - dla których alternatywy nie było. Rzecz jasna nigdy o tym Carli nie powiedział. Zresztą podczas owej fazy po pierwszym ponownym spotkaniu nie rozmawiał z nią ani razu; z Gabrielem - tak (Gabriel ogłosił już swe prace ksenobiologiczne, zabezpieczył patenty i zaczynał współpracę z ICEO i OHX), ale nie z Carlą. Nie należy mieszać marzeń z rzeczywistością, schizofrenia była sterylna. Więc faza trzecia zaczęła się od ich rozmowy w Glinie. Życie alternatywne zostało sfalsyfikowane: Carla była żoną Gabriela, nie jego. Nie było dzieci, nie było miłości, nie było niczego - istniała jedynie, przez chwilę, przez ułamek adriatyckiej nocy, m o ż l i w o ś ć, nigdy niezrealizowana.

Więc kłamstwo, więc sen bezsenego, więc pustka... niemniej jednak p a m i ę t a ł. A pamięci nie odmieni, jak i nie odmieni siebie, chociażby chciał. (Nie chce). Toteż po prawdzie Carla jest jego żoną - jego stosunek do niej zbudowany jest w dużej mierze na wspomnieniach wspólnego z nią życia. Stąd wyrastają Frederickowe odruchy, reakcje psychologiczne, obecne jego dla niej uczucia, także kompleksy - jak na przykład ten, który każe mu teraz przemierzać na fali FTL Mleczną Drogę w poszukiwaniu tajemnic, które sprowadziły na lorda Amiel artystyczną śmierć z rąk Kameleona o nieznanym pochodzeniu.

A przecież czekają na niego ważne sprawy w Aguerre City, przecież wie, że źle czyni, wychodząc na tyle godzin z Iluzjonu. Lecz zarazem czuje, że powinien doprowadzić do końca to śledztwo; że inaczej nie potrafiłby spojrzeć żonie w oczy.

No i leci. Pierwsza gwiazda odległa jest od Punktu Ferza o ponad tysiąc siedemset lat świetlnych. Błękitny olbrzym, brak planet - w każdym razie odbicia żadnej nie wychwytuje rozpylony na miejscu z Ogródu żywokrystny teleskop dyspersyjny ani nie drga od jej rezonansu prowizoryczny grawitometr. Czy to tutaj Przerzeźbiła Gabriela Yesada? Uwolniony ze szponów NavigatoraXG stoi Aguerre przy krawędzi bocznego kubika i wygląda na ciemność obracającą się wokół jaśniejszej od bieli tarczy olbrzyma. W dłoni - karafka z putaporrem. Dwa kubiki wypełnione zostały przed odlotem kutrypiczną biomasą i tymczasem zdążyły rozwinąć się ze szczepionek wkomponowane w żywokryst rośliny, Ogród zaczyna przypominać ogród, żółte powoje płożą się pod bosymi stopami xenotyka. Kłęką, odstawia karafkę, rozkłada nad próżnią dwie mandale, Trójka Pucharów przesłania słońce. Leci zatem dalej. Cóż poradzić przeciwko nieskończoności? Trzeba oszukiwać.

Układ podwójny. Pulsar. Poczwórny. Biały karzeł. Nebula. G3 z planetami. G5 bez planet. Dni, miesiące. Coraz dłuższe przystanki przy sprawdzanych gwiazdach - wtedy

wchodzi w Iluzjon/Earth, Iluzjon/AguerreCity, wypełnia zaległe obowiązki.

Bo znowu krąży plotka o hackerskich atakach na Stróże, musi Aguerre zwoływać konferencje prasowe u Kabalistów. Podnosi się to z regularnością pływów odksiężycowych, na nic racjonalne analizy, strach jest tak przemożny, że raz po raz odrasta hydrze podejrzeń nowa głowa. Co gorsza, boją się także sami xenotycy. - Ja już przestałem wierzyć, że kiedykolwiek się to skończy - wzdycha doktor Szarski, szef kryptologów Zakonu, gdy oczekują w atrium Pałacu Szyfrów w Aguerre City na otwarciu czatu iluzyjnego. Atrium mieści się na najwyższym, czterdziestym pięttrze rozległej, barokowej budowli i przez otwarty dach wpada tu światło odpierścienne. Przechadzający się między fontannami paw nie zwraca uwagi ani na kryptologa, ani na xenotyka: nie ma w nich nawet promila Gliny. - To jest jak z Kennedym, Roswell albo Corradolami - tłumaczy Szarski. - Teoria żyje własnym życiem. Wystarczy wyobrażenie potencjalnego zagrożenia. Bo rzeczywiście, t e o r e t y c z n i e Stróże mogą edytować was wbrew waszej woli, j e ś l i ktoś złamie ich kod. Fakt, że kody są nie do złamania, traci na znaczeniu, gdy się pomyśli o piekle, jakie by rozpętał jeden przemyślny programik na mózgach xenotyków; niech się Holocaust schowa. To proste prawidła psychologii. - Nie pomnę, ile już wydaliśmy na inżynierów memetycznych. - Wiem. Ale tak samo było podczas Zimnej Wojny z arsenałami jądrowymi. A wy jesteście jeszcze groźniejsi. - Wybija godzina i atrium ekspanduje tysiąckrotnie, wypełniając się iluzyjnym tłumem.

ICEO odracza kolejną rundę negocjacji w sprawie sześcioletniej umowy zbiorowej z Zakonem. W hanowerskich biurach kancelarii Lowell, Lowell & Chei, reprezentującej *Ordo Homo Xenogenesis*, spotykają się pełnomocnicy stron. Od chwili zawiązania się trustu pomniejszych korporacji i agencji rządowych skierowanego przeciwko molochom zrzeszonym w *Interstellar Commercial Enterprises Organization*, ta ostatnia zaczęła stosować taktykę opóźnień i uników. Dla Aguerre i Marie-Anne Licozzi OHX, która nadzoruje działania prawne Zakonu, pozostaje to polityczno-ekonomicznym absurdem.

Negocjatorzy Lowell, Lowell & Chei rozkładają ręce. - To nie ma sensu, *frei*. Oni właśnie powinni dążyć do jak najszybszego podpisania umowy, zanim jeszcze trust zdąży coś wykombinować. A w ten sposób strzelają sobie samobójca. - Chyba że jakiś nowy Żłobek... - mruczy Licozzi. - Ale Elka z Syriusza niczego nie zarejestrowała.

Atak terrorystyczny na Windę Kordylierską - w efekcie kumulacja opóźnień i tłok na ziemskiej orbicie. Z trzech Wind ta jedna padała ofiarą sabotaży już sześciokrotnie. Nigdy nie spowodowano wielkich uszkodzeń (rozmiszczenie ładunków konieczne dla dokonania poważniejszych zniszczeń żywokrystnej instalacji wymagałoby faktycznej kooperacji

zarządców Windy), jednak przestoje powstające na skutek ogólnego zamieszania, prowadzonych dochodzeń i nieustannych nalotów ekspertów firmy ubezpieczającej Windę - kompletnie rozkładają harmonogram. Rząd Brazylii wykupuje usługi dwójki xenotyków dla bezpośredniego Przerzeźbienia swego najpilniejszego cargo na orbitę. Jeden z tych wynajętych to John „Dowcipniś” LeMote: dla zabawy miesza w atmosferze nad Ameryką Środkową. Deszcze, powodzie i susze. Znowu Aguerre musi robić za ambasadora dobrej woli.

Odkrycie młodej ziemiopodobnej planety w odległej części ramienia galaktyki: Wektor Ferza skręca i rośnie. Może czas najwyższy Przerzeźbić planetę Aguerre na orbitę gwiazdy przecinanej przez Wektor? Sytuacja dodatkowo się zaciemnia, bo grupa utytułowanych ekonomistów z Oksfordu występuje z rewizją niektórych współczynników pierwotnego algorytmu Ferza i teraz są dwa Wektory. Komu wierzyć? Tu mała różnica może skutkować stratami bilionowymi. Stary Ferz przeprowadził swoje obliczenia na zamówienie proto-ICEO. Każdej gwiazdzie przyporządkował zestaw wskaźników opisujących jej oddalenie od innych gwiazd, częstotliwość lotów, wartość wymiany gospodarczej etc; wszystko w jednostkach sprowadzalnych do roboczogodziny xenotyka o 100 oct. Tak zapuszczona symulacja galaktyki oczywiście zeruje się na 99.99999... procent lokacji, lecz dla tego ułamka z okolicy Słońca znajduje miejsce stanowiące początek najbardziej ekonomicznych tras do wszystkich tych gwiazd. To właśnie jest Punkt Ferza i bynajmniej jego położenie nie pokrywa się z położeniem Ziemi: rozkład przestrzenny interesów ludzkości w galaktyce nie jest idealnie symetryczny. Niewiele trzeba: mały przewrót technologiczny, sprawniejsza metoda syzygii, ziemiopodobna planeta na peryferiach... i już - Punkt dryfuje przez kosmos o całe parseki. Często zmiany niwelują się wzajemnie; lecz czasami właśnie nakładają, kumulują, i wówczas Wektor wystrzeliwuje niczym hydrauliczna lanca. Wektor Ferza bowiem to wskaźnik wysoce spekulatywny: opisuje przewidywane przesunięcie Punktu w zadanym przedziale czasowym. Dla *Primusa* OHX wszakże jest kwestią honoru utrzymanie pozycji swej planety jako placówki najbliższej Punktowi, a zatem - centralnego węzła komunikacyjnego. Wszystkie drogi winny prowadzić do Aguerre.

Hesjøg, prefekt policji Aguerre City, składa raport o zamknięciu śledztwa w sprawie mordu na lordzie Amiel. W świetle konstytucji zabitego po orzeczeniu sądu quinceyowców i tak było ono pustą formalnością. - Całe AC i Ogrody Orbitalne objęte są skanem Iluzjonu, więc mamy pełny zapis poczynań Kameleona od chwili opuszczenia czarteru CT do śmierci, minus sfery prywatności. Występował jako Daniel Dilalle; miał jego fenotyp, genotyp, papiery i kody ID. Prawdziwy pan Dilalle nie opuścił domu na Horyzoncie. Nie jest jasne, czy

został przekupiony, czy zmanipulowany. Ze szczątków Kameleona odzyskaliśmy nieorganiczne nano jego wszczepki, ale nie udało się odtworzyć struktury ani, tym bardziej, rozszyfrować kodów jego software'u RNAdycyjnego. Trop finansowy także prowadzi donikąd: „Dilalle” płacił z kont hasłowych nabitych gotówką parę dni wcześniej. Słowem: czysto. Przykro mi. - Całuje pierścień *Primusa* i znika.

W Nowym Jorku, w Lidze Suwerenów, wystąpienie przedstawiciela Francji, składa on projekt rezolucji zakazującej stosowania wysokoenergetycznych RNAdytorów w technologiach wojskowych. Poseł OHX popiera.

Yesada kupiła mieszkanie w Rzymie. Oczywiście nie ma mowy o wynajmie dla xenotyka, dobrze, że nie musiała kupować całej kamienicy - residua postampowe potrafią utrzymywać się latami, drobne perwersje czasoprzestrzeni. Yesada nie opuszcza miasta. Rzym! Tu będzie bezpieczna.

Ultrakonwergencjoniści założyli fundację, wynajmują xenotyków i latają na własną rękę szukać planet glejonośnych.

Wybory w UE, frekwencja jednocyfrowa.

Xenotycy w Watykanie, prywatna audiencja... Dni, miesiące.

Czy owa pielgrzymka ma w ogóle sens? Frederick chowa się w kolorowej gęstwie kutrypowego ogrodu/Ogrodu przed ogniem tych samotnych słońc, coraz odleglejszych od Punktu Ferza. Po ilu daremnych próbach zrezygnuje?

7. Głupiec

Zatrzymawszy SpaceSculptora 10 AU od Głupca, nawet nie wychodzi z wewnętrznego kubika, gdzie moczy się w jacuzzi. Procedury obserwacyjne wykonują się same, Ogród rozpyła teleskop, rozstawia porty grawimetryczne, Cage zaś rozszerza się dla ochrony przed wewnątrzsystemowymi meteorami.

Pierwsza nadchodzi informacja o kształcie rezonansu grawitacyjnego: są tu planety, co najmniej trzy. Teleskop ogniskuje się na punktach o zadanych parametrach i Aguerre zanurza się w Iluzjon. Zagląda planetom w twarze. Dwa olbrzymy gazowe - im przygląda się pilnie, z nawyku wypatrując oznak gleju (w Bagnach Aguerre przeprowadzone zostaną stosowne analizy ich ruchu). Potem planeta wewnętrzna - i tu jakieś kłopoty, obraz niewyraźny, jakby rozmazany, chmura cienia. Nieważne, nie ma pośpiechu, przyjrzy się z bliska. Zapuszcza Hornpipe'a. To makro Rzeźbi przestrzeń przed Ogirodem w grawitacyjny lej, zasysający

wszelką materię. Przeorganizowany zostaje też Cage i przeprogramowany żywokryst w punkcie otwarcia, gdzie styka się on z „wylotem” Hornpipe'a. Teraz czekać.

Są to już dla Aguerre standardowe procedury poszukiwawcze, podpiął je pod jedną makrodefinicję wyższego rzędu i nie poświęca ich egzekucji ani ćwierci myśli.

Bo gdy tak płynie łagodnie na słabym SpaceSculptorze (15 procent maxoct.), prawie nieważki w ciepłej wodzie jacuzzi, z bladym światłem Głupca przebijającym przez siatkową ścianę kubika - zasysa go Iluzjon/Personal/Amiel01: Carla Paige wystosowała zaproszenie na jego adres w Zakonie, pierwszy to sygnał od niej po Święcie. Aguerre nie potrafi skupić się na niczym innym.

Zaproszenie jest oficjalne - i Frederick przybywa tak, jak wymaga tego jego funkcja i tytuł: we fiolecie, z Wielkim Pierścieniem Przysięgi na serdecznym palcu prawej dłoni, w śpiewie anielskich mezzosopranów.

Błękit jest Nową Kolonią prawa brytyjskiego, sto czternaście lat świetlnych od Punktu Ferza, w układzie podwójnym, którego mniejszy składnik to Jowisz z przerostem ambicji - widać go w dzień, ale ledwo-ledwo. Błękit jest błękitny swymi oceanami. Z braku czap lodowych jedyny ląd stały to wulkaniczne wyspy, zgrupowane w mniejsze i większe archipelagi. Amiel leży na zwrotniku Koziorożca.

- *Gritz, ma'am.*

- *Gritz, frei.*

Zaprasza go na konną przejażdżkę. Konie są djenajowe, kutrypowa biologia nie sięga jeszcze takich wyżyn królestwa zwierząt. Osobliwy jest stęp tych wierzchowców w 0.74g Błękitu. Aguerre mógłby pogrzebać w setupie swojej wszczepki, wszak tylko obraz i dźwięk stanowią w Iluzjonie odbicie rzeczywistości, reszta to symulacje komplementarne; wygładziłby więc Frederick doznania. Ale nie robi tego, symulacje nie są w końcu brane z sufitu, a on chce przydać tej chwili jak najwięcej pozorów realizmu. Chociażby Glina i GRI zrosły się na podobieństwo Möbiusowej wstęgi, zawsze pozostaną różnice w odbiorze kulturowym, w mentalności. Dopóki zachowana zostanie pamięć o pierwotnym rozdziale materii i snu.

Jadą przez gaje pomarańczowe (djenajowe, bo jaki pożytek z owoców kutrypicznych?), wiatr od oceanu przynosi egzotyczne zapachy, żółte cirrostratusy wiszą na seledynowym niebie. W oddali, nad polinezyjską wioską, widać słupy dymu od ognisk rytualnych. Aguerre przygląda się Carli, gdy ta go wyprzedza. Radują go jej proste plecy, wysoko podniesiona głowa, odrastające włosy, rozpuszczone do ramion. Nie jest tak opalona, jak można by się spodziewać, gruby płaszcz atmosfery Błękitu mocno ścina UV.

Kiedy go nie wyprzedza, wymieniają lekkostrawne uwagi. Tak się toczy z długimi pauzami rozmowa o niczym. Aguerre cierpliwie czeka, aż Carla poruszy ciężący jej temat. Wreszcie dojeżdżają nad brzeg jeziora, zatrzymują konie i lady Amiel bierze głęboki wdech.

- Chyba się zjawili.

- Kto?

- Oni.

Aguerre zerka pytająco, ale zanim powie cokolwiek, nakłada na transfer pieczęć symetrycznego krypto. Carla akceptuje, klepiąc siwka po szyi.

- Chodź, przejdziemy się.

Zsiadają.

Frederick zanurza dłoń w jeziorze. Woda okazuje się ciepła (niczym w jacuzzi).

- Najpierw spotkałam go w otwartym Nowym Jorku - mówi Carla zza jego pleców. - Wstąpiłam ze znajomymi do „Marty's", potem wyszliśmy na spacer; z Gliny był tylko jeden z nas. Jakiś clown zaczepiał przechodniów, zostałam z tyłu... Tamten musiał mnie śledzić przez Iluzjon. Z miejsca składa kondolencje. Nawet się nie zdziwiłam, mógł przecież chodzić z WhoIsWho na oczach. Ale on zaraz zaczął mętne insynuacje: jak to dobrze, że znam wartość milczenia, i że spółka po Gabrielu ma kłopoty ze spłatą ostatnich kredytów -

- A ma?

- Ma, ma.

- A ta wartość milczenia? Jaka?

- No właśnie. Powinnam coś wiedzieć. Nie wiem. Potem jeszcze parę razy inni, a może ten sam pod fałszywkami, bo wszystko rozgrywało się w Iluzjonie - że dwa lata milczenia wyceniają na dwa giga; że rynek jest niespokojny...

- Naprawdę dają dwa miliardy?

- Tak mówią.

- Dwa lata... Dziwne.

Aguerre wstaje, przygląda mokrą dłonią włosy. Carla siedzi na stoku kilka metrów dalej, splata nerwowo długie żdźbła traw. Jest w niej ta chorobliwa energia, widać rozdygotanie wewnętrzne; ale także - aż nadto wyraźne niezdecydowanie, pierwsze cienie wielkiego zmęczenia, zniechęcenia, skrzywienie warg ogłaszające zdegustowanie światem. Lecz to też bez przekonania.

Aguerre odwraca głowę, przygląda się pasącym się wierzchowcom.

- Masz jakieś podejrzenia?

- Kilkuset kłastrów Gabrielowej pamięci w Bagnach do tej pory nie otworzyłam. Nie

mam pojęcia, co tam jest. Przeszukałam rzeczy po nim, ale nie znalazłam żadnych haseł, wskazówek, nic. Krypto jest infinityczne: dałam kabalistom - policzyli sobie zdrowo, nie zwojowali nic.

- Mogę?

- Wrzucę ci na konto zakonne. - Wzdycha. - Czego nie rozumiem: dlaczego nie kolejny Kameleon? Mimo wszystko byłby tańszy niż dwa giga. Nie?

- Gabriel działał świadomie; ty co najwyżej możesz ujawnić odziedziczoną po nim wiedzę. A kto dziedziczy po tobie? Ktoś na pewno - płacić by musieli i tak, wlekłoby się za nimi w smrodzie trupów. Kupują czas. I to mnie zastanawia. Co takiego miałyby się wydarzyć za dwa lata? Powiedz, czym on się interesował przed śmiercią? Jakies ślady musiały pozostać w otwartych zapisach, chociażby najogólniejsze odnośniki...

- Więc właśnie chciałam cię zapytać... Jak tam? Tarot skuteczny?

- Głupców jest tak wielu...

Potem pływają w ciepłych wodach starego krateru. Z przyklejonymi do głowy włosami Carla wydaje się starsza, przeżarta jakimś toksycznym smutkiem. Schnąc na rozświetlonym piasku, opowiada jej Aguerre anegdoty z życia xenotyków. Chmury kłębią się na zielonym niebie. Wkrótce zajdą nad Amielem oba słońca. Chciałby wyciągnąć rękę, ścisnąć jej dłoń - nie zrobi tego, ma nadzieję na więcej. Póki nie wypowiedziane na głos, wszystko jest możliwe.

- Chyba wezmę te dwa miliardy, skoro i tak nic nie wiem.

Czy to dlatego chciała się z nim spotkać? Ma jej pobłogosławić? Rozgrzeszyć?

- Poczekaj jeszcze chwilę.

Głupiec płonie zimnym ogniem, oko szatana. Aguerre wychodzi do bocznego kubika pięciościennego, staje nad krawędzią. Pod stopami wielka dziura w kobiercu gwiazd, bezkształtna plama ciemności absolutnej: Głupiec Jeden. Nad Dwójką i Trójką pracują już moduły badawcze wyrosłe z przeżutego materiału pochwyconego w Hornpipe'a, Ogród wyrzucił je po drodze. W żywokryst modułów zaimplementowano glejowe przyłącza, Aguerre w płytkim Iluzjonie obserwuje postępy eksploracji. Dwójka (do której sonda dotarła wcześniej, Trójka bowiem znajduje się aktualnie po przeciwnej stronie Głupca) ma kilkadziesiąt pomniejszych satelitów, dwa solidne księżycy oraz potężny pierścień lodowy. Sonda przyziemiła na kilometrowej planetoidzie, żywokryst wżera się w skałę, trwa cud nanoalchemii. Żywokrystne mikroszperacze wystrzeliwiają w próżnię na słupach nagle uwalnianych gazów, by spaść po długich parabolach w burzową atmosferę olbrzymia, w tysięczmilowe pasma szkarłatu, różu, żółci, gdzie mogą się kryć organiczne chmury ciężkich

zawiesin prokariotycznych transkomórkowców. Czy to jest to, co przywiodło tutaj lorda Amiel (jeśli przywiodło): kolebka gleju? Postępuje sondowanie wodorowych otchłani. Trójka jest kilka godzin w tyle, moduł dopiero szuka żywiciela. Natomiast z Jedyką są kłopoty.

Z Jedyką są kłopoty, planetę skrywa coś na kształt obłoku mikrometeorów, rozpiętego na pół miliona kilometrów wzdłuż orbity, najgrubszego w środku. Aguerre wpuszcza sondę w chmurę, by mimo wszystko rozpocząć proces multiplikacji szperaczy - i wtedy skaczą Frederickowi ciśnienie krwi i krzywe hormonalne. Stróż wkracza do akcji, tonując odruchy fizjologiczne, gdy przewalają się przez Aguerre fale zdumienia i ekscytacji - bo to nie są mikrometeory. Ten obłok sam składa się cały z żywokrystu - żywokrystu i gleju.

8. Sen kabalisty

Doktor Immanuel Szarski wchodzi do górnego czwórściennego kubika Ogrodu Aguerre, siada na pokrytej białym futrem otomanie i wzdycha głośno. *Frei* Aguerre odwraca się od czarnej chmury planetarnej, zza której wschodzi Głupiec wielkości pięści. Wyciąga rękę. Doktor Szarski podrywa się, przykłęka, całuje pierścień. Potem znowu pada na otomanę. Xenotyk przygląda mu się z założonymi na piersi rękoma, w aureoli zimnej poświaty odgwiezdnej.

- No i?

- Nie masz pojęcia, *frei*, jak bardzo żałuję swojej przysięgi.

- Dzisiaj bardziej niż wczoraj?

- Dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek. Nigdzie nie zgłoszono nawet projektów patentów tej technologii.

- Ale badania są prowadzone?

- A to niby skąd miałbym wiedzieć? Teraz wszyscy uciekają z laboratoriami jak najdalej od Ferza.

- Uważasz, że to są pozostałości takiego laboratorium?

- Chyba że małe zielone ludziki...

- Już byśmy je do tej pory spotkali w Iluzjonie - śmieje się bez przekonania Aguerre.

Żart krąży od lat. Skoro planety glejonośne są rozrzucone po wszechświecie (po Mlecznej Drodze) ze stałą gęstością, a sprzężenia kwant-organelli komórek glejowych nie zależą od ich wzajemnego oddalenia, to w Bagna mogą się przez swój glej włączyć Obcy z dowolnego zakątka uniwersum. I jak sprawdzić, czy już się nie włączyli? Impuls jest impuls,

a bez stosownego krypto nie sposób rozpoznać jego pochodzenia.

- No to pokaż to cudo.

Doktor Szarski wyczarowuje w powietrzu przed otomaną niesymetryczny, matowy kryształ. Skala powiększenia rozdyma go na ponad metr. W rzeczywistości należałoby go mierzyć w kiloangstremach.

W ciemnoszarych graniastosłupach Aguerre rozpoznaje symbolikę megacząsteczek żywokrystnych. Lecz spód kryształu oblepiony jest różową masą - i to myli xenotyka, który spodziewa się fioletu. Ale standardową ikoną niesklasyfikowanych komórek niedjenajowych jest różowa kula.

- Nie glej?

- Glej. Ale inny. Trudno mówić o klasycznych mutacjach w przypadku *Xenogenesis procaryota gleiophyta*, niemniej mamy tu do czynienia z przemyślną wariacją o kilka rzędów wielkości większą od dotychczas spotykanych różnic wewnątrzgatunkowych. Przełom technologiczny stanowi ta bezkonfliktowa hybrydyzacja komórki glejowej z nanoziarnem żywokrystu logicznego.

- Komputer FTL.

- Tak. A precyzyjniej: komputer taktujący z szybkością nieskończoną.

Aguerre ogląda się na planetarną chmurę. Jej nieostrą krawędź przeświała oślepiający blask Głupca. Komputer zeroczasowy. W takich chwilach człowiek mimowolnie zaczyna nucić Wagnera.

W tle, czego oczywiście gołym okiem nie widać, obraca się jeden z dyspersyjnych teleskopów Aguerre, sprzężonych z systemem grawimetrów. Frederick rozstawił je dla jak najszybszej detekcji Rzeźby innych gości w układzie Głupca, jeśli tylko się pojawią.

- Ale żeby pożreć całą planetę... - Kręci głową. - Co oni tu robią?

- Już nic. - Doktor Szarski powtarza czar. Tym razem pojawia się mały, kanciasty, jednolicie czarny kryształ. - Nano analityczne, najszybsza, niesprofilowana wersja. Dziesięć lat za posiadanie cząsteczki. Tu masz miliardy ton. Rozkłada ten glejokrystny komputer do wolnych molekuł. Według naszych ocen wymazali już ponad jedną dziesiątą materiału.

- Zrealizowali program, a teraz formatują dysk - kwituje Aguerre.

- Coś w tym stylu.

- Zdążyli?

- *Frei...?*

- Czy zdążyli z tym formatunkiem. Da się jeszcze coś odczytać?

Doktor Szarski krzywi się, zakłada nogę na nogę, rozpiera na otomanie, gapi w

kosmos, machinalnie przesuwa w powietrzu kryształy... nadal się krzywi.

- Żeby to był przynajmniej regularny komp genowy... Ale na gleju? Tu poza kontekstem nie sposób nawet odczytać pojedynczej operacji, bo nie znamy schematu wzajemnych połączeń glejowych. Niejakie wnioski moglibyśmy wyciągać z porównania obumarłych mas żywokrystnych, to znaczy tych wykluczonych już z dalszych komputacji. Ale z glejem na cząsteczkach nic takiego nie musiało zachodzić, mogli emulować algorytmy genowe „na sucho”, poziom wyżej - jaka strata czasowa, gdy odejmujesz od nieskończoności? Zresztą proces się już najwyraźniej zakończył. Na dodatek nano dezintegrujące przeżera wszystko na wylot. No i mam pewne osobiste podejrzenia... Dałeś nam tylko dwa dni i ograniczyłeś kadrę do bezpieczeństwa pod przysięgą Zakonu i o kompatybilnych konstytucjach, więc niewiele mogliśmy zrobić, zwłaszcza bez zwracania na siebie uwagi wynajmowaniem jakichś nieprawdopodobnych obszarów Bagien dla równoległych symulacji. Niemniej...

- Tak?

- Zwróć uwagę na oddalenie od Punktu. Na tyle duże, by nie trafiła tu któraś z regularnych misji eksploracyjnych, zarazem na tyle małe, by nie zwracać uwagi długością lotów zapisanych w rejestrach Zakonu. Bo zdajesz sobie sprawę, *frei*, że ich przecież musieli tu Rzeźbić jacyś bezsenni.

- Zastanawiałem się nad tym - rzecze powoli xenotyp, odwracając się z powrotem ku Głupcowi Jeden, plecami do iluzyjnego kryptologa.

- Nie wątpię - mruczy Immanuel. - Do czego zmierzam: że oni stosują wszelkie możliwe zabezpieczenia, więc zapewne i to ostateczne: partycjonowanie procesu. Po co wkładać wszystkie jajka do jednego gniazda? Kombinowałem, co bym zrobił na ich miejscu, i doszedłem do wniosku, że - nawet jeśli zadanie tego nie wymaga, a coś mam przeczucie, że wymaga - rozdzieliłbym rzecz na kilka planet, przy kilku różnych gwiazdach, po przeciwnych stronach Punktu Ferza, z dala od Wektora. Co więcej: crossglejowałbym pomiędzy nimi każdy najmniejszy algorytm; wszak w glejowodach odległość faktycznie nie ma znaczenia, wszystkie połączenia zeroczasowe. Nawet przy dodawaniu trzech do trzech, szłoby to przez pół galaktyki, na tuzinie takich centrów glejokrystnych. I chociażby ktoś znalazł jedno - nic by mu to nie dało.

- Więc sądzisz, że są inne...

- Założyłbym się. A jeśli faktycznie tak gęsto crossglejowali, możemy przynajmniej z pewnością stwierdzić, iż proces się już zakończył, otrzymali wynik. Nie komputują tutaj - nie komputują nigdzie.

Aguerre nie ma tej pewności, jego podejrzenia sięgają tam, gdzie Szarski nawet w koszmarze by się nie zapuścił.

Pomija to jednak milczeniem i pyta o szacunki czasowe.

- Około trzech lat od inicjacji - mówi doktor. - Pół roku od rozpoczęcia wymazywania. Dwa lata do ostatecznego rozłożenia glejokrystu.

Dwa lata! Dwa lata, Carla. Weźmiesz te pieniądze - co miałaś zdradzić, już zdradziłaś. Dżinn wydostał się z butelki. Już nie ma po co mordować, nie ma po co przekupywać. Muszę też dać znać Yesadzie, niech się nie boi niepotrzebnie; winienem jej przynajmniej tyle...

- Te pliki, które ci posłałem...

- Ach, to. - Kryptolog rozkłada ręce. - Biały szum.

- Tam coś jest.

- Możliwe. Tymczasem, pod krypto infinitycznym to jeden chaos. Ale przecież nie wszystko stracone, teraz dopiero zabierzemy się do roboty.

- Więc mówisz, żeby szukać plików-kluczy? Może nawet na materialnych nośnikach...

- Nie wiem, czy jest w ogóle czego szukać. Skąd to masz, *frei*? Właściciel mógł szyfrować swoimi mindprintami.

Kryptologia jest nasieniem paranoi, z niej rośnie i ją płodzi. Klucze tak proste, że zawierające się w liczbie przekształceń możliwej do zapamiętania, okazują się podatne na ataki xenotyków metodą wróżb naprowadzających. Klucze jednorazowe (sprowadzające się do randomicznego ciągu zer i jedynek, którego nie sposób już łamać krok po kroku) muszą zostać zapisane: albo na nośniku materialnym - który można przecież ukraść - albo w plikach komputerowych - do których można się włamać, chyba że same zostały zabezpieczone krypto, i wówczas znowu pozostaje kwestia jego skuteczności... wróc do kroku pierwszego i powtórz. Trzecim wyjściem, unikającym obu tych pułapek, jest szyfrowanie mindprintami. Stosowne programy na wszczepki dokonują zapisów stanów mózgowych, formatują je, po czym prześwietlają przez nie informację pierwotną. Aby plik rozszyfrować, należy dokonać odwrotnej operacji przy identycznym setupie programu oraz skaningu tego samego mózgu znajdującego się w takim samym stanie. Cała rzecz kryje się w definicji „takiego samego stanu mózgu”. Nowsze programy umożliwiają już zdejmowanie mindprintów tak wyrafinowanych, iż dla uzyskania zgodności wymagane jest wywołanie w konkretnym umyśle konkretnego wyobrażenia, przy konkretnej aurze emocjonalnej. Wyklucza to między innymi skanowanie pod przymusem; na nic również brain-phreaking bez znajomości konkretnego momentu skanu. Nie sposób ukraść wspomnienia pierwszego pocałunku.

Jeśli pliki z Bagien lorda Amiel zostały zaszyfrowane jego mindprintami, są już nie do

odkodowania: wiele rzeczy pozostaje do odtworzenia po śmierci człowieka, ale z pewnością nie struktura jego umysłu, pamięć. Po prawdzie również za życia oryginału byłyby nie do zrekonstruowania. To pewniejsze od odcisków linii papilarnych, kodów DNA.

- Doktorze Szarski... dam wam wolną rękę w programowaniu tutejszego żywokrystu i zdejmę ograniczenia poufności. Jak szybko będziecie mogli coś powiedzieć o celu obliczeń? Cokolwiek?

Immanuel na dłuższą chwilę się wyślepia.

- Nie sposób ocenić - mówi, wróciwszy.

- W każdym razie próbujcie.

- To się rozniesie poza Pałac.

- Zdaję sobie sprawę.

- Co z patentem na glejokryst?

- Zapisany zostanie na Zakon.

Szarski bije pięścią w otomanę, aż coś pęka w meblu.

- Wiedziałem - syczy - wiedziałem.

- *Sorry. Ordo Homo Xenogenesis über Alles.*

- Masz pojęcie, jak po wejściu tej technologii skoczą akcje Projektu SWING? Daj przynajmniej czas na spekulacje!

- *Apage!*

Projekt SWING wyzyskuje ten sam fenomen, który doprowadził do odkrycia gleju w atmosferach gazowego olbrzyma HD 92788, Szadry - to znaczy samorzutną, chaotyczną Rzeźbę, powodowaną przez swobodny glej. (Nazwany tak jedynie z racji powierzchownego podobieństwa morfologicznego do ludzkiej materii mózgowej). Swingowcy szukają grawitacyjnie niewytłumaczalnych anomalii w ruchu planet, anomalii podobnych do tych, które zwróciły uwagę astronomów na Szadrę. Projekt wyróżnia się jednak skalą: ma ambicję ogarnięcia całej Mlecznej Drogi i sprawdzenia „poprawności” ruchu wszystkich planet wszystkich jej gwiazd. Na potrzeby SWING-a pracuje największy, syriuszowy grawitometr typu „L”, miliony kilometrów kwadratowych dyspersyjnych teleskopów optycznych i radiowych, setki tysięcy megaklastrów Bagien... Ale to się opłaca, bo glej na poszczególnych planetach - mimo iż bez wątpienia jest to jeden i ten sam gatunek - różni się jednak między sobą, także potencjałem oktomorficznym, i syzygie niektórych nowych odmian z *Homo sapiens* tworzą xenotypów silniejszych, o łagodniejszych stampach, większej rozdzielczości Rzeźby, być może również o większej intuicji glejotycznej. Na pewno zwiększają przedział zgodności *Homo sapiens* i *X. procaryota gleiophyta*, tak że po każdym odkryciu planety

glejonośnej egzekwuje się Kartę Bostońską od nowa, od nowa testując kandydatów z prawdopodobnych przedziałów wiekowych, genetycznych i fizjologicznych.

Kryptolog wzdycha, wstaje, gasi czary... Wpółobrócony zawraca jeszcze.

- Mówią, że to od lorda Amiel - rzecze, nie patrząc w oczy xenotykowi, który tymczasem przysiadł w fotelu, twarzą do Głupca i glejokrystalnej mgławicy. - Że Rzeźbisz, *frei*, dla wdowy po nim.

- O? A skąd tak genialne dedukcje, można wiedzieć?

- Z fusów i ptaków na błękitcie, *frei* - parska Immanuel. - Prawda to? Te pliki. Jego?

Aguerre teatralnie kręci głową.

- Straszna rzecz - wydyma wargi - glej.

Doktor śmieje się uprzejmie, dłonie w kieszeniach marynarki, lewa noga ugięta.

- I co teraz? - pyta po chwili, ciszej.

- Dotąd się nie pojawili - stwierdza xenotyk - i nie mam nadziei, że się tu kiedykolwiek pojawią właściciele tego abakusa. Wiedzą, że wiemy. Jak sądzisz, doktorze - uśmiecha się krzywo - czyżby sami zasięgnęli rady u jakiejś wróżki?

Kryptolog mruga szybko. Otwiera usta, lecz ani jedno słowo nie wydostaje się z nich pod ciemnym spojrzeniem Aguerre. Teraz obaj boją się tego samego.

9. Nadchodzi inkwizytor

Pierwszy przychodzi Frederickowi na myśl Scilla Miaso; ale nie, tu już trzeba działać oficjalnie, *post factum* nie będzie dla Aguerre dobrze wyglądało wysługiwanie się Psem w sprawach tak wielkiej wagi.

Druga myśl dotyczy Inkwizycji.

Inkwizycja istnieje, lecz nic dziwnego, że nie od razu przyszła Aguerre do głowy: od założenia Zakonu stanowi wyłącznie suchy zapis w statusie OHX. Jest zapomniana do tego stopnia, że *Primus Inter pares* Zakonu musi sprawdzić w rejestrach, sam bowiem nie pamięta, kto jest aktualnie Wielkim Inkwizytorem *Ordo Homo Xenogenesis*. Sprawdza: *frei* Nastazja von Ravenstück. Aguerre przypuszcza, że sama Nastazja nie pamięta o swej funkcji, dotąd tylko tytularnej. Nie łączą się z nią żadne finansowe przywileje czy zobowiązania, a inne prawa wchodzi w życie dopiero z nadania *Primusa*. Potem inkwizytor musi pod Stróżem złożyć ze swych poczynań pełny raport Wysokiej Radzie Zakonu. W sumie bardzo to wszystko zbiurokratyzowane i niewygodne. Na dodatek na czas pełnienia swych obowiązków

inkwizytor ma zakaz Rzeźby komercyjnej - kary za złamanie przez niego wcześniej zawartych umów płaci Zakon, ale marna to pociecha.

Nastazja von Ravenstück OHX (nr 103 u Łuźnego, czternaście lat bezsenności) wyróżnia się także tym, iż zdążyła przed syzygią urodzić dwoje dzieci. Jej córka również wykazała na testach glejokomplementarność, lecz odmówiła przeprowadzenia prób syzygijnych.

Aguerre posyła Nastazji wysokopriorytetowe żądanie kontaktu, ale przez kolejnych kilka godzin dostaje tylko informację o pustce w Iluzjonie z jej strony. Kiedy wreszcie łącze zostaje ustanowione (od początku pod infinitycznym krypto) i Aguerre odwiedza Nastazję, szybko jest jasne, dlaczego czekał: dopiero co skończyła Rzeźbę na *full* SpaceSculptorze.

Przyjmuje *Primusa* w swym Ogrodzie-przybudówce, na orbicie Dao Xia, w przerwie przed Rzeźbą podatmosferyczną.

- *Frei*. Coś się stało? - niepokoi się, zawiązując białe kimono i prowadząc Fredericka do salonu.

Ogród Nastazji nie jest wielki - ot, standardowa przyrośl na gargantuicznym cielsku chińskiego stutysięcznika. Żółto-niebieska Dao Xia, obracająca się powoli pod ich stopami (żywokryst podłogi jest przezroczysty), to kolejna z planet kolonizacyjnych ChRL. „Stutysięcznik” nie oznacza tonażu, lecz liczbę pomieszczonych w nim imigrantów. Masowa migracja międzygwiazdowa jest opłacalna tylko dzięki xenotykom. Sumaryczne koszty są w istocie bardzo niskie: piętnaście dolarów na osobę za transport Windą Clarke'a, pięćset za Rzeźbę i jakieś zupełnie pomijalne grosze za żywokryst habitatu. Więc mandaryni wypychają ich, transport za transportem, byle dalej od Ferza. ChRL ma na stałych kontraktach dwa tuziny xenotyków.

Aguerre i von Ravenstück siadają w salonie; stampa xenotyczki sprowadza światło planety i gwiazd do gruboziarnistego ćwierćmroku. Zanim jednak usiądą, Aguerre podaje jej kopertę. Nastazja obraca ją ostrożnie w palcach o długich, ciemnoliliowych paznokciach: koperta zamknięta została oficjalną pieczęcią OHX. Von Ravenstück łamie wosk, wyjmując dokument. Czyta i oczy się jej rozszerzają. Gdyby nie Stróż, zapewne przyśpieszyłby jej oddech i podskoczyłoby tętno.

- Co to -

- Glinny oryginał czeka już na panią w Zamku.

- *Jiiss*.

- Nie mają tu jeszcze Windy, więc Przerzeźbi ich pani na powierzchnię, ale zaraz potem zrywa pani kontrakt i zaczyna przesłuchania. Wszystkie na otwartych Stróżach - daję

pani najwyższe uprawnienia inkwizycyjne, może ich pani edytować hormonalnie.

- Ale - kogo?

- Wszystkich, *frei*, wszystkich.

Nastazja von Ravenstück patrzy na Aguerre jak na wariata - lub proroka.

Xenotypk śmieje się przelotnie. Nachyla się ku niej, ściska krótko za kolano.

- Spokojnie. Na razie nic się nie stało. Opowiem pani.

I faktycznie opowiada. Całą historię. Nastazję, jako inkwizytora, obowiązuje teraz przysięga poufności stokroć mocniejsza. Aguerre zaczyna od Kameleona i lorda Amiel, kończy na Głupcu i glejokrystnym kompie FTL.

Nastazja słucha uważnie, już nieco spokojniejsza, niewątpliwie nagrywając całą tę rozmowę.

- No ale ciągle nie widzę tu pola dla inkwizycji - mówi wreszcie. - Jakieś mocarstwo za tym stoi, bez wątpienia. Kameleon. Technologie. Ta skala przedsięwzięcia. Sam zresztą pan mówił. Więc co to za materiał dla śledztwa wewnątrzakonnego?

- Dwie są przesłanki zaangażowania w aferę bezsennych. - Aguerre wznosi palec. - *Primo*: oddalenie Głupca od Punktu Ferza oraz czas trwania przedsięwzięcia. Proszę to sobie policzyć. Ilość Rzeźb, liczba roboczogodzin xenotypków. Z pewnością musieli wynająć kilku, może nawet kilkunastu, o ile nie były to umowy na wyłączność, a nie mogły być, bo wówczas nie uniknęłyby zwrócenia na siebie uwagi. Toteż ci bezsenni wiedzieli. Przez trzy lata! A lord Amiel - ledwo zaczął węszyć, zabili go. Czy więc zawierzyliby przysiędze xenotypków? Jak pani sądzi?

- Musieli związać ich ze sobą znacznie silniej.

- Tak. Ale w jaki sposób? To jest pierwszy powód śledztwa. - Aguerre unosi drugi palec. - *Secundo*: skąd wiedzieli? Skąd wiedzieli o lordzie Amiel? Nikt nie wiedział, nawet jego żona; a oni tak. Skąd? Załóżmy, że mieli tam detektory wysokiej czułości i wykryli Rzeźbę Ori. Ale to wciąż nie zdradziłoby im tożsamości Yesady ani, tym bardziej, lorda Amiel.

Nastazja wstaje, podchodzi do barku, nalewa sobie szybko jakiś trunek (zapewne bezalkoholowy - dla bezsennych niewielki pożytek z alkoholi), wychyla nerwowo szklanicę.

- Wróżby xenotypckie - mówi, nie oglądając się na Aguerre.

- Otóż to.

- *Kreist*.

Von Ravenstück oddycha głęboko, minutę, dwie. Znowu sobie nalewa.

- Ilu nas było w ostatnim biuletynie Łuźnego?

- Tysiąc sto siedmioro po syzygii, treningach i przysiędze.
- I ja mam ich wszystkich... przesłuchać?
- Jednego po drugim - przytakuje spokojnie Aguerre. - Pod otwartymi Stróżami.
- *Kreist!*

Nastazja siada z powrotem. Zmęczonym ruchem odgarnia rude włosy na kark. Rozchylone kimono ukazuje przyjemną krzywiznę dekoltu. Po Dao Xia przesuwają się terminator i w Ogrodzie inkwizytora robi się jeszcze ciemniej.

Spoglądają w zamyśleniu w gwiazdną otchłań - równoległe spojrzenia, równoległe toki myśli.

- Wkrótce urodzi mi się wnuk... - zaczyna bez związku von Ravenstück, prawie szeptem. - Miałam być przy porodzie. Czy jest emerytura dla xenotyków? Kiedy przyjdzie nam umierać... ze starości... dokąd nas Przerzeźbią? Grawimetry ras dziś jeszcze niewyniesionych z mułu będą czytać nasze cmentarze, głośniejsze od jądra galaktycznego... Jak ja się właściwie wpakowałam w to inkwizytorstwo?

- Wybrano panią w tajnym głosowaniu z puli kandydatów wylosowanych.

- Demokracja. Uch. Z bliska traci jednak wiele uroku. Zostawia ją tu, przytłoczoną wyobrażeniem siebie samej jako Wielkiego Inkwizytora OHX, strachem przed śmiercią z rąk asasynów zagrożonego dekonspiracją mocarstwa - i wchodzi w Iluzjon/ Open/Rome00.

Tu budzi ze stymulowanych przez Stróża marzeń Yesadę Ori, by powiadomić ją, iż dobiegło końca jej wygnanie. Nie złamała przysięgi, tajemnica sama się wydała, nie musi więc obawiać się już o swoje życie. W trakcie rozmowy, gdy stoją pod oknami przestronnego holu mieszkania xenotyczki, jeszcze niezbyt przytomnej po wynurzeniu z tak głębokiego VR, dociera rozsyłany przez demona Zamku okólnik o powołaniu inkwizytora. Yesada spogląda na Fredericka wielkimi oczyma, niezbyt zdumiona, by w ogóle pytać.

- Wracaj na Aguerre - mówi jej. - Zwołam Radę. Złożysz wtedy zeznania, przed raportem inkwizytora.

- Ja nie chcę...

- Czego nie chcesz? - aż pochyla się, by usłyszeć jej słowa.

- ...w politykę.

Znowu wywołała w nim poczucie winy.

Następnie nawiedza w Iluzjonie/Personal/Amiel01 Carlę Paige.

Nad tą częścią Błękitu słońce właśnie wschodzi. Carla zasnęła w gaju za hacjendą, w wiklinowym fotelu. Teraz budzą ją: Aguerre i blask jutrzeńki. Przebiega po kobiecie szybki dreszcz - a może świadomie otrząsa się z zimnej rosy.

- Ccoo...? - ziewa, otulając się ściślej czerwono-niebieskim kocem.

Xenotyk wyciąga rękę.

- Chodź.

- Aa-a... dokąd to?

- Otwórz tylko łącze; zobaczysz.

- Dlaczego właściwie ja ci tak wierzę?

Ale już się podnosi, już sięga ku jego dłoni. Łatwiej się poddać, niż sprzeciwić, do sprzeciwu trzeba siły, jakiejś motywacji - jej ich brakuje.

- Bo i tak masz moje serce w garści.

- O, jacyśmy dzisiaj romantyczni! - A stanąwszy na krawędzi czterościennego kubika Ogrodu Aguerre: - Co to jest?

Więc opowiada jej - minuta, dwie, kwadrans, w powolnych słowach, w gawędziarskim rytmie.

W miarę opowieści Carla przeobraża się w tamtą lady Amiel z wieczoru po śmierci Gabriela, w końcu nawet w taki sam sposób obejmuje się przeciwko zimnu wielkich przestrzeni, tak samo opiera barkiem o ścianę.

- Był tu? - pyta po chwili milczenia.

- Gabriel? Tak.

- Jak trafił?

- Dobre pytanie. Przypuszczam, że za glejokrystem. Z tego, co wiem, ostatnie badania jego zespołu szły w tym kierunku, a w dzisiejszych czasach wywiad jest integralną częścią każdego projektu naukowego - musiał mieć konkurencję na oku. W rzeczy samej z chęcią bym porozmawiał z jego współpracownikami...

- Przejdź się do campusu nad Zatoką. - Carla wskazuje ruchem głowy gwiazdę. - Dlaczego „Głupiec”?

- Na pamiątkę. Aha, możesz już wziąć te dwa miliardy. Posyła mu kose spojrzenie.

- Próbowałam. Nikt nie odpowiada. Najwyraźniej oferta jest już nieaktualna.

10. Kto się boi Fredericka Aguerre?

- Scilla, chłopie, gdzie cię znowu wciąło? Trzy miesiące nie widziałem cię w AC. Ty zawsze wybierasz jakieś szemrane zlecenia!

- Ha, tym razem Rzeźbiłem po stronie aniołów. Liga znowu zaczęła macać za

Żłobkami. Ktoś w Nowym Jorku wymyślił, że nasi szaleni naukowcy kryją się w szumie jądra. Uwierzysz?

- Tak czy owak, wracaj szybko, czuję, że będę cię potrzebował.
- Właśnie widzę. Inkwizytor! *Jiis!* Myślisz, że tak po prostu z nich to wyciągniesz?
- Ba! Przecież wiem, że nie są idiotami: odmówią Nastazji.
- I ci, którzy odmówią...
- Otóż to.
- *Frei.*

Przemierzywszy już Iluzjon wzdłuż i wszerz, puściwszy w ruch tryby polityki, nie może dłużej zwlekać i zapada w objęcia NavigatoraXG, na maksymalnym SpaceSculptorze Rzeźbiąc gładko ku Punktowi Ferza i swej planecie. Inną drogą leciał do Głupca, inną zeń wraca, już nie meandrując, nie wróżąc od gwiazdy do gwiazdy. Ale i teraz nie może Rzeźbić po linii prostej: pomiędzy Głupcem a Punktem znajduje się rozbuchana na parseki Śmierć Stiepanowa.

Rzeźbiąc, „śni” o Sardynii. Bardzo dobrze pamięta te trzy tygodnie spędzone z Carlą Fiore - trzy tygodnie, których nigdy nie spędził z Carlą Fiore - pod lazurowym niebem, przeglądającym się w roziskrzonym morzu oraz w szklach jej okularów przeciwsłonecznych, gdy spoglądała na niego, współmiechnięta, z głową w półprzechyloną, na pół realna w obłoku biało-żółtej zawiesziny śródziemnomorskiego światła; mrużył wówczas oczy, oślepiiony. Zapach jej potu, zmieszany z zapachem olejku do opalania... Gdy się nie opalali i nie pływali, chadzali na bardzo długie spacerunki kamienistymi i piaszczystymi plażami Sardynii - Carla bosą, jest coś przemożnie erotycznego w widoku kobiety deptającej ziemię i kamień nagimi stopami. I te jej sukienki, długie do kolan lub pół łydki, na wąskich ramiączkach, zawsze w jasnych barwach, z delikatnej bawełny... Robił jej zdjęcia, ale tylko z zaskoczenia, zatopionej w słońcu i wietrze, złapanej w dziwnych pozach, z włosami zasłaniającymi twarz, opaloną ręką wzniesioną do nieba, w zachwianiu równowagi. Przyglądała się potem tym fotografiom z ptasią uwagą, mrugając w zdziwieniu. Nie padało ani jeden dzień i ciągle wystawieni na prawie-afrykański żar naładowali się jakąś niespokojną energią - po zmroku, gdy się ochładzało, oni ją oddawali. Pamiętał gorąc jej nagrzaną skórę pod opuszkami, pod językiem, woń dobrze nasłonecznionego otoczaka w jej zbrązowiałym naskórku; zapach jej włosów. Pili miejscowe, tanie wino - i tak smakowała, kiedy już noc najgłębsza i tylko właśnie smak, zapach, dotyk, z rzadka - słowo niedoartykułowane, szept bezmyślny. Budził się w gruboziarnistych mrokach przedświt, by z letargicznym zdumieniem konstatować harmonię, z jaką wydostrawiały się ku pościeli ich powolne oddechy; nawet serca były w tym

samym rytmie. Ponoć niektóre zwierzęta - szczenięta z jednego miotu, członkowie jednego stada w tych samych jamach sypiający - potrafią się tak zgrać, zsynchronizować. Budził się wcześniej, parzył jej kawę. Otwierał okna; przeważnie i tak były otwarte, uchylone. Nad portem krążyły mewy. Dźwięk mowy tubylców, język, którego nie pojmował - dodawał owym chwilom koniecznego posmaku tajemnicy, magii nazbyt egzotycznej, by w ogóle mogła być dla człowieka zrozumiała. Wówczas, zapatrzonego, zasluchanego, zaskakiwała go z tyłu, skóra do skóry, oddech ciepły na karku, i kiedy -

Zmiażdżony. Zabity. Wije się w ciasnych i zacieśniających się splotach morderczej Rzeźby czasoprzestrzeni. NavigatorXG informuje o stanie wykonania makra SpaceSculptora: już prawie jest Aguerre na miejscu. Więc tym bardziej: całą moc wkłada Frederick w zrewersowanego Cage'a, rozpychając wrogą Rzeźbę. A co to właściwie za makro, jaki przepis Rzeźby, która go tak dusi, prawie imploduje? Też pewnie wersja Cage'a. Nie zdaje sobie Aguerre sprawy, ale kiedy tak unosi się nad powierzchnią łoża w górnym czworobocznym kubiku swego Ogrodu (skasował OnTheGround i objęła go z nagłą nieważkością), na twarzy, na szyi, z węzłów chłonnych - wypacają mu się wielkie, tłuste łyzy gleju, maź fioletowa na białej skórze; taki ból, taka męka. Stróż pracuje na najwyższych obrotach, pompując hormony i ich wygaszacze, drażniąc stosowne ośrodki mózgowie. Ćwierć, pół sekundy, sekunda, dwie... pfuch! - pęka Rzeźba zewnętrzna, Ogród Aguerre jest w otwartym kosmosie. Pół AU od planety Aguerre, między nią a gwiazdą, trzydzieści stopni nad ekliptyką. NavigatorXG od razu wskazuje źródło morderczej Rzeźby i uruchamia makro IronMaiden, znowu szarpiąc z Fredericka sto procent mocy. Xenotykowi wypiera dech z piersi; ale poddaje się rozkazom programu, to są słuszne procedury, jedyne możliwe reakcje w sytuacji takiej jak ta. Która, co prawda, nie ma precedensów, lecz co przezorniejsi xenotycy ułożyli sobie skrypty bodaj na każdą ewentualność, z bliskim wybuchem nowej włącznie - i teraz następują po sobie, szybsze od myśli świadomych: ataki, kontrataki, finty oktomorficzne, Rzeźby nagle a podstępne, mord brutalny w uścisku niematerialnych kleszczy, gdy nagle otwierają się na powłoce oddalonego o miliony kilometrów Ogrodu wroga prawie punktowe leje grawitacyjne, w regularnych i nieregularnych mozaikach, każdy ciągnący żywokryst w swoją stronę. Żywokryst nie jest narażony bezpośrednio na te naprężenia, najpierw pokonać trzeba „pancerz” ochronnego Cage'a, o przeciwnie biegnących gradientach grawitacji. Milisekunda, trzy... różnica mocy jest nazbyt wielka, IronMaiden Aguerre połyka Cage'a skrytobójcy. Teraz przychodzi pora na żywokryst - nawet on, najwytrzymalszy z wytrzymałych, o ciasnych wiązaniach krystalicznych, pęka i rozpryskuje się w tysiącach kierunków naraz. Spuszczony w ciasne leje grawitacyjne Ogród zamachowca błyska krótką rozgwieżdżoną materią,

ściśniętej do postaci plazmy, po czym - po zdjęciu makra Fredericka - zostaje uwolniony w próżnię w formie korony białych dżetów. Potem znowu ciemność.

Sześć sekund - tyle wszystko trwało. Aguerre opada na łożo. Tętno wraca do normy. Drżącą ręką ściera z siebie pot i glej.

Na wejściu do Iluzjonu aż gęsto od zgłoszeń kontaktu. Wszczepka Aguerre, wykorzystując prowizoryczne detektory Ogrodu oraz ponadbiegunowe grawimetry pobliskiej planety, mapuje Śmierć Asasyna. Poglejotycka perwersja czasoprzestrzeni jeszcze przelewa się między formami, nie fiksując się na końcowej figurze - może to potrwać minutę, może rok (w takim przedziale zawierają się dotychczasowe cztery przypadki śmierci xenotyków).

Aguerre zajmuje się czym innym. Wchodzi w Iluzjon/Personal/ Aguerre17 i podnosi się na nogi w Skryptorium Zamku. Od pierwszego z brzegu skryby bierze ostatnie notowanie Łuznego. Zakreśla na nim bezsennych o potencjale do 10 procent większym lub mniejszym od mocy oktomorficznej zmierzonej na obronnym Cage'u zamachowca. Dostaje siedem nazwisk. Inicjuje wysokopriorytetowe połączenia z tą siódmką, śląc oficjalne kody *Primusa* OHX. Tylko troje się nie zgłasza. Skryba sprawdza mu tę trójkę w aktualnych rejestrach. Dwójka realizuje kontrakty, w myśl których Rzeźbi teraz gdzieś kiloparseki od Ferza.

Kto więc się ostał po takiej eliminacji: Bartolomeo Cuomo, bezsenny od sześciu lat. Frederick przypomina go sobie mgliście. Ostatnie miejsce pobytu: Ogrody Orbitalne Aguerre. Zamawiał ultraszybki żywokryst.

Aguerre odwiedza Nastazję von Ravenstück. Inkwizytor przyjmuje go w żywokrystnej willi na Dao Xia, na patio wysuniętym nad dwustumetrowy wodospad, w sercu niedjenajowej dżungli.

- Ilu zdążyła już pani przesłuchać?

- Szesnaścioro, *frei*.

- Odbierała pani od nich przysięgi milczenia?

- Nie; nic pan o tym nie wspominał.

- Wiem. Właśnie próbował mnie Zarzeźbić na śmierć *frei* Bartolomeo Coumo. Był w tej szesnastce?

- *Nei*. - Xenotyczka spogląda na Fredericka z jawną podejrzliwością. - Co pan właściwie planuje, *frei*? - I z nagłym gniewem: - Spełniłam już zadanie, czy też mam ich dalej przesłuchiwać?

- Jak najbardziej. Wszystkich.

Prefekt Hesjøg oczekuje Aguerre w swym gabinecie na najwyższej kondygnacji Strażnicy. Stąd rozciąga się widok na całe Aguerre City. Strażnica znajduje się już za

Wielkim Atraktorem, wkrótce czeka ją transfer.

Frederick glinny płynie w swym Ogrodzie ku planecie na 10 procent SpaceSculptora, 40 procent Cage/Atmoura; Frederick iluzyjny wygląda przez obramowane kutrypicznym zielskiem panoramiczne okno na Miasto Chaosu, pogrążone w wiecznej nocy, lśniące pod bladymi gwiazdami i jasnym pierścieniem. Sądząc po zagęszczeniu ścieżek powietrznych, nadchodzi wieczór.

- Wstecz po życiu Cuomo aż do jego syzygii - mówi Aguerre, nie oglądając się na Hesjøga, który, wraz z kilkunastoma iluzyjnymi współpracownikami, stoi w postawie na baczność. - Cała własność prywatna, materialna i niematerialna. Przekopujcie pliki do kabalistów. Lista kontaktów, zwłaszcza z ostatnich trzech lat. Przyjaciele, jeśli miał. Analiza statystyczna zleceń, które wykonywał. Analiza jego inwestycji. Opinie o jego zdolnościach wróżbiarskich. Najdrobniejszy ślad powiązań z lordem Amiel i -

Wszystko chwieje się, skacze w pionie i poziomie, drżą krawędzie, przedmioty spadają na podłogę, ludzie krzyczą. Zaraz włączają się też zaburzenia symulacji ciężenia; Aguerre odruchowo usiłuje odpalić makro lewitacji, ale reflektuje się i tylko odstępkuje od okna. Zresztą szybko wszystko się uspokaja.

- Co to było...?

- *Kreist*, to Śmierć Cuomo. - Aguerre spluwa. - Poszła widać w ciężkie zapadlisko. - Obraca się do sekretarza. - Nowa mapa grawitacyjna układu!

- Robi się, *frei*.

Tymczasem konferuje Aguerre ze śledczymi. W Milicji Zakonu służą wyłącznie bezpieczeństwa o zestandaryzowanych konstytucjach i przysięgach wasalnych. Zamach na zwierzchnika *Ordo Homo Xenogenesis* jest zbrodnią główną, podobnie jak uczestnictwo w spisku na jego życie. Milicja Zakonu nie posiada oczywiście żadnych uprawnień do prowadzenia dochodzeń na innych planetach, pod jurysdykcją tamtych państw - lecz w Iluzjonie/Open operować może wszędzie.

Na zakończenie spotkania wszyscy całują pierścień *Primusa*.

W swych apartamentach w Aguerre Tower Frederick próbuje odzyskać równowagę emocjonalną. Zamach na życie każdego by zdenerwował, trudno przejść nad czymś takim do porządku dziennego - dla xenotyków jednak, w sekundy uspokajanych przez stosowne programy Stróży, przemocą utrzymywanych w wąskich ramach norm chemicznych i neurofizjologicznych, dla nich zamknięta jest naturalna droga psychicznej rekonwalescencji. Diagnostyka Stróża pokazuje, że Aguerre jest spokojny; ale jakże może być spokojny, gdy nie minęło jeszcze pół godziny od ataku? Pamięć, prześwietlona do bladego tableau zdarzeń,

niepokoi tym bardziej. Chciał mnie zabić! Chciał mnie zabić! Chciał mnie zabić! I *Primus* przewija to sobie w głowie, na zimno, spacerując po bezludnych apartamentach.

Apartamenty Fredericka w Aguerre Tower rzadko wypełniają się gwarem rozmów, a jeśli już - to iluzyjnych. Stanowi to kolejny z efektów ubocznych funkcji tonujących Stróży: niezdolność do wytworzenia silnych więzi uczuciowych, wyzwolenia jakichkolwiek mocniejszych reakcji psychologicznych. Mogą bezsenni co najwyżej w s p o m i n a ć uczucia, te gorączki duszy, jakich doświadczyli w czasach przed syzygią - jeśli doświadczyli jakichkolwiek. Ale czy wspomnienie ognia parzy? Czy wspomnienie strachu przeraża?

Wielkie i puste są apartamenty Fredericka Aguerre. I kto teraz dzwoni, kto dobija się w Iluzjonie? Dziennikarze, politycy, podwładni i partnerzy w interesach Zakonu; oni.

I Carla Paige.

- Nie chcę zwracać ci głowy, na pewno masz teraz masę roboty, po prostu kiedy gruchnęła ta wieść, że był zamach także na ciebie... i że to xenotyk...

- Już taka wielka afera, co? Spokojnie, nic mi się nie stało.

- Mówiłam: powróź samemu sobie. Wróżyłeś?

- To nie działa w ten sposób - krzywi się *Primus*, wyglądając na wietrzną noc.

Gwoli prawdy, nikt nie wie, jak to działa.

Znowu trzęsie się ziemia. Ludzie na powietrznych alejkach nad AC chwytają się kurczowo poręczy, padają płasko na żywokrst, odpalają edycje ratunkowych jego sieci. Niebo nad Miastem Chaosu zarasta czarnymi fraktalami.

Z tłumu pozostałych iluzyjnych zgłoszeń program sekretaryjny Fredericka jedno indeksuje na czerwono: prośbę o bezpośredni kontakt od Ivana Petrc'a OHX (aktualnie numeru szóstego u Łuźnego, bezsennego od siedmiu lat). *Frei* Petrc załączył do kodów ID zaszyfrowany zestaw współrzędnych. Aguerre odszyfrowuje wiadomość i sprawdza współrzędne: to Głupiec.

Otwiera połączenie.

Petrc zjawia się w fioletowej kamizelce na czerwonej koszuli; kamizelka haftowana jest w karminowe róże. Długie włosy spięte ma srebrną kłamrą. Glej nie pokazuje mu się na skórze, lecz zabarwia białka oczu, są to oczy demona: czarne źrenice w kulach sinego granatu.

Aguerre wyciąga do Petrc'a dłoń, wpółzamkniętą, grzbietem do góry, z wielkim, błyszczącym pierścieniem.

Długą chwilę patrzą na siebie w milczeniu, obaj znieruchomiali w swych pozach, mrozący się nawzajem spojrzzeniami. Nareszcie Ivan wyrywa się spod uroku, odwraca,

wychodzi powoli na balkon.

Aguerre opuszcza dłoń. A zatem - dokonało się.

11. Schizma

Znają się przecież z Petrcem bardzo dobrze. Petrc kandydował do Rady trzy lata temu; przegrał o włos. Głośno kwestionuje politykę Zakonu. Na tajnym forum OHX w Iluzjonie postulował alternatywną strategię postępowania w negocjacjach z ICEO i zdobył dla niej takie poparcie, że Aguerre do tej pory ściera się z opozycją w łonie Rady. Przy tym wszystkim nie jest jednak Petrc nieszczerym, podstępny uzurpatorem, czego mógłby się spodziewać człowiek wychowany na stereotypach-pop; Petrc zawsze postępował wobec Aguerre uczciwie (przynajmniej podług wiedzy tego ostatniego), swe zastrzeżenia wyrażał otwarcie, zazwyczaj najpierw w cztery oczy, i nie przenosił sporów programowych na płaszczyznę personalną.

Frederick zdaje sobie sprawę, iż większość „xenotyków nowej generacji”, tych z czasów po Karcie Bostońskiej, o łagodnych stampach i po bezkonfliktowych syzygiach, postrzega Ivana jako swego naturalnego przywódcę. Przyjął on giej późno, zdążył wcześniej zrobić doktorat z chaotycznych systemów negentropicznych, zdążył popracować naukowo. Jako xenotyk słynie z niewielkiej liczby zleceń komercyjnych.

Wyszli ponad miasto, idą krystścieżkami między monumentalnymi budowlami. Nie boją się trzęsień ziemi, obaj iluzyjni. Zresztą gdyby nawet byli tu obecni w Glinie - są xenotykami. Idą bardzo powoli, przystając, oglądając się na kolorowe AC. To hierarchie Personal, nikt nie widzi spacerujących; a symetryczne krypto infinityczne obraca krążący między nimi strumień danych w czysty szum.

Idą tak i idą i Aguerre zaczyna podejrzewać, że z własnej inicjatywy Petrc nie odezwie się nigdy.

- Będą następni? - pyta Frederick.

Ivan unosi głowę.

- Kto?

- Tacy Cuomo. A może jakiś Kameleonek.

- Sądzisz, że chciałem czegoś podobnego?

- Taa, każdy zawsze chce dobrze. Tylko potem trudno zliczyć trupy.

- Uch. Aleś walnął.

- Lepiej gadaj, skoroś sam zadzwonił.

Petrc przystaje, obraca się plecami do Aguerre Tower, przysiada na balustradzie. W fioletowych oczach odbija się pierścień planety. Bierze głęboki oddech.

- To jest schizma.

- Zauważyłem.

- Rozmawiam z tobą, żeby uniknąć dalszych takich podchodów. Ja nie panuję nad nimi, uwierz mi, zresztą jak niby można panować nad bezsennymi? Sam wiesz najlepiej.

- Dlaczego nie wcześniej? Dlaczego w ogóle... Gabriel?

- Odruch paniczny. Nie mój. Paige Przerzeźbił się do Koziółka, a zaraz potem poleciał spotkać się z tobą, prosto na Święto, nawet nie zahaczył o Błękit. Nic nie wiedziałem, Rzeźbiłem na *full*, prywatnie. A oni zdecydowali się zyskać na czasie.

- Wypuścili na glejkompa nano analityczne dopiero po wizycie Gabriela?

- Jak tylko się pojawił. To znaczy, jeszcze nie wiedzieli, kto to. Że obca Rzeźba, tyle. Dopiero potem, z wróżby eliminacyjnej...

- Lecz było już obliczone.

- Z grubsza, tak.

- Co?

- *Frei...*

- Czyjej tajemnicy strzeżesz? Mhm? Nie powiesz? - Podchodzi do Petrc'a coraz bliżej.

- Kto was kupił? Dla kogo Rzeźbicie po kryjomu? Czyj to był Kameleon? Co, co tam się komputowało?

Ivan znowu przeciąga długą chwilę milczenia. Glejowate oczy nie mrugają.

- No? - naciska Frederick.

Petrc wzdycha.

- Zdaje się, że czeka, mnie mowa Wielkiego Kusiciela. Coś w stylu Goethego. Czujesz się na siłach? Jak tam twoja dusza?

- Dziękuję, nie narzekam. Przestań się wygłupiać.

- Dobra. Posłuchaj. Pamiętasz, jak mówiłem ci o Twierdzeniu Greasona? Że dowiódł go *frei* Muczachan? Pamiętasz?

- Bo co?

- Jaki jest nasz największy atut, Fred? Xenotypów. Powiedz. Co daje nam największą przewagę?

- Rzeźba.

- Nie.

- Nie będę grał w dwadzieścia pytań.

- Glejomyślność. Nigdy nie chciałeś mnie słuchać, kiedy próbowałem cię przekonać. Rzeźba to praca fizyczna, wozimy wte i wewte ludzi i towary, zrobili z nas wysokopłatne muły. Ale prawdziwe szanse, prawdziwe cuda kryją się w bezpośrednich sprzęgach naszych mózgów z glem. Nie widzisz tego? To dopiero Sezam! Bo czym tak naprawdę jest glej? Hę? Masz tu - ogarnia ruchem ręki połowę Aguerre City - tysiące biologów pracujących wyłącznie nad tajemnicami *Xenogenesis procaryota gleiophyta*, ale czy odpowiedzieli na choćby jedno z pytań, które postawił jeszcze Łuźny? Bo na jakiej właściwie zasadzie działają glej-organelle rezonansu zeroczasowego? W jaki właściwie sposób glej odkształca czasoprzestrzeń? Co to za oddziaływania i jakie są ich nośniki? Skąd pobiera energię i jaka to energia? Jak to możliwe, że znajdujemy te same organizmy w ekosferach różnych gwiazd? Gdzie są relikty ich ewolucji, jak wyglądali ich przodkowie, jak to przebiegało? Czy glej, jako jeden organizm, plankton galaktyczny, na pewno nie posiada inteligencji, świadomości? Jak stary jest? Dokąd sięga? - Mleczna Droga? gromada galaktyk? wszechświat? Czy znasz odpowiedź na choć jedno z tych pytań?

- Nie, wiesz, że nie.

- A nosisz go w każdej komórce swego ciała, nowe mitochondria; krąży ci we krwi; symbiozuje na dendrytach. Zatem kim jesteś ty sam?

- Xenotykiem.

- Ale to tylko słowo. Elegancko skrojona szata.

- No więc przemów, proroku!

- Ach. Gniew. Widzę twój gniew, Fredericku.

Okazanie uczuć przez xenotyka. Takie chwile należy dobrze zapamiętać. Drogocenne kamienie, które obracać będą we wspomnieniach aż do zupełnej gładkości. Rzadkie - i coraz radsze, bo za każdym razem Stróż uczy się na błędzie, koryguje algorytmy. Nie spodziewaj się drugiej wpadki, odtąd wszczepka reagować będzie jeszcze szybciej, jeszcze precyzyjniej, dopalacze dokrewne stłumią w zarodku wszelki niepokój hormonalny, induktory nakorowe wyglądzą nagle sztormy EEG. Cichy i doskonale przejrzysty jest świat bezsennych, niczym chińska sadzawka, staw w japońskim ogrodzie medytacyjnym.

Petr zeskakuje z balustrady, ujmuje Aguerre za bark.

- Wiesz, że próbowałem tego uniknąć - mówi. - Ale ty, ty usiłujesz zbiurokratyzować Tajemnicę. Tak nie można.

- Pieprzenie. Co tam liczono?

- Chodźmy, *frei*.

Znowu długie minuty. Ścieżka (iluzyjna, rzecz jasna) zakreśla nad AC skomplikowaną spiralę wznoszącą, o coraz większym promieniu. Mijają transferowany właśnie fragment metropolii: bunkropodobne baseny Bagien, kutrypiczny park, amfiteatr; to wszystko pod ich stopami. Nad głowami - blade gwiazdy.

- ...do czegoś więcej aniżeli wybór lepiej rokującej spółki - mówi Ivan, nie podnosząc głosu, tak że Aguerre musi skupić na nim całą swą uwagę; kusi go, żeby podkreślić dźwięk w setupie. - Pośród xenotyków jest siedemnaścioro, którzy rozpoczęli przed syzygią kariery naukowe; jedenaścioro z nich w naukach ścisłych. Przerwali je. Dlaczego? Powiedz mi, Fred. Żeby Rzeźbić dla szemranych kompanii i równie podejrzanych państw od gwiazdy do gwiazdy, miasto Chińczyków, parę ton uranu, kolorowe menażerie... Kim jesteśmy, jeśli nie tragarzami-eunuchami? Miliony, o, miliardy, na pewno. Dają nam w zamian te fortuny, proszę, kto broni kupić planetę, wyhodować miasto, ogłosić się królem - czy to jest kres naszych możliwości? pułap marzeń? sens bycia xenotykiem? Bo ja potrafię wyobrazić sobie więcej; ja i inni. Pytasz, komu sprzedaliśmy się, dla kogo zdradzili. Dla nikogo. Ty ciągle myślisz w stary sposób. Nie musimy się sprzedawać. Sami mamy wszystko, czego nam trzeba. Kapitał - jesteśmy miliarderni. Ziemię - mamy dla siebie cały kosmos. Potencjał intelektualny... czy muszę mówić dalej?

- Lokacja w próżni międzygwiazdnej - recytuje sucho Aguerre. - Przeciwnie do Wektora. Żywokryst i Bagna. Twoi xenotycy-naukowcy. Nie marnują czasu na Rzeźbienie... wróżą. Ten glejokryst, *gaud*, ten glejokryst...! Kto to był?

- Doktor Arvenna Deuce. U Łuźnego w ostatniej setce, ale w nanobiologii - jeden z najlepszych umysłów. Rzeźbić? Po co? Dla pieniędzy? Ile milionów więcej stanowi różnicę? Po syzygii odkrycie glejokrystu zabrało jej cztery miesiące. Kształty krwi w gorącej wodzie.

Aguerre kręci głową, pustym wzrokiem mierząc miasto.

- I co jeszcze, co jeszcze?

- Przykro mi. Teraz jest już za późno. Sam się odciąłeś. - Straszne oczy Petrea są suche, nieruchome, gdy z analitycznym spokojem obserwuje reakcje zwierchnika Zakonu. - Nie próbuj jej szukać. Już nie jest członkiem *Ordo Homo Xenogenesis*. Żadne z nas nie jest. Przykro mi - powtarza.

Ale czy istotnie jest mu przykro? To mimo wszystko chwila jego tryumfu, moment chwały. Może nie spełnienie marzeń, lecz bez wątpienia - nowy pokarm dla ambicji.

Aguerre wciąż błądzi po omacku, myślami i wzrokiem.

- Skoro glejokryst to w całości wynalazek *frei* Deuce, skoro nie współpracowaliście z nikim... to jak właściwie Gabriel trafił do Głupca?

- Gdzie? Ach, do Koziołka. Szczerze mówiąc, też mnie to zastanawia. Przypadek? Nie sądzę. Musiał kogoś z nas śledzić, wraz z Yesadą. Ale skąd powziął podejrzenie...

- Projekt SWING. Czy zaburzyliście moment obrotowy gwiazdy?

- Nie. Wiedzieliśmy przecież, że monitorują całą galaktykę. Sami mamy udziały w SWING-u.

- Nie dziwię się. Z tą technologią glejokrystu...

- Tobie też radzę. To się będzie -

- Cuomo - przerywa Petrcowi Aguerre.

Ivan aż cofa się, czerwone rękawy wydymają się na iluzyjnym wietrze - ptak drapieżny w pozycji obronnej.

- Mówiłem ci: ja nie panuję nad nimi.

- To jest bardzo dobra wymówka - przyznaje Aguerre, odwracając się do schizmatyka plecami. - Nie przypuszczam, byś wydał rozkaz. Ale z pewnością podejrzewałeś... liczyłeś się z tym, że prędzej czy później, ktoś, pod jakimś pretekstem... Prawda? I czekałeś, po prostu czekałeś. Bo - „nie panujesz nad nimi”. Zaprzecz.

Na zafraktalowanym czarno niebie już prawie w ogóle nie widać gwiazd. Normalnie ów żywokryst szybko by się rozpadł, ale miasto wciąż co jakiś czas się trzęsie i sieci asekuracyjne są utrzymywane. Aguerre i Petrc przystanęli przy wschodniej, przedniej granicy miasta, na wysokości trzydziestego piętra. Widok na równinę blokuje im gigantyczna ściana budynku akceleratora Instytutu Thorpe'a - tak że mogą patrzeć tylko ku zachodowi, na zacienione Aguerre City. Jakby znajdowali się w jaskini żywokrystu: poniżej agresywna architektura niejasnych symetrii, powyżej zaraza czarnego szronu. Frederick przygląda się temu w wielkim rozkojarzeniu, dżungla skomplikowanych kształtów uruchamia mu w głowie dziwne łańcuchy asocjacyjne.

- Może i masz rację - mruczy powoli zza jego pleców Petrc. - Może faktycznie takie były moje podświadome motywy... Ale tego typu podejrzeń nie sposób sprawdzić. Nawet jeśli się teraz szczerze przyznam, pod otwartym Stróżem, na czystych wariografach, to też nie będzie nic znaczyć, bo mogłem sobie tymczasem wmówić najgorsze i prawdziwie w to uwierzyć. W każdym z nas czai się to zwątpienie w samego siebie, podejrzenie mroku, więcej: nawet jakieś perwersyjne pragnienie znalezienia w sobie jak najliczniejszych cech ciemnego bliźniaka. Każdy, mówiąc: Jestem absolutnie niewinny", odruchowo już szuka w sobie winy. Któż dziś wierzy w niewinność? Nie ma czegoś takiego. Tylko gradacja podłości, między biegunami różnowartościowych egoizmów. Tak się -

Nie jest to tarot, brak jego łatwej symboliki, nie ma też Aguerre żadnego wpływu na

wzór - a jednak czuje to samo delikatne, fantomowe swędzenie, gdzieś między tyłomózgowiem a oponą, początki ruchu, którego finału nie sposób przewidzieć, lecz którego każdy etap jest tak samo nieunikniony. Skojarzenia przystają do siebie niczym wnętrzości dobrze naoliwionego tłoka. Ruch przenosi się coraz szybszymi falami, prawie go Frederick słyszy, tłum-tuumm, tłum-tuumm, począwszy od krzaczastego cienia na ścianie Strażnicy, skończywszy - skończywszy na fioletowych oczach milczącego Ivana Petrcza.

Aż obraca się ku niemu i spogląda w te oczy, i nagle stają się jasne: powód wizyty schizmatyka, styl konwersacji, długie okresy jego milczenia, niespodziewana otwartość... Wszystko, byle maksymalnie przeciągnąć rozmowę. Czas! Czas!

Tylko wymieniają spojrzenia. Petrc otwiera jeszcze usta, lecz Aguerre ucina połączenie bez słowa, Ivan znika ze ścieżki niczym wyegzorcyzmowany duch.

Czas! Fredericka roznosi nieukierunkowana energia. Czy zdąży? Czy też Ivan wygrał? Ale jaka właściwie jest stawka?

12. Gwałt

Nie wie, co robić, więc faktycznie układa tarota. Sama owa czynność uruchamia wyciszające procedury Stróża, bo teraz już każde odwołanie się do glejintuicji będzie Frederickowi przypominać o Ivanie Petrcu i o tym, iż w tej kwestii od początku miał on niewątpliwą rację - że to glejomysłność, nie Rzeźba, stanowi o prawdziwej potędze - więc wygląda to tak, jakby za każdym wyłożeniem Arkanów korzył się przed Petrcem, omalże składał mu przysięgę wasalną. Zwłaszcza za pierwszym razem, kiedy jeszcze zalegają Aguerre w ustach ciężką goryczą słowa w dobrej wierze wypowiedane do Petrcza, podczas gdy on był zawsze o ten jeden krok w przodzie, o jedną odpowiedź mądrzejszy, bo - glej.

Na jaki zysk mógł Petrc liczyć? Że ile mogliby tak rozmawiać? Godzinę? Dwie? Nie więcej. Co się przez ten czas stanie? Przed czym Ivan go powstrzymywał?

Czwórka Kielichów, Ósemka Buław.

Nie wymienił całkowitej liczby schizmatyków. Von Ravenstück wciąż pracuje - prędzej czy później ujawnią się wszyscy, lecz to jest rząd dni, nie godzin. Więc nie w tym rzecz.

Nastazja. Ile już trwa postępowanie inkwizycyjne? Jak dawno temu poszedł po Iluzjonie okólnik? Czy jest jeszcze xenotyk, do którego on nie dotarł? Tylko w przypadku jeśli przez cały ten czas, bez przerwy, Rzeźbił. Czy jest ktoś taki?

Aguerre bierze od skryby aktualny rejestr, zakreśla warunki czasowe. Zaledwie jeden kandydat: *frei* Richard Horpache, 208.4 oct., nr 284 u Łuźnego. Aguerre go zna, Horpache jest z wykształcenia astrofizykiem, składał przysięgę niecały rok temu. Pasuje do profilu schizmy wręcz idealnie. Aguerre sprawdza szybko cel Rzeźby Horpache'a i na kilka sekund przyśpieszą mu puls: Horpache Rzeźbi tutaj, przewidywany czas przybycia: czterdzieści minut; minął już Punkt Ferza.

Tak oto wyłania się, dotąd ukryta, logika zdarzeń. Aguerre wypuścił inkwizytora, schizmatycy się dowiedzieli o przedmiocie śledztwa od pierwszych przesłuchiowanych, sprawdzili cel Rzeźby Fredericka (muszą mieć jakieś dojścia do Rady Zakonu), przerazili się demaskacji Horpache'a, w każdym razie Cuomo się przeraził (może się przyjaźnił z Horpache'em; czy nie na spotkanie z nim w Glinie leci tu Richard?), postanowił prewencyjnie Zarzeźbić Aguerre, nie wyszło, a że to tylko zwiększyło szansę demaskacji Horpache'a, włączył się Petrc, próbując odwrócić uwagę Fredericka do czasu, aż info o inkwizycji dotrze do pechowego schizmatyka; też nie wyszło.

Do czego posuną się teraz? Czy pójdą na otwartą konfrontację w obronie Horpache'a, nad planetą Aguerre?

- Skrybo.

Frederick sprawdza, kto z OHX przebywa w AC i okolicy. Wbrew pozorom „stolica” xenotyków nie jest ich pełna, w każdym razie nie w *CLay*. Czterech bezsennych, nie licząc samego Aguerre - czy to mało, czy dużo? Jakie właściwie jest; prawdopodobieństwo, iż znajduje się pośród nich kolejny schizmatyk? Przyzerowe - jeśli nie zbierali się tu planowo. Tak czy owak żadnego z nich nie zna Frederick na tyle, by mu zawierzyć w sprawie Ftorpache'a. Jednak z drugiej strony - 208 oct. to nie w kij dmuchał. Z Cuomo było ciężko, a przecież z Horpachem musi pójść bez porównania szybciej. Scilla niestety wciąż gdzieś przy jądrze...

Trzydzieści pięć minut. Frederick wynurza się w Iluzjonie pięciowymiarowego odwzorowania czasoprzestrzeni: tu tylko gwiazda, samotna planeta i długie tuleje Rzeźb, dżdżownice zbyt pokręcone, by dały się opisać słowami ze świata dostępnego dla zmysłów *Homo sapiens*. Jest tych robaków 5D cztery: jeden samego *Primusa*, jeden niejakiego Vetona McBlaya OHX, już opuszczającego dolinę gwiazdy, 5000 AU od niej i coraz dalej; jeden Richarda Horpache'a. I jeden Yesady Ori, zgodnie z poleceniem Fredericka przybywającej do Aguerre City.

Frederick szybko estymuje na Bagnach wyprzedzenie Yesady względem Richarda: około dziesięciu minut, jeśli oboje trzymać się będą optymalnych torów. Sam rozkazuje

swemu NavigatorowiXG pójść na przechwycenie. Spotkają się na krzywej wyprzedzającej planetę.

Tymczasem dokonuje się autodestrukcja jego Ogrodu. Aguerre potrzebuje specjalistycznego, wysokoenergetycznego żywokrystu, i to w dużych ilościach; no ale jedyny materiał, jakim dysponuje do jego hodowli, to żywokryst Ogrodu oraz wypełniające go masy organiczne ze szczepami QTRP i DNA. W kanibalistycznej gorączce Ogród rozgrzewa się do ponad 60 °C. Aguerre izoluje się w wewnętrznym kubiku, odcinając całkowicie od reszty Ogrodu - która nie jest już Ogrodem.

W głębszym Iluzjonie konferuje z ekspertami Zakonu, wybierając najlepsze programy inwazyjne. W płytszym - obserwuje nieuchronne zbliżanie się do siebie trzech larw 5D.

Jedenaście minut. Znika jedna i, zaraz potem, druga larwa.

Yesada jest zmęczona. Nie rozumie lub nie chce zrozumieć, o co prosi ją Aguerre; a Aguerre się śpieszy, nie ma czasu na wyrafinowane podchody.

- Schizma, *frei!* - podnosi głos, a mała Yesada odruchowo cofa się pół kroku w kutrypiczną gęstwę swego salonu, i Fredericka znowu ściska za serce poczucie winy. - Ujawnili się. Trzy godziny temu jeden z nich chciał mnie Wyrzeźbić na nice. Oni zabili Gabriela. Jakże tu, do cholery, można mieć jeszcze wątpliwości?

- Po prostu nie rozumiem, dlaczego sama schizma musi być koniecznie zła.

- Popierasz ich? To mordercy.

- Niektórzy z nich, zapewne. To wciąż nic nie mówi o słuszności czy niesłuszności ich sprawy.

Aguerre widzi, że z takim podejściem niewiele zdoła. Mógłby wydać xenotyczne bezpośrednie polecenie jako *Primus Inter pares* OHX, ale jeśliby Ori odmówiła jego wykonania, pchnąłby ją w ten sposób wprost w objęcia Petrea. Zresztą nie chce jej przymuszać.

Zatem:

- Yesada, Yesada... - Przysiada na sofie pod kutrypiczną palmą, garbi się bezradnie. - Byłaś jedyną osobą, o której sądziłem, że mogę mieć pełne zaufanie; obok Scilli. Zaimponowałaś mi wtedy w Wenecji. Sądziłem, że skoro tak cenisz sobie etos xenotyka... że przysięga złożona Zakonowi... Nic już nie wiem.

Ori przyklęka przed nim, dotyka lekko jego pokrytej fioletowymi plamami dłoni, zagląda w twarz w cieniu.

- Przecież nie powiedziałam, że nie. No, Frederick. Chodź, pomogę ci.

Tak rodzi się plan gwałtu.

Richard Horpache do końca niczego nie pojmie. Wszak nadal nie wie ani o odkryciu Głupca, ani o inkwizycji, ani o Cuomo i ujawnieniu schizmy. *Full SpaceSculptor* przymuła go ciągłą Rzeźbą do poziomu ciężkiego letargu. Pozostaje mu niecałe cztery minuty do zakończenia wykonywania makra, gdy w jego fałę FTL uderza kontrfala, tak przesunięta w fazie, że całkowicie niwelująca Rzeźbę. Od razu zamyka się na Ogrodzie Horpache'a ciężki Cage/Needler, na grawitacyjnych szpicach niosący gęste chmury inwazyjnego żywokrystu. Ochronna Rzeźba Horpache'a przebita zostaje tak szybko, że Richard nawet nie ma czasu wzmocnić makra - atak prowadzony jest przez programy na wszczepkach Aguerre i Ori, żadne decyzje nie są tu podejmowane na żywo, rozbudowany skrypt odpowiada za całość operacji, milisekunda po milisekundzie. Horpache jeszcze nawet nie zaczyna odzyskiwać przytomności, gdy w zewnętrzny żywokryst jego Ogrodu wżera się małowzrostowe nano destrukcyjne, wyzegując do wnętrza habitatu niezliczone mikrotunele. Nimi wtłacza się do środka specjalistyczny żywokryst medyczny. Tu następuje - spodziewane - opóźnienie akcji, moment krytyczny, nie sposób bowiem przyspieszyć wędrówki molekuł w powietrzu ponad pewną graniczną prędkość i w zależności od tego, gdzie konkretnie w owej chwili Horpache się znajduje w swym Ogrodzie, schizmatyk może zyskać od sekundy do kilkunastu sekund na reakcję. Aguerre liczy wszelako na dezorientację Richarda oraz tradycyjne ustawienia jego wszczepki. Standardowo priorytety układane są w ten sposób, iż najpierw program uruchamia makra hermetyzujące, ochronne, przeróżne Cage/Armoury. Dopiero potem (jeśli w ogóle - bo podobny atak nie miał precedensu w historii OHX) troska schodzi na poziom chemii. Po cichu liczy Aguerre dodatkowo na stampę Yesady - dlatego też wysunął ją na pozycję najbliższą Ogrodowi schizmatyka. Może dopisze im szczęście i opóźnienie nie będzie duże... Ostatecznie okazuje się, że wynosi trzy koma trzy sekundy - i dla Richarda jest to co najmniej o pół sekundy za mało. Żywokryst inwazyjny dotarł do jego ciała i rozpoczyna egzotermiczną krystalizację we wnętrzu płuc, jednocześnie prac z krwią ku mózgowi, i w szybkich reakcjach z osoczem wytrącając mu w żyłach substancje narkotyczne, brutalne analogi hormonów, neuroleptyki kompleksowe. Stróż Horpache'a próbuje kontrować, ale jest zbyt wolny, zresztą zaraz i do niego dociera stosowny żywokryst i blokuje mu połączenia nerwowe. Kolejna sekunda i pada ostatni bastion: mózg *frei* Horpache'a spenetrowany zostaje przez neurokryst komplementarny, nano logiczne przyrasta do rozplenionej po korze wszczepki, osadza się na drzewach dendrytowych, mapuje impulsy aksonowe. Omijany jest tylko glej, nie ma bezpośrednich połączeń do *X. procaryota gleiophyta*. Żywokryst inwazyjny niesie własne komórki glejowe, dzięki temu struktury mózgu i wszczepki Horpache'a są w czasie rzeczywistym sukcesywnie odwzorowywane na Bagnach Zakonu. Pierwszym zadaniem

„egzowszczepki” jest powstrzymanie wszczepki oryginalnej od wszelkich działań autodestrukcyjnych, ucieczek pod infinityczne krypto, wymazywania danych, w szczególności - indeksu dyslokacji plików. Wszczepka i Bagna mogą być kryte krypto, lecz jakiegokolwiek pochodzące z nich dane, zanim podane kompleksami bodźców neuralnych do mózgu człowieka czy xenotyka, muszą zostać zdeszyfrowane. Aby zatem wdrzeć się do tych skarbców, należy zeskanować informację niejako *in statu nascendi*; potem pójść za nią wstecz, pod klucz stosowany przez wszczepkę; poznawszy klucz, wejść na zarząd wszczepki i skopiować indeks; następnie przyznać sobie uprawnienia właściciela i z jego ID skopiować, zdeszyfrowane, wszystkie dane z samej wszczepki oraz Bagien i serwerów, których adresy posiadała ofiara. W momencie gdy żywokryst inwazyjny Aguerre kończy powyższą procedurę, *frei* Richard Horpache jest już zaledwie nieświadomym otoczenia, pozbawionym pamięci polciem glejomięsa, o jedynym sprawnym wegetatywnym układzie nerwowym - całą resztę protezuje egzowszczepka, stymulując w zaprogramowanych przez kognitywistów OHX sekwencjach stosowne ośrodki mózgowe. Między innymi restartuje ona NavigatoraXG Horpache'a, narzucając mu nowy setup i wyznaczając nowe zadania, tak że schizmatyk „samodzielnie” Rzeźbi się pod pierścień planety, ku Ogrodom Orbitalnym Aguerre i rozpościerającym się przed nimi polom żywokrystnym, już profilowanym w próżniowe więzienie. Natomiast sam Richard Horpache (jego ciało) unosi się bezwładnie nad fotelem w gabinecie Horpache'owego Ogrodu, ślina na ustach, glej z nosa, i ciężko dyszy, bezmyślnie wpatrując się w wirującą na suficie galaktykę jasnych gwiazd - zgwałcony.

13. Projekt REVUM

Przekopiowano 148.5 TB w 25 437 plikach. Po sformatowaniu i przepuszczeniu przez filtr tematyczny pozostały 84 pliki, głównie danych redukowalnych do linearnego przekazu dyskursywnego. Turingówka Zamku kompiluje i streszcza pakiety aż do postaci opracowania przyswajalnego przez Aguerre w rozsądnym czasie. Opracowanie jest palimpsestowe, gęste od połączeń hipertekstowych. Niektóre linki, miast do innych partii tekstu, prowadzą do lokacji iluzyjnych lub plików skanów wszechzmysłowych. Aguerre jednak wyłącznie czyta - w przypadku wiedzy w znacznym stopniu opierającej się na pojęciach abstrakcyjnych bądź o niejednoznacznych desygnatach, jest to najszybsza i najefektywniejsza forma transmisji.

Założenia Projektu REVUM sformułowane zostały tuż po drugim spotkaniu Grupy Petrcza. Było ich wtedy zaledwie siedmioro, cichych opozycjonistów, niezadowolonych

marzycieli; jeszcze nie padło słowo „schizma” i nie ustaliła się struktura spisku. Spotykali się w Iluzjonie *sub rosa*, wymieniali idee, luźno dyskutowali... Pierwsze pytanie zadał *frei* Klinger; później to on i właśnie Horpache nadzorowali realizację Projektu - stąd tak obszerne archiwa u Richarda.

Pierwsze pytanie było zresztą zupełnie niewinne. Co z Równaniem Drake'a, spytał Klinger. Co z *silentium universi*? Trochęśmy sobie już Porzeźbili, postawili parę teleskopów, grawimetrów - i mocno zawężyły się przedziały większości zmiennych Równania. Jeśli nie w naszym oknie Kontaktu, to w każdym razie kiedyś w przeszłości musiało tu obrodzić innymi psychozoikami. Skamieliny meteorowe pozostałe po planetoklazmie glejonośnego Posejdona datują glej w tym ramieniu Mlecznej Drogi na co najmniej dwanaście milionów lat wstecz. Taki więc okres należy brać pod uwagę. Przeliczywszy na nowo Drake'a... jakie jest prawdopodobieństwo, iż żaden inteligentny gatunek nie przeszedł przed nami ścieżki technologii glejowych? (Zgodzili się, że nikle). Więc skoro ktoś - przynajmniej jedna cywilizacja - zrealizował te wszystkie etapy przed nami, a miał na to miliony lat... gdzie jest teraz? I to zarówno w znaczeniu metaforycznym - „gdzie” na ścieżce technologii glejowych - jak i całkowicie dosłownym - gdzie, no gdzie Oni są?

SETI przeżywa swą drugą młodość, radioteleskopy dyspersyjne zapełniają zapisami szumu gwiazdowego megaklastry Bagien; na razie bez efektów. *Silentium universi* potęguje zagadkowość sytuacji. W owym czasie Souré i Vlasky zaczęli popularyzować w środowiskach akademickich ideę „ultrakonwergencjonalizmu”. Ona, obok kasandrycznej teorii Spirali, przynajmniej jakoś tłumaczyła sprzeczność. Wszelako Petrcowi zapaleńcy nie dawali wiary tym - nazbyt prostym w ich mniemaniu - odpowiedziom. Zresztą dlaczego mieliby? Właśnie podpisali się wspólnie pod doktryną „nauki glejomysłnej”: dedukcji i, przede wszystkim, indukcji inicjowanych, wspieranych, stymulowanych i domykanych dzięki „wróżbom” xenotyckim. Oto jest „prawdziwe powołanie bezsennych”!

Souré i Vlasky, z uniwersytetów w Seattle i Johannesburgu, odpowiadali na pytania o los braci w rozumie, wskazując na glej: oto jak kończy każda cywilizacja igrająca z *Xenogenesis procaryota gleiophyta*.

Najpierw mają swoich xenotyków, potem swoje Żłobki... zwieńczeniem trendu jest konwersja w sam glej lub formę tak doń podobną, że praktycznie tożsamą gatunkowo. Dlaczego? Tego my na tym etapie jeszcze nie wiemy; lecz poczekajmy kilkaset lat, nasi glejolodzy na pewno wysuną przekonujące argumenty.

Hipoteza ta jest o tyle wiarygodna, że tłumaczy zarazem wiele aspektów samego gleju: jego rozprzestrzenienie po galaktyce, lokalne różnice we właściwościach, niezrozumiałe

„Rzeźby swobodne”: że niby są to efekty uboczne procesów zachodzących na nieznanym poziomie, gdzie kryje się inteligencja gleju. Oponenci oczywiście pytali o początek: skąd mianowicie w myśl powyższej teorii miałby się wziąć pierwszy glej? Souré i Vlasky mieli gotowych kilka wariantów wyjaśnień: że wyewoluował naturalnie w atmosferze jednego z gazowych olbrzymów, w jakiejś pierwotnej, dalece „słabszej” postaci; że został stworzony całkowicie sztucznie, to taki ich kutryp; i parę wersji pośrednich.

Hipoteza Spirali była jeszcze bardziej pesymistyczna. Nie spotykamy Ich, nie słyszymy - ponieważ już Ich nie ma, a w każdym razie nie w dostępnym nam kosmosie. Niezależnie od różnic gatunkowych, istnieją pewne „kroki stałe” dla każdej inteligencji, a mianowicie te wynikające z praw fizyki. Bo z jakiegokolwiek niszy startowałby psychozoik, zawsze w końcu potknie się o prędkość światła, nieoznaczoność Heisenberga i im podobne bariery wmontowane w strukturę wszechświata. Spiraliści zakładają, że przezwyciężenie każdej kolejnej takiej bariery zawęży ścieżkę wyborów technologicznych/cywilizacyjnych i w końcu doprowadza wszystkie gatunki do tego samego punktu. Tu spiraliści posiłkują się tezami filozofów cywilizacji i twierdzą, iż żadna cywilizacja nie jest w stanie w y b i e r a ć drogi swego rozwoju; że każdy kolejny etap determinowany jest, mniej lub bardziej ściśle, przez poprzednie; i że nigdy nie można przewidywać dalej niż jeden etap do przodu. Pędzimy po zacieśniającej się spirali i nie mamy możliwości się zatrzymać. Gdzie są Obcy? P r z e d n a m i. Ci za nami jeszcze nie wyszli z błota; ci z przodu - równie dobrze też mogą kryć się w błocie. Któż odgadnie pięć etapów naprzód, kto przejrzy przez kurtyny przejść fazowych, niespodziewanych odkryć? To niemożliwe.

Xenotycy Petrcza, ci racjonalistyczni augurowie, wystąpili z rozumowaniem (czy może prorocstwem?) konkurencyjnym. Od Sourégo i Vlasky'ego wzięli przekonanie o uniwersalizmie technologii glejowych; od spiralistów - wiarę w pankosmiczny przymus konwergencji. Początek trendu przecież sami widzimy (mówili), a nawet realizujemy. Prędzej czy później anomalie w ruchu planet wykryje każdy gatunek; zainteresuje się, odkryje glej, będzie próbował wykorzystać nieznaną siłę. Tak powstają xenotycy wszystkich możliwych ras. Ale przecież są dalecy od ideału - o ile lepsze byłyby organizmy od początku, od blastuli, immanentnie glejotyczne: inteligentni i panujący nad swoimi emocjami glejotycy. Tak więc zaczynają się eksperymenty ze Żłóbkami. U nas niby wciąż obowiązuje zakaz, ale padnie, padnie na pewno, gdy tylko nasi glejolodzy podciągną wskaźniki oktomorficzne i wyjdziemy poza galaktykę. Spontaniczna Rzeźba płodów glejotycznych, zbyt niedorozwiniętych, by był w ogóle sens instalować im Stróże, nie będzie wówczas grozić dewastacją Mlecznej Drogi.

Co po glejotykach? Z pewnością pójdzie to (kalkulowali Petrcowcy) w rozwiązania

potęgujące moc glejotyków i ich następców, i to wykładniczo, bo tym szybciej, im lepsza glejomysłność naukowców, a Petrcowcy nie wątpili, iż ta dziedzina stanie się domeną naukowców-wróżbitów: glejotycy projektujący postglejotyków projektujących postpostglejotyków... etc.

Analogiczny progres nastąpi w Rzeźbie, jakie jest tu ekstremum? Rzeźba totalna: na stałe deformująca dowolnie duże fragmenty czasoprzestrzeni. Cywilizacje rozporządzające ową technologią szachowałyby się wzajemnie na podobieństwo mocarstw jądrowych z czasów zimnej wojny, bo jakże zniwelować takie zagrożenie?

Petrcowcy kojarzyli tak: podczas zimnej wojny trzeba byłoby w tym celu uciec na inną planetę; a podczas wojny ultymatywnych glejotyków - O d r z e ź b i ć s i ę d o p r y w a t n e g o k o s m o s u .

Oto jest powód, dla którego nie spotykamy Obcych ani śladu po nich: Odrzeźbili macierzyste układy gwiazdne, grupy układów, zabierając wszystko ze sobą i zabezpieczając się tym sposobem przed wrażymi Rzeźbami. Oto jest powód, dla którego ich nie słyszemy: komunikują się przez własny Iluzjon, a nawet jeśli podróżują między Odrzeźbami, to na tak „zawiniętych” falach FTL, że nie wykrywamy nawet drgnięcia faktury czasoprzestrzeni.

Zważywszy na te dwanaście milionów lat (a zapewne znacznie więcej), takich Odrzeźb powinno być już sporo, także w Mlecznej Drodze (o występowaniu gleju w innych galaktykach nic na razie nie wiemy). No ale tu problem: jak znaleźć w naszym wszechświecie coś, co *de facto* do niego nie należy? Wszelkie modele oktormorficzne pokazują, że jakaś łączność musi zostać zachowana - ale „jakaś” może oznaczać (i najpewniej oznacza) szczeliny przyplanckowe. Znaleźć coś takiego w galaktyce... to już nie jest poszukiwanie igły w stogu siana, to czysta niemożliwość.

Nie dla naszych niezłomnych spiskowców. Z pomocą „*I Cing*” przebywają morze rozpaczy i w momencie, gdy pojawia się Deuce ze swym nieskończenie szybkim komputerem glejokrystnym, Klinger zna sposób na znalezienie drogi do postglejotyckich Obcych z najdalszych odcinków Spirali. Tak rodzi się Projekt REVUM.

Po Odrzeźbionych fragmentach Mlecznej Drogi - argumentował *frei* Klinger - nie pozostał oczywiście żaden ślad, żadna „dziura” czy superpustka w kosmosie; po prostu ich sąsiedztwo „zbiegło się” ku sobie. Jednakowoż miejsca takich „zbiegów” da się odnaleźć, ponieważ zaburzają bieg naturalnych procesów w galaktyce. To znaczy teraz, dla nas, wszystko to wydaje się naturalne - ale w istocie kiedyś w przeszłości nastąpiło brutalne, niewytłumaczalne zaburzenie grawitacyjnej struktury galaktyki. I te niezgodności da się wykryć. To tak jak z kostką Rubika: cofając się po ruchach, zawsze winienesć móc dojść do

stanu pierwotnego porządku - chyba że jakiś element został w niej przekreślony przemocą do „nienaturalnej” pozycji.

Procesując wstecz Mleczną Drogę, winniśmy dojść do etapu jej formowania - chyba że gdzieś nastąpiło oszustwo. Wówczas zatną się algorytmy na stanie samosprzecznym, wskazując nam miejsce przekreślenia.

Przeprocesować Mleczną Drogę...! W porównaniu z tym Projekt SWING to algebra niegodna pierwszoklasisty. Aguerre czyta i myśli: niemożliwe. No niemożliwe!

Zaraz jednak przypomina sobie o glejokryście i wątpi. Niemniej...

Primo: równania ruchu tyłu mas (właściwie ilu? - przy nieznanym wymaganym poziomie dokładności, nieskończenie wielu) pozostają praktycznie pozaobliczalne.

Secundo: nawet zważywszy na moce kompów FTL, nie da się uniknąć pewnych kompromisów w przekładzie równań na formuły numeryczne, co z miejsca stawia wyniki operacji pod znakiem zapytania.

Tertio: choćby i ten problem przeskoczyli, pozostaje kwestia niedokładności rezultatów, spowodowanej kumulacją przybliżeń pomiarowych, czyli klątwa teorii chaosu. Nieważne, ile teleskopów rozpylą, ile grawimetrów postawią, o jak dużej czułości - to zawsze będzie za mało, żeby ostateczne wyniki nie rozjechały się w marginesy niepewności szersze od średnicy Mlecznej Drogi. A przecież niektórych danych początkowych (na przykład rozkładu sił grawitacyjnych spoza Drogi, zwłaszcza międzygalaktycznej ciemnej materii) w ogóle nie da się aproksymować.

I powtarzając sobie wszystkie powyższe argumenty - niemożliwe! niemożliwe! - czyta Aguerre listę obliczonych na glejokryście, prawdopodobnych punktów Odrzeźbień, o marginesie błędu od kilometra do kilkuset kilometrów, punktów rozrzuconych po galaktyce w skupiskach przypominających skręcone warkocze. Jest ich na liście Horpache'a 3479. Petrc i jego xenotycy od prawie pół roku sprawdzają je po kolei, poszukując wejścia do kosmosów postglejotyckich. Realizowany jest ostatni etap Projektu REVUM.

14. Ordo Homo Xenogenesis vs. Societas Rosa

Oczywiście wybuchą potężna bomba polityczna. Schizma w OHX to więcej niż jakaś personalna przepychanka w szefostwie kompanii czy rządzie państwa - bardziej coś w rodzaju zuchwałej kradzieży części międzynarodowego arsenału broni ostatecznych, pucz generałów. Bo prawdę mówił Aguerre Yesadzie, wówczas, w Wenecji: Zakon, jego struktura, prawa,

obyczaję, nawet estetyka - służą przede wszystkim jako system bezpieczeństwa dla społeczeństw niexenotycznych. Jeśli *Ordo* przestanie ograniczać xenotyków...

Aguerre ma setkę spraw na głowie, w jego mniemaniu znacznie ważniejszych, tymczasem musi poświęcać długie godziny na debaty ze sztabami inżynierów memetycznych Zakonu.

- Przede wszystkim należy stłamsić w zarodku trendy armageddoniczne - mówi szef najemników. - Bo tu zaraz wybuchnie setka prognoz o „szalonych xenotykach”, poza kontrolą Zakonu wypruwających sobie Stróżę, by następnie Przerzeźbić Ziemię na wylot. To jest szaraczków strach największy, więc takie teorie pojawią się na pewno, bez żadnych przesłanek, a nawet im wbrew. Musimy je zgasić, zanim zawładną masową wyobraźnią.

- Nie bardzo widzę, jak - mruczy Aguerre - skoro Petrc istotnie może sobie odłączyć Stróżę i Rzeźbić na durch przez planety.

- A co to ma do rzeczy? To nie fakty budują trendy memetyczne.

- Będziemy kłamać.

- *Frei*, nasza praca jest całkowicie poza kategorią prawdy i kłamstwa. Układu odniesienia nie stanowi rzeczywistość, lecz reakcje społeczne na tę rzeczywistość - a to dwie zupełnie różne rzeczy. Czy ja muszę przypominać takie oczywistości?

- *Nai*, trzeba mi tylko zastrzyku cynizmu dla uodpornienia... - krzywi się Frederick.

Teraz co godzina, co dwie odprawia w Iluzjonie/Media konferencje prasowe, kontrując napływające sukcesywnie oświadczenia poszczególnych państw, kompanii, organizacji ponadnarodowych i ponadkorporacyjnych. W miarę jak pojawiają się kolejne informacje o schizmie, ton wypowiedzi oficjalów staje się coraz ostrzejszy. Przede wszystkim trzęsą się giełdy: rozłam w OHX oznacza między innymi zmianę parytetów Rzeźby komercyjnej, co może wywrócić na nice światową gospodarkę, w tej chwili już tak mocno uzależnioną od transportu międzygwiazdowego, że właściwie z nim tożsamą. Aguerre wizytuje w Iluzjonie giełdy londyńskie, nowojorskie, tokijskie, pekińskie, wygłasza uspokajające komentarze w kolorowych scenografiach. Inżynierowie memetyczni Zakonu ustalają wspólną strategię z inżynierami międzynarodowych instytucji finansowych, burze na morzach ekonomii nikomu nie są tu na rękę. Kryzys kumuluje się, niczym dochodząca szelfu fala tsunami.

Tymczasem zbiera się Wysoka Rada *Ordo Homo Xenogenesis* i Frederick musi odpierać liczne oskarżenia. Sytuacja jest o tyle skomplikowana, że *Primus Inter pares* przecież wciąż podejrzewa o uczestnictwo w Petrcowym spisku któregoś z członków Rady, tymczasem żaden z nich (jeszcze) się do schizmy nie przyłączył. Aguerre rozważa przez chwilę, czy nie polecić Nastazji zmiany kolejności przesłuchań, aby postępowała od góry

hierarchii OHX. Ale gdyby to zrobił w tej chwili, z obradującą Radą na karku, nigdy już nie oczyściłby się z zarzutów brutalnej manipulacji politycznej.

Pięć godzin później wybucha kolejna bomba: wypływa sprawa patentu na glejokryst, zabezpieczanego właśnie przez jakąś atrapową spółkę, marionetkę schizmatyków. Podczas gdy prawnicy Zakonu starali się do tej pory załatwić ów patent po cichu. Ale schizmatykom na dyskrekcji widać nie zależy - i pierwsze analizy medialnych informatyków/kryptologów podnoszą wszystkim włosy na głowie. Komputer FTL oznacza między innymi koniec kryptoinfinitycznego.

Aguerre wpada do Pałacu Szyfrów w Glinie.

- Czemuś mnie nie ostrzegł? - syczy na Szarskiego.

Szarski zdziwiony.

- Przed czym?

- Przed złamaniem naszego krypto!

Doktor aż się cofa.

- Sądziłem, że to oczywiste. No przecież komputer FTL z definicji łamie szyfry wymagające nawet prawie-nieskończonej lub nieskończonej liczby prób.

Aguerre zaciska zęby. Po raz kolejny przypomina sobie o Prawie Tępego Studenta: istnieje graniczna odległość dzieląca poziom wiedzy nauczanego od poziomu wiedzy uczącego, powyżej której jakość nauki zaczyna spadać. Gdy bowiem przychodzi do *psyche*, okazuje się, że nie wszystkie emulacje prostszych procesów myślowych przez układy bardziej skomplikowane są możliwe. Należy zatem sukcesywnie zmieniać przewoźników w trakcie podróży przez kraj Ateny.

- Co teraz?

- Szybka przesiadka na mindprinty.

Aguerre kręci przecząco głową.

- Nie o to pytam. Petrc dysponował tą technologią od trzech lat. Przecież nie jest powiedziane, że wykorzystywał ją tylko do Projektu REVUM. Jak możemy sprawdzić, czy już nie włamał się do Stróża któregoś z wiernych Zakonowi bezsennych i nie zmienił go w swą marionetkę? He?

Kryptolog blednie.

- *Kreist...*

- No?

- Pierwszym, kogo Ivan chciałby przeedytować, byłbyś ty, *frei*, więc skoro jednak reagujesz samodzielnie -

- A skąd ty, kurwa, możesz wiedzieć, z kim tu naprawdę rozmawiasz? - Stróż wchodzi mu ostro na układ dokrewny i Aguerre zaraz się uspokaja. - Napiszcie mi taki program diagnostyczny. Szybko. Przekopuję go inkwizytor von Ravenstück, niech go zapuszcza na Stróżach osób przesłuchiwanym. I pośpieszcie się z tymi szyfrkami mózgowymi!

Immanuel Szarski kornie całuje pierścień Fredericka, lecz Aguerre umysł zajęty ma już czymś innym: planowaniem kontrstrategii memetycznych. Bo gdy ta wiadomość przedostanie się do mediów... Ona już się wydostała, w końcu to tylko kwestia skojarzenia danych - lecz w momencie, gdy wypłynie jako trend dominujący, zaraźliwy *news* o wysokim stopniu atrakcyjności... Nigdy nie udało się przecież Zakonowi do końca zdusić lęku przed „opętanymi” xenotykami, pomimo iż był całkowicie bezpodstawny; a teraz posiada podstawy jak najmocniejsze. Długofalowe skutki są nie do przewidzenia.

Tak zaczyna się wielogodzinny maraton iluzyjnych konferencji ze sztabami inżynierów memetycznych OHX i poszczególnych rządów, także Ligi Suwerenów.

Równolegle nadchodzą raporty o pierwszych starciach prawników patentowych w procesach o glejokryst; szykują się długie i kosztowne batalie.

Siedem godzin potem eksploduje trzecia bomba: ICEO ogłasza podpisanie umowy na wyłączność z xenotykami Petra, zrzeszonymi teraz oficjalnie w *Societas Rosa*.

- To dlatego tak kręcili! Kusił ich od miesiący! Skurwysyn! Stróż Fredericka ledwo wydała.

Frei Marie-Anne Licozzi, rozmyta do postaci przezroczyściego ducha, aktualnie w trybie multitaskingu negocjuje z siedmioma korporacjami niezrzeszonymi w ICEO. W konwersacji w gabinecie *Primusa* w Zamku OHX - na ósmej ścieżce percepcji - uczestniczy z kilkusekundowym opóźnieniem.

- Możemy zaskarżyć ich na podstawie listu intencyjnego.

Iluzyjni prawnicy z Lowell, Lowell & Chei krzywią się sceptycznie.

- List intencyjny? Procesować się zawsze można, ale zwycięstwo jest tu wątpliwe, poza tym i tak przyszłoby za późno, żeby cokolwiek zmienić.

Lowell, Lowell & Chei nie pracuje dla *Ordo* za stawki godzinowe.

Frederick kroczy nerwowo wzdłuż otwartego na Aguerre City okna. On jeden jest tu z Gliny i gdy przechodzi, czarne stopy zawijają się ku niemu, zasysane przez pulsującą stampe, półwiry ciemnego płótna. Podsufitowe residuum postampowe ściąga je ku sobie, drapując w powietrzu aksamit. A za oknem - roziskrzona noc nad AC.

- Tylko że ja nadal nie widzę sensu w tym posunięciu ICEO! *Societas Rosa* nie zapewni im nawet jednej dziesiątej takiej obsługi, jaką zapewniamy my! Poza tym to wbrew

filozofii samego Petrcza: xenotycy nie są od Rzeźby, jeno od odkrywania niemożliwego. Zatyrają się na śmierć, chcąc zadowolić ICEO.

Marie-Anne przechyla głowę, bujne fioletowe włosy zasłaniają większość bladej twarzy.

- Ciągłe napływają nowe dane, *frei*. Szczegóły kontraktu oficjalnie nie zostały ujawnione, ale dotarłam do w miarę wiarygodnych przecieków. Ponoć SR zrezygnowało z honorariów gotówkowych i jego xenotycy będą Rzeźbić za opcje giełdowe, udziały w przedsiębiorstwach, z wieloletnią prolongatą, także za te ryzykowne, wysoko oprocentowane obligacje Nowych Kolonii. Z punktu widzenia ich klientów musi to wyglądać nader zachęcająco: imigracja za friko, zero ruszonego kapitału własnego... Chiny, to jest *China Space Lines*, siedzą w ICEO po uszy. Radziłabym wystąpić szybko z jakąś kontrofertą, inaczej mocno nas to trzaśnie po kieszeni.

Aguerre rozumie już, że posunięcie Petrcza nie ma charakteru ekonomicznego (a raczej nie przede wszystkim), lecz polityczny. Petrc wykupuje dla swoich xenotyków przyszłość.

W samym Zakonie nigdy do tej pory nie uzyskałoby się zgody na tak drastyczną zmianę, zbyt wielu xenotyków pozostaje przywiązanych do image'u multimilionera-spekulanta, ciągły napływ pieniędzy jest im niezbędny dla utrzymywania w ruchu maszyn giełdowych. Istnieją całe biura maklerskie wyspecjalizowane w transakcjach z bezsennymi.

- Muszę jakoś dogadać się z Petrcem - stwierdza wreszcie Frederick. - Wyślijcie otwarte zaproszenia na stare forum Zakonu. Pilna prośba. Rozmowa pod symetrycznym krypto infinitycznym. Jeśli ono jeszcze cokolwiek warte.

Sekretarz kiwa głową.

- Następna sprawa - rzuca Aguerre.

- News sprzed trzech minut: Buenos Aires, Glina, pierwsza próba linczu na xenotyku. *Frei* Tomaso Gorgolia. Ale Odrzeźbił się z małym uszczerbkiem dla otoczenia. Ofiar śmiertelnych nie zanotowano.

- *Kreist!*

15. Iluzjon/Krypto/Amiel02

Po raz kolejny, gdy nawiedza hacjendę Carli, znajduje kobietę śpiącą, drzemiącą w środku słonecznego dnia Błękitu. Niepokoją go te oznaki zapadania się wdowy w stan niemocy, ogólnej powolności, letargu omal narkotycznego. Pytał, czy aby nie szpikuje się

stymulantami chemicznymi - powiedziała, że bierze tylko standardowy pakiet antygerontyczny. I nawet jej wierzy. Tym bardziej to przerażające. Pytał, ile właściwie śpi dziennie. Oczywiście nie miała pojęcia, zagadnęła domowy program zarządzający. Ten obliczył średnią trzynastogodzinną. Zdziwiła się. Aguerre nie.

Teraz znowu stoi nad przesłoniętym moskitierą wielkim łóżem w sypialni hacjendy (Carla udostępniła Frederickowi kody swoich sfer prywatności), patrzy na skuloną pod cienkim jedwabiem sylwetkę kobiety, śpiącej, z chorobliwymi rumieńcami na policzkach, włosami skołtunionymi na niewygodnie ułożonej poduszce... Tropikalne słońce wlewa się do środka między uchylonymi okiennicami. A ona śpi. To nie jest zdrowy sen. Czy rzeczywiście tak Gabriela kochała, czy też po prostu przyzwyczaiła, się? I niby jak odróżnić jedno od drugiego? Nieważne; tak naprawdę jest przecież moją żoną.

Kiedy w końcu się budzi, widzi Fredericka Aguerre siedzącego przy łóżu w iluzyjnym fotelu, w reprezentacyjnych szatach *Primusa* OHX. Nasłoneczniony fiolet prawie razi jej oczy.

- Najwyraźniej już po kryzysie - ziewa - skoro nie masz nic lepszego do roboty.
- Powinnaś założyć sobie Stróża.
- Co?
- Tylko tak się z tego wydobędziesz.
- Że niby mam nie spać?
- Trochę więcej aktywności też by nie zawadziło. Ale chodzi o takie sprofilowanie hormonalne, które wy dostałoby cię z tej spirali depresji.
- Nie jestem w depresji.
- Będziesz.
- A idź do diabła.
- To za chwilę. Na razie posiedzę i popatrzę na ciebie.

Carla zaczyna płakać. Frederick siedzi i patrzy. Ona przewraca się na łóżku na drugi bok, plecami do niego. Aguerre okręca na palcu pierścień. Światło - bardzo jasne, bardzo ostre, niemal monochromatyczne - pada z za jego pleców, wypala z pościeli najdrobniejsze cienie.

Oddech Carli jest płytki, nieregularny; co jakiś czas jakby się krztusiła, wówczas drżą jej plecy. Nie widać twarzy, dodatkowo kryje ją ramieniem.

- Kiedy popłynęliśmy na Sycylię - zaczyna Aguerre, coraz szybciej kręcąc pierścieniem - przez trzy tygodnie niebo było całkowicie bezchmurne i gdy spacerowaliśmy tymi gorącymi plażami, a spacerowaliśmy co dzień...

Mówi i mówi, już w ogóle nie patrząc na nią; ona też nie odwraca się - ale przynajmniej przestała szlochać, słucha.

Wchodzi służąca, krząta się po sypialni, otwiera szerzej okna, przechodząc przy tym przez Aguerre; oczywiście nie widzi go ani nie słyszy.

Po jej wyjściu, i gdy Frederick wreszcie milknie, Carla obraca się na wznak. Oczy są już suche. Przelotnie spogląda na Aguerre; twarz ma bez wyrazu.

- Daj mi lepiej spokój. - (Szeptem). - Chce mi się spać.

Aguerre wychodzi, w głównym holu mijając jeszcze szepczące o pani domu pokojówki. Na dziedzińcu hacjendy uderza go w skronie słoneczny żar. Wyczarowuje sobie szerokoskrzydły, biały kapelusz, nasuwa na oczy. Kiedy się odezwie ten cholerny Ivan? A glejokryst - pieprzyć patent, lepiej niech Szarski popracuje na materiale i pokaże, co potrafi komp FTL, na początek odszyfrowując tamte pliki Gabriela. Trust anty-ICEO - Marie-Anne powinna się skontaktować także z nimi...

Dwa kroki przed wrotami dogania go okrzyk Carli.

- Fred!

Ogląda się. Ona stoi w progu, przecięta w pasie granicą cienia, jeszcze półnaga, prosto z łóżka.

Aguerre przeadresowuje się do holu, tuż za nią. Zdejmuje kapelusz. Ruch dodatkowo mierzwi białe włosy wdowy.

Carla nie odwraca się; za to zapada się w Aguerre z westchnieniem, jakby faktycznie czuła ciężką stąpkę xenotyka. Frederick obejmuje ją odruchowo.

Tak łatwiej jej mówić.

- Masz rację, masz rację, ja po prostu nie mam siły się z tego wydostać, może gdybym miała z Gabrielem dzieci, może wtedy, może one, ale nie mam i przeczuwam tę ciemność, ja nawet chcę się zanurzyć, to, rozumiesz, to takie...

- Łatwe.

- Nieuniknione.

- Spirala. Każdy krok słuszny, a po siedmiu pełzasz w błocie; i nie było błędu, nie było błędu.

- Tak. Tak. Powoli. Zassie mnie. Powiedz. Tobie nawet silniej serce nie zabiło.

- Kiedy?

- Teraz. Kiedykolwiek. Przy mnie. W ogóle.

- Nie, chyba rzeczywiście nie.

- Dobrze. - Głośny wdech. - Daj mi.

- Co?
- Stróża. Przekopij mi z Zamku wzory nano i programy.
- Carla...
- No co? Teraz się boisz?
- Okay.

Wywija mu się z ramion, całuje szybko w policzek przecięty fioletowym żyłakiem.

- Opowiesz mi potem o naszych nocach.
- Mhm...?
- Na Sardynii.

I ucieka w mahoniowe cienie wysokich pokoi.

Aguerre wraca na słońce. Idąc ku zatoce, pochylony lekko pod kapeluszem-latawcem, kalkuluje swoje szanse w najbliższych głosowaniach w Wysokiej Radzie OHX. I co począć z groźbą deszyfracji każdego krypto dwustronnego - jak teraz komunikować się przez Iluzjon? Od czasu ogłoszenia patentów Frederick chodzi tylko w Iluzjonie/Krypto, ale zdaje sobie sprawę, że co zmyślniejszy hacker może wepchnąć się na odpowiedzialne za transmisję Bagna i kopiować cały ten szum, by potem - kiedy? już pewnie za tydzień, dwa - odszyfrować go na komputerze FTL. Petrc jest w stanie robić to w czasie rzeczywistym. Czy to dlatego do tej pory nie odpowiedział na zaproszenie? Bo nie dowierza żadnemu krypto? Powinniśmy dokonać wymiany pakietów randomicznych. Ale to też nie na wiele się zda...

Campus Instytutu rozciąga się na łagodnych wzgórzach okalających zatokę od południa; na przeciwległym łuku rozrosła się polinezyjska wioska. Konstytucje tutejszych Polinezyjczyków są dosyć ekscentryczne (pochodzą oni z pierwszej fali emigracji kulturowej) i w Glinie raczej nikt się do nich nie zbliża. Aguerre skręca na pierwszym skrzyżowaniu ku kampusowi i wyższym - cztero-, pięciopiętrowym - budynkom Instytutu Paige'a. Na oko sądząc, przechadzka dwugodzinna. Oczywiście może się Aguerre przedadresować od razu na miejsce - ale w ten sposób straciłby wymówkę dla dwóch godzin nieróbstwa z dala od piekła polityczno-gospodarczego kryzysu spowodowanego schizmą w OHX. Licznik żądań bezwarunkowych połączeń z Frederickiem Aguerre, tych już przesianych przez filtry programu sekretaryjnego *Primusa*, wskazuje dwa tysiące i bije wwyż.

W trzech czwartych drogi do Instytutu, gdzie pokrycie sieci Iluzjonu jest najrzadsze i większość danych idzie z symulacji, sekretarz otwiera jedyne połączenie, dla którego Aguerre ustawił najwyższy priorytet.

- Błękit, tak? - pyta Ivan Petrc SR, odwracając się ku oceanowi. Schodzi ze ścieżki, przykłęka, wciska dłoń w miękki piasek. - O czym chciałeś rozmawiać? Mam nadzieję, że o

niczym ważnym... - Wstaje, spogląda ku Instytutowi. Mija ich para na rowerach, skręcająca zaraz ku kampusowi. Petrc spaceruje w cieniu kutrypicznych zarośli. - O interesach tylko w Glinie.

Aguerre przygląda się spod nisko nasadzonego kapelusza tym niby niezbornym ruchom Petrc. Petrc jest w obcisłym białym swetrze z emblematem róży na lewej piersi. Nic nie chroni jego twarzy przed słońcem. Czasami odwraca się od niego, chowa pod drzewami, czasami zaś jakby próbował je pokonać sinogranatowym spojrzeniem. Frederick nie pamięta, czy i podczas rozmowy w AC Ivan był tak rozkojarzony. Nie, tam jednak miał jakiś cel, sztywny plan: zająć Aguerre, skrócić mu czas. Co więc robi tutaj?

- W Glinie? Chcesz się spotkać w Glinie? Proszę bardzo. Gdzie?

Petrc odchodzi jeszcze dalej od drogi, kładzie się w trawie, kutrypicznej lub djenajowej, tego nie sposób poznać. Śmieje się cicho na pośpieszne pytania Aguerre.

- Chciałbyś, co? Podam ci lokację, a jak się tam o czasie pokażę, już się nie wypłaczę z Cage/Netu setki twoich Rzeźbiarzy.

- Więc jak? Chcesz czy nie chcesz?

Petrc rozkłada szeroko ręce i nogi, wczepia się długimi palcami w bladoseledynowe źdźbła.

- Zakładam, że prędzej czy później ktoś złamie to krypto i posłucha sobie naszej rozmowy - mówi powoli. - Zakładam także, że ty sam zdradzisz czas i miejsce, gdy tylko je poznasz.

- No to *finito* - irytuje się Aguerre. - Dalej będziemy się tak podchodzić przez prawników. Żegnam.

- Ejże, moment! No nie uciekaj. Ja ci powiem, jak to zrobić. Uważaj. Podam ci ze stosownym wyprzedzeniem godzinę startu. Dokładnie o tym czasie zaczniesz Rzeźbić wzdłuż Wektora Ferza. Starego Wektora. Po czterdziestu godzinach zwalniasz SpaceSculptora i wróżysz. Arkana Łuźnego, tak?

- Tak.

- Gzy skręcasz, czy nie. I dokąd. I na ile. Aż się pokaże, że to już ta gwiazda. I tam, i wtedy się spotkamy.

- Odbiło ci.

- Powiadasz? No popatrz, jak to łatwo poznać. Tylko mnie, durnemu, wydaje się czemuś inaczej. Pa.

I zapada się pod ziemię. Trawa zarasta miejsce pochłonięcia.

Aguerre wraca na drogę. Czy on nie usiłuje mnie po prostu wyciągnąć z AC, odciąć od

Iluzjonu na czas Rzeźby? Będę się plątał dookoła Wektora Ferza jak głupi, tymczasem Petre przeprowadzi kolejną kombinację. O której dowiem się o tę godzinę za późno. Blef, blef. A może nie? Lepiej spytam kart. (I tu znowu Stróż musi wyciszać odruchowy gniew Aguerre). Glejomyślność, szlag...!

Przy wejściu do parku Instytutu wita Fredericka doktor Czen, gliny.

- *Frei*. Oczekiwaliśmy pana wizyty. Lady Amiel podała mi kody. - Ścisła mocno dłoń Aguerre. Nie wyciera swojej o nogawkę spodni, może przez pamięć iluzyjności xenotyka. - Wiem, że przyjaźnił się pan z Gabrielem.

- Znałem go, tak.

Czen prowadzi przez park ku największemu z budynków.

- To, co robimy tutaj, w instytucie... Większość naszych poważniejszych projektów badawczych i tak pan zna, *frei*, przynajmniej z założeń, bo w części lub całości prowadzimy je na zamówienie Zakonu. Ale stać nas, Gabriela było stać, na kilka programów niekomercyjnych, w każdym razie nieplanowanych jako komercyjne. I to nimi zajmował się pod koniec najintensywniej. Więc jeśli -

- Wiecie o Głupcu.

- To pan go tak nazwał, prawda? Tak, wiemy, oczywiście.

- Głupcu, Koziołku. Jak Gabriel trafił do tego glejokrystu schizmatyków?

- Po równaniach szumowych Goldberga, przypuszczam.

- *Gaud*, a co to takiego?

Czen śmieje się cicho. Wchodzą już do wnętrza budynku, doktor przytrzymuje przed Aguerre drzwi, zawiasowe, nieautomatyczne.

- Organelle rezonujące *gleiophyta* rozpisane są u Goldberga w tablicach funkcji kwantowych. Przeprowadza się analizę statystyczną korelacji dryfu ich kwadratu modułu Schrödingera ze zmianami najbliższego gleju, analizę orientacji względem docelowych komórek glejowych. Ów „dryf” to jest kumulacja takich drobnych, ledwie rejestrowalnych pod Heisenbergiem drgnień funkcji falowych składników organelli. Przez pierwsze lata glejologii kryło się to w marginesie błędu pomiarowego. Goldberg się zaważył i ułożył te swoje tablice. Na wyjściu dostajemy wiązki równań określających rozkład prawdopodobieństwa położenia komórki glejowej aktualnie sprzężonej z badaną. Metoda nie zyskała uznania, bo wyglądało to po prostu na rozdymanie chmur probabilistycznych w makrokosmos.

- No to jak Gabriel -

- Nie wiem. Ale wiem, że ładował Bagna równaniami Goldberga na maksa. Więc jeśli

jakoś, to tak. No dobra, jesteście.

- *Kreist...* cóż to znowu?

- Ostatni pomysł Gabriela Paige.

Stoją nad morzem żywego gleju. Zeszli tu krętymi schodami i przez coś w rodzaju śluzy, która zaraz się za nimi zatrzasnęła; teraz znajdują się na wąskim, kratownicowym balkonie, on zdaje się biec dookoła całego pomieszczenia. Czego Aguerre nie jest pewien, bo to hala przepotwornych rozmiarów, przeciwległa ściana ginie w mroku, zresztą oświetlenie nie jest najlepsze: żółtawe lampy na niskim suficie, tyle. Już więcej światła oddaje sam glej, z basenu bije zimny, fioletowy ogień. Oto jest jezioro krwi utoczony z bezdusznych bestii Hadesu; oto jest piekło niezrodzonych z Adama i Ewy, kolor nieczłowieczeństwa. Lecz w Szadrze, lecz w wysokich atmosferach gazowych olbrzymów o podobnych jej warunkach - tam, gdzie glej występuje w swej naturalnej postaci, nigdy nie spotyka się go w takim zagęszczeniu. Unosi się w formie wolnego planktonu, komórka i komórka i gęsta zawiesina gazowa planety. Nie tak jak tu, gdzie po ciężkiej zupie glejowej wręcz przetaczają się fale, od ściany do niewidocznej ściany... Jak wielkie jest pomieszczenie? Ile ton czystego gleju tutaj zebrano?

- Złazł wszystkie jego odmiany - mówi Czen. - Na początku wystarczała mu obserwacja gleju wyjętego ze środowiska, w superstężeniu. Liczył, że może wreszcie niektóre komórki zaczną obumierać. Ale nie. Wtedy wlał wirusy skręcone z łańcuchów QTRP. Nie planował. Szedł w gry przyspieszonej ewolucji. Walił ciężkim promieniowaniem rozbijającym wiązania. Czekał spontanicznego pojawienia się prymitywnych form kutrypicznego glejożycia. Potem by to akcelerował, stymulował radiacje... Rozumiesz, *frei*.

- Kutrypiczny glejotyk.

- Coś w tym stylu. W ścianach są grawimetry. Czekamy ponadstatystycznych wahań.

- I co?

- Słabo, słabiutko.

- A liczył się z tym, że jak mu się uda, kamień na kamieniu może nie zostać z tej wyspy? Albo i planety. He? Nie jest to Żłobek, ale gdyby pociągnął ten projekt tak konsekwentnie, jak pan mówi...

- Taaak. Widzi pan te fale? Błękit nie ma księżyców. Glej w takim zagęszczeniu oczywiście jednak skręca gradienty grawitacji. Notujemy częstotliwość i amplitudy. Gabriel zorientował się tuż przed śmiercią. Istnieje korelacja między nimi a przekłamaniami w naszych Bagnach. Mamy tu obszerne Bagna, kilkaset metrów stąd. To jest pierwsza poważna poszlaka za powiązaniem reakcji wewnątrzkomórkowych *gleiophyta* z ich wzajemnym

położeniem, *frei*. W szczytce zupełnie dezorganizuje nam wszelki procesunek na Bagnach. Gabriel szukał jeszcze sposobów dla wzmacniania, sztucznego indukowania... Pan zdaje sobie sprawę, co to oznacza.

Chyba Stróż jest w robocie, Aguerre czuje tę krótkotrwałą lekkość myśli, ulotne wrażenie oderwania „ja” od „ja”. Inaczej wizja naprawdę by nim wstrząsnęła. Cokolwiek chciał tu Gabriel wyhodować, wyhodował bicz na xenotyków. Czy Petre wiedział i o tym? Czy i to wywróżył? Frederick patrzy, jak fala granulastego fioletu nakrywa inną falę, tłuste cielsko marszczy swą ciekłą skórę, kalejdoskopowe rekonfiguracje powierzchniowych wzorów zaczynają budzić w xenotyku coraz szybsze, coraz dłuższe łańcuchy skojarzeń, coraz bardziej ekscentrycznych, coś go swędzi z tyłu głowy...

- Szkoda, że nie odwiedził nas pan w Glinie, *frei*.
- Czemu?
- Ciekawy jestem, czy w takiej bliskości... rozumie pan... Czy czujecie cokolwiek?

16. Technologie mordu

Witalij Prokopowicz Łużny podrzemuje na drewnianym leżaku, otulony kraciastym kocem. Nieregularne porywy wiatru miotają po Jeziorze Bodeńskim białymi trójkącikami żaglówek, od strony Reichenau sunie wielki jacht motorowy. Zaczyna mżyć wieczorny deszczyk i na taras sanatorium wychodzi pielęgniarzka, by zabrać starca do środka - ale Łużny, ponownie się ocknąwszy, odgania ją niecierpliwym machnięciem ręki, poza tym niezdatnej chyba do niczego.

- Taki jest problem z uczciwymi opiekunami - mówi. - Im więcej im płacisz, tym większe mają poczucie winy, że nie robią nic wartego takich pieniędzy i zatruwają ci każdą chwilę; nie na pokaz, ale desperacko próbując na nie zapracować.

- Płać mniej.
- Tamci są jeszcze gorsi. Oczekują wdzięczności ode mnie.
- No to weź sobie na wasali jakichś wykształconych medycznie biedaków z Południa.
- Jestem obywatelem Rosji.
- Ach, zapomniałem.
- Chssss!
- Co, znowu boli? Jak tam skrzydła?
- Już chyba w atrofii. Dobrze, żeś jeno duchem, inaczej pewnie bym mimo wszystko

nie wytrzymał i rozprostował je po raz ostatni. Ach, to jednak jest rzecz nie do podrobienia żadnymi iluzjami, jak ja wam zazdroszczę...! Ten ruch nieskrępowany, Frederick, to poczucie, że zaciśnięciem pięści skręcasz materię wszechświata. Straszliwi aniołowie fioletu. Bredzę, prawda? Zaczęłam się bawić haiku, gdzieś tu mam...

Łużny mówi w Iluzjonie - w Glinie nie potrafi, zdeformowana krtań nie wytwarza modulowalnych dźwięków. Trudno wskazać część jego ciała, która nie byłaby groteskowo zdeformowana. Założonych ma kilkanaście stałych drenów (większość kryje teraz koc), w które spływają obfite wybroczyny mazi glejopochodnych. Nie ma włosów, a guzowata czaszka jest trwale strepanowana dla swobodnego sterowania ciśnieniem płynów podoponowych. Przez większą część ćwierćwiecza swego kalectwa Łużny uciekał się do wspomagania różnymi egzozszkieletami. Aguerre pamięta go z czasów procesów z CasLabem, Witalij występował na rozprawach jako świadek, potem już bardziej w charakterze biegłego. Wyglądał wówczas jak zdewastowany Robocop, poruszał się niczym źle animowana kukła. A raz Aguerre widział, jak Witalij lata: nie jest xenotykiem i ten jego lot nie miał nic wspólnego z Rzeźbą, był to autentyczny ślizg powietrzny, tyle że na niewidzialnych płatach nośnych jego pseudostampowych skrzydeł.

Łużny nie jest xenotykiem, chociaż dzierży niezagrożenie tytuł Pierwszego Syzygenta. To on, przed dwudziestu siedmiu laty, w prymitywnym labie orbitalnym nad Szadrą, dokonał po raz pierwszy pełnej implementacji gleju w organizm *Homo sapiens* - swój organizm. Szok xenofilaktyczny prawie go zabił. Konieczny był szereg ratunkowych RNAdycji, szukano wzorca po omacku, genotyp Łużnego to istne muzeum glejologii, pobjowisko teorii naukowych; nie lepiej z fenotypem.

Nie jest xenotykiem, nie jest bezsennym - nie ma Stróza, może spać, może dawać upust dowolnym emocjom, oddawać się organicznym ekstazom i mękom, wszak stany jego mózgu nie przekładają się na aktywność sprzężonego gleju i nie grożą z jego strony żadne szalone Rzeźby, rozpruwające planety i destabilizujące słońca. Niemniej nosi glej w ciele i w duszy, sztywne stamperki ugina bliską czasoprzestrzeń w istne origami 4D, z najwyraźniejszymi dwoma płaskimi uskokami, zakotwiczonymi gdzieś pod łopatkami, a rozpościerającymi się na pięć metrów każdy - w porywach i do dwudziestu.

I zna także Łużny ową nieubłaganą natarczywość przecucia glej-intuicyjnego, straszliwy rozpęd ciągu dzikich skojarzeń, to skupienie-roztargnienie, niemal gnostyckie; zna dobrze. W istocie on jest jedyną osobą zdolną zarazem do glej-wróźb oraz snu, i kiedy śni, są to sny niczym błysk nuklearny, iluminacje *high definition*. On pierwszy rozłożył karty i rzekł: „To też jest nauka”. Z niego my wszyscy. Także Petrc i jego schizmatycy.

- Petrc, Petrc, Petrc, *meigaud*...

- Więc sądzisz, że ma rację?

Łuzny wydaje przeciągły świst, mający zapewne stanowić oznakę irytacji.

- Pytasz jak przedszkolak. Pokaż mi ideologię, za którą nie stoi przynajmniej częściowa racja. Każda utopia ma głębokie uzasadnienie w rzeczywistości, od której się odbija. Teraz, rozżalony, zapytasz, czy cel uświęca środki - i tak będziemy sobie gawędzić banałami. Fred, na litość boską...! Ech. Przejdźmy się lepiej.

Wstaje, nagle znowu piękny i młody; nieruchomy zewłok pozostaje na leżaku. To są prawdziwe *out of body experiences*, uśmiecha się w duchu Aguerre. Tak odrywa się pneuma od somy.

Schodzą z tarasu na stok wzgórza, zielonymi falami spływający ku odległemu jezioru. Trawa lśni od deszczu, chłodna wilgoć wieczornego powietrza wypełnia płuca. Zmierzch nad Helwecją.

- Ja wiem, o co ty tak naprawdę pytasz. Chcesz, żebym cię zapewnił, że nie popełniłeś błędu. - Łuzny zerka na Aguerre idącego obok z pochyloną głową. - A może właśnie, że błąd popełniłeś i wina jest twoja. Ale oczywiście nic takiego rzec ci nie mogę.

- No, już.

Łuzny śmieje się, klepie xenotyka po ramieniu.

- Dobra, odpuszczam ci.

- Żadnych rad dzisiaj?

- Rad? A bo to ja kiedy dawałem ci rady? Opowiadałem tylko o przeczuciach. A jakie decyzje ty na tej podstawie podejmowałeś, to już inna sprawa.

- Nie mów, że nie przewidywałeś także ich.

- Być może, być może. Teraz na przykład powiem ci, że to dopiero początek.

- Co?

- Ivan, ta jego schizma. Będą kolejne. Skoro pokazał, że można i że nie oznacza to końca świata.

- Akurat!

- Bo nie oznacza. To wszystko się uspokoi, ustali się nowa równowaga. I będą od was odchodzić kolejni, tak czy inaczej motywowani. Zakon robi obecnie za konserwatywnego molocha duszącego marzenia młodych, idealnie nadaje się do kontestacji.

- Dziękuję pięknie.

- Ale pocieszę cię: oni długo jeszcze pozostaną marginesem, to *Ordo* stanowi prawdziwą reprezentację xenotyków.

- Jak wielu odejdzie?

- Nie wiem. Jedna trzecia.

- *Gaud.*

- Dobra, gadaj, po coś naprawdę przyszedł.

Aguerre siada pod sosną, prostuje nogi, opiera głowę o pień. Opowiada o ostatnim projekcie Gabriela Paige, odtwarza słowa doktora Czena. Łuźny krąży w pobliżu, przystając, unosząc twarz ku deszczowi.

- Rozumiem - mówi wreszcie. - Sposób na xenotyka morderstwo doskonałe. Pobudzamy bliski basen żywego gleju i wybranemu xenotykowi wyplaszcza się EEG.

- Tak.

- Boisz się, że ciebie pierwszego wezmą na cel, gdy tylko poznają technologię. A może już znają. Nigdy nie darują ci tego Horpache'a.

- Przecież to hipokryzja czystej wody! Sami próbowali mnie załatwić. Gabriela zarżnęli bez zastanowienia.

- Szukasz dla siebie usprawiedliwień? Fred, ty jesteś *Primus Inter pares Ordo Homo Xenogenesis*, dla ciebie nie ma usprawiedliwień; im wolno, ale tobie nie. To nie jest hipokryzja, a jeśli już, to szczególny, szlachetny jej rodzaj -

- Słucham i uszom nie wierzę.

- Nie mów, że nie zdawałeś sobie sprawy. W strukturach hierarchicznych podobne projekcje ideałów są nie do uniknięcia. W końcu tak właśnie zaplanowano OHX. Jesteś królem, pomazańcem bożym, jakkolwiek absurdalnie by ci to brzmiało. Sądzisz, że co czują, gdy całują twój pierścień?

- Przygnębiasz mnie, Witalij.

- Taki mój urok.

Aguerre dźwiga się spod drzewa, otrzepuje spodnie. Przestało padać, za to cienie rozlały się szeroko po zielonych polach. Brodzą w kałużach mroku.

- Więc pytasz, czy śniłem o twojej śmierci.

- Śniłeś? - pyta szybko Aguerre.

- O swojej także.

- Jeszcze nie wyganiają cię z Ziemi, widać nie jest tak źle.

- Ja nadal uważam, że niepotrzebnie się boją. Nie jestem xenotykiem, nie Wyrzeźbię żadnej Śmierci.

- Taa, znam twoje teorie: Śmierć jako spotęgowana stampa.

- Ale to jest prawda! Porównaj dotychczasowe Śmierci i stampy zmarłych xenotyków,

residua po nich. Widziałem już mapę Śmierci Cuomo. A Marcel Tataux? On za życia chodził w zorzach elektromagnetycznych!

- Wciąż mamy zbyt mało danych.

- Nie bój się, nie bój, będziecie umierać.

Aguerre aż przystaje.

- Czy to jest Sen Łuźnego?

Łuźny wzrusza ramionami.

- Za wiele sobie wyobrażacie. Nie wszystkie domysły muszą być słuszne. Nie popadaj w drugą skrajność: wróżba glejowa nie gwarantuje poprawności wniosków. Niezależnie od tego, co się roi Petrcowi.

- Jesteś tego pewien?

- Słuchaj, to jest ich rewolucja, muszą ekstremalizować, inaczej nie przekonali by samych siebie. Ale z czasem to im przejdzie, ustatkują się.

- Nie sądzę. Chodź.

- Mhm?

Między sosnami po lewej uchylają się wysokie drzwi, futrynę częściowo przesłaniają mokre gałęzie. Ze szczeliny bucha żółte światło. Aguerre ciągnie Łuźnego za ramię, drugą ręką uchyla drzwi szerzej.

Wchodzą do bocznego gabinetu w Aguerre Tower. Za oknem nocne AC, zewsząd muzyka i gwar rozmów. Pokój na razie jest pusty.

Frederick prowadzi Łuźnego do kąta odległego od drzwi. Witalij-minus-trzydzieści-lat opiera się o regał, zakłada ręce na piersi. Mrugając, obserwuje xenotyka.

- Ten glejokrystny komp *frei* Deuce... skoro łamie krypto infinityczne... - Aguerre zapala cygaro, zaciąga się. Spogląda na kolorowe miasto. - Ivan zdawał się sugerować, że sami posiadają dostęp do technologii Kameleonów i że stać ich na własnych. Ale potem zacząłem się zastanawiać. Szarski przysłał mi wreszcie tę listę zagrożeń wywołanych odkryciem komputera FTL i zdałem sobie sprawę, że oni nie musieli hodować swoich Kameleonów. Wystarczyło im wejść na wszczepkę najbliższego zlokalizowanego - amerykańskiego, chińskiego, niemieckiego, francuskiego, bez znaczenia - pomonitorować chwilę, złamać kody kontroli i odtąd samodzielnie edytować asasyna. Sądziysz, że właściciel zgłosiłby kradzież takiego agenta? He, ja mam nawet podejrzenia, czyj to był Kameleon.

- Francji.

- Francji.

Otwierają się drzwi, do gabinetu wchodzi lord Amiel. Prowadzi z kimś ożywioną

dyskusję w Iluzjonie/Personal. Nie porusza ustami, ale zdradza go urywana gestykulacja, szczątkowa mimika wycelowana w pustą przestrzeń - niewygaszone do końca i nie do końca przejęte przez wszczepkę bodźce nerwowe. Wyraźnie się irytuje. Wreszcie siada z westchnieniem w skórzanym fotelu pod regałem, tyłem do drzwi, zawiązawszy obfitą szatę. Macha ręką w geście rezygnacji. Odchyliwszy głowę na oparcie fotela, przymyka oczy. I kiedy zaczyna w tej pozie kłać, w basicu i po hiszpańsku, brzmi to omal jak modlitwa.

Na to zjawia się w drzwiach Kameleon. Nie zwalniając kroku, podchodzi Gabriela z za jego pleców i przesuwa mu szybko paznokciem po odkrytym karku. Paige sztywnieje, sparaliżowany. Teraz Kameleon wraca do drzwi, zamyka je delikatnie. I w tym momencie kończy się jego zdecydowanie. Asasyn zaczyna obchodzić fotel z lordem Amiel po mniejszych i większych półokręgach, przystając, przykucając, wręcz klękając przed Gabrielem, zaglądając mu w zamrożoną twarz. W pewnej chwili, w apogabrielum, opiera się łokciami o parapet okna, wychylając się wstecz, w chłodną noc, długi, czarny warkocz powiewa nad przepaścią, gdy Kameleon studiuje kształty gwiazdozbiorów.

To go widać na nowo dopinguje, bo podrywa się, podchodzi szybko do biurka, wysuwa szufladę, wyjmuje nóż do papieru. Sprawdza ostrość klingi kciukiem. Ssąc palec, krąży teraz po pokoju, lewa dłoń w zapomnieniu kreśli łagodne krzywe. Ba, morderca zapomina się do tego stopnia, że upuszcza nóż i długą minutę maca za nim w głębokim dywanie, zapatrzonego na lorda Amiel. Znalazłszy, podchodzi do fotela, przesuwa ramię Gabriela, obraca mu głowę, drapuje szatę na kolanach, prawą stopę w zamszowym pantoflu skręca na zewnątrz, jeszcze odgarnia włosy, po czym, wydawszy wargi, podrzyna lordowi Amiel gardło. Tryska krew, Gabriel zaczyna rzeźnić, krtań zalewana posoką wydaje świszczące dźwięki, szybkie drgawki wstrząsają torsem siedzącego. Asasyn odstępkuje, przygląda się swemu dziełu z przechyloną ku barkowi głową. Nóż schował do kieszeni marynarki. Prostuje się, zakłada ręce za plecami. Przez chwilę patrzy w milczeniu. Lord Amiel kona dyskretnie. Kameleon przykładą palec do podbródka, zerka na drzwi, odwraca się i wyskakuje przez okno.

Wchodzi quinceyowiec, powiadomiony przez autotestament Paige'a.

- No i? - pyta cicho Aguerre. - Co myślisz?

- Jak cię znam, masz już całą teorię - mruczy Łużny. - Wal.

Aguerre strzepuje popiół z cygara; opuszcza przy tym wzrok, jakby zdjęty nagłym atakiem nieśmiałości.

- Widzisz, ja wiem, że tarot, te wszystkie sztuczki, to tylko rekwizytorium, w gruncie rzeczy przypadkowe. Rezonans może wzbudzić cokolwiek. Ostatnio zdarzyło mi się nawet...

W każdym razie doskonale wyobrażam sobie, co zrobiłby Petrc. Dlaczegoż ograniczać się do jednej ogniskowej, jednej symboliki? Glejomyślność jest naturalnym stanem umysłu xenotyka! Czyż nie to głosi? Pomyśl, ty to powinienesz wiedzieć, pytam cię, Witalij: czy doprawdy niemożliwym jest napisanie takiej aplikacji na Stróża, która -

- Tak. To jest możliwe.

Aguerre ogląda się szybko na Łuźnego.

- Napisałem ją kilkanaście lat temu - mówi Łuźny. - Słabszą, bo na wszczepkę, nie na Stróża. Zapewniam cię, na dłuższą metę bardzo to męczące.

- Trudno się skupić.

- Tak..

- Każdy widok, każdy dźwięk - tysiąc skojarzeń.

- Tak.

- I zawsze sześć ruchów do przodu.

- To prawdopodobne. Nie wytrzymałem aż tak długo.

- Jak się wtedy zachowujesz? Jak reagujesz? Kiedy cały świat otwartym tarotem.

Łuźny odruchowo spogląda na Gabriela.

- Masz rację, ten Kameleon... to zdecydowanie nie był przykład skryptu efektywnego mordu. Podejrzewasz, kto zarządzał panem Dilalle? Który ze schizmatyków?

Aguerre odpowiada nie wprost, serią prędkich pytań.

- Widziałeś się ostatnio z Petrcem? Widziałeś, jak on się porusza? Jak prowadzi rozmowę?

- Mówi, że wtedy Rzeźbił. Że zrobili to poza jego plecami.

- Taa, też mi to sprzedał. Niby Rzeźbił prywatnie i dlatego nie ma tego w rejestrach zleceń. Wierzysz mu?

Łuźny kręci głową.

- To nie jest typ kłamcy.

- Fakt. Dotąd też bym go nie posądzał... Ale w takim stanie permanentnej glejintuicji, jaki tu właśnie widzieliśmy, kiedy błysk odległej gwiazdy odmienia ci życie... Czy to w ogóle jest jeszcze człowiek, xenotyk? Czy raczej c h o d z ą c a w r ó ż b a? Pod twardym Stróżem, na kościach glejowych.

Łuźny nie odpowiada i tak oto pytanie Fredericka okazuje się retorycznym.

Quinceyowiec klęka przed zwłokami lorda Amiel.

17. Przeciwno nieskończoności

Cóż poradzi człowiek naprzeciw nieskończoności? Co poradzi xenotyk? Wróżba niepewna prowadzi *frei* Fredericka Aguerre krętym szlakiem przez galaktykę.

Ogród Aguerre został tymczasem odbudowany do swej pełnej postaci, uzupełniono zapasy biomas i zarodków QTRP i DNA.

Aguerre Rzeźbi wzdłuż Wektora, jednak znacznie wolniej, niż oczekiwał Petrc, bo wkładając w SpaceSculptora zaledwie jedną czwartą swej mocy oktomorficznej. To pozwala mu na wchodzenie w Iluzjon i utrzymywanie kontaktu ze światem. Chociaż nawet na 25 procentach maxoct. nie jest to łatwe, snuje się Frederick po swych apartamentach w Wieży i Zamku niczym duch ducha, smętny zombie; często w środku rozmowy z jakimś oficjałem lub odprawą pracowników OHX znajdując się tak zmęczonym i obojętnym względem poruszanych tematów, że bez pomocy aplikacji mnemonicznych zupełnie niezdolnym do odtworzenia prezentowanych mu argumentów.

Mówi na przykład Alfons Kier, główny analityk giełdowy Zakonu: - ... z papierów wartościowych na nieruchomości, ziemię, rzadkie pierwiastki. Jeśli koniecznie w akcje, to tylko monopolistycznych firm w branżach pierwszej potrzeby lub w funduszach aktywnej dyslokacji. To się zacznie nawet wcześniej, jeszcze przed upowszechnieniem technologii, zanim ruszą na kompach FTL pierwsze AI maklerskie, bo bardzo szybko inni inwestorzy dojdą do tych samych wniosków, co ja, i przedsięwzją te same kroki. Ich matematycy wygłaszają przecież identyczne ostrzeżenia: rynek pod władzą programów procesowanych z nieskończoną szybkością wymknie się wszelkim analizom, zero sensu, żadnych związków przyczynowo-skutkowych - w każdym razie nic widocznego dla nas czy programów na kompach podFTL. Daleko posunięte restrykcje w operacjach giełdowych są nie do uniknięcia. Prawdopodobnie wszystkie giełdy, także towarowe, walutowe i *human resources*, zejdą z notowań ciągłych. Na dodatek SR już teraz zapowiada ostry szturm w oparciu o te ich glejwróżby. Samo to rozchwiałoby światową gospodarkę. A OHX nie jest głęboko ukorzeniony, szliśmy w inwestycje mocne, ale o krótkim horyzoncie, Petrc od lat miał tu wpływ na naszą strategię, pamięta pan, *frei*, te długie dyskusje po wyborach - pan wygrał, ale on jednak zyskał spore poparcie, być może za kilkanaście lat *Ordo* realizowałby w istocie dzisiejszy program *Societas Rosa...* - Co, co ty mówisz? - Aguerre próbuje skupić się na słowach analityka. Czy on imputował mi naśladownictwo Ivana?

Po czterdziestu godzinach nie jest oczywiście ani w połowie tego odcinka Wektora Ferza, jakiego przebycia spodziewałby się Petrc.

Aguerre kalkuluje jednak następująco: wróżba to nie sztywny algorytm, raczej przepis iteracyjnych przybliżeń; skoro w ogóle istnieje owo miejsce spotkania z Ivanem, to droga dotarcia do niego, liczba wróżb, metody, czas - nie mają znaczenia. Oczywiście kryje się pod tym założenie przyjęte na wiarę: że mianowicie Frederick podświadomie już zna koordynaty *rendez-vous*, a w każdym razie zna wystarczające dla wnioskania o nich przesłanki.

Wszelako jeśli założenie jest błędne... Rzut kości przeciwko nieskończoności, ot.

Łużny przysłał mu 100 KB swoich wierszy, Aguerre broni się przed nimi jak przed zarazą memetyczną, kilka chwil lektury strąca go ponownie w stany półletargiczne. Bardzo fatalistyczny jest świat starego Witalija - ale jakże mógłby być inny? Czy podobnie patrzy na rzeczy Ivan? Nie powinienem był tak często uciekać się do tarota, w końcu zdegeneruję się do takiego samego niewolnika podświadomości. Tymczasem - trzeba wróżyć. Wektor - i gwiazdy dookolne. Olbrzym, olbrzym, układ potrójny, poczwórny, brązowy karzeł...

Mija się z Carłą gdzieś w połowie tej mozolnej wędrówki przez łąd zapomnienia, zmierzają w przeciwne strony. Carla, świeżo pod Stróżem, odkrywa w świecie nieznane symetrie, radości pasywne, stany zimnego spokoju, programowalnej pewności działania. Błękit lazuruowy, błyszczący lakier, po przesunięciu wilgotnym palcem wydający niski wizg - tak pomalował Stróż jej świat. Z czasem, po latach, będzie ona słyszeć ten dźwięk nieprzerwanie, w każdym hałasie, w każdej ciszy, uverturę szaleństwa. Ale tego jej teraz Aguerre nie mówi, teraz usiłuje się cieszyć, że wydobyła się ze swojej Spirali, że znowu potrafi myśleć o jutrze i prymitywnych przyjemnościach teraźniejszości. Zresztą szaleństwo nigdy przecież nie nadchodzi, Stróż nie dopuszcza.

Zmierzają w przeciwnych kierunkach, bo Frederick po siedemdziesięciu godzinach tej Rzeźby na ćwierć gwizdka, ponurych proctw o losie Zakonu, przygnębiających raportów ekspertów i po dwudziestu kilobajtach wierszy Łużnego - wyraźnie już czuje, jak opuszcza go wszelka wola, wycieka wraz z lepkim fioletem przez rozszerzone pory, i przechodzi Aguerre w tryb refleksyjny, kontemplacyjny, niemal tęskniąc za prawdziwym letargiem stuprocentowej Rzeźby, zupełnym odcięciem od rzeczywistości... Wszyscy mamy swoje Spirale, autostrady nieuchronnych transformacji, i nie stoją przy zjazdach na nie żadne znaki ostrzegawcze.

- Ja przecież jestem bogata - mówi Carla podczas kolacji w głównej sali jadalnej hacjendy, o zgodnym zmierzchu słońce Błękitu. - Ja mimo wszystko mam prawie dwa giga po Gabrieli, w udziałach i kapitale obrotowym - powtarza i Frederick nie jest już pewien, do kogo ona się zwraca, do niego? Chociaż po odejściu służących nie ma w wielkim, przestronnym pokoju nikogo poza ich dwojgiem. (A i to zależy, po jakich ontologiach licząc).

Ale może mówi do samej siebie.

Aguerre zdobywa się na wysiłek i odpowiada jej.

- Z tych udziałów to ty lepiej zejdziesz. Nie doszły cię jeszcze plotki? Wszyscy przepowiadają krach na giełdach; a skoro tak, nastąpi on niechybnie.

- O? Masz jakieś konkretne dane? Można by tak zagrać na krótką sprzedaż...

Mieli rozmawiać o Sardynii, miał jej przypomnieć ich pierwsze noce - a opowiada o sekretach ekonomii, powtarza analizy Kiera. Płomienie świec rozstawionych na mahoniowym stole drżą, z lekka przestraszone rychłą ciemnością. Stół jest długi, siedzą przy przeciwległych końcach. Frederickowi, który nie zdejmuje dłoni z Wielkich Arkanów, kojarzy się teraz wszystko ze wszystkim, i nagle widzi siebie w środku *Obywatela Kane'a*, biją dzwony, ktoś wyszeptuje fałszywe wspomnienia dzieciństwa, na łożu śmierci, w powiewie białych firan... Wyciemnienie, *cut*.

Potem już nic nie mówi. Rozminęli się z Carłą, jest po drugiej stronie. Czy taki był zamysł Petrcza? - sprowokować Aguerre do ciągłej Rzeźby na tyle długiej, by po prostu przestało mu na czymkolwiek zależeć? Musi to przerwać! Ale - czy istotnie „musi”...? Dlaczego niby? No po co? Tak jest... dobrze.

Carla wyciąga go do ogrodu. Patrz, jaki piękny zachód słońca. Spójrz na tamte kutrypiczne drzewa w rosie wieczornej. Popatrz na chmury nad oceanem. Widzisz tę nieskończoność? *Jiis*, mogłabym tak siedzieć i patrzeć godzinami. Ścisną go za ramię. Aguerre się wyswobadza, przeprasza; ma inne, wysokopriorytetowe połączenie. *Gritz, gritz*.

Inne połączenie nie jest kłamstwem, zadzwoniła *frei Ori*.

Przyjmuje ją w tylnym pięciobocznym kubiku, przy zielonej herbacie. Światło z kosmosu za Ogrodem, bardziej symulowanego niż prawdziwego, nie wystarcza nawet dla obudzenia cieni; kutrypiczna pseudopleśń, przerastająca szkielety ścian, emituje biały blask. Yesada jednak i tak opuszcza wzrok.

- Bardzo się na mnie pogniewasz, *frei*.

Aguerre nawet nie jest zdziwiony.

- Przechodzisz do SR.

Yesada podrywa głowę.

- *Nai, nai*, skąd!

Aguerre wrusza ramionami. Nie patrząc na xenotyczkę, dolewa sobie herbaty, unosi filiżankę do ust. SpaceSculptor dudni mu w skroniach długim tętnem, taktowanym na trzy.

- Nie przejdę do nich - ciągnie powoli Yesada - ale, obawiam się, nie będę już dłużej członkiem *Ordo*. Jutro skończy mi się krystalizować większy Ogród, ze stosownymi

zapasami. Odlecę.

- Dokąd?

- Donikąd. Wrzeźbię się w dolinę 4D, ustawię skrypt, będę sprawdzać co dwadzieścia lat. Mam nadzieję, że nie zmienią kodów Iluzjonu/Open.

- Poczekasz sobie w Rzeźbie dylatacji czasu... - Aguerre prostuje się z westchnieniem na wysokim krześle. - Na co?

- Na technologie odwracające syzygie.

- Ach!

- Przepraszam, Frederick.

Teraz już może mówić mu po imieniu, skoro najprawdopodobniej nigdy więcej się nie zobaczą. Aguerre nie ma wielkich złudzeń, jeśli chodzi o możliwość bezpiecznej degleizacji organizmów o tak rozwiniętym systemie nerwowym. Swego czasu sam przechodził podobną fazę zwątpienia, konsultował się wówczas ze wszystkimi najslynniejszymi specjalistami, godzinami przesiadywał u Łuźnego. Nikt nie dawał mu nadziei. Operacja wymagałaby *de facto* sporządzenia pełnego zapisu umysłu xenotyka i zbudowania mu od nowa mózgu wolnego od gleju - rzecz niewykonalna z powodów zupełnie fundamentalnych. Kognitywistyka ma swoje twierdzenie o nieoznaczoności, prawo dowodzące niemożności redukcji struktury umysłowej do danych numerycznych.

- Bardzo szybko się zniechęciłaś. Nie nazbyt radykalne te decyzje?

- Trzeba się przemóc.

- Przemóc?

- Póki jeszcze... Rozumiesz, *frei*.

- Chyba nie bardzo.

- Boję się, że potem już nie będę chciała, że potem już nie będzie mi zależęć. - Znowu opuszcza wzrok. - Widzę, jak się zmieniacie.

- Uroczo obrażasz.

- Przepraszam.

Aguerre właściwie nie jest ciekawy, ale coś go prowokuje i pyta:

- To przez Horpache'a, prawda?

- Nie wiem. Może. - Bardzo jest zmieszana, chciałaby już zakończyć tę rozmowę, swobodna poza i brak emocji w głosie Aguerre dodatkowo ją konfundują. - Ja nigdy przedtem nie wyrządziłam nikomu takiej krzywdy. Ja w ogóle...

- Byłaś niewinna, aż przyszedł zły król i zwiódł cię szczerą prośbą do grzechu.

- Pójdę już.

- Tak.

Podolbrzym, mgławica, Piątka Mieczy, Wisielec - i wciąż Rydwan.

Jest źle, będzie gorzej. Giełdy zaczynają wariować, wskaźniki gospodarki światowej dołują - i powszechnie łączy się te fakty ze schizmą w OHX. Aguerre wydał oficjalne zarządzenie, aż do odwołania zakazujące xenotykom pojawiania się w Glinie na Ziemi i w Trzech Koloniach.

Spotyka się w parku waszyngtońskim z reprezentantami lobby ekspansjonistycznego, pod fragmentarycznym krypto, w sferze prywatności. Dobrze widzi te spojrzenia przechodniów spoza sfery, reakcje na barwę jego koszuli, emblemat OHX, fioletowe żyły na twarzy. Gdzie przedtem spostrzegał ciekawość, fascynację, odrazę, teraz coraz częściej odczytuje jad bezsilnej złości, dziecięce rozzalenie. Odwraca wówczas spojrzenie. Łuzny jak zwykle otworzył drzwi niechcianym skojarzeniom. Bo to prawda - byliśmy, byliśmy dla nich aniołami.

Lobbyści ciskają gromy na głowę Petra.

- Przesłaliśmy agencjom kopie tych materiałów, które wydobył pan od zdrajców, *frei*. Jeśli oni tak swobodnie hasają po galaktyce, radioteleskop tu, grawimetr tam, tę planetę przerobimy na komputer, tamtą przenicujemy... Co będzie, gdy przestaną stosować się do rezolucji Ligi Suwerenów? W Zakonie trzymał ich pan w garści - ale teraz? W jaki sposób przywołać do porządku xenotyka? Co mamy im przeciwstawić? Oczywiście media panikują do przesady, ale niby co broni jednemu i drugiemu schizmatykowi zaszantażować nas kłopotem Ziemi? I co wtedy? Nie mamy żadnej armii kosmicznej, żadnych *Wunderwaffen* przeciwxenotyckich. Kto nas obroni? Tylko wy, *Ordo Homo Xenogenesis*; tylko ty, *frei*. Jesteś przecież wierny, nie zdradzisz.

Kto wie, co Aguerre odrzekłby, gdyby był w pełni przytomny? Bo czy nie tak właśnie przemawiali gubernatorzy brytyjscy do radzów kupowanych coraz to nowymi godnościami? I czy nie tak czuli się ci sprzedajni wodzowie autochtonów - jak zdrajcy własnego rodzaju? Kiedy nadchodził czas powstania - po której stronie barykady stawali? Czy nie o to w gruncie rzeczy tu chodzi? Żeby dać gwarancję, iż nie zawaham się i podniosę rękę na swych braci i siostry w gleju, bez litości zgniotę buntowników - a gdy mowa o rzeźbie czasoprzestrzeni, nie istnieją półśrodki, jakieś Rzeźby selektywne, mord będzie pewny, jak z Cuomo - czy nie o to pytają? Wojny xenotyckie, *kreist!* Nie takiej gwarancji chcą...?

No więc nie daje im jej - ale też bynajmniej nie dla wysokich racji moralnych, lecz znowu dlatego, że nie bardzo chce mu się wdawać w dłuższe dyskusje, sprzeczać o pryncypia. Powinien pluć na lobbystów gorącą żółcią - obserwuje fale na sztucznym stawie. Wojna, nie

wojna - co go to wszystko obchodzi? Byle wreszcie dolecieć na spotkanie z Ivanem, zakończyć tę absurdalną włóczęgę. Ile wróżb jeszcze...?

Post factum okazuje się, że istotnie znał koordynaty od początku.

18. Zbroja

Jest to najbliższy Wektorowi Ferza punkt spośród Odrzeźbień kosmosów postglejotyckich obliczonych przez glejokrystny komp *frei* Deuce. Znajduje się blisko tydzień świetlny od czerwonego olbrzyma, niemal prostopadle do ekliptyki, na przedłużeniu osi obrotu gwiazdy. Ledwo Frederick zatrzymuje SpaceSculptora na jej orbicie, Ogród rejestruje wezwanie radiowe na dwudziestu jeden centymetrach. Widać Petrc znajduje się tutaj co najmniej od tygodnia; w każdym razie od tygodnia spodziewał się *Primusa*.

Aguerre Rzeźbi ku punktowi, na wszelki wypadek pakując 40 procent mocy w Cage/Armour. Dał znać na Zamek, ale oczywiście zdaje sobie sprawę, że, gdyby przyszło do najgorszego, na wszelką reakcję w Glinie będzie za późno. On jest sam - ale kogo ma z sobą Ivan? Taak, głupio czyni Aguerre. Niemniej - istnieje taki rodzaj głupoty, który przystoi monarchom.

Punkt tak naprawdę nie jest punktem. W bazie Horpache'a zawarto obszerny komentarze do algorytmów Projektu REVUM, łącznie z krytykami założonych warunków brzegowych. W surowych danych REVUM dał bowiem na wyjściu nie ciasne współrzędne z ewentualnymi marginesami błędu na parę kilometrów - lecz właśnie chmury prawdopodobieństwa rozciągające się na kiloparseki. Revumowcy przyjęli wszakże, iż nie będą sobie zaprzętać głowy niemożliwym (nareszcie uznali coś za niemożliwe także dla siebie!) i nałożyli na wyniki dodatkowe filtry, „odcinające” lokacje indeksowane poniżej pewnego progu prawdopodobieństwa. Pozostało 3479 obszarów „wystających” ponad arbitralnie wybraną poziomice 4D. Co oczywiście oznacza także, iż istnieje sumarycznie bardzo wysoka szansa, że rzeczone drzwi do Odrzeźbionych kosmosów znajdują się poza przestrzeniami sprawdzanymi przez Revumowców. W rzeczy samej Klinger policzył tę szansę i proporcja prezentuje się jak jeden do siedmiu na niekorzyść poszukujących. Wszelako przy tak wielkiej wygranej - Aguerre czyta między wierszami opracowań Horpache'a - nie można sobie pozwolić na zaniechanie.

Konstrukt, który Frederick zastaje po przybyciu na miejsce, jasno dowodzi, iż SR nie zamierza odpuścić i pójść w przedsięwzięciu na łatwiznę. Jest to coś na kształt niepełnej

sferycznej klatki, obracającej się wzdłuż osi równoległej do osi czerwonego olbrzyma, z częstotliwością półtorej obrotu na godzinę. Najważniejsze są jednak rozmiary: średnica konstruktury przekracza siedemdziesiąt kilometrów. Klatka zamyka w sobie cały obszar wycięty tu z obliczeń Projektu przez kryteria Horpache'a.

Kiedy Aguerre zbliża do niej swój Ogród i zrównuje się z nią prędkością, gołym okiem staje się dlań widoczna struktura szkieletu sfery. Do złudzenia przypomina ona strukturę „stwardniałych” radioteleskopów dyspersyjnych: ultracienka firana z semiorganicznego żywokrystu, z licznymi nieregularnymi zgrubieniami, fraktalowymi naroślami - wszystko to w skali hektarów. Gwiazdy widać przez wielkie dziury w firanach, prześwituje przez nie owo nieskończone bogate tło kosmosu. Wyhodowane instrumentarium Ogrodu pokazuje Frederickowi na płytkim Iluzjonie, że w istocie także te dziury są zarośnięte dwu-, trzymolekułowymi warstwami żywokrystycznych nerwowodów.

Po zewnętrznej stronie narośli gładką powierzchnię sfery wybrzuszą jakieś dodatkowe instalacje. Sygnał z kodami Petrcy płynie z tej najobfitszej, zapewne jest to Ogród klatki - i tam zmierza Aguerre.

Petrca otwiera szerokie łącze radiowe do równoległej transmisji jednorazowych szyfrów dla bezpiecznej komunikacji przez Iluzjon. Aguerre akceptuje i wita Ivana w przednim górnym czwórściennym kubiku. *Primus Societas Rosa* jest cały w bieli - luźna, niedopięta koszula, spodnie o szerokich nogawkach, białe mokasyny - tylko jaskrawoczerwony haft róży na sercu kała jednolitą barwę odzienia. Zmarszczki układają się wokół fioletowych oczu, gdy uśmiecha się szeroko do Fredericka.

- Zapraszam - mówi, obejmując szybkim gestem ciemną konstrukcję, do której powoli zbliża się Ogród Aguerre. - Czekałem na ciebie.

Frederick obserwuje schizmatyka w milczeniu, wypatrując nowych manifestacji chorobliwego rozkojarzenia Petrcy, dowodów na poddanie się przezeń glejintuicji. Ale to przecież tylko Iluzjon, Ivan może się edytować przez filtry behawioru, obraz poza Gliną niczego nie dowodzi. Z drugiej strony - na Błękanie Ivan też był tylko iluzyjny.

Zewnętrzny żywokryst Ogrodu Aguerre dotyka żywokrystu Ogrodu Sfery. Wcześniej Frederick przeformatował swojego Cage/Armoura, żeby nie odkształcić konstrukcji gwałtownymi zapadliskami grawitacyjnymi. Ogrody się zrastają, ortowirtualny Petrca prowadzi Fredericka ciemnym tunelem. Aguerre musiał wyłączyć makro sztucznego pionu - płynie na smyczy płytkiego węzła grawitacyjnego, spadając, spadając, spadając wprost na ducha schizmatyka.

I teraz przeżywa Aguerre prawdziwy sztorm złych przeczuć, atakują go fatalistyczne

skojarzenia w każdej możliwej formie, począwszy od wspomnień bajek dziecińczych. Oto samotny bohater w swej naiwności przybywa bezbronny do wieży czarnoksiężnika. Król zawierzył wiarołomcy! Zaraz rozlegnie się śmiech smoka, chichot wiedźmy. Oto zstępuje w ciemności lochu nekromanty. Wyjdzie jako zombie. *Et cetera.*

A Petrc faktycznie mógłby coś takiego uczynić - jeśli uprzednio na tym swoim kompie FTL złamał krypto wszczepki Fredericka, rzecz nie sprawi mu nawet większych trudności. Jedna z owych narad, jakie Aguerre odbywał w Iluzjonie podczas lotu, dotyczyła właśnie tej kwestii.

Radził, półprzytomny, z hesjøgiem, Szarskim i Phavištavrdatą Śudra, doktorem nanoinżynierii militarnej, podobnie jak pozostała dwójka - bezpieczeństwa na przysiędze wasalnej OHX.

- Istnieją tu trzy sposoby inwazji - wyjaśniał hesjøg. - Po pierwsze: ten, na który podatni są wszyscy ze wszczepką, a zwłaszcza ze Stróżem - przez łącza zeroczasowe, czyli, skrótowo mówiąc, Iluzjon. Po drugie: przez wejście radiowe. Po trzecie: przez intruzję fizyczną. Dwie ostatnie dotyczą tylko sytuacji zbliżenia w Glinie, ale pan przewiduje takowe, *frei.*

- Co do inwazji przez Iluzjon. To jest właśnie to „opętanie”, o którym grzmią media w związku z glejokrystem. Jeśli miałby łamać czyjeś kody, to właśnie twoje; zakładamy, że już je złamał.

- Jeśli tak - przerwał Szarskiemu prefekt - to po co ciągnie go na rozmowę w cztery oczy w Glinie?

- Nie mam pojęcia - wzruszył ramionami Immanuel - lecz niezdolność do wyobrażenia sobie jego motywów nie zwalnia nas z obowiązku rozpatrzenia wariantu. Do tej pory domyślaliśmy się ich motywów jako ostatni. Zatem... ma kody. Co teraz? Albo odcinamy cię całkowicie od Iluzjonu -

- Niemożliwe.

- Wiem. Albo wyłączamy funkcje edytujące i nakładamy na nie pieczęć jakiegoś twojego subtelny mindprintu. Co to oznacza w praktyce: że wszystkie funkcje reprogramujące Stróża oraz część jego funkcji odpowiedzialnych za równowagę psychofizjologiczną - te, które działają na podstawie danych pochodzących z monitoringu zewnętrznego - będą mogły zostać aktywowane dopiero po każdorazowej twojej osobistej autoryzacji. Oczywiście Ivan nadal będzie władny opętać cię niebezpośrednio: fałszując Iluzjon, nakładając własne konstrukty ortowirtualne. Ale gdy tylko spostrzeżesz, że coś jest nie tak, możesz zresetować wszczepkę, bo to właśnie jedna z funkcji zastrzeżonych.

- A ten program diagnostyczny? - przypomniał sobie Aguerre.

- Diagnostyk, o którym mówiliśmy, może wykryć jedynie manipulacje już dokonane, i to gdy działa z operatora zewnętrznego. Jako program strażniczy czasu rzeczywistego jest wart tyle, co każdy inny *watchdog* wszczepki, który tak samo może zostać reedytowany, skoro już hacker wejdzie ci na mózg. Prawdę mówiąc, nie jesteśmy pewni tego diagnozera nawet przy tak zawężonym działaniu. Posłałem go *frei* Nastazji, ale...

- Do rzeczy - warknął hesjøg. - Co z wejściem radiowym?

- To jest inwazja zasadniczo identyczna z omawianą wcześniej, tyle że koń trojański zostaje tu wprowadzony na falach elektromagnetycznych; lub w jakimkolwiek innym strumieniu danych, na których nośnik otwarty jest menadżer wszczepki. Jeśli tak sobie onegdaj ustawiłeś opcje menadżera, Petrc może cię zhackować nawet kadencją głosu, choreografią ruchów swego ciała, częstotliwością mrugnięć, statystycznym rozkładem danej głoski w wypowiedzianych słowach. Więc rada jest następująca: zamknij pod mindprintem wszystkie wejścia prócz jednego - powiedzmy: okna zimnego wodoru - a i to zarezerwuj dla konkretnego użytku. Żadnych furtek z awaryjnymi hasłami, kodami alarmowymi, interpreterami szyfrów wizualnych i tym podobnym szajsem.

- Po trzecie.

- Po trzecie - westchnął Phavištavrdata, prostując się w fotelu i składając dłonie na blacie stołu - inwazja fizyczna. Jest możliwa w bezpośredniej bliskości w Glinie. „Bezpośrednia bliskość” oznacza tu możliwość dotarcia modułów wielkocząsteczkowych do pana organizmu, *frei*, w czasie kilku-kilkunastu sekund. Podstawy wykladałem wam przed atakiem na Horpache'a. Wtedy trochę improwizowaliśmy, to nie jest dziedzina o bogatej historii zastosowań praktycznych. Kryterium pozostaje jedno: stworzenie nowych, zwierzchnich struktur nakorteksowych. Z Horpache'em, wbrew pozorom, poszliśmy miękko. Wersja hard daje na wyjściu trupa: skanujemy wszczepkę i mózg bez oglądania się na skutki dla organizmu. Jeśli Petrc pójdzie tą ścieżką, nie będzie żadnych opóźnień, żadnych ostrzeżeń, tych statystycznych czterech sekund na transmisję żywokrystu. Nic panu nie da, *frei*, najściślejszy nawet monitoring, najszybsze programy strażnicze, nie zdąży pan zareagować. W pierwszej fali uderzy wysokoenergetyczne nano analityczne, ono rozłoży pana skórę, rozkruszy kość czaszki, otworzy mózg - trepanacja w milisekundy. Nie da się obronić. Przy otwartym szturmie na poziomie nano nawet kutrypiczny Kameleon nie miałby szans. Można tylko próbować nie dopuścić do kontaktu. Niexenotykowi powiedziałbym zatem: nie wchodzi w zasięg jego wzroku. Dla xenotyków natomiast zaprojektowałem makro na NavigatoraXG... Pan mnie słucha, *frei*?

- Co...? A, tak. Co to za makro?

Nazywa się Hermeticum i jest najbardziej skomplikowaną spośród wszystkich makrodefinicji Frederickowego Navigatora. Wzory jej przekształceń 4D są tak rozbudowane, że program zajmuje ponad dwanaście giga. Aguerre odpala Hermeticum, zanim jeszcze zrastają się żywokrysty Ogrodów. Pozornie nie ma żadnych widocznych efektów operacji, ale tylko dlatego, że automatycznie włączyła się także nakładka w Iluzjonie, niwelująca skutki Rzeźby. Więc kiedy Aguerre spada ciasnym tunelem w głąb sekretnego Ogrodu, widzi powleczone cieniem ściany tak samo wyraźnie jak sylwetkę iluzyjnego Petrcza w przodzie - chociaż światło odbite od tych ścian dochodzi do Aguerre zaledwie w drobnym ułamku i to po mocno zakrzywionych torach. Hermeticum szatkuje dookolną czasoprzestrzeń. Żeby się uchronić przed atakiem nano, należy całkowicie odgrodzić się od źródeł potencjalnych zagrożeń. Całkowicie - to znaczy albo filtrami przyangstremowymi, albo szczelną barierą z materiału o supermocnych wiązaniach molekularnych. Xenotycy współczesnych generacji nie są zdolni do Rzeźby o rozdzielczości angstromowej. Gdyby postawić Cage/Armoura tak twardego, by *n i c* nie mogło przezeń przeniknąć, byłaby to *de facto* mini-Odrzeźba: xenotyki traciłyby wszelki kontakt z zewnątrz, zamykałyby się zaiste hermetycznie dla całego kosmosu. Z pewnością byłby bezpieczny - bezpieczeństwem trupa. Hermeticum nie jest zatem hermetyczne: pozostaje otwarte na światło, powietrze i dźwięki z zewnątrz, przynajmniej częściowo - przestrzeń poszatkowana jest na tunele o średnicy o wiele rzędów większej od angstroma. Na czym więc polega patent Phavištavrdaty? Otóż te tunele skręcają się wokół xenotyka w gęsty kokon, tysiąc-, milion-, miliardkrotnie, tak że cokolwiek - foton czy nanobot - w kokon uderza, musi przebyć drogę o długości blisko godziny świetlnej, zanim dotrze do ciała bezsennego. Zważywszy, iż front najgwałtowniejszego nanostormu nie osiągnie nawet 0.01 *c*, daje to spory margines bezpieczeństwa. Zarazem jednak skazuje delikwenta na ślepotę i głuchotę. Temu pierwszemu Phavištavrdata zaradził, wprowadzając do algorytmu bardzo silne „skręty kiszek” kokonu: taktowane na 12 Hz przesunięcia tuneli o *n* warstw ku zewnątrz, każdorazowo poprzedzane pulsacją do 400 000g. W ten sposób informacja o otoczeniu dociera do Fredericka z opóźnieniem zaledwie sekundowym - choć tak okrutnie sperwertowana, że trzeba skomplikowanych reinterpretacji na wszczepce, odkluczonej wspomnieniem zapachu wypalonych słońcem Sardynii włosów Carli Fiore, by Aguerre widział teraz wokół siebie, w płytkiej nakładce iluzyjnej, te półokrągłe ściany o chropowatej fakturze cienia, kształt ujścia korytarza w figurze gwiazdnego blasku, i wreszcie - otwierającą się przed nim wielką komorę Ogrodu Sfery. Z jednej strony, tej wewnętrznej, wyhodowaną z przezroczystego żywokrystu, tak że ukośna żyła galaktyki iluminuje całe

pomieszczenie, cały las kutrypicznych nieważkościowców (teraz ciemnogrnatowych), całe rozplaszczone na ścianie jezioro (teraz srebrne), i Ivana Petrcza SR, już z Gliny, witającego Aguerre pośrodku Ogrodu/ogrodu, z szeroko rozłożonymi ramionami (teraz anielsko białego). Ivan coś mówi, ale poza Iluzjonem, więc Aguerre nie słyszy. Spada, spada, spada ku schizmatykowi.

I mimo swej zbroi, mimo wielokrotnych zapewnień, obliczeń, wróżb - boi się *Primus OHX* (teraz przytomny), iż nie opuści tego Ogrodu sobą; że skończy jak Horpache albo i jeszcze gorzej. Prawie oczekuje tego, a przynajmniej takiej próby ze strony Petrcza. *M a n a d z i e j ę*. Czy nie jest prawdopodobne, że owi scjentaugurowie Petrcza zdążyli udoskonalić na własną rękę Gabrielową technologię indukcji szumów w wybranych komórkach *X. procaryota gleiophyta* i w sekundę po rozkazie Petrcza EEG Aguerre wypłaszczy się do zera? Tak byłoby... sprawiedliwie. Czy nie dlatego zgodził się Aguerre na tę szaloną propozycję, ustronne *tête-à-tête* ze zdrajcą? Ivan wyciąga dłoń, fioletowe oczy lśnią łzawo w świetle gwiazd. Królowie sami czynią nad sobą sąd.

19. Straszliwi aniołowie fioletu

- Zaczęliśmy oczywiście od lokacji najbliższych Punktowi; teraz już sięgamy dość głęboko w galaktykę. Ten tutaj obszar sprawdziliśmy w pierwszym rzucie.

- Załatwiacie je po kolei?

- Już nie. Obudowaliśmy wszystkie Ekstrema Horpache'a, pracujemy nad nimi równolegle. To już tylko kwestia czasu.

- Akurat. Siedem ósmych, że pudło.

- Ach, ale ja miałem sen, że jednak nie.

- *C o m i a ł e ś?*

- Sen, mój drogi, sen. Pokazałbym ci go, ale światło dotrze tu dopiero za kilka tysięcy lat. A tam, o, w gwiazdozbiórze Raka, tam wybuchną moje orgazmy i jedna rozległa depresja, bardzo piękna.

Gwiazdozbiór Raka kryje się już pod „sufitem”, obroty Sfery wypychają Mleczną Drogę poza okno Ogrodu.

Aguerre w odruchowym skurczu zaciska mocniej tylny węzeł grawitacyjny i odpływa dalej od Petrcza.

Ivan ogląda się nań, ironicznie uśmiechnięty, cień od gwiazd przecina mu twarz na

pół, maska gładkiego papieru i ciemnego aksamitu. A na papierze - fioletowy kleks oczodołu; a w aksamicie - błysk zęba.

- Chciałbym cię teraz zobaczyć w Glinie - śmieje się. (Widzi oczywiście tylko fantom iluzyjny, zbroja Fredericka rozszatkowuje przecież także obraz samego zamkniętego w niej xenotyka. Xenotyk w zbroi Hermeticum widziany z zewnątrz to drżący kłęb monochromu).

- Cóż za strach zabobonny!

- Ty naprawdę wyprułeś sobie Stróża!

- A bo to trzeba od razu go wypruć...? Sądzisz, że za czyj kod zabrałem się w pierwszej kolejności? Za swój. Za kody Zakonu z mojej wszczepki. Zdjąłem pieczęć ze Stróża, poleciałem w galaktykę, wyspałem się porządnie...

- Bo tak ci wróżba pokazała, hę?

- Bo tak mi wróżba. Masz coś przeciwko wróżbom? A jak tu trafiłeś?

- Żebym miał jasność: przeprogramowałeś Stróża, rzuciłeś sobie na wszczepkę dopalacz glejintuicji, włamujesz się ludziom do głów, knujesz spisek, mordujesz szlachcica, wywołujesz schizmę, teraz szukasz ukrytych kosmosów... Jakbyś sam siebie nazwał?

- *Übermensch*?

- No nie wierzę! - Aguerre/Iluzjon krzywi się, zde gustowany. - Ty przecież byłeś inteligentny człowiek! Co się stało, że dopadł cię tak prymitywny mem?

- Prymitywny mem... Mhm. Pamiętasz motto *Snów Łuźnego*? *Uni dedit quinque talenta, alii autem duo, alii vero unum*. Nie rozdano talentów sprawiedliwie. Ludzie nie są sobie równi. Nie mówię teraz o jakichś względach moralnych - lecz o potędze, zdolnościach, potencjale. Nie rodzą się równi i nie są równi. Dotąd różnice nie były na tyle duże, by mówić aż o nadludziach, przyznaję, tylko roili sobie bezpodstawnie, jedni czy drudzy zakompleksieni rasiści. Ale my? Czy my nie mamy podstaw? Powiedz, Fred. Niech cię nie zaślepi historia słowa. Sam podaj dowolną definicję nadczołowieka, a my się w niej zmieścimy. To nie megalomania; to fakt.

- A niechby. Wciąż tylko słowo.

- Wiem. Ale sam o nie spytałeś. No dobra, nie po to spotkaliśmy się w Glinie, żeby kłócić się o język. Teraz mogę ci złożyć pewne propozycje... Kiedy już do nich wejdziemy - do postglejotyków, wiesz, o kim mówię, nie rób takiej miny - kiedy już wejdziemy, niech to pozostanie między nami. To jest sprawa xenotyków, naszych kochanych *Homines sapientes* w to nie mieszajmy, tylko się biedacy przerażą śmiertelnie. Tak to powinno się było odbyć: zebrałaby się Rada, rozważylibyśmy rzecz w naszym gronie, Zakon by się wszystkim zajął... Nikt więcej nam nie jest potrzebny. Zresztą nawet nie dostaną się na miejsce, jeśli ich tam

sami nie Przerzeźbimy. To wewnętrzna sprawa xenotyków. Wolałbym poprowadzić ku temu cały Zakon, anizeli powodować schizmę; skoro już jednak... Pomyśl nad tym, Fred: dwa, dwa i pół roku temu ostatecznie odwróciły się gradienty ekonomii i teraz to my jesteśmy im bardziej potrzebni niż oni nam. Niezależnie od różnic politycznych dzielących dziś SR i OHX, niezależnie od osobistych pretensji - ty i ja mamy o wiele więcej ze sobą wspólnego, niż ty masz z jakimś nauczycielem z Kansas czy chłopem z Chin. Co więcej: ty i ja bliżsi jesteśmy już owym postglejotykom, w jakiegokolwiek formie się objawia, anizeli dowolnym psychozoikom bezglejowym. Do czego ja cię tutaj próbuję namówić - do wyzwolenia się z mentalności wasalnej. To my jesteśmy suwerenami. Powtórz. T o m y j e s t e ś m y s u w e r e n a m i ! - Ale zamiast marszczyć brwi w krzyku, znowu się schizmatyk uśmiecha, znowu kryje twarz w cieniu. Tu po raz pierwszy objawia się stampa Petrea: Ivan znika i pojawia się kilka metrów po lewej, zwrócony twarzą do przesuniętego o parę stopni gwiazdoskłonu. Uskok czasowy miał wielkość kilkudziesięciu sekund - ale Petrc mówi już o czymś zupełnie innym: - ...tak małą „szczelinę” w tak wielkim obszarze? Ten konstrukt - obejmuje Sferę szerokim gestem - to jeden wielki detektor. Najpierw jest tylko bierny nasłuch i bilans energetyczny: czy aby nie bije tu jakieś ukryte źródło - to mogłoby oznaczać właśnie ujście energii z zewnętrznego układu. Dla wszystkich cząstek; najdłużej oczywiście z neutronami. Bilans się zgadza, więc zaczynamy grawimetrię i laserunek. Jeśli mapa grawitacyjna nie pokazuje żadnych anomalii, startujemy z ostrym ostrzałem. Precyzja musi tu być przyplanckowa, po cząstkach wirtualnych, bo trzeba przykryć całe wnętrze Sfery, z każdego kierunku. Impuls po impulsie - strzelamy i rejestrujemy po drugiej stronie. Jeśli znajduje się tu wejście do Odrzeźbionego kosmosu, któryś bilans będzie ujemny. To oczywiście też zabiera sporo czasu. W sumie pełny cykl, w zależności od rozmiarów Ekstremum, zamyka się w stu do dwustu trzydziestu dniach. Więc za pół roku najdalej -

- *Kreist*, Ivan! Nie pieprz mi tu o technikaliach. Znajdujemy się u progu wojny. Myślisz, że o czym chciałem z tobą gadać? Musimy to opanować, zanim pójdzie na żywioł.

- Wojny...?

- Do reszty już straciłeś kontakt z rzeczywistością? Jesteś ucieleśnionym strachem połowy tych twoich *Untermenschów*. Druga połowa patrzy na wykres Dow Jones i też nie bardzo cię kocha. Czy kasowanie Stróży i sprzęgi glejintuicyjne stanowią w *Societas* standard? Niech to tylko przecieknie, a dopiero się przekonamy, co znaczy „ksenofobia”! Przecież nie o to ci chodzi, Ivan! No pomyśl chwilę! A baw się we wróżby, jeśli chcesz, proszę bardzo - ale nie wywołuj przy tym światowego kryzysu! Ustalimy wspólnie jakąś strategię i -

Petrz odpływa, w przenośni i dosłownie. Najwyraźniej za bardzo zapatrzył się w otwarty kosmos, skojarzenia znowu mu poszły długim łańcuchem - i teraz manifestuje się to niespójnością jego behavioru, opóźnieniem reakcji. Kiedy w końcu przerywa Frederickowi, mówi powoli, jakby z wahaniem - co jest do niego niepodobne - biorąc przy tym wdech w nieodpowiednich miejscach. Nie zachowuje też równowagi między siłą poszczególnych węzłów swojej sieci grawitacyjnej i w efekcie obraca się z wolna na wszystkich trzech osiach, zupełnie zgubiwszy orientację względem Aguerre.

- Straciłem kontakt z rzeczywistością, powiadasz. Kryzys, powiadasz. Strategia... Tylko jedno pytanie, Fred: jakie to wszystko będzie mieć znaczenie, kiedy otworzymy ich kosmos?

Aguerre wzdycha bezsilnie.

- A zatem to religia. Nic, co powiem, cię nie przekona.

- Nie wiem. Co powiesz?

Aguerre/Glina sięga do kieszeni kaftana i wyjmuje Talię Łuźnego. Tasuje z namysłem. Schizmatyk obraca się przed nim niczym lodowy księżyc, biel jego odzienia prawie oślepiająca, gdy niepokryta cieniem. W niedostatku światła wszczepka automatycznie podciągnęła kontrast i otaczający Fredericka Ogród/ogród Sfery obudził się do życia. Sztuczna grawitacja wirującej konstrukcji organizuje topografię parku. Dno doliny wypełnia lśniący owal jeziora, brzegi i stoki zarasta wielokolorowa gęstwa kutrypu. Tylko rośliny, jeśli Aguerre potrafi to z tej odległości ocenić (komora ma ponad sto metrów średnicy). Ale to wszystko żyje, teraz widać, powierzchnię wody przebijają wysokie łądygi trzciny-nietrzcin, zwieszają się nad nią włochate wici z karłowatych drzew, walczą ze sobą na zboczach czarnolistne palmy... O sekundę za długo Aguerre spogląda w tę dzicz i Arkana wymykają się palcom. Chwyta je szybko drugą ręką, spogląda: Świat.

- Nic już nie będę mówił. Zrobisz, co musisz. Przekopiuje na projekcję iluzyjną swój obraz z Gliny, z kartami w dłoniach. Petrz obraca się plecami do wnętrza Sfery i kosmosu za nią. Aguerre ostentacyjnie rozsuwa talię.

- I ja zrobię, co... zrobię.

- Ach, tak.

- Tak.

- Kiedyś sięgnęłoby się w tym momencie po Biblię, otworzyłbym na ślepo, wskazał wers...

- Ale dziś nie wierzymy w takie rzeczy, prawda? Nie potrzebujesz Biblii. - Tasuje powoli, nie opuszczając wzroku na karty. - Patrz na mnie.

- *Frei.*

- *Frei.*

W gruncie rzeczy - uświadamia sobie Aguerre pomiędzy jednym przełożeniem talii a drugim - ja wiedziałem od początku, tak jak od początku znałem koordynaty spotkania; wiedziałem, że tak się skończy.

Karta. Nie patrzy.

Ivan - twarz w cieniu, oczy demona niewidoczne - podkurczył nogi, przekrzywił głowę, rękoma wykonuje nerwowe, niepełne, pozbawione celu i sensu ruchy. Nie odrywa spojrzenia od Aguerre. Który również mierzy go nieruchomym wzrokiem.

Karta. Nie patrzy.

Karta. Nie patrzy.

Za Petrcem w mgnieniu oka przesuwają się gwiazdoskłon - znowu za Sferą płonie ukośna rzeka Mlecznej Drogi. Pod Aguerre obrócił się ogród, srebrne jezioro wspięło mu się nad głowę. Kolejne drgnięcie stamperki schizmatyka spowodowało wyraźnie dłuższy uskok.

Karta. Ivan wciska dłoń do ust, krztusi się, raptownie obróciwszy głowę ku oknu, w oczach lśnią mu łzy. Aguerre nie patrzy.

Karta. Nie patrzy.

Karta. - *Kreist...* - Nie patrzy.

Karta. Nie patrzy.

Karta. Patrzy. Odwrócone Męstwo.

Jak właściwie pachniały jej włosy...?

Żaden z nich nie będzie pierwszy, zsynchronizowali się tymczasem perfekcyjnie. Ułamek sekundy po odpaleniu makr - przepisów na bliźniacze, a odwrotnie zwrócone destrukcyjne - po Sferze i przyrosłych do niej Ogrodach istnieje zaledwie nikły ślad, rzadka chmura rozkruszonego przez gwałtowne pływy grawitacyjne żywokrystu. A. i ten żywokryst pędzi już w pokręcone gardziele 4D, w jakie obróciły okolicę interferujące ze sobą Rzeźby Aguerre i Petrcza. Skrypty militarne ich wszczepek taktują bój na tysięczne części sekund. Pięć, siedem, dwanaście - xenotycy są już miliony kilometrów od siebie i coraz dalej, krótkie, szybkie fale FTL niosą ich precz od błyskawicznie powiększającego się obszaru szaleństwa czasoprzestrzeni. Obszar się powiększa, ponieważ obaj ścigają się agresywnymi Rzeźbami, i to właśnie po omacku, bo - pozbawieni całego instrumentarium swych Ogrodów, nie mogą rozstawić po drodze najprymitywniejszych choćby grawimetrów - bardziej zgadują nawzajem swoje położenie, własnego też nie będąc pewnym. Toteż makra ślepej destrukcji - Squeezer, Pandemonium, InGod'sEye - obejmują coraz większe fragmenty układu, w drugiej sekundzie

sięgają samego dna doliny 4D i czerwony olbrzym zaczyna tracić kształt i stabilność.

Teraz już bój idzie na czystą moc oktomorficzną i spryt AI wszचेpek, które tak balansują siły zarządzanych Rzeźb ofensywnych i defensywnych, by zniszczyć przeciwnika, nie odsłaniając przy tym xenotyka-nosiciela. Na nic tu już Aguerre nie ma wpływu, o sukcesie/porażce przeważą nagotowane na tę okazję przez fizyków OHX programy; i nigdy nie będzie wiadomo, co konkretnie przeważało. Pełnoskalowy pojedynek xenotyków rozgrywa się w oparciu o reguły walki *fire&forget*, nikt tu nie ujrzy zgonu pokonanego, nie odtworzy pełnego przebiegu starcia. Po prostu: nagle urywa się Rzeźba, z jednej strony, nic nie napiera na Cage/Armour ocalałego, prostuje się storturowana czasoprzestrzeń. Zwyciężył. To znaczy: przetrwał.

Unosi się w sejfie atmosferycznym ClosedCircuit2, z małym, karminowym okiem olbrzyma nad głową, wirując wolno wokół osi pionowej, zdeorientowany. Spogląda na ścisną w dłoni kartę: bestia czterogłowa wgryza się w ramię wiotkiej dziewczyny-xenotyka, której drugie ramię wznosi się do ciosu, błyszczy pod niepełnym księżycem krzywe ostrze jatagana, tryska fiolet spod kłów potwora, przerażone oczy wpatrują się w Aguerre.

Składa i chowa talię do kieszeni.

Skrypt jeszcze przez chwilę kontynuuje dewastację odległego fragmentu kosmosu. Wreszcie ogłasza zakończenie procedury, pobór mocy spada do 10 procent maxoct. i z umysłu Fredericka schodzi mgła. Wypuszcza powietrze z płuc.

Na Zamku przywołuje sekretarza Rady.

- Petre prawdopodobnie nie żyje. Podaję koordynaty. Ktoś powinien się przelecieć i zmapować jego Śmierć. Poślij komunikat do inkwizytora, niech powiadamia przesłuchiwanym. Ale na razie żadnych oficjalnych oświadczeń dla mediów. Wyznacz termin zwołania Rady po zakończeniu wszystkich przesłuchań przez *frei* von Ravenstück.

- Słucham i wykonuję - chyli głowę sekretarz. - Przybył *frei* Miaso. Czeka także doktor Szarski, ponoć „sprawa niecierpiąca zwłoki”.

- Za chwilę.

Wychodzi na górny taras Zamku *Ordo*. Wieje tu porywisty wiatr, łopot wielkich sztandarów prawie ogłusza *Primusa*. Wdycha zimne powietrze, zatapiając się w obrazie kolorowego Aguerre City. Oddech. Oddech. Oddech. Potem wraca do ciała.

Odpala Hornpipe'a, bardzo silnego, rozciągniętego na setki tysięcy kilometrów, a zwróconego paszczą ku gwiazdzie. Rzeźba zaczyna intensywne zasysanie materii, budując jej magazyn w zapętleniu grawitacyjnym, kilkadziesiąt stóp od xenotyka, za ścianą twardego Cage'a. Jednocześnie Frederick uruchamia SpaceSculptora i bierze kurs na Punkt Ferza. Na

łagodnej fali FTL trałuje próżnię. A że trudno o próżnię naprawdę pustą, zwłaszcza w pobliżu gwiazd, rychło w młynie Hornpipe'a poczynają się obracać smugi wodoru, pyłu kosmicznego, także mikrometeorów, już widocznych gołym okiem. Po minucie wpada pierwszy większy głaz, ziemniakowata bryła wielkości piłki. Aguerre unosi dłoń z Pierścieniem Przysięgi *Primusa Ordo Homo Xenogenesis*, przekręca kamień w oprawie do pozycji trzy czwarte i podważa go paznokciem kciuka. Ametyst odskakuje z cichym sykiem, z pierścienia wydobywa się obłoczek ledwo widocznej mgiełki. Przeciwnie zwrócony mini-Hornpipe wciąga ją i wstrzykuje - przebijając ClosedCircuit2 i Cage'a - w wir materii.

Stróż (tak, właśnie tak pachniały) zaczyna głębokie profilowanie fizjologiczne, by sprowadzić Aguerre na najniższe możliwe krzywe zapotrzebowania energetycznego. Frederick idzie z otwartymi oczyma pod powierzchnię świadomości, czeka go letarg bodaj jeszcze głębszy niż przy pełnej Rzeźbie. No cóż, myśli leniwie, coraz sprawniej mi to idzie - mordowanie xenotyków. I z coraz to bliższych powodów. Wróżba, *meigaud!* Przeczynałem, że skończy się wróżba: ona jedna jeszcze do niego trafiała. Ale czy przecynałem także, na co ta wróżba wskaże? Czyż bowiem wszystko nie zmierzało ku temu - pojedynkowi królów? Te skojarzenia mnie opętały, nie potrafię się wydobyć z raz ustalonego wzorca, Witalij postawił kropkę nad i. Tak to się zawsze zaczyna: od jakiegoś nic nieznaczącego porównania, urokliwej analogii, która odtąd regularnie nawiedza twoje myśli. I potem już rozumiesz w formach do niej symetrycznych, kolejne kroki stają się coraz bardziej nieuniknione... Na każdego czeka jego Spirala. W którym momencie Ivan przekroczył granicę? Czy w ogóle istnieje takowa? Znałem go przecież, i to - wydaje mi się - dosyć dobrze. Był to z gruntu szczerzy facet, nie miał natury spiskowca, naprawdę chciał dobrze, nawet tutaj tak mi argumentował i apelował do poczucia solidarności. Ale kto powiedział, że Spirala nie może się zaczynać od altruizmu czy nawet od miłosierdzia, miłości...? Niemal identycznie ja skusiłem Yesadę - tylko że ona się ze Spirali wyrwała. Petrc zaś miał wiarę w siebie. I słusznie zresztą, bo nie mylił się w kwestii glejintuicji, potęgi xenotyków, może również Projektu REVUM. Co tylko wyszło mu na złe, ponieważ utwierdzało w dokonywanych wyborach - i tak zstępował, krok za koniecznym krokiem, wprost w schematy konspiracji, mordy, schizmy, zdrad najbliższych oraz dobrowolnego opętania; i nie było błędu, nie było błędu! Trzeba by wyjść poza siebie. Albo zawierzyć ślepo jakiemuś autorytetowi, i to takiemu, któregośmy wcześniej nie wybrali sobie sami. Albo randomizować decyzje - ale i to ostrożnie, bo gdy jest się xenotykiem... Mam nadzieję, że jednak nie taki będzie standard w SR: patroszenie Stróży i automatyczne glejwróżby. A jeśli tak? Widać, że śmierć Petrea niczego w istocie nie zmieniła, nie odwróciła się trendy, nie odmieni polityka *Societas Rosa*.

Jeśli już, to tylko bardziej się zdoktrynalizuje. Na co zatem nam to było? Ot, uczyniliśmy zadość... wróżbie.

Czerwony olbrzym już nie jest czerwony. Frederick mija go w drodze ku Punktowi Ferza i wchodzi na moment pod horyzont zdarzeń otwarty destabilizacją gwiazdy. Wtedy widzi: zaczęła odrzucać zewnętrzne powłoki, rośnie jej blask, zmienia się barwa. W odpowiedzi Cage/Armour twardnieje, odwijając czasoprzestrzeń z tamtej strony. Aguerre odwraca sennie wzrok. Ogród na razie składa się wyłącznie ze szkieletu jednej płaszczyzny, kilkanaście metrów kwadratowych, wirującej u podstawy Hornpipe'a - ale szybko rośnie. Frederick postrzega wszystko poprzez różowy dym płytkich skojarzeń, migotanie gwiazd przesłanianych i odsłanianych przez szkielet przywodzi mu na myśl ataki Petrcowej stampy - czy gdzieś tam w tle nie migocze Śmierć Petrea, kosmiczny labirynt czasu? Być może w którymś bardziej skrzyżnym jego odgałęzieniu Ivan wciąż żyje, a jeszcze dalej - żyje także Cuomo, Gabriel, wszyscy xenotocy, przeszli i przyszli, zjednoczeni w Śmierci; tam znajduje się niebo bezsennych (głowa ciężka od gorącej krwi nie wytrzymuje już ciśnienia Frederickowych majaków), gdzie, jak w owym patetycznym wierszu Łuźnego:

*po łakach żywego kamienia
wśród tańczących rzeźb
strasliwi aniołowie fioletu*

20. Świt

- Świta, popatrz. - Lady Amiel wychyla się przez balustradę balkonu, Wielki Atraktor Aguerre City wybucha jej w twarz milionem długich, ostrych cieni. - Mówiłeś, że nigdy -

- Bo tak zgraliśmy tempo wędrówki miasta z obrotami planety, aby pozostawało zawsze przed terminatorem, za horyzontem dnia.

Carla ogląda się na Fredericka, który mówi z ustami pełnymi ciasta, pochylony nad stołem w pozie żarłocznego burżuja. Carla kadruje go złożonymi w prostokąt palcami obu dłoni.

- Ha ha ha - krzywi się do niej Aguerre.

- Piekło pod rządami *petit bourgeois*.

- Dlaczego piekło?

- Bardzo brzydki jesteś z tymi fioletowymi wybroczynami na skórze, rozmazują ci się na twarzy, a czasami, popatrz, no właśnie, czasami dotkniesz i zostawisz taki ślad, toż to

ohyda. Naprawdę nie można nic z tym zrobić?

- Wyedytuj mnie sobie.
- Nie chcę. I tak bym pamiętała, że -
- Wyedytuj swoją pamięć.
- A pięknie dziękuję.

Faktycznie jest brzydki. Przygląda mu się otwarcie, wparta plecami w poręcz, odchylona nad przepaścią (siedemdziesiąte trzecie piętro Aguerre Tower). Z początku trochę fascynował, myśli. Jak oni wszyscy. Potem sama odraza. A teraz, pod opiekuńczymi skrzydłami Stróża, widzę po prostu kalectwo estetyczne, metaliczny zgrzyt w czwartym takcie symfonii. Mógłby być przystojny. Cóż, kiedyś był. Jak on to mówił? Ach, wioska nad Adriatykiem, to wtedy... Chyba tak. Tak. Wtedy, gdy go zaprosiłam na Sardinie. Zdaje się, że długo z nim tańczyłam; widocznie uderzył mi wówczas do głowy, razem z tym ich winem. W gruncie rzeczy niewiele pamiętam. Jego wspomnienia lepsze: wioska; Sardinia; małżeństwo. Może faktycznie edytował sobie pamięć? Nie, raczej nie. Ale to miłe. Bo gdyby n a p r a w d ę popłynął... Nie byłby xenotykiem - kim by był? Nie znam tamtego Freda, on nie istnieje. Ale fantazja, ale marzenie - przyjemne. Mhmmm, kochanek niemożliwy. O czym myśli, kiedy tak patrzy na mnie, śmiertelnie poważny, znieruchomiały na dwie-trzy sekundy, jakby na sam mój widok zanurzał się w głębokie Iluzjony? Carla poprawia fałdę związanej na biodrze spódnicy, by wyłaniające się spod widnokregu słońce pomalowało ją w łagodne, miękkie cienie. Mhmmm. Jest taki szpetny, że bardzo dobrze się prezentuję u jego boku, ładnie nam w podobnym kontraście. No i *Primus Ordo Homo Xenogenesis*; to jednak brzmi. Lubili się z Gabrielem. *Gaud*, Gabriel, dlaczego to musiało się tak - wciągnij i wypuść powietrze - więc może przeprowadzę się tu, do Aguerre Tower, w Aguerre City, w Glinie. I wiarygodność kredytowa mi od razu wzrośnie. Carla wyczarowuje czarne okulary, nasuwa na oczy, ogląda się na wschód. To może być - wdech/wydech - wygodne życie. W tej fantazji, w tym marzeniu, on mnie chyba kocha. A właściwie pamięta siebie zakochanego - co i lepiej. Ja też mam wspomnienia. I wystarczy. Odruchowo masuje nagie ramiona. Ależ ono piękne, to miasto nieprawdopodobne - nareszcie w promieniach słońca. No chodź, popatrz, rusz tyłek.

- ...nigdy dwa razy w tym samym miejscu na powierzchni planety - mówi tymczasem Aguerre, nalawszy gorącej czekolady do filiżanek. - Nie chodzi tu nawet o zagrożenie Śmierciami, bo jak dotąd tylko Tataux się tak wygłupił; ale o residua postampowe. Te małe perwersje czasoprzestrzeni gromadzą się w miejscach dłuższego pobytu xenotyków, kotwicząc się na węzłach grawitacyjnych. Masa człowieka czy budynku jest za mała - orientują się więc podług planety. Toteż trzeba miasto przemieszczać. Zdarza się przecież, że

przebywa tu równocześnie kilkaset bezsennych - potem zostają takie rezerwy cudów, wizytują je turyści. Trasę wędrówki AC generuje program losujący, z uwzględnieniem ograniczeń topograficznych. Okres obrotu planety wokół osi był tak wolny względem jej obiegu wokół słońca, że spokojnie dotrzymywaliśmy kroku terminatorowi. Ale ta cholerna Śmierć Cuomo zmieniła zupełnie mapę grawitacyjną układu. Mieliśmy tu takie trzęsienia ziemi, że gdyby ten glob był trochę młodszy, widziałabyś teraz całe łańcuchy wulkanów, od horyzontu po horyzont, płyty wypiętrzane na kilometry, nie dojrzałabyś słońca zza chmur pyłu -

- Fred, zlituj się.

Więc milczy.

Równolegle wciąż odgrywa mu się w nieskończonej pętli ów zapis kilkunastominutowego skanu, który kabaliści Szarskiego odszyfrowali na kompie FTL z ostatnich archiwów lorda Amiel - i przez parę idącą z podnoszonej do ust filizanki Aguerre widzi Gabriela Paige i Ivana Petrc, zatopionych w ożywionej dyskusji, wchodzących z korytarza do bocznego gabinetu prywatnego piętra Aguerre Tower; słyszy muzykę i śmiech soczysty, ludzi oraz xenotyków.

W tym Iluzjonie tylko Gabriel jest gliny - Petrc to oczywiście prywatny fantom, iluzyjny podwójnie. (Ciężkie czasy nastały dla zerojedynkowych ontologów). Wraz z rozmówcami odgrywana jest cała zarejestrowana scenografia: Aguerre znajduje się nie tyle w swojej jadalni, co w lekko Escherowym skrzyżowaniu jadalni i tamtego gabinetu. Wszystko to idzie w hierarchii Personal, więc Carla oczywiście nie zdaje sobie sprawy. Aguerre odtwarza w kółko owo nagranie, odkąd tylko otrzymał otworzone pliki. Nic jej nie powiedział - ale ilekroć na nią spojrzy, walczy z tym impulsem, i z poczuciem winy (na które Stróż nie ma inhibitora). Toteż ucieka w absurdalne tyrady, niezgrabne żarty - albo właśnie w uporczywe milczenie.

- ...kiedy mówiliśmy o Projekcie SWING - peroruje *frei* Ivan Petrc OHX. - Więc o co chodzi? Nie rozumiem.

Gabriel kręci głową.

- Swingowcy tylko obserwują i liczą. Wy planujecie ingerencje.

- No nie rozumiem! - Petrc aż unosi ręce ponad głowę. - Masz pretensje, że trzymaliśmy w tajemnicy? Trzymaliśmy w tajemnicy przed wszystkimi! Zaraz zaczęłyby się polityczne licytacje, panika w mediach, że niby „bawimy się w Boga”, jakieś armagedoniczne prognozy, xenotyk nie może sobie nosa wysmarkać, żeby nie „naruszyć równowagi wszechświata”. To paranoja.

- Ty mnie nie słuchasz, Ivan. - Lord Amiel podciąga szerokie rękawy, zakłada ręce na piersi. Wygląda przelotnie na wielobarwną noc AC. - Twierdzisz, że ta instalacja zakończyła już pracę; że obliczyliście wszystko i teraz szukacie przejść do Odrzeźbień we wskazanych lokacjach. Powiedz: czy już to poszukiwanie nie oznacza badań aktywnych, ostrzałów strumieniami cząstek wysokoenergetycznych? Załóżmy, że macie rację - czy na ich miejscu nie postawiłbyś „u wejścia” muru superczułych detektorów? Już będą wiedzieć. Ale wy chcecie pójść dalej i rozpruć na ślepo Rzeźbę „wejścia”! Sądziś, że jaka będzie reakcja postglejotyków, gdy zacniecie demolować ich kosmos?

- No mówiłem: najłatwiej spanikować - krzywi się Ivan.

Gabriel gromi go wzrokiem.

- Może przynajmniej własnym prognozom uwierzycie. Skoro ma to być wyjaśnienie *silentium universi* i sięgacie tak daleko w przeszłość, to tak samo nieprawdopodobne jest, by nikt wcześniej nie próbował wejść do tych ukrytych kosmosów. I jak, zostały po naszych poprzednikach jakieś ślady? Co, wessało ich może?

- Boisz się po prostu.

- A ty nie? Ty nie? Przecież jeśli macie rację z tymi anomaliami w strukturze grawitacyjnej Mlecznej Drogi -

- Mamy. One istnieją. Ktoś Odrzeźbił fragmenty naszego wszechświata.

- Odrzeźbił albo i nie Odrzeźbił. To właśnie od początku próbuję ci wytłumaczyć: masz za mało danych do wyciągnięcia tak daleko idących wniosków i, tym bardziej, do podejmowania na ich podstawie decyzji o działaniach potencjalnie tak niebezpiecznych. Te anomalie, o ile dobrze rozumiem założenia Projektu REVUM, mogą dać się wytłumaczyć na inne sposoby. Zaburzenia ruchu powoduje nie tylko odejmowanie mas, ale także ich dodawanie.

Petr, przechodzący tymczasem różne fazy rozkojarzenia i z pozoru prawie już ignorujący lorda Amiel, teraz obraca się ku niemu, nieruchomieje w pół błędnego gestu, marszczy brwi.

- Co ty właściwie sugerujesz? *Creano ex nihilo*?

- *Nai*. - Gabriel waha się chwilę. - Prowadziłem ostatnio pewne badania *gleiophyta*... Przyznaję, REVUM dał mi do zastanowienia. I to więcej niż wam. Dlaczego nie pomyśleliście o drugiej stronie tego medalu?

- Jakiej drugiej stronie?

- Że to my, nasz wszechświat jest Odrzeźbą pierwotnego wszechświata postglejotyków. To równie dobrze tłumaczy anomalie: jako miejsca okresowych zeń upustów.

- I gdzie oni? - szydzi Petrc. - Ci postglejotycy. Skoro Odrzeźbili się w nasz kosmos.

Mhm?

- Spójrz w lustro.

- Co?

- Nosicie ich w sobie. Moja hipoteza tłumaczy więcej niż wasza, bo także wszystkie paradoksy związane z pochodzeniem gleju. Jak to możliwe, że występuje na różnych planetach, ten sam organizm w całym wszechświecie.

- Ach, ultrakonwergencja...

- Jedno nie wyklucza drugiego. To może tak postępować w nieskończoność: niektóre z tych anomalii faktycznie mogą prowadzić do kosmosów „niższych”. A my znajdujemy się gdzieś pośrodku.

Ivan kręci głową.

- Jakieś pieprzone drzewo wszechświatów. Przeginasz, Gabriel.

- Być może. Jeśli jednak mam rację... Ile jesteś gotów zaryzykować? Rozrywasz Ujście i w środku Mlecznej Drogi eksploduje Universum Gleiophyta. A sami wydedukowaliście powód, dla którego tak uciekają we wsobne kosmosy: wojna. Czy potrafisz sobie w ogóle wyobrazić wojnę prowadzoną przez postglejotyków na skalę wszechświatów? Nagle znajdziemy się na linii frontu. Odległości nas nie uratują, przecież nawet dla was prędkość światła nie jest barierą. Najpewniej zmiażdżą nas jedną makrodefinicją swojego WarMastera. - Paige bierze głębszy wdech. - Może się mylę, biorę to pod uwagę. Być może nie mam racji. Prawdopodobieństwo jak jeden do pięciu. Albo nawet jeden do dwudziestu. Proszę bardzo. Ale czy wy dopuszczacie możliwość pomyłki? Przecież nie macie pewności stuprocentowej. W takiej sytuacji podejmować podobne ryzyko - to czyste szaleństwo.

Petrc chodzi wzdłuż ściany, lewą ręką gładzi meble, otwiera i zamyka szuflady biurka, zaglądając w nie przelotnie, prawą macha na Gabriela, nie patrząc nań; czyni przy tym skomplikowane miny.

- Tylko że ja mam pewność - mamrocze.

- Znowu wróżba, co? Więc pomyśl nad tym: impulsy międzykomórkowe w gleju są zeroczasowe, dystans nie gra roli - nie ma zatem znaczenia także, z którego i do którego wszechświata trafia informacja. Rzeźba nie stanowi bariery.

Petrc ogląda się na niego.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Lord Amiel kręci głową, rozkłada ręce (rękawy szaty kryją mu dłonie).

- Przykro mi, Ivan, ale nie mam wyjścia, muszę powiadomić Aguerre.

- *Gaud*, przecież wiesz, że to tylko doprowadzi do schizmy i da nowe argumenty ksenofobom na Ziemi. Nic dobrego z tego nie wyniknie.

Gabriel traci opanowanie.

- Co mi tu świętego będziesz teraz udawał! Zdecydowałeś się na schizmę, budując za plecami Zakonu te glejkomputery. Teraz ponieś konsekwencje. To nie jest gra, w której w dowolnym momencie możesz się przewinać pięć scen do tyłu.

Petrz wzrusza ramionami i zamyka połączenie.

Lord Amiel chwilę jeszcze stoi przy oknie, gapiąc się pusto w noc. Potem siada z westchnieniem w skórzanym fotelu pod regałem, tyłem do drzwi, nerwowo zawinawszy obfitą szatę. Macha ręką w geście rezygnacji. Odchyliwszy głowę na oparcie fotela, przymyka oczy. I kiedy zaczyna kląć - Aguerre nie czeka efektu tych modłów i wychodzi z Iluzjonu, zanim w drzwiach pojawia się Kameleon.

Od balkonu bije ostre światło, cień wdowy sięga aż stołu. Opięta gładkim materiałem spódnicy krzywizna biodra i uda Carli zatrzymuje wzrok i myśli Fredericka na kilkanaście sekund. Pod restrykcyjnymi programami Stróża niezdolny do podnieceń seksualnych, tonie w morzu skojarzeń estetycznych, niekiedy bardzo ekscentrycznych.

Zabiera obie filiżanki z czekoladą, jeszcze ciepłą, i wychodzi na balkon. Filiżankę iluzyjną podaje Carli. Lady Amiel dziękuje mu i wskazuje naczyniem Beethovenowski wschód słońca.

- Czasami jednak warto.

Aguerre unosi swoją filiżankę. Stukają się porcelaną w parodii toastu. - Alleluja.

Uwagę Aguerre pochwyca świeża plama fioletu na grzbiecie jego dłoni. Miast wypić czekoladę, sięga językiem i zlizuje wybroczyny. Taaak. W moich żyłach; w moich genach; w moim mózgu. Jesteśmy glejotykami entej generacji. Żywe cmentarze.

Teraz już w każdej chwili, w każdej sekundzie... Jeden do siedmiu, że najdalej za pół roku. Koniec świata. A w każdym razie - Wojna. Jutrzenka nowej ery.

Na wysokopriorytetowej wciąż dobijają się Miaso i von Ravenstück. Ignoruje ich, nie chce nawet myśleć, z czym dzwonią.

Wyjmuje z kieszeni talię Łuźnego, odwraca obrazami do dołu i losuje kartę. Ale nie patrzy.

Przez Wielki Atraktor suną automatyczne transportery Miasta Chaosu, każdy z cieniem jak żałobny tren. Kilka niskich ścieżek żywokrystu przecina tarczę słońca, idący po nich roztapiają się w blasku jak woskowe figurki. Na niebie gasną ostatnie gwiazdy, blaknie

pierścień. Włosy Carli - one znowu pachną gorącym piaskiem.

- *Adagio grandioso. All'antico.* Czujesz to, Fred?

Ściska kartę w pocącej się gładzi dłoni. W drugiej drży filiżanka.

Aguerre powoli wrasta w świt.

czerwiec - listopad 2000

PIOŁUNNIK

23 V 1986

28 kwietnia 1986, południe

Dziewczynki w białych sukienkach, trzymając się za ręczki, idą parami po drugiej stronie ulicy. Czy to już czas pierwszych komunii? Przedtem urządzają w kościołach próby. Spódnice i halki unoszą się i mną, gdy dzieci przeskakują nad kałużami. Patrząc z wysokości drugiego piętra przez podwójne szyby, brudne i wypaczone, widzę jedynie rozmazane sylwetki, zarysy szarych zjaw jak z sepiowych fotografii - nieprawdziwe, należące do przeszłości, zbyt piękne. A może po prostu pora mi już wybrać się do okulisty? Zamykam oczy; ból głowy nie ustępuje. W skroniach i nad zatokami: łum, łum, łumm, w rytmie krwi.

Zadzwonił telefon. Wróciłem do biurka.

- Rzewiecki.

- Młot wzywa - powiedział Mietek. Coś trzasnęło na linii i zahuczał sygnał.

Nacisnąłem widełki. Zadzwonił ponownie.

- Młot wzywa. O drugiej u niego.

- Co znowu? Przecież byłem na wydziałówce, poniedziałek dopiero się zaczął.

- A bo ja wiem? Na piętrze we wschodnim skrzydle wywaliło hydraulikę.

- Trzeci raz? Albo czwarty.

- Jedzie głównem aż do gabinetów.

- Stawiałbym raczej na tych z Cytrynowej, drukarnia, makulatury dwa żuki, synalek towarzysza z KW. Na pewno już dzwonili z Warszawy.

- Byłeś u pani Jadzi?

- Pani Jadzia - Pukanie do drzwi.

- Widzimy się u Młota - mruknąłem i odłożyłem słuchawkę. - Wejść!

Uchyliwszy drzwi, do pokoju wsunął głowę Miciński z administracyjnego.

- Towarzyszu kapitanie? Można?

Zgarnąłem papiery z biurka, zamknąłem skoroszyty.

- No, czego chcecie?

- Względem tych z rozróby z dwudziestego trzeciego...

W zeszłym tygodniu trzech chłopców z ZOMO obilo pod Zakładami Nowotki pijanych robotników, którzy zaczęli bazgrać czerwoną farbą na zakładowym murze. Ktoś to zdążył jednak sfotografować, no i rozdzwoniły się telefony; ponoć nawet Wolna Europa wspomniała o sprawie. Zomowców wysłaliśmy na wieś, robotników przymknęliśmy.

- Co z nimi?

- Komenda podrzuciła nam papiery. Mamy to podbić? Pójdzie do szafy.

- Nowotko jest na liście wojewódzkiej, nie? No to podrzućcie do III A.

Miciński skrzywił się, wydymając wargi, aż mu stalowe koronki błysnęły na zębach.

- Kapitan Bula z gospodarczego słał wam monity o tego cinkciarza. Ja nie -

- Cholera, dobra, sam to załatwię.

Miciński wycofał się, pozostawiając uchylone drzwi. Wdzierał się przez nie stukot maszyn do pisania, gdzieś też rzeziło rozstrojone radio. Co chwila dzwonią tu telefony, trzaskają drzwi, ktoś drze się w głębi korytarza, dyktując przez międzymiastową długie pismo. Łeb puchnie.

Sprawdziłem w biurku i w szafkach. Teczki TW Filutek nie było nigdzie.

Zajrzałem do Lipskiego i Czuchy.

- Czy ja wam dawałem teczkę jednorękiego?

Popatrzyli po sobie.

- Nie. Bo co?

- Jakiego jednorękiego? - spytał Czucha, splunąwszy petem do przepelnionej popielniczki.

- Ten łysy z protezą, musieliście go widzieć, gruby walutowiec, gospodarczy wkręca go w spekulacje w przemyśle ciężkim. Zachodził ktoś z III A, jak mnie nie było?

Pokręcili głowami.

Wróciłem do siebie. Po kwiatku pod wyblakłym godłem pełzła biała gąsienica, zgmiotłem ją między palcami. Spojrzałem na zegarek. Zamknąłem na klucz obie pary drzwi i zszedłem na obiad.

W stołówce kolejka sięgała drugiego rzędu stolików. Stałem za Zworskim. Rozwiązywał krzyżówkę w „Przekroju”, wymyślając na oczekaniu nieistniejące słowa; zaglądałem mu przez ramię. Gdzie, u licha, mogła się podziać ta teczka? W sobotę zachodził do mnie - kto? Lipski i Czucha, sierżant z dołu, no i Wąty - Wąty przyszedł opić przydział mieszkania, podziękować za poparcie, od czasu afery mięsnej uważa mnie chyba za ojca chrzestnego.

- To ja ogórkową i flaczki.

Przysiadłem się do kościelnych, porucznika Łeby i porucznika Sobczyńskiego. Łeba kimał nad rozbabranymi kopytkami, Sobczyński wkleił mordę w niedogotowane kartofle.

- Mhm, słuchajcie, czy Młot dzwonił do czwórki w sprawie tego zebrania? Na drugą. Wiecie coś?

- Gubr-gubr-gubr! - powiedział Sobczyński.

Kopnąłem Łebę pod stołem. Podskoczył.

- Czujnym trzeba być, towarzyszu.

- O żeby was, khr, która godzina?

- Co wyście po nocy w niedzielę robili? Dyżur na mszach, czy co?

- Nie słyszeliście, co Urban wygadywał? Musimy teraz słać do Warszawy encyklopedyczne raporty. Major orze nami statystyki. Dzieło sztuki. Ta robota mnie wykończy. Kapitan zobaczy moje oczy. O! A prawe? O! Na prawe już chyba w ogóle nic nie widzę, łzawi mi tylko.

- O co chodzi Młotowi?

- Brbbbbbr!

- Zdaje się, że był jakiś radiotelegram z nasłuchu - mruknął Łeba, pociągając nosem nad zaschniętymi kopytkami.

- O?

- Wpadłem na Wiśniewskiego przy kiblach na pierwszym.

- A, słyszałem...!

- Zalało już boczną klatkę. Pół Biura stoi i przygląda się. Zapaliliśmy i mówi, że ze Skandynawii nadają o jakimś wypadku u Ruskich. Która jest godzina?

- Jakim wypadku?

- Elektrownia im wybuchła albo coś.

- Słaszenielajojatywie.

Wytarłem rękaw swetra, na który Sobczyński napluł ziemniakami.

- Mówiliście coś, poruczniku?

Podźwignął się na krześle. Na lewym policzku miał odbity czerwony negatyw widelca.

- Skażenie radioaktywne - powiedział i wstał. - Przepraszam. Podreptał do wyjścia.

- E-no! - Spojrzałem na Łebę. - Zachód znowu coś pieprzy od rzeczy.

- Pewnie tak. - Wzruszył ramionami. - Moskwa jeszcze nie zdementowała.

Obejrzał się na zegar na ścianie.

- O czwartej wraca major. Musimy... - Podążył w ślady Sobczyńskiego.

Flaki były bardziej gumowe niż zazwyczaj, zostawiłem niedojedzone.

Poszedłem do Wątlego. We wschodnim skrzydle rzeczywiście jechało gównem. Na korytarzu sekretarka mocowała się z oknem, bezskutecznie usiłując je otworzyć. Tych okien nigdy nie otwierano, zabito je na amen, jeszcze gdy zakładano kraty; okna tutaj wychodziły na ulicę i skwer z Leninem.

Za zakrętem przystanąłem - przy klatce schodowej, pod drzwiami WC zebrał się tłum. Mundurowi eskortowali upapanych smarami fachowców, którzy ciągnęli po schodach i do wnętrza toalet grube węże i rury. Wszyscy gapowicze zatykali nosy albo palili papierosy.

Pokój porucznika Wątlego był pierwszy po lewej. Przez zamknięte drzwi dochodziły podniesione głosy.

- Ze zmiążdżoną podstawą czaszki! Bądźcie rozsądni! Mózg mu wyciekał! - To Wątki.

- Zmiążdżona podstawa, zgadza się. - A tego nie kojarzyłem. Starszy mężczyzna.

- No to co to za idiotyzmy -

- Tu, proszę, papiery z sekcji, a tu -

- A co mi po waszych papierach! Trup albo nie trup! Na litość boską! To się w pale nie mieści!

- Młodzi jesteście, jakbym wam opowiedział, co u nas w szpitalu -

- Z mózgiem na ścianie! No ja pierdołę!

- A w ogóle wypraszam sobie taki język, towarzyszu poruczniku!.

Wycofałem się po cichu spod drzwi.

Na korytarzu drugiego piętra wpadłem na Mietka.

- Idziesz już do Młota?

- Co? Nie. - Ale zawrócił ze schodów. - Czekał, czy ty słyszałeś o jakiejś akcji na Uniwersytecie?

- Kiedy? Teraz, ostatnio? Nie no, tylko to, co zawsze.

- Pani Jadzia mówi, że to jest gość od nich. U Młota, znaczy się. Pomyślałem o Filutku. On przecież sprzedawał fikcyjne dyplomy magistra protegowanym dyrektorów ze Zjednoczenia. Tak. Poszedł z tym prosto do Młota, cholera. Ma coś na mnie? Nie ma nic, kwity spaliłem, towar upłynniłem. Ale jak się dogadał wpierw z Bulą... I Bula przyszedł - albo przysłał kogoś - żeby wyjąć z teczki Filutka wszystko, co przeczy ich wersji...

Złapałem Mietka za ramię.

- Jak Młot kazał ci mnie wezwać - znaczy, wymienił mnie z nazwiska?

- Nie, wszystkich ze szczębła MSW, ja akurat byłem pod ręką.

- Nie chciał przez panią Jadzię?

Mietek wzruszył ramionami.

Wróciłem do siebie. Herbata w szklance wystygła, chłodna breja. Włączyłem grzałkę; w kontakcie dalej iskrzyło niebiesko, mieli naprawić. We łbie kuźnia piekielna. Poszukałem tych enerdowskich pastylek, które przysłał szwagier. Opakowanie się kończyło, połknąłem tylko jedną, popiłem zimną lurą. Od razu odezwały się wrzody: rach, rach, żyleta w żołądku.

Otworzyłem sejf, wyjąłem resztkę ostatniej rolki papieru toaletowego i pogałem do WC.

Na wewnętrznej ścianie kabiny, obok wulgaryzmów i obscenicznych rysunków, ktoś metodycznie wydrapał kilkanaście sygnatur akt. Zaiste, takiego systemu przekazywania tajnych informacji nie wymyśli żaden Bond. I co miałby wówczas począć kontrwywiad? Wchodzić za podejrzanym do wszystkich szaletów i skrzętnie spisywać poezję kiblową? Zatrudnić na etatach babci klozetowych swoich oficerów? Prowadzić ciągły monitoring publicznych ustępów? MSW powoła specjalny departament, Srajną Służbę Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Obstawią wszystkie kible w kraju. Każda muszla zostanie zewidencjonowana, sfotografowana i przydzielona do właściwego oficera prowadzącego. Departament rozrośnie się na wszystkie województwa, powoła komórki w każdej komendzie MO, powstaną sekretne sekcje zajmujące się nielegalnymi miejscami wypróżnień, w archiwach Ministerstwa utworzone zostaną rejestry obszcymurstwa, spuchną teczki operacyjne Tajnych Członków...

Dobijają mnie te wrzody.

Grzałka zdążyła wygotować połowę wody. Schowałem papier do sejfu i zadzwoniłem do Zbysia z Biura Śledczego.

- Czy wyście mieli ostatnio zejścia śmiertelne?

- Co, rozeszło się? Porucznikowi Wątlemu w piątek jakiś studenciak kiwnął.

- Aa, student!

- Lebiody to są, obywatelu kapitanie, kości mięciutkie, główki jak jajeczka, no strach pałąk pacnąć.

Student - więc może jednak... Ale w sobotę Wątki wcale nie sprawiał wrażenia przejętego. Ba, był szczęśliwy!

W poczekalni przed gabinetem Młota minąłem się z Łebą. Pokiwał mi smętnie głową.

- Co?

- Właśnie usłyszałem. Moskwa oficjalnie zdementowała. „Nic się nie stało”.

Ciarki przeszły mi po plecach.

Pułkownik Kowalski osobiście zaprosił nas do środka - biurko pani Jadzi było puste, widocznie zwolnił ją dziś wcześniej.

Ledwo usiedliśmy - w sumie chyba tuzin ludzi ze wszystkich wydziałów, od kapitana wzwyż - Młot zatrzaskał okno i włączył przedpotopowe radio, które natychmiast buchnęło jękliwą kakofonią skrzeków i pisków. Radio Młota nie odbiera żadnej stacji. Resortowa legenda głosi, że gruchot potrafi zakłócić najbardziej wyrafinowany system podsłuchowy. Jest to jedyne sensowne wyjaśnienie, nikt bowiem nie rozumie, po co pułkownik trzyma w

gabinecie tego rzęcha i dlaczego w ogóle go włącza.

- Doktor Gustaw Zeiss z Instytutu Fizyki Doświadczalnej, sprawdzony członek Partii i nasz współpracownik.

Niski nerwus w burej marynarce wstał, uklonił się, usiadł, spojrzał pytająco na Młota, wstał, podszedł do ściany za biurkiem pułkownika, rozwinął nadszarpniętą mapę Europy i dziabnął palcem w punkt za granicą Związku Radzieckiego.

- W sobotę w nocy około godziny pierwszej... - Chrząknął, wyjął chusteczkę, zatrąbił, schował chusteczkę, chrząknął po raz drugi, po czym podjął: - W sobotę w nocy około godziny pierwszej w elektrowni jądrowej położonej na terytorium Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich nastąpiła awaria. Do atmosfery przedostały się związki radioaktywne. W zależności od ruchów mas atmosferycznych, w ciągu najbliższych dni skażeniu ulegnie mniejsza lub większa część Europy; przede wszystkim zagrożone są ziemie Polski.

- Prowokacja! - krzyknął ktoś z tyłu.

Zerknąłem na Mietka. Krył dłonią usta. Siedzący za nim Zaciura uniósł oczy ku sufitowi. Zaczęły się szurnięcia krzesel i chichoty. Nie było siły, po chwili wszyscy rechotaliśmy jak głupi.

Młot czekał, przesuwając językiem po krzywych zębach. Doktor Zeiss gapił się na nas zdezorientowany.

Stopniowo wrócił spokój. Doktor obrócił się bezradnie do pułkownika.

- No dobra - mruknął Młot. - To była wersja oficjalna. Której będziemy ze wszystkich sił zaprzeczać. Z Centralnego Laboratorium Ochrony Radiologicznej wyszła już informacja o wzroście radioaktywności. Już się zaczęły przecieki. Na wypadek, gdybyśmy musieli zamykać w kwarantannie większe obszary kraju.

- To znaczy, że skażenia nie ma? - spytałem.

- Towarzyszu doktorze?

- No tak. - Doktor Zeiss podniósł, rozwinął i zawiesił na ścianie drugą mapę: czarno-białą kopię fizycznej mapy Polski z ręcznie zakreślonymi na czerwono, niebiesko i zielono nieregularnymi strefami. - Będzie jakiś skok promieniowania, ale to skutek uboczny, poniżej progu zagrożenia zdrowia. Ponieważ epicentrum znalazło się stosunkowo blisko Czar... Czer... Czornobyła, gdzie rzeczywiście stoi elektrownia jądrowa, najwyraźniej radzieccy towarzysze postanowili wykorzystać ją jako zasłonę dymną. Może zresztą faktycznie wysadzili tam blok czy dwa. To są prognozowane strefy opadu, jeśli dać wiarę meteorologom. Pierwszego dnia szło na północ, północny zachód, ale od niedzielnego popołudnia utrzymują się silne wiatry ze wschodu. Całe nasze województwo znalazło się w

strefie czerwonej. Ministerstwo poprosiło mnie -

- Epicentrum czego, doktorze? - westchnął Młot. On już wiedział i bardzo mu się to nie podobało.

- Zrozumcie, towarzysze, nie otrzymaliśmy żadnej oficjalnej noty i ja nie mogę -

- Doktorze, proszę, nie jesteśmy na egzekutywie.

- Tak. - Zeiss znowu odstawił numer z chusteczką: wyjąć, zatrzeć, schować. - Obiekt został zestrzelony przez radziecką obronę przeciwlotniczą. Jeszcze nad Polską przemieszczał się w górnych warstwach atmosfery, astronom-amator z Nowego Sącza sfotografował go, sądząc, że to meteor. Był niezwykle jasny, płonął. Zaobserwowano liczne gwałtowne i chaotyczne zmiany toru lotu. Wszedł w przestrzeń powietrzną Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej od zachodu, na szerokości Białegostoku. Następnie skierował się na południowy wschód i na linii Prypeci wszedł na niebo Republiki Ukraińskiej. Myśliwce nie zdołały go przechwycić. Podobno trafiła go rakietą ziemia-powietrze. Ale słyszałem też, że sam się rozbił. Dwadzieścia pięć kilometrów na wschód od Czornobyła. Chmura rozprzestrzenia się już trzeci dzień. Spekuluje się na temat podobieństw z katastrofą tunguską, po niej też pozostały ślady silnej radioaktywności, jak po eksplozji jądrowej, ale - tak naprawdę nie wiemy nic pewnego. Nie otrzymaliśmy jeszcze żadnych wyników analizy szczątków. Ponoć są trudności z pobraniem materiału. Natomiast analiza dotychczasowych efektów opadu...

Mietek nachylił się ku mnie.

- Czy on właśnie powiedział, że u Rusków rozwaliło się UFO? - szepnął.

- Albo urznięty w trupa archanioł Gabriel.

- ...nazwijmy polem negentropijnym. Co zdołaliśmy ustalić: ośrodkiem fenomenu jest zawsze materia ożywiona, o wysoce rozwiniętym systemie nerwowym, oraz jej bezpośrednie otoczenie.

Zaciura nie wytrzymał.

- Towarzyszu pułkowniku, o co tu chodzi?

Młot siorbnął ze szklanki czarną kawę.

- Ukraińcy, którym podmuch pourywał głowy i ręce, oni, mhm, zdają się czuć teraz całkiem dobrze.

Doktor ponuro pokiwał głową.

- Procesy entropijne ulegają odwróceniu.

- Powstają, kurwa, z martwych.

- Istnieje niebezpieczeństwo, że wraz z opadem związków rozniesionych przez wiatry.

- Będą mi tu zmartwychwstawać.

Spojrzałem na mapę.

- Jeśli opad okaże się słabszy albo wiatry mocniejsze...

Doktor Zeiss wyjął z kieszeni zwitek papierów.

- Przeprowadziłem prowizoryczne obliczenia w oparciu o to, czego zdołałem się nieoficjalnie dowiedzieć od radzieckich kolegów. Musi minąć co najmniej dwadzieścia godzin od kontaktu z substancją przenoszoną drogą powietrzną. Oczywiście najpierw widoczne są efekty odwrócenia procesów zakończonych niedawno. Organizmy w chwili opadu żywe wydają się odporne na działanie czornobyliny. Na podstawie dat pochówku z grobów cmentarza w Czornobyli... To przyśpiesza. Myślę, że w ciągu tygodnia efekt powinien się wyczerpać, to znaczy sięgnąć -

- Zwołałem was, towarzysze - wszedł mu w słowo pułkownik Kowalski - żeby uniknąć nieporozumień, gdyby opad wywołał u nas takie efekty, jakich obawia się towarzysz doktor. W szczególności zwracam uwagę towarzyszom z Departamentu Czwartego. Jakiegokolwiek plotki o choćby pojedynczym przypadku zmartwychwstania... Siły reakcyjne natychmiast to wykorzystają. A Partia nie będzie tolerować żadnych masowych niepokojów, zbiegowisk, manifestacji - resort nie może sobie pozwolić na podobne ryzyko. Dopóki się da, zaprzeczamy wersji o skażeniu radioaktywnym; potem przyznamy, że niebezpieczeństwo istnieje i każemy ludziom siedzieć w domach. Zmobilizuje się ZOMO i wojsko dla zamknięcia w kwarantannie obszarów wyjątkowo kłopotliwych. Mówię to wam, towarzysze, i nikomu więcej, i wy nie powiecie nikomu więcej, nie będzie żadnych wytycznych, okólników, rozkazów na piśmie. Rozumiecie, jaka jest sytuacja - jak to wycieknie na dół, to wieczorem o wszystkim będzie wiedział Wałęsa, do północy prymas, a rano usłyszę w audycji z Monachium. Idzie na nas chmura radioaktywna - i tyle. Czy wyrażam się jasno?

- Tak jest!

Przynajmniej nie chodzi o Filutka. Muszę się napić. Wychodząc od Młota, uśmiechaliśmy się do siebie porozumiewawczo. Oczywiście nikt nic nie powiedział na głos.

Tylko Mietek, skręcając już do księgowości, szepnął przez ramię:

- Dali czadu, lepsze to od stonki, nie?

Na piętrze czarna woda zalała pół korytarza. Cuchnęło nie do wytrzymania, smród szedł przez budynek wzwyż, na nic się zdało otwieranie okien i zamykanie drzwi. Zwolniłem ludzi i poszedłem do domu.

28 kwietnia 1986, późny wieczór

- Kto tam?

- Do ciebie. Mówi, że z pracy.

- No to co tak stoisz - Pochyliła się nade mną, zasłaniając mi światło, aż musiałem podnieść głowę znad wyciągniętych z obudowy wnętrzości nowiutkiego panasonica - który oczywiście padł za pierwszym razem, gdy wywaliło korki. I znowu zostaliśmy ze stareńkim rubinem.

- On pijany jest - syknęła. - Jedzie od niego wódą na dwa metry. O czym mówiliśmy w sobotę? Dzieci jeszcze nie śpią, ja cię proszę.

- Dobra, załatwię sprawę w ogrodzie.

Wtedy w sobotę rzeczywiście wróciłem lekko na gazie, urządziła mi nieziemską awanturę.

Odłożyłem miernik napięcia, podniosłem się z za telewizora i poczłapałem do holu, coby zniknąć jej z oczu, zanim na dobre wejdzie w rolę jędzy. Wystarczało już, że w resortowym zabrakło towaru albo usłyszała od sąsiadki, że przytyła (fakt, spasała się obrzydliwie). Nie powinienem był wcześniej wracać do domu. Co z tego, że będzie zrzedzić na moją pracę, zawsze znajdzie powód, żeby wsiąść mi na głowę - a tak przynajmniej nie musiałbym cierpieć jej przez cały wieczór. Przystanąłem na moment, gdy ból przeszył żołądek. Czy zostało jeszcze trochę mleka?

Na ganku, pod mrugającą żarówką, stał Wątył. Zamknąłem za sobą drzwi. Wieczór był ciepły. W chaszczach ogrodu brzęczały owady.

- Co jest?

- Cho-chodzi za mną.

- Co?

- O-obywatelu kapitanie... Marcin... ty mi...

- Idź lepiej wytrzeźwiej. Jutro -

- Chodzi za mną.

- Co? Kto?

- On. Chodzi wszędzie. Tu też przy-przyszedł.

- Co ty gadasz?

- Tam.

Obrócił się, oparł bezwładnie o balustradę i machnął ręką ku ulicy.

- Chcesz powiedzieć, że ktoś cię śledzi?

Pokiwał głową z pijacką powagą.

- Tam.

Spojrzałem, ale ulica po zmierzchu pozostawała właściwie niewidoczna, korony drzew, wysokie ogrodzenie i kiepskie oświetlenie uniemożliwiały dostrzeżenie z domu czegokolwiek więcej niż kształty z rzadka przejeżdżających samochodów.

- Kto?

- Czekał na mnie pod biurem. Po-potem widziałem go w autobusie. Myślałem, że... Ale pod moim blokiem, i zna numer mieszkania, rzucał kamykami w okno, aż szwagier wyszedł go pogonić, ba-bałem się, że... Marcin, ty mi powiedz, co ja mam zrobić, przecież... Może po księdza -

- Że co?

Żarówka skwierczała nad nami ostro, żółte światło i blade cienie na przemian oblewały okrągłą, chłopską twarz Wątlego. Wątki oblizywał nerwowo wargi. Lewy rękaw kurtki miał rozdarty, siostra widać zacerowała mu go nierówno, ścieg się rozpruł.

Nagle przecucie - i zimny kwas rozlewa się w żołądku.

- Czekaj.

Wróciłem do środka, zrzuciłem kaptur, włożyłem buty, wyjąłem z szafki ciężką latarkę, sprawdziłem, działa. Lidka wystawiła głowę z kuchni. Zatrzasnąłem za sobą drzwi, zanim zdążyła otworzyć usta.

- Chodź, pokażesz mi go.

Zeszliśmy z ganku. Ścieżka prowadząca do bramy jest szeroka na dwie płyty chodnikowe, musiałem trzymać chłopaka za ramię, żeby nie wpadł w krzaki.

Dobrze, że naoliwiłem zawiasy furtki, jeszcze tylko brakowało jęczącego i grzechoczącego żelaza.

Stanęliśmy pod gałęziami rosnącego przy ogrodzeniu kasztana.

- I? Gdzie?

Wątki rozejrzał się po ulicy, raz, drugi. Mrugał, wyężając wzrok. Większość latarni była zepsuta lub rozbita, a i te działające kończyły już swój żywot. Minał nas stary adwokat z naprzeciwka, na spacerze ze swoim psem. Ukłoniłem się. Oddał ukłon i odwrócił wzrok. Dziabnąłem Wątlego łokciem pod żebra.

- No!

- Tam był. Gdzieś się schował. Jak tylko wyjdę... No n-naprawdę! - Zaczął się gorąco zarzekać. - Mówię ci! Ty mi musisz! Nie mogę tak! Co mam powiedzieć! A jak pójdzie do rodziny! Poznają go! Ja nie chciałem przecież! - I jął szlochać, uwieszony furtki; rdza lepiała

mu się do policzka.

- Dajcie spokój, poruczniku, z takimi nerwami to do drogówki, nie do bezpieczeństwa.

Usiedliśmy na murku. Wąty zwiesił głowę między kolana. Pomyślałem, że będzie rzygał, ale jemu chyba po prostu tak było łatwiej mówić: do ziemi, w ciemność, na wydechu. Opowiedział mi, jak mundurowi przywieźli im tych dwóch studentów z ulotkami, jednego wziął w obroty Kwasicca, drugiego - Wąty. Studenciak Wątego zrobił się wtem bardzo hardy, odszczekiwał, a jak Wąty dał mu w mordę, to tamten - Wąty nadal nie mógł uwierzyć - tamten wstał i oddał porucznikowi. Tak to Wątego poraziło, że zanim mundurowy go odciągnął, porucznik rozwalił podejrzanemu łeb dziurkaczem biurowym. Odwieźli nieprzytomnego do szpitala, ale zgasł im na stole. Wąty czytał papiery z sekcji, student był martwy na sto procent. A teraz chodzi za porucznikiem, gwizdże na niego na ulicy, rzuca kamieniami w okna... Wąty się urżnął, nie pomogło.

- No i pójde do majora i co powiem? - Trząśł się, zgięty w pół. - Że skubaniec miał brata bliźniaka? A ten drugi siedzi przecież w areszcie, będzie trzeba dać prokuraturze jakąś sprawę. No bo jak wypuścimy... Co? Wypuścić może? Towarzyszu kapitanie?

- Ten?

- Co?

Klepnąłem go w plecy.

- Weź się w garść! Tam popatrz. Ten?

Spojrzał.

- Łojezu. On.

Przebiegłem przez jezdnię. Człowiek cofnął się w cień. Podszedłem, zaświeciłem mu latarką w twarz. Osłonił się odruchowo przedramieniem. Był w brudnej kurtce, o kilka numerów za dużej.

- Pozwólcie, obywatelu. No już. Dowodzik. A dokąd! - Złapałem go za poły kurtki, pociągnąłem pod latarnię. Odwracał głowę. Rozglądałem się. Ulica była pusta, nikogo w oknach. - Ruszajcie się! - Przeszliśmy pod furtkę.

Wąty cofnął się do ogrodu. Popchnąłem studenta do środka. Latarki nie wyłączyłem, trzymałem go w słupie ostrego światła, jego twarz, oczy, gdy je zamykał, próbował uciec wzrokiem - obracałem latarkę, wyciągałem ramię w bok.

- Nazwisko! - warknąłem. - Zameldowany!

- Gniewosz Janusz, Kwiatowa siedem przez dziewięćdziesiąt dwa - wymamrotał.

- Urodzony!

- Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt pięć, pierwszego lutego.

- Ale dowodu przy sobie nie macie, co? Albo legitymacji studenckiej? Książeczki wojskowej?

Zaczął macać po kieszeniach.

- Pozwólcie-no.

Pociągnąłem go w prawo, ścieżką wzdłuż ganku i za róg domu, pod otwarty garaż, w którym brat składował swój złom motocyklowy. Na ten zakątek wychodziły tylko okna poddasza; zresztą przed garażem rosła topola. Jedyne światło pochodziło z odległych latarni ulicznych - jeśli nie liczyć mojej latarki. Gniewosz instynktownie cofał się, aż trafił plecami na ceglana ścianę. Patrzył to na mnie, to na cień Wątlego - ale wiedziałem, że nic nie widzi, latarka go oślepiła.

- Obróć się! - rozkazałem. - W lewo! Głowa prosto! Odsuń włosy! Że też pozwalają im chodzić z takimi grzywami.

Spojrzałem pytająco na Wątlego. Rozłożył ręce, pokręcił głową.

- Sprawdź!

Podszedł ostrożnie, pomacał. Gniewosz zadrżał pod jego dotykiem.

- No więc? - ponagliłem.

- Żyje, obywatelu ka-kapitanie - zająknął się Wątle. - Znaczy, nie ma śladu.

- Pierdolone ubeki.

Podskoczyłem do studenta.

- Co? - Krew uderzyła mi do głowy, wybuchły rumieńce, aż zapiekła skóra. Złapałem go za kołnierz, podciąłem nogi; poleciał na drzwi garażu. - Coście powiedzieli?

- Ubeki pierdolone. Jeszcze Polska!

Kłęczał przede mną z twarzą do ściany, rękoma wpartymi w beton, długie włosy spływały na kurtkę. Rozejrzałem się, świecąc po zagraconym wnętrzu garażu. Zatrzymałem latarkę skierowaną ku wygiętej rurze wydechowej, rzuconej luzem pod szkielet komara. Skinąłem na Wątlego. Wątle wytrzeszczył oczy. Zaświeciłem mu w twarz. Zasłonił się, ale postąpił krok wstecz, schylił się i podał mi rurę. Przełożyłem latarkę do lewej ręki i z zamachu walnąłem kłęczącego w potylicę, aż rura wygięła się po raz drugi. Zakwiczał i osunął się na ziemię. Poprawiłem. Nie ruszał się. Przyświeciłem z bliska. Masakra.

- Zmiażdżona podstawa czaszki - sapnąłem.

- Coś ty... - zabelkotał Wątle. - Coście... obywatelu kapitanie... coście zrobili...

- Porządek w papierach. - Znalazłem szmatę i zabrałem się za wycieranie rury. Puls powoli się uspokajał. - Teraz znowu wszystko się zgadza, nie?

- A-ale. Kryminał. Żelazem w łeb. Jak tak.

- A ten dziurkacz z czego był, z porcelany miśnieńskiej?

- Będzie śledztwo. Papiery. Trup.

- Jakie znowu śledztwo? Masz przecież raport z sekcji, nie? Pieczętka, podpis, doktor poświadczy. Dwa dni temu leżał w kostnicy, jest w ewidencji sztywnych. No to kogo niby ubiłem? Zbierzcie się do kupy, poruczniku. Do ciężkiej cholery. I nie rzygać mi tu!

- Prze-przepraszam.

Wziął głębszy oddech, otarł czoło. Wcisnąwszy dłonie w kieszenie, stanął nad zwłokami.

- A jak znowu się odbije? - spytał ponuro.

- Że co?

- Noo, raz już mu się odwróciło.

Podrapałem się w brodę.

- To chyba tak nie działa.

Spojrzał na mnie podejrzliwie.

- To znaczy jak?

Poświeciłem głębiej wzdłuż ściany.

- Tam. Powinien być pełny.

Wąty posłusznie wlaź w złom. Przewrócił dwa rowery, poszło echo na całą dzielnicę i zamarł w miejscu, wystraszony, ale zaraz kichnął głośno od podniesionego kurzu, złapał się więc za nos, złapał i kichnął po raz drugi, zataczając się przy tym na szafki - już chciałem podejść i jego tą rurą zdzielić przez proletariacką łepetynę, może by w końcu zstąpił na ziemię - postać tak chwilę, kiwając się na piętach, w końcu się uspokoił, sięgnął, szarpnął i dźwignął pięciolitrowy kanister benzyny.

- No więc jakby chciał wstawać - powiedziałem, wyjmując paczkę silesii - to urządzimy ognisko w ogrodzie. Dawno już miałem uprzątnąć go po zimie, widzicie, jak zarósł. A noc taka przyjemna. Gwiazdy, o, Wielka Niedźwiedzica. Zapalicie? - Podsunąłem mu paczkę.

Za drugim razem udało mu się ująć papieros między dwa palce.

- Będziemy czekać? - Zamrugął. - Do rana?

- Czy nie wstanie.

Nie wstał.

29 kwietnia 1986, południe

- Słuchajcie, sierżancie, ja zawsze zamykam, jak wychodzę. W sobotę teczka tu była, wczoraj teczki nie ma. Poszukajcie sami, jak nie wierzycie. No to co, szpiedzy imperialistyczni wsmygnęli się przez dziurkę od klucza?

- Obywatelu kapitanie, melduję -

Zadzwoił telefon.

- Rzewiecki.

- Pułkownik chce się z wami widzieć - powiedziała pani Jadzia.

- Oho.

- Sama nie wiem, panie Marcinku, nic mi więcej nie mówił.

- Ale kiedy? Teraz-zaraz?

- Pięć, dziesięć minut.

- A mogłaby pani zapomnieć - no i co tak sterczycie, sierżancie, odmeldować się! - mogłaby pani zapomnieć do mnie zadzwonić na, powiedzmy, kwadransik? - Spojrzałem na zegarek. - Za pięć wpół do. Co? Pani Jadziu kochana.

- Dziesięć minut - oznajmiła sucho.

- Rączki całuję.

Wyjąłem notes. Bombonierka dla pani Jadwigi, jutro zaraz z rana.

Poszedłem do Wątlego. (Przez noc całe skrzydło zaśmierdło nieziemsko). Siedział w pokoju przy otwartym oknie i siorbał kawę zbożową. Wzrok nieco mętny, ale przynajmniej trzyma się prosto. Biurko dalej ktoś czytał gazetę, na pierwszej stronie szaro-czarny Jaruzelski obejmował szaro-czarnego Honeckera, miny mieli, jakby gołabek pokoju nasrał im do wódki. Płochą myśl z tyłu głowy: czy czornobyлина sięgnie także NRD, czy skazi ziemie Niemiec...?

Skinąłem na Wątlego. Zabrał ze sobą kawę. Wyszliśmy na korytarz i do świetlicy za kartoteką.

- Bukalski dzwonił? - spytałem półgłosem. - Albo ten doktor z patologii - odezwał się? Czy ja o czymś nie wiem?

Zajrzał w fusy.

- Mhm, obywatelu kapitanie -

- Nie obywateluj mi, tylko gadaj! - syknąłem. - Młot mnie wezwał. Trup jest z powrotem w kostnicy, wszystko cacy. Bukalski nie piśnie, wisi mi za takie sprawy, że niechby spróbował. No to co, ja się pytam, no to kto? Wy!

Dźgnąłem go palcem w pierś.

- Ale nie moja wina, ledwo przychodzę, a oczy mi się zamykają, nic przecie nie

pospałem całą noc, głowa mi lata, o, cud, że w ogóle stanąłem na nogi, no ale ledwo przychodzę, wpada naczelnik i drze mordę: meldować o żywych trupach!

- I tyś się, cymbale, wygadał!

- No nie, nic, ale musiał coś poznać, jak popatrzyłem, no bo mnie zaskoczył, tak wpada i od progu, a ja ciągle tylko o tym studencie myślę, więc on od razu do mnie: poruczniku Wąty! bezpieczeństwo ludowej ojczyzny! Nie dziwić się, opowiadać ze szczegółami! resort wie o wszystkim!

- I żeś się wygadał.

- A co miałem zrobić, jak widać już i tak wiedział?

Po co ja mu w ogóle pomagałem? Że dług wdzięczności za tych badylarzy ze „świńskiego wywiadu”? Pluć na idiotę!

- Ileś mu powiedział?

Wyjadał łyżeczką czarne fusy.

- Wszystko - mruknął.

- Wszystko!

- No tak jakoś...

Grzmotnąłem czołem w tablicę z listą wyróżnionych funkcjonariuszy, aż się na ich wysokości Kiszczak i Messner zakołysali w drewnianych ramkach, a Jaruzel zatańczył na gwoździu. Ból zagłuszył ból.

- Uuuzębyciężlagnamiejscu -

- Co kapitanowi - kapitan źle się czuje - może wam -

Poczłapałem z powrotem do siebie, żeby połknąć dwie pigułki na wrzody; połknąłem - i już była pora iść do Młota.

Pani Jadwiga wpuściła mnie z lekkim wzruszeniem ramion. Wszedłem, zameldowałem się.

- Siadajcie, Rzewiecki.

Pułkownik Kowalski zamknął jedną teczkę, otworzył drugą, przerzucił kartki, spojrzał na mnie - siedzę z obojętnym wyrazem twarzy - spojrzał, wstał i włączył radio. Popłynęły gwizdy, jęki i szумы.

- Major Czwartoch złożył mi raport z waszej nocnej przygody z porucznikiem - zerknął do papierów - porucznikiem Wąty.

Milczałem.

- Może nie zdajecie sobie z tego sprawy, Rzewiecki, ale ja z dołu dostaję co godzina kilka takich meldunków, oficjalnie komenda wojewódzka nie jest powiadomiona, więc nie

wiedzą, co z tym robić, i albo zamykają jako wariatów, wiozą na izbę wytrzeźwień, albo odsyłają do wydziałów Służby. Kto jak kto, grabarze zawsze chleją i opowiadają niestworzone historie, ale to się w końcu... Mhm, tak.

Otworzył szufladę, wyjął dwie kartki papieru. Podsunął mi je. Zerknąłem z daleka.

- Obywatelu pułkowniku?

- Wasza delegacja.

Milczałem.

Westchnął ciężko.

- Pojedziecie do Krakowa.

- Tak jest!

- Tu macie podbitkę na służbowy wóz. Nie polegałbym teraz na komunikacji państwowej. Weźmiecie broń. Pobierzcie amunicję.

- Tak jest.

Ostrożnie podniosłem dokumenty. W opisie delegacji wystukano tylko: *Z rozkazu płka Kowalskiego. Czas: 30 IV 1986 - 4 V 1986.*

- Pytali o mnie w krakowskiej KW?

Pokręcił głową.

- Komenda krakowska nic o tym nie wie. Resort nic o tym nie wie. Pojedziecie, bo ja was wysyłam.

- Tak jest!

- Cieszę się, że nie opuszcza was entuzjazm dla pracy na froncie walki z kontrewolucją. - Wyjął popularne, zapalił. - Rozumiecie, że wobec wszystkich tych informacji, jakie do mnie docierają - zresztą sami widzieliście w nocy... Muszę przyjąć, że nasz kochany doktor Szajs może jednak mieć rację. Pojmujecie, co to oznacza?

- Nie, towarzyszu pułkowniku.

- I to w was lubię, Rzewiecki, tę beztruską bezmyślność. - Młot strzepnął popiół do czerwono-białej popielniczki marlboro. - Pojedziecie prosto na Wawel. Nie meldujecie się po drodze ani na miejscu. Wiecie, kto tam leży?

- Gdzie?

- W katedrze wawelskiej. W podziemiach, w krypcie. Władysław Łokietek. Kazimierz Wielki. Władysław Jagiełło. Królowa Jadwiga. Józef Poniatowski, Tadeusz Kościuszko, Adam Mickiewicz, Juliusz Słowacki. Józef Piłsudski.

- Towarzyszu pułkowniku?

- Jeszcze czegoś nie rozumiecie, kapitanie?

- Obawiam się -

- Zastrzelicie ich. Jeśli wstaną. Kula w łeb każdemu.

Radio: kszsz-uuiiiiii-trszszsz.

Milczałem.

Nachylił się ku mnie nad biurkiem.

- No co? Z jednym powstańcem już żeście sobie gładko poradzili. I potem się nie podniósł, prawda? *Znaczi*, za drugim razem umierają jak wszyscy.

- To są kamienne sarkofagi, nijak z nich nie wyleżą, towarzyszu pułkowniku.

- Myślicie, że nikt inny o tym nie pomyśli? Że nie przyjdą, nie pomogą im wyjść? Musicie zdążyć przed nimi.

- Ale dlaczego nie ludzie z krakowskiej komendy? Dlaczego w ogóle ja?

- Polityka to nie wasza sprawa, nie mieszajcie się, to i ona nie będzie się do was mieszać. - Co mówiąc, wyjął spod innych cienki skoroszyt zawiązany czerwoną wstążką; od razu poznałem. Jeśli to Bula go przyniósł i dołożył, co mu tam Filutek naświergotał... Pojadę.

- Tak jest!

Zamigotał interkom. Młot wcisnął guzik.

- Pani Jadziu, prosiłem przecież -

- Bardzo przepraszam, ale mam tu pilny telefon do kapitana Rzewieckiego, zdaje się, że jakiś nagły wypadek w domu, i -

Młot machnął na mnie łaskawie.

- No to idźcie już, kapitanie, idźcie. Musicie się zresztą wyspać przed jutrzejszą podróżą. Nie wypalicie się, co? Widzę te wory pod oczami. Zawsze powtarzam: nie ma to jak długi, spokojny sen.

Kszsz-uuiiiiii-trszszsz-uuiiiiii.

29 kwietnia 1986, po południu

Siedział przed telewizorem, zagapiony w błądy obraz na starym kineskopie. Nie odwrócił się, kiedy stanąłem w progu pokoju. Plecy miał szerokie, proste. Skórzaną kurtkę pokrywały plamy błota i smugi zieleni.

- Mieszkali tu przed wojną, sam mówiłeś - szeptała mi do ucha biała jak płótno Lidka.

- Twoja rodzina -

- Rzewieccy wybudowali ten dom w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym trzecim, jak

sprzedali majątek na Warmii - powiedziałem spokojnie.

Zdjąłem płaszcz i kapelusz.

- Mówił coś?

- Chciał wody.

- I co?

- Dałam mu.

- Rozmawialiście?

- Pytał. O rodzinę. O - o żonę.

Musiał nas słyszeć. Nie odwracał się. W telewizji leciało technikum mechanizacji rolnictwa czy inny program z chlewnią w tle. Nie odrywał wzroku od ekranu.

- Napuść do wanny gorącej wody.

Przynajmniej raz nie wszczęła awantury.

Podszedłem, wyłączyłem rubina. Uniósł wzrok. Był młodszy ode mnie, przed czterdziestką. Widziałem tylko zdjęcia, ale natychmiast go poznałem.

- To telewizor, dziadku.

- Tak, powiedziała mi, telewizor. - Głos miał zachrypnięty, przeciągał samogłoski. -

Ty masz na imię Marcin.

- Tak.

- Jesteś synem Przemka.

- Tak.

- Przemek - żyje?

- Utopił się w siedemdziesiątym dziewiątym. To znaczy - cholera, może żyje.

- A! - Opuścił wzrok na brudne dłonie, zwinął je w pięści. - Ja nie wiem, czemu...

Powiadasz, że jaki mamy rok?

- Osiemdziesiąty szósty.

- Ponad czterdzieści lat. Oni tu właśnie mówili - wskazał głową telewizor - że

Pierwszy Sekretarz... Pierwszy Sekretarz. Zachód nas zostawił, Stalin wygrał.

- Tak.

- Wybili nas.

- Tak.

- Rządzą.

- Rządzą.

- Ty dla nich pracujesz.

- Tak.

- W NKWD.

- Nie. Tak.

- Marcin Rzewiecki.

Ująłem go pod ramię. Wstał posłusznie. Potężne chłopisko.

- Wykap się. Czuć od ciebie zgnilizną. Masz ziemię pod paznokciami. Wymyj zęby, przepłucz usta. Tam jest łazienka, chodź. Znajdę ci jakieś ubranie.

Nie opierał się. W łazience unosiła się z wanny gorąca para, objęła go i przesłoniła; kształt sylwetki Edmunda Rzewieckiego rozmył się, zamazał, niczym na wyblakłej fotografii, filmie prześwietlonym.

- Ale ty, Marcinie, spodziewałeś się. - Wsparty o umywalkę, popatrzył na mnie z gorzkim uśmiechem. - Wiesz więcej. Przyjdą kolejni, prawda?

Zrozumiałem, że on rzeczywiście jest młodszy ode mnie, znacznie młodszy, młodość nie zdążyła wywietrzeć mu z głowy, oni wszyscy byli młodszy.

- Umyj się - warknąłem i zatrzasnąłem drzwi łazienki.

Poszedłem do kuchni. Lidka nie spuszczała ze mnie oczu. Zza ściany dobiegały słowa fałszowanej *Pierwszej Brygady*.

- Nigdy nie mówiłeś, co się z nim stało. Zginął podczas wojny, prawda?

- Był w AK, zagarnęła ich Armia Czerwona w jakimś lesie. - Lasy, to zawsze są lasy. Nalałem sobie do szklanki ciepłego mleka. - Nie wspominam o tym w życiorysie.

30 kwietnia 1986, rano

Słońce wstało kwadrans przed czwartą. Sprawdziłem olej, hamulce, światła. Zatankowałem jeszcze wczoraj; w bagażniku dwa pełne kanistry. Biały fiat 125p, na cywilnych tablicach, trzy lata w służbie, opony po wulkanizacji i nawet zawieszenie w porządku. Spakowałem ubranie na zmianę, pod spód wcisnąłem P-64 z zapasowymi magazynkami. Lidka przygotowała mi kanapki, termos z herbatą, termos z kawą, butelkę wody. Atlas samochodowy pożyczyłem od Mietka. Jeszcze przełknąć jajecznicę, wysiorbać gorącą bawarkę, ucałować dzieci, ucisnąć dłoń dziadkowi, dziadek szarmancko przyrzeka zaopiekować się Lidką i prawnukami, Lidka zaciska wargi... Nic, jedziemy.

Na pustych ulicach widać było przygotowania do pochodu, na rynku wzniesiono trybunę, ze stalowych masztów zwisały smętnie czerwone flagi, kapala z nich woda. Przez całą noc padało, w dziurach, szczelinach i zagłębieniach asfaltu stała brudna deszczówka,

mniej brudna w zimnym świetle świtu.

Przed wyjazdem zadzwoniłem jeszcze do Mietka, był na dyżurze.

- A-a, padam na mordę. Wymyka się to spod kontroli, musieli się przyznać do Czornobylskiej elektrowni jądrowej. Jeszcze w poniedziałek wieczorem „Wriemia” coś napomknęło i PAP wypuściła depezę, ale zaraz ją wycofali. W nocy wyszły informacje z Agencji do spraw Atomistyki. A wczoraj już zachodnia prasa dała wielkie artykuły, właśnie dowieźli, mam to na biurku. Warszawa musiała wydać oficjalny komunikat. Wczoraj nad ranem zebrali się w KC. Cały teatr, będzie nawet Komisja Czornobylska i, uważasz, ogólnokrajowa akcja z płynem Lugola.

- Z czym?

- Że niby promieniotwórczy jod gromadzi się w tarczycy. Więc obmyślili napoić dzieci jodem stabilnym. Rząd i Partia troszczą się o naród. Tego się trzymasz w terenie, aż do odwołania. Chyba że Młot mówił ci inaczej. Mhm?

- Coś nowego w sprawie opadu doktora Szajsa?

- Jeszcze nie dostaliśmy raportu z nocy, zobaczymy, co nam z dołu podrzuca. Jakby coś oficjalnie, to złapią cię w drodze, bierzesz radiowóz, nie?

Za miastem miałem całą szosę dla siebie. Włączyłem radio. Na wszystkich zakresach trzaski i szumy zagłuszały audycje, w miarę słyszalna była jakaś pogadanka o *pieriestrojce* i *uskorieniju*. Wyłączyłem.

Zawsze jeżdżę bardzo ostrożnie. Przyśpieszyłem do dziewięćdziesiątki, bo teren był odkryty - pojedyncze zabudowania, potem już tylko pola i ugory - widoczność doskonała, a ruch minimalny; tylko deszczówka lśniła jeszcze na asfalcie.

Po ósmej wjechałem w lasy. Szosa zaczęła się wić, wznosić i opadać. Niebo było czyste między ścianami zieleni, jasny błękit bezchmurny; nie będzie już padać. Słońce wisiało ponad drzewami, ostre refleksy zaczęły kłuć mnie w oczy. Wyjąłem z futerału kupione w Jugosławii wielkie okulary przeciwsłoneczne. Dzieci mi je ciągle wykradały, żeby bawić się w amerykańskich policjantów. Uśmiechnąłem się pod nosem, opierając łokieć na opuszczonej szybie.

Za zakrętem jezdni opadała w długie siodło między wzgórzami - u podnóża drugiego wzgórza wzdłuż poboczy stało kilkanaście pojazdów, po mojej i przeciwnej stronie dwupasmówki. Ciężarówka, maluchy, polonez, wartburg, nyska, volkswagen, jakieś zachodnie kombi, nawet furmanka z końmi. Hamowałem, zjeżdżając.

Zatrzymałem się za polonezem. Jezdnię blokowały pnie drzew. Las zaczynał się tu zaraz za poboczami.

Wysiadłem.

- Co się dzieje? - spytałem kierowcę poloneza.

Facet ćmił papierosa na środku jezdni, z twarzą uniesioną ku Słońcu, z zamkniętymi oczami.

- Będą ściągać do rowu, gość ze stara pociągnie na lince holowniczej.

Kilka osób krzątało się już wokół pni, star manewrował po drugiej stronie zawalidrogi, ustawiając się do podczepienia.

Starsza pani w volkswagenie kręciła gałką radia, jęki zakłóceń wdzierały się w melodię lasu. Szumiały liście, śpiewały ptaki, stukał dzięcioł. Pachniało żywicą.

Zszedłem z asfaltu. Facet z poloneza obejrzał się za mną. Wyjął paczkę klubowych, podszedł, poczęstował mnie. Zapaliłem. Uniósł brew.

- Pan zobaczy - wskazałem dłonią z papierosem - jak one padały. Gdzie są jamy po korzeniach. Widzi pan? To nie są stuletnie dęby, ale jednak pół metra średnicy, może więcej - ciężkie jak cholera, nie?

- W nocy była burza.

- Co, piorun uderzył? Bo jakby przycisnął huragan, to wszystko by tu leżało pokotem. A nie tylko - ile? cztery, pięć? I to wyrwane z korzeniami, wywleczone na jezdnię na ładnych kilka metrów.

- No to co pan myśli?

- Sprawdzaliście? Chodził tam ktoś? Pokręcił głową, wzruszył ramionami.

Zeskoczyłem z pobocza, rozgarnąłem krzaki i wszedłem w las. Dalej, skąd padły drzewa, poszycie wyglądało na posiekane jakby tu kombajn przeszedł, na korze pozostały jasne ślady. Ziemia była miękka, błotnista - rozpulchniona i nasączona deszczem. Stąpałem ostrożnie. Zdjąłem okulary, im dalej, tym głębszy cień. Wszystko zielone. Tylko te plamy - pochyliłem się - na łyku, na paprociach, na połamanych krzewach - czarne, czerwone, zaschnięta czerwień. Krew, oczywiście.

Na szosie wybuchły paniczne okrzyki. Pobiegłem.

Z lasu po przeciwnej stronie wyszedł olbrzymi żubr i walił teraz łbem w bok nyski. Kierowca nyski uciekł za maskę stara. Wszyscy rzucili się do swoich wozów.

Wróciłem do fiata. Polonez cofał się powoli wzdłuż pobocza. Wycierałem buty o bieżnik.

- Panie, co to za bydlę jest! - piał facet z poloneza. - Skąd tutaj! Przecież nie Białowieża!

Przyjrzałem się zwierzęciu. Czarna sierść, dobrze ponad dwa metry w kłębie, wielkie

rogi.

- Tur.

- Co?

- Tur.

Wsiadłem i wcisnąłem klakson. Zaraz dołączyły się inne klaksony. Tur potrząsnął głową, prychnął, naszczał na nyskę i odtruchtał w las.

Star na szczęście zdążył już na tyle odciągnąć pnie, że dało się przecisnąć pomiędzy. Przepuściliśmy tych z przeciwka. Przejechałem ostatni.

Sprawdziłem milicyjną radiostację. Trzaski i szumy, rzecz jasna. Próbowałem kilkanaście minut, nikt się nie zgłaszał. W każdym razie ja nikogo nie usłyszałem.

Koło południa wyjechałem z powrotem na rolnicze równiny. Zacząłem zwracać uwagę na samochody na poboczach i w rowach, kilka z nich wyglądało na zatrzymane po gwałtownym poślizgu, kilka na wręcz porzucone. Minałem PKS, który migał na wszystkich światłami, pasażerowie przylepiali twarze do szyb.

Stanąłem przy przystanku autobusowym, w żwirowej zatoczce, musiałem się odlać. Przystanek nie miał nawet wiaty, słup z krzywą tabliczką, ale obok rosło kilkanaście brzozy. Poza tym - pola. Słońce przypiekało. Wszedłem między brzozy.

Przyglądałem się przez ciemne szkła chłopom pracującym w polu. Opróżniając pęcherz, człowiek na moment głupiej z ulgi - dopiero gdy zasunąłem rozporek, zrozumiałem, co widzę. Bociany. Chłopi. Zboże. Żniwa. Tyle znam się na roli, co na francuskim abstrakcjonizmie, ale czy to trochę nie za wcześnie na żniwa? I ci chłopi - dlaczego myślę o nich: „chłopi”? co to za język reakcyjny? Rolnicy - ale nie rolnicy: półnaczy albo w brudnych łachmanach, mężczyźni i kobiety, tną zboże kosami. W oddali, na horyzoncie, kapliczka pod wielkim krzyżem i koń z jeźdźcem pochylonym w siodle, i wóz drabiniasty, i kolasa z siwkami, w niej kobieta pod białym parasolem... Czym prędzej wróciłem do auta.

Z przeciwnej strony szedł wąsaty dziadek w dziurawym waciaku, w nowiutkim berecie, z petem między stalowymi zębami. Na zardzewiałym łańcuchu ciągnął za sobą chudą krasulę.

- Nie wiecie, czyja to ziemia?

Spojrzał, zamrugał, podrapał się pod beretem.

- A co mnie tam obchodzi. Pegieeru pewnie, że tyle luda robi.

- No ale popatrzcie tylko... A, zresztą. Machnąłem ręką i zatrzasnąłem drzwiczki.

Co dokładnie mówił doktor Szajs? *Musi minąć co najmniej dwadzieścia godzin od kontaktu z substancją przenoszoną drogą powietrzną. Oczywiście najpierw widoczne są efekty*

odwrócenia procesów zakończonych niedawno. Minałem stary kościółek i młyn. Teren znowu wznosił się i opadał. Przejechałem przez most nad wyschniętą rzeczką i zatrzymałem się w cieniu świerkowego lasu. Nalałem sobie z termosu. Zamyślony, dmuchając w kawę, kartkowałem atlas. Zważywszy na świetną pogodę i dotychczasowe tempo... Przypomniałem sobie mapę doktora, kolory na mapie. *To przyspiesza.*

Trrrrrrrrrkt! Kubek poleciał na podłogę wozu, gorąca kawa chlapnęła na uda i stopy, gdy rzuciłem się płasko na siedzenia. Strzelają z karabinu maszynowego!

Policzyłem do dziesięciu - dziesięć szybkich oddechów. Cisza, tylko motor mruży i chrypi. Wyjrzałem ponad deskę rozdzielczą. W oddali, tuż przed zakrętem, ktoś przebiegał przez jezdnię. Jedna, dwie, cztery pochylone sylwetki - zaraz skryły się w zaroślach po drugiej stronie drogi. Mężczyźni. Młodzi. Któryś niósł chyba karabin. Ciemnie spodnie i ciemne kurtki, i plama bieli: jeden miał obandażowaną głowę. Całe szczęście, że nie spojrzeli w moją stronę.

Już miałem usiąść z powrotem za kierownicą i wcisnąć gaz, gdy z zielonego cienia między drzewami wypadła druga grupa: sześciu żołnierzy, wszyscy uzbrojeni; biegli w ślad za pierwszymi. Poznałem ich po hełmach, poznałbym obudzony w środku nocy.

Ledwo przebiegli, ruszyłem, pośpiesznie przerzucając biegi. Nawet nie podniosłem termosu, nie starłem kawy. Pierwsze miasteczko, pierwsza wioska - muszę zadzwonić, niech Młot mnie zawróci, przecież to już nie ma sensu, już za późno, skoro tury taranują samochody, skoro chłopci odrabiają na polach pańszczyznę, a Wehrmacht strzela po lasach. *To przyspiesza.* Posterunek milicji - nie, pułkownik zabronił; ale byle budka telefoniczna...

Pomyśleli tylko o Polakach, a przecież z tej ziemi, z tej ziemi - kogóż ta ziemia nie pochłoneła?

30 kwietnia 1986, po południu

Poczta stała na wzgórzu za wsią, kwadratowy budynek bez drugiej kondygnacji, z brunatnej cegły, gdzieniegdzie już wyzierającej spod białej elewacji. Na bocznej ścianie - przy niej zaparkowałem - pozostały jeszcze cienie liter z hasła na IX Zjazd Partii. Okna w tej ścianie zalepiono dyktą i pozółkłymi „Trybunami Ludu”.

Wszedłem, poprawiając pod marynarką szelki z kaburą; ledwom założył, już uwierały. Kiedy ostatnio zmuszony byłem je nosić? Tłusta kobieta siedząca za jedynym okienkiem spojrzała na mnie znad robótki, gdy drapałem się po lewym barku i szarpałem za pasek pod

prawą pachą.

- Dzień dobry - sapnąłem, stanąwszy przy kontuarze. - Chciałbym zamówić błyskawiczną międzymiastową -

- Nie ma.

- Czego nie ma?

- Błyskawicznych. - Cofnęła się o oczko i przełożyła szydełko. - Międzymiastowych.

Wyjąłem chusteczkę, otarłem spocone czoło. Wylegitymować się? Pomoże? Pewnie nie. A z pewnością szłoby wbrew rozkazom Młota. Cholera. W radiu kasza.

- Ale czemu? - jęknąłem. - Poczekam!

- Chyba zerwało linię. Możesz pan sobie czekać. My zamykamy o trzeciej.

Na zapleczu ktoś stukał na maszynie do pisania, litera na sekundę, poza tym panowała cisza, nawet radia - no tak, w radiu kasza, na wszystkich falach.

- Najbliższy urząd pocztowy?

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Pan przejezdny, nie? Dokąd pan jedzie? Szybciej będzie dojechać do miasta. A w ogóle - nie przeszkadzać personelowi!

Wyszedłem, zrezygnowany.

Biegli od strony lasu, przez łąkę i pod górę, ku poczcie - trzech, pięciu i dwa razy po dwóch z noszami, i jeden kulejący, z otwartą raną w nodze, wszyscy w anachronicznych zielonych mundurach, z przedwojennymi karabinami. Zamykający grupę miał w ręku pistolet o wąskiej lufie, przy boku mapownik. Kiedy mnie mijał, zauważyłem dystynkcje porucznika i orzełka na czapce, orzełka w koronie.

Wszyscy wbiegli do budynku poczty.

Zawróciłem za nimi.

- Przeszedł Wisłę?! - darł się na urzędniczkę ten kulawy. - Przeszedł?!

- Co...? Kto...?

- Tuchaczewski! Przeszedł?

Porucznik rozstawiał żołnierzy.

- Luczuk, zaplecze. Woda, bandaże, Trzeciński i Plata, z rannymi, i meldować. Sierzancie, okna.

- Tak jest.

- Szweja, łączysz ze sztabem. Kapralu, stan amunicji. Uch, i mi też przynieście tę wodę.

Szweja przyskoczył do kobieciny z drugiej strony.

- Telefon, proszę pani! Musimy natychmiast -

- A-ale - - Słyszała pani pana porucznika -

- A-ale -

- No co?

- Zerwało linię.

Porucznik usiadł pod plakatem OHP, na którym „Młodzież buduje socjalistyczną ojczyznę!”, zdjął kurtkę, wyciągnął mapę i kompas.

- Jak się nazywała ta wioska ze stawami?

Podszedłem.

- Przepraszam - Szeregowy przyprowadził z zaplecza brzuchatego naczelnika poczty; już nie było słycać stukania maszyny do pisania.

- Tylko ten, panie poruczniku. Jest tylne wyjście.

- Piwnice?

- Chyba nie. Macie tu piwnice?

Naczelnik spojrział na kulawca wlokącego się wzdłuż kontuaru, na krew, która ciekła mu z rany na posadzkę, spojrział, oblizał wargi, złapał się za pierś i zwałił na porucznika.

Porucznik odskoczył. Zdażył, ale wypuścił mapę - zniknęła pod cielskiem naczelnika.

- No co tak stoicie, Luczuk...

Luczuk targnął naczelnika za nogę, bez skutku. Porucznik pochylił się nad nieszczęśnikiem z drugiej strony, przy głowie.

- Na trzy, obrócimy go na wznak, w prawo. Pan pomoże, z łaski swojej.

To było do mnie. Przyklęknąłem, by chwycić grubasa pod ramię. Luczuk odstawił karabin i założył naczelnikowi poniżej kolan jakąś zapaśniczą dźwignię.

- Raz -

- Nieprzyjaciel na południu!

Porucznik zaklął i przyskoczył do okna, sięgając odruchowo po pistolet. Kucając, wyrzwał ponad parapet. Wiedziałem, że okna z tyłu budynku były zakratowane; tu, od frontu - nie.

- Amunicja!

- Po dwie ładownice, panie poruczniku.

- Niech podejda do drogi. Oszczędzać konie!

Przyciśnięty do ściany, zaryzykowałem zerknięcie za framugę okna. Z lasku po drugiej stronie szosy, dobre sto metrów na południe i sporo poniżej poczty, wyjechali dwaj jeźdźcy z szabłami przy bokach, za nimi biegli piechurzy z karabinami.

- Sierzancie!

Obok porucznika przykucnął starszy wążacz.

- Słucham.

- Weźcie Platę i wyjdźcie na dach. Tu jest wyjście na dach, prawda? W pierwszej kolejności zdejmiecie oficerów. Zabierzcie po ładownicy od Szwei i Kwaśniaka.

- Tak jest.

- Kapralu, zablokujcie czymś to tylne wyjście. Ale żeby się dało szybko otworzyć w razie czego. Dokąd dzwoni ta baba? Mówiła, że zerwało linie, tak?

Urzędniczka pocztowa, pochylona nisko nad blatem, szeptała do słuchawki, prawie obślinając popękany plastik.

Podszedłem do kontuaru okrężną drogą, trzymając się z dala od okien.

- Proszę mnie połączyć z posterunkiem milicji we wsi.

Spojrzała na mnie jak na wariata.

Wyjąłem legitymację SB, podetknąłem jej pod nos.

Rozległy się strzały - strzelali sierżant i Plata z dachu. Odpowiedziało im kilkanaście strzałów z pola, z głośnym brzękiem posypały się szyby, metal wizgął o metal, niemal zagłuszając głuchy stukot kul bijących w ceglany mur, tych niecelnych. Kapral wyłożył na stoliku pod paprotką ręczne granaty i podawał je teraz po kolei żołnierzom na stanowiskach pod oknami. Z zewnątrz, ze słonecznego błękitu, dobiegły szybkie rosyjskie komendy i popłynął podjęty przez kilkanaście gardeł okrzyk: - *Za Stalinu! Za rodinu! Uraaa!*

Kobieta, osuwając się z krzesła pod kontuar, wpatrywała się w moją legitymację szeroko otwartymi oczyma.

- Jestem lojalnym członkiem Partii! - sapała. - Ja się nie mieszam do polityki! Całym sercem popieram interwencję Związku Radzieckiego. Au! Towarzysz naczelnik poręczy -

- Padnij! Huknęło.

Dostałem czymś w plecy, w udo, w głowę. Dostałem w głowę i zamroczyło mnie - upadłem. Upadek poczułem; potem - wata.

Ocknąłem się pod płatem plastiku odłupanym od lady. Plastikowe drzazgi drapały mnie po twarzy. Tuż nad uchem ktoś bardzo głośno liczył w kółko od jednego do sześciu. Nikt nie strzelał.

Kaszlnąłem i poruszyłem ramieniem. Plastik zsunął się ze mnie. Zamrugąłem. Na czerwonej skrzynce pocztowej, wywróconej i rozbitej, siedział korpulentny kapral i wpatrywał się w swoje zakrwawione dłonie. - Jeden. Dwa. Trzy. Cztery. Pięć. Sześć. Jeden. Dwa. - Reszty palców nie mógł się doliczyć.

Usiadłem. Cały byłem w białoszarym pyłe, który jeszcze wirował w powietrzu, opadając z pękniętego sufitu: tynk, farba, wióry, wapno. Szczelina w suficie biegła w poprzek głównej sali poczty, równolegle do ściany frontowej. Podążałem spojrzeniem wzdłuż linii. Na wyrwanych z futryny drzwiach wejściowych spoczywało kilka ciał w łachmaniarskich mundurach, różnych od mundurów żołnierzy polskich. Szeregowy Luczuk przeszukiwał ciała, jedno po drugim, przesuując je i przewracając za pomocą kopniaków i karabinowej kolby. Na zewnątrz ćwierkały wróble.

Wstałem, wytrzeptałem pył z włosów. Kobieta leżała pod przewróconym kontuarem, zezując szklanymi oczyma na własne plecy - jakimś cudem udało się jej skrócić kark przy upadku z krzesła. Pod robótką ręczną znalazłem swoją legitymację. Dmuchałem. Nawet nie rozdarła.

Z zaplecza wyłonił się sierżant, głowę miał przewiązaną zakrwawioną szmatą.

- Burak! Gdzie porucznik?

- Dwa. Trzy. Cztery.

- Hej, Trzeciński, zajmij się kapralem, chłop się wykrwawi. Trzeciński pojawił się z bandażem w zębach, dał białe płótno na równe wstęgi.

- Się nie rozdwoję.

- Szweja kiwnął.

- Ale Tymek jeszcze dycha. Nie mam wody. Gdzie porucznik?

- Gdzie porucznik?

Luczuk wskazał pod okno. Zaczęli odgrzebywać gruz z rozłupanej granatem ściany. Wyłoniły się sferyczne pośladki naczelnika opięte szarymi spodniami.

Podszedłem do drugiego okna, wyjrzałem. Wzdłuż drogi kulał kary koń z pustym siodłem. Po długiej chwili wypatrzyłem jeszcze nogę w skórzanej buciorze wystającą z trawy na zboczu poniżej. Trawa była wysoka.

Luczuk wyłamał z trupiej garści rewolwer na rzemyku, przeciął rzemyk bagnietem, otworzył bęben, policzył półgłosem naboje.

- Sześć! - zaskomlał kapral Burak. - Sześć!

- Luczuk, umch, zajmij się nim. - Sierżant odwrócił porucznika na plecy. Porucznik miał dziurę w piersi, dwie dziury w brzuchu i zmiażdżoną twarz. - Uch, Święci Pańscy.

Przeszedłem na zaplecze. Nie mieli drabiny, pod otwartym włazem na dach stało biurko, na nim blaszana szafka, tak się wspinali. Plata wystawił głowę przez kwadratowy otwór. Wzruszyłem ramionami, rozłożyłem ręce.

Dalej był krótki korytarz, bezokienny magazyn, wąski gabinet naczelnika, cuchnąca

toaleta oraz opatrzone ciężką sztabą tylne drzwi. Żołnierze na wszelki wypadek przytargali pod nie żelazne skrzynki. W korytarzu znajdowało się dwoje okien, nadto po jednym w gabinecie i w toalecie.

Ktoś klepnął mnie w plecy. Obejrzałem się. Wąsaty sierżant zwijał sobie papierosa, popatrując spod krawędzi zsuniętego na czoło hełmu.

- A pan właściwie -

- Zaraz tu przyjdą.

Zmarszczył krzaczaste brwi.

- Kto?

- Wieś jest za zakrętem drogi. Musieli słyszeć tę kanonadę. A nawet jeśli nie słyszeli - to babsko zdążyło do kogoś zadzwonić, zamiejscowe są zerwane -

- Bolszewia tnie wszystkie druty.

- Zerwane, więc kobieta dzwoniła do kogoś tutaj.

Sierżant zapalił.

- Coś pan, wszyscy siedzą pochowani po chałupach - wystarczy, że jeden bolszewik pojawi się na horyzoncie. A już po takiej strzelaninie... A przydałby się jakiś doktor, no i zdobyć skądś wieści o pułku... Nie słyszał pan może w nocy artylerii?

- Nie jestem stąd. - Wyjrzałem przez północne okno. - Rzućcie okiem, sierżancie. Wasi?

Przez zachwaszczone łąki, od strony pokrytych świerkowym lasem północnych wzgórz, zbliżało się czworo jeźdźców. Różnili się między sobą ubiorem i rynsztunkiem, ale każdemu znad ramienia wystawała bardzo długa lufa. Ostatni jeździec ciągnął za sobą prowizoryczny tobogan, sklecony z nadal zielonych gałęzi.

- Plata, żeby cię wszy zeżarły! - rozdarł się sierżant. - Śpisz tam, oprzańcu!

- To nie Sowiety, sierżancie!

Wyjąłem silesie.

- Załatwiliście wszystkich?

- Żartuje pan. Wycofali się, siedzą tam na południu w lesie, czekają.

- Na co?

Machnął ręką z papierosem.

- Na posiłki. Na jakiś rozkaz, wte czy wewte. Na noc.

Przyglądałem się jeźdźcom. Tobogan ich spowalniał; jeden puścił się przodem.

- Do nas jadą.

Paliliśmy, strzepując popiół na podłogę. Sierżant przysunął się, oparł karabin o

parapet.

- Ktoś powinien do nich wyjść.

- Nie wynosicie się stąd?

- Wieczór idzie, mam trzech rannych, tylko czterech przy broni, nie wiem, gdzie nasi, nie wiem, gdzie front. Wyjdę, dopadną mnie na paru kilometrach. Tu przynajmniej można się bronić. Dywizja miała iść w tę stronę, tak gadał porucznik. Pan jest po cywilnemu, może pana nie przyuwają.

- Na co wy się tak gapicie, sierżancie?

- Jak pan leżał - widziałem u nas w sztabie majora z taką kaburą, rewolwer pod pachą, też był po cywilu. Chciał pan stąd zadzwonić do sztabu, złożyć meldunek, prawda?

- Nie jestem majorem! - warknąłem.

- Tak jest!

Przydepnąłem peta i zabrałem się do odsuwania skrzynek spod drzwi. Podnieśliśmy zasuwę.

Sierżant wystawił na zewnątrz lufę karabinu.

- Opowiedzcie się! - krzyknął najeźdźców.

- Na miłość Pana Naszego, człowiek kona! Kozacy nas ścigają od świtu!

- Kto!

- Sotnia Makarenki!

- Kto wy!

- Pan Słuczyński z Chrostów i familia! Sierżant spojrzał na mnie pytająco.

Wzruszyłem ramionami.

- Włazić! Hola! Uważajcie tu z końmi!

Wierzchowiec ciągnący nosze z rannym wszedł pierwszy, podkowy zdzierały linoleum, stukały głośno na betonie. Sierżant dał znak, że konie zmieszczą się w magazynku. Jeźdźcy musieli zsiąść jeszcze na zewnątrz. Przyglądałem się krojowi ich spodni, koszul, grubym kurtm i płaszczom, archaicznym muszkietom.

Najstarszy z mężczyzn, w drucianych okularkach i z czerwoną blizną na czole, dopadł zaraz z pytaniami sierżanta; ten z ulgą wskazał na mnie.

- Macie wieści z Królestwa? Prawdaż to, że Padlewskiego Rosjanie rozstrzelali? A generał Mierosławski?

Pokręciłem głową.

- Odcięci jesteście.

Poprowadziłem ich do sali na zapleczu. Plata zaglądał z dachu; sierżant go sklął i kazał

wypatrywać kozaków. Usiadłem na nieczynnym piecyku elektrycznym, w stłuczonym udzie pulsował gorący ból, na potylicy pewnie guz jak śliwa.

- Skąd wam przyszło do głowy tutaj się kryć?
- Słyszeliśmy strzały.
- Ale mogli tu - mogli Rosjanie.
- Przecie wywiesiliście barwy powstania.

Zapomniałem. A na budynku poczty rzeczywiście powiewały przepisowe flagi, czerwone i biało-czerwone, towarzysz naczelnik dopilnował. Jutro Pierwszy Maja.

30 kwietnia 1986, noc

Wynieśliśmy na dach metalowe szafki i połamane meble z zaplecza i z gabinetu naczelnika. Powstały prowizoryczne przedpiersia, za którymi mogli się kryć strzelcy, przy krawędzi wschodniej i zachodniej, południowej i północnej; dach był płaski. Ale oczywiście nie mieliśmy do dyspozycji aż tylu ludzi. Sierżant i Słuczyńscy zostali na dole, ja i Plata leżeliśmy na szorstkiej papie za chybotliwymi osłonami.

Noc była bardzo jasna, ani śladu po wczorajszych chmurach. Powstańcy mieli w jukach żytniówkę, flaszki poszły w obieg. Kapral Burak, ku powszechnej uldze, zalał się do nieprzytomności. Za to podźwignął się na nogi naczelnik. Dostał nerwowego ataku, w którym kłął i groził wszystkim naokoło, wzywając nadaremno imienia Milicji Obywatelskiej i Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, aż go panowie Słuczyńscy chcieli wybatożyć, bo męczył tymi wrzaskami konającego, a wszystkich po równo irytował. Na koniec naczelnik poczty wyrwał się żołnierzowi i przebił przez barykadę zwaloną w miejscu wysadzonych drzwi, no i pognał w pole, na drogę i ku wiosce, w tych spodniach poszarpanych, w koszuli i marynarce przekrzepniętych krwią porucznika. Wołaliśmy za nim; ani się obejrzał. Patrzyłem z dachu, przez szczelinę w blacie przewróconego na bok biurka. Plata chciał się założyć - nie zdążyliśmy przybić zakładu, naczelnik padł przed zakrętem drogi, w połowie zbocza pocztowego wzgórza. Oddano co najmniej cztery strzały, wszystkie z południa, z lasu; ile trafiło, Bóg raczy wiedzieć. Turlał się jeszcze dobre kilkanaście metrów, wymachując pociesznie rączkami i nóżkami, główka podskakiwała na wybojach; jak się zatrzymał, to na dobre.

Myślałem sobie: sierżant świeżo z ziemi, nie wie, co się dzieje, głupoty gadał - zaraz tu przyjdą, przyjadą, ze wsi, z miasta, taka strzelanina (myślałem sobie), co z tego, że druty

pocięte. Zaraz przyjdą. Nikt nie przychodził. Zapadła noc. Żaden pojazd nie pojawił się na drodze. Od strony niewidocznych chałup chłodny wiatr niósł szczekanie psów, krótki jazgot drobiu, nawet zapach świeżej gnojówki. Palilem papierosa, Plata czyścił karabiny, swój i zapasowe (mieliśmy więcej broni niż rąk zdatnych do zamka i cyngla). Pod nami pater Słuczyński odmawiał nad łóżem zmarłego synowca modlitwy, chrapliwy bas płynął przez noc.

- *Requiem aeternam dona eis, Domine, et lux perpetua luceat eis...*

...Myślałem sobie: dlaczego nie są zaskoczeni? co pamiętają? co wydaje im się, że pamiętają? W której chwili przed śmiercią zatrzymała się ich pamięć? Powinni stać z otwartymi ustami i wskazywać palcem obrazy obcego świata. Doktor Szajs próbował był opowiedzieć coś, na co nie miał słów. *Ośrodkiem fenomenu jest zawsze materia ożywiona, o wysoce rozwiniętym systemie nerwowym, oraz jej bezpośrednio otoczenie. Co to jest „bezpośrednie otoczenie”? Czy system nerwowy tura jest „wystarczająco rozwinięty”? A konia? Czy oni rzeczywiście wychodzą z ziemi? Absurd! A ich ubrania, dobytek, broń - czemu nie miasta całe? *To przyspiesza.* Co właściwie spadło z nieba na Czornobyl, i co spada teraz z chmur na Polskę? Dialektyka nie może się zatrzymać i cofnąć do tez dawno przewyciężonych, tak samo jak Ziemia nie może zatrzymać się w biegu dokołosłonecznym; historia się nie powtarza, nie zawija sama na siebie - historia prze do przodu, ku nowemu, zawsze ku nowemu...*

- *Sicut erat in principio, et nunc, et semper, et in saecula saeculorum. Amen.*

Jak było na początku? Wyrwać się z tego otepiającego kieratu roboty urzędowej, wrócić do czystych rozumowań z czasów ławy szkolnej i czasów wielkiej familii Rzewieckich, kiedy nawet łacina nie brzmiała mi obco. Noc. Spokój. Cisza. Jak było na początku?

Czy „początek”, *principio*, jest po prostu tym, co przychodzi w czasie przed wszystkim innym, czy też tym, co jest przed czasem - tym, od czego czas zależy?

Przecież pamiętałem dobrze tę łacinę, smak i zapach kościelnej łaciny, to znaczy woń kadzideł i szorstki dotyk Bożego Ciała na podniebieniu, gdy z matką, co niedziela przed śniadaniem, chodziliśmy, ja i siostry, do bazyliki, pod kamienny cień gotyku i w żółte światło witraży, gdzie obok żelaznych kandelabrow, na łańcuchach z wysłuchanych litanii, wisieli nad nami posepni aniołowie, każdy z wielkim mieczem nacełowanym w czubek dziecięcej główki, nie widać ich, ale są tam, łańcuch zgrzyta, miecz się obniża, po milimetrze za grzech, po ogniwie za złą myśl; wszystkie dzieci czują nad sobą ciągłą obecność aniołów kary. Zawsze na początku to, co prawdziwe, jest niewidzialne.

Potem oczywiście wyrosłem z zabobonów przodków i z lęków nienazywalnych. Pozostały tylko rzeczy namacalne, uporządkowane, nawet w bałaganie - uporządkowane, czyli zgodne z naturą świata. Tak dojrzewa człowiek - ale czy tak dojrzewa świat?

Opowiedziane pochodzi z nieopowiedzianego. Nieprawda, że na początku było Słowo - to był jedynie początek tego, co można już nazwać i zapisać.

Plata opowiadał o swoich kuzynach, był z Lwowa, mieli tam rodzinny zakład kamieniarski; otóż Plata okazał się specjalistą od epitafiów kutych na nagrobkach, kamienna kaligrafia stanowi sztukę trudną i subtelną. Trzeba mieć oko i rękę i wyczucie! Jak do karabinu! Rozpalony czornobylinową gorzałką, recytował zapamiętane mortifikalia.

*Wstanę, Panie,
Gdy mnie będziesz budził,
Lecz pozwól spocząć,
Bom się bardzo strudził.*

Nie przypuszczałem, że alkohol aż tak uderzy mu do głowy - bo rzeczywiście chłop wstał, wstał i dostał kulę między łopatki. Padł bezwładnie.

Tak zaczął się nocny atak. Podeszli od południa i od zachodu, wzdłuż drogi. Gdyby mieli moździerz... Nie mieli moździerzy. Widziałem ich, jak się przemykają przez ugór i łąkę, skradają w trawie. Niech się zbliżą na trzydzieści, dwadzieścia, piętnaście metrów. Nigdy nie byłem dobrym strzelcem, z wiekiem i z pogarszającym się wzrokiem jeszcze marniejszym - a te karabiny z pierwszej wojny światowej wydawały mi się wyjątkowo nieporęczne. Co prawda panowie Słuczyńscy bez problemu przestawili się na broń dwudziestowieczną. Z parteru szła palba nieprzerwana. Ja jednak miałem lepszy ogłąd przedpola. Zawołałem przez klapę o drugiego człowieka. - Plata trup! - Usłyszeli, pojawił się Achilles Słuczyński, małoletni syn Bolesława.

Od razu poczołgał się ku północnej krawędzi dachu: ze wzgórz zjeżdżali kozacy. Sześć, dziesięć, dwanaście, nie cała sotnia, ale na pewno ponad dwanaście koni. W świetle gwiazd lśniła klinga krzywej szabli dowódcy. Wskazywał nią ku nam. Rozległ się przenikliwy gwizd. Achilles zaczął do nich strzelać. Położyli się na karkach rumaków, one przeszły w galop. Od kiedy to jazda szturmuje ufortyfikowane zabudowania? Powinni zejść z siodła, przypaść za osłonami... Podciągnąć jakieś działko... Lecz jeśli go nie mają, a rozkaz bezwarunkowy - kiedy lepiej podejść niż nocą? kiedy lepiej niż gdy obrońcy muszą jednocześnie odpierać atak z drugiej strony? Okazja się nie powtórzy. Wystarczy, że

dopuszczymy ich na szczyt wzniesienia, poczta nie bunkier. Rozniosą nas na szablach, wystrzelają z przyłożenia. Wróg od południa, wróg od północy, wróg od wschodu i zachodu - znowu się nie obronimy, ta noc się powtarza bez końca.

Któryś z piechociarzy podchodzących od lasu - musiałem się zagapić, bo przeskoczył drogę, zanim spostrzegłem, nie zdjęli go żołnierze z okien na dole, nie zdjęli Słuczyńscy - któryś z Sowietów doskoczył do południowej ściany budynku poczty i wrzucił do środka granat. Co wiem, bo usłyszałem okrzyk sierżanta: - Pod oknem, sukinkot! Granat! - Huknęło. Cały dach podskoczył, z kwadratowego otworu buchnął biały dym. Ktoś wrzeszczał o pomoc, ktoś przeklinał cara, ktoś wołał matkę. Plułem ostrym szklivem, pękł mi ząb.

Z pola rozległy się rosyjskie komendy. Wychyliłem się poza krawędź dachu - kula świsnęła mi koło ucha, ciało szarpnęło się wstecz wbrew woli. Wychyliłem się po raz drugi - był prosto pode mną, kucał przy oknie, szykował drugi granat. Biegli kolejni, cienie na ciemnej łące. Wiatr niósł zapach prochu.

Kichnąłem i uniosłem karabin. Zimny zar uderzył wzdłuż prawego przedramienia i przez bark, igła lodowatego ognia; sięgnęła chyba samego kręgosłupa. Padłem na plecy. Przestrzelili mi rękę? Podciągnąłem rękaw. Nie, to tylko skóra, to powierzchowne, mogę poruszać, kości całe. Ale piecze jak cholera. I leje się krew. A na tym dachu śmietnik, ptasie łajno i wieloletnie rzygowiny niebios, zaschnięte, zaskorupiałe. Byle nie wetrzeć w ranę. Na dole mają bandażę.

Z północy powtórnie dobiegł dźwięk gwizdka. Achilles Słuczyński wołał o ładownice. Zacząłem się czołgać w kierunku wjazdu, z którego - Grzmot. Wszystko runęło. Spadłem razem z gruzem, między gruz, w gruz. Przykrył mnie ciężki całun papy.

Dzwoniło w uszach, usta zalewała krew, nie czułem nóg. Mrugałem - oczy piekły, zalewane brudnymi łzami - mrugałem, aż powoli z ciemnych plam wyłoniły się konkretne kształty. Z zawaliska wystawała czyjaś ręka zaciśnięta na kolbie karabinu. Dalej, oderwany razem z częścią szyi, łeb konia, jeszcze w uprzęży. Po cegłach płynęła czarna woda. Druki urzędowe, koperty, kartki pocztowe, znaczki - płynęła na to białe ściernisko papieru. Nad wszystkim unosiła się gęsta chmura pyłu, wapienna mgła, przez którą wzrok nie mógł się przedrzeć. Coś tam się poruszało w nocnym mroku - idą nas dobić - ale oczy znów załzawiły obficie, oślepiłem. Tarłem powieki o rękaw. Oddech przebijał się przez ciężką zawieszinę zanieczyszczonego powietrza, by powrócić do płuc razem z pyłem. Zaraz się uduszę. Roztrzaskany karabin wbijał mi się w obojczyk; może rzeczywiście wbił się w ciało.

Ostrożnie uwolniłem spod zwału prawą rękę. Do nóg stopniowo wracało czucie i to był ból. W uszach też już przestało dzwonić. Uniosłem głowę. Jeszcze ktoś strzelał, raz,

drugi, trzeci - liczyłem - I potem salwa z dwóch luf naraz, i cisza. Zbliżające się nawoływania. Śmiechy i krzyki po rosyjsku. Konie, zapach koni. Przełknąłem ślinę smakującą wapnem, prochem i krwią.

Ktoś jęczy. Huk wystrzału - blisko, tuż obok. Gruz nadal się osypuje, słyszę ten szmer, i szelest deptyanego papieru - obróciłem się na plecy - kroki - powiew wiatru przesunął tuman gęstego pyłu i zza kurtyny rozerwanej papy wyłoniła się sylwetka w szarym płaszczu, z długolufym rewolwerem w wyprostowanej ręce. - *Jeszcze zdies', sobaka!* - śmieje się krasnoarmiejec. - *At, i sobaczja smiert'!* - Odciąga kurek. Wyrrywam z kabury pistolet i strzelam mu w pierś, raz, dwa, trzy, i po raz czwarty w głowę, gdy padał. Padł.

Zaraz przyjdą po mnie. Próbuję się wyczołgać spod gruzu, spod papy. Kaszlę coraz głośniej. Nogi jeszcze nie do końca posłuszne, nie dam rady, nie ucieknę, idą po mnie, słyszę. Wściekłość pulsuje w gardle, pluję krwawą flegmą. Pieprzony Młot. Co za idiotyczna. Wszystko to. Gównno.

Ale - znowu jakby dudnienie w uszach i zawrót głowy - trzęsie się ziemia. Łomot kopyt. Kozacy? Nie.

Fala hałasu przepływa po wzgórzu i ruinie poczty: łomot kopyt, tak, ale również chrzęst metalu, wielki szum, rwane okrzyki... Kilkanaście sekund, nie dłużej - zdążyłem trzy razy obrócić głowę w panice, przenieść ciężar ciała z ręki na rękę... i już cisza, i ziemia spokojna, i mgła nieruchoma.

Oddycham powoli. Cisza, cisza, nic się nie rusza, nikt nie woła, nikt się nie śmieje, nikt nie strzela. Wiatr powoli przegania znad pobojuwiska chmurę pyłu. Oddycham głębiej. Pojawia się linia horyzontu, niebo, gwiazdy na niebie, kształty wzgórz, cień lasu, bliżej czarna wstęga asfaltu. I ciała - tu, w gruzie, na gruzie, ale i w trawie, i na drodze. Rozpoznaję mundury: Sowietów, kozacy, zawsze Rosjanie. Wstaję, oddycham pełną piersią. Podpierając się rozłupanym karabinem, kulejąc, schodzę z wysokiej ruiny na ziemię. Jeden z trupów spoczywa tuż obok, na betonie pocztowego parkingu. Jeśli wszystkie prezentują się tak samo... Zostali rozsiekani, stratowani. Spoglądam ku wzgórzom. Samotny koń wlecze za sobą złamaną nogę. Nie śpiewają nocne ptaki, nie grają owady, nawet wiatr jest bezszelestny. Cisza, noc.

- Szyje chłótry! - krzyczę. Sплюwam, odchrząkuję; nie pomaga. - Odeswacz sze!

Cisza, noc. Czarna woda płynie po ceglach. Opada pył.

Gdyby ocalały nieprzyjaciel miał mnie ustrzelić, to właśnie teraz.

Pokuśtykałem do samochodu.

Żadna szyba się nie ostała. W karoserii dziury. Tylne zderzak rozharatany. Na masce

głębokie wgniecenie w kształcie podkowy. Tylne lewe koło rozprute. Na dachu ciśnięta przez podmuch eksplozji dykta, jeszcze z przypiętym cennikiem rozmów telefonicznych i prenumeraty.

Wsiadłem. Po czym przez ponad kwadrans tkwiłem bez ruchu za kierownicą fiata, z głową opuszczoną bezwładnie, czołem wpartym w chropowaty plastik. Żadnych myśli, żadnych lęków, żadnej pamięci. Pustka, nicość, wiatr w czaszce, głuchy szum w pudle rezonansowym. Stuknij milicjanta w łeb, odezwie się echo.

Powoli zebrałem się do kupy - bełkot do bełkotu, do bełkotu bełkot, i w końcu pojawia się sens: spieprzaj stąd, bęcwale. Znalazłem chusteczkę, wysiakałem nos, znalazłem termos (jeden ocalał), napiłem się herbaty, znalazłem kluczyki. Co szkodzi spróbować? Wzruszyłem ramionami. Zapali, nie zapali? Zapalił; rzeził, ale zapalił.

Zapasowe koło. Pewnie przestrelili je w bagażniku, razem z bagażnikiem. Wsiadłem, pokuśtykałem do tyłu. Bagażnik się zaciął, musiałem znaleźć w gruzowisku kawał żelastwa i podważyć zamek za pomocą tej prowizorycznej dźwigni. To wtedy, obchodząc ruinę w poszukiwaniu wytrychowej wajchy, zacząłem się bać, że w istocie ktoś z nich przeżył - ktoś z Rosjan, ktoś z obrońców wiejskiej poczty, bez różnicy, przeżył, odzyska przytomność, zaraz zawoła o pomoc, i co ja wtedy zrobię? W pośpiechu sprawdzałem zapasowe koło. Kanistry podziurawione, ale ono wyglądało na nieuszkodzone. Rana na ręce piekła coraz bardziej, wzdłuż całego lewego boku zapewne wykwiwały już sińce w bujnych bukietach, ich na razie dzięki Bogu nie czułem, kilka zębów ruszało się w dziąśle, plułem krwią - nieważne, wymienić to koło i czym prędzej odjechać. Spieprzaj stąd, bęcwale!

Świt zastał mnie przykucniętego za fiatem, nie spostrzegłem ich, dopóki się nie podniosłem, by wrzucić narzędzia do bagażnika. Szli poboczem po przeciwnej stronie szosy, od południowego zachodu ku wsi na dole, powoli, noga za nogą. Ten na przedzie procesji niósł prymitywny krzyż sklecony z dwóch desek. Gdy nad lasu podniosło się Słońce - patrzyłem, stojąc z brudnym żelazem w rękach, w smarze i we krwi, ponad maszyną - na pierwszy blask jutrzeńki padli na kolana w piasku przydrożnym i zaczęli śpiewać. Śpiewali oczywiście jakąś modlitwę, litanie, psalm; nie znałem tego języka, nie polski, nie rosyjski i nie łacina. Czym prędzej zatrzaskałem bagażnik i wróciłem za kierownicę; kluczyk dwa razy wypadł mi z niezgrabnych palców. Wszyscy byli w nędznych łachmanach, szarych, burych, czarnych, boso lub w jakichś topornych drewniakach, bardzo brudni i bardzo brzydzy, chudzi, niscy, przygarbieni. Powiał wiatr i poczułem bijący od nich smród. Fiat zapalił. Zacisnąłem mocno ręce na kierownicy, przestały się trząść.

Wycofałem i zawróciłem ku północy. Trzymając się czterdziestki, zjechałem ku wsi.

Po prawej, przy remizie - pamiętam, że go mijalem - stał posterunek MO. Zwolniłem, by się lepiej przyjrzeć. Pozostały zgliszcza. Dlaczego w nocy nie widziałem ognia? Do krzywego słupa przystanku PKS przywiązano konia z kozackim rzędem, uniósł łeb na warkot samochodu. Dzieci bawiły się w pogorzeliisku, umorusane spalenizną. Zwolniłem jeszcze bardziej. Za remizą, na otwartym polu - trzask, zmiana filmu, obraz z zupełnie innej bajki: chłopci w odświętnych marynarkach i czystych koszulach, baby w kolorowych chustach zawiązanych na włosach, dzieci o czystych buziach i dziewczęta w jasnych sukienkach, wszyscy stali z czerwonymi chorągiewkami w dłoniach, z nagotowanymi szturmówkami i transparentami - PRZYJAŹŃ ZE ZWIĄZKIEM RADZIECKIM NIEODZOWNĄ RĘKOJMIĄ BEZPIECZEŃSTWA POLSKI - WALKA O POKÓJ OBOWIĄZKIEM WSZYSTKICH LUDZI PRACY - NIECH ŻYJE SOJUSZ ROBOTNICZO-CHŁOPSKI - WIEŚ Z MIASTEM, MIASTO Z WSIA. Na remizowym parkingu czekały na nich autobusy, z głośników chrypiała *Międzynarodówka*. Za rogiem remizy ułożyli wysoki stos z drewna, leżał na nim brzuchaty mężczyzna w czarnym garniturze, z dłońmi skrzyżowanymi na podołku, na portrecie Jaruzelskiego. Stos obchodził starzec w galowym mundurze strażaka, w lśniącem hełmie, i kropił ziemię krwią koguta trzymanego wysoko nad głową za wywichnięte skrzydła, koguta, któremu właśnie poderznął gardło. Potrząsnąłem głową. Inna - czy właśnie jedna i ta sama to baśń? Strażak zakończył okrążenie i podpalamo stos. Z remizy wyszedł milicjant, pyzată twarz miał symetrycznie pomalowaną popiołem, w ramionach ścisnął kamienną urnę, na której prymitywnie wyrzeźbiono ludzkie oblicze. Baby zaciągnęły chusty na oczy, chłopci pochylili czerwone szturmówki. Dziewczynka w białej pierwszokomunijnej sukience, z kwietnym wiankiem we włosach, uklękła i położyła się na ziemi przed stosem. Starzec wskazał kogutem, w którym kierunku kładzie się czarny dym znad stosu pogrzebowego, i zdjąwszy hełm, pokłonił się czterem stronom świata.

*Dziś lud roboczy wsi i miasta
W jedności swojej stwarza moc,
Co się po ziemi wszere rozrasta,
Jak świt łamiący wieków noc!*

Wcisnąłem gaz.

1 maja 1986

Musiał się zepsuć, było pewne, że się zepsuje. Ręce i nogi jak z ołowiu, nie chciały mnie już słuchać, ale jeszcze zepchnąłem go na pobocze i głębiej, za pierwsze zarośla, za wysokie krzewy, aż stał się z szosy prawie niewidoczny.

Radio nie odbierało nawet szumu, zniszczone. Pierwsza normalna miejscina - znaleźć w niej działający telefon albo jednostkę wojskową z niezależną łącznością, albo lokalny Komitet Partii, albo - Tak czy owak, muszę się przespać. Łeb mi pęka. Przynajmniej tyle dobrego, że wrzody się na razie nie odzywają. Ale we łbie - tysiąc przodowników pracy napierdała młotami pneumatycznymi, zaraz przerąbią się do zatok i skroni, wyjdą czołem. Zwinąłem się na tylnych siedzeniach, przykryłem kurtką i zamknąłem oczy.

Dlaczego nie mijają mnie żadne samochody, ani z północy, ani z południa? To było najbardziej niepokojące. Przypomniałem sobie wczorajszą zawalidrogę, jak star odciągał obalone na szosę drzewa. Czy to możliwe, że w ten sposób zablokowany został cały ruch przez tereny zalesione?

A co ci chłopci wyprawiali w pierwszomajowy poranek? Puścili z dymem posterunek MO? Ale milicjant ocalał. I kogo palili na tym stosie, kierownika pegeeru? Poszaleli, czornobylina padła im na mózgi.

Inna rzecz, że gdyby parę godzin wcześniej się zjawili na wzgórzu pocztowym, mogliby mnie zapytać o to samo - i co bym im odpowiedział? Że oszalałem? Nie oszalałem. *Organizmy w chwili opadu żywe wydają się odporne na działanie czornobyliny.* Ale na czym właściwie ono polega? *Procesy entropijne ulegają odwróceniu.* Nie mam pojęcia, co to znaczy, ale cokolwiek tu „ulega odwróceniu” - po czym poznać, czy sami znajdujemy się na zewnątrz procesu?

Historia zbiega się jak skurczony w praniu szalik: wszystko jest sobie bliższe, lecz nijak nie stwierdzisz, ku któremu końcowi się zbiegło, lewemu czy prawemu, ku jakiemu punktowi, gdzie koniec, gdzie początek, nie ma, nie ma, nie ma początku...

Obudziło mnie zwierzęce prychnięcie, bardzo głośne w ciszy lasu. Spojrzałem na zegarek. Szesnasta dwadzieścia trzy. Kontynuując ruch, ręka z zegarkiem sięgnęła ku rękojeści pistoletu. Koń tłukł kopytami o asfalt, trzeszczała uprząż. Męski głos nucił kołysankę. Obróciłem się na lewy bok i przysunąłem głowę do zarośli, zerkając między zielenią; w braku szyb, część gałęzi wbiła się do wnętrza fiata.

Na środku jezdni, na białej linii, stał potężny siwek z zapakowanym w dziwną stalowo-skórzano-kościaną zbroję jeźdźcem na grzbiecie. Jeździec pochylał się w siodle; klepiąc szyję zwierzęcia, przyglądał się asfaltowi i namalowanym na nim długim prostokątom. U siodła, pod nogą, przymocowany miał wielki miecz.

Wyprostował się i rozejrzył, stając w strzemionach. Nie miał hełmu. Twarz pokrywał mu gęsty, czarny zarost. Włosy wiązały rzemienie z kościanymi ozdobami, które klekotały sucho, gdy rycerz obracał głowę. Nucił przez zaciśnięte zęby, gryząc w zamyśleniu długie źdźbło trawy. Rozejrzył się jeszcze raz i szarpnął uzdę - koń skoczył prosto ku mnie.

Wypadłem z wozu z przeciwnej strony. Fiat się zatrząsł, pękła blacha. Pognałem między drzewa.

- Stai! - krzyczał rycerz. - Stai tu!

Zdyszany, wyrząłem zza pnia. Utkwiwszy we mnie wzrok, okrążał powoli fiata; podniósł z jego dachu długą gałąź i strącał nią z auta resztę zielonego kamuflażu.

- Nu, poidzie, bratu. - Machnął na mnie tą gałęzią. Wypluwszy źdźbło, uśmiechnął się. Brakowało mu kilku przednich zębów. - Nie zbijem.

To akurat zrozumiałem.

Wyjąłem i odbezpieczyłem pistolet, po czym wyszedłem zza pnia. Podjechał powoli.

Przez chwilę przyglądał mi się z pogodnym zaciekawieniem. Dopiero teraz, z bliska, zauważyłem świeże otarcia i stłuczenia na jego czole, szramę zdartej skóry nad uchem, wgniecenia pancerza.

Wskazał gałęzią na północ.

- W późno pochodno wsje ludzje z braty zjemi. Idzie k'rodu. Umał?

- Ni cholery nie umał. - Zadarłem głowę. Uśmiechał się uspokajająco. - Kto ty w ogóle jesteś, Jurand ze Spychowa?

- A, jura! - Klepnął się w pierś. - Rudak. Zruczy na wietrzy. Pasiadył u wielu juratew w mieście, na tym izliczy, tak i z drugami. Umał-li prawil?

- Ku chwale socjalistycznej ojczyzny - mruknąłem, rozcierając guz nad karkiem. - Zaraz, czego ty ode mnie chcesz? - Spojrzałem na północ, gdzie droga znikwała między ścianami zieleni. - Stamtąd przyjechałeś, czy tam jedziesz?

- Tamto widziesz, jura t'bratu. - Jeszcze raz wskazał gałęzią, po czym cisnął ją w las, ściągnął uzdę i skierował siwka z powrotem na asfalt. - Idzie k'rodu, jura! Idzie k'rodu!

Pokłusował wzdłuż białej linii, na północ.

Niech mnie szlag, jeśli napiszę z tego raport.

Wróciłem do fiata. Zdjąłem zniszczone ubranie; dopiero pokazały się wszystkie sińce i skaleczenia, cała rana na ramieniu. Teraz jeszcze się trzymam, ale jutro, pojutrze - pewnie ręką nie poruszę. W ustach zebrała się wielka gorycz, długo je płukałem. Resztę herbaty zużyłem, by obmyć ranę, po czym posypałem ją jakimś żółtym paskudztwem z apteczki, według wyblakłej pieczątki na opakowaniu - o dekadę przeterminowanym. Bandaża w

apteczce nie było, opatrzyłem ranę pociętym podkoszulkiem.

Wdziałem zapasowe ubranie, to nagotowane na Kraków: krawat, pulower, garnitur. A co! Zawiązałem ten pieprzony krawat, zezując do pękniętego bocznego lusterka. Znalazłem grzebień i nawet się uczesałem.

Zjadłem resztę kanapek, wrzuciłem do torby koc, atlas, zapasowe magazynki i prawie pustą apteczkę, po czym pomaszerowałem poboczem szosy na północ.

Jednostajny szum lasu działał jednak kojąco i po chwili zacząłem gwizdać. Śpiewały ptaki. Grzało słońce, ale chłodny wiatr nie pozwalał się spocić; wiatr, który niósł wszystkie zapachy lasu, bogaty bukiet woni dzikiej przyrody, aż się płuca same otwierały i unosiła pierś. Nawet sosny, brzozy i lipy zdawały się wyższe, starsze, bardziej rozłożyste.

Natknąłem się na porzucony pod znakiem zakrętu rower, czarną damkę. Przynajmniej na tyle się los do mnie uśmiechnął - ale nie, dętki roweru zostały przegryzione; jeszcze tkwił w gumie żółty ząb zwierzęcia.

Po dwóch godzinach las się przerzedził i w perspektywie prostej szosy ukazał się przejazd kolejowy z opuszczonymi szlabanami i domkiem dróżnika po prawej - uroczy obrazek z galerii pejzaży polskich, jeszcze tylko w tle starej ciuchci na torach brakuje.

W domku paliło się światło: błądy prostokąt jedynego okna dróżniczówki rozświetlony był od wewnątrz. Przypomniałem sobie, że jadąc na południe, istotnie stałem dłuższą chwilę przy tym przejeździe. Jeszcze trzydzieści-czterdzieści kilometrów i wejść w kraj dożynek i snopowiązałek, między pola i wioski. Jeśli mapa nie kłamie, wcześniej powinny być dwa miasteczka i stacja benzynowa. Szosa się krzyżuje z drogami lokalnymi, najbliższe skrzyżowanie - Z dróżniczówki wyszła kobieta i zaczęła machać i krzyczeć do mnie. Uniosłem rękę. Pojawili się kolejni, ponad dziesięcioro; jeden był w mundurze kolejarza. Dwoje dzieci huśtało się na szlabanach, długowłosa nastolatka karmiła jamnika. Starzec w marynarce z przypiętymi orderami drzemał w cieniu pod ścianą. Bezzębna babka żuła powoli czerstwą bułkę ze smalcem.

Zajrzałem do wnętrza dróżniczówki. Był prąd, grzałka gotowała wodę w emaliowanym garnczku, migotała naga żarówka. Na blacie pod oknem stał telefon. Za drzwiami, w rogu przy wejściu, piętrzyła się sterta walizek i toreb.

Ludzie przekrzykiwali się za moimi plecami, wołali, skąd idę, co to za awaria, czy widziałem tego a tego, gdzie tu jest przystanek pekaesu... Ktoś złapał mnie za ramię. Wyrwałem się.

- Rozejść się! - warknąłem. - Nie utrudniać!

Podniosłem słuchawkę. Brak sygnału.

- Przejeżdżał tędy rycerz?
- Co?
- Czy przejeżdżał tędy rycerz?

Tłoczyli się w progę.

- Rycerz?
- Jaki rycerz?
- Ale niech powie, co się dzieje!
- O co on pyta?
- Rycerz.

Wskazałem wyprostowanym palcem na kolejarza.

- Wy, obywatelu. Obsługujecie ten przejazd?

Okazało się, że nie, to nie jest dróżnik, lecz konduktor z pociągu osobowego, który stanął kilkanaście kilometrów na wschód stąd, w gęstym lesie, gdy zerwało trakcję. Nie wiedział, jaka jest przyczyna awarii; nie mieli z elektrowozu łączności z rozrządem. Po długich deliberacjach część pasażerów zdecydowała się iść do najbliższej stacji wzdłuż torów. Doszli tutaj. Czekali kilka godzin, ale nie przejeżdżał żaden samochód. Poszli dalej szosą, na północ, bo tam widzieli na horyzoncie dymy. Zostało przy dróżniczówce tych piętnaścioro, którzy albo nie mieli siły iść, albo nieśli najcięższe bagaże, albo po prostu sądzili, że czekać tu jest najrozsądniej.

- A dróżnik?
- Diabli wiedzą. Przejazd był zamknięty, już jak przyszliśmy.
- O której poszła stąd tamta grupa?
- Ze trzy godziny temu.
- I nie widzieliście rycerza?

Zjechał z szosy w bok, mijałem przecież na wpół zarośnięte przesieki. Gorsza sprawa z pasażerami, co poszli dalej na północ. Przez ten czas powinni byli dojść przynajmniej do stacji benzynowej. A skoro nie zawrócili - Palnąłem się w czoło. I ja się zastanawiam, dlaczego nie ma ruchu na drogach! *Zmobilizuje się ZOMO i wojsko dla zamknięcia w kwarantannie obszarów wyjątkowo kłopotliwych.* Granice kwarantanny nie mogą przebiegać daleko, inaczej obserwowałbym ruch wewnętrzny; zatrzymują wszystko na blokadzie. Druty też przecież nie zerwane, ani pocięte, tylko po prostu odłączyliśmy linie w centrali.

Wyszedłem z dróżniczówki, uniosłem głowę.

- Widzieliście przelatujące samoloty, helikoptery? Smugi na niebie?

Pokręcili głowami, rozłożyli ręce.

Granice kwarantanny nie mogą przebiegać daleko - a ponieważ wiem, że nie przebiegają tu na południu, powinienem iść dalej na północ. Pasażerowie z pierwszej grupy nie wrócili, bo z miejsca ich internowano. Do środka resort nie wpuści pewnie nikogo, dopóki Szajs i kumple nie położą głów, że opad czarnobyłski się już skończył. A i wtedy Warszawa ściągnie w pierw jednostki chemiczne. A najpewniej czekać będą na wytyczne z Moskwy.

Czy Młotowi mogło chodzić właśnie o to? Gdyby Kraków został zamknięty w kwarantannie -

- Hej, dokąd pan idzie?

Zatrzymałem się po drugiej stronie szlabanu, na torach.

- Nie widać? Przecież nie zawrócę. A kto stanie na nogi - droga wolna.

- No wiecie państwo!

Ruszyłem za drugi szlaban, nie oglądając się za siebie. Dogonili mnie przed lasem - ośmioro, w tym konduktor.

Za pierwszym zakrętem leżał na jezdni trup żołnierza Wehrmachtu, ze schmeisserem w garści.

Dotknąłem jego policzka - jeszcze ciepły.

- Słyszeliście może strzały?

- Strzały?

- O Boże, on nie żyje!

- Widzisz pan ten mundur?

- Trzeba po pogotowie - Sprawdziłem schmeissera, odpiąłem od zwłok pas z ładownicami.

- Kto był w wojsku?

Konduktor, orderowy starzec i pryszczaty okularnik unieśli ręce po chwili niezdecydowania, gdy wszyscy tylko spoglądali na siebie pytająco. Podniósł rękę też zezowaty chłopak, ale matka trzepnęła go w ucho.

Skinąłem na konduktora. Przyjął z moich rąk pistolet maszynowy w milczeniu, przejęty, jakby to sam Pierwszy Sekretarz go dekorował.

- A w ogóle kto pan jest? - rozdarł się pryszczaty. - Co się pan rządzi! Znalazł się - Podsunąłem mu pod nos legitymację. Zmrużył oczy, przeczytał, otworzył usta.

- Nazwisko! - warknąłem.

- Małecki - pisnął i uciekł za kobiety.

Szliśmy lewym poboczem, ja pierwszy. Wyjąłem mapę.

- Obywatelu majorze...

- Nie jestem majorem.
- Obywatelu kapitanie...
- Czego?

Konduktor zarzucił sobie schmeissera na ramię.

- Zanim musieliśmy stanąć... Ja jeżdżę na tej linii od dziesięciu lat.
- No i?

- Bo obywatel kapitan patrzy w tę mapę i... Widzieliśmy na trasie wioski, co ich nigdy wcześniej nie widzieliśmy. Domy, zagrody, pola, ogrody, wiatraki... Że przysiągłbym.

- Tu zaraz powinna być stacja benzynowa.

Drzewa znowu się przerzedziły.

Na jezdnię wybiegł półnagi chłopczyk z dziko skołtunioną czupryną, spojrzął na nas i pognął z powrotem za zakręt.

Wyszliśmy z lasu; przed nami, jak okiem sięgnąć, aż po ciemniejący widnokrąg pod zachodzącym Słońcem, ciągnęła się kolorowa równina pól uprawnych i łąk, wieczorny wiatr kołysał złotymi łanami, nad wąskimi miedzami pochylały się drewniane strachy, ptaki krążyły nad zagonami.

Na drodze stało chłopstwo z kosami, grabiami i widłami w rękach i wrzeszczało na siebie ponad białą linią.

- Obywatelu kapitanie, oni wyglądają, jakby -
- Wiem.

Siedemnasty, ale równie dobrze dziewiętnasty wiek, trudno powiedzieć. Zauważyli nas i przestali się wydzierać. Uniosłem rękę, żeby powstrzymać pasażerów pociągu za moimi plecami, te kosy wyglądały na świeżo ostrzone. Spośród chłopstwa wystąpił siwy wąsacz i uklonił się przede mną w pas, przyciskając czapkę do kolan. Schowałem mapę. Wąsacz spojrzął na mnie badawczo, nie prostując się do końca.

- Pochwalony niech będzie Jezus Chrystus.

Skrzyżowałem ręce na klapach marynarki.

- Na wieki wieków, i matka Jego, Marja Panna, a co wam tu, dobrzy ludzie?
- Ano, z pól wracamy doma, światny panie, i zgubili się.
- Zgubiliście się?

- Ano, nie ma Wylisin ani drogi piaskowej do młyna, ani górki ze spaloną stodółką nie oczym, ani karczmy z kominami, ino ta czarna ulica, i dokąd nam teraz iść, przed nocką się schować?

- Z dziećmi jesteście.

- Jużci, co młode w robocie pomagają...

- I o co się tak kłóciliście?

- Hale, zara kłócili! Bartosz mówili, coby przez las, natensłów Kołodziejowe się drażniej Żydy targowe, że tam zło i dopiero się zagubim, nato Alojzy gadajom, że ino czekać nam tu trza, aż czarcia robota się nazad obróci...

Spojrzałem ponad zgarbionym chłopem, wzdłuż prostej linii szosy, znów wędrując wzrokiem aż do równego horyzontu oddzielającego geometrię ziemi od nieskończoności niebios. Słońce chowało się już pod ten horyzont. Zero szans, żebyśmy dokądkolwiek doszli przed zmierzchem.

Ani śladu po grupie sprzed trzech godzin.

Nie ma żadnej kwarantanny.

- Wracamy do dróżniczówki!

Konduktor powtórzył reszcie. Zaczęły się narzekania i lamenty.

- Jak was wołają? - spytałem chłopca.

- Jakub, wielmożny panie, Jakub z Wylisin Józefowy. Wielmożny pan z lasu idzie -

- Niestety, Jakubie, z nami też czart poigrał. - Popatrzyłem na nich, jak zbici w kupę obserwują mnie w milczeniu, z zaciętymi, nieprzyjemnymi minami na brudnych twarzach. Doprowadzani z aresztu na dwudzieste, trzydzieste przesłuchanie często siadają na stołku przed biurkiem z takim grymasem gniewnego uporu na obliczu, zamurowani w sobie. - Ale noc idzie, a w kupie siła. Gdzie będziecie spać?

Poszli za nami do dróżniczówki.

Na ostatnim zakręcie w lesie przed torami wpadliśmy na trzech Niemców nad zwłokami swego kamrata. Dowódca krzyknął, obrócili na nas pistolety maszynowe, konduktor odbezpieczył swój - Wystąpiłem naprzód, unosząc puste dłonie.

- Mówi kto po niemiecku? - rzuciłem półgłosem, nie obracając głowy.

- Ja trochu - mruknął starzec z orderami.

- Powiedzcie im, że pójdziemy z nimi do jednostki, garnizonu czy gdzie tam będą nas chcieli zabrać.

- Co...?

- Mówcie!

Powtórzył. Zaczęły się osobliwe targi - nie chcieli nas donikąd zabierać. Ten najniższy, najmłodszy podszedł do nas z boku, poza linią strzału pozostałej dwójki, i odebrał konduktorowi schmeissera i magazynki, obszukał systematycznie cywili, na koniec pozbawiając mnie P-64. Niektórzy z początku się stawiali i bronili; powalił dwóch na ziemię,

dopiero zrozumieli. Chłopi natomiast poddawali się rewizji z całkowitą obojętnością.

Cierpliwie trzymałem ręce nad głową. Trzy pistolety maszynowe, tłum cywili - ilu z nich uszłoby z życiem? Widziałem przecież raporty z takich jatek ulicznych. Nikt nigdy nie wie, kto pierwszy nacisnął spust. Kto pierwszy rzucił kamieniem.

- Mówi, żebyśmy go pochowali.

- Pochowali?

- Mamy go zabrać ze sobą i pogrzebać. Pod krzyżem. Wrócą i sprawdzą. Jutro.

- Jesteście pewni, że dobrze ich rozumiecie?

Ale dowódca Szwabów już poganiał nas gestami, wskazywał na trupa. Zerwał był mu z szyi nieśmiertelnik, wyciągnął z kieszeni papiery, zamknął powieki.

Coś tu jest mocno nie w porządku. Miałem czas przyjrzeć się ich zniszczonym mundurom, wychudzonym twarzom, zapadłym policzkom pod wielodniowym zarostem. Cholewy butów obwiązane mieli długimi szmatami, hełmy porysowane, powgniatane, z plecaków wystawało zardzewiałe żelastwo. Od kiedy to Wehrmacht porzuca poległych na pastwę wroga? Skąd - skiedy - z jakiej ziemi pochodzą ci żołnierze? W ich oczach tylko zmęczenie - i rozpacz.

Zabraliśmy zabitego, Jakub wskazał młodzieńców, by ponieśli ciało do dróżniczówki. Niemcy bez słowa zniknęli w lesie.

W dróżniczówce zastałem siedmioro nowych - ostatni pasażerowie, którzy opuścili stojący na torach skład. Był wśród nich energiczny weterynarz, który zdążył pod moją nieobecność porozdzielać miejsca do spania, dla siebie zajmwszy kozetkę dróżnika. Ale razem z chłopami z Wylisin zebrało się nas tu już ponad pięćdziesięcioro, większość i tak będzie musiała spać na ziemi. A jak zacnie padać?

- Pod drzewa, do lasu.

- W błocie?

- Wracajmy lepiej do pociągu, tu i tak nic nie jeździ, jutro pójdziemy dalej na południe.

- Albo naprawią już trakcję.

- A jak wjedzie w niego po ciemku inny pociąg?

- No właśnie musieliby wcześniej naprawić trakcję...!

- Parowóz.

- Prędszej drezyna.

- Są gwiazdy, nie będzie padać.

Wyszedłem na papierosa. Na niebie rzeczywiście migoczą jasne konstelacje. Las

szumi i skrzypi, odzywają się zwierzęta. Czy żyje tutaj jakaś grubsza zwierzyna? Uśmiechnąłem się, wydychając dym. Na ten przykład tury.

Jakubowi chłopci rozkładali się za dróżnicówką, na granicy lasu moszcząc na wyściółce zielone posłania. Zapłonęło pierwsze ognisko. Trzymali się z dala od pasażerów, uciekając przed ich pytaniami i opuszczając wzrok ku ziemi. Natomiast dzieci goniły się ze śmiechem między drzewami, te bose i w przepasanych konopnym sznurem portkach, i te w trampkach i dzinsach. Trup Niemca leżał pod okapem, przykryty żółtym brezentem. Obwąchiwał go przywiązany do szlabana jamnik.

To nie ma przyszłości, pomyślałem. To w ogóle nie istnieje poza chwilą terażniejszą, nie istnieje w czasie. Co „teraz” dzieje się w moim domu? Dziadek pewnie bawi się z chłopakami w partyzantkę, Lidka siedzi przed starym telewizorem, zrzedząc na zepsutego panasonica i na mnie, na mnie głośniej, i ogląda relacje z pochodów... Nie ma żadnego „teraz” poza tym przejazdem kolejowym.

Jest jednak pamięć i z niej rodzą się podejrzenia. Co ciągnęło Gniewosza do Wątlego, dlaczego musiał być wrócić do swego mordercy - instynkt czy wspomnienie? - wrócić i śledzić, chodzić za nim przez miasto, dzień i noc, jak upiór, jak duch szekspirowski? Czy to jest jakaś reguła, nieuniknione następstwo historii, przyciągające ofiarę do kata, wroga do wroga, jak syna do matki, kobietę do mężczyzny, że znajdują się niechybnie za każdym razem, w każdych okolicznościach, i tu, i „teraz” także, jak ci kozacy, krasnoarmiejcy, powstańcy, żołnierze II Rzeczypospolitej, Niemcy i Polacy, myśliwi i tur, rycerz i -

Więc dlatego Młotowi zależało, by królowie, wodzowie nie wstali z Wawelu - czy to go tak przeraziło (teraz wiem: był przerażony), że nie dowierzał ludziom ze Służby krakowskiej, tylko jeszcze mnie musiał posłać, uciekając się do osobistego szantażu...? Skąd by jednak wiedział, jeśli nie od doktora Szajsa -

- Kapitanie Rzewiecki.

Obejrzałem się na weterynarza, zdumiony. Nie odwrócił oczu.

- Wylegitymował się im pan, prawda? Opowiadają sobie teraz, jak pan nie słyszy.

Poczęstowałem go silesiami. Zapalił.

- A więc zawrócił pan. - Zakaszłał, ale zaciągnął się po raz drugi. - Czego się pan tam spodziewał?

- Może mam nieaktualną mapę drogową. Wskazał na zwłoki Niemca.

- Oni jeszcze nie wiedzą, co o tym myśleć.

- Pan wie.

- Najpierw poszedłem na przełaj, przez las i łąki. Zobaczyłem -

- Co?

Potrząsnął głową.

- Tu wszędzie są pobojowiska. Padali, gdzie ich zabito. Ale ci, którzy spłynęli już do ziemi, którzy krążą w sokach drzew, w robakach wędrujących przez czarną glebę, ci, których spalono, którzy opadali z dymem stosów i krematoriów... A wszyscy oddychamy tym powietrzem. Pijemy tę wodę, jemy ten sam chleb.

Straciłem popiół z papierosa.

- Kim pan jest? - spytałem uprzejmie.

- Leczę zwierzęta.

Leczył zwierzęta. Nie wiem, czemu sięgnąłem lewą ręką i nacisnąłem skórę na karku i nad karkiem, na kości czaszki. Guz, nic więcej. Dla pewności spojrzałem na palce. Ani śladu krwi, nawet rozcięcia nie ma.

Przypomniałem sobie studenta Wątlego. To też był tył głowy. *Żyje. Znaczy, nie ma śladu.*

Papieros wypadł mi z dłoni. Ale przecież - *organizmy w chwili opadu żywe wydają się odporne na działanie czornobyliny. Musi minąć co najmniej dwadzieścia godzin od kontaktu z substancją przenoszoną drogą powietrzną. Minęło?*

To przyspiesza.

Niemożliwe. Jak. Kiedy. Bzdura.

Wciągnąłem głęboko do płuc nocne powietrze, chłodny oddech lasu.

To musiało się stać na poczcie. Ale kiedy? Nie straciłem przytomności. Nie trafili wtedy - jedna powierzchowna rana na ramieniu, cóż to znaczy, ot, draśnięcie. Lecz gdy upadłem w gruz, przywaliło mnie, dostałem w głowę, po raz drugi... Nie, też nie było czasu. Odjechałem. Nie straciłem przytomności, nie było przerwy. Dopiero jak zasnąłem w aucie... Zasnąłem?

- Udar krwotoczny. Boli pana głowa?

Czy ja to wszystko mówiłem na głos?

- Bolała. Teraz - nie, teraz nie boli.

- Od kiedy? Zażywał pan coś na nadciśnienie?

- Tak. Ale ostatnio -

- Brak czucia, paraliż, niedowład?

- Nie. To znaczy - ale to po upadku, potłukłem się... No tak.

- Pogorszył się panu wzrok?

- Myślałem, żeby do okulisty iść... - Zamrugałem. - Teraz dobrze widzę.

- Teraz dobrze.
- Już nie boli.
- Nie.

Znajomy z Biura Śledczego miał wylew podpajęczynowy. Też nie od razu go trzepnęło. Najpierw wszystko leciało mu z dłoni, zaczął bełkotać, potem nie mógł wstać z krzesła, lewa ręka, lewa noga, jak drewno. Kilka godzin, dopiero przyjechało pogotowie, musieli go znosić po schodach na tym krześle, przywiązanego pasami do krzesła. I kiwnął w nocy, w szpitalu. Też we śnie.

A mnie - co podniosło, kto obudził? Cholerny rycerz. *W późno pochodno wsje ludzje z braty zjemi.*

...Może Młot wcale nie wysłał mnie, bym monarchów zmartwychwstałych mordował - nie znał żadnych sekretów czornobyliny, nie uczestniczył w rozgrywkach Biura Politycznego - Młot miał tylko moją teczkę, mój życiorys, życiorysy moich przodków, to, czego sam o nich nie napisałem - czego sam o nich nie wiedziałem - czego nie wiedziałem o sobie samym, ale założona zostałateczka na moją duszę, spisane sny i marzenia i koszmary, coby w nich mogli nikotynowymi paluchami grzebać urzędnicy o nalanych twarzach - może więc wysłał mnie tylko po to, by się mnie pozbyć z miasta na czas skażenia opadem...

Przyglądałem się ubiorowi weterynarza. Szare spodnie, koszula w kratę, kurtka - wszystko pasowało, nie potrafiłbym wskazać żadnego anachronizmu. A jednak... Zbyt czyste. Zbyt dobrze na nim leżą. On sam jest zbyt spokojny, zbyt swobodny. I zbyt młody, zbyt młodo wygląda. Buźka gładka, jak świeżo ogolona. Zęby bielutkie niczym z amerykańskiego filmu. Obraca papieros w dłoni z dziecinnym zaciekawieniem. Pierwszy raz w życiu zobaczył. Okaz muzealny.

- W każdym razie nie przez nikotynę -
- Gdybym ich spytał, czy ktoś w ogóle przypomniałby sobie pana w tym pociągu?
- Ja się w oczy specjalnie nie rzucam.
- Aha. Powinienem był wcześniej się domyślić. - Spojrzałem na chłopów. - Przecież oni wszyscy nie umarli, prawda? To znaczy - nie padli wtem martwi na polach, podczas żniw. Więc jak? Więc z jakiej ziemi... A tak samo patrzą na mnie, patrzą na nas i zachodzą w głowę. Nic nie wiedzą o Czornobyłu.

- Jakim Czornobyłu?
- Proszę nie udawać, że... Prawda, w pana czasie musiało to przyjść jakoś inaczej -

Z lasu wyskoczył z głośnym lamentem brodaty chłop. Dopadłszy Jakuba, jał mu wykrzykiwać prosto w twarz, wznosząc przy tym ku niebu zaciśnięte pięści. Zaraz zbiegli się

ludzie. Nie szło cokolwiek zrozumieć w rosnącym rozgardiaszu. Ale ci, co mieli tu ze sobą dzieci, zaczęli je naraz przywoływać, odciągać, byle dalej od drzew. Rwący włosy z głowy chłop wskazywał w głąb lasu, machał rękoma, rysując w powietrzu wysokie kształty. Panika rosła między nami jak balon, gotów pęknąć w każdej sekundzie.

Wymieniłem z weterynarzem spojrzenia. Uśmiechał się porozumiewawczo. Zapewne nie miałem zbyt pewnej miny. Wyciągnął przed siebie rękę z papierosem, jakby wskazywał mi drogę, zapraszał, puszczał przodem w drzwiach, z ironicznym ćwierćukłonem i pytającym uniesieniem brwi.

- Panie Rzewiecki.

Zapiąłem marynarkę, poprawiłem krawat, przyglądziłem włosy i wszedłem w tłum.

- Rozejść się! Nie robić zbiegowiska! Już!

Pasażerowie odruchowo posłuchali - chłopci zaś dokładnie na odwrót: dalejze czepiać się moich rękawów, nogawek, jakaś baba złapała mnie za mankiet i wcałowała się w dłoń. Wyrwałem się z obrzydzeniem.

- Co znowu za histerie! Wy! - Wskazałem Jakuba. - Mówcie!

- Synka jedynego Maciejowi w boru zabrało, lachny panie, złe synka Maciejowego wzięło.

- Jakie złe?

- Czort sam, nie inaczej, z rogami kiej jeleń, na kobyle czarnej piekielnej, światła się bojący, w ciemne chłopca wołał, aże ten młody-głupi, taż i polazł za krustem k'czortu, i tyle ich Maciej widzieli, uwiozł mu diabeł syna jedynego, oj, nas już nic dobrego -

- Cichajcie! Gdzie niby się to stało?

Maciej szarpnął się za brodę, aż mu łzy w oczach stanęły.

- A ot, niezdała, wedle strumyczka, wielmożny panie, jak szlimy ze strumyczkiem, trzy sta kroków będzie, ot tam. W imię Ojca i Syna, co bym nie widzioł, com widzioł.

Nikt już nic więcej nie powiedział, nie musieli, zresztą nie ich rolą jest stawiać na głos żądania, przypominać obowiązki. Patrzą spode łbów w ponurym milczeniu.

Scena się przeciąga - im bardziej, tym trudniej wyobrazić mi sobie, jak po prostu odwracam się do nich plecami. Niepodobna już nawet wzruszyć ramionami i skrzywić się ironicznie. Nie ma mundurowych, nie ma towarzyszy z Komitetu, nie ma pułkownika Kowalskiego i kolegów z komendy. Został tylko lud w potrzebie i pan Rzewiecki.

- Dziecko zaginęło! - zawołałem ku dróżniczówce. - Kto pójdzie?

Chłopi ani myśleli się zgłaszać; zrozpaczony ojciec przetarł oko kułakiem, smarknął na ziemię i przestąpił z nogi na nogę, ale z miejsca się nie ruszył. Pasażerowie też tylko

cofnęli się w cień, poza światło żarówki lejące się przez otwarte drzwi i okno domku - cofnęli się, zamilkli, odwrócili wzrok.

Weterynarz założył ręce na piersi i skinął głową.

Poszedłem w las.

Ułamałem sobie ciężką gałąź, machnąłem nią raz i drugi - krzywy kij, marna namiastka pistoletu, ale widać takie czasy. Strumień płynął równolegle do szosy, zaraz stanąłem na jego brzegu. Między otoczkami lśniła butelka po kefirze, odbijały światło gwiazd metalowe puszkki. Z prądem, czyli w prawo, na południe. A strumień szybko skręcił na południowy wschód, głębiej w las. Obejrzałem się za siebie, ale droga zniknęła już z międzydrzewnych prześwitów, żadne światło się między nimi nie przedrze, żadna jasność. W miarę dobrze widać na kilkanaście kroków, nie więcej, trzeba polegać na słuchu.

Jeździec z łbem jelenia - czyli co, miał na głowie jelenie poroże, czy jak? Kłopot w tym, że tu bez przerwy coś się rusza w poszyciu, szeleszczą liście, trzaskają gałęzie, pohukuje sowa... Zwodzą cienie, kształty w cieniu, iluzje kształtów... Może ten Maciej nie widział żadnego Jeleniego Pana, może mu się dzieciak po prostu zgubił w nocnym lesie, a chłop, wystraszony po przejściach dnia, wyobraził sobie Bóg wie co...

Wyszedłem na polanę i on był po przeciwnej stronie, czarna postać na czarnym koniu, a kiedy się poruszył, poruszyły się cienie nad jego głową i zobaczyłem koźle spirale krzywych rogów.

Staliśmy w bezruchu, patrząc na siebie. Co robić? Krzyknąć? Chłopca z nim nie było.

Wycelowałem w niego przez polanę kijem, jak poziomym przedłużeniem wyprostowanej ręki. Ty. Ty. Staliśmy w bezruchu, patrząc na siebie. Ty!

Koń parsknął, jeździec uniósł ramię i zniknęli w lesie.

Pobiegłem. Słyszałem ich wyraźnie, przebijali się przez gąszcz jak żywy czołg, naginając i łamiąc krzewy i młode drzewka, mogłem podążać wyłącznie śladem tego ruchu, pozostawiali za sobą w nocnym lesie tunel rozedrganej roślinności. Biegłem, wiedząc doskonale, że nie mam najmniejszych szans ich dogonić. Już zaczynało brakować mi tchu. Plułem, rzużyłem i charczałem. Przed oczyma ciemnoczerwone plamy. Potykam się raz i drugi. Coraz trudniej -

Prosto w skroń. Straciłem przytomność, zanim dotknąłem ziemi.

Zaranie

Jeszcze nie wzeszło Słońce nad puszcza. Mgła płynie między drzewami. Grają rogi - długi, niski jęk wwiercający się w kości. Wstaję. Ciężkie krople rosy zlepiają włosy, kleją ubranie - które jest sztywne, niewygodne, obce. Dotykam strupa nad okiem. Zostałem uderzony? Wpadłem na konar? Nie mogę zebrać myśli. Grają rogi.

Dźwięk prowadzi mnie między wysokimi pniami, w obłokach mlecznej bieli. Stopy zapadają się w miękkim runie. Zapach mchu, grzybów i mokrej kory wbija się w zatoki. Potem czuję gorzką woń dymu.

Stoją pod wielkim dębem, wokół ogniska. Dym przesłania oblicze tego, który siedzi. Zatrzymuję się przed granicą światła, ale już mnie dostrzegli. Nie uciekam. Przyboczny podbiega i powala mnie na ziemię drzewcem włóczni. Nie poznają mnie, jakżeby mieli mnie poznać. Wyjmuje krzemienny nóż, szarpie mnie za włosy. Otwieram usta - co powiedzieć, by zrozumieli? Na jego piersi, na skórze i futrze, kołyszą się amulety - kościane, rogowe, drewniane, kamienne - symbole żywiołów, ludzi i zwierząt. Szukam w panice po kieszeniach. Zapalniczka. Papierosy. Portfel. Klucze. Legitymacja oficera Służby Bezpieczeństwa.

Drżącą ręką podsuwam mu legitymację przed oczy. - Ja jestem wy. - Wpatruje się długo w blade godło PRL-u, znak orła na papierze.

Chwyta mnie za kołnierz, ciągnie do ognia. Dalej, we mgle, widzę sylwetki chłopców bawiących się dziecinnymi łukami i dziecinnymi toporkami. Czy jest między nimi także Madejowy syn? Na konarze wielkiego dębu wisi nagi mężczyzna z rozprutą klatką piersiową. Krew ścieka na kwadratowy kamień.

Zostaję ciśnięty przed ognisko, do stóp siedzącego. Powinienem się bać - nie boję się już. Wschodzi Słońce, czuję na plecach jego ciepło. Rozmawiają nade mną w języku, którego nie rozumiem. Nie rozumiem, lecz poznaję - słowa, które były przed słowami. Mgła nie tłumi dźwięku rogów, rżenia koni. Wszystko się budzi, ożywa, rozgrzewa, rozjaśnia, wyostrza. *Idzie k'rodu.* Wyciągnął do mnie rękę.

Podają sobie kubek z miodem. Człowiek na drzewie jęczy. Zaciskam powieki. Zasiadający przed ogniem wypowiada jedno słowo. Klęczę, z czołem przyciśniętym do grzbietu jego sękatej dłoni. Nie mogę powstrzymać łez. Drugą dłoń położył na moim ramieniu. Wróciłem. Wróciliśmy.

maj 2004 - kwiecień 2005

POSTSCRIPTUM

Nie poszło według planu.

Król Bólu, drugi mój regularny zbiór opowiadań, po *W kraju niewiernych* (który wyszedł w roku 2000), miał się ukazać zaraz po *Perfekcyjnej niedoskonałości*, czyli w roku 2005. Ukazuje się z pięcioletnim opóźnieniem. Co się stało?

Stał się *Lód*, stał się *Wroniec* i parę innych rzeczy - teksty, które zaczynałem jako opowiadania przeznaczone do *Króla*, uparcie wyrastały na niezależne projekty (część z nich nadal piszę równolegle, m.in. *Fablę*, *Rekursję* i *Stroiciela luster*). W efekcie sam *Król*, ze zbioru podsumowującego i zamykającego okres od *W kraju* do *Innych pieśni* (*Perfekcyjna* powstała przed *Pieśniami*), zmienił się w rodzaj projektu-parasola, nazwy kodowej dla całości moich poczynań pisarskich w ostatnich latach.

Skutkiem ubocznym jest literacki kształt tej książki jako kolekcji utworów pisanych przez autora o tym samym nazwisku, ale różnej konstrukcji umysłowej. Nie ułożyłem tu opowiadań chronologicznie, niemniej każde skrupulatnie datowałem.

Mówię o „opowiadaniach”, lecz strukturalnie bliżej tym utworom do powieści. Stąd też łatwość, z jaką przybierają na objętości: mocny szkielet epicki znajdował się w nich od początku.

Może więc: zbiór powieści?